TOM XXXIX Rok założenia 1862 Nr 1–3 1982

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO KRAKOWSKIEGO – ODDZIAŁU PTL

DWUDZIESTY DRUGI ZESZYT
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM LEKARSKIM
OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

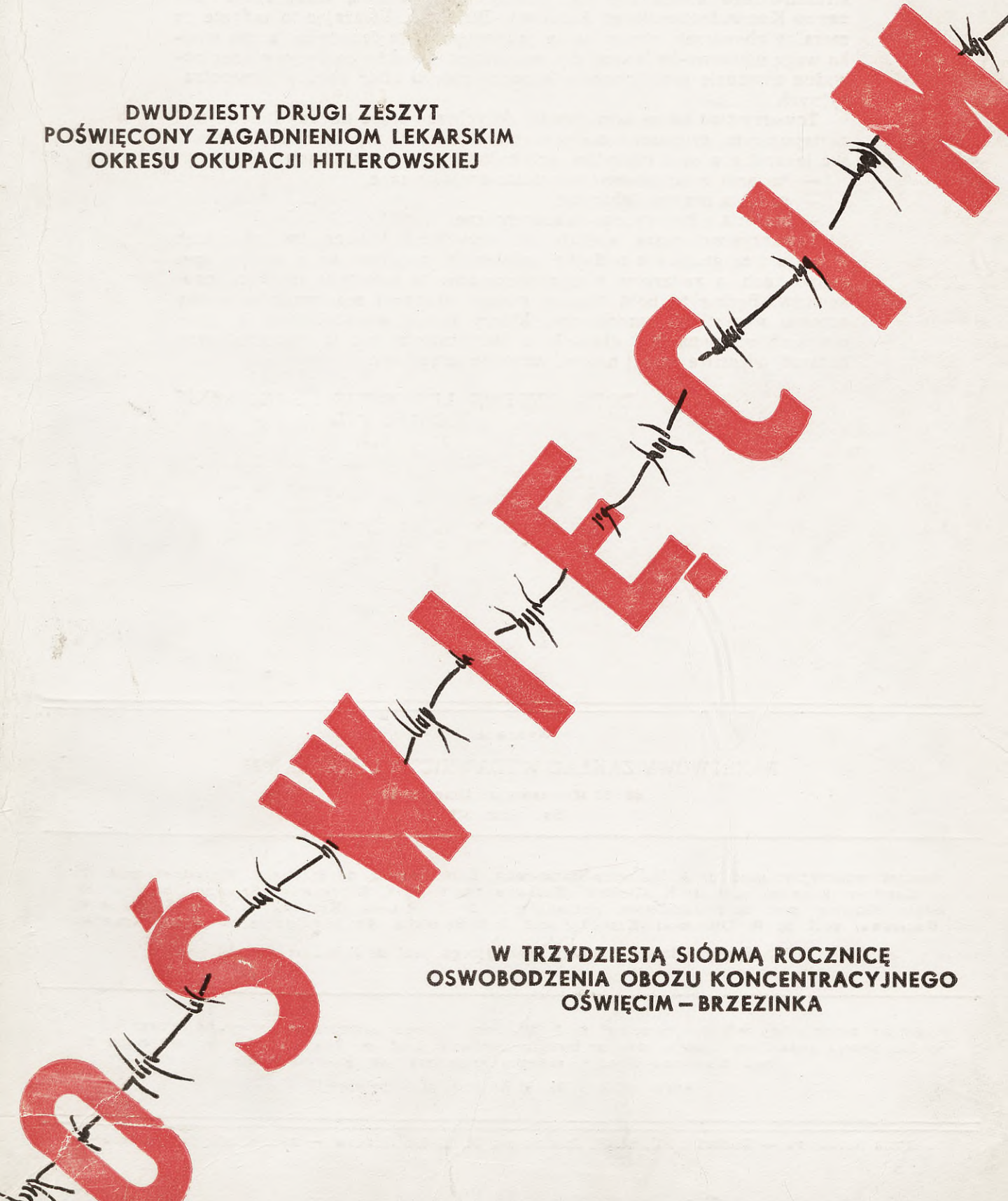

W TRZYDZIESTĄ SIÓDMĄ ROCZNICĘ
OSWOBODZENIA OBOZU KONCENTRACYJNEGO
OŚWIĘCIM – BRZEZINKA

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą

Towarzystwo Lekarskie Krakowskie, Oddział PTL, podjął przed z górą 22 laty inicjatywę naukowego opracowania zagadnień lekarskich i pokrewnych, związanych z dziejami hitlerowskiej okupacji, hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych, a wśród nich — największego i najstraszliwszego obozu zagłady, Oświęcimia-Brzezinki, osławionego pod nazwą Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau. Uważając to zadanie za moralny obowiązek, stwierdzamy jednocześnie, że tematyka ta ma wielką wagę naukowo-badawczą dla wszystkich dziedzin medycyny oraz poważne znaczenie praktyczne w leczeniu chorób ofiar obozów koncentracyjnych.

Towarzystwo nasze zainicjowało dotychczas prace między innymi nad następującymi grupami tematycznymi, z którymi zapoznało się środowisko lekarskie w serii odczytów, artykułów i innych publikacji:

— badania lekarsko-psychologiczno-socjologiczne,
— badania prawno-lekarskie,
— materiały historyczno-dokumentarne.

Towarzystwo nasze apeluje do wszystkich towarzystw lekarskich w kraju i za granicą o podjęcie podobnych inicjatyw we wszelkich specjalnościach, a zwłaszcza o zainteresowanie tą tematyką młodych naukowców. Będzie to hołd złożony rzeszy lekarzy i pracowników służby zdrowia wszystkich narodowości, którzy zostali wymordowani w hitlerowskich więzieniach i obozach, a jednocześnie jest to humanistyczne zadanie, właściwe naszej nauce i naszemu zawodowi.

TOWARZYSTWO LEKARSKIE KRAKOWSKIE
ODDZIAŁ PTL

Wydawca:

PAŃSTWOWY ZAKŁAD WYDAWNICTW LEKARSKICH

00-950 Warszawa, ul. Długa 38/40
Skr. poczt. 379

Komitet redakcyjny: prof. dr J. Billewicz-Stankiewicz (Lublin), prof. dr P. Boroń (Białystok), prof. dr H. Gaertner (Kraków), prof. dr K. Gibiński (Katowice), prof. dr E. Gorzkowski (Szczecin), prof. dr M. Górski (Gdańsk), prof. dr J. Jankowiak (Poznań), prof. dr T. Popiela (Kraków), prof. dr T. Orłowski (Warszawa), prof. dr W. Ostrowski (Kraków), prof. dr E. Szczeklik (Wrocław), doc. dr W. Wcisło (Kraków)

Przewodniczący komitetu redakcyjnego: prof. dr J. Bogusz

Kolegium redakcyjne: redaktor naczelny: prof. dr Leon Cholewa, zastępca redaktora naczelnego: prof. dr Jan Sznajd, redaktorzy działów: doc. dr Ewa Broszkiewicz, prof. dr Zygmunt Hanicki, sekretarz: dr med. Marzanna Magdoń, zastępca sekretarza: lek. Ryszard Mizera

Adres redakcji: 31-501 Kraków, ul. Kopernika 15

Drukarnia Narodowa — Zakład Nr 3, ul. B. Joselewicza 24, 31-031 Kraków — za.n. 612/81, nakład 6000 K-5

TOM XXXIX Rok założenia 1862 Nr 1 – 3 1982

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO KRAKOWSKIEGO – ODDZIAŁU PTL

Dwudziesty drugi zeszyt

poświęcony zagadnieniom lekarskim

okresu hitlerowskiej okupacji

wydany staraniem

Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego,
Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa,
Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację
i Krakowskiego Klubu Oświęcimskiego ZBoWiD,
przy współpracy Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego

Zredagowali:

Prof. dr Józef Bogusz
Prof. dr Antoni Kępiński
Dr Stanisław Kłodziński
Mgr Jan Masłowski

Bibl. Jagiell.
1982 CEO 92/1

TREŚĆ

Bogusz J.: Słowo wstępne 3

DZIAŁ NAUKOWY

Wińska U.: Uczucia kształtujące postawę Polek w Ravensbrück 18
Jagoda Z., *Kłodziński* S., *Masłowski* J.: Samolecznictwo więźniów Oświęcimia . . 25
Ryn Z., *Kłodziński* S.: Śmierć i umieranie w obozie koncentracyjnym 56
Leśniak R., *Leśniak* E.: Przykłady ucieczek z obozów koncentracyjnych. Analiza psychiatryczno-psychologiczna 91
Ryn Z.: Troje rodzeństwa w obozie koncentracyjnym. (Analiza kliniczna) 97
Kempisty C., *Szemraj-Lochyńska* A.: Miażdżyca w procesie starzenia się i umieralności byłych więźniów obozów hitlerowskich 102

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

Pankowicz A.: Narodowosocjalistyczne przemiany medycyny niemieckiej 108
Stefańska I.: Muzeum w KL Auschwitz . . 111
Witkowski J.: Sytuacja sanitarna i zdrowotna w Gross-Rosen 117
Fijałkowska B., *Witkowski* J.: Kobiety w Gross-Rosen 130
Bartelski L. M.: Służba sanitarna powstańczego Mokotowa 136

WSPOMNIENIA

Klimkiewicz S.: W Tomaszowie Lubelskim w latach okupacji 142
Onyszkiewicz T.: W okupowanym Zamościu 147
Madeyski Z.: Wspomnienie więźnia Montelupich. Zygmunt Klemensiewicz 152
Golemo A.: Z Montelupich. Włodzimierz Podgórzec 158
Kowalczyk J.: Z okupacyjnych zapisków krakowskich 164
Maziarski S.: W Sachsenhausen 168
Wojtusiak R. J.: Utworzenie „oddziału naukowego" w Dachau 178
Olszowski J.: Więźniarska kancelaria w obozie oświęcimskim 182
Myłyk F.: Notatki oświęcimskie 188
Komenda J.: W rewirze Brzezinki 194
Chylińska M.: Wokół mechanizmów samoobrony psychicznej 205
Chaszczyńska H.: Do Mauthausen-Gusen po prochy męża 212

BIOGRAFIE

Horzela T.: Dr Mieczysław Paweł Pietrzyk 216
Kowalska Z.: Dr Seweryn Roman Kowalski 218
Zabłotniak R.: Dr Kazimierz Błażej Bacia . 220
Marczyński A.: Lek. med. Tadeusz Szymon Ptak 222
Kłodziński S.: Prof. dr Stanisław Kapuściński 226
Kłodziński S.: Władysław Kosmal 230

100536
II
39.1982

SPRAWOZDANIA

Bogusz J.: Sesja prezydium Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka (w Izraelu, 13—21 stycznia 1981 r.) . 234
Lewin A.: Założenia Instytutu Naukowego i Opiekuńczo-Wychowawczego im. Janusza Korczaka 239

LISTY

Masłowski J.: Z korespondencji zeszytów „Oświęcim" „Przeglądu Lekarskiego" (IV) 244

OCENY

Masłowski J.: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1981 251

*

Treść poprzednich zeszytów „Przeglądu Lekarskiego" poświęconych zagadnieniom lekarskim okresu okupacji hitlerowskiej. Opracował J. *Masłowski*; przełożyli na język angielski: E. R. *Paryski*, A. *Kurgan*; przełożył na język niemiecki: E. *Michalski* 268

JÓZEF BOGUSZ
przewodniczący Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego

Kraków

Słowo wstępne

Niniejszy, dwudziesty drugi zeszyt „Przeglądu Lekarskiego" z cyklu „Oświęcim" przekazujemy w ręce Czytelników w kolejną, trzydziestą siódmą rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka.

Jak zwykle, i tym razem rozpoczynamy od smutnego obowiązku choćby krótkiego wspomnienia o osobach zmarłych ostatnio, a w jakiś sposób związanych z naszymi zeszytami.

Dnia 12 sierpnia 1978 r. zmarł prof. dr Jan Wojciech *Zabłocki*, autor relacji pt. W rewirze obozu w Sachsenhausen (Przegl. Lek., 1977, nr 1, str. 193—194), były kierownik Ogrodu Warzywno-Owocowego i Pola Doświadczalnego Wydziału Rolniczego Uniwersytetu Jagiellońskiego, a następnie wieloletni kierownik Katedry Botaniki Ogólnej i zespołu katedr botanicznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Został uwięziony w tzw. *Sonderaktion Krakau*. Po powrocie z obozu w Sachsenhausen do Krakowa włączył się do konspiracji w oparciu o tajne władze UJ. Szczegółową biografię prof. *Zabłockiego* opracowała dr Zofia *Michno-Zatorska* i oddała do druku w „Wiadomościach Botanicznych". Wspomniana relacja jest wyjątkowym dokumentem, ponieważ prof. *Zabłocki* zdołał wydostać się z rewiru obozowego, w którym prawie wszyscy chorzy ginęli; ten jego artykuł poszerza więc w istotny sposób wiedzę o „szpitalu" w Sachsenhausen. Wiadomość z Torunia o zgonie sędziwego, 84-letniego profesora dotarła do nas z dużym opóźnieniem.

W dniu 10 września 1980 r. zmarła w Londynie Regina z *Remiszewskich Oppmanowa*, długoletnia, bardzo zasłużona i ceniona archiwistka Instytutu Polskiego Muzeum im. Generała Władysława Sikorskiego (20, Princes Gate, London S. W. 7).

26 grudnia tegoż roku zmarł w wieku 88 lat dr Walenty *Popek*, zasłużony i ceniony krakowski lekarz laryngolog, więzień Gross-Rosen, autor artykułu pt. „W rewirze obozu w Gross-Rosen" (Przegl. Lek., 1978, nr 1, s. 171—172).

20 września 1981 r. zmarł przedwcześnie dr nauk humanistycznych, Zenon *Jagoda*, w 50. roku życia, nasz bliski i serdeczny współpracownik, autor lub współautor wielu opracowań opublikowanych w zeszytach „Przeglądu Lekarskiego" z cyklu „Oświęcim". I tak, wraz z J. *Masłowskim* opublikował artykuł pt. Z metodyki opracowania naukowego zagadnień lekarskich okresu okupacji (1974). Wraz z J. *Masłowskim* i S. *Kłodzińskim* opracował bardzo cenne studia, jak: Agresja i agresywność w obozie oświęcimskim (1980), Osobliwości słownictwa w oświęcimskim szpitalu obozowym (1972), Przetrwanie obozu w ocenie byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki (1977), Przyjaźnie oświęcimskie (1978), Słownik oświęcimski. A — B, makieta (1978), Sny więźniów obozu oświęcimskiego (1977), Stereotypy zachowań u byłych więźniów obozu oświęcimskiego (1976), Śmiech w obozie koncentracyjnym (1973), Używki w obozie oświęcimskim (1975), Życie kulturalne w obozie oświęcimskim (1974); z J. *Boguszem*: Sprawozdanie z VI międzynarodowego kongresu lekarskiego *FIR* (Praga, 30 XI — 2 XII 1976 r.; 1978); z J. *Masłowskim*: Sprawozdanie z II zjazdu lekarzy ZBoWiD. Polska medycyna wobec problematyki okupacyjnej (1969). Tuż po jego śmierci ukazała się książka pt. Oświęcim nieznany (we współautorstwie z S. *Kłodzińskim* i J. *Masłowskim*; Wydawn. Literackie 1981, stron 320, 69 ilustracji), oparta na artykułach z „Przeglądu Lekarskiego". Niedługo ukaże się druga książka tych samych trzech autorów pt. „Więźniowie Oświęcimia". Ich artykuł pt. Samolecznictwo więźniów Oświęcimia (omówiony dalej, w części szczegółowej Słowa wstępnego) znajdzie czytelnik w niniejszym zeszycie; jest to ostatnia z zakresu tematyki obozowej praca, w której udział wziął dr *Jagoda*. Był to znakomity polonista i pedagog, zamiłowany dydaktyk i metodyk literatury i języka polskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim. Wykształcił dosłownie tysiące nauczycieli i pozostawił publikacje naukowe o trwałej wartości. Boleśnie odczuliśmy śmierć tego naszego prawdziwego przyjaciela i szlachetnego człowieka. Będzie nam Go bardzo brakowało.

Główne cele i założenia zeszytów „Przeglądu Lekarskiego" z cyklu „Oświęcim" biegną, jak poprzednio, dwoma głównymi nurtami.

Pierwszy nurt zawiera trzy kierunki: 1) Zeszyty przynoszą wyniki badań naukowych byłych więźniów obozów koncentracyjnych, więzień, jeńców wojennych, robotników przymusowych, członków walki podziemnej. Badania ich stanu psycho-somatycznego były wyłączne tylko do pewnego czasu, ponieważ później objęto badaniami także osoby więzione w wieku dziecięcym oraz dzieci byłych więźniów, czyli tzw. drugą generację. 2) Zeszyty służą zbieraniu faktów z dziejów naszej służby zdrowia. 3) Wreszcie służą one wydobyciu wartości moralnych i humanistycznych z okresu pogardy i odczłowieczenia. Sięgając do najgłębszych tajników ludzkiej psychiki, wykazują, że wśród najcięższych okresów życia pod okupacją, w obozach koncentracyjnych itd. odsłaniały się wielkie zasoby ludzkiej dobroci i ofiarności. Prace psychiatryczne, psychologiczne, filozoficzne, socjologiczne i inne stanowią tu niezwykle ważne świadectwo postaw ludzkich i — ratując wiarę w człowieka — zachowują najbardziej ponadczasową wartość.

Równolegle biegnie drugi nurt charakteryzujący zeszyty. Dokumentując z konsekwencją okrucieństwa minionej wojny i obnażając cierpienia naszego — i nie tylko naszego — narodu, poszukujemy dróg zbliżenia, wzajemnego zrozu-

mienia obywateli PRL i RFN, usuwania moralnych i psychologicznych barier. Służy temu ukazywanie szlachetnych — co prawda nielicznych — postaci Niemców z okresu III Rzeszy, które zachowały w pełni swą godną postawę. Pomaga w tym młoda generacja postępowych profesorów, studentów i innych w RFN. Ta droga nie jest, bo nie może być, ani łatwa, ani krótka. Ale jest to droga jedynie słuszna dla obu stron.

Gdy co rok zespół redakcyjny zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" zastanawia się nad treścią i kształtem następnego zeszytu, nachodzą początkowo nieraz wątpliwości, czy aby uda się zestawić dalsze teksty i interesujący materiał według stosownej merytorycznej koncepcji. Czy nie nastąpiło w pewnym sensie wyczerpanie oryginalnej tematyki, a po wtóre, czy w gąszczu wciąż narastających nowych problemów społeczno-politycznych w świecie, przyprawiających niekiedy o zawrót głowy — a niepodobna przecież przy tym pominąć niezwykłej sytuacji naszego kraju — w nowych, zmieniających się jak w kalejdoskopie i narastających dziejach bieżących nadal słuszne i celowe jest snucie tych wątków, które stanowią treść i istotę naszych zeszytów?

I oto okazuje się co rok — razem już od 23 lat — że w miarę upływu czasu prac nie tylko nie ubywa, ale że wraz z dystansem czasu stają się one głębsze, gruntowniejsze, opracowywane ze spokojem i równowagą, pisane przeważnie bez zbytniej emocji, zrozumiałej w dawniejszych okresach, *sine ira et studio*, wyważone w toku możliwie obiektywnych deliberacji, okazuje się, że stają się one coraz poważniejszym wkładem w poznanie dziejów owego strasznego okresu. Po wtóre, odkrywanie tajników życia psychicznego człowieka, jego postaw w niezwyczajnych warunkach, pozwala na odsłanianie ponadczasowych zwycięstw, ale i klęsk człowieka, jego wzlotów, ale i upadków, a zatem rozwój i treść tego dorobku w związku z doświadczeniami lat 1939—1945 i ich następstw nabiera uniwersalnego charakteru.

Wymagania redakcji wobec siebie i wobec autorów stały się większe i to chyba dobrze. Wydaje się nam przeto, iż poziom przygotowania prac wzrósł. Nadal — mimo upływu długiego czasu — do głosu dochodzą byli więźniowie obozów, którzy w swych wypowiedziach, tchnących autentyzmem, pozbawionych przesadnej egzaltacji, zwykle w sposób bardzo wyważony rekonstruują nieraz z matematyczną dokładnością swe ówczesne przeżycia i doznania. Nauczyliśmy się szczególnie cenić opracowania oparte w dużej mierze na wypowiedziach byłych więźniów, którym zadawano konkretne, celowane pytania. Te wypowiedzi więźniów, pisane z pewnością nie dla splendoru ani nagród, szczere i autentyczne, już same stanowią ogromną wartość, a pozwalają także na uogólniające i kierunkujące je refleksje, nie związane tylko z określonym, przemijającym czasem.

Stoimy na stanowisku, że wartość i ponadczasowość zagadnień II wojny światowej — wśród nich też medycznych — jest kategorią badawczą niezależną od postępującego czasu, który niesie różne wydarzenia polityczne i społeczne. Co więcej, lata 1939—1945, ich poprzedzające okoliczności, obfitość faktów i następstwa są szczególnie ważne dla najnowszych dziejów Polski, tak jakby liczyły się w nich w spotęgowany sposób.

Sięgając do owego okresu, nie chodzi nam ani o zasklepianie się w jego obrębie, ani o eksponowanie martyrologii, która jest tylko jednym — choć bolesnym i koszmarnym — aspektem szerzej pojętej problematyki. Chodzi nam głównie o to, żeby z tamtego czasu nieludzkiego, na którego zapomnienie w żaden sposób nie pozwala ogrom cierpień i ofiar, wydobywać wartości uniwersalne i nauki na przyszłość. Tak na przykład największy kombinat śmierci, jakim był *KL Auschwitz-Birkenau*, tudzież inne obozy oraz więzienia hitlerowskie, różne miejsca kaźni, a także sytuacja narodu poddanego bezprecedensowej okupacji, dyskryminacji i eksterminacji — jest swoistym, potwornym laboratorium, które pozwala na niezgłębione wyzyskiwanie swej nieludzkiej treści w celu wysnuwania wniosków pouczających i wręcz pokrzepiających.

Ważne jest zwłaszcza wydobywanie z owego pandemonium takich wartości, jak niezatracanie człowieczeństwa i uczuć dodatnich, poczucia moralnego i postaw humanitarnych na przekór wszystkiemu, ocalanie od niepamięci konkretnych faktów i sylwetek, będących wzorem humanitaryzmu, utrwalenie doświadczeń, które nigdy nie powinny zapaść w zapomnienie.

O możliwości kontynuowania takiego nastawienia badawczego świadczy dorobek piśmienniczo-badawczy, m. in. zawarty w naszych zeszytach.

Tak duży materiał został opublikowany m. in. dlatego, że zawsze było i jest w zeszytach zielone światło dla wszystkich autorów wartościowych prac, niezależnie od posiadanych stopni czy tytułów naukowych, a zwłaszcza cenimy relacje świadków i uczestników opisywanych wydarzeń, szanujemy indywidualne podejście kombatantów do problematyki, ich swoiste widzenie jej, publikowaliśmy wiele prac byłych więźniów, szanowaliśmy ich styl i indywidualne podejście do tematu.

Warto przypomnieć, że z wielu artykułów zamieszczonych w naszych zeszytach powstały — po poszerzeniu tematyki — prace magisterskie, rozprawy doktorskie i habilitacyjne i wiele książek. Wśród autorów edycji książkowych znajdują się według naszego rozeznania m. in. następujące osoby, których artykuły były takimi zaczynami: Zygmunt *Albert*, Jadwiga *Apostoł-Staniszewska*, Bogusław *Cereniewicz*, Edward *Ciesielski*, Adolf *Gawalewicz*, Czesław *Kempisty*, Antoni *Kępiński*, Józef *Kret*, Jerzy *Osuchowski*, Anna *Pawełczyńska*, Stefania *Perzanowska*, Antonina *Piątkowska*, Stanisław *Pigoń*, Józef *Witkowski*, Zbigniew *Wlazłowski*.

Na uwagę zasługuje, że Wydawnictwo „Książka i Wiedza" opublikowało cztery tomy antologii artykułów zamieszczonych w zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". I tak, pierwszy tom ukazał się w r. 1971 i zawierał artykuły z lat 1961—1970; drugi tom w r. 1975 i zawierał artykuły z lat 1961—1973; trzeci tom w r. 1977 z artykułami z lat 1963—1976; czwarty tom w r. 1979 z artykułami z lat 1963—1978. Piąty tom, zawierający artykuły z lat 1965—1981, został złożony w wydawnictwie i ma ukazać się zgodnie z planem w 1982 r. „Książka i Wiedza" udostępnia w ten sposób wybrane i uaktualnione

materiały szerokiemu ogółowi. Trud wydawania tych antologii oraz pedantyczna praca redakcyjna, wkładana w trudną edycję tych tomów, zobowiązuje nas do głębokiej wdzięczności wobec wydawnictwa „Książka i Wiedza" oraz wobec inicjatora tej edycji, dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, prof. dr. Czesława *Pilichowskiego*.

*

Jak zazwyczaj, przedstawimy obecnie jak gdyby krótką, bardzo zresztą selektywną kronikę wydarzeń, jakie zaszły w ciągu ostatniego czasu, a mającą związek z tematyką naszych zeszytów. Zajmując się medyczną problematyką dotyczącą ekspansji Niemiec hitlerowskich i jej następstw, nie możemy pomijać szerszego tła.

W dniu 5 listopada 1980 r. odbyła się w Głównym gmachu Akademii Górniczo-Hutniczej uroczysta akademia połączona z otwarciem wystawy poświęconej 41. rocznicy aresztowania profesorów Akademii Górniczej w Krakowie w czasie *Sonderaktion Krakau* w pamiętnym dniu 6 listopada 1939 r., która jest stałym wątkiem w naszym cyklu.

Idźmy dalej kolejno datami. 7 grudnia 1980 r. — w toku druku zeszytu poprzedniego — minęło 10 lat od podpisania w Warszawie Układu o podstawach normalizacji stosunków między RFN i PRL. Od tego czasu zwłaszcza ułatwione zostały wzajemne kontakty i wymiana kulturalna między obu krajami, także w dziedzinie wzajemnych zainteresowań medycyną nazistowską. Poświęciliśmy wiele uwagi temu historycznemu wydarzeniu w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" w r. 1972, s. 5—7, oraz w dalszych zeszytach. Układ ten stworzył podwaliny pod rozwój stosunków bilateralnych. Rozwój ten nie przebiegał — bo nie mógł przebiegać — gładko, bez tarć, tym więcej, że wiąże się on ze złożoną ogólną sytuacją europejską i światową. Mimo to z pokłosia układu po 10 latach nie należy być niezadowolnym. Jak mówił Willy *Brandt*, „Zawsze zależy to od tego, czy mówi się o szklance do połowy pustej, czy do połowy pełnej. Ja mówię chętniej o szklance do połowy pełnej" (opublikowane w prasie codziennej 6—7 grudnia 1980 r.; w Życiu Warszawy wywiad Karola *Szyndzielorza* z Willy *Brandtem* pt. „10 lat po podpisaniu układu Polska — RFN).

Toteż, jak zobaczymy poniżej, epizody zgodnej i harmonijnej współpracy zmieniały się z wydarzeniami nie pozbawionymi zgrzytów, a nawet pewnych zadrażnień. Jest to jednak zrozumiałe. Ważne jest, że przeważa z obu stron dobra wola i chęć pomyślnego rozwoju wzajemnych stosunków. A wyjaśnianie prawdy o przeszłości — także w sektorze medycznym — może tylko im sprzyjać.

W dniach 13—21 stycznia 1981 r. odbyła się w Izraelu sesja prezydium Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza *Korczaka*, który symbolizuje martyrologię gett, Żydów i dzieci polskich, a o którym w naszych zeszytach — z ich natury — była wielokrotnie mowa. Udział wzięła 11-osobowa delegacja polska oraz 7 osób z innych krajów. Bliżej o tym w dziale „Sprawozdania" w niniejszym zeszycie.

W dniu 28 stycznia 1981 r., w 36. rocznicę oswobodzenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka odbyło się zgodnie z przyjętym od wielu lat zwyczajem uroczyste posiedzenie Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego. Udział w zorganizowaniu posiedzenia wzięły liczne stowarzyszenia społeczne, naukowo-lekarskie, farmaceutyczne, pielęgniarskie, studenckie. Referat pt. „Medycyna ludowa w Oświęcimiu-Brzezince" wygłosili Zenon *Jagoda*, Stanisław *Kłodziński* i Jan *Masłowski*. Była to skrócona wstępna forma opublikowanego w niniejszym zeszycie artykułu zatytułowanego „Samolecznictwo więźniów Oświęcimia".

Po referacie odbył się piękny koncert w wykonaniu zespołu *Capella Cracoviensis* pod kierunkiem Stanisława *Gałońskiego*. Artyści — jak zawsze poprzednio — złożyli swą wielką sztukę jako bezinteresowny dar w hołdzie tym, którzy cierpieli i zginęli w Oświęcimiu. Jesteśmy za to artystom bardzo wdzięczni.

Z tematyką naszych zeszytów i jej tłem wiążą się bezpośrednio i pośrednio różne książki, często zagraniczne, do których dostęp nie jest powszechny. Warto więc poświęcić im trochę uwagi. Pojawiły się mianowicie dość liczne wydawnictwa oceniające w sposób właściwy epokę hitlerowską. Wymienimy niektóre: na początek Gerda *Zorn:* „Nach Ostland geht unter Ritt" (Verlag Dietz Nachf., Berlin — Bonn, z przedmową znanego działacza partii SPD, Herberta *Wehnera*). Ta znakomita książka, której pełny tytuł wraz z podtytułem brzmi po polsku „Na Wschód prze nasza wyprawa. Niemiecka polityka zdobyczna pomiędzy germanizacją a ludobójstwem" jest poważnym dziełem, obrazującym bez osłonek niemiecki *Drang nach Osten* od dawnych wieków aż po czasy *Hitlera*, oraz jego zaborczą i ludobójczą politykę na wschodzie.

Oto jeszcze kilka uwag o innej książce. Autorem jej jest Walter *Wuttke-Groneberg*, tytuł: „Medizin im Nationalsozialismus. Ein Arbeitsbuch". Schwäbische Verlagsgesellschaft, Tübingen 1980. Jest to zbiór dokumentów będący przyczynkiem do studiów nad medycyną okresu hitleryzmu. Autor zwraca uwagę na fakt małego, jak dotąd, zainteresowania w RFN problematyką lekarską w narodowym socjalizmie. Zwraca również uwagę na rozwój takiego piśmiennictwa w Polsce..

Pisze tam autor mianowicie na str. 5: „(...) beispielhaft sind die Veröffentlichungen aus Polen, dem einzigen Land, in dem so etwas wie eine kontinuierliche Faschismusforschung zur Medizin betrieben wird" (jako wzór służyć mogą publikacje z Polski, tego jedynego kraju, w którym uprawia się coś jak gdyby ciągłe badanie faszyzmu wobec medycyny). A w przypisie 2 na str. 9 podaje: „Das Informationssystem der Deutschen Institute für Medizinische Dokumentation und Information (DIMDI) weist unter dem Stichwort »Nazi« 422 Artikel nach, die von 1966 bis 1979 in medizinischen Zeitschriften publiziert wurden. 364 Artikel, d. h. 86% erschienen in Polen, die bundesrepublikanische Medizin ist mit 2 Beiträgen vertreten. Die polnische Literatur ist z. T. übersetzt in den Heften von Auschwitz und den Sammelbänden »Unmenschliche Medizin« (vgl. Internationales Auschwitz Komitee) erschienen". (System informacyjny Niemieckiego Insty-

tutu Medycznej Dokumentacji i Informacji — DIMDI wykazuje pod hasłem „Nazi" 422 artykuły, które ukazały się w latach 1966—1979 w lekarskich czasopismach. 364 artykuły, tj. 86% ukazało się w Polsce, medycyna w RFN jest reprezentowana przez 2 artykuły. Piśmiennictwo polskie jest częściowo przetłumaczone w „Zeszytach Oświęcimskich" i w antologiach „Nieludzka medycyna" [wyd. Międzynarodowy Komitet Oświęcimski — w skorowidzu].)

Bardzo to dobrze, że *Wuttke-Groneberg* zwrócił uwagę na prace polskie. Należy jednak wyrazić żal, iż oparł się on jedynie na starej antologii wydanej przez Międzynarodowy Komitet Oświęcimski w 1969 r. Antologia ta dotyczy tylko niektórych artykułów z pierwszych zeszytów „Przeglądu Lekarskiego" z cyklu „Oświęcim". Od tego czasu ukazało się dalszych kilkanaście zeszytów, każdy o objętości 260—300 stron druku. Prawda, że ukazały się one jedynie w języku polskim. Mimo naszych starań nie było niestety możliwe ze względów oszczędnościowych wydanie tłumaczeń obcojęzycznych, z wyjątkiem zeszytu pierwszego z r. 1961, który został przetłumaczony na cztery obce języki.

Ale warto jednak zauważyć, że mimo to amerykańscy uczeni (z uniwersytetów w Bostonie, Chicago, New Haven, Detroit) trafili do nas, a japoński chirurg z Tokio tłumaczy na język japoński pierwszy zeszyt. Bariera językowa jest wprawdzie trudną przeszkodą, jednakże dla nauki i dla uczonych nie powinna stać się barierą nie do przebycia. Była już zresztą o tej łączności mowa w latach ubiegłych w naszych zeszytach w Słowie wstępnym.

Tu wszakże należy ponownie zauważyć, iż brak tłumaczenia naszych materiałów na obce języki, przynajmniej na angielski i niemiecki, staje się przyczyną bolesnego dla nas pomijania naszego dorobku w zagranicznym piśmiennictwie, a nieraz staje się przyczyną publikowania pewnych spostrzeżeń za granicą jako pierwszych tam, gdy dawno były one już u nas wcześniej opublikowane.

Na podstawie książki *Wuttke-Groneberga* można by przyjąć, że budzi się zainteresowanie historyków medycyny badaniami medycyny hitlerowskiej. Mieliśmy sposobność spotkać się z autorem w Krakowie z okazji pobytu jego w Oświęcimiu wraz z członkami „Aktion Sühnezeichen". Będzie o tym jeszcze mowa.

Miło zauważyć, iż mogłem zapoznać się z wydawanym w języku polskim miesięcznikiem „Profil". Wydawcą jest Friedrich *Reinecke* Verlag GmbH (Schöne Aussicht 23, 2000 Hamburg 76). Miesięcznik ma piękną szatę graficzną, jest bogato ilustrowany. Tego rodzaju inicjatywy i wydania w RFN służą m. in. zbliżeniu polsko-zachodnioniemieckiemu, na którym może też zyskać transmisja na zachód wyników badań polskich autorów m. in. z zakresu medycznych zagadnień okupacji i ich następstw.

Podobnemu celowi służy także miesięcznik „Christ und Bildung — Zeitschrift der Katholischen Erziehergemeinschaft Deutschlands (KEG)". Główni redaktorzy: Albin *Schindlbeck* i prof. dr Johannes *Hampel* (Herzogspitalstrasse 13, 8000 München 2).

W poprzednim zeszycie informowaliśmy o powstaniu „Deutsches Polen Institut" z siedzibą w Darmstadt, którego kierownikiem jest dr Karol *Dedecius*, znakomity i niestrudzony tłumacz literatury polskiej na język niemiecki, prawdziwy ambasador literatury polskiej. Przydaliby się w RFN również tłumacze naszej okupacyjnej literatury medycznej na język niemiecki.

Wiadomość o przyznaniu nagrody literackiej im. rodzeństwa *Scholl* znanemu pisarzowi niemieckiemu, Rolfowi *Hochhuthowi*, autorowi dramatów „Namiestnik" i „Żołnierze", przyniosła w obszernych komentarzach prasa zachodnioniemiecka. Przytoczmy, co pisze na ten temat nasz znany badacz i znawca spraw dotyczących RFN, Marian *Podkowiński* (w artykule pt. „Biała róża nie da nam spokoju". Życie Warszawy, 1981, nr 25, s. 6, z 31 I — 1 II); wypowiedź tę warto zacytować dlatego, żeby zajmując się zbrodniami hitlerowskimi i ich skutkami, oddać też sprawiedliwość tym nielicznym Niemcom, którzy wbrew wszystkiemu zdobyli się na przeciwstawianie się totalnemu reżimowi hitlerowskiemu, ale przecież nie mogli porwać za sobą ogółu rodaków, ślepo podporządkowanych wygodnemu dla siebie reżimowi. Oto co pisze *Podkowiński* we wspomnianym artykule:

„(...) Młodszemu czytelnikowi należy przypomnieć, kim byli Zofia i Hans *Schollowie*, młodzi studenci uniwersytetu monachijskiego, którzy z wyroku sądu specjalnego zostali ścięci w 1942 r. za kolportowanie ulotek antyhitlerowskich na uczelni i akcję polityczną wśród studentów tego uniwersytetu. Trzeba też przypomnieć, że zostali wydani w ręce gestapo przez woźnego uniwersyteckiego, który otrzymał za to poważną sumę pieniężną (pozwoliła mu wybudować własny domek). Grupa studentów pod wodzą rodzeństwa *Scholl* wydawała też ulotki pod nazwą »Białej Róży« i kwiat ten stał się wtedy symbolem antyhitlerowskiego ruchu wśród monachijskiej młodzieży. Gestapo oddało w ręce kata jeszcze kilku innych przyjaciół rodzeństwa *Scholl* oraz ich preceptora profesora Kurta *Hubera*. Aresztowania i dochodzenia trwały aż do 1943 roku. Był to na taką skalę pierwszy poważniejszy ruch antyhitlerowski w okresie wojny. W cztery dni po aresztowaniu rodzeństwa *Scholl* i krótkiej rozprawie »sądowej« pod przewodnictwem osławionego sędziego Rolanda *Freislera* (sądził on później uczestników spisku 20 lipca 1944 roku) oddali głowy pod katowski topór. Było to tego samego dnia, kiedy *Goebbels* w berlińskim *Sportpalaście* wezwał Niemców do totalnej wojny z ZSRR (*Wollt ihr den totalen Krieg? Jaaa!*)

Akcja »Białej Róży« i wzywanie do zakończenia wojny miała w gruncie rzeczy symboliczny charakter, gdyż podobnie jak puczystów z 1944 roku, nikt ich nie poparł. Była to samotna walka z hitlerowską hydrą i młodzi studenci zdawali sobie z tego sprawę. Niemniej uważali, że powinni byli złożyć taką ofiarę w imię człowieczeństwa i postępowych tradycji narodu niemieckiego. Po wojnie prof. Golo *Mann* w ten sposób określił zryw »Białej Róży«: »Gdyby w niemieckim ruchu oporu istnieli tylko ci młodzi ludzie, wystarczyłoby to, aby choć trochę uratować z honoru tych, którzy posługują się językiem niemieckim«. Ale ówczesne społeczeństwo było odmiennego zdania. Kiedy młodzi ludzie szli swoją ostatnią drogą na śmierć, w gazetach hitlerowskich ukazała się mała notatka, w treści której znajdowało się takie zdanie: »W obliczu heroicznej walki narodu niemieckiego tego rodzaju kreatury nie zasługują na nic innego, jak tylko na szybką i haniebną śmierć«.

A czy po wojnie można postawić pytanie — czy ofiara rodzeństwa Scholl i ich bliskich przyjaciół z »Białej Róży« została przypomniana i upamiętniona? Przypominam sobie ten okres doskonale, gdyż byłem wówczas korespondentem prasy polskiej w Berlinie i w Bonn. Otóż pamięć *Schollów* po raz pierwszy uczcili młodzi ludzie w Weimarze. FDJ postarała się o pamiątkową tablicę. Na uroczystość zaproszono ojca młodych *Schollów*, o którym zapomniano w Monachium. Dopiero w końcu lat pięćdziesiątych podobną tablicę wmurowano w auli uniwersytetu monachijskiego. Zasługę w przypomnieniu »Białej Róży«, a zwłaszcza Zofii *Scholl*, mia-

ła jej siostra Inge *Scholl*, która po raz pierwszy podała do druku wiele szczegółów nieznanych szerszej publiczności. Później pojawiły się już liczne prace historyczne i wspomnieniowe. Ale — fakt charakterystyczny — jedyną obszerną pracą na temat »Białej Róży« i rodzeństwa *Scholl* jest — jak dotąd — książka amerykańskiego historyka, Richarda *Hansera*, która ukazała się w ub. roku także w języku niemieckim u *Kindlera* w Monachium pt. »Dla dobra Niemiec. Życie i śmierć rodzeństwa *Scholl*. Historia Białej Róży«. W tym samym czasie wyszła także mała książeczka dla młodzieży pióra Hermanna *Vinke* pt. »Krótkie życie Zofii *Scholl*«.

Rolf *Hochhuth*, który od lat zajmuje się demaskowaniem faszyzmu i przywracaniem czci tym, którzy w czasach Trzeciej Rzeszy mieli odwagę protestu, zajął się obszernie książką *Hansera*, uznając ją za pełny obraz tego, co się stało w połowie lutego 1942, kiedy wydano rodzeństwo *Scholl* i ich czterech przyjaciół w ręce gestapo. Opowiedział o losie tych ludzi w swoim adresie dziękczynnym przy wręczaniu mu nagrody im. rodzeństwa *Scholl*. Przypomniał raz jeszcze samotność odważnych i nikczemność tych, którzy przyjęli ideologię *Hitlera* za własne wyznanie wiary i nieraz do dziś nie chcą pogodzić się z klęską. Nie po raz pierwszy *Hochhuth* naraża się wielu Niemcom swoim demaskatorstwem. (...) Jego tragiczna opowieść o losach polskiego jeńca wojennego Stanisława *Zasady* we wsi Brombach (Badenia-Wirtembergia), który za odwzajemnioną miłość do Niemki Pauliny *Krop* został powieszony publicznie we wsi (Niemka poszła do obozu koncentracyjnego), do dziś nie daje spokoju pisarzowi (»Eine Liebe in Deutschland«. Wyd. Rowohlta w Hamburgu). Podobnie jak opis losu młodego Szwajcara, Maurice'a *Bavaud*, który w 1938 roku usiłował dokonać zamachu na *Hitlera* w czasie monachijskiej uroczystości 9 listopada przy Hali Bohaterów. Szwajcara aresztowano, ale nie skazano na śmierć. Męczono go do 1941 roku, sądząc, że stał na czele jakiejś grupy spiskowców. Dopiero po wojnie można było ujawnić tę potworną zbrodnię. Uczynił to także *Hochhuth*. Jak i w wielu innych wypadkach. Przecież to on swoimi odkryciami przyczynił się do dymisji premiera Badenii-Wirtembergii Hansa *Filbingera*, któremu dowiódł, że nie tylko był krwawym prokuratorem w służbie *Hitlera*, ale jeszcze po zakończeniu wojny, w obozie jenieckim, wydawał wyroki na żołnierzy niemieckich, którzy krytykowali *Hitlera*. W ostatnim dniu wojny asystował przy wykonaniu wyroku śmierci na młodym marynarzu, który nie stawił się na apel w koszarach. Ostatni jego dramat »Prawnicy« także wywołał burzę w RFN, ponieważ udowodnił, ilu rzeczników hitlerowskiego wymiaru sprawiedliwości pozostało w służbie RFN, i jakie wyrządzili szkody.

W jednej z ulotek kolportowanych przez rodzeństwo *Scholl* apel do młodzieży kończy się słowami: »Biała Róża nie da wam spokoju«. A czy dzisiaj daje im spokój? Pytanie to stawia obecnie Rolf *Hochhuth* w swojej mowie wygłoszonej w Monachium z okazji przyznania mu nagrody im. *Schollów*. Rodzeństwo *Scholl* dało przykład, jak można, także w głuchym na wszystko społeczeństwie, podnieść protest buntu, który tylko pozornie mógł być uważany za bezcelowy."

Wróćmy znów do książek. Ukazała się w RFN m. in. w tłumaczeniu z angielskiego książka Floris B. *Bakels:* „Nacht und Nebel" (wyd. S. Fischer Verlag, Frankfurt/M., s. 387), opisująca uwolnienie obozu w Bergen-Belsen. Oto słowa młodej niemieckiej pisarki Wendegard *von Staden* o tej książce:

„Gorzka lektura dla Niemców, ale konieczna. Jak mógłby inaczej zrozumieć ten, kto nie widział, że morze nienawiści, wykopane w naszym imieniu jest tak głębokie? I że nasze szczere i wielkie starania o zadośćuczynienie w ostatnich 30 latach i o to, aby nie rzucać na nas winy kolektywnie, musi wydawać się jedną łzą w tym morzu? Zrozumie także czytelnik, że nie możemy ustawać w tych staraniach" („Die Zeit", nr 25 z 12 VI 1981).

W związku z tym warto przypomnieć, że w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" z r. 1967 (s. 105—112) został opublikowany artykuł Myrtle *Beardwell-Wieleżyńskiej* pt. „Obóz koncentracyjny w Bergen-Belsen bezpośrednio po wyzwoleniu", bogato ilustrowany dokumentarnymi zdjęciami. Obóz ten, wyzwolony 15 kwietnia 1945 r. przez wojska angielskie, przedstawiał obraz przerażającej grozy. Tablica u wejścia do obozu głosi: „... Zastano tu 10 000 zmarłych nie pogrzebanych. Dalszych 13 000 zmarło po wyzwoleniu. Wszyscy oni byli ofiarami niemieckiego nowego ładu w Europie i przykładem kultury nazistowskiej."

Te i inne, nie wymienione wydawnictwa zachodnioniemieckie przynoszą zaszczyt, ale należą do chwalebnych wyjątków.

Znowu pragnę z przyjemnością odnotować aktywną działalność Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Augsburgu (Deutsch-Polnische Gesellschaft, Augsburg 43). Przewodniczący, Leszek *Ormicki*, wybrany ponownie po czterech latach, rozwija bardzo żywą i pożyteczną działalność na polu zbliżenia między RFN a PRL. W towarzystwie tym odbywają się koncerty polskich artystów i odczyty; towarzystwo włącza się w różne drażliwe sprawy, np. zgłosiło protest przeciw pokazywaniu w programie telewizji bawarskiej (BR) — w przeciwieństwie do programu ARD — granic państwa polskiego z 31 sierpnia 1939 r.

Członkami honorowymi Towarzystwa zostali nadburmistrz Augsburga (*Oberbürgermeister*), Hans *Breuer*, oraz burmistrz, dr *Kotter*. To bardzo aktywne i sympatyczne Towarzystwo, znajdujące poparcie władz miasta i profesorów młodego uniwersytetu, zasługuje na wyrazy wielkiego uznania. Są to ludzie bardzo przyjaźnie usposobieni wobec Polski. O wielu kwestiach z okresu okupacji naszego kraju dowiedzieli się dopiero z „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

Ale proces zbliżenia — jak pisaliśmy wyżej — nie przebiega gładko i wykazuje raz po raz nierówności, a nawet zgrzyty, o których należy tutaj wspomnieć.

Pod koniec stycznia 1981 r. wiele hałasu narobiła emisja telewizji zachodnioniemieckiej w programie I, nadając trzyczęściowy serial w rozgłośni bawarskiej (BR — Bayerischer Rundfunk) pt. „Ucieczka i wypędzenie". Miał on ukazać cierpienia Niemców i zbrodnie popełnione na Niemcach i miało to być przerwaniem jakoby zmowy milczenia. Film przeciwstawiano filmowi amerykańskiemu pt. „Holocaust" o tragedii Żydów. Na krótko przed tym serialem wyświetlono kilka filmów o procesach zbrodniarzy hitlerowskich z lat 1945—1946, które miały nasunąć skojarzenia, że były to sądy „zwycięzców nad zwyciężonymi", sądzonymi w myśl zasady „biada zwyciężonym" *(vae victis)*.

Serial „Ucieczka i wypędzenie" wywołał w samych Niemczech Zachodnich wiele bardzo krytycznych wypowiedzi. Główne zarzuty polegały na ucieczce od historycznej prawdy, na pomieszaniu, a raczej nieuwzględnieniu przyczyn i skutków.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć nasze spojrzenie na tę sprawę, choć nie tak dawno wyłuszczyliśmy je (Przegl. Lek., 1980, nr 1, s. 11—12). Nikt nie przeczy, że w ostatnich okresach II wojny światowej ludność niemiecka poniosła także ciężkie cierpienia i straty. Gdy nastąpił przełom i rozpoczął się generalny odwrót, gdy nadeszła gwałtowna ewakuacja krajów nadbałtyckich, Prus Wschodnich itd., zarówno spontaniczna, jak i przymusowa pod presją SS w 1944 i 1945, i to w zi-

mie, w czasie mrozów, gdy jednocześnie coraz potężniejsze stawały się anglo-amerykańskie bombardowania miast III Rzeszy — wówczas nie tylko armia hitlerowska, ale także cywilna ludność niemiecka poniosła niewątpliwie ciężkie straty i cierpienia. Nadeszła wszak totalna klęska bezwzględnego agresora na wszystkich frontach.

Po zakończeniu wojny i zdruzgotaniu III Rzeszy hitlerowskiej przyszły, jak wiadomo, zmiany terytorialne. Wielka liczba polskiej ludności, repatriowanej z terenów zza Buga, z byłych polskich województw wschodnich, zasiedliła ziemie odzyskane na Zachodzie. Resztki ludności niemieckiej zostały w możliwie humanitarny sposób przesiedlone na zachód, gdzie dawno już stopiły się z tamtejszą ludnością, wydały młode pokolenie, które wrosło w nowy teren, dla siebie już rodzimy. Podtrzymywanie haseł rewanżyzmu przez związki przesiedlonych i ziomkostwa, uparcie nazywanych „wypędzonymi", znajduje oparcie wskutek uznawania przez zachodnioniemiecki Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe tezy o rzekomo niezmiennym istnieniu w pojęciu prawa Rzeszy niemieckiej nadal w granicach z 1937 r., a to wszystko wbrew układowi między PRL a RFN z 7 grudnia 1970 r., uznającemu granicę na Odrze i Nysie za nienaruszalną. A np. o polskości naszego Wybrzeża wymownie zaświadczyły wydarzenia od sierpnia 1980 r.

Gdy się weźmie pod uwagę ogrom cierpień, okrucieństw i zbrodni dokonanych w imieniu III Rzeszy po rozpętaniu drugiej wojny światowej i jednocześnie próby przeciwstawiania temu cierpień doznanych przez Niemców w ostatnim okresie wojny w związku z klęską i zmianą granic w Europie, to stwierdzić wypada, że następuje nie tylko pomieszanie przyczyn i skutków, ale także skazane z góry na niepowodzenie próby dokonywania jakiegoś wzajemnego rozrachunku.

Toteż seriale telewizyjne, jak wspomniany powyżej, napotykają na krytykę nie tylko w innych krajach, ale także w samej RFN.

Nie służy też sprawie zbliżenia decyzja ministrów kultury krajów RFN z 12 lutego 1981 r. o utrzymywaniu w podręcznikach szkolnych mapy Niemiec z granicami z 1937 r. Wywołało to interpelację poselską w Sejmie PRL w dniu 6 marca 1981 r. i odpowiedź ministra spraw zagranicznych Józefa *Czyrka*, a także protest Ministerstwa Spraw Zagranicznych PRL, gdyż decyzja ministrów kultury RFN jest niezgodna z literą i duchem Układu między PRL a RFN z 7 grudnia 1970 r. oraz sprzeczna z treścią zaleceń wspólnej komisji *UNESCO* do spraw podręczników szkolnych w PRL i RFN. W związku z tą sprawą Towarzystwo Niemiecko-Polskie w Augsburgu — jak wspomnieliśmy wyżej — zgłosiło protest w *BR* (telewizja bawarska), a dzienniki donosiły o „brisante Polen-Karte".

Ale tu od razu zaznaczmy, że jako przeciwstawienie serialu „Ucieczka i wypędzenie" wymienić można serial telewizyjny pt. „Blizny", którego pierwszą część wyświetlono na ekranach telewizji polskiej 30 maja 1981 r. Utworzony w koprodukcji PRL i RFN przedstawia na tle powojennych rozmów Polaka i Niemca, obu z Gdańska, opowieść o dziejach tego miasta. Film o bardzo dobrych tendencjach w kierunku zbliżenia.

20 marca 1981 r. obchodzono 40. rocznicę utworzenia getta w Krakowie-Podgórzu. Przed tablicą pamiątkową na placu Bohaterów Getta w Podgórzu złożono wieńce. W uroczystości uczestniczył też mgr farm. Tadeusz *Pankiewicz*, który prowadził w getcie sławną, owianą legendą, aptekę „Pod Orłem" i przyczynił się do uratowania życia wielu mieszkańców zamkniętej dzielnicy (T. *Pankiewicz:* „Apteka »Pod Orłem« w getcie krakowskim". Przegląd Lek., 1966, nr 1, s. 89—101; też w: Okupacja i medycyna. Warszawa 1971, t. I, Książka i Wiedza, s. 276—294; tenże: Apteka w getcie krakowskim. Warszawa 1947, Inst. Wydawn. „Świat i Wiedza", s. 151).

W kwietniu, miesiącu Pamięci Narodowej, odbyły się liczne zebrania, odczyty itp. Obchodzono m. in. 38. rocznicę powstania w getcie warszawskim (19 kwietnia do 16 maja 1943 r.). Pojawiły się w prasie liczne artykuły.

Warto przy tej sposobności wskazać na ważną rolę Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Problematyka zbrodni hitlerowskich mimo upływu 36 lat od zakończenia drugiej wojny światowej nie utraciła swej aktualności. Wiele spraw nie zostało dotąd załatwionych, wiele spraw wymaga uporządkowania w sensie historycznej wiedzy. Archiwum GKBZHwP jest bezcenne dla dalszych badań. Współdziałanie z Radą Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, która otacza troską sprawę upamiętnienia miejsc martyrologii i walki, wydało dotąd i wydaje nadal piękne owoce. Główna Komisja BZHwP, która w bieżącym roku obchodziła 36. rocznicę swego istnienia, przybiera coraz bardziej charakter Instytutu Pamięci Narodowej służącego celom i badaniom naukowym oraz wydawniczym. W dniu Święta Odrodzenia GKBZHwP została odznaczona Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Miesiąc maj stał się bogaty w wydarzenia o szerokim zasięgu. 9 maja 1981 r. świat obchodził 36. rocznicę zwycięstwa nad brunatnym faszyzmem. Warto wspomnieć, że w związku z tym w teatrze telewizji polskiej została odegrana sztuka Leona *Kruczkowskiego* pt. „Niemcy" w nowej znakomitej inscenizacji. Na tle postaci prof. *Sonnenbrucha* uwypuklono tutaj bardziej cechy ludzkich słabości znakomitych uczonych niemieckich, dla których wielokrotnie chęć zachowania właściwej postawy pod miażdżącym walcem narodowego socjalizmu stwarzała sytuacje nieomal nie do rozwiązania. Wielu uczonych wyemigrowało z III Rzeszy. Dla tych, którzy pozostali w kraju i nie chcieli poddać się niszczącym zasadom nazistowskim, powstawały dylematy, o których pisze m.in. sławny fizyk, laureat nagrody Nobla, Werner *Heisenberg* w swej książce (Werner *Heisenberg:* Der Teil und das Ganze. Gespräche im Umkreis der Atomphysik. R. Piper CO Verlag, München 1969, 4. wyd.: 1972).

A teraz, podobnie jak w latach ubiegłych w Słowie wstępnym, poświęćmy uwagę osobie *Jana Pawła II*, który jest dla nas, eksponujących w zeszytach aspekty humanitarno-etyczne, największym autorytetem moralnym.

13 maja 1981 r. świat zamarł. W Watykanie na placu św. Piotra w czasie audiencji generalnej dokonany został zamach na życie Ojca Świętego *Jana Pawła II*. Sprawcą zamachu był 23-letni terrorysta turecki Mehmet Ali *Agca*, który dwukrotnie postrzałem z rewolweru ranił papieża. Jedna z kul, która sprowadziła niezwykle ciężkie obra-

Grupa mnichów buddyjskich, manifestujących wolę pokoju światowego, w dniu 13 grudnia 1980 r. podczas zwiedzania terenu byłego obozu KL *Auschwitz I* (fot. *L. Foryciarz*)

„Pagoda grozy" — fragment ogrodzenia obozu koncentracyjnego Oświęcim I (fot. C. O. *Mostowski*; oba zdjęcia dostarczyło Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

Metropolita krakowski, Karol kard. *Wojtyła*, obecnie papież *Jan Paweł II*, w dniu 10 czerwca 1972 r. na cmentarzu Salwatorskim w Krakowie na pogrzebie sławnego lekarza i myśliciela, prof. *Kępińskiego*, współredaktora „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (fot. Z. *Jaroszewski*)

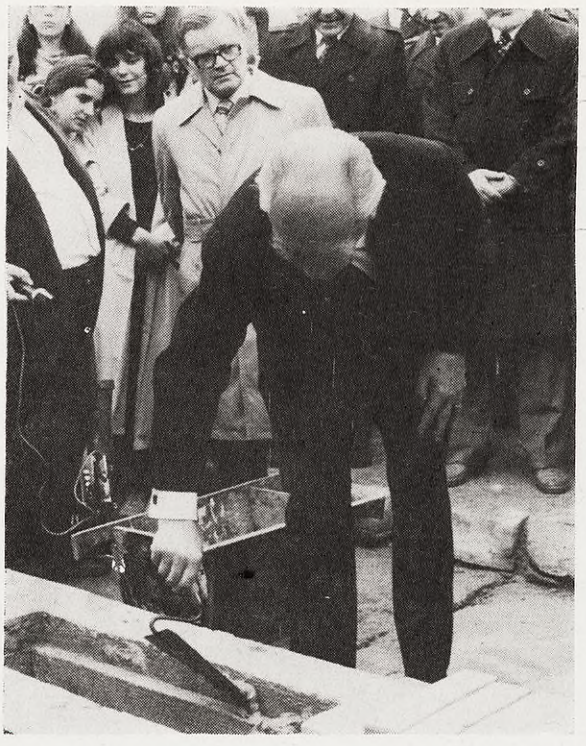

Wmurowanie kamienia węgielnego 14 października 1981 r. w byłym obozie oświęcimskim pod dom dla grup *Aktion Sühnezeichen* (Akcji Pokuty) z Republiki Federalnej Niemiec, przyjeżdżających do pracy przy konserwacji terenu Państwowego Muzeum w Oświęcimiu (fot. Z. *Łoboda;* zdjęcie z Archiwum PMO)

Delegacja biskupów starokatolickich Unii Utrechckiej 20 lipca 1979 r. w byłym obozie koncentracyjnym i zagłady Oświęcim I (*Auschwitz I*), na dziedzińcu osławionego bloku nr 11, tj. bloku śmierci (fot. L. *Foryciarz*; zdjęcie otrzymane z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

Papież *Jan Paweł II* podczas uroczystości na terenie byłego obozu koncentracyjnego i zagłady Oświęcim-Brzezinka 7 czerwca 1979 r. Na drapowanym płótnie, zawieszonym na krzyżu, widnieje numer więźnia ojca Maksymiliana *Kolbego* 16670. Ołtarz wystawiono w rejonie osławionej rampy, na którą przybywały po śmierć i cierpienie transporty więźniów z wielu krajów okupowanej Europy

Pod blokiem śmierci (nr 11) w byłym obozie Oświęcim I 24 września 1975 r. zespół młodzieży z Warny (w Bułgarii) gra utwory muzyczne dla uczczenia pamięci ofiar poległych w *KL Auschwitz-Birkenau*; jest to jedna z wielu grup młodzieży z różnych krajów, składająca hołd milionom męczenników terroru hitlerowskiego (fot. *Z. Łoboda*)

Podczas otwarcia wystawy rzeźb Stanisława *Romaniaka* 24 stycznia 1981 r., eksponowanej w bloku nr 8 byłego obozu *Auschwitz I*; jeden z rekwizytów objaśnia dyrektor Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, mgr Kazimierz *Smoleń* (fot. Z. *Łoboda*; oba zdjęcia nadesłało Archiwum Muzeum oświęcimskiego)

żenia jamy brzusznej i obfity krwotok śródbrzuszny, stała się nieomal przyczyną śmierci papieża. Jednocześnie ranione zostały tymi samymi kulami dwie uczestniczki audiencji na placu przed bazyliką św. Piotra. Świat odczuł, iż dokonana została zbrodnia przeciwko całej ludzkości. Strzały wymierzone w *Jana Pawła II* określone zostały jako strzały w ludzkość. Papież przeszedł szczęśliwie, natychmiast dokonaną, niezwykle trudną i złożoną operację, trwającą wiele godzin. Życie Jego jednak przez pewien czas wisiało na włosku. Świat drżał o życie umiłowanego przez wszystkich *Jana Pawła II.*

Doniesienia o operacji papieża początkowo były skąpe, lakoniczne. Wiadomo było, że nie był uszkodzony kręgosłup. Później wiadome się stało, że obrażeniu uległo jelito cienkie, a jeszcze później, że także jelito grube. Z kolei podano między wierszami, że założony został sztuczny odbyt w związku z obrażeniem esicy. Można było odetchnąć. Bo choć musiała zostać przewidziana w przyszłości druga operacja, ale takie właśnie dwuczasowe postępowanie jest daleko ostrożniejsze, o mniejszym ryzyku. Było też wyrazem doświadczenia chirurgów. Biuletyny lekarskie były przez pierwszy okres powściągliwe, wyważone. To dawało także głęboki wyraz doświadczeniu chirurgów. Wiadomo bowiem, że obrażenia dolnych odcinków jelita grubego, zwłaszcza esicy, są szczególnie niebezpieczne, a to ze względu na obecność w świetle jelita grubego bardzo groźnej, beztlenowej flory bakteryjnej. Te mikroby zawsze grożą rozwojem zapalenia otrzewnej, bardzo często śmiertelnego. Opatrzność i wielka sztuka włoskich chirurgów pozwoliły Ojcu Świętemu stopniowo powracać do sił. Biuletnyn lekarskie stawały się stopniowo bardziej pogodne, zawsze jednak ostrożne i wyważone.

Już po trzech tygodniach zgodzono się na powrót Pacjenta z kliniki *Gemelli* do Watykanu. Chirurdzy ulegli wielkiej sile duchowej Ojca Świętego i zbyt wcześnie wypuszczono Go. Ale darujmy to lekarzom. Wkrótce wystąpiły związki ciepłoty. Dołączyło się wirusowe zapalenie opłucnej i płuca i papież musiał powrócić do kliniki. Udało się dość szybko opanować chorobę wirusową. Postanowiono jednak Pacjenta nie wypisywać z kliniki, aż dopiero po dokonaniu drugiej operacji.

Czas, jaki Ojciec Święty przeżył do dnia 5 sierpnia 1981 r., który był dniem operacyjnego zamknięcia sztucznego odbytu, stał się okresem szczególnej próby. Z pokorą i z niezwykłym hartem ducha znosił ten jakże trudny okres. Wszak musiała trapić niepewność, czy powiedzie się na pewno druga operacja. Chirurdzy wiedzą, co znaczy dla silnego, wysportowanego człowieka, jakim jest *Jan Paweł II,* niepewność, czy nie pozostanie się na zawsze kaleką, wiedzą, jaka to ciężka presja psychiczna. Gdyśmy Go oglądali w obrazie telewizyjnym, leżącego w łóżku szpitala z założonymi dwiema kroplówkami, słabego, stał się nam tym bardziej bliski. Poprzez męczeństwo uzyskał jeszcze większy charyzmat; był wszakże o krok od śmierci.

Po drugiej operacji, która również doskonale się powiodła, po dziewięciu dniach, tj. 14 sierpnia, opuścił klinikę i już 15 sierpnia — w święto Wniebowzięcia, w Polsce zwane świętem Matki Boskiej Zielnej — w trzy miesiące po zamachu tłumy wiernych mogły widzieć Ojca Świętego w oknie biblioteki, który odmówił wraz z nimi modlitwę na Anioł Pański. Było to pierwsze publiczne wystąpienie papieża po zamachu. Tłumy powitały Go z ogromną serdecznością. Następnego dnia przybył helikopterem do letniej, podrzymskiej rezydencji w Castelgandolfo. Pozostał tam — zgodnie z zaleceniami lekarzy — do końca września, ale co niedzielę przemawiał z balkonu rezydencji w Castelgandolfo do przybyłych tam pielgrzymów.

1 października 1981 r., po powrocie do zdrowia, rozpoczął papież — rzec można — drugi okres swego pontyfikatu. Natychmiast powrócił też do swej niezwykle intensywnej pracy. Do dziś w żywej pamięci mamy przerażenie na wiadomość o zamachu i dogłębny niepokój o zdrowie papieża.

Na wieść o zamachu zawieszono wszelką działalność rozrywkową, zmieniono programy radia i telewizji. Młodzież akademicka w Krakowie zamiast dorocznych Juwenaliów zorganizowała przejmujący Biały Marsz, zakończony Mszą św. błagalną na Rynku. A w „Liście studentów krakowskich do Ojca Świętego" tak napisała młodzież Krakowa:

„Umiłowany nasz Ojcze Święty! Spotykamy się dzisiaj my, studenci Krakowa u stóp Bazyliki Mariackiej zjednoczeni ideą jedności, miłości, ideą, która przestała być tylko ewangeliczną zasadą, a stała się treścią najżywszą. Byliśmy Ci oddani zawsze wtedy, gdy byłeś naszym duchowym i moralnym światłem tutaj w Krakowie i później, gdy powołano Cię na tron Piotrowy — duszą byliśmy zawsze z Tobą (...). Wierzymy głęboko, że wrócisz — Ojcze Święty — do wypełniania Twojej dziejowej misji, która tak wiele znaczy dla całego świata. Chcemy z całych naszych serc, serc młodych Polaków naszymi postawami odpowiedzieć na to tragiczne wydarzenie. Ofiara krwi, jaką złożyłeś na kamieniach placu Świętego Piotra, jest dla nas świadectwem Twojego człowieczeństwa. Cierpienie, jakiego doznałeś, jest dla nas stygmatem pochodzącym od Boga. Gromadzimy się dzisiaj na starym krakowskim Rynku, wezwani przez Twój ból, zadany przez tego, który niegodny jest imienia człowieka. Wybaczamy mu, taka bowiem jest Twoja wola (...). Powiedziałeś do nas na Skałce: Wy macie przenieść ku przyszłości to całe olbrzymie doświadczenie dziejów, któremu na imię Polska (...). Czujemy naukę Twych słów i ciężar wielkiej odpowiedzialności, jaką na nas swym zaufaniem nałożyłeś (...). Kolorem naszym jest biel — symbol pokoju, protest przeciwko złu, którego nasz świat jest pełen (...). Bądź zdrów, Ojcze Święty, i przybywaj do miasta, które jest miastem naszym i Twoim. Twoi młodzi przyjaciele, studenci Krakowa".

18 maja w siedzibie Zarządu Głównego ZBoWiD nastąpiła dekoracja kolejnej grupy 8 Polaków izraelskimi medalami Instytutu Upamiętniania Męczenników i Bohaterów *Yad Vashem* w Jerozolimie, „Sprawiedliwy wśród narodów", przynawanymi osobom zasłużonym w udzielaniu pomocy i ratowaniu życia Żydom w okresie drugiej wojny światowej.

28 maja nastąpił po ciężkiej chorobie zgon prymasa Polski kardynała Stefana *Wyszyńskiego.* W dniu 31 maja odbył się iście królewski jego pogrzeb. Udział wzięli najwyżsi dostojnicy państwa. Mszę żałobną odprawił w języku polskim w zastępstwie chorego papieża sekretarz stanu Watykanu kardynał Agostino *Casaroli,* a homilię papieża odczytał metropolita krakowski, kardynał Franciszek *Macharski.* Odszedł nie tylko wielki kapłan, ale także wielki polski mąż stanu. W najtrudniejszych okresach po sierpniu 1980 r. Koś-

ciół polski i osobiście kardynał *Wyszyński* odegrał ogromną rolę w znalezieniu wspólnych dróg w trudnym, pełnym napięć społecznych okresie odnowy kraju.

30 czerwca 1981 r. ogłoszony został wyrok w ciągnącym się od 26 listopada 1975 r. w Sądzie Krajowym w Düsseldorfie procesie przeciwko zbrodniarzom z obozu na Majdanku. Prasa wiele pisała na temat tego procesu — „widma". Także sporo uwagi poświęcaliśmy tej sprawie na łamach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", ostatnio obszernie pisaliśmy w nr. 1, 1980, str. 5—6. Przypomnijmy krótko, że spośród początkowo 17 oskarżonych przed rozpoczęciem procesu wyłączono 4 osoby (3 z powodu choroby, 1 zmarła). W dniu 14 marca 1979 r. uniewinniono 4 osoby, co wywołało wielkie protesty opinii publicznej. Spośród 9 pozostałych oskarżonych skazano 30 VI 1981 r. 8 osób. Wyroki brzmiały: Hermina *Ryan-Braunsteiner*, zwana „kobyłą" — więzienie dożywotnie, Hildegard *Laechert*, zwana „krwawą Brygidą" — 12 lat więzienia, Hermann *Hackmann*, były zastępca komendanta obozu — 10 lat, Emil *Laurich*, zwany „aniołem śmierci" — 8 lat, Heinz *Villain* — 6 lat, Fritz *Petrick* — 4 lata, Arnold *Strippel* — 3,5 lat, Thomas *Ellwanger* — 3 lata. Ostatni oskarżony, Heinrich *Groffmann*, został zwolniony. Podniosły się gwałtowne protesty zarówno w Polsce, jak Izraelu, RFN oraz w innych krajach przeciwko tym niewspółmiernie do winy łagodnym wyrokom.

Na te łagodne wyroki wpłynęły różne okoliczności, jak: RFN nie przystąpiła do Konwencji ONZ z 26 XI 1968 r. o nieprzedawnieniu zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości, jurysdykcja zachodnioniemiecka nie uznaje pojęcia zbrodni ludobójstwa, zbrodnie te traktuje jako zbrodnie pospolite popełnione wobec poszczególnych, jednostkowych osób, domagając się ścisłego dowodu popełnienia zbrodni na każdym pojedynczym człowieku. Proces rozpoczęto dopiero w przeszło 30 lat po zakończeniu wojny, a dopiero w 15 lat po rozpoczęciu śledztwa, kiedy nie żyło już wielu przestępców i wiele ofiar, kiedy pamięć świadków z powodu upływu czasu mogła ulec pewnemu zatarciu. Proces trwał przeszło 5 1/2 lat. Obie strony zapowiedziały rewizję.

W czerwcu i lipcu 1981 r. przebywali przedstawiciele „Aktion Sühnezeichen" (akcja pokuty) z RFN na terenie obozu oświęcimskiego, gdzie wykonują — jak co roku — prace porządkowe. W tym czasie 2 lipca była sposobność do inspirującej wymiany myśli z nimi, a także ze wspomnianym wyżej autorem książki pt. „Medizin im Nationalsozialismus" Walterem *Wuttke-Gronebergiem*. Planowane są w przyszłości dalsze spotkania, które propagują zarówno Kościół Ewangelicki (*EKD*), jak też Rzymskokatolicki.

20 lipca 1981 r. rozpoczął się proces terrorysty Mehmeta Ali *Agcy*, który strzelał do papieża. Zgodnie z prawem włoskim sądzony był za zamach na głowę państwa i skazany został w dniu 22 lipca, zgodnie z tym prawem, na karę dożywotniego więzienia.

W dniu 22 lipca odsłonięto tablicę pamiątkową na Zamku w Lublinie ku czci zamordowanych tamże więźniów hitlerowskich.

Z początkiem lipca przebywała w Jerozolimie na zaproszenie Instytutu Pamięci Ofiar Nazizmu *Yad Vashem* grupa robocza Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce pod przewodnictwem dyrektora prof. Czesława *Pilichowskiego*. O tej wizycie jest mowa w artykule na temat sesji Międzynarodowego Towarzystwa im. Janusza *Korczaka* (w dziale „Sprawozdania").

1 sierpnia Warszawa — jak rokrocznie — święciła 37. rocznicę powstania warszawskiego. Powołano Komitet Założycielski Muzeum Powstańców Warszawy (ul. Bugaj 1). Postanowiono wznieść pomnik Powstania Warszawskiego oraz ustanowiono Krzyż Powstańców Warszawy.

14—16 sierpnia odbyły się w Zduńskiej Woli, miejscu rodzinnym, uroczystości w 40. rocznicę męczeńskiej śmierci i w 10. rocznicę beatyfikacji ojca Maksymiliana Marii *Kolbego*. Wmurowano akt erekcyjny pod budowę ośrodka pamięci ojca *Kolbego*. Położono kamień węgielny, przywieziony z Oświęcimia, z muru baraku, w którym więziony był o. *Kolbe*. Zginął on, jak wiadomo, śmiercią głodową w bunkrze Oświęcimia, poświęcając swe życie dla uratowania Franciszka *Gajowniczka*. Obecny 80-letni *Gajowniczek* wygłosił wzruszające przemówienie.

Nie możemy w tej quasi-kronice wydarzeń pominąć dnia 17 sierpnia jako rocznicy strajku okupacyjnego w Gdańsku, Szczecinie, Elblągu i na Śląsku, tego protestu autentycznej polskiej klasy robotniczej, który stał się symbolem walki o godność robotnika i początkiem odnowy, a raczej odrodzenia życia w naszym kraju. Aczkolwiek przyszło wiele trudnych, ciężkich dni i miesięcy, spoglądamy z otuchą i optymizmem w nieodwracalny proces odnowy i w przyszłość naszego kraju i narodu. Trzecia encyklika *Jana Pawła II* „Laborem exercens", ogłoszona we wrześniu 1981 r., ma wspaniałe odniesienia do naszego kraju.

We wrześniu ukazała się książka pt. „Antoni *Kępiński* — człowiek i dzieło" (nakładem PZWL), złożona z części biograficznej pióra Jana *Masłowskiego* i z części interpretacyjnej pióra Andrzeja *Jakubika*. Jako kolejny, dziesiąty tom zamyka ona cykl dzieł A. *Kępińskiego*, dając znakomity obraz legendarnego już psychiatry polskiego.

W 40. rocznicę zamordowania przez hitlerowców profesorów wyższych uczelni Lwowa odbyła się msza święta żałobna w kościele Norbertanek na Salwatorze w Krakowie w dniu 17 października, a w dniach 14—15 listopada odbyły się we Wrocławiu uroczystości związane z odsłonięciem tablicy pamiątkowej przy pomniku pomordowanych profesorów lwowskich.

24 listopada odbyła się w Warszawie zorganizowana przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce konferencja na temat inwalidztwa spowodowanego wojną i okupacją. Omawiano m. in. problemy tzw. KZ-syndromu. Ze względu na to, że niniejszy zeszyt znajdował się już wtedy w druku, do tematyki tej konferencji powrócimy w zeszycie następnym, podobnie jak do międzynarodowej sesji lekarskiej *FIR*, przygotowanej na początek grudnia 1981 r. w Berlinie Wschodnim, a wysuwającej m. in. tematykę leczenia chorobowych następstw II wojny światowej.

*

Zeszyty nasze powstają wysiłkiem zaledwie trzech osób, pozbawionych pomocy technicznych czy finansowych. Warunki tej pracy pogorszyły

się jeszcze ostatnio. Warunki rozwoju nauki i w ogóle kultury są wobec oszczędności, często źle pojętych, niemal opłakane. Ratunkiem jest to, że istnieje wiele osób dobrej woli i są instytucje, które mimo ważnych przemian polityczno-społecznych nie tracą z oczu sprawy wartości badań nad problematyką okupacyjną i nie lekceważą konieczności dalszego postępu na tym polu.

O metodzie pracy redakcyjnej, o ukierunkowanym inspirowaniu artykułów, o poszanowaniu stylu i sposobu wypowiedzi byłych więźniów, o trosce o poprawność formy tekstów w zeszytach, o obfitej korespondencji z autorami, o dokonywaniu nieraz kilku wersji tego samego tekstu itd., itp. pisaliśmy już niejednokrotnie szczegółowo (Przegl. Lek., 1975, nr 1, s. 9—10; 1976, nr 1, s. 6—7; 1977, nr 1, s. 9—10; 1978, nr 1, s. 8—9; 1979, nr 1, s. 8—10; 1980, nr 1, s. 15; 1981, nr 1, s. 8), nie ma więc po co więcej zajmować się tym aspektem, tym bardziej że czytelnika najczęściej obchodzi gotowy produkt, a nie sposoby jego powstawania i trudności z nimi związane.

Dodać więc jeszcze tylko trzeba dla porządku, że utrzymujemy ścisły podział pracy redakcyjnej, przy czym główny ciężar inspiracji artykułów spoczywa na dr. Stanisławie *Kłodzińskim*, prace nad tekstami, od pierwopisów do korekt redakcyjnych składu zecerskiego, łącznie z utrzymywaniem dużej części kontaktu z autorami — na mgr. Janie *Masłowskim*, piszący to Słowo wstępne zaś zajmuje się m. in. bezpośrednio korespondencją i sprawami związanymi ze staraniami o realizację edycji.

Jak corocznie, usilnie podkreślamy, że zakwalifikowanie różnych prac do określonego działu, a także pozycja artykułu w danym dziale nie przesądzają w najmniejszym stopniu o wartościowaniu tekstów. Już np. prof. *Kępiński* twierdził, że nieraz dobrze napisane wspomnienie obozowe więcej mówi niż niejedna żmudna, obarczona statystyką praca naukowa. Dodajmy też, ze zeszyty nasze — przez cały czas ich wydawania — nie gasiły nigdy zielonego światła żadnemu autorowi, który wnosił nowe treści, dobrze ujmował zagadnienie i — choćby z pomocą redakcji — mógł ujawnić w druku swe badania i przemyślenia, wspomnienia i refleksje. Nigdy nie kierowaliśmy się np. względami na stanowisko czy tytuł naukowy autorów; mamy takich, którzy nie osiągnęli matury, a mogą konkurować nawet z niejednym profesorem.

Przechodzimy do objaśnień poszczególnych pozycji umieszczonych w niniejszym zeszycie, opatrując je jakby glosami, dodającymi informacje wychodzące w zasadzie poza treść artykułów.

*

Otwieramy, jak zawsze, prace zamieszczone w zeszycie, grupą składającą się na Dział naukowy.

Metoda uzyskiwania wielu relacji od byłych więźniów i krytycznego zestawiania i interpretowania tych bezpośrednich materiałów nieraz już dobrze zdawała egzamin w naszych zeszytach. Pozwoliła na gromadzenie usystematyzowanych spostrzeżeń dotyczących nie tylko obozów hitlerowskich, lecz także ogólniejszych, uniwersalnych zagadnień. Tym razem kilka prac składa się na obserwacje badawcze sfery uczuć więźniów, problemu ich ratowania się i wreszcie — śmierci w obozie.

Rozpoczynamy tę grupę prac wnikliwym studium doc. dr filol. pol. Urszuli *Wińskiej* z Sopotu pt. „Uczucia czynnikiem kształtującym postawę Polek w Ravensbrück". Autorka wykazuje, jak pomocne mogą być w największym koszmarze uczucia dodatnie, krzewione nawet wbrew i na przekór przeciwludzkim warunkom. W tej pracy po raz pierwszy w naszych zeszytach dochodzą do głosu wypowiedzi wielu więźniarek Ravensbrück, związane merytorycznie interesującą interpretacją pióra ich współtowarzyszki niedoli, a zarazem autorki m. in. kilku prac związanych z konspiracją kulturalno-oświatową w obozach.

Autorka urodziła się w r. 1902 (w Dynowie, w Przemyskiem). W r. 1932 doktoryzowała się na Uniwersytecie Jagiellońskim u słynnego historyka literatury, prof. Ignacego *Chrzanowskiego*, który później poniósł śmierć męczeńską w obozie jako ofiara *Sonderaktion Krakau*. Kilkanaście lat uczyła języka polskiego w Prywatnym Żeńskim Gimnazjum w Bochni. Tam jako jego dyrektorkę zastała ją wojna. Za konspiracyjną działalność w ZWZ dr *Wińską* aresztowało gestapo w czerwcu 1941 r. Z więzienia Montelupich 76-osobowym *sondertransportem* wywieziono ją we wrześniu 1941 r. do Ravensbrück, gdzie przebywała do ewakuacji tego obozu w kwietniu 1945 r. Po wojnie dr *Wińska* osiedliła się z rodziną na Wybrzeżu, od r. 1948 pracowała w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku, od r. 1956 była tam kierownikiem Katedry Dydaktyki Języka Polskiego i Literatury. Później — po utworzeniu Uniwersytetu Gdańskiego — do r. 1972, do czasu przejścia na emeryturę, jako docent prowadziła tam Zakład Dydaktyki Języka Polskiego i Literatury.

Od lat już publikujemy opracowania wybranych tematów oświęcimskich, oparte na ukierunkowanych ankietach-apelach do byłych więźniów i relacjach od nich otrzymanych. Jest to problematyka przeważnie pionierskо podejmowana, jeśli idzie o wszechstronność jej ujęcia. Dotyczy takich zagadnień, jak psychologia i patologia uczuć (agresja, przyjaźnie obozowe, stosunek prześladowanych do prześladowców) czy kwestie wiążące się ze stresem obozowym, z KZ-syndromem i następstwami przebywania w obozie (jak np. stereotypy zachowań więźniów). Charakter i cel tych prac trzech autorów, dr. Zenona *Jagody* z UJ, dr. Stanisława *Kłodzińskiego* i mgr. Jana *Masłowskiego* charakteryzowany był już niejednokrotnie i nie trzeba tutaj aspektu tego rozwijać.

Autorzy ci przedstawiają obecnie — zasygnalizowany już w postaci wstępnego referatu 28 stycznia 1981 r. na uroczystej akademii Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego, w XXXVI rocznicę oswobodzenia obozu oświęcimskiego — temat leczenia się więźniów własnymi sposobami i we własnym zakresie wobec trudności w dostaniu się do rewiru i obawy przed śmiercią np. wskutek selekcji czy eksperymentów dokonywanych przez lekarzy *SS* w szpitalu obozowym. Praca pt. „Samolecznictwo więźniów Oświęcimia" ukazuje w tej wszechstronnej formie temat ten po raz pierwszy w literaturze światowej.

Autorzy przedstawiają sytuację więźniów chorych, trudności w chorowaniu („chorować nie wolno", jak to określiła w tytule jednej ze swych prac u nas Maria Elżbieta *Jezierska*), ukrywanie chorób wobec tego itp. Dalej omawiają zapobieganie zachorowaniu przez więźniów, znękanych, wyniszczonych, ale resztkami sił i pomysłowości broniących się przed ostatecznym zmożeniem ich przez głód, mróz, upał, nadmierną, wyniszczającą pracę, bicie, urazy, brud, robactwo itd. Zadziwia i imponuje bohaterstwo tych ludzi, często bezimiennych, którzy nieraz potrafili zdobyć się na utrzymywanie jakiej takiej higieny w antysanitarnych warunkach dzięki gimnastyce, hartowaniu się, walce z insektami, zdobywaniu produktów zawierających witaminy itd.

Obecnie coraz bardziej doceniamy pozafarmakologiczne środki lecznicze, jak właściwa dieta i powstrzymywanie się od pewnych potraw, zioła, dodatni wpływ sugestii itp. Tym łatwiej więc zrozumiemy ratujących się więźniów i nieraz korzystne wyniki stosowania zupełnie często domorosłych środków, rozmaitych, pomysłowo aplikowanych w wielu chorobach. Były to, jak opisują na podstawie sondażu od byłych więźniów wspomniani trzej autorzy, m. in. proste zabiegi lecznicze (kompresy, masaże, naświetlanie i nagrzewanie się w słońcu), czy też chirurgiczne, na samych sobie dokonywane w antyhigienicznych warunkach, prymitywnymi narzędziami, bez znieczulenia. Autorzy ukazują różne wypadki chorób czy urazów i samoleczenie ich. Nie pominięto wielu innych też, interesujących informacji, jak leczenie snem,

mimo że go notorycznie brakowało w obozie, rola wiary religijnej jako czynnika terapeutycznego itd.

Trafiają się głosy, żeby tego rodzaju analizami, opartymi na relacjach od byłych więźniów, ogarniać też inne obozy i ściągać relacje od nieoświęcimiaków. Przekraczałoby to możliwości naszych autorów, którzy wykonują tę gigantyczną w istocie pracę bez patronatu żadnej państwowej instytucji, bez jakichkolwiek dotacji i — na ich szczęście — bez wplątywania się w biurokrację quasi-naukową. Ale autorom przede wszystkim chodzi o pracę na jednolitym materiale, jaki daje obóz oświęcimski, symboliczny niejako i zawierający niewyczerpane możliwości tematyczne. Podkreślić też trzeba, że coraz więcej takich opracowań służy nie tylko poznaniu prawdy obozowej, lecz też wysuwa wartości uniwersalne dla wiedzy o człowieku.

Jak widać z poprzednich prac, więźniowie ratowali się, jak mogli: psychicznie, wspierając się na duchu, materialnie, szukając we własnym zakresie sposobów leczenia, socjalnie, włączając się w konspirację obozową. Wszechwładnie jednak panowała w obozie, jak wiemy, śmierć. Przytłaczająca większość więźniów dożyła w lagrze swych ostatnich dni, przeżywając niewysłowione cierpienia i kończąc katorgę śmiercią w upodleniu.

Śmierć obozowa — to temat, który się z natury rzeczy przewija w literaturze obozowej jako jeden z głównych motywów. Jego wszakże odrębne wyczerpujące opracowanie długo nie dochodziło do skutku w piśmiennictwie światowym ze względu na szczególne trudności w ujęciu tak trudno właściwie uchwytnej i szczególnie wstrząsającej problematyki. Oczywiście nieraz zeznawano (na procesach zbrodniarzy hitlerowskich) i pisano np. o technice śmierci obozowej (wstrzykiwanie trucizn, trucie, egzekucje, gazowanie, spalanie zwłok w krematoriach itp.). Odczuwało się jednak potrzebę ujęcia tematu pod kątem doznań więźniów, od strony psychicznej i psychopatologicznej.

Doszło do powstania pracy na ten temat, opartej na ukierunkowanych nań relacjach byłych więźniów. Jest to studium doc. dr. Zdzisława *Ryna* z Kliniki Psychiatrii Dorosłych AM i dr. Stanisława *Kłodzińskiego* pt. „Śmierć i umieranie w obozie koncentracyjnym". Autorzy zebrali relacje należące do najmocniejszych, najgłębszych. Wielokrotnie usiłowano przelać na papier te „spotkania ze śmiercią". Tu czytelnik napotyka na najbardziej chyba autentyczne, „nieufryzowane" refleksje. Niektóre cytaty pisane są suchym, żylastym językiem, inne pięknym, zdawałoby się nawet niekiedy wyszukanym stylem, ale wszystkie te refleksje uznać można za szczere i autentyczne, wyrażające przeżycia możliwie dokładnie. Warto zauważyć, że więźniowie jakby starali się stonować nadmiar emocji, aby tym bardziej autentyczny był opisany obraz. Nie jest to literatura w zwyczajnym tego słowa znaczeniu. Ale jest to jednak literatura, tyle że najbardziej wstrząsająca dzięki swemu autentyzmowi, a nawet miejscami przewyższa literaturę piękną. Odsłaniają tu byli więźniowie najtajniejsze zakamarki swej psychiki, oni też są właściwie „autorami" tego studium.

Tym, którzy podjęli się trudu zebrania od byłych więźniów ich refleksji, dokonania wyboru, uporządkowania i „posegregowania" ich, omówienia i skomentowania należą się słowa najgłębszego podziękowania i uznania. Nie bez ściśniętego serca przedziera się wszakże czytelnik przez gąszcz przerażających opisów. Można sobie tym więcej wyobrazić, jak wielkiego, stoickiego spokoju, zapanowania nad swymi nieraz subiektywnymi odczuciami wymagało od autorów opracowania przygotowanie tego studium. Stanowi ono poważny wkład w psychologię ekstremalnych stanów człowieka. Obozy koncentracyjne — o czym nie dość powtarzać — stały się straszliwymi laboratoriami eksperymentów dokonywanych na psychice człowieka.

Autorzy wszechstronnie zobrazowali swoistą atmosferę śmierci w obozie, sposoby uśmiercania więźniów, zanalizowali ich reakcje psychiczne na spotęgowane i zmasowane zagrożenie śmiercią, traktowanie zwłok w obozach itp. Prawdziwie autentyczne i dojmujące są wypowiedzi więźniów o ich własnych przeżyciach w sytuacji ekstremalnego zagrożenia życia, jak np. w czasie selekcji na rampie, egzekucji, a nawet w bloku śmierci, skąd prawie cudem zdołali się wydostać. Na odrębną uwagę zasługuje rozdział pt. Śmierć „muzułmana", gdzie po raz pierwszy podjęto próbę klinicznego opisu tego najbardziej swoistego dla patologii obozu zespołu psychosomatycznego u skrajnie wycieńczonego człowieka.

Utrwalony w studium doc. *Ryna* i dr. *Kłodzińskiego* obraz przeżyć w obliczu śmierci ma niewątpliwie wartość ponadczasową i uniwersalną, ponieważ rzuca nowe światło na funkcjonowanie człowieka w sytuacji skrajnego zagrożenia. Ze ściśle klinicznego punktu widzenia praca ta dorzuca też ważne elementy do rozważań nad etiologią *KZ-syndromu*, gdyż ukazuje, że jego osiowym objawem w sferze psychicznej jest często głębokie zachwianie bądź utrata poczucia sensu życia jako następstwo zetknięcia się z masową śmiercią. Nic więc dziwnego, że wnioski w tej pracy, zilustrowane refleksjami byłych więźniów, przybrały formę ogólnych rozważań nad sensem cierpienia i śmierci.

Kto przeczyta tę pracę, stanowczo odetnie się od płytkich i dyletanckich — a jakże często, niestety, powtarzanych — powątpiewań, czy warto zajmować się jeszcze obecnie obozami hitlerowskimi i po co się to robi.

Fascynującym i wstrząsającym tematem są też ucieczki z obozów hitlerowskich, często desperackie, zazwyczaj kończące się dramatycznie schwytaniem i śmiercią w mękach i upokorzeniu. Do tego tematu wrócili od strony klinicznej psychiatra dr Roman *Leśniak* i psycholog dr Elżbieta *Uniwersał-Leśniakowa* z Kliniki Psychiatrii Dorosłych AM w Krakowie w pracy pt. „Przykłady ucieczek z obozów koncentracyjnych. Analiza psychiatryczno-psychologiczna". Problematykę tę oboje autorzy zasygnalizowali już w naszych zeszytach (w swej pracy z roku 1976). Dysponowali badaniami sporej grupy więźniów uciekinierów, do których udało się im dotrzeć i przeprowadzić badania. Obecnie dr R. *Leśniak* i dr E. *Leśniak* udostępniają wyniki analizy pogłębionej, opisują nowe przykłady ucieczek, podają też poszerzony wybór bibliografii przedmiotu.

Kolejny artykuł pt. „Troje rodzeństwa w obozie koncentracyjnym. Analiza kliniczna", napisany przez doc. dr. Zdzisława *Ryna* z Kliniki Psychiatrii Dorosłych AM w Krakowie — to kliniczna, psychiatryczna analiza trojga rodzeństwa, które w dzieciństwie przebywało przez dwa lata w różnych obozach koncentracyjnych. Do powstania tej pracy w znacznym stopniu przyczynili się psychologowie kliniczni mgr Anna *Lipowska-Teutsch* i dr Elżbieta *Uniwersał-Leśniak*, które dokonały wnikliwych badań psychologicznych, a także psychiatrzy, lek. med. Barbara *Monné-Dzikowska* i specjalista w zakresie elektroencefalografii, dr med. Julian *Gątarski*, którym należy wyrazić podziękowanie za współudział w tym oryginalnym temacie.

Dla psychiatry-klinicysty rzadka to okazja przeprowadzić badania trojga rodzeństwa poddanego temu samemu stresowi obozowemu oraz prześledzić różne odległe następstwa tych urazów. Rysują się w tej pracy wyraziście mechanizmy przystosowania poszczególnych członów tej małej grupy do życia obozowego, a w dalszej części — różne perturbacje psychiczne, jak następstwa przeciążeń psychicznych i fizycznych doznanych w obozach. Barwne i wstrząsające opisy ukazują rzeczywistość obozów oczami dzieci, szczególnie bacznych i szczerych obserwatorów. Autor konkluduje, że im pełniejsza była świadomość doznanych urazów i grożącego niebezpieczeństwa, tym głębsze i trwalsze pozostały po nich ślady i tym bardziej zaznaczyły się one w obrazie psychopatologicznym w czasie odległym od obozu. W obrazie tym — poza zmianami w sferze uczuciowości i stosunku do ludzi i do świata — najgłębiej zaznaczają się zmiany w postawach wobec życia i śmierci.

Chociaż jest to praca tzw. kazuistyczna, oparta jedynie na trzech przykładach, wnosi ona wiele w poznanie sposobów funkcjonowania dziecka w sytuacjach granicznych oraz w poznanie następstw związanych z tym urazów.

Dział naukowy kończymy skrótem pracy, która łączy zagadnienie związku między stresami i urazami obozowymi z obserwowanymi klinicznie, po upływie długiego czasu, następstwami tych obciążeń. Praca doc. dr. Czesława *Kempistego* i mgr Alicji *Szemraj-Lochyńskiej* pt. „Miażdżyca w procesie starzenia się i umieralności byłych więźniów obozów hitlerowskich", będąca kolejnym ogniwem prowadzonych od 20 lat we Wrocławiu badań nad tzw. KZ-syndromem, wykazuje istotny udział m. in. miażdżycy w większej podatności byłych więźniów na szybsze starzenie się i szybsze ich umieranie niż u nie-więźniów. Ci, co ocaleli z obozów i posuwają się ku starości i śmierci, ponoszą kilkakrotnie większy ciężar chorobowy następstw obozowych niż na ogół nie obciążona część populacji ogólnej. Autorów przedstawialiśmy przed rokiem (Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 9).

Doc. *Kempisty*, znany ze swych prac, były więzień Oświęcimia, od wielu lat wkłada wielki wysiłek w opiekę nad byłymi więźniami, w ich leczenie i badanie. Za życzliwe uwagi i ocenę tej pracy dziękujemy serdecznie prof. dr. Tadeuszowi *Horzeli* z II Kliniki Kardiologii AM w Krakowie.

Jak sformułował prof. *Horzela*, przedstawiona praca obojga autorów dotyczy niezwykle ciekawego i ważnego zarówno z punktu widzenia patofizjologii, jak i społecznego, problemu długotrwałych skutków poddania człowieka silnym negatywnym bodźcom psychicznym w warunkach głodu białkowego i kalorycznego. Autorzy badania takie prowadzą od wielu lat i obserwacje ich wskazują jednoznacznie, że okres pobytu w obozie wpłynął trwale destruktywnie na sprawność biologiczną i czas życia byłych więźniów.

Wychodząc z popularnej koncepcji czynników ryzyka rozwoju miażdżycy, autorzy wrocławscy śledzili nasilenie tych czynników w wybranej losowo grupie 500 byłych więźniów, a szczegółowo przeanalizowali te parametry w grupie 272 osób, które zmarły w 20-letnim okresie obserwacyjnym. Ponieważ nasilenie przedmiotowych parametrów w grupie zmarłych byłych więźniów było niższe niż w odpowiedniej grupie populacji wielkomiejskiej, autorzy sugerują, że szybki rozwój miażdżycy u byłych więźniów jest następstwem długotrwałego głodu i związanego z nim upośledzenia mechanizmów regulacyjnych i obronnych w układzie naczyniowym.

Następuje Dział historyczno-dokumentarny, który otwiera praca dr. nauk human. Andrzeja *Pankowicza*, członka prezydium i sekretarza Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie, pt. „Narodowosocjalistyczne przemiany medycyny niemieckiej". To krótkie, syntetyczne ujęcie dotyczy głównych aspektów „nacyfikacji" tej medycyny i jej zbiurokratyzowanej struktury, sprzyjającej zbrodniom. Jest ono wyrazem zainteresowań badawczych autora, który bada problematykę zbrodni wojennych ze szczególnym uwzględnieniem procesów norymberskich, a nadto historię dyplomacji amerykańskiej, zwłaszcza jej stosunku do wielkich problemów europejskich, jak faszyzm, zbrodnie wojenne, polityka III Rzeszy na Bałkanach itp. Warto przypomnieć tym artykułem, do czego prowadzi intoksykacja medycyny nieludzkimi założeniami ideologicznymi bądź quasi-ideowymi.

Przed 5 laty zamieściliśmy w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" artykuł mgr Ireny *Stefańskiej* pt. „Medycyna w oświęcimskiej plastyce obozowej". Obecnie autorka, będąca starszym kustoszem Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, wysuwa mało znane zagadnienie „Muzeum w *KL Auschwitz*", tj. opisuje istniejącą podczas funkcjonowania obozu pracownię artystyczną i gromadzone tam zbiory sztuki. W zamyśle więźniów, zwłaszcza nieżyjącego już Franciszka *Targosza*, to osobliwe muzeum, które udało się urzeczywistnić w lagrze, chroniło wiele osób, a prace tam powstające krzepiły psychicznie i miały bynajmniej nie wąskie znaczenie psychologiczne. Autorka opracowuje obszernie tematy twórczości plastycznej więźniów obozu oświęcimskiego i zagadnienie rabunku mienia więźniów.

Głównie na zeznaniach świadków (z lat 1945—1975) opiera swą kolejną pracę pt. „Sytuacja sanitarna i zdrowotna w Gross-Rosen" Józef *Witkowski*. Ogromny materiał źródłowy pozwolił znanemu już naszym czytelnikom z kilkunastu artykułów autorowi, byłemu więźniowi, na dorzucenie nowego ujęcia do obfitej już literatury na temat tego koszmarnego obozu. Znajdujemy tutaj ścisłe dane o wyniszczającej pracy, złym stanie higieniczno-stanitarnym Gross-Rosen i jego niektórych podobozach, chorobach, uśmiercaniu, wprzężaniu lekarzy *SS* w system eksterminacyjny, rewirach-umieralniach, łapówkarstwie wymuszanym na głodujących więźniach, polowaniu na więźniów ze złotymi zębami, złodziejstwach załogi *SS* itd. *Witkowski*, posługując się mnóstwem faktów i realiów, ukazuje ten złowrogi system, dokładnie przemyślany i bezlitośnie realizowany.

Z tym samym obozem wiąże się artykuł pt. „Kobiety w Gross-Rosen" mgr praw Bronisławy *Fijałkowskiej* i wspomnianego już Józefa *Witkowskiego*. Zwykle niektórzy sądzą, że kobiety były więzione w Ravensbrück czy w *Birkenau*. Warto więc przypomnieć, że wtrącane były do wielu obozów, m. in. także do koncentracyjnego zespołu Gross-Rosen. Autorzy kreślą sytuację i los tych kobiet, warunki zakwaterowania, higieniczne, sposób traktowania itd.

Współautorka, urodzona w r. 1929 w Lidzie (Wileńskie), znalazła się w r. 1945 we Wrocławiu jako pionierka. Tam też ukończyła studia prawnicze. Po aplikacji i egzaminie sędziowskim pracowała w latach 1953—1965 na Uniwersytecie we Wrocławiu, w okresie lat 1965—1969 jako starszy asystent w PAN w tym mieście, w r. 1969 podjęła pracę w tamtejszej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich jako kierownik biura i sekretarz. Kontynuowała pracę naukową. Śmierć promotora przerwała mgr *Fijałkowskiej* ukończenie rozprawy doktorskiej. Ta popularna we Wrocławiu i ceniona pracownica i działaczka społeczna, inicjatorka i współorganizatorka wielu sesji popularnonaukowych i wystaw z zakresu martyrologii narodu polskiego, otacza szczególną opieką i troską m. in. studentów piszących prace magisterskie z zakresu zbrodni hitlerowskich popełnionych na narodzie polskim.

Kontynuując tematykę walczącej Warszawy, publikujemy źródłowy artykuł Lesława M. *Bartelskiego* pt. „Służba sanitarna powstańczego Mokotowa". Tego rodzaju prace są niezbędną podstawą nie tylko przyszłego wyczerpującego monograficznego opracowania zagadnień medyczno-sanitarnych powstania warszawskiego, lecz także jednolitego ujęcia tej problematyki dla Warszawy w latach 1939—1944. W udokumentowany sposób autor, pisarz i historyk, wybitny znawca przedmiotu kreśli obraz sytuacji Mokotowa podczas powstania i przypomina ówczesne postacie i działania osób z tamtejszej służby zdrowia.

Warto dodać, że Lesław M. *Bartelski* pisze już od r. 1937. W wojnie 1939 r. był ochotnikiem-żołnierzem 336 pp; wkrótce uciekł z niewoli do rodzinnej Warszawy. Podczas okupacji działał w podziemiu kulturalnym w czasopiśmie podziemnym „Sztuka i Naród". Studiował prawo w tajnym Uniwersytecie Warszawskim; studia te ukończył w r. 1948 jako magister. Studiował też ekonomię na tajnym Uniwersytecie Ziem Zachodnich. W latach 1941—1944 był żołnierzem dywersji w grupie „Mokotów" ppor. „Żbika" (Zdzisława *Zajdlera*), a podczas powstania warszawskiego podchorążym w dowództwie pułku AK „Baszta" i w sztabie komendy V Obwodu AK. Z płonącej Warszawy wyszedł jako cywil. W grudniu 1944 r. uciekł z robót przymusowych. Po wojnie podjął pracę dziennikarską i pisarską. Napisał i wydał przeszło 30 książek i setki artykułów. Za pracę „Mokotów 1944" otrzymał w r. 1971 wyróżnienie Ministerstwa Obrony Narodowej i dyplom Towarzystwa Miłośników Historii; była ona wśród jednego z kolejnych dziesiątków najlepszych książek wytypowanych przez dwutygodnik „Nowe Książki". Otrzymał liczne nagrody i odznaczenia. Działa w Związku Literatów Polskich oraz w ZBoWiD i w Radzie Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. Od r. 1978 jest przewodniczącym Rady Trzech (tj. komisji rewizyjnej) Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Korczaka. Współdziałał przy ustawie o Warszawskim Krzyżu Powstańczym 1944.

Dział Wspomnienia wyodrębniamy, jak zawsze, ze względów czysto formalnych, uświadamiając sobie, iż — odpowiednio wybrane — mają wartość dokumentów, ściślej: dokumentów osobistych, jeśli użyć terminu socjologicznego, a także mówią czytelnikowi więcej niż o jednostkowych losach, zawierają bowiem interesujące tło wydarzeń i oryginalną treść, wyrażają humanitarną postawę tych, co umieli w najgorszych warunkach zachować godność i człowieczeństwo, pozwalają na wgląd w intymne nawet nieraz doznania, przeżywania, rozterki.

Kontynuujemy wątek lubelski, podejmowany już w naszych zeszytach w związku z obozem na Majdanku i pomocy jego więźniom (m. in. w artykułach dr Stefanii *Perzanowskiej*), z medycznymi aspektami okupowanego Lublina (prof. Helena *Mysakowska*, 1976; dr Józef *Kasperek*, 1980) Janowa Lubelskiego (dr Jeremiasz *Sowiakowski*, 1968), z losami dzieci Zamojszczyzny (mgr Jan *Starczewski*, 1978). Literatura okupowanej Lubelszczyzny jest, jak wiadomo, dość obfita; uwzględnia ona problematykę medyczną, z którą łączy się jedno z najbardziej chyba znanych dzieł z tego zakresu, mianowicie „Dziennik okupacji Zamojszczyzny" dr Zygmunta *Klukowskiego*. Obecnie w dwóch relacjach nawiązujemy do dziejów szpitali powiatowych na Zamojszczyźnie.

Pierwszy artykuł — to „W Tomaszowie Lubelskim w latach okupacji" dr. Stanisława *Klimkiewicza*. Autor ukończył studia lekarskie w Warszawie w r. 1939. Po stażu pracował w Szpitalu Powiatowym w Tomaszowie Lubelskim podczas wojny. Był uczestnikiem konspiracji. W r. 1944 wstąpił do Wojska Polskiego i z I Armią WP przebył szlak bojowy od Wisły do Łaby. W r. 1956 został zwolniony do rezerwy w stopniu podpułkownika

i wrócił do pracy w Szpitalu Miejskim w Tomaszowie Lubelskim. Od r. 1974 pracuje w Cieplicach Zdroju (półetatowo).

Drugi artykuł dotyczący Zamojszczyzny — to „W okupowanym Zamościu" dr. Tadeusza *Onyszkiewicza*, lwowianina, świadka i uczestnika okupacyjnych wydarzeń i konspiracji w Zamościu. W tamtejszym szpitalu *Onyszkiewicz* objął 1 stycznia 1939 r. w wyniku konkursu kierownictwo oddziału chirurgicznego. Aby przy okazji wspomnieć o kilku znanych chirurgach, warto nadmienić, że już uprzednio, w toku studiów na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, *Onyszkiewicz* rozpoczął praktykę chirurgiczną u prof. Tadeusza *Ostrowskiego*, następnie na oddziale chirurgii dziecięcej u prof. Władysława *Dobrzanieckiego*, a wreszcie jako pierwszy asystent prof. Adama *Grucy*. W r. 1938 uzyskał doktorat medycyny. Okupację przetrwał w Zamościu. Po wyzwoleniu pracował nadal jako ordynator oddziału chirurgicznego. Od r. 1946 był dyrektorem Szpitala Miejskiego w Zamościu do czasu przejścia na emeryturę, tj. do r. 1976.

Obu wspomnianym autorom dobrze ustawioną pracę zakłóciła wojna i okupacja. Ich relacje łączy wiele wspólnych motywów, takich jak zilustrowanie charakterystycznymi epizodami pełną napięcia i ryzyka pracę lekarską połączoną z działalnością konspiracyjną, umiejętność oddania atmosfery szpitali powiatowych pod okupacją hitlerowską, przykłady pomysłowej i narażającej na największe niebezpieczeństwo pomocy chorym, rannym, ukrywającym się przed gestapo, konspiratorom, Żydom, płynącej z głębokiego poczucia obowiązku, umiejętne chronienie siebie i współpracowników przed penetracją i inwigilacją gestapo, utrwalenie i upamiętnienie wielu nazwisk, m. in. pracowników służby zdrowia. Przebija przez te relacje, jak i przez wiele innych, klimat humanitaryzmu i skromność. Nie dla przyszłych splendorów, lecz z nakazu sumienia lekarze ci i inni pracownicy służby zdrowia narażali nieraz swe życie i poświęcali się dla innych. Raz jeszcze warto podkreślić, że medyczne dzieje wojenne i okupacyjne są nieprzebranym źródłem wzorów postaw moralnych.

Przechodząc do tematyki krakowskiej, publikujemy relację dr. praw Zbigniewa *Madeyskiego* pt. „Wspomnienie więźnia Montelupich. Zygmunt *Klemensiewicz*". Autor, tam więziony, przypomina wielu swych współwięźniów w celi, sytuację i warunki w tej katowni, a postać zasłużonego działacza społecznego i „Patronatu" szczególnie eksponuje. Bliższe dane — również dotyczące życiorysu *Klemensiewicza*, postaci niezapomnianej, szlachetnej i zasługującej na utrwalenie choć w postaci wspomnienia — znajdzie czytelnik we wstępie odredakcyjnym do artykułu dr. *Madeyskiego*.

Urodzony w r. 1897, legionista i żołnierz Wojska Polskiego od listopada 1918 r., *Madeyski* uzyskał doktorat praw w UJ w r. 1923. Następnie pracował w kopalni węgla „Czeladź" pod Sosnowcem, odbył dopełniające studia za granicą, był prezydentem miasta Dąbrowy Górniczej, naczelnym dyrektorem „Funduszu Pracy", posłem na Sejm z Zagłębia Dąbrowskiego, opracowywał Ustawę o funduszu pracy, Ustawę o ubezpieczeniach społecznych, i Reformę ustroju społecznego, współorganizował prace Parlamentarnej Grupy Pracy, której przewodniczącym był senator dr med. Emil *Bobrowski* z Krakowa.

Działalność konspiracyjną zaczął w ZWZ w Wilnie, należał do AK, pracował w podziemnym Departamencie Pracy, w powstaniu warszawskim był dowódcą kompanii dyspozycyjnej Komendy „Stare Miasto", od grudnia 1944 r. był w Zarządzie Głównym PCK w Piotrkowie i w organizacji podziemnej „Unia", przebył obóz *Stalag IB*, więzienia — kolejno — na Pawiaku, na Montelupich i znów na Pawiaku. Po wojnie pracował w Zarządzie Głównym PCK, w „Dalmorze" w Gdyni, w Instytucie Urbanistyki i Architektury w Warszawie i w redakcji „Katalogu Budownictwa". Odszedł na emeryturę w r. 1968.

Warto dodać, że u dr. Stanisława *Kłodzińskiego* zachował się album pamiątkowy z lat 1939—1942, ofiarowany „Zygmuntowi *Klemensiewiczowi* na pamiątkę ofiarnej pracy", z wpisaną strofą Jana *Kasprowicza* i z dedykacją: „Czcigodnemu i Drogiemu Prezesowi Zygmuntowi *Klemensiewiczowi*, który szlachetną myślą, gorącym sercem i bezgranicznym oddaniem się sprawie pomocy więźniom podjął w czasie wojny najbardziej celową, żywotną i ofiarną pracę — składa w hołdzie i serdecznym upominku grono kochających współpracowników (RGO, Polski Komitet Opiekuńczy, Dział Pomocy Więźniom i ich Rodzinom): Maria *Zazulowa*, Irena »Kika« *Cieślicka*, Ewa *Korczyńska*, Helena *Merunowiczówna*, Anna *Kocmanowa*, Olga *Dobrzańska*, Zofia *Kowalska*, Irena »Lila« *Kuśnierzewska*, Henryk *Kabat*, Janina *Kotecka*, Anna *Pokrzywa*, Maria *Frasińska*, Tadeusz *Madej*, Jan *Pielkus*, Józef *Sroka*. Kraków, dnia 24 grudnia 1942 r." Warto było przypomnieć nazwiska tych zasłużonych działaczy z „Patronatu" krakowskiego.

Krakowskiego więzienia Montelupich dotyczy również relacja prawnika, byłego więźnia tej katowni i obozu oświęcimskiego, powszechnie szanowanego mgr. Antoniego *Golemy* z Bochni, już nieżyjącego, zachowana w naszych tekach redakcyjnych. Publikujemy ją obecnie, opatrując tytułem „Z Montelupich. Włodzimierz *Podgórzec*" i wstępem odredakcyjnym. Jedną z głównych postaci-więźniów Montelupich, o zróżnicowanych sylwetkach i postawach, jest w tej relacji uwięziony student medycyny, *Podgórzec*, który wykazał prawdziwie bohaterską odporność i siłę charakteru mimo nieludzkiego katowania go przez gestapowców i doprowadzenia do desperacji; życie więźnia zakończył w szybie kopalni soli w Bochni. *Golemo*, którego znano jako człowieka poważnego, ścisłego i odpowiedzialnego za każde słowo, daje w swej bardzo kulturalnie, jak i inne, napisanej relacji mnóstwo nowych, interesujących informacji i spostrzeżeń.

Fragment wspomnień doc. dr. Jana *Kowalczyka* (1903—1958) opublikowaliśmy już w zeszycie poprzednim, ze wstępem redakcyjnym pt. Z pierwszych dni września 1939 r. w Krakowie (Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 138—143). Obecnie sięgamy do innego urywka okupacyjnych, odręcznych, w pewnym stopniu zaszyfrowanych zapisków *Kowalczyka*, publikując część jego notatek z r. 1942 pod tytułem odredakcyjnym: Z okupacyjnych zapisków krakowskich. Notatki udostępniła córka nieżyjącego autora, dr Katarzyna *Kowalczyk*. Być może, odnajdzie się jeszcze całość zeszytów, w których swe bieżące spostrzeżenia ten znany krakowski lekarz notował.

Obecnie, po latach, wiedza o tamtych czasach w okupowanym Krakowie i w świecie posunęła się, jak wiadomo, naprzód, a z dystansu czasu dysponujemy mnóstwem szczegółowych, ustalonych informacji. *Kowalczyk* pisał na gorąco to, co czuł, widział i słyszał w swoim środowisku, a także uwzględniał wiadomości z okupowanego kraju i ze świata, nie zawsze oczywiście prawdziwe. Odnotowywał represje, wiadomości o losie Żydów itp. Nas interesuje przykład tekstu-dokumentu, w którym odzwierciedla się sposób reagowania na bieżące wydarzenia, ich selekcja, komentarze itp. Nie trzeba tłumaczyć, że chodzi o same fakty; chodzi o sposób reagowania. Podobne dokumenty sprawiają wiele trudności w lekturze i w opracowaniu edytorskim. Sądzimy, że uwagi i uzupełnienia w nawiasach klamrowych, odredakcyjne przypisy, dodane w najistotniejszych miejscach relacji, uchronią czytelników od zasugerowania się zrozumiałymi u autora piszącego podczas okupacji nieścisłościami.

Nasuwa się myśl, że zagadnienie psychologiczne sposobu bieżącego reagowania na wydarzenia wojenne i okupacyjne zasługiwałoby na osobną, wyczerpującą dysertację naukową.

Następna pozycja — to część relacji światowej sławy uczonego-histologa prof. Stanisława *Maziarskiego* (1873—1965), zatytułowana przez redakcję: „W Sachsenhausen". Autor pozostawił wspomnienia związane tematycznie z Sachsenhausen; zasługują one dzięki swej oryginalności i plastyczności, a także dzięki walorom opisowo-refleksyjnym, na wydanie w całości. Bliższe dane znajdzie czytelnik w zeszycie z roku ubiegłego, we wstępie odredakcyjnym (Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 143—144). Tam też (s. 144—151) znajduje się część dotycząca drogi profesora, uwięzionego w tzw. *Sonderaktion Krakau*, „Z Krakowa do Sachsenhausen". Teksty te, które uważamy za niezwykle cenny dokument, publikujemy w porozumieniu z rodziną zmarłego autora, zwłaszcza z red. Jackiem *Maziarskim*. Cała relacja (oba fragmenty u nas zamieszczone stanowią znaczną większość całości) zasługuje na odrębne, książkowe wydanie.

Do tematyki *Sonderaktion Krakau*, kontynuowanej w „Przeglądzie Lekarskim-Oświęcim" od r. 1963, przywiązujemy istotne znaczenie. Wiele artykułów związanych z tym wątkiem składa się już na duży zbiór, wszechstronny tematycznie i formalnie. Odpowiednią antologię proponowaliśmy jednemu z wydawnictw, ale — jak dotychczas — edycja ta nie doszła do skutku. Byłaby ona wymownym wyrazem doznań, przeżyć i postawy

uwięzionych w tej osławionej akcji, niezależnie od opublikowanej już literatury, odnoszącej się do martyrologii profesorów krakowskich. Niezależnie od walorów literackich antologia taka przedstawiałaby problematykę od strony osobistej poszczególnych ofiar *Sonderaktion Krakau*, których spojrzenie na tę martyrologię stanowi zbiór ujęć wzajemnie się uzupełniających i, co najważniejsze, daje przykład zachowania najwyższego rzędu godności i człowieczeństwa w warunkach skrajnego poniżenia. Relacje z tej serii są pięknym świadectwem trwałości wartości kultury polskiej.

Relacja prof. *Maziarskiego* daje dobry i szczegółowy wgląd m. in. w sprawy bytowe i medyczno-sanitarne uwięzionych.

Mimo długiego czasu, bo już 42 lat, od *Sonderaktion Krakau* ciągle jeszcze uzyskujemy na jej temat nowe relacje. Autorem takiej jest specjalista w zakresie psychologii zwierząt, etologii i zoologii, prof. dr Roman J. *Wojtusiak*, przed wojną dr zoologii, docent UJ, również po wojnie związany z tą uczelnią. Przedstawia on dalsze informacje na temat „Utworzenia oddziału »naukowego« w Dachau", w obozie, w którym — po Sachsenhausen — przebywali dłużej więzieni profesorowie i inni pracownicy uczelni wyższych Krakowa. Jest to ważny przyczynek do złożonych okoliczności starań o lepsze warunki w obozie i o uwolnienie uczonych polskich stamtąd. Na uwagę zasługuje, że w tych staraniach umiejętnie i dyskretnie uczestniczyli niektórzy uczeni niemieccy; pisze o nich i o własnej korespondencji powojennej z nimi prof. *Wojtusiak*. W Dachau doszło do utworzenia oddziału naukowego (*Wissenschaftliche Abteilung*), dzięki czemu powstały lepsze warunki przeżycia (w tzw. *Plantagekommando*). Artykuł ten warto przeczytać, przypomniawszy sobie poprzednią relację tegoż autora „Przyczynek do dziejów tzw. *Sonderaktion Krakau*" (Przegl. Lek., 1978, nr 1, s. 174—180).

Cenną relacją jest artykuł Jana *Olszowskiego* „Więźniarska kancelaria w obozie oświęcimskim". Bliższe szczegóły są zawarte we wstępie redakcyjnym do tego wspomnienia. Tutaj warto tylko wyjaśnić, że autorowi udało się ocaleć z obozu, mimo że pracował przy prowadzeniu kartoteki więźniów i był *geheimnisträgerem* (nosicielem tajemnicy). Zatrudniono go w obozie w administracji, podobnie jak Alfreda *Woycickiego*, który spisał swe przeżycia i obserwacje w relacji pt. „Dwa oblicza »służby rozpoznawczej«", tj. w *Erkennungsdienst* (Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 182—184).

Mając zatem wgląd w losy więźniów, w ich eksterminację dzięki pracy w obozowym biurze ewidencyjnym (*Häftlingsschreibstube*), *Olszowski* na bieżąco widział, kto do obozu przybywa, kogo kieruje się do kompanii karnej, kogo na śmierć itd. Mając styczność ze szpitalem więźniarskim i z konspiracją obozową, więźniowie zatrudnieni w tej kancelarii nieraz pomagali współtowarzyszom niedoli i niejednego zdołali uratować. *Olszowski* przytacza wiele nazwisk, wspomina o tzw. muzeum w *Auschwitz I* itd. Narzuca się spostrzeżenie, że ta praca, tzw. lepsza, pod dachem, też wymagała wielkiego napięcia psychicznego i groziła niebezpieczeństwem. Obciążeniem było grzęźnięcie w niebywałej biurokracji, jaką w administracji obozowej rozbudowało *SS*. Jest to jeden z najmniej znanych aspektów funkcjonowania obozu oświęcimskiego.

Cennym dokumentem jest też relacja Feliksa *Mylyka* pt. „Notatki oświęcimskie". Autor był jednym z pierwszych więźniów Auschwitz I, miał numer 92. Podobnie jak *Olszowski*, musiał pracować w administracji lagru; był zatrudniony w samej kuźni zbrodniczego systemu obozowego, w *Politische Abteilung*. Miał tam wgląd w kartoteki więźniów. Z dokumentacji tej na bieżąco wiedział, jak biegnie uśmiercanie i jego kamuflowanie, jakie fikcyjne rozpoznania dotyczące pomordowanych wpisuje się w dokumentach, jak niszczono całe grupy chorych itd. Z tej barwnej i wstrząsającej relacji przebija nieludzkie piekło Oświęcimia z jego pierwszego okresu istnienia, gdy terror był niczym nie hamowany, a sadyści, wyrafinowani mordercy i kryminaliści dzierżyli tam na różnych szczeblach hierarchii absolutną władzę nad więźniami.

Warto dodać, że wywołanie z pamięci tych najstraszniejszych przeżyć dolegliwie może nieraz zaciążyć podczas ich spisywania na psychice więźniów, nieraz też pozostawia po sobie na jakiś czas ujemne skutki, jakby ofiarę dla przypomnienia przeżyć i tych, co w obozie zginęli. Nie popełni się chyba niedyskrecji, dodając, że w liście do swego obozowego współtowarzysza niedoli, współredaktora naszych zeszytów, *Mylyk* pisał 29 marca 1977 r. m. in. „(...) pragnę (...) powiedzieć, że nawet ta, krótka bardzo »relacja« kosztowała mnie sporo wysiłku i nerwów, gdyż nawrót do »tych czasów« nie jest przyjemny ani łatwy. Proszę Cię (...) nie zrozum mnie źle, ja naprawdę, pisząc taką relację, przeżywam to jeszcze raz, jeszcze raz dygoczę wewnętrznie, jeszcze raz boję się (...)".

Do najcenniejszych dokumentów oświęcimskich należy relacja więźniarki Janiny *Komendy* (1889—1968). Autorka, przeżywszy obóz, wkrótce po oswobodzeniu przystąpiła do spisywania notatek. Narósł obszerny rękopis. Pod tytułem odredakcyjnym „W rewirze Brzezinki" publikujemy jego fragmenty, składające się na znakomitą, zwartą relację. Bliższe szczegóły są podane w tekście odredakcyjnym.

Tutaj warto tylko zaznaczyć, że wspomnienia *Komendy* łączą kilka ważnych cech dodatnich: ścisłość, wartości dokumentu, wyeksponowanie tematyki lekarskiej i psychologicznej, a więc najbliższej doznaniom i przeżyciem osobistym, trafną obserwację środowiska — na tle warunków obozowych, dobry język. Janina *Komenda* dzieliła los innych: wtrącona w piekło obozowe, starała się je rozpoznać i w miarę sił dostosować do przeżywanego koszmaru. Zachorowawszy, udało się jej trafić na rewir, ocaleć mimo zaawansowanego wieku przed selekcjami, uzyskać funkcję pielęgniarki i aptekarki. Wspomnienia te są — podobnie jak prof. *Maziarskiego* — niezmiernie barwne i nasycone realiami. A także celnymi spostrzeżeniami, jak np.: „przekonałam się (...), że osławiona organizacja niemiecka jest bardzo zawodna, gdy trzeba w niej wprowadzać doraźne zmiany stosownie do zmienionej sytuacji" itp.

Z chłodnym dystansem, a jednocześnie zachowując humanitarne podejście do środowiska i otaczających okropności, *Komenda* przeżywała swe lagrowe pandemonium; przebija to z jej relacji, tchnącej autentyzmem. Całość tych wspomnień bezwzględnie zasługuje na wydanie książkowe.

Oryginalnym ujęciem wyróżnia się praca mgr Mieczysławy *Chylińskiej* pt. „Wokół mechanizmów samoobrony psychicznej". Autorka wróciła pamięcią do swych przeżyć obozowych, dała próbę syntetyzacji ich odczuwania na podstawie takiej introspekcji, wspartej wiedzą psychologiczną, dokonała swoistej formy ewokacji najcięższych doznań lagrowych, mianowicie introspekcji problemu adaptacji do koszmaru obozowego. Jest to w literaturze obozowej rzadkość. Przeważają ujęcia opisowe, znacznie rzadziej trafiają się głębsze relacje refleksyjne, natomiast tego rodzaju introspekcja wyróżnia się pogłębieniem tematyki nacechowanym ambicjami naukowymi.

Gdy autorce, mieszkającej w Skarszewach na Pomorzu, aresztowano męża w początkach września 1939 r., i osadzono w Stutthofie, sama zagrożona aresztowaniem wyjechała i schroniła się u swych rodziców w Czarnym Dunajcu na Podhalu. Tam włączyła się w pracę konspiracyjną: prowadziła tajne nauczanie i była łączniczką w Konfederacji Tatrzańskiej. Działała następnie w Kojszówce pod Osielcem i w Nowym Targu. Wskutek „wsypy" została — mimo kilkumiesięcznego ukrywania się — aresztowana (3 maja 1943 r.). Więziona początkowo w gestapowskiej kaźni „Palace" w Zakopanem i na Montelupich w Krakowie, została przewieziona do obozu w Oświęcimiu-Brzezince, a następnie ewakuowana do Ravensbrück i Neustadt-Gleve, skąd wydostała się na wolność. Wróciwszy na Podhale, kontynuowała studia pedagogiczno-psychologiczne na Uniwersytecie Warszawskim i Uniwersytecie Jagiellońskim, specjalizując się w psychologii. Wiele lat kierowała oświatą w byłym powiecie Nowotarskim. Od r. 1968 pracowała w Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Nowym Targu.

Osobliwy temat porusza Helena *Chaszczyńska* z Wielunia, nie więziona w obozach, pracownica administracyjna m. in. w urzędach zatrudnienia, będąca od r. 1969 na emeryturze. Jej mąż zginął w obozie wcześnie, już w 1940 r. Wtedy jeszcze rodzina mogła udawać się w związku z tym do lagru. Swą wstrząsającą wyprawę *Chaszczyńska* opisała w relacji pt. „Do Mauthausen-Gusen po prochy męża". Jest to wspomnienie swoistym dokumentem psychologicznym, a nadto jednym z licznych świadectw starcia się na terenie obozu koncentracyjnego postawy ludzi wychowanych w przedwojennej kulturze polskiej z bezwzględnością i obłudą esesowską.

W dziale zatytułowanym Biografie przedstawiamy kolejne sylwetki. Wyczerpujące biogramy wszyst-

kich zasłużonych, represjonowanych, zamordowanych, zmarłych pracowników służby zdrowia, którzy zapisali się w znaczniejszy sposób w latach 1939—1945, sięgałyby dziesiątków tysięcy. Gdyby nawet pokusić się o pracę instytutu i w wielkim zespole autorów stworzyć wybór jedynie ważnych postaci, powstałyby całe tomy.

W tej sytuacji, inspirując bądź opracowując artykuły biograficzne, kierujemy się następującymi podstawowymi zasadami: 1) rozeznaniem w możliwościach pozyskania odpowiednich autorów i należytego zasobu źródeł, 2) wyborem postaci takich, które są nie tylko godne upamiętnienia, lecz nadto w jakimś stopniu reprezentują szersze środowisko (np. lekarskie: pod okupacją, w konspiracji, w obozach itd.), jak również szerszą problematykę (np. lagrową bądź partyzancką), ujmowaną, w miarę możności, w tle biografii, 3) ogarnięciem całości życiorysu, ale ze szczególnym uwzględnieniem lat wojny i okupacji, 4) nieuwzględnianiem osób żyjących, dzięki czemu artykuły bądź szkice biograficzne stanowią kategorię tematycznie zamkniętą.

Jeśli dana postać występowała w opracowanym tekście na tle szczególnie wyeksponowanym, niekoniecznie artykuł na jej temat kwalifikowaliśmy do działu „Sylwetki zasłużonych lekarzy" bądź „Biografie" (gdy opracowywano wojenno-okupacyjne sylwetki nielekarzy). W zeszytach z lat 1961—1981 nagromadziliśmy odrębne biografie 120 osób (nie licząc setek lekarzy i innych pracowników służby zdrowia, o których szerzej była mowa w mnóstwie innych artykułów). Z pewnością ukazanie postaci w ich działalności, na tle wielu problemów, ożywia i uprzystępnia suchą literę historii.

W niniejszym zeszycie prezentujemy lekarzy, którzy działali za granicą lub w kraju, a następnie tych, co zostali wtrąceni do obozów.

Lekarzy, którzy służyli w lotnictwie, reprezentuje pilot Polskich Sił Powietrznych w czasie II wojny światowej w Wielkiej Brytanii, absolwent Polskiego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu w Edynburgu, dr Mieczysław Paweł *Pietrzyk*, związany po wojnie z I Kliniką Chorób Wewnętrznych AM (kierowaną przez nieżyjącego już rektora AM, prof. dr. Leona *Tochowicza*). Biografię *Pietrzyka* naszkicował kierownik II Kliniki Kardiologii AM w Krakowie, znający go osobiście prof. dr Tadeusz *Horzela*. Losy dr. *Pietrzyka* przywodzą na myśl wojenny okres więźnia Mirandy de Ebro, Antoniego *Kępińskiego*, który, znalazłszy się w Wielkiej Brytanii, po krótkim tylko szkoleniu lotniczym został odkomenderowany do Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu w celu ukończenia studiów medycznych rozpoczętych przed wojną w Krakowie.

Dr Seweryn Roman *Kowalski* reprezentuje losy lekarzy, którzy ulegli represjom pod okupacją hitlerowską w dawnych województwach wschodnich. Źródłową jego biografię przedstawia absolwentka UJ mgr praw Zofia *Kowalska*. Kilka słów o autorce. Po przeszkoleniu w batalionie łączności przy ul. Rajskiej w Krakowie brała udział w wojnie obronnej 1939 r. jako telefonistka. W lutym 1940 r. wstąpiła do ZWZ. Była łączniczką inspektora krakowskiego ZWZ, ppłk. „Bystrzańskiego". Zagrożona już w marcu i następnie w sierpniu aresztowaniem, schroniła się w Warszawie, gdzie przystąpiła do dalszej pracy konspiracyjnej w ZWZ-AK. Miała pseudonimy „Ewa", „Anka", „Zosia". Brała udział w powstaniu warszawskim, a następnie była kurierką w Komendzie Głównej AK w Częstochowie. Po wojnie pracowała w budownictwie, ostatnio jako radca prawny. Obecnie jest na emeryturze.

Internista i zasłużony działacz społeczny, członek PPS Lewicy, dr Kazimierz Błażej *Bacia*, był podczas okupacji ofiarnym konspiratorem, ratował m. in. Żydów, wiele osób zawdzięcza mu doznaną pomoc. Sylwetkę dr *Baci* nakreślił płk. doc. dr Ryszard *Zabłotniak*, zajmujący się historią medycyny, autor kilku opublikowanych w „Przeglądzie Lekarskim-Oświęcim" artykułów.

Były partyzant, rtm. w st. spocz. Aleksander *Marczyński*, związany z konspiracją w Nowosądeckiem i na Podhalu, zajmuje się m. in. zagadnieniami partyzantki w tym rejonie; publikował artykuły na ten temat m. in. w naszych zeszytach. Obecnie zamieszczamy artykuł biograficzny *Marczyńskiego* poświęcony dr. Tadeuszowi Szymonowi *Ptakowi*, który jako lekarz partyzancki, odważny, dzielny i ofiarny, wpisał się na trwałe w treść tego ruchu. *Marczyński* unika formy biogramowego protokołu; kreśli sylwetkę dr. *Ptaka* na tle środowiska i pełnej napięcia sytuacji, w której działali partyzanci wobec okrutnego, wyrafinowanego przeciwnika hitlerowskiego i wobec wszelkich uciążliwości takiej podziemnej służby, narażającej na choroby i śmierć.

Wracamy znów do sylwetek lekarzy — więźniów Oświęcimia. Niektórzy są bardziej znani, inni mniej, choć też wyróżniali się ofiarnością i pomocą współtowarzyszom niedoli. Na przypomnienie zasługuje spośród tych drugich prof. Stanisław *Kapuściński*, dermatolog, oficer, który już przed pierwszą wojną światową wykazał swą postawę patriotyczną i zdolności konspiracyjne. Gestapo wyrwało go z rytmu codziennej pracy lekarskiej i konspiracyjnej pod okupacją i wtrąciło na Pawiak i do obozu, który zdołał przeżyć. Jego córka, Hanna, zginęła zamordowana w powstaniu warszawskim na Starówce. Sylwetkę prof. *Kapuścińskiego* przedstawia dr Stanisław *Kłodziński*.

Dział ten kończymy biografią pióra tegoż autora, po raz pierwszy w tym dziale występującego felczera. Był to Władysław *Kosmal*, człowiek niezwykłej dobroci i szczególnie dodatnich cech charakteru, konspirator, ofiara tortur w śledztwie więziennym, a także koszmaru obozowego w Oświęcimiu, cierpiący wraz ze swymi najbliższymi. W najtrudniejszych sytuacjach umiał sprostać czynnościom lekarza. Jeszcze raz się okazuje, że nie od dyplomu wszystko zależy. Pomógł wielu ludziom, wielu też uratował. Sylwetkę *Kosmala* nakreślił dr Stanisław *Kłodziński*, przełamawszy trudności w uzyskaniu źródeł i weryfikowaniu faktów. Nie ujmując niczego zasługom i ofiarności lekarzy, usilnie postulujemy większe zainteresowanie innymi pracownikami służby zdrowia: pielęgniarkami, stomatologami, weterynarzami, farmaceutami, felczerami, pracownikami pomocniczych służb medycznych itd.

Dział Sprawozdania poświęcamy tym razem tematyce Korczakowskiej, która zespala wielu ludzi dobrej woli na świecie, w różnych krajach i łączy wspólną ideą krzewienia prawdy o pomordowanych wskutek represji hitlerowskich tudzież pragnieniem krzewienia pamięci, wniosków i doświadczeń wynikających z martyrologii milionów ofiar II wojny światowej.

Pierwszy artykuł sprawozdawczy, autorstwa piszącego te komentarze, pt. „Sesja prezydium Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka (w Izraelu, 13—21 stycznia 1981 r.)", dotyczy pobytu w Izraelu 11-osobowej delegacji polskiej i 7 osób z innych krajów Europy i USA. Wspólny tragiczny los ludności polskiej i żydowskiej pod okupacją hitlerowską sprawił, że zarówno w Polsce, jak i w Izraelu czynione są wielkie wysiłki dla badań owego okresu oraz godnego upamiętnienia go. Jednym z pomostów łączących narody polski i żydowski, a ostatnio także niemiecki stała się postać Janusza *Korczaka*. W apoteozie Janusza *Korczaka* wielką rolę odgrywa także Republika Federalna Niemiec. Ten wielki pedagog dziecięcy, autor cudownych książek dla dzieci i lekarz pediatra, ten Pierwszy Prezydent Republiki Dziecięcej, urósł do rzędu prawdziwego „pons inter nationes". Sesja Międzynarodowa Stowarzyszenia im. J. *Korczaka* była bardzo owocna i przyczyniła się bardzo do zbliżenia między narodami. Można by powiedzieć, że spotkanie przedstawicieli PRL, RFN w Izraelu (oprócz przedstawicieli innych krajów) miało symboliczną wymowę i było pośmiertnym zwycięstwem Janusza *Korczaka*.

Z pobytem delegacji polskiej w Izraelu łączy się też następny artykuł, pióra wybitnego pedagoga, prof. Aleksandra *Lewina*, pt. „Założenia Instytutu Naukowego i Opiekuńczo-Wychowawczego im. Janusza *Korczaka*". Imię „Starego Doktora", symbolu męczeństwa, utrwala się coraz bardziej w świadomości społeczeństw świata, a wspomniany Instytut ma być szczególnym, pożytecznym pomnikiem tej pamięci, zgodnym z ideami *Korczaka*. W ten sposób uzyska się splot dwóch ogniw: tragedii w getcie warszawskim związanej z osobą niezwykłego lekarza, pedagoga i pisarza, oraz upamiętnienia korczakowskiego podejścia do dzieci i osobistej ofiary „Starego Doktora" w ścisłym powiązaniu z przyszłą opieką nad dziećmi w projektowanym Instytucie.

Prof. Aleksander *Lewin* w swym artykule kreśli strukturę tego Instytutu — od uwag topograficzno-architektonicznych do programu pedagogicznego. Wspomina, że — wśród szeregu specjalistów mających znaleźć tam zatrudnienie i wdzięczne pole do nowoczesnej pracy z dziećmi — znajdą się też lekarze, idący im z pomocą profilaktyczno-lekarską. Sądzić można, iż pożyteczne będzie, że w nawiązaniu do lekarskiej problematyki okupacyjnej za pośrednictwem pamięci o Korczaku czytelnicy nasi zapoznają się odpowiednio jeszcze wcześniej z naszkicowanymi przez prof. *Lewina* zagadnieniami.

Warto dodać, goszcząc wybitnego pedagoga, prof. Lewina, na łamach czasopisma lekarskiego, że w latach 1937—1939 pracował on jako wychowawca w Domu Sierot J. *Korczaka* w Warszawie przy ul. Krochmalnej 92. Zawsze — również przez większość lat II wojny światowej — zajmował się sprawami zapewnienia opieki dzieciom-sierotom, a w czasie wojny — dzieciom, jej ofiarom (problemy ratownictwa biologicznego). W pierwszej (1941) i końcowej (1945) fazie wojny *Lewin* uczestniczył jako żołnierz Armii Czerwonej w działaniach wojennych. W szeregach I Armii Białoruskiej uczestniczył w zdobywaniu Berlina. W czasie działań na terenach niemieckich współdziałał w wyzwalaniu ludzi, którzy znajdowali się w obozach jenieckich lub obozach pracy. Jeszcze przedtem, w latach 1944—1945 był dyrektorem Polskiego Obwodowego Domu Dziecka w Monetnej (pod Świerdłowskiem) na Uralu. Dzieci te przywiózł do kraju — w ramach repatriacji — i kontynuował pracę z nimi w Sławęcicach (na Śląsku). W latach 1947—1950 organizował według tradycji Korczakowskich Centralny Ośrodek Wychowawczo-Szkoleniowy im. J. *Korczaka* w Bartoszycach (na Mazurach). Następnie skoncentrował się na pracy naukowej. Był wicedyrektorem pierwszego w Polsce Instytutu Pedagogiki (w Warszawie, obecnie Instytut Badań Pedagogicznych), od lat kieruje Zakładem Badań Systemów Wychowawczych IBP. Wydał wiele prac własnych, a także wydał i zredagował pisma wybrane *Korczaka*. O *Korczaku* wiele napisał, skupiając się ostatnio na jego spuściźnie pedagogicznej.

Z kolei po raz czwarty umieszczamy dział Listy, w którym od r. 1979 mgr Jan *Masłowski* problemowo omawia część korespondencji redakcyjnej. W artykule pt. „Z korespondencji zeszytów »Oświęcim« »Przeglądu Lekarskiego« (IV)" są omówione kolejno: pisma i listy krajowe, korespondencja zagraniczna i niektóre nadesłane materiały. Z tego przeglądu można wysnuć sporo wniosków, a zwłaszcza ujrzeć dowód na to, że protagoniści zasadności i celowości kontynuacji badań nad okresem II wojny światowej i jej następstwami nadal rozwijają wiedzę na ten temat, nie odciągnięci od swego obowiązku poszerzania i utrwalania prawdy o przeszłości mimo ciężkich trudności codziennego życia, obarczających w szczególny sposób społeczeństwo w sprawozdawczym roku 1981.

Ten sam autor, omawiający już od 15 lat w dziale Oceny narastające, bieżące piśmiennictwo, przedstawia w artykule pt. „Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1981" — na zasadzie przykładów — wyróżniające się grupy tematyczne. Mgr *Masłowski* sięga wszechstronnie do różnych źródeł, aby określić, jakie w ostatnim roku grupy tematyczne krystalizowały się w zakresie tego dorobku, jakie były między nimi proporcje i na czym polega postęp w tej dziedzinie, w pracach badawczych w zasadzie nie zwolniony, lecz natrafiający na silne trudności w upowszechnianiu wyników badań ze względu na paroletnie nieraz opóźnienia w ukazywaniu się prac w druku. O tego rodzaju bieżące przeglądy literatury upominają się usilnie nasi czytelnicy wobec braku bibliografii bieżącej specjalnej i — ostatnio — wobec dręczących trudności z dostępem do wielu czasopism i książek.

Podobnie informacyjny, a przy tym praktyczny charakter ma przejrzysty spis zawartości zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" z lat 1961—1981, również przez mgr. Jana *Masłowskiego* opracowany.

*

Jak corocznie, podajemy małą statystykę. Zeszyty 1—22 „Przeglądu Lekarskiego-Oświęcim" liczą obecnie około 4970 stron formatu A4 i zawierają 842 prace, 374 autorów, w tym 25 osób z zagranicy i 51 profesorów uczelni wyższych (uwzględniamy stopnie profesorskie, które autorzy już mieli, gdyśmy publikowali ich prace). W zeszycie niniejszym, 22, doszło 15 nowych autorów.

*

Ukazanie się zeszytu w obecnej, trudnej sytuacji wydawniczej, na czas i we właściwej formie przenosi oczywiście możliwości zespołu redakcyjnego. Warunkiem było wzajemne zrozumienie łączące wielu ludzi dobrej woli — zarówno w Krakowie, jak i w Warszawie. Serdeczne podziękowanie składamy więc przyjaciołom i sympatykom naszej edycji. Nie zapominamy o osobach, które w różnych trudnych chwilach przychodziły nam z pomocą, a któreśmy wymienili przed dwoma laty (Przegl. Lek., 1980, nr 1, str. 20).

Oni wszyscy ułatwili ukazanie się w druku cennych materiałów, w dużej części udokumentowanych relacji tych kombatantów, którzy należą do odchodzącego już pokolenia świadków i uczestników wydarzeń minionej wojny i okupacji. Istotna zasługa polega na pomocy dla nas w ocaleniu od niepamięci tych materiałów, które również będą potrzebne badaczom w przyszłych pokoleniach. Serdecznie dziękujemy naszym Autorom za bogaty zasób dokumentów i za obfitą porcję rzetelnego dorobku, posuwającą pensum wiedzy o prawdzie historycznej o dalszy krok naprzód.

W publikacjach tych przebija bogate zaplecze źródłowe. Dziękujemy więc, zobowiązani za użyczenie źródeł instytucjom, uczelniom, archiwom, m. in. Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i jej terenowym ekspozyturom, muzeom, zwłaszcza Państwowemu Muzeum w Oświęcimiu, kierowanemu przez dyr. mgr. Kazimierza *Smolenia*, jego pracownikom, a także innym placówkom naukowym i archiwalnym.

Wszystkim czynnikom nadrzędnym i władzom, które pomagały, pomagają nam i ułatwiają doprowadzenie do druku efektu tych zbiorowych wysiłków i żmudnych prac, współdziałając w pokonywaniu bieżących, nieraz bardzo dotkliwych trudności, również serdecznie dziękujemy. Kierujemy te słowa m. in. do władz Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, kierowanej przez min. Janusza *Wieczorka*, bezinteresownego naprawdę i serdecznego sympatyka poczynań utrwalających pamięć o ciężkiej tragedii narodu naszego w latach 1939—1945.

Dziękujemy autorom omówień zeszytów i not na ich temat w czasopismach i dziennikach; w dziale „Oceny" corocznie wspominamy o tym życzliwym odgłosie. Odnotowywanie społecznego trudu i wysiłku zespołu redakcyjnego daje dużą satysfakcję, przynosi też aprobatę autorom, wśród których mamy sporą grupę byłych więźniów.

O przyjęcie podziękowania serdecznego prosimy też naszego Wydawcę, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, jego kierownictwo i pracowników, którzy pokonują trudności na drodze do urzeczywistnienia edycji. Nieprzerwanie harmonijna jest 22-letnia już współpraca nasza z PZWL. Za doprowadzenie zeszytu do właściwej, starannej formy wdzięczni jesteśmy Zakładowi Graficznemu nr 3 Drukarni Narodowej w Krakowie; jego zespołowi składamy też serdeczne i ciepłe słowa podziękowania. Od lat przyjaciel naszych zeszytów, kierownik tego Zakładu, Andrzej *Filip*, umiejętnie prowadzi proces druku, zecer i metrampaż, Aleksander *Rompała*, wykonuje ostateczną formę składu, a grupa zecerów, życzliwie zaangażowanych w naszą tematykę, ci bezimienni fachowcy, ciężko pracujący nad linotypami i nad innymi maszynami drukarskimi, też zasługują na serdeczne podziękowanie.

Celem nas wszystkich jest utrwalanie prawdy historycznej i przekazywanie doświadczeń i nauk zdobytych kosztem cierpienia i życia milionów istnień ludzkich.

URSZULA WIŃSKA Sopot

była więźniarka obozu koncentracyjnego Ravensbrück nr 7448

Uczucia czynnikiem kształtującym postawę Polek w Ravensbrück

Ravensbrück ma już swą dość bogatą literaturę; dostępną monografią na temat tego obozu jest książka W. *Kiedrzyńskiej* [1], w której zainteresowani czytelnicy mogą znaleźć wiele szczegółów. Niemniej analizę podjętego tematu warto poprzedzić podstawowymi informacjami dotyczącymi tej katowni.

Był to największy obóz koncentracyjny dla kobiet. Sam terenowo niezbyt rozległy, miał w swoim zarządzie 109 podobozów i komand fabrycznych [2]. Zbudowany na piaskach meklemburskich (NRD), w samym centrum hitleryzmu, bo w sąsiedztwie majątku *Himmlera*, był jego *musterlagrem* (obozem wzorcowym), w którym szkolono też strażniczki *SS* dla przyszłych obozów kobiecych w Oświęcimiu i na Majdanku. Ravensbrück otwarto w marcu 1939 r., przywożąc niemieckie więźniarki, a zlikwidowany został w maju 1945 r.

Przez ten obóz przeszło ponad 130 tysięcy kobiet 28 narodowości. Najliczniejsze były Polki, stanowiły 30% całego zaludnienia obozu; pierwsze z nich przywieziono już we wrześniu 1939 r. Były to nauczycielki i działaczki polonijne z mniejszości polskiej w Niemczech przedwojennych (80 kobiet). Z ziem polskich przywieziono 2 listopada 1939 r. grupę Polek z Łodzi. Od kwietnia następnego roku przybywały już liczne transporty z Pomorza, Poznania i Śląska. Później, od r. 1941, już systematycznie przywożono w *sondertransportach* więźniarki polityczne z Tarnowa, Montelupich (w Krakowie), Pawiaka (w Warszawie), Zamku (w Lublinie) i innych miast, jak Częstochowa, Kielce, Radom, ze wszystkich dystryktów Generalnego Gubernatorstwa. Wtedy — tj. od r. 1942 — przedwojenny *Musterlager* przemienił się w obóz zagłady, *Vernichtungslager*.

Oblicza się, że 70—80% Polek w Ravensbrück stanowiły więźniarki polityczne, reszta — to kobiety i dziewczęta z robót w Niemczech i uwięzione za inne „przestępstwa". Nie było tajemnicą, że na większości dokumentów Polek w *Politische Abteilung* (oddział polityczny obozu) widniały uwagi gestapo: *zur Vernichtung* lub równoznaczne z tym, dołączone zaoczne wyroki śmierci.

Cały mechanizm obozowy nastawiony był na zniszczenie osobowości ludzkiej po to, aby z kobiet uczynić bezduszną siłę roboczą, którą — wbrew międzynarodowym konwencjom — wyzyskiwano do ostatniej chwili życia dla celów III Rzeszy. Już na kwarantannie, kiedy odczytywano więźniarkom regulamin obozowy, a w nim między innymi zakaz: „nie wolno pomagać w pracy, nie wolno pożyczać papieru do pisania listów" — osoby bardziej uświadomione zrozumiały, że uderza to w samą istotę człowieczeństwa. Zakładano planowo wrogi stosunek między więźniarkami. Stało się inaczej.

Wśród bardzo licznej rzeszy więźniarek w Ravensbrück — nie tylko Polek — ukształtował się model postępowania wręcz przeciwny założeniom systemu obozowego. Kobiety wyrobione społecznie, silniejsze duchowo, mobilizowały się do oporu, a to oznaczało: nie dać się złamać psychicznie, zachować godność ludzką w tym nieludzkim środowisku, zachować własną osobowość, choć jest się tylko numerem, i w miarę sił pomagać słabszym koleżankom. Był to pierwszy odruch buntu; dla wielu Polek był dalszym ciągiem tej działalności, za którą znalazły się w obozie.

Trafne są takie uwagi więźniarek, jak następująca: „Z chwilą aresztowania i wywiezienia do obozu nie było odczucia sprawy przegranej, ale konieczność dostosowania się do warunków i szukania dróg i możliwości zrobienia czegoś pożytecznego w danej sytuacji, uratowania wartości, które były zagrożone" (153) [3]. Dzięki takiej postawie bardzo wielu Polek kobiety z ofiar i numerów stawały się znowu bojowniczkami — w innej, trudniejszej rzeczywistości, walcząc przeciw systemowi przemocy i zbrodni nie tylko o zachowanie życia, ale też o wartości moralne. I jeszcze jeden cytat:

„W atmosferze dżungli obozowej, w nieopisanej udręce dnia codziennego, dosłownie na pograniczu życia i śmierci powstawała samorzutnie polska społeczność obozowa. Powstała na tle nienawiści do Niemców, na tle reakcji między pierwotnym instynktem walki o byt a niebezpieczeństwem rozproszenia w dżungli obcojęzycznej i wrogiej. Nastąpiło dobrowolne ograniczenie egoizmu jednostki, powstało niepisane prawo obozowe, obozowa moralność. Rozpoczęto organizowanie samoobrony, podjęto walkę ze zdziczeniem jednostek, opinia piętnowała egoizm i bezmyślność jako główne wady lagrowe" (16).

[1] W. *Kiedrzyńska:* Ravensbrück. Kobiecy obóz koncentracyjny. Wyd. 2, Warszawa 1965, Książka i Wiedza.

[2] Tamże, s. 143—163.

[3] Liczby w nawiasach, po cytatach, odnoszą się do spisu respondentek w ankiecie do artykułu, tj. do „Źródeł".

Wspólnota obozowa Polek tworzyła się na szerokiej płaszczyźnie, a stanowiły ją: świadomość narodowa i patriotyzm, wspólny los prześladowanych na obcej, wrogiej ziemi i pragnienie przetrwania, lecz nie za wszelką cenę. Ważnym czynnikiem w kształtowaniu się tej wspólnoty i obronnej postawy były uczucia.

Podstawą materiałową artykułu są wybrane fragmenty z wypowiedzi byłych więźniarek Ravensbrück na kwestionariusz ankiety-wezwania, rozesłany w r. 1979. Zasadniczy problem tej ankiety sprowadzał się do pytania, dzięki czemu w przeciwludzkich warunkach życia, w stałym zagrożeniu i terrorze zachowałyśmy, a nawet rozwijały człowieczeństwo.

Zespół respondentek — liczący 158 osób, zróżnicowany pod względem wieku w chwili aresztowania (16—48 lat), pod względem liczby lat przebytych w obozie (5—1 roku), zawodu (24 rodzaje zawodów przed aresztowaniem) — może być uważany za dość reprezentatywny dla społeczności obozowej Polek w Ravensbrück w latach 1939—1945, a przynajmniej dla tych spośród nich, które obóz ten przetrwały.

Warto raz jeszcze podkreślić, że kobiety te, rozumiejąc, że „reżim obozowy zmierza do zabicia człowieczeństwa w żywym jeszcze człowieku", na przekór esesmańskiej nienawiści i pogardy wśród więzionych rozwijały najpiękniejsze uczucia przyjaźni, siostrzanej miłości, macierzyńskiej opieki i dziecięcego nieraz przywiązania. Ożywiały się uczucia religijne i pogłębiał patriotyzm. Te uczucia, jak niewidzialne sploty, ściślej spajały obozową wspólnotę. Były jej podstawowymi komórkami. Z nich rozwijały się i przechodziły już w szersze kręgi: życzliwość, koleżeńska solidarność i ofiarność dochodząca niekiedy do heroizmu. Naturalna potrzeba związków uczuciowych była tam spotęgowana wobec stałego zagrożenia i otaczającej wrogości.

Z zebranego materiału, dowodzącego tego wszystkiego, można wyłonić kolejne zagadnienia szczegółowe.

Przyjaźń, zawarta niekiedy jeszcze na wolności lub w celi więziennej, a umocniona w obozie, stanowiła najpewniejszą obronę człowieczeństwa. W warunkach pogardy i poniżenia podtrzymywała poczucie własnej wartości i wiarę w człowieka, w jego pomoc, i stawała się dzięki temu formą samoobrony psychicznej.

Podstawą trwałych przyjaźni były zawsze wartości duchowe, moralne, ideowe. To zobowiązywało i było pomocne w osobowym rozwoju. W obozie nie można było udawać moralności, tam trzeba było być moralnym. Przebywając razem w bloku, w pracy, na apelu było się ustawicznie na widoku. Toteż każde potknięcie moralne było zauważone. Szczególnie najmłodsze były uwrażliwione na słabość starszych. Chciały ich poważać, podziwiać, a czasem się rozczarowywały. To, jak same stwierdzały, przyspieszało ich dojrzewanie. Łańcuch przyjaźni łączony był jakimiś prawidłowymi spojeniami. Jeśli w jednym ogniwie było się stroną dającą ze siebie, w następnym za to brało się więcej. Dokonywało się wzajemne, wyrównujące oddziaływanie i to nie tylko między Polkami. Przyjaźń łączyła kobiety różnych narodowości.

„Szczególną pomocą w przetrwaniu obozu były zawiązane tam przyjaźnie. Można powiedzieć, że przyjaźń w Ravensbrück była dużo głębsza niż zwykłe przyjaźnie okresu szkolnego. Posiadanie przyjaciół pozbawia człowieka poczucia samotności i niewątpliwie poszerza jego życie wewnętrzne. Zawarłam w Ravensbrück przyjaźnie, które przetrwały do dzisiaj. Jakkolwiek całą grupę operowanych traktuję jako grupę przyjaciół, to jednak wśród nich było kilka szczególnie mi bliskich: Krystyna *Czyż*, Stanisława *Śledziejowska*, Zofia *Kawińska*, Milunia *Radecka* (rozstrzelana 18 kwietnia 1942 r.), Władysława *Dąbrowska*.

Osobne miejsce należy się Władce *Dąbrowskiej*, nieco starszej naszej koleżance, z transportu lubelskiego, której postawa była nie tylko postawą przyjaźni, ale autentycznego heroizmu. Ona w lutym 1945 r., gdy miała nastąpić egzekucja operowanych, ofiarowała za nas dosłownie swoje życie. Przyszła z propozycją, iż następnego dnia, kiedy operowane miały się stawić *nach vorne*, a było wiadomo, że w celach egzekucji, Władka zaproponowała, że pójdzie z moim numerem, a gdy tej propozycji nie przyjęłam, Władka nie zrezygnowała. Następnego dnia na apelu, który miał być ostatnim apelem w naszym życiu, stała koło mnie z zamienionym numerem. Miała na sobie numer 7708, tj. numer Krzysi *Czyżowny*, naszej młodszej koleżanki z grupy operowanych. Krzysia nie wiedziała o tym i do egzekucji wówczas nie doszło. Niemniej jednak akt heroizmu został dokonany. Władka nie chciała, aby ujawnić ten fakt. Uważam jednak, iż domaga się on ujawnienia, ponieważ ukazuje wysoki poziom ideowy i moralny więźnia w obozie koncentracyjnym Ravensbrück" (149).

A oto inna, też młodziutka w obozie więźniarka, z pawiackiego *sondertransportu* (wrzesień 1941 r.), stwierdza, iż przyjaźń wywarła wielki wpływ na jej postawę w obozie:

„Przyjaźniłyśmy się we trzy: Halinka *Kamińska*, Olga *Nider* i ja. Nasz związek był najdoskonalszym, siostrzanym uczuciem przyjaźni. Te koleżanki. nieco starsze ode mnie, okazały mi siostrzaną troskę. Ich postawa moralna i niezłomna, wysoka etyka postępowania, zarówno w sprawach zasadniczych, jak i małych, uczyły mniej godnej i zdecydowanej postawy. Obdarowały mię przyjaźnią, która zobowiązywała. Nauka, którą wyniosłam z kontaktów z moimi przyjaciółmi, i siła płynąca z tego braterstwa wywarły na mnie i moją postawę wielki wpływ. Im zawdzięczam radość w oczach mojego ojca, gdyśmy się wreszcie spotkali w maju 1945 r. i jego słowa: Córeczko! jestem szczęśliwy, że żyjesz i że masz z tego potwornego okresu przyjaciół, którzy mi dobrze o tobie mowili" (96).

Na granicy heroizmu jest inny przykład przyjacielskiej ofiarności, jeśli się wie, że kromka chleba była podstawą wyżywienia obozowego:

„Niezapomnianym przyjacielem była i pozostanie dla mnie Marysia *Słota*. Miałam wiele dowodów jej serdeczności i wielkoduszności. Potrafiła przez długi czas ratować mnie od głodu, oddając swoją kromkę chleba w zamian za zupę z brukwi, której nie mogłam jeść ze względu na stan zapalny pęcherzyka żółciowego. Kiedy badam siebie, nie wiem, czy byłabym zdolna do takiego poświęcenia. Jej prostota, z jaką to czyniła, urosła w moim pojęciu do symbolu przyjacielskiej ofiarności. Są przeżycia, o których nie można, nie wolno zapomnieć, a nie jest łatwo wyrazić je słowami. Wśród nich najtrudniej chyba oddać uczucie wdzięczności za okazaną troskę i życzliwość, za bezinteresowny trud codziennej pomocy" (58).

Przyjaźń zawarta na wolności pogłębiała się w obozie, stając się tam większą wartością. We wspomnieniach o przyjaźni utrwaliły się nie tylko osobiste doznania, ale też cechy osobowości przyjaciół, odkrywając istotne podłoże tej przyjaźni.

„Z Marysią *Rydarowską* byłam zaprzyjaźniona jeszcze w Gorlicach, gdzie Marysia była nauczycielką. W jednym transporcie przywieziono nas do Ravensbrück. Od tej pory byłyśmy już stale razem. Marysia była jedną z organizatorek tajnej drużyny harcerskiej w obozie »Mury«. Była jedną z tych, dla których nie było miary

w poświęceniu się dla innych. Mając nocną zmianę, cały dzień »kursowała« po bloku i opiekowała się wszystkimi chorymi i załamanymi psychicznie. Tym więcej było to warte, że była z natury wielkim śpiochem. To zrozumie tylko ten, kto przeżył obóz wiecznie niedospany. Nigdy nie zapomnę siostrzanej opieki Marysi, jej czułości dla mnie po otrzymaniu wiadomości o śmierci mojej matki, kiedy byłam kompletnie załamana. Marysia była zawsze skora do poświęceń. W czasie rewizji na bloku przyjęła na siebie »winę« za przechowywanie harcerskich pamiątek i za to odcierpiała sześć tygodni w bunkrze. Ten areszt w obozie zrujnował jej zdrowie. Nie udało się uratować jej od transportu do Bergen-Belsen. Była tam też w najokropniejszych warunkach duchem opiekuńczym koleżanek aż do uwolnienia obozu" (128).

„Przyjaźń z Ireną *Bany*, która była dla mnie drogowskazem w obozie, i przyjaźń z Jagą *Wiktor*, która stała się dla mnie wzorem, są najcenniejszymi wartościami, które wyniosłam z tamtych strasznych czasów." (12).

Uczucia rodzinne, szeroko rozwinięte wśród kobiet, pełniły wysublimowaną funkcję. Matki realizowały naturalną potrzebę macierzyńskiej opieki, a córki znajdowały potrzebną im czułość. Dla jednych i dla drugich była to szansa rozwoju nie tylko uczuciowego, ale związanego z nim ściśle rozwoju osobowego. To wpływało na ich postawę, którą, nawet nieświadomie, oddziaływały na otoczenie. W obozie pośród bestialskiego terroru i bezkarnych zbrodni każde udzielone dobro, choćby to był tylko życzliwy uśmiech, słowo pocieszenia, miały wielkie znaczenie. Budziły uczucia przyjazne i uczyły podobnych reakcji w stosunku do innych.

Siedemnastoletnia więźniarka, która w Ravensbrück znalazła macierzyńską opiekę starszej koleżanki, została wywieziona do podobozu w Sachsenhausen. Tam, jak sama pisze, wykorzystała znajomość języka niemieckiego, którego w Ravensbrück nauczyła ją opiekująca się nią koleżanka; pisała listy innym Polkom. „W ten sposób chciałam wyrazić moją wdzięczność tym, które tyle mi pomogły, a także służyły za wzór." (48).

Były matki, które, oderwane od dzieci, oprócz tęsknoty przeżywały lęk o ich los. Roztaczając opiekę nad najmłodszymi koleżankami, żywiły nadzieję, że ktoś zaopiekuje się ich dziećmi. Czym wyróżniały się te obozowe matki, opowiada jedna z młodziutkich wtedy dziewcząt, charakteryzując „matkę" wielu najmłodszych więźniarek:

„Nie wiem dziś, od kiedy Marię *Liberakową* nazywałam »matką«, ani nie wiem, kto pierwszy tak ją nazwał, która z nas, ale tak ją nazywałyśmy my, wszystkie najmłodsze więźniarki w latach 1941—1945. Dlaczego ją nazywałyśmy »matką«. Było z nami tyle starszych, siwych, mądrych pań, tyle wytrawnych pedagogów, nauczycielek, które nas nawet w obozie uczyły, uwielbiałyśmy ich wykłady. Czym ona w tej masie kobiet zasłużyła sobie na taką akceptację? Bo jest to przecież najwyższy dowód akceptacji, jeśli jakąś kobietę dobrowolnie nazywa się matką — matką z wyboru. Sama się nieraz nad tym zastanawiałam i myślę, że chyba najbardziej zdecydowało to, że była zawsze opiekuńcza. Spontanicznie opiekowała się każdym potrzebującym, kto znalazł się »w zasięgu jej ręki«. Najserdeczniejszą, najcieplejszą opieką otaczała najmłodsze z nas (Basię *Pietrzyk*, Stasię *Czajkowską*, Ninkę *Iwańską*, »Śledzia« (*Śledziejowską*), Stasię *Charewicz* i wiele innych (...).

Była przy tym taka bezpośrednia, taka prosta, można powiedzieć »zwyczajna«, w tak naturalny sposób opiekowała się nami (...). Wobec świata w lagrze zachowywała tę dumną »polską« postawę »twardego karku«. Nie było w niej śladu uniżoności, do której nieraz dochodziły kobiety w tamtych potwornych warunkach. Ona była »prostą«. Tak chciałabym ją nazwać, a rozumiem przez to to, co Norwid był nazwał »bez światłocienia«. Była z tych, co mają »tak za tak«, a »nie za nie«. Taka jest na zawsze utrwalona w mojej pamięci, nie do wymazania. Po prostu — Matka *Liberakowa*" (149).

Inny przykład, gdy matkę obozową oceniono jako wzór wszystkich cnót:

„Z Marią *Chełmicką* (z domu *Wybicka*, córka zasłużonego działacza Polonii gdańskiej, prawnuczka Józefa *Wybickiego*, autora Mazurka *Dąbrowskiego* — dop. U. W.) przez okres dwóch lat byłam bardzo blisko. Nazywałam ją mamą i bardzo się do niej przywiązałam. Mimo dużej różnicy wieku wydaje mi się, że miała do mnie zaufanie i nieraz zwierzała mi się ze swoich tragicznych przeżyć. Był to dla mnie wzór wszelkich cnót. Nigdy nie straciła swej godnej postawy, nawet w najbardziej upokarzającej sytuacji. Niewątpliwie pomagała jej niezwykle głęboka wiara — była bardzo religijna. Ona nauczyła mnie, że nie ma sytuacji, która usprawiedliwiałaby nas i rozliczała z niegodnego postępowania" (30).

Inna respondentka, też młodziutka wtedy, w swojej wypowiedzi ujawnia, że nie sama opieka starszej koleżanki, ale potrzeba uczuciowa była istotą tego rodzinnego związku:

„Miałam matkę! Człowieka najbliższego. Bezmiar tego szczęścia jest trudny do opisania. Życie obozowe zmieniło swój klimat. Wstawałam wcześniej, żeby przed pracą móc z nią zamienić parę słów i przyjrzeć się, jak w prowadzonym przez siebie bloku bez krzyku załatwia dziesiątki spraw. Dla chorych miała w zapasie *bettkarty*, pozwalające nie wyjść na apel; dla słabych przemycane z »Kunstu« (warsztat artystyczny, w którym pracowały przeważnie Polki) wełniane szmaty na plecy itp. Jej czujne oko dostrzegało zawsze w tym zbiorowym nieszczęściu istoty najnieszczęśliwsze, najbardziej zagrożone, wymagające specjalnej troski. Te zresztą przychodziły tłumnie z innych bloków, szukając pomocy. Siasia (*Schöneman-Łuniewska* — dop. U. W.) była znana z tego, że u niej można znaleźć pomoc. Udzielała jej głównie Polkom, lecz nie wyłącznie. Jej wdzięcznymi i oddanymi przyjaciółkami były również Francuzki, Czeszki, Austriaczki i niemieckie więźniarki. One wszystkie, które uzyskały od niej pomoc w potrzebie i mając do niej pełne zaufanie, będące później na funkcjach »świadczyły« Siasi wszystko, co chciała, a chciała zawsze pomocy dla innych. Mając takie, jak na obóz »wszechmożliwości«, nie zużytkowała ich nigdy dla ułatwienia własnego życia. To wiem na pewno, gdyż byłam z nią blisko. Taką miałam matkę. Nic też dziwnego, że dzień pracy upływał szybciej w oczekiwaniu na wieczór, kiedy będzie można chwilę porozmawiać, okazać bezgraniczną miłość córki, przytulić się i wreszcie zostać pocałowaną na dobranoc" (96).

Bardzo plastycznie stosunek opiekuńczo-wychowawczy starszej koleżanki przedstawiła 17-letnia wtedy więźniarka z Poznania:

„Byłam wówczas młoda, słaba i niedoświadczona. Nina (Janina *Kiszko* — dop. U. W.), była nauczycielka, miała 30 lat. Do Niny byłam serdecznie przywiązana. Okazała mi dużo serca, pomocy i opieki. Kiedy wracałam po pracy do bloku nieludzko zmęczona, brudna, z okaleczonymi rękami czy nogami, pomagała mi się myć, opatrywała rany przy pomocy blokowej Marty *Baranowskiej*. Często tuliła mnie do siebie i pocieszała, podnosząc mnie na duchu. Różnymi opowieściami z życia na wolności starała się myśli moje skierować na inne tory, dalekie od lagru. Jej uwagi wydawały mi się czasem bezsensowne i groteskowe. Tu wali się świat, śmierć każdego dnia zagląda w oczy, a ona mi mówi: »nie garb się, stój prosto, nie wyrażaj się gwarą obozową, zapomnisz ojczystego języka, zawiąż porządnie chustkę na głowie, szyję należy jeszcze raz porządnie umyć«. Zimna woda, brak mydła, praca przy wyładowywaniu węgla, upał, pot spływał strumieniami, pył węgla wżerał się w skórę, ale jutro do tej samej pracy muszę iść czysta. Było w tym wszystkim sporo racji. Zauważyłam, że te więźniarki, które nie dbały o swój wygląd, bardziej niż inne otrzymywały niezasłużone lanie, kopniaki czy szturchańce" (48).

W znaczeniu społecznym grupy zaprzyjaźnione i związane rodzinnymi uczuciami miały niezawodny wpływ na otoczenie w hamowaniu takich uczuć, jak nienawiść, mściwość, tudzież na rozwój uczuć wyższych: współczucia, życzliwości, solidarności koleżeńskiej i solidarności wobec wroga.

We wszystkich wypowiedziach dano wyraz swoich związków uczuciowych. Jedne są obszerne, te wzruszają szczerością i bezpośredniością, inne tylko zaświadczają fakt posiadania przyjaciół, a także uzyskanej lub udzielanej pomocy. Pewne jest jedno: bez pomocy drugich osób nikt nie przeżyłby obozu, a tym bardziej rozwijał człowieczeństwo. Aby w obozie pozostać człowiekiem, trzeba było wyjść poza siebie, poza swój egoizm, dostrzec drugiego człowieka, drugą istotę ludzką, może słabszą, może potrzebującą pomocy. To była szansa, którą na szczęście, bo dla dobra innych i dla własnego dobra, wykorzystało bardzo dużo polskich więźniarek. Oto co w związku z tym pisze jedna z respondentek:

„To ciągłe deptanie godności ludzkiej budziło we mnie sprzeciw, bunt i kazało walczyć w każdy dostępny sposób: pomagać, organizować, przenosić, dożywiać. Gdybym tego nie robiła, zamierałabym powoli psychicznie, a to byłoby jeszcze gorsze niż bicie i poniewieranie. To, co robiłam, stało się po prostu potrzebą" (76).

Stwierdzenie, że pomoc drugiemu człowiekowi stała się potrzebą wewnętrzną, należy rozumieć jako potrzebę wolnego działania człowieka, czującego się „panem siebie". Świadoma działalność z wyboru nosi w sobie cechy wolności. „Wolność, jak pisze kardynał Karol *Wojtyła* — najwłaściwiej unaocznia się człowiekowi w przeżyciu, które można określić jako „mogę", nie „muszę".[4]

W warunkach stałego przymusu obozowego taka działalność była najpewniejszą obroną człowieczeństwa.

Uczucia religijne wyrażane były w obozie — mimo ostrych zakazów — w różnorodnych praktykach religijnych. Polki wśród przedstawicielek wszystkich 28 narodowości, zamkniętych w obozie, stanowiły, szacunkowo, najliczniejszą grupę wyrażającą swoją wiarę w zbiorowym kulcie. Dużo było w Ravensbrück Polek, od których promieniowała świętość. Młodsze i starsze sodalistki, nauczycielki — wychowawczynie pokoleń, doświadczone życiem i cierpieniem matki. One były nie tylko wzorem cnót chrześcijańskich, ale też najczęściej czuły się odpowiedzialne za życie duchowe współtowarzyszek.

Pierwszą Polką podejmującą w obozie ten obowiązek była Kunegunda *Pawłowska*, zwana „kanonikiem" kierowniczka Ochronki Macierzy Szkolnej w Wielkich Trąbkach, na terenie Wolnego Miasta Gdańska, aresztowana już 1 września 1939 r. Do obozu przywieziono ją w kwietniu 1940 r. Gdy za znak krzyża groziły ostre kary, ona wzywała do wspólnej modlitwy w różnych intencjach, powtarzając słowa Chrystusa: „Nie bójcie się tych, co dręczą ciało, ale ducha zabić nie mogą", jak wspomina jedna z respondentek.

Pracę apostolską wśród Polek z późniejszych transportów podjęła od września 1941 r. Józefa *Kantor*, zwana „proboszczem", nauczycielka z Szopienic, harmistrzyni, organizatorka i drużynowa tajnej drużyny harcerskiej w obozie „Murry". Pełniła tę posługę duchową nie tylko na swoim bloku, ale — mimo surowych zakazów — chodziła do innych polskich bloków, by tam w głębokiej konspiracji odprawić w niedzielę nabożeństwa mszalne.

Znaczącą rolę w życiu religijnym odegrała też siostra Róża *Woźniak* ze Zgromadzenia Służebniczek Marii, aresztowana w Poznaniu za ukrywanie uczestników konspiracji. Ona to jesienią 1943 r., otrzymawszy przyniesione przez Polki pracujące poza obozem od jeńców ze stalagu poświęcone komunikanty, udzielała trzy razy komunię świętą licznej rzeszy Polek.

Kiedy po powstaniu warszawskim przywieziono z Warszawy całe Zgromadzenie Sióstr Rodziny Marii wraz z matką przełożoną, Teresą *Stąpówną*, i mistrzynią nowicjatu, matką Rafaelą *Stando*, siostry ożywiły życie religijne w najbliższym otoczeniu.

Czym była wiara dla uwięzionych kobiet w obozie, piszą respondentki:

„Wiara była źródłem naszej siły duchowej, z niej płynęła ufność, że tyrania i okrucieństwo nie mogą triumfować, że zwycięży Dobro, Prawda, Sprawiedliwość" (7).

„W gehennie życia obozowego zapleczem była nam wiara, która ułatwiała przeżycie obozu. Była silnym punktem oparcia, jaki człowiek znalazł w sobie samym. Była ostoją przeciw zwątpieniu i załamaniu, osłoną przeciw atakom nienawiści i wszelkiego zła. Praktyki religijne z mego punktu widzenia miały wielki wpływ na życie w obozie zarówno dla grup, jak i jednostek. Przejawiał się on w krytycyzmie własnym i w stosunku do otoczenia. Tak niewiele czasem trzeba było, by człowiek pomógł człowiekowi. Poznawało się sens duchowych wartości. Człowiek odkrywał i sprawdzał siebie — ufał i miał nadzieję przetrwania. Tylko dzięki głębokiej wierze przetrwałam pięć lat obozu" (41).

„Niełatwy był okres dojrzewania dla młodych — napisała osiemnastoletnia wtedy więźniarka. — Trzeba było silnej woli i wiary, aby zachować w tych warunkach godność ludzką i godność Polki, nie dać się omamić i nie iść na łatwizny, a dany czas zużyć na pogłębienie swej wiedzy o ludziach. Poznać drugiego człowieka, ale nie potępiać. Utrzymać hierarchię wartości. Nic dziwnego, że w tych warunkach sprawa wiary występowała na pierwszym miejscu i pogłębiało się życie duchowe" (153).

Modlitwa w każdej formie, indywidualna czy zbiorowa, odrywała choć na chwilę od rzeczywistości obozowej, była wezwaniem odmiany, przywoływaniem dobra — nie w świecie zewnętrznym, ale w sobie. A wtedy umacniała się odporność na załamanie wewnętrzne, na zagubienie siebie samej przez utratę, jakże łatwą w środowisku zła, czujności moralnej.

Indywidualne modlitwy poprzedzały zbiorowy kult. Modlitwy wieczorne na pryczy, na apelach były najbezpieczniejsze.

„W samotności wytworzonej siłą woli przez zawzięte odrywanie się od rzeczywistości obozowej, rozmowy wieczorne czy nocne z Bogiem były bezcennymi chwilami, dającymi niekiedy jedyne oparcie w męce nad siły ludzkie" (7).

„Chwilami nadającymi się dla modlitwy, skupienia i wejścia w siebie były apele ranne i wieczorne, oczywiście nie te, które przeciągały się godzinami i do późna w noc, powodując śmiertelne zmęczenie więźniarek, ale te zwykłe, codzienne, podczas których w momencie liczenia musiała trwać zupełna cisza. Czasem w letnie poranki niebo było tak cudownie piękne, jako ta jedyna rzecz nie zepsuta w tym świecie na opak, jakim był

[4] Osoba i czyn. Kraków 1969, Polskie Tow. Teologiczne, s. 105.

obóz. Wówczas myśl wybiegała w górę, szukając w modlitwie uspokojenia i siły do wytrwania jeszcze jeden dzień i jeszcze następne aż do zwycięstwa" (27).

Wspólne modlitwy, tzw. „msze niedzielne", które odbywały się prawie w każdym polskim bloku, stwarzały w tym wrogim środowisku rodzimą atmosferę, dawały poczucie więzi narodowej i wynikającej z niej solidarności.

„Wspólne modlitwy, głęboka wiara w sprawiedliwość Bożą wpływały ogromnie dodatno na kształtowanie charakteru kobiet, na ich życie duchowe. Jakby obmywały się z nalotu zła, stawały się lepsze, ściszone, bardziej koleżeńskie, solidarne, opiekuńcze i skłonne do wyrzeczeń. A równocześnie bardziej odporne psychicznie, mężne. Wraz z tym następowało pogłębienie patriotyzmu i poczucie godności więźnia politycznego" (105).

Miłość ojczyzny, najsilniejsze z uczuć, nie została przez respondentki odrębnie wyrażona, tak jak i w obozie nikt jej słowami nie ujawniał. Ona kształtowała postawę Polek, ona była inspiracją dla wszystkich poczynań współobronnych. Jedynym sposobem manifestowania patriotyzmu były obchody rocznicowe, organizowane w wielkiej konspiracji.

Wiersz Haliny *Golczowej* (nr obozowy 7591) pt. *Credo*, powstały w Ravensbrück w r. 1941, wyraża najlepiej ten obozowy patriotyzm Polek:

Bo jeśli to jest oceną Twej wolności
Polsko, Ojczyzno moja ukochana,
Że mam być bita i poniewierana,
Zdana na pastwę krzyżackiej podłości,
Jeśli za wszystkim, co w mym życiu drogie
Mam jeszcze długo tęsknić bezprzytomnie
I moje dziecko też ma tęsknić do mnie
I o swą krzywdę żalić się przed Bogiem,
A jeśli w końcu śmierć mi przeznaczona,
Niech padnę pełna dumy i radości,
Jeśli to ceną ma być Twej wolności
Polsko, Ojczyzno moja umęczona.

Postawa Polek, którym przyszło złożyć życie w ofierze [5], potwierdza prawdę zawartą w wierszu.

13 kwietnia 1942 r., w pierwszej zbiorowej egzekucji, stracono 17 Polek z transportu częstochowskiego i kieleckiego: Jadwigę *Bąk*, Marię *Bilską*, Stanisławę *Bojanek*, Jadwigę *Flak*, Izabelę *Jaszczuk*, Irenę *Kowalską*, Krystynę *Kraus*, Krystynę *Krawiec*, Zofię *Krygier*, Halinę *Krzemińską*, Zofię *Łagodzińską*, Marię *Maciejczak*, Stanisławę *Szeflerową* i jej córkę Janinę, Aleksandrę *Szwejda*, Zofię *Tarka*. Oto co pisze o ich ostatnich chwilach jedna z respondentek:

„Do końca życia nie zapomnę tego pochodu. *Zimmer* (zastępczyni głównej dozorczyni — dop. U. W.) szła na czele, za nią one piątkami, trzymając się za ręce. Idą za własnym pogrzebem, myślałam, patrząc na ich nogi, które szły równo, ale dziwnie ciężko, jakby były z ołowiu. Wreszcie zniknęły za bramą obozu. Stałyśmy wśród śmiertelnej ciszy na apelu wieczornym. Także inne bloki, niepolskie, solidaryzowały się z nami. Kucharki nasze z kuchni widziały, jak Hala *Krzemińska* rzuciła coś w kierunku rabatów, obok których szły z bunkra. Pośród szałwi znaleziono kartkę mniej więcej tej treści: Kochane siostry, dziękujemy za życzliwość, powiedzcie naszym rodzinom, że się nie boimy, że bez strachu byłyśmy do końca. Pozdrówcie nasze rodziny. Tu następował podpis: Hela *Krzemińska*; przed nim nakreśliła krzyż" (122).

Małgosia *Dembowska* była po maturze. Przywieziona do obozu we wrześniu 1941 r. pierwszym *sondertransportem* z Pawiaka razem z matką, Henryką *Dembowską*, nauczycielką historii i ciotką. Dnia 24 września 1942 roku na wieczornym apelu wywołano osiem kobiet z tego transportu. Były to: Janina *Borkowska*, Jadwiga *Boska*, Henryka *Dembowska*, Małgorzata *Dembowska*, Stefania *Jachimowicz*, Zenobia *Kierska*, Wanda *Polakowska*, Anna *Ryglewska*. Małgosi nie było wtedy w obozie. Pracowała w kolumnie za bramą i jeszcze nie wróciła. Wszystkie wywołane zaprowadzono do bunkra, a egzekucję odłożono na dzień następny. Małgosia spędziła noc na trzeciaku (trzecia kondygnacja prycz). Pisze jedna z nich:

„Małgosia, żegnając się z nami przed egzekucją, zostawiła nam w spadku dziś już historyczne słowa: Wiem, że wielu rzeczy jeszcze nie umiem, ale jedno, co dobrze potrafię — to umrzeć. I pomyśleć, że powiedziała to dziewczyna 18-letnia, która niezwykle kochała życie" (30).

Relacje innych koleżanek:

„Kiedy *Dembowskie* szły na śmierć (25 września 1942 r.), słyszałyśmy, jak przed przyjazdem »szarej miny« (samochód obity blachą, bez okien) śpiewały w bunkrze: Serdeczna matko..., Boże coś Polskę... Po wyjściu z bunkra, przed wejściem do samochodu Janina *Borkowska* podrzuciła kartkę. Kartka była pisana w pewnych odstępach tego tragicznego dnia. Mniej więcej, jak pamiętam: »O trzeciej podano nam w szklance biały płyn do wypicia, odmówiłyśmy... Jesteśmy spokojne. Rozmawiamy o naszych rodzinach, teraz będziemy się modliły. Jak dotąd nic, ciągle czekamy«. A później: »A więc stało się, będziemy rozstrzelane, przed chwilą odczytano nam wyrok śmierci. Jesteśmy spokojne«. Dalej: »Gdy odezwie się syrena na apel, będziemy wiedziały, że zaraz pójdziemy, pomódlcie się za nas, żegnajcie. Teraz będziemy się modliły«. Następował podpis. Pierwszy był *Borkowskiej* i wykazywał to samo pismo, co w tekście, a więc to ona pisała. Zabrano ją z rewiru, gdzie leżała, mając coś z płucami. I tak długim szeregiem ciągnęły się egzekucje, a my, z trwogą czekając na wieczornym apelu, liczyłyśmy salwy karabinów i modliłyśmy się za te, które za swoje wielkie ukochanie Polski oddawały życie, ginąc jak żołnierze na posterunku we wrogiej ziemi, z dala od Ojczyzny" (122).

„Pamiętam pożegnanie z Julią *Seredowską*, lat 60. Była w legionach, nazywałyśmy ją pułkownikiem. »Nic to« — powiedziała do nas z uśmiechem, żegnając nas. Razem z Julią była rozstrzelana 20-letnia Ania *Matyjanka*. Zabrano Stefanię *Błędzką*. Dowiedziawszy się o tym, biegnę za nią. Stefania dochodziła do *Schreibstuby* (biuro). Odwróciła się do mnie i zawołała: »Niech żyje Polska!« (*Błędzką* rozstrzelano 29 kwietnia 1943 r. — dop. U. W.). Zabrali też Władkę *Wiśniewską* i Jadwigę *Pobiedzińską* (obie z *sondertransportu* pawiackiego z września 1941 r. — dop. U. W.), matkę 16-letniej Kazi, która była w obozie. Za pierwszym razem odsyłają grupę na blok.[6]

Następnego dnia, gdy otrzymały polecenie stawienia się, przybiegła do mnie Marta *Wesołowska*, abym poszła do Władki. Biegnę, wdrapuję się na trzeciak. Siadam na łóżku Władki. Obok są zasmucone koleżanki. Władka żegna się ze mną. Niedawno otrzymałam wiadomość o nagłym zgonie mojej 10-letniej córeczki. Władka wiedziała o tym. Zupełnie spokojnie mówi do mnie, że spotka się z moją Wiesią. Mówiła tak, że włos się jeżył: »Lubiłaś, gdy śpiewałam. Zaśpiewam ci *Ave Maria*« — i zaśpiewała. (...) Podziwiałam jej siłę duchową. Z Wład-

[5] Dorotea *Binz*, główna dozorczyni w Ravensbrück w latach 1943—1945, zeznała na procesie w Norymberdze, że w tym obozie rozstrzelano 200 Polek.

[6] Główna dozorczyni, *Langefeld*, wzruszona rozpaczą Kazimiery *Pobiedzińskiej*, która biegła za matką, chciała ją ratować, odesłała całą grupę na blok. Były to: Maria *Drągowska*, Irena *Dudnik*, Wacława *Łagodzińska*, Irena *Palczewska*, Jadwiga *Pobiedzińska*, Janina *Różańska*, Władysława *Wiśniewska*. Sama, jak opowiadały więźniarki pracujące w biurze, telefonowała do Berlina, że egzekucja nie może się odbyć, bo w aktach są nieścisłości. Liczyła, że sprawa zostanie odroczona. Tymczasem na drugi dzień przyjechała komisja i stwierdziła, że wszystko jest w porządku; 15 grudnia 1942 r. egzekucja się odbyła.

ką przebywałam 7 miesięcy na bloku. Chorowała na żołądek. Nękały ją wymioty, nie mogła jeść zupy obiadowej. Ratowałam ją nieraz tym, że zapiekałam na rurze ziemniaki, żeby cokolwiek mogła zjeść; mizerniała. Skąd w tym słabym ciele duch mocarza?" (4).

18 marca 1943 r. po rannym apelu wywołano 9 więźniarek: Janinę *Bonder*, Danutę *Hołowinę*, Zofię *Hübner*, Annę *Matyjankę*, Helenę *Rydel*, Julię *Seredowską*, Wandę *Szczęsną*, Wandę *Szczupak*, Halinę *Wądołowską*. Po skończonym apelu specjalna dozorczyni, która zawsze zabierała więźniarki skazane na śmierć, ustawiła je na ulicy lagrowej. Ponieważ okazało się, że w obozie są dwie *Szczęsne*, a wzięta z apelu nie jest tą, o którą chodzi, kazano wywołanym wrócić na swoje bloki i czekać.

„Ania (*Matyjanka* — dop. U. W.) od razu zrozumiała, że wyrok śmierci będzie wykonany po powrocie Wandy z pracy poza obozem. Były w jednej sprawie. Blok był cichy. Nocna zmiana spała, dzienna była w pracy. Postanowiłyśmy we trzy: Ela *Sulińska*, Irka *Jundził* i ja, być przy Ani tak, aby na chwilę nie była sama. Ania — ta 20-letnia studentka polonistyki — zaskoczyła i oczarowała nas swoją postawą. Przez cały czas rozmawiała z nami spokojnie, prosiła o przekazanie najbliższym ostatnich pożegnań. Mówiła, że nie boi się śmierci, była na nią przygotowana, tylko jej żal, że już dla Polski nic nie będzie mogła zrobić. Raz tylko jeden zakręciła się jej łza w oku, ale wnet się opanowała. Coraz któraś z nas wychodziła z bloku, by się wypłakać i nerwowo odprężyć. Podziwiałyśmy spokój Ani; bez tragedii, histerii czekała cały dzień na swoją śmierć. Prosiła: »Nie pocieszajcie mnie, tak być musiało«. Wieczorem zabrano je z bloków. Odchodząc, dawały nam znaki pożegnania. Mimo wielu bohaterów w drugiej wojnie światowej należy się małej Ani hołd za bohaterską postawę do końca" (39).

„Genia *Frączakowa*, pracująca w kantynie, powiedziała mi, że esesmani z plutonu egzekucyjnego, jak zawsze po rozwałkach, i tym razem pili w kantynie do późnej nocy, a jeden z nich dziwił się, że Polki idą na śmierć tak spokojnie i nie pozwalają sobie oczu zawiązać" (43).

Były w obozie sytuacje, w których dochodziło do dramatycznych napięć między patriotyzmem a macierzyńskim uczuciem. Wspomniana już Maria *Chełmicka*, przebywająca w obozie od r. 1940, została około 1943 r. wezwana do Wydziału Politycznego, gdzie jej oznajmiono, że jej córka Teresa (lat 6), którą pozostawiła samą w chwili aresztowania, jest chora. Zaznaczyć należy, że w przeddzień wybuchu wojny Maria *Chełmicka* wraz z córką Teresą i pasierbicą Haliną wyjechały z Pomorza i miały się udać do rodziny w Szwajcarii. Znalazły się na terenie Niemiec i zostały aresztowane. Marię *Chełmicką* wraz z pasierbicą przywieziono do obozu; nie wiedziały, co stało się z sześcioletnią Teresą. O przebiegu dramatycznych przeżyć piszą dwie koleżanki:

„Można sobie wyobrazić trwogę i niepokój matki, którą władze obozowe zawiadomiły o chorobie córki. Latem 1943 r. Maria *Chełmicka* znowu została wezwana do Urzędu Politycznego, gdzie przedstawiono jej następującą alternatywę: albo zgodzi się jako osoba urodzona na terenach przyłączonych do Rzeszy podpisać listę *Eingedeutsch* (tzn. przyjąć narodowość niemiecką — dop. U. W.), a wówczas będzie mogła natychmiast odzyskać córkę i udać się z nią w dowolnym kierunku, bądź też, jeśli nie wyrazi zgody, pozostanie bezterminowo w obozie, a córka zostanie zniemczona i matka nie będzie mogła odszukać jej śladów. Po kilku dniach Maria *Chełmicka* została wywieziona do Berlina, gdzie przez okres tygodnia ponawiano propozycję podpisania listy. Ostatnim, najbardziej dramatycznym epizodem było przywiezienie dziecka do obozu. Chore dziecko, nauczone przez Niemców, zwróciło się do matki z oskarżeniem, że ona jej nie kocha, nie chce być z nią razem. Pomimo tych nacisków i szantażu Maria *Chełmicka* oparła się namowom i nie podpisała listy wcielającej ją do narodu niemieckiego. Pozostała Polką i więziona była w Ravensbrück do końca wojny" (96 i 30).

Za rodzaj cudu można uznać fakt, że córka Marii *Chełmickiej*, Teresa, wysłana przez Niemców w celu zniemczenia jej do szpitala dziecięcego, prowadzonego przez zakonnice, znalazła się w zakonie, w którym była jej ciotka, ewakuowana wraz z innymi zakonnicami z Pomorza do zakonu macierzystego na terenie Niemiec.

Słowo nienawiść wystąpiło tylko w jednej wypowiedzi, w następującym kontekście: „Każde niesłuszne zarządzenie, kara lub nakaz budziły we mnie sprzeciw, ale też urabiały nienawiść i chęć odwetu" (71). W innej wypowiedzi ujawniono czynniki, które eliminowały uczucie zemsty, gdy powstawało ono w zetknięciu się z obozem:

„Każda pogadanka, modlitwa, recytacje były dla mnie głębokim przeżyciem, które pozwalały zachować godną, ludzką postawę i nie myślałam już o zemście" (26).

To szczere stwierdzenie dowodzi rozwoju osobowego, który dokonywał się dzięki konspiracyjnej działalności obozowego ruchu oporu. O pozytywnych zmianach w obozie pisze więcej osób. Odczuwano je też w wierszach obozowych, „które w latach 1944—1945 — jak u Marii *Rutkowskiej* (*Kurcyuszowej* — dop. U. W.) — były bardziej humanitarne niż jej poezje obozowe z wcześniejszego okresu"; wyprowadzono z tego taki wniosek: „Jeśli świat ma się wyleczyć z ran i nie zadawać nowych, nasza krzywda powinna być ostatnia" (33). Przy zaniku uczuć nienawiści i mściwości rozwijała się wrażliwość na każdy ludzki odruch, zaobserwowany nawet u Niemców. Zwyciężały uczucia dodatnie. Te fakty musiały głęboko utkwić w przeżyciach więźniarek, skoro przetrwały tyle lat i zostały przywołane, choć nie mieściło się to w założeniach ankiety:

„Gdy byłam w *sztrafbloku* (bloku karnym — dop. U. W.), przywieźli z Pawiaka, w maju 1942 r., moją córkę Niusię. Nie mogłam się z nią zobaczyć, bo byłyśmy oddzielone od innych bloków wysoką siatką. Cały dzień pracowałyśmy przy najcięższych robotach. Wracałyśmy dopiero przed wieczornym apelem, który odbywał się za siatką. Gdy byłyśmy w bloku, zamykano okiennice. Bardzo cierpiałam, że nie mogę zobaczyć swego dziecka. Aż raz zupełnie niespodziewanie wezwała mię blokowa. Wyszłam z bloku i zobaczyłam Niusię, którą przyprowadziła Renia *Skalska*. Stała tam też *aufseherka sztrafbloku*. Niusia przyniosła mi w zawiniątku swój chleb. Choć byłam bardzo głodna, bo dostawałyśmy mniejsze porcje, powiedziałam, że nie chcę chleba, bo nie jestem głodna. Wtedy zobaczyłam łzy w oczach *aufseherki*. Pomyślałam, że i w nich budzą się czasem ludzkie uczucia" (114).

Fredzia *Prusówna* (z transportu lubelskiego, wrzesień 1941 r. — dop. U. W.) umarła w trakcie doświadczeń eksperymentalnych. Wykrwawiła się. Umarła, cierpiąc bardzo, ale cichutko, bez skargi. W dniu jej śmierci pokuśtykałam pod okno rewiru i gdy dowiedziałam się, że umarła, wracałam półprzytomna z żalu i natknęłam się na *aufseherkę*. Ta z furią zaczęła okładać mnie pejczem, pytając, co ja tu robię, czy nie wiem, że tu chodzić nie wolno. Nie wiem dlaczego, ale krzyknęłam głośno: umarła moja przyjaciółka *Kaninchen* (królik), *ich bin auch Kaninchen!* (ja też jestem królikiem doświadczalnym — dop. U. W.). Ciekawa była jej reakcja, Zaprzestała bicia i spokojnie powiedziała, żebym poszła

do bloku, pomagając mi podnieść się z ziemi. Myślę, że w tym okresie, a był to początek doświadczeń w obozie, więc i dla obsługi coś szokującego" (62).

„Ludzkie przejawy u Niemców, w ich więzieniach i obozie koncentracyjnym Ravensbrück są sprawą bardzo złożoną. Z jednej strony dotyka ona najokrutniejszych, niewyobrażalnych zbrodni, jakich doświadczyły więźniarki, a z drugiej sięga po sporadycznie wyrażone odruchy ludzkiego serca i ludzi z samego kręgu oprawców. Można przypuszczać, że te jednostki swą przynależność odczuwały jako klęskę moralną i chcąc zrekompensować własne sumienie, starały się ulżyć doli więźniarek, choć wiedziały, że czeka je podobny los, gdyby to przestępstwo zostało odkryte przez współtowarzyszy" (134)..

Pisząca to więźniarka ma bogate doświadczenie, przeszła przez osiem więzień i ponad cztery lata była w obozie. W swoich wspomnieniach przytacza fakty przenoszenia i wysyłania listów przez strażników *SS* i liberalną postawę niektórych *aufseherek* pilnujących więźniarek przy pracy. Nie wiadomo, czy dla wielu byłych więźniarek tego obozu, które nie doznały żadnej ulgi ze strony oprawców, w ogóle istnieje ten problem.

Warto dodać, że sprawa uczuć powraca w licznych refleksjach poobozowych, ale już w ujęciu wartościującym, określającym ich znaczenie dla zachowania godnej, ludzkiej postawy, a nawet przeżycia obozu. „Zwrot ku drugiemu człowiekowi był potwierdzeniem człowieczeństwa" — pisze długoletnia więźniarka (13).

„Solidarność, wzajemna pomoc, życzliwość koleżeńska były tak silne w obozie, że to pomogło nam nie tylko przeżyć, ale zachować godną, ludzką postawę" (4).

„Gdy z odległości lat patrzę na mój pięcioletni pobyt w obozie, stwierdzam, że największą naszą siłą była solidarność, wzajemna pomoc, patriotyzm, życie religijne i przykład wspaniałych Polek, a także nadzieja na powrót do Polski" (121).

„Kiedy wspominam nasze przeżycia obozowe i naszą postawę w obozie, muszę powiedzieć, że nasza solidarność i odpowiedzialność za słabsze koleżanki wynikała z patriotyzmu. Świadomość, że cierpimy dla Polski, dawała nam siłę wewnętrzną" (119).

Przyjaźń, ludzka dobroć i poświęcenie dla człowieka przesłoniły pamięć cierpień obozowych.

„Teraz, po latach, gdy zbladły odczucia cierpienia, poniżenia, pogardy i tęsknoty za najbliższymi, myślę o obozie jako bardzo ciężkiej, ale wielkiej i znaczącej części życia. Nigdy nie pragnęłam wykreślić z myśli czterech obozowych lat, bo prócz cierpienia poznałam szczęście przyjaźni, ludzkiej dobroci i prawdziwego poświęcenia człowieka dla człowieka" (6).

Do najpiękniejszych przeżyć zaliczono: przyjaźń, ofiarność i odwagę w niesieniu pomocy innym.

„W obozie działy się rzeczy straszne (...), ale były i inne chwile i przeżycia, które tak głęboko tkwią do dziś w mojej świadomości i są najpiękniejszymi z przeżyć, jakie stały się moim udziałem. Najpiękniejsze przyjaźnie, ofiarność, nieraz bezgraniczna odwaga w niesieniu pomocy innym były tym elementem, jakiego nie zdoła się odnaleźć w życiu normalnym wśród najbliższego nawet grona osób, gdyż nie ma tej scenerii grozy i konsekwencji, których nie dało się nigdy przewidzieć (115).

Być potrzebnym, być użytecznym — to najważniejsze dla człowieka:

„W obozie można się było przekonać, że duch człowieka nie jest tylko częścią ciała, funkcją komórek układu nerwowego, ale że ma jakąś niezależność, odrębność, która potrafi być motorem i dyktować swoje nadrzędne prawa. Przeżywałyśmy w obozie warunki zmierzające do zniszczenia nas, eksterminacji: stałe zagrożenie życia, straszliwy głód, zimno, ponad siły pracę fizyczną, tragiczne warunki higieniczne z ogromnym zawszawieniem — a pomimo tego nie pamiętam okresu w obozie, w którym nie istniałoby, ba, nie kwitło życie psychiczne, intelektualne, uczuciowe, artystyczne (...). Wysublimowane w najwyższym stopniu, nie mające niemal materialnego oparcia, życie duchowe dowodziło, że duch ludzki potrafi istnieć i trwać w oderwaniu od ciała. Dziś, gdy zdaję sobie sprawę, że życie duchowe i spójnia społeczna ocaliły nas od zagłady i upodlenia, od utraty godności ludzkiej, wydaje mi się, że najwyższym elementem tego życia duchowego było uczucie. Uczucie rozumiem tu jako związek z czymś czy kimś, który staje się tak silny, że jest ważniejszy niż własne życie. Mogły to być uczucia patriotyczne, religijne czy związki z innymi osobami. Stąd zrodziło się poczucie, które pozwalało żyć: było się potrzebnym, było się użytecznym" (96).

Przytoczone refleksje poobozowe potwierdzają — nawet z perspektywy czasu — jak wielkie znaczenie w życiu uwięzionych Polek miały uczucia, od przyjaźni i patriotyzmu do najwznioślejszych uczuć religijnych, z których przykazanie o miłości bliźniego było tam imponująco urzeczywistniane. Dla bardzo wielu Polek w Ravensbrück punktem odniesienia były wartości duchowe, a wiara w istnienie transcendencji była podporą dla sił moralnych. Były tam ciężkie próby moralności ludzkiej, ale były też piękne wzorce ludzkiej osobowości. One promieniowały swymi zaletami i stawały się pomocą dla słabszych. W świecie, w którym pozbawiono kobiety wszelkich materialnych wartości, a zbrodnia i przemoc tryumfowały bezkarne, wartości duchowe, w tym przede wszystkim dodatnie uczucia, zadecydowały nie tylko o zachowaniu, ale i rozwoju człowieczeństwa.

ŹRÓDŁA

SPIS RESPONDENTEK

Spośród 153 respondentek wymieniamy 31, które nadesłały najistotniejsze relacje na ten temat i zostały zacytowane w tekście. Wszystkim należy się serdeczne podziękowanie za trud włożony w wywołanie znów przeżyć z koszmarnego okresu i udzielenie relacji. W nawiasach są podane kolejne liczby ankiet z ogólnego spisu, uwzględnione w tekście artykułu. Podano numery obozowe w Ravensbrück.

1 (3). Nina *Bieńkowska-Cyplik* nr 7569; 2 (4). Marta *Baranowska* nr 6738; 3 (6). Henryka *Bartnicka-Tajchert* nr 7618; 4 (7). Zofia *Bastgen* nr 41085; 5 (12). Teresa *Bromowicz* nr 74530; 6 (13). Anna *Burdówna* nr 3048; 7 (16). Halina *Chorążyna* nr 7859; 8 (26). Zenobia *Dubińska* nr 10206; 9 (27). Maria *Dydyńska* nr 6137; 10 (16). Alicja *Gawlikowska-Świerczyńska* nr 7805; 11 (36) Mirosława *Grupińska* nr 11956; 12 (41). Janina *Janowska-Tyszkiewicz* nr 3844; 13 (43). Mieczysława *Jarosz-Czajka* nr 11287; 14 (48). Józefa *Karaśkiewicz-Kaczmarek* nr 34054; 15 (58). Stefania *Kluska-Kluszczyńska* nr 8793; 16 (62). Zofia *Kormańska-Kolańska* nr 7684; 17 (71). Janina *Krygier* nr 4420; 18 (76). Joanna *Kukulska* nr 7019; 19 (93). Maria *Mieczkowska* nr 10315; 20 (96). Joanna *Muszkowska-Penson* nr 7804; 21 (105). Maria Zofia *Orlicz* nr 71278; 22 (114). Wiktoria *Ryczkowa* nr 7557; 23 (115). Halina *Ryffert* nr 13955; 24 (119). Stanisława *Schöneman-Łuniewska* nr 7252; 25 (121). Władysława *Sikora* nr 3643; 26 (120). Renée *Skalska* nr 4609; 27 (134). Stanisława *Szczeblik-Roczniakowa* nr 7305; 28 (128). Teresa *Taczuk* nr 11217; 29 (139). Zofia *Uhmowa* nr 11217; 30 (149). Wanda *Wojtasik-Półtawska* nr 7709; 31 (153). Urszula *Wyrwicz-Broniatowska* nr 79826.

Uczucia Polek w obozie koncentracyjnym Ravensbrück i ich rola w kształtowaniu obronnej postawy nie były traktowane jako wyodrębniony problem w pracach dotychczas opublikowanych, a dotyczących tego obozu. Najbogatsza literatura o Ravensbrück powstawała w pierwszym piętnastoleciu po wyzwoleniu. Wtedy tragiczne przeżycia obozowe tkwiły jeszcze głęboko w świadomości byłych więźniarek i musiały być ujawnione w najbardziej bezpośredniej formie: we wspomnieniach, jak np. Wandy *Dobaczewskiej* pt. Kobiety z Ravensbrück (Warszawa 1946), Michaliny *Woźniak* pt. Ravensbrück. Moje wspomnienia (Poznań 1946), Wandy *Półtawskiej* pt. I boję się snów... (Warszawa 1962), Heleny *Tyrankiewiczowej* pt. Ravensbrück (Pamiętniki nauczycielki, Warszawa 1962), Urszuli *Wińskiej* pt. My się bronimy (tamże). Znajdują się w nich, co jest oczywiste, okazjonalne wzmianki o przyjaźni, życzliwości, poświęceniu, ale nigdzie te uczucia nie zostały wyeksponowane jako znaczący problem. Świadomie unikano wtedy wspomnień związanych z przeżyciami religijnymi, a sprawa uczuć patriotycznych była tak oczywista, że ujawianie ich wydawało się truizmem.

Również wśród prac zagranicznych o tym obozie nie znajdujemy problematyki uczuć jako samoistnego tematu. Natomiast znajdujemy różną interpretację i ocenę polskiej wspólnoty obozowej, ukształtowanej na podłożu różnorakich uczuć. Germaine *Tillion*, etnolog z zawodu, w pracy pt. À la recherche de la vérité (w: Les Cahiers du Rhône — Ravensbrück, Neuchâtel 1946, s. 32) pisze: „Polki były po *SS* władczyniami obozu. (...) Niemal wszystkie ważniejsze stanowiska były w ich rękach (...). Administrowały w obozie w Ravensbrück tak, jak administrowały biedną Polską — z lekkomyślnością, z egoizmem, ze zbrodniczym (*avec criminelle*) brakiem zmysłu społecznego". Trudno o większe niezrozumienie sytuacji obozowej, a użycie paszkwilu odsłania motywy autorki. Przybyła ona do obozu 21 października 1943 r. i, jak sama wspomina, nie znała wcześniejszej sytuacji, gdy na funkcjach były Niemki kryminalistki. W r. 1943 Polki rzeczywiście dominowały na funkcjach i w dogodniejszych miejscach pracy, ale to był zamierzony sukces podziemnego ruchu oporu, nie tylko polskiego. (W maszynopisie pracy piszącej te słowa, pt. Zwyciężyły wartości, złożonym w Wydawnictwie Morskim, przedstawiono rolę funkcyjnych Polek w walce z aparatem ludobójstwa).

Inaczej zrozumiała i właściwie oceniła sytuację obozową i rolę Polek Margaret *Buber-Neuman* w książce pt. Als Gefangene bei Stalin und Hitler (München 1949, s. 176). Wspominając o swoich kontaktach z Polkami, napisała, że wkrótce po jej przybyciu do obozu Polki zaproponowały wysunięcie jej na funkcję blokowej, aby pozbyć się blokowej tyrana, Minny *Rup*. Broniła się przed tym, ale Polki nalegały i obiecały pomoc. „Skapitulowałam w końcu — pisze *Buber-Neuman*. — Do dziś jednak tajemnicą pozostaje fakt, w jaki sposób i jakimi drogami Polki dochodziły swoich celów w kształtowaniu możliwego do współżycia obozowego środowiska" (cytat w przekładzie Anny *Gabiś*, nr w Ravensbrück 7282).

Dopiero w r. 1978 zainteresowano się specjalnie i obszernie — z perspektywy przeszło trzydziestu lat — sprawą uczuć w obozie. Ukazała się wtedy w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" praca Z. *Jagody*, S. *Kłodzińskiego* i J. *Masłowskiego* pt. Przyjaźnie oświęcimskie; w niej, jak się wydaje, po raz pierwszy poddano uczucie obozowe jako problem badawczy naukowej refleksji. Autorzy przeprowadzili tematyczne badanie ankietowe wśród byłych więźniów. Na podstawie kilkudziesięciu (90) wypowiedzi, poddanych wnikliwej analizie, określili genezę przyjaźni obozowej, jej przejawy, znaczenie i trwałość. Przyjaźń — w tym świecie na opak — nie mogła być zjawiskiem powszechnym, gdyż pożywką dla niej musiały być uczucia pozytywne, jak życzliwość, uczynność, wyrozumiałość, dobroć. Rodziła się w różnych okolicznościach i między różnymi osobnikami, niezależnie od wieku, wykształcenia czy statusu społecznego na wolności. Zbliżały wspólne cierpienia, przeżycia i podobny stosunek do uznanych wartości. Znaczenie przyjaźni było w obozie spotęgowane, gdyż wśród wrogiego otoczenia uwalniało od uczucia samotności i, jak stwierdza jeden z respondentów, „ratowało człowieczeństwo".

Druga praca wymienionych trzech autorów, pt. Agresja i agresywność w obozie oświęcimskim (Przegl. Lek., 1980, nr 1, s. 43—75), poświęcona jest przeciwieństwu uczuć z poprzednich badań. Musiały się one narzucić samorzutnie jako istotny problem badawczy, ponieważ cały system obozów hitlerowskich opierał się na przemocy i agresji. Wstrząsające w swej wymowie relacje byłych więźniów dostarczyły obfitego materiału do wszechstronnej analizy, jaką przeprowadzono. Dokonano też próby usystematyzowania tego typowego dla obozów koncentracyjnych zjawiska, określając: tło i źródła agresji i agresywności, typy agresorów, mechanizmy i objawy agresji, a także reakcję na agresję. Agresja była zawsze po stronie silniejszych, a najbardziej na agresję narażony więzień słaby, chorowity, ułomny. Zarówno w jednej, jak i drugiej pracy autorzy przytoczyli wiele wypowiedzi. Stanowią one nie tylko potrzebną egzemplifikację, ale umożliwiają głębsze spojrzenie na sprawy obozowe i mogą inspirować dalsze badania specjalistyczne.

Niezależnie od uniwersalności wielu spostrzeżeń w tego rodzaju badaniach, opartych w zasadzie na materiale jednego, wybranego, w jakiś sposób reprezentatywnego obozu, niewątpliwie znaczenie swe mają również spostrzeżenia jakby jednostkowe, a także osobliwy charakter obozu; w wypadku Ravensbrück, będącego przedmiotem tego artykułu, chodzi o obóz kobiecy (układ uczuć częściowo zdeterminowany biologią płci) i wielonarodowościowy.

ZENON JAGODA, STANISŁAW KŁODZIŃSKI, JAN MASŁOWSKI Kraków

Samolecznictwo więźniów Oświęcimia

WYJAŚNIENIA WSTĘPNE

„Medycyna za drutami", rozumiana jako określony, dziwaczny, nierzadko (paradoks!) wyniszczający, ale za to zorganizowany system leczenia więźniów, którym zajmował się mniej więcej wykwalifikowany personel medyczny spośród więźniów, a także i esesmanów, była już wielokrotnie przedmiotem wnikliwych opracowań naukowych, barwnych wspomnień i luźnych uwag. Jakże odmiennie, ubogo, przedstawia się wiedza o nierzadkich przecież próbach samoleczenia się więźniów, którzy świadomie rezygnowali z usług bardziej fachowych sił medycznych, obawiając się jak ognia wszystkich groźnych konsekwencji poddawania się oficjalnemu leczeniu. Nie tylko bowiem nie gwarantowało ono wyleczenia, ale stwarzało poważne zagrożenie dla więźnia, przede wszystkim ze względu na masowe selekcje w szpitalu obozowym. Wiadomo było także dość powszechnie, że w rewirze ograniczone były możliwości leczenia z powodu braku leków, środków opatrunkowych i przepełnienia.

Można było poza tym łatwo zarazić się innymi chorobami.

Nie tylko zresztą o rezygnację więźniów mogło tu chodzić. Trudności piętrzyły się także przed chcącymi skorzystać z usług lekarzy w rewirze. System przyjmowania do rewiru nie był bynajmniej prosty. Chory, często słaniający się na nogach, mógł być uznany za symulanta, mnożyły się opory przeciw traktowaniu więźnia jako chorego ze strony sztubowych, blokowych, kapów, *vorarbeiterów, rapportfürera,* funkcjonariuszy ambulansu, tj. ambulatorium obozowego itd.

Nic też dziwnego, że w tej sytuacji więźniowie uciekali się do wypróbowanych, nieprofesjonalnych sposobów walki z chorobą. Odżyła w całej pełni w obozie tzw. „medycyna ludowa", święcąca tu, w ekstremalnych i infernalnych warunkach, swoje triumfy, ale także przeżywająca kompromitujące porażki. Liczyły się i miały wzięcie wszystkie dostępne, przeważnie prymitywne sposoby leczenia, mające nieraz wzory ze starożytności i średniowiecza, ale i te, o których więźniowie dowiadywali się w przeszłości na różnych kursach sanitarnych, w harcerstwie itp.

Także polska służba zdrowia, m. in. lekarze więźniowie i pielęgniarze, nie tylko leczyli w rewirze, ale i starali się doradzać chorym pracującym w komandach więźniom i zaopatrywali ich w wynoszone z rewiru leki, słowem — organizowali samolecznictwo. Konkretne przykłady tych wszystkich rodzajów samoobrony więźniów w ich walce o własne zdrowie nieczęsto trafiają się w literaturze obozowej, brak też jest ich usystematyzowania.

W celu uzyskania możliwie wyczerpującego wglądu w te sprawy — trudne do objęcia przez jednego czy nawet kilku więźniów — wysłaliśmy w latach 1975—1977 kilka serii ankiet-apeli do byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki. Otrzymało je 421 osób, w tym 330 mężczyzn i 91 kobiet. Prosiliśmy w ankiecie o skoncentrowanie się na własnych problemach zdrowotnych, na ścisłych obserwacjach otoczenia lagrowego pod kątem roboczo sformułowanego problemu: „Medycyna ludowa w obozie oświęcimskim". Pisaliśmy m. in.:

„Wiele zagadnień z tego zakresu zostało już omówionych w literaturze o obozach, m. in. w »Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim«, np. lista i opis chorób w obozie i ich odległych następstw, struktura obozowej służby zdrowia, zbrodnicze eksperymenty, zagadnienia selekcji, fenolu, odwszawiania, stosunek *SS* do chorych, organizacja przemytu leków itp. Nie chcemy tych szczegółów powtarzać, zależy nam natomiast głównie na uzyskaniu nowych informacji i relacji o nieznanych faktach, np. o tzw. medycynie ludowej w lagrze, o próbach unikania chorób dzięki wiedzy sanitarnej zdobytej wcześniej, nabytej w więzieniu i już w obozie, o hartowaniu się, o indywidualnych domorosłych próbach »kuracji«, o stosowanych różnych, zwykle prymitywnych środkach i zabiegach, o stopniu ich skuteczności itp. (...) Pożądane są charakterystyczne przykłady ratowania zdrowia, opisy znamiennych epizodów oraz doznań, refleksje ogólniejsze itp., wszystko zresztą, co może wzbogacić tę problematykę."

Rezultaty naszej kwerendy były następujące: Otrzymaliśmy 81 obszerniejszych odpowiedzi, w tym 64 od mężczyzn, co stanowi 79%, i 17 od kobiet (21%).

Nawet w tych specjalnie zebranych relacjach konkretne szczegóły dotyczące ściśle tzw. „medycyny ludowej", czyli mówiąc precyzyjniej: samolecznictwa więźniów, stanowią niewielką część uzyskanych informacji, więźniowie bowiem wypowiadają się o tych sprawach zazwyczaj na obszernym, często bardzo znacznie rozbudowanym tle takich okoliczności, jak głód, chłód, brud, złe warunki sanitarne, brak snu, stałe napięcie psychiczne, zagrożenie życia, tortury, nadmierne obciążenie wyniszczającą pracą, które prowadziły do utraty zdrowia w więzieniu, w śledztwie i w obozach. Zwykle też opisują oni swoje dolegliwości i choroby, co nieraz ułatwia identyfikację rozpoznań. Najczęstsze w otrzymanym materiale są opisy dotyczące durchfalu i świerzbu. Dużo się w związku z tym pisze o stosowaniu węgla (aby powstrzymać biegunkę) i własnego moczu (leku na choroby skórne).

Początkowo (także w ankiecie) posługiwaliśmy się terminem „medycyna ludowa", który — w świetle otrzymanego materiału — okazał się za wąski, chodziło bowiem o szeroko rozumiane, nieprofesjonalne sposoby ratowania czy umacniania zdrowia w obozie (leczenie, zabiegi), bez bezpośredniej interwencji czy doradztwa fachowej siły medycznej. O wiele bardziej adekwatny okazał się z dawna będący w użyciu termin „samolecznictwo". Tym też terminem zdecydowaliśmy się posłużyć w określaniu tego dość ważnego zjawiska obozowego i ważnych dla życia więźniów procesów samoobrony.

Na zakończenie ogólnych uwag wstępnych warto jeszcze może stwierdzić, że jak wynika ze sporadycznych rozmów przeprowadzonych z więźniami różnych obozów, już po uzyskaniu materiałów od byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki zagadnienie samolecznictwa więźniów przedstawiało się zasadniczo podobnie; podobne też były warunki leczenia się więźniów w rewirach, te same choroby i epidemie wywoływały podobne reakcje, postawy, zachowanie i działanie w stosunku do własnego zdrowia, podobne też stosowano namiastki leków i podobnym poddawano się zabiegom.

WIĘŹNIOWIE A CHOROBY I CHOROWANIE W OBOZIE

Już w pierwszych dniach pobytu w obozie koncentracyjnym, takim jak Oświęcim-Brzezinka, stawało się dla większości więźniów oczywiste, że zastane tu warunki bytowania, traktowanie więźniów przez dozorców obozowych, znęcanie się nad nimi fizyczne i psychiczne musi prowadzić do groźnych chorób, ciężkich urazów, a w konsekwencji do mniej lub bardziej szybkiego wyniszczenia i śmierci. Natychmiast nieomal przekonywali się na własnej skórze o racji „witającego" ich w obozie *lagerführera,* głoszącego, że Oświęcim to nie sanatorium i przeżyć w nim nawet krótki czas jest prawdziwą sztuką.

Brakowało tu wody, urządzeń sanitarnych, nie można było przestrzegać najprymitywniejszych zasad higieny, sposoby zaś przygotowania do życia w obozie (procedura rejestracyjna, tzw. „sport", musztra, szykany) były tego rodzaju, że od razu niszczyły najsłabszych, a skrajnie osłabiały ludzi zdrowych i młodych.

Rzeczy to na ogół znane, ale kiedy piszą o nich więźniowie, którzy zeznają w sprawie sposobów leczenia się na własną rękę i mówią o próbach

ratowania zdrowia w sytuacjach dla nich beznadziejnych, ich wypowiedzi nabierają specjalnego wyrazu i stanowią istotne preludium do tematu właściwego, uwiarygodniają bowiem zdawałoby się niepojęte i absurdalne próby samoleczenia.

Oto kilka świadectw byłych więźniów w sprawie stanu sanitarnego w obozie i związków między tym stanem (a także traktowaniem więźniów przez personel obozowy) a zachorowalnością w obozie.

„Pobity, idę na blok rejestracyjny; strzyżenie, odwszawianie itp., rozebrani na Adama. Puszcza się wodę wrzącą, a potem zimną i to kilka razy, później na pole, na tak silny mróz, jaki był w 1940 r. Choroby zaraz oczywiście się nabyło, ale chorych tutaj nie ma, gorączki się nie uznaje, lekarzy nie ma, jedynie się powiesić albo wysokie napięcie da zaraz wolność, litości nie ma" (Antoni *Kubica*).

„W roku 1940 na terenie obozu była dostępna dla więźniów tylko jedna studnia, z której pompowano wodę ręcznie, używaną zarówno do utrzymania czystości, jak też do gotowania posiłków. W tym czasie stan więźniów w obozie oscylował pomiędzy tysiącem w czerwcu i 7800 w grudniu, a czas przeznaczony na zabiegi higieniczne wynosił nie więcej niż dwie godziny na dobę. Innymi słowy, gdyby każdy z nas chciał się codziennie umyć pod wodą bieżącą, musiałby to uczynić w czerwcu 1940 roku w ciągu 8 sekund, w grudniu tegoż roku natomiast w ciągu 1 sekundy. Wprawdzie w lipcu 1940 r. zainstalowano w obozie kilka zbiorników metalowych, z których można było czerpać wodę do mycia, ale zabieg ten połączony był z takimi szykanami ze strony funkcyjnych, że niejednemu odniechciało się korzystania z tych prymitywnych urządzeń. Z drugiej strony niemieckie zamiłowanie do porządku i czystości powodowało, że władze obozowe nakazywały wszystkim więźniom przestrzeganie czystości, a więźniowie brudni byli bici i surowo karani" (mgr Eugeniusz *Niedojadło*).

„Na całą sztubę, dużą, w którą wpakowano pół innego bloku, dano na noc cztery małe, kilkulitrowe »faski« po sałatce śledziowej z kantyny. Te faski miały służyć kilku setkom (ponad 500) ludzi jako niezbędne naczynia, gdy ktoś nie wytrzymał do rana z potrzebą naturalną. W owym czasie (1941) nie było w bloku nr 11 ubikacji, do których wolno by wychodzić w nocy. A więc wszyscy musieli załatwić potrzeby »grubsze« przed nocą i wytrzymać do rana, a na potrzeby »cieńsze« postawiono na wszelki wypadek te cztery faski. Razem to 10 litrów na całą noc dla ponad pół tysiąca ludzi. Okna były otwarte, gdyż zaduch był okropny, Spaliśmy jak zwykle pokotem, na boku, całymi rzędami" (dr Jerzy *Mostowski*).

„Wkrótce warunki obozowej wegetacji zaczęły nas dziesiątkować. Pozbawione wody, urządzeń sanitarnych, bez możności stosowania choćby najbardziej prymitywnej higieny, stale głodne, skazane na ciężką pracę i wyczerpujące apele, na chłód i moknięcie, spanie na zatłoczonych kojach, groźbę selekcji i przebywanie w barakach pełnych wszelkiego robactwa i szczurów — żyłyśmy z dnia na dzień, bite pejczami, kijami, kopane i mieszane z błotem (...)

Pierwsza obozowa choroba — to była biegunka (*durchfal*), której towarzyszyła podwyższona temperatura i nie do opanowania pragnienie. Kobiety w drodze do pracy lub w miejscu zatrudnienia piły wodę z kałuż albo ze stawu obłożonego rzęsą. Głód powodował, że dokarmiały się zielskiem, szczawiem, lebiodą, mleczem. Później gdy w obozie pod gołym niebem zainstalowano urządzenie z kilku rur natryskowych, po przyjściu z pracy więźniarki tłoczyły się przy tej konstrukcji, mającej obsłużyć cały obóz, szarpiąc się, żeby zdobyć jeden łyk" (Jadwiga *Trębasiewicz*).

„Jesienią 1942 r., kiedy przybyłam do obozu, było brak podstawowych warunków higieny, co spowodowało epidemię tyfusu plamistego, brzusznego, infekcji biegunki i ogromną ilość zachorowań na czyraki. Przede wszystkim był zupełny brak wody do mycia, tak że (...) nie myłam się przez pierwsze dwa miesiące. Później, kiedy nawiązałam kontakty z otoczeniem, wiedziałam, że można zorganizować garnuszek wody w kuchni. Nie było klozetów i na początku chodziło się do dołów wykopanych na tyłach baraków pod drutami. Spanie było tak zorganizowane, że kobiety leżały na koi jedna przy drugiej, tak ściśnięte, że aby wyjść, musiały się wszystkie razem wysunąć. Wszy, które oblegały koszule i suknie, przenosiły zarazki tyfusu. Panowała epidemia tyfusu w obozie i ludzie umierali setkami dziennie. Ja sama przechorowałam się bardzo ciężko na tyfus i zainfekowałam się czyrakami" (dr Helena *Wiązownicka-Gawędowa*).

„Chodzi mi o obóz w Brzezince, w którym właśnie przebywałem. Na początku 1943 r. były pobudowane budynki umywalni i ustępów za barakami mieszkalnymi. Jednakże styczeń, luty i marzec tego roku — to miesiące, kiedy nie było w tych urządzeniach wody, bo była puszczana przez parę godzin na dobę lub wcale. W tych warunkach nie było prawie mowy o myciu. Straszliwy brud sprzyjał powstawaniu czerwonki i tyfusu plamistego. Byliśmy szczególnie wyczuleni, aby w miejscu pracy się umyć. Niewiele to jednak pomagało, bo szczególnie służba blokowa nie przestrzegała nawet prymitywnych warunków sanitarnych" (inż. Czesław *Łyjak*).

Nie trzeba tych wypowiedzi specjalnie uzupełniać stwierdzeniem, że nad więźniem wisiała ustawiczna groźba zachorowania w obozie, a sama już świadomość nieuchronności choroby i bardzo niepewnego jej rezultatu była dla ogromnej większości więźniów jednym z uporczywie działających, rozkładających ich morale stresów.

Dręczący dylemat na tym tle stanowiła także decyzja, co robić, kiedy choroba stawała się rzeczywistością. Stosunek więźnia do własnej choroby mógł być — w zależności od stanu fizycznego i psychicznego — bierny lub czynny, a postawa wobec choroby optymistyczna lub pesymistyczna. Każda decyzja mogła przesądzić o śmierci lub dalszej egzystencji w obozie. Więzień musiał zatem podejmować trudne decyzje (czasem tylko decydowali za niego inni) czy korzystać z pomocy rewiru — przy ogromnym ryzyku, czy też leczyć się samemu, co także przecież było ryzykiem, szczególnie w chorobach ostrogorączkowych lub uniemożliwiających poruszanie się i pracę.

Na tym nie kończyły się jeszcze dylematy. W lagrze chorujący był zasadniczo zdany na siebie ewentualnie mógł liczyć na najbliższych przyjaciół, sam także musiał zatem kierować swym leczeniem bądź korzystać z rad bliskich kolegów. Natomiast rewir zwalniał go od kierowania tym postępowaniem, gdyż na ogół lekarze w rewirze pomagali w wyleczeniu. Ale, z kolei, w żadnym wypadku nie mogli gwarantować życia, choćby tylko ze względu na różnego rodzaju selekcje, które czasami były nie do uniknięcia. W wyjątkowych wypadkach chorym leżącym w rewirze pomagali też dodatkowo przyjaciele i w ten sposób wpływali korzystnie na przebieg choroby. Prawdą też było, że ci przyjaciele — jeśli się ich miało — czasami obronili przed nieodwracalnymi konsekwencjami już podczas pobytu więźnia w rewirze.

W rzeczywistości obozowej sprawa była oczywiście bardziej skomplikowana niż można wnosić z powyższego, schematycznego przecież zarysu sytuacji chorego. W związku z tą sytuacją, o której bardziej konkretnie i szczegółowo powiedzą za chwilę sami byli więźniowie, kształtowała się też określona „taktyka", „strategia" czy też codzienna „polityka" zdrowotna więźniów.

Istotną konsekwencją oceny własnego położenia w tym zakresie było: po pierwsze, unikanie za wszelką cenę pójścia do szpitala obozowego, a nawet kontaktu sporadycznego z obozową służbą zdrowia, np. w ambulatorium, po drugie — działanie profilaktyczne w miarę skromnych możliwości więźnia, po trzecie zaś rozwój samolecznictwa na skalę nigdy nie spotykaną w życiu normalnych społeczeństw.

Przypatrzmy się dokładniej wszystkim motywom postępowania więźniów obozu, ponieważ konsekwencje tu wyróżnione nie są dziś wystarczająco jasne, przeciwnie — są nawet trudno zrozumiałe dla niezorientowanych w życiu obozu koncentracyjnego, a w każdym razie budzą zainteresowanie z punktu widzenia zarówno psychologii jednostek poddanych podobnym doświadczeniom życiowym, jak i psychologii zbiorowości, zarówno z punktu widzenia historii obozu oświęcimskiego, jak i współczesnej socjologii medycyny. Oddawać tu będziemy, jak zwykle zresztą, głos samym najbardziej zainteresowanym, wiarygodnym świadkom tamtych zdarzeń — byłym więźniom obozu oświęcimskiego.

Pierwszym problemem jest tutaj unikanie leczenia szpitalnego i w ogóle oficjalnej obozowej medycyny, a w rezultacie tego ukrywanie chorób i dolegliwości. Wśród więźniów ugruntowało się silne przekonanie — oparte na codziennych obserwacjach i relacjach pacjentów — przede wszystkim o nieludzkim charakterze obozowej medycyny, o jej bezsilności wynikającej z braku leków i minimalnych możliwościach naprawdę zaangażowanych w leczenie więźniów lekarzy i personelu pielęgniarskiego, o strasznych warunkach sanitarnych panujących w szpitalu.

Oto zarys tej problematyki we fragmentach wypowiedzi Heleny *Dunicz-Niwińskiej*, sygnalizujących także niebłahy problem pomocy dla więźniów przebywających w rewirze:

„Na rewirze nie było oczywiście mowy o oficjalnym leczeniu. Całym »dobrodziejstwem« rewiru była tylko możliwość leżenia na pryczy (na zawszonym i zgniłym, nigdy nie zmienianym po poprzednich chorych barłogu) i zwolnienie od stania na rannych i wieczornych apelach. (...) Personel lekarski był bezradny, gdyż nie dysponował żadnymi lekami. Lekarka mogła udzielić jedynie rady, jaki lek należy w danym wypadku zdobyć drogą zabiegów »prywatnych«, czyli »organizowania«. (...) Z powodu braku leków chorych właściwie nie leczono. Albo organizm zwalczał sam chorobę, albo chory słaby umierał. Najczęściej zresztą na rewirze wpadało się z jednej choroby w drugą, np. z biegunki w tyfus, z tyfusu w zapalenie płuc itd., i organizm ulegał coraz większemu osłabieniu.

O ile pamiętam, w okresie mojego pobytu na rewirze lekarki dysponowały okresowo tylko niewielkimi ilościami węgla przeciw biegunce i niewielkimi ilościami maści przeciwko świerzbowi, którym z reguły zarażał się na rewirze każdy chory. Bardzo powszechnie panującej na bloku rewirowym flegmony nie leczono, jedynie zmieniano chorym raz dziennie opatrunki, tj. zakładano nowe bandaże z papieru toaletowego. Pamiętam okresy, kiedy nawet tych »bandaży« brakło.

Większość chorych leżała w owym okresie nago, na zgniłych, przemokłych od moczu i fekaliów »siennikach«. Pluskwy i wszy nękały nas dniem i nocą. Chore mogące już usiąść na pryczy wypełniały sobie czas szukaniem i duszeniem wszy, które osiągały ogromne rozmiary, ale była to praca syzyfowa. Kiedy więc chora zaczynała czuć się nieco lepiej i mogła zrobić parę kroków, usiłowała czym prędzej opuścić rewir. W tym okresie na moim bloku rewirowym leżało około 700—800 chorych, a w ciągu nocy umierało 80—100. (...)

Podsumowując moje doświadczenia z rewiru, muszę podkreślić, że udało mi się z niego wyjść jedynie dzięki zorganizowanej pomocy koleżanek więźniarek. I myślę, że to stwierdzenie można uogólnić: bez czyjejś pomocy więzień — zdany jedynie na siebie — nie mógł obozu przeżyć. Ta pomoc musiała mieć wiele ogniw, cały łańcuch ofiarnych, świadomych niebezpiecznej gry więźniarek i więźniów, którzy udzielali pomocy potrzebującym. Każdy więzień, który przekradał się do chorego na rewir, był narażony nie tylko na szykany *Nachtwache*, ale na natknięcie się na esesmana czy *aufseherkę* i wiadome następstwa; każdy dostarczający i przenoszący leki czy coś do jedzenia czy picia był również narażony na rewizję i odpowiednie kary do bunkra włącznie. Wysokość kary nie zależała przecież od przepisów, lecz od humoru władzy. Oczywiście lekarze-więźniowie i pielęgniarki udzielający tej nieoficjalnej pomocy narażali się podobnie. Mimo ostrożności każdej chwili mógł wpaść na blok esesman i przyłapać lekarza np. na robieniu zastrzyku czy znaleźć u niego dostarczone mu tajną drogą leki."

W otrzymanych przez nas materiałach jest mnóstwo materiałów dotyczących traktowania więźniów — pacjentów szpitali czy ambulatoriów obozowych. Są to — bez najmniejszej przesady — świadectwa wstrząsające, mówiące tak o zwyrodnieniu lekarzy i pielęgniarzy, jak i o całym systemie leczenia, w którym zachowanie urągające humanitaryzmowi stawało się w tamtych warunkach czymś zwykłym, naturalnym, nawet nieuniknionym. Wystarczy tu kilka próbek tych wypowiedzi, aby zrozumieć sygnalizowany już, powszechny odruch niechęci do pójścia do rewiru, skąd wychodziło się rzadko, także, a może przede wszystkim, z powodu częstych selekcji:

„Przy rannych apelach esmani pytali się: *Wer ist krank?* (Kto jest chory?). Kto był naiwny i rzeczywiście chory, zgłaszał się. Wszystkich ich zgromadzono za kuchnią i tam dwóch czy też trzech esmanów zbiło ich kijami i pobitych, zmasakrowanych zostawiło na kupie. Esman wrócił do stojącego »bloku« i powiada do wszystkich: Ja jestem lekarz główny — potrafiłem za pół godziny wyleczyć pięćdziesięciu ludzi! Nie było mowy o leczeniu, lecz o zabijaniu niezdolnych do pracy" (Andrzej *Gąsienica-Makowski*).

„Straszne i niezapomniane pozostanie moje pierwsze zetknięcie się z *HKB*, kiedy przeprowadzano mnie z izby przyjęć na blok zakaźny i kiedy przez uchylone drzwi do *waschraumu* (umywalni) na parterze tegoż bloku zobaczyłem stos nagich ciał. Zwłoki ułożone były jak drzewo w sągach" (Alojzy *Fros*).

„Blokowa kazała zgłaszać się tym, które czuły się źle lub miały gorączkę. Czułam się fatalnie, ale bardzo bałam się rewiru, toteż poszłam do pracy. Wytrzymałam w komandzie kilka dni, gdy jednak temperatura zaczęła we mnie skakać w górę, w dół, w górę i znów w dół, i febra trzęsła mną jak w epilepsji, a z roboty musiano mnie przyprowadzić, wtedy już nie było wyboru. W ambulatorium zewleczono ze mnie całą odzież i nagą, przykrytą lichym kocem w za małych łapciach, oba z jednej nogi, oddano do przeprowadzenia na blok 17 dwom funkcyjnym Ukrainkom.

Pod pachą ściskałam jedyny skarb, ręcznik frotté, zakupiony za cebulę z ostatniej paczki od ojca. Droga była błotnista, a ja chwiałam się i potykałam, toteż moje konwojentki zaczęły się niecierpliwić i potem wściekać, złorzecząc po swojemu. Mogłam zrozumieć, że jestem »przeklęta« i że im musiało przypaść taszczenie takiej »cholery«. Wymyślania te nie wzmogły moich sił, toteż obkładając mnie bez ustanku stekiem grubiaństw, zaczęły popychać mnie kułakami jedna do drugiej. Za każdym kuksańcem wyciągałam się jak długa, a one czekały, aż się wygramolę z błota i wyprostuję, by znów zacząć od początku. Szybko doszły do przekonania, że za wolno się podnoszę, więc leżącą i utytłaną w błocie zaczęły przynaglać kopniakami.

Droga na rewir nie była drogą do życia. Funkcyjne porzuciły mnie przy wyznaczonym bloku i szybko odeszły. Dowlokłam się do drzwi, otworzyłam i — naga i bosa, gdyż kapcie pogubiłam, z kocykiem w zaciśniętej garści i ręcznikiem pod pachą — wpadłam do środ-

ka jak worek. Zajęła się mną zaraz młoda, nieznana mi lekarka, przywołując do pomocy sztubowe. Umyta w brudnej wodzie, bo w tej samej przedtem były myte inne chore, zostałam ułożona na wolnej, dolnej koi. Koszuli nie dostałam. Naga leżałam na gołym, wypchanym wiórami sienniku, pod głową taka sama poduszka, na której rozpostarłam swój ręcznik" (Jadwiga *Trębasiewicz*).

„Zachorowałem, w pracy traciłem przytomność, kapo poszedł ze mną do lekarza, miałem dobre buty, *flegerzy* chcieli koniecznie, by mnie zostawić na izbie chorych, lecz chcieli zahandlować butami, prosiliśmy z kapą lekarza, więc dał blok szonungowy (»ozdrowieńców«), lecz gdy rano o szóstej na drugi dzień do lekarza *SS* poszedłem, kazano rozebrać się i pod prysznic zimnej wody, obetrzeć nie było czym, szmata mokra, ubrania na korytarzu, a my wszyscy na sali przy otwartych oknach, sypał śnieg, czekaliśmy na lekarza do dziesiątej, potem na korytarzu w kolejce, gdy doszedłem, więc lekarz więzień podawał gorączkę i proponował blok szonungowy czy izbę chorych, mnie powiedział: dwa dni, lecz ten, co pisał, zapisał trzy, potem, zanim pozwolono się ubrać — to było po dwunastej — dopiero wtenczas byłem chory, lekarstw żadnych" (Szymon *Filipski*).

„W jakiś czas po przybyciu do obozu poczułem ból powyżej pośladków. Z czasem zaczął powstawać obrzęk i w nocy męczyła mnie gorączka. W myśl zasady »broń się przed szpitalem« nie szedłem do ambulatorium. W połowie listopada 1943 r. nie byłem już zdolny poruszać się w pracy. Dzięki, że kapo komanda był człowiekiem, tolerował moje niemrawe poruszanie się w pracy. Ale kiedy już z gorączki nie mogłem utrzymać się na nogach, zgłosiłem się do lekarza. W ambulatorium *fleger* przysadzistych rozmiarów przy mierzeniu gorączki i ustawianiu chorych do oględzin lekarskich dał się dobrze we znaki. Był to przedsmak leczenia w obozie. Przed lekarza ja dostałem się bez szturchańców *flegera*. Lekarz o dobrotliwym wyglądzie klasyfikował chorych na dwie grupy; mnie odesłał do grupy, w której byli kandydaci do szpitala. W łaźni traktowano nas bez żadnej taryfy ulgowej, jak (...) ludzi chorych i z gorączką — gorączka była podstawą do szpitalnego łoża. Łazienni, ludzie dobrze odkarmieni, skorzy do figlów i dowcipów, w skutkach przykrych dla nas chorych, zabawiali się puszczając na nas wodę raz bardzo gorącą i na przemian lodowatą. Ażeby nam nie było duszno, otwierano na całą szerokość wrota do małego pomieszczenia łaziennego. Przez czas mycia ograbiono nas ze wszystkiego, co posiadaliśmy, nawet z łyżek. Po oczyszczeniu nas z brudu i z tego, co posiadaliśmy, przychodzili przedstawiciele bloków różnej specjalności medycznej i zabierano nas według zakwalifikowania chorobowego" (Stefan *Krupa*).

„Na rewirze w Brzezince udało mi się uniknąć skierowania do gazu. Mianowicie lekarz esesman zastosował najnowszą »zdobycz medycyny hitlerowskiej« w ten sposób, że polecił chorym przejść z zamkniętymi oczyma po kilkumetrowej, wąskiej desce. Taki był sprawdzian do gazu. Kto z chorych tego nie wykonał, kierowany był na blok 7, który w Brzezince był tą ostatnią »poczekalnią do gazu«. Niestety, takich było bardzo wielu. Mnie zaś, choć miałem podwyższoną temperaturę i osłabiony byłem ogromnie długotrwałą biegunką, udało się przejść tę »ścianę śmierci« dzięki Bogu, kondycji sportowej i odporności psychicznej. A przecież szło też o wielką stawkę — bo o własne życie" (Jan *Kurek*).

„Po wyjściu z rewiru na obóz byłem całkowicie załamany, straciłem zaufanie do leczenia obozowego. Mimo że niejednokrotnie później byłem chory, do końca mego pobytu w obozie nie udawałem się po pomoc do szpitala obozowego" (Jan *Lewicki*).

„Zachorowałem na tyfus plamisty w lipcu 1942 roku. Walczyłem z tą straszną chorobą kilka dni, bojąc się iść na *Krankenbau*. Chodziłem z temperaturą przez kilka dni. Dopiero kiedy padłem na apelu przed blokiem 18, zostałem odwleczony pod blok 28. Tam gromadzono więźniów, którzy leżąc na placu przed budynkiem 28, oczekiwali na przyjęcie do szpitala, często na transport do krematorium, a ściślej — do gazu, bo bardzo często takie akcje prowadzono. Wielu moich kolegów, co wcześniej poszli, trafiło na ten dzień, gdzie wszystkich chorych przyjętych w danym dniu zabierano wieczorem na otwarte samochody i wywożono do gazu, do gazowania. Naturalnie tych, którzy umarli w ciągu dnia, zabierano do krematorium.

Opieki lekarskiej nie było oficjalnie żadnej. Lekarze esesmani nie interesowali się chorym. Jeżeli zwrócono uwagę kiedykolwiek na więźnia chorego, to tylko dla wykorzystania go na królika doświadczalnego i prowadzenia ważnych eksperymentów. Ja miałem trochę szczęścia, gdyż w tym dniu przyjęto nas na blok wstępny — barak drewniany, między blokiem 28 a 27, który miał numer 13. W tym czasie blok 13 modernizowano, był nieczynny. Tam przyjęty zostałem z innymi kolegami do tak natłoczonego pomieszczenia, że na wąskich pryczach (80 cm szerokości) leżało już dwóch chorych; ja jako trzeci leżałem w przeciwną stronę głową i swoje nogi miałem między głowami już leżących kolegów.

Nikt się o nas nie troszczył. Leżeliśmy nago z dużymi numerami wypisanymi na piersi ołówkiem kopiowym (jeszcze nie wytatuowany). Pamiętam, że czasem przynoszono wodę gorącą do picia. Jeżeli ktoś chciał pić, musiał wstać i przynieść sobie wody. Musiał mieć naczynie, bo tam mu nikt nie dał. Tak samo porcje żywnościowe — każdy musiał wstać i osobiście odebrać porcje w miejscu wydawania. A że ogromna ilość więźniów już nie schodziła z prycz, więc jedzenia nie otrzymywali. Z powodu braku opieki i pomocy więźniowie zanieczyszczali się, często parę dni leżał nieżywy, bo umarł i nikt się tym nie interesował. Warunki higieniczne były straszne, trudno w to uwierzyć, by w takich warunkach ludzie przebywali.

Leżałem tam parę dni przytomny, ale tak słaby, że tylko raz przyniosłem wody w misce; była tak gorąca, że sparzyłem jeszcze usta i przełyk. Nie czułem w temperaturze bólu, dopiero po kryzysie przeżywałem straszne cierpienia. Jednak przez cały czas mojej świadomości nie zauważyłem lekarza w ogóle. Esesman tam nie wchodził. Więźniowie leżący w tym gnoju i barłogu byli karani przez ogromne ilości insektów (wszy, pluskwy). Była ich taka masa, że ciała nasze wyglądały jak przysypane sadzami. W tej wysokiej temperaturze nie czułem gryzienia, tylko trudno było mieć oczy otwarte, bo odczuwałem takie uderzenia, jakby ktoś w oczy piaskiem rzucał" (Józef *Majchrzak*).

To, co Józef *Majchrzak* miał do powiedzenia o warunkach leczenia w rewirze — materialnych, lokalowych, sanitarnych — potwierdza się w wielu innych zeznaniach byłych więźniów. Ciasnota, smród, brak podstawowych lekarstw, średniowieczne metody izolacji psychicznie chorych — uniemożliwiały w praktyce niemal całkowicie osiągnięcie jakichś pozytywnych rezultatów. Oto parę wybranych opinii w tych sprawach:

„Otoczenie w szpitalu było nie do zniesienia, chorzy jęczeli, klęli, głód, nie można się było poruszać i nie można było nic zorganizować do jedzenia. Porcje były zmniejszone, każdy salowy dla siebie, a dla chorych resztki, co zostało" (Józef *Michalski*).

„Warunki sanitarne na rewirze skandaliczne, do tego dogorywający współtowarzysze niedoli, w łóżkach przeważnie po dwóch. To wszystko zdopingowało mnie do tego, że zgłosiłem się dobrowolnie do przejścia na obóz i do pracy. Wyszedłem z *Krankenbau* z obandażowanymi nogami. Bandaże były papierowe, krępujące ruchy. Do końca »leczyłem« się sam. Dostawałem z apteki obozowej prontosil — czerwone pastylki, po których mocz oddawało się w kolorze pomarańczowym" (Kazimierz *Japołł*).

„Znalazłam się na bloku nr 12 dla tyfusowców. Przy wejściu na blok uderzył mnie widok żelaznej, piętrowej klatki z ludźmi. Po stłamszonej stronie tarzały się kobiety w łachmanach i nago. Czepiały się żelaznych prętów. Jakieś nieludzkie głosy wydobywały się z ich ust. Psychicznie chore — powiedziano mi" (mgr Mieczysława *Chylińska*).

„W tym okresie, kiedy leżałem, była zima i codziennie przybywało bardzo dużo chorych. W pojedynczych łóżkach leżało nas po trzech, a często nieraz i po pięciu chorych. Najgorzej było leżeć z chorymi na flegmonę i z drenami w płucach czy też gardle. Smród był nie do zniesienia i mazaliśmy się we własnej, kleistej,

cuchnącej ropie. Nie było spokojnych nocy, zawsze ktoś umierał" (Stanisław *Naskalski*).

„Pomoc lekarska raczej nie istniała. Pielęgniarki ograniczały się do podawania naczynia czy picia. O lekarstwach nie było mowy. Sporadycznie do kogoś docierały leki z męskiego obozu, ale na ogół były to wyjątkowe wypadki" (dr Helena *Wiązownicka-Gawędowa*).

„Przebywałam na rewirze; pamiętam, na środku bloku był stół, a na nim stały dwa słoiki pigułek, trochę ligniny, papierowy bandaż, nerka z maścią ichtiolową i cynkową oraz tranową, trzy termometry, skrzynka z kartą gorączkową chorych, nożyczki, szczypce, słoik z wodą do przemywania ran, bardzo prowizoryczne urządzenie. Lekarstwo było wydawane raz na jakiś czas, opatrunki zmieniane były też nieczęsto. Jedynie durchfalowcy otrzymywali wapno oraz surowe tarte ziemniaki częściej (...).

Leczenie chorych w obozie było skandaliczne, można śmiało powiedzieć, że go nie było, gdyż był brak leków koniecznych do leczenia. Minimalne organizowane lekarstwa były kroplą w morzu, na ich potrzeby" (Zofia *Filipczyk*).

„Medycyna lagrowa była różna, lecz przeważnie takie leczenie kończyło się śmiercią" (Kazimierz *Rogalski*).

„Na około 100 chorych otrzymałam w drodze wyjątkowej łaski trochę pastylek węgla czy innego środka leczniczego, którego nazwy nie pamiętam" (Gertruda *Dubowska*).

Jest rzeczą godną odnotowania, że więźniowie mieli na ogół duże zaufanie do lekarzy i wielu sanitariuszy — współwięźniów, cenili niezwykle ich poświęcenie, umiejętności zawodowe, życzliwość i dobrą wolę, ale równocześnie zdawali sobie sprawę z ich ograniczonych możliwości leczenia (brak leków) i bezradności, jeśli idzie o zapobieganie najgorszemu — selekcjonowaniu więźniów, choć oczywiście i w tym zakresie niejeden lekarz czy sanitariusz przyczynił się do uratowania życia chorych w rewirze. Zwróćmy uwagę na kilka charakterystycznych świadectw dotyczących tej problematyki:

„Leczenie chorób! No, można by powiedzieć: żadne, wszak nie było żadnych prawie leków, każdy kurował się jak mógł i czym mógł przez organizowanie leków na własną rękę i jeśli oczywiście miał za co. Lekarze obozowi byli bezsilni z powodu braku leków. Jeśli nie miałyśmy jeszcze paczek z domu, leki zdobywałyśmy za ostatnią porcję chleba. Leczenie to było raczej na ludowo" (Wanda *Brühl*).

„Bardzo wysoki poziom wiedzy lekarzy zatrudnionych na *HKB (Häftlingskrankenbau);* niestety, dysponowali najczęściej tylko swymi umiejętnościami; poza tym zawsze ten lęk, że w *HKB* więzień mógł być narażony na selekcję, odstraszał wielu od pójścia do lekarza" (Karol *Holler*).

„Zostałem pobity przez esmana, a miałem dobrego *vorarbeitra*, co dostałem zawrót, to przechowywał mnie w rurze żelaznej, gdzie schodzili z roboty i mnie zabierali, tak było przez kilkanaście dni, w końcu odesłali mnie na *Krankenbau* do Oświęcimia, tam miałem dobrego lekarza, on mnie ochronił i leczył przez cały czas, dokąd byłem w Oświęcimiu" (Michał *Kogut*).

„Zaopiekował się mną (i nie tylko mną) młody wiekiem sanitariusz, wyróżniający się uczynnością; nazywał się *Kościelny*. Gdy oglądając moje rany zauważył robaki z powodu bardzo rzadkiego stosowania opatrunków, wziął mnie pod swoją opiekę. Nie było waty ani bandaży, a rany opatrywano i to bardzo oszczędnie — papierem toaletowym. Zarówno *Świątek*, jak i *Kościelny* czynili to ukradkiem, narażając swoje życie, bo im czynić tego nie wolno było" (Stanisław *Naskalski*).

„W czasie mojego pobytu na bloku 20 miałem możność przekonać się, jak ofiarnie pracowali tam koledzy więźniowie, zatrudnieni w obozowej służbie zdrowia i administracji oddziału zakaźnego szpitala obozowego (..). Miałem też możność przekonać się naocznie, jaka była kolosalna różnica w stosunku do chorych między więźniarskim personelem rewiru a sprawującymi nadzór lekarzami *SS Entresem, Vetterem, Kittem, Trzebińskim* i innymi oraz *SDG — Klehrem, Scherpem, Nierzwickim* i innymi. Byłem świadkiem walki więźniów z personelem *SS* o życie chorych więźniów. Ile trzeba było wykazać odwagi, ile rozsądku, ile rozwagi, ile wreszcie etyki lekarskiej, by ratować przed komorą gazową bądź dosercowymi zastrzykami fenolu, jeżeli nie wszystkich wyselekcjonowanych, to przynajmniej tych, którzy na ratunek najwięcej zasługiwali. Znam przypadki zamiany kart gorączkowych ludzi młodych, wyselekcjonowanych przez lekarzy *SS* na śmierć, na karty chorych, nie mających żadnych szans wyleczenia, względnie tych, którzy w czasie selekcji byli w stanie agonalnym, a krótko po selekcji zmarli" (mgr Eugeniusz *Niedojadło*).

Myśląc o skomplikowanej sytuacji chorego więźnia, trzeba także zdać sobie sprawę, że pójście do rewiru było też jakimś rozwiązaniem, niebezpiecznym, groźnym, ale cóż w końcu miał robić więzień pozbawiony wyboru. Często nawet było to także jedynym rozwiązaniem, jedynym ratunkiem życia więźnia. Bywało też tak, że nieprzytomnego z powodu urazu czy choroby więźnia odstawiali na rewir koledzy, podejmując za niego decyzję.

Należałoby też pamiętać, że dostanie się do rewiru nie było rzeczą prostą. „Wejście do szpitala i przyjęcie było dość rygorystyczne" — krótko ujmuje ten problem Stanisław *Naskalski*. A oto inne relacje, wskazujące także na typowe dylematy chorych w obozie:

„Po rannym apelu chorzy, słabi więźniowie nie wychodzili z komandami roboczymi i stawali przed izbą chorych. Kto miał szczęście, poszedł na tę izbę chorych. Resztę chorych zabrano do jakiejś roboty na terenie obozu lub któryś blokowy musiał zabrać całą resztę i uprawiać z nimi ćwiczenia tak długo, aż wszystko zginęło" (Franciszek *Gulba*).

„Od początku istnienia obozu oświęcimskiego więźniowie chorzy byli zdani na własne siły. Nie dlatego, że nie było warunków leczenia, lecz głównie dlatego, że niełatwo się było dostać do ambulatorium, a jeszcze trudniej w stan chorych. Ci z chorych, którzy mieliby szanse stać się pacjentami obozowego rewiru, narażeni byli z kolei na ryzyko stosowania wobec nich szykan, które bardzo często kończyły się śmiercią. Z czasem stosunki w szpitalu obozowym ulegały poprawie, ale ryzyko wyselekcjonowania na »szpilę« lub na gaz istniało do ewakuacji obozu. Pozostawała więc profilaktyka oraz znane i dostępne środki medycyny ludowej" (mgr Eugeniusz *Niedojadło*).

„Zanieśli mnie na rewir w rękach na plecach, a nie zostawili mnie pod blokiem na zamarznięcie, bo i tak często bywało: chorego się przekroczyło i szło się dalej. Zostałem przyjęty przez lekarzy na zakaźny [blok] 19 czy 19a" (Antoni *Kubica*).

„Zdaje się, po 23 miesiącach obozowego życia, tj. w jesieni 1943 roku, zachorowałam na tyfus. Byłam wówczas na wspólnej koi z Sewerynką *Sz.* i Marysią W. oraz dwoma innymi więźniarkami. O to, czy oddać mnie na rewir, czy pozostawić mnie na bloku, doszło pomiędzy Sewerynką a Marysią do wymiany zdań. Na »rewir« — to na blok tyfusowy, a to znaczyło wcześniej czy później »do gazu«. Pozostawienie na bloku — to konieczność stawienia się na apelu, a więc wynoszenie przed blok. Leżenie pod blokiem równało się szybkiej likwidacji więźnia. Przyjęto więc, jakkolwiek by było, szanse dłuższego przetrwania na »rewirze«" (mgr Mieczysława *Chylińska*).

Aby lepiej zrozumieć niebywały „rozwój" samolecznictwa i medycyny ludowej w obozie oświęcimskim, należy przypatrywać się uważnie nie tylko racjom i motywom wzbraniania się więźniów przed pójściem do szpitala obozowego (sprowadzają się one do obiekcji już zasygnalizo-

wanych), ale także uświadomić sobie, jaka była postawa emocjonalna chorych wobec „widma" rewiru, jakie stanowisko więźniów wobec oficjalnej medycyny obozowej, jak wielka ich determinacja w tych sprawach. A okupywane to było nieludzkimi nieraz cierpieniami i w konsekwencji śmiercią. Kilka fragmentów wspomnień więźniów oddaje, jak sądzimy, tę atmosferę:

„A gdyby nawet można je (więźniarki) było tam (do rewiru) przemycić za margarynę lub chleb, to one nie chcą, bojąc się selekcji (wybiórka do uśmiercania). Leżą więc na placach, palone bezlitosnym słońcem w czasie pogody, a w czasie niepogody deszcz wklepuje ich zgorączkowane, wstrząsane dreszczami ciała w grząskie, lepkie i cuchnące błoto. W ich nieludzkiej udręce nie doznają żadnej pomocy, ponieważ zabroniły tego władze obozowe. Kiedy pada deszcz, chore maczają palce w mokrej glinie przesyconej ich odchodami i ssąc je, oszukują pragnienie, palące ich odwodnione organizmy.

W czasie upalnej pogody nad ich udręczonymi ciałami unoszą się roje much, składając jajka na padlinie. Teraz, bucząc, zataczają nad chorymi koła, upatrując miejsca na złożenie jaj. Za godzinę lub dwie potomstwo much, w postaci larw, roi się na ciałach umierających i zmarłych. Pożywki dla nich nie zabraknie. A nowe muchy składają na nich nowe jajka, żeby zachować gatunek. I tak, kiedy gatunek much rozwija się i tuczy, mając ku temu warunki, gatunek ludzki ginie, stając się pożywką strasznych i odrażających owadów" (Genowefa *Ułan*).

„Zacznę od tego, że przede wszystkim unikałem rewiru jak ognia, ponieważ tam najłatwiej i w sposób dość nagły można się było wyprowadzić na tamten świat. Mam tu na myśli rozmaite akcje mające na celu zmniejszenie liczby chorych poprzez często przeprowadzane eksterminacyjne selekcje, likwidowanie epidemii tyfusu metodą gazowania rekonwalescentów itp. Trzeba jednak z naciskiem podkreślić, że nasi lekarze (więźniowie) robili wszystko, aby ludzi ratować i często nawet robili to z narażeniem własnego życia" (mgr inż. Artur *Krzetuski*).

„Strach przed śmiercią powodował, że więźniowie, często bardzo chorzy, padali na apelach, w drodze albo w pracy, ale do szpitala nie poszli. Najczęściej ściągano z placów apelowych po apelu bądź znoszono z pracy i składano tych ludzi, ledwo dających oznaki życia, pod blokiem 28" (Józef *Majchrzak*).

„W obozach koncentracyjnych chorowałem na malarię, tyfus brzuszny i flegmonę. Podczas choroby na izbę chorych nie szedłem w obawie przed dostaniem zastrzyku, który równał się śmierci. Leki zdobywałem od *volksdeutscha*, który był majstrem w stolarni *DAW (Deutsche Ausrüstungswerke)*. Leki te aplikowałem sobie według własnego uznania i tak, żeby nikt z *SS* i ze współwięźniów nie widział, bo za to groziłoby mi bicie albo śmierć" (Stanisław *Baś*).

„Do obozu w Oświęcimiu przybyłem w dosyć mizernej kondycji fizycznej, nie mówiąc o psychicznej. Prawie trzymiesięczny okres pobytu w więzieniu i »lagrze» w Mysłowicach, połączony z przesłuchaniami, zrobiły swoje i być może dlatego też po tygodniowym pobycie na bloku 2 (kwarantanna) zachorowałem na szkarlatynę z jej klasycznymi objawami. Mimo wysokiej temperatury błagałem, by mnie nie odsyłano do »rewiru« (*HKB*), jako że słyszałem o przeprowadzanych tamże selekcjach i uśmiercaniu więźniów nie wykazujących kondycji fizycznej, rokującej zdolność i wydajność w pracy" (Alojzy *Fros*).

Pierwszym zadaniem chorego, który odżegnywał się od pójścia do rewiru, było ukrycie choroby, a jeśli się to nie mogło udać, schodzenie z oczu i dozorcom obozowym, i esesmanom. Dla nich, jak pisze Stanisław *Baś*, „pierwszym wrogiem był chory, na którego widok wpadali w szał i najczęściej tych ludzi uśmiercali".

Niektórzy więźniowie, czując osłabienie, gorączkę i nasilanie się choroby, np. rozwijający się tyfus plamisty, narażając się na represje, a nawet na śmierć, ukrywali się czasem w różnych zakamarkach w blokach bądź w miejscach pracy, byleby tylko uniknąć pójścia na rewir i związanego z tym ryzyka wybiórki do gazu lub fenolu. Można też tu dodać, że kto mógł liczyć na protekcyjne miejsce w rewirze lub był nieświadomy grożącego tam niebezpieczeństwa, sztucznie wywoływał u siebie gorączkę, będącą warunkiem przyjęcia do szpitala obozowego.

Oczywiście chory, pozbawiony pomocy i ochrony innych, był całkowicie bezbronny i niewiele by mógł zdziałać. Znane są liczne przykłady przechowywania — często z narażeniem życia — chorych kolegów. O jednym z takich przypadków wspomina mgr inż. Artur *Krzetuski:*

„Przechowywaliśmy w naszej ślusarni chorego na tyfus kol. *Łojewskiego*, nie chcąc ryzykować oddania go na rewir. Codziennie rano, w środku kolumny marszowej ślusarni, dwóch silnych kolegów prowadziło go pod pachę i tym samym sposobem przyprowadzało go wieczorem na apel. Noc spędzał wraz z innymi w bloku na sali, a w ciągu dnia leżał na górnej platformie kopulaka w odlewni, dość bezpieczny, gdyż żadnemu esesmanowi nie wpadło na myśl się tam fatygować. Oczywiście dostarczaliśmy mu lekarstwa i pożywienie".

Na tle dotychczas tu zarysowanym rozwijają się oczywiście liczne formy samopomocy więźniów. Lekarze-więźniowie służą bezinteresownymi poradami, wykonują, poza szpitalami, różne proste zabiegi. Zaczynają być użyteczne w życiu społeczności więźniarskiej strzępy wiedzy medycznej zdobywanej np. w szkole, w harcerstwie, na różnych kursach sanitarnych, podczas obserwacji ludzi chorych w warunkach wolności. „W Polsce — pisze nieco ironicznie Wincenty *Gawliczek* — jest najwięcej lekarzy, tak można by powiedzieć za Stańczykiem. I w obozie było dużo takich, którzy uważali się za znawców chorób i doradców w dolegliwościach". Święci triumfy odwieczna medycyna ludowa, której mądrość znajduje tu niejednokrotnie potwierdzenie, szerzy się znachorstwo, wyżywają się także i szarlatani mniej lub bardziej bezinteresowni. A oto kilka analiz sytuacji dokonanych przez więźniów:

„Choroba w obozie koncentracyjnym, choć nie do uniknięcia, była zawsze czymś złowieszczym. Oznaczało bowiem wytrącenie więźnia z szeregów i zepchnięcie go na niebezpieczny margines, na którym się już nie liczył. Budziła więc zrozumiały lęk nie tyle przed cierpieniem, które niosła, ile przed twardym prawem obozu dającym szansę tylko zdrowym i silnym. Stąd nakazem chwili stało się ukrywanie schorzeń własnych i cudzych, dlatego jakże często słabi i wycieńczeni udawali ludzi silnych i dziarskich. Lęk przed ujawnieniem choroby powodował też, że domorosłe środki i zabiegi, jakkolwiek i to było trudne, przyjęły się powszechnie" (Stanisław *Piąty*).

„Obóz był zbiorowiskiem różnych ludzi w różnym stanie zdrowia. Większość jednak stanowili ludzie niedożywieni, wycieńczeni, pobici, wyczerpani fizycznie i psychicznie, nieszczęśliwi, mający wiele dolegliwości. Pomoc lekarska była bardzo trudna do osiągnięcia, każdy więc na co dzień musiał sobie radzić według własnego zrozumienia, własnych wiadomości lub porady kolegi. W ten sposób powstawała i rozwijała się na co dzień specjalna medycyna obozowa. Stosowano najprostsze środki, jakie były dostępne i jakie w podobnych okolicznościach zostały kiedyś wypróbowane przez siebie lub przez kolegów. Nawet jeśli one nie miały żadnego znaczenia leczniczego, wiara w ich skuteczność powodowała często pewne psychiczne nastawienie i ulgę w dolegliwościach. Trudne warunki obozowe, brud,

głód, zimno, wszawica, biegunki, wieczny stres powodowany ciągłym krzykiem, terrorem, biciem, a nawet zabijaniem na co dzień — z najzdrowszego szybko czyniły ciężko chorego, powodowały fizyczne i psychiczne załamanie, czyli początek końca" (dr Kazimierz *Hałgas*).

„Czy ktoś z więźniów korzystał i na ile z tzw. znachorstwa, innymi słowy z pseudomedycyny — to chyba nie tak wiele, więcej z przemytu leków spoza drutów obozowych" (Julian *Niewiarowski*).

„W tym piekle oświęcimskim samiśmy się ratowali, jak tylkośmy umieli, a zarazem pouczani przez lekarzy obozowych, co nie pracowali jeszcze w szpitalach, a już nieśli ustną pomoc, co robić, by się nie załamać psychicznie, to były rady bardzo skuteczne, nieraz dobre leczenie, czemu to tak dzisiaj nie istnieje pomoc biednemu choremu. (...) A ile było lekarzy, co wskazywali zbierać kory, kwiaty, trawy itp., ale gdzie to parzyć, aby pić, nie ma możliwości. Najwięcej doradców było z więźniów, niemal każdy był lekarzem; leczyć się [trzeba było] bez rewiru obozowego, bo rewir to był postrach wszystkich narodowości" (Antoni *Kubica*).

„Dość rozległą dziedziną ratowania zdrowia zarówno w więzieniu, w którym przebywałem (Montelupich), jak i w obozie oświęcimskim była medycyna ludowa. Polegała ona m. in. na wzajemnym udzielaniu sobie porad, dostarczaniu leków — najczęściej pochodzenia roślinnego (zioła) — zdobywanych na różne sposoby. Były to zazwyczaj środki proste, choć w wielu wypadkach skuteczne. I tak np. czosnek był uważany za doskonały środek uodporniający na infekcje i różne choroby, dezynfekujący przewód pokarmowy i cały organizm. Psi smalec był uznawany jako środek odżywczy zapobiegający skutecznie chorobom płuc i w ogóle dróg oddechowych, szczególnie chroniący przed zachorowaniem na gruźlicę. Przeciw chorobom przewodu pokarmowego stosowane były przez więźniów różne prymitywne środki, których już dziś nie pamiętam. Osobiście używałem z dobrym skutkiem węgla drzewnego przeciw tzw. *durchfalowi*" (Arnold *Andrunik*).

Skutki tego samoleczenia w koszmarnych warunkach obozowych niestety nie zawsze były pozytywne, tzn. prowadziły do wyleczenia, do uchronienia się przed groźnym rewirem i selekcjami. Pamiętają oczywiście świadkowie tamtych czasów i nie ma się co dziwić, że gorzko brzmią głosy byłych więźniów, takie jak te dwa, które chcielibyśmy przytoczyć na zakończenie rozdziału traktującego o swoistej „polityce" więźniów wobec zagrożeń życia i zdrowia:

„Nie na wiele jednak zdało się to samorodne lecznictwo. Śmierć zbierała swoje bezkrwawe żniwo, jak chyba nigdy dotąd. Wyrwała z naszych szeregów najzdrowsze i najmłodsze. (...)

Przychodzą z pomocą komanda pracujące *na aussen*. Zawiązują się przyjaźnie międzynarodowe. Francuzki i Jugosłowianki przynoszą z pól mlecz i radzą nam go jeść. My w zamian mówimy o właściwościach odżywczych lebiody. Francuzki górują nad nami tym, że mogą jeść żaby. Inne narodowości jeszcze do tego nie doszły, ale niedługo przyjdzie czas, że jedlibyśmy i żaby, lecz ich nie było.

Jednakże niewiele pomagają stosowane przez nas zioła i witaminy zawarte w chwastach. Umierają leczone, umierają też lekarki z Bożej woli. Na apelowych placach, w promieniach sierpniowego słońca lub w czasie deszczu i wichury, konają Polki i Żydówki. Nie wolno ich przyjmować na rewir, bo nie ma miejsca, tak dużo choruje Niemek" (Genowefa *Ułan*).

Naszkicowawszy okoliczności zmuszające więźniów do dramatycznego często ukrywania swego złego stanu, do unikania rewiru i do usiłowań leczenia się we własnym zakresie, pora przejść do zagadnień związanych z profilaktyką.

ZAPOBIEGANIE CHOROBOM W OBOZIE

W ramach samolecznictwa, czyli amatorskiej, ludowej, w najlepszym razie półprofesjonalnej medycyny obozowej ważne miejsce zajmowały, jak w każdej medycynie zresztą, działania profilaktyczne, stosowane przez więźniów, a przez *SS* zwykle — podobnie jak leczenie i wszystko, co nie miało stempla oficjalności — surowo karane.

Zapobieganie chorobom w obozie sprowadzało się najczęściej do działań takich, jak:

— zabezpieczanie się przed szkodliwym wpływem zimna i wilgoci,

— hartowanie się i uodpornianie na szkodliwe i długotrwałe działanie zmiennych warunków atmosferycznych,

— utrzymywanie higieny osobistej i równowagi psychicznej, walka z brudem, insektami, defetyzmem i zwątpieniem,

— przestrzeganie w ramach niewypowiedzianie trudnych warunków podstawowych zasad prawidłowego odżywiania się (unikanie niepitnej wody gruntowej w Oświęcimiu, zwanej przez więźniów nalewką na trupach, używek oraz szkodliwych, toksycznych „pokarmów", dostarczanie organizmowi np. witamin).

Wśród materiałów, których udzielili nam byli więźniowie, jest ogromnie dużo powtarzających się przykładów tych działań; są też próby ujęć syntetycznych, ogólnych. Zacytujmy dla wprowadzenia w tematykę, która jest rozwinięta w niniejszym rozdziale, dwa przykłady szczególnie celnie wskazujące na całość tej problematyki. Jedno z tych ujęć, drugie, wyszło spod pióra fachowca-lekarza:

„Samoobrona przed chorobą. Należało dbać o własną higienę, przeglądać bieliznę i tępić wszy. Nie należało chodzić po śmietnikach i zjadać zgniłe odpady żywnościowe, z tego najczęściej powstawał tyfus i biegunka i z tym kończyło się życie więźnia. Nie należało sprzedawać chleba za papierosy, nie należało palić papierosów, ponieważ wysuszały organizm i osłabiały przeważnie zimą, kiedy człowiek marzł, a nie miał siły się ogrzać i zamarzał. Należało wszelkimi sposobami starać się przechować pod dachem. Należało wszelkimi siłami zdobywać bardzo ostrożnie zdrowe jedzenie. Należało unikać niedobrych esesmanów, kapów i wszelkich nieuczciwych i nieznanych sobie ludzi, którzy tylko polowali na więźnia, aby go przyłapać na najmniejszym przewinieniu lagrowym i pochwalić się przed władzami obozowymi, jacy oni są wierni dla Niemiec" (Józef *Michalski*).

„Ważną rzeczą dla utrzymania zdrowia i dobrego samopoczucia było przestrzeganie czystości ciała i hartowanie się oraz stosowanie trochę gimnastyki. Oczywiście i te drobne sprawy nie zawsze były dostępne dla wszystkich. Zorganizowane życie obozowe nie zawsze pozostawiało wolną chwilę dla siebie, gimnastyka mogła także skończyć się »bijatyką«, tzn. pobiciem, a z braku wody, zwłaszcza w początkowym okresie obozu, często musieliśmy myć podłogi kawą do picia. A woda była bardzo ważnym czynnikiem w leczeniu, zaczynając od podstawowej czystości ciała, która chroniła przed chorobami, infekcją, insektami itp. Szeroko stosowało się kąpiele ran zainfekowanych w wodzie i wodnych roztworach antyseptyków, jak *kalium hypermanganicum*, rivanol, mydło itp. Stosowaliśmy mycie i moczenie zainfekowanych świeżych ran i obserwowaliśmy lepsze gojenie i rzadsze infekcje, czasem wręcz wyniki były rewelacyjne" (dr Kazimierz *Hałgas*).

Przypatrzmy się teraz, po kolei, w sposób uporządkowany, zabiegom profilaktycznym stosowanym mniej lub bardziej świadomie, czasem zupełnie instynktownie, przez więźniów Oświęcimia-Brzezinki.

Przed zimnem i wilgocią, a zatem przed możliwością przeziębienia osłabiającego wycieńczone głodem organizmy więźniów, sprzyjającego zakażeniom, próbowano się zabezpieczyć przez stosowanie różnych wkładek pod obozowe drelichy, jak papier, słoma, kawałki tektury czy skórek. Do drewniaków wkładano szmaty, słomę, wióra, starano się o buty z grubymi podeszwami drewnianymi. Pod podszewką czapek wszywano izolację z papieru lub ceraty.

Ciekawe, że wielu piszących o tych sposobach ratowania części ciepła własnego ciała zwraca uwagę na niebezpieczeństwa grożące „pomysłowym":

„W okresie zimy stosowano powszechnie zawijanie się papierem z worków cementu i owijanie nim także nóg przeciw odmrożeniom. Było to połączone z ryzykiem obicia przez kapów czy też kontrolujących esmanów" (Andrzej *Gąsienica-Makowski*).

„Co do hartowania, używaliśmy papieru, obkładaliśmy się papierem, ale to było niebezpieczne, bo kogo spotkał esesman, został zabity" (Michał *Kogut*).

„Walka z zimnem, a więc przeziębieniami i chorobami w ten sposób powstającymi, była bardzo trudna. Cienkie, liche i zniszczone ubranie więźniarskie nie chroniło dostatecznie ciała przed zimnem i ostrym podgorskim klimatem. Stąd w zimne, wietrzne i dżdżyste dni więźniowie, ryzykując kary, ubierali pod koszule i ubrania kawałki znalezionego papieru, najczęściej resztki papierowych worków po cemencie lub innych opakowaniach. Wykładano też papierem czapki" (dr Kazimierz *Hałgas*).

„Przeciwko przeziębieniu: wszycie do czapki ceraty, buty o grubych podeszwach drewnianych z wkładką filcową (filc spod maszyny do pisania)" (dr Włodzimierz *Borkowski*).

„Od mrozu chronił papier z worków od betonu (Police pod Szczecinem) włożony pod »jakę« albo do butow. Na zimę ceniono buty z drewnianą podeszwą, ale nie tzw. klumpy, czyli holenderskie drewniaki. Kwano koce, na onuce, rzecz karana bardzo ciężko, ale ryzykowano. Hartowano się przez mycie zimną wodą, spanie przy otwartych oknach nawet zimą" (Maria Elżbieta *Jezierska*).

Innym, bardzo często stosowanym „ludowym" sposobem rozgrzewania się, często kolektywnego, były dodatkowe ruchy ciała podczas dużego zimna: tupanie, przestępowanie z nogi na nogę, „zabijanie" rąk, wzajemne nacieranie się, poklepywanie, obejmowanie się. Wzajemnie też osłaniano się przed wiatrem; bywało, że na mrozie zbijano się w ciasne gromadki; biegano, a ponieważ wszystkie te ruchy wykonywali wychudli, wycieńczeni, często ubrani w łachmany więźniowie, pojawił się termin „techniczny": „taniec muzułmanów". Bliższe szczegóły podają byli więźniowie, często w sposób bardzo obrazowy, a nawet — jak i w ostatnim cytowanym fragmencie listu — dramatyczny:

„Zbyt mało mówi się (pisze) o próbach zabezpieczenia przed chorobami, np. na apelu w czasie mrozów rozcierano rękami plecy stojących przed sobą, a trzecia osoba z piątki rozcierała plecy drugiej osoby itp., nie marzły ręce ani plecy, a ruch ogrzewał. Tupano, przewalano się z nogi na nogę albo skupiano ciasno, obejmując rękami piersi poprzedniczki" (Maria Elżbieta *Jezierska*).

„Stosowano najprostsze sposoby zwiększania produkcji własnego ciepła poprzez ruch, przy minimalnym nakładzie własnej energii. Aby tego dokonać, stosowano dwójkami wzajemne ocieranie się o siebie plecami lub oklepywano się wzajemnie po plecach lub klatce piersiowej rękami. Ponieważ sposób ten stosowali przede wszystkim ludzie najbardziej osłabieni, nie mogący bez wysiłku stosować innych ruchów, jak bieganie itp. zabiegi, zabiegi te wykonywano parami, nazywano ten sposób rozgrzewania się tańcem muzułmanow. Szczęśliwcami w zimnych porach roku byli posiadacze własnych, dobrych wełnianych ciepłych swetrów oraz rękawic, tym lepszych, im były brzydsze, albowiem posiadacze elegantszych i ładniejszych sztuk garderoby przysłanej z domu bardzo często w najniedogodniejszej dla siebie chwili zmuszani byli »dobrowolnie« odstępować je blokowym, kapo lub innym funkcyjnym więźniom w formie prezentów za lepsze traktowanie, czyli dla ratowania życia" (dr Kazimierz *Hałgas*).

„Przed przeziębieniami w czasie długich godzin stania na apelu starałyśmy się chronić uderzeniem wzajemnym dłońmi po plecach (rodzaj masażu), podskakiwaniem i innymi ruchami gimnastycznymi, w związku z czym stojące szeregi więźniarek były w stałym ruchu. Czasem wyciągało się resztki słomy z sienników i wkładało pod ubrania na plecach i w obuwie jako warstwę izolującą od zimna; nie było to bezpieczne, gdyż w razie odkrycia groziło dotkliwym pobiciem przez esesmanów odbierających apel (czego parę razy byłam świadkiem)" (Zofia *Przanowska*).

„Noc była księżycowa, pod nogami skrzypiała mrozem oszroniona ziemia. Zaczęła mnie ogarniać panika. W powietrzu coś jęczało. Potykając się, szukałam oparcia w górze, lecz niebo nie interesowało się pochodem potępieńców. Na wieżyczce strażniczej kształt w kożuchu podskakiwał i zatrzepywał ręce. W powietrzu rósł harmider. Szłyśmy z duszami na ramionach, by dojść w ostatnim popłochu do swego celu. Przed sauną mrowił się falujący, podrygujący tłum nagich stworzeń. Zlepione ze sobą, przebierając nogami i obtłukując się pięściami, walczyły z zimą. Mróz je atakował, szczypał, kłuł, a one ruszały się, jęczały i wyły. Najgorzej było tym na obwodzie, wystawiającym do wiatru chude tyłki i zsiniałe plecy.

Nie poznawałam nikogo. Mnie rozpoznała matka z chorą córką, przywołała i zaczęła dyrygować, zmuszając do gwałtownych ruchów z zadawaniem ciosów i podskakiwaniem. Uderzałam ją, ona mnie, aż się zmęczyłyśmy. Wtedy ona z córką, która straciła siły i nie mogła obtłukiwać matki, przygnęły do pulsującego mrowia, a ja wcisnęłam się w ciżbę, skłębioną, w pozbawionym zewnętrznych drzwi przedsionku sauny. Możliwość ruchu była tu bardzo ograniczona, toteż skupiły się tutaj słabsze i bardziej zrezygnowane.

Drzwi sauny otworzyły się dopiero wtedy, gdy cały blok stał lub leżał przed wejściem. Niektóre nie wytrzymały męki czekania i walki z mrozem: straciwszy oddech, przykucnęły, skuliły się w kłębek i zdrętwiały. Jeszcze raz znalazłam się w liczbie tych, do których »śmierć SS« nie zdążyła się dobrać. Do środka wniosł mnie tłum, bo w ścisku nie szło się na własnych nogach, lecz na nogach ogółu. Potem zdarzenia biegły już zwyczajnie, po obozowemu" (Jadwiga *Trębasiewicz*).

Za jedno z najistotniejszych działań profilaktycznych, które mogły zabezpieczyć przed zachorowaniem z powodu przeziębienia, więźniowie uznawali hartowanie się na szkodliwe zmiany temperatury lub na długotrwałe działanie zimna bądź wilgoci.

Jak było to istotne dla więźniów i stale obecne w ich świadomości, świadczy zastanawiająca wzmianka w liście Zdzisława *Soleskiego*, który opowiada, że już w więzieniu tarnowskim tamtejsi zatrzymani, kiedy dowiedzieli się z pogłosek, że istnieje możliwość wywiezienia ich do Oświęcimia, przygotowując się na ciężkie warunki obozowe zorganizowali „w celi więziennej, nie opalanej, mycie nóg i nacieranie całego ciała zimną wodą z muszli ustępu oraz codzienną gimnastykę celem zahartowania się na przyszłość nieznaną"!

Co w tym zakresie było do zrobienia i do osiągnięcia w samym obozie? Jak wszystkie zabiegi stosowane przez więźniów wbrew lub choćby tylko z pominięciem woli nadzorców, hartowanie się było trudne do urzeczywistnienia z róż-

nych przyczyn. A przecież wykonywano je dość nagminnie, jak świadczy choćby liczba wzmianek i opisów zawartych w posiadanych przez nas materiałach. W miarę możliwości więc zmywano ciało zimną wodą częściowo lub całkowicie (w zimie także), nacierano się śniegiem, potem masowano ręcznikami, biegano lub gimnastykowano się. Ci, którzy to robili, twierdzą, że czynności te były nadzwyczaj skuteczne. Niektórzy skłonni są nawet przypisywać temu swe przetrwanie. Oto przykłady tego rodzaju zabiegów i opinii o nich samych więźniów:

„Dzięki stosowanym zabiegom higienicznym, a przede wszystkim utrzymywaniu w czystości ciała, bez względu na porę roku myciu się w zimnej wodzie do pasa zahartowałem się do tego stopnia, że przez cały okres pobytu w obozie nie byłem nawet przeziębiony, chociaż miałem ku temu wiele okazji" (mgr Eugeniusz *Niedojadło*).

„Aż trudno uwierzyć, jak dalece potrafił się uodpornić organizm np. na zimno. Czułam je, ale, sądzę, nie tylko zimno było przyczyną mych chorób w obozie, co brud, niedożywienie, atmosfera piekielnego terroru, poniżanie godności ludzkiej" (mgr Mieczysława *Chylińska*).

„W jakąś wolną od pracy niedzielę zauważyłem w umywalni kilku nagusów szorujących swe ciała przy użyciu mydła, przy czym polewali się lodowatą wodą czerpaną w miski i garnuszki. Była to w Brzezince namiastka kąpieli dla tych, którym trudno było czekać na akcję kąpielową przeprowadzaną w saunie. Zaimponowali mi ci koledzy. Robiłem odtąd to samo niezależnie od temperatury na dworze i w baraku. Wychodził człowiek z takiej kąpieli rześki i odnowiony. Trzeba zaznaczyć, że niewielu było w umywalni takich hartujących się. Twierdzę, że utrzymywanie czystości ciała i dyscypliny wewnętrznej jednostki było sprawą zasadniczą w obozie. Kto się psychicznie załamał i upadł, nie miał szans na podniesienie się" (Józef *Ciepły*).

„Hartowałyśmy się zmywaniem całego ciała zimną wodą (gdy była już dostępna pod koniec pobytu w Oświęcimiu), a następnie mocnym wycieraniem ciała suchą szmatą" (Zofia *Przanowska*).

„Chciałbym tu jeszcze przytoczyć i takie sposoby, które miały zapobiec ewentualnym chorobom. Polegało to na tym, że wieczorem, dzień w dzień, obojętnie na porę roku przeprowadzano kąpiel całego ciała w zimnej wodzie. Tak stosowane systematyczne kąpiele przyspieszały krążenie krwi i uodparniały organizm przed chorobami" (Jan *Lewicki*).

„Wieczorem, przed zakończeniem pracy wszyscy koledzy musieli zdjąć koszule i umyć się, a nawet zimą, kiedy leżał śnieg, a nie było zbyt mroźno, to musieli się nawzajem natrzeć śniegiem, a potem 100 metrów biegu (...). Tak się człowiek zahartował i był więcej odporny" (Franciszek *Gulba*).

„Od samego początku do końca przebywania w obozie hartowałem swe ciało zimną wodą, niezależnie od pory roku. Codziennie rano przed apelem i po pracy myłem się zimną wodą do połowy, jednocześnie robiłem intensywne masaże ręcznikiem, rozgrzewając swe ciało śniegiem, co w dużej mierze przyczyniło się do przetrwania trzyletniego pobytu w obozie" (Jerzy *Rzeźniak*).

Żeby można było skutecznie walczyć o własne zdrowie fizyczne i psychiczne, trzeba było wbrew zdawałoby się wszystkim nadziejom na sukces walczyć z ogarniającym wszystko w obozie brudem. Wbrew wszystkim nadziejom, bo w obozie w sposób katastrofalny brakowało wody, a prymitywne urządzenia sanitarne bardzo często były niedostępne dla więźniów, już to z powodu tłoku w nich panującego, już to na skutek zakazów korzystania z nich w porze dowolnej i odpowiedniej dla więźnia.

Wielu spośród więźniów obozu, przede wszystkim wrażliwszych bardziej deprymował, bardziej upokarzał i odzierał z człowieczeństwa brud niż przygniatające uczucie głodu, zimna czy znęcanie się esesmanów i kapów.

Zachowywanie czystości i higieny osobistej było także i z innego powodu elementem przyczyniającym się w istotnym stopniu do przetrwania: esesmani nie lubili ludzi brudnych i cuchnących (brud znamionował często stan rezygnacji i był dowodem zmuzułmanienia) i tępili ich po prostu.

Jak więc sobie radzono, w jaki sposób starano się o utrzymanie tak zbawiennej higieny osobistej? Odpowiedź na to dają sami byli więźniowie, akcentując przede wszystkim ogromne trudności ze zdobyciem środków utrzymania higieny i na powszechny brak wody, podstawowego środka.

„Walka o zdrowie łączyła się z walką o zachowanie higieny osobistej, o którą było tak trudno. Poświęcano chleb, aby zdobyć mydło, ręcznik, czystą bieliznę; poświęcano picie, by się umyć w ciepłych ziółkach lub wyprać bieliznę, poświęcano sen, aby się oczyścić ze wszy, uczesać włosy, pójść do umywalni (bohaterstwo! wstać nocą przy ostatecznym zmęczeniu i wyjść w zimno z ciepłego bloku, przebrnąć kilkaset metrów błota i jeszcze nieraz oberwać kijem). Za punkt honoru wobec Niemców uważano czystą i schludną odzież" (Maria Elżbieta *Jezierska*).

„Wiedza sanitarna, którą sama i moje bliskie otoczenie starało się w obozie stosować — to przede wszystkim stałe wysiłki utrzymania jakiej takiej czystości, higieny osobistej, mycia rąk i ciała, jak tylko zdarzała się, rzadka zresztą, okazja zdobycia wody oraz oczyszczania odzieży z wszy, przynajmniej dwa razy dziennie (co niewiele pomagało). Brud był dla mnie znacznie trudniejszy do zniesienia od głodu, przytłaczał mnie i odczłowieczał. Właściwie była to ciągła walka z brudem, pochłaniająca masę energii. (...)

Przez długi czas mego uwięzienia w Oświęcimiu-Brzezince nie było wody do mycia (a wody zdatnej do picia nigdy się nie doczekałyśmy), a później — nawet po wybudowaniu bloku z tzw. umywalniami — dopływ wody był prawie zawsze zamknięty. Jeśli się czasem w kranach woda ukazywała, to na krótko, toteż tylko silniejszym więźniarkom i »szczęśliwcom« udawało się do umywalni dopchać i wymyć. Rzadko byłam tym »szczęśliwcem«. W okresach braku wody starałam się z otrzymywanej codziennie rano porcji ziółek (1/4 litra) przeznaczać zawsze połowę na »umycie się« szmatką nimi zmoczoną, co oczywiście miało znaczenie raczej psychologiczne" (Zofia *Przanowska*).

„Dostałyśmy się na blok kwarantannowy, poznałam nowe zasady higieny. Wodę do umycia się dostałam pierwszy raz po około trzech tygodniach i to na małej miseczce jak spluwaczka dużej, na cztery osoby. Po umyciu twarzy i rąk i wypraniu chusteczki wylewało się gestą ciecz" (Gertruda *Dubowska*).

„Oczywiste, że lekarstwem na brud jest zachowanie czystości. W *Birkenau* jeszcze w 1943 r. czystość była lekarstwem, za które płaciło się również życiem. Sauna przyjmowała *zugangi*. Na wodę polowało się najczęściej w »latrynie«. Ale i tam myć się nie było wolno, a do tego kurki rzadko kiedy działały. Najpewniejsza była woda z kuchni, jeśli bez znajomości, to za zapłatą. W zimie zbawienną rolę odgrywał śnieg" (mgr Mieczysława *Chylińska*).

„Co robić, jak utrzymać się w czystości, jak pozbyć się wszy, świerzbu. Na pomoc przyszły doświadczenia lat obozów, samotnych wędrówek po górach. Śnieg doskonale zmywa brud, śnieg hartuje, śnieg powoduje, że krew krąży żywiej, że nie odczuwa się w ciągu dnia takiego zimna. Tak to zahartowany młody chłopak dał sobie radę z tym najtrudniejszym problemem. W trzaskający mróz myć się w śniegu i to rano i wieczór. Po takiej kąpieli było mi gorąco, para buchała z ciała, nie czułem zimna" (inż. Czesław *Czerwiński*).

Przestrzeganie zasad higieny mogło zapobiegać wielu chorobom, m. in. świerzbowi, o którym pisze Piotr *Hirońi*:

„Osobiście od »krecy« i innych chorób skórnych obroniłem się w ten sposób, że codziennie chowałem wieczorami w pomieszczeniu, które szumnie nazywano umywalnią, wiadro z wodą. Rano, natychmiast po gongu biegłem do ukrytego wiadra z wodą i szorowałem całe ciało do pasa zimną wodą. W ten sposób chroniłem się przed chorobami skórnymi i hartowałem ciało przed mrozem. W tym czasie zaczynała się chłodna, wilgotna jesień. Mieliśmy nadal cienkie, letnie drelichy, nie otrzymaliśmy żadnych płaszczy".

Zapobieganie świerzbowi, jednej z plag obozowych odbywało się w jeszcze inny sposób. Maria *Slisz-Oyrzyńska*, która z powodzeniem stosowała ten sposób w obozie, wspomina też o odległych skutkach zdrowotnych tej profilaktyki:

„Uprawiałam także profilaktykę, ponieważ panicznie bałam się świerzbu, w czerwcu 1943 roku »kupiłam« sobie miskę do mycia; przez okres jednego miesiąca, bo później już chorowałam, organizując wodę, sypałam do niej parę grudek zorganizowanego chlorku — chlorem wysypywało się wiadra oraz podłogę ceglaną wokół wiader — w bloku rewirowym. Myłam się wieczorem do pasa w celu dezynfekcji, poparzyłam sobie skórę, ale (...) uprawiałam tę profilaktykę wierząc, że uchronię się od świerzbu. Świerzbu rzeczywiście nie miałam, chociaż sypiałam przez miesiąc maj 1943 roku z Zosią *Pracką*, która drapała się po nocy, tak bardzo pokryta była świerzbem. Obecnie, od paru lat, jestem bardzo uczulona na chlor, w zetknięciu się z chlorem pokryta jestem pęcherzami wodnymi, szczególnie ręce."

Zmorą więźniów były bardzo dokuczliwe, monstrualnie rozmnażające się i odbierające resztki sił insekty: wszy, pchły, pluskwy. Walczono z nimi rozmaicie, nie tylko dlatego, że były nadzwyczaj dokuczliwe, ale także, a może przede wszystkim dlatego, że — tak jak wszy — przenosiły tyfus, bardzo rozpowszechniony w obozach. Najczęstszym sposobem było niszczenie ich bezpośrednio przez iskanie, ale starano się także prać bieliznę osobistą, korzystać skrzętnie z możliwości jej zmiany. Walka ta jednak była niemal beznadziejna. Oto jeden z urywków relacji przedstawiający tę problematykę:

„Sprzeczność między niemieckim zamiłowaniem do porządku a warunkami obozowymi stanowiła walka z insektami. Do końca 1940 roku spaliśmy wszyscy na podłodze przykrytej na noc siennikami, pod kocami, którymi w każdą noc przykrywał się kto inny. Co z tego, że ktoś wyprał swoją bieliznę i wyiskał wszy, skoro na noc otrzymał zawszony koc, z którego nie sposób było dostępnymi nam środkami wyciągać te insekty. Pod koniec roku 1940 dochodziło do tego, że już nie miałem sił na walkę z wszami i chcąc się w nocy przespać, przewracałem, obudzony, koszulę na drugą stronę, na której było mniej robactwa. Zanim wszy dostały się do ciała, upłynęło przynajmniej pół godziny potrzebne do zaśnięcia" (mgr Eugeniusz *Niedojadło*).

Bardzo wielu więźniów było świadomych potrzeby dbałości — także w tamtych warunkach, na przekór wszystkiemu — o równowagę psychiczną i widziało wyraźne powiązania między stanem ciała i umysłu. Konsekwencją takiej postawy było więc wykonywanie czynności higienicznych w perspektywie i w imię utrzymywania dobrego samopoczucia. Mogło to owocować zwłaszcza w kontaktach z esesmanami, odczuwającymi (sprawdzało się to w obozie wiele razy) coś w rodzaju instynktownego szacunku w stosunku do schludnie wyglądających więźniów. Nade wszystko zaś dbanie o higienę osobistą chroniło przed degradacją psychiczną, zwaną „zmuzułmanieniem". Ciekawie o tym pisze Helena *Dunicz-Niwińska:*

„Hartowanie i psychoterapia. Hartowanie ciała wszelkimi możliwymi sposobami na przekór ciężkim warunkom obozowym na pewno dawało pozytywne wyniki. Pamiętam, że jako zupełnie świeże *zugangi* poświęcałyśmy część porannych ziółek na najskromniejsze choćby umycie się, a to już znacznie poprawiało samopoczucie. Byłyśmy początkowo (transport ze Lwowa 2 października 1943 r.) umieszczone w bloku 25 (tzw. bloku śmierci w Brzezince), z którego nie wypuszczano do *waschraumów* (zresztą i tak prawie niedostępnych). Wydaje mi się, że staranie się o utrzymanie ciała w czystości codziennej w jakikolwiek sposób, np. poprzez mycie się w zimie w lodowatej wodzie, w *waschraumie* bez drzwi i szyb czy też mycie się śniegiem w czasie ewakuacji obozu w styczniu 1945 r., nie pozwalało m. in. Polkom tak szybko zmuzułmanieć. Świadomość, że jest się brudnym, bardzo deprymująco działała na psychikę."

Spośród różnych sposobów zapobiegania depresjom psychicznym można na tym miejscu wspomnieć o rozpowszechnianiu i chętnym przyjmowaniu tzw. paroli — pocieszających plotek o dodatkowych porcjach żywności, zbliżającym się końcu wojny, spodziewanym rzekomo rychłym zwalnianiu z obozu. Są to rzeczy na ogół dobrze znane, jak również znana jest dobrze rola różnych wróżbiarzy przewidujących lepszą przyszłość na podstawie snów, karty, dłoni.

Osobnym wielkim zagadnieniem, ciągle jeszcze nie opracowanym w dostateczny sposób, był nader korzystny wpływ na równowagę psychiczną więźniów wiary religijnej, modlitw i innych praktyk religijnych. Warto dla przykładu jedynie wspomnieć za jedną z relacji, że „różaniec urastał do symbolu potężnej liny ratunkowej".

I jeszcze jedna wzmianka: o śnie w obozie. W lagrze, jak wiadomo, panował chroniczny niedostatek snu, ale mimo tego przeciwstawiano się niedosypianiu.

„Ogromne znaczenie w okresie pobytu w obozie — pisze jedna z więźniarek, Zofia *Przanowska* — miał dla mnie sen. »Ucieczka w sen« była rodzajem ratunku od koszmaru obozowego. W okresie chorób starałam się leczyć snem, spać jak najwięcej. Sen wzmacniał mnie fizycznie, przede wszystkim pozwalał na odseparowanie się od otoczenia, na ucieczkę od strasznych myśli i uzyskiwanie jakiej takiej równowagi psychicznej."

Do obozowej profilaktyki należą także starania więźniów o zachowanie czegoś, co — gdyby nie okoliczności i panujący w obozie głód — można by określić jako racjonalność i higiena żywienia.

Sens mówienia o tym w podobnych kategoriach okaże się oczywisty, gdy uświadomimy sobie, że w warunkach skrajnego głodu jadło się cokolwiek, aby zaspokoić czy choćby tylko oszukać głód, często odpadki, produkty spleśniałe, zepsute, przedmioty i rośliny niejadalne, piło się niezdatną do użytku, osławioną i zgubną dla więźniów wodę oświęcimską, przed którą od razu ostrzegano nowo przybyłych do obozu. Kilka reminiscencji o tych sprawach wprowadza w klimat tamtych wskazań żywieniowych:

„Dla uniknięcia ewentualnego zachorowania na biegunkę (*durchfal*) — pomimo panującego głodu w obozie — nie szukać dodatkowego dożywiania się pod postacią wyciągania ze śmietników obozowych zgniłych głąbów lub liści kapusty, brukwi itp. artykułów, które były w dużej mierze przyczyną zachorowania na tę chorobę" (Zygfryd *Rębilas*).

„W obozie panowały choroby, przeważnie tyfus, świerzb i biegunka (*durchfal*). Ja na tę chorobę nie chorowałem, ponieważ nie chodziłem po śmietnikach i nie jadłem zgniłych obiórek z brukwi, ziemniaków i kapusty. A jeśli przychodziła mi biegunka, to paliłem swoją porcję chleba na węgiel i jadłem; to zatrzymywało biegunkę. Na tyfus nie chorowałem, do picia gotowałem wodę zabarwioną opaloną skórką chleba; to była herbata" (Józef *Michalski*).

„Po przybyciu na kwarantannę (w Brzezince, *Lager B II a*) spotkałem towarzyszy niedoli, którzy przybyli wcześniej. Ostrzegali przed piciem wody, nadmiernie chlorowanej" (dr Stanisław *Zasacki*).

„Powszechne zalecenie w obozie było: dla ochrony serca używać jak najmniej płynów, przeciw *durchfalowi* — nie pić wody, a szczególnie surowej" (Stefan *Krupa*).

„Kto nie był »muzułmanem«, nie pił wody z kałuży, nie jadł ze śmietnika, a dopiero gdy dur odebrał wolę, następowały objawy zupełnego upadku sił fizycznych wobec braku sił psychicznych. W takim wypadku ratunek kolegów decydował o wszystkim. (...) Powszechnie uważano, że chleb przypieczony na blasze jest zdrowszy, a »czerwona kiełbasa« zdrowsza od »leberki«, a powinna być podsmażana. Zupę »lagrową« i »melkę« uważano za szkodliwe dla zdrowia, starano się gotować »zupy« domowe (tj. 2 kartofle, 1 cebula, trochę tłuszczu, np. stopionej margaryny i dużo... gorącej wody); naturalnie nikt nie wylał wody, w której ktoś sobie ugotował kartofle; o ile »bogacz« — właściciel kartofli — »kartoflanki« nie chciał, oddawał ją »uboższym« jako bardzo ceniony dar" (Maria Elżbieta *Jezierska*).

„Palenie szkodziło po trzykroć, samo palenie — jako trucie organizmu, szukanie palenia — jako szarpanie nerwów, a także oddawanie jedzenia za palenie" (inż. Czesław *Czerwiński*).

Więźniowie świadomie stosujący profilaktykę żywieniową pamiętali także, jak świadczą ich wypowiedzi, o potrzebie dzielenia głodowych porcji, niespożywania ich od razu w całości, o jedzeniu ich w odpowiednim czasie (np. porcji otrzymanych wieczorem — rano, aby mieć siły do pracy przed południem), o dokładnym przeżuwaniu. Nie sposób jednak oprzeć się tu refleksji, że tego rodzaju wskazania żywieniowe mogły mieć — nawet dla tych najbardziej świadomych i zdyscyplinowanych wewnętrznie — tylko teoretyczny charakter.

„Dzienną porcję chleba lagrowego starałyśmy się dzielić na połowę i zjadać rano i wieczorem w przeświadczeniu, że ma to znaczenie w pewnym stopniu ochronne przed niekorzystnym wpływem wydzielania soków żołądkowych na pusty żołądek. Stosowałyśmy też długie, powolne żucie chleba jako racjonalniejszy sposób odżywiania, a równocześnie dla osłabienia deprymującego uczucia głodu" (Zofia *Przanowska*).

„Nauczyłam się profilaktycznego postępowania. Jadło się wolno, żując dobrze pokarm. Pozwoliło to z jednej strony dłużej przeżywać czynność jedzenia, a z drugiej strony żołądek otrzymywał substancję pokarmową należycie rozdrobnioną" (mgr Mieczysława *Chylińska*).

O wiele powszechniej — jeśli idzie o dostępną więźniom „politykę żywnościową" — starano się w celach profilaktycznych o dostarczanie organizmowi witamin, przede wszystkim witaminy C, co, jak wiele czynności i starań więźniów w obozie, było niezwykle trudne i ryzykowne. Owoce i warzywa, w tym nade wszystko cebula i czosnek, miały zawsze bardzo wysoką cenę na giełdzie obozowej.

Narażając się na surowe represje, więźniowie pracujący poza obozem rwali na polach wszystko, co nadawało się do jedzenia.

„Pamiętam — wspomina były więzień, inż. Czesław *Czerwiński* — że gdzie mogłem, dorywałem marchew, surową kapustę, brukiew, cebulę. Wszystko to ratowało mój organizm pod względem braku witamin."

Czasem udawało się to wszystko przynosić do obozu, jak również zioła, które zdołano zerwać i zebrać z pól i łąk podoświęcimskich.

„Zioła te — pisze Stefan *Szostak* — otrzymywałem od kolegów, którzy pracowali na zewnątrz obozu. Bardzo je sobie ceniłem, robiąc z nich napar w warsztacie i mając do tego celu grzałkę zmontowaną własnym sposobem, a w razie niemożności naparzania tychże ziół często je żułem na sucho. Aby zapobiec chorobom żołądka, gdyż zdarzały się tego rodzaju dolegliwości, starałem się żuć piołun, również zjadałem dużo czosnku, który łatwo było zdobyć od kolegów, otrzymywali go w paczkach od rodzin; ze względu na jego zapach nie miał powodzenia".

„W obawie przed szpitalem — dodaje Stefan *Krupa* — wśród więźniów szerzyły się różne sposoby leczenia i zapobiegania chorobom. Tu ludzie wsi mieli niewyczerpane sposoby zaradzania złu, a więźniowie mający możliwości stykania się na komandzie z roślinnością znaleźli niewyczerpane źródło leków, za które uzyskiwali papierosy czy coś do zjedzenia."

W okresie szczególnego głodu witamin zdarzało się spożywanie nawet w zasadzie niejadalnych traw, liści, kwiatów, kory. Niestety, bardzo często kończyło się to ciężkim rozstrojem przewodu pokarmowego, czerwonką czy *durchfalem:*

„W czasie mojego pobytu w Oświęcimiu na 22 bloku byli również Francuzi, którzy przynosili mlecz i kwiat, krajali je, a następnie mieszali z zupą; zapytywani, dlaczego jedzą trawę, oświadczali, że to jest witamina" (Andrzej *Michniak*).

„Jeśli chodzi o samoleczenie, a raczej o samoratowanie zdrowia i życia, to — według mniemania niektórych więźniarek — pożyteczne było zjadanie surowych zielsk, jak szczaw, mlecz, mięta, nawet pokrzywa. Żuły jak krowy, mając całe usta zielone. Wszystkie zaczęły chorować na *durchfal* — biegunkę i umierały" (Maria *Emmerling*).

„Staraliśmy się uzupełniać braki witamin w organizmach. Ogromnie pomocne były tu cebula i czosnek, przysyłane w paczkach. Więźniowie zbierali także i zjadali różne zioła. Mnie jeden z kolegów zachęcił do zjedzenia mlecza i pokrzywy. Niestety, niełatwo było je znaleźć" (mgr Jan *Starczewski*).

Ponieważ niekiedy można było cebulę, czosnek otrzymać w paczkach, więźniowie o to przede wszystkim prosili w listach do rodzin.

Tak oto — na kanwie usystematyzowanej i zinterpretowanej treści relacji osób ocalałych z obozu — układają się zagadnienia związane z utrzymywaniem higieny, z gimnastyką, hartowaniem się, swoistymi masażami itp., najczęściej beznadziejną walką z insektami, ze staraniem się o produkty zawierające witaminy i z tym podobnymi działaniami profilaktycznymi. Wobec ogromnego zagrożenia chorobami kapitalnego znaczenia nabierało leczenie się we własnym zakresie.

POSTĘPOWANIE LECZNICZE

UWAGI OGÓLNE

Jak radzono sobie w poszczególnych chorobach w lagrze i jak łagodzono ich objawy? Problematyka ta jest tak obszerna, iż wymagałaby odrębnego opracowania książkowego. Tutaj, w niezbyt obszernym i bądź co bądź wstępnym szkicu, można się przyjrzeć, podobnie jak w części

dotyczącej profilaktyki, jedynie wybranym zagadnieniom. Chodzić będzie przede wszystkim o postępowanie lecznicze w przypadku chorób najbardziej charakterystycznych dla obozu, a więc chorób przewodu pokarmowego (głównie biegunki głodowej, zwanej popularnie *durchfalem*) oraz chorób skóry i tkanki mięśniowej.

Niektóre samorzutnie stosowane zabiegi chorych więźniów, aplikowane przez nich sobie samym lub kolegom obozowym, można zaliczyć do pogranicza medycyny właściwej, choć prymitywnej, i medycyny ludowej. Tak zakwalifikować można na przykład stosowanie różnych diet — aż do ścisłej głodówki w biegunce, często krwawej (*durchfalu*). Taki też charakter miał np. epizod w rewirze Oświęcimia I, gdzie w roku 1940 lekarz więzień, Tadeusz *Gąsiorowski*, ratując życie chorego współtowarzysza niedoli, dokonał u niego laparotomii, tj. otwarcia jamy brzusznej, i usunął wyrostek robaczkowy w warunkach bardziej niż prymitywnych, przy pomocy najprostszych narzędzi, na zwykłym stole, bez prawidłowej narkozy (Przegl. Lek., 1979, nr 1, s. 201). Do tej kategorii zabiegów należało też dość powszechne otwieranie ropni lub ropowic gwoździem, zaostrzonymi blaszkami, prymitywnymi nożami, agrafkami itp., unieruchamianie zwichniętych lub złamanych kończyn czy ich części byle jakimi powiązanymi prętami metalowymi, drutami, kawałkami drewna itp.

Na pograniczu medycyny ludowej — ze względu na sposoby preparowania i używania leku — można też ulokować stosowanie ziół, w nieco większym zasobie zdobywanych od r. 1944 przez tzw. *Kräuterkommando*, tzn. specjalny oddział więźniów zbierających zioła dla kuchni obozowej i dla rewiru. Były one, podobnie jak cebula i czosnek, źródłem witamin.

Interesujące są związki między *psyche* i *soma* u chorych więźniów w obozie, np. działanie silnej wiary w leki i to jakiekolwiek: spotykano się z wypadkami sprzedawania swoich porcji żywnościowych za mało skuteczne lub zgoła niestosowne medykamenty. W rewirze wyzyskiwano więc też i to sugestywne nastawienie wobec specyfików i podawano chorym, jak byśmy dziś nazwali, tzw. „placebo", czyli kontrolny, chemicznie nie działający środek, przypominający pod względem kształtu, koloru i smaku właściwe lekarstwo. Warto tu nadmienić, że powszechnie w świecie lekarskim wiadomo obecnie, iż „placebo" daje np. w zaburzeniach psychicznych nieraz niewiele niższy odsetek przypadków poprawy w porównaniu ze środkami psychofarmakologicznymi.

Opowiada o tym w swojej relacji Eugeniusz *Niedojadło*:

„Warunki leczenia nie były łatwe. Na zagęszczonej sali 3 w trzypiętrowych łóżkach spało po dwóch chorych na jednej pryczy. Brak było lekarstw i środków opatrunkowych. Otrzymywano tylko papierowe bandaże, a gdy zdobyto bandaż z gazy, wielokrotnie go prano. Byłem często świadkiem zażartych dyskusji między wymienionymi, komu dać ostatni zastrzyk kamfory lub koraminy, jak rozdzielić pomiędzy chorych niewielką ilość nalewki digitalisowej, i wierzę, że po takiej dyskusji następował rozdział lekarstw nie tylko zgodny z wiedzą lekarską, ale również poparty ważoną, rozumną decyzją, uwzględniającą wiek chorego, rokowania co do przetrwania obozu, przydatność chorego dla społeczeństwa, jego dawne zasługi i wiele, wiele innych czynników.

U chorych, dla których zabrakło lekarstw lub podawanie ich nie było wskazane, stosowano psychoterapię. Cierpiącym na bóle głowy dawano tabletkę wapna i to najczęściej przepołowioną i wmawiano w niego, że jest to silnie działający środek przeciwbólowy. To sugestywne przekonywanie chorego o dużej skuteczności obojętnego dla zdrowia medykamentu sprawiało, że większość chorych po zażyciu takiej pigułki przestawała narzekać na swoje dolegliwości."

DURCHFAL I INNE CHOROBY PRZEWODU POKARMOWEGO

Tematem prawie wszystkich otrzymanych relacji jest *durchfal*, biegunka głodowa, jedna z najpowszechniejszych w obozie, najczęstszych i najniebezpieczniejszych chorób. Niejasna jest do dziś etiologia tej choroby lagrowej; ewidentny jest tylko związek między nią a długotrwałym działaniem głodu. Niektóre jej objawy (np. obecność krwi w kale, nie zawsze zresztą występująca) przypominały czerwonkę bakteryjną, chorobę zakaźną zwaną też dezynterią, tj. krwawą biegunkę, wywoływaną przez bakterie z rodzaju *Shigella*.

W każdym razie zarówno biegunka głodowa, jak i czerwonka — utożsamiane niejednokrotnie przez więźniów i podobnie leczone — zbierały obfite żniwo śmiertelne, także, a może nawet przede wszystkim ze względu na warunki bytowe, w jakich znajdowali się chorzy więźniowie. Straszny obraz sytuacji chorego cierpiącego na tę dolegliwość przedstawia w swej relacji Jadwiga *Trębasiewicz*:

„Biegunka była pierwszą moją obozową chorobą. Towarzyszyły jej bóle głowy i obfity wyciek bez czucia z kiszki stolcowej, najpierw zielonobrunatny, a w końcu śmiertelny z krwią. Przebyłam tę chorobę zaraz po »kwarantannie«. Choroba straszna, w której czuje się obrzydzenie do samej siebie, do wszystkich, których często »pędzi« i zawsze śmierdzą, zabrudzeni ściekającym po nogach kałem. Mowy nie było, aby choć raz zdążyć i móc sobie uczciwie ulżyć.

W obozie nie było warunków do wyleczenia biegunki, toteż dominującą rolę pełniła kloaka: dół chyba z 10 m długi i około 4 m szeroki, okolony rodzajem ławki bez oparcia, na której trzeba było przykucnąć, żeby się wypiąć do środka. Kloaka była miejscem zdarzeń, przekraczającym rozumienie i możność opisu; przy każdej załatwiającej się formowała się kolejka, powodując ścisk, krzyk, połajankę, klatwy, przepychanie, bo fizjologiczne potrzeby były naglące, wiele przebierało nogami, w ostatniej chwili ściągało z deski te, które za długo, aby zająć ich miejsce. Niejedna swoją drogę życiową zakończyła w kloacznym dole.

W okresie biegunkowym istną makabrą były noce. Do ustawionych rzędem przed blokiem wiader z przelewającą się zawartością ciągnęły nie kończące się kolejki przynaglanych potrzebą kobiet. Sztubowe klęły »nocne wachty« na czym świat stoi, nie mogąc nadążyć z przenoszeniem do dołu kloacznego cuchnących odchodów. Rano, gdy przed apelem pędziło się boso do kloaki, nie sposób było się ustrzec przed wdepnięciem w g... Mijały dni, a ja, wciąż nękana bólami głowy, podtrzymując brzuch, żyłam w przerażeniu, że wyjdą ze mnie wszystkie wnetrzności. Uratowała mnie narzucona sobie wstrzemięźliwość w piciu. Choroba przestała się rozwijać i powoli zaczęłam wracać do obozowej normy".

„Pomoc udzielana przez lekarzy obozowych — pisze Jarosław *Dawczyński* — pozwoliła mi w wielu przypadkach na podtrzymanie na duchu i powrót do równowagi psychicznej. Ja osobiście bardzo dużo zawdzięczam tym lekarzom, przede wszystkim uratowali mi życie, a później pomogli mi przetrwać obóz".

Na tym tle zupełnie jest zrozumiałe, że w sytuacji obozowej bardzo wiele stosowanych samorzutnie środków „leczących", ziół, sporządzonych

ad hoc specyfików, a także wykonywanych zabiegów i zachowań w czasie choroby, działało nie tyle samo przez się, ale dzięki silnej wierze chorego więźnia w ich skuteczność. Zastrzeżenie to nie może oczywiście deprecjonować ludowych sposobów leczenia, zwraca jedynie uwagę na wieloczynnikowość działania na stan zdrowia w takich skrajnych warunkach, jak w obozie.

W leczeniu biegunek — zarówno szpitalnym, jak i „domowym" — podstawowe znaczenie miała zawsze odpowiednia dieta w obozie, praktycznie prawie zawsze powstrzymywanie się od jedzenia i picia, co dla wygłodzonych więźniów było ogromnym wyrzeczeniem. Pomocna mogła być oczywiście m. in. tanalbina, której jednak w rewirze obozowym były tak małe ilości, że lekarstwo to praktycznie się nie liczyło w walce więźniów z tą chorobą. Aby je otrzymać, trzeba było dostać się do rewiru, a tego więźniowie w całej swojej masie woleli zawsze unikać. Zresztą i w rewirze stale go brakowało. Pojawiało się ono czasem w obozie, przemycone z zewnątrz lub wyniesione z rewiru czy apteki obozowej. Zawsze jednak stosowanie tanalbiny w biegunkach było czymś sporadycznym.

Powstawały sposoby postępowania dostępne więźniom: głodówki i ratowanie się węglem drzewnym (rzadziej) lub powstałym przez spalanie chleba (nagminnie), a także cała masa innych, wypróbowywanych w obozie oświęcimskim sposobów.

Najwięcej świadectw i opinii dotyczących obozowego leczenia biegunki we własnym zakresie odnosi się do kuracji głodówkowo-węglowej. Węgiel był zdobywany, uzyskiwany i preparowany rozmaitymi metodami. Oto wybór wspomnień i uwag byłych więźniów prezentujących problematykę tego leczenia:

„Dwukrotnie w czasie pobytu w obozach ratowałem się przed *druchfalem*. Robiłem to tak, jak radzili starzy więźniowie. Wstrzymywałem się od jedzenia i jadłem tylko przypalany na piecu chleb. Po trzech dniach postu i kuracji zwęglonym chlebem biegunka przechodziła" (Stanisław *Drewniak*).

„Byłem chory na biegunkę (*durchfal*), przez kilka dni nic nie piłem i nic nie jadłem, tylko chleb kroiłem na kromki, mocno spalałem na blasze i czarny węgiel chlebowy jadłem i dzięki Bogu biegunka przeszła, a przecież duży procent więźniów na tę chorobę umierał" (Kazimierz *Krupa*).

„Biegunkę obozową sam wyleczyłem, przez trzy dni wstrzymując się od jedzenia i gryząc jedynie spalony na węgiel chleb" (mgr inż. Artur *Krzetuski*).

„Rozpowszechniło się na ogół w obozie leczenie biegunki potyfusowej za pomocą chleba przypalanego (z braku węgla leczniczego)" (Władysław *Łyszkowski*).

„Sam słyszałem, jak więźniowi cierpiącemu na biegunkę radzono jeść węgiel drzewny, a jeszcze lepiej — spaloną skórkę z chleba. Wiem też, że było to dość szeroko stosowane, co również widziałem" (Wincenty *Gawliczek*).

„W czasie *durchfalu* palono drzewo i zjadano zwęglone jego resztki" (mgr Jan *Starczewski*).

„Chorowałem też na *durchfal*, to jest biegunkę. Wtedy leczyłem się też własnym sposobem, np. paliłem drzewo dębowe lub bukowe na węgiel i ten węgiel jadłem i to zatrzymywało mi biegunkę" (Stanisław *Baś*).

„Na *durchfal* spiekało się skórki chleba na węgiel i tym się ratowało, co było dostępne do leczenia samemu" (Zofia *Filipczyk*).

„Gliniasty chleb przypieczony w piecu na bloku zastępował węgiel, ratowali sie nim chorzy na *durchfal*" (dr Stanisław *Zasacki*).

„Dzięki radzie przyjaciela obozowego, prawdopodobnie miejskiego znachora, a w obozie pracującego w kuchni, postanowiłem się wstrzymać od jedzenia i picia zupy, zaś otrzymywany chleb, dzięki pomocy tego, który go zwęglał na piecu, spożywałem przez kilka dni i to jedyne było moje lekarstwo, jakie powstrzymało nabytą biegunkę. Następnie, by nie dopuścić do całkowitego wyniszczenia organizmu, a tym samym śmierci, zacząłem spożywać w małych ilościach chleb i zupę dzięki pomocy kolegów, którzy dostawali paczki z domu, w miarę swoich możliwości dawali mi po troszku coś do spożycia; doszedłem do sił, by móc o własnych siłach się poruszać" (Jan *Piotrowski*).

„Staraliśmy się pomóc w ulżeniu cierpień *durchfalowcom*, dając im przypalony na czarno chleb" (Zdzisław *Soleski*).

„Otrzymałem od nieżyjącego kolegi, Henia *Dydka* z Brzozowa, wieczorem po apelu miskę zimnej rzepy (zupa). Hojny ten dar, wygłodniały muzułman, natychmiast pochłonąłem. W nocy pierwsze boleści. Zachorowałem na dezynterię, chorobę numer jeden niemal wszystkich muzułmanów obozowych. Przebieg jej strasznie bolesny. Przez trzy dni chodziłem półprzytomny. Lało się ze mnie. Musiałem bardzo uważać, aby nie podpaść na bloku, bo wtedy wiadomo: takiego wykańczano! Ratowałem się jak tylko mogłem. Nic nie jadłem ani nic nie piłem. Dopiero trzeciego dnia po apelu zjadłem trochę spalonego chleba. Rano poczułem się lepiej. I znowu tylko spalony chleb, bez płynów. Za dwa dni, szalenie osłabiony i wygłodniały, pozwoliłem sobie na ciepłą zupę, a wieczorem chleb z powidłem. Ta choroba bardzo wiele mnie kosztowała. Niemal całkowicie straciłem resztę sił. W pracy podpadałem coraz częściej. Byłem często bity. I o dziwo — niech to wytłumaczy medycyna — nie bałem się już razów! Po prostu nie czułem bólu. Na przykład przy szykowaniu willi dla komendanta obozu *Hössa* wstrętny kapo złamał mi na głowie sztachetę z parkanu. Krew buchnęła mi z głowy, nosa i uszu, ale bólu właściwie nie czułem" (Tadeusz *Krupiński*).

„Przy biegunkach przypalałem skórki chleba na węgiel i stosowałem ścisłą dietę głodową" (Jan *Kurek*).

„Biegunki leczyło się przypalonym i sproszkowanym chlebem lagrowym w przeświadczeniu, że ma działanie absorbujące trucizny podobnie jak węgiel" (Zofia *Przanowska*).

„Jednym ze sposobów leczenia *durchfalu* było spalanie na węgiel kawałeczków drewna i następnie zjadanie ich przez chorego. Środek ten miał być skutecznym lekiem na wstrzymanie biegunki. Zastosowanie w ten sposób tak uzyskanego węgla drzewnego w chorobie brata nie przyniosło poprawy. Choć według wypowiedzi szeregu współwięźniów stosowanie wspomnianego środka leczniczego, wyprodukowanego sposobem obozowym, bardzo prostym, przez spalanie drzewa w piecach lub ogniskach na komandach pracy, przyniosło bardzo duże korzyści i pożądane rezultaty. Wielu więźniów tym sposobem leczenia — przez zjadanie wprost kawałków węgla drzewnego — uratowało swe życie. Zresztą w pewnych okresach, kiedy *durchfal* wrpost dziesiatkował obóz, znaczna część więźniów w obawie przed tą choroba zdobywała węgiel drzewny, zażywając go parę razy dziennie; węgiel ten nosili więźniowie w kieszeniach spodni lub bluzy, znać to było na ustach i wargach czarnych od dość częstego spożywania tego środka tak skutecznego w leczeniu biegunki i również zapobiegawczego w tej chorobie" (Zygfryd *Rębilas*).

„Jeśli chodzi o tak zwane domowe sposoby kuracji różnych chorób, to wiemy, jakie spustoszenie wśród więźniów robił słynny *durchfal*, jak łatwo było zachorować, a jak trudno wykurować. W zasadzie stosowało się ścisłą głodówkę, nawet bez wody, zażywając węgiel i tanalbine. Nie zawsze te środki wystarczały, dlatego też robiliśmy węgiel, palac skórki z chleba, które jadło się przez kilka dni. To była strasznie ciężka kuracja. Stale chodzić głodnym, a w dodatku mieć tak dużo silnej woli, aby nie jeść zupy, chleba i dodatków, których i tak było zawsze za mało — to naprawdę była okropna kuracja, ale chyba jedyna i radykalna. Kilkakrotnie chorowałem na *durchfal* i kilkakrotnie tylko dzięki takiej końskiej kuracji, dzięki silnej woli wyszedłem z tej ciężkiej, a jakże wykończającej choroby, która z więźniów normalnych robiła muzułmanów" Kazimierz *Tokarz*).

„Zapadłem na tak zwany *durchfal* obozowy. Sytuacja stawała się tragiczna. Nic jeść nie mogłem, a o ile coś zjadłem, to wszystko przeze mnie przeleciało. Osłabiło mnie to tak, że nie miałem siły do żadnej pracy. Chciałem z tym udać się po pomoc do »rewiru«, ale koledzy nie radzili mi, opowiadając, że takich kładą przez trzy dni bez opieki i żywienia i dopiero po upłynięciu tych trzech dni sprawdzają kopnięciem nogi, kto z leżących jeszcze żyje. Zdecydowałem się znów, że zacznę sam się leczyć. Zacząłem jeść węgiel z drzewa bukowego; radykalnie mi on pomógł. W ten sposób wyleczyłem jednego więźnia, z pochodzenia Ukraińca, który był już całkowicie załamany; za to mi po wyleczeniu bardzo dziękował" (Jan *Lewicki*).

„Dużo więźniów starało się własnymi sposobami leczyć swe choroby, przede wszystkim tak bardzo często występującą biegunkę, pospolicie nazwaną *durchfalem*; na przykład w komandzie *Bauhof*, gdzie pracowałem, była możliwość spalania chleba, a nawet drzewo spróchniałe było palone i potem jedzone. Efekty tego leczenia były różne, dawały pozytywne wyniki, ale ubytek wagi przez wstrzymanie w czasie choroby jedzenia z kotła nie mógł być po wyleczeniu biegunki przez intensywniejsze odżywianie zrekompensowany" (Karol *Holler*).

„Przeciwko *durchfalowi*: spalony na węgiel chleb oraz papka z utartych, surowych ziemniaków. Najlepiej jednak leczyła *durchfal* trzydniowa głodówka, ale trzeba ją było stosować zaraz na początku, nim czyszczenie nie wyczerpało organizmu doszczętnie. Kto nie miał silnej woli, to nie wytrzymał trzech dni bez jedzenia i kuracja była na nic albo jeszcze pogarszała stan chorego. Wiem to z własnego doświadczenia, bo sama trzy razy stosowałam tę kurację i zawsze ze skutkiem, ale mimo dość silnej woli ledwie wytrzymałam" (Genowefa *Ułan*).

A oto ciekawe wspomnienie o leczeniu w podobny sposób „czerwonki" (prawdopodobnie regularnego obozowego *durchfalu*) w żeńskiej kompanii karnej w Budach, dowodzące, że nawet w najtrudniejszych warunkach możliwe było zorganizowanie samoleczenia i to w tak groźnej chorobie, jak krwawa biegunka.

„Krwawej biegunki nie dało się długo ukryć. Zdradzał wygląd i odór, ten charakterystyczny, który w początkach obozu w Brzezince niósł się od niego w powietrzu w promieniu co najmniej kilometra. Czerwonka zaatakowała nas latem 1942 r. na Budach w czasie odbywania kary za jedną ucieczkę. Kto przeszedł przez karną kolonię, ten wie, że oznaczała ona dno obozowego zła.

Z Bud nie zabierano do rewiru, pozostawało więc zwalczenie choroby własnym sposobem i wolą lub długie umieranie w zamkniętej komórce na węgiel. Tymczasem ilość zachorowań mnożyła się, wybiórka najbardziej chorych do zagazowania nie zahamowała postępu epidemii. Walczyłam z chorobą jak umiałam, jedzenie ograniczyłam do minimum, a od picia wody powstrzymywałam się zupełnie. Jednakże dolegliwości się wzmagały, z najwyższym wysiłkiem i pomocą jeszcze zdrowych koleżanek wykonywałam pracę, a noce spędzałam pod ubikacją. Czułam, jak wchłaniał mnie stopniowo stan obojętności na wszystko, co się stanie.

Wtedy ktoś poddał myśl: należy jeść węgiel drzewny! Zdobycie takiego węgla nie było łatwe. Drewno można było spalić tylko w kuchni, a tam pracowały nieużyte Niemki. Znalazłyśmy wreszcie obrotną pośredniczkę, sprawa została załatwiona na zasadzie wymiany towarowej. Odtąd zaczęła się kuracja węglowa. Spaloną masę drzewną należało rozgnieść na proszek i używać po łyżce rano i wieczorem, popijając małą ilością ciepłych ziółek. Wkrótce ulepszyłyśmy środek: zamiast drewna spalało się chleb, a za usługę dawało się zupę i dodatek do chleba. Węgiel chlebowy pachniał, był łatwy w użyciu. Należało przy tym zachować prawie zupełną głodówkę.

Trudno mi dziś określić, jak długo trwała kuracja, chyba około tygodnia. Powoli ustępowało krwawienie, dawało się odczuć polepszenie. Zaczynało się jeść ostrożnie, pić tylko ciepłe płyny, nigdy wody, choć pragnienie dręczyło. Nie pamiętam, ile nas skorzystało z węglowej kuracji i czy u wszystkich była ona skuteczna" (Stanisława *Piąty*).

Oczywiście naiwnością byłoby sądzić, że węgiel wypalony z drzewa lub z chleba był cudownym i zawsze skutecznym lekarstwem w obozie. O pozytywnych wynikach kuracji głodówkowo-węglowej mówi wiele świadectw, którymi dysponujemy, ale są to — trzeba o tym pamiętać — wypowiedzi osób, które w obozie zapadły na tę straszliwą chorobę i wyszedłszy z niej i z innych opresji cało, mogą dać między innymi świadectwo o tym sposobie leczenia. Iluż to jednak więźniom taka kuracja nie pomogła? Dysponujemy oczywiście także informacjami o negatywnym lub prawie żadnym skutku tego rodzaju leczenia:

„W pierwszych trzech tygodniach mojego pobytu w Brzezince, kiedy przebywałam jeszcze w bloku nr 2 pola A na kwarantannie, widziałam, jak więźniarki, przeważnie Żydówki-Greczynki, lecząc się same sposobem »domowym« z *durchfalu*, paliły w piecu kawałki drzewa, raczej opalały na węgiel, a następnie zjadały. Miało to leczyć *durchfal*. Nie bardzo to pomagało, albowiem bardzo dużo Greczynek i innych więźniarek umierało na chorobę *durchfal*. Ja podobne leczenie stosowałam, przebywając w bloku 17, w stanie chorych, kiedy to po przebytym tyfusie plamistym chorowałam na *durchfal*. Zjadałam opalone kawałki drewna przez parę dni; czy mi to pomogło, nie pamiętam. Po jakimś czasie polepszyło mi się" (Maria *Slisz-Oyrzyńska*).

„U wyniszczonej dziewczynki pojawiły się symptomy *durchfalu*. Coś trzeba było robić. Powszechnie stosowanym środkiem zapobiegawczym i leczniczym był węgiel z chleba, a nawet węgiel z drzewa. Ten ostatni uważano za bardziej skuteczny. Nie dysponowałam żadnymi możliwościami. Nabijałam więc na koniec noża chleb, spalałam na węgiel i karmiłam nim Marysię. Wyniszczenie, leżące u podłoża choroby, postępowało naprzód. Zabrano ją z bloku majaczącą. Byłam u kresu ponownego załamania" (mgr Mieczysława *Chylińska*).

„Występowała u nas czerwonka, a nikt z nas nie chciał zgłaszać, bo każdy bał się, żeby nie poszedł do krematorium; używaliśmy węgla, nie pomagał nam. Z różnych stron przynosili nam chrzan, niektórzy się wyleczyli, kto miał słabszą, a niektórzy poszli do krematorium" (Michał *Kogut*).

Właśnie ze względu na nieskuteczność tej dość prostej kuracji — by użyć tego wyrazu, powtarzającego się w relacjach więźniów — wzbogacano ją o inne, mniej często stosowane środki, czasem wymyślane dla próby ad hoc. Według wielu naszych respondentów pomagały w tej chorobie surowe tarte ziemniaki, tarte jabłka, picie „herbaty" ze spalonej skórki chleba, dodatki do płynów w postaci niektórych ziół, chrzan, o którym wspomniał już cytowany wyżej były więzień, kwas z kapusty itp., a także fusy z „kawy" i różne środki farmakologiczne, m. in. opium, używane wtedy niezgodnie z przeznaczeniem, lub zgoła tylko zwykłe *placebo*. Piszą o tych różnych chwytach lekarskich byli więźniowie:

„Kobiety chore na biegunkę zjadały z dobrym skutkiem surowe tarte ziemniaki. Chleb spalano na węgiel i także służył jako lekarstwo na biegunkę. Po polach zbierano zioła miętę, rumianek i inne i przenoszono do obozu, aby zaparzyć je i pić" (dr Helena *Wiązownicka-Gawęda*).

„Ja osobiście nie miałam lekarstw, oprócz tartych ziemniaków podczas *durchfalu*" (Jadwiga *Przędzik*).

„Wywar z kory dębowej miał być doskonałym środkiem zaradczym na *durchfal*, jak również węgiel z kory" (Stefan *Krupa*).

„Nie wiem, czy właściwie odpowiem, ale się postaram — to, co pamiętam. Pierwsza choroba — to *durchfal*, który przechodziłam. Śmiertelność tej choroby była bardzo duża, uniknęłam jednak, żeby nie być na rewirze; leczyłam się śniegiem przegotowanym wraz z różnymi uzbieranymi trawami, pracując w komandzie polnym; był to podobno lek na tę chorobę, wymyślony przez starszą koleżankę. Następnie paliło się skórki chleba na węgiel — trzeba było mieć dużo hartu, żeby utrzymać się w czystości; przetrwałam codziennie chodząc do pracy" (Józefa *Szkodzińska*).

„Dzięki pomocy koleżanek z kapeli udało mi się umieścić moją matkę chorą na krwawą biegunkę (*Durchfall*), a przebywającą wówczas jeszcze na kwarantannie, na bloku 23, z osławioną blokową *Pfaffenhofen*. Zarówno na rewirze, jak i już poprzednio starałam się dzięki radom i pomocy więźniarek z kapeli dostarczać jej spalony chleb, potem udało się zdobyć węgiel, nieco herbaty dla ugotowania mocnej esencji i tarte jabłko. To miały być, zdaniem doświadczonych więźniarek, środki pomocne do opanowania biegunki" (Helena *Dunicz-Niwińska*).

.Kuracja na *durchfal:* herbata z przypalonej skórki chleba (organizowana w pracy), osłodzona sacharyną; węgiel z drzewa bukowego, całkowita głodówka aż do ustąpienia biegunki, tj. 24—48 godzin. Na ogół w tym czasie biegunka ustępowała. Kurację wypróbowałem na samym sobie trzykrotnie. Potem »organizacja« bielizny i ubrania" (Włodzimierz *Borkowski*).

„W leczeniu biegunki miało odnieść dobre skutki zażywanie tartego chrzanu. Jednakże po zastosowaniu tego środka leczniczego u brata w czasie jego choroby nie pomogło ono, a raczej pogorszyło stan tej choroby u niego, choć z drugiej strony wielu więźniów twierdziło, że właśnie chrzan dopomógł im wykaraskać się z posiadanej przez nich biegunki. Nie jestem fachowcem w tej dziedzinie i nie mogę potwierdzić, czy stosowanie zażywania chrzanu w tej chorobie było wskazane i czy jest skuteczne w leczeniu, czy też jest szkodliwym środkiem" (Zygfryd *Rębilas*).

„Druga choroba nagminna, bardzo popularna w obozie — to biegunka, gorzej, gdy połączona z krwawieniem (*Durchfall*). Pracując w komandzie w Rajsku, gdzie kapem był Niemiec z czarnym trójkątem, zwany »Owczarkiem«, nabawiłem się ostrej biegunki, na szczęście nie krwawej. Do pracy przy burakach cukrowych chodziliśmy poza obóz. Dużo silnej woli trzeba było mieć, by przy tak skąpym wyżywieniu wyrzec się w ogóle jedzenia, a jedynym lekarstwem był chleb spalony na węgiel (*carbo medicinalis* — obozowe). Po dwóch dniach pełnej głodówki zjadłem trochę kapusty kiszonej wraz z kwasem kapuścianym. To spowodowało u mnie funkcję trawienną żołądka. Bo w czasie choroby wszystko przelatywało nie strawione przeze mnie" (Kazimierz *Japołł*).

„Wysuszone tzw. fusy z kawy oraz zweglony chleb stosowano w przypadkach biegunki" (Julian *Kiwała*).

„Biegunki, najczęstsze i najcięższe schorzenie obozowe, leczono przede wszystkim fusami z »kawy« spożywanymi łyżkami. Kawa obozowa, podawana zwykle wieczorem, sporządzana była z mieszanki palonej, w skład której podobno wchodziły mielone żołędzie. W ten sposób stosowanie lecznicze fusów tłumaczyłyby zawarte w nich związki garbnikowe. Ponadto stosowano chleb przypiekany lub spalany; ponieważ trudno tego było dokonać w warunkach obozowych, najczęściej stosowano chleb zmieszany ze sproszkowanym węglem drzewnym lub węgiel drzewny do zupy bądź kawy. Sproszkowany węgiel można było kupić od kolegów zatrudnionych w warsztatach, gdzie był swobodny dostęp do ognia. W rewirze z braku środków leczniczych stosowaliśmy także dość szeroko picie lekkich roztworów *kalii hypermanganici*, zresztą bez specjalnych efektów, oraz picie naparów z kory dębowej. Za najlepszy jednak środek uchodził zwykły dermatol, dostępny jako 10—20% mieszanka z talkiem do leczenia ran. Stosowało się go w ilości 1—3 łyżeczek zmieszanych z kawą lub herbatą czy wodą" (dr Kazimierz *Hałgas*).

„Zachorowałem na głośny oświęcimski *durchfal*, biegunkę. Wstrzymałem się od przyjmowania jakiegokolwiek pokarmu, zjadałem spalony na węgiel chleb i ziemniaki, zażywałem otrzymaną tanalbinę. Nic to jednak nie pomagało, byłem coraz bardziej wycieńczony i groziła mi, jak tylu innym, śmierć z wycieńczenia i odwodnienia organizmu. Pomogło mi opium? Nie wiem, czy to jakiś zbieg okoliczności, przypadek czy też zadziałała sugestia — dość, że kilka kropel opium podanego na kostce cukru pomogło mi radykalnie. Zacząłem jeść, biegunka ustąpiła. Opium przemycił do obozu drogerzysta, *Wodzisławski*, pracujący w *SS-Apotheke*, śp. kol. *Prokop*" (Alojzy *Fros*).

„Chorzy na biegunkę, którzy zgłaszali się do ambulatorium obozowego z tą chorobą, otrzymywali najczęściej papkę z białej glinki (*bolus alba*) wymieszanej z węglem (*carbo medicinalis*). Szczęśliwi byli ci nieliczni, którzy zdobyli kilka kropli opium, które przynosiło ulgę cierpiącym" (mgr Eugeniusz *Niedojadło*).

Zwalczając *durchfal*, więźniowie uciekali się do jeszcze innych dostępnych sposobów. Próbowali np. w sposób mechaniczny zatrzymać wyciekającą z chorego krew (aby nie zwracać uwagi otoczenia i nadzorców) lub robić ciepłe okłady w okolicy odbytu. Mówią o tym następujące relacje:

„Leczyłem się z *durchfalu* następująco: fasowany chleb spalałem na węgiel i przez kilka dni co dwie godziny po kawałku zjadałem (nie pijąc zup, które wymieniałem na chleb, ani żadnych płynów), do odbytnicy wkładałem czopki z papieru lub płótna, by nie wylewała mi się krew, z obawy przed rozpoznaniem mej choroby. Na tę chorobę stosowano różne zioła, leki kupione na lagrze za papierosy dostarczane spoza lagru lub z rewiru" (Kazimierz *Rogalski*).

„Sama przypalałam chleb na sucharki w piecu lagrowym, kocioł z kawą zarekwirowałam, blokowa i sztubowa dostały trochę cienkiej kawy, resztę wymieszałam i rozdałam chorym w możliwie jak najcieplejszej temperaturze. Było to niewiele, ale jednak coś, by ratować chore koleżanki. Pamiętam jedną starszą koleżankę, Czeszkę, którą uratowałam tym, że grzałam cegłę i kazałam jej kłaść ją jak najbliżej odbytnicy; wygrałam walkę z biegunką, czym się bardzo cieszyłam" (Gertruda *Dubowska*).

W jednej z wypowiedzi czytamy:

„Chorego na biegunkę ks. proboszcza *Kwartę* z tarnowskiej diecezji uratował od śmierci jego wikary, ks. Józef *Marszałek*. Opiekał »listeczki« chleba, żuł je w ustach, a następnie dawał pacjentowi. Z brukwianej zupy wydobywał ekstrakt, którym łagodził pragnienie. powstałe z wysokiej gorączki. W tym wypadku bardziej od pigułek działała ofiarna miłość młodego konfrata, która uratowała starszemu więźniowi życie" (ks. Konrad *Szweda*).

W leczeniu biegunki głodowej mogła odegrać pewną rolę dieta, np. w postaci kleików. Cóż jednak przychodziło z tego, że wiedział o tym zwykły więzień, pozbawiony możliwości otrzymania czy przyrządzenia sobie takiej dietetycznej potrawy? Owszem, więźniowie stojący wysoko w hierarchii obozowej lub mający korzystne powiązania mogli spożywać specjalnie gotowane kleiki (w rewirach istniała — przynajmniej na papierze — oficjalna dieta kleikowa, tzw. *Schleimkost*). Toteż jako ciekawostkę przytoczymy tutaj wspomnienie Franciszka *Gulby* o takim „specjalnym" leczeniu biegunki za pomocą „dobrej" wody mineralnej (w Oświęcimiu, jak wiadomo, nie było wody zdatnej do picia) i zup przyrządzanych indywidualnie:

„Gdzieś w drugiej połowie kwietnia 1943 r. dostałem boleści żołądka, a następnie jeszcze rozwolnienia. Na izbie chorych dano mi tabletki tanalbiny i jakieś krople, ale to nic nie poskutkowało. Teraz koledzy też zorganizowali od cywilów jakieś tabletki, ale one też nie polepszyły stanu zdrowia. Choroba trwała już jakiś miesiąc, ja już byłem mocno osłabiony, paznokcie u rąk całe posiniały, to ja idę do *Zenktellera* [lekarza więź-

nia], pokazuję mu to, a on mi mówi: ja ci nic nie dam, bo ja nic nie mam, ale idź do kantyny, tam przywieźli wodę mineralną, i kup sobie parę butelek — co też uczyniłem. Znajomy Ruski z kuchni dał mi trochę mąki, ja wyszukałem puszki z mięsa i zagotowałem zupkę mączną. Wieczorem powtórzyłem to, a nazajutrz tak samo. Wody znowu kupiłem, z kuchni za papierosy dostałem grysiku i tak po dwóch tygodniach znowu ożyłem, ale kawy obozowej nie piłem, a płynną część obiadu odlałem i tylko to, co gęste było, skonsumowałem. A koledzy z komanda teraz też co dzień coś przynieśli i tak się człowiek wylizał, bo woda w Brzezince była niepitna; jak się ją pozostawiło na noc w miednicy czy w wiaderku, to rano na wierzchu wody była warstwa żółtawa, jakiegoś tłuszczu czy mazi. A przecież wiadomo, że dla całej załogi *SS* dowożono wodę w beczkowozach z innej okolicy".

Niekiedy w *durchfalu* na pusty żołądek pito alkohol, samogon czy wino, a także próbowano sacharyny. Kapowie niemieccy „organizowali" eter, wierząc w jego efektywność leczniczą. Kilka osób wspomina, że w głodzie i w chorobie głodowej oszukiwali się żuciem chleba — okruszyną po okruszynie godzinami, a nawet przez cały dzień. Oto jedno tylko świadectwo w sprawie diety, można powiedzieć, alkoholowej:

„Biegunkę ja osobiście leczyłam prawie głodówką, tzn. zachowałam ścisłą dietę (zresztą dietę miałyśmy przez cały pobyt w obozie, nie licząc paczek z domu). Koleżanki kupiły mi butelkę wina z kantyny (jeśli można to nazwać winem); za porcję chleba zamieniłam spalone skórki chleba. I tak jak prawosławną komunię brałam raz na dzień parę kropelek wina i kawałek spieczonej skórki chleba, byleby coś przez żołądek przeszło. Ten umiar pozwolił mi przetrwać tę straszna chorobę, która wielkie żniwo zostawiła po sobie" (Wanda *Brühl*).

Raczej ewenementem było uzyskiwanie pozytywnego wyniku leczenia w *durchfalu* dzięki bardzo ryzykownemu najedzeniu się wbrew wszystkiemu ciężkostrawnymi, drażniącymi pokarmami, jak np. wędzonką z paczek, sałatkami i musztardą z kantyny, kiełbasą obozową. O tych niewytłumaczalnych przypadkach, osobliwych z punktu widzenia medycznego, piszą też więźniowie:

„Wymienię zdumiewające »lekarstwo«, które mi na *durchfal* pomogło. Mianowicie skusiło mnie smakowite wędzone mięsko przy surowym wędzonym boczku — otrzymywałam je w paczkach, ale nie śmiałam jeść. Chciałam zjeść kawałątko, oprzytomniałam, zjadłszy chyba 1/4 kilograma nie tylko mięska, ale w ogóle boczku (surowego), bez pieczywa! Sądziłam, że popełniłam samobójstwo, ale od tego dnia *durchfal* zniknął, jak ręką odjął (pojawił się potem kilka razy w lżejszej formie w okresach głodowych). Podkreślam, że inne »leki« stosowane przeze mnie, a także nawet tanalbina i węgiel nie dawały rezultatu" (Maria Elżbieta *Jezierska*).

„W *durchfalu* zażywałem wszystkie dostępne środki, ale to nic nie pomogło, opadałem z sił tak, że ledwo mogłem się dowlec do latryny i z powrotem do łóżka. Myślałem już nawet o skończeniu ze sobą, po prostu chciałem skończyć ze sobą, aby położyć kres takiemu życiu. Jednego dnia, gdy tak leżałem, już całkiem zobojętniały na losy ludzkie, a tym samym na swój los, kolega z *Krankenbau* z innego bloku przyniósł biały chleb, coś w rodzaju biny i kawałek smalcu. Ze smutkiem popatrzyłem na takie smakołyki, przecież zjedzenie tej porcji to pewna śmierć przez skręt kiszek. Ponieważ było mi już wszystko jedno, a nic mi nie pomagało, posmarowałem grubo smalcem ten kawałek chleba i prawie że połknąłem po tyludniowej głodówce. Myślałem, że to koniec i czekałem na jakieś symptomy skrętu kiszek. Nic z tego. W tym samym dniu jakby ręką odjął, skończył się nagle *durchfal*, w miejsce którego przyszło zatwardzenie na kilka następnych dni" (Kazimierz *Tokarz*).

„Pracujący w lagrze D, w ambulansie, dr Czesław *Lutyński* opowiadał mi już po wojnie, że zauważył dobre wyniki diety przy biegunce. Były to... śledzie solone (jeśli oczywiście udało się je zdobyć)" (dr Stanisław *Zasacki*).

Sposoby samoleczenia się w wypadkach nagminnych w obozie dolegliwości przewodu pokarmowego (trudno było rozróżnić nieraz więźniom „zwykłe" nieżyty i rozstroje żołądka od groźnego *durchfalu*, podobnie zresztą jak czerwonkę od krwawej biegunki obozowej) były podobne: dieta głodówkowa, u więźniów zdolnych do samozaparcia nieraz całkowita, stosowanie ziół, jak mięta, rumianek, piołun, jedzenie jedynie suszonego lub spalonego chleba.

O zioła było łatwiej oczywiście w Brzezince niż w obrębie koszarowych zabudowań tzw. *stammlagru* (obozu „macierzystego", *Auschwitz I*).

„Jeden raz tylko w czasie mojego pobytu w obozie doznałem rozstroju żołądka i jelit połączonego z silną biegunką, ale uporałem się z tym sam, stosując przez dwie doby ścisłą dietę. Koledzy, którzy przez dłuższy czas cierpieli na biegunkę, nie mogli sobie pozwolić na taką dietę, dlatego też większość z nich leczyła się spalonym na węgiel chlebem" (mgr Eugeniusz *Niedojadło*).

„Także w lesie rwaliśmy krwawnik i parzyliśmy go w ukryciu w kanale i tak leczyliśmy schorzenia żołądkowe" (Stanisław *Baś*).

Były też przypadki leczenia na własną rękę groźnego tyfusu brzusznego, nie zidentyfikowanego zresztą. O przypadkach „kuracji", przypominającej zresztą także leczenie *durchfalu*, mówią m. in. dwie przytoczone tutaj relacje:

„Na tyfus brzuszny należało zachować ścisłą dietę. Ja natomiast po dwóch dniach choroby w tajemnicy przed naszymi lekarzami poprosiłam pielęgniarkę (pamiętam nazwisko: Olga *Skalska*), by przyniosła mi z kantyny kwasu z kapusty. Lekarze, gdy się dowiedzieli, zaczęli krzyczeć na nią, ale ja w butelce miałam schowany sok i po trochu popijałam. O dziwo, lekarze za głowę się brali. Bóle mi ustąpiły i żołądek zaczął pracować normalnie" (Wanda *Brühl*).

„W okresie mojego pobytu w obozie oświęcimskim (sierpień 1943 — listopad 1944 r., potem Leonberg) przechodziłem prawdopodobnie tyfus brzuszny, nie zidentyfikowany, bowiem nieujawniony ze strachu przed zagazowaniem. Okres choroby przepracowałem, podobnie jak i inni, którzy panicznie bronili się przed pozostaniem na blokach jako chorzy. Wmówiłem w siebie, w co świecie uwierzyłem, tak jak we własne istnienie, że najskuteczniejszym dla mnie lekarstwem może być tylko miazga powstała z żutej do ostatka kromki chleba. Nie zjadałem od razu przydzielonych porcji chleba, a jedynie tylko dodatki, natomiast kromkę chleba potrafiłem żuć całymi godzinami, z jakże zmiennym skutkiem obserwowanej poprawy zdrowia" (Edward *Garwoliński*).

Oczywiście nie jest pewne, czy były to rzeczywiste, czy tylko rzekome przypadki duru brzusznego. Wiele zresztą chorób znanych z wolności mógł w obozie symulować zespół objawów często wynikających i z osobliwych warunków obozowych (etiologii), i ze splotu objawów różnych chorób jednocześnie nurtujących więźnia, wyniszczonego fizycznie i psychicznie. O wyczerpujących, a zazwyczaj nawet minimalnych badaniach diagnostycznych, rzecz jasna, w obozie — nie licząc np. rewiru — nie było mowy. Jeśli dodać, że większość więźniów wymierała bez żadnego badania ani leczenia, można uświadomić sobie niemożność ścisłego rozeznania w skali rozpoznań lekarskich wśród uwięzionej społeczności obozowej.

W durze brzusznym pojawia się właśnie bie-

gunka, ale jest ona jednym z szeregu objawów tej choroby, której istotą są owrzodzenia jelita cienkiego i zatrucie ogólne z uszkodzeniem układu nerwowego, krążenia i oddechowego, jak też narządów miąższowych. O rozpoznaniu przesądza m. in. tzw. odczyn Widala, ale przecież wykonanie go w różnych komandach byłoby całkiem niemożliwe. W leczeniu wielką rolę odgrywa m. in. odpowiednia higiena i dieta. Więźniowie, dostrzegając niektóre objawy chorób, nie zawsze główne (tzw. osiowe), często mogli się mylić co do charakteru swoich dolegliwości i chorób.

Dygresję tę warto jeszcze uzupełnić zastrzeżeniem, że w analizie samolecznictwa chodzi tutaj przede wszystkim o sposoby stosowane przez chorych więźniów, a w mniejszym stopniu o rekonstrukcję rozpoznań i z natury swej nieraz zawodne odtwarzanie diagnoz zaburzeń powikłanych czy zespołów chorób.

CHOROBY SKÓRY I TKANKI MIĘŚNIOWEJ

Wielkim problemem w obozie były nadzwyczaj częste choroby skórne i ropiejące rany po licznych urazach. Świerzb, zwany z niemiecka „kreca" i tzw. flegmony, czyli ropowice, były prawdziwa plagą więźniów. Od uwolnienia się od tych chorób mogło zależeć życie. Odrażający widok więźnia — trzeba ciągle o tym pamiętać — drażnił esesmanów i funkcyjnych, narażał na bicie i jego skutki, a nawet na selekcję do fenolu lub do gazu. Za wszelka cenę starano się więc leczyć, a ponieważ chorobom tym nie zawsze towarzyszyła wysoka gorączka, mowy być nie mogło o jakimś powszechnym ich leczeniu w szpitalu obozowym, do którego zresztą niespieszno było nikomu.

W przypadku tych chorób więc rozwinęło się na olbrzymią skalę samolecznictwo, a pomysłowość w doborze, preparowaniu i stosowaniu różnorodnych „medykamentów" oraz w przeprowadzaniu zabiegów „leczniczych" była wprost niewyczerpana. Obok takich naturalnych metod leczenia, jak np. odkażanie śliną i moczem, stosowano tu samorzutnie, w najszerszym zakresie ziołolecznictwo, a także leki chemiczne, przygotowywane w wymyślny sposób w miarę skromnych lagrowych możliwości, pod ustawiczną groźbą surowych kar. W lecie zmiany skórne wielu więźniów leczyło, wystawiając je na działanie promieni słonecznych. Charakterystyczny był widok szeregu więźniów z podwiniętymi nogawkami, którzy w wolnych od pracy chwilach siedzieli w słońcu przed barakami, naświetlając okaleczałe nogi.

„Stosowałam jako kurację — wspomina Zofia *Przanowska* — gdy zdarzała się po temu okazja, wygrzewanie na słońcu. Zauważyłam, że miało to dodatni wpływ na samopoczucie, a przy schorzeniach skóry było skuteczne."

Oprócz świerzbu i flegmon, które najbardziej trapiły więźniów, trzeba było zwalczać liszaje, opryszczki wargowe, egzemy, skutki odmrożeń i oparzeń.

Do chorób powszechniejszych w obozie należał ś w i e r z b, według wielu choroba lagrowa numer 2 (po *durchfalu*). Spowodowane przez niego swędzenie i wtórne zmiany skórne przyczyniały się do dalszych zakażeń bakteryjnych, a powikłania prowadziły często do śmierci osłabionych głodem i pracą ponad siły więźniów. Dokuczliwość tej choroby (nieznośne swędzenie) była dla bardzo wielu nie do wytrzymania. Cierpienia fizyczne wzmagała naturalna izolacja, której zdrowi więźniowie w obawie przed nadzwyczaj łatwym zakażeniem poddawali chorych, zwanych pogardliwie „krecowatymi". Nic dziwnego, że w obozie prowadzono uporczywą walkę ze świerzbem, uciekając się do wszelkich dostępnych sposobów.

Dobrym wprowadzeniem w problematykę zarówno choroby, jak i prób jej przezwyciężania są dwa urywki wspomnień byłych więźniów:

„Tworzyły się pęcherzyki świerzbu, początkowo na rękach między palcami, w pachwinie, międzykroczu, dokuczliwe swędzenie — drapałem się aż do krwi, przenosząc w ten sposób zarazki na miejsce jeszcze zdrowe. Swędzenie ciała na skutek posiadanego świerzbu następowało przeważnie po rozgrzaniu się ciała, tj. po udaniu się na spoczynek pod tzw. »koc«. Wówczas można było widzieć na sztubie zagryzione wargi, twarze wykrzywione ze straszliwego i bardzo dokuczliwego swędzenia i bólu. Każdy drapał swe ciało do krwi, łudząc się nadzieją, że tym sobie ulży, a w rzeczywistości czyniąc to pogarszaliśmy sobie stan owej choroby. Tworzyły się tzw. skorupy, które dokuczały w pracy, jednakże temu bolesnemu swędzeniu i uporczywemu drapaniu nikt nie był w stanie się oprzeć" (Zygfryd *Rębilas*).

„Na bloku pojawił się świerzb — plaga obozowa. A z nim różne ropowice. Żadnego lekarstwa. Do tego, w razie selekcji, pokryte świerzbem, ropowicami, szły w pierwszej kolejności do gazu. Stosowano więc byle środki, z wiarą lub nawet bez wiary w ich skuteczność, licząc w niejednym przypadku na sugestywne działanie rzekomego leku. Okładano chore miejsca liśćmi z babki lancetowatej albo i byle zieloną trawą, smarowano moczem. Opowiadano o zbawiennym działaniu kaktusów. Chore mogły najczęściej liczyć na pomoc najbliższych. Obawa przed zarażeniem powodowała nie tylko odsuwanie się od nich, ale i obrzucanie wyzwiskami typu »ty krecowata«. Tej tak nieludzkiej izolacji nie przeżywały nawet chore na tyfus. Biologiczne prawo silniejszego stawało na przekór ludzkim uczuciom" (mgr Mieczysława *Chylińska*).

Autorka drugiej z cytowanych wypowiedzi, mówiąc o różnych obozowych remediach na świerzb, wspomina niejako mimochodem o próbach leczenia tej strasznej „oświęcimskiej" choroby przez smarowanie zakażonych miejsc moczem. Tymczasem, jak wynika z ogromnej większości wypowiedzi w sprawie leczenia „krecy", był to wobec ciągłego braku specjalnej maści, tzw. „mitigalu", wydawanej zresztą więźniom, ale w ilościach nie wystarczających — środek można powiedzieć podstawowy. Oto świadectwa w tej sprawie:

„W obozie w swoisty sposób leczono niektóre choroby, np. świerzb leczono w ten sposób, że miejsca chore nacierano moczem. Kto przyniósł taki sposób leczenia, nie wiem" (Antonina *Gryboś-Tajak*).

„W zasadzie prawdziwych lekarstw brakło. Stosowano więc np. do smarowania świerzbowatej skóry — własny mocz" (Maria Elżbieta *Jezierska*).

„Z braku maści na świerzb używano własnego moczu, nacierając nim miejsca, w których pojawił się świerzb" (Julian *Kiwała*).

„»Uniwersalnym« lekiem na świerzb był własny mocz. Więźniarki nacierały nim swędzące miejsca — nie pamiętam, z jakim skutkiem" (Stanisław *Przewdziecki*).

„Ci, którzy nie korzystali z wydawanej w ambulatorium maści, stosowali jako środek leczniczy własny mocz, którym smarowali w latrynie zaatakowane świerzbem miejsca" (mgr Eugeniusz *Niedojadło*).

Czy to był środek skuteczny, wielu byłych więźniów wątpi, ale też niektórzy nawet dziś, z perspektywy lat dostrzegają jego niewątpliwe zalety:

„W czasie pobytu na rewirze zaraziłam się świerzbem. W owym czasie maść przeciwko świerzbowi była nie do zdobycia. Pamiętam, że chore zalecały leczyć go poprzez smarowanie własnym moczem. Choroba jest tak przykra, że bodajże sama próbowałam owego sposobu, ale z rewiru wyszłam z brzuchem obrośniętym świerzbem. Po jakimś czasie udało się »zorganizować« trochę maści i dopiero po dłuższym czasie pozbyłam się go" (Helena *Dunicz-Niwińska*).

„W czasie mojego pobytu w bloku nr 17 — rewirowym — widziałam, jak Ukrainki i Rosjanki leczyły domowym sposobem świerzb, twierdziły, że tak u nich na wolności leczy się świerzb i wszystkie choroby skóry. Smarowały, nacierały się własnym moczem, wmawiały mi, że ta kuracja bardzo skutkuje" (Maria *Slisz-Oyrzyńska*).

„Do obozu w Oświęcimiu przyjechałem transportem kolejowym (transport łączny z więzienia Montelupich i więzienia w Tarnowie) 9 na 10 stycznia 1941 roku. Jeszcze tego samego roku chorowałem w obozie na świerzb (*Krätze*). Choroba ta była następstwem wcześniejszego pobytu paromiesięcznego w więzieniu, a następnie braku pożywienia, a w pożywieniu tłuszczu. Na ciele powstały owrzodzenia, wypryski i strupy, które przy nagrzaniu ciała dotkliwie swędziały. Sposobem obozowym na te dolegliwości było przy oddawaniu moczu polewanie nóg. Środek ten, może nie w pełni skuteczny, dawał jednak widome rezultaty, tj. gojenie i częściowe zabliźnianie się strupów" (Kazimierz *Japołł*).

Polewanie swędzących wyprysków na ciele moczem lub nawet zwykłą wodą łagodziło cierpienie, może też ułatwiało gojenie rozdrapywanych ran, nie było jednak środkiem radykalnym, z pewnością nie przynosiło natychmiastowych pozytywnych skutków. Stosowano zatem np. chlorek wapnia rozcieńczony w wodzie do mycia się lub nawet smarowanie się gaszonym wapnem, co groziło poparzeniem skóry.

„Widziałem kiedyś w porze letniej więźnia — opowiada Wincenty *Gawliczek* — zatrudnionego przy gaszeniu wapna, który tym wapnem się wysmarował, twierdząc, że to jest lepsze lekarstwo na świerzb niż maść, którą dają w szpitalu obozowym."

Niezależnie od stosowania gaszonego wapna w czystej postaci próbowano też sporządzać „ostrzejsze" maści, używając jako składników tegoż wapna lub siarki (także roztartych główek od zapałek) i jako substancji tłustej — margaryny przydziałowej, smarów do wozów i maszyn, tzw. towotu, zdobycznego oleju itp. Oto dwie dłuższe, barwne relacje o przyrządzaniu i stosowaniu tych domorosłymi sposobami przyrządzanych leków:

„Któryś z kolegów — nazwiska i numeru nie przypominam sobie, wiem tylko, że był z naszego krakowskiego, styczniowego z 1941 r. transportu — zapewniał mnie, że on również miał świerzb; pozbywał się tej choroby, używając świeżo lasowanego wapna, którym się smarował kilkakrotnie, szczególnie w miejscach najbardziej dokuczliwych. Słowa zapewnień owego więźnia bynajmniej mnie nie przekonały o skuteczności leczenia tej choroby wapnem; wiedziałem dobrze, że wapno i wszelkie podobne zaprawy wapienne robią też nadżerki skóry ludzkiej i są szkodliwe dla zdrowia.

Coraz bardziej dokuczający świerzb wprost zmusił mnie do próby zastosowania tego zalecanego »leku«. Zdobywszy ukradkiem trochę wapna z komanda *Neubau*, tegoż samego wieczora wysmarowałem się dość solidnie — w miejscach najbardziej obolałych, następnie ułożyłem się do snu pod koc. Skutek tego zabiegu był prawie natychmiastowy, podrażnione wtartym wapnem ciało spowodowało niesamowity ból wprost nie do wytrzymania, zwłaszcza w międzykroczu. Znajdujące się tam skorupy ropne rozdrapałem, brocząc krwią i wijąc się w strasznym bólu. Wyskoczyłem spod koca jak poparzony na korytarz, szukając wody w celu zmycia wtartego wapna — tym zabiegiem drugim jeszcze więcej sprawiłem sobie bólu, do rana wiłem się w okropnych boleściach.

Zwierzyłem się innemu koledze o zastosowaniu w leczeniu świerzbu wapna lasowanego (Antoni *Świder*, z zawodu malarz), który się wyśmiał z mojej naiwności, przytaczając mi szereg dowodów i przykładów szkodliwości działania wapna na skórę ludzka, a tym bardziej na otwarte rany i owrzodzenia. W trakcie dalszej rozmowy o leczeniu świerzbu zaproponował mi i zalecił stosowanie jako nieodzownego środka leczniczego w świerzbie »maści siarkowej«.

Z pomocą koleżeńska w zdobyciu — zaznaczam: nie maści siarkowej, lecz kilku grudek siarki — przyszedł mi kolega Mieczysław *Oleś*, zatrudniony wówczas w krematorium, polecając mi pokruszenie jej drobno oraz urobienie, z braku innego tłuszczu, z otrzymana jako dodatek tłuszczowy margaryną. W obawie przed doznaniem ponownie przykrych i bolesnych skutków, jak przy wapnie, zlecanej obecnie maści siarkowej trochę sie bałem, lecz cierpienia i doktliwe bóle ciała podrażnionego wapnem zmusiły mnie do próby zastosowania nowego lekarstwa. Urobioną doradczym sposobem maść siarkową wcierałem kilkakrotnie, okazała sie ona faktycznie skutecznym środkiem w leczeniu świerzbu. Posiadane przeze mnie, wżarte od wapna rany dość szybko poczęły się suszyć i goić.

Świerzb, o którym już wspominałem, wyleczyłem doradzonym swojskim sposobem leczenia, tj. maścia urobioną prymitywnie przez ukruszenie drobno siarki, urobienie z margaryna, która się okazała w obozie oświęcimskim skutecznym lekiem i wielu współwięźniów, stosując ją, wyzbyło sie tej tak bardzo dokuczliwej choroby obozowej" (Zygfryd *Rębilas*).

„Maść na krecę. W pierwszych wiosennych, ciepłych dniach wiosny 1942 zauważyłem u siebie objawy świerzbu, którego potwornie się bałem. Między palcami rak poczułem swędzenie i spostrzegłem białawe krosteczki, które pękały i wylewał się z nich płyn. Koledzy z *Gärtnerei Rajsko* obiecali mi zdobyć mitigal, ale strach przed nieznaną chorobą spowodował, że posłuchałem rady jednego z kolegów i przyrządziłem sobie własna »maść«. W ogrodnictwie mieliśmy wapno. Wziałem trochę niegaszonego wapna, zmieszałem z towotem, który wyskrobałem z łożysk znajdującej się tam mieszarki do zaprawy murarskiej. Mój doradca powiedział, że niegaszone wapno spali zarazki, a towot złagodzi pieczenie. Sporządziłem te maść i natarłem rece. Piekło niesamowicie, szczególnie tam, gdzie krosteczki się już rozlały. Swoją maść stosowałem chyba przez dwa dni. Trzeciego dnia dostałem odrobinę mitigalu, ale wydawał mi sie już zbedny, bo ustało swedzenie, krosteczki jak gdyby zaschły. W tym samym czasie, w drugim dniu stosowania swojej maści dali koledzy kawałek mydła i mogłem zagrożone miejsca dobrze wymyć (w *Gärtnerei Raisko* mogłem nawet zdobyć ciepłą wodę do umycia rąk). Nie wiem, co pomogło, »moja« maść, czy później zastosowane mydło, czy wreszcie zwalczył resztkę krecy mitigal" (Tadeusz *Szymański*).

Z braku mitigalu musiał wystarczyć czasem jako namiastka maści jakiś zwykły smar, który oczywiście nie mógł leczyć, ale sprowadzał pewna ulgę zgnębionym cierpieniami chorym na „krecę". Wspomina Wanda *Brühl*:

„Na świerzb leczyłyśmy sie własnym moczem, prócz wiekszego pieczenia skutek żadny, ale jak to się mówi, »tonący brzytwy sie chwyta«. Za chleb kupowałyśmy smary od wozu, które przynosiły nam więźniarki pracujace na polach. W miejsca rozdrapane wchodziły wszy i pluskwy, ból straszny. Kiedy otrzymałyśmy pierwsze paczki, zmniejszyły się troche cierpienia. Kupiłyśmy mitigalu, który bardzo był skuteczny."

W leczeniu świerzbu stosowano także inne uniwersalne „ziołowe" lekarstwa obozowe: cebulę i czosnek. O ich użyciu pisze były więzień Stefan *Krupa*, którego fragment relacji niech zakończy tę partię naszego szkicu informacyjnego, która dotyczy zwalczania własnymi sposobami świerzbu w lagrze oświęcimskim:

„Z braku wszelkich leków przeciw świerzbowi używano cebuli, czosnku, ugniecionych na maść. [Ja też] na świerzb zalecałem cebulę, czosnek i musztardę i aby to udowodnić, po czosnku i cebuli zasmarowałem się musztardą. W obozie już po raz trzeci czy czwarty kurowałem się ze świerzbu i w tym wypadku na pewno przybyłem do szpitala ze świerzbem. Kiedy gorączka tyfusowa się skończyła, po świerzbie nie było śladu. Jeśli nie wyleczył mnie ze świerzbu czosnek, cebula i musztarda, to niechybnie gorączka [podnosiła się] ponad 40 stopni."

Inną plagą obok świerzbu były w obozie owrzodzenia i ropiejące rany. Więźniowie wygłodzeni, pozbawieni odpowiedniej ilości witamin i tłuszczów, zapadali nagminnie na chorobę, także „obozową", zwaną popularnie flegmoną, charakteryzującą się występowaniem na całym ciele, a szczególnie na kończynach bolesnych wrzodów, uniemożliwiających nieraz poruszanie się, siedzenie, a nawet leżenie w jakiejś wygodnej pozycji.

Warto przypomnieć, że flegmona — to ropowica, będąca ostrym zapaleniem ropnym tkanki łącznej luźnej, często podskórnej, a wywołana zakażeniem bakteriami ropotwórczymi, najczęściej paciorkowcami. W znanych antysanitarnych warunkach obozowych, przy zranieniach w pracy bądź urazach wskutek bicia, o flegmonę było bardzo łatwo. Pojawiał się ból, obrzmienie, zaczerwienienie, wysoka gorączka. W erze przed antybiotykami stosowano leczenie chirurgiczne.

Chore miejsca po zebraniu się ropy i po przebiciu ich nie chciały się goić, cuchnąca ropa wyciekała długo w obfitych ilościach, więzień był obezwładniony bólem, stawał się uciążliwy dla otoczenia, bywał stale narażony na znęcanie się nad nim funkcyjnych esesmanów. Te same uwagi można by odnieść do zadawanych w różny sposób więźniom ran, zwłaszcza głęboko drążących, które nie goiły się całymi miesiącami, ropiały, sprawiały dotkliwy ból przy lada dotknięciu, utrudniały poruszanie się i pracę.

Jak sobie radzono w tych sytuacjach? Była oczywiście, przynajmniej teoretyczna, możliwość leczenia tych schorzeń skóry w rewirze, wykonywanie tam zabiegów chirurgicznych, pielęgnacji w chorobie itp. Ale z braku lekarzy, środków opatrunkowych, medykamentów i w ogóle odpowiednich warunków leczenia właściwie i w szpitalu obozowym uprawiało się medycynę „ludową", a zabiegi wykonywali niekoniecznie lekarze.

„Utworzył mi się na karku — pisze Alojzy *Fros* — potężny czyrak czy furunkuł, a nadto zaraziłem się jakąś chorobą skóry, bodaj parchem. Zabieg cięcia i oczyszczenia odbył się z braku środków na żywo, bez jakiegokolwiek znieczulenia. Bandaż założono papierowy."

Podobnie wspomina Jan *Kurek*:

„Przy dokuczliwej flegmonie na prawej nodze postarałem się o skuteczny zabieg operacyjny na 28 bloku. Wykonał go jednak nie lekarz, ale kolega sanitariusz z rewiru obozowego. I podczas gdy jego kolega stał u wejścia na straży przed esesmanami, on bez znieczulenia pokrajał i oczyścił sporą ranę, którą potem tylko zdezynfekował dermatolem, bo noszenie bandażu w obozie było bardzo niebezpieczne."

A więc w szpitalu obozowym stosowano zupełnie prymitywne środki i zabiegi, wykonując np. operacje bez znieczuleń, często unieruchamiając chorego siłą lub przywiązując go, ogłuszywszy silnym uderzeniem. Jakość i poziom usługi chirurgicznej pozostawiały wiele do życzenia, a skutki bylejakości tamtych operacji niektórzy odczuwają do dziś dnia.

„Zaczęły się kłopoty z palcem — przypomina sobie inż. Czesław *Czerwiński*. — Zaczął ropieć i musiałem poddać się zoperowaniu. Nie pomagało zaparzanie w gotującej wodzie, nie pomagały liście czy bobkowe, czy szczawiu, pokazane mi przez kogoś na polu, przykładane do rany. Palec bolał, spuchł. Zabieg wykonano tandetnie, zniszczono mi opuszkę palca i do dziś dnia palec ten boli mnie i nie spełnia swych funkcji normalnie."

Z powodu braku środków odkażających i bakteriobójczych lekarze w rewirze starym sposobem niekiedy nie przeciwdziałali rozradzaniu się larw, prawdopodobnie much, w otwartych ranach. Odrażający był widok takich ran u człowieka, o którym by się pospolicie powiedziało, że za życia zżerają go robaki. Dziwne, ale prawdziwe, że — istotnie — pozostawienie larw nieraz przyspieszało gojenie się ran, rzecz to zresztą znana co najmniej z okresu pierwszej wojny światowej. Potwierdzają to m. in. dwie relacje naszych respondentów, wystawiając zarazem odpowiednie świadectwo oficjalnej „medycynie lagrowej":

„Urzędujący w bloku szpitalnym nr 21 dr Wilhelm *Türschmid* częstokroć w 1942 roku dopuszczał do pojawienia się robaków w ranach (przeważnie w *ulcusach* [wrzodach]), twierdząc, że w warunkach braku antybiotyków ten sposób jest najlepszy na oczyszczenie rany. Nieraz robaki z jednej rany przenosił na ranę u innego pacjenta. Osobiście byłem świadkiem sukcesów tej kuracji" (Julian *Kiwała*).

„Na tym bloku [nr 8, w kwietniu 1943 r.] leżeli z ciężką flegmoną pobici karnie w pośladki i w inne miejsca przez esesmanów i więźniów funkcyjnych; mieli zupełnie odbite mięso od kości, wytworzyła się ropa, paru lekarzy, którzy przebywali na tym bloku, polecali chorym, żeby nie odrzucać tych białych robaków, bo one czyszczą tę ranę z ropy, a później same giną. Była część więźniów ze spuchniętymi nogami i innymi częściami ciała, bardzo cierpieli, a że na tych dwóch blokach oficjalnie nie było ani bandaży, ani lekarstw, ani instrumentów chirurgicznych, brali od kogoś nóż lub ostrzyli łyżkę, dezynfekowali w ogniu i przecinali więźniom spuchnięte miejsca, żeby ropa wypłynęła, wtedy chory lepiej się czuł, a białe robaki czystości dokonały" (Zdzisław *Soleski*).

Warto dodać jeszcze, że lekarze w rewirze, nie dysponując nieraz narzędziami chirurgicznymi, posługiwali się w nacinaniu ropni prymitywnymi narzędziami, zaostrzonymi łyżkami, nożami z blachy, dezynfekowanymi w ogniu.

Nic też dziwnego, w tej sytuacji, że więźniowie często, może nawet nagminnie, ratowali się sami, zdobywając się na odwagę wykonania zabiegu chirurgicznego we własnym zakresie. Jeden z nich, Stefan *Krupa*, relacjonuje:

„Kiedy już obrzęk był mocno rozmiękczony i czułem się bardzo źle, postanowiłem przeciąć skórę na flegmonie. Rozłożyłem arkusz papieru na posłaniu, odpowiednio się ułożyłem, naprężyłem pośladek, a końcem noża dokonałem dzieła, którego dziś nie byłbym zdolny zrobić. Ale zrobiłem to w bojaźni przed powrotem do szpitala.

Przy opatrunkach jeszcze mnie straszono, że należy to przeciąć w szpitalu i odpowiednio wyczyścić."

Rany powstałe w taki sposób (inne zresztą też) nie tylko dezynfekowano w rozmaity sposób, ale także oczyszczano nożami odkażonymi w ogniu.

Najczęściej stosowanym środkiem dezynfekcyjnym był własny mocz, stosowany już to jako środek jedyny, już łącznie z innymi. Pisze o tym bardzo wielu więźniów; oto próbki ich konstatacji:

„Wszelkie rany leczono moczem" (Stefan *Krupa*).

„Skóra pękała i z twardych pęknięć wydobywała się ropa, swędzenie zmuszało do pocierań i rozdrapywań. Więźniarki zaczęły stosować dodatkowo stały obozowy sposób na wszelkie dolegliwości ciała: smarowały się (również powieki) własnym moczem" (Jadwiga *Trębasiewicz*).

„Więźniowie ratowali się siłą woli i najprostszymi środkami, np. rany leczono własnym moczem, zapobiegając w ten sposob zakażeniom" (Jerzy *Rzeźniak*).

„*Ulcus* [wrzód] dość często mi doskwierał, ale dzięki temu, że pilnowałem, aby rana była otwarta i ropa miała swobodne ujście, nie doszło do flegmony. Ranę opatrywałem, kładąc naokoło »wał« z maści ichtiolowej, a do środka maść borową. Uszkodzenia skóry leczyłem więźniarskim sposobem: własnym moczem" (mgr inż. Artur *Krzetuski*).

„W czasie mego pobytu w obozie uległem skaleczeniu ręki i nogi, a nie chcąc być pacjentem rewiru, leczyłem się własnym sposobem, a to przemywałem własnym moczem skaleczenia, przykrywając rany-skaleczenia liśćmi bobkowymi" (Jan *Piotrowski*).

Jeden z byłych więźniów opowiada, jak w ogóle uratował przed amputacją palec, zaropiały i obrzękły, cierpliwie polewając go własnym moczem i masując dla uzyskania lepszego obiegu krwi:

„Miałem kłopoty z palcem wskazującym prawej ręki. Na poduszce tego palca zrobiła mi się rana, ktora ze względu na okres zimowy nie chciała się goić. Z dnia na dzień rana powiększała się i zaczęła ropieć. Powiększenie jej doszło do takiego rozmiaru, że kość była już widoczna. Zwróciłem się z tym do rewiru obozowego w celu udzielenia mi pomocy. Tam zadecydowano amputowanie palca. Nie zgodziłem się z tą decyzją i postanowiłem działać na własną rękę. Przy każdorazowym oddawaniu moczu polewałem chory palec. W celu pobudzenia krążenia krwi często dokonywałem okrężny ruch ręką. Jak się okazało, po pewnym czasie rana zaczęła się goić, a na palcu pozostał jedynie niewielki ślad" (Jan *Lewicki*).

Wracając do sprawy stosowania środków dezynfekujących — i leczących równocześnie — zaropiałe rany z urazów i wrzodów, warto podkreślić, że próbowano w obozie właściwie wszystkiego, co mogło uchodzić za deficytowy w obozie specyfik bakteriobójczy lub gojący, łącznie z różnymi dostępnymi więźniom chemikaliami, a nawet kałem. Oddajmy tu głos samym byłym więźniom wspominającym własne i kolegów próby w tym zakresie:

„Obserwowałem ogromną skuteczność innego środka. Oto spalano kawałki papieru na szkle. Tworzyła się wtedy mała ilość ciemnobrązowej smółki. I tą właśnie smółką smarowano skórę — i to nie sam wyprysk, czy czyrak, a jego okolice" (mgr Jan *Starczewski*).

„Podam tu przykład, kiedy porobiły mi się rany między palcami u nóg. Miejsca te były tak wygniłe, że widać było samo mięso. Utrudniało mi to bardzo chodzenie. Dzięki dobrej radzie jednego z niemieckich więźniów politycznych udało mi się całkowicie z tego wyleczyć. Polegała ona na tym, aby rany między palcami wysmarować przy pomocy pędzla celulozą (...) używaną do pokrywania mebli i nie myć nóg przez trzy dni. Oczywiście do tego czasu rany zostały wygojone i do dziś nie mam żadnych objawów" (Jan *Lewicki*).

„Własną śliną gojono występujące nieduże ropnie" (Julian *Kiwała*).

„Wszawica: pomimo przeprowadzanych kuracji czarną i żółtą maścią na świerzb pozostawały zmiany skórne o charakterze ubytków naskórka w okolicy nadgarstków, a nawet na skórze kłęba kciuka. Ubytek o powierzchni 1/2 × 1/2 cm wygoił mi się zaraz po posmarowaniu zwyczajną wazeliną (biała wazelina *Cherbourg* z paczki z domu)" (Włodzimierz *Borkowski*).

„Chociaż może nie wypada mi pisać, ale na różne rany, wrzody, to był najlepszy kał, także nawet na twarz go nakładali, to nawet skutkowało (Michał *Kogut*).

„Na rany ropiejące przykładałem babkę w lecie, w zimie chlor, którym skażano ustępy, a gdy go nie było można dostać, polewałem własną uryną, wyskrobując wypalonym nożem zgniłe mięso" (Kazimierz *Rogalski*).

W ostatnim z cytowanych wspomnień wzmiankowana jest babka. Szeroki liść tej rośliny, znany od dawna jako środek, który przez przykładanie do rany ułatwia jej gojenie, był oczywiście jednym z najpopularniejszych obozowych lekarstw. Mokre liście tej rośliny, ale nie tylko tej — także np. łopianu, ślazu, podbiału, żywokostu — kładziono na miejsce zranione, stłuczone lub ropiejące, przytrzymując rośliny czym się dało w obozie, a więc kawałkami materiału, chusteczkami, nitkami, sznurkami, a nawet drutami. Oto seria zeznań więźniarskich o tych kwestiach:

„Moje owrzodzenia leczyłem »babką«. Macierzanka była herbatą dla leczenia się w okresie przeziębień" (Roch *Wystrach*).

„Zaobserwowałem również, że wszelkie zranienia leczono nakładaniem na rany liści babki, jak również podbiału. Przy zranieniach jako środka dezynfekcyjnego używano moczu, który stosowano również przy opuchliźnie nóg" (Andrzej *Michniak*).

„Leczy się więc ropowicę wszelkiego rodzaju babkami, żywokostem, ślazem. Na sińce spowodowane biciem też żywokost" (Genowefa *Ułan*).

„Postanowiłem moje zaropiałe stopy wyleczyć właśnie domorosłym sposobem. Pracowałem wówczas w komandzie ogradzającym teren głównego obozu. Stawialiśmy wtedy jeszcze słupy drewniane i do nich przybijali drut kolczasty; był to początek lipca 1940 roku. Na terenie obozu od strony szosy było trochę łąki, tam znalazłem (u nas my to tak nazywamy) babci listki. Kawałkiem znalezionego ostrego szkła (wówczas nie miało się innych możliwości) przeciąłem naskórek opuchniętej stopy (ale tam, gdzie stopa najmniej dotykała do ziemi), przykładałem lekko potłuczony liść, na to kładłem chusteczkę, którą zabrałem ze swojego cywilnego ubrania, wiązałem kawałkami szmat, jakie trafiało się znaleźć w piwnicach naszych bloków (...); były jeszcze czynne dwie studnie i przy nich nieraz udawało mi się obmywać te stopy czy chusteczkę wypłukać. To moje leczenie szło powoli, ale mało kiedy trafiło mi się, ażeby do rany dostała się ziemia. Gdy podleczyłem jedną nogę, to samo zrobiłem z drugą" (Ryszard *Sobczyk*).

„Rany i owrzodzenia, których było tak wiele z powodu bicia i licznych drobnych urazów, nie mogły wszystkie być leczone w rewirze. Leczono je więc różnymi domowymi sposobami, najczęściej przykładaniem różnych listków, przypadkowo zerwanych lub wskazanych przez obozowych znawców. Listki te przymocowywano na mokro do rany za pomocą szmatki, nitki lub ka-

walka sznurka. Najczęściej spotykało się listki babki polnej, łopianu lub — rzadko — ślazu. W rewirze przy drobnych i powierzchownych obrażeniach stosowaliśmy z powodzeniem stężone roztwory *kalium hypermanganicum* (roztwory wysycone). Powodowało to powstawanie korzystnych sterylnych strupów, związanych mocno z podłożem. Nie wymagało poza tym zawijania, a więc była oszczędność na materiałach opatrunkowych, co było bardzo ważnym momentem. Sposób ten jako bardzo dogodny stosowałem i później w normalnej swej praktyce lekarskiej. Ponadto w rewirze stosowaliśmy często opatrunki krochmalne i gipsowe, jednakże na skutek plagi wszawicy w latach 1940—1941 musieliśmy tego zaniechać, bo insekty powodowały głębokie uszkodzenia skóry i powstawanie rozległych ropowic" (Stanisław *Naskalski*).

Uprzywilejowane stanowisko wśród „lekarstw" na rany i owrzodzenia, uniwersalnych zresztą w obozie, zajmowały czosnek i cebula. Stosowano je w tych chorobach w różnych postaciach i różnie przyrządzone — zewnętrznie, a czasem i wewnętrznie — ze względu na możliwość ich ogólnego dobroczynnego działania dla pozbawionego witamin. O szczegółach kuracji cebulowej lub czosnkowej mówią sami byli więźniowie:

„W okresie nasilenia w obozie choroba zwana flegmoną leczona była pospolitym czosnkiem. Czosnek był w tym okresie bardzo poszukiwany, a cena jego wynosiła na giełdzie (kiercelaku) porcję chleba za mały ząbek. Faktem jest, że czosnek był skutecznym lekiem w naszych warunkach, jak bowiem się przekonałem, kol. *Zawistowski* miał ropiejącą ranę na nodze, którą codziennie mył na warsztacie i zmieniał bandaże. Po zezwoleniu na otrzymywanie paczek — początkowo 250 gramów — zaczął do obozu przychodzić czosnek. Jedząc czosnek, kol. *Zawistowski* wyleczył ropiejącą nogę. Wiadomość ta, że czosnek jest rośliną leczniczą, opanowała psychikę więźniów i na wszystkie dolegliwości zaczęto używać czosnku. Wiadomość ta przeniosła się do innych obozów, gdzie również używano czosnku (za czosnkiem uganiali się również Niemcy, nawet esesmani, za czosnek dostarczali więźniom papierosy)" (Andrzej *Michniak*).

„Więźniowie ratowali się w razie choroby różnymi środkami »medycyny ludowej«. Wskażę tu na kilka. Bardzo dokuczliwe były różne czyraki, bolesne wypryski na skórze itp. »Aplikowano« wówczas okłady z drobno posiekanej cebuli. Ale o cebulę nie było łatwo. A przy tym kto ją miał, wolał spożywać. Toteż takie okłady stosowano raczej rzadko" (mgr Jan *Starczewski*).

„Na okłady na czyraki, aby szybciej się zebrały i pękały, stosowano cebulę" (Maria Elżbieta *Jezierska*).

„Surową względnie zasmażaną cebulę stosowano przy występujących wrzodach" (Julian *Kiwała*).

„Byłem operowany przez dr. *Grabczyńskiego*. Po operacji stan mój nadal był bardzo ciężki. Należałem do grupy nie rokujących wyzdrowienia. Ropa ciekła mi z nogi szklankami. Śmiertelność na flegmonę była ogromna. Nie było wówczas odpowiednich lekarstw na jej leczenie. Nie miałem nawet sił przewrócić się na drugi bok, nie mówiąc już o dopełznięciu do kibla, który stał niedaleko i wydawał cuchnącą woń. W tym krytycznym okresie byłem zupełnie zobojętniały na wszystko. Nieoczekiwanie znowu przyszedł i zaopiekował się mną sanitariusz Jan *Świątek*. Ukradkiem opatrywał mi nogę z ociekającej obficie ropy. Czynić tego nie wolno mu było. Przynosił mi po kryjomu cebulę i polecał gryźć na miąższ i połykać. Gdyby nie jego dobroć i opieka, czekałaby mnie niechybna śmierć" (Stanisław *Naskalski*).

Przypuszczać należy, choć nie odzwierciedliło się to w jakiś szczególny sposób w relacjach, że więźniowie nieraz zdawali sobie sprawę z wewnętrznych przyczyn chorób skóry, przede wszystkim dokuczliwszych flegmon. W cytowanej wyżej relacji Stanisława *Naskalskiego* czytaliśmy o kuracji za pomocą cebuli, podawanej „doustnie". Inny były więzień, Kazimierz *Krupa*, jest przekonany, a przekonanie to dzielił w obozie z innymi, że do gojenia się ran przyczyniło się spożywanie surowej kiszonej kapusty. Pisze on wręcz:

„Za radą kolegów kombinowałem przez kilka tygodni z kuchni surową kapustę kiszoną i jadłem, to mi pomagało w szybszym gojeniu się ran."

Jeszcze inny były więzień, Zygfryd *Rębilas*, przypisuje skuteczne leczenie się z flegmon dostarczaniu organizmowi tłuszczu, wspominając o smalcu z psów, który zresztą w warunkach głodu obozowego był po prostu przydatnym pokarmem:

„Z chwilą uzyskania pracy w tresurze psów jako *hundepfleger*, gdy miałem prawie pod dostatkiem wyżywienia nieco lepszego od obozowego oraz możliwość organizowania różnych jarzyn i spożywania w dość dużej ilości »psiego tłuszczu«, posiadane przeze mnie flegmony w dość krótkim czasie poczęły się goić, a co najważniejsze, nowe się już prawie nie budowały. Wspomniany »psi smalec« po przetopieniu w zasadzie nie jest zbyt smaczny w użyciu, jednakże słyszałem jeszcze w czasach przed wybuchem wojny, że jest to bardzo skuteczny lek na wszelkie choroby płucne, podobno stosowany nawet czasem w medycynie. Dlatego też wraz ze Stefanem *Lewandowskim* spożywaliśmy go w dużych ilościach, co w znacznym stopniu uodporniało nas przed różnymi chorobami. Mając już pewne doświadczenie na nas samych skuteczności tego, że tak nazwę, leku, rozpoczęliśmy przemyt na bloki rewirowe, z której to dostawy lekarze *HKB* [byli] zadowoleni (sam kilkakrotnie odebrał wspomniany uprzednio lekarz *Gąsiorowski*) i przypuszczalnie stosowali go w leczeniu więźniów będących na rewirze w obozie oświęcimskim" (Zygfryd *Rębilas*).

Z pewnością te intuicyjne działania więźniów, mające na celu leczenie lub zapobieżenie chorobie, nie były pozbawione pewnych racji medycznych, trudnych do sformułowania niefachowcom, o czym by mogły świadczyć niejednokrotnie nader pozytywne skutki. Wiele jednak pozostaje tu nadal do wyjaśnienia czy wszechstronnego zbadania.

Pozostawałaby jeszcze do zasygnalizowania (i wyjaśnienia!) sprawa domorosłego wypełniania i wysuszania głębokich nieraz ran, powstających na skutek procesów ropnych i zapalnych. Więźniarki np. ratowały się przed dokuczliwym bólem, zakładając rany grudkami ziemi lagrowej, rozrobionej śliną, i wypychanych niby tampony. Sposób ten łagodził stan zapalny zaognionych brzegów rany, chłodził ją, pończocha się nie przyklejała, a ból był mniejszy.

„Czy mi to pomogło — pyta Maria *Slisz-Oyrzyńska* — wiem, nie przypuszczam, że tak; po czterech miesiącach, już po przebytym tyfusie plamistym, któregoś dnia rana sama zaczęła się goić i dosyć szybko wygoiła się. Może pomogło leżenie? Chorowałam przez cały miesiąc, leżałam w okresie tym, otrzymywałam już paczki z domu — był lipiec 1943 roku. Może leżenie, cebula i czosnek z paczek, witaminy pomogły?"

Że takie leczenie nie było czymś wyjątkowym w obozie, świadczy opowiadanie innego byłego więźnia, Kazimierza *Tokarza:*

„Rany strasznie bolały, a już najgorzej, jak wypadały na kolanach, co utrudniało chodzenie i wykonywanie nawet najprostszych prąc. Miałem w obozie przyjaciela, komendanta z okresu konspiracji, por. Bronisława *Lewickiego*, który chorował podobnie jak ja. Za jego

namową oraz innych kolegów (którzy robili to samo) ugniataliśmy ośródkę chleba ze śliną, robiliśmy z tego małe kuleczki, którymi zalepialiśmy rany szczególnie na kolanach; dosłownie łataliśmy dziury chlebem. Kolana zawijało się szmatami, aby łaty nie wypadały, i co kilka dni powtarzaliśmy ten proceder z łataniem dziur. O dziwo, rany zaczęły się leczyć, a nadto zarastać z powrotem ciałem. Trwało to chyba kilka miesięcy".

Nagminne było także stosowanie papki z chleba, którym zalepiano ropiejące rany (pisze o tym m. in. Julian *Kiwała*). Kilku byłych więźniów wspomina o napełnianiu kraterowatych ubytków na skutek zakażeń ropnych, po ściągnięciu strupów i wyciśnięciu ropy — trocinami, zaprażonymi dodatkowo leczniczymi ziołami. Rzecz jasna, trociny były dostępne przede wszystkim dla tych, którzy pracowali na tzw. *holzplatzu*. Oto dwie wypowiedzi na ten temat:

„Kuracja czyraków: Za pomocą papierowych bandaży z *Krankenbau* zdejmowało się strupy i wyciskało ropę, a następnie zasypywało się kraterowate ubytki trocinami spod szabowni (frezerki). Najlepsze były miałkie trociny o wyglądzie mączki ze świeżych desek sosnowych. Definitywnie wygoiłem sobie czyraki dopiero po zorganizowaniu sobie dostępu do pomidorów (świeże pomidory prosto z krzaczka). Pomagało oczywiście wygrzewanie się na słońcu" (Włodzimierz *Borkowski*).

„Trociny suche z drzewa stosowano do okładów na flegmony. Na *holzplatzu* wyszukiwaliśmy krople żywicy, przykładane na rany z ropienia. Po kilku dniach rana się goiła. Jako leśnik znałem te rzeczy jeszcze z lasu na wolności. Często także z *ausenkomanda* przynosiliśmy kaktus aloes lub cebulę wazonikową, które po zgnieceniu na miazgę stosowano na okłady guzów z ropniem. Był [to lek] tak skuteczny, że czasem po kilku godzinach ropa wypłynęła. Z chwilą wypływu ropy na zasuszenie przykładano kilka listków babki. Unikano w miarę możności chorób przez stosowanie w miarę higieny osobistej. Pamiętam z tego okresu Żyda *Weissa*, który pouczał nas, jak należy się zachowywać, aby uniknąć zakażeń" (Andrzej *Gąsienica-Makowski*).

Uciekano się nawet do stosowania cementu:

„Znam przypadki zasypywania ropiejących ran cementem, co prowadziło wprawdzie do chwilowego zatrzymania wydzielania limfy lub ropy z ran, ale pociągało za sobą inne nieprzyjemne następstwa" (mgr Eugeniusz *Niedojadło*).

Liczyły się więc w obozie wszelkie dostępne środki, materiały opatrunkowe, chemikalia i specyfiki, byle tylko przynosiły chwilową choćby ulgę w cierpieniach. Niektóre jednak specyfiki w poszczególnych chorobach były wyraźnie preferowane.

Tak więc np. rozpowszechnione w obozie liszaje zwane „bartflechtami" (zarażano się nimi nagminnie u fryzjerów obozowych, którzy nie dezynfekowali narzędzi) starano się zwalczać przede wszystkim za pomocą mazi nikotynowej z cygarniczek czy fajek. Smarowano tym miejsca zarażone tą chorobą w wielu wypadkach (nie zawsze!) z dobrym skutkiem:

„Pamiętam, że po przybyciu do Oświęcimia transportów z Grecji (Saloniki) zawleczono grzybek czy też liszaj pochodzenia południowego. Na bloku byli wszyscy goleni razem i grzybek (przy braku dezynfekcji brzytew) zaatakował nas. Wystąpiły dość szeroko liszaje. Rozeszła się pogłoska, że te liszaje w daleko posuniętych stadiach powodują schorzenia psychiczne. Nie pamiętam, kto podał skuteczną radę: wypalać liszaj sokiem tytoniowym z cygarniczek. Lekarstwo okazało się skuteczne, tyle że w miejscach dłużej tą metodą leczonych powstawały blizny, ale to już wtedy było mało ważne" (Stanisław *Drewniak*).

„Bardzo dobry sposób również znalazłem na plagę liszai. Pamiętam, jak na twarzy miałem liszaj w formie kółka. Z upływem czasu kółko to powiększyło się, a liszaj przerzucał się na dalsze okolice twarzy. Udało mi się go zlikwidować przy pomocy mazi z fajki do palenia tytoniu. Ta nikotyna była idealnym środkiem na zlikwidowanie dość już zakorzenionego liszaja" (Jan *Lewicki*).

Popularna w leczeniu choroby była maść cynkowa, której przypisywano właściwości bakteriobójcze i lecznicze. Produkowano ją w komandzie *Malerei*, ale nie tylko z bieli cynkowej (cynkwajsu), oleju lnianego i sykatywy. Maść tę można było dość łatwo nabyć za chleb na obozowym czarnym rynku. Skutkował też, zdaje się, lizol, a także niektóre rośliny, w tym mlecz. Wysuszoną i spękaną skórę leczono wcieraniem margaryny. O lekarstwach tych i skutkach ich stosowania opowiadają niektórzy byli więźniowie, których opinie warto tu przytoczyć w niewielkich fragmentach:

„W roku 1940 lub 1941 na lewym policzku wystąpił [mi] jakiś wyrzut, charakteryzujący się licznymi małymi ropieniami. Za namową kolegów leczyłem to maścią cynkową, którą kupiłem na czarnym rynku za chleb. Maścią tą solidnie smarowałem policzek, tak że był stale biały, a pod koniec, gdy maść zaczęła się kończyć, smarowałem rzadziej, toteż policzek stał się żółty. Miało to swoją dobrą stronę, ponieważ gdy byłem w tym czasie na bloku u *Krankenmanna*, przy jakiejś »okazji« powiedział mi: masz szczęście, że nosisz ten liszaj (*Bartflechte*, jak się wyraził) bo dostałbyś po pysku. — Ten liszaj nosiłem jakiś czas, może parę miesięcy. Zaprzyjaźniłem się z jednym z fryzjerów blokowych, imienia nie pamiętam, ten całą warstwę maści po prostu zgolił, a następnie nasmarował mi policzek lizolem. Muszę przyznać, że kuracja była skuteczna" (Wincenty *Gawliczek*).

„Pewnego dnia na brodzie wyskoczyła mi taka czerwona plama i strasznie mnie to swędziało. Gdy to drapałem, zaczynało się powiększać, robił się z tego taki grzyb. W środku było białe, a boki czerwone. W ciągu (...) kilku dni rozciągnęło mi się to po całej brodzie do góry, aż do prawego ucha i w dół, na szyję. Zgłosiłem się z tym na izbę chorych, bo nie mogłem wytrzymać. Tam posmarowali mi to jakąś białą maścią i wygnali do pracy (powiedziano mi, że to dostałem przy goleniu od zakażonej brzytwy). Któregoś dnia na porannym apelu zagadałem się z jednym z więźniów, który pracował za kowala na *wirtschaftshofie* — pochodził, pamiętam, z Jarosławia. Ten kolega obiecał, że zrobi mi taką skuteczną maść, ale jeszcze wpierw doradził, ażeby spróbować [smarować] tym sokiem, który się nazbiera w cygarniczce po wypalonym papierosie. Ten sok nie pomógł, ale ta maść pomogła, przy czym ten grzybek zeszedł, ale na szyi zaraz pod dolną szczęką po prawej stronie wyrosły mi dwa guzy. Tak przechodziłem cały mój pobyt w obozie i wyleczyłem to dopiero po powrocie do domu. Gdy mi to ten kolega sprzedał — muszę to tak określić, bo dałem za to trzy porcje chleba — zapytałem go wówczas, jak on to zrobił; zdradził mi swoją tajemnicę. Podobno była to maść cynkowa zmieszana z kwasem solnym rozcieńczonym. Pamiętam, bo ten grzybek bardzo mi dokuczył" (Ryszard *Sobczyk*).

„Niemcy kazali golić nożami, po czym wystąpiły nam pryszcze, nie zgłaszaliśmy się do lekarza, ale stosowaliśmy na to mocz, lecz po tym nie było żadnych skutków. Skombinowaliśmy z ziół polnych wyciąg, zwany mlecz, który stosowaliśmy; to nam pomogło" (Michał *Kogut*).

„Margaryny używano do nacierania ciała w przypadku pojawienia się liszajów i oznak dużego wysuszenia skóry" (Julian *Kiwała*).

Maścią cynkową (właśnie produkowaną w komandzie *Malerei*) leczono także egzemę. O przypadku takiego amatorskiego leczenia opowiada inż. Piotr *Hirori*:

„Przypominam sobie »kurację« mojego przyjaciela, Adama *B.*, zastosowaną przeze mnie z początkiem 1941 r. w obozie oświęcimskim. Wowczas to wielu więźniow chorowało na »krecę«. Adam dostał na całym ciele jakąś egzemę. Nie była to »kreca«, ponieważ były przy tej egzemie inne objawy jak przy »krecy«. Adam był bardzo nieszczęśliwy. Nie było wtedy mowy o pójściu do szpitala. Przypomniałem sobie, że w podobnych okolicznosciach matka za czasow dziecięcych smarowała nam wszelkie »strupki« maścią cynkową. A więc postanowiłem tę maść sam sprokurować. W tym czasie poznałem i zaprzyjaźniłem się ze Stanisławem *Kielchem*, malarzem z Warszawy, przez którego starałem się o pracę w komandzie *Malerei*. Wpadliśmy na pomysł, aby z farby bieli cynkowej (cynkwajs) i oleju lnianego, produktów dostępnych w malarni, zrobić »maść cynkową«, naturalnie z dodaniem do tych dwoch składników sykatywy (środek przyspieszający schnięcie farby) otrzymujemy dobrą farbę białą olejną do malowania okien lub drzwi. Kolega *Kielch* te »produkty« z wielkim trudem »zorganizował« z malarni. »Lekarstwem« tym smarowałem Adama wieczorami przez wiele dni az do zniknięcia z ciała egzemy."

A oto inne sposoby i środki pomocne w leczeniu egzemy w obozie, przypominane przez więźniów:

„Na egzemę używałem maści, za którą oddawałem pajdkę chleba. Była to szara maść, zmieszana z margaryną" (Józef *Luta*).

„Egzemę »leczono« też przez gorącą kąpiel, po dwu w jednej wannie. Po takiej kąpieli część wrzodow pękała i strupy się odrywały" (Tadeusz *Krupiński*).

„Egzema od kostek nóg do samej szyi — to było straszne, wyglądałem jak trędowaty, a smarowanie maściami, ktore dostawałem ze szpitala obozowego, niewiele mi pomogło. Doradzili mi cywile rozpuścic wapno niegaszone, rozrobić w wodzie i tym płynem się natrzeć; co za ból, pieczenie; wykąpałem się, koledzy pomogli, do trzech miesięcy zginęła egzema, obecnie nie ma śladu; [byłem] też leczony za doradami, bez rewiru, bo w takim stanie się pokazać to z miejsca krematorium, to ukrywanie się na obozie" (Antoni *Kubica*).

Dramatycznie przedstawia się tu zwłaszcza końska, ale widać skuteczna terapia z kąpielami w niegaszonym wapnie. To jeden z piękniejszych przykładów heroiczności w walce o przetrwanie w obozie.

Co się tyczy gorączkowej opryszczki ust i tzw. zajadów, to kuracja polegała najczęściej (wspomina o niej były więzień Julian *Kiwała*) na pocieraniu chorych miejsc smółką nikotynową, stosowaną także przy innych próbach leczenia.

Na oparzenia — zdarzające się najczęściej w kuchni lub w pralni obozowej — przykładano sól jadalną, którą następnie spłukiwano zimną wodą (informacja Juliana *Kiwały*). W wypadku odmrożeń, o wiele częściej nękających więźniów Oświęcimia, stosowano wodę z gotowanych ziemniaków, a niektórzy, mając dostęp do nawozu końskiego — o czym pisze Genowefa *Ułan* — używali go w formie okładów. Inni jeszcze przykładali liście z fasoli, różne zioła i oczywiście szmaty przesiąknięte moczem.

Tu jeszcze jest jedna okazja do podkreślenia ogromnego znaczenia moczu, jako środka leczniczego stosowanego w obozie w chorobach skórnych. Mocz był płynem dezynfekującym, najłatwiej dostępnym, porecznym w użyciu, a także — co nie było obojętne w warunkach oświęcimskich — czystszym od wody studziennej, nie mówiąc już o wodzie z kałuży. Przypomnieć też warto, że od starożytności był on aplikowany w różnych chorobach, a zwłaszcza właśnie skóry.

Wśród pozostałych częstych chorób lagrowych z pewnością największym problemem był przez cały czas trwania obozu tyfus plamisty, zajmujący stale jedno z pierwszych miejsc na liście chorób „oświęcimskich", najbardziej dręczących i niszczących więźniów. Choroba ta stanowiła zagrożenie dla ogółu więźniów, także i dla funkcyjnych, a nawet esesmanów ze względu na nieustające zawszenie obozu. Nie pomagały brutalne akcje dezynsekcyjne, ustawiczne niszczenie i wszy, i ich nosicieli. Walka z plagą wszy była właściwie raczej beznadziejna. Jedynym ratunkiem mogła byc szczepionka Weigla, której oczywiscie w obozie początkowo w ogole nie było, a w ostatnich latach obozu stale brakowało. Są dowody, że specyfik ten przemycano do lagru i potajemnie wielu więźniów w ten sposób uratowało sobie życie, ale niestety były to wyjątki.

W przypadku tej strasznej choroby, której towarzyszyła zawsze wysoka gorączka, więzień bardziej mógł liczyć na siły swojego organizmu niż na jakies zabiegi lecznicze zarówno w rewirze, jak i poza nim. Opieka nad chorym sprowadzała się do podawania mu pewnych napojów i łagodzenia skutków długotrwałej, wysokiej gorączki. Czasami ukrycie przez jakis czas choroby, co było niezwykle trudne, mogło uchronić przed zapowiadającymi się selekcjami w rewirze.

Rzecz dość znamienna, że nasi respondenci mało piszą o tej chorobie, odpowiadając na pytanie o samoleczenie się w lagrze. Rzecz sprowadzała się do ukrycia chorego przed nadzorem obozowym, dostarczania mu płynów (podawano zioła, m. in. macierzankę), robienia zimnych okładów przeciw gorączce oraz ewentualnie podawania jakichś (jeżeli były) przeciwgorączkowych ogólnie działających leków (np. cnininy). Dwa urywki mówią o tych zabiegach:

„Dzięki pomocy kolegów obozowych, a w tym dzięki pomocy śp. Mariana *Główki* oraz pomocy i dobrego ustosunkowania się do mnie kapy, Piotra *Toczka*, mogłem przetrwać okres choroby (tyfusu) od 11 listopada 1941 r. do czasu przyjęcia mnie na szpital obozowy. *Toczek* pozwolił na ułożenie dla mnie w baraku drewnianym *betonkolony* drewnianej pryczy i trzymanie obok mnie rozpalonego koksiaka. Jeden z moich kolegów gotował dla mnie suszoną macierzankę i dawał mi pić oraz odbierał ode mnie mocz. Wszyscy koledzy z *betonkolony* kładli pode mnie i na mnie swoje płaszcze. Kapo *Toczek* postarał się nawet o chininę. Sądzili bowiem wszyscy, że choruję na ostre przeziębienie, gdyż mimo mrozu i śniegu nie miałem jeszcze butów i chodziłem w sandałkach zrobionych w lecie" (Roch *Wystrach*).

„Zosia *Pracka* zaczęła mnie leczyć w tyfusie sama, domowymi sposobami, organizowała kawałki szmat, zwilżała je w zimnej wodzie, wyżymała i okładała mi nimi brzuch, twierdziła, że kompresy te, zimne, mają za zadanie »ściągać« gorączkę. Po nałożeniu na brzuch tych kompresów na parę chwil poczułam ulgę, ale za parę minut znowu czułam, że cała płonę i palę się z gorączki. Nie sądzę ani przez chwilę, że te kompresy pomogły mi coś" (Maria *Slisz-Oyrzyńska*).

Problemem mogło też być leczenie skutków przebycia tyfusu, ogólnego osłabienia z wszystkimi jego przykrymi konsekwencjami zdrowotnymi. Decydujące oczywiście mogło być dobre odżywienie, o które tak trudno było więźniom w obozie, odpowiednie przystosowywanie swego organizmu

do jego zwykłych czynności itp. Koledzy więźniowie szli nieraz z bezinteresowną pomocą. O perypetiach swojej rekonwalescencji po tyfusie interesująco opowiada Jadwiga *Trębasiewicz:*

„Po tyfusie wychodziły ledwie trochę odrośnięte włosy. Zamiast na głowie włosy były na poduszce z wiórow. Chwiały się też wszystkie zęby w ustach, że trudno było gryźć i rozmawiać, gdyż miałam wówczas takie wrażenie, że je wypluję jak pestki. Na sąsiedniej koi leżała profesorka z Radomia z córką gruźliczką. Któregoś dnia otrzymała paczkę i przyrządzała kanapki, krojąc wędzony boczek na chleb. Zapach i widok plasterków wędzonki zakłócił czynność wszystkich moich organów trawiennych, toteż nie mogąc znieść udręki patrzenia i wąchania, zaproponowałam, żeby mi sprzedała kawałek skóry od boczku za cały przydział kolacyjnego chleba. Sąsiadka odkroiła kawałek skórki, nic nie przyjmując w zamian. »Wustowstąpienie« twardej boczkowej skóry okazało się ważnym zdarzeniem w moim rewirowym życiu. Przez kilka dni żułam tę skórę, żułam ją też przez kilka nocy, prawie nie śpiąc. Twarda skóra zrobiła się miękka i coraz mniejsza, aż została zjedzona. I wtedy zęby już się nie ruszały, zostały uratowane."

Atakowały w obozie także gruźlica i inne choroby płuc, przede wszystkim zapalenie płuc i zapalenie opłucnej. Jedyne domorosłe remedia na te choroby — to psie sadło, mające od dawna pewną renomę w domowym leczeniu gruźlicy i zioła — łopian, babka, macierzanka, podbiał i inne. W razie wysokiej gorączki przykładano zimne kompresy:

„Gdy w początkach 1944 r. zorganizowano na B II f blok dla chorych na gruźlicę (17), opowiadał mi kierownik tego bloku, dr Alfred *Fiderkiewicz*, o leczeniu się chorych psim sadłem. Oczywiście w tajemnicy przed lekarzami, z paczek przysyłanych z domu, nieszczęśliwi, wierząc w skuteczność tego »leku«, objadali się nieraz ponad miarę, zapadając w konsekwencji na nieżyty przewodu pokarmowego. Trzeba było naprawdę wielkiego poświęcenia ze strony dra *Fiderkiewicza* i dra *Epsteina*, by perswadować nieszczęśliwym, że nie jest to cudowny lek" (Stanisław *Zasacki*).

„Przeciw płucnym chorobom też babki — przeważnie lancetowata, skrzyp, ślaz, podbiał i żywokost" (Genowefa *Ułan*).

„Kompresy z zimnej wody (w gwarze obozowej zwane pakunkami) stosowano przy objawach silnej gorączki, niejednokrotnie z rozpoznaniem zapalenia płuc" (Julian *Kiwała*).

Można tu jeszcze dodać, że w stanach zapalnych górnych dróg oddechowych łykano cebulę i czosnek utarte z cukrem.

W częstych u więźniów anginach ulgę uzyskiwano przez płukanie gardła wodą z solą lub — jeżeli były dostępne — szałwią i rumiankiem. Stosowano też niezawodny czosnek:

„Chorowałem w Oświęcimiu na gardło (angina), [miałem] silne przeziębienie gruczołów (migdałów), przełyk [był] zatkany zupełnie, gorączka na pewno ponad 39° (nie było termometru), ale chodziłem do pracy, aby nie wpaść »do gazu« przy pobycie na rewirze. Przez znajomości wystarałem się o sol i z solą przełykałem ślinę co pół godziny (mniej więcej), aż sól przegryzła owrzodzenia i przełyk był »czynny« — do czterech dni byłem zdrowy po użyciu soli. Tego schorzenia nabawiłem się po wyjściu z łaźni parowej na pole, w styczniu temperatura poniżej zera, [sypał] śnieg i trzeba było czekać zupełnie nago, aż się zbierze i ustawi w piątki około 500 ludzi, aby maszerować na blok i tam dopiero ubrać się. Przy następnych »kąpielach« po wyjściu na pole biegałem w miejscu, aby nie dopuścić do zaziębienia ciała i to było skuteczne" (Stanisław *Stolarz*).

„Ja osobiście, kiedy przeziębiałem się, oczywiście w porze zimowej, to po każdej gorącej kąpieli natryskowej, gdzie odczuwałem silny ból głowy i gardła, stosowałem płukanie gardła wodą z solą, przy tym jadłem posiekany czosnek z solą i nacierałem — jeżeli miałem na tyle czosnku — skronie i koło nosa, i to wszystko" (Józef *Lula*).

„Odnośnie do chorób w obozie nie miałem możliwości otrzymywania żadnych lekarstw farmaceutycznych. Natomiast w razie zachorowań na anginę, na którą często zapadałem, starałem się o zdobycie szałwi albo rumianku, oczywiście w stanie surowym" (Stefan *Szostak*).

O bardzo osobliwej „kuracji" gardła pisze jedna z byłych więźniarek, Genowefa *Ułan:*

„Choroby gardła podobno leczyły zapocone skarpetki, ale o te było bardzo trudno, bo jeżeli nawet którejś więźniarce pociły się nogi, to przeważnie nie posiadała ani skarpetek, ani nawet onuc. Jeżeli jednak traf szczęśliwy zdarzył, że taką pończochę lub skarpetkę otrzymano, owijano nią szyję i podobno pomagało".

W ropnym zapaleniu migdałków stosowano również szałwię, rumianek i podobnie działające zioła. Godne podkreślenia jest, że jeśli nie było możliwości zaparzania, zioła żuto surowe. Próbowano też — mówi o tym Maria *Slisz-Oyrzyńska* — ropnie w gardle likwidować w sposób mechaniczny: przez połykanie suchych, ostrych kawałków chleba spowodować pęknięcie ropnia i wydalić jego treść:

„W czasie świąt Bożego Narodzenia 1944 roku chorowałam na anginę; była to bardzo złośliwa, toksyczna angina. Po prostu dusiłam się, nie mogłam niczego przełykać, w pierwszych dniach lekarz Janina *Węgierska* podejrzewała nawet, że może to być dyfteryt. Otrzymałam dobrą, świąteczną paczkę z domu, a nie mogłam niczego przełykać. Znowu Zosia *Pracka* przyszła mi z pomocą domowego leczenia, skórkę chleba opaliła, kazała mi gryźć i przełykać duże kawałki twardego, spieczonego chleba. Na siłę gryzłam i z wielkim bolem łykałam, aż nagle, kiedy już traciłam nadzieję, że kuracja pomoże, wyczerpana bólem poczułam wielką ulgę, zakrztusiłam się i wypluł m szary jakiś nalot, z dużą domieszką krwi. Może zamiast anginy czy też dyfterytu był jakiś wrzód gardła. Kuracja ta nie zawiodła".

Stany zapalne zatok nosowych, jeden z naszych respondentów, Kazimierz *Rogalski*, próbował z dobrym skutkiem leczyć naparem z makówek dostarczonych mu przez kolegę spoza lagru.

Z uporczywych nieżytów leczono się w bardzo różnorodny sposób, stosując zioła, bańki, a nawet tzw. „masaże siekane", polegające na bolesnym nieraz poklepywaniu skóry klatki piersiowej bokiem dłoni. Oto krótkie informacje byłych więźniów w tej materii:

„Wywar ziela borówki [stosowano] na zaziębiony pęcherz moczowy. Doustnie przeciw kaszlowi i zaziębieniu była [przydatna] cebula i czosnek ugniatane z cukrem (...). Środkiem przeciw zaziębieniu dla »lepiej urodzonych« w obozie były masaże »siekane«. W tym zawodzie doskonali byli Żydzi francuscy. Masaż taki polegał na bardzo szybkich uderzeniach bokiem dłoni" (Stefan *Krupa*).

„W szpitalu obozu kobiecego w Brzezince — w przypadkach przeziębień stawiano chorym bańki szklane" (Julian *Kiwała*).

Na przeziębienie niektórzy prominenci mieli też jeszcze jedno „lekarstwo": zorganizowaną wódkę.

Codziennym spożywaniem cebuli i czosnku niektórzy leczyli częste w obozie zapalenie spojówek:

„Latem 1944 r. jeszcze na obozie cygańskim zachorowałam na bardzo przykre zapalenie spojówek, raziło mnie strasznie światło dzienne, wstawałam tylko, gdy miał przyjść *lagerarzt Mengele*. Ani wysiłki lekarzy, ani lekarstwa nie przynosiły większej poprawy, aż któregoś dnia doradził mi znajomy więzień, nie lekarz, bym jadła codziennie po trzy ząbki czosnku lub małą cebulę. Pomogło mi to i do dziś jestem mu bardzo wdzięczna za radę, choć nie wiem, czy jeszcze żyje" (Gertruda *Dubowska*).

Dolegliwości reumatyczne, postrzały, bóle z powodu dyskopatii i rwy kulszowej łagodzono w bardzo różny sposób: była w użyciu pokrzywa, którą parzono się celowo, przykładano do bolących stawów rąk czy nóg osy lub pszczoły, których użądlenia okazywały się skuteczne, miejsca, gdzie umiejscowiony był ból, nacierano piekącymi chemikaliami lub (znowu!) moczem. Kilka relacji opowiada o tych różnorodnych zabiegach:

„Stosowano przy bólach reumatycznych chłostę świeżą pokrzywą" (Andrzej *Michniak*).

„Pamiętam, jak w tych pierwszych miesiącach pobytu w obozie coś mi się stało w kolano tak, że nie mogłem zgiąć prawej nogi. Utrudniało mi to poruszanie się, szczególnie biegiem, i przez to coraz bardziej zacząłem podpadać. W tej sytuacji byłem bezradny. Po pewnym czasie doszedłem do przekonania, że wszystko jedno, co będzie, chorą nogę na przemoc zegnę. Przy pomocy kolegi dokonałem tego zabiegu. Jak się okazało, zabieg ten pomógł mi i powoli zacząłem zginać nogę w kolanie. Ból w kolanie jeszcze przez pewien czas odczuwałem, ale noga już nie była usztywniona. W chwilach kiedy ten ból się bardziej nasilał, za poradą więźnia z Austrii puszczałem sobie w to chore kolano żądło osy lub pszczoły, co po pewnym czasie przynosiło ulgę" (Jan *Lewicki*).

„Ambulatorium obozowe nie dysponowało żadnymi środkami przeciwreumatycznymi czy neurotropowymi. Nie było też żadnych środków przeciwbólowych dla leczonych ambulatoryjnie. Udało mi się wówczas zdobyć butelkę terpentyny technicznej, stosowanej w stolarni i malarni. Nacierałem tą terpentyną bolące miejsce, mimo że na skórze występowało początkowo zaczerwienienie, a później objawy oparzenia skóry. Ból uszkodzonego kręgosłupa był tak silny, że było mi wszystko jedno, co będzie z moją skórą. Doszło do tego, że w czasie kolejnego nacierania rozlała się zawartość butelki, a jej część dostała się do odbytnicy. Myślałem wówczas, że oszaleję z bólu. Męczyłem się tak ponad dwa miesiące i z początkiem października 1942 roku znalazłem się w stanie chorych na bloku 28. Pomimo leżenia w łóżku ból nie ustępował" (mgr Eugeniusz *Niedojadło*).

„Ischias leczyłam własnym moczem, nacierałam chore miejsca" (Zofia *Filipczyk*).

Można było też w wypadku postrzału w kończynach korzystać z prymitywnego urządzenia w rewirze, o czym informuje Józef *Lula:*

„Na postrzyknięcia, bóle w nogach, w rękach, albo też na kontuzje stosowano na rewirze naświetlanie w prymitywnej, drewnianej beczce bez dna, o średnicy około pół metra i długości 1 metra, gdzie umieszczonych było kilka żarówek; tam się w kolejności czekało, aby na kilka minut można skorzystać".

W stanach podobnych do malarii i w samej zimnicy niektórzy więźniowie pili wywar ze świeżych liści kwitnącego bzu lub liści bzu czarnego. Jeżeli więźniowie dysponowali chininą, zażywali ją także lub nawet samorzutnie robili sobie w barakach zastrzyki. O stosowaniu bzu piszą w swoich relacjach Julian *Kiwała* i Genowefa *Ułan*. Przykry incydent przy zastrzyku opisuje natomiast Maria *Emmerling:*

„Jak leczyło się malarię? Zastrzykami chininy, a czasem 10-mililitrowym zastrzykiem z glukozą, chininą i wapnem. Taki otrzymałam ja, dostarczył mi go jeden z więźniów z *Auschwitzu*, a robiła jedna z koleżanek dożylnie. Działo się to w wielkim pośpiechu i w warunkach bardzo prymitywnych. Wstrzyknięcie poszło poza żyłę, ale jakoś przetrzymałam. Ten pośpiech i strach powodował różnego rodzaju niezręczność, niedokładność, jak zastrzyk poza żyłę. Byłam świadkiem takiego wypadku:

Koleżanka robiła na trzeciej kondygnacji łóżka zastrzyk przeciwmalaryczny drugiej koleżance. Ta miała bardzo »rzadkie« ciało, a strach u dającej i pośpiech, żeby nie nadeszła Niemka, spowodowały, że wbiła igłę z góry za silnie i nie mogła jej wyjąć. Igła weszła w ciało aż do nasady strzykawki. Asystowałam przy tym. Chora niecierpliwi się, czując, że coś się tam niedobrze dzieje, a tu nic nie można zrobić. Igła siedzi jak mur. W końcu przycisnęłam kolanem cielsko, szarpnęłam z całej siły i igła wyszła. Nie wiemy jednak na pewno, czy cała, czy przypadkiem się nie złamała. Pacjentce zrobiła się ropiejąca rana, ale po kilku tygodniach zagoiła się, zostawiając na pośladku do dnia dzisiejszego dziurę".

Inna była więźniarka, Maria Elżbieta *Jezierska*, prezentuje interesujące przekonanie o roli malarii jako choroby zapobiegającej innym, może groźniejszym chorobom obozowym:

„Twierdzę, że czynna malaria ustrzegła mnie od gruźlicy, reumatyzmu i tyfusów (jestem wyjątek — duru nie miałam, ani brzusznego, ani plamistego). A może by tak który lekarz spróbował leczyć np. reumatyzm malarią? Piszę to całkiem serio, a nie jak naiwna."

Ziołolecznictwo, tak często tu wspominane, znajdowało zastosowanie w leczeniu i łagodzeniu innych jeszcze dolegliwości więźniów. I tak wywar z borówek pomagał w jakże częstych i dokuczliwych stanach zapalnych pęcherza moczowego. Moczopędnie mogły działać pokrzywy. Przeciwkrwotocznie i na wywołanie krwawienia można było stosować krwawnik oraz otoczkę z cebuli, na przemianę materii — bratki polne (pisze o tym Genowefa *Ułan* i inni).

Cebuli i czosnku używano przeciw szkorbutowi (Zofia *Filipczyk* i Antonina *Gryboś-Tajak*). Obrzęki, szczególnie kończyn, leczono niekiedy okładami z liści kapusty i babki (Julian *Kiwała*). Potwierdzenie tego sposobu znajdujemy także w relacji Genowefy *Ułan*, która poza tym wspomina o niebezpieczeństwach związanych ze zdobywaniem tego „specyfiku".

„Na żylaki i obrzęki nóg nakładano liście z włoskiej kapusty, ale o nią trudno, bo za znalezienie przy wracających z pola jarzyn lub ich liści obsługa lagru stosowała bardzo surowe kary."

Uciekano się też do mechanicznych sposobów, stosując:

„...na bóle głowy — masaż czoła" (Maria Elżbieta *Jezierska*).

„Obrzęki nóg — na noc zawieszano nogi do góry" (Stefan *Krupa*).

A oto inne jeszcze „domowe" sposoby leczenia, czasem groźnych chorób w lagrze, tak jak wspominają o tym nasi respondenci:

Kurza ślepota:

„Na kurzą ślepotę ucierało się cukier na miał i wdmuchiwało się do oczu, zaćma schodziła" (Zofia *Filipczyk*).

Paradentoza:

„Jeszcze w jednym wypadku skorzystałam z rady więźniarki-pielęgniarki (oczywiście niekwalifikowanej) przy leczeniu paradentozy. W lecie 1944 r. doradziła mi stosowanie salwarsanu (lek przeciwko chorobom wenerycznym) i dostarczyła mi go do rewiru. O ile pamiętam, lekarstwo przyniosło mi poprawę w leczeniu dziąseł" (Helena *Dunicz-Niwińska*).

Żółtaczka:

„Gdy chorowałem na żółtaczkę, koledzy postarali się o kaszę jęczmienną i póki nie zeszło zażółcenie, nic innego nie jadłem, tylko kleik z tej kaszy (gotowany w »pompie«), bo tak mi poradzili więźniowie" (mgr Kazimierz *Kumala*).

Przepuklina:

„Doznałem przepukliny pachwinowej; nie mogłem chodzić, a praca jest nadal bardzo ciężka. O dostaniu się na szpital mowy nie ma, strach nie pozwala się zgłosić, bo chorych tutaj nie ma. *Konzentrationslager*, a już w 1940 r. szpital równał się bramie krematorium. Tak z tą przepukliną się męczyłem aż do roku 1943. Koledzy, starsi numerowo więźniowie wystarali mi się o pas przepuklinowy z terenu obozu Oświęcim bez żadnego wynagrodzenia, byli to Żywcoki więźniowie, ale mnie zaraz pouczyli, że nikt z funkcyjnych nie śmie tego pasa widzieć, trzeba się ukrywać, chować, strzec się na każdym kroku, bo jak zobaczą przy selekcji, będzie źle, Antoś!" (Antoni *Kubica*).

Róża:

„W roku 1941, kiedy leżałem na kwarantannie potyfusowej na bloku 20, byłem świadkiem zastosowania (moim zdaniem) sztuczek medycyny ludowej w stosunku do takiej choroby, jak róża. Obok mnie leżał jeden z więźniów, chory na różę na obu policzkach. Jakoś nic mu nie pomagało, w związku z czym zaproponowano mu, że będzie [go] leczył znachor. Dzisiaj, po tylu latach nie pamiętam, kto był tym znachorem, jednakże utkwiła mi w pamięci powtarzana kilkakrotnie sztuczka znachora, a mianowicie wyglądało to tak: twarz chorego nakrywał czerwoną, sukienną chustą, na której zapalał kulki — nie pamiętam, z czego, ale wyglądały na pakuły konopne. W każdym razie decydował tu moment zapalenia dwóch lub trzech kulek i szybkie potarcie twarzy czerwoną chustą. Nie pamiętam, czy zastosowanie tego leczenia dało jakieś wyniki, ale wydaje mi się, jakoby chory poczuł się lepiej" (Kazimierz *Tokarz*).

Na zakończenie tego przeglądu różnych, częściowo zupełnie domorosłych (w najgorszym tego słowa znaczeniu) sposobów radzenia sobie w obozie z trapiącymi więźniów chorobami warto wspomnieć, że umiano nawet leczyć powikłane choroby, o czym świadczy następujące wspomnienie więźniarki z Brzezinki:

„Jeżeli idzie o leczenie samej siebie, to będąc już pielęgniarką w obozie cygańskim, na który początkowo dochodziliśmy, zachorowałam bardzo ciężko na zapalenie płuc, zapalenie stawów rąk i nóg, anginę z recydywą, sama się dziwię, że żyję po tym wszystkim, a nie było dla mnie ani lekarza, ani koleżanki, która by z pomocą przyszła. Ratował mnie mój silny organizm i silna wola, by przeżyć. By ściągnąć trochę gorączkę, wstałam raz i przyniosłam sobie w garnuszku trochę wody. Piękne słowa pod moim adresem leciały, o tym, że zdechnę itp., wolę sobie tych chwil nie przypominać. Robiłam więc tak, jak moja matka, okłady na głowę, ręce i nogę, trochę gorączka spadła" (Gertruda *Dubowska*).

PROBLEM LEKÓW W OBOZIE

Wobec powszechnego i katastrofalnego braku leków w obozie ich zdobywanie stanowiło zawsze dla więźniów wyczyn, a bardzo często oznaczało konieczność wyrzeczenia się chleba czy innych koniecznych do przeżycia „dóbr" obozowych. Można było bowiem — zwłaszcza w drugiej fazie istnienia obozu oświęcimskiego — nabyć niektóre przynajmniej medykamenty na czarnej giełdzie obozowej w handlu wymiennym. Trudne były do zdobycia nie tylko zresztą specyfiki produkowane w zakładach farmaceutycznych, ale nawet pospolite zioła, które przecież nie rosły na terenie koszar w Oświęcimiu, gdzie zlokalizowano obóz, które trzeba było w jakiś sposób przemyślny, pod groźbą dotkliwych kar i szykan, przemycić na jego teren. To samo, choć w mniejszym stopniu, dotyczyło bardziej „zielonej" Brzezinki.

Istnieje jednak wiele dowodów na to, że zarówno specyfiki chemiczne, jak i zioła, były używane dość nagminnie w samoleczeniu się więźniów. Wiele cytowanych już dotąd opinii i wspomnień świadczy o tym bez żadnych wątpliwości. Jak zatem przedstawiało się w rzeczywistości zaopatrzenie w leki na terenie obozu, jakie były jego źródła?

Dysponujemy w tej sprawie kompetentną opinią byłego więźnia, dr. Jana *Sikorskiego*, farmaceuty, pracownika apteki *SS* w Oświęcimiu I, autora pracy doktorskiej pt. Apteka i zaopatrzenie sanitarne w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka 1940—1945 (maszynopis w archiwum zespołu redakcyjnego „Przeglądu Lekarskiego-Oświęcim"). Otóż dr *Sikorski* wyróżnia trzy źródła: 1) legalne (nędzne, pozorne, symboliczne zaopatrzenie z apteki *SS* rewiru i tzw. ambulansów, czyli ambulatoriów), 2) półlegalne („organizacja" z apteki *SS* i z „kanady") i 3) nielegalne (od „cywilów", czyli robotników pracujących na terenie obozu, z przemytu, a także z paczek, w których leki były w przemyślny nieraz sposób ukryte).

Opinię tę potwierdzają zeznania innych naszych respondentów, którzy piszą o udzielaniu leków przez pracujących w aptece, o zabieraniu przez *sonderkommando* leków przywiezionych w bagażach ludzi deportowanych, przeznaczonych do gazu, o przemycaniu leków w paczkach. Nadal oczywiście zachowujemy oryginalne słownictwo podających swe relacje. Oto kilka przykładów:

„Jeśli któryś z więźniów miał dostęp do apteki obozowej na bloku 28 *(Tolliński, Walentynowicz)*, to była też możliwość otrzymania od nich maści na świerzb (prawdopodobnie mieszanina dziegciu i siarki w proszku, co też w pewnym stopniu pomagało na te dolegliwości (świerzb)" (Kazimierz *Japołł*).

„Nieco później, już w lecie, zachorowałem na inną chorobę: wodnicę nóg. Nogi strasznie mi spuchły do tego stopnia, że z trudnością ubierałem spodnie, a butów to nie mogłem w ogóle włożyć. W miejscach opuchniętych tworzyły się zaczerwienienia i występowały małe krosty. Chodziłem do pracy, ale dwóch kolegów stale mi pomagało przechodzić bramę obozową, gdyż o własnych siłach nie mogłem nawet stać. Początkowo na te krosty przylepiałem liście babki, sądząc, że pomogą ściągnąć wodę z nóg. Inne środki, jak różne maści, nie pomagały, a stan się pogarszał, bo opuchlizna [obrzęk] nie schodziła, ale posuwała się dalej ku górze. Wówczas Julek *Kiwała* przyniósł mi kilka pastylek prontosilu (czerwonych pastylek Bayera), po których oddawałem mocz czerwony, ale jednocześnie schodziła opuchlizna" (Kazimierz *Tokarz*).

„W zasadzie nie było mowy o leczeniu więźniów; w ramach samoobrony więźniowie korzystali z lekarstw

pozostawianych po wyładowanych transportach więźniów przywożonych na teren obozu. Lekarstwa te wybierali lekarze względnie sami więźniowie pod kierunkiem lekarzy-więźniów i używali je w sposób nakazany przez lekarzy" (Józef *Kołodziejczyk*).

„Bardzo ważną rolę odgrywał przemyt lekarstw w paczkach żywnościowych. W paczkach takich otrzymywałam od rodziny cukier przemieszany ze sproszkowanymi witaminami, a również raz czy dwukrotnie zastrzyki glukozy i wapna, zatopione w puszkach ze smalcem, których szczęśliwie kontrola niemiecka, sprawdzająca zawartość paczek, nie wykryła. Leki te miały dla mnie nieocenione wprost znaczenie w czasie moich chorób" (Zofia *Przanowska*).

„Sam donosiłem na teren obozu Oświęcim [środki] zdobyte od ludności cywilnej, jak tabletki z opisem, bandaże, maści, zastrzyki, dawałem lekarzom, wszystkich nazwisk nie pamiętam" (Antoni *Kubica*).

Stosunkowo łatwiej było o uniwersalne „leki" — czosnek i cebulę, przeważnie przysyłaną w paczkach lub przemycaną w różnorodny sposób do obozu przez więźniów pracujących na zewnątrz. Ze względu na powszechność ich stosowania we wszystkich dolegliwościach — gdy tylko były dostępne — stały się one, podobnie jak chleb, ogólnie uznawaną walutą obozową:

„Cennym lekarstwem na wszystkie choroby był czosnek i cebula, zdobywane od transportowców czy z kuchni, czasem w paczkach z domu, czasem od esesmanów" (Bronisław *Gościński*).

„Odżywcze, nawet lecznicze właściwości cebuli i czosnku są znane nie tylko w warunkach obozowych. Wówczas stanowiły jednak panaceum niemal na wszystkie dolegliwości. Były ponadto monetą obozową" (Stanisław *Zasacki*).

„Najskuteczniejszym lekiem na wszystkie choroby u wszystkich więźniów była cebula i czosnek, były one najbardziej poszukiwane i najbardziej cenione przez więźniów, miały też »wysoką cenę« w handlu wymiennym. Otrzymywane były przeważnie w paczkach" (Zofia *Raczyńska*).

Przemycało się też do obozu zioła lecznicze:

„Niektóre komanda wychodzące *na ausen*, na zewnątrz, na polecenie niektórych lekarzy przynosiły różne zioła, kwiaty itp. Mówi o tym kol. Nikodem *Pieszczoch*, który z komanda *Sola-Regulierung* przynosił leki do *HKB* (rewir). Było to oczywiście robione w skrytości, aby nie zauważyli tego esmani. Inne lekarstwa trafiały także tą drogą z zewnątrz. Ukryte [były] w krzakach nad Sołą lub [dostarczane] przez cywilnych robotników od księdza proboszcza w Oświęcimiu i innych, np. z klasztoru salezjanów" (Andrzej *Gąsienica-Makowski*).

„Często też więźniowie pracujący w *aussenkomando* przynosili różne zioła i liście na napary i okłady".

Deficyt leków w obozie sprawiał, że ceny ich na czarnym rynku stale przejawiały tendencję zwyżkową. Ich właściciele wymieniali je na chleb przede wszystkim, ale też na poszukiwane artykuły z paczek przesyłanych przez rodziny. Można było, przynajmniej teoretycznie nabyć wszelkiego rodzaju specyfiki. Wanda *Brühl* wspomina:

„Również i na malarię za produkt z paczki nabyłam dwa zastrzyki, które okazały się też bardzo skuteczne" (Wanda *Brühl*).

Nie zawsze jednak — mimo niezwykłej okazji do „wzbogacenia" się o chleb — medykamenty były przedmiotem handlu. Zdarzało się przecież, że dawano potrzebującym posiadane lekarstwo za darmo — ze szlachetniejszych pobudek lub w rezultacie działania podziemia oświęcimskiego, obozowego ruchu oporu, koncentrującego się przecież w budynkach rewirowych. Oto świadectwo w tej sprawie byłego więźnia, Edwarda *Garwolińskiego*:

„Przypadek zrządzał, a na pewno i organizacyjna strona pociągnięć dobrych ludzi oddanych sprawie, że poza tym zjawiali się co pewien czas rozmaici więźniowie z rewiru i wciskali do ręki pastylkę aspiryny (przeważnie). Dzieliliśmy taką pastylkę na co najmniej cztery części i połykali ją najbliżsi z otoczenia (każdemu jakiś lek był zawsze potrzebny). Nie zdarzało się to zbyt często, ale kilkakrotnie miało miejsce."

Ponieważ brakowało stale leków, ponieważ były one niezwykle trudne do zdobycia, drogie i przez wszystkich poszukiwane, jest psychologicznie zrozumiałe, że niektórzy więźniowie, może nawet duża ich część, wierzyli w nie bez zastrzeżeń. Stąd też duże powodzenie wszelakich medykamentów, używanych niejednokrotnie niezgodnie z przeznaczeniem, nawet tych, które nie miały znaczenia leczniczego (*placebo*). Zdarzały się oczywiście w tej sytuacji wzmożonej wiary w leki uzdrowienia trudne do racjonalnego wytłumaczenia, jeśli oczywiście amatorskie autodiagnozy więźniów były trafne. Nawet dokładnie przeżuty kawałek chleba mógł grać rolę lekarstwa:

„Kromka na najdrobniejszą miazgę przeżutego chleba była dla mnie podstawowym antidotum na wszelkiego rodzaju choroby obozowe" (Edward *Garwoliński*).

Wierzono zarówno w zioła, jak i w inne leki, różnie zresztą tę wiarę motywując:

„Wierzyłem w rośliny i spożywałem je, ponieważ mieszkaliśmy na wiosce w pierwszą wojnę światową i pamiętałem, jak moja matka leczyła nas tylko ziołami" (Stefan *Szostak*).

Czasem jednak więźniowie z pewnością — i tu dochodziło do tragedii — przywiązywali nadmiernie dużą wagę do posiadania leków i ich stosowania, zwłaszcza wtedy, kiedy z ewidentną szkodą dla siebie wyrzekali się chleba i innych potrzebnych organizmowi składników, by zdobyć medykamenty. O jednej z takich tragedii wspomina Tadeusz *Szymański*:

„Wiara w leki. Niestety nie tylko dziś nadużywa się lekarstw. Miało to miejsce i w obozie. Pożal się Boże, jakie leki można było zdobyć na czarnej giełdzie obozowej. Mój starszy kolega obozowy przybył do *Auschwitz* z więzienia i to w skrajnym stanie wycieńczenia. Wzięto go na *KB* [rewir] na blok 28. Zajął się nim jakiś lekarz Polak, z którym rozmawiałem, ale nie znałem go z nazwiska. Lekarz ten powiedział, że »może z niego jeszcze coś będzie«. Trzeba by go odżywiać. Niestety, niewiele mogłem temu koledze pomóc. Odwiedzałem go na *KB*, ale stan jego nie poprawiał się. Kolega ten prosił mnie o lekarstwa. Nie miałem ich jak zdobyć, nie wiedziałem nawet, co może mu być pomocne. Gdy po dwóch dniach znowu poszedłem na blok, dowiedziałem się, że kolega mój nie żyje. Okazuje się, że mój kolega ślepo wierzył w cudowną moc medykamentów. Całą swoją porcję żywnościową przehandlował za pigułki, którymi się na własną rękę leczył. Podobno nawet to wszystko, co mu ktoś przyniósł, zamieniał na lekarstwa. Jednym słowem, nie jadł niczego prócz lekarstw i to doprowadziło go do tragedii. To chyba rzadki, ale, twierdzę, nie jedyny wypadek" (Tadeusz *Szymański*).

Istniał też w obozie problem dawkowania leków (negatywnym przykładem służy m. in. cytowane opowiadanie o niewłaściwej „polityce zdrowotnej" więźnia przesadnie wierzącego w le-

karstwa) i problem stosowania i przyrządzania np. ziół. Wielu byłych więźniów np. pisze o niewłaściwym użyciu ziół w sytuacji, kiedy nie można było ich zaparzać:

„Leczenie ziołami nie było łatwe, bo nie było gdzie i w czym ich zaparzać. Przeważnie żuło się na surowo korzenie, zioła i liście" (Genowefa *Ułan*).

„Kwiaty podbiału jadło się surowe oraz pokrzywę i trawy, gdy tylko były do zdobycia. Były to leki ludowe" (Zofia *Filipczyk*).

I jeszcze jedna, istotna informacja, odnosząca się do problematyki leków w obozie. Otóż istniała też, jak świadczą wypowiedzi (także już wcześniej cytowane) naszych respondentów, wytwórczość leków w obozie. Była to produkcja fachowa, odbywająca się na terenie laboratorium obozowego, a przeznaczona na użytek rewiru, z drugiej zaś strony — amatorska, choć zapewne wykorzystywana zgodnie ze wskazówkami znających się na rzeczy.

Spotykaliśmy już w przytaczanych cytatach wzmianki o produkowaniu maści przeciw świerzbowi, tu zacytujemy dwa dalsze oświadczenia w tych sprawach:

„Na *Bauhofie* produkowano smar oparty na siarce i oleju, który używany był przy leczeniu świerzbu i to z dobrym skutkiem" (Karol *Holler*).

„Produkcja leków w obozie. W początkowych okresach w rewirze w Oświęcimiu było bardzo mało leków. Warunki były ciężkie. Dwóch młodych kolegów, a mianowicie Nicet *Włodarski* (zwany Prontosilem) i Witek *Kosztowny* (zwany Gonokokiem), dzisiaj obydwaj cenieni lekarze, na podstawie wiadomości wyniesionych z domów rodzinnych (lekarskich) i rad kolegów zorganizowali w obozie podstawowe laboratorium analityczno-lekarskie. Tam poza badaniami analitycznymi zorganizowali produkcję płynów iniekcyjnych, które były stosowane przez kolegów dożylnie i nie dawały żadnych odczynów uczuleniowych ani pirogennych. Produkowali roztwory soli fizjologicznej i stężonej, oczywiście z soli kuchennej oraz roztwory glukozy 5% i 10% z proszku sacharozy. Proszek ten w oryginalnych opakowaniach, często otwartych, dostarczany był do rewiru — podobnie jak i inne lekarstwa — z paczek domowych i służył wszystkim. Podobnych przypadków było więcej, jednakże dziś, po 36 latach, trudno je opisywać i podawać szczegóły" (dr Kazimierz *Hałgas*).

Możliwości leczenia i przydziałowe środki lecznicze były w obozie zagłady — jak wynika to z dotychczasowych konstatacji — kroplą w morzu ogromnych potrzeb. Dlatego liczyło się każde źródło, legalne i nielegalne, pomocy, zarówno to, co znalazło się w rewirze, a mogło pomóc chorym, jak i rzeczy podkradane z magazynów SS i uzyskiwane z tzw. kanady, czyli z bagaży osób skierowanych bezpośrednio do komór gazowych, zarówno wyprodukowane w laboratorium obozowym, a kierowane do użytku lekarzy-więźniów, jak i leki przemycane do obozu, zdobywane z narażeniem życia od cywilów, z którymi więźniowie stykali się w pracy. Wszystko to jednak mogło tylko w małej części zaspokoić olbrzymie zapotrzebowanie.

UWAGI KONCOWE

Wróćmy jeszcze na chwilę do infernalnego obrazu warunków życia lagrowego, jaki wiarygodnie, na podstawie autopsji, namalowała nasza respondentka, Jadwiga *Trębasiewicz:*

„Co dzień, gdyśmy szły do pracy, samochody zbierały leżące przy blokach, często w błocie, zawsze brudne ofiary *durchfalu* i malarii. Podczas choroby zeszłam z górnej koi na sam dół, na ziemię. Przykryta skąpą płachtą, stale się wachlowałam, by odstraszyć biegające szczury. Od pluskiew, pcheł i wszy nie było ratunku. Nie było też ratunku od moczu, który spływał z pęcherza więźniarki śpiącej nade mną. Chore z wyższych pięter, przy oknach, załatwiały się w nocy do własnych misek, które z zawartością wyrzucały na zewnątrz. Rano sztubowe zbierały te miski — wokół bloków było ich pełno — wycierały je czym mogły, najczęściej papierem, by przy wydawaniu obiadu, »brukwiówki«, wręczać tym, które nie miały naczyń. Wszystkie miski czyste zabierane były stale na miejsce pracy."

Pomińmy już teraz stronę higieniczną przedstawionych tu warunków bytowania, które musiały prowadzić do chorób, straszliwie się plenących w obozie, zwróćmy uwagę na to, że były to warunki n i e l u d z k i e, niszczące psychicznie człowieka, odbierające mu wszelką nadzieję, tłamszące go i prowadzące wprost do tzw. zmuzułmanienia i śmierci.

Z całą pewnością ci, co przeżyli obóz, albo doszli w pewnym momencie do wniosku, że trzeba wykształcić w sobie odporność p s y c h i c z n ą, że jest to podstawowy warunek przetrwania, albo też instynktownie, a więc niekoniecznie świadomie, przywiązywać wielką wagę do wszystkiego, co mogło podtrzymywać na duchu.

Oto wymowne stwierdzenia, opinie i wyznania samych byłych więźniów w tej sprawie:

„Ileż to razy patrzyłam, jak silni fizycznie załamywali się nawet w kilka czy kilkanaście dni po przywiezieniu ich do obozu. Tak stało się między innymi z Małgorzatą J. z Odrowąża, Stasią G. z Jordanowa, Anielą P. z Waksmundu. Nie pomogły ni słowa otuchy, ni opieka na miarę obozową. Nikły w oczach, padając pod potężniejszym ciosem lub też w drodze ku zatraceniu nad miarę szybko przeobrażały się w muzułmana" (mgr Mieczysława *Chylińska*).

„Odniosłem to głębokie przekonanie, że dobre samopoczucie i wiara w przetrwanie obozu jest bardzo ważnym warunkiem utrzymania zdrowia i sił witalnych w obozie koncentracyjnym. Toteż, znalazłszy się w obozie oświecimskim, starałem się zawsze utrzymać na twarzy uśmiech, wesołość i pogodę ducha, przestać myśleć o swoim domu i rodzinie i wyzbyć się tęsknoty za członkami rodziny. Pragnąłem, aby moje otoczenie oświęcimskie również miało takie samo usposobienie jako warunek siły do przetrwania obozu. Powtarzałem, że »im większa bieda, to tym Cygan bardziej skacze«. To pomagało i pozwalało spokojnie znosić wszystkie dolegliwości i upokorzenia obozowe" (Roch *Wystrach*).

„W warunkach nieludzkich, w morzu zła i deprawacji potrzebne było uodpornienie psychiczne. Gdy w czasie odwszenia nagi stałem w kolejce do kadzi z kreozolem, powiedziałem sobie: nie darmo otrzymałem życie; chociaż cierpię, szamocę się, walczę, to jednak czuję, że się przydam; muszę przetrwać" (ks. Konrad *Szweda*).

„Załamanie psychiczne w naszych warunkach jest niemal groźniejsze od załamania fizycznego! Psychicznie nigdy nie załamałem się i często usiłowałem to uzmysłowić licznym kolegom. Odnośnie do tego problemu z każdym niemal dniem nabierałem przekonania, że mam stuprocentową rację, obserwując dziesiątki kolegów, którzy po załamaniu psychicznym szybko znikali z obozu" (Tadeusz *Krupiński*).

„Tomy trzeba by jeszcze napisać i o tym, że nie tylko zdrowie fizyczne wymagało pomocy, ale i psychiczne. Dziś możemy się uśmiechać na wspomnienie tzw. szajsparoli, które opowiadaliśmy sobie nawzajem, aby podtrzymać się na duchu. Jeden drugiemu szeptał do ucha, jak to szwaby dostają w d... — jeszcze trochę, bądź dobrej myśli... byle do wiosny..." (Tadeusz *Szymański*).

Wszystkie działania na rzecz uodpornienia lub samouodpornienia się więźnia — działania w pełni świadome, ledwie uświadamiane lub zupełnie instynktowne — były swoistą psychoterapią, która miała znamiona postępowania zarówno profilaktycznego, jak i leczniczego.

„Ogólnie sądzę — pisze Arnold *Andrunik* — że dobrym sprzymierzeńcem w zachowaniu zdrowia, w znoszeniu czy leczeniu chorób w obozie, była odporność psychiczna, świadomość życzliwości i pomocy doznawanej ze strony kolegów obozowych i niezachwiana wiara w przetrwanie".

O religii w tej psychoterapii obozowej (profilaktycznej i leczniczej) interesująco pisze ks. Konrad *Szweda:*

„Gdy nie było środków leczniczych, uśmiech na twarzy, braterska rada, koleżeńska wskazówka była jedynym lekarstwem w chwilach depresji duchowej. Nie można zataić, że ważną rolę terapii w obozie spełniała religia. Pamiętam, jak urzędnik celny z Nowego Bytomia, *Gut,* leżał na twardych deskach bloku 16a, trawiony wysoką gorączką. Z nadgarstka prawej ręki płynęła ropa z krwią. Po cichu powtarzał słowa: Jezu, kocham cię! Pogoda ducha, z jaką znosił cierpienie, i zjednoczenie z Bogiem wzbudzało w nas podziw.

„W »muzułmaninie« okrytym brudną derką rozpoznałem prof. Tadeusza *Dobrowolskiego,* polonistę gimnazjum w Rybniku. Jakże się zdziwiłem, kiedy w jego ręku zauważyłem sznurek z dziesięcioma węzełkami. Przesuwał je z głęboką wiarą, odmawiał »zdrowaśki« do Najświętszej Maryi Panny. W takiej sytuacji różaniec urastał do symbolu potężnej liny ratunkowej, rzuconej tonącym rozbitkom na wzburzonym morzu życia. »Tu poznałem, że poza Bogiem nikt nam pomóc nie może« — powiedział profesor, który uchodził za liberała".

Zachowanie dobroci serca w tym morzu nienawiści, jakim był obóz, uczynności w stosunku do chorego, umiejętne posłużenie się przykładem czyichś przeżyć, postaci autentycznych czy literackich — mogło pozytywnie wpłynąć na przebieg choroby czy rekonwalescencję. Oddajmy jeszcze raz głos byłemu więźniowi Oświęcimia i Dachau, ks. Konradowi *Szwedzie,* który i o tym wspomina w swej relacji:

„Leon *Pietrzykowski,* nr 413, asystent prof. UJ, Stanisława *Pigonia,* chorym na biegunkę w bloku 15 opowiadał epizody z książki swego mistrza »Z Komborni w świat«, recytował całą Improwizację *Mickiewicza,* wyjątki *Słowackiego.* Chorzy słuchali z zaciekawieniem, zapominali o głodzie i nędzy obozowej. Budował nas szlachectwem ducha, dobrocią serca. Chorych na biegunkę obmywał z fekalii, zeskrobywał robactwo z cuchnących nekroz, w zimnej wodzie prał zawszoną bieliznę. W ten sposób leczył chorych, nad którymi lekarze załamywali ręce z powodu braku lekarstw."

Byli więźniowie, którzy chorowali w obozie, wspominają z wielką wdzięcznością tych lekarzy i przedstawicieli obozowej służby zdrowia, którzy potrafili zastosować — wbrew wszystkiemu — w obozie elementy psychoterapii, wykazując odruchy ludzkie wobec pacjentów maltretowanych i poniżanych na każdym kroku, traktując ich „normalnie", czyli z sercem i zrozumieniem. W podtekście tych pełnych wdzięczności świadectw o humanizmie personelu lekarskiego można doczytać się przekonania, że to im przywracało życie przez przywrócenie godności ludzkiej:

„Personel więźniarski, obsługujący szpital i chorych, był różny, bardzo różny. Ale z perspektywy ponad trzydziestu lat z zapamiętanych faktów stwierdzam, że większość tych współwięźniów, ratując swe życie warunkami lepszymi w stosunku do reszty obozowiczów, spełniała w sposób wysoce humanitarny ideę pomocy i ratowania. Robili więcej niż mogli, niż byli w stanie. Wyczerpali środki pomocy fizycznej i sięgnęli do arsenału środków psychicznych. Słowo, gest, uśmiech, ręka obejmująca, podpierająca, klepnięcie ojcowskie, koleżeńskie, potrafiło zrobić więcej niż seria zastrzyków. To było niezbędne, nieopisane, niezamierzone oddziaływanie na psychikę człowieka-więźnia. To było to, co dawało wiarę, że »stoi komin murowany, ale my go wykiwamy«. To były promienie najpiękniejszej części człowieka. Jego dobroci, miłości i ofiarności. Polscy lekarze w obozach jako nasi koledzy współwięźniowie ten trudny egzamin zdali w pełni. Żywię do nich uczucie bałwochwalczego uznania, podziwu i dziękuję im z całego serca za pomoc, jaką też od nich otrzymałem" (inż. Czesław *Czerwiński).*

„Zapadłam na oczy, zaczęły się czerwienić i łzawić. Opary z wanien i wpychanie przez służbę pod wodę, np. sama zanurzałam się ciut za mało, nie były obojętne dla oczu. Był już kwiecień, gdy dr Emma wyposażyła blokową w papierek, kierujący mnie na badanie do okulisty. Okulistą był lekarz-więzień z męskiego lagru, raz w tygodniu przychodził do naszego ambulatorium. Lekarz ten (można było »zwariować« ze szczęścia) przywitał mnie i... »Co ci się stało, dziecinko?...« Potem wyjął z kieszeni buteleczkę, zakroplił mi oczy, na prawe zakładając czarną opaskę (było w gorszym stanie) i prosząc, żebym opaskę po zagojeniu zwróciła, gdyż więcej nie ma. Uścisnął mi rękę, życząc wszystkiego najlepszego. Wyszłam dziękując i również składając życzenia, poruszona głęboko przyjęciem. Ta krótka wizyta naładowała mnie ogromnym ładunkiem optymizmu" (Jadwiga *Trębasiewicz).*

„Stosunek lekarzy-więźniów do chorych był jak najbardziej poprawny, często serdeczny. W granicach obozowych możliwości robili dla chorych, co mogli, a możliwości były raczej znikome. Dlatego też na podkreślenie zasługuje fakt, że częstokroć, z braku leków, swoją postawą i oddziaływaniem psychicznym wpływali pozytywnie na stan chorych" (Alojzy *Fros).*

W istocie była to walka o obudzenie na nowo chęci do życia w więźniu, którego wyniszczona postać „muzułmana", z ustami czarnymi od węgla, przypominała niekiedy dwuwymiarową postać pierota z koszmarnej pantomimy. Ów więzień — jak średniowieczny, legendarny, ciężko chory Tristan — gdy zaniechał nadziei i walki o życie, wkrótce już nie żył. Twarz w twarz ze śmiercią, w najskrajniejszym zagrożeniu trzeba było szczególnie i silnie odczuć wartość życia. Dopiero w takiej sytuacji wszystkie, najdziwniejsze nawet sposoby ułatwiające przetrwanie mogły być traktowane jako ratunek spadający z nieba.

ŹRÓDŁA

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

W relacjach z wielu obozów można napotkać wzmianki o ratowaniu więźniów przez przeważnie indywidualne stosowanie dostępnych środków leczniczych, a także o pomocy wzajemnej, czasem z udziałem współtowarzysza niedoli, lekarza. Tego rodzaju urywki czy okazjonalne opisy w bogatym piśmiennictwie wspomnieniowym są podawane przeważnie na zasadzie dygresji bądź ciekawostki, a nawet jako elementy dramatycznych najczęściej opisów przeżyć lagrowych. Dotyczy to setek relacji z wielu obozów.

Na przykład prof. Stanisław *Maziarski* wspomina w swej relacji z *Sonderaktion Krakau* i z Sachsenhausen, znajdującej się we fragmencie w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego-Oświęcim": „Lekarstw żadnych nie mieliśmy ani dać ich nie chciano, więc leczyliśmy się sami; kol. Kazimierz *Dobrowolski* produkował węgiel z sosnowych korzeni i ten łykaliśmy, ponadto piliśmy krople wody do ust lub zażywali pastę do zębów, zawierające kredę (węglan wapniowy), następnie także odwar z kory dębowej, którą gdzieś udało się zdobyć; odwar ten fabrykował znowu kol. [Jan Zygmunt] *Ro-*

bel. Trzeba było jakoś sobie radzić, gdy innej rady nie było, do rewiru na biegunki przyjmować nie chcieli, dawali co najwyżej po jednym proszku chlorku amonu i na tym koniec".

Publikacją najbliższą tematycznie naszemu opracowaniu jest relacja nieżyjącego już byłego więźnia Gross-Rosen i Litomierzyc (*Leitmeritz*), Romana *Niewiarowicza*, pt. Medycyna *in articulo mortis* w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych (Przegl. Lek., 1973, nr 1, s. 179—188). Warto zajrzeć do tej relacji, by znaleźć podawane przez *Niewiarowicza* przykłady wręcz niewiarygodnych uzdrowień, pomysłowości uwięzionych lekarzy i własnych „kuracji" więźniów, w warunkach skrajnie trudnych. Autor wspomina m. in. o roli moczu, o postępowaniu w ropniach, o dodatnim wpływie sugestii.

Nie ujmując niczego wysiłkowi *Niewiarowicza*, który naszkicował niektóre typowe przykłady tego rodzaju postępowania samoleczniczego, warto wspomnieć, że już wtedy, gdy zespół redakcyjny „Przeglądu Lekarskiego-Oświęcim" inspirował ową relację od byłego więźnia, narzuciła się myśl, żeby — jakeśmy to początkowo nazwali — tzw. lagrowej medycyny ludowej poświęcić specjalnie pracę opartą na zbiorze ankiet ukierunkowanych na to zagadnienie.

Również w opracowaniach popularnych i naukowych można się natknąć na wzmianki dotyczące tego kręgu tematycznego. Na przykład w kwestii chorób częstych w obozach powtarzają się opisy brutalnego traktowania w wypadku świerzbu czy duru plamistego, a nawet esesowskiego „leczenia" uśmiercaniem. Spośród mnóstwa opisów warto wspomnieć dla przykładu m. in. o relacji na temat szykanowania i głodzenia w kwarantannie dla chorych na świerzb w Sachsenhausen pióra K. *Rajnera* w książce pt. Tamte dni (Warszawa 1977, Wydawn. MON, s. 50 i nast.). Wspomniane choroby są tematem opartych na zebranych relacjach artykułach S. *Kłodzińskiego* pt. Świerzb i ropowice w obozie Oświęcim-Brzezinka (Przegl. Lek., 1970, nr 1, s. 30—33) i Dur wysypkowy w obozie Oświęcim I (tamże, 1965, nr 1, s. 46—67).

O lekach w obozie — dla oficjalnej medycyny *SS* i dla leczenia więźniów — pisze wielu autorów, m. in. dr Jan *Sikorski* (w swojej nie opublikowanej, wspomnianej w tekście artykułu, a obronionej w krakowskiej Akademii Medycznej rozprawie doktorskiej pt. Apteka i zaopatrzenie sanitarne w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka 1940—1945, Kraków 1975, maszynopis).

Na uwagę zasługuje, że wielokrotnie już też pisano o „organizowaniu" leków, przemycaniu ich do obozu itp. Dużą rolę w tej mierze odgrywały rewiry obozowe, w których koncentrowała się konspiracja lagrowa (pisze o tym m. in. Krzysztof *Dunin-Wąsowicz:* Ruch oporu w hitlerowskich obozach koncentracyjnych 1933—1945. Warszawa 1979, PWN, s. 83—98: rozdz. pt. Szpitale obozowe i ich funkcje w ruchu oporu).

Problem zdobywania środków leczniczych w obozie oświęcimskim przewija się również w zebranych przez nas 125 obszernych relacjach o „organizowaniu", wymianie, handlu, przemycie itp. w tym lagrze. Pograniczne tematyczne tych spraw i samolecznictwa znalazło swój wyraz w zamieszczonym obecnie artykule o samolecznictwie, w zasadzie jednak „organizowanie" leków itp. będzie przedmiotem odrębnego opracowania wzmiankowanej tutaj kwestii giełdy lagrowej.

W literaturze zagranicznej np. kilka stron poświęca okolicznościom utraty zdrowia przez więźniów, medycznej polityce *SS* wobec nich, eksperymentom medycznym, znikomości leczenia, ograniczonym możliwościom ratowania się własnymi sposobami itd. m. in. Benedikt *Kautsky* w swej książce pt. Teufel und Verdammte. Erfahrungen und Erkenntnisse aus sieben Jahren in deutschen Konzentrationslagern. (Wiedeń 1961, Verlag der Wiener Volksbuchhandlung) np. w rozdziale pt. Das Gesundheitswesen (tamże, s. 253—262).

I jeszcze drugi przykład, co prawda nie dotyczący hitlerowskich obozów koncentracyjnych. W pracy zbiorowej pt. Extreme Lebenserhältnisse und ihre Folgen, Handbuch der ärztlichen Erfahrungen aus der Gefangenschaft (pod red. E. G. *Schencka* i W. *von Nathusiusa*, Kolonia 1959) znajduje się artykuł G. *Martina* pt. Ärztliche Improvisationen während der Gefangenschaft (tamże, s. 111—119), dotyczący obozów jenieckich. Autor przedstawia m. in. niektóre sposoby, jakimi musiano się posługiwać wobec ubóstwa potrzebnych środków i uwzględnia różne dziedziny, od chirurgii i medycyny wewnętrznej do higieny. Marginesowo wspomina o zatruciach przy spożywaniu dzikich wiśni.

W tego rodzaju pracach dużo jest poza tym wzmianek o kwestiach oczywistych, jak na przykład o szkorbucie wywołanym awitaminozą, o chorobach, na które praktycznie więźniowie nie mieli własnych środków (m. in. jaglica w Gross-Rosen) itd.

O rewirach oświęcimskich pisano już sporo, w zasadzie więc pomijamy ich dzieje, strukturę i prymitywne, choć prawidłowe (fachowe) leczenie tamże tudzież przebieg epidemicznych chorób w obozie; tyfusu, durchfalu, świerzbu (cała seria artykułów i wspomnień o tym, m. in. w „Przeglądzie Lekarskim-Oświęcim"; na końcu każdego zeszytu znajduje się w ostatnich latach spis zawartości treściowej tego cyklu).

Pomijamy esesowskie zbrodnicze eksperymenty medyczne i quasi-medyczne (więc nieprofesjonalne); na ten temat istnieje duże piśmiennictwo (zob. A. *Jakubik*, Z. *Ryn:* Pseudomedyczne eksperymenty w obozach hitlerowskich. Bibliografia polska 1945—1971. Przegl. Lek., 1973, nr 1, s. 72—75).

W związku z trudnościami ścisłego zidentyfikowania zarówno chorób, których objawy podali nam byli więźniowie, jak i stosowanych przez nich środków, zwłaszcza ziół — a to się wiąże z koniecznością uwzględniania właściwej terminologii — pomocne okazały się różne stosowne publikacje fachowe, jak np. Ziołolecznictwo. Poradnik dla lekarzy pod redakcją doc. dr. hab. Aleksandra *Ożarowskiego*. Wydanie II poprawione i uzupełnione (Warszawa 1980, PZWL).

Na koniec warto dla ścisłości dodać jeszcze, że wstępne, wybrane spostrzeżenia dotyczące samolecznictwa autorzy przedstawili w referacie pt. Medycyna ludowa w Oświęcimiu-Brzezince (na uroczystym posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego dla uczczenia XXXVI rocznicy oswobodzenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka 28 stycznia 1981 r.). Zebraliśmy pewne uwagi związane z tym wstępnym ujęciem, m. in. od dr. Adolfa *Gawalewicza* (nr w Oświęcimiu 9225).

SPIS RESPONDENTÓW

Podajemy imienny wykaz byłych więźniów, od których otrzymaliśmy relacje na temat samolecznictwa w *Auschwitz-Birkenau*. W nawiasach podajemy obozowe numery oświęcimskie.

Arnold *Andrunik* (21164); Leon *Banachowicz* (62335); Stanisław *Baś* (62039); Włodzimierz *Borkowski* (360); Wanda *Brühl* (44701); Józefa *Bukowska* (32111); Mieczysława *Chylińska* (44658); Józef *Ciepły* (169400); Roman *Czerteżyński* (29569); Czesław *Czerwiński* (2529); Jarosław *Dawczyński* (933); Stanisław *Drewniak* (121331) Gertruda *Dubowska* (36315); Helena *Dunicz-Niwińska* (64118); Marian *Dybus* (678); Maria *Emmerling* (21968); Zofia *Filipczyk* (30495); Szymon *Filipski* (61874); Kazimierz *Frączek* (27159); Alojzy *Fros* (136223); Edward *Garwoliński* (138694); Wincenty *Gawliczek* (10246); Andrzej *Gąsienica-Makowski* (5654); Bronisław *Gościński* (403); Antonina *Gryboś-Tajak* (29690); Franciszek *Gulba* (10245); Kazimierz *Hałgas* (5670); Piotr *Hiroń* (4668); Karol *Holler* (7762); Kazimierz *Japoł* (9172); Maria Elżbieta *Jezierska* (24449); Julian *Kiwała* (9143); Michał *Kogut* (102951); Józef *Kołodziejczyk* (162409); Kazimierz *Krupa* (561); Stefan *Krupa* (123348); Tadeusz *Krupiński* (224); Artur *Krzetuski* (1003); Antoni *Kubica* (7617); Kazimierz *Kumala* (17374); Jan *Kurek* (9165); Jan *Lewicki* (42); Józef *Lula* (126942); Władysław *Łyczkowski* (119349); Czesław *Łyjak* (95848); Józef *Majchrzak* (33204); Józef *Michalski* (3668); Andrzej *Michniak* (24665); Jerzy *Mostowski* (7221); Wiktor *Myrdko* (18478); Stanisław *Naskalski* (75942); Eugeniusz *Niedojadło* (213); Julian *Niewiarowski* (5596); Stanisława *Piąty* (7558); Jan *Piotrowski* (67158); Zofia *Przanowska* (64429); Stanisław *Przewdziecki* (7779); Jadwiga *Przędzik* (72303); Zygfryd *Rębilas* (9247); Szczepan *Robak* (86499); Kazimierz *Rogalski* (108593); Jerzy *Rzeźniak* (39237); Zofia *Raczyńska* (35167); Jan *Sikorski* (19086); Maria *Slisz-Oyrzyńska* (40275); Ryszard *Sobczyk* (203); Zdzisław *Soleski* (96244); Jan *Starczewski* (121625); Józefa *Szkodzińska* (32293); Stefan *Szostak* (123014); Konrad *Szweda* (7669); Tadeusz *Szymański* (20034); Kazimierz *Tokarz* (282); Jadwiga *Trębasiewicz* (44 133); Genowefa *Ułan* (17528); Helena *Wiązownicka-Gawęda* (20214); Alfons *Wrona* (109267); Roch *Wystrach* (10241); Stanisław *Zasacki* (150155).

Serdecznie dziękujemy wymienionym osobom za trud i wysiłek włożony w bolesne często przywoływanie niezwykle nieraz interesujących wydarzeń, epizodów i szczegółów z zakresu wysuniętego przez nas tematu. Dar w postaci tak niezwykłego zbioru relacji był warunkiem sine qua non wszechstronnego opracowania tej rozproszonej dotychczas i drugorzędnie traktowanej problematyki.

ZDZISŁAW RYN, STANISŁAW KŁODZIŃSKI

Kraków

Śmierć i umieranie w obozie koncentracyjnym

WPROWADZENIE

Czy jest możliwe dziś, po upływie czterdziestu lat, odtworzenie i przywołanie stanu psychicznego więźniów obozów koncentracyjnych, stających wówczas w obliczu wszechwładnego zagrożenia śmiercią? Czy jest to celowe i uzasadnione? Czy poza walorami naukowo-poznawczymi można oczekiwać od tych badań praktycznych korzyści, zwłaszcza w roztaczaniu opieki lekarskiej nad żyjącymi jeszcze byłymi więźniami obozów? Oto podstawowe pytania, jakie nasuwają się w chwili podejmowania tego niezwykle trudnego i złożonego tematu, jakim była śmierć i umieranie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych i zagłady.

Dlaczego tak późno? Otóż temat ten, zapewne najważniejszy w całej problematyce patologii obozowej, wymagał pewnego dystansu — zarówno czasowego, jak i osobistego. Podjęcie tej kwestii — i przez byłych więźniów, i przez autorów — wymagało także pewnej odwagi i dojrzałości. Już pierwsze próby ujęcia tej problematyki wykazały, że ani czterdziestoletni dystans nie jest wystarczający dla byłych więźniów, by zachować wobec niej potrzebny obiektywizm, ani też autorzy nie zdołali wypracować optymalnej metody badawczej. Decyzja o podjęciu tego tematu jest więc wyrazem kompromisu między zrozumieniem potrzeby takiego opracowania a możliwościami badawczymi. Nie bez znaczenia jest także okoliczność, że z każdym rokiem topnieje populacja byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Odchodzą oni przedwcześnie, skazani na przyspieszony proces starzenia się, zabierając ze sobą świat obozowego koszmaru, tym razem poza granice życia, tak jak w obozie doświadczali tego koszmaru do granic śmierci.

*

Podczas drugiej wojny światowej zginęło, jak wiadomo, około 6 milionów Polaków, z tego około 90% w obozach koncentracyjnych i więzieniach. Autor „Refleksji z poczekalni do gazu", Adolf *Gawalewicz*, słusznie pyta, czy potrafi wzruszyć liczba dwunastu lub więcej milionów pomordowanych w obozach zagłady bez rozszyfrowania doznań poszczególnych ludzi (*Gawalewicz*, 1968). Statystyczne ujęcie tego, co stało się w obozach, nie wywołuje bowiem w psychice współczesnego człowieka żadnej adekwatnej reakcji emocjonalnej. Bezosobowe liczby są abstrakcją, która istotnie nie potrafi wzruszyć.

Podobnie jawi się porównanie zbiorowego, społecznego wyobrażenia o chorobach psychicznych i atmosferze szpitala psychiatrycznego, zwykle ponurego i pesymistycznego, w przeciwstawieniu do świata doznań pojedynczego chorego dotkniętego psychozą — barwnego, pociągającego, a nieraz fascynującego. Dlatego zbliżenie się ku problematyce śmierci i umierania w obozach możliwe jest poprzez analizy jednostkowe, tzw. kazuistyczne i dopiero one mogą posłużyć do snucia ogólniejszych rozważań i refleksji.

O doznaniach tych będą mówić w tej pracy ci nieliczni więźniowie, którzy dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności przeżyli obozową gehennę. Żyją do dziś życiem, które sami nazywają „darowanym". Czasowa odległość od pobytu w obozie wcale nie zatarła ostrości wspomnień, nieraz przeciwnie, mimo upływu czasu jeszcze bardziej je zaostrzyła. Objaw ten, zwany hipermnezją napadową, znany jest w literaturze obozowej (*Półtawska*, 1978). Z drugiej strony czasowy dystans ułatwił wypowiedź bardziej przemyślaną i refleksyjną, uwolnioną od bezpośredniego wpływu urazów obozowych.

Przed przystąpieniem do analizy uzyskanego materiału warto przedstawić kilka uwag o trudnościach metodologicznych z tą analizą związanych. Problemem podstawowym jest stwierdzenie, że człowiek nie ma bezpośredniego doświadczenia śmierci. Nawet relacje osób, które kiedyś umierały czy nawet uchodziły w oczach otoczenia za zmarłe, nie są w stanie przekazać relacji o samej śmierci, gdyż jej nie doznały. Podobnie osoby towarzyszące umierającym — mimo głębokiego wglądu w ludzką agonię — nie przekraczają z umierającym progu śmierci. Jest to więc przestrzeń nieznana i zdaje się niepoznawalna. Tak więc możemy mówić o poznawaniu procesu umierania, a nie o poznawaniu istoty samej śmierci (*Boros*, 1977).

Wybitny francuski chirurg-onkolog, Jacques *Bréhant*, w swej mądrej i głęboko ludzkiej książce „Thanatos" zwierza się z poczucia bezsilności lekarza stojącego wobec człowieka umierającego:

„Zrozumieć umierającego — łatwiej to powiedzieć niż uczynić. (...) wołanie umierającego rzadko bywa spontaniczne, prawie zawsze trzeba ich nakłonić do mówienia (...). Musimy usiłować dociec, co odczuwają, odgadnąć, w czym można im jeszcze pomóc. Nigdy nie jest to łatwe. Jeżeli chcemy mieć dostęp do omamów, jakie u umierających wywołuje zbliżający się koniec, trzeba zrozumieć ich język, który jest zawsze ezoteryczny. Nie mogąc w tej godzinie wyrazić się jasno, posługują się niemal zawsze językiem symbolicznym, który musimy nauczyć się odszyfrowywać nie-

mal tak, jak ideogramy lub język nieznany. (...) nawiązanie rozmowy z umierającym może pochodzić tylko z serca, ze zrozumienia, jest sprawą zbyt indywidualną, której nie da się ująć w system. Każdy umierający przeżywa śmierć w sposób osobisty, tylko jemu właściwy" (*Bréhant*, 1980).

Również pacjenci badani przez Raymonda *Moody'ego* podkreślali niewyrażalność przeżyć związanych z umieraniem. Codzienny język okazał się zbyt ubogi i niewystarczający, by można nim było opisać te doznania w sposób wierny. Potocznemu językowi brakuje jakby dodatkowego wymiaru, tak charakterystycznego dla złożonych procesów umierania (*Moody*, 1975).

Człowiek, który umierał, natrafia zwykle na wielkie trudności opowiedzenia o swych przeżyciach, podobnie jak trudne do wyrażenia słownego są doznania psychotyczne.

„Najpierw — pisze *Pszon* — nie jest w stanie znaleźć w ludzkim języku słów, które potrafiłyby w sposób odpowiedni wyrazić przeżycia tego rodzaju. A że równocześnie spotyka się z niedowierzaniem i drwiną, rezygnuje zupełnie z opowiadania o tym innym. Niemniej doznane przeżycie pozostawia głębokie ślady w jego psychice, kształtując na nowo pojęcie życia i jego stosunek do śmierci" (*Pszon*, 1977).

Dopiero ostatnie lata ożywiły zainteresowanie naukowe złożoną i trudną problematyką śmierci i umierania. Koncentrują się one wokół umierania osób chorych i cierpiących oraz pomocy lekarskiej — biologicznej i psychicznej — jakiej ci chorzy potrzebują. Warto wspomnieć dygresyjnie, że znany angielski szpital, zwany zakładem im. św. Krzysztofa, prowadzony od roku 1967 przez Cecylię *Saunders* i zajmujący się studiami nad łagodzeniem cierpień moralnych i fizycznych ludzi umierających, powstał między innymi z fundacji zapoczątkowanej przez Polaka, uczestnika bitwy o Anglię w 1940 roku. Wkrótce po wojnie Polak ten wrócił do Anglii, tym razem ciężko chory na nowotwór. Umierając, prowadził na temat założenia specjalnego szpitala dla nieuleczalnie chorych inspirujące dyskusje z Cecylią *Saunders*, która wówczas była tam pielęgniarką. Od tego czasu tysiące nieuleczalnie chorych skorzystało w tym ośrodku z fachowej opieki, łagodząc swe cierpienia związane z umieraniem.

W badaniach nad pograniczem życia i śmierci wiele nowego wniosły obserwacje osób poddanych reanimacji ze stanu śmierci klinicznej. Potwierdziły one, że umieranie nie jest tylko jednym momentem i że przestrzeń ta wypełniona jest zwykle złożonymi doznaniami subiektywnymi. Jedna z wybitnych znawczyń tego przedmiotu, Elizabeth *Kübler-Ross* (1970), kilkanaście lat temu wyodrębniła i opisała siedem psychologicznych faz procesu umierania. Jej badania dały początek nowej gałęzi psychologii, psychologii śmierci klinicznej, a także psychologii umierania. Nieco później wyodrębniono psychopatologię umierania (*Bukowczyk* i wsp., 1971).

Jednym z najważniejszych spostrzeżeń, a zarazem najbardziej zdumiewającym było to, że wielu umierających w okresie śmierci klinicznej doznawało nadzwyczajnego i szczególnego uaktywnienia świadomości. Doktor R. *Moody* (1979) nazwał je misterium zachwycającym — *mysterium fascinosum*.

Do podobnych wniosków doszedł Johan Christoph *Hampe*. W książce zatytułowanej „Śmierć jest przecież całkiem inna. Doświadczenia z własną śmiercią" (1976) przytacza relacje osób odratowanych ze śmierci klinicznej. Potwierdzają one, że człowiek nieprzytomny, umierający, może zdawać sobie sprawę z tego, co dzieje się w jego otoczeniu. Sama śmierć nie jest dla umierającego czymś bolesnym, nieprzyjemnym. *Ernst Klee* (1977), komentując książkę *Hampego*, stwierdza:

„... pozbyli się już cierpień i znaleźli przyjęcie w sferze szczęśliwego przeobrażenia (...). Ludzie, którzy przekraczają próg walki o życie, umierają bezboleśnie i bez trwogi. Także rozpromienienie rysów zmarłego potwierdza to spostrzeżenie. Śmierć nie jest żadnym ograniczeniem ani cierpieniem". *Hampe* w zakończeniu swej książki pisze: „Nie możemy się skończyć. Śmierć nie jest naszym kresem".

Te pierwsze publikacje ożywiły zainteresowania lekarzy i psychologów problematyką umierania, wskazując na to, że pogranicze życia i śmierci posiada jeszcze wiele nie zbadanych aspektów.

PROBLEMATYKA ŚMIERCI W LITERATURZE OBOZOWEJ

Bez większej pomyłki można stwierdzić, że niemal cała literatura dotycząca obozów koncentracyjnych dotyka w jakimś stopniu problemu śmierci i umierania. Jest to zapewne najbardziej wstrząsająca w skali światowej literatura faktu, niezależnie od tego, czy są to naukowe i specjalistyczne publikacje medyczne, czy też „zwyczajne" wspomnienia z pobytu w obozie. Niemal wszystko, co o obozach napisano, a także wyrażono w innych formach ludzkiej twórczości, a więc w poezji, malarstwie, obozowej epistolografii, grypsach, a nawet w humorze itd. — nosi w sobie niezatarte piętno śmierci. Nie mogło być inaczej, gdyż ci, którzy to stworzyli, sami noszą w sobie to piętno, są naznaczeni śmiercią. Przeżyli oni w obozie niezliczoną i nieogarnioną śmierć współwięźniów, a także doświadczyli na samych sobie, nieraz wielokrotnie, stanu umierania.

Ślad tych przeżyć w psychice byłych więźniów okazał się trwalszy i bardziej widoczny niż blizny fizyczne. Instrumentem najwrażliwszym na rejestrowanie tych zmian okazało się badanie psychiatryczne i psychologiczne, dlatego też w tych właśnie pracach problem śmierci i umierania w obozie koncentracyjnym można badać w powiększającym i przybliżającym zwierciadle.

Podobne rozmiary — nieraz nawet karykaturalne, jeśli zważyć nasz obecny punkt widzenia tych spraw — przybiera to zjawisko w literaturze wspomnieniowej, choćby przytoczyć ponownie książkę Adolfa *Gawalewicza* „Refleksje z poczekalni do gazu" czy też inną, klasyczną już pozycję Wojciecha *Kielara* „Anus mundi" (1972).

Wstrząsającym w swej wymowie dokumentem jest książka autorów belgijskich pt. „Historia medycyny *SS*, czyli mit rasizmu biologicznego". W oparciu o materiały archiwalne autorzy uzasadniają adekwatność nazwy „fabryka śmierci", jaka przylgnęła do hitlerowskich obozów koncentracyjnych i zagłady. Szczegółowo opisują metody masowego mordowania w obozach, sposoby selekcji i eksterminacji oraz eksperymenty pse-

udomedyczne prowadzone w obozach przez lekarzy *SS (Ternon* i *Helman,* 1973).

Spośród wielu przykładów opracowań ogólnych podejmujących tę problematykę warto wyróżnić np. książkę *Heydeckera* i *Leeba,* zatytułowaną „Trzecia Rzesza w świetle Norymbergi" (1979), czy też monograficzne ujęcie problemu eksterminacji pt. „Oświęcim. Hitlerowski obóz masowej zagłady" (1977).

Odniesienie czytelnika do tych czy podobnych publikacji czyni zbędnym przytaczanie opisów techniki masowego uśmiercania w obozach, metod tzw. zagłady pośredniej, jak głód i choroby, wyniszczająca praca, kary i egzekucje, jak też metod zagłady masowej, tj. uśmiercania trującymi zastrzykami, zabijania w komorach gazowych, rozstrzeliwania itp. Warto jedynie zaznaczyć, że zakończenie wojny i wyzwolenie obozów położyło kres wprowadzaniu nowych metod eksterminacyjnych, jak eksperymenty sterylizacyjne czy też inne eksperymenty pseudomedyczne.

Uwagę skoncentrować pragniemy raczej na psychicznej projekcji tego procesu w przeżyciach poszczególnych więźniów.

W psychiczną atmosferę śmierci w obozie wprowadza od razu czytelnika celna refleksja Jadwigi *Apostoł-Staniszewskiej* (1981), której relacje zawarte są także w ankiecie przytoczonej w dalszej części:

„Jedyną prawdą odgrodzonych od świata miejsc zagłady była właśnie śmierć. Istniała wszędzie: w baraku, na *Lagerstrasse,* w rewirach, pod blokami, przed i za bramą, w bunkrach, o każdej porze dnia i nocy. Śmierć kryła się w pejczach, pałkach, w podkutych butach, w rewolwerach, w strzykawkach, w puszkach, których zawartość wsypywano do komór gazowych. Śmiercią przesiąknięta była ziemia, pokryta błotem albo spierzchniętą skorupą, powietrze i niebo nad obozem zachmurzone albo zakwefione oparami i dymem. Śmiertelne były druty z wysokim napięciem i wystające lufy karabinów z okienek w postenketach, oddane do dyspozycji strażników (...).

W upalne lato 1944 roku przeładowane komory gazowe i krematoria nie nadążały w uśmiercaniu i paleniu zwożonych tu ludzi. Płonęły wówczas sterty ludzkich ciał w rowach wykopanych nad Wisłą. Szare dymy ciągnęły się nisko nad ziemią, ciężkie, gęste, przesiąknięte największą, jaką znał świat, masową tragedią. Popiół po spalonych ciałach rozsiewano po polach najbliższej okolicy. Spłonęli wszyscy przywożeni ciężarowymi samochodami, zaplombowanymi wagonami, ci, którzy przeszli na własnych nogach przez bramę śmierci. Spłonęły setki i tysiące istnień ludzkich, uśmiercanych codziennie na rozległym terenie, odgrodzonym od życia kordonem esesmańskiej służby, wieżami strażniczymi i wysokim napięciem elektrycznego prądu, bezustannie płynącego w kolczastym odrutowaniu obozu. Ten wygasły na zawsze wulkan dymi wciąż śmiercią i potwierdza prawdę wypracowanego w szczegółach programu masowej zagłady we wszystkich obozach wyniszczania ludzkości (...).

Śmierć w obozie zagłady stała się konsekwencją pierwszego kroku postawionego przez więźniarkę na ziemi dla tego celu przewidzianej. Tamta śmierć rodziła się w instytutach, w naukowych pracowniach, wynikała z ideologii politycznej i propagandy, zrodziła się w mózgach szaleńców i tych wszystkich, którzy temu szaleństwu ulegli. Tamta śmierć jako dzieło świadomego wyniszczenia odcinała się od wszystkich znanych światu rodzajów śmierci. Czekała na każdego, kto przestąpił próg bramy obszaru jej panowania.

Dlaczego nie umarłam? Myślę, że przesuwając się w wyznaczonym mi kierunku, nie doszłam na czas do mety. Albo inaczej: zmierzająca do mnie śmierć nie zdążyła mnie dosięgnąć, choć ocierałam się o nią, jakbym wciąż szła z nią pod rękę, czułam ją raz bliżej, to znów nieco dalej, oddychałam jej zaduchem, jakim przepełnione było powietrze, poznałam ją na wylot. Może przeoczenie? Może jakieś inne moce, niezależne od siły wyroków decydujących o wielu ludzkich losach, kierowały moim życiem?" (*Apostoł-Staniszewska,* 1981).

Profesor Franciszek Ksawery *Walter,* dermatolog i wenerolog, został uwięziony podczas słynnej *Sonderaktion Krakau* i, jak wielu innych, trafił do obozu w Sachsenhausen. W nie opublikowanej książce pt. „Przyjaciel Thanatos. Legenda i prawda o śmierci" snuje bardzo głębokie refleksje na temat śmierci i umierania w obozie koncentracyjnym. Jeden z rozdziałów maszynopisu opublikował „Przegląd Lekarski — Oświęcim" w roku 1977. Z tego trudno już dostępnego zeszytu pochodzą wybrane fragmenty.

„Widmo śmierci nie opuszczało nas ani na chwilę. Przypominano nam ustawicznie nieodwołalne przeznaczenie naszego życia: śmierć. Nie dawano nam ani na chwilę zapomnieć, jaki jest właściwy sens naszego życia w obozie (...).

Pytano mnie, gdy pisałem te wspomnienia, dlaczego piszę o tak smutnym temacie, o śmierci. Są to reminiscencje obozowe, to przymus, który nakazywał myśleć o śmierci w czasie tych długich godzin apelu, w czasie długich nocy, zwłaszcza tych niesłychanie zimnych, kiedy mój współtowarzysz imitacji siennika, poczciwy przyjaciel Silvio, a z nim połowa naszych towarzyszy musieli udawać się na obieranie ziemniaków (...). Sen uciekł i nie można go było przywołać. I wówczas rodziły się myśli, różne myśli (...). Przede wszystkim o śmierci, jako naturalnym kresie naszego życia, o śmierci w postaci skrzydlatego młodzieńca, z pochodnią mojego życia w ręku. Thanatos zgasi mą pochodnię i powiedzie mnie w podziemia, gdzie milczący Charon przeprowadzi mnie ku rzece zapomnienia (...). Żar i płomienie krematorium stopią metal i może przewoźnik każe mi wrócić i być dalej świadkiem i sprawdzianem wynalazków uśmiercania, którymi teutońska krwiożerczość i potworna pseudonauka kończy nasze istnienie doczesne.

Również dzień wzniecał myśli o śmierci. W szeregach więźniów idących na apel niesiono na rękach, na stołkach, wieziono w taczkach lub wleczono na plecach ludzi w agonii, którym przyjaciel Thanatos zamykał już oczy (...). Śmierć przed nami, śmierć wśród nas zmuszała do myślenia o przyszłości kończącej życie każdej żyjącej na tej ziemi istoty. My, lekarze, wyczuwaliśmy chwile, kiedy Thanatos zbliżał się do nas, aby objąć ramieniem i uprowadzić spośród nas wybrańca swego. Nie było dla nas litości, litościwy był tylko on, Thanatos (...). Wiedzieliśmy my, lekarze, badając naszych chorych kolegów, że nie ma odwołania od przeznaczenia (...). Pomoc nasza była bezsilna i nawet bezprzedmiotowa (...).

Śmierć snuła się wśród nas. Thanatos opóźniał czasem swe przybycie i chwile przedzgonne przedłużały się, bo życie tliło się uporczywie (...). Żyliśmy w cieniu śmierci, toteż zżyliśmy się z nią. Była wierną i nieodłączną towarzyszką stu dni spędzonych w obozie. Nieznane nam było, kogo uczyni swym wybrańcem, zjawiała się szybko i niespodziewanie, a wyrozumiała dla ciszy naszego kręgu myśli, porywała wśród nas najlepszego (....). Ale najstraszniejsza jest śmierć zadana ręką człowieka, zbrodniczą ręką torturującego kata, wymysł zbrodniczego mózgu, zwierzęcia-człowieka, wysilający się, aby zgon uczynić najboleśniejszym.

Cóż więc dziwnego, że myślałem ustawicznie o śmierci (...). Jakaż jest ostatnia godzina, w której naturalne przeznaczenie naszego życia wyrywa nas ze słonecznego bytu w wieczne milczenie? Czym jest i jakie jest umieranie? Czym jest ta ostatnia czynność bytu ustroju żywego, kiedy objawy życia, substancja cielesna powoli i stale zanikają, aż znikną zupełnie, albo też gwałtownie i nagle zostaną zahamowane? Jaka jest ostatnia droga uchodzącego z tego świata i co podążający nią odczuwa?

W mojej świadomości spoczywa element niewzruszonej pewności, mojej wieczności; we mnie jest wieczna istota, wieczne życie. Nie przeszkadza mi to, że inni tego nie odczuwają. Zjawiały się te słowa myśliciela [*Sokratesa* — dop. autorów] w mojej podświadomości, rodziła się z zapomnienia pamięć o wiecznym bycie tych, co działali wiele i którzy trwać będą w wieczystej naszej przyszłości, pomimo że od nas odeszli. Oni

nie umarli, umarło tylko ich ciało, zostało ich życie jako zapas sił twórczych na długie lata, chociaż może nie zabliźnione rany po ich utracie długo będą boleć" (Walter, 1977).

W grudniu 1962 roku w pobliżu krematorium nr III w Brzezince znaleziono zakopany w ziemi obok komory gazowej słoik, w którym znajdował się zwój papierów, a w nim notes zapisany ręcznym pismem w języku jidysz. Udało się sporządzić tłumaczenie zachowanych fragmentów tekstu. Jego autor, Zelmen *Lewental*, w roku 1942 pracował przy obsłudze komory gazowej w Brzezince oraz przy dołach, w których palono zwłoki więźniów. A oto niektóre fragmenty zapisków sporządzonych przez tego naocznego świadka obozowego piekła:

„Psychologowie powiadają, że człowiek, który całkowicie się zatracił, który nie ma już żadnych szans ni choćby nadziei, staje się niezdolny do podjęcia nawet najmniejszego czynu, staje się nieomal trupem. Dopóty człowiek jest zdolny do czegokolwiek, ma energię, może ryzykować, dopóki wierzy, że swoim postępowaniem może coś osiągnąć, coś zyskać. I odwrotnie, kiedy traci ostatnią szansę, ostatnią nadzieję, wtedy jest już do niczego (...), zaczyna myśleć o samobójstwie. (...) dali się prowadzić jak cielęta, nawet najsilniejsi i najodważniejsi (...).

Takie uczucia nurtowały każdego z nas. Takie myśli przychodziły do głowy każdemu z nas. Wstydziliśmy się jeden drugiego i nie śmieliśmy sobie spojrzeć w oczy. Z oczami zapuchniętymi z bólu, wstydu, płaczu i lamentowania każdy zaszywał się do kąta, by uniknąć spotkania z innymi (...), przyznaję, że [też] ja sam (...).

Tak dalece zapomnieliśmy się, że żaden z nas nie wiedział, co robi, jak robi i co się z nim w ogóle dzieje. Zatraciliśmy się tak bardzo, że byliśmy jak nieżywi. Popędzani biegliśmy jak automaty, nie wiedząc, dokąd biegniemy, po co i co robimy. Jeden nie oglądał się na drugiego. Wiem, że żaden z nas nie miał pełnej świadomości, nie myślał, nie zastanawiał się. (...), kiedy oprzytomnieliśmy trochę, zobaczyliśmy, kogo wloką do spalenia i co się w ogóle wokół nas dzieje. Wkrótce było już po robocie. Wywleczono już wszystkich ludzi z bunkra gazowego, rzucono na platformę i zawieziono na stos, gdzie płonęli już ludzie zagazowani z wczoraj i przedwczoraj; po robocie, gdy ludzie wróciwszy do siebie do bloków kładli się, by odpocząć, wtedy zaczynała się tragedia. Wszyscy uwierzyli w koszmar, który opowiedziano im wczoraj, że ich najbliżsi i najdrożsi już nie żyją i nigdy już żyć nie będą (...).

Człowiek wmawia sobie samemu, że niby nie idzie mu o własne życie, że nie idzie mu o własną osobę, lecz tylko o dobro ogółu. Chciałby przeżyć dla takiego czy innego powodu, z takiego czy innego względu i w tym celu wynajduje setki wybiegów. A prawda jest taka, że chce się żyć za każdą cenę, pragnie się żyć, bo się żyje, bo cały świat żyje. I wszystko, czego pragnie, wszystko, z czym jest choć trochę związany (...) przede wszystkim związane jest życie, bez życia (...) taka jest czysta prawda".

W posłowiu tej wstrząsającej relacji W. *Bartoszewski* pisze m. in.: „rękopisy znalezione w popiołach obok krematoriów w Brzezince są nie tylko zeznaniem zza grobu i oskarżeniem zbrodniczego systemu, którego funkcjonowanie poznali w szczególnie drastycznej formie autorzy ocalałych dokumentów (...). Są zarazem komentarzem umożliwiającym wnikliwsze spojrzenie na sytuację i wydarzenia, wobec których zawodzi wyobraźnia normalnego człowieka i zdolność moralnej oceny czynów" (*Bezwińska* i *Czech*, 1971).

Patologią wojny zajął się również Amerykanin Robert Jay *Lifton*, poświęcając swą wybitną książkę medycznym problemom osób, które przeżyły wybuch bomby atomowej w Hiroszimie. Swoisty zespół dolegliwości, jaki rozwinął się u tych osób, Japończycy nazwali *hibakusha*, co oznacza w dosłownym tłumaczeniu „osobę rażoną wybuchem" (w terminologii amerykańskiej: atomic bomb survivor). *Lifton* na zakończenie dokonuje porównań tego zespołu z odległymi psychicznymi następstwami stwierdzanymi u byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Podstawowy nurt i zasadniczy wątek łączący oba te zespoły — to przeżycie masowej śmierci i piętno psychiczne, jakie to przeżycie pozostawiło na trwałe w osobowości badanych (*Lifton*, 1967, 1963, 1964).

Obozowe pandemonium przekraczało nieraz możliwości psychofizyczne więźniów. Nim zdołali się oni przystosować do życia w obozie, ginęli lub popełniali samobójstwo. Śmierć samobójcza w obozach była zjawiskiem częstym, zwłaszcza w początkowym okresie pobytu w obozie. Temu rodzajowi śmierci w obozach poświęcono odrębne studium (*Ryn* i *Kłodziński*, 1976). Wynika z niego, że w obozach przeważały samobójstwa dokonane nad usiłowanymi.

Zamach samobójczy podejmowali z reguły więźniowie narażeni na najbardziej dotkliwe i wyrafinowane uciążliwości w życiu obozowym. Najczęściej byli to więźniowie pochodzenia żydowskiego, cudzoziemcy, inteligenci, a także więźniowie w podeszłym wieku. Bezpośrednim powodem samobójstwa były często stany depresyjno-lękowe jako wynik załamania psychicznego oraz różnorodne choroby somatyczne, zagrożenie śmiercią, utrata oparcia emocjonalnego itp. Realia obozowe narzucały niezwykłe i nie spotykane w innych okolicznościach sposoby popełniania samobójstw, w tym także samobójstwa zbiorowe. W wielu wypadkach spełniły one rolę dramatycznego protestu więźniów przeciwko idei obozów i przeciwko funkcjonariuszom obozowym.

METODA I MATERIAŁ

W celu opracowania studium na temat śmierci i umierania w obozach koncentracyjnych autorzy postanowili sięgnąć do oryginalnych i osobistych wypowiedzi byłych więźniów. W tym celu w roku 1976 zwrócono się do 120 byłych więźniów (w tym do 45 kobiet i 75 mężczyzn) ze specjalnie skonstruowaną ankietą z prośbą o swobodną wypowiedź na ten temat, sugerując jednakże niektóre istotne problemy związane z tematem. Wśród osób, do których się zwrócono, przeważali byli więźniowie obozu oświęcimskiego, mieszkający obecnie w południowej części Polski, przeważnie na terenie województw krakowskiego, katowickiego, tarnowskiego, nowosądeckiego i krośnieńskiego. Niektóre osoby mieszkają w Warszawie, Łodzi, Szczecinie, Piotrkowie Trybunalskim.

Większość respondentów w chwili ankietowania znajdowała się w podeszłym wieku, przeciętnie między 55 a 70 rokiem życia. W ciągu półtora roku otrzymano odpowiedź od 56 osób, w tym 18 kobiet i 38 mężczyzn. Na ankietę nie odpowiedziały więc 64 osoby. Różne były tego przyczyny: obiektywne, jak zmiana adresu, zwrot ankiety, śmierć byłego więźnia oraz subiektywne, jak niechęć do podejmowania tego tematu.

Autorzy uświadamiali sobie, że temat śmierci w obozie jest drażliwy i trudny i przewidywali, że dla wielu byłych więźniów może okazać się czynnikiem traumatyzującym. Znalazło to wyraz

w wielu odpowiedziach (liczby w nawiasie po cytatach odnoszą się do spisu respondentów zawartego w aneksie).

„Decydując się na próbę analizy tego trudnego zagadnienia w oparciu o osobiste doznania i spostrzeżenia, nawet nie sądziłam, jak poczuję się bezradna i zagubiona w natłoku myśli, jak poczuję z jednej strony przymus pisania, a z drugiej dziwne opory nie pozwalające na otworzenie dawno zasklepionej rany. Jakżeż tu spojrzeć znowu śmierci w oczy...?" (2).

„Przyznać muszę ze skruchą, że z trudem zmuszam się do snucia tego rodzaju wspomnień i rozważań. Jakoś ciężko powracać mi do tej tematyki, a każdy taki powrót wymaga jakiegoś specjalnego rodzaju wysiłku".

Autor tej wypowiedzi nadesłał wielostronicowe opracowanie, w którym zawarł cenne uogólnienia i refleksje na temat życia i śmierci w obozach (zastrzegł sobie niepodanie swego nazwiska).

O podobnych trudnościach wspominają także inni respondenci.

„... jak trudno dziś odpisać na ankietę pana doktora, to już przeszło 30 lat, ślady pamięci się zacierają, bo w obozie musiało się myśleć o wszystkim. Może nam, prostym ludziom trudniej się na ten temat wypowiedzieć, choć wiemy dobrze, czym był obóz..." (48).

Niektórzy respondenci przesłali ankietę nie do zespołu redakcyjnego „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", lecz imiennie na adres jednego z autorów tego opracowania. W uzasadnieniu czytamy między innymi:

„Celowo nie piszę na adres redakcji, tylko do Ciebie. Temat ten, śmierć w obozie i stosunek do niej, jest tak intymny, że łatwiej mi pisać wprost do Ciebie. Nie trzeba chyba tłumaczyć, dlaczego. Masz moje pełne zaufanie, takie jak ktoś bliski i zrozumiały (...). Tamtych czasów nie da się oddać żadnym słowem. Także spojrzenie szesnastoletniego chłopca, jakim byłem wówczas, a pięćdziesięcioczteroletniego mężczyzny dzisiaj, po trzydziestu kilku latach, musi być zupełnie inne" (38).

„Przepraszam za te luźne uwagi, ale piszę od ręki, nie chcę do tych spraw wracać, one mnie jednak pozbawiają opanowania. Wolałbym, aby nie podawano mojego nazwiska. Ludzie czytają te artykuły, później szukają ze mną rozmów, a ja na to nie mam ochoty. Przepraszam" (17).

Niektórzy respondenci ujawniają swe obecne trudności i problemy, jakie ich dręczą, zwłaszcza kiedy wracają wspomnieniami do przeżyć obozowych.

„Nie mogę Ci dać opisów, nazwisk, dat. Pustka jest w mojej głowie lub tysiące myśli jak burza idą naraz poprzez narządy rejestrujące, nie zostawiając nic. NIC! Wybacz. Czekasz wspomnień, refleksji nad historycznymi faktami, a w miejsce tego masz wyrzucane z wnętrzności myśli nienormalnego człowieka (...). Nie stać mnie na to, czegoś oczekiwał. Dostałeś wypociny marne człowieka, dla którego zamknęła się już przeszłość, teraźniejszość i dla którego nie ma przyszłości. KROPKA! (...) Męczy mnie to wszystko, zrywam kontakty z ludźmi (...). Męczy mnie oglądanie ludzi, ich rozmowy i konieczność konwersacji (...). To nie nasz świat. My go nie rozumiemy! (...). Wybacz mi wszystko złe" (38).

„Rodzi się pytanie, czy podawane szczegóły hitlerowskich bestialstw są do przyjęcia przez dzisiejsze pokolenie, czy opis tych metod nie posłuży kiedyś władcom podobnym *Hitlerowi* do unicestwienia słabszych. Metody opracowane przez hitleryzm są nowym »osiągnięciem« germańskiej cywilizacji XX wieku" (56).

Jak przewidywano, ankieta w niektórych wypadkach wywołała ostrą reakcję ze strony respondentów i sprawiła im zapewne przykrość.

„...zaznaczam, że temat jest drastyczny i niełatwy, a nawet skomplikowany. Po wielu latach zatarły się wspomnienia, a ponadto dotyczy to przeżyć tak osobistych, że nie ocenia się ich obiektywnie" (33).

„Temat razi swą niesamowitością" — pisze jedna z byłych więźniarek (8).

Wśród uwag dotyczących samej ankiety znalazły się jednakże wypowiedzi bardziej zrównoważone, a nawet sugestie i rady skierowane do jej autorów. Spośród tych cytujemy kilka dalszych fragmentów:

„... uważam, że zapiski, wspomnienia, odpowiedzi na różne ankiety, uczestniczenie w konkursach o tematyce obozowej w jakimś stopniu przyczynić się mogą do poszerzenia wiedzy, bez której nie uda się opisać i odzwierciedlić martyrologii pięciu lat" (41).

„Szanownym autorom ankiety o śmierci w obozie radzę skontaktować się z teologiem, skonfrontować z nim swoje opinie, gdyż temat jest trudny i złożony i wymaga wszechstronnego opracowania. Śmierć ma w sobie coś z absolutu, dlatego wymaga podejścia metafizycznego, nadprzyrodzonego" (50).

„Marzeniem każdego z nas, zwłaszcza inteligencji w obozie, było, aby ktoś przeżył, opisał, utrwalił w książkach lub filmach, aby opracowali to naukowcy, aby Niemcy nie spalili obozu, aby powstało muzeum Oświęcimia, znane na całym świecie, aby po wojnie pomagać naszym rodzinom, aby potępić lekarzy niemieckich, którzy dokonywali przeróżnych doświadczeń pseudomedycznych. Ale zmartwienia przed śmiercią mieli wszyscy, kto to opowie i opisze, jak nikt z nas nie dożyje wolności, a nie ma na to nadziei" (4).

Warto dodać, że niektóre wypowiedzi liczą po kilkadziesiąt stron maszynopisu i z powodzeniem mogłyby być opublikowane jako samodzielne prace. W obecnym studium autorzy wykorzystali jedynie część informacji zawartych w ankietach, przewidując możliwość ponownego sięgnięcia do tego źródła w przyszłych, zaplanowanych pracach. Omówienie materiału egzemplifikacyjnego nastąpi jak zwykle w końcowej części, niemniej jednak już teraz warto czytelnika przygotować na spotkanie z wyznaniami najbardziej osobistymi, wstrząsającymi, a przez to najbardziej dramatycznymi, do jakich człowiek bywa zdolny jedynie w sytuacjach skrajnego zagrożenia i desperacji. Bezpośrednie relacje byłych więźniów jak żadne inne źródła wiedzy przenoszą nas w świat obozowego piekła i rysują w wyobraźni ścieżki, po jakich błądziło ludzkie życie, oszukując śmierć.

Wypowiedzi ankietowe poddano szczegółowej analizie i uporządkowano je według nasuwającego się podziału treściowego. W poszczególnych rozdziałach uwzględniono też starannie wyselekcjonowane źródła bibliograficzne, zarówno o charakterze naukowym, jak i wspomnieniowym. Dopiero tak pomyślana i skomponowana całość przybliża w odczuciu autorów czytelnikowi tajemną sferę z pogranicza życia i śmierci w obozach.

Liczby podane w nawiasach po cytatach oznaczają, jak wspomniano, numer relacji autora uwzględnionego w aneksie. Brak takiego numeru oznacza, że dany autor zastrzegł anonimowość. Nazwisko i rok odnoszą się do spisu piśmiennictwa (zawartego w aneksie).

ATMOSFERA ŚMIERCI

W atmosferę śmierci wprowadzał więźniów obozu oświęcimskiego rytuał powitania zaraz po przekroczeniu bramy:

„Jesteście w niemieckim obozie koncentracyjnym. Wejście odbyło się przez główną bramę, na której jest napis *Arbeit macht frei*. Nie miejcie złudzeń i porzućcie wszelkie nadzieje. Wyjście stąd jest tylko jedno: przez komin krematorium. Dla nas nie jesteście ludźmi, tylko kupą gnoju (*Misthaufen*). Rozprawimy się z wami, jak należy, zresztą przekonacie się wkrótce sami. Dla takich jak wy wrogow III Rzeszy my, Niemcy, nie będziemy mieli pobłażania i litości. Z prawdziwą satysfakcją przepuścimy was wszystkich przez ruszta pieców krematoryjnych" (*Paczuła*, 1963).

Takie „powitanie" w obozie oraz otaczająca rzeczywistość i sposoby postępowania z przybywającymi w transportach więźniami wprawiały ich natychmiast w stan lęku i oczekiwania czegoś najgorszego. Był to pierwszy symptom atmosfery śmierci.

„Wyobraźmy sobie — pisał *Kępiński* — że młody człowiek, wychowany w atmosferze i w szkołach międzywojnia, żywiący admirację dla śmierci bohaterskiej, z bronią w ręku, trafił do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, gdzie pozbawienie życia zostało obdarte z nimbu heroizmu, a śmierć przerażała swoją masowością, przypadkowością i ohydą. Śmierć w takim »lagrze« — to stosy trupów, to ludzie ginący w brudzie, w poniżeniu, w skrajnym wyniszczeniu, wśród bicia, przekleństw i ekskrementów. Człowiek w obozie do ostatka wytężał swe siły, by takiej śmierci uniknąć, by przetrwać za wszelką cenę, a życie przedłużyć choćby o kolejną godzinę, jak np. w kompaniach karnych, lub o kolejny dzień. Dążenie to było warunkiem przeżycia; jeśli więzień zamarzył o śmierci, zwykle szybko spełniała się jego tragiczna, desperacka myśl o uwolnieniu się od niewysłowionych cierpień" (*Kępiński* i *Masłowski*, 1972).

W obozie nie było właściwie chwil wytchnienia, zagrożenie życia było czymś stałym, bezustannym, zmuszało więc do nieustannego napięcia i uwagi, powodując u osób bardziej wrażliwych szybkie wyczerpanie i załamanie.

„Należy podkreślić, że czynnikami najbardziej deprymującymi były, zdaniem większości badanych, nie różne codzienne dokuczliwości i braki materialne, lecz cierpienia psychiczno-moralne. Od chwili aresztowania uwięzieni oko w oko stawali z zagrażającą im w każdej chwili śmiercią. Zagrożenie to utrzymywało się przez cały czas pozbawienia wolności (...). Bezustanne obcowanie na co dzień z szalejącą wokół śmiercią, oswojenie się z widokiem zabijanych i torturowanych musiało w końcu doprowadzić nie tylko do stępienia lęku przed śmiercią, ale również do stępienia uczuć altruistycznych. Obawa przed torturami była na ogół większa niż lęk przed śmiercią. To stępienie wywierało niewątpliwie swój dodatni wpływ na adaptację, umożliwiało i ułatwiało ją, stwarzając niejako pancerz ochraniający psychikę więźnia" (*Teutsch*, 1962).

A oto, co na ten temat mówią byli więźniowie, jakie wspomnienie obozowej atmosfery śmierci pozostało w nich do dziś po upływie prawie czterdziestu lat od pobytu w obozie:

„Zagrożenie własnego życia w Oświęcimiu było na co dzień, bo nigdy nie było wiadomo, co nas spotka po powrocie z pracy (...). Często organizowane były ucieczki, więc po każdej z nich poszczególne komanda były dziesiątkowane i tu drżało się o własne życie, czy przypadnie na mnie liczba 10, czy mnie ominie, to było straszne, więc śmierć była z nami na co dzień. Komanda, z których uciekli więźniowie, często były niszczone do zera" (49).

„Atmosfera mordu i śmierci tak dalece przeniknęła więźniarską społeczność, że więzień po dwóch do trzech miesiącach pobytu w obozie zupełnie się z nią oswajał i był zawsze na śmierć przygotowany. Atmosfera ta znajdowała również swoje odzwierciedlenie w potocznym lagrowym języku więźniarskim, w wypowiadanych przez więźniów z największym spokojem takich myśli, jak: »wzięli go« lub »poszedł na rozwałkę«, »został rozbity«, »dostał szpilę«, »wyleciał kominem«, »kolega *Himmelkommando* was czeka«" (46).

„Oswajanie się ze śmiercią było udziałem osób odpornych na to i również maltretowanych. Każdego dnia bowiem, w nocy, na każdym miejscu śmierć mogła spotkać i spotykała wielu z nas. Okres kwarantanny już nas napawał strachem, wprost lękiem przed niespodziewaną śmiercią, z którejkolwiek strony, w jakichkolwiek okolicznościach, z jakiejkolwiek przyczyny, a przeważnie bez żadnej przyczyny. Esesman czy inny funkcyjny tak sobie, dla fantazji uśmiercał człowieka — więźnia, który dla niego nie stanowił absolutnie żadnej wartości" (36).

Atmosferę śmierci stwarzały przede wszystkim brutalne i nieludzkie sposoby traktowania więźniów.

„Powszechnym i uznanym sposobem postępowania z więźniami było bicie i kopanie. Bito za to, że szedł zbyt wolno lub zbyt szybko; bito i kopano, bo krzywo był przyszyty winkiel czy guzik lub brakło guzika; bito i kopano za wszy, chociaż wiedziano o tym, że ma je każdy; bito i kopano za zabrudzoną odzież czy trepy; bito i kopano za jeden krok w rabaty trawników przy blokach; bito i kopano, ponieważ więzień nie umiał się zameldować po niemiecku, nie umiał śpiewać niemieckich piosenek lub źle zdjął czapkę albo zapomniał stanąć na baczność; bito i kopano na blokach; na ulicy obozowej, przy pracy, wszędzie; bito za przewinienie lub bez, bito często dla zabawy. Kto mógł wiedzieć, czy któreś z tych uderzeń lub kopniaków nie będzie ostatnim, dobijającym człowieka na śmierć. Tak zginęło wielu więźniow (...). Wracając z pracy do obozu, niesiono ich na końcu komanda roboczego. Kolebały się głowy zabitych w takt marszu" (35).

„Trzeba stwierdzić, że hitlerowskie obozy koncentracyjne były zaplanowanymi, drobiazgowo przemyślanymi i doskonale zorganizowanymi ośrodkami masowego wyniszczania ludzi, których chciano się pozbyć czy to ze względów ideologicznych (Żydzi), czy politycznych (komuniści i działacze wszelkich ośrodków opozycji), czy dla uwolnienia szerokich obszarów przyszłej przestrzeni życiowej przeznaczonej dla Niemców (Polacy, Rosjanie).

(...) Już w pierwszej kolejności, bez żadnych powodów, wywożono masowo do obozów inteligencję polską i tych, którzy mogli grać role przywódców na jakimkolwiek szczeblu życia naukowego czy kulturalnego, czy też politycznego lub społecznego (...). Chodziło wyraźnie o wyniszczenie przede wszystkim wszelkiego elementu narodowo aktywnego (...). Wywożono wreszcie do obozów ludzi z ulicznych łapanek tylko dlatego, żeby możliwie do minimum zmniejszyć liczebność narodu polskiego. Reszta miała stanowić służebno-roboczą siłę w niemieckich zakładach pracy i w niemieckich gospodarstwach rolnych — na naszej polskiej ziemi.

Tak więc obozy koncentracyjne były zupełnie świadomie zaplanowanymi ośrodkami zagłady skazanych na wyniszczenie przez hitlerowców pewnych grup rasowych, politycznych, narodowościowych, społecznych, a nawet religijnych" (35).

„Od pierwszych chwil naszego pobytu w obozie towarzyszyła nam śmierć. Śmierć była wszędzie, zabijano wszędzie: w bloku, w klozetach, spychano więźniarki do rowu z odchodami, tam się topiły, zabijano w czasie ustawiania na apel, w czasie apelu, kiedy któraś nie mogła ustać na nogach, w drodze do pracy, w czasie pracy, podczas powrotu do lagru, w czasie maszerowania przez bramę obozu. Człowiek jako jednostka nie znaczył nic, nawet tłumnie (...). Najdłuższy był proces palenia Żydów, przez trzy doby bez przerwy, kiedy nie nadążały krematoria, palono w dołach specjalnie na ten cel przygotowanych, tam palono żydowskie dzieci, wrzucając je po prostu w ogień. Najczęściej zabijano kijami, nogami przez kopanie, tratowanie leżącego na ziemi więźnia, najpierw, żeby wstał, a potem dla samej przyjemności zabicia, szczuto psami, które zagryzały więźniów. A sceny te rozgrywały się publicznie, na oczach innych więźniarek, patrzyłyśmy na to, od rana do nocy codziennie, a my nic. Bierni świadkowie rozgrywającej się scenerii śmierci. Stałyśmy sparaliżowane lękiem, przerażeniem, przepełnione bólem, żalem, najrzadziej buntem (...). Ja od pierwszych chwil pobytu w gestapo buntowałam się, nawet przeciwko Bogu, a tu, patrząc na te przerażające sceny, stałam sparaliżowana strachem

i przerażeniem, że coś takiego może się dziać. (...). Żadna z nas nie oponowała, nie broniła padających na ziemię więźniarek, każda pilnowała się, żeby stać równo w czasie apelu" (44).

„Nie inaczej, a nawet jeszcze bardziej makabrycznie wyglądała fabryka śmierci w *Birkenau*. Gdyśmy tam przybyli 13 sierpnia 1942 roku (orkiestra), nawet nam, starym *häftlingom*, zrzedły miny. Obóz — to było cuchnące gnojem ludzkim i trupami rozległe pole lagrowe, na którym leżeli bądź umarli, bądź konający ludzie, raczej ich widma składające się ze skóry i kości. A przy nich krążyły ludzkie hieny, łase na okruchy chleba lub łachmany (...). Nawet orkiestranci, kiedy przemaszerowywało *sonderkomando*, rzygali w trąby. A najgorsze było to, że na bloku przedzielonym ścianką, po jednej stronie stała orkiestra, po drugiej żydowskie *sonderkomando*. Zaklejaliśmy szpary w ściance papierem, by uniknąć smrodu, ale to nie pomagało. Do tego w każdy szabes śpiewali oni swoje beznadziejne majufesy, w których brzmiała tak rozpaczliwa skarga, że nie mogliśmy spokojnie odetchnąć. Takiego śpiewu chyba nawet w tartarze homeryckim nie było. Ludzie ci wiedzieli, że ich dni są policzone, bo co kilka tygodni takie komando wykańczano, a na ich miejsce przychodzili nowi męczennicy (...). Kobiety, zwłaszcza francuskie Żydówki, były najmniej odporne na te warunki. Toteż śmiertelność na ich blokach była największa. Dymiły ogniska na polach *Birkenau*, bo krematoriów jeszcze wtedy nie było, dopiero je budowano. Żałosna taka śmierć i więcej niż tragiczna, bo anonimowa i obrzydliwa" (43).

„Zostałem wyselekcjonowany wraz z grupą kilkudziesięciu kolegów, poddano nas oględzinom lekarskim, odizolowano w specjalnym bloku. Zaszczepiono nas; jak się okazało, były to doświadczenia medyczne. Wielu kolegów z tej grupy nie wytrzymało bolesnych zastrzyków i zmarło. Majacząc w gorączce, to znów chwilami powracając do świadomości, rozmyślałem nad losem więźnia obozowego (...); zostać wykończonym na samym początku pobytu w obozie przez zaszczepienie mi malarii...

Gdy się zetknąłem w Oświęcimiu z zagrożeniem śmierci, zdawało mi się, że byłem spokojny i pogodziłem się już z losem i nadchodzącą do mnie nieubłaganą śmiercią. To wszystko jednak tylko pozornie, ale w gruncie rzeczy było inaczej, nasuwały mi się myśli z młodzieńczych lat, tęsknota, żal za owymi latami, odczuwałem pragnienie powrotu choć na chwilę w swe rodzinne strony przed przyjściem śmierci, jednym słowem — chciałem żyć.

Skutki przeżyć, jakich doznałem w czasie przeprowadzonych eksperymentów, pozostawiły we mnie pewnego rodzaju lęk, strach, obawę przed powołaniem mnie ponownie na rewir w celu prowadzenia dalszych doświadczeń. Dlatego też postanowiłem za wszelką cenę wydostać się do jakiegoś komanda poza macierzystym obozem" (41).

„Wierzyłem święcie, że każdy dzień borykania się z twardym losem przybliżał nieuchronnie ostateczny dzień zwycięstwa i wolności. Gdy tak porównuję masowość śmierci obozowej w Oświęcimiu z takim np. Leonbergiem, śmierć oświęcimska wydaje mi się jakaś bardziej perfidna i przemyślana, choć olbrzymia, ciągła, to jednak nie za bardzo rzucająca się w oczy, jakby niewidoczna, skryta... Oświęcim pod tym względem był machiną śmierci na uboczu. Gdzie indziej niemal każdą pojedynczą śmierć oglądało się naocznie. Nagą prawdę oświęcimskiej śmierci oglądały z bliska sonderkomanda, których istnienie trwało przeważnie pół roku i to w najbardziej sprzyjających warunkach... Całe komanda znikały pewnego dnia razem z uśmiercanymi (...). Trudno dziś powiedzieć, w którym z tych obozów naprawdę było się bliżej własnej śmierci... Na pewno różnicy żadnej nie było!" (14).

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zachował się dokument niezwykłej wagi. Jest to przemówienie profesora Włodzimierza *Ławkowicza*, wygłoszone w obozie w Mauthausen w dniu 23 marca 1945 roku w związku ze śmiercią dr. Jerzego *Gromkowskiego* — „Grzeli", również więźnia tego obozu. Prof. *Ławkowicz* analizuje w nim różnice między śmiercią żołnierza walczącego, chlubną i nieraz bohaterską, a śmiercią więźnia, szarą, beznadziejną i rozpaczliwą. Oto fragment tego tekstu, zachowanego przez współtowarzysza niedoli obozowej, Kazimierza *Rusinka:*

„My, siedzący w obozach koncentracyjnych, jesteśmy ludźmi, którym śmierć stale towarzyszy. Umierali koło nas i przy nas ludzie nam bliscy, umierają setkami, tysiącami ludzie nam może dalecy i obcy, ale równocześnie komuś także bliscy i drodzy, komuś znani, przez kogoś cenieni i kochani. Umierają tysiącami ludzie miażdżeni trybami potwornej machiny wyniszczenia, bierne, może przypadkowe ofiary toczącej się wielkiej walki. Umierają inni, równie bezsilni wobec przemocy, ale umierają świadomie jako tej walki uczestnicy, bezbronni, ale do końca w nieustępliwej walce. Mógłby ktoś powiedzieć, że ci giną śmiercią żołnierską. Nie. Jakże inna jest śmierć żołnierza w ogniu walki, jakże inna jest śmierć świadomego więźnia politycznego przez długie miesiące i lata trzymanego w otępiającym, bezdusznym więzieniu przetrzymywania, przeżywania martwego dnia za martwym dniem. O ileż więcej niż żołnierz walczący wśród wrzawy boju, czerpiący swój zapał bojowy także z całej otaczającej go zewnętrzności, o ileż więcej prawdziwego, z wewnątrz z siebie rozżarzonego ducha walki musi mieć polityczny więzień, ażeby poprzez całe otaczające otępienie, szarość, ciszę nieraz prawie śmiertelną, beznadziejność nieraz prawie rozpaczliwą, trwać stale w walce; każdy najbardziej szary, monotonny dzień obozu, dzień powolnego konania, dzień bezsilnego patrzenia na śmierć innych, ażeby każdy taki dzień był dla niego trudnym dniem walki z całą zewnętrznością, z beznadziejnością, z szarością, ażeby poprzez wszystkie takie dni umieć maszerować jak żołnierz, wiedząc o tym, że jeśli przyjdzie wcześniej wśród tych dni beznadziejnych umierać, to idzie ku tej śmierci żołnierz, a umiera bezbronny męczennik. Taka śmierć — nie spełnionej walki — jest może najtrudniejsza. Taką trudną, najtrudniejszą śmiercią żołnierza chcącego walczyć, a skazanego na bezbronne męczeństwo, umierają w więzieniach i obozach koncentracyjnych wszyscy do końca nieustępliwi i do końca nie pokonani bojownicy swoich idei. Do końca nie pokonani wtedy, gdy ich walkę toczą dalej inni, gdy ich ciężar biorą na swoje barki żyjący. Taką śmiercią umarł mój przyjaciel" (*Ławkowicz*, 1945).

Atmosferę śmierci w obozie — obok uciążliwości fizycznych — cechował przede wszystkim „nieustanny, wieczny, wszechobecny s t r a c h, jeden z całkowicie rozmyślnych, zamierzonych elementów systemu, który rodził się z potrzeby terroru" (*Kamiński* 1964, s. 230). Słusznie zwrócił uwagę *Kajzer* (1962, s. 44), że strach przed uderzeniem był gorszy od samego uderzenia, podobnie jak uderzenie w twarz może pozostawić trwalszy ślad w psychice człowieka niż jego uraz fizyczny.

Podsumowując ten rozdział o atmosferze śmierci w obozach, warto przytoczyć jeszcze następującą opinię: „W hitlerowskim obozie koncentracyjnym same warunki życia zabijały niezliczonych więźniów, którzy zmarli »śmiercią naturalną« bez jakiejkolwiek ingerencji bezpośredniej przemocy. Więźniowi brakowało właściwie stale w s z y s t k i e g o" (*Kamiński*, 1964, s. 226).

METODY EKSTERMINACJI WIĘŹNIÓW

W rozdziale tym zestawiono relacje byłych więźniów mówiące o sposobach zabijania, masowego lub indywidualnego, pośredniego lub bezpośredniego, z uwzględnieniem subiektywnych ocen oraz stanów emocjonalnych, jakie przeżyli więźniowie — naoczni świadkowie tych zbrodni. Celem tego zestawienia jest ukazanie nieprawdopodobnego wyrafinowania metod zabijania w obozie i ich wpływu na psychikę więźniów.

„W obozie były jakby dwa rodzaje śmierci. Jeden, ten najgorszy — to powolne konanie jako wynik stoso-

wanej metody wyniszczenia, wyzbywanie się sił, choroba, biegunka, infekcja i śmierć z wycieńczenia. Pomocnym mógł być kapo, esesman, często zmienna pogoda, niekiedy stosunkowo rzadko — samobójstwo, pójście na druty (...). Nastrój ludzi w oczekiwaniu śmierci — to bezsilność, rozpacz, a najczęściej obojętność, rzadko paniczny strach. Nie widziałem u nich nawet chęci obrony, bo jej nie było, a często nie było i chęci do życia. W momencie, kiedy »zrezygnowałem«, nie było już możliwości obrony. Musiało się popaść w stan pewnej rezygnacji. Wtedy rzadko myślałem o śmierci, nie robiłem też planów na przyszłość, natomiast przeżywałem czas przeszły we wspomnieniach (...).

Liczyłem się raczej z drugim rodzajem śmierci: ze śmiercią nagłą, skazany na śmierć, rozstrzelany, powieszony itp., zagazowany. To był inny rodzaj śmierci i inaczej był przeżywany przez skazanych. To była śmierć jakby zasłużona; »powiedz matce, powiedz żonie, narzeczonej, że się w jej obliczu właściwie zachowałem«. Tak umierali rozstrzeliwani na bloku jedenastym. Siedziałem krótko w bunkrze, w pobliżu Genka *Obojskiego*, męczeni prosili o śmierć, skazani i oczekujący na wykonanie wyroku milczeli, nie było już innej nadziei. Spokojnie słuchałem przez zabite okna od strony podwórka strzałów spod ściany śmierci. Myślałem, żeby to się już raz skończyło. Tę tolerancję dla śmierci miałem jeszcze przez kilka lat po wojnie, później pokochałem życie i myśl o śmierci czekającej mnie nie jest mi już obojętna" (17).

Jak wspomniano, same warunki w obozie były pomyślane w ten sposób, by w krótkim czasie doprowadzić do śmierci więźniów, nawet bez bezpośredniego i aktywnego działania funkcyjnych. Oto jak przedstawia te warunki jeden z więźniów:

„1. Więzień musiał pracować i to niejednokrotnie bardzo ciężko, aby Niemcom oddać to, co mu jeszcze pozostało, swoje siły i zdolności. 2. Równocześnie warunki wyżywieniowe były tak dalece niedostateczne, że z góry zakładano śmierć więźnia po pewnym czasie (...). 3. Złe warunki wyżywieniowe powodowały u każdego przybyłego więźnia złośliwą biegunkę, w warunkach obozowych trudną do opanowania. Wielu nie przetrzymywało już tej pierwszej próby obozowego życia (...). 4. Niemałą rolę w wykańczaniu więźniów spełniał brak elementarnych warunków higienicznych, jak brak bielizny i brak kąpieli, pośpiech przy myciu i wycieraniu się jednym ręcznikiem przez wielu więźniów. Konsekwencją tego był powszechny świerzb, zawszenie i epidemie tyfusu, przechodzące fala za falą i dziesiątkujące więźniów. 5. W wykańczaniu więźniów dopomagały też warunki mieszkaniowe na blokach. Było niejednokrotnie tak ciasno, że wręcz nie można było spać... Odnosiło się to zwłaszcza do tzw. bloków zugangowych (...). 6. Porządek w obozie na blokach — szczególnie w Dachau — był tak perfidnie drobiazgowy i tak przemyślany, by blokowym, sztubowym i esesmanom dawał wprost nieograniczone możliwości bicia, kopania, szykanowania i poniżania więźniów we wszelki możliwy sposób. Niejeden więzień zginął z tego powodu. Bardzo wielu traciło siły i łamało się" (35).

Do śmierci z wycieńczenia i wychłodzenia doprowadzały warunki atmosferyczne i klimatyczne, zwłaszcza w obozie oświęcimskim. Sposób organizowania apeli, zwłaszcza karnych, miał jeden cel: doprowadzić do fizycznego i psychicznego wycieńczenia organizmu.

„Gdy śniegi i zawieje uniemożliwiały pracę poza obozem, więźniowie nie byli wpuszczani do bloków. W takie dni z powodu zawiei nie wychodziliśmy do roboty, spacerowaliśmy w kolumnie po placu apelowym. Nazywam to spacerem, bo w istocie był to bardzo wolny pochód wokół placu apelowego, pomyślany jako zamarzanie więźniów. Nikt z dozorujących nas kapów nie bronił wówczas odpoczywać. Można było nawet usiąść na śniegu. Oczywiście kończyło się to zamarznięciem. Przestrzegaliśmy się wzajemnie przed takim odpoczynkiem, ale zobojętnienie wielu więźniów było tak duże, że nie słuchali przestróg, siadali na śniegu, by już nigdy nie powstać. Chociaż sam nigdy nie próbowałem siadać, tupałem w czasie marszu nogami i wytrwale wykonywałem rękami charakterystyczne rozgrzewające ruchy, odczuwałem powolne zamarzanie. Wyglądało to tak, że w pewnej chwili przestawało mi być zimno, przychodziło uczucie senności tak duże, że miało się chęć ułożenia do snu nawet na śniegu, który wówczas wydawał się przytulny. Gorąca zupa na obiad ożywiała krążenie, a po obiadowej przerwie zaczynało się znowu powolne zamarzanie. Na nasze szczęście takich dni, kiedy nie wychodziło się do roboty, nie było zbyt dużo" (56).

Nieraz śmierć przychodziła nocą, we śnie, była to „cicha śmierć".

„Pewnego dnia na zugangowym 9. bloku obudziłem się rano i stwierdziłem, że mój towarzysz, starszy wiekiem więzień, z którym spałem pod jednym kocem, jest martwy. Chociaż rozmawialiśmy ze sobą, dzisiaj nie pamiętam, kim on był. Nie skarżył się na nic. Zmarł tak spokojnie i cicho, że nie wiedziałem, kiedy to się mogło stać" (35).

„Śmierć przychodziła czasem niespodziewanie. Spał ze mną na legowisku kolega K., kierownik szkoły. Powoli jadł otrzymany kawałek chleba. Smutnie patrzył w dal. O świcie blokowy kołkiem budził śpiących. Zerwałem się, ale mój sąsiad nie wstał. Już nie żył. Umarł cicho, samotny, mimo tylu towarzyszy w baraku. Ta śmierć znów była dla mnie ostrzeżeniem, że można tak niepostrzeżenie skończyć życie. Ta pozornie normalna śmierć, cicha śmierć, wstrząsnęła mną" (56).

Funkcjonariusze obozowi stosowali cały szereg metod psychicznego wyniszczania więźniów, wiele sposobów doprowadzających do łamania w nich oporu, wiary w przetrwanie, pozbawiania ich wszelkiej nadziei na przetrwanie obozu.

„Więźniowie, bici, kopani, poniżani, zagonieni i zagrożeni, żyli w atmosferze mordu dokonywanego codziennie na tysiącach niewinnych ludzi, w atmosferze cuchnących dymów spalanych dzień i noc ofiar. Wszystko to było okropnym obciążeniem psychicznym, niezrozumiałym dla kogoś, kto tam nie był i sam tego nie przeżywał.

Tak więc nie tylko głód, praca, bicie i kopanie, poniżanie, choroby i epidemie, ustawiczne zagrożenie własnego życia, ale i to straszliwe obciążenie psychiczne codziennej atmosfery bezkarnego mordu na tysiącach niewinnych ludzi łamały więźniow, odbierały im wszelką nadzieję i wszelkie siły do walki o przetrwanie. Wielu szło na druty wysokiego napięcia i popełniało samobójstwo. Ilekroć nocą słyszałem strzały, modliłem się za konających, nieszczęśliwych ludzi, których przeżywanie ustawicznego zagrożenia mordu przekraczało granice wytrzymałości psychicznej. (...)

Czynnikiem wyniszczającym więźniów był sposób postępowania z nimi i cały system kar i represji. Chodziło o to, by złamać w więźniach nawet myśl o niezależności, o sprzeciwie, buncie. Toteż obmyślono sposoby wypranie człowieka ze wszystkiego, co ludzkie, by stał się w pełni posłusznym, zupełnie sterroryzowanym, jakby żyjącym automatem.

Więzień (...) przebywał na blokach, na których panowała wzmożona dyscyplina: ciągłe bicie i kopanie więźniów, ustawiczne przekleństwa i ohydne wyrażenia, poniżanie i przezwiska, stały krzyk i okropna ciasnota. Napływ coraz to nowych więźniów, stale nowe twarze i nieznani ludzie. Nie stanowiło to warunków do nawiązywania przyjaźni. W tym piekle człowiek czuł się samotny, opuszczony, zagubiony, zastraszony, ustawicznie zagrożony i zupełnie bezsilny. (...) Ludzie starsi i słabi nie wytrzymywali tego i ginęli bardzo często już na bloku zugangowym" (35).

Jak wspomniano, wystarczyło na krótko stracić wiarę w możliwość przetrwania obozu, a śmierć przychodziła jakby nie zauważona.

„Halina *Zwolińska* przybyła do obozu z przekonaniem, że go nie przeżyje. Nie słuchała rad, obojętnie przyjmowała dobre słowo czy drobną pomoc. Nie zdobyła się na żaden wysiłek w celu samoobrony. Uśmiechała się ze smutnym pobłażaniem, patrząc na nasze wysiłki, by

np. wysuszyć przemoknięty pasiak. Młoda i dorodna, umarła wkrótce".

„Śmierć w obozach była czymś tak codziennym, że powiedzenie, iż śmierci było więcej niż chleba, nie jest metaforą. Poza śmiercią od szpili z fenolem, poza śmiercią zadawaną strzałem z pistoletu z tłumikiem, poza śmiercią na szubienicy, poza śmiercią w komorach gazowych, poza śmiercią na skutek odbicia nerek w czasie dochodzeń, poza śmiercią w bunkrze, poza śmiercią na skutek skopania buciorami *Kaduka*, istniała śmierć na skutek głodowego wycieńczenia organizmu, śmierć na skutek tyfusu, śmierć na skutek biegunki, śmierć na skutek całego asortymentu chorób zakaźnych, istniała wreszcie śmierć w wyniku psychologicznego wyniszczenia, przy czym ta ostatnia żniwo swoje zbiera po dzień dzisiejszy i nie będę daleki od prawdy, jeżeli powiem, że jak długo będą więźniowie hitlerowskich obozów, tak długo śmierć żniwowała będzie ich posiew" (13).

Szczególnie silnym wstrząsem psychicznym dla więźniów było przymusowe asystowanie w publicznych egzekucjach na więźniach, którzy „podpadli", usiłowali stawiać opór i zachowywali się agresywnie wobec funkcyjnych, czy też — co było regułą — na osobach, które usiłowały zbiec z obozu.

„Dokonano ucieczki, wzięło w niej udział około 40 więźniów. Na drugi dzień cały ten transport ustawiono na podworku karnej kompanii, więźniom powiązano ręce w tyle drutem kolczastym i kompania z psami doprowadziła ich do gazu. Z izby chorych przyniesiono ośmiu kolegów tyfusników i położono ich na ziemi na podwórzu. Z bloku wywołano nas czterech, w tym i mnie, i teraz, we dwoch, musieliśmy brać chorego i przytrzymać w pozycji siedzącej, a *Mohl* podchodził od tyłu i strzelał w potylicę. Co za straszna rzecz i okropne uczucie grać pachołka kata przy zabijaniu kolegi, półprzytomnego i niewinnego..."

„W zbiorowej śmierci uczestniczyłam w styczniu 1945 roku w obozie w Oświęcimiu, w czasie egzekucji dwóch młodych Żydówek. Po apelu musiałyśmy pozostać. Ku rusztowaniu prowadzono dwie bardzo młode Żydówki. Szły spokojnie, bez oporu, jakby we śnie. Weszły po trzech stopniach na rusztowanie, weszły na taboret, pozwoliły sobie założyć pętlę na szyję, Żyd-więzień wytrącił im taboret spod nóg i zawisły; to straszne, po prostu zawisły. Jeszcze parę minut temu żyły, ruszały się; jedna sekunda i po wszystkim. Wisiały z głową przechyloną na bok. Ogólny szloch rozszedł się wśród zebranych więźniarek (...). Bezpośrednio po egzekucji, po prostu dla kontrastu, zapędzono nas do bloku, w którym było esesmańskie kino. Tam wyświetlono nam dwa niemieckie filmy pod tytułem »Pingwin« i »Dwie siostry«. Byłam oszołomiona tym, co stało się przed chwilą, jak i tym, że po przeszło dwóch latach oglądam film o miłości. Koszmar".

„Szczególnie mocno przeżyłem (...) pokazową egzekucję przez powieszenie 22-letniego chłopca z Krakowa, z którym pracowałem w tym samym komandzie. Został on powieszony na placu apelowym za ucieczkę z obozu, w czasie której został ujęty. Na miejsce egzekucji spędzono wszystkich więźniów podobozu. Delikwent po wstąpieniu na szafot wykrzyknął: »Niech żyje Polska, chłopcy trzymajcie się!«. Najbardziej przerażające było to, że aż dwadzieścia minut upłynęło, zanim przestał dawać oznaki życia, męczył się potwornie. Ten akt mordu przeżywałem tym mocniej, że sam dwukrotnie przeszedłem torturę wieszania w celu wymuszenia zeznań. Za każdym razem zdjęto mi stryczek z szyi, zanim straciłem przytomność" (1).

„W końcu lutego 1945 roku do »Dory« przyjechał generał *SS* z masą esesowców i gestapowców i na specjalnej odprawie oświadczył, że popełniono sabotaż i V2 nie zdały egzaminu na wyrzutniach. O sabotaż posądzeni byli więźniowie i jeńcy ruscy. Wydany został rozkaz, aby za najmniejsze uchybienie w pracy rozstrzeliwać więźniów na miejscu. Dla przykładu pewnego dnia wywleczono z bunkra wszystkich więźniów, jak również z baraku i na wszystkich kilkudziesięciu dokonano masowej egzekucji na oczach wszystkich więźniów obozu. Nocą wybierano z baraków więźniów i wieszano ich zbiorowo na drągach w głównych tunelach. Na jednym drągu wisiało po 12 więźniow, pod drągiem przechodziliśmy do pracy. Jednorazowo wieszano 40—48 więźniów. Był to straszny widok i przygnębiający" (25).

Przytoczone dalsze relacje wskazują na zupełnie niezwykłe i wyszukane sposoby znęcania się nad więźniami i doprowadzania do ich śmierci. Świadczą one o dużym nasileniu moralnego zwyrodnienia funkcyjnych obozowych, a nawet o ich skłonnościach sadystycznych:

„Więźniowie ginęli przede wszystkim z głodu. Po prostu z braku odpowiedniej ilości kalorii, z wycieńczenia. Umierali, bici i masakrowani przez esesmanów-kapów, a czasem i Polaków. Rozstrzeliwani pojedynczo i grupowo, zagazowani. Zastrzeleni podczas próby ucieczki. Umierali, popełniając samobójstwo przez rzucenie się na druty. Ginęli na skutek różnych chorób, a przede wszystkim z braku lekarstw i odpowiedniej opieki. Umierali pierwsi ci, którzy załamywali się psychicznie. Już w pierwszych dniach pobytu mojego w obozie jeden ze współwięźniów biegał między nami roztrzęsiony i zastraszony z powodu zgubienia karteczki, na której miał wypisany swój numer obozowy (...). Za zgubienie numeru więzień ten został tak pobity, że w ciągu kilku tygodni pozostał z niego tylko cień człowieka (...). Wspominam to dlatego, że jeśli już na początku pobytu w obozie więzień załamał się psychicznie, to niewielka była nadzieja na przeżycie obozu.

Pierwszym zmarłym, którego zobaczyłem na mojej sali, był starszy więzień. Wyczerpany pracą, położył się na podłodze, na sienniku. Rano leżał już nieżywy. Można by powiedzieć, że miał spokojną śmierć. Takie przypadki śmierci w następnych dniach zdarzały się częściej (...). Widziałem też zabitych podczas ucieczki. Takich zastrzelonych Niemcy kładli na deskach przy bramie głównej. Przy zabitych ustawiali tabliczki z napisem: »chcieli uciekać«. Miały one nas ostrzegać przed ucieczką z obozu" (23).

„Pod koniec kwietnia 1941 roku zostałem odkomenderowany do budowy dróg w samym obozie oświęcimskim. Któregoś dnia zostałem zawołany na blok 14, gdzie było kilku esesmanów i około 20 nowo przybyłych Żydów. Musiałem wytyczyć odcinek drogi, wydać im oskardy, łopaty i taczki, żeby kopali koryto i wywozili ziemię (...). Po jakimś czasie przyszedłem zobaczyć, jak nowi koledzy pracują. Kilku pokrwawionych leżało już na ziemi, a esesmani bili ich gdzie popadło stylami łopat (...). Esesmani wybrali pięciu kolegów, kazali im się położyć na ziemi, kolano jednej nogi zeprzeć na krawężniku, a stopę położyć na ziemi. Przy każdym z nich stanął jeden esesman i na dany znak wszyscy wskoczyli oboma nogami na podudzie nogi więźnia położonej na krawężniku. Straszny krzyk i trzask łamanych kości nóg powstał. Ale esesmani się śmiali i dalej katowali resztę tych ludzi. Nie mogłem znieść tych jęków i tego strasznego widoku, odszedłem do swojego komanda. Kiedy przed południem ponownie poszedłem na to straszne miejsce zobaczyć, to esesmanów już nie było, żaden więzień nie pracował, a dwudziestu kolegów trupow i półtrupów leżało we krwi. Takich wypadków, ale nie tak strasznych, było więcej, zawsze zostawały trupy (...).

Kiedy raz popadało, to droga dojazdowa do naszego bloku i podworze były zalane kałużami. Wtedy esesman po apelu wziął całą karną kompanię i zmusił nas do położenia się na ziemi i kulania się tak długo, aż woda z kałuż wsiąkła w nasze ubrania. Po zakończeniu musieliśmy rozebrać się do naga i biegać tam i z powrotem po podwórzu, aż do spocenia się. Wtedy kapowie wyszukali trzech więźniów, wsadzili ich pod krany i puścili im wodę na głowy i tak długo stali, aż dostali jakichś ataków, poupadali i w nocy zmarli.

Dalej, ci kapowie dyskutowali, jak najłatwiej zabić więźnia. Wtedy kapo *Getinger*, zielony, wziął styl od oskarda, jednemu z więźniów rozkazał przysiąść i pochylić głowę do przodu, a następnie tym stylem uderzył go w potylicę. Więzień upadł, a szyja momentalnie nabrzmiała na kilka centymetrów. Koledzy zanieśli go na blok, gdzie zmarł. Natomiast kapo *Bagiński* wyszukał takiego silnego i grubego Żyda, kazał mu zdjąć pasek od spodni i założyć go jako pętlę na szyi i położył go na ziemi. Kapo wziął koniec paska do ręki, a nogą naciskał na pętlę. Denat wywijał nogami i rękami, a kiedy ustawał, to kapo luzował pętlę i dosyć długo się tak

bawił. Kiedy widział, że więzień jest już mocno osłabiony, zawołał kilku kolegów, założył mu powróz na nogi i powiesili go za nogi na krokwi od dachu. Więzień w nocy zmarł" (20).

Najmniejsze szanse przeżycia obozu mieli Żydzi, niezależnie od swej narodowości. To głównie w celu m. in. ich zniszczenia powstały obozy zagłady. Nic dziwnego, że właśnie wobec nich stosowano szczególnie wyrafinowane metody eksterminacji: Świadczy o tym poniższa relacja, pochodząca z obozu w Gusen:

„Specjalną grozę i udrękę budziła grupa Żydów — *dreckträgerów*. W drewnianych, przeciekających paczkach wynosili oni odchody ludzkie z obozu, głównie z rewiru szpitalnego, do dołu po wybranym żwirze, oddalonym od baraków o kilkaset metrów. Ludzie ci byli w karnej kompanii. Kapo stale poganiał ich grubym kijem lub pałką, by szybciej przebiegali między barakami. Ludzie ci mieli poprzetrącane nosy, oderwane uszy, wybite zęby, czaszka u wielu świeciła zaschniętą krwią po zdarciu płatów skóry. Dłonie, palce zakrwawione, ubranie w strzępach i ciało oblane kałem. Obrazy te przypominały skrwawionego Chrystusa idącego na Golgotę. Potworność znęcania się nad człowiekiem osiągnęła tu swoje apogeum. Jednak na wieczorny apel grupa ta musiała się stawić względnie czysta, nie cuchnąca. Widziałem z bliska scenę kąpania tych ludzi w głębokim dole po wybranym żwirze. Pod kontrolą esesmanów funkcyjni wrzucali nieszczęsnych do tej wody, obserwując reakcje topiących się. Śmiech i dowcipy oprawców z walczących o życie był czymś potwornym, wydawał się strasznym snem. Stojący na brzegu esesman podał tonącemu długi kij, po którym więzień wydostał się na brzeg. Na chwilę dojrzałem w esesmanie człowieka, jednakże moje doznanie okazało się złudne. »Ratownik« nagle popchnął z powrotem wyciągniętego z wody, kwitując ten wyczyn szatańskim śmiechem (...). Takim sposobem wykończono w Gusen wszystkich Żydów w późniejszym okresie. Jakie były przeżycia wspomnianych Żydów? Nie dowiedzą się o tym psychiatrzy ani socjologowie, bo zakatowanych już nie ma wśród nas" (56).

Ze zrozumiałych względów najmniej przetrwało relacji o śmierci przez zagazowanie. Tylko w wyjątkowych wypadkach więźniowie mieli możność obserwowania tej metody masowego uśmiercania. Do ich wyobraźni przemawiały jednak rozpaczliwe krzyki, wydostające się z komór gazowych w pierwszych minutach po wpuszczeniu gazu, a także nieludzki widok splecionych ze sobą zwłok, które trzeba było wynosić z komór po zagazowaniu.

„Działanie gazu rozpoczynało się natychmiast. Więźniowie z sonderkomanda słyszeli przez grube ściany krzyki duszących się ludzi, które trwały około dwóch minut, potem wszystko cichło. Gaz nie zabija od razu, morduje w torsjach, dusi, powoli wysadza oczy z orbit, paraliżuje drogi oddechowe, mięśnie ulegają porażeniu, a konanie nie przychodzi zbyt prędko, człowiek krzyczy, szuka ratunku, rwie ciało, paznokcie wbija w ściany, krwawi z nosa, aż w straszliwych mękach, w ostatnich drgawkach sczepia się z drugim i umiera. Kończyny ciał ludzkich powiązane w jeden wielki stos ludzkich ciał. Na twarzach ich widać było wielkie zmagania ze śmiercią; ostatnie jęki tych ludzi, próby wyważenia drzwi, zduszony krzyk spełzły na niczym. Na ustach konających, wołających o pomoc, niektóre nawet w modlitwach, pozostawały bez echa, wybawienia stamtąd nie było. Modlitwy nie zdały się na nic, bo męczarnie nie miały tam granic. Ciała zagazowanych, leżące stosem, za chwilę zostały strawione przez ruszta krematoryjne" (41).

„Trudno opisać coś tak straszliwego, jak śmierć tysięcy ludzi w komorze gazowej. Przez 10 minut do naszych baraków z odległości 400—500 metrów dochodził tak nieludzki krzyk, jak tylko można to sobie wyobrazić, krzyk rozpaczy tysiąca strasznie cierpiących ludzi. Potem następowała złowieszcza cisza, która dla nas żyjących była równie okrutna, jak ten krzyk śmierci. Tą metodą hitlerowcy wymordowali miliony ludzi" (34).

„U osób obdarzonych odwagą śmierć na skutek błyskawicznej decyzji jest wolna od strachu (...). Ale czekanie na nieuniknioną śmierć w bunkrach obozu koncentracyjnego czy w izolatkach więziennych, w pełni świadomości i sprawności umysłowej jest na pewno największą torturą. Potworność czekania można łagodzić uskrzydlaniem go przy pomocy wzmożonych uczuć do Boga, ojczyzny, do idei, albo usiłować skrócić samobójstwem.

Pełne cztery tygodnie czekał Tadeusz na śmierć w izolatce, bez światła, przykuty za ręce i nogi do ściany. Informował mnie o sobie grypsami. Pisał urywanymi zdaniami na świstkach papieru. »Wiem, że zginę. Zimno mi. Kajdany mi ciążą. Modlę się i czuję ulgę. Dłuży mi się czas. Zachowaj o mnie dobre wspomnienie...«. Byłam bezsilna. Nie znalazłam odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie wykonano egzekucji natychmiast po ukończonym śledztwie, a zastosowano dodatkowe tortury (...). Kiedy go rozstrzelano 17 września 1942 roku, czekałam na własną śmierć i wówczas w stanie zobojętnienia nie odczuwałam żadnego strachu. Potem wrócił, a z nim pełnia świadomości. Już nie bałam się zmarłego Tadeusza. Przeciwnie, nie schodził mi z myśli, a razem z nim wszyscy, którzy już odeszli. Nie umiem tego stanu psychicznego określić, ale ja właściwie przebywałam więcej z Nimi, niż z żywymi. W tamtym świecie czułam się o wiele lepiej niż w tym i... jakbym im zazdrościła, jakbym chciała być naprawdę z nimi..." (2).

Jeszcze bardziej okrutna była śmierć spowodowana powolnym duszeniem się w ciasnej celi z powodu braku dostępu powietrza. To powolne umieranie przeciągało się w godziny, a nawet dni. Jak pokazała praktyka, i z takiej opresji były szanse ujścia z życiem. Świadczy o tym poniższa relacja.

„W pierwszą sobotę lutego 1942 roku z bloku nr 9 zostaliśmy w liczbie 45 kolegów skazani za rzekome przewinienia na umieszczenie w bunkrze na pięć do siedmiu nocy. Z braku miejsca *blokführer* zamknął nas w celi nr 23. Tam z braku powietrza zginęło 32 kolegów, a nas 13 jeszcze przywrócono do życia. Jak straszna była ta noc, kiedy się słyszało, jak koledzy proszą o pomoc, jak słychać rzężenie, jak pragną łapać powietrze jak ryba wyjęta z wody, a żadnej pomocy jeden drugiemu udzielić nie może, i jak człowiek sam czuje, że nie ma czym oddychać, jak ciężko jest, gdy się słabnie, a żadnego ratunku nie ma, aż w końcu traci się przytomność" (20).

Ulubionym sposobem znęcania się nad więźniami przez niektórych funkcyjnych było szczucie psa. Psy takie poddawano specjalnej tresurze i używano ich przede wszystkim w tropieniu zbiegłych z obozu więźniów:

„Na początku sierpnia 1942 roku (...) *lagerführer Schwarzhuber* posłał mnie na budowę drogi obok krematorium III (...). Pracowaliśmy już trzeci dzień i spory kawałek drogi był już wykonany. Po południu trzy samochody ciężarowe, załadowane półnagimi więźniarkami, przejechały przez budowę do domku leśnego przygotowanego jako komora gazowa, zamaskowana. Samochody od razu otoczyli esesmani z psami, a kiedy opróżnione samochody odjechały, otworzono drzwi tego budynku i wezwano więźniarki do wchodzenia, czego jednak nie uczyniły. Wezwanie powtórzono drugi i trzeci raz, a kiedy to nie poskutkowało, puszczono pięć czy sześć psów na więźniarki. Psy jak dzikie bestie podgryzały krtanie, odgryzały ręce, ściągały skórę z pleców, rozrywały piersi i brzuchy, rozwlekały po placu całe wnętrzności, przy ogromnym krzyku ofiar. Działo się to na oczach około stu osób, ludzi, którzy pracowali przy budowie tej drogi w odległości 50—60 metrów od tego budynku. Na placu pozostało kilkanaście trupów i półtrupów. Esesmani wypędzili kilkanaście więźniarek i musiały one pozbierać te trupy do budynku. Drzwi zamknięto i nastąpiła cisza..." (20).

„W Brzezince przed kuchnią jeden z esesmanów kazał sobie przynieść krzesło, usiadł, rozwinął przed sobą

gazetę, wezwał *häftlinga*, by stanął przed nim i po chwili puścił na niego psa policyjnego. Pies rzucił się na więźnia, zdarł z niego ubranie, przegryzł mu gardło i otworzył wnętrzności. Esesman zajęty był czytaniem. Widząc, że pies odszedł, esesman wstał i poszedł do kuchni. Patrzyliśmy na to z odległości kilku zaledwie kroków. Na miejscu, gdzie przed chwilą siedział esesman, leżało pogryzione ciało i przewrócone krzesło" (6).

I jeszcze jedna relacja z obozu oświęcimskiego.

„W Brzezince blokowy po wieczornym apelu i położeniu się więźniów do snu wyciągnął zaspanych na korytarz i stawał butem na ich grdyce; w ten sposób ginęło za jednym razem 50—70 więźniów. Patrzyłem na to z górnego piętra. Ze śmierci robił sobie ten człowiek zabawę. Była to okrutna zabawa" (6).

Zmuszanie więźniów do wykonywania wyroków na innych więźniach nie należało do rzadkości. Łatwo sobie wyobrazić, jakie trudne problemy moralne wynikały z tych praktyk. Nie gnębiły one jednak długo więźniów, gdyż i oni sami wkrótce stawali się ofiarami.

„Słyszałem, że w niektórych hitlerowskich więzieniach i obozach (np. w Mysłowicach) na plac apelowy wyprowadzano, powiedzmy, dziesięciu więźniów i pięciu z nich polecano powiesić swoich kolegów. Gdy tego nie uczynili, to sami karani byli śmiercią. Jak słyszałem, na ogół więźniowie ci, bojąc się śmierci, polecenie to wykonywali. Bezpośrednim świadkiem takiego faktu nie byłem, słyszałem jednak o tym wielokrotnie z różnych wiarygodnych źródeł" (42).

„Rok 1942, lipiec. Francuz, lat około 40—45, przed rannym apelem w bloku 11 w Oświęcimiu, wyskoczył za bramę i pobiegł prosto na druty wysokiego napięcia. Strażnik już w niego celował, jednakże udało się go złapać i uratować. Zamiar ten wszakże powtórzył i na trzeci dzień już był w krematorium.

Rok 1943, młody Polak z Lubelskiego, lat 23—26. Pracował tam, gdzie i ja (komando budowy baraków). Lubiany przez nas. W czasie pracy powiedział, że musi z sobą skończyć (...). Oświadczył, że stale jest głodny i chce skrócić sobie mękę. W czasie pracy zebrałem od kolegów trochę chleba, dałem mu to i sam prosiłem, by go zjadł i zrezygnował z tego zamiaru. Po 20 minutach wysłano mnie do baraku, w którym pracował sam, ale już zastałem go martwego, siedzącego na ziemi i zawieszonego na gwoździu, na pasku od spodni; w ustach i w kieszeni miał jeszcze chleb" (11).

Przytoczone fragmenty są jedynie cząstką tego, co obozowi oprawcy zgotowali więźniom. Listę sposobów zabijania i drwiny z ludzkiego życia można by układać bez końca. Jak napisał kolejny z respondentów, „bogaty to był wybór":

„Napatrzyłem się różnego rodzaju śmierci dosyć. Bogaty był jej wybór wówczas: od uderzenia pałką, duszenia szpadlem leżącego na ziemi, stawania na stylu, topienia w beczce z wodą przeciwpożarową, śmierci oszalałego czy zdesperowanego z bicia na drutach, zastrzelonego przez postenkietę w czasie pracy, a idącego na łańcuchach straży po biciu, udaru serca wiszącego na słupku, zgasłego w kałużach durchfalowego kału, aż po czyste zgaśnięcie w ciszy nocnej wycieńczonego organizmu. Może jeszcze zwały poskręcanych trupów wyciągniętych z gazowej piwnicy, krwawiące zwłoki na stercie ciągniętego wozu po rozstrzelaniu na trzynastym bloku, drgające na kupie zwłok ciągniętych przez lagrową bramę. Bogaty był wybór..." (38).

PIERWSZE SPOTKANIE ZE ŚMIERCIĄ

Na zewnątrz obozu przenikały jedynie bardzo skąpe wiadomości na temat tego, co działo się tam naprawdę. Świadkowie wcześniej czy później trafiali do krematoryjnego pieca. Opowieści tych, którym udało się z obozu zbiec, były tak nieprawdopodobne, że w nie nie wierzono. Legendy o „fabryce śmierci" przybierały jednak kształt realny natychmiast po przekroczeniu bramy obozu. Pierwsze bowiem zetknięcie ze śmiercią lub zwłokami w obozie pozostawiało zwykle najgłębsze wrażenie. Prześledźmy ten proces na przykładzie kilku relacji:

„W pierwszych dniach pobytu w obozie zetknęłam się ze stosem trupów przed blokiem rewirowym, gdzie ładowano trupy na duży wóz-platformę na ogromnych kołach. Ładowano trupy jak kości, wrzucając je na wóz, były to szkielety ludzkie, widok był straszny. Modliłam się za dusze zmarłych, by odpoczywały w spokoju (...).

Drugim przeżyciem związanym z umieraniem był mój pobyt na rewirze. Śmiertelność była masowa, śmierć przychodziła szybko i zabierała młode i starsze osoby w bardzo krótkim czasie. Miałam bliską koleżankę z mego transportu, Irenę, która chorowała na płuca. Stale chciała, bym była blisko niej. Nie zapomnę nigdy, jak wszy chodziły po jej czole, a ona tego nie czuła. Tyle było tych wszy i takie były wielkie, że ja po prostu od Ireny uciekałam, a ona mnie wołała do siebie. Były to wszy śmiertelne, zmarła jak we śnie. Śmierć przyszła lekka, nie zauważona..." (10).

„Musiałam mieć się na baczności, kiedy nadejdzie śmierć. Chciałam z nią walczyć, ale jak, sama nie wiedziałam. Dla mnie najważniejszą sprawą było nie spać, a czuwać, wyobrażałam sobie, że śmierć nadejdzie w czasie snu, a więc jeśli nie będę spała, przechytrzę samą śmierć. Byłam bardzo słaba i zmęczona, przez trzy tygodnie temperatura utrzymywała się ponad 40 stopni" (44).

„W obozie oświęcimskim ze śmiercią zetknąłem się w kilka dni po osadzeniu mnie tam, a mianowicie zostałem przyjęty do *HKB* i kiedy prowadzono mnie do sali chorych, przez uchylone drzwi do *waschraumu* na parterze bloku zobaczyłem stos nagich zwłok. Od pierwszego spojrzenia po dziś dzień (a przymknąwszy oczy, w każdej chwili mogę odtworzyć ów obraz, z drobnymi nawet szczegółami) kojarzy mi się ów stos zwłok z sągami drewna w lesie. Miałem wówczas gorączkę, jako że zachorowałem na szkarlatynę, ale obraz ten wrył mi się tak silnie w pamięć, że nie zapomnę go do końca mych dni. Przez szereg tygodni obraz ten stale mnie prześladował, nie mogłem go ani przez chwilę zapomnieć i co tu owijać w bawełnę, straszył, że taki będzie również mój los (...). Według relacji kolegów zwłoki były ofiarami zaszpilowanych fenolem (...).

W pierwszych dniach i tygodniach wszystkie zgony bardzo przeżywałem i to tym bardziej, że często byłem świadkiem ogromnej woli życia, walki o to uciekające życie. Ponieważ jestem wierzący, gorąco modliłem się za umierających. Przekonałem się, że nawet ci chorzy, którzy byli już tylko własnym cieniem i dla których, moim zdaniem, śmierć była wyzwoleniem, nawet ci nie chcieli umierać, chcieli za wszelką cenę i mimo wszystko żyć. Dlatego do tej pory sądzę, że samobójcy są ludźmi chorymi psychicznie i to w jakimś specyficznym kierunku.

Z biegiem czasu zacząłem się do śmierci przyzwyczajać, śmierć w warunkach obozowych zaczęła powszednieć i jeśli nie dotyczyła osoby bliskiej, nie robiła większego wrażenia. Być może, tego rodzaju reakcja stanowiła jakąś instynktowną obronę, nie dopuszczającą do załamania psychicznego" (13).

„Owego dnia stałem koło orkiestry, kiedy komanda robocze wracały z pracy. W ostatnich szeregach jednego z komand zobaczyłem niesionego nieprzytomnego więźnia. Podszedłem bliżej. Owym niesionym więźniem był wikariusz z Białego Dunajca. Niesiono go za ręce i nogi, a głowa ciężko opadła w dół. Miał twarz siną, usta i oczy otwarte. Wówczas w wyobraźni mojej zobaczyłem tamtego, z Tarnowa, młodego księdza, pięknego mężczyznę z ogniem w oczach i uśmiechem na twarzy, a teraz ten, tu, niesiony przez kolegów, z jakimś krzykiem zastygłym na szeroko otwartych ustach i przerażeniem w wychodzących z orbit oczach. Nie mogłem powstrzymać łez. To były pierwsze i ostatnie moje łzy w obozach, aż do godziny wyzwolenia 29 kwietnia 1945 roku, kiedy wszyscy płakali z radości.

Kiedy dzisiaj zastanawiam się nad tym, dlaczego widok martwego niesionego młodego księdza był dla mnie

wstrząsający, myślę, że to martwe ciało zamordowanego przy pracy młodego mężczyzny już po dwóch tygodniach pobytu w obozie zdarło z moich oczu wszelkie złudzenia (...). W jego martwych, szeroko otwartych oczach zobaczyłem ostatecznie całą straszliwą prawdę o życiu i śmierci więźniów w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Te moje łzy — to były chwile słabości, które szybko przeminęły. Może te chwile były nawet potrzebne, aby ostatecznie okrzepnąć w sobie na całe cztery lata pobytu w niemieckich obozach." (35).

„W czasie pobytu w więzieniu rzeszowskim od 2 maja do 26 czerwca 1941 roku przebywałem w celi 44, gdzie wśród osiemnastu współwięźniów znajdował się niejaki *Szpila*, lat około pięćdziesiąt, kolejarz (...). W celi ten odważny człowiek cieszył się sympatią i szacunkiem. Wywieziony został do Oświęcimia.

Kiedy po dwóch miesiącach znalazłem się w Oświęcimiu, znalazłem go na jednym z bloków: stał w kolejce do »fryzjera«. Był tak zmieniony, wymizerowany, że ledwo go poznałem. Słabym głosem powiedział, że łatwiej byłoby przeżyć całe lata w więzieniu niż jeden dzień w Oświęcimiu.

Tego samego dnia po apelu wieczornym poszedłem jeszcze raz odwiedzić *Szpilę;* nie było go już wśród żywych. Trupa jego znalazłem obok zwłok kilku więźniów złożonych w kącie sztuby. Widok ten wywarł silne, przygnębiające wrażenie, pogrążył mnie w depresję duchową, z której trudno było się otrząsnąć. Było to moje pierwsze spotkanie ze śmiercią w obozie i pierwsza głęboka reakcja na nią (...).

Potem był to już bolesny proces stopniowego stępienia reakcji na widok śmierci. Lecz mimo to ogromne wrażenie, jakby porażenie psychiczne, wywołał widok gramolących się ze sterty zabitych w czasie pracy jeńców radzieckich (złożonych na podwórzu bloku dwudziestego trzeciego) kilku niedobitych, ożyłych, którzy wypełznąwszy ze stosu trupów, oparli się o ścianę bloku i, półprzytomni, obłędnym wzrokiem patrzyli przed siebie, nie zdając sobie widocznie sprawy ze swego stanu i z tego, gdzie są i co się dookoła dzieje. Reakcja na ten widok była głęboka, obmierzłe wydało się wszystko: świat, ludzie i cały przeklęty byt w fabryce śmierci" (29).

„Po raz pierwszy z tym strasznym problemem zetknąłem się już na samym początku pobytu w obozie, a mianowicie w lecie 1940 roku. Wraz ze mną został aresztowany mój kolega szkolny z Jarosławia, M. *N.*, z którym siedziałem w jednej celi w więzieniu w Tarnowie w maju i czerwcu 1940 roku. Pierwsze dni kwarantanny w budynku dawnych magazynów (...) były dla nas bardzo ciężkie, jako że zamiast pracy aplikowano nam podwójną porcję »sportu«.

Obserwowałem M. z tego względu, że dzieliliśmy razem barłóg na I piętrze. M. był bardzo załamany aresztowaniem, sytuacją Polski (...) i naszą sytuacją więźniów w obozie (...). Ze względu na to, że nie było ubikacji, na korytarz I piętra wynoszono dużą żelazną beczkę, do której więźniowie mogli oddawać mocz i kał (...). Jednego wieczoru tak się jakoś stało, że więźniowie pchali się do kotła i po drodze przewrócili beczkę z odchodami (...). Na to wszystko wpadło kilku esesmanów, wyciągnęli pistolety i zaczęli więźniów kopać i bić, żądając przyznania się tego, kto wylał beczkę. Nikt nie chciał się przyznać, atmosfera była bardzo napięta. W tym momencie M. podniósł się z »barłogu« i powiedział do nas, że pójdzie się zgłosić do esesmana, że to on wylał beczkę. ale żeby esesman nie strzelał. Zauważyłem u M. obłęd w oczach, więc z pomocą kolegów przytrzymywałem go, nie chcąc narażać go na niechybną śmierć. Po pewnym czasie esesman, nic nie wskórawszy, wyszedł, jednakże M. doznał straszliwego szoku, a z tego obłędu, bo całą noc jęczał, darł na sobie ubranie i bieliznę i powtarzał: »ja to zrobiłem, ja wylałem kubeł, ale nie strzelajcie do mnie, ratujcie mnie«. Całą noc nie spaliśmy, bo M. ciągle się zrywał i chciał otwierać okna względnie bić do drzwi, aby je otworzono. Rano wyprowadziliśmy M. na apel w podartym ubraniu, co oczywiście zauważył *lagerführer Fritsch* i rozkazał esesmanom zabrać M. do piwnicy. Esesmani bili M. przez kilka dni, z piwnicy dolatywały do nas okropne krzyki katowanego kolegi. Po kilku dniach M. wypuszczono z piwnicy, otrzymał inne ubranie, już nie krzyczał, nie rzucał się, był bardzo spokojny, ale to już nie był M. Nie poznawał nas, wszystko robił jak automat, rozumiał wprawdzie to, co się do niego mówiło, ale to wyglądało tak, jakby nie docierało do jego świadomości. Po kilku tygodniach M. umarł. To była pierwsza śmierć naszego kolegi, śmierć, która dała mu wyzwolenie, a nas wprawiła w smutek. Po M. zaczęli ginąć inni koledzy, mniej odporni, mający mniej szczęścia od nas" (52).

„Moje pierwsze spotkanie ze śmiercią w obozie było w bloku śmierci, numer jedenaście. Tam przeżyłem prawdziwe piekło, strach o własne życie, gdyż do kwietnia 1943 roku nie było żadnych sądów. Dwa razy w tygodniu, tj. we wtorek i piątek odbywało się rozstrzeliwanie więźniów w liczbie do 120 osób. Kapo Jakub w towarzystwie esesmana otwierał drzwi i esesman wybierał sobie, kto mu się podobał, kilku ludzi z »bunkra«, i biedaki szli na śmierć pod ścianę śmierci. Jedni płakali, drudzy drżeli, roniąc łzy, a pozostali o mało nie tracili zmysłów" (49).

„Pierwsze spotkanie ze śmiercią miałem w styczniu 1943 roku w Brzezince, po rozmieszczeniu naszego transportu po barakach. Od przebywających w obozie dowiedzieliśmy się, jakie panują tu warunki. Była to wiadomość wstrząsająca, kilku kolegów załamało się i poszli na druty elektryczne. Byłem świadkiem zabicia trzech więźniów za kradzież kilku kartofli. Na bloku śmierci nr 7 byłem świadkiem duszenia i mordowania »muzułmanów«: kłębowisko gołych ciał, chorych, z szaleństwem w oczach. To co się działo na tym bloku śmierci, to Dante, będąc w piekle, tego nie widział (...). Po tych kilku dniach pobytu na bloku pozostał mi uraz psychiczny, mam makabryczne sny, do dziś zrywam się w nocy z jękami" (45).

Relacje te potwierdzają, że w pierwszym okresie pobytu w obozie największe wrażenie robiły ludzkie zwłoki i ich mnogość, a także uświadomienie sobie, że w obozie można umrzeć bez żadnych gwałtownych zdarzeń, po prostu z przerażenia otaczającym tam człowieka światem. Te pierwsze spotkania ze śmiercią utrwaliły się najgłębiej w pamięci i przetrwały przez dziesiątki lat poobozowego życia, dając o sobie znać natrętnymi myślami i wyobrażeniami, a także przewijając się w koszmarnych obrazach sennych. Od rodzaju pierwszej reakcji na śmierć w obozie często uzależniony był dalszy proces adaptacji do warunków obozu, a zatem i szanse przetrwania obozu.

REAKCJE PSYCHICZNE NA ŚMIERĆ WSPÓŁWIĘŹNIÓW

Masowość i powszechność śmierci w obozie prowadziła szybko do stępienia reakcji uczuciowych więźniów. Szybko następował proces pogodzenia się, przyzwyczajenia, a w końcu zobojętnienia wobec śmierci, tak współwięźniów, jak i w wielu wypadkach wobec ewentualnej własnej śmierci. Proces ten, uważany za jeden z podstawowych mechanizmów obronnych w adaptacji do stresu obozowego, uznać trzeba jednocześnie za jeden z największych paradoksów ludzkiej egzystencji. A oto jak przedstawia się to zjawisko w relacjach byłych więźniów:

„Reakcja z naszej strony była początkowo straszna: były zdania, po co to wszystko, czy nie lepiej nie żyć. Każda myślała w pewnej chwili o samobójstwie. Toteż nic dziwnego, że niektóre rzucały się na druty wysokiego napięcia. Te druty kolczaste. Mają one swoją historię... Niektóre z nas dostawały obłędu, w czasie apelu wychodziły z szeregów, tańczyły, śpiewały jak na scenie, inne znów przestawały reagować, patrzyły w jeden punkt i nawet nie słuchały, co się do nich mówiło. Zatraciły jakiekolwiek myślenie (...). Tak dokonywało się powolne zabijanie, w takich wypadkach nie maczali rąk zbrodniarze, bez krwi..." (47).

„Najsilniej przeżywałem konanie ks. Antoniego *Kwarty,* chorego na tyfus. Poznałem go jeszcze jako starsze-

go kolegę w seminarium duchownym w Tarnowie. Uważałem go za człowieka wysoce uzdolnionego i w całym tego słowa znaczeniu szlachetnego i prawego. Kiedy po przybyciu do Dachau na kwarantannie zapadł na tyfus, opiekowałem się nim. Nie było żadnych lekarstw. Nie przyszedł żaden lekarz. Od pielęgniarza otrzymałem dla chorego garść piramidonu. Chory w gorączce opadał z sił. A kiedy przez cztery dni, nieprzytomny, począł majaczyć, zdawało mi się, że to już nieuchronny koniec. I wówczas — pamiętam — wieczorem począłem się modlić, prosiłem Boga, by Bóg zabrał raczej mnie, a wrócił zdrowie tak wartościowemu ks. Antoniemu *Kwarcie*. Ostatecznie ks. *Kwarta* wrócił do zdrowia, przeżył jeszcze potem doświadczenie malaryczne, przetrwał obóz, żyje i pracuje w Kanadzie" (35).

„W tym czasie śmierć kolegów przeżywałem z pełną rezygnacją, nie obojętnie, z żalem, ale jakby z pewnym kompleksem, że i tak prędzej czy później muszę swoje życie złożyć w ofierze... Rzeczywiście to był okres jakiejś cichej rezygnacji z walki, okres, kiedy nie mogłem się jeszcze przystosować do warunków obozowych, przy czym uważałem, że my wszyscy jesteśmy skazani na zagładę i z obozu nie można wyjść żywym. Zbudzenie z odrętwienia i tępoty nastąpiło, kiedy (...) woziłem rozstrzelanych młodych partyzantów, działaczy konspiracji ze Śląska — kilka dziewcząt i kilku chłopców (...). Ten widok przerwał u mnie stan rezygnacji, znienawidziłem Niemców i ich przedstawicieli w formacjach *SS*, a jednocześnie rosło pragnienie zemsty za śmierć niewinnych dziewcząt i niewinnych chłopców. To pragnienie zemsty potęgowało się później (...), pragnienie zemsty i odwetu rosło, a jednocześnie byłem przygotowany na własną śmierć..." (52).

„Był taki okres, kiedy sądziłem, że i ja doszedłem do stanu zaniku we mnie ludzkich uczuć i wówczas prosiłem Boga o śmierć. Nie chciałem chodzić po tym świecie jak tocząca się bryła lodu, zimny i niezdolny reagować na ludzkie cierpienie i ludzką śmierć. »Boże, raczej daj mi tu umrzeć razem z nimi«. Ale wnet zrozumiałem, że jednak nie straciłem serca, że nie przestałem reagować na niedolę ludzką, a dowodem tego jest właśnie ta modlitwa i ta moja udręka. Zrozumiałem, że to tylko moja reakcja na umieranie i śmierć, z konieczności na skutek tak często spotykanej śmierci, stała się mniej emocjonalna, mniej uczuciowa, chociaż nie pozbawiona nadal większego zaangażowania się, czego dowodem właśnie ta modlitwa i to wykłócanie się z Bogiem o tak licznie i w takim poniżeniu umierających współwięźniów" (35).

„Powoli przyzwyczajałem się do widoku zmarłych, zabitych, umierających, rzucających się na druty. Śmierć przestała na mnie robić wrażenie czegoś strasznego. Z przerażeniem spostrzegłem, że kiedy obok mnie podczas apelu umierał leżąc na taczkach towarzysz niedoli, myślałem nie o tym, jak mu pomóc, lecz o tym, jak zdobyć wieczorem dodatkowo coś do zjedzenia. Im cięższe stawały się warunki w obozie, tym bardziej pragnąłem żyć i przeżyć obóz. Po pierwszym okresie załamań psychicznych, w których i ja przez krótki czas myślałem o odebraniu sobie życia, jakoś doszedłem do równowagi psychicznej. Nieraz starałem się zapomnieć, że jestem w obozie, wizja przyszłej wolności dodawała mi otuchy i wiary i pozwoliła na przetrwanie najcięższych momentów" (23).

„Śmierć mego kolegi na froncie, w mojej bezpośredniej obecności, sprawiła we mnie przełom w stosunku do śmierci i do zmarłych (...). W Oświęcimiu ten mój pogląd potwierdził się i na sprawy śmierci zostałem po prostu całkowicie zobojętniały. Nie sprawiało to na mnie żadnego wrażenia. Po wyjściu z obozu mój stosunek do tych spraw przez jakiś czas zachowałem, jednakże po latach zauważyłem pewną zmianę w sobie (...).

Jeśli chodzi o przeżywanie zagrożenia własnego życia w obozie, to wszyscy byli świadomi wprost beznadziejnej sytuacji, minimalnych szans wyjścia z obozu z życiem, ja na przykład absolutnie w to nie wierzyłem. Niektórzy wiele mówili o swojej pogardzie życia i gotowości umierania w każdej chwili, dopóki tego rodzaju bezpośrednie niebezpieczeństwo im nie zagrażało. Natomiast gdy stanęli przed nim twarzą w twarz, niejednokrotnie nie tylko tracili pewność siebie, ale i zachowywali się bez godności. W obozie też uległy pewnym zmianom moje poglądy na sprawy narodowościowe. Widziałem osobiście Żydów, którzy przed egzekucją wydawali okrzyk: »Niech żyje moja ojczyzna, najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska!«, a widziałem też rdzennych Polaków, którzy dla materialnych korzyści współpracowali z okupantem i denuncjowali Polaków" (42).

Tak więc po fazie przyzwyczajenia się i zobojętnienia na śmierć u wielu więźniów mimo trwania obiektywnych trudności rozwijała się stopniowo wiara w przetrwanie, w zupełnej beznadziejności warunków obozowych zaczynało się mimo wszystko dostrzegać nikłe promyki nadziei na szczęśliwy zbieg okoliczności, na przysłowiowy cud, na przetrwanie. I cud taki zdarzał się wielokrotnie...

MISTERIUM TREMENDUM

Postawy więźniów i różne ich zachowania w obliczu śmiertelnego zagrożenia opisuje Antoni *Kępiński* w eseju zatytułowanym „Anus mundi".

„Ci, którzy byli przeszkodą, materiałem przeznaczonym na zagładę, by sobą nie zanieczyszczać więcej nowego świata, różnie swój los przyjmowali. Byli tacy, którzy nie zdążyli wyjść z oszołomienia wywołanego nagłym przeniesieniem w piekło obozu, a już przychodził kres ich życia. Inni szli ku śmierci z fatalistycznym przeświadczeniem o nieodwracalności losu. Jeszcze inni chcieli przeżyć za wszelką cenę. A ponieważ w obozie zagłady mogli urządzić się wygodnie tylko ci, którzy innym śmierć zadawali i którzy byli panami, przeto starali się przejąć formy swych oprawców. Byli też tacy, którzy mimo głodu, pragnienia, zimna, bólu, poniżenia godności ludzkiej potrafili jakby oddalić się od swego cierpienia i nie myśleć tylko o tym, by zdobyć coś do zjedzenia, by przestało być zimno lub gorąco, by nie bolało znękane ciało (...). Wysiłek ten jednak był konieczny dla zachowania wewnętrznej swobody — wolnej przestrzeni, w której by można było swobodnie myśleć, marzyć, planować, powziąć decyzję, uwolnić się od koszmaru obecnej chwili. Jeśli w życiu obozowym, w tym »anus mundi« tyle było poświęcenia, odwagi, miłości drugiego człowieka, a więc zjawisk w tych warunkach — zdawać by się mogło — zgoła niemożliwych, to właśnie dzięki tej wewnętrznej wolności" (*Kępiński*, 1965).

Podobne reakcje u więźniów oczekujących na śmierć w komorze gazowej opisuje Adolf *Gawalewicz* (1968):

„W poczekalni do gazu, jak to już wspomniałem, przeżyłem aż pięć miesięcy. Przez ten okres stale zmieniała się chwilowa obsada bloku. Zetknąłem się więc z wielu tysiącami ludzi czekających na śmierć. Mimo to, wydaje mi się, mógłbym pokusić się o próbę scharakteryzowania stanu i reakcji psychicznych wszystkich zmieniających się lokatorów omawianego bloku. Można było zatem wśród nich wyodrębnić następujące postawy i reakcje:

— grupa ludzi, którzy godzili się ze swym losem, a nawet go afirmowali: nie ma żadnej nadziei, śmierć jest wybawieniem, byle prędzej;

— grupa ludzi, którzy wbrew wszystkiemu nie wierzyli w wyznaczony im los: to jest nieprawda, to jest niemożliwe;

— wreszcie wielu było takich, którzy do ostatniej chwili łudzili się, że im właśnie uda się mimo wszystko wyjść cało.

Właśnie bardzo nielicznej garstce spośród więźniów reprezentujących tę trzecią grupę postaw, ludziom wierzącym w rzeczy niemożliwe, nieprawdopodobne, udało się wyjść żywo z bloku nr 7. Naturalnie sama wiara nie wystarczała, trzeba było zdobywać się na działanie w ramach realnych, wprawdzie minimalnych i beznadziejnych, możliwości kierowania swoim postępowaniem. Trzeba było być muzułmanem aktywnym. A i tacy istnieli, choć często ogół muzułmanów charakteryzuje się jako ludzi zupełnie zobojętniałych, o opóźnionych reakcjach, apatycznie przyjmujących nieuniknione fatum (...).

Zahartowany muzułman łatwiej znosił tyfus i okres rekonwalescencji. Miewał niższą temperaturę, jego organizm nie odczuwał tak wielkiego zapotrzebowania na płyny, a później zadowalał się mniejszymi racjami żywnościowymi (...).

Nieraz nocą snuły się, prowadzone gorączkowymi halucynacjami, mary usiłujące wydostać się poza ogrodzenie bloku, głównie w poszukiwaniu wody; kogo nie udało się zatrzymać, przyspieszał tym swój koniec" (*Gawalewicz*, 1968).

Spośród wielu opisów zachowania się więźniów przed egzekucją i w jej chwili warto jeszcze przytoczyć relację *Iwaszki* i *Kłodzińskiego* (1977) dotyczącą skazanych na śmierć w bloku 11, zwanym blokiem śmierci:

„Więźniowie skazani na śmierć, powiadomieni o mającym nastąpić wykonaniu wyroku, wyprowadzeni z bunkra do *waschraumu* (blokowej umywalni), rozbierali się do naga, na piersiach wypisywano im chemicznym ołówkiem numer obozowy, a ręce najczęściej wykręcano do tyłu i krępowano drutem kolczastym; w tej sytuacji tracili wszelkie złudzenia. Większość skazańców podchodziła pod tzw. czarną ścianę podwórza bloku 11 z krańcowym wysiłkiem. Najczęściej tylko muskularne ręce kalifaktora bunkrów podtrzymywały słaniającą się ofiarę. Ostry, skrzeczący rozkaz kata-esesmana, aby schylić głowę w celu ułatwienia *genickschussu* (strzału w potylicę), podrywał skazańca do ostatniego już odruchu (...).

Czasami tylko małe grupy skazańców potrafiły nakazać sobie w ostatnich chwilach życia utrzymanie niezłomnej postawy więźnia politycznego, protestującego wobec bezprawia stosownym okrzykiem (...), akcentem patriotycznym (...), czy westchnieniem religijnym (...). Podniecało to tylko wściekłość oprawców i zmuszało nawet ich niekiedy do podziwu.

W wyjątkowych już tylko wypadkach bardzo nieliczni skazani zdobywali się na fizyczny protest wobec zadawanego gwałtu; ujawniało się to splunięciem w twarz oprawcy, podcięciem żył ukrytą żyletką, założeniem sobie własnoręcznie stryczka na szyję, wykopaniem stołka spod szubienicy, gdy egzekucja następowała nie przez rozstrzelanie, ale przez powieszenie".

W poznanie przeżyć towarzyszących śmiertelnemu zagrożeniu w obozie wnoszą wiele nowego światła uzyskane relacje byłych więźniów. Co myślał i co czuł więzień, jak się zachowywał w czasie, kiedy stało się oczywiste dla niego, że śmierć jest już bliska, że pozostały mu jeszcze godziny, minuty lub nawet sekundy życia. Co wypełniało jego psychiczną przestrzeń, czy uwaga jego skierowana była na samego siebie i potworną, nieubłaganą rzeczywistość, czy też przeciwnie, starał się uwolnić z pęt zbliżającej się śmierci poprzez psychiczną ucieczkę lub sublimację? Oto pytania, na które znajdziemy odpowiedź w kolejnej serii wypowiedzi respondentów:

„Gorączkowo myślałem, co zrobię, gdy przyjdzie na mnie kolej. Jedno wiedziałem, że tak po prostu zamordować się nie dam. (...). Byłem w ciągu tych lat niezliczoną ilość razy świadkiem śmierci indywidualnej i masowej. Nie zliczyć tych przypadków. Pamiętam nazwiska tych, którzy umierali na moich rękach (...). Patrząc na ich konanie, ciche gaśnięcie, postanowiłem sobie, że ja tak nie mogę! Muszę wyjść! (...).

Byłem przesłuchiwany 22 razy w *Politische Abteilung*. W aktach miałem adnotację: *vernichten*, byłem więc gotowy na śmierć nie od dziś, ale każdej minuty. Wisiałem 11 godzin na słupku, mdlałem, ale w momentach świadomości mówiłem sobie: musisz wytrzymać. Nigdy się nie przygotowywałem do umierania. Nigdy nie »łamałem się«. Miałem zawsze czyste ubranie, czystą bieliznę i organizowałem zapasową bieliznę z myślą o ucieczce. Moje marzenia i myśli były zawsze przy przeżytych już uprzednio ucieczkach, w czasie kurierstwa na Węgry. Uciekłem Słowakom, Niemcom i to zawsze, na trwałe, występowało w mojej wyobraźni (...). Uciekłem z obozu w Oświęcimiu 14 czerwca 1944 roku. Stanąłem za Solą po zabiciu *posta* i odczułem, że jestem wolny. Cieszyłem się ogromnie, że moje marzenia się spełniły. Mam obecnie lat 68" (16).

„Każde masowe przygotowanie do zbiorowego mordu oddziaływało na stan nerwowego napięcia. U esesmanów widać było anormalne podniecenie. W jednym wypadku, w styczniu 1944 roku, przeżyłem kilkanaście godzin ze skazanymi na śmierć na bloku szpitalnym. Wyselekcjonowano wszystkich chorych Żydów wraz z częścią personelu blokowego. W pewnym momencie, po odejściu esesmanów, udzieliła się zbiorowa psychoza lęku przed śmiercią. Jak gdyby na komendę cała grupa skazanych poczęła wydawać nieartykułowane głosy rozpaczy. Tak okropne w swej wymowie, że »aryjczycy« nie wytrzymywali tych jęków. Nie jedli kolacji, nakrywali się kocami, aby nie słyszeć i nie widzieć tych scen. Te krzyki rozpaczy, z małymi przerwami, trwały całą noc. Aryjczycy, milcząc, nie spali. Rano, kiedy przyszli oprawcy po ofiary, ucichły jęki i wrzaski. Widocznie w ostatniej chwili przed śmiercią bojaźń nie pozwalała wydobyć głosu z gardła" (30).

„Przeżycie zagrożenia własnego życia zdarzyło mi się siedem razy. W lutym 1943 roku przypadkowo dostałem się na siódmy blok śmierci, skąd wydostać się można było tylko przez komin krematoryjny. Pomoc ze strony dr *Ostrowskiego* uratowała mnie od gazu. Z końcem marca 1943 roku, pracując w komandzie *Königsgraben*, zostałem pobity przez kapo. Nieprzytomnego przenieśli mnie do obozu i rzucili pod blok. Całą noc koledzy mnie ratowali, rano dostałem się na blok szpitalny nr 8 (...).

W kwietniu 1945 roku, w obozie Buchenwald-Wansleben, pracowałem 580 metrów pod ziemią w zakładach lotniczych »Junkersa«. W dniu ewakuacji mieli nas pod ziemią zagazować. Po dniu marszu mieli nas nocą wystrzelać w dołach cegielni, po drugim dniu marszu mieli nas zapędzić na bagna torfowisk i utopić, a na szósty dzień postanowili ostatecznie oddać nas dywizji *SS* stacjonującej w lasach koło Dessau. O godzinie jedenastej tego samego dnia uwolnili nas Amerykanie" (45).

Ksiądz Jan *Marszałek* z Tarnowa w ciągu czterech lat pobytu w Oświęcimiu i Dachau wielokrotnie był narażony na śmierć, zwykle w okolicznościach „niewinnych" i zaskakujących. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, a także aktywnej jego postawie udało mu się te zagrożenia oddalić.

I tak, w 1941 roku w Oświęcimiu *oberkapo Grönke* chciał go zmusić do ujawnienia tajemnicy spowiedzi. Mimo groźby śmierci odmówił, wyjaśniając, że i kapo, i obecny przy rozmowie *komandoführer* też mają takie idee, za które gotowi są oddać swe życie. Innym razem, już w obozie w Dachau w lecie 1942 roku, kapo posądził go bezpodstawnie o usiłowanie ucieczki z obozu. Wiadomo, że takie posądzenie groziło śmiercią. Jesienią 1942 roku ks. *Marszałek* zaczął opadać z sił, „zrozumiałem, że się kończę, że teraz będę zjeżdżał w dół, jak po pochylni, aż przyjdzie muzułmaństwo i koniec". Uratował go znów przypadek, w jego bloku wybuchła epidemia tyfusu, blok odizolowano, warunki bytowe nieco się poprawiły, otrzymywano paczki od rodziny, został uratowany (35).

„Własną śmierć przeżyłem dwukrotnie. Pierwszy raz w więzieniu na Montelupich w Krakowie, kiedy to gestapowcy pod sfingowanym zarzutem ucieczki z więzienia zagrozili zdziesiątkowaniem więźniów z naszej celi. Było nas około trzydziestu. Całą noc z 14 na 15 czerwca 1942 roku wpadali na celę, maltretując nas i bijąc w sposób sadystyczny, aby w końcu nad ranem wybierać z naszej celi po jednym więźniu i rozstrzeliwać w kolejności wyprowadzania na dziedziniec więzienia. Razem spośród nas wybrali i rozstrzelali jedenastu więźniów. I właśnie ten czas wybierania spośród nas — to czas, w którym wydawało mi się, iż ujście z życiem nie będzie możliwe. Pamiętam, że kiedy wyznaczyli pierw-

szego więźnia do rozstrzelania i wyprowadzili go z celi, poczułem ból (skurcz) w okolicy serca, parcie na pęcherz moczowy i wielki żal za matką, że nie pożegnałem się z nią. Zrobiłem momentalny rachunek sumienia, po czym nastąpiło jakby odprężenie i zobojętnienie, byłem gotowy na rozstrzelanie. Pamiętam, że podświadomie jakbym pchał się pod rękę wyznaczającego na śmierć gestapowca.

Po zakończeniu egzekucji długo panowało milczenie w celi. Nikt nie wszczynał rozmowy. Każdy z nas jakby w myślach to wszystko jeszcze raz przeżywał (...). *Zygmunt Ziembicki* z Krakowa, który obserwował tę egzekucję przez szparę okna jego celi na podwórko, twierdzi, że ciała rozstrzelanych dość długo leżały, a po nich chodziły hodowane przez więzienie świnie, zlizując z nich krew" (46).

„Dnia 10 listopada podczas apelu wieczornego wywołano nas obu z doktorem *Żegleniem*. W sumie wywołano 56 osób. Nie wiedzieliśmy, dlaczego i po co. Zaprowadzono nas na czerwone podwórze i tam pod ścianą śmierci staliśmy dość długo, może ze dwie godziny (...). Nastąpiła bardzo ciężka chwila. Jedni modlili się, inni płakali. Stałem tam śmierdzący trupami, jakby wmurowany, niezdolny do poruszania się. Tylko myśl pulsowała, czy to będzie bardzo bolało. Po około dwóch godzinach wywołano nas dwóch i zaprowadzono do kwarantanny na pierwsze piętro, gdzie dowiedzieliśmy się, że wyjedziemy do Gross-Rosen. Pozostałych 54 polskich oficerów zaprowadzono do bunkrów, a następnego dnia, tj. 11 listopada 1941 roku po apelu porannym rozstrzelano z broni małokalibrowej pod ścianą śmierci" (21).

W sytuacjach, gdy zagrożenie śmiercią trwało odpowiednio długo, u niektórych więźniów faza niezwykłego napięcia psychicznego i lęku przekształcała się w stan podniecenia, mobilizacji, a nieraz nawet ekstazy. Kolejne relacje zilustrują ten proces:

„Spodziewałam się kary śmierci. Po buncie i płaczu nadszedł okres albo rezygnacji, albo siły moralnej. Godziłam się z tym, że mnie zabiją. Jednakże chciałam umrzeć godnie, z powagą osiemnastolatka. Chciałam ładnie wyglądać, na ten cel moja mama miała mi przesłać czarną sukienkę z białym kołnierzykiem i białymi mankietami, kołnierz i mankiety musiałyby być śnieżno białe, wykrochmalone, chciałam być poważna w godzinę śmierci. Po przybyciu do *Birkenau* nie wybierałam się już na śmierć, wiedziałam, że tam śmierć sama mnie wybierze. Przybrałam postawę walczącą, samoobrony. Zachowałam ją do końca pobytu w lagrze. Dawało mi to poczucie siły i mocy" (44).

„W roku 1941, kiedy zachorowałem na tyfus plamisty, leżałem na bloku 20. Po ustąpieniu gorączki przeniesiono nas na piętro (...). Pewnego dnia rozpoczęła się selekcja (...). Nas, zdolnych do transportu, pozostawiono do następnego dnia, w którym mieliśmy być zgładzeni w komorach gazowych. Zdawałem sobie sprawę z tego, że my wszyscy zostaliśmy przeznaczeni na śmierć. Starałem się na wszystkie możliwe sposoby dostać na lager, ale moje starania spełzły na niczym. Byłem zrezygnowany. Żal mi było życia, bo czy nie lepiej było umrzeć w czasie gorączki, kiedy byłem nieprzytomny? Dlaczego po dwóch latach walki o każdy dzień, o każdą godzinę, mam teraz tak strasznie umierać w komorze gazowej?

Myślami byłem już po tamtej stronie życia. Jako katolicy wierzyliśmy w życie wieczne i do niego przygotowaliśmy się, odmawiając modlitwy, jakie pamiętaliśmy, dodając sobie otuchy i odwagi na naszą ostatnią drogę. I rzecz dziwna, żyłem już życiem przyszłym, nie myślałem nawet o najbliższych i rodzinie, i ciekawa rzecz, nie myślałem w ogóle o mającej nadejść śmierci. To był już stan egzaltacji, stan przeniesienia się duchem ze spraw tego świata w świat inny, piękniejszy, gdzie nie będzie mordów, zimna, bicia, głodu, apeli.

W takim stanie duchowym wychodziłem na drugi dzień do aut, które wywoziły chorych do komór gazowych.

Dzięki interwencji polskich lekarzy-więźniów esesmani dokonali jeszcze raz przeglądu chorych przeznaczonych do komór gazowych, i z grupy około 600 więźniów uratowałem się, jak i około 40 kolegów. To, że żyję i przeżyłem tę okropną selekcję, zawdzięczam w dużej mierze Julkowi *K.* (...). W tym dniu, kiedy wywożono nas do komór gazowych, stał wraz z lekarzami na podwórzu bloku 20 i, widząc mnie idącego w kolejce z innymi chorymi, dawał mi znaki, że jest jeszcze szansa uratowania życia. Pomimo że byłem już przygotowany na śmierć i szedłem do auta obojętnie, to jednak Julek wlał we mnie trochę otuchy, wzbudził iskierkę nadziei, że się może jednak uratuję. Ta zachęta do walki o życie zrobiła swoje. Otrząsnąłem się z tego stanu stagnacji, jakoś uwierzyłem w siebie, uwierzyłem we własne siły, dlatego też walkę o życie wygrałem. Gdyby nie ten zewnętrzny bodziec w postaci zachęty do walki, na pewno pojechałbym do komory gazowej. Ten moment utkwił mi bardzo głęboko w pamięci, gdyż do dzisiejszego dnia bardzo często śni mi się komora gazowa w krematorium, ostatnie chwile przed śmiercią, działanie gazu i ucieczka pod okna (otwory), których w komorach nie było, aby możliwie nabrać jeszcze powietrza. To są sny straszne, okropne, budzę się z uczuciem lęku i strachu, spocony, z bólem głowy. Bardzo często śni mi się przedsionek komory gazowej, do której przymusem pchają mnie esesmani, inne sytuacje związane z egzekucjami, jak szubienica, stryczek na szyi, ściana śmierci" (52).

„Ona opowiedziała mi sen. Widziała swoją czaszkę w głębokiej studni bez wody, owiniętą wężem i dwie kości rąk koło tego. Ja uchodziłam za taką, co wróżyła ze snów, trochę psychologicznie, trochę nauczyłam się od współwięźniarki, Lusi z Lublina (...).

Inna współwięźniarka pyta mnie, czy mogę jej objaśnić sen; jest niespokojna, bo sen był taki straszny. Słuchając jej opowiadania, drgnęłam wprost, ale zachowuję spokój. Wiedziałam od razu, że będzie miała egzekucję, że ją rozstrzelają (...). Potwierdziłam jej, że miała wstrętny sen, zorientowała się sama, że ją rozstrzelają. Chciałam ją uspokoić, mówiąc, że będzie miała dodatkowe przesłuchanie. Chociaż na chwilę myśl o śmierci ją odbiegła (...). Za jakiś czas, może za godzinę, wpada dwóch esesmanów z psem, gonią jak opętani, krzyczą, głośno szukają numeru 7000, taki miała ona numer (...). Stała jak nieżywa, utkwiła wzrok w jednym punkcie, nie reagowała na bodźce zewnętrzne, przeżywała śmierć, nie mówiła już nic, ledwo szła... Zabraną więźniarkę zamknęli do bunkra, egzekucja miała być wykonana nad ranem, następnego dnia, ale w nocy umarła na serce w owym bunkrze (...). Śniła mi się właśnie tej nocy, ogromnie wystraszona, fioletowa na twarzy, z otwartymi ustami, widniały w nich olbrzymie zęby, po prostu kły. Wstałam wystraszona, widziałam ją jak w rzeczywistości" (47).

„Kiedy byłem na bloku 11 w kwietniu 1942 roku, byli ze mną naukowcy z UJ z Krakowa. Rozmowy wieczorne toczyły się najwięcej wokół uchodzącego dnia; analizowano, ile to każdego z nich ominęło nieszczęść, przeszedł jeden dzień, o który już bliżej wolności i upragnionego powrotu do domu. Niestety, tak niewiele dni im zostało... Wszyscy byliśmy pełni lęku, co nam następny dzień przyniesie, czy go przeżyjemy, dla kogo będzie on ostatnim dniem. Był to dzień najgorszy, kiedy staliśmy na dziedzińcu bloku 11. Wyczytano około 150 numerów. Kazano im zostać na dziedzińcu i nie wychodzić do pracy, bo czeka ich transport. Nie wyczytanym kazano wyjść do swoich komand. Poszedłem, lecz czułem coś złego. Co bliżej stojący w szeregu na apelu żegnali się ze mną, głaskali mnie po głowie, jak ojcowie, żegnając słowami: synu, abyś doczekał wolności, byś wrócił do domu jak najszybciej! Mieli nadzieję, że może ich wywożą do lżejszego obozu. Uważali nawet, że ktoś się o nich upomniał, chce pomóc. Rozczulali się nad nami, że musimy tu pozostać (...). Tyle mieli nadziei tuż przed straszną śmiercią (...).

Nastała straszna noc, ale znów przyszedł dzień, w którym nowe ofiary miały oddać swe życie. Tak przeżyłem ponad tysiąc okrutnych dni, z których każdy mógł być ostatnim dniem mojego życia.

Chciałem jeszcze raz rodzinę zobaczyć, pożegnać się z rodzicami. Wydawało mi się, że mam rodzinie tak wiele do powiedzenia, wiele słów podziękowania, że tyle martwili się o mnie. Pragnąłem ostrzec wszystkich bliskich, by raczej wybrali śmierć na wolności niż życie w tych strasznych warunkach obozowych. Po prostu bałem się o swoją rodzinę. Czułem, że gdyby ktoś wpadł i znalazł się przy mnie w obozie, moja troska o jego życie spowodowałaby nieuchronne załamanie i przyspieszyła moją śmierć. Nie zniósłbym cierpień moich braci czy rodziców bez możliwości interwencji. Czułem to w sobie i bałem się, kiedy przybywały transpor-

ty, bym nie zobaczył kogoś bliskiego. Wobec obcych to odczucie było o wiele słabsze, jednakże cierpienia innych odczuwałem zawsze z wielkim bólem i goryczą oraz z pragnieniem odwetu (...). To uczucie dawało mi jednak również siły do znoszenia wielu cierpień (...).

Uważam, że największym niebezpieczeństwem powodującym załamanie psychiczne była właśnie myśl o śmierci, a prawdziwym kryzysem życiowym — przygotowanie do umierania. Wiadomo było każdemu z nas, że stoimy w obliczu śmierci w każdej chwili, w każdym miejscu. Gdy to powodowało przygotowania do umierania, do zakończenia cierpienia, to więzień w szoku kończył w niedługim czasie. Jednak w moim odczuciu im zjawiska nas otaczające przemawiały bardziej za zbliżaniem się końca życia, tym intensywniej umysł mój odbiegał od spraw śmierci, a nawet intensywniej wgłębiał się w przyszłe wartości życiowe.

Kiedy po wyjściu z rewiru, bardzo osłabiony, będąc rano na apelu na bloku 18, otrzymałem kartkę na *Politische Abteilung* we wrześniu 1942 roku, byłem wystraszony, że to koniec. Koledzy mnie pocieszali, że to tylko jakieś wyjaśnienia. Potrafiłem to tak mocno przyjąć za prawdę, że mimo strachu, jaki odczuwałem w każdej komórce i w każdym nerwie, choć drżałem jak nerwowo chory, to ta myśl o wyjaśnieniach była tak silna, że zagłuszyła i wypełniła mój umysł do tego stopnia, że nie było tam miejsca na myśl o śmierci. Na pewno ten moment istniał, ale uważam, że w takiej chwili powstaje próżnia, która jest jakby samoumieraniem (...). W każdym razie praca mózgu była u mnie tak intensywna, że wydawało się, iż wszystkie lata mego życia i wszystko, co mnie otacza, w jednej chwili gromadzi się w mojej głowie i rodzi się z tego tysiące propozycji, możliwości, wyjaśnień itd. Dopiero kiedy zostałem podprowadzony pod *Politische Abteilung* i przedstawiono mi do podpisania protokół gestapo, oskarżający mnie jako niebezpiecznego dla III Rzeszy z powodu działalności konspiracyjnej, zostałem osadzony w obozie koncentracyjnym, a następnie będę oddany pod sąd. Zrozumiałem, że to koniec mojego życia, ale jeszcze nie w tej chwili (...). Postawa, jaka się w tej chwili zrodziła, to nienawiść do funkcyjnych, esesmanów, wszystkiego, co niemieckie (...). Natomiast wobec współwięźniów zazdrość, że oni mają jeszcze żyć, a mnie coś wyrywa, to znowu uczucie błogości, ulgi, braterstwa, że mam tylu przyjaciół, którzy mi dobrze życzą, współczują, radzą, że nie jestem osamotniony i mogę na nich liczyć. Również i w tym momencie znalazłem siłę i złagodzenie napięć przez modlitwę i wiarę w Boga. To mi pozwalało wzbudzić wyobraźnię, przenosić się jak gdyby w świat marzeń i fantazji. Te zjawiska można nazwać balsamem na wyczerpane do granic nerwy i psychikę. Po takim wstrząsie, o dziwo, życie stawało się pewniejsze, a śmierć nie taka pewna. Przeżycie strachu i napięć było jak gdyby hartem dla duszy i ciała. Umacniało w przeświadczeniu, że śmierć da się przeżyć" (34).

Przytoczone relacje nie potrzebują komentarza. Ukazują one w sposób niezwykle jasny i przejrzysty jeden z najmocniejszych psychologicznych mechanizmów obronnych człowieka, znajdującego się w sytuacji krytycznej. Z podobnym mechanizmem wyparcia ze świadomości rzeczywistego niebezpieczeństwa spotykamy się zwykle w stanach najgroźniejszych, jak np. w przebiegu nieuleczalnych chorób lub w sytuacjach, z których nie ma wyjścia. Obecność tego mechanizmu przemawia oczywiście za powagą zagrożenia życia, w jakim znaleźli się więźniowie w obozie w określonych okolicznościach.

W poznaniu psychicznego funkcjonowania człowieka w stanie śmiertelnego zagrożenia pomocna może być również inna relacja byłego więźnia, którą przytaczamy z nieznacznymi skrótami:

„W kwietniu 1945 roku byłem w transporcie przeznaczonym na rozwałkę. W grupie 12 000 więźniów byłem i ja. W odległości jednego dnia drogi od Buchenwaldu wyprowadzili nas na polanę pod lasem i otoczyli karabinami maszynowymi. Więźniów Niemców wcześniej zabrano, a nam kazano położyć się w błoto. Gdy się ściemniało, otworzono do nas ogień z karabinów maszynowych ze wszystkich stron. Nie wiem, jak długo strzelano. Łoskot karabinów maszynowych, krzyki ludzi, bzykanie pocisków z każdej strony, wszystko to wytwarzało złowieszczy tumult. Czekałem, kiedy zostanę trafiony. Czasami wydawało mi się, że już to nastąpiło. Miałem wrażenie, że umieram, bałem się ruszyć, leżałem w błocie i wciskałem się pod kolegę, który, wydawało mi się, zasnął, jednakże jak się okazało nad ranem, nie żył, został trafiony. Później wydawało mi się, że już wszyscy zostali zabici, tylko ja jeszcze żyję, ale miałem takie odczucie, że to tylko chwila, bo już powoli umieram. Nie czułem bólu, ale miałem wrażenie, że jestem solidnie postrzelony. W pierwszych momentach płakałem, żal mi było umierać pod koniec wojny, po tylu cierpieniach. Czułem jakiś żal, że nie umarłem wcześniej, po co było tyle cierpieć. Chciałem krzyczeć, ale coś mi gardło ściskało, by się nie zdradzić, że żyję.

Trudno mi dziś ustalić, ile godzin to wszystko trwało. Wszystko odbyło się w ciągu jednej nocy, strasznej nocy, trwającej wieki. Usłyszałem krzyki, nawoływania, odważyłem się nieco wychylić, zauważyłem jakieś poruszające się postacie. Podniosłem się i ja, nie wierzyłem, że żyję, parę razy uszczypnąłem się, by się przekonać, czy to prawda. Bałem się bardzo, płakałem, bo uważałem, że to podstęp (...). Poszedłem za jakimś podszeptem, coś wewnętrznego mnie pchało, kazało mi iść (...). Okazało się, że z tych kilkunastu tysięcy przeżyło około dwóch tysięcy więźniów, pozostali usnęli na wieki (...). Z tego placu śmierci popędzili nas do obozu Buchenwald. Dotarliśmy tam pod wieczór 4 lub 5 kwietnia. Tam przeżyłem swoją śmierć ponownie" (34).

Relacja ta zasługuje na uwagę przede wszystkim ze względu na jej wartość informacyjną, faktograficzną. Z interesującego nas jednak obecnie punktu widzenia warto zwrócić uwagę na wystąpienie u tego więźnia zaburzeń percepcyjnych polegających na odczuwaniu trafienia pociskiem lub pociskami, podczas gdy w rzeczywistości zranień takich nie doznał. Wrażenie powolnego umierania, znieczulenia całego ciała, sparaliżowania czynności ruchowych i mowy, a także nastawienie urojeniowe i wydłużenie się upływającego czasu — to objawy zaburzeń psychicznych o charakterze reaktywnym, wywołanych grozą przeżytej sytuacji. Przeżycie urazu psychicznego o tak ekstremalnym nasileniu zwykle pozostawia trwały ujemny ślad w ludzkiej psychice, choć w wyjątkowych wypadkach doświadczenie takie może wywrzeć korzystny wpływ.

Znajdujemy tu pomost do jeszcze innego typu postaw człowieka w sytuacji zagrożenia, a mianowicie do postaw heroicznych. Wydaje się, że pierwiastek ten nosi w sobie każdy człowiek, lecz jedynie nieliczni mają możliwość okazać go w całej okazałości. Piekło obozów koncentracyjnych obok skrajnego poniżenia i upodlenia godności człowieka potrafiło również wyzwolić w nim pierwiastki altruistyczne i heroiczne.

Przykładem takich postaw mogą być następujące relacje:

„Tu też zapewne trzeba wymienić znanego mi dobrze więźnia, *Bachledę* (imienia nie pamiętam), starszego już wiekiem, zdaje się prawnika z Katowic, pochodzącego z okolic Zakopanego, który — sam to widziałem — wiosną 1942 roku oddawał swój chleb młodemu więźniowi z 22 bloku. Zapytany, odpowiedział: »Ja jestem stary. I tak nie przetrzymam, a on, młody, może przeżyje«. Nie wiem, co się potem stało z *Bachledą*.

Do bohaterskich zachowań wobec własnej śmierci dołączyć wypada postawę grupy polskich księży, więźniów Dachau. Kiedy w 1944 roku nawiedziła obóz najstraszliwsza z dotychczasowych fala epidemii tyfusu plamistego, a funkcyjni uciekli z bloków, na których przebywali chorzy, i pozostawili tych chorych bez żadnej pomocy i opieki, pewna grupa polskich księży, zupełnie świadoma zagrożenia chorobą i śmiercią, stawała każdego dnia wieczorem przy bramie i prosiła jak o łaskę,

by im pozwolono pójść służyć z pomocą tym nieszczęśliwym chorym więźniom. Poszli. Wszyscy ci księża zarazili się i chorowali, niektórzy zmarli, a wśród nich ks. Stefan *Frelichowski*, przed wojną wikariusz w Toruniu, obecnie kandydat na ołtarze (...).

Jestem do głębi przekonany, że całe tysiące współwięźniów umierało po bohatersku, składając zupełnie świadomie swoje młode życie w ofierze, czy to z miłości do Polski, czy to z pobudek religijnych, czy też z umiłowania jakiejś idei, czy z wszystkich tych powodów razem wziętych. Jakże liczni byli ci bezimienni bohaterowie!" (35).

„Pamiętam przemarsz kilkunastu Ślązaków, którzy otrzymali wyroki śmierci. Kilkunastu młodych chłopców szło piątkami ulicą obozową pod eskortą esesmanów, a jeden z nich dla utrzymania równego kroku komenderował: lewa, lewa. Ponieważ znałem kilku z nich, zapytałem: Hans, a dokąd to wy tak maszerujecie? Odpowiedział mi: Pierunie, sam nie widzisz, że na jedenastka! — Chłopcy ci zostali rozstrzelani, ale ich męstwo i odwaga w obliczu śmierci była dla mnie imponująca. To było coś, czego jeszcze w obozie nie widziałem. Pogarda śmierci, szaleńcza odwaga, to właśnie mi imponowało, a jednocześnie wzbudziło refleksję, że jednak śmierć nie jest taka straszna i jeżeli mnie przyjdzie umrzeć, to chyba zachowam się tak godnie jak oni" (52).

PRZYSTOSOWANIE I OBRONA

Jak w każdej sytuacji trudnej, również w obozie organizm uruchamiał świadomie bądź podświadomie formy zachowania i reakcje psychiczne zmierzające do uniknięcia grożącego niebezpieczeństwa, a przede wszystkim uniknięcia śmierci. Jeśli ktoś, kto nie był w obozie, jest w stanie wyobrazić sobie pojedynczego więźnia, pojedynczą ludzką istotę, która w tych warunkach była zdolna do podjęcia decyzji walki o przeżycie, to niewątpliwie już sam ten akt woli uznać można za heroiczny. Była to bowiem decyzja przeciwstawienia się nie tylko rzeczywistości obozowej, lecz także ideologii jej twórców. W tych właśnie aktach więzień okazywał swą wielkość jako człowiek, niezależnie od tego, jak długo udało mu się przeciwstawiać machinie obozu.

Wiemy już z wcześniejszych rozważań, że tylko taka postawa stwarzała szanse przetrwania. Zarówno zdolności przystosowania się do obozu, jak i umiejętność obrony przed jego zgubnymi mechanizmami decydowały ostatecznie o tym, czy możliwe było przetrwanie obozu. Z relacji byłych więźniów sądzić można, że wiele tych mechanizmów było nieświadomych. Tym można by tłumaczyć ich trudności w znalezieniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego przetrwałem obóz.

W opinii byłych więźniów najistotniejszą rolę w przetrwaniu odegrały umiejętności przystosowania się do warunków obozowych polegające na zachowaniu czujności, bacznej obserwacji aktualnych wydarzeń i umiejętnym unikaniu każdego zbędnego spotkania z funkcyjnymi. Rozwijanie tych umiejętności ułatwiała pewna stereotypowość dyscypliny życia obozowego oraz bezwładność tłumu więźniów, w większości bezwolnych i podporządkowanych tej dyscyplinie. Znalezienie oparcia choćby w najmniejszej nieformalnej grupie więźniów decydowało z reguły o możliwości przetrwania pierwszego, najtrudniejszego okresu.

„Prawie każdy więzień, z wyjątkiem może ewidentnych przestępców, gdy przybył do obozu, nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, co go tu czeka, jak się ustawić, jak postępować, by uchronić się od czyhających wokół niebezpieczeństw i śmierci. Wprowadzenie się do życia obozowego, w atmosferę zbrodni, nienawiści, pogardy i bezwzględności wymagało dłuższego czasu. Zazwyczaj pomagali w tym współwięźniowie oswojeni już z obozem, szczególnie znajomi z tych samych miejscowości czy okolic.

Należało więc po przybyciu do obozu odszukać takich ludzi i być z nimi w kontakcie. Osamotnieni nowicjusze, zdani na samych siebie, mieli nieduże szanse przetrwania pierwszego, zawsze najgorszego okresu. Nie mieli także większych szans ludzie wychowani w »cieplarnianych« warunkach bądź niedoświadczeni życiowo przedstawiciele profesji humanistycznych lub też ludzie o naturze marzycieli, mitolodzy, fanatycy religijni liczący tylko na łaskę bożą, a w ogóle ludzie życiowo niepraktyczni, nie potrafiący się dostosować do danych warunków, gdyż tym wszystkim, co zastali w obozie, byli oszołomieni, nie dopuszczając nawet myśli, że może istnieć piekło na ziemi (...).

Wspieraliśmy więc tych biednych nowicjuszy, uświadamiali, nieśli pomoc. Wpajaliśmy w nich żelazną obozową dewizę, że w obozie trzeba mieć oczy i uszy otwarte, że trzeba baczyć zawsze i wszędzie na niebezpieczeństwo, a cały intelekt poświęcać na to, by nie podpaść, niczym się nie narazić, przeżycia obozowe traktować płytko, posiąść sztukę pozorowania pracy, by zbytnio się nie wysilać, zdobyć ubocznie żywność w drodze »organizowania«, a przed snem nigdy nie rozważać codziennych przeżyć, lecz po prostu spać. Wielu z tych więźniów zaadaptowało się w obozie, lecz ci, którzy nie byli do tego zdolni, uciekali przed rzeczywistością w świat marzeń, fantazji, wyobraźni i mistycyzmu, ulegali w końcu depresji psychicznej i ginęli już w pierwszych tygodniach pobytu w obozie.

Inna rzecz, że część więźniów, w tym także ludzie inteligentni, przesiąkali z czasem atmosferą obozową tak głęboko, że tracili z wolna walory umysłowe na rzecz zupełnego prymitywizmu, wyjałowienia, a czasem animalizmu. Dopiero dłuższy okres rehabilitacyjny po powrocie z obozu przywracał im równowagę duchową i utracone walory umysłowe, choć nie zawsze w całości. Osad okropnych przeżyć stwarzał przy wielu okazjach przykre odium" (1).

„Przyjmując za podstawę stwierdzenie, że w obozie koncentracyjnym nie przewidziano czasu na aklimatyzację i z miejsca trzeba było żyć tam pełnią jego życia i śmierci, dlatego najważniejsze było, z jakim ładunkiem wrażliwości czy odporności rozpoczynało się więźniarską wegetację.

Zdawałoby się, że po takim »przemieleniu« moich uczuć, jakiego dokonano na gestapo, stanęłam przed oświęcimską bramą w pełni przygotowana, zahartowana i zdolna do spokojnego odbierania wszystkich obozowych wrażeń, że stępiono we mnie wrażliwość, a wzmocniono stan zobojętnienia. To miało nastąpić później, pod wpływem wyczerpania fizycznego, ale na razie niczego co ludzkie nie zgubiłam po drodze. Zabrałam ze sobą do obozu.

Przykład, jakiemu poświęcę kilka zdań, może potwierdzi moją tezę, że pobyt w więzieniu nie stanowił pomostu pomiędzy wolnością a obozem koncentracyjnym. Więzienie i obóz koncentracyjny — to były dwa różne piekła, dwa różne makabryczne światy. Spojrzenie na obóz koncentracyjny jako na »fabrykę śmierci« zależało w dużej mierze od struktury psychicznej przywiezionego i od tego, z jakim przygotowaniem tu przybył. Inaczej na pewno odbierał to samo zjawisko więzień po torturach i śledztwie, inaczej ten z łapanki ulicznej, a jeszcze inaczej ten, którego przywieziono tu umęczonego do granic w zaplombowanym wagonie (...). Reagowanie na całokształt życia za drutami zależało również od wartości etycznych więźnia" (2).

Jeden z więźniów, ksiądz, sporządził listę „przykazań" praktycznych, których przestrzeganie mogło w znacznym stopniu ułatwić przeżycie obozu. A oto wybrany fragment tych zaleceń:

„Przede wszystkim starałem się nie podpaść. Polegało to na tym, że: 1. W obozie lub przy pracy unikałem bezpośredniego spotkania z esesmanami czy funkcyjnymi. Oczywiście trzeba było to czynić niespostrzeżenie. 2. Polecenia starałem się wypełniać. Kiedy zauważyłem, że zlecono mi coś dlatego, aby mi dokuczyć, by mnie upokorzyć lub zadręczyć, zaciskałem zęby, skupiałem wszystkie siły, powtarzałem sobie: »pokażę ci, że polski ksiądz i to potrafi«. 3. Jeżeli to było możliwe, markowa-

łem pracę. Jednakże nie uznawałem markowania pracy, jeżeli pracę nie wykonaną przeze mnie musiał wykonać inny współwięzień (...). 4. Starałem się nie podpaść z szafką i łóżkiem (Dachau), a także jeżeli chodziło o czystość osobistą i mojego ubrania, chociaż z tym były poważne kłopoty (...). 5. Jak wielu współwięźniów, tak i ja przy pierwszym uderzeniu esesmana starałem się upaść na ziemię. Zadowolony z tak skutecznego ciosu, esesman często poprzestawał na tym, dołożył jakiegoś kopniaka i odchodził. Jeżeli więzień uporczywie trzymał się na nogach, zwyczajnie był bity póty, dopóki nie osłabł i z osłabienia nie upadł, czasem tracił przytomność. 6. Niezmiernie ważną obroną przed wyniszczeniem było wyszukanie sobie komanda roboczego, gdzie by można było zorganizować coś do jedzenia. Oczywiście że tylko ograniczona liczba więźniów mogła pracować w tego rodzaju komandach roboczych. Równie ważną sprawą było postaranie się o komando robocze, gdzie praca wykonywana była pod dachem i więzień nie był narażony na zmiany atmosferyczne" (36).

Skuteczna okazywała się metoda stawiania sobie celów krótkoterminowych, na najbliższy dzień, godzinę, aby przeżyć dzisiejszy dzień, aby przetrwać noc.

„Uważałem, aby nie być znanym ani wyróżnianym, aby nie być pierwszym, ani ostatnim, unikałem wtedy razów, nie podpadałem. Byłem człowiekiem religijnym, wierzącym. Ułatwiało mi to na pewno utrzymanie spokoju, stanu pogodzenia się, a zarazem nadziei" (17).

„Tego nikt nie jest w stanie zrozumieć, uwierzyć i wyobrazić sobie, różnego rodzaju kombinacji więźniów przed groźbą śmierci, kto tego nie przechodził i sam nie był więźniem obozu koncentracyjnego. Co to jest stała niepewność i wewnętrzna walka, obawa, strach o swoje życie. Stałe ocieranie się o grożącą śmierć na każdym kroku, szukanie różnych, czasem ryzykownych, czasem niebezpiecznych przedsięwzięć, sposobów polepszenia warunków obozowych, obrony przed śmiercią" (41).

„Przez całe pięć lat obozów ustawicznie patrzyłem śmierci w oczy, pomimo to wzdychałem, aby do jutra, aby do rana noc przespać, aby do wieczora dzień przeżyć, a za każdy przeżyty dzień z ulgą dziękowałem Bogu i prosiłem o jutro. Tak upłynęło mi 1648 dni w Oświęcimiu, 26 dni w Buchenwaldzie, 77 dni w Mittelbau, 13 dni transportu, 17 dni Ravensbrück, 2 dni w Malchow — razem 1783 dni w obozach i 42 dni w więzieniu, tj. 1825 dni, czyli 5 lat, gdy lufy karabinów skierowane były w moją stronę i jedno skinienie palcem mogło w każdej sekundzie przyprawić mnie o śmierć" (18).

Ten skrupulatny zapis odliczania każdego przeżytego dnia świadczy o niezwykłym uporze i koncentracji wszystkich sił na przeżycie obozu.

„Każdy dzień rozpoczynałem z tym wielkim strachem, czy to nie ostatni dla mnie dzień. Wszystko się we mnie napinało do jednego działania: obrony i walki o przeżycie tego dnia. Perspektywą nie były lata, miesiące, czy nawet tygodnie. Najdłuższy okres przede mną — to był dzień, a czasem nawet minuty i sekundy. Trudno przelać na papier to, co działo się w mojej psychice. Jedno było pewne, że wszystko, co we mnie żyło czy decydowało o życiu, koncentrowało się wokół jednego zagadnienia, jak przeżyć, a jeżeli umrzeć, to jaką śmiercią. W chwilach gdy mogłem spokojniej pomyśleć, szukałem we wspomnieniach bohaterów czy to z historii, czy z podań ludowych, a nawet z bajek dziecięcych. Chciałem znaleźć coś dla siebie do naśladowania, wierzyć, że odniosę takie zwycięstwo jak mój bohater.

Gorzej znosili takie chwile więźniowie, którzy w nic nie wierzyli. Mnie wierzącemu było łatwiej znosić ten okres wyczekiwania i napięcia. Modląc się przed rozpoczęciem dnia grozy, wierzyłem w nadziemską pomoc. Godziłem się w duchu na ewentualną śmierć (...), modliłem się zawsze o przetrwanie tych strasznych dni i powrót do rodziny, do swoich na wolności (...). Starałem się być przygotowany na śmierć, choć modliłem się o życie i przetrwanie. Pomagało mi to tak w samopoczuciu, jak i w kontaktach z kolegami. Miałem jakiś spokój sumienia, a zarazem siłę trwania" (34).

Uczucia religijne i wiara w Boga, choć w obozie poddane bywały nieraz bardzo ciężkiej próbie, stanowiły bardzo istotny element obronny.

„W chwilach wolniejszych od pracy, w czasie apeli porannych, modliłem się. Wracałem myślami do dzieciństwa, naiwności religijnej, pragnąłem jakiegoś znaku od Boga, który zechciałby wysłuchać prośby człowieka znajdującego się w krańcowej sytuacji. Nadzieja, że to nastąpi, że jest jakieś dobro, koiła cierpienia. Cała rzeczywistość jednak temu przeczyła. Obraz esesmana, który na klamrze pasa miał wypisane słowa *Gott mit uns*, batem oprawiającego skazanego, powolne z premedytacją wykańczanie muzułmanów gasiły nadzieję. Boga utożsamiano z pojęciem dobra i piękna, przypisywano mu ojcostwo pełne dobrego serca. Bóg milczał i bezradnie przyglądał się poczynaniom istot stworzonych na swoje podobieństwo. Ta cała myślowa i uczuciowa konstrukcja religijna nie wytrzymywała próby obozowej (...). Podaję te przeżycia jako jeden przykład więcej na to, że obozowa atmosfera utrudniała ucieczkę w krainę marzeń, nie pozwalała wznieść się wyżej, by zapomnieć o tragicznej rzeczywistości. Możliwe, iż u więźniów o silnej, utrwalonej wierze oderwanie się w ekstazie od rzeczywistości było możliwe. Ci byli szczęśliwsi. Modlitwa biegła zygzakiem, sinusoidą. Nad osią wzloty ostro wyidealizowane, pod osią zwątpienia i załamania. W sumie bezradność, splot nieuporządkowanych myśli i uczuć" (5).

„Czym wyżej sięgały stosy ciał, tym dalej biegła moja myśl za druty. Marzenia ratowały mnie przed załamaniem, dodawały moralnej siły. Wolna myśl biegła daleko ku pasmom sinych gór rysujących się na horyzoncie. Mój świat marzeń był mi bardzo pomocny w moich rozpaczach, tęsknotach, rozczarowaniach, przywracał umierającą nadzieję, sycił pięknymi wizjami, koił wspomnieniami o mamie, siostrach, domu, wolności.

Modliłam się w lagrze o powrót do domu, nigdy nie wpadałam w dewocję czy ekstazę. Przyrzekałam Bogu być dobrą w lagrze, nie przeklinać, czasami się korzyłam, jednak nie za bardzo, w miarę (...). Byłam pewna, że na wolności moja mama modli się do Boga, tak jak należy się modlić, bez zuchwalstwa i pychy, a Bóg, nawet gdyby nie zechciał dla mnie, to dla mamy to zrobi, że wrócę. Wróciłam. Ta zmiana względem Boga powstała w gestapo, w dniu, w którym do cna zbuntowana i zrozpaczona, krzyczałam: Bóg i ludzie mnie opuścili. Coś załamało się we mnie, zacięłam się, postanawiając, że więcej nie będę o nic prosiła. Nie chciałam nic nikomu zawdzięczać. Dość szybko (...) ukorzyłam się przecież, przepraszając Boga za ten jawny i zuchwały bunt. Znowu zaczęłam się modlić, ale już coś tam w głębi pozostało, już nie byłam pokorna, przybrałam postawę walczącą" (44).

„Istotnym czynnikiem obronnym był również mój idealistyczny światopogląd. Wiara w Boga, w Jego ingerencję w moje życie była o wiele żywsza, bardziej intensywna aniżeli przed aresztowaniem. Z przykrością, ale gwoli prawdy stwierdzić mi wypada, że była również bardziej żywa, aniżeli obecnie (...). Dlatego też z pokorą i jakąś dozą rezygnacji, a równocześnie — co stanowi paradoks — z nadzieją, że do tego nie dojdzie, przygotowywałem się w Mysłowicach na śmierć. Wyspowiadałem się w nocy i potajemnie przystąpiłem do Komunii św. podczas mszy odprawionej w celi" (13).

„Ja w pomoc Bożą wierzyłem i jedynie Bóg mnie uratował od śmierci, tak śmiało mogę twierdzić" (36).

„Aż do lata 1943 roku nie wierzyłem, że przetrwam obóz i nie wiem, czy w tym okresie ktokolwiek w to wierzył. A jednak, podświadomie, czepiała się człowieka ta nadzieja, bo gdyby jej nie było, gdybym jej zupełnie nie miał, pewnie bym się załamał i wykończył.

Zwłaszcza w tym najtrudniejszym okresie obozowego życia moją zasadą było przeżyć rozpoczęty dzień. Nie myśleć o tym, co będzie jutro, za tydzień, za miesiąc, za rok. Każdy dzień przyjmować jako dar Boży.

Nie stwarzałem sobie żadnych iluzji. Jedyną ucieczką od rzeczywistości było zamykanie się chwilami w świat wewnętrzny, w świat modlitwy, chociaż i ten kontakt z Bogiem nie był pozbawiony swoistych obozowych trudności. A już zupełnie nie było u mnie ekstaz, zachwytów, owszem, była modlitwa, niejednokrotnie trudna, pełna pytań i pretensji do Boga, ale i pełna pokory i pełna wdzięczności za każdy przeżyty dzień.

Jedno mnie zawsze urzekało: jednoczenie się w cierpieniu ze zbawczą Golgotą Chrystusa dla odkupienia ludzkości, właśnie z tych dokonujących się na moich oczach zbrodni. Im więcej o tym myślałem, tym więcej uznawałem potrzebę tej trudnej ekspiacji" (35).

Zdolność ucieczki od rzeczywistości obozowej, umiejętność psychicznego wyłączenia się choćby na moment od otaczającego koszmaru, mechanizm „autyzmu obozowego", opisany przez Kępińskiego (1971) — wszystko to okazywało się pomocne w utrzymaniu równowagi i odporności psychicznej.

„Muzułman przy 40 kilogramach ciężaru ciała w siedemnastym roku życia, na skutek wielomiesięcznego głodu i stałego stresu jest pusty w środku. Czy tylko muzułman? Gdy stałem się prominentem (*SS-Küche*), chyba patrzyłem na to tak samo. Człowiek obojętnieje nie tylko na śmierć obcych, najbliższych, lecz chyba i na swoją. Reakcja moja np. na wieść od Mietka, kapy z krematorium, iż wczoraj spalił mojego kuzyna, była taka, jak bym usłyszał, że spalono zupełnie obcego mi człowieka. Zamykasz się w swoim światku, otaczasz powłoczką nieświadomości i żyjesz wyobraźnią. Czepiasz się bez ustanku jednej myśli: przeżyję to piekło (...). Do tego trzeba mieć jednakże myśl przewodnią, po drugie — zdrowy system nerwowy, wiarę i jeszcze raz wiarę! Ślepą, dziecinną wiarę! Obojętnie, w co! Dziś to rozumiem: »wiara góry przenosi«! Niechaj to będzie wierzenie w Boga jako istotę rządzącą naszymi losami, może to być wiara w słuszność sprawy, w zwycięstwo, np. komunizmu nad faszyzmem, obojętnie, w co. Byle była idealna i gorąca do ostatniego tchnienia" (38).

Obok wiary pomocna była zdolność do fantazji i marzeń. U niektórych więźniów osiągała ona możliwość przeżywania stanów derealizacyjnych.

„Na wyniszczenie psychologiczne — poza przeżywanym strachem o własne życie — wpływała cała atmosfera obozowa, codzienne stykanie się ze śmiercią współwięźniów, metody postępowania i wypowiadania przez esesmanów, kapów i różnego rodzaju i autoramentu współwięźniów, rekrutujących się ze środowisk kryminalnych. Ciasnota obozowa, stłoczenie ludzi z różnych środowisk, terror elementów przestępczych — wszystko to działało ujemnie na psychikę, wszystko obliczone było na wyniszczenie więźniów.

Życie w tych warunkach na dłuższą metę byłoby niemożliwe, gdyby jednostki i cała grupa nie stosowały mniej czy więcej wyrozumowanych metod obronnych. Należało do nich przede wszystkim grupowanie się więźniów i udzielanie sobie pomocy. Krajanie podtrzymywali się wzajemnie rozmowami na temat bliskiego końca wojny i klęski Niemiec. Wystarczała byle wiadomość, często nie sprawdzona plotka, być może kolportowana z premedytacją przez tych, co zdawali sobie sprawę, że stanowi jakieś antidotum na psychiczne załamania, frustrację i abnegację. Plotki tego rodzaju napawały nadzieją i dodawały sił do przetrwania. W prowadzonych rozmowach wracało się do miejsc rodzinnych, do lat szkolnych, wspomnień przeżytych przygód, ba, wiele było rozmów na temat przyjęć, uczt, doznań kulinarnych, co w sumie pozwalało na oderwanie się od rzeczywistości i przenoszenie się do wyidealizowanej przyszłości (...).

Do mechanizmów obronnych stosowanych przeze mnie, wówczas chyba podświadomie, należał świat marzeń i fantazji. Leżąc na swym obozowym wyrku, potrafiłem się pogrążyć w jakimś wyidealizowanym świecie przyszłości i zapomniałem całkowicie o otoczeniu, ba, gubiłem czasami kontakt z otoczeniem do tego stopnia, że powrót do rzeczywistości wymagał jakiegoś wysiłku umysłowego. Pogrążałem się również w jakimś świecie fantazji, w którym doznania były tak silne, że z trudem przychodziło mi uświadomienie sobie, że wszystko to było nierealne. Do częstych należało szybowanie w powietrzu, unoszenie wbrew prawom fizyki, co było nad wyraz przyjemnym doznaniem, a tak intensywnie przeżytym, że jeszcze dziś w zakamarkach świadomości kryją się tamte wspaniałe doznania" (13).

„Życie w wyobraźni było niejednokrotnie przysłowiową deską ratunku. Marzyło się o wszystkim, co dotyczyło wolności. Więzień fantazjował, stwarzał sobie i opowiadał najbliższym o sytuacjach, z jakimi spotykał się na wolności, delektując się najdrobniejszymi szczegółami. Więzień głodny gotował w wyobraźni, rozważał z upodobaniem sposoby przyrządzania i smaki potraw. Jakże często przysłuchiwałem się opowiadaniom o wspaniałym smaku ziemniaków z przysmażoną na maśle cebulką. Ucieczka w marzenia kompensowała na niby braki obozowego życia. Zdarzało się jednak, że ucieczce w przeszłość towarzyszyły chorobliwe natręctwa. Do dziś widzę w pamięci więźnia w średnim wieku, pracującego na kobiecym lagrze przy drodze, i słyszę jego słowa powtarzane każdemu przechodzącemu obok: »a ja mam mądrą żonę i dwoje pięknych dzieci«" (8).

„Dziś, kiedy wspominam te wypadki, budzi się we mnie rodzaj jakiegoś zdziwienia, że jeszcze żyję. Rodzą się też pytania, dlaczego ja żyję, jeżeli tak wielu i często tak wartościowych ludzi zginęło. I jakieś w związku z tym zawstydzenie, że to mnie spośród tysięcy pozwolił Bóg przetrwać, doczekać wyzwolenia i tyle jeszcze lat żyć i pracować na wolności (...). I jakaś obawa, aby tego życia nie zmarnować" (35).

Wyczerpanie się zdolności adaptacyjnych w krótkim czasie prowadziło do załamania się więźnia, tak fizycznego, jak i psychicznego. Skrajną formą takiego załamania była w obozie sylwetka „muzułmana". Początkiem tego stanu była rezygnacja.

„Dopiero rezygnacja, spowodowana nadludzkim cierpieniem, wyniszczeniem biologicznym, powodowała zanik walki o życie i zobojętniała więźniów wobec zbliżającej się śmierci. Jednak i w takim wypadku nie występowało przygotowywanie się do umierania, prawdopodobnie z braku sił na reagowanie na to, co wokół się dzieje lub będzie się działo. Jednak gdy tylko zjawił się minimalny odruch wzmacniający, to nawet konający człowiek dźwigał się, chciał uciec przed śmiercią" (34).

„Regresja (...) występowała z zasady u więźniów o bardzo niskim poziomie intelektualnym, kulturalnym i moralnym. Ta postać bezwzględnej walki o życie nosiła znamiona przestępstw. Wcześniej czy później znajdywała swój epilog w przymusowej izolacji, jeśli nie w śmierci. Rezygnacja była poddawaniem się śmierci. Zrezygnowany więzień tracił wiarę w sens walki o życie, nie szukał sposobów dalszego trwania. Stracił całkowicie nadzieję w jakikolwiek sens życia, cel i możliwości przeciwstawienia się piekielnym represjom w obozie. Ginął w jakikolwiek sposób i byle gdzie" (8).

Tak więc pytanie, jak to się stało, że przeżyłem obóz, jest kluczowe w rozważaniach nad problemem życia i śmierci. Pytanie to nurtuje zresztą nie tylko badaczy, lecz także byłych więźniów. Jak różnorodna może być odpowiedź na nie, przekonali się autorzy ankiety rozesłanej grupie byłych więźniów obozu oświęcimskiego. Z otrzymanych odpowiedzi wynika, że na szanse przetrwania obozu składały się takie czynniki, jak hart fizyczny i psychiczny, sprzyjające postawy ideowe i emocjonalne, zwłaszcza patriotyczne, uczucia religijne, wiara w przetrwanie obozu, poczucie więzi grupowej w obozie, zdolność do ucieczki od rzeczywistości obozowej, a także inne cechy osobowości, jak pogodne usposobienie, koleżeństwo, altruizm, zdolności praktyczne, znajomość języków obcych itp. (*Jagoda* i wsp., 1977).

Zamieszczone wyżej relacje byłych więźniów uzasadniają wniosek, że w przetrwaniu obozu bardzo istotną rolę odegrały także umiejętności przystosowania się do systemu obozu, a zwłaszcza do codziennych przeciwności i udręk. Szanse te zwiększała więź społeczna i przynależność do jakiejkolwiek grupy nieformalnej.

O przeżyciu obozu decydowały też pewne mechanizmy patologiczne w procesie przystosowania:

„U przeważającej liczby więźniów — jak pisze *Teutsch* — nastąpiło w okresie pierwszych 3—6 miesięcy pobytu w obozie odwrażliwienie, zobojętnienie uczuciowe, osłabienie reakcji emocjonalnej na różne urazy życia obozowego". A więc to, co by w normalnym życiu traktowane było jako zjawisko patologiczne, w obozie stało się „fenomenem przystosowawczym, pomocnym w znoszeniu warunków życia obozowego, chroniącym człowieka przed upadkiem, załamaniem i zgubą" (*Teutsch*, 1964).

Na zakończenie tego rozdziału warto przytoczyć cenne uwagi jednego z amerykańskich znawców problematyki obozowej, Paula *Chodoffa*, na temat psychicznych mechanizmów przystosowania do obozu. Polskiemu czytelnikowi przybliżył tę pracę Antoni *Kępiński* w artykule zatytułowanym „Homo homini lupus est" (*Kępiński*, 1971; *Chodoff*, 1970). Mechanizmy te są następujące:

— zachowanie typu regresywnego (np. infantylizacja),

— identyfikacja z agresorem (np. naśladowanie zachowania funkcyjnych obozowych, przyjęcie ich hierarchii wartości itp.),

— zaprzeczenie i izolacja uczucia (np. niedostrzeganie koszmarnej rzeczywistości obozu, zwłok, dymu z kominów krematorium itp.),

— wyładowanie agresji w formach zastępczych, np. w marzeniach sennych.

Do niektórych z tych zagadnień powrócimy jeszcze w dalszych rozdziałach.

SELEKCJA

W życiu obozowym były chwile, kiedy jeden gest, jeden ruch ręki lub palca decydował o życiu lub śmierci więźnia. Decyzje te zapadały na tzw. rampie, w miejscu, gdzie więźniowie opuszczali wagony kolejowe po przywiezieniu do obozu. Tutaj odbywała się „selekcja", tj., jak wiadomo, podział na tych, którzy mieli umrzeć zaraz po przywiezieniu do obozu, i na tych, którym w zamian za udrękę w obozowych warunkach darowano jeszcze jakiś czas życia. Tych drugich było na ogół niewielu, a kryterium tego podziału była ewentualna przydatność więźniów do wykonywania pracy.

Mimo wyczerpania transportem zagłodzeni, brudni i zastraszeni więźniowie na ogół szybko orientowali się na rampie, czym jest to miejsce i co oznacza selekcja. Tutaj trzeba było przejść co najmniej przez dwie udręki: rozdzielenia z bliskimi lub rodziną, a następnie przejść przez samą selekcję. Na rampie zmieniały się dwa zasadnicze parametry ludzkiego życia: czas i decyzja. Czas przyszły skracał się i przez to nabierał niezwykłej wagi i intensywności. Zagrożenie śmiercią zmuszało do szybkiej i właściwej decyzji. Problem ten ujął trafnie *Kępiński*, pisząc:

„... nie było czasu na zastanawianie się, jaką drogę wybrać, na medytowanie, co lepsze, co gorsze. Trzeba było działać szybko, gdyż wahanie często kończyło się śmiercią. Nie można było się mylić: fałszywa decyzja też mogła oznaczać śmierć (...). Bliskość śmierci sprawia, że decyzje stają się ważne; błędne mogą oznaczać śmierć, właściwe — zwycięstwo nad nią. Wszystkie inne, które nie odnoszą się bezpośrednio do walki o życie, stają się zbyteczne. Występuje redukcja form zachowania się do zasadniczych, związanych z walką o życie" (*Kępiński*, 1968).

Warto więc podjąć próbę spojrzenia na to, co działo się podczas selekcji na rampie, z różnych punktów widzenia: selekcjonowanych i selekcjonujących, a także oczami więźniów, którzy mieli możliwość obserwowania selekcji z perspektywy pobytu w obozie.

Zacznijmy od tej ostatniej propozycji:

„To, co utkwiło mi jeszcze głęboko w pamięci, to sceny z selekcji do gazu, jakie miały miejsce na rampie w Oświęcimiu. Pracując w kartoflarni, dla częściowej zmiany klimatu pracy oraz poznania bliżej obozu wybrałem się jako jeden »z koni pociągowych rolwagi« po kartofle zakopcowane tuż przy rampie kolejowej, na którą przybywały transporty Żydów i na której dokonywano selekcji do gazu (...).

Chcąc dostać się do kopców z kartoflami (...), należało przejechać przez całą rampę. Akurat w tym dniu przybył na rampę transport Żydów i wyładowywano go, jednocześnie selekcjonując. Przejeżdżaliśmy z rolwagą przez sam środek tego »piekła«. Rampa szczelnie otoczona była esesmanami, z psami, które niesamowicie ujadały. Tłum kobiet, dzieci, mężczyzn i starców w nieładzie defilował przed zbirami esesmanów ze srebrnymi i złotymi epoletami na naramiennikach płaszczy, którzy stojąc, władczo ruchem ręki kierowali poszczególne osoby, w zależności od wieku czy sprawności fizycznej, do *gazkamery* i ognia, względnie dawali im możliwość jeszcze kilku dni życia.

Ofiary nie wiedziały jeszcze, co je czeka, ale przeżywały rozstanie się z małymi dziećmi lub starymi rodzicami, dziadkami itp. Płacz i jęk ofiar i górujący nad wszystkim krzyk i wrzask esesmanów, którzy siłą i pejczem rozdzielali oporne rodziny, przy jednoczesnym ujadaniu psów oraz widoku nisko snujących się nad ziemią dymów z niezbyt odległej stąd Brzezinki — dopełniały atmosfery »sądu ostatecznego« *übermenschów*. Rampa zasłana była porzuconymi rzeczami osobistymi, pakunkami, walizkami i torbami, bielizną, pieniędzmi i kosztownościami, po których, mocno pochyleni, deptaliśmy, ciągnąc na pasach przerzuconych przez tułów rolwagę załadowaną już ziemniakami. Powróciłem do obozu z silnym bólem głowy, roztrzęsiony, wzbogacony o nowe doświadczenie, z postanowieniem niewychodzenia więcej na zewnątrz obozu" (46).

Selekcje były stałym repertuarem funkcyjnych obozowych, służącym do dziesiątkowania więźniów. W języku obozowym nazywały się one wybiórkami. Zawsze budziły postrach, nie tylko u tych, którzy zostali „wybrani" na śmierć, ale w całej populacji więźniów.

„Selekcja — to coś okropnego, to ogromna walka psychiczna, trudna do odtworzenia i opisania (...). Jeszcze w tej chwili na jej wspomnienie krew w żyłach mi krzepnie, a skóra przybiera wygląd gęsiej skórki. Stojąc wówczas na tym apelu myślałem, jak potoczy się mój los. Czy znów mój wygląd zewnętrzny, czy też wyraz twarzy nie spodoba się selekcjonerowi i zostanę skierowany pod szubienicę, czy też los szczęścia uśmiechnie się do mnie (...). Zdaje mi się, a raczej jestem pewny, że nie było mi obojętne, czy nie przyjdzie mi zginąć (...). Złowieszcze słowa »dowolna ilość« miały swą tragiczną i śmiertelną wymowę, ofiary musiały być, ale kto z nas, nie wiedzieliśmy.

Żaden zdrowo myślący człowiek, a nawet uczony, nigdy nie zrozumie, co to jest selekcja, wybiórka na śmierć. Nie jest w stanie wczuć się w psychikę więźnia, w toczącą się w nim wewnętrzną walkę o życie. Najokropniejszy moment — to skierowanie na niego wzroku przez selekcjonera, kiedy ważą się losy życia, oczekiwanie ruchu palca lub słowa *raus*, które decydowały o śmierci lub pozostawieniu przy życiu. W momencie zbliżania się selekcjonera żaden z nas nie był pewien, jaką podjąć decyzję i jak się zachować. Czy lepiej było patrzeć wprost, bezczelnie w jego mordercze spojrzenie, mówiąc pospolicie: drwić z życia, czy też opuścić wzrok i nie zetknąć się z jego spojrzeniem lub też swoim spojrzeniem wzbudzić litość, szukać łaski darowania życia. Bo raz było lepiej patrzeć bezczelnie w ich zbrodniczy wzrok, innym zaś razem było to źle. Lecz któż mógł odczytać ich zamiary i myśli? To była wewnętrzna walka psychiczna, nieporównywalnie gorsza i cięższa od każdej walki frontowej i ona pozostawiała w nas na zawsze głębokie piętno i nieuleczalny uraz psychiczny.

Podczas tego apelu stałem chyba w szóstym szeregu, w chwili zbliżania się do mnie niby na pozór zachowałem spokój, starałem się być obojętny na to, jak potoczą się moje losy, jednakże nogi mi drżały, poczułem strach, jak kiedyś w Oświęcimiu. Umysł pracował dość świadomie, zdawałem sobie jasno sprawę, że w tej właśnie chwili ważą się losy mego życia. W głowie momentalnie wszystko mi zawirowało, rzuciłem krótkie spojrzenie w jego oczy i znów na moment wzrok skierowałem w dół, i znów na stojących naprzeciw mnie esesmanów. Ich spojrzenia czułem aż w głębi serca, zapanowała we mnie chwila jakby bezmyślności, nie wiedziałem przez moment, co się dzieje wokół mnie i czy ich wzrok spoczywał jeszcze na mnie, czy w ogóle jeszcze stoją przede mną. Nie jestem w stanie odtworzyć tego, co działo się w moim umyśle. Po chwili jakbym wrócił do świata, wszystko mi wirowało, cały obóz, otaczające szczyty gór kręciły się wokół lagru, jak w karuzeli wesołego miasteczka. Minęli mnie i stojących obok mnie dwóch kolegów — odetchnąłem z wielką ulgą; i tym razem byłem uratowany...

W tym apelu wybrano kilkunastu kolegów, postąpiono z nimi jak z poprzednimi, ciała załadowano na samochód i odwieziono do miejscowego krematorium... Po apelu rozeszliśmy się na swoje bloki i przez kilka dni w obozie panował nastrój ogólnego przygnębienia" (41).

Niewiele jest bezpośrednich relacji więźniów o ich doznaniach w czasie selekcji, warto więc przytoczyć opis selekcji prowadzonej przez komendanta obozu oświęcimskiego, Rudolfa *Hössa*, po ucieczce kilku więźniów:

„Po apelu wieczornym nie było rozkazu »rozejść się«. Wszyscy stoją na swoich miejscach. *Lagerkomendant* po otrzymaniu meldunku od *rapportführera* kieruje swoje kroki wraz z całą świtą w naszą stronę. Blokowy daje komendę: *Stillgestanden!* [Baczność!] Stoimy wszyscy wyprężeni jak struny, w równych szeregach, dziesiątkami, jeden za drugim. Należałem do wyższych wzrostem i stałem w dziesiątym szeregu. Komendant obozu, wysoki, w zielonkawym płaszczu skórzanym, idąc na czele świty, lustruje niedbałym wzrokiem ludzi w pierwszym szeregu, ale tak, że zatrzymuje wzrok na ułamek sekundy na każdym więźniu. W połowie szeregu, tj. przy trzydziestym piątym mniej więcej, kieruje palec wskazujący prosto w piersi stojącego więźnia i momentalnie daje ręką znak: wyjść! Wskazany zostaje chwycony w mocne ramiona esesmana i odprowadzony przed szereg.

Po zlustrowaniu pierwszego szeregu robią na komendę wszyscy trzy kroki naprzód, czyniąc tym samym miejsce dla dawcy śmierci i jego świty. Ta sama ponura ceremonia — i znowu pada rozkaz: wyjść! A *Höss* nie spieszy się... Powoli, jak na spacerze, przechodzi raz w prawo, raz w lewo i wskazuje palcem najczęściej tego, który może najwięcej trzymał się nadziei pozostania przy życiu. Już siedem szeregów zostało przeglądniętych. Sześciu więźniów stoi na uboczu. W miarę zbliżania się zbira do ostatniego szeregu napięcie nerwowe wzrasta do punktu kulminacyjnego. Zdaje się, że serce pęknie. Nogi uginają się w kolanach, drżące ręce przywierają mimo woli mocniej do ud. Trudno złapać oddech. Chciałoby się mieć czapkę niewidkę lub bodajże skamienieć na miejscu, by raz uwolnić się od tej zmory (...).

Już oto dochodzi do sąsiada stojącego po mojej lewej ręce. Chwila namysłu w oczach przybysza, już unosi dłoń i opuszcza ją, kierując spojrzenie w moje źrenice. Przez ułamek sekundy poczułem się jak na skalnej krawędzi. W tym momencie nastąpił przełom. Zapragnąłem wprost, by na mnie wskazał palcem. Nie pójdę jak »baran na rzeź«, lecz pomszczę siebie i innych. I tak zginę. Wyzywającym spojrzeniem spoglądam prosto w jego twarz, przygotowany na jego decyzję. Zdawało mi się, że przesłonił powiekami oczy...

Tym razem uniknąłem śmierci. Jako dziewiąty został wybrany drugi ode mnie z prawej strony..." (*Stryj*, 1965).

Powróćmy ponownie do relacji uzyskanych od ankietowanych więźniów.

„Jakiś czas mieszkałem na bloku 18A, gdzie mieszkało komando *Tierpfleger* [opiekunowie zwierząt]. Jeden więzień zbiegł z tego komanda i zastępca *lagerführera*, *Schwarz*, wybierał dziesięć osób do bunkra na śmierć głodową. Wybierał dość dokładnie, tylko gorzej wyglądających, chudych i słabych (...). Blok stał w dziesiątkach dość długo na apelu, trwało to kilka godzin. Był grudzień, padał deszcz ze śniegiem. Byliśmy przemokięci i zziębnięci całkowicie. *Schwarz* przeszedł przed frontem bloku, zlustrował pierwszy szereg, potem blokowy polecił, aby pierwszy szereg wykonał trzy kroki w przód i *Schwarz* przeszedł przed drugim szeregiem. Potem drugi szereg dołączył do pierwszego, *Schwarz* zlustrował trzeci szereg i w ten sposób przeszedł wszystkie szeregi, cały blok.

Za pierwszym razem wybrał do bunkra siedmiu więźniów, wobec tego postanowił przegląd bloku i przechodził przed każdym z nas po raz drugi w ten sam sposób, by wybrać brakujących mu trzech więźniów. Przy tym ostatnim przeglądzie wybrał czterech więźniów, a jednego z poprzednio wybranych cofnął. Jak wiem, przeżył on obóz i po wojnie wrócił do kraju. Pozostałych dziesięciu odprowadzono do bunkra, gdzie po kilku dniach zmarli śmiercią głodową. W ten sposób praktykowano wówczas zbiorową odpowiedzialność za ucieczkę więźnia z obozu.

Schwarz, wybierając tych dziesięciu, długo mi się przyglądał; był to najsłabszy dla mnie okres w obozie i mogę powiedzieć, że wtedy śmierć koło mnie dwukrotnie przechodziła! To prawda, że podobnie jak inni byłem wówczas zmoczony i zziębnięty i chciałem, by to, co ma się stać, wszystko jedno co, aby się stało i aby nie trzeba było już dłużej stać na tym deszczu (...). Kilkakrotnie zastanawiałem się nad tą chwilą w moim życiu, wtedy jednak było mi absolutnie obojętne, czy mnie *Schwarz* wybierze do bunkra, czy nie (...), takie było wtedy moje bezpośrednie odczucie w obliczu zagrożenia" (42).

„Pod koniec pobytu w obozie w 1944/45 roku odbywały się apele selekcyjne poszczególnych bloków. Kilku esesmanów podchodziło do każdej dziesiątki, stawali i skinieniem palca wywoływano więźniarki, te wiedziały, że idą do komina...

Stoję druga, obok moja siostra Janina, trzecia obok — to więźniarka z Wilna. Stanął przede mną, po prostu zatrzymał się przed naszą dziesiątką, a to już źle, bo niektóre rzędy mijał bez niczego. Patrzy na mój numer, mruczy, kiwa głową. Ja w tej chwili nie myślę absolutnie o niczym, stoję martwa, modlę się w duchu: Boże, pozwól mi jeszcze przeżyć, wrócić do Polski, do rodziców, do moich progów rodzinnych. Poprawiam nerwowo okulary, a moja siostra za mną, kryje mnie, jak ciebie weźmie — mówi — ja pójdę z tobą, wrócimy obydwie albo pójdziemy razem do komina. Grozi nam bezpośrednio śmierć. Współwięźniarka obok mnie stale powtarza: »może mnie weźmie, oj, on mnie weźmie«. Esesman parę minut wskazywał palcem to na mnie, to na nią, to znów na mnie, tak nas męczył. Patrzyłam mu prosto i bystro w oczy, jak tylko mogłam, moment, odwraca się ode mnie, zatrzymuje palce na stojącej obok mnie, tej z Wilna, wyciąga ją..., idzie dalej, mówię, jej, co chciałabyś, abym załatwiła..., esesman odszedł trochę dalej i jak jastrząb upatruje nowej zdobyczy..., ona jednak nie czyniła żadnych przygotowań na śmierć, w jednej chwili straciła orientację, że żyje..." (47).

„Stojąc w kolumnie w czasie selekcji, które nam urządzano niemal co tydzień, nacierałam dłońmi policzki, prostowałam ramiona, żeby stworzyć pozory »tryskającej zdrowiem« jednostki i uratować się od wyciągnięcia mnie przez *Hesse* czy inną *aufzjerkę* »do gazu«. Tak robiły wszystkie, prawie wszystkie, które z walki o życie nie zrezygnowały. Do dziś nie umiem pojąć, dlaczego takim obojętnym wzrokiem patrzyłam na stojące przed kolumną wyselekcjonowane. Starałam się nie patrzeć na nie, nie widzieć, jakbym już skreśliła je z listy żyjących. Albo jakbym zdała się myśleć: to jeszcze nie ja, ja jeszcze żyję i dzisiaj będę żyła, może do drugiej selekcji. Może do trzeciej... A one tak stały spokojnie, bez żadnego odruchu, bez buntu, bez próby ratowania się jakąś prośbą, błaganiem o darowanie im życia. Skąd takie otępienie? — zadaję sobie dziś pytanie (...). Ani dymiące krematoria, ani masowe morderstwa, choć mrożące krew w żyłach, nie zdołały nas generalnie załamać i odebrać nam wolę walki o życie i przeżycie (...). Myśmy posiadały broń, o której się nawet twórcom zagłady ludzkości nie śniło (...).

Pomylili się twórcy obozów koncentracyjnych sądząc,

że wystarczy człowieka upodlić, poniżyć, odebrać mu wszystko, co ludzkie, postawić go w jednym szeregu ze zmarłymi, odebrać mu wszystkie prawa, a zapragnie człowiek śmierci i zgłosi się »na ochotnika« na zagładę (...). Tymczasem bytowanie w obozie, w powietrzu przesiąkniętym śmiercią, równoważone było nieprzepartą chęcią życia i dążeniem do celu, by go mimo wszystko osiągnąć. Dlatego na śmierć i umieranie w obozie koncentracyjnym musiałam patrzeć zgoła inaczej niż w normalnych warunkach" (2).

Co przeżywał selekcjoner rozdający skinieniem palca wyroki śmierci na tysiące, może setki tysięcy istnień ludzkich? O czym wtedy myślał, co czuł, patrząc w oczy zalęknionemu śmiertelnie więźniowi? W zrozumieniu tego problemu będą pomocne dwie refleksje, które zamieszczamy poniżej:

„Na lewo idą najpiękniejsze młode dziewczęta lub doskonale, silnie zbudowani młodzieńcy. Na prawo posuwa się przeważająca większość, w nich starcy, kaleki, dzieci, matki z niemowlętami. Nie wiedzą, że w tej chwili zapada na nich wyrok, stworzony przez prawo hitlerowskie.

Esesmani dokonujący selekcji bywają pijani, pijani wódką i bardziej jeszcze czymś innym. Bo to nie jest zwykła rzecz tak stać na wzgórzu i rozdawać gestem dłoni śmierć — śmierć, śmierć — Życie — śmierć, śmierć, Życie — idącym nieprzerwanie tłumom. Wzrok nieuważnie prześlizguje się po nadchodzących, zmęczona dłoń automatycznie porusza się w prawo, w prawo, w prawo, w lewo, w prawo, w prawo, w lewo, a myśl tymczasem rozkoszuje się obliczeniami (...). Brylanty, brylanty! Zapewniona spokojna starość i dostatnie życie. Dostatek dla żony na całe życie. I dzieciom — całe życie — całe życie.

(...) Życie, życie — śmierć, śmierć, śmierć, śmierć, życie, na prawo, na prawo, na lewo..." (*Szmaglewska*, 1975).

„Najłatwiej wyobrazić sobie przeżycia tych, którzy ostateczny wyrok ferowali. Może chwilami czuli się oni w roli Boga na sądzie ostatecznym, ale raczej byli tym wszystkim znużeni i znudzeni. Wierzyli, że w ten sposób spełniają swój obowiązek oczyszczania rasy, spieszyli się, bo myślami byli już gdzie indziej, po ciężkim obowiązku czekała ich zwykle libacja, alkohol spłukiwał ślady wyrzutów sumienia. Decydujący o życiu ruch ręki był raczej kwestią przypadku niż przemyślenia; co dziesiątemu czy co dwudziestemu można było darować życie (...).

Ci, co na rampie decydowali o życiu i śmierci tysięcy ludzi, z wszelkim prawdopodobieństwem poczucia odpowiedzialności za ich los nie mieli lub mieli je w sensie negatywnym jako poczucie odpowiedzialności za to, by sprawnie zlikwidować tych, którzy w ich pojęciu byli zakałą ludzkości. Trzeba chyba przyjąć, że cierpieli oni na patologiczny brak wyobraźni. Inaczej ruch ręki nie przychodziłby im z taką łatwością. Działali na zasadzie automatu: byle więcej, byle szybciej (...). Człowiek idealnie sprawiedliwy nie patrzy na człowieka, o którym decyduje, swoimi oczyma, ale z punktu widzenia norm, których jest przedstawicielem.

Idąc tokiem tego rozumowania, można by dojść do absurdalnego wniosku, że w sytuacji na rampie człowiekiem »idealnie sprawiedliwym« był lekarz *SS*, który ślepo trzymał się norm zleconych mu przez przełożonych: najsilniejsi do obozu, wszyscy inni do gazu; ze swej decyzji wyłączał on wszelkie momenty subiektywne, zwłaszcza emocjonalne, i działał jak automat. Otóż absurdalność takiego wniosku zdaje się tkwić w tym, że człowiek normalnie nie jest zdolny do decyzji absolutnie sprawiedliwych i że nie może zasłonić sobie oczu jak przysłowiowa Temida (...). Wszystkie czynności psychiczne związane z taką decyzją odbywają się kosztem dużego zaangażowania uczuciowego" (*Kępiński*, 1968).

Warto jeszcze przytoczyć relację więźnia Niemca, który brał udział w „przygotowaniu" grupy 320 osób skazanych na śmierć w komorze gazowej jako odwet za ucieczkę kilku więźniów:

„Nigdy nie zapomnę tego momentu, gdy pod groźbą karabinów krępowaliśmy drutem kolczastym ręce idących na śmierć Polaków. Esesmani sprawdzali, by ściągnąć kleszczami drut tak, żeby kolce wlaziły głęboko w ciało. Krew tryskała fontanną z krępowanych rąk, ale z ust męczonych Polaków nie wypłynęła żadna skarga, ba, nawet z twarzy wielu nie można było wyczytać, czy cierpią, tylko nienawiść i pogarda dla hitlerowskich oprawców malowała się w ich oczach. Cisza męcząca zalegała plac kaźni, nawet *SS*-oprawcy nie śmieli jej przerwać, gestami przynaglając nas do pośpiechu. Poszli na śmierć ludzie młodzi bez skarg i złorzeczeń, bez skomleń i próśb — umierali jak bohaterowie. Tak to chyba tylko Polacy umrzeć umieją i słuszną niewątpliwie musiała być sprawa, za którą ginęli" (*Cegłowska*, 1975).

Pewne światło na przeżycia psychiczne oprawców wydających i realizujących wyroki śmierci w obozach mogą rzucić wspomnienia i pamiętniki, jakie oni pozostawili. Np. Rudolf *Höss* w swoich „Wspomnieniach" (1960) zanotował:

„Wiosną 1942 roku setki zdrowych ludzi przechodziły pod kwitnącymi drzewami owocowymi (...) do komór gazowych na śmierć. Ten obraz budzenia się życia i przemijania dziś jeszcze stoi mi przed oczyma".

W notatkach lekarza *SS*, *Kremera*, poczynionych w obozie oświęcimskim, czytamy między innymi:

„2 IX 1942, 4. O godzinie 3. byłem po raz pierwszy obecny przy akcji specjalnej (*Sonderaktion*). W porównaniu z tym piekło Dantego wydaje mi się prawie komedią. Nie darmo nazywają Oświęcim obozem zagłady (...). W południe byłem obecny przy akcji specjalnej z obozu kobiecego (muzułmanie). Najstraszliwsze ze strasznych. *Hauptscharführer Thilo* (lekarz załogi) miał rację, mówiąc dzisiaj do mnie, że znajdujemy się tutaj w »odbycie świata« (*anus mundi*)" (*Sehn*, 1962).

Jest zdumiewające, że większość funkcjonariuszy nie przeżywała poczucia winy w związku ze zbrodniami popełnionymi w obozach koncentracyjnych. Problemowi temu poświęcił dogłębne studia *Jakubik* (1975).

Podjął badania nad tym zagadnieniem także *Lifton* (1980), usiłując zrozumieć, w jaki sposób naziści skłonili lekarzy nie tylko do nadzorowania masowych mordów, lecz czynnego w tym udziału; sformułował on pytanie, „w jaki sposób wprzęgnięto medycynę w służbę śmierci". *Lifton* dotarł do sporej grupy lekarzy niemieckich, mieszkających obecnie w Austrii i RFN, którzy uczestniczyli bezpośrednio lub pośrednio w różnych zbrodniczych praktykach. Tylko nieliczni spośród nich mają dziś poczucie winy za to, co zrobili w obozach. *Lifton* pisze: „twierdzę, że w hitlerowską maszynę śmierci zostali wciągnięci »krok po kroku«, niejako podstępnie, ale przecież wykonywali eksperymenty pseudomedyczne, brali udział w selekcjach w Oświęcimiu, zabijali... Lekarz, który nadzorował stosowanie cyklonu w Oświęcimiu — oto szaleństwo kompetencji".

Zadawanie śmierci w czasie wojny lub walki zbrojnej zwykle rodzi określone konflikty natury moralnej, których rozwiązanie wymaga długiego czasu, a nieraz pozostawiają one ślad na resztę życia. Konieczność zabijania, a zwłaszcza wykonywanie wyroków, nie było jednakowo odczuwane przez wszystkich. Odmienne refleksje, odmienne uczucia u walczących powodowane były różnymi okolicznościami i różnymi sposobami zadawania śmierci. Od warunków obozowych odróżniał je jednak element walki, walki z przeciwnikiem również uzbrojonym, przy zachowaniu

pewnych reguł tzw. gry wojennej. W obozach nie była to walka, lecz mordowanie milionów bezbronnych ludzi. Nic więc dziwnego, że w psychice zbrodniarzy musiał pozostać ślad inny niż w psychice żołnierzy czy uczestników ruchu oporu. Zagadnieniom tym poświęciła interesujące studium Małgorzata *Melchior* (1981).

W BLOKU ŚMIERCI

Przerażenie i lęk przed śmiercią osiągały największe nasilenie u więźniów, którzy bezpośrednio po trafieniu do obozu zostali skierowani do bloku śmierci. Wiadomo było przecież, że stamtąd nikt nie wychodził żywy; zdarzały się jednak wyjątki. Niektórzy więźniowie kilka razy trafiali do bloku śmierci, nim ostatecznie tam zmarli. Są i tacy, którym los pozwolił nie tylko przeżyć blok śmierci, lecz doczekać się wolności; bardzo nieliczni z nich żyją jeszcze dziś. Im zawdzięczamy relacje na temat tego, co działo się w bloku śmierci, na czym polegało to skrajne „zagęszczenie się" atmosfery śmierci i umierania w obozie.

„Tutaj zobaczyłem na dziedzińcu kilka trupów z rozbitymi czaszkami, z których wypływał mózg (...). Wtedy zrozumiałem, że to są zabici przez *genickschussy* więźniowie i przerażenie mnie ogarnęło takie, że stałem prawie nieprzytomny ze strachu przed tym, co mnie tu czeka. Trupy te były złożone na jednej kupie, miały wyszczerzone zęby, a ich pasiaki były zalane krwią.

W bloku panowała złowróżbna cisza i charakterystyczny smrodek zaciągniętych terem podłóg. Kiedy umieszczono nas w celi 20 w piwnicy, usiedliśmy w milczeniu na posadzce (...). Słychać było tylko kroki dyżurnego esesmana, monotonne jak tykanie zegara. Po pewnym czasie zjawił się esesman z arkuszem w ręku i wyczytał nazwisko jednego z kolegów... Myśmy nadal milczeli. Po pół godzinie wywołany więzień wrócił, a my odetchnęliśmy z ulgą, że nie jest jeszcze tak źle, kiedy się stamtąd wraca (...). Siedzieliśmy jak martwi i czekaliśmy na swą kolej (...). Kolega siedzący obok mnie modlił się żarliwie, szepcząc zdrowaśki (...). Groza położenia nie pozwalała nam zasnąć, mimo że byliśmy wyczerpani transportem, odwszawianiem, zdobywaniem wyrzucanych nam przez okno 26 bloku łachmanów etc. (...). Kiedy już ułożyliśmy się na posadzce, rozległy się nawoływania z parteru i wnet esesman wywołał moje nazwisko.

Nogi miałem z gumy, lecz wyszedłem na parter, gdzie oślepiło mnie światło mocnej żarówki. Wszedłem do izby przesłuchań, gdzie na powitanie dostałem w twarz i upadłem (...). Strach skrępował mi usta, a ponieważ otrzymałem uderzenie bykowcem, byłem gotów podpisać protokół. Lecz *gefreiter* spytał, czy przyznaję się do winy. Jeśli tak, jutro będę »załatwiony«. Instynkt samozachowawczy kazał mi zaprzeczyć (...). Znalazłem się w swojej celi, gdzie towarzysze byli już pogrążeni we śnie. Teraz zapragnąłem już śmierci, nie mając siły ni odwagi na dalsze badania. Ba, żebym umiał się modlić, może przyniosłoby mi to ulgę.

Lecz kiedy znów przypomniałem sobie, jak żałośnie wyglądały zwłoki na dziedzińcu 11 bloku, ogarnęła mnie panika, zapragnąłem żyć i ocaleć za wszelką cenę (...). Dalsze przesłuchania już znalazły mnie odporniejszym. Codziennie słyszeliśmy z naszej celi głuche wystrzały w piwnicy bloku 11 w umywalni (wtedy nie było jeszcze ściany śmierci). Widzieliśmy trupy współwięźniów ciągnionych na nogi z piwnicy na dziedziniec i to utrzymywało nas w ciągłym napięciu i niecierpliwym oczekiwaniu: albo tak, albo tak... Z naszej celi rozstrzelano dwunastu do końca naszego tam pobytu i już zaczynaliśmy się oswajać z myślą o śmierci. Nie wydawała się nam już taka straszna. Po dwudziestopięciodniowym tam pobycie, gdy wyszliśmy z bloku jedenastego, nawet niesamowitość życia obozowego wydawała się nam sielanką..." (43).

„... cała nasza trzynastka otrzymała wyrok śmierci i zamknięto nas w celi śmierci na bloku 11. Wszyscy dostaliśmy takiego szoku, że początkowo nikt nie potrafił wykrztusić ani słowa. Po ochłonięciu z tego pierwszego szoku w tej ciemnej celi teraz następowały szlochy, płacz, zgrzytanie zębami, przekleństwa, modlitwy, rozmyślania, wspominanie najbliższych, rodziców, rodzeństwa, dzieci... Każdy był zajęty własnymi myślami i sprawami. Ja także się modliłem, rozpacz mnie brała, kiedy myślałem o żonie i dzieciach, którzy we wrześniu 1939 roku zostali wyrzuceni z mieszkania (...). Te rozmyślania przyprawiły mnie o duże boleści wewnętrzne, które potęgowały się, kiedy rozważałem nad niesprawiedliwością (...). Straszna była to noc w tej celi śmierci, bo wszyscy byliśmy pewni, że rano będzie egzekucja. Chyba z tego całego zmęczenia i od tych wewnętrznych boleści wystąpiło u mnie jakby zobojętnienie na taką śmierć.

W pewnym momencie usłyszeliśmy gong na pobudkę. Niedługo potem usłyszeliśmy na korytarzu kroki, coraz głośniejsze. Ktoś z naszych powiedział, jeszcze ciemno, a już po nas idą. Zgrzyt klucza w zamku i drzwi celi otwierają się..., lecz wchodzi blokowy i mówi: »macie szczęście, idziecie do karnej kompanii«. Było to około dwudziestego kwietnia 1942 roku. W karnej kompanii musiałem odbyć tę swoją karę, sześć nocy bunkra stojącego" (20).

„W czasie dwutygodniowego (13—28 maja 1942 roku) przebywania w bunkrze 11 bloku posłyszałem w dniu 27 maja strzały: wyprowadzano kolejno z bunkrów po czterech więźniów na dziedziniec i rozstrzeliwano (...). Do przerwy obiadowej rozstrzelano 168 więźniów. Po południu wywołano z bunkrów dalszych więźniów w liczbie dwudziestu i postawiono nas przed ścianą śmierci. Wszystko wskazywało, że nastąpi dalszy ciąg masakry. Czekaliśmy długo, nikt się nie zjawiał. Czekanie wydawało się wiekiem. Trudno dziś odtworzyć stan duchowy i to, co przeżywało się w tamtych dłużących się chwilach, trudno wyrazić ten stan słowami. Była to jakaś mieszanina żalu (do świata), rozpaczy, a równocześnie mobilizowanie woli, by ująć się w ryzy, opanować uczucia i zachować twardą postawę. Przemożny instynkt życia dawał o sobie znać i uporczywie podsuwał błyski nadziei, że nie nastąpi najgorsze, bo nas jest dwudziestu naraz, a nie czterech (...).

Czekanie trwało długo, aż zjawił się tylko blokowy i pisarz. Odczytano nasze numery i odprowadzono nas z powrotem do bunkra. Następnego dnia wywołano tych dwudziestu i skierowano nas do karnej kompanii" (29).

„Siedziałem w bloku jedenastym w bunkrze. Wtedy nie liczyłem na wyjście z życiem, bo stamtąd mało kto wychodził. Nie wiem, jakim cudem się stało, że z tego bunkra zostałem odwieziony do Brzezinki, do karnej kompanii (...). Wydaje mi się, że przeżyłem obóz przez jakiś cud. Przed śmiercią chroniło mnie to, że miałem przeczucie, że przeżyję to piekło ..." (3).

„Na bloku 11 w Oświęcimiu, gdzie cały nasz transport z Tarnowa umieszczono, widziałem po raz pierwszy »ścianę śmierci«, przy której rozstrzeliwano więźniów; na ziemi były ślady świeżej krwi, która spływała wyżłobionymi w ziemi rowkami (...) do najbliższego kanału. Patrzyliśmy ze zgrozą na tę krew, była ona dla nas lekcją wszystkiego, czegośmy się mogli spodziewać i co nas właściwie czeka. Często wracałem później myślą do tego obrazu i odtwarzałem sobie przypuszczalny stan wewnętrzny tych ludzi, którzy ten etap już przeszli i byli dla nas strasznym memento" (6).

Z oświęcimskim blokiem śmierci i selekcjami wiąże się postać ojca Maksymiliana Marii *Kolbego*, który wybrał dobrowolnie śmierć głodową, by uratować życie innego skazanego na śmierć więźnia. Prawdopodobnie trzeba było takiego spiętrzenia zła i nienawiści człowieka, jak w oświęcimskiej kaźni, by człowiek mógł ujawnić przeciwstawny biegun swoich ludzkich możliwości — absolutny altruizm. Akt ojca Maksymiliana nie był odosobniony. Spośród innych przykładów warto wymienić zmarłego 27 kwietnia 1941 r. w bunkrze nauczyciela fizyki z gimnazjum neoklasycznego im. Odrowążów w Chorzowie, Mariana *Batkę*, który nawet wyprzedził ojca *Kolbego*, a o którym pisze między innymi Adam *Kozaczka* (1977):

„Gdy w (...) 1941 roku sam Rudolf *Höss* osobiście wybierał 10 więźniów jednego z bloków na rozstrzelanie, wtedy Marian *Batko* (nr obozowy 11795), nie objęty tym wyborem, widząc wśród wybranych swego byłego ucznia ze wspomnianej szkoły, zgłosił się w jego miejsce i... za kilka [cztery] dni już nie żył."

Ojciec *Kolbe* został wyniesiony na ołtarze, a cela, w której zmarł, jest miejscem szczególnych pielgrzymek. Hołd, jaki złożył w tej celi papież *Jan Paweł II* podczas wizyty w Polsce w 1979 roku, był hołdem symbolicznym, złożonym też innym podobnym, a bezimiennym bohaterom i wszystkim ofiarom wojny i obozów koncentracyjnych. Zatrzymajmy się jeszcze raz nad myślami Karola *Wojtyły*, wypowiedzianymi z tej okazji:

„Cały świat widzi w tym oświęcimskim zwycięstwie ojca Maksymiliana Marii, naszego rodaka, wielki znak nadziei. Bo przecież w tych czasach, w których powstają tak wspaniałe warsztaty pracy, przemysłu, techniki i cywilizacji, jest sprawą ogólnoludzką, ażeby człowiek nie został pokonany. Dlatego też z radością witamy ten znak zwycięstwa człowieka w duchu miłości, zwycięstwa nad nienawiścią. Witamy ten znak przewagi miłości nad nienawiścią w czasach, w których nienawiść okazała się niestety tak potężna" (*Wojtyła*, 1979).

W pierwszą rocznicę beatyfikacji ojca *Kolbego* Karol *Wojtyła* wypowiedział ogólniejsze refleksje związane z obozem oświęcimskim:

„Oświęcim jest miejscem, które ma swoją groźną wymowę nie tylko w dziejach naszego narodu, ale także w dziejach innych narodów i całej współczesnej ludzkości. Jest w tej wymowie jakaś przerażająca miara pogardy dla człowieka, miara możliwości zdeptania człowieka, która otwiera się wówczas, gdy na miejsce przykazania miłości życiem i współżyciem ludzi zaczyna władać jakkolwiek sformułowany imperatyw nienawiści. Czy te możliwości wygasły? Czy likwidacja obozu oświęcimskiego oznacza pod każdym względem ich kres?" (*Wojtyła*, 1979).

Do innego jeszcze rozumienia gestu ojca *Kolbego* może służyć refleksja wypowiedziana przez *Toynbee'go:* „Wierzenia różnią się zasadniczo, lecz ich wyznawców łączy jedno wspólne pragnienie. Wszyscy chcemy w momencie rozstania się z tym życiem pozostawić możliwie najczystszą kartę naszego zdrowia duchowego, jakie może osiągnąć człowiek" (*Toynbee*, 1973, s. 266).

EKSTERMINACJA DZIECI

W początkowym okresie wobec dzieci stosowano politykę całkowitej eksterminacji. Dzieci kierowano do komór gazowych, palono w specjalnych dołach, zabijano fenolem, a noworodki topiono. Dzieci przywiezione z Zamojszczyzny uśmiercano zastrzykami fenolu. W późniejszym okresie niektóre dzieci dostawały się do obozu, wiele przyszło na świat w obozie. Ich los, znany zresztą z literatury oświęcimskiej, był na ogół tragiczny.

Uzyskaliśmy jedynie kilka relacji o losie i traktowaniu dzieci w obozie. Przytaczamy je z nieznacznymi skrótami:

„Jakie były wstrząsające sceny, gdy esesman rozbijał o mur lub drzewo nowo narodzone dziecię! To było więcej niż wyrafinowane morderstwo cielesne. Na widok tego matki załamywały się, rwały włosy na głowie lub popełniały samobójstwo. Te wyczyny rozwydrzonych i pijanych esesmanów i lekarzy *SS* najczęściej miały miejsce na rampie kolejowej w Oświęcimiu, przy wyładowywaniu transportów więźniów i dokonywaniu selekcji" (36).

Jak przebiegała selekcja tych dzieci, można sobie wyobrazić na podstawie relacji zawartej w książce Józefa *Wnuka* „Losy dzieci polskich w okresie okupacji hitlerowskiej":

„W czasie przeprowadzania selekcji dzieci esesmani zakładali pręt na wysokości 120 cm. Wszystkie dzieci, które pod prętem tym przeszły, szły na spalenie. Wiedząc o tym, małe dzieci wyciągały, jak tylko mogły, swoje główki do góry, aby w ten sposób znaleźć się w grupie zachowanych przy życiu. Dzieci instynktownie przeczuwały, co je czeka" (*Wnuk*, 1980).

„Maleńkie, nieszczęśliwe istotki, urodzone w naszym, siedemnastym bloku, umierały samotnie, leżąc owinięte w ligninę; żydowskie dzieci umierając cicho piszczały. Wszystko to działo się na oczach wszystkich. to było najtragiczniejsze (...).

Maleńkie, nowo urodzone dzieci umierały, a tyle kobiet, tak wiele matek było obecnych i nic się nie działo. Jakie to dziwne, jaki inny musiał być czas. Że życie było takie bezwzględne, nawet w pierwszych godzinach poczęcia" (44).

„Przed III i IV krematorium, które były oddalone około 100 metrów od naszego szpitala, obserwowaliśmy, jak esesmani rozbijali o drzewa główki dzieciom, które krzyczały ze strachu, że idą do krematorium. Gdy samochody zwoziły zwłoki z wagonów, to jeszcze między trupami byli żywi ludzie, gdyż przy kiprowaniu do dołów palących się zwłok za każdym razem słyszeliśmy przez parę sekund przeraźliwy krzyk" (45).

„Dla maleństw 5—6-letnich Niemcy nawet gazu oszczędzali. Z licznych transportów maleńkie dzieci zabierano matkom i wywrotkami przewożono pod dopalające się stosy i tam wysypywano je wprost do ognia i żywcem palono" (34).

Nic dziwnego, że śmierć dzieci wywoływała wśród więźniów szczególnie dotkliwą reakcję psychiczną:

„Wiedziałem, że te dzieci, idące na blok 20 przez podwórze, szły do gabinetu *Klehra*, który uśmiercał je zastrzykami z fenolu. Starsze dziewczynki, 12—15 letnie, które prowadziły młodsze, też wiedziały, że idą na śmierć, ale zachowywały się po bohatersku: nie płakały, nie lamentowały, wprost przeciwnie, zabawiały młodsze dzieci, aby im osłodzić ostatnie chwile przed śmiercią. Śmierć tych niewinnych istot przepełniła nas okropnym żalem, ale jednocześnie bólem połączonym ze wściekłością, że jesteśmy bezradni i musimy patrzeć biernie, jak giną dzieci. Zupełnie inaczej podchodziłem do problemu śmierci w obozie nas, więźniów, tych, którzy działali w konspiracji, którzy dali z siebie wszystko, a inaczej — do śmierci niewinnych istot, które nie wiedziały, co to okupacja i cieszyły się życiem, zabawkami, a tu u progu ich życia stanęła straszliwa śmierć..." (52).

Funkcyjni obozowi nie powstrzymywali się w stosowaniu tortur nawet wobec dzieci. Szczególnie drastyczny przykład opisuje w swych zeznaniach Stanisław *Jankowski* (1971):

„Innym razem *Mohl* znalazł u pewnego młodego chłopca z naszej grupy kilka pierścionków i zegarek. Zatrzymał tego chłopca w krematorium; wsadzili go do pieca, podpalili papierosami, następnie wyjęli z pieca, powiesili za ręce, katowali i przesłuchiwali, by dowiedzieć się, skąd ma znalezione przy nim rzeczy. Oczywiście powiedział wszystko, zdradził więźnia, od którego te rzeczy dostał. Wtedy oblali go do pasa benzyną i podpalili, a następnie kazali mu uciekać w stronę drutów. Tam go zastrzelili" (*Jankowski*, 1971).

Bardzo niewiele dzieci urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w obozach koncentracyjnych przeżyło. Stwierdzamy dziś u nich szczególnie głębokie ślady obozowego stresu. Podsumowując badania psychologiczne przeprowadzone w takiej grupie dzieci, *Sarnecki* stwierdza:

„Nic więc dziwnego, że wśród badanych jest tak częste poczucie krzywdy, żalu i pewne wyobcowanie. Psychika każdego z nas ukształtowana jest w stereotypy składające się z podobnych elementów. Dla każdego z nas lekarz oznacza ratunek, matka bezpieczeństwo, ale nie dla tych dzieci. Biały kitel znaczy śmierć, dorosły znaczy głód, mundur znaczy ból, matka jest przeznaczona na śmierć, nowa sukienka oznacza przeznaczenie do gazu. Nawet kwiaty i wiosna nie zwiastują życia, lecz zagładę" (*Sarnecki*, 1966).

Piętno obozowej patologii odziedziczyło drugie pokolenie, a znawcy przedmiotu nawet i w trzecim pokoleniu dopatrują się pewnych odchyleń, które wiążą się z obozową przeszłością ich dziadków. W tej sytuacji trudno dziś uznać problem za zamknięty.

ŚMIERĆ „MUZUŁMANA"

Istotę ostatniego stadium choroby głodowej w obozie, zwaną „zmuzułmanieniem", najdobitniej określił S. *Jagielski:* „muzułman jeszcze za swego życia przekroczył próg umierania" (*Jagielski*, 1968).

„Muzułmanin", czy raczej „muzułman", jak się mówiło w obozie, spolszczając niemieckie *Muselmann*, oznaczał więźnia tak wychudzonego i wyniszczonego do granic możliwości, że zdawało się, iż życie w nim wygasło niemal całkowicie. Określenie to powstało zapewne przez skojarzenie z derwiszem. W tej formie utrwaliło się już dostatecznie w naukowej terminologii lekarskiej. W obozie na Majdanku używano określenia „gamel", a w Ravensbrück — *Schmuckstück* (ozdóbka). Warto zacytować Dawida *Rousseta* (wg *Kamińskiego*, 1964): „w organizmie »muzułmanina«, wycieńczonym do ostateczności, wygasała ostatnia iskierka życia; w chwilę potem ciało się osunęło. Żywy trup stał się trupem martwym".

O śmierci muzułmana w obozie pisało wielu autorów, głównie byłych więźniów. Poniżej przytaczamy kilka takich opisów.

„Ktokolwiek ją widział, nie zapomni jej straszliwego widoku do końca życia. Była to śmierć chyba najokropniejsza z okropnych. Śmierć bezbronnych ludzi, doprowadzonych w straszliwej prostracji do ostateczności. Śmierć bezlitosna, ale szarpiąca serce nawet po latach niemym wyrzutem, że tak właśnie ginęły bezimiennie tysiące naszych braci i sióstr, skutych jedną niedolą. A ci, co przeżyli, często nie mogli zdobyć się nawet na najmniejszą pomoc lub złudę litości i współczucia. »Muzułmani« umierali, nie znajdując nieraz nawet cienia miłosierdzia w naszych spopielonych już sercach i pustych, bezsilnych już rękach. Umierali bez słowa skargi, ale ich oczy, obrócone w naszą stronę, mówiły najokrutniejszą prawdę o traceniu przez nas człowieczeństwa, z którego byliśmy tak dumni i z którym przyszliśmy do tego piekła z tamtego, innego świata" (*Sterkowicz*, 1969).

„Zastanawiając się nad specjalnie nieszczęśliwymi więźniami, zwanymi »muzułmanami«, doszedłem na podstawie swych spostrzeżeń do wniosku, że »zmuzułmanienie« powodowała najczęściej słaba wola, niezaradność i wyolbrzymiały ciągły strach przed śmiercią, co w konsekwencji załamywało psychicznie takich więźniów, a z kolei odbierało im zdolność do walki z przeciwnościami życia obozowego. »Muzułmanin« zawsze chodził jak nieprzytomny i nie był zdolny do rzeczowego myślenia. Z wycieńczenia słaniał się na wyschniętych piszczelach, a wobec niebezpieczeństwa zachowywał się całkiem biernie (...). I rzecz dziwna »muzułmanin« zamiast współczucia budził obrzydzenie, bo rzeczywiście jego sylwetka przypominała wyglądem odrażające widmo. »Muzułmanie« należeli do najbardziej poniewieranych przez los więźniów obozowych, w których strach przed śmiercią wypalał świadomość rzeczywistości. Pozbawieni zmysłu spostrzegawczości, nie potrafili »lawirować« i unikać uderzeń. Byli bici przez esesmanów, blokowych, izbowych, »kapów«, zamiataczy — słowem, przez każdego, kto dysponował jakąkolwiek władzą obozową. Ginęli wszędzie: w czasie marszu, podczas pracy, w barakach, w klozetach, w kanałach; padali od kopniaków, od pałki, z wycieńczenia, z głodu, bo nie potrafili »organizować«. Wśród nich obfite, śmiertelne żniwo zbierały też choroby.

Jak wegetacja, tak i śmierć »muzułmanów« była podła i ohydna. Najchętniej umierali oni w samotności, gdzieś w kącie, by chociaż śmierć mieć spokojną. Na domiar swego nieszczęścia nawet przeczuwali swoją bliską śmierć. Z takim przeczuciem wlekli się w poszukiwaniu ustronnego miejsca, lecz rzadko tam docierali, bo na drodze natrafiali na esesmana lub jakiegoś sadystę-kapo i jedno uderzenie kolbą lub pałką przyspieszało nieuchronną śmierć (...). Nic więc dziwnego, że więźniowie, znający okropny los tych najnieszczęśliwszych, całą siłą woli starali się, aby nie zostać »muzułmanem«" (*Fedorowicz*, 1969).

„Muzułman znajdował się w stanie zamierania także i pod względem psychicznym. Normalne zainteresowanie otoczeniem zanikało w coraz większym stopniu, aż w końcu wygasało także zainteresowanie własnym losem. W tym stanie muzułman bardzo niewiele różnił się od zmarłego i rzeczywiście nieuchronna śmierć dosięgała go zupełnie niepostrzeżenie. Po prostu zasypiał" (Obóz koncentracyjny..., 1960, s. 60).

„Zastanawiające jest, jak razem z postępującym wyniszczeniem, mimo ciągłej walki o byt, ginął gdzieś poprzedni lęk przed śmiercią. Stawała się ona wraz z upadkiem sił obojętna, a później nawet upragniona, jako jedyna już wybawicielka z ciężkich katuszy, z których wydawało się, że nic już nie jest zdolne wyzwolić. Jeśli istniał jeszcze wówczas strach, to nie przed śmiercią, a tylko przed bólem, jaki spotkać może z rąk oprawców, zanim ona nadejdzie. Ale i to z postępującym wyniszczeniem stawało się obojętne. Zadawane cierpienie fizyczne przestawało boleć, a psychiczne stawało się oddalone i mgliste. W tym stanie nadchodziła niespostrzeżenie śmierć" (*Sterkowicz*, 1963).

„Aczkolwiek nekrofagia była wytworem głodu i systemu degeneracji człowieka w czeluściach piekła hitlerowskiego, nie stanowiła w obozie zjawiska powszechnego. Nie była ona zresztą integralnie związana z »muzułmaństwem«, lecz najwyżej ze stanem poprzedzającym je. U »muzułmanów« nie spostrzegano takich czynów. Nie byli zdolni nawet do samobójstwa. Umierali w poniżeniu, brudzie i samotności. Ich nagie, chude ręce były za słabe nawet na gest litości. I tylko oczy, duże, przeraźliwe oczy w niemej swej ekspresji wyrażały żal do towarzyszy niedoli, którzy ich opuścili i do losu, który odmówił im ludzkiej, normalnej śmierci, jaka jest prawem i przywilejem każdego śmiertelnego na tej ziemi" (*Sterkowicz*, 1969).

Wypowiedzi uzyskane od byłych więźniów wnoszą wiele cennych i celnych informacji o stanie „zmuzułmanienia". Pozwalają one na bliższe zrozumienie mechanizmu stawania się „muzułmanem", typowych form zachowania się w obozie, stanu psychicznego itp. Relacje na ten temat przytaczamy więc jedynie z bardzo nieznacznymi skrótami.

„Najczęstszym jednak w obozie Oświęcim rodzajem śmierci była śmierć ze »zmuzułmanienia«. Zbierała ona straszliwe żniwo i dlatego zaliczam ją do śmierci masowej. Spotykałem się z nią w obozie od przyjścia do Oświęcimia aż do opuszczenia go. Ktokolwiek widział śmierć »muzułmana«, to nie zapomni jej do końca życia. »Zmuzułmanienie« powodowane głodem i ciężką pracą doprowadzało do załamania się psychicznego więźnia, a jednocześnie tracił on siły fizyczne i rezygnował z walki o przetrwanie obozu. »Muzułmanie« ginęli wszędzie: w czasie snu, w czasie marszu, przy pracy, na blokach i rewirze, w klozetach, na korytarzach, pod blokami, padali od bicia, z wycieńczenia, z głodu, choroby itd. Niejednokrotnie przy powrocie z pracy do obozu obserwowałem, jak na końcu tych komand, na prowizorycznie zbitych z drewna noszach, przynoszono do obozu zmarłych lub wykończających się już »muzułmanów», którzy jednak nie mogli zaznać spokoju i

spokojnej śmierci aż do czasu odbycia się wieczornego apelu, na którym dla sprawdzenia stanu więźniowie ci leżeli na ziemi obok swojego bloku.

Jeszcze raz z masową śmiercią ze »zmuzułmanienia« spotkałem się w okresie od listopada 1944 do kwietnia 1945 roku na *ausenkomandzie* Buchenwaldu »Ro-Po«, koło Ohrdrufu (...). Wyobraźnia ludzka nie potrafi odtworzyć, w jakich warunkach żyli tu więźniowie. Część z nich nigdy nie widziała światła dziennego, gdyż pracowali i mieszkali w tunelach. Spali na pryczach bez sienników, pozbawieni koców, a nawet słomy. We wszystkich tych obozach brakowało wody do mycia się. Wszy zjadały ludzi żywcem. Jeśli do tego dodamy nadludzkie warunki pracy, panujący głód i brak jakiejkolwiek pomocy lekarskiej, to zdamy sobie sprawę z tempa »muzułmanienia« więźniów. Toteż w lutym względnie w marcu 1945 roku wysłano pierwszy transport 3000 wycieńczonych więźniów do Bergen-Belsen do zagazowania (...). Ciała zmarłych więźniów wywożono początkowo do Buchenwaldu, później jednak — z powodu masowej śmierci — spalano w dołach na poligonie za obozem.

W styczniu 1945 roku stwierdzono uszkodzenie zwłok w wyniku szerzenia się w obozie nekrofagii. Przyłapano na tym kilku więźniów, wobec czego od tej pory policja obozowa złożona z więźniów (*lagerschutz*) pilnowała zwłok" (46).

„Obrazy wlokących się muzułmanów nie są, myślę, do odtworzenia na podstawie zdjęć, opisów, trzeba było je widzieć w różnych sytuacjach, aby do głębi zrozumieć to koszmarne zjawisko ludzkie. Te oczy, patrzące, a zda się nie widzące. Ni ból, ni rozpacz, ni krzyk. Głuchość, bierność, obnażenie, sponiewieranie godności całej postaci" (8).

„... ogromna ilość *häftlingów* przypominała obciągnięte skórą szkielety, nieruchawe, półślepe, półgłuche, czasem z niewiadomego powodu robiące grymasy uśmiechu, poświadczające ich nieobecność i wyobcowanie. Muzułman porażał oczy i doprowadzał funkcyjnych do pasji, esesmanów do kipiącej wściekłości, toteż za siebie i innych był katowany i zabijany" (53).

„Wysiłek, chłód i głód kończył ludzi w straszliwym tempie. Starzy więźniowie bezbłędnie rozpoznawali tych, których dni życia były policzone. Rozpoczynało się to od zmuzułmanienia, czyli fizycznego wyniszczenia organizmu. Później obserwowało się znieruchomienie oka. Wyglądało to tak, jakby więzień miał jedno oko nie swoje lub zeza. W niedługim czasie widziało się takiego więźnia prowadzonego z roboty pod ręce przez innych więźniów lub niesionego na noszach. Jeżeli szedł on jeszcze o własnych siłach, lecz wyraźnie ciągnęło go do tyłu, to takiego więźnia już później nie spotykało się w szeregach żywych. Wyczerpanie niektórych więźniów, a zwłaszcza muzułmanów było tak duże, że umierali oni niespostrzeżenie. Pamiętam, jak młody, może dwudziestoletni chłopiec w czasie rozmowy ze mną zmarł nie dokończywszy słowa (...). Umierali oni lekko, jakby zasypiali bardzo zmęczeni życiem" (56).

„Gwałtowne osłabienie i widmo śmierci powodowało przechodzenie w stan muzułmaństwa. Stan ten z biologicznego punktu widzenia jest trudny do zdefiniowania. Był to wrak człowieka. Biologiczna potrzeba walki o życie znikała. Obojętniał świat i zanikała tęsknota za najbliższymi. Wyniszczenie organizmu powoli wyizolowywało mnie ze świata żyjących i cieszących się nadzieją powrotu do swych rodzinnych ognisk. Złośliwość i razy zadawane przez funkcyjnych zdawały się coraz mniej bolesne. Wydawało się, że śmierć zadana przez kogokolwiek z nadzoru będzie łaską, bo wyzwoli z cierpienia i upodlenia. Uprzytomnienie sobie śmierci w młodym stosunkowo wieku rodziło bunt przeciw złu. Na dnie duszy drzemiąca nadzieja zwolnienia mobilizowała na nowo ostatki sił" (56).

„O ileż lżej byłoby zarówno mnie, jak i im [najskrajniej wyniszczonym, chorym więźniarkom], gdyby ich walka ze śmiercią nie trwała tak długo i nie obfitowała w tak przerażające momenty... Godzinami, a nieraz całymi dniami leżały zimne jak trupy z oczami w słup i otwartymi ustami. Zdawać by się mogło, że już umarły, a jednak jeszcze żyły. Czy odczuwały i pojmowały cokolwiek? Łyżeczka płynu, upragnionej wody, wlana w usta chorych mogących jeszcze łykać, byłaby dla nich łaską" (24).

„Lusterka nie było, by widzieć swoje oblicze — oblicze muzułmana. Unikałem przyglądania się postaciom i obliczom współtowarzyszy, by się nie załamywać. Zbliżająca się śmierć wyciskała swoje piętno. W przygaszonych oczach, patrzących jakby w pustkę, widać było beznadziejny smutek i rezygnację. Malała czujność na czyhające zewsząd niebezpieczeństwo. Podpadali więc w pracy i na apelach. Byli bici i maltretowani, co stale pogarszało ich stan (...). Bliskim się było obłędu. Wola i zdolność kierowania myśleniem na tematy leżące daleko od przeżywanej rzeczywistości nie były w stanie odwrócić uwagi od potwornego głodu, który trzymał jakby w kleszczach cały organizm. Było to narzędzie tortur stosowane przez hitlerowską bestię" (56).

Stan „zmuzułmanienia" należy rozumieć z medycznego punktu widzenia jako skrajną formę choroby głodowej, poprzedzającą śmierć. Sylwetka psychiczna „muzułmana" niosła określone cechy nadane jej przez rzeczywistość obozową. Pod tym względem odróżniała się od innych form choroby głodowej, znanych z literatury fachowej. „Muzułman" był zapewne najbardziej tragicznym i przerażającym wytworem obozów koncentracyjnych.

Choć w piśmiennictwie obozowym „muzułmanom" poświęcono wiele miejsca, to jednak do tej pory brak jest poważniejszych opracowań tego zespołu chorobowego z klinicznego punktu widzenia. Jak dotychczas, cenne prace na ten temat opublikowali autorzy zajmujący się niejako profesjonalnie problematyką obozową, którzy sami byli więźniami obozów (*Fejkiel*, 1976; *Olbrycht*, 1948; *Sterkowicz, 1971*). Mimo że w obrazie chorobowym przeważały charakterystyczne zaburzenia psychiczne, stan ten nie doczekał się do tej pory opracowania psychiatrycznego. Temat ten zasługuje na oddzielne studium.

TRAKTOWANIE ZWŁOK

Patologia obozów wyraziła się także w zniekształceniu naturalnego i tradycyjnego stosunku do ludzkich zwłok. Obozy, a zwłaszcza obóz oświęcimski, były gigantycznymi cmentarzyskami, gdyż zwłoki zamordowanych tam więźniów spalano, a popioły rozsypywano po okolicznym terenie. Nie bez powodu do obozów koncentracyjnych przylgnęła nazwa „fabryk śmierci". Utwierdziły ją późniejsze praktyki wykorzystywania ludzkich zwłok do celów przemysłowych i merkantylnych.

Zgodnie z przyjętymi założeniami tej pracy przedstawimy obecnie wybór relacji byłych więźniów ukazujących emocjonalny stosunek więźniów do zwłok ludzkich, sposoby ich traktowania przez więźniów i przez funkcyjnych oraz inne z tym związane problemy.

„W obozie koncentracyjnym początkowo szokowały mnie te tak straszliwie wychudzone, nagie ciała. Czasem miały one jakiś inny, niesamowity kolor. Czasem były zmasakrowane, pokrwawione. Niejednokrotnie oblepione uryną. Były też pogryzione przez szczury. Początkowo zamykano je po dwa, trzy w duże, drewniane trumny. Potem nie starczyło już trumien. Zwożono je wozami, wleczono je za nogi, wyrzucano na wozy (...).

Rozumiałem, że w takim obozie, (...) w tych warunkach, przy takiej ilości zmarłych traktowanie ciał zmarłych więźniów nie mogło być inne. Ale też było i jest dla mnie jasne, że to władze obozowe stworzyły takie warunki zupełnego poniżenia ludzkiego ciała. Było to zresztą logiczne. Jeżeli w obozie świadomie stworzyło się warunki pozbawiania człowieka wszelkich wartości ludzkich, to po śmierci więźnia jego ciało konsekwentnie uznawano wyłącznie za cuchnący śmieć, którego trzeba się było możliwie jak najprędzej pozbyć" (35).

„Traktowanie zwłok ludzkich w obozie było równe zbędnym i kłopotliwym odpadem [tak w oryginalnym

tekście relacji]. Więźniowie nie mieli żadnych warunków zatroszczenia się o zwłoki swoich współtowarzyszy. Esesmani z największą pogardą odnosili się do wszystkiego, co ludzkie, a do zwłok ze szczególnym wstrętem i pogardą. Chętnie wdeptywaliby nas w błoto. Zwłoki uważali za masę, która przysparza im najwięcej kłopotu. Musieli zbudować specjalne piece (krematoria), wykorzystując postępy techniki, by tę kłopotliwą masę likwidować" (34).

„Hitleryzm w obozach koncentracyjnych odrzucił i podeptał odwieczne zwyczaje traktowania zwłok zmarłych. Pastwienie się nad człowiekiem sięgało poza grób, a raczej popielisko. Zwłoki zmarłych, nagie, wyrzucano jak śmieci przed barak. Zmarłych przy pracy przynoszono do obozu, kładziono na miejscu, w którym jeszcze rano stali, by na apelu wieczornym liczba więźniów się zgadzała. Zwłoki szybko usuwano, bo widok leżących szkieletów, powleczonych skórą i często uszkodzonych, raził nawet najbardziej zatwardziałego esesmana" (56).

„Zwłoki ludzkie w obozie były traktowane jako rzecz do zniszczenia, spalenia. Rok 1942, blok nr 25 w Brzezince; blokowy, sprytny Żydek, miał zawsze w zapasie świeże zwłoki jednego więźnia i jak mu kogoś brakowało do stanu na bloku, to je kazał wynosić na plac apelowy" (11).

„Stojąc na apelu, widziałam w prześwitach między barakami, jak drogą w kierunku krematorium ciągnęły wczesnym rankiem sznury samochodów. W odkrytych wozach stali ciasno upchani ludzie. Jechali na śmierć (...). Widziałam przeprowadzane selekcje. Esesmani na rozstawionych nogach (tak zwykli byli stać dla dodania sobie powagi i pewności siebie) i tłum wysypujących się ludzi z wagonów. Utkwiły mi również w pamięci sterty waliz i tłumoków, świadczących o ilości przywiezionych ludzi. Widziałam na placu pomiędzy blokami 25 i 26 przez otwartą bramę stos ludzkich zwłok, skostniałych i zastygłych, wyglądających jak zmierzwione, wysuszone gałęzie, patyki i chrust. Widziałam akcje załadowywania zmarłych na samochody. Byłam świadkiem umierających w polu, w czasie pracy (...). Widziałam stosy szkieletów składane przed rewirowymi barakami albo w ich sieni, przygotowywane do odwiezienia na wyznaczone miejsce.

Obrazy te nie były żadną halucynacją ani wytworem chorej wyobraźni. Patrzyłam na nie okiem normalnego człowieka, choć nagość śmierci, obdarta i sprofanowana, zmuszała do patrzenia tylko fizycznego, jak gdyby nie istniała wrażliwość i wszelkie towarzyszące jej uczucia. Wzrok przyjmował i pod nakazem instynktu przekazywał obraz do archiwum pamięci, z pominięciem pośredniej »instancji«, jaką jest odruchowa, bezpośrednia reakcja.

Zestawiając swoją wrażliwość w latach przedwojennych — kiedy tak bardzo bałam się zmarłych, kiedy zaprzątywali moją myśl bez reszty — z reakcją na śmierć w obozie, kompletnie pozbawioną strachu i majaków sennych, mogłabym ten drugi sposób reakcji uznać za normalny. Ale kiedy przedstawiam w tej formie swoje poglądy, podparte faktami, innym ludziom, którzy nie umieją się wczuć w sytuację obozu koncentracyjnego, odnoszę wrażenie, jakby mi współczuli, jakby się litowali nad ogołoceniem mnie (nas) z ludzkich uczuć, jakby kwalifikowali nas do anormalnych (...).

Jeśliśmy musiały patrzeć na śmierć obojętnym okiem, to wyłącznie dlatego, że nie wolno nam było inaczej, ani z pozycji altruistycznej, ani nawet z czystego, ludzkiego egoizmu — z przeświadczeniem, że żaden z naszej strony wysiłek nie nada tamtej śmierci należnej jej powagi, usankcjonowanej tradycją kultury kulturalnych narodów" (2).

„Muszę przyznać, że widok zwłok robił na mnie zawsze duże wrażenie, tych zwłok maksymalnie wyniszczonych, bez mała pozbawionych kształtów ludzkich, przechowywanych, przewożonych i przerzucanych w nieludzki sposób. Zupełny brak szacunku dla powagi śmierci. W takich okolicznościach nie mogłem sobie pozwolić na jakikolwiek żart czy swobodne zachowanie się, widok taki trzymał mnie w napięciu. Nie można po latach zapomnieć stukotu głów o stopnie schodów. Myślę o tych ludziach, znanych mi i nieznanych, raz do roku, w Dzień Zaduszny, trudny dzień.

Nie zaciera mi się w pamięci też obraz, jaki widziałem w bloku 28 (poprzednio chyba 24) ze strychu, z widokiem na ścianę śmierci. Widać było tylko głowy rozstrzeliwanych. Po każdym strzale znikały, liczyliśmy ilość egzekucji.

Pamiętam też, jak po apelu od czasu do czasu odczytywano nazwiska kolegów skazanych na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wychodzili z szeregu, odwracali się, niby uśmiech na twarzy, a później »maskowate« skupienie" (17).

„Stałyśmy w grupie kilkunastu kobiet przed główną bramą obozu w Oświęcimiu (...). Zza zakrętu obozowej ulicy wyłonił się wóz o bardzo wysokich burtach. Ciągnęli go więźniowie wolno i z wysiłkiem. Ładunek przewyższał burty. Pod nakryciem z koców coś się falowało. Więźniowie byli mocno przygarbieni. Z wozu lała się strumykami krew. Zacierali ją piaskiem inni więźniowie. Tyłu wozu nie zakrywały koce. Dziesiątki nagich kończyn dolnych poruszały się w takt ruchu kół, odbijając się od siebie stopami. Ciała leżących na wozie nie zastygły jeszcze... tylko my (...) zamarłyśmy w bezruchu. Z naszych dłoni wypadły kawałki chleba. Wypadła mi z ręki torebka i nawet nie wiem, kiedy wysypał się z niej cukier. Zdało się, że leżące na wozie zwłoki zamordowanych żyją, bo wciąż się poruszały, zanim zginęły nam razem z wozem z oczu. Ale my zastygłyśmy z wrażenia. Wstrzymałyśmy oddech. Do dziś odnoszę to samo wrażenie. Płuca jakby przestają oddychać, oczy sztywnieją i na moment serce przestaje bić...

Spotykamy się ze zjawiskiem, że ludzie mdleją na widok zmarłego, że na pogrzebach dostają szoku, że niejednokrotnie stratę bliskiej i ukochanej osoby przypłacają chorobą (...). Aż dziw bierze, że tacy sami ludzie, stojący wobec masy zmarłych, nie popadali w stan obłędu (...).

Wszak na dobrą sprawę i ja, i koleżanki, które ze mną stały pod bramą, kiedy przetaczał się koło nas wóz załadowany zwłokami zamordowanych, powinne byłyśmy postradać zmysły, popaść w obłęd, zareagować krzykiem czy gestem..., żyć tym widokiem i wspominać. Tymczasem wszystko odbyło się bez objawów szczególnej reakcji. Ale przyznam się, że dziś, kiedy o tym piszę, czuję gęsią skórę i dreszcze. Ten potworny w swoim wyrazie obraz, razem z innymi, nie mniej makabrycznymi, staje mi przed oczyma w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Wystarczy, że zobaczę ciężarowy samochód przed sklepem mięsnym, wyładowany poćwiartowanym bydłem... czuję, jak nogi uginają się pode mną..., a przecież byłam taka odporna (...). Ostatecznie mogłabym śmiało powiedzieć, że nawet koniec wojny nie zwolnił nas od skazania przez gestapo na dożywocie w obozie koncentracyjnym. My w nim wciąż tkwimy, choć pozornie nikt tego nie zauważa. Tym bardziej teraz, kiedy od młodego pokolenia dzieli nas tak ogromna przepaść, kiedy jesteśmy dla nich niezrozumiałym środowiskiem" (2).

„Natomiast widok porzuconych po lagrze ciał, czy też stosy trupów z czasem przestały robić na mnie wrażenie. Nie uświadamiałem sobie w pełni, że to przecież byli ludzie. Stosy trupów walające się w błocie czy też transportowane ręcznymi wózkami lub »tragami« — nie robiło na mnie większego wrażenia (...). Czasem serce mocniej zabiło, kiedy spotkałam trupa, który zwracał uwagę, np. z odgryzionym przez szczury nosem lub wygryzionymi policzkami, bez palców u rąk i nóg. Ale »normalny trup« był tylko trupem, na którego nie zwracano większej uwagi (...). Trup na szczęście niczego już nie czuł, miał spokój, obojętne było, czy miał nos, palce, uszy. To już nie miało żadnego znaczenia. Najczęściej nie płakałam, patrząc na sceny umierania, bo oczom zabrakło już łez" (44).

„Najgorsze było to, że trupy nie były od razu zabierane z rewiru i do żeru dobierały się szczury, co było plagą obozową. Ale i do szczurów się przywykło, bo spacerowały w biały dzień bez lęku. Władze obozowe wcale nie tępiły szczurów" (10).

„W lagrze głód, choroby, leżę w rewirze na bloku 15. Jest nas trzy na jednym łóżku, ja na zapalenie stawów i anginę, druga na *durchfal*, trzecia na gruźlicę, pijemy z jednej miski i tulimy się do siebie, jest silny mróz, a tylko dwa koce. W nocy ziębi mnie jakieś ciało, to trup, ale trzeba z nim leżeć do rana. Wóz o ogromnych kołach wtacza się pod blok, dwie Niemki obnażają trupa; biorą go za głowę i nogi i huśtając, śpiewają »Nad pięknym, modrym Dunajem«. Zwłoki spoczęły na sto-

sie innych trupów i odjeżdżają do krematorium. Kiedy po powrocie z obozu usłyszałam w krakowskim lokalu rozrywkowym tę melodię, wybuchnęłam płaczem, a inni płakali ze mną, choć nie wiedzieli, dlaczego, ale prawie wszyscy Polacy przeżyli śmierć swoich bliskich lub znajomych i domyślali się tragicznych wspomnień" (55).

„Później już, leżąc w gorączce, ale jeszcze świadoma tego, gdzie się znajdowałam, bez odrazy przytulałam się do trupa kobiety, która leżała razem ze mną na jednej pryczy. Dobrze mi było razem z tymi zwłokami, bo były takie zimne, a mnie było tak bardzo gorąco" (24).

„Traktowanie zwłok ludzkich pozbawione było jakiegokolwiek szacunku, a służba obozowa odnosiła się do zwłok z pogardą i wstrętem. Zwłoki ludzkie w obozie traktowane były z pozycji merkantylnych: odejmowano złote zęby, długie włosy do wytwarzania lin okrętowych, a tłuszcz ludzki gromadzono w krematoriach do fabrykowania mydła. Kości służyły po przemiale jako nawóz. Toteż wielu więźniów, w tym moich kolegów, wyrażało gorące życzenia, by móc umrzeć w domu, wśród bliskich, i być po ludzku pochowanym" (1).

„Nasze komando, *Entseuchungskommando,* przesiewające popioły z kuchni obozowych, krematoriów i otwartych dołów, w których spalano nieboszczyków, było w ciągłych rozjazdach. Składało się ono z kilku zaprzężonych do wozu ludzi, zatrudnionych w codziennym dostarczaniu popiołu. Przesiany, miałki popiół skażano trucizną i rozpylano go za pomocą odpowiednich mieszków na bagna oświęcimskie, tępiąc tym sposobem komary malarii. Mieliśmy specjalne gablotki, w których hodowane komary poddawano stopniowemu zatruwaniu. Otóż w czasie akcji zwożenia popiołu, w roku 1943, widywaliśmy po drodze otwarte doły, w których buzował ogień. Pomiędzy nimi były również małe, na wpół martwe, zagazowane, nieme dzieci..., widok niesamowity!, przykry i odrażający. Po całym obozie rozchodziła się stąd trudna do zniesienia woń spalanych zwierzęcych kopyt (...). Z daleka dym nad dołami układał się w kształt świetlistych kół, jak gdyby aureola nad głowami świętych..." (14).

Tak więc obozowe urazy związane z życiem wśród tysięcy ludzkich zwłok przetrwały w psychice byłych więźniów do dziś, zmieniając ich stosunek do ludzkiego ciała, do obrzędów pogrzebowych oraz do samego siebie. Zniekształcone ludzkie zwłoki w najbardziej nieprawdopodobnych kompozycjach i sytuacjach są częstą treścią koszmarnych snów.

WYROZUMIAŁOŚĆ CZY ZEMSTA

Wątek dotyczący stosunku emocjonalnego byłych więźniów do swoich obozowych oprawców w okresie pobytu w obozie, a także po wyzwoleniu, był już podejmowany wielokrotnie zarówno w literaturze wspomnieniowej, jak również w pracach naukowych. Z dotychczasowych badań wynika, że stosunek ten zmieniał się w miarę upływającego czasu: im dalej od obozu, tym chęć zemsty mniejsza. Tylko nieliczni więźniowie odczuwają niezmiennie do dziś bezwzględną potrzebę odwetu za cierpienia doznane w obozie. Zamieszczone poniżej fragmenty wypowiedzi więźniów potwierdzają te ogólne spostrzeżenia.

„Nie mogłam uczestniczyć w wątpliwej dla mnie radości znęcania się nad jedną z naszych esesmanek. Ujęto ją w Würzen, gdzie umieszczono nas w byłych niemieckich koszarach lotniczych. Amerykańska komendantura wojskowa oddała esesmankę do dyspozycji wyzwolonych więźniarek. To »rozprawianie się« z nią trwało bodaj trzy lub cztery dni, lecz ani razu nie mogłam się zdobyć na to, aby bodaj przez chwilę patrzeć na naszą oprawczynię i cieszyć się jej cierpieniem (jak opowiadano, głodzono ją, maltretowano fizycznie i moralnie). Same nie wiedziałyśmy, skąd się to w nas bierze, że jeszcze przed kilku dniami, udręczone do ostatnich granic ludzkiej wytrzymałości, pałałyśmy chęcią zemsty i odwetu, a kiedy tę możliwość nam dano, nie potrafiłyśmy z niej skorzystać. Jedna z naszych członkiń, młoda Rosjanka imieniem Nadia, nie wytrzymała nerwowo opowiadanych relacji, poprosiła jednego z amerykańskich oficerów o pistolet i zastrzeliła ją. Uważałyśmy ten akt za humanitarny".

„Czy uważam za słuszne karanie śmiercią esesmanów. Nie. W moim pojęciu śmierć jest wybawieniem. Dlaczego darować komuś cierpienia winy? Niechajby żył i naprawiał swoje postępowanie. Niechajby był dręczony myślami o swoich zbrodniach. Powiedziane jest: »nie zabijaj«. Powiedziane jest także, że do odpuszczenia grzechów potrzebna jest skrucha i postanowienie poprawy. Czy esesman wiedziony na śmierć ma w sobie te uczucia? Czy niesie w sobie pustkę wzbudzoną uczuciem strachu (...)? U fanatyków nie można mentalności zmienić śmiercią. Wiemy z własnego doświadczenia, że straszne jest czekanie w celi śmierci. Iluż to chce, by ona była już! To jest właśnie ta kara..., ta męka..., pokuta za zbrodnie (...).

Gdy po wyjściu z obozu pałaliśmy żądzą zemsty (...), ktoś powiedział nam mądrze: co będziecie warci, gdy będziecie robić to samo, co oni z nami robili?" (38).

„Oczywiście zróżnicowany był stosunek do śmierci osób mi bliskich, koleżanek, i do śmierci esesmanów. Co do tych sądzonych po wojnie, to miałam satysfakcję, że giną za nasze krzywdy, ale śmierć ich, moim zdaniem, była zbyt łagodna. Nie cierpieli tak, jak my, nie byli torturowani" (40).

„Innego rodzaju przeżycia łączyły się z publicznymi egzekucjami. W Oświęcimiu przeżyłem ich kilka. Jedna zakończyła się zerwaniem stryczka i odprowadzeniem skazańca na blok 11. Inna, podczas której powieszono trzech więźniów za próbę ucieczki, wryła mi się w pamięć, ponieważ według relacji jednego z kolegów (...) ówczesny *lagerführer Hössler* [vel *Hessler*] zapytał jednego ze skazanych: *hasst du Angst*? (czy się boisz?). Tenże *Hössler* w rok później powieszony został przez Amerykanów w czasie oswobodzenia obozu Bergen-Belsen.

Jakie dziwne, a zarazem wymowne koleje losu. Pan *Hössler* bawił się w psychologa i ciekawy był, co odczuwa skazaniec przed założeniem stryczka, a nie minął rok, jak sam jak najbardziej bezpośrednio mógł to sprawdzić na własnej skórze.

Przeżycia związane z egzekucjami podczas apeli wyrażały się u mnie jakimś wewnętrznym buntem, budziły pragnienie zemsty i odwetu. W wypadku *Hösslera* odwet nastąpił, ale na wiadomość o jego śmierci nie odczułem jakiegoś osobistego zadowolenia, a jedynie budziła się refleksja, że »Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy«. W podobny sposób reaguję na wszystkie wyroki wydane na byłych esesmanów od *Hössa* począwszy, a na pomniejszych skończywszy. Jeżeli o *Hössa* chodzi, to sądząc na podstawie opublikowanego u nas [jego] pamiętnika, pisanego w więzieniu w Krakowie, wypadałoby stwierdzić, że przeszedł chyba jakąś metamorfozę i zachował się w obliczu dosięgającej go sprawiedliwości godnie.

Kiedy czytam relacje z procesów i kiedy ogłaszają wyroki na byłych esesmanów, nie odczuwam absolutnie jakiejś osobistej satysfakcji, a jedynie beznamiętnie stwierdzam, że sprawiedliwości stało się zadość lub, znacznie częściej, że kara jest niewspółmierna do winy. Jakaż jednak kara może być współmierna do zła wyrządzonego przez morderców, katów i degeneratów, jakaż kara może wyrównać morze łez i krzywd wyrządzonych tylu niewinnym. Pozostaje jedynie wierzyć w sprawiedliwość absolutną, która toczyć się może w sumieniach ludzkich, która toczyć się może na innych płaszczyznach aniżeli pojęcia jakże niedoskonałej sprawiedliwości człowieczej" (13).

„Nie chodzi (...) o jakąś osobistą satysfakcję z tego powodu, że ten, który mnie prześladował, poniżał, bił, obiecywał wykończyć, sam poniósł śmierć czy został inaczej ukarany, chociaż i to byłoby zrozumiałe w naszej sytuacji (...).

Sprawa niezmiernie ważna: na przykładzie karania zbrodniarzy hitlerowskich każde państwo i każdy człowiek winien być świadom tego, że prawo silniejszego nie jest żadnym prawem, a już zgoła i w żadnej sytuacji nie może usprawiedliwić wojny, grabieży, mordu.

Inna rzecz, czy procesy hitlerowskich zbrodniarzy i głos zwłaszcza tych ludzi, którzy przeżyli obozy kon-

centracyjne, może dotrzeć do świadomości wszystkich ludzi i narodów i może być na tyle słyszany, by być rzeczywistą przestrogą i uformować tego rodzaju przekonanie.

A jednak trzeba wołać, a zbrodnie trzeba karać" (35).

„Marzyłem i modliłem się do Pana Boga, aby mnie wysłuchał, żebym doczekał się wolności i żebym się mógł mordercom odpłacić, chciałem widzieć ich w obozie koncentracyjnym, a my żebyśmy byli ich oprawcami. A teraz po przeszło 30 latach zanikła we mnie nienawiść i zemsta" (45).

„Druga sprawa, która we mnie pałała — to było pożądanie zemsty na obozowych mordercach. Podniecała mnie myśl, że gdzieś spotkam znienawidzonych morderców (...). Byłem przeświadczony, że w imię i dla uczynienia satysfakcji kolegom poświęcę się i wykonam wyrok, jaki w obozie poprzysięgliśmy mordercom. A w głowie wirowała mi myśl prześladowcza, że uduszę, jeśli osiągnę jakiegokolwiek z tych znienawidzonych. Nie miałem tego szczęścia (...). Dziś zastanawiam się, czy wykonałbym to swoje postanowienie" (30).

„Ja osobiście, gdybym spotkał którego z esesmanów, tobym go zamordował. Nie zwracałbym uwagi na to, co by mi za to groziło" (3).

Zemsta, chociaż jej uczucie nie dziwi po monstrualnych zbrodniach w obozie, kłóci się z kanonami etycznymi; wyrozumiałość jest łagodniejsza od rzetelnej sprawiedliwości; sprawiedliwość sądów bywała zbyt często pobłażliwa dla zbrodniarzy; przebaczenie może nastąpić tylko indywidualnie, były więzień, nawet z pobudek religijnych, nie może przebaczyć w imieniu współtowarzyszy niedoli.

ŚMIERĆ W SŁOWNICTWIE OBOZOWYM

Sprawy zdrowia, życia i śmierci znalazły swój wyraz w swoistym i oryginalnym języku obozowym, jakim posługiwali się więźniowie. Język ten tworzył się w sposób naturalny i spontaniczny na kanwie głównie dwóch języków: niemieckiego i polskiego. Był to język ciągle żywy, zmienny, odzwierciedlający aktualne wydarzenia i nastroje.

Rezultatem badań nad tym problemem jest opublikowany specjalny rozdział w książce pt. Oświęcim nieznany (*Jagoda* i wsp., 1981). Wcześniej ogłoszono pracę na temat osobliwości słownictwa w oświęcimskim szpitalu obozowym (*Jagoda* i wsp., 1972). Ze względu na specjalistyczny charakter tych badań, wymagających odpowiedniego przygotowania, tutaj ograniczymy się jedynie do zacytowania wybranych fragmentów.

Przeznaczenie ludzi na śmierć esesmani nazywali w zakamuflowany sposób *Sonderbehandlung* (specjalne traktowanie), *besondere Behandlung*, w skrócie *SB*. Podobnie maskujący masowe zbrodnie termin — to *Sonderaktion* (akcja specjalna) lub jakiś jeden z licznych *sonderbefehlów*. Było to np. kierowanie więźniów do komory gazowej. Eufemizmom tej kategorii *häftlindzy* nadawali zabarwienie ironiczne. Krążyło po obozie mnóstwo charakterystycznych powiedzonek, nacechowanych wisielczym humorem, np. pójdziesz do *himmelkomanda* (z niem. *Himmel* — niebo), co było metaforycznym równoważnikiem zwrotu: zabiorą cię do gazu, pójść na *himmelfahrt* (z niem. wniebowstąpienie), iść do Piotrusia itp. *Himmelkomandem* nazywano też grupy więźniów zajmujących się transportem trupów z miejsca kaźni na ruszty krematorium.

Z eufemistycznym określeniem miejsca masowej zagłady — komór gazowych i krematoriów — mianowicie z wyrazem komin, łączyło się szczególnie dużo powiedzeń: przywieźli ich do komina, transport do komina, wyjść przez komin na wolność, wyleciał kominem oraz — dla wyrażenia rezygnacji — i tak komin, i tak komin. Optymiści twierdzili: wolności się doczekamy, no i komin wykiwamy. Z kominem konkurował gaz: posłać do gazu, jechać na gaz, transport do gazu, przeniesienie na gaz.

Skrajna desperacja przejawiała się w obozie w nierzadkich samobójstwach. Za najpewniejszą śmierć uważano pójście na druty bądź pójście na posta, by zginąć od prądu elektrycznego lub od strzału wartownika.

Rozmaitość rodzajów śmierci w obozie znajdowała swe odbicie w języku. Więźniowie umierali przez zaszpilowanie, *hercszprycę*, czyli zaszprycowanie; była to tzw. fenolowa śmierć, od uśmiercającego zastrzyku w serce. Lagrową śmierć natomiast sprowadzała wycieńczająca praca, głód, zakatowanie, choroba epidemiczna. Umieranie, następujące w Oświęcimiu-Brzezince zwykle po upodleniu, nazywano dosadnie, posługując się brutalnymi ekspresywizmami, np. ubój, przewracanka, zdychanie. Mówiono też z niemiecka o krepowaniu, krepirowaniu lub skrepirowaniu.

Zapowiedzią prawie pewnej śmierci były w obozie rozmaite selekcje. Te groźne dla więźniów czynności znalazły odzwierciedlenie w mnóstwie takich określeń, jak: wybiórki (do gazu, do komina, do Jakuba, tzn. do bloku nr 11, gdzie rządził siłacz Jakub), *ausmusterungi*, *aussortirungi*, *sortirunki*, przebierki, wykidki, przeglądy, oczyszczenia lub odkurzania bloku, bunkra, sztuby itp.

Cały obóz był faktycznie wykańczalnią i młynem śmierci, jak mówili więźniowie, ale poszczególne miejsca związane z uśmiercaniem budziły w nich spotęgowaną grozę. W *stammlagrze*, czyli w Oświęcimiu I, kilkadziesiąt tysięcy ludzi straciło życie na dziedzińcu bloku 11, zwanym przez niektórych majdanem lub sceną. Rozebranych skazańców ustawiano pod murem — czarną ścianą, ścianą śmierci, ekranem, czarnym ekranem, ścianką, aby za pomocą *genickschussu* (strzału w tył głowy) pozbawić ich życia.

Pomordowanych w pierwszym okresie istnienia obozu nosiło się w tzw. pakach, *leichenkistach*, mieszczących dwa trupy, bądź na tragach (rodzaj noszy), do *leichenhali*, zwanej też *leichenkamerą* lub trupiarnią. Później, gdy nasiliły się egzekucje, przewożono zwłoki na wózkach, *rolwagach*, do krematorium, w skrócie nazywanego *kremo*. Do *krema* zwłoki dostarczali *leichentregerzy*, truponosy, truponosze, tworzący *leichenkomando*.

W Brzezince, jak wiadomo, masowo pozbywano się zwłok w czterech krematoriach, a także w dołach i na stosach spaleniskowych. Pracami przy niszczeniu zwłok zajmowały się *sonderkomanda*, *sondery*, grupy więźniów, najczęściej Żydów, likwidowane zwykle po trzech miesiącach i zastępowane nowymi *sonderowcami*. Do ich obowiązków należało też przygotowanie ludzi z transportów, wyselekcjonowanych na rampie, do zagazowania, towarzyszenie im na śmierć na tzw. *Himmelstrasse* lub *himmelautostradzie*, głównej drodze do Brzezinki, rozpoczynającej się tuż za bramą śmierci, a kończącej się między dwoma potężnymi krematoriami, przypilnowanie pod okiem *SS*, by się rozebrali niby do kąpieli — w rzeczywistości do wejścia do *gazkomory*, *gazkamery*, która przylegała do budynku krematorium. Przed uruchomieniem w roku 1943 tych fabryk śmierci gazowano więźniów w prowizorycznie przystosowanych do duszenia gazem dwóch zagrodach, pozostałych po wysiedlonych chłopach, czyli białego i czerwonego domku. Gaz używany do zagłady ludzi, do *vergasungu* — to *giftgaz*, *blaugaz*, cyklon B, skrystalizowany cyjanowodór, przewożony autami ze znakiem Czerwonego Krzyża, zwanych przez więźniów sankami (sanka — skrót od: sanitarka).

Epopeja lagrowa przeciętnego *häftlinga* kończyła się rozsypaniem jego prochów na okolicznych polach, w celu użyźnienia gleby, w stawach i w dopływie Wisły, Sole; tę ostatnią posługę oddawało anonimowym współtowarzyszom niedoli obozowej *aschekomando* (z niem. *Asche* — popiół).

Stary związek frazeologiczny: mieć niski numer (dysponować wskaźnikiem wczesnego przystąpienia do jakiejś organizacji) w obozie dał początek nowym związkom analogicznym: wysoki numer, nowy numer, stary numer, młody numer, w których wyraz numer zaczął nabierać innej wartości semantycznej, tzn. zaczął oznaczać nosiciela numeru. Wyrazu komin (krematoryjny) szybko zaczęto używać w różnych związkach frazeologicznych: wyjść, wylecieć przez komin, posłać, iść, wyznaczyć do komina; i tak komin, i tak komin. Nagminne posługiwanie się tymi związkami doprowadziło do usamodzielnienia się znaczenia komin — krematorium, także kres fizycznego istnienia więźnia.

Takich przykładów jest w języku obozowym sporo. Słowo druty występowało w znaczeniu „naelektryzowane ogrodzenie obozu" na skutek pojawienia się związków typu: pójść na druty (popełnić samobójstwo), umówić się przy drutach, wyjść za druty, czep się drutów itp. Nowych treści nabierały złowrogie w obozie słowa: gaz, w związkach frazeologicznych: wybiórka do gazu, transport na gaz, poczekalnia do gazu (*Isolierstation*), dusić gazem itp., przegląd: przegląd muzułmanów (selekcja osłabionych i chorych), ściana, ścianka: iść pod ścianę, ściankę, rozwalić pod ścianką.

Nowe odcienie znaczeniowe otrzymały słowa zaścielić, palić, gazować w nieoczekiwanych połączeniach z biernikiem rzeczowników osobowych: zaścielić kogoś (ukryć w łóżku); palić transport, żonę, ojca (uczestniczyć w ich zagładzie, obsługując krematorium); gazować Żydów, muzułmanów (masowo uśmiercać). Lagrowe nowotwory czasownikowe odnoszą się najczęściej do nie określonych dotąd, niewyobrażanych nawet czynności ludobójczych, wyniszczania przez głód i cierpienie. Od siejących grozę w obozie wyrazów gaz (w znaczeniu: środek do masowego uśmiercania w komorach gazowych), fenol (substancja trująca wstrzykiwana w obozie do serca lub żył), szpila, szpilka (strzykawka ze śmiercionośnym płynem) utworzono m.in. czasowniki: wygazować (uśmiercić całą grupę gazem, rzadziej: wypełnić pomieszczenie gazem w celach dezynfekcyjnych), fenolować (wstrzykiwać fenol), wyfenolować np. muzułmanów (uśmiercić wszystkich przy pomocy zastrzyków fenolu), zafenolować (zabić zastrzykiem), szpilować, szpilkować (zabijać wstrzyknięciem jakiegoś płynu szkodliwego dla organizmu człowieka, np. fenolu, benzyny), zaszpilować, zaszpilkować (zabić w ten sam sposób), itd. (*Jagoda* i wsp., 1981).

STOSUNEK DO ŻYCIA I ŚMIERCI PO OBOZIE

Wśród urazów psychicznych, z jakimi stykali się więźniowie obozów koncentracyjnych, było niewątpliwie długotrwałe zagrożenie utraty życia oraz bytowanie w swoistej atmosferze śmierci i umierania. Można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że te właśnie obciążenia są odpowiedzialne za koloryt przeżyć i doznań, a także za spaczone postawy byłych więźniów wobec problemów życia i śmierci. Wśród trwałych zmian osobowości w populacji byłych więźniów obozów koncentracyjnych na czoło wysuwa się obniżenie nastroju i zmniejszenie ogólnej aktywności życiowej. Na tym tle, co zrozumiałe, rysują się wyraziście swoiste problemy związane z hierarchią wartości, poczuciem sensu życia i sensu cierpienia, a także postawy byłych więźniów wobec własnej śmierci.

W tym rozdziale przytaczamy wybrane wypowiedzi byłych więźniów, określające ich obecny stosunek do problemów życia i śmierci.

ZMIANA OSOBOWOŚCI

„... obozy koncentracyjne, okupacja dużo zmieniły w moim życiu. Przeżycia obozowe wywarły swoisty wpływ na umysłową i uczuciową problematykę. Zaciążyły jak zła zmora na myśleniu i odczuwaniu. Stałem się drażliwy, głęboko odczuwam wszelkie urazy. Jako nauczyciel stałem się zbyt miękki (...). W jedzeniu nigdy nie grymaszę. Często, zamyślony siedząc przy stole, pytany jestem przez żonę, o czym myślę. Wstyd mi się przyznać, że właśnie myślę o tym, jak wielką zdobyczą jest krzesło, na którym właśnie siedzę, stół, zastawa stołowa. Doceniam treść i wartość naszego domu. Nie potrafię wyrzucić na marne żadnej okruszyny pożywienia. Widok białego pieczywa, obłożonego tłuszczem czy wędliną, leżącego w koszu czy w ustępowej muszli, przyprawia mnie prawie o fizyczny ból (...). Mam żal do złego losu, iż zabrał mi radość życia, która czyni życie piękniejszym" (56).

„Mój obecny stosunek do śmierci człowieka jest bardzo i to bardzo obojętny. Kiedy mi ojciec, brat, matka i teściowa umarli i kiedy widziałem, jak ci bliscy płaczą i lamentują, musiałem zachować powagę, gdyż chciało mi się śmiać z tych ich lamentów.

I ja sam nieraz podobnie myślę i staczam się po pochylni, z której nie ma już powrotu i często myślę, po co to wszystko przeżyłem, chyba po to, aby stale to widzieć, stale odczuwać bezsens swego życia, aby stale czuć ból i wzgardę dla samego siebie, że przeżyłem, gdy oni musieli zginąć (...).

Czy myślę o śmierci? O, i to bardzo często, gdyż nie czuję radości swego życia i nieraz żałuję, że przeżyłem. Cóż mi pozostało? Wykoślawiony pogląd na świat ludzi, zdrowie zrujnowane pod względem moralnym i psychicznym, unikam ludzi, boję się otoczenia. Wiem, że źle robię sobie, ludziom, rodzinie, lecz nic na to nie mogę poradzić (...). Wszędzie wokoło widzę kłamstwo i obłudę (...). Jest mi naprawdę ciężko żyć, ale może to przejdzie, może i ja w to wszystko uwierzę, może nie będę takim pesymistą (...). Pogląd mój na życie własne jest żaden, że ci, co już po wyzwoleniu targnęli się na swoje życie, są szczęśliwi, gdyż nie prześladuje ich ta zmora przeżytych lat ciężkiej pracy, poniżenia własnego ja i własnej godności, są szczęśliwi..." (12).

„Po przebyciu obozów przychodziły refleksje co do istoty i sensu życia: że życie jest cudownym, niepowtarzalnym darem, który należy strzec, szanować i o nie walczyć. Że ma ono bogatą, ciekawą, urozmaiconą treść, obfituje w moc uroków, uciech i wspaniałych doznań. Zwycięska walka z przeciwnościami zamienia się w zadowolenie i dumę, podnosi wartość życia. Niepowodzenia i porażki, wady zdrowia itp., również mają swój sens — pod warunkiem przeminięcia. Są bowiem wyznacznikami wartości istnienia, dają skalę porównawczą, wzmagają pragnienie i smak życia (...). Tylko natury twarde, zahartowane, obdarzone dużą siłą witalną, cierpliwością i wiarą w przetrwanie, wyszły z obozu zwycięsko, odniosły olbrzymi sukces, a świadomość wygranej heroicznej walki tym bardziej wzbogaca wartość życia i nadaje mu sens" (1).

„Po wyjściu z obozu śmierci nie pragnęłam, ale coraz częściej pragnę wypocząć, zasnąć i nie czuć niczego, o niczym nie myśleć, niczego nie analizować, o nic nie walczyć, niczego nie zdobywać. Odpoczywać tak od wewnątrz, od środka, żeby i myśl była wolna od tego natężenia... Taki wypoczynek może dać tylko śmierć (...). Nie, ja umrzeć nie chcę, ja chcę tylko uwolnić się od nadmiaru trudu, jaki mnie przygniata. Kocham życie, chcę jeszcze odnaleźć moje »zagubione dni«" (44).

„Teraz zaczynam się załamywać psychicznie, ogarnia mnie depresja i pesymizm, czuję, że muszę wkrótce umrzeć. Nawet w ZUS-ie patrzą na człowieka wilkiem i za co? Że byłem więźniem w obozie? Przykre to, ale prawdziwe" (25).

UTRATA SENSU ŻYCIA

„Po powrocie z obozu do domu stałem się kłopotliwym pacjentem. Po kilku dniach zaczęły mi puchnąć nogi. Utraciłem zdolność chodzenia. Pociłem się cuchnącym acetonowym potem (...). Z okresu rekonwalescencji niewiele pamiętam, co ze mną robiono. Jak przez mgłę widzę te żony pozostałych w obozie kolegów, które przyszły mnie odwiedzić i dowiedzieć się o stanie ich zdrowia i warunków bytu w obozie. Coś im mówiłem, ale nie pamiętam, co. Przez kilka tygodni intelektualnie i uczuciowo żyłem na poziomie żółwia, na zupełnie zwolnionych obrotach (...). Psychicznie stałem się jednak jakimś innym człowiekiem. Trudno mi powiedzieć, jakim. Czułem, że najbliższe mi osoby miały kłopot we współżyciu ze mną. Stałem się drażliwy. Każda uwaga żony czy ostrzejsze wyrażenie budziło we mnie ostrą reakcję. Uciekałem w odosobnione miejsce, by nie pokazywać załzawionych oczu. Dusił mnie przejmujący żal, że tak odczuwam drobiazgi wynikające ze wspólnego życia wśród rodziny. Ta swoista, przykra drażliwość pozostała u mnie do dzisiaj. Mimozowate uczulenie na zwierzęta, nie mówiąc o człowieku, może obudzić u obserwatora poczucie śmieszności. Po powrocie z obozu nie zabiłem np. kury, a istniała ku temu nawet potrzeba. W naszym gospodarstwie kury giną śmiercią naturalną, grzebie się je pod drzewkami owocowymi.

Kilka lat po powrocie z obozu (...) poszedłem na kontrolę uboju. Poszedłem pod przymusem społecznym. Nie miałem pojęcia, jak zareaguję na widok mordowanego

zwierzęcia. We wzroku krowy przeznaczonej do ubicia dojrzałem tyle smutku, że załzawiły mi się oczy, a kiedy padł strzał z ogłuszającego rewolweru, prawie zemdlałem. Byłbym upadł w płynącą krew, gdyby mnie nie podtrzymał lekarz weterynarii. Wyprowadzono mnie szybko na podwórze, gdzie oprzytomniałem" (56).

„Bardzo nie lubię chodzić na pogrzeby, a jeszcze bardziej nie lubię składać kondolencji, bo mam wrażenie, że słowa moje są płytkie, zdawkowe (...). Gdy niespodziewanie spotykam na ulicy kondukt pogrzebowy, zawsze wracam myślą do Oświęcimia i tych, którzy tam zginęli. Zawsze mi w takiej chwili bardziej żal tych, co idą za trumną. Zawsze w takiej chwili czuję smutek i myślami wracam do tych, którym nie dano możliwości oddania ostatniej przysługi (...). Po powrocie z Oświęcimia udałem się do rodziny jednego z moich zmarłych w obozie kolegów. Udałem się tam samorzutnie, gdyż uważałem za swój obowiązek powiadomić pozostałych o jego śmierci, miałem pewną satysfakcję, że spełniłem ten obowiązek" (15).

„Mam 73 lata, w tym wieku często myśli się o śmierci. Staję przed pytaniem, czy rozważania na temat mej śmierci byłyby inne, gdybym nie przeżył obozu. Cena życia spadła. Mniejsza wartość mniej boli po jej utracie. Na pytanie, jakim mnie uczynił obóz, trudno mi odpowiedzieć. Wiem, że byłem innym człowiekiem" (56).

„Po odzyskaniu wolności nie zastanawiałam się nad problemem życia i śmierci. Pochłonięta byłam pracą i wychowaniem syna (...). Raczej teraz zastanawiam się często nad sensem życia, które i tak już dobiega kresu. Jestem właściwie na marginesie, syn ma rodzinę, swoje radości i smutki i swoje dzieci. Jestem traktowana jak osoba, która nie rozumie młodych, nie zna ich potrzeb, jednym słowem — niepotrzebny mebel" (40).

„W ogólnym chaosie pojęć i poglądów nie łatwo było odnaleźć swoje miejsce. Zadowolenie dawała mi praca w szkole. Przekonałam się wkrótce, że nie potrafię już cieszyć się życiem tak, jak dawniej, ponieważ moja psychika została obciążona tamtymi przeżyciami. Na życie patrzyłam jak na egzystencję opartą na pracy, a pojęcie szczęścia ujmowałam sceptycznie. Niemniej nie pragnęłam nigdy śmierci. Dziś także jej nie pragnę, choć życie wraz ze starzeniem się staje się coraz uboższe i mniej ciekawe. Nie dbam o wygody życia codziennego, nie dogadzam sobie w jedzeniu. Nie wierzę w skuteczność leczenia, które kontynuuję. Uważam, że życie jest przemijaniem, które jest naturalne i nie da się go powstrzymać".

„Radość uwolnienia z obozu była wielkim przeżyciem dla każdego (...). Ale w nas, więźniach, pozostał strach. Ja nie umiałam się śmiać przez parę lat. Zawsze się bałam, gdy ktoś pukał do moich drzwi. Nie umiałam się cieszyć szczęściem wolności, byłam zawsze smutna, w moich oczach był strach, lęk i smutek i to odbiło się na moim życiu, nie mogę zapomnieć doznanej krzywdy. W moim pojęciu ludzie, którzy przebyli koszmar obozów koncentracyjnych, są jakby zagubieni w życiu. Coś przeszło przez ich życie, tak jak śmierć, która zabrała szczęście życia" (10).

PRZYJAŹŃ ZE ŚMIERCIĄ

„Odcięłam się od koszmaru. Zapragnęłam żyć na nowo, wolna od bagażu przeżytych lat. Skrótowo opowiadałam przez pierwsze miesiące domownikom o obozie. Wiele spraw złagodziłam i uprościłam. W opowiadaniach nie dotykałam osób zmarłych (...). Potem przez kilka lat nie wracałam do tematu i pytających zbywałam słowami. Ale kiedy zwaliło się na mnie nowe nieszczęście, obóz koncentracyjny ożył, a z nim wszyscy, których tam pozostawiłam. Oni, Ich duchy, stały się wówczas dla mnie najlepszymi duchami, z którymi do dziś się nie rozstałam. Wracam do nich w każdej trudnej sytuacji. Traktuję ich jako istoty żywe, zjawiające się na każde moje zawołanie. Odpoczywam w ich towarzystwie. Ich przedwczesna śmierć, może niepotrzebna, może nie dała takich efektów, na jakie liczyliśmy, okupując nią wolność, ale jest wielka i trwała. Oni dają mi możność zrozumienia sensu życia i śmierci, zwłaszcza takiej śmierci, na najpiękniejszym polu chwały, po bohatersku i z honorem" (2).

„... dzisiaj uważam, że przeżyłem dość. Powinienem spokojnie zakończyć swoje życie. Proszę Boga tylko o nagłą śmierć w domu. W miarę słabego charakteru staram się być po chrześcijańsku gotowy na nią w każdej chwili. Nie zamykam np. drzwi na klucz, bo gdybym skończył, niech nie mają trudności w dostaniu się do mnie. Patrzę na ludzi jak na zupełnie obcy mi świat i obojętny. Gdy się zapalam — mimowolny odruch czynnego charakteru — natychmiast przychodzi refleksja: w imię czego? (...). Uważam za głupotę np. płacz nad grobem, chowanie zwłok w grobowcu itd.".

PAMIĘĆ SELEKTYWNA

„Tylu kolegów i znajomych zginęło lub zmarło w obozie i jakoś na co dzień uszli z pamięci, a jeden jedyny, poznany w Mysłowicach, a następnie w Oświęcimiu, stale żyje w mojej pamięci i modlitwach. Nie jestem w stanie powiedzieć, dlaczego. Był to młody chłopak, młodszy ode mnie, syn rzemieślnika z Żywca (...). Poznałem go już w celi w Mysłowicach, gdzie osadzono go po odbyciu dwuletniego wyroku na terenie Niemiec. Aresztowany został w 1940 roku na terenie Bielska za przynależność do organizacji. W owym czasie, jeszcze w wyniku przeprowadzonej rozprawy sądowej, skazany został na dwa lata więzienia. W Nadrenii pracował jako więzień w przemyśle i po odbyciu kary został przetransportowany do Mysłowic, a stąd do Oświęcimia. W Oświęcimiu przydzielono go do ciężkiej pracy, nie pomnę, w jakim komando. Starałem się przez innych uprzywilejowanych kolegów o lżejszą dla niego pracę, ale w toku mych starań został gońcem w warsztatach krawieckich. Funkcję gońca pełnił kilka dni i zginął na terenie warsztatów od... bomby alianckiej w czasie nalotu na Oświęcim. Przeżywałem bardzo ciężko jego śmierć i do dziś o nim nie zapominam. Po apelach spotykaliśmy się, robiliśmy plany przyszłego życia, marzyliśmy o domu, o bliskich, o własnym domu, który założymy. Z jego śmiercią nie mogłem i do dziś nie mogę się pogodzić" (13).

PARADOKS PRZEŻYCIA

„Oswobodzenie miało miejsce w obozie koncentracyjnym w Dachau, w dniu 29 kwietnia 1945 roku, przez VIII Armię amerykańską. Po przebytej drodze, i w asyście tak masowej śmierci, nastąpiło u mnie załamanie się zarówno fizyczne, jak i psychiczne. W momencie otwierania bramy obozu przez Amerykanów rozlewałem akurat zupę na sztubie. Była godzina dziewiętnasta. Wieść o oswobodzeniu obozu nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Byłem zobojętniały i nie potrafiłem przeżyć radości uwolnienia, rozlewałem dalej zupę. Podobnie jak ja, przeżyli to uwolnienie inni więźniowie stojący w ogonku po zupę. Oni też nie okazywali żadnej radości. Dopiero gdzieś po dwudziestu minutach wyszliśmy z bloku pod główną bramę, gdzie tłum byłych więźniów wiwatował z radości. I to nas nie porwało. Wracając z kolegami do bloku, widzieliśmy, jak kilku byłych więźniów znęcało się nad dwoma esesmanami, którzy nie zdążyli uciec. Bili ich i zanurzali w rowie z wodą okalającą obóz. Widok ten był nam obojętny, raczej uważaliśmy, że tego nie powinni robić. Na drugi dzień pobiegłem na rewir do lekarza, bo wydawało mi się, że mam w sobie wszystkie choroby: serca, płuc, wątroby. Niestety, nie dostałem się. Rewir był bowiem oblegany przez tłum chorych i »muzułmanów« (...). Przystosowanie się do życia w tych warunkach przebiegało bardzo ciężko. Człowiek nie wiedział, co z sobą robić. Napotkane rozczarowania zaczęły podważać sens przetrwania obozów" (46).

NIEMI ŚWIADKOWIE

„Do jeziora przylegającego do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück wysypywano prochy zmarłych i pomordowanych. Kiedy jezioro będzie się burzyć, to w jego szumie odezwie się głos wołający o sprawiedliwość, jak w kłosach zbóż na polach przyobozowych w Oświęcimiu, na których również rozsiewano prochy spalonych. Tacy świadkowie, jak pola, jeziora, lasy, płaczące brzozy na mogiłach zamordowanych zakładników nie umierają, a ich język będzie zrozumiały dla każdego, kto będzie chciał go zrozumieć i pojąć...

I to jest chyba wszystko, co chciałam powiedzieć od siebie na temat śmierci w obozie koncentracyjnym i mojego do niej stosunku. Była zgoła inna niż na wolności, niż zwykliśmy ją pojmować, jak inne były warunki, które nam zgotowano. W wyrazie swoim pomimo to była mocno zróżnicowana: apatyczna i zrezygno-

wana, uskrzydlona i modlitewna, a chociaż bosa, naga, owrzodzona i zawszona, była wielka. Tak ją pojmuję" (2).

SENS CIERPIENIA, ŻYCIA I ŚMIERCI

Uważna lektura tych intymnych zwierzeń, podobnie jak wśród ankietowanych, tak i u autorów tej pracy wywołała początkowo zaniepokojenie, a nawet obawy, czy poruszenie tematu tak drażliwego nie przysporzy cierpień i nie odświeży obozowych ran. Istotnie tak się stało, lecz potem przyszło uspokojenie, opadły emocje i nadeszła refleksja, głęboka i wielka, nad sensem cierpienia i sensem umierania. Tym sprawom poświęcona jest ostatnia porcja wypowiedzi.

„Niepokoi mnie nieustannie zagadnienie, jak to się stać mogło, że w XX wieku, w wieku tak wszechstronnego postępu i osiągnięć, i w narodzie, który przecież należy do światowej czołówki kulturalnej, mogły powstać zupełnie świadomie zaplanowane ośrodki wyniszczenia pewnych narodów czy pewnych określonych grup społecznych. Jak to się stało, że ludzie wywodzący się z tak kulturalnego narodu, z taką dziką pasją, niejednokrotnie z jakąś szatańską rozkoszą znęcali się nad ludźmi zupełnie bezbronnymi, zupełnie bezsilnymi, pozbawionymi możliwości wyrażania jakiegokolwiek protestu, wszelki bowiem protest więźnia był jego wyrokiem śmierci" (35).

„Życie w warunkach obozu koncentracyjnego, w obliczu stałego zagrożenia, zmuszało do odpowiedniej postawy obronnej, do błyskawicznego przystosowania się do nowych warunków i do wybierania najlepszej pozycji. Postawy były różne: powagi, spokoju, chłodu, uprzejmości, służalczości, nadskakiwania, wrażliwości, czujności, zastraszenia i wspomagające kapów i blokowych. Jedni umieli opanować własny strach, inni nie. Jedni reagowali zawsze prawidłowo, inni — osłabieni, zrezygnowani, zdezorientowani — tworzyli znaczną masę więźniów, obojętną, prawie nie reagującą. Zwano ich muzułmanami. Oni najczęściej podpadali, najwięcej cierpieli. Tworzyli olbrzymią masę ludzi wyniszczonych, półżywych, dla których każdy krok i każdy ruch był znacznym wysiłkiem (...). Musieli umierać na stojąco, na chodząco, w jakimś dziwnym, obłędnym tańcu śmierci. Nie wiem, co myśleli, czy jeszcze mózg ich zdolny był do takiego wysiłku. Między człowiekiem a człowiekiem panuje noc jak ciemna ściana, jak śmierć. Tu nie można powiedzieć nic. Nie ma recepty na przebycie śmierci. Tę granicę przebywa każdy sam i nie może się już z nikim podzielić wrażeniami. Zwykle śmierć następuje w stanie skrajnego wyczerpania organizmu i osłabienia świadomości. Ale bywają śmierci świadome, śmierci wzorcowe, spartańskie. Obóz oświęcimski długo wspominał heroiczną śmierć ojca *Kolbego* w ekstazie religijnej jako tego, co umiał umrzeć, aby żyć. Pamięć o nim i jego historyczne życie zaczęło się po jego śmierci" (21).

„Nieliczni godzili się na to, by żyć za wszelką cenę, nawet idąc po trupach innych. Ci godzili się przyjąć każdą, najbardziej upokarzającą rolę lub nawet współdziałanie w wykańczaniu współwięźniów, byle tylko żyć. Tych ostatnich, w następnych latach, przy nadarzającej się okazji, pozbywała się społeczność więźniarska" (35).

„Czym była śmierć w obozie? Wątpić można, czy ktokolwiek dotychczas w pełni naświetlił jej zdehumanizowaną pogardę i brzydotę. Z góry zakładam, że nie potrafię, nie jestem w stanie sięgnąć do najciemniejszych, najbrutalniejszych stron poniżenia ludzkich ciał. Spróbuję tylko przybliżyć się do makabry tego, co było.

Gdy patrzę na śmietnik przepełniony wszystkim, co pozostało do wyrzucenia, to stwierdzam, że mu jeszcze daleko do koszmarnego widoku usypiska z rekwizytów człowieczego pochodzenia. Widzę odarte z odzieży, bez jakichkolwiek okryć martwe i na wpół żywe jeszcze szkielety, powyrzucane byle jak z bloku 25, w swym czekaniu na miejsce w krematorium (...).

Popiołu ludzkich ciał przybywało. Tuż za drutami lagru ciągnął się pusty pas przestrzeni oddzielającej obóz od cywilnych osiedli (...). Na tym pasie pustej przestrzeni ciągnęły się w różnych kierunkach doły wypełnione po brzegi szarobiałymi płatkami popiołu ze spalonych ludzkich ciał. Co nie mieściło się w dołach, rozsypane zostało po polach (...). Wiatr, łaskawszy od esesmanów, przenosił je w trawy, w zagajniki, za którymi tęsknili za życia" (8).

„Pierwsze transporty (...) do niemieckich obozów koncentracyjnych i nadchodzące stamtąd zawiadomienia o śmierci zesłanych zwróciły uwagę społeczeństwa na przyczyny zgonów. Oficjalne zawiadomienia podawały jako przyczynę śmierci lakonicznie *Herzmuskelschwäche* [osłabienie mięśnia sercowego], *Herzanfall* [atak, udar serca] itp. Stwierdzenia te dotyczyły osób w sile wieku, cieszących się w momencie aresztowania najlepszym zdrowiem i dlatego w środowisku polskim wiadome się stało, że obozy stanowią »fabrykę śmierci«. Z upływem czasu zaczęły przenikać informacje o metodach i sposobach uśmiercania stosowanych w obozach. W ten sposób na długo przed moim aresztowaniem zagadnienie śmierci w obozach było mi znane w jakiś daleki i, jak się okazało, nierealny sposób (...).

Tymczasem los nie skąpił nam możliwości spoglądania śmierci w oczy, ale nie tej szlachetnej z pola walki, tej nadchodzącej w glorii zwycięstwa lub kurzawie klęski, dającej satysfakcję dobrze spełnionego obowiązku, lecz śmierci potwornej, okrutnej, łachmaniarskiej, głodowej, pełnej trupów i wrzodów, śmierci od szpili z fenolem, śmierci w komorze gazowej, śmierci w kazamatach gestapo, śmierci w bunkrach 11 bloku. Takiej śmierci spoglądać trzeba było w puste oczodoły i z taką śmiercią trzeba było żyć za pan brat" (13).

„Nie do wyjątków należały też postawy i zachowania katastroficzne: całkowite załamanie i zapadnięcie na chorobę umysłową, stany zupełnego odrętwienia, apatii, brak reagowania na otaczające zjawiska lub, wręcz odwrotne, nie zrozumiałam aktywności w przeklinaniu, roszczeniu nieuzasadnionych pretensji do współwięźniarek, popadania w krańcowo różne stany nastroju. Analizując obecnie tamte tragiczne wydarzenia (...), muszę stwierdzić, że było wśród nas wiele charakterów złych, przewrotnych, bezlitosnych, a nawet okrutnych. Ale spory odsetek więźniarek stanowiły kobiety głęboko nieszczęśliwe i wymagające moralnego wsparcia i pomocy (...).

Reasumując swoje refleksje na temat śmierci w obozach koncentracyjnych, chciałabym wyrazić pogląd, że są wśród ludzi pewne gesty ostateczne, utrzymujące się jeszcze w granicach człowieczeństwa, i nie wolno poza nie wykraczać, wtedy bowiem wszystko przybiera kształty monstrualne i zwyczajna surowość oznacza bestialstwo, człowiek upodabnia się do dzikiego zwierzęcia. W czasie wojny te granice oddalają się znacznie od człowieka i robią miejsce dla rzeczy niewyobrażalnych — »człowiek sięga po rękę drugiego człowieka, żeby ją obgryźć«" (24).

„Wielu prowadziło tę walkę z uporem, czasem zdawało się wbrew wszelkim nadziejom, aż do końca. A kiedy mimo wszystkie wysiłki przyszło im umrzeć, przyjmowali śmierć ze spokojem. Ogółem więźniowie umierali spokojnie, pogodzeni ze swoim losem (...).

Sądzę, że człowiek zawsze umiera samotnie, zwłaszcza jeżeli chodzi o przeżycia samego umierającego. Ale w obozie śmierć więźnia była nade wszystko śmiercią samotniczą: umierał bez najbliższych, rodziny, pomijając wyjątki, bez przyjaciół, otoczony obojętnością, wyrosłą nie ze złości, ale na poczuciu jakiejś kompletnej i obezwładniającej bezsiły wobec zjawiska spotykanej w obozie śmierci i na oswajaniu się z codziennym widokiem umierania i zmarłych" (35).

„Kiedy dziś myślę o tych piętrzących się stosach trupów, ogarnia mnie przerażenie. Przecież te wszystkie trupy to byli LUDZIE, na miłość Boską, tyle ludzi, dlaczego było ich tak dużo, nie chcę wierzyć w to, że był to obóz zagłady, uprzytamniam sobie tylko, że to byli LUDZIE. Nie znajduję odpowiedzi, dlaczego pozwolono na to, dlaczego świat nie interweniował, przecież to byli ludzie. Ileż to głów ludzkich, ileż serc, które dla kogoś biły, ile par oczu różnego koloru, dlaczego bezkarnie ginęli ludzie; lepiej nie wgłębiać się w to, i tak nikt nie da mi odpowiedzi, bo to, że wojna, że *Hitler*, nie wystarcza mi (...). Wojna się skończyła, świat XX wieku przeszedł nad tym do porządku dziennego. Rodzą się nowi ludzie, tamtych jednak nikt nie zastąpi, bo tamci byli masowo mordowani" (44).

„Niejednokrotnie już rozmyślałem i nie mogę znaleźć odpowiedzi, jak z tych koszmarnych okropności i pla-

nowo prowadzonego ludobójstwa, potwornych warunków, znęcania się, głodzenia i tylu przeróżnych metod mordowania niektórzy ocaleli, a między nimi i ja. Jak można było egzystować i przetrwać w tych warunkach cztery lata, w jaki sposób nam się to udało? To pytanie zadawałem sobie nieraz i nie mam na nie odpowiedzi. Co zadecydowało o tym, że pewien odsetek mimo wszystko ocalał? (...). Czy może umiejętność lub zdolność oderwania się od grozy otoczenia, widoków, ucieczka w marzenia, wyjątkowa wytrzymałość fizyczna, odporność, żelazne nerwy, zbieg okoliczności, a może tylko ślepy traf, silna, nieugięta wola przetrwania, przystosowanie do panujących w obozie warunków, czy wreszcie szczęśliwy los lub cud — nie potrafię dać nikomu właściwej odpowiedzi, jak również samemu sobie (...). Przecież to nie mógł być cud, bo takie rzeczy nie istniały. Żaden z nas, którzy przeżyliśmy, nie ma na to konkretnej odpowiedzi" (41).

„Kiedyś, w obozach, pośród niekończących się dyskusji dochodziliśmy do wniosku, że po doświadczeniach ostatniej wojny i obozów nastąpi jakiś potężny zwrot człowieka ku Bogu. Ludzkość będzie szukać wartości ponadczasowych, ponadludzkich, jakiegoś oparcia niezależnego od zmiennej woli człowieka, aby na nich oprzeć wzajemne współżycie, by już nigdy nie powtórzyły się ani wojny, ani obozy. Jakże daleko jesteśmy dzisiaj od tamtej wizji przyszłości (...).

Kim jest człowiek? W czym tkwi jego godność? Czy ta godność jest uznawana? W czym tkwi sens jego życia? (...).

Tylko w Bogu godność człowieka wyraża się najpełniej, a jego życie zyskuje wartości nieprzemijające i w pełni niezależne (...).

Ale nie tracę nadziei, a moją nadzieją jest ten oczywisty fakt, że pokolenia przemijają, a Bóg trwa i żyje" (35).

„Nikt nie rozumie nas i nie jest w stanie pojąć, co to jest bezustanna walka na każdym kroku ze śmiercią, która groziła w ukryciu, czyhała na nas pod różnymi postaciami, krążyła wokół nas jako nieodłączna, jedyna towarzyszka obozowa, zaglądająca nam stale w oczy. Była ona czasem bohaterska, czasem tchórzliwa, lub zwyczajna, powszednia, taka, jaką widzieliśmy w obozie i jaka tkwi w nas do dzisiaj. Jesteśmy naznaczeni piętnem śmierci, a wyrwaliśmy się jej dziwnym zbiegiem okoliczności, przypadków lub może cudem, ale tkwi ona w nas nadal. Każdy, kto przeżył obozowe piekło, pracując w fabryce śmierci, ma w sobie zalążek nie zbadanej przez naukę choroby w sensie fizycznym i urazu psychicznego. Więzień, który nawet nie został skatowany, nie był wycieńczony nadludzkim wysiłkiem do ostateczności, wyczerpany głodem, co jest niemożliwością, to i tak przeżył okres stałego napięcia nerwowego, bo oglądał śmierć innych z bliska i zmuszony był walczyć, szamotać się z nią na każdym miejscu, stale mu zagrażała, nie pozwalając ani na moment odsunąć jej od siebie.

O wiele gorsza była w obozie śmierć psychiczna, zmuszano nas przecież do milczenia, do wielu reakcji przeciwnych naszym dążeniom, gdy chciało się krzyczeć, wyrazić współczucie, stanąć w obronie drugiego człowieka lub własnej, to i tak groziło śmiercią. Takie wewnętrzne zderzenie nie pozostawało bez skutków, każdy z nas doznawał zaburzeń psychicznych, popełniał czyny wbrew swojej woli, pozostawał biernym (...).

Druty obozowe — to zapory przeciw rozsądnemu i zdrowemu myśleniu, to oddziaływanie na psychikę więźnia, pozbawienie go swobodnego myślenia (...). Obozowe piętno życia i śmierci wywołało nieodwracalne przemiany w naszych ustrojach. Choć przeżyliśmy piekło obozu, wiele w nas zostało zabite, idee, marzenia, młodość, radość życia, czasem wiara w człowieka i istnienie Boga, granica między dobrem a złem" (41).

„Często cierpienie było przygotowaniem do śmierci, która była aktem pełni życia ludzkiego, »pełni« urzeczywistnianej w codziennym zmaganiu się ponad miarę. Powiedział ktoś mądrze: »sensu zdania nie można zrozumieć, dopóki nie jest ono doprowadzone do kropki. Podobnie życie nabiera sensu, gdy się dopełniło w śmierci«. Śmierć — to akt pieczętujący całość życia, rzuca refleks na wszystkie jego przejawy i czyny. Wiara każe umierającemu patrzeć ku życiu, ku światłu, które mieści się poza sferą ludzkiej egzystencji" (50).

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Porządkując i opracowując ten niezwyczajny materiał, te prawdziwe wyznania duszy byłych więźniów obozów koncentracyjnych, autorzy z trudem oparli się zamysłowi pozostawienia go bez jednego słowa komentarza. Wątpliwości te nadal pozostają nierozwiązane.

Dlaczego temat ten — przecież najistotniejszy w problematyce obozów koncentracyjnych — podjęty został zbiorczo tak późno, niemal po czterdziestu latach, i dlaczego uzyskany materiał wyczekiwał na opracowanie cztery lata? Brak usprawiedliwienia racjonalnego i obiektywnego. Temat ten przekraczał i nadal przekracza możliwości autorów, mimo że jeden z nich przeżył obóz na własnej skórze. W końcu przeważyło poczucie lojalności i zobowiązania wobec respondentów, którzy są prawdziwymi i jedynymi autorami tej pracy. Autorzy formalni poczuwają się jedynie do zaszczytu zgromadzenia i uporządkowania materiału.

Dlatego też — zamiast zakończenia i wniosków — pragniemy zestawić te osobiste i intymne refleksje byłych więźniów z wypowiedziami osób, którym wojenny los Polaków leży na sercu.

*

„Nie można zabić milionów ludzi, nie kalecząc całej ludzkości. Nie można mordować setek tysięcy kobiet i dzieci, by mroźne tchnienie przerażenia nie ogarnęło wszystkich domostw na całym świecie, w których kobiety i dzieci wierzą, że obroni je humanitaryzm istot do nich podobnych (...).

Ci, którzy chcieli zabić człowieka, osiągnęli skutek wręcz odwrotny: uczynili go silniejszym i szlachetniejszym. Ci, którzy usiłowali zniszczyć wartości ludzkie, bezwiednie zasiali ziarno wielkiego i podniosłego odrodzenia. Oświęcim dowiódł raz jeszcze, że żadna otchłań zgrozy nie może zniszczyć ludzkości i złamać woli człowieka, by żyć w wolności, godności i sprawiedliwości" (Giuseppe *Saragat*, 1966).

„Ludzie »przeznaczeni na śmierć« zawsze wewnętrznie walczą o to, by ich cierpienie i śmierć miały znaczenie ofiary. Dlatego nic nie rozumie ten, kto się dziwi, że między ludźmi znajdującymi się w niewoli albo w obozie koncentracyjnym rozpalały się dyskusje filozoficzne i światopoglądowe. Nikogo to nie powinno dziwić. Sprawia to duchowa tendencja samozachowawcza. W tych sytuacjach skrajnych, ostatecznych, głód duchowy, głód chleba duchowego nie jest mniejszy niż głód chleba materialnego. Nikogo też dziwić nie może to, że więźniowie obozów koncentracyjnych, nawet wobec tego, czego byli świadkami, nie tracili apetytu; sprawiał to ich instynkt samozachowawczy (...), który przeprowadzał ich przez okropności i grozę (...). Chodziło o to, żeby w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa i zagrożenia życia z całą siłą duchową walczyć o sens śmierci i wychodzić śmierci naprzeciw — w godnej postawie" (Viktor *Frankl*, 1971).

„Więzień poddany działaniu niesłychanej zewnętrznej presji, a jednocześnie oszołomiony niesamowitością otaczającego go świata obozowego, musiał przyjąć narzucony mu sposób widzenia siebie, stawał się bezwolnym automatem, popychanym, bitym, maltretowanym, ślepo posłusznym rozkazowi, marzącym jedynie o zaspokajaniu swych podstawowych potrzeb. Jeśli nie potrafił się przeciwstawić tej zewnętrznej presji, inaczej popatrzeć na siebie niż czynili to jego oprawcy, wkrótce spełniał ich plan: stawał się »muzułmanem« i umierał w upodleniu. Upodlenie śmierci było bowiem jedną z cech życia obozowego. Cechą każdej kultury ludzkiej jest szacunek wobec śmierci i kult zmarłych, w którym wyraża się ludzka tęsknota do nieśmiertelności. Więzień obozu koncentracyjnego, przestając być oficjalnie człowiekiem, musiał być też pozbawiony tego aspektu człowieczeństwa" (*Kępiński*, 1966).

„... bo wiele wskazuje na to, że świat obozów koncentracyjnych był, jak i jest nadal, jedynie pierwszą z form, w jakich ujawnia się wyłamujący się z primordialnych wód Lewiatan, wszechwładne państwo, Bestia Apokalipsy. Ludzie, którzy po raz pierwszy zostali postawieni wobec niego jako faktu, odczuwali niejasno, że upadają dotychczasowe koncepcje człowieka i społeczeństwa, że odsłania się nowy wymiar, i to nie przez wielkość zbrodni, ale przez jej bezosobowość" (*Miłosz*, 1981).

*

„Przychodzę więc i klękam na tej Golgocie naszych czasów, na tych mogiłach w ogromnej mierze bezimiennych jak gigantyczny grób nieznanego żołnierza. Klękam przy wszystkich po kolei tablicach Brzezinki, na których napisane jest wspomnienie ofiar Oświęcimia w następujących językach: polskim, angielskim, bułgarskim, cygańskim, czeskim, duńskim, francuskim, greckim, hebrajskim, jidysz, hiszpańskim, flamandzkim, serbo-chorwackim, niemieckim, norweskim, rosyjskim, rumuńskim, węgierskim, włoskim (...).

Oświęcim jest rozrachunkiem z sumieniem ludzkości poprzez te tablice, które świadczą o ofiarach, jakie poniosły narody. Oświęcim jest miejscem, którego nie można tylko zwiedzać. Trzeba przy odwiedzinach pomyśleć z lękiem o tym, gdzie leżą granice nienawiści.

Oświęcim jest świadectwem wojny. To wojna niesie z sobą ów nieproporcjonalny przyrost nienawiści, zniszczenia, okrucieństwa. A jeśli nie da się zaprzeczyć, że objawia również inne możliwości ludzkiej odwagi, bohaterstwa, patriotyzmu, to jednak rachunek strat przeważa. Coraz bardziej przeważa, im bardziej wojna staje się rozgrywką wyrachowanej techniki zniszczenia. Za wojnę są odpowiedzialni nie tylko ci, którzy ją bezpośrednio wywołują, ale również ci, którzy nie czynią wszystkiego, co leży w ich mocy, aby jej przeszkodzić" (*Jan Paweł II*, 1979).

„Naród polski przetrzymał najstraszliwsze doświadczenia dziejów, choć sąsiedzi wielokrotnie skazywali go na śmierć. Pozostał przy życiu i pozostał sobą, zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność jako naród nie w oparciu o jakiekolwiek inne środki fizycznej potęgi, ale tylko w oparciu o swoją kulturę" (*Jan Paweł II*, 1981).

ANEKS

SPIS RESPONDENTÓW

W następującym, alfabetycznym spisie byłych więźniów kolejne liczby odpowiadają wskaźnikom liczbowym przy fragmentach relacji cytowanych w tekście pracy:

1. Arnold *Andrunik* (nr więźnia w *KL Auschwitz-Birkenau* 66686); 2. Jadwiga *Apostoł-Staniszewska* (26273); 3. Stanisław *Baś* (62039); 4. Stanisław *Biedroń* (92226); 5. Włodzimierz *Borkowski* (360); 6. Józef *Brudz* (45105); 7. Wanda *Brühl* (44701); 8. Mieczysława *Chylińska* (44658); 9. Helena *Dunicz-Niwińska* (64118); 10. Zofia *Filipczyk* (30495); 11. Stefan *Firlej* (46654); 12. Wacław *Flakiewicz* (62500); 13. Alojzy *Fros* (136223); 14. Edward *Garwoliński* (138694); 15. Wincenty *Gawliczek* (10246); 16. Andrzej *Gąsienica-Makowski* (5654); 17. Aleksander *Giermański* (716); 18. Bronisław *Gościński* (403); 19. Antonina *Gryboś-Tajak* (29690); 20. Franciszek *Gulba* (10245); 21. Kazimierz *Hałgas* (5670); 22. Janina *Hincz;* 23. Piotr *Hiroń* (4668); 24. Józefa *Jabłońska* (54707); 25. Józef *Janus* (90251); 26. Kazimierz *Japoł* (9172); 27. Tadeusz *Jarosławski* (11750); 28. Maria *Karelus* (56877); 29. Józef *Kret* (20020); 30. Stefan *Krupa* (123348); 31. Antoni *Kubica* (7617); 32. Adam *Kupczyk* (39493); 33. Władysław *Łyczkowski* (119849); 34. Józef *Majchrzak* (33204); 35. Jan *Marszałek* (18857); 36. Julian *Niewiarowski* (5596); 37. Stanisława *Piąty* (7558); 38. Nikodem *Pieszczoch* (673); 39. Jadwiga *Przezdzik-Wicek;* 40. Irena *Przybyszowa* (43551); 41. Zygfryd *Rębilas* (9247); 42. Jan *Sikorski* (19086); 43. Ludwik *Skarszewski* (37939); 44. Maria *Slisz-Oyrzyńska* (40275); 45. Zdzisław *Soleski* (96244); 46. Jan *Stawarz* (39534); 47. Józefa *Stefaniszyn* (nr w Ravensbrück 726?); 48. Józefa *Szkodzińska* (32293); 49. Stefan *Szostak* (123014); 50. Konrad *Szweda* (7669); 51. Karol *Talik* (1226); 52. Kazimierz *Tokarz* (282); 53. Jadwiga *Trębasiewicz* (44133); 54. Roman *Trojanowski* (44); 55. Maria *Zawidzka* (nr w Ravensbrück 7278); 56. Marian *Zieliński* (nr w Mauthausen 7047, nr w Dachau 32650).

Autorzy składają serdeczne podziękowania za nadesłanie relacji, których fragmenty zostały wykorzystane w tej pracy. Dziękujemy sporej grupie ofiarnych byłych więźniów za użyczenie nam bezcennego materiału źródłowego. Dokumentację tę przekażemy po wykorzystaniu do Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

PIŚMIENNICTWO

Apostoł-Staniszewska J.: Wobec śmierci w Brzezince i w Ravensbrück. Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 163—168.

Bezwińska J., *Czech* D.: O rękopisie Zelmana *Lewentala*. Zeszyty Oświęcimskie. Numer specjalny (II). Rękopisy członków *Sonderkommando*. Oświęcim 1971, Wydawnictwo Państwowego Muzeum s. 119—184.

Bilikiewicz T.: *Somatectomia totalis*. Psychiatria Polska, 1968, nr 5.

Boros L.: *Mysterium mortis*. Człowiek w obliczu ostatecznej decyzji. Warszawa 1977, Pax.

Brandstaetter R.: Biblia na naszych oczach wciąż pisana. Tygodnik Powszechny, 1981, nr 14 (1680), s. 1.

Bréhant J.: *Thanatos*. Chory i lekarz w obliczu śmierci. Warszawa 1980, Pax s. 32.

Bukowczyk A., *Dul* E., *Skrzek* E.: Obraz psychopatologiczny osób umierających. Pol. Tyg. Lek., 1971, nr 19, s. 710—713.

Cegłowska T.: Karne kompanie w *KL Auschwitz*. Zeszyty Oświęcimskie. Nr 17. 1975, s. 155—198

Chodoff P.: German concentration camp as psychological stress. Arch. Gen. Psych., 1970, nr 1, s. 78—87.

Cyprian T.: Dekret „Nacht und Nebel" jako jeden ze środków hitlerowskiej polityki eksterminacyjnej. W: Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem ludzkości i historii. Red. C. *Pilichowski*. Warszawa 1980, PWN, s. 445—456.

Ditfurth H.: Na początku był wodór. Warszawa 1978, PIW, s. 181.

Fedorowicz T.: Uwagi o „rewirach" i funkcyjnych obozowych. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 148—153.

Fejkiel W.: Głód w Oświęcimiu. W: Wspomnienia więźniów obozu oświęcimskiego. Oświęcim 1976, Wydawnictwo Państwowego Muzeum.

Frankl V. E.: *Homo patiens*. Warszawa 1971, Pax, s. 83.

Gawalewicz A.: Refleksje z poczekalni do gazu. Kraków 1968, s. 26, 78—79.

Grzywo-Dąbrowska M., *Grzywo-Dąbrowski* W.: Okrucieństwa hitleryzmu. Rocznik Psychiatryczny, 1949 (r. 27, t. 37), nr 1, s. 57—59.

Hampe J. C.: [Śmierć jest przecież całkiem inna. Doświadczenia z własną śmiercią.] Stuttgart 1976, Kreuz Verlag.

Heydecker J., *Leeb* J.: Trzecia Rzesza w świetle Norymbergi. Bilans tysiąca lat. Warszawa 1979, Książka i Wiedza.

Höss R.: Wspomnienia. Oprac., wstęp i przypisy: J. *Sehn*. Wyd. 2, Warszawa 1960.

Iwaszko T., *Kłodziński* S.: Bunt skazańców 28 X 1942 r. w oświęcimskim bloku nr 11. Kpt. dr Henryk *Suchnicki*. Przegl. Lek., 1977, nr 1, s. 119—122.

Jagielski S.: Psychiczne galwanizowanie muzułmana. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 107.

Jagoda Z., *Kłodziński* S., *Masłowski* J.: Osobliwości słownictwa w oświęcimskim szpitalu obozowym. Przegl. Lek., 1972, nr 1, s. 34—45.

Jagoda Z., *Kłodziński* S., *Masłowski* J.: Oświęcim nieznany. Kraków 1981, Wydawn. Literackie, s. 26—97: rozdz. pt. „Krematoryjne esperanto".

Jagoda Z., *Kłodziński* S., *Masłowski* J.: Przetrwanie obozu w ocenie byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki. Przegl. Lek., 1977, nr 1, s. 77—108.

Jakubik A.: Zbrodnie ludobójstwa a psychologia poczucia winy. Przegl. Lek., 1975, nr 1, s. 15—21.

Jakubik A.: Z psychopatologii poczucia winy. Hitlerowscy zbrodniarze wojenni. Przegl. Lek., 1975, nr 1, s. 21—33.

Jan Paweł II: Przemówienia i homilie. Polska 2 VI 1979 — 10 VI 1979. Kraków 1979, Wydawn. Znak, s. 191—192.

Jan Paweł II: Z przemówienia na sesji generalnej *UNESCO*. Kierunki, 1981, nr 4 (1284), s. 3.

Jędrzejczyk O.: Znałem ojca Maksymiliana *Kolbego*. Mówi brat Juwentyn *Młodożeniec* z Asyżu. Przekrój, 1981, nr 1891, s. 7.

Kajzer A.: Za drutami śmierci. Oprac. A. *Ostoja*. Łódź 1962, Wydawn. Łódzkie.

Kamiński A. J.: Hitlerowskie obozy koncentracyjne i ośrodki masowej zagłady w polityce imperializmu niemieckiego. Poznań 1964, Wydawn. Poznańskie.

Kępiński A.: „Anus mundi". Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 150—152.

Kautsky B.: Teufel und Verdammte. Erfahrungen und Erkenntnisse aus sieben Jahren in deutschen Konzentrationslagren. Wien 1961, Verlag der Wiener Volksbuchhandlung; s. 166—168: rozdz. pt. Muselmann.

Kępiński A.: *Homo homini lupus est.* Przegl. Lek., 1971, nr 1, s. 165—167.

Kępiński A.: Koszmar. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 54—58.

Kępiński A.: Lęk. Warszawa 1977, PZWL, wyd. 2, s. 225, 246, 251, 266, 294 i 324.

Kępiński A.: Refleksje oświęcimskie. Rampa. Psychopatologia decyzji. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 26—35.

Kępiński A., *Masłowski* J.: Motyw „Dulce et decorum..." Przegl. Lek., 1972, nr 1, s. 71—76.

Kielar W.: *Anus mundi.* Wspomnienie oświęcimskie. Kraków 1972, Wydawn. Literackie.

Kielanowski T.: Problem niepotrzebnego cierpienia. (O niepotrzebnym cierpieniu, rodzonym przez postępy nauk medycznych). Studia Filozoficzne, 1963, nr 2/33.

Klee E.: [Życie po śmierci. Czy chętnie umierasz?] Die Zeit, 1977, nr 42.

Kłodziński S.: Swoisty stan chorobowy po przebyciu obozów hitlerowskich. Przegl. Lek., 1972, nr 1, s. 15—21.

Kozaczka A.: Cień antropoida. Kraków 1977, Wydawn. Literackie, s. 48.

Kübler-Ross E.: On death and dying. London, New York, Toronto, Sydney, Wellington 1970, Tavistock Publications.

Lifton R. J.: On death and death symbolism: the Hiroshima desaster. Psychiatry, 1964, nr 27, s. 191—208.

Lifton R. J.: Psychological effects of the atomic bomb in Hiroshima. Daedalus, 1963, nr 92, s. 462—479.

Lifton R. J.: Survivors of Hiroshima. Death in life. New York 1967, A Touchstone Book, published by Simon and Schuster.

Lifton R. J.: Trumna staje się modniejsza od łóżka. Polityka, 1980, nr 5 (1196), s. 14.

Ławkowicz W.: [Przemówienie wygłoszone w dniu 23 marca 1945 roku w obozie koncentracyjnym w Mauthausen w związku ze śmiercią dr. Jerzego *Gromkowskiego*-Grzeli".] W: S. *Kłodziński:* Prof. dr Włodzimierz *Ławkowicz.* Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 199—200.

Majewski Z.: Spowiadał mnie o. Maksymilian. Przekrój, 1981, nr 1897, s. 17.

Masłowski J.: Zagadnienie martyrologii dzieci w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" [Wrocław 1979, Okręgowa KBZH, maszynopis powielony], ss. 15.

Melchior M.: Ethos walki. Kultura. 1981, nr 10 (925), s. 9 i 10.

Miłosz C.: Niemoralność sztuki. Życie Literackie, 1981, nr 24 (1533), s. 3.

Miś B.: Hańba. Antena, 1981, nr 28, s. 25.

Mitscherlich A., *Mielke* F.: Nieludzka medycyna. Warszawa 1963, PZWL.

Moody R. A.: Życie po życiu. Warszawa 1979. Pax.

Obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka (Auschwitz-Birkenau). Oprac. J. *Sehn.* Warszawa 1960, Wydawn. Prawnicze, s. 60.

Olbrycht J. S.: Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Orzeczenie wygłoszone na rozprawie sądowej przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w dniu 1947. Przegl. Lek., 1948, nr 3, s. 5.

Oświęcim. Hitlerowski obóz masowej zagłady. Warszawa 1977, Interpress, s. 85—129: F. *Piter:* Eksterminacja.

Paczuła T.: Obóz i szpital obozowy w Oświęcimiu we wczesnych okresach istnienia. Przegl. Lek., 1963, nr 1a, s. 50—53.

Półtawska W.: Stany hipermnezji napadowej u byłych więźniów obserwowane po 30 latach. Przegl. Lek., 1978, nr 1, s. 20—24.

Przerwa-Tetmajer A.: Dr Jerzy *Gromkowski* — „Grzela". Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 168—170.

Pszon M.: Niezwykła opowieść o śmierci. Tygodnik Powszechny, 1977, nr 44 (1501).

Ryn Z.: Uwagi psychiatryczne o tzw. KZ-syndromie. Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 26—29.

Ryn Z., *Kłodziński* S.: Das Problem des Selbstmordes in den hitlerschen Konzentrationslagern. VI. Internationaler Medizinischer Kongress der FIR. Prag, 30. November — 2. Dezember 1976. Abstracta, FIR, Wien 1976, s. 72.

Ryn Z., *Kłodziński* S.: Z problematyki samobójstw w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1976, nr 1, s. 25—46.

Saragat G.: [Fragment przemówienia w dniu 16 października 1965 r. na terenie byłego obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka]. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 13.

Sarnecki J.: Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1966 nr 1, s. 39—46.

Sawicki J.: Przymus leczenia, eksperyment, udzielanie pomocy i przeszczep w świetle prawa. Warszawa 1966, PZWL.

Sehn J.: Sprawa oświęcimskiego lekarza *SS*, J. P. *Kremera.* Przegl. Lek., 1962, nr 1a, s. 49—61.

Sośniak M.: Śmierć. Problematyka lekarsko-prawna. Państwo i Prawo, 1970, z. 3—4, s. 289.

Stachowiak J., *Więcioch* L.: Ostre i przewlekłe zespoły psychopatologiczne po krańcowych obciążeniach stresowych w obozach koncentracyjnych. Zdrowie Psychiczne, 1972, nr 4, s. 10—23.

Sterkowicz S.: Obozowe sprawy życia i śmierci w retrospekcji lekarza. Przegl. Lek., 1963, nr 1a, s. 97—101.

Sterkowicz S.: Przyczynek do zagadnienia moralności więźniów obozów hitlerowskich. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 47—52.

Sterkowicz S.: Uwagi o obozowym wyniszczeniu głodowym. Przegl. Lek., 1971, nr 1, s. 17—22.

Stryj F.: W cieniu krematorium. Katowice 1965, Wydawn. „Śląsk".

Strzembosz T.: Społeczne i psychologiczne problemy żołnierzy warszawskiej dywersji. Rocznik Warszawski, 1978, nr 14.

Szmaglewska S.: Dymy nad Birkenau. Warszawa 1975, wyd. 13, s. 300—301.

Śmierć i umieranie. Postępowanie z człowiekiem umierającym. Pod redakcją Leonarda *Pearsona.* Warszawa 1973, PZWL.

Ternon Y., *Helman* S.: Historia medycyny *SS*, czyli mit rasizmu biologicznego. Warszawa 1973, PZWL.

Teutsch A.: Próba analizy procesu przystosowania do warunków obozowych osób osadzonych w czasie II wojny światowej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1962, nr 1a, s. 90—97.

Teutsch A.: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stresu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 12—17.

Toynbee A.: Człowiek wobec śmierci. Przeł. z jęz. niem. D.*Petsch.* Przedm. B. *Suchodolski.* Warszawa 1973, PIW, Biblioteka Myśli Współczesnej.

Walter F. K.: W cieniu śmierci. Refleksje z Sachsenhausen. Przegl. Lek., 1977, nr 1, s. 186—190.

Wieczorek J.: O potrzebie badań historycznych nad problematyką II wojny światowej. W: Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem ludzkości i historii. Warszawa 1980, PWN, s. 11—22.

Williams G.: Świętość życia a prawo karne. Warszawa 1960, PZWL.

Wnuk J.: Losy dzieci polskich w okresie okupacji hitlerowskiej. Warszawa 1980, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, s. 83.

Wojtyła K.: Kazania 1962—1978. Kraków 1979, Wydawn. Znak, s. 86.

Wojtyła K.: W pierwszą rocznicę beatyfikacji Ojca Maksymiliana *Kolbego.* W: Aby Chrystus się nami posługiwał. Kraków 1979, Wydawn. Znak s. 231.

Zeznanie Stanisława *Jankowskiego* (Altera *Feinsilberta*). Zeszyty Oświęcimskie. Numer specjalny (II). Rękopisy członków *Sonderkommando.* Oświęcim 1971, Wydawnictwo Państwowego Muzeum, s. 30—66.

ROMAN LEŚNIAK, ELŻBIETA LEŚNIAK Kraków

Przykłady ucieczek z obozów koncentracyjnych
Analiza psychiatryczno-psychologiczna*

UWAGI WPROWADZAJĄCE

W poprzednim opracowaniu (14) poddaliśmy analizie psychiatryczno-psychologicznej grupę 21 byłych więźniów obozu koncentracyjnego i zagłady Oświęcim-Brzezinka, którzy dokonali indywidualnych i zbiorowych ucieczek z samego obozu oświęcimskiego, z transportów do innych obozów lub kolumn ewakuacyjnych. Opracowanie zilustrowano kilkoma przykładami, zwracając szczególną uwagę na przeżycia i reakcje psychiczne badanych w czasie ucieczki.

Obecnie przedstawiamy dalsze wybrane przypadki, zwracając tym razem uwagę na motywację ucieczki, okres podjęcia ostatecznej decyzji oraz na uwarunkowania, urazy i przeżycia psychofizyczne, które niejednokrotnie należało rozpatrywać w kategoriach psychopatologicznych.

Warto przypomnieć, że badania i publikacje na temat poobozowych następstw u byłych więźniów obozów koncentracyjnych są liczne zarówno w literaturze polskiej, jak i zagranicznej. Dotyczą one wielu dyscyplin lekarskich, a wśród nich również problematyki psychiatryczno-psychologicznej.

W Polsce krakowska Klinika Psychiatryczna AM już przed przeszło 30 laty podjęła w szerszym zakresie psychiatryczne badania byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki, metodologicznie usystematyzowane. Stały się one przedmiotem kilku rozpraw doktorskich. A. *Teutsch* dokonał analizy reakcji psychicznych psychofizycznego stresu na warunki obozowe (26), A. *Szymusik* opisał zespół astenii poobozowej u byłych więźniów tego obozu (25), M. *Orwid* — socjologiczno-psychiatryczne następstwa u byłych więźniów (17), a R. *Leśniak* — poobozowe następstwa głównie w sferze psychicznej, osobowościowej (13).

Zmiany te dają się ująć w trzy podstawowe grupy: a) utrata zaufania i stronienie od ludzi, b) zmiany w sferze poglądu na świat w postaci zwiększenia tolerancji, religijności, nacisku na wartości moralne, większe cenienie życia, nadmierne używanie przyjemności, przecenianie wartości materialnych, rozgoryczenie, swoisty „cynizm", nierzadko brak lęku przed śmiercią, c) trwale utrzymująca się drażliwość, płaczliwość, poczucie mniejszej wartości, a u części wzrost odwagi, samodzielności, aktywności.

Problematyka odległych następstw pobytu w obozach w różnych aspektach nadal stanowi przedmiot naukowych badań krakowskiej Kliniki Psychiatrii Dorosłych, czego wyrazem są liczne publikacje, a także wyspecjalizowana pomoc, głównie ambulatoryjna.

Zagadnienia ucieczek z obozów koncentracyjnych nie można izolować od całości przeżyć psychofizycznych tam doznanych i dlatego odwołujemy się do wybranych pozycji, stanowiących głęboką analizę omawianego zagadnienia, odsyłając do nich czytelnika: W. R. *Baeyer* (1), B. *Bettelheim* (9, 10), V. E. *Frankl* (6). A. *Kępiński* (9) R. *Leśniak*, M. *Orwid*, A. *Szymusik*, A. *Teutsch*, J. *Gątarski*, M. *Dominik* (16), R. *Leśniak*, J. *Masłowski* (15).

Z tych samych powodów nasze badania nie mogły się ograniczyć wyłącznie do okresu przeżyć psychicznych byłych więźniów, tylko do przeżyć związanych z ucieczką. Przy założeniu, że na ogólną liczbę więźniów hitlerowskich obozów zagłady jedynie znikomy odsetek odważył się na tak skrajnie niebezpieczny i prawie niemożliwy krok, należało przeprowadzić pogłębione studium każdego przypadku. Dlatego też zastosowano ogólnie przyjęte metody badania psychiatryczno-psychologicznego. Ich celem było stwierdzenie, jakie warunki rodzinno-społeczne kształtowały osobowość badanych, jakie choroby i urazy przebyli przed uwięzieniem i w obozie, z drugiej zaś strony starano się ocenić, jakie czynniki osobowościowe i zewnętrzne ułatwiły im ucieczkę, która często przecież była możliwa tylko dzięki bohaterskiej współpracy i pomocy współwięźniów. Jak to podano w poprzedniej publikacji, odnoszącej się do ucieczek obozowych (14), w badaniach zwrócono szczególną uwagę na jednorazowe najcięższe przeżycie w obozie, na najbardziej dręczące czynniki przez cały okres uwięzienia, urazy, choroby, postawy w obozie, motywy i sposoby ucieczki, dalsze losy uciekinierów, ich ówczesny stan zdrowia psychofizycznego oraz jego aktualną ocenę.

Należy podkreślić, że literatura psychiatryczno-psychologiczna dotycząca ucieczek więźniów jest uboga. Brak jest obszerniejszych opracowań na ten temat. Jednakże w publikacjach na tematy obozowe spotyka się cenne uwagi związane z tematyką ucieczek. Należą tu np. prace E. *Ciesielskiego* (5), A. *Kulisiewicza* (12), Z. *Ryna* dotycząca ucieczek z obozu w Miranda de Ebro (18), J. *Witkowskiego* o hitlerowskim obozie dla dzieci (28), Z. *Jagody*, St. *Kłodzińskiego* i J. *Masłowskiego* na temat snów i śnienia więźniów Oświęcimia o ucieczce (7), P. *Wesełuchy* (27), A. *Kępińskiego* (9), Z. *Ryna* i S. *Kłodzińskiego* (21) i inne, podane w spisie piśmiennictwa.

Z literatury pozalekarskiej na uwagę zasługują m. in. S. *Szmaglewskiej* Dymy nad Birkenau (24), T. *Sobańskiego* Ucieczki oświęcimskie (22), W. *Kielara* Anus mundi (13), S. *Jasińskiego* Moja ucieczka z Oświęcimia (8).

Ogółem udało nam się zbadać 21 osób spośród około 30 mieszkających na obszarze dawnego województwa krakowskiego. W pracy korzystaliśmy z wydatnej pomocy działaczy Klubu Oświęcimskiego w Krakowie, dr med. Stanisława *Kłodzińskiego* i mgr Teresy *Reguły*, byłych więźniów Oświęcimia. Składamy im za to serdeczne podzię-

* Z Kliniki Psychiatrii Dorosłych AM w Krakowie; kierownik: prof. dr habil. Adam *Szymusik*.

kowania, jak również byłym więźniom, którzy zgłaszali się chętnie na wielogodzinne badania.

O ile poprzednie opracowanie (14) potraktowane było raczej zbiorczo, obecnie warto bardziej przybliżyć sylwetki psychiczne badanych na podstawie tzw. „studium przypadków" (*case study*). Trzeba zaznaczyć, że samo badanie niejednokrotnie nie było obojętne dla części byłych więźniów. Wspomnienie dramatycznych przeżyć powodowało bowiem głębokie reakcje emocjonalne w postaci niepokoju, lęku, płaczu, przygnębienia i silnych reakcji wegetatywnych. Zgadzali się jednak oni na te badania nie tylko w oczekiwaniu na pomoc lekarską, lecz także, by dać świadectwo dokumentarno-historyczne nieludzkim warunkom, w jakich przypadło im wegetować nieraz przez długie lata obozowe.

W badanej grupie 19 mężczyzn i 2 kobiet zdarzało się rzadkie kilkakrotne ponawianie prób ucieczek, nawet po uprzednim ujęciu. W takich wypadkach badani tylko cudem ocaleli, gdy udało im się przy pomocy współwięźniów zamienić numery obozowe na niedawno zmarłych lub zamordowanych, uzyskać przeniesienie do filii Oświęcimia lub — po ujęciu — trafić pod zmienionym nazwiskiem do obozu.

Polegaliśmy w naszych badaniach na relacjach uzyskiwanych od „uciekinierów", biorąc też jednak pod uwagę wiedzę o ucieczkach z obozu, zawartą w dość skromnej jeszcze na ten temat literaturze (m. in. 4, 5, 8, 11, 12, 14, 22). Podkreślić przy tym należy, że ucieczki z obozów były ewenementem. W zasadzie w obozie oświęcimskim i w innych obozach ci, których schwytano, a takich była przytłaczająca większość, wpadali w ręce obozowego gestapo i czekała ich niechybna śmierć, poprzedzona okrutnymi cierpieniami. Przyjrzyjmy się teraz kilku poszczególnym przykładom.

OPISY SZCZEGÓŁOWE

Przykłady tutaj podane zawierają treść podporządkowaną metodzie badania psychiatrycznego, połączonego z wynikami badań psychologicznych, a technika ucieczek, opisywana gdzie indziej (np. 22), jest wobec takiego założenia metodologicznego potraktowana oczywiście drugorzędnie.

I. E. P., 63-letni pracownik umysłowy, żonaty, mający jedno dziecko, od r. 1971 rencista II grupy. Był młodszy od żony o 10 lat. Nadużywał alkoholu, lecz pożycie małżeńskie było zgodne. Ojciec zmarł, gdy badany liczył 4 lata. Matka była z usposobienia nerwowa, towarzyska, pogodna, lecz wybuchowa. Badany wraz z resztą trojga rodzeństwa wychowywał się do 12 roku życia w domu dla sierot. Dzieciństwo ocenia jako ciężkie: brakowało mu rodziny, serdeczności, często bywał głodny. Z rodzeństwem żył w zgodzie. Matka była pomocnicą domową. Uczył się średnio. Ukończył 7 klas szkoły powszechnej, a potem, po praktyce, został parkieciarzem; wykonywał ten zawód aż do powołania go do służby wojskowej. Przed wojną poważniej nie chorował.

Osobowość przed obozem: wesoły, pogodny, towarzyski, lubiany przez otoczenie, otwarty, „żartowniś", czynnie uprawiał sport, wyznał: „właściwie całe życie głodowałem".

Aresztowano go we wrześniu 1942 r. za przynależność do organizacji podziemnej i „szpiegostwo". W czasie śledztwa na gestapo przy ul. Pomorskiej w Krakowie był wielokrotnie skatowany do utraty przytomności. Do lutego 1943 r. był więziony przy ul. Montelupich, następnie wywieziono go do Oświęcimia. Tam zaszczepiono mu dur, bardzo wysoko gorączkował i przeniesiono go na rewir. Nie chciał tam iść, ponieważ bał się selekcji do gazu.

Najcięższym przeżyciem w obozie była dla niego nieudana ucieczka i 17-dniowy pobyt w bunkrze, bez okienka. Spośród 112 więźniów bunkra rozstrzelano wówczas 56, pozostałych zwolniono z bunkra. Wówczas wygłosił do nich mowę esesman *Dylewski*, grożąc, że przy najbliższej okazji zostaną powieszeni. Po trzech tygodniach uciekł jeden więzień z jego komanda. Po czteromiesięcznym pobycie na bloku 11 przeniesiono go do Flossenbürga, gdzie przebywał aż do wyzwolenia.

Przez cały czas pobytu w obozie dręczyła go myśl, że nigdy już nie ujrzy wolności. Według własnej oceny przetrwał obóz dlatego, że zawsze chowany był w biedzie, umiał się dostosować, poprzestać na małym.

W obozie przebył, jak wspomniano, dur plamisty (wszczepiony), flegmonę (ropowicę), wielokrotne urazy głowy z utratą przytomności, chorobę głodową do stopnia zmuzułmanienia (ważył 38 kg).

Ucieczka: widział, co się działo z nim w czasie duru i po chorobie, był pewien, że czegoś podobnego już nie przeżyje: „dlatego pomyślałem sobie: wolność albo komin".

Badany był inicjatorem ucieczki. Uciekł wraz z Jugosławianinem z *SS*, który wyprowadził go za „dużą postenkettę" (zewnętrzne ogrodzenie obozu). Nad Sołą miał czekać umówiony łącznik, lecz go nie zastali. W cywilnych ubraniach szli dzień i nocą wzdłuż linii kolejowej. W Krzeszowicach dali napotkanemu chłopu pieniądze na żywność. Po upływie pół godziny przyniósł ją, ale za pięć minut otoczyła ich granatowa policja i *Sonderdienst*. Komendant policji radził im, żeby się przyznali, kim są, gdyż uprzedniej nocy w okolicy zamordowano jakąś kobietę. Wówczas przyznali się, skąd uciekli i odstawiono ich do *Birkenau*. W *Politische Abteilung* w Oświęcimiu esesman *Aumeier* powiedział: „Zabić ich kijami". Badany podaje, że przez 3 dni i noce musieli za karę czołgać się, stale bici i kopani, a na noc umieszczano ich w bunkrze. Ojciec ich kapo był w *SS*, kapo i jego ojciec chcieli ich ochronić i „chyba tylko dlatego nas nie zabili".

Po uwolnieniu początkowo cieszył się wolnością, przez sześć miesięcy leczył się w amerykańskim sanatorium, jednakże tę radość wolności zatruwały mu zmiany i objawy, które zarówno on sam, jak i jego otoczenie obserwuje u niego: cierpi na natrętne lęki, stracił wiarę w ludzi, wspomnienia doprowadzają go do płaczu, nie ufa ludziom, zwłaszcza Niemcom, często nachodzą go okresy przygnębienia, melancholii, apatii, pogorszyła mu się od dawna pamięć, źle sypia, zrywa się z lękiem w nocy.

W roku 1960 przebył zawał serca, od dawna cierpi na chorobę nadciśnieniową oraz chorobę Bürgera. Z powodu opisanych chorób, jak już wiemy, od r. 1971 jest na rencie inwalidzkiej II grupy.

Rozpoznanie lekarskie: głębokie poobozowe zmiany osobowości (przewlekły zespół lękowo-depresyjny z rysami paranojalnymi). Choroba psychosomatyczna (choroba nadciśnieniowa, stan po przebytym zawale mięśnia sercowego, głęboko utrwalone zaburzenia emocjonalne).

II. S. P., 66-letni, żonaty, ojciec dwojga dorosłych dzieci, z zawodu ślusarz, rencista II grupy, o wykształceniu podstawowym. W dzieciństwie rozwijał się prawidłowo, pochodzi z silnie zintegrowanej rodziny o mocnych wzajemnych związkach uczuciowych. W szkole uczył się średnio, w pracy dobrze sobie radził.

Osobowościowo: towarzyski, szczery, otwarty, czynnie uprawiał lekkoatletykę, był działaczem OM TUR, odważny, pewny swej siły fizycznej, wyraźny ekstrawertyk.

Przed uwięzieniem poważniej nie chorował.

Aresztowano go w „łapance" w r. 1942. Przez kilka dni przebywał w śledztwie przy ul. Pomorskiej, potem w więzieniu Montelupich w Krakowie, następnie przewieziono go do Oświęcimia. W czasie śledztwa był bity i torturowany, po dwukrotnym pobiciu w głowę tracił na dłuższy czas przytomność, w obozie po urazie głowy po raz trzeci stracił przytomność. Wybito mu cztery zęby. Przebywał w bloku 11, gdzie po dłuższym czasie wydostał się spod stosu trupów.

W obozie poza opisanymi urazami psychofizycznymi przebył chorobę głodową i dur plamisty.

Ucieczka: myślał o niej przez cały czas pobytu w obozie, obawiał się jednak, że gdyby mu się powiodła, Niemcy, jak to już nieraz bywało, rozstrzelają całą jego rodzinę. Zdecydował się uciec dopiero w r. 1945 z transportu w okolicach Gliwic. Z jego wagonu uciekła wówczas grupa trzynastu osób, z których ocalały tylko trzy.

Najcięższe zagrożenie w obozie przeżywał, gdy chorował na dur o ciężkim przebiegu.

Po obozie wyraźnie się zmienił: przypominają mu się sceny katowania i zabijania więźniów, czemu towarzyszą stany lękowe. Początkowo rzadko śnił o koszmarze obozowym, z biegiem lat marzenia senne o koszmarnej tematyce stają się coraz częstsze. Za wszelką cenę stara się nie wracać do tych wspomnień.

Po wojnie przez dłuższy czas leczył się z ogólnego wyczerpania i osłabienia. W r. 1967 leczył się w Klinice Chorób Zakaźnych AM w Krakowie z powodu żółtaczki zakaźnej. Był wówczas konsultowany psychiatrycznie. Rozpoznano przedwczesną inwolucję z cechami przewlekłej depresji. W okresie powojennym udało mu się uzyskać lekką pracę w charakterze strażnika przemysłowego.

U badanego rozpoznano KZ-syndom w postaci zespołu psychoorganicznego z cechami depresyjno-lękowymi i głębokimi zaburzeniami osobowości.

III. C. S., ojciec jej był pracownikiem umysłowym PKP. Z usposobienia „idealny", dobry, poważny, domator, raczej zamknięty w sobie, introwertyk. Chorował na cukrzycę i chorobę Bürgera. Z tego powodu zmarł, gdy badana liczyła 16 lat. Pożycie rodziców układało się dobrze, mimo że ojciec był znacznie starszy od żony. Matka była osobą nerwową, wybuchową, energiczną, dominowała w domu. Była towarzyska, pogodna. Atmosfera rodzinna była dobra. Młodszy brat badanej był wyraźnie wyróżniany przez matkę, o co miała do niej żal. Jako dziecko była chorowita. W szkole interesowały ją przedmioty humanistyczne. Uczyła się dobrze. Wyższe studia przerwała jej wojna. W dłuższy czas po wojnie, po odpowiednich studiach podjęła pracę w zawodzie artystycznym. Z pracy jest na ogół zadowolona.

Z usposobienia była bardzo wesoła, szczera, otwarta, towarzyska, odważna, lubiana przez otoczenie, interesowała się literaturą. Wyraźnie skierowana ku światu i ludziom, ekstrawertywna.

W r. 1939 — w początkach okupacji — zaangażowała się w organizacji podziemnej, po „wsypie" aresztowano kilkadziesiąt osób z jej środowiska, tak że musiała się przez rok ukrywać w klasztorach, schroniskach i u krewnych. W lipcu 1942 r. została aresztowana. Gestapowiec podał się za jej kolegę, zostawił dla niej kwiaty i matka podała mu jej adres. Przesłuchiwano ją w siedzibie krakowskiego gestapo na Pomorskiej, gdzie zasypano ją faktami. Podczas drugiego przesłuchania i konfrontacji z kolegą — zbitym i skatowanym — przyznała się. Wiedziała, kto z organizacji już nie żyje, starała się obwiniać nieżyjących. W więzieniu Montelupich przeżyła „fikcyjną egzekucję". Po trzymiesięcznych przesłuchaniach, jesienią 1942 r. przewieziono ją do Oświęcimia-Brzezinki, gdzie przebywała do r. 1944, później była w jednym z obozów w Alzacji.

Do najgorszych przeżyć obozowych zalicza przeznaczenie jej wraz z innymi kobietami do zagazowania. Czekały przez całą noc na śmierć. Wiele kobiet popadło wówczas w psychozę. Na dłuższą metę męczyła ją praca na rewirze, codzienne stykanie się ze straszną śmiercią, musiała wynosić trupy, zatrudniono ją na bloku, w którym rodziły się dzieci. Mimo to wraz z lekarzami więźniami starała się organizować więźniom jakąś pomoc; udało im się nawiązać kontakt z obozem męskim.

W obozie przebyła dur plamisty, biegunkę, zapalenie opon mózgowych. Została tam pielęgniarką. Wielokrotnie była pobita, raz silnie w głowę, tak że straciła przytomność. Później jeszcze kilka razy „mdlała". Od czasu pobicia cierpi na częste silne bóle głowy.

Jak ocenia, obóz przeżyła, „bo miała trochę szczęścia", a potem, kiedy już była „starym numerem", zawdzięczała życie pomocy koleżanek, które ukryły ją, gdy była nieprzytomna w czasie zapalenia opon mózgowych, okazując obozową solidarność.

Ucieczka: w Alzacji konwojowano je wzdłuż linii kolejowej. W czasie bombardowania rozbiegły się po domach. Zatrzymały się u *bauera*, który jednak wydał je w ręce policji. Nie przypomina sobie, którędy i jak długo jeszcze maszerowały w konwoju, ten okres zaciera się w jej pamięci. Wie, że w kwietniu 1945 r. stały całą noc pod krematorium, potem znalazła się w szpitalu, w sanatorium, była ciężko chora, nie mogła nic jeść i to ją uratowało, gdyż inne koleżanki rzuciły się na paczki i większość przypłaciła to życiem.

Zmiany poobozowe: stała się pesymistką, boi się ludzi i nie ufa im, odczuwa lęk przed prądem elektrycznym, nawet kiedy przyjdzie jej włączyć kontakt, bo w obozie ciągnęło ją na druty, pilnowały się wzajem z pewną współwięźniarką. Od czasu obozu stale ma straszne wyobrażenia senne; każde zwłoki czy pogrzeb przypominają jej obóz. Stała się płaczliwa, wybuchowa, nerwowa. Cierpi na stałe bóle głowy, pogorszyła się jej pamięć. Po wojnie przez dziewięć lat leczyła się u neurologa, kilka razy była w różnych szpitalach. W r. 1948 wyszła za mąż. Mąż przez całą wojnę przebywał w obozie jenieckim. Mają dwoje dorosłych dzieci.

Ocena lekarsko-psychologiczna: badana ujawnia głębokie zaburzenia osobowości, najsilniej wyrażone w sferze emocjonalnej. Przebyte choroby: urazy psychiczne i fizyczne spowodowały u niej wyraźną zmianę osobowości z ekstrawertywnej na introwertywną, z nieufnością do ludzi, z zaburzeniami nastroju i irracjonalnymi lękami np. przed prądem elektrycznym, którego działanie na tyle lat związało się u badanej tylko z zagrożeniem, jakie stanowił on w obozie. Poza zaburzeniami osobowości, w których uderza także w badaniu psychologicznym wysoki poziom neurotyczności, badana cierpi na objawy najpewniej związane z urazem mechanicznym czaszkowo-mózgowym oraz przebytym zapaleniem opon mózgowych.

IV. T. S., 60-letni, żonaty, ojciec dwojga dzieci, z zawodu nauczyciel. Jego oboje rodzice nie żyją. Ojciec był człowiekiem aktywnym, energicznym, wesołym, towarzyskim, szczerym, otwartym, koleżeńskim, lubianym przez otoczenie. Również matka była otwarta, szczera, towarzyska, lubiana, mimo że była impulsywna, wybuchowa. W domu atmosfera była dobra, chociaż dochodziło do scysji, gdyż ojciec lubił używać alkoholu. Rodzice nie byli zbyt tolerancyjni w wychowywaniu dzieci, w domu panowała atmosfera głębokiego patriotyzmu.

Po ukończeniu szkoły średniej badany był przez okres roku w szkole podchorążych, którą ukończył w 1936 r. Chciał zostać pilotem wojskowym, ale wskutek sprzeciwu ojca podjął pracę nauczyciela. Był z niej zadowolony, lubił dzieci. Był człowiekiem towarzyskim, aktywnym, czynnym sportowcem. Przed samym wybuchem wojny wrócił do zawodu nauczyciela i podjął pracę w swoim zawodzie. W r. 1941 zaczęło go poszukiwać gestapo, zmienił więc pracę. W czerwcu 1943 r. aresztowano go za przynależność do organizacji podziemnej. Była to denuncjacja. W więzieniu w Kielcach był poddawany codziennym przesłuchaniom, codziennie bity, również w głowę. Kilka razy wrzucano go do celi zupełnie nieprzytomnego. W sierpniu tego samego roku wraz z innymi podjęli próbę ucieczki zorganizowanej, lecz i tym razem ich zadenuncjowano. Wówczas przeniesiono go do Oświęcimia, gdzie przez pół roku przebywał w kompanii karnej. Krótko pracował w Bunie, potem przeniesiono go do Mauthausen, gdzie ładował kamienie, później pracował w podziemnej fabryce, po czym wrócił do Mauthausen. Następnie przewieziono go do obozu pracy na pograniczu austriacko-jugosłowiańskim. Tam więźniowie zbiorowo rozbroili esesmanów. Badany krótko był w partyzantce jugosłowiańskiej, potem włoskiej, a następnie dostał się w r. 1945 do II Korpusu Polskiego we Włoszech. W r. 1946 przeniósł się do Anglii, a w połowie r. 1947 powrócił do kraju.

Z usposobienia był człowiekiem żywym, energicznym, tworzyskim, szczerym, otwartym, kontaktowym, lubił się dokształcać.

Najbardziej wstrząsającym przeżyciem obozowym był widok wysyłanych do krematorium dzieci cygańskich w *Birkenau*, a widział ich „całe transporty, całe masy pędzonych do krematorium". Nie może też w żaden sposób zapomnieć, jak Żydzi na rozkaz Niemców musieli skakać z bardzo wysokich skał i na jego oczach roztrzaskiwali się zupełnie.

Po obozie zmienił się radykalnie: unika ludzi, stał się „ponurakiem", milczkiem, stracił zaufanie do ludzi, na jawie i w wyobrażeniach sennych nieustannie przeżywa makabryczne sceny obozowe, mówi: „stałem się taki, że boję się sam siebie, wydaje mi się, że mógłbym bez zmrużenia oka kroić człowieka". Unika byłych więźniów, nie lubi rozmawiać na temat obozowej prze-

szłości, często „bez powodu" jest rozdrażniony i wybuchowy, nie może znieść najmniejszej krzywdy dzieci, cierpi na zaburzenia snu, często bywa przygnębiony, apatyczny, stał się zdecydowanym pesymistą — „w nic już nie wierzę". Często zrywa się z lękiem ze snu, krzyczy tak, że żona musi go uspokajać. Śnią mu się przesłuchania, bicia, tortury. Takie obrazowe wspomnienia nawiedzają go również na jawie. Staje się wówczas niespokojny: „trzęsę się jak galareta, jestem załamany, żadnej sprawy nie mogę załatwić".

Z powodu jego nerwowości nieraz dochodziło do konfliktów z żoną i dziećmi. Nawet po małych dawkach alkoholu staje się smutny, płaczliwy. Spotyka się z byłymi więźniami, tylko z nimi znajduje wspólny język, „bo nikt kto tego nie przeżył, nie może zrozumieć człowieka".

Po powrocie do Polski ożenił się, mają dwoje dzieci, które również przejawiają nerwowość, czasem sprawiają kłopoty wychowawcze. W Oświęcimiu przebył dur brzuszny, różę, w Dachau — gruźlicę. Z tego powodu aż do r. 1956 pozostawał w stałym leczeniu. Miał też w obozie flegmonę (ropowicę) i silne obrzęki głodowe.

Po wojnie pracował jako kierowca, jednakże musiał w to zajęcie wkładać nieproporcjonalnie dużo wysiłku.

V. E. D., 57-letni, z wyższym wykształceniem, wdowiec, ojciec 7-letniej córki, od czterech lat przed badaniem inwalida III grupy.

Wywiad rodzinny bez istotnego znaczenia poza tym, że siostra i ojciec byli nerwowi, wybuchowi. Ojciec często bez powodu karał dzieci, był surowy w ich wychowaniu, często miewał konflikty z żoną, jakkolwiek nie miał żadnych nałogów. Był zamknięty w sobie, raczej nieprzystępny. Matka prowadziła dom; była łagodna, opiekuńcza, towarzyska, otwarta. Ona też karciła liczne potomstwo, ale zawsze słusznie.

Badany jest przedostatni z pięciorga rodzeństwa. Jeden z jego braci zginął w Oświęcimiu za jego ucieczkę. Badany dowiedział się o tym później. Warunki z okresu dzieciństwa wspomina niezbyt dobrze, „chociaż później, w czasie wojny, było znacznie gorzej". Był wyraźnie silniej związany emocjonalnie z matką aniżeli z ojcem, wyrażał się o niej w samych superlatywach. Jakkolwiek był „słabowity", rozwijał się dobrze dzięki licznym dyscyplinom sportu, które uprawiał, m. in. lotnictwo i szybownictwo. Uczył się średnio, uzyskał dyplom technika-mechanika, a po wojnie — inżyniera.

Brał udział w wojnie obronnej Polski w r. 1939, na froncie został ranny w nogi; dostał się do niewoli niemieckiej, skąd uciekł i wrócił do domu. W marcu 1941 r. aresztowało go gestapo. Przebywał w więzieniu w Sosnowcu, w obozie w Radogoszczy i w więzieniu w Mysłowicach. Zarzucano mu działalność przeciwko Rzeszy, został skazany na karę śmierci. W czasie śledztwa torturowano go przez trzy miesiące, nie podawano mu śniadań, przypalano stopy płomieniem. Był świadkiem gilotynowania współwięźniów. Jak oceniał, więzienie w Mysłowicach było straszniejsze niż Oświęcim; „każdy marzył, by dostać się do Oświęcimia, bo w tym okresie wszystko w naszym mniemaniu podlegało temu obozowi, dopiero później się wyodrębniło".

Gdy przewożono go w maju na konfrontację do huty, w której znał każdy kamień, skorzystał z zamieszania, ukrył się w piwnicy. Później przez trzynaście dni i nocy ukrywał się w lesie. Rodzinę powiadomiono o jego zgonie, „ponieważ stamtąd nie mógł nikt uciec". Później, pod zmienionym nazwiskiem pracował w leśnictwie oraz był instruktorem w organizacji podziemnej.

Sylwetka przedobozowa: zawsze odznaczał się dobrą pamięcią, nie robił np. notatek z wykładów, był towarzyski, aktywny, czynny jako sportowiec, chociaż w dzieciństwie był „chuderlawy", odznaczał się dużą wytrzymałością, mówił zawsze prawdę w oczy, co cenili przyjaciele, ale niechętnie przyjmowali inni, odznaczał się zaufaniem do ludzi, a nawet naiwnością, odważny, pogodnego usposobienia, dużo czasu poświęcał samokształceniu, rezygnując z innych przyjemności.

Za najcięższe przeżycia obozowe uważa prawie codzienne bicie przez okres trzech miesięcy, z wielokrotną utratą przytomności, przypalanie przez gestapowców stóp płomieniem ze specjalnej maszynki na ropę, nieustanne zagrożenie śmiercią, widok gilotynowanych i masakrowanych współwięźniów, śmierć brata w Oświęcimiu za jego ucieczkę, a także głód i okresy załamania psychicznego.

Po obozie: pozostaje w stałej opiece neurologicznej, internistycznej i reumatologicznej. Według własnej oceny i spostrzeżeń bliskiego otoczenia, bardzo się zmienił: stał się „mrukiem", mało co mówił, całkowicie stracił radość życia i zaufanie do ludzi, miewa częste okresy apatii, źle sypia, często 2—3 godziny na dobę, dotąd dręczą go koszmarne sny o tematyce obozowej: przeżywa w nich ucieczkę, aresztowanie braci przez gestapo. Budzi się wtedy zlany potem, tak że musi zmieniać piżamę i pościel. Gdy zadzwoni jakikolwiek dzwonek, odruchowo z lękiem chwyta się w okolicę serca. Nie znosi widoku psów, nawet gdy prowadzi je kobieta, odczuwa także silny lęk przed ludźmi, zwłaszcza gdy ktoś idzie za nim z tyłu; musi się wtedy zatrzymać i przepuścić przechodnia przodem.

Obiektywne badanie psychiatryczne potwierdziło podstawowe obniżenie nastroju, nieufność i podejrzliwość, nastawienie lękowe oraz głębokie zaburzenia natury wegetatywnej.

Badanie psychologiczne Inwentarzem osobowości H. J. *Eysencka* (MPI w adaptacji M. *Choynowskiego*, zawierające 64 pytania) wykazało m. in., że badany boi się działania i planowania, odczuwa lęki i przygnębienie, często czuje się osamotniony, drażliwy, przesadnie skrupulatny, różne myśli wyraźnie zaburzają mu sen, nie bawi się w wesołym towarzystwie, jest onieśmielony, bez wyraźnego powodu czuje się zmęczony i zażenowany, jest w zasadzie małomówny, cierpi na okresy dużego niepokoju, czuje się nieszczęśliwy bez żadnego powodu, skłonny do smutku, przygnębienia, woli się trzymać na uboczu, troski często przyprawiają go o bezsenność, dotkliwie odczuwa rozczarowania, nie obejmuje inicjatywy w zawieraniu nowych znajomości.

Badanie psychologiczne wskazuje — podobnie jak psychiatryczne — że badany, odmiennie niż przed obozem, jest introwertykiem z silnie zaznaczonymi cechami neurotycznymi.

Opisany przykład wskazuje na to, jak głębokie zmiany osobowości mogą pojawić się u osoby, która nawet przez dość krótko ulegała ciężkim urazom psychofizycznym o dużym nasileniu. Na pierwszy plan — oprócz chorób somatycznych — wysuwają się zmiany osobowości, podstawowego nastroju, lęki ściśle uwarunkowane dramatycznymi przeżyciami z okresu uwięzienia. Przejawiają się one nie tylko w codziennym stosunku do ludzi, w określonych, zdawałoby się, sytuacjach dnia codziennego, lecz także tematyką snów o makabrycznej treści, odtwarzających przeżycia obozowe, z silną intensywnością, mimo upływu wielu lat od przeżywanych zaburzeń.

Opisane czynniki pozwalają zaliczyć opisywane zaburzenia do niewątpliwych następstw ekstremalnych urazów psychofizycznych, ściśle związanych z pobytem w obozie.

VI. M. S., 53-letni, żonaty, pracownik umysłowy, ojciec dwojga dzieci. Neuropsychiatryczny wywiad bez znaczenia. Jego ojciec był wykwalifikowanym robotnikiem. Badany z usposobienia był spokojny, towarzyski, otwarty, szczery, w dobrym, przyjaznym kontakcie z rodziną. Matka prowadziła gospodarstwo domowe. Była pogodna, spokojna, opanowana; raczej ona rządziła w domu. Pożycie rodziców było zgodne, harmonijne, atmosfera przyjemna. Badany jest najmłodszy z siedmiorga dzieci. Jeden brat zmarł w szóstym roku życia z powodu błonicy. Badany jako najmłodszy był raczej wyróżniany, uczuciowo bardziej związany z matką. Uczył się przeciętnie, lubił przedmioty humanistyczne i wychowanie fizyczne. W r. 1939 zdał maturę, wyższe studia — po wojnie, podjął pracę w Hucie im. Lenina. Przed uwięzieniem poważniej nie chorował.

Z usposobienia był wesoły, towarzyski, energiczny, pełnił różne funkcje w samorządzie, lubił pograć w karty; jak ocenia, nie był indywidualnością, raczej ekstrawertykiem.

Aresztowano go 2 września 1943 r. za aktywną działalność w organizacji podziemnej. Ci, którzy go „wsypali", sami zginęli w więzieniu w Mysłowicach. Badany był tam więziony przez dwa dni, a następnie w krakowskim więzieniu Montelupich. Po miesiącu wywieziono go do Oświęcimia, a w listopadzie 1943 r. do Buchenwaldu. W śledztwie był torturowany, bity, kilka razy stracił przytomność, dręczyły go częste apele. Najcięższym jego przeżyciem było zmasakrowanie go przez esesmana i kapo z powodu niesłusznego posądzenia o to, że w czasie bombardowania powtórnie stanął w kolejce po posiłek. Na dłuższy czas jego stałą udręką był głód, który w pewnym okresie doprowadził go do stanu „zmuzułmanienia", częste bicie, dojmujące uczucie zimna,

gdyż nawet w zimie chodzili boso w letnich pasiakach, długie apele w opisanych warunkach i stały lęk przed śmiercią.

O ucieczce myślał od samego początku, najsilniej wówczas, gdy był w Düsseldorfie, ponieważ był przekonany, że wkrótce umrze. Pierwszą ucieczkę podjął właśnie tam, z grupą współwięźniów w r. 1944, w czasie bombardowania. Po kilku kilometrach ujął ich *Selbstschutz*. Został ciężko pobity na miejscu, a potem w obozie, w filii Buchenwaldu „Berta". Kiedy wieziono ich do obozu, widział zwłoki sześciu kolegów, z którymi podjął ucieczkę. W obozie przydzielono go do komanda murarzy i tylko dzięki temu ocalał.

W październiku tego samego roku uciekł ponownie ze strzeżonego komanda wraz ze swoim *vorabeiterem*, który wziął go ze sobą, ponieważ badany znał język niemiecki. Przebrał się w ubranie ze stracha na wróble. Był jednak tak osłabiony, że *vorarbeiter* bez uprzedzenia opuścił go. Bardzo go to załamało psychicznie. Miał nadzieję przedostać się przez front niemiecko-amerykański, odległy o 70 kilometrów. Kilka dni pracował u *bauerki*, która jednak doniosła o nim policji. Był przekonany, że zawiadomiono obóz o jego ucieczce; „to był straszny moment, myślałem, że zostanę rozstrzelany". Na przesłuchaniach podał, że pracował na robotach koło Aachen, czego Niemcy nie zdołali już sprawdzić. Udało mu się zdobyć metrykę na nazwisko ukraińskie i został skierowany w okolice Hannoweru. Tam — dzięki pomocy Polaków — nabył bilet do Bytomia, dojechał do brata do Szczakowej, potem przeniósł się do znajomych i ukrywał się u nich. Stracił na wadze 25 kg.

Po obozie: co noc śnił mu się lager z wszystkimi okropnościami, ucieczki, w których został ujęty i ma być rozstrzelany, do dzisiaj źle sypia, budzi się wielokrotnie z lękiem i krzykiem. Po takich snach przez dłuższy czas nasilają się u niego lęki i następują dłuższe okresy przygnębienia. Stracił zupełnie radość życia: „do niczego nie przywiązuję wagi, to cud, że żyję, nie potrafiłem płakać na pogrzebach rodziców i rodzeństwa". Nie ufa ludziom, nie znosi widoku jakiegokolwiek munduru, stał się też wybuchowy, co powoduje konflikty rodzinne i w pracy.

Jak wyjaśnił, ucieczkę podjął głównie ze strachu; był przeświadczony, że ucieczka — mimo strasznego ryzyka — da mu większe szanse przeżycia niż pozostanie w obozie; „to nie było żadne bohaterstwo, tylko paniczny strach".

Po wojnie próbował studiować medycynę i prawo, ale „z powodu gorszej pamięci" zrezygnował i ukończył „lżejszą uczelnię". Po studiach dość często zmieniał pracę, od 13 lat pracuje w tym samym zakładzie. W r. 1948 ożenił się, pożycie małżeńskie układa się „średnio", mają dwoje dorosłych dzieci.

Badaniem lekarskim stwierdzono u niego m. in. upośledzenie pamięci, chwiejność emocjonalną, drażliwość i — poza głębokimi zaburzeniami osobowości — przedwcześnie rozpoczynający się zespół psychoorganiczny, którego przyczyną są najpewniej przebyte w śledztwie i obozie urazy czaszkowo-mózgowe oraz skrajne wygłodzenie w tym okresie.

VII. T. L., 64-letni inżynier, żonaty, ojciec jednego dziecka. Wywiad neuropsychiatryczny bez znaczenia. Ojciec, pracownik PKP, był człowiekiem szczerym, otwartym, niezbyt towarzyskim, raczej surowym. Wprowadzał w domu atmosferę religijną, dbał o porządek, punktualność, zdecydowanie dominował w domu. Matka była łagodna, uległa, domatorka, zamknięta w sobie. Stosunki w rodzinie układały się poprawnie.

Badany jest najstarszym z czworga rodzeństwa. Jeden brat zmarł na hiszpankę, drugiego rozstrzelano w obozie w Gross-Rosen. T. L. został aresztowany w r. 1941 wraz z żoną za przynależność do organizacji podziemnej. Bito go i torturowano w więzieniu Montelupich tak, że na kilka godzin stracił przytomność, z nosa i uszu lała mu się krew. Mimo że umówił się wcześniej z żoną, jak będą zeznawać, wzięła na siebie winę za posiadanie radia. Badanego zwolniono, lecz po miesiącu znów aresztowano go, wraz z bratem. Przez gestapo na Pomorskiej i Montelupich w Krakowie, wywieziono go do Oświęcimia, gdzie przebywał w latach 1941—1944, do chwili udanej ucieczki.

Przed obozem był człowiekiem wesołym, towarzyskim, szczerym, otwartym, energicznym, czynnie uprawiał różne dyscypliny sportowe. Najgorszym, jednorazowym przeżyciem było wybranie go do zagazowania w r. 1942. Był wtedy w szpitalu „muzułmanem", królikiem doświadczalnym, operowano mu nogę. Wraz z nim wybrano do gazu kilkaset osób. Gdy odszedł pierwszy transport, na bloku zmarł jeden więzień. Pisarz (*szrajber*) zamienił ich karty i w ten sposób T. L. ocalał; wyszedł ze stanu muzułmaństwa. Przebył dur o ciężkim przebiegu i flegmonę (ropowicę). Leczył się na bloku u więźnia, studenta medycyny S. *Kłodzińskiego*.

Poza opisanym, dramatycznym przeżyciem jego stałą udręką był lęk przed śmiercią, troska o rodzinę, widok rozstrzeliwanych przez *Palitzscha* współwięźniów, ciągłe bicie i poniżanie, głód, robactwo. Jego zdaniem, o przetrwaniu obozu zadecydowała silna chęć przeżycia, opatrzność, odporność psychiczna, wreszcie — zbieg okoliczności.

W obozie podejmował trzy próby ucieczki, z których ostatnia się powiodła. Jak podał, podchodził do tego problemu ambicjonalnie: „chciałem dokonać rzeczy niemożliwej". Pierwszą próbę ucieczki podjął w listopadzie 1941 r.; „to był odruch, akt rozpaczy, nie myślałem o skutkach dla kolegów, rodziny, nic nie planowałem". Skorzystał wtedy z nieuwagi esesmana, poszedł za willę *SS*, usłyszał strzał, został ranny w nogę. Skończyło się na pobiciu przez kapo. Esesman pewnie myślał, że „poszedłem załatwić potrzebę fizjologiczną".

W drugiej ucieczce brał udział jesienią 1943 r. Mimo donosu pewnej Cyganki udało się zbiec dr. Jerzemu *Tabeau*, przebywającemu w obozie pod nazwiskiem „Wesołowski". Była to pierwsza ucieczka oświęcimska, po której nie rozstrzelano nikogo z więźniów. Badany dostał się do karnej kompanii, przez dwa tygodnie przebywał w bloku 11, potem przeniesiono go do obozu cygańskiego. Tam wstawił się za nim mały Cygan, którego lubił dr *Mengele*. Po likwidacji obozu cygańskiego w r. 1944 przeniesiono go do Brzezinki; pracował w „baubiurze" poza terenem obozu. Tam przygotował bunkier, przez który można było uciec. Umówili się we trójkę, ale towarzysze się nie zgłosili. Nawiązał wówczas kontakt z esesmanem, Ślązakiem, który wywiózł ich samochodem do lasu, skąd „sztafetą" przez Chrzanów pojechał „na okopy" do Rudawy i Czernichowa, gdzie ukrywał się aż do wyzwolenia.

Po wojnie długo leczył się z powodu nie gojącej się flegmony na nodze, nerwowości i lęków.

Po obozie: stał się drażliwy, niecierpliwy, wybuchowy, skłonny nawet do rękoczynów. W dzień, a w silniejszym stopniu wieczorem, jakby tracił poczucie rzeczywistości, „jakbym nie wiedział, czy znajduję się w domu, czy w obozie, przecież to powinno znikać po tylu latach, a u mnie się potęguje". Natrętnie nawiedzają go pełne grozy przeżycia obozowe, zrywa się z lękiem w nocy, często ma stany „bezprzyczynowych przygnębień", stracił zaufanie do ludzi, odczuwa lęk przed mundurem i milicją, często ciężko przeżywa wezwania urzędowe w jakiejkolwiek sprawie, jest pełen lęku, czy nie będzie bity lub torturowany. Dręczą go także sny związane z tematem ucieczek z obozu, wielokrotnie przeżywa w nich ujęcie oraz skazanie na rozstrzelanie.

Badaniem psychiatryczno-psychologicznym rozpoznano głębokie obozowe zaburzenia osobowości o charakterze przewlekłego zespołu lękowo-depresyjnego z rysami paranojalnymi, ściśle związane z psychofizycznymi urazami doznanymi w obozie.

OMÓWIENIE I ZASADNICZE WNIOSKI

Na podstawie całości analizowanych materiałów, poprzedniego opracowania zagadnienia ucieczek z hitlerowskich obozów koncentracyjnych (14) i przytoczonych tutaj przykładów można sformułować następujące uogólnienia:

Część badanych już od początku uwięzienia marzyła o ucieczce lub ją planowała. Silnym czynnikiem wstrzymującym od jej dokonania była obawa o los współwięźniów ze swojego komanda lub bloku oraz o życie pozostałych na wolności członków rodziny. Dlatego też częstość podejmowanych prób ucieczek w znacznej mierze zależała od okresu istnienia obozu. W pierwszych bowiem jego latach ucieczka z reguły powodowała zbiorową odpowiedzialność współwięźniów lub rodzin, ucieczki przeto należały do wyjątków. Do-

konywano ich wtedy spontanicznie, w stanie paniki, w sposób niezaplanowany, wobec skrajnego zagrożenia utraty życia w najbliższym czasie lub też w stanie psychicznym, w którym uciekinierzy nie byli zdolni do kierowania się przesłankami racjonalnymi. Ucieczki te najczęściej kończyły się niepowodzeniem i miały tragiczne następstwa dla uciekiniera. Po ujęciu unikali oni śmierci tylko dzięki nadzwyczajnemu zbiegowi okoliczności.

Do rzadkości należały udane ucieczki, nie poprzedzone uprzednim precyzyjnym przygotowaniem, pomocą współwięźniów i zapewnieniem sobie kontaktów i pomocy z zewnątrz obozu.

Głównym motywem podjęcia ucieczki było stałe zagrożenie życia, przemożna chęć uwolnienia się od koszmaru obozowego, poinformowanie świata o strasznej rzeczywistości hitlerowskich obozów zagłady, tęsknota za wolnością, chęć pomszczenia doznanych krzywd poprzez czynną walkę z okupantem w oddziałach partyzanckich, a także dokonanie czegoś, co wydawało się niemożliwe.

Jak sądzimy, ważnym czynnikiem warunkującym podjęcie ucieczki, czasem kilkakrotnej, była osobowość badanych, ukształtowana przez środowiskowo-biologiczne wpływy w całej biografii. Dlatego też na ten punkt zwróciliśmy szczególną uwagę, tym bardziej że ciężkie urazy psychofizyczne — doznane zarówno w śledztwie, jak i w obozie — zwykle powodowały głębokie zmiany osobowości o różnym charakterze. Okazało się, że większość badanych charakteryzowała przed obozem towarzyskość, szczerość, otwartość, aktywność społeczna, czynna działalność sportowa, a pod względem psychologicznym charakteryzowała ich ekstrawersja.

Psychiatryczno-psychologiczna ocena poobozowej osobowości badanych wykazała, że znaczna część ujawnia po obozie — często znacznie nasiloną — introwersję. Wskazywać to może na okoliczność, że ekstrawersja i introwersja nie muszą stanowić stałych, podstawowych cech osobowości.

Badania, aczkolwiek oparte na nielicznym materiale — pamiętamy bowiem, że ucieczki były ewenementem — wskazują również na inne ciekawe zjawisko kliniczne. W fachowym piśmiennictwie wskazuje się, że intensywność zaburzeń reaktywnych blednie lub też zupełnie ustępuje, gdy czynnik urazowy przestał działać (2, 3). Natomiast z analizy materiału wynika, że często z upływem czasu objawy zaburzeń natury psychiatrycznej, związane ze stresami obozowymi, nie tylko nie kończą się nawet po latach, lecz przeciwnie, zwiększają z biegiem czasu swoje nasilenie (1). Badani podawali, że zarówno na jawie, jak i w marzeniach sennych przeżywają często dramatyczne, koszmarne sceny obozowe, z okresu ucieczki, w formie natrętnych lęków czy fobii.

Przeprowadzone badania lekarskie i psychologiczne wykazały u wszystkich badanych głęboki KZ-syndrom, w którym na pierwszy plan wysuwały się zaburzenia emocjonalne w postaci lęków, obniżenia nastroju, niepokoju, nieufności w stosunku do ludzi, upośledzenia kontaktów międzyludzkich, paranojalnych nastawień, lękowych przeżyć na widok wszelkich mundurów, psów, uprzedzenie do mowy niemieckiej, wrażliwość na krzyk i płacz, szczególnie kobiecy czy dziecięcy. Część badanych po natrętnie wracających wspomnieniach obozowych lub makabrycznych snach reagowała dłużej trwającymi stanami przygnębienia, lęku lub rozdrażnienia. Większość skarżyła się na niezwykle ostre zaburzenia śnienia, w czasie którego rodzina musiała ich uspokajać. Kilku badanych podało, że nawiedzają ich stany niepewności, czy aby nie znajdują się za drutami.

Niektórzy — zwłaszcza ci, co przeżyli ciężkie urazy czaszkowo-mózgowe połączone z utratą przytomności — cierpieli na daleko posunięte objawy choroby głodowej, wykazywali przedwczesne objawy inwolucji lub starzenia się; inni, dość nawet młodzi — objawy zespołu psychoorganicznego.

W stosunku do innych byłych więźniów badani rzadziej izolowali się od nich, częściej natomiast tylko z nimi znajdowali wspólny język.

Interesujące byłoby — w osobnym badaniu — porównanie tych, którzy marzyli o ucieczce, lecz się na nią nie zdobyli lub nie mieli na to warunków, z przeżyciami psychicznymi tych, którzy jej szczęśliwie dokonali.

PIŚMIENNICTWO

1. *Baeyer* W. R. v.: Erlebnisbedenkte Verfolgungsschäden. Der Nervenarzt, 1961, r. 32, z. 12, s. 534—538.
2. *Bettelheim* B.: Individual and mass behaviour in extreme situations. Journal of Abnormal and Social Psychology, 1953, r. 38, s. 534—538.
3. *Bettelheim* B.: The informed hearth. Wyd. 3: 1962, The Free Press of Glencoe.
4. *Cegłowska* T.: Czarne kompanie w KL Auschwitz. Zeszyty Oświęcimskie. Nr 17, 1975, s. 178—179.
5. *Ciesielski* E.: Ucieczka z Oświęcimia. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 218—224.
6. *Frankl* V. E.: Psycholog w obozie koncentracyjnym. W: Apel skazanych. Warszawa 1962, Pax.
7. *Jagoda* Z., *Kłodziński* S., *Masłowski* J.: Sny więźniów obozu oświęcimskiego. Przegl. Lek., 1977, nr 1, s. 28—66; s. 36: sny o ucieczce.
8. *Jasiński* S.: Moja ucieczka z Oświęcimia. W: Wspomnienia więźniów obozu oświęcimskiego. 1976, wyd. Państwowe Muzeum w Oświęcimiu.
9. *Kępiński* A.: Rytm życia. Wyd. 2, Kraków 1972, Wydawn. Literackie.
10. *Kielar* W.: Anus mundi. Kraków 1972, Wydawn. Literackie.
11. *Kret* J.: Ostatni krąg. Kraków 1973, Wydawn. Literackie, s. 141: rozdz. pt. Ucieczka z bloku śmierci.
12. *Kulisiewicz* A.: Z zagadnień psychopatologii muzyki i pieśni w obozach hitlerowskich. Przegl. Lek., 1974, nr 1, s. 39—45; s. 43: Ucieczki.
13. *Leśniak* R.: Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 13—20.
14. *Leśniak* R., *Leśniak* E.: Ucieczki z obozów koncentracyjnych. Analiza psychiatryczno-psychologiczna. Przegl. Lek., 1976, nr 1, s. 17—25.
15. *Leśniak* R., *Masłowski* J.: Psychiatryczna problematyka obozów hitlerowskich w pracach Antoniego *Kępińskiego*. Przegl. Lek., 1974, nr 1, s. 13—18.
16. *Leśniak*, R., *Orwid* M., *Szymusik* A., *Teutsch* A., *Gątarski* J., *Dominik* M.: Resüme der Krakauer psychiatrischer Untersuchungen ehemaliger Konzentrationslagerhäftlinge. W: Ermüdung und vorzeitiges Altern. Folge von Extrembelastungen. V. Internationaler Medizinischer Kommission der FIR 21. bis 24. September 1970 in Paris. Medizinische Kommision der FIR. Leipzig 1973, J. A. Barth, s. 201—203; tychże autorów: Review of the Cracow psychiatric studies of former prisoners of concentration camps. International Congress of Social Psychiatry. Zagrzeb 1970 (wrzesień), t. 2, s. 265—267.
17. *Orwid* M.: Socjo-psychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 17—23.
18. *Ostańkowicz* C.: Ziemia parująca cyklonem. Łódź 1969, Wydawn. Łódzkie, s. 50—59, 83, 147 i nast., 279.

19. *Piper* F.: Podobóz „Eintrachthütte". Zeszyty Oświęcimskie. Nr 17. 1975, s. 136.
20. *Ryn* Z.: Antoni *Kępiński* w Miranda de Ebro. Przegl. Lek., 1978, nr 1, s. 95—115; s. 101—102: Ucieczki z obozu.
21. *Ryn* Z., *Kłodziński* S.: Z problematyki samobójstw w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1976, nr 1, s. 25—46.
22. *Sobański* T.: Ucieczki oświęcimskie. Warszawa 1966, Wydawn. MON; wyd. w jęz. niem. pt. Fluchtwege aus Auschwitz. Warszawa 1980, Sport i Turystyka.
23. *Stryj* F.: W cieniu krematorium. Katowice 1965, Wydawn. „Śląsk", s. 58—59.
24. *Szmaglewska* S.: Dymy nad Birkenau. Wyd. 11, Warszawa 1971.
25. *Szymusik* A.: Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 23—29.
26. *Teutsch* A.: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stresu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 12—17.
27. *Wesełucha* P.: Obłęd czy metoda. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 12—17.
28. *Witkowski* J.: Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 73—81.

ZDZISŁAW RYN

Kraków

Troje rodzeństwa w obozie koncentracyjnym
(Analiza kliniczna)

WPROWADZENIE

Ani los dzieci i młodzieży w obozach koncentracyjnych, ani medyczne następstwa doznanych tam urazów nie zostały do tej pory opracowane monograficznie. Mimo podjętych prób nie udało się nawet w przybliżeniu ustalić liczby dzieci i młodzieży, która dostała się do obozów koncentracyjnych i innych ośrodków represji, a także, jaka część z nich przeżyła. Znacznie skromniej przedstawiają się też wyniki badań nad następstwami urazów obozowych u dzieci w porównaniu z więźniami dorosłymi.

Z książek, w których porusza się ten problem, warto wymienić „Dziecko polskie w systemie hitlerowskim" (*Sosnowski*, 1962), „Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży polskiej" (1969), „Dzieci polskie oskarżają" (*Wnuk* i *Radomska-Strzemecka*, 1961), a także albumowe wydanie pod tytułem „Dziecko i wojna" (*Boczek* i wsp., 1968).

Również w publikacjach wspomnieniowych i historycznych zwraca się uwagę na los dzieci w obozach. Należy tu wyróżnić książki W. *Kiedrzyńskiej* (1964) o obozie w Ravensbrück, K. *Dunin-Wąsowicza* (1970) o obozie w Stutthofie, W. *Rusińskiego* (1950) o obozie oświęcimskim. Dzieciom więzionym w obozie w Potulicach poświęcił swą książkę W. *Jastrzębski* (1968).

Prace zawarte w zbiorowej książce „Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży polskiej 1939—1945" ukazują sytuację dzieci w różnych obozach, m. in. na Majdanku (Murawska, 1970), w Oświęcimiu (*Szymański*, 1970), w Łodzi (*Kozłowicz, 1970*), a także przedstawiają tragedię dzieci Zamojszczyzny (*Wnuk*, 1970).

Międzynarodowy Rok Dziecka był okazją do zorganizowania szeregu konferencji naukowych poświęconych martyrologii dzieci. Plon tych prac, a zwłaszcza dorobek międzynarodowego sympozjonu medycznego *FIR*, poświęconego losom dzieci w drugiej wojnie światowej, omawia w swym źródłowym opracowaniu w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" J. *Masłowski* (1979, 1980).

Dzieci polskie kierowano — poza obozami koncentracyjnymi — do obozów pracy oraz w głąb Rzeszy do obozów pracy przymusowej. Więziono je też i mordowano w więzieniach na Pawiaku w Warszawie, Montelupich w Krakowie oraz na Zamku w Lublinie. Dokonano też masowych mordów na dzieciach upośledzonych umysłowo i chorych psychicznie, uśmiercając je podawaniem luminalu lub innych środków trujących (*Lisiewicz*, 1980).

Według bardzo ogólnych obliczeń przyjmuje się, że jedynie niewielki odsetek dzieci przeżył obozy, gdyż transporty dzieci z reguły skazywane były na zagładę. Pobyt w obozach lub więzieniach pozostawił u większości trwałe ślady w stanie zdrowia fizycznego, jak i psychicznego. Na ogół dzieci te ujawniały nieufność i wrogość wobec otoczenia, zobojętnienie uczuciowe oraz brak poczucia bezpieczeństwa (*Tokarz*, 1980).

W „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" odrębne studia poświęcono dzieciom z obozu łódzkiego oraz z obozu w Ravensbrück.

O warunkach bytowych oraz urazach, jakim poddawane były dzieci w obozie łódzkim, pisze w swym przejmującym artykule J. Witkowski (1968). Przez obóz ten przeszło około 12 tysięcy dzieci, a uratowało się tylko 600—800. Wiele z ocalałych zmarło wkrótce po wyzwoleniu. Dzieci te tak różniły się swym zachowaniem i stanem psychicznym, że przylgnęło do nich określenie „te z lagru". „Dzieci te były podobne do zwierzątek, rzucały się na wychowawców, traktując ich jak dozorców niemieckich (...). Dłużej niż tydzień nikt z opiekunów nie był w stanie z nimi wytrzymać. Z trudem nabierały wiary w życzliwą im postawę wychowawców, miały kompleksy wobec rówieśników, były zapóźnione w ogólnym rozwoju" (*Witkowski*, 1968).

Podobne zmiany u dzieci opisała *Półtawska* (1965). Podkreśliła ona, że zwłaszcza w pierwszym okresie po uwolnieniu dzieci ujawniały silne reakcje lękowe. „Dzieci bały się podniesionego głosu, mundurów, nagłego ruchu, ciemności, nocy, mężczyzn i, rzecz ciekawa, bały się normalnie jeść; dzieci podanego jedzenia nie ruszały, czekając, aż wszyscy wyjdą, wtedy rzucały się łap-

czywie na jedzenie lub, ignorując podany posiłek, zbierały starannie okruszyny jedzenia z podłogi. U niektórych dzieci lęk przeradzał się w agresję i dziecko w pierwszych dniach po wyzwoleniu, gdy się je dotknęło, reagowało uderzeniem w rękę, która je dotykała".

W późniejszym okresie dzieci te skarżyły się na nerwowość, bóle głowy, zaburzenia snu, a także na poczucie „piętna" czy odrębności, wynikające z przeżycia obozu. Doznania te są uporczywe i trwają przez wiele lat, przypominają przez to objawy zespołu astenii poobozowej, opisane w postaci tzw. *KZ-syndromu* u osób dorosłych (*Półtawska* i wsp., 1966).

Osiowym objawem zaburzeń stwierdzonych u dzieci, które przebywały w obozach, są zmiany w sferze uczuciowej. Z badań *Sarneckiego* (1966) wynika, że przeważały tu uczucia pierwotne, jak strach, lęk i gniew. W dalszej kolejności stwierdzało się obsesje i natręctwa, a także zamknięcie w sobie, impulsywność i tendencje antyspołeczne. Jako charakterystyczne dla tej grupy konflikty autor wyróżnił „konflikt nazywany walką o miejsce na ziemi", konflikt pokoleń oraz tzw. psychasteniczne hamowanie.

Pobyt w obozie — obok określonych zmian somatycznych — wywoływał więc z reguły głębokie i trwałe zaburzenia uczuciowości i zachowania, które w istotny sposób utrudniały prawidłowe funkcjonowanie tych dzieci w środowisku. Problemy te można było zresztą z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć.

Zaskakujące natomiast okazały się wyniki badań dzieci urodzonych w rodzinach byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Wskazały one mianowicie na możliwość swoistego „dziedziczenia" choroby poobozowej, którą dotknięci byli ich rodzice. Z prac *Dominik* (1978, 1979) oraz *Kempistego* (1973, 1979) wynika, że dzieci byłych więźniów obozów koncentracyjnych częściej niż inne dzieci dotknięte są zaburzeniami nerwicowymi oraz ujawniają nieprawidłowy rozwój osobowości. Ostatnie badania wskazują na możliwość przenoszenia się tych trudności także na trzecie pokolenie.

Przytoczone informacje jedynie zarysowują złożone problemy, z jakimi spotyka się lekarz zajmujący się osobami, które urodziły się bądź w dzieciństwie więzione były w obozach koncentracyjnych. Dlatego uzasadnione jest kontynuowanie tych obserwacji i gromadzenie coraz to nowych spostrzeżeń nad dynamiką tych zaburzeń.

Nadzwyczajna okazja do takich badań zdarzyła się w ostatnich latach. Do Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie zgłosiło się troje rodzeństwa, dwie siostry i brat, którzy w dzieciństwie przebywali w obozach dla dzieci w Raciborzu, Mysłowicach, Pogrzebinie i Potulicach. Celem tych badań była ocena stanu psychicznego w związku ze staraniami o renty inwalidy wojennego, a więc wypowiedzenie się co do związku przyczynowego stwierdzonych zaburzeń z urazami doznanymi w obozach. Kontakt z badanymi przerodził się w długotrwały proces terapeutyczny, prowadzony przez ambulatorium kliniki do chwili obecnej. Ze względu na wyjątkową okazję przeprowadzenia badań psychiatrycznych i psychologicznych u trojga rodzeństwa, które w dzieciństwie przebywało w obozach, warto przedstawić w skrócie wyniki badań i poddać je analizie na tle danych z piśmiennictwa. Badania psychologiczne przeprowadziły mgr Anna *Lipowska-Teutsch* oraz dr Elżbieta *Uniwersał-Leśniak*. Zapisy elektroencefalograficzne wykonano w Pracowni Eeg Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie (kierownik: dr med. Julian *Gątarski*). Opiekę leczniczą, poza autorem artykułu, prowadzi również dr Barbara *Monné-Dzikowska*. Badani wyrazili zgodę na wykorzystanie wyników tych badań w publikacjach naukowych.

SYTUACJA RODZINNA

Badani pochodzą z rodziny robotniczej. Ich matka nie żyje, została uwięziona razem z badanymi w czerwcu 1943 roku w Mysłowicach. Tam poddana była torturowaniu, a następnie w stanie ciężkim przewieziona do obozu w Oświęcimiu, gdzie wkrótce zmarła. Miała wtedy 25 lat.

W relacji młodszej siostry matka była osobą niedojrzałą i dziecinną. Zdradzała uzdolnienia artystyczne, malowała, haftowała, była bardzo wrażliwa na piękno przyrody, kochała zwierzęta. W okresie okupacji była przeciwna udziałowi swego męża w partyzantce, groziła mu, że się zabije, jeśli ze względu na dzieci nie zaniecha tej działalności. Jednak kiedy go poszukiwano, nie wydała go i nie ujawniła miejsca, gdzie się znajduje. Razem z dziećmi została aresztowana. Obie siostry mają żal do ojca, że swoim postępowaniem doprowadził do śmierci matki i uwięzienia całej trójki.

Ojciec jest człowiekiem prostym, szorstkim i chłodnym uczuciowo. Z zawodu jest rzeźnikiem. Nadużywał alkoholu, po pijanemu awanturował się, bił dzieci. W czasie okupacji uniknął aresztowania, a w dwa lata po wojnie ponownie się ożenił i miał dzieci. Przez około rok po uwolnieniu z obozu badani byli wychowywani przez ciotki i nie mieszkali razem z ojcem. Stosunek ojca do dzieci z pierwszego małżeństwa był niechętny. Obie siostry wyszły za mąż wcześnie, by się usamodzielnić.

STARSZA SIOSTRA

W chwili badania ma 42 lata, jest mężatką i matką dwojga dzieci. Pracuje zawodowo. Ciążą i poród, a także rozwój we wczesnym dzieciństwie prawidłowe. W trzecim roku życia przebyła powikłane zapalenie opłucnej z wysiękiem ropnym i wtórnym zniekształceniem kręgosłupa i żeber. Przed aresztowaniem chodziła do przedszkola. Po wojnie ukończyła z opóźnieniem szkołę podstawową. Chciała zostać pielęgniarką, lecz ojciec nakłonił ją do podjęcia pracy. Ciąże znosiła źle, a po porodach chorowała i chudła. Małżeństwo układa się pomyślnie.

Aresztowana została razem z rodzeństwem i matką. Pobyt w obozach przypadł między 7 a 9 rokiem życia badanej. W czasie aresztowania Niemcy zdemolowali dom i wszystkich pobili. Babcia usiłowała schować brata, liczącego wówczas 17 miesięcy, pod kołdrą, za co Niemcy pobili ją do nieprzytomności. Na policji matkę bito i maltretowano na oczach dzieci, by wydała ojca. W Mysłowicach matkę, nieprzytomną i pokrwawioną, wniesiono w kocu do sali, w której przebywały dzieci. Badana pamięta, że matkę obmywano resztkami kawy lub herbaty. W kilka dni później odbyło się oddzielenie dzieci od rodziców. Rodzice wieszali swym dzieciom na szyi tabliczki z datą urodzenia i nazwiskiem, były to tzw. lagiernumerki. Żołnierze karabinami odpędzali spazmujących rodziców. Ich matka kilkakrotnie zemdlała. Dzieci załadowano na około 20 samochodów i wywieziono do obozu, którego badana nie jest w stanie zidentyfikować. Matkę wywieziono do obozu oświęcimskiego, gdzie zmarła.

Badana, jako najstarsza, opiekowała się młodszym rodzeństwem i przejęła wobec niego rolę matki. Szczególne kłopoty sprawiał najmłodszy brat. Nie było żywności, wody ani odzieży. Trzeba go było ciągle trzymać na ręku i chronić przed różnymi niebezpieczeństwami. Brat ciągle chorował, miał owrzodzenia i strupy na ciele, głodowe wzdęcia i obrzęki, głowa wydawała się nieproporcjonalnie powiększona. Badana żyła w ciągłym lęku o młodsze rodzeństwo, starała się z nim nie rozstawać ani na moment, towarzysząc mu nawet w toalecie. W obozie starała się o pożywienie, o ubranie. Wszyscy byli zawszeni, szerzył się świerzb, choroby zakaźne, dlatego dzieci ostrzyżono na goło.

Przewożono ich kolejno do dwóch różnych obozów, pamięta nazwę Pogrzebień, byli też w Łodzi, lecz tam nie przyjęto transportu. Według jej oceny transport towarowym pociągiem w bardzo prymitywnych warunkach, na słomie, bez wody i o głodowym jedzeniu miał trwać kilka tygodni. W końcu znaleźli się w obozie w Potulicach pod Nakłem. Teren był błotnisty i malaryczny, dokuczały komary. Tam przebywali około roku. Najgorsze wspomnienia z tego obozu — to tłumy więźniów, także dorosłych, głód, prymitywne baraki, prycze wieloosobowe, wokół sami chorzy, wycieńczeni i ciągle umierający. Spali na trzecim piętrze drewnianej pryczy, ona w środku, a rodzeństwo po bokach, nawet przez sen trzymała je za szyje. Potem na jednej pryczy spali we czworo. Wszędzie panoszyło się robactwo. Aby wyprać koc, trzeba było śnieg topić we wiadrze. Starsze dzieci chodziły do pracy, lecz badana z młodszym rodzeństwem przebywała w baraku. Obok baraku zasypywali błoto żwirem, sprzątali barak i otoczenie, stawali na apele. Pamięta wielogodzinne oczekiwanie w kolejkach do „badań", mieli im pobierać krew dla rannych żołnierzy. Żyli ciągle w atmosferze zagrożenia i śmierci. Pod koniec na terenie obozu zbudowano piec z kominem, w którym dzieci miały być spalone. Najbardziej dokuczał głód. Badana osłabła, nie mogła chodzić, jednakże nie chorowała, gdyż, jak twierdzi, nie mogła chorować. Mobilizowała ją odpowiedzialność za rodzeństwo, wobec którego pełniła rolę matki i ojca równocześnie. Podtrzymywała je na duchu, opowiadając o domu, rodzicach, spotkaniu rodzinnym itp. Spała bardzo czujnie, budziła się na każdy szmer i ruch, ciągle bardziej bała się o rodzeństwo niż o samą siebie. Zwykle sama nie jadła, oddając całe porcje młodszym, zwłaszcza gdy było coś smaczniejszego. Kradła ziemniaki, przeszukiwała śmietniki, starała się o drewniane buty i odzież. Jedynie dzięki jej ostatecznej mobilizacji i determinacji cała trójka dożyła do wyzwolenia obozu.

Wyzwolenie obozu związane jest z jednym z najstraszniejszych wspomnień. Od kilku dni słychać było strzały i huki. Usłyszeli okrzyki „hurra" i zobaczyli wielu żołnierzy, polskich i radzieckich, druty otaczające obóz były poprzecinane. Niemców, którzy nie zdążyli opuścić obozu, zgromadzono na placu, zaskoczono ich w bieliźnie. Do stojących z rękami do góry strzelali. Niemcy konali na oczach dzieci. Gruby, łysy dyrektor konał, gdy strzelali do niego wielokrotnie, w różne części ciała: kopał, palcami rył ziemię, miał drgawki. „To była najstraszniejsza zemsta zbiorowa, żałowałam go, płakałam, protestowałam..." Według oceny badanej w chwili wyzwolenia w obozie było około tysiąca dzieci. Ciągle narażeni byli na widok umierających i martwych. Marli dorośli oraz dzieci. Niemal codziennie widziała umierające dzieci i pomagała w grzebaniu zmarłych. „Na pasie, rano, ciągnęliśmy ten wózek z trupkami, pomagaliśmy pchać ten wóz; nieraz był pełny po brzegi, te nogi, te ręce tak zwisały; potem mi się to wszystko śniło."

Wśród dzieci starszych istniała jakaś organizacja, był to dziecięcy ruch oporu. Chłopcy posiadali broń, amunicję, pistolety, chowali to pod podłogą. Schwytanych chłopców poddano zbiorowej, publicznej chłoście na placu apelowym, a następnie zamknięto ich w starej stolarni, pełnej szczurów. Gdy ich wypuszczono, chłopcy mieli powygryzane usta, nosy, palce...

Po uwolnieniu z obozu całymi tygodniami wracali na furach ciągnionych przez woły. Trafili do jakiegoś sierocińca, gdzie po długim czasie odnalazł ich ojciec. W sierocińcu nie bała się już niczego, czuła się bezpiecznie, było jedzenie i było ciepło. Obcy ludzie zabierali ich na niedziele do swych domów. Ojca poznała, biegła do niego na czworakach, a potem po młodsze rodzeństwo. Młodsza siostra i brat nie poznali ojca. Dopiero po dłuższej chwili uwierzyły, że to ich ojciec i okazały swe uczucia.

Cała trójka była w stanie głodowego wycieńczenia, a mimo to nie mogli nic jeść, raził ich zapach potraw domowych, nic im nie smakowało, na sam widok lub zapach jedzenia wymiotowali. Do dyspozycji były kury i kaczki, przysmaki, o jakich marzyli, a tymczasem nie mogli tego nawet tknąć. Badana długo nie mogła o własnych siłach chodzić, poruszała się na czworakach, drżały jej nogi i ręce. Dopiero po kilku miesiącach była zdolna do chodzenia. Wszyscy mieli gruźlicę płuc i kości, zaczęły się wielomiesięczne kuracje w szpitalach i sanatoriach. Szczególnie cierpiał brat, przechodził operacje nogi, która była znacznie krótsza, miesiącami leżał w gipsie, nie poruszał się, płakał.

Fizycznie jest wątła, mało waży, źle wygląda. Cierpi na dolegliwości reumatyczne, bóle stawów, puchną jej nogi, lecz, jak twierdzi, zżyła się z tym od dziecka. Ma osłabiony wzrok, jest dalekowidzem.

Bardziej dokuczliwe są dolegliwości psychiczne: jest nadmiernie nerwowa, pobudliwa i wybuchowa. Łatwo się denerwuje, jest płaczliwa, odczuwa silne bicia i kołatanie serca, bóle głowy. Nieraz ogarnia ją nieuzasadnione pragnienie wyrządzenia komuś krzywdy, pobicia, a czasem skrzywdzenia siebie, nawet zabicia siebie. Choć z natury uważa siebie za pogodną, łatwo wpada w stany przygnębienia, załamania nerwowego, traci chęć do życia, pragnie śmierci, nieraz myśli o samobójstwie. Łatwo zasypia, lecz często się budzi. Gdy jej dzieci były jeszcze małe, często dręczyły ją sny o treści związanej z pobytem w obozie, bała się, we śnie jakby na nowo przeżywała różne wydarzenia obozowe. Trwało to przez kilka lat. Gdy się zrywała ze snu, bała się o własne dzieci. Ma gorszą pamięć, jest roztargniona.

Pragnie być sama, nie czuje się rozumiana przez otoczenie, łatwo się wycofuje, jest wrażliwa i urażliwa na opinię innych, przesadnie pedantyczna, w skrytości marzy o nawiązaniu przyjaźni.

Ostatnio coraz trudniej radzi sobie z obowiązkami, odczuwa nieokreślony niepokój, nasilający się czasem do lęku o bliskich, przewiduje grożące niepowodzenia, nieszczęście, trudności, czuje się przemęczona. Dręczy ją często poczucie winy o to, czy komuś nie wyrządziła krzywdy, czy była sprawiedliwa. Ma wrażenie, że wielu ludzi jest nastawionych do niej nieprzychylnie lub nieprzyjaźnie. Wśród obcych czuje się krytykowana i ośmieszona. Dokucza jej też przeświadczenie, że jest obserwowana, że się jej przyglądają, nie może tego znieść, np. wychodzi z kina w trakcie seansu. Lęka się o swoje zdrowie, czuje się niepewna siebie, roztrzęsiona i zagrożona. W pracy popada w konflikty. Wobec swoich dzieci jest nadopiekuńcza, lękowa, obawia się jakiegoś nieszczęścia.

Od kilku lat nieco mniej wraca myślami do przeżyć obozowych, stopniowo czuje się jakby wyzwolona od tego. Uważa, że obóz nauczył ją odporności na trudne sytuacje, a także odpowiedzialności.

Wobec młodszej siostry jest nadal opiekuńcza, choć łatwo popadają w konflikty. Brata traktuje jak starszego syna, jest wobec niego opiekuńcza, utrzymują częste kontakty, pomaga mu w różnych codziennych kłopotach.

Bądanie psychologiczne: w tekście WISKAD wyniki wskazują na głęboko krytyczny i pesymistyczny obraz samej siebie, izolację społeczną, odmienny od potocznego sposób przeżywania, skłonność do zamykania się we własnym świecie. Obniżenie nastroju wiąże się z nieufnym stosunkiem do otoczenia. Emocje cechuje labilność, mała tolerancja na frustracje i nieokreślone poczucie winy. Trudności wyrażania swych uczuć przez działanie lub kontakt z ludźmi pogłębiają jej cierpienie.

Badanie elektroencefalograficzne: fale ostre w okolicach skroniowych, na tle uogólnionego niedojrzałego zapisu spoczynkowego.

Rozpoznanie: KZ-syndrom w postaci zespołu lękowo-depresyjnego na podłożu rozpoczynającego się uszkodzenia organicznego ośrodkowego układu nerwowego. Postępująca astenia psychofizyczna.

MŁODSZA SIOSTRA

W chwili badania ma 39 lat, od 17 lat jest mężatką, ma jedno dziecko w wieku 16 lat. Ukończyła studium nauczycielskie i pracuje w swoim zawodzie.

We wczesnym dzieciństwie rozwijała się prawidłowo, poważniej nie chorowała. Pobyt w obozach przy-

padł między 5 a 7 rokiem jej życia. Okres ten pamięta dość dobrze, akcentując niektóre wspomnienia.

Wyraźnie pamięta obozowe baraki, długie, ciemne korytarze, wielogodzinne wyczekiwanie w kolejce do badań lekarskich. Do „badań" dzieci wzywano pojedynczo; rozbierali się do naga i chodzili przed lekarzami, mierzyli im głowy, rozdzielali na grupy, a potem wykonywali im zastrzyki, chyba nad piersią, tego dokładnie nie pamięta. Następnie dzieci dzielili na „rasy". Mimo rozdzielenia cała trójka szczęśliwie pozostała w jednej grupie. Dalsze badania prowadzono w innej sali, były tam wysokie stołki, maleńkiego brata trzeba było na nie wysadzać. Badana nie wie do dziś, jaki był cel tych badań, o co w nich chodziło, dziś przypuszcza, że zapewne o jakieś doświadczenia pseudomedyczne.

W obozie chorowała na szkarlatynę, zapalenie śluzówek jamy ustnej, „zlepienie oczu", owrzodzenia „pękające i krwawiące", była też w szpitalu. Pamięta ciągły lęk, że ich rozdzielą, bała się pilnujących je kobiet. Chorowała na świerzb, smarowano ją śmierdzącą maścią. Pamięta też miły moment, a mianowicie widok białej zimy przez szczeliny między deskami i cukierki z palonego cukru, jakie przyniosła im starsza siostra. W obozie były też starsze dzieci, w święta przedstawiały jasełka.

Bardzo urazowo pamięta ubikację: przepierzenie z desek, deska z otworem i pręt, by nie wpaść do dołu kloacznego, zimno i zawsze pełno dzieci, a z drugiej strony dorośli, którzy podglądali dzieci i podsłuchiwali je. Pamięta małego chłopca, któremu wypadła kiszka stolcowa, usiłowała mu ją odprowadzić palcami. Widok mężczyzny bez genitaliów pamięta jako potworny.

Inne wspomnienie — to święta Bożego Narodzenia. Po dwutygodniowej podróży w wagonie zmarło kilka osób, całe dni postoju na stacjach. Stoją na placu i czekają na posiłek, przy rozlewaniu zupy tłok, kucharz wylał chochlę gorącej kaszy na jednego chłopca, ten pokrył się pęcherzami, leżał ciężko chory, mówili, że zmarł. W sąsiedniej „izolatce" była ich dalsza krewna, która zmarła z wycieńczenia. Podnosili jej rękę, a z niej zwisały płaty skóry, pod światło widać było jej mięśnie i kości.

Do obozu przyjechała ich babcia, stała za drutami, lecz pilnował ich strażnik. Z lęku nie podeszła nawet w pobliże. Usłyszała od babci, że przyniosła im jedzenie, lecz jedzenia tego nigdy nie otrzymali.

Na stercie śmieci widziała maleńkie, może jednoroczne, martwe dziecko, kawałki ludzkiego ciała, nogę dziecka, gdzie indziej rękę... Ludzkie zwłoki leżały wszędzie jak w chlewie, wszy chodziły po szybach.

Starsza siostra nieraz wychodziła poza teren obozu, przynosiła jedzenie. Ona tylko sprzątała barak. Pamięta łóżka piętrowe, spali na słomie, po cztery osoby pod jednym kocem. W łóżkach było mokro, ktoś sikał do łóżka, na dolnym łóżku byli zmoczeni... Nie pamięta, by była bita. Starała się być posłuszna i podporządkowana, „samotnica", więc lepiej to wszystko znosiła.

Pamięta rozdzielenie ich z matką, to najbardziej drastyczne przeżycie. Matka dwa razy zemdlała, wtedy odebrano jej najmłodsze dziecko. Podeszły do niej inne kobiety i polewały ją resztkami kawy po twarzy, ostatni widok matki — to jej twarz w fusach od kawy... Pilnowała ich najstarsza siostra, gdzieś zdobywała nawet mleko dla najmłodszego, ona miała najwięcej zmartwień, bo nie pozwalała ich krzywdzić.

Inne wspomnienie z obozu: wspólna kąpiel, stoją rzędami, nago, jakiś Niemiec polewa ich wodą z węża, śmieje się i drwi z nich, znęcał się tym strumieniem wody. Potem ciągłe czekanie, godzinami, bez końca. Obcięli jej włosy, długie, blond, kręcone, na goło. Płakała godzinami, nie chciała wyjść z baraku, ze wstydu, z poniżenia, pamięta stosy włosów.

Po wyzwoleniu mieszkali na wsi, u obcych ludzi, potem w sierocińcu, tam ich karmili. Przestali się bać. Tam odnalazł ich ojciec, przyjechał razem z ciotką. Nie poznała go, nie chciała do niego podejść. Przyjechali najpierw do ciotki, opiekowała się nimi babcia. W domu wszystko ich dziwiło, czystość, wszystko wydawało się nadzwyczaj piękne, szklaneczki, talerze, wszystkiemu się dziwili, próbowali jeść mąkę, cukier, wszystko było nowe, dziwne.

Naukę szkolną zaczęła z opóźnieniem, bo chorowała, ciągle „strupy, zła krew". Była bardzo chorowita, pobyty w sanatorium, gorączki przez całe dzieciństwo. Dopiero po wyjściu za mąż, a zwłaszcza gdy była w ciąży, poczuła się lepiej, wtedy czuła się w pełni zdrowa, nie gorączkowała, wtedy była najładniejsza. Po porodzie znów nawrót gorączek, dolegliwości reumatyczne, złe samopoczucie. Waży ciągle bardzo mało, około 40 kilogramów.

W okresie dojrzewania czuła się źle, była „zakompleksiona", zamknięta w sobie, miała poczucie mniejszej wartości, nie znosiła pytań o obozie, o sieroctwie, wstydziła się i unikała ludzi.

W małżeństwie przeżywała różne kryzysy, także w pracy sobie nie radzi, nie jest tam rozumiana, ma poczucie krzywdy. Uważa, że nie potrafi utrzymać silnej więzi rodzinnej, traci wpływ na swego syna. Ma trudny kontakt z ludźmi, nie umie okazywać swych uczuć, często żyje obawami, że jest źle rozumiana, nie znosi przeciwstawiania się jej woli, stąd częste konflikty z otoczeniem. Uczuciowo czuje się najbardziej związana ze starszą siostrą i z bratem. Ma tylko jedną przyjaciółkę.

W pracy czuje się wyobcowana, a przez uczniów jest uważana za osobę surową i bezwzględną.

Stan psychiczny: jest nadmiernie pobudliwa i nerwowa, nie panuje nad sobą. Odczuwa wewnętrzne drżenie, łatwo płacze, zwłaszcza ze złości, jest nieśmiała i lękliwa. Cierpiała na okresową bezsenność, budziła się wcześnie z lękiem. Leki uspokajające działają na nią otępiająco, pogarszają jej pamięć. Łatwo się wzrusza i nieraz płacze bez widocznego powodu.

Pamięta dwa sny związane z obozem; zdarzyły się one w młodości, lecz pamięta je do dzisiaj. Jeden to sen, że ktoś do niej strzela od tyłu, w ogromnym napięciu oczekuje uderzenia kuli i śmierci. Drugi sen — to jakieś naloty bombowe, lęk i nagłe przebudzenie się z płaczem

Jest wrażliwa na promieniowanie słoneczne, skłonna do omdleń, miewa dolegliwości gastryczne, nie może jeść, w związku z tym nie może przybrać na wadze. Często odczuwa bóle i wzdęcia brzucha, burczenia w jelitach, odbijania, zażywa środki przeczyszczające. Przestrzega diety. Od wielu lat cierpi na bóle migrenowe i zaburzenia równowagi.

Pod względem fizycznym jest wątła, słaba, łatwo się męczy, choć jest ruchliwa. Jest mało odporna na trudy życia.

Wstydzi się rozbierać, z tego powodu unika plaży. Uważa się za mało pobudliwą pod względem seksualnym.

W czasie badań ujawnia zwiększone napięcie psychiczne i niepokój oraz żywe objawy neurowegetatywne. Inteligencja żywa, język bogaty, z dużą umiejętnością przekazywania własnych odczuć, bogate skojarzenia i trafne obserwacje. Łatwość reakcji depresyjnych, skłonność do zmiennych nastrojów, napięcie i wycofywanie się przy podejmowaniu tematów związanych z obozem.

Przeżywa poczucie krzywdy wynikające z braku zrozumienia jej losu i ciężkich przeżyć obozowych, zwłaszcza przez komisje lekarskie, odmawiające jej należnych świadczeń.

Testowe badania psychologiczne ujawniły znaczne zaburzenia uwagi i pamięci, a także silne wewnętrzne konflikty wynikające z lęków i obaw o przyszłość i zdrowie. W teście WISKAD badana ujawniła skłonność do samoobwiniania, krytyczny stosunek do siebie oraz lęk przed niepowodzeniami. Z innych cech znacznie obniżony nastrój i chwiejność emocjonalna, trudności w kontaktach z ludźmi i skłonność do izolacji i zamykania się w świecie marzeń i wyobrażeń. Odczuwane dolegliwości somatyczne przemawiają za koncentracją na własnym ciele.

Zapis elektroencefalograficzny ujawnił obustronnie w odprowadzeniach czołowo-skroniowo-potylicznych fale wolne i ostre.

Rozpoznanie: KZ-syndrom w formie przewlekłej i postępującej astenii psychofizycznej z utrwalonymi stanami depresyjno-lękowymi oraz zaznaczonymi cechami organicznego uszkodzenia mózgu.

NAJMŁODSZY

W chwili badania miał 34 lata. Jest rozwiedziony, nie pracuje etatowo, z wykształcenia plastyk. W obozie przebywał również dwa lata, przy czym jego pobyt przypadł w najmłodszym wieku, począwszy od 17 miesiąca życia. Wspomnienia z obozu ograniczają się jedynie do mglistego wyobrażenia rozległego placu z bajorem; plac ten przewijał się w późniejszych obrazach sennych.

Badany w wyraźny sposób odróżniał się swym wy-

glądem zewnętrznym i zachowaniem od otoczenia. Po wstępnych kontaktach udało się nawiązać z nim bliski kontakt psychoterapeutyczny.

O okolicznościach aresztowania i losie rodziny badany jest poinformowany przez swoje siostry. W jego własnych wspomnieniach obóz powraca jedynie w przykrych snach: wspomniany plac, „obozowe" bajoro, wieża strażnicza, motyw zagrożenia w jakimś „koszmarnym i groźnym" pejzażu. On sam w snach jest w stanie „okaleczenia, bezbronności, zniewolenia", czuje się bezsilny wobec zagrożenia płynącego ze strony ludzi, jakiejś anonimowej hordy.

Od sióstr wiadomo mu, że w obozie miewał często biegunki. Siostry starały się to ukryć, piorąc po nocach koce. Jeśli nie udało się usunąć śladów nieczystości, inne dzieci pod nadzorem strażniczek wymierzały mu karę na apelu w formie bicia kijami. Siostry wspominają te sceny jako straszne, odrażające, nie mogły na to patrzeć. On sam nie płakał wtedy, nie umiał płakać.

W czasie wyzwolenia był w stanie skrajnego wyniszczenia, wykryto u niego gruźlicę kręgosłupa, która wymagała wieloletniego leczenia. W jednym z sanatoriów pół roku leżał w gipsowym łóżeczku i stan jego był ciężki. Z tym związane są pierwsze jego wspomnienia: przeżywał wstyd i upokorzenie z powodu choroby. Od trzeciego do szóstego roku życia leżał w szpitalu. Był to okres najtrudniejszy w jego życiu. Przebył leczenie operacyjne, uczył się na nowo chodzić, posługując się przez dalsze trzy lata specjalnym aparatem. Czuł się opuszczony i osamotniony, wobec otoczenia często zachowywał się wrogo i agresywnie. Między 18 a 20 rokiem życia przebył kolejne operacje korekcyjne, które przywróciły jego „ludzki wygląd". Przykro wspomina wstydliwy i pogardliwy stosunek ojca do niego, widząc w tym źródło swoich kompleksów. Z ojcem się poróżnił i w późniejszym okresie utrzymywał z nim bardzo luźne kontakty.

Bliżej czuje się związany z siostrami, choć uważa, że obie przeżywają poważne rozterki psychiczne. U jednej wyraża się to nadmierną skrupulatnością i przesadną dbałością o czystość, porządek, tendencją do przeżuwania wszystkiego, do wahań, skrupułów i nadmiernej ostrożności wobec ludzi, a także nieufnością. Drugą siostrę, jego zdaniem, cechuje wybuchowość, impulsywność oraz skłonność do burzliwych kryzysów i załamań. Z tą drugą lepiej się rozumie i lepiej ją znosi. Obie siostry irytują go jednak nadmiernym wtrącaniem się w jego sprawy i przesadną opiekuńczością.

Badany od dziecka ujawniał uzdolnienia plastyczne, po liceum plastycznym ukończył z wyróżnieniem studia w ASP. Okres ten uważa za najszczęśliwszy w życiu, mieszkał wtedy w półsanatorium studenckim, gdzie miał możliwość bliskich kontaktów z rówieśnikami. W kontaktach z dziewczętami był wymagający, oczekiwał szczerości, oddania i wyłączności, co prowadziło do oczywistych konfliktów, a nawet zachowań agresywnych. Małżeństwo, jakie zawarł, trwało tylko rok.

Przez pierwsze lata po studiach dość dobrze zarabiał, choć pracował dorywczo. Potem osłabł w nim napęd życiowy, stracił energię, „coś w nim wygasło", rzadko wychodził z domu, żył w jakimś nieokreślonym zawieszeniu, rozluźnił kontakty towarzyskie. Spostrzegł, że alkohol ułatwia mu wyzwolenie się z różnych zahamowań i przez to działa terapeutycznie.

W środowisku, w jakim mieszka, czuje się inny, ludzie przypatrują mu się z uwagą, obserwują go, uważa, że nie przez przypadek bywa legitymowany przez milicję. Często czuje się wystawiony na spojrzenia obcych ludzi, odnosi wrażenie, że przyglądają mu się nieżyczliwie, a nawet złośliwie. W badaniach testowych wyraźnie akcentował: „wydaje mi się, że mnie coś odgradza od świata, często wydaje mi się, że wszystko jest nierzeczywiste" itp. Przeżywa okresy szczególnej nadwrażliwości, które nazywa „euforią". Odczuwa wtedy bardzo wyraźnie wszystko, co się wokół dzieje, szmer liści, deszczu, jazdę samochodów, kolory, kształty — wszystko to dociera do jego świadomości z niezwykłą wyrazistością i czystością. Dość często myśli o śmierci i samobójstwie.

W badaniach testowych ujawnił wyraźną postawę „wołania o pomoc", a do swoich doznań ma stosunek estetyzujący (określenie psychologa A. *L.-T.*). Badany nie ujawnia dolegliwości somatycznych, choć miałby ku temu wiele powodów. Przeważa w nim pesymistyczny pogląd na życie i samego siebie. Cechuje go ponadto niekonwencjonalny sposób bycia w społeczeństwie, trudności współżycia z ludźmi, nieufność i nadwrażliwość w stosunkach z nimi, a także niekonwencjonalne odczuwanie i reakcje na wydarzenia zewnętrzne. Możliwość przebywania nieraz przez długie dni samotnie stanowi dla niego ulgę. Swoją przyszłość widzi niejasno, a w sytuacjach trudnych skłania się do szukania oparcia w swoich siostrach.

Rozpoznanie: zaburzenia osobowości, cechy homilopatii oraz psychastenii.

OMÓWIENIE

Przedstawione opisy trojga rodzeństwa, które we wczesnym dzieciństwie przebywało w obozach, rzucają nowe, choć fragmentaryczne światło na poznanie losu polskich dzieci podczas okupacji. Okazuje się, że dopiero indywidualne spojrzenie na historię życia pozwala na wczucie się w skomplikowane reakcje emocjonalne i problemy psychiczne, jakie wywołały urazy doznane w obozach. W tym wyjątkowym wypadku mieliśmy możność prześledzić los trojga rodzeństwa poddanego urazowym wpływom tych samych obozów, i dzięki temu poznać sposoby adaptacji i funkcjonowania w rzeczywistości obozowej dzieci w różnym wieku, związanych z sobą nie tylko silnymi więzami rodzinnymi, ale także połączonych wspólną troską o przetrwanie obozu. Więzi te okazały się silniejsze również w okresie poobozowym.

Zależnie od wieku i swoich możliwości poszczególne osoby przyjęły określone role i wykształciły różne formy zachowań obronnych, chroniących całą trójkę przed przeciwnościami obozowego życia. Jak widzieliśmy, największy ciężar spoczywał na starszej siostrze, która przyjęła wobec młodszego rodzeństwa postawę ochraniającej matki i zarazem zabezpieczającego ojca. Poczucie odpowiedzialności za młodsze rodzeństwo było dla niej źródłem szczególnej siły i odporności na zewnętrzne urazy. Nie dziwi jednak, że tak silne obciążenie emocjonalne w obozie pozostawiło głęboki ślad w osobowości oraz w stanie zdrowia. Im pełniejsza była świadomość doznawanych urazów i grożącego niebezpieczeństwa, tym głębsze i trwalsze pozostawały po nich ślady i wspomnienia, tym bardziej zaznaczają się one w obrazie psychopatologicznym obecnie, w odległym od obozu czasie.

Podobnie jak u wielu dorosłych, którzy przeżyli obóz, tak u przedstawionego rodzeństwa zetknięcie się ze zmasowanym cierpieniem i umieraniem obok opisanych zaburzeń w sferze uczuciowej i społecznej wywołało zasadnicze zmiany w postawach wobec życia i śmierci. Stąd też — oprócz oczywistych wartości praktycznych, terapeutycznych — tego rodzaju badania wnoszą wciąż nowe spostrzeżenia w poznanie sposobów funkcjonowania człowieka w sytuacjach granicznych, a także w poznanie ich odległych następstw i kształtującego wpływu na dalszy los człowieka.

PIŚMIENNICTWO

H. *Boczek*, E. *Boczek*, J. *Wilczur*: Dziecko i wojna. Warszawa 1968.

M. *Dominik:* Potomstwo w niektórych rodzinach byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1979, nr 1, s. 25—38.

M. *Dominik*, A. *Teutsch*: Nerwice u potomstwa byłych więźniów obozów hitlerowskich. Przegl. Lek., 1978, nr 1, s. 16—20.

K. *Dunin-Wąsowicz:* Obóz koncentracyjny Stutthof. Gdańsk 1970.
Dziecko polskie w latach wojny i okupacji hitlerowskiej. 1939—1945. Warszawa 1979.
J. *Grabowska:* Dzieci i więźniowie małoletni w obozie koncentracyjnym w *KL Stutthof*. Stutthof. Zeszyty Muzeum, 1977, nr 2, s. 32—35.
W. *Jastrzębski:* Potulice oskarżają. Bydgoszcz 1968.
C. *Kempisty:* Wyniki drugiego etapu socjo-medycznych badań potomstwa byłych więźniów obozów hitlerowskich. Przegl. Lek., 1979, nr 1, s. 18—25.
C. *Kempisty:* Wyniki socjo-medycznych badań potomstwa byłych więźniów obozów hitlerowskich. Przegl. Lek., 1973, nr 1, s. 13—20.
W. *Kiedrzyńska: Ravensbrück*. Warszawa 1964.
J. *Kościuszkowa:* Losy dzieci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1961, nr 1, s. 60—61.
T. *Kozłowicz:* Karny obóz pracy dla dzieci i młodzieży w Łodzi. W: Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży 1939—1945. Warszawa 1969, s. 17 i nast.
P. *Lisiewicz:* Zbrodnie na dzieciach i młodzieży popełnione w szpitalu psychiatrycznym w Lublińcu. W: Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem ludzkości i historii. Pod red. C. *Pilichowskiego*. Warszawa 1980, s. 589—595.
J. *Masłowski:* Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1979. Przegl. Lek., 1980, nr 1, s. 213—228.
J. *Masłowski:* Zagadnienie martyrologii dzieci w „Przeglądzie Lekarskim-Oświęcim". Wrocław 1979 (powiel.).
Z. *Murawska:* Dzieci w obozie koncentracyjnym w Majdanku. W: Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży polskiej 1939—1945. Warszawa 1969, s. 38—42.
W. *Półtawska:* Stany hipermnezji napadowej. Na marginesie badań tzw. „dzieci oświęcimskich". Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 89—93.
W. *Półtawska:* Z badań nad „dziećmi oświęcimskimi". Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 21—24.
W. *Półtawska, A. Jakubik, J. Sarnecki, J. Gątarski:* Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 21—36.
W. *Rusiński:* Dzieci w Birkenau. Poznań 1950.
J. *Sarnecki:* Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 39—46.
K. *Sosnowski:* „Ohne Mitleid". Dziecko polskie w systemie hitlerowskim. Poznań 1962.
T. *Szymański:* Najmłodsi więźniowie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W: Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży 1939—1945. Warszawa 1969, s. 45 i nast.
Z. *Tokarz:* Dzieci w obozach hitlerowskich na ziemiach polskich w latach 1939—1945. W: Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem ludzkości i historii. Pod red. C. *Pilichowskiego*. Warszawa 1980, s. 563—579.
J. *Witkowski:* Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi. Przegl. Lek., 1968, nr 1, s. 73—81.
J. *Wnuk:* Dzieci Zamojszczyzny. W: Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży 1939—1945. Warszawa 1969, s. 54—65.
J. *Wnuk*, H. *Radomska-Strzemecka:* Dzieci polskie oskarżają. Warszawa 1961.
Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży polskiej 1939—1945. Praca zbiorowa. Warszawa 1969.
Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem ludzkości i historii. Pod redakcją Czesława *Pilichowskiego*. Warszawa 1980, PWN.

CZESŁAW KEMPISTY, ALICJA SZEMRAJ-LOCHYŃSKA — Wrocław

Miażdżyca w procesie starzenia się i umieralności byłych więźniów obozów hitlerowskich

WPROWADZENIE

Praca na temat podany w tytule jest tutaj przedstawiona w skrócie. Przed podaniem wyników — konieczne jest uwzględnienie uwag wprowadzających.

Od 20 lat otaczamy specjalistyczną opieką lekarską we Wrocławiu byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (oraz ich rodziny) mieszkających na Dolnym Śląsku. Dzięki tym badaniom zgromadzono obszerną dokumentację, która została dodatkowo wzbogacona spontanicznym zgłaszaniem się byłych więźniów z innych regionów naszego kraju, co pozwoliło między innymi na prowadzenie historii chorób osób przebywających w dzieciństwie w obozach [1]. Zebrany materiał pozwolił śledzić odległe następstwa pobytu w obozach oraz dokonywać okresowej analizy chorobowości i umieralności byłych więźniów [2].

Liczba żyjących w Polsce byłych więźniów obozów hitlerowskich jest różnie oceniana; niezależnie od tego stwierdzono, że hitlerowska polityka eksterminacyjna i jej następstwa spowodowały wysoki wskaźnik umieralności tych osób [3], znamienny w porównaniu ze wskaźnikami odnotowanymi w 14 krajach Europy (które brały udział w II wojnie światowej) oraz w Japonii i Kanadzie [4].

Z porównania mianowicie wynika, że w pierwszych latach powojennych zgony w polskim środowisku byłych więźniów były od ośmiu do dwudziestu razy wyższe od odnotowanych w przeciętnej społeczności w wymienionych krajach (też w podobnych grupach wieku), a za całe trzydziestopięciolecie powojenne — od trzech do pięciu. Wśród przyczyn zgonów w latach 1945—1955

[1] Ogólnopolskie badania „dzieci obozów koncentracyjnych" przeprowadzono we Wrocławiu w porozumieniu z Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.
[2] Wyniki tych badań publikowane były między innymi w Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim i w Biuletynie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.
[3] C. *Kempisty*, E. *Piotrowska*: Bilans strat i biologicznych następstw hitlerowskiej polityki eksterminacyjnej wobec narodu polskiego. Próba syntezy. Studia nad faszyzmem i zbrodniami hitlerowskimi. IV. Acta Universitatis Wrastislaviensis. Nr 424. Wrocław 1979, s. 193—214.
[4] C. *Kempisty*: Wpływ przebywania w hitlerowskich obozach koncentracyjnych na wzmożenie chorobowości i przyspieszenie miażdżycy. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. XIX. Wydawn. Pracownicze, Warszawa 1968, s. 246—287.

największą śmiertelność w zbiorowości byłych więźniów powodowała gruźlica płuc, natomiast w przekroju trzydziestopięciolecia — choroby układu krążenia. W tej grupie chorób najwięcej zgonów odnotowywaliśmy w wyniku powikłań w przebiegu miażdżycy tętnic wieńcowych, mózgowych oraz obwodowych kończyn dolnych (ryc. 1).

Już w latach 1963—1967 oceniając stan zdrowia byłych więźniów, zwracaliśmy uwagę na bardzo agresywny i niewspółmierny do wieku badanych charakter zmian miażdżycowych stwierdzany w tej społeczności w podstawowych obrazach klinicznych; daliśmy temu wyraz w pracy zamieszczonej w „Biuletynie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce" [5].

W dociekaniach nad etiopatogenezą miażdżycy, szybciej i niewspółmiernie do wieku postępującej wśród byłych więźniów, wykorzystane zostały obserwacje poczynione w obozie koncentracyjnym w Dachau [6]. Wykonano tam wówczas dziesięć tysięcy autopsji. Wyniki tych sekcji zwłok — ludzi najczęściej młodych (20—30-letnich) — wykonanych w nazistowskiej stacji badań lekarskich wykazały w ogromnej większości przypadków makroskopowo i histologicznie miażdżycę tętnic. Sekcji dokonano na zwłokach ludzi, którzy przez wiele lat, aż do śmierci nie spożyli ani grama tłuszczu zwierzęcego. Wyżywienie w obozie prawie wcale nie zawierało praktycznie białka zwierzęcego, lecz tylko roślinne. Składało się ono wyłącznie z węglowodanów, oczywiście bez cukru [8].

Co się tyczy używek, całymi latami więźniowie nie mieli możności wypicia kropli alkoholu i tylko nieliczni „prominenci" korzystali okresowo z palenia ograniczonej ilości tytoniu. W czasie sekcji zwłok więźniów, którzy przez kilka lat byli w obozie, ciężar ich ciała był o połowę mniejszy niż przed internowaniem (obserwowano — szczególnie w pierwszych miesiącach pobytu w obozie — spadek ciężaru ciała od 10 do 15 kg miesięcznie), stwierdzono daleko posunięte zmiany miażdżycowe [9] — zarówno w postaci złogów w błonie wewnętrznej tętnic, jak i w postaci zwapnień. Najsilniej zaznaczone zmiany znajdowano w naczyniach mózgowych, wieńcowych serca i w obrębie tętnic kończyn dolnych. Podobnych obserwacji dokonali lekarze belgijscy w obozach (*Lanny, Halshoffer, Uehlinger, Mollison*), lekarze getta warszawskiego (*Fiederbaum, Stein*) i inni w czasie wojny i bezpośrednio po wojnie [10].

Wśród doniesień powojennych na temat szkodliwego wpływu dystrofii i ujemnych przeżyć psychicznych na powstanie i rozwój miażdżycy tętnic należy zwrócić uwagę na stanowisko Zespołu Rzeczoznawców Zaopatrzenia Ofiar Wojny (Die Arteriosclerosis als Schädigungsfolge, Tag. d. ärzt. Fragen der Kriegsopferversorgung, Bonn-Duisdorf 1958). Zdaniem tego zespołu [11] analiza zapadalności na miażdżycę w Niemczech, Norwegii i Holandii wykazała jej duży spadek w okresie wojny. Obserwowano w tym czasie mniej komplikacji pod postacią zawałów i wylewów krwawych do mózgu, które wiązano z niedożywieniem. Podobnych obserwacji dokonał wymieniony zespół wśród źle żywionych jeńców wojennych. W społeczności tej klinicznie i anatomopatologicznie stwierdzono znaczny spadek miażdżycy i jej następstw.

Giese i *Schettler* [12] donieśli o ciężkich przypadkach miażdżycy wśród byłych jeńców wojennych wracających do domu, których poddano obserwacji klinicznej. Mimo przekonywających argumentów, przemawiających za ścisłym związkiem przyczynowym tych zmian z przebytą chorobą głodową, połączoną z licznymi ujemnymi przeżyciami, nie udało się przekonać urzędów i sądów ubezpieczeniowych o potrzebie zaopatrzenia emerytalnego tych osób.

Wśród powracających z niewoli niemieckich jeńców wojennych w latach 1946—1948 *Goetzmann* [13] stwierdził w 5,8% oznaki miażdżycy (2 — —3-letni pobyt w obozie), natomiast wśród powracających w latach 1953—1954 (7—8-letni pobyt w tych samych grupach wieku zaobserwowano już u 20%, w tym u 2,4% osób do roku pobyt) w tych samych grupach wieku zaobserwomózgu. Obserwacje poczynione w oblężonym Leningradzie [14] też odbiegają od doniesień z obozów koncentracyjnych. Zrozumiałe jest, że głód miał tam odmienny charakter. Dochodziło do niego stopniowo, w miarę jak podczas oblężenia miasta ubywało zapasów żywności.

W świetle przytoczonych tu zróżnicowanych poglądów wyłoniło się przekonanie o odmiennym charakterze głodu w obozach koncentracyjnych. Pełne licznych napięć emocjonalnych życie obozowe, ciągła walka o przetrwanie, wreszcie „okropny głód", doprowadzający wkrótce do znacznego wyniszczenia, miał niewątpliwie wpływ na niedobór aminokwasów zawierających siarkę [15], na odkładanie się cholesterolu w metabolicznie zmienionych naczyniach. Liczne obrażenia mózgu oraz urazy psychiczne doznawane podczas codziennej walki o życie doprowadzały do zaburzeń hemodynamiki mózgowej i równowagi korowonadnerczowej [16]. Stan ten doprowadzał do działania licznych czynników za pośrednictwem „nadnerczowego systemu alarmowego", uszczu-

[5] Zob. przypis 3, s. 199.
[6] Zob. prypis 4, s. 246—281.
[7] F. *Blahá*: W sprawie patogenezy miażdżycy tętnic. Przegl. Lek. 1964, nr 1, s. 65—70.
[8] H. *Münch*: Głód i czas przeżycia w obozie oświęcimskim. Przegl. Lek. 1967, nr 1, s. 79—88.
[9] C. G. *Gunn*: Neuropsychological factor in arteriosclerosis. Psychotropic drugs in internal medicine. Excerpta Medica Foundation. Amsterdam 1969, XXII, s. 13—24.
[10] J. *Jodłowski*: Badania anatomopatologiczne kilku przypadków zejść śmiertelnych w przebiegu choroby głodowej. Pamiętnik XIV zjazdu PTL, 26—27 IX 1947; R. *Köster*: Die Endangitis obliterans und ihre Problematic bei der Begutachtung. Münch. Med. Wochenschr. 1957, s. 1709.
[11] W. *Giese:* Die Dystrophie, Arbeit und Gesundheit, neue Folge. Stuttgart 1958, s. 65.
[12] Zob. przypis 11 oraz G. *Schettler*: Arteriosklerose. Stuttgart 1961, Georg Thieme Verlag, s. 510—519.
[13] P. *Oetzmann:* Erkrankungen des Kreislaufes. Disk.-Bemerk. Verh-Ber. ärztl. Sachverst. — Beirates d. Kriegsopfersorgung. Bonn 1956.
[14] Ärztenkonferenzen der Internationalen Föderation der Widerstandskämpfer (FIR). T. 1: 1954, T. II: 1957, s. 96—114.
[15] G. V. *Mann*: Journ. Ext. Med. 1953, s. 98. Zob. też: J. *Walewski*, Z. *Kaleta*: Miażdżyca. Warszawa 1966, PZWL, s. 65.
[16] K. *Gibiński*: Miażdżyca naczelnym problemem angiologii. Pol. Tyg. Lek. 1967, nr 33, s. 300. Zob. też: L. A. *Garlson*, L. *Orö*: Plasma lipids and urinari excretion of catecholamines in man during experimentally inducend emiotional stress. J. Clin. Invest. 1968, s. 47.

plając przez sumę stresów adrenalinowych ekwipunek enzymatyczny naczyń i przylepność ich śródbłonka [17].

Należy przyjąć, iż obserwacje poczynione w obozach nad rozwojem miażdżycy u osób często bardzo młodych tudzież powiązanie ich z okresem pobytu w obozie oraz stworzonymi tam nieludzkimi warunkami na pograniczu życia i śmierci wytrzymują w pewnym stopniu próbę czasu i w dużym stopniu są zbieżne z rozwijającymi się po wojnie badaniami nad epidemiologią miażdżycy [18], nad miażdżycą doświadczalną [19], biochemią i metabolizmem ściany naczyniowej [20] oraz nad diagnostyką i leczeniem [21].

Obecnie, trzydzieści sześć lat po wojnie — w świetle dosłownie tysięcy prac poświęconych patologii wojennej — nie ulega już wątpliwości, iż przeżycia obozowe pozostawiły po sobie trwały ślad. Zmiany te, nie zawsze uchwytne w pierwszych latach powojennych, mają charakter progresywny i z każdym rokiem ujawniają się, obniżając sprawność psychofizyczną badanych, przyśpieszają proces starzenia się oraz śmiertelność byłych więźniów. Szczególną rolę — jak już zaznaczono — odgrywa miażdżyca i jej powikłania, pochłaniające najwięcej ofiar.

Patogeneza miażdżycy nie jest w pełni wyjaśniona. Do najbardziej istotnych czynników zawartych w planie Światowej Organizacji Zdrowia badań nad miażdżycą (The International Artherosclerosis Project) zalicza się: zaburzenia gospodarki lipidowej, nadciśnienie tętnicze, otyłość, cukrzycę, palenie tytoniu, zmniejszoną aktywność fizyczną oraz stres. Postanowiliśmy prześledzić kształtowanie się tych czynników na przestrzeni 20 lat u byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych — u tych osób, które zmarły w tym okresie z powodu powikłań w przebiegu miażdżycy. Interesowało nas, jaki jest udział tych czynników w mechanizmie powstawania i rozwoju miażdżycy w tej społeczności w okresie powojennym, a jaki samej przeszłości obozowej, w szczególności rozległych zmian ogólnoustrojowych wywołanych między innymi przebytą chorobą głodową.

MATERIAŁ I METODA

Badaniem i obserwacją w okresie lat 1961—1980 objęto 500-osobową grupę byłych więźniów obozów oraz analogiczną pod względem liczby i pewnych podstawowych cech (wiek, płeć, podobny zawód) grupę osób, które nie były w obozach. Od razu zastrzegamy, że porównanie z niewięźniami ma względnie orientacyjny charakter. U progu roku 1961 zarówno byli więźniowie — grupa A (wylosowani metodą „liczb żelaznych" wg H. *Steinhausa* z 4280-osobowej zbiorowości byłych więźniów) — jak i B (wylosowana z 7830-osobowej społeczności mieszkańców Wrocławia) byli w przedziale wieku od 31 do 41 lat, a z chwilą zakończenia badań (ci, co przeżyli minione 20-lecie) osiągnęli wiek od 50 do 61 lat. Przeciętny pobyt badanych w obozie wahał się od 16 do 20 miesięcy; mediana pobytu wynosiła 2 lata i 8 miesięcy. Pod względem struktury społecznej badani składali się w 67,8% z inteligentów, a w 23,2% z robotników i chłopów. Zbierany w ciągu 20 lat materiał był co pięć lat analizowany i, jak zaznaczono, wyniki publikowano.

Okresowo na podstawie badań profilaktycznych określano:

— poziom cholesterolu oraz stężenie lipidów i lipoprotein beta w surowicy krwi,

— przygodne ciśnienie tętnicze,

— ciężar ciała.

Ponadto zbierano:

— informacje na temat nałogu palenia w czasie poprzedzającym każdorazowe badanie,

— określono stopień aktywności fizycznej w pracy według zasad przyjętych dla celów badań międzynarodowej prewencji choroby wieńcowej [22],

— informacje na temat stresów.

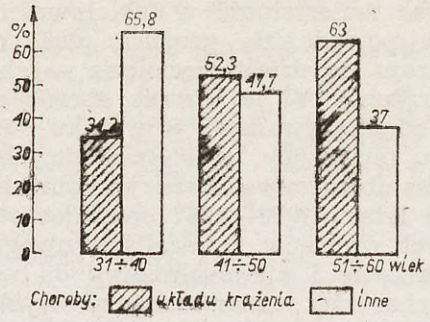

Ryc. 1. Odsetkowy udział zgonów z powodu chorób układu krążenia w środowisku byłych więźniów obozów koncentracyjnych w latach 1961—1980.

WYNIKI BADAŃ

W okresie badań, tj. w latach, jak już zaznaczono, 1961—1980, z 500-osobowej grupy byłych więźniów zmarły 272 osoby, tj. 54,4%, a w próbce populacji niewięźniów odnotowaliśmy zgon 78 osób, tj. 15,4% (ryc. 2). W latach sześćdziesiątych zgony w badanej zbiorowości byłych więźniów były od sześciu do trzech razy częstsze, a w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych od czterech do dwóch razy. Jak już zaznaczono (ryc. 1), wśród przyczyn zgonów dominowały choroby układu krążenia.

[17] G. *Schettler:* Arteriosklerose. Ätiologie, Pathologie, Klinik und Therapie. Stuttgart 1961, Georg Thieme Verlag, s. 111—162.

[18] H. C. *Mc Gill*, jun. (red.): Geographic pathology of artherosclerosis. Baltimore, Md., 1968, Williams and Wilkins. Zob. też: Inter-Society Commission for Heart Disease Resources. Atherosclerosis Diseases; Circulation 1970, A 55, s. 42.

[19] J. D. *Stamler*, M. *Berkson*, H. A. *Lindberg:* Risk. factors. Their role in the etiology and pathogenesis of the artherosclerotic diseases. Baltimore Md., 1979, Waverly Press.

[20] A. *Żmuda*, A. *Dembińska-Kieć*, A. *Chyłkowski*, R. J. *Gryglewski*: Experimental atherosclerosis in rabbits platelets aggregation, thromboxane A2 generation and anti-aggregatory potency of prostacyclin. Prostaglandins 1977, nr 14, s. 1035.

[21] Zob. przypis 16. Zob. też: F. *Kulba*: Arteriosklerose und Krieg. Münch er Med. Wochenschr. 1957, nr 20, s. 47.

[22] S. *Rywik*, J. *Korewicki*, W. *Mikołajczyk*, W. *Szostak*, S. *Bień*, A. *Korsak*, A. *Ostrzycki*, J. *Sznajd*. Z. *Szybiński*, A. *Szczeklik*, J. *Pach*, M. *Magdoń*, L. *Mellibruda:* Założenia metodyczne „eksperymentu polskiego" pierwotnej prewencji choroby wieńcowej. Przegl. Lek., 1975, t. 32, s. 510.

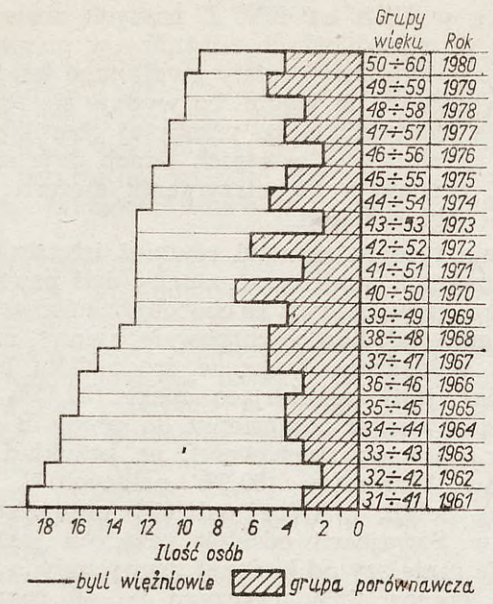

Ryc. 2. Zgony w badanej zbiorowości 1000 osób o podobnej strukturze wieku (500 byłych więźniów i 500 niewięźniów) w latach 1961—1980.

Wśród notowanych wielokrotnie czynników zagrożenia miażdżycą interesująco przedstawiają się średnie wartości poziomu stężenia cholesterolu, lipidów całkowitych i lipoprotein beta u badanych byłych więźniów w okresie poprzedzającym zgony. Wśród 272 osób grupy A tylko u 32 osób badany kilkakrotnie poziom cholesterolu przekroczył wartość graniczną 260 mg%. W grupie niewięźniów o podwyższonym poziomie stężenia cholesterolu w surowicy krwi było 50 osób, tj. 18,38%. Prawidłowe stężenie lipoprotein beta (górna granica 430 ± 14,3 mg) odnotowaliśmy u 178 osób grupy A (tj. 65,44%) i u 157 osób grupy B (tj. 57,7%). Podobnie u większego odsetka byłych więźniów odnotowaliśmy prawidłowe wartości zachowania się lipidów całkowitych.

Analiza drugiego, równie istotnego czynnika zagrożenia miażdżycą, tj. nadciśnienia tętniczego, wykazała jego obecność — skurczowego u 14,7% byłych więźniów w granicach 160—199 mm Hg i u 5,5% tej grupy powyżej 200 mm Hg. Odpowiednio w grupie niewięźniów u 20,2% badanych odnotowaliśmy ciśnienie skurczowe w granicach 160—199 mm Hg, a u 9,2% — powyżej 200 mm Hg.

Nadciśnienie rozkurczowe wykazano u 22,06% osób grupy A (95—114 mm Hg) i u 7,35% tej zbiorowości powyżej 115 mm Hg. W grupie B ciśnienie rozkurczowe w granicach 95—114 mm Hg odnotowano u 23,10% badanych, a powyżej 115 mm Hg u 11,40% osób.

Ogółem nadciśnienie występowało u 23,28% badanych grupy A i u 26,40% badanych grupy B. Średnie wartości ciśnienia oraz odsetki nadciśnienia wzrastały nieznacznie z wiekiem. Różnice średnich wartości ciśnienia skurczowego i rozkurczowego między najstarszą grupą byłych więźniów, 46—60-letnich, i najmłodszą, 31—45-letnich były statystycznie istotne ($p<0,05$).

Średni ciężar ciała badanych w obu grupach wynosił 70,9 ± 9,3 kg, a wzrost 170,5 ± 6,5 cm. Nieznaczną nadwagę stwierdzono u 41,9% byłych więźniów i u 42,6% niewięźniów. Powyżej 15% nadwagi miało 12,5% z grupy A i aż 22,2% z grupy B. Częstość występowania nadwagi rosła wraz z wiekiem badanych, a różnice występujące między najmłodszą a najstarszą grupą w obu zbiorowościach badanych były statystycznie istotne.

W zbadanej grupie byłych więźniów w okresie poprzedzającym zgon nie paliło papierosów 171 osób, tj. 62,87% badanych, do 10 papierosów dziennie 12,87%, powyżej 10 — 19,12%, a ponad 20 papierosów 14 osób, tj. 5,15%. W grupie porównawczej palaczy było znacznie więcej: do 10 papierosów dziennie paliło 14,34%, powyżej 10 paliło 42,28%, a powyżej 20 — 10,66% osób. Nawyk palenia był wyraźnie związany z wiekiem badanych. W najstarszej grupie — zarówno byłych więźniów, jak i w grupie niewięźniów — stwierdzono istotnie ($p<0,05$) niższe odsetki aktualnych palaczy (grupa A — 15,2%, grupa B — 35,1%).

Małą aktywność fizyczną w pracy stwierdzono u 32,1% byłych więźniów i u 37,2% w grupie niewięźniów. Tylko 20,0% byłych więźniów i 26,8% osób z grupy porównawczej spędzało przynajmniej 50% czasu przy pracy wymagającej dużego wysiłku fizycznego. Odsetki osób mało aktywnych wykazywały w obu grupach nieistotną tendencję ($p>0,05$) wzrostową w wieku 50—60 lat.

Zaburzenia gospodarki węglowodanowej wystąpiły u 32 osób spośród byłych więźniów (11,76%), w tym cukrzycę jawną odnotowaliśmy u 14 osób (5,15%) oraz utajoną u 18 osób (6,6%). W grupie porównawczej cukrzycę jawną stwierdziliśmy u 21 osób (7,7%), a utajoną tylko u 9 osób (3,3%).

Śledząc bogatą literaturę traktującą o KZ-syndromie w minionym dwudziestoleciu w społeczności byłych więźniów, kreśliliśmy obraz i sposób przystosowania się byłych więźniów do życia. Pisaliśmy między innymi: „Rodziny byłych więźniów cechuje swoiste piętno przeszłości obozowej, na które składa się ograniczona wydolność psychofizyczna badanych..." [23] Obecna analiza zebranego materiału wykazała, iż byli więźniowie w minionym okresie podlegali licznym ujemnym napięciom emocjonalnym. Wśród dystresów zarejestrowaliśmy: konflikty w pracy i rodzinie (między innymi wskutek konfliktów w pracy 18 osób zmieniało od 20 do 27 razy w badanym dwudziestoleciu miejsce zatrudnienia), tragiczne utraty członka rodziny, konflikty z prawem, udział w wypadkach połączonych ze wstrząsem mózgu, próby samobójcze itp. Podobne stresory o skrajnie niepryjemnym zabarwieniu notowaliśmy w grupie niewięźniów.

W społeczności 272 byłych więźniów aż 152 zostało poddanych w badanym okresie licznym wstrząsom emocjonalnym. W grupie odniesienia ujemnych przeżyć odnotowaliśmy około czterokrotnie mniej (szczególnie konfliktów), które oscylowały w kierunku sfery patologii życia indywidualnego, grupowego, rodzinnego. W środowisku byłych więźniów dotyczyły szerszych kręgów: wkraczały w sferę patologii społecznej i były powiązane z dużym poczuciem bezowocności działania, z poglądem, iż nie można liczyć (jak zdarzało się to nieraz w obozie) na współtowarzyszy w zakresie psychicznego i społecznego poparcia.

[23] C. *Kempisty*: wyniki socjo-medycznych badań potomstwa byłych więźniów obozów hitlerowskich. Przegl. Lek. 1973, nr 1, s. 12 i nast.

OMÓWIENIE

Długoterminowe badania, prowadzone przez 20 lat we wrocławskim i dolnośląskim środowisku byłych więźniów, wykazały jednoznacznie, iż poziom głównych sześciu czynników zagrożenia miażdżycą, przyjętych powszechnie w myśl zaleceń WHO, między innymi w zakresie prewencji choroby wieńcowej, jest znacznie niższy niż w grupie porównawczej przeciętnej polskiej zbiorowości.

Pierwszy z badanych w tym opracowaniu czynnik — to poziom cholesterolu; jego średnia wartość dla całej grupy byłych więźniów 213,68 mg % jest niższa od średniej w grupie niewięźniów wynoszącej 219,44 mg %, od odnotowanych u mężczyzn po 40 roku życia w Belgii (235 mg %) [24], USA (240 mg %)[25], w Szwecji (246 mg %)[26], Szwajcarii (240 mg %)[27] czy Finlandii (280 mg %)[28]. Podobne niższe wartości odnotowaliśmy w zakresie stężenia lipidów i lipoprotein beta w grupie podstawowej.

Nadciśnienie tętnicze — drugi czynnik zagrożenia — wykazał w grupie byłych więźniów również niższe wartości: ciśnienie skurczowe w tej zbiorowości, wahające się w granicach (przeciętnie) 130—145 mm Hg, jest niższe od odnotowanego w grupie niewięźniów (135—148) i jest podobne do wartości przeciętnych odnotowanych w społeczności warszawskiej[29] (135 mm Hg), obserwowanej w USA (127—143 mm Hg)[30], Belgii (135—143 mm Hg)[31], Szwecji (138 mm Hg)[32], Szwajcarii (130—146 mm Hg)[33].

Kolejnym analizowanym czynnikiem zagrożenia wśród byłych więźniów była otyłość, zdefiniowana jako stopień nadwagi. U byłych więźniów tylko 12,5% osób cechowała nadwaga; w grupie niewięźniów 22,2%. W społeczności Warszawy odsetek osób z nadwagą wynosił wśród mężczyzn po 40 roku życia 20% [34]. Warto zwrócić uwagę, iż w Moskwie odsetek ten kształtował się w granicach 20—23%, w Szwajcarii 20% [35], w Berlinie 20% [36], a w USA aż 45%. Z naszych obserwacji wynika, iż wśród byłych więźniów w pierwszych latach powojennych istniały gwałtowne tendencje do przybierania na wadze, co wydaje się psychologicznie uzasadnione po przebytej chorobie głodowej, natomiast w ostatnich latach daje się zauważyć tendencja do utrzymania ciężaru ciała, a nawet jego redukcji.

Palenie tytoniu stanowi również istotny czynnik zagrożenia miażdżycą, uznany dziś powszechnie jako czynnik ryzyka choroby wieńcowej. Nałóg palenia, tak bardzo rozpowszechniony, między innymi w naszym kraju, w środowisku byłych więźniów jest zaskakująco niski (37,13% palących), zarówno w odniesieniu do grupy B (67,28 %), jak i innych zbiorowości, na przykład mieszkańców Warszawy (60,0% palących) [37], USA (50,0 %), Belgii, w której pali 65% mężczyzn. Jedynie w Szwajcarii odsetek palących jest nieznacznie mniejszy od badanej grupy byłych więźniów i wynosi 35% mężczyzn po 40 roku życia [38].

Następnym rozpatrywanym czynnikiem była aktywność fizyczna. Mała aktywność w pracy cechowała 32,1% grupę byłych więźniów spośród 272 osób analizowanej społeczności, nieco niższa od odnotowanej w grupie B, w której wynosiła 26,8%. Z badań opartych na podobnych kryteriach oceny aktywności, prowadzonych w Polsce w ramach „eksperymentu polskiego" dotyczącego prewencji choroby wieńcowej, wykazano zbliżony odsetek osób aktywnych fizycznie, tj. 35% badanych [39].

Cukrzyca, przyjęta jako czynnik ryzyka choroby wieńcowej, pogłębiająca zmiany miażdżycowe, ujawniona została u 11,76% byłych więźniów i o podobnym nasileniu, tj. 11,02% w grupie odniesienia. Uzyskane dane są nieco wyższe od wyników uzyskanych w badaniach autorów krajowych [40] i zagranicznych [41].

Ostatnim czynnikiem, najtrudniejszym do zdefiniowania i oceny, był stres, jego nadmierne nasilenie od momentu, w którym staje się dystresem [42]. Nie dysponując skalą ludzkich napięć emocjonalnych, przydatną w badaniach epidemiologicznych, przyjęliśmy arbitralnie ustalone kryteria notowania tego wszystkiego, co narażało naszych badanych na długotrwałe, niezwykłe trudy i cierpienia. Badania wykazały, iż niezależnie od przeżyć w obozie (wyłączyliśmy ten okres z badań dla celów porównawczych) byli więźniowie około czterokrotnie częściej narażani byli na działanie różnorodnych i długotrwałych stresów.

---

[24] M. *Kotnitzer*, N. *Dramaix*, De G. *Backer*, C. *Thilly*: Cholesterolemia and psycho-social-biological variables. Heart Bulletin, 1977, s. 147.

[25] J. *Stamler*: Lifestyles, major risk factors, proof and public policy. Circulation, 1978, t. 3, s. 58.

[26] L. *Wilhelmsen*, H. *Wedel*, G. *Tibblin*: Multivariate analysis of risk factor for coronary heart disease. Circulation, 1973, t. 48, s. 950.

[27] M. *Escher*, S. *Heyden*, S. *Christeller*, J. P. *Gasser*, H. *Keller*, L. *Ramsler*, U. *Geel*: Hypertonie, Nikotinabusus, Hypercholesterinamie und Übergewicht bei Schweizer Mannern, 1973. Schweiz. Mediz. Wochenschr. 1974, nr 104, s. 1423.

[28] *Aaroma* A., F. *Björksten*, A. *Ericsson*, A. W. *Matela*, M. *Kirjarinto*, J. *Fellman*, N. *Tamminen*: Serum cholesterol and trigliceride concentrations of Finns and Finnish. Laps. Acta Med. Scand. I, 1975, nr 198, s. 13—23.

[29] J. *Charzewska*, S. *Rywik*, E. *Chabros*, H. *Wągrowska*, E. *Chodkowska*: Eksperyment polski dotyczący prewencji choroby wieńcowej. Kardiol. Pol., 1980, t. XXIII, nr 3, s. 188—191.

[30] R. *Stamler*, J. *Stamler*, W. F. *Riedlinger*, G. *Algera*, R. H. *Roberts*: Weight and blood pressure. Findings in hypertension screening of 1 million Americans. JAMA, 1978, nr 240, s. 1607.

[31] G. *de Backer*, L. *Ramioul*, M. *Kotnitzer*, C. *Thilly*: Epidemiology of arterial blood pressure in an industrial population. Heart Bulletin, 1978, t. II, s. 14.

[32] Cyt. wg przyp. 26.

[33] Cyt. wg przyp. 27.

[34] Cyt. wg przyp. 29.

[35] Cyt. wg przyp. 29.

[36] G. *Schettler:* Risk factor of coronary heart disease. West German data. Prev. Med. 1976, nr 5, s. 216—225.

[37] Cyt. wg przyp. 29. Zob. też: D. D. *Reid*, P. J. S. *Hamilton*, P. *Mc Cartney*, G. *Rose*, R. J. *Jarrett*, H. *Keen:* Smoking and ather risk factors for coronary heart-disease in British civil servents. Lancet II, 1976, s. 979—984.

[38] Cyt wg przyp. 27.

[39] Cyt. wg przyp. 29.

[40] W. *Piwowarska*, D. *Mroczek-Czarnecka*, M. *Śnieżek:* Czynniki zagrożenia miażdżycą u młodych mężczyzn z zawałem mięśnia sercowego. Kardiol. Pol., 1980, t. XXIII, nr 4, s. 220—222.

[41] P. R. J. *Burch:* Coronary heart disease. Risk factors and ageing. Gerontology, 1978, nr 24, s. 139—140.

[42] H. *Selye:* Stress okiełznany. Warszawa 1978, PIW s. 29—37.

WNIOSKI

1. Odnotowane w latach 1945—1980 wskaźniki umieralności byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych przekraczają kilkakrotnie analogiczne wskaźniki w podobnych grupach wieku w przeciętnej polskiej społeczności oraz w 14 krajach zaangażowanych w drugiej wojnie światowej.

2. Najczęstszą przyczyną zgonów w społeczności byłych więźniów w przekroju powojennego trzydziestopięciolecia były choroby układu krążenia oraz szybciej i niewspółmiernie do wieku postępująca miażdżyca tętnic i jej powikłania.

3. Wśród zmarłych w latach 1961—1980 272 spośród 500 byłych więźniów poddanych długoterminowym badaniom tylko jeden czynnik zagrożenia miażdżycą — dystres — przekraczał około czterech razy odnotowany w grupie niewięźniów.

4. Poziom badanych wielokrotnie sześciu czynników zagrożenia miażdżycą (cholesterolu powyżej 200 mg %, cukrzycy, palenia tytoniu, aktywności fizycznej, nadciśnienia tętniczego, stopnia nadwagi) wśród 272 byłych więźniów w okresie poprzedzającym ich zgony, spowodowane w znacznym odsetku (w najmłodszej grupie wiekowej lat 31—45 około 50 %) powikłaniami w przebiegu miażdżycy tętnic, był niższy od odnotowanego w grupie niewięźniów i w kilku zbiorowościach Europy i USA.

5. Mniejsze rozpowszechnienie hipercholesterolemii, przygodnego nadciśnienia, otyłości i cukrzycy oraz palenia tytoniu i hipokinetycznego trybu życia wśród byłych więźniów sugeruje, iż w tej społeczności znaczenie wymienionych czynników ryzyka może być odmienne niż w innych środowiskach.

6. Należy sądzić, iż na rozwój miażdżycy u byłych więźniów — na jej szczególnie złośliwy charakter — miał wpływ okres pobytu w obozie, okres, w którym wskutek daleko posuniętych zmian ogólnoustrojowych (choroby głodowej) przestały działać mechanizmy obronne, a wśród nich system obronny śródbłonka tętnic. Zaistniały w obozie duży defekt biologiczny w metabolizmie ściany naczyniowej mógł sprzyjać rozwojowi zmian miażdżycowych w okresie powojennym nawet przy niskich, analizowanych tu wskaźnikach czynników zagrożenia miażdżycą. Oczywiście są to rozważania teoretyczne, które należy traktować jako założenia hipotetyczne do dalszych badań.

Grupa kombatantów francuskich zwiedza 23 czerwca 1981 r. tereny byłego obozu oświęcimskiego; w tyle słynna ściana śmierci; zwiedzający opuszczają dziedziniec osławionego bloku nr 11 (fot J. *Mostowik;* zdjęcie otrzymane z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

ANDRZEJ PANKOWICZ

Kraków

Narodowosocjalistyczne przemiany medycyny niemieckiej

W dotychczas podejmowanych badaniach nad historią medycyny niemieckiej w III Rzeszy przeważała tendencja do podejmowania studiów w zakresie kryminalnych i etyczno-moralnych aspektów tego zagadnienia [1]. Nie umniejszając znaczenia prac tego rodzaju, pozwalających ukazać pracę lekarzy w warunkach państwa totalitarnego, niszczącego autonomię jednostki i jej człowieczeństwo, trzeba stwierdzić, że tak sformułowany kierunek badań pozostawiał na uboczu problem mechanizmów i struktur składających się na kształt służby zdrowia w III Rzeszy. Zmiany zachodzące w organizacji niemieckiej służby zdrowia po r. 1933 stanowią klucz do zrozumienia wielu negatywnych zjawisk, tak charakterystycznych dla medycyny, która przysięgę *Hipokratesa* zastąpiła nową, narodowosocjalistyczną etyką lekarską. Decydujące znaczenie dla kształtowania nowego oblicza świata lekarskiego miały zmiany zachodzące we władzach naczelnych instytucji i organizacji odpowiedzialnych za działalność cywilnej i wojskowej służby zdrowia w Rzeszy i w krajach okupowanych.

Obowiązujący w Niemczech do 1933 roku system lecznictwa narodził się już w okresie II Rzeszy. W r. 1873 powstaje Związek Lekarzy Niemieckich (*Deutscher Ärztevereinsbund*), utworzony na podłożu dotychczas istniejących, mniejszych organizacji działających w poszczególnych państwach niemieckich. Związek wyróżniał się demokratycznym charakterem, a swym zainteresowaniem obejmował wszystkie sprawy dotyczące zdrowia i higieny społeczeństwa, w tym również problemy związane z opieką nad osobami z przewlekłymi bądź nieuleczalnymi chorobami tak fizycznymi, jak i psychicznymi. W r. 1881 wchodzi w życie ustawa wprowadzającą system ubezpieczeń społecznych gwarantujący opiekę lekarską znacznej części społeczeństwa niemieckiego. W tym okresie lekarze utworzyli tzw. Stowarzyszenie *Hartmanna (Hartmann-Bund)*, będące dobrowolną organizacją stwarzającą sobie za cel obronę interesów ekonomicznych świata lekarskiego. Sporo uwagi poświęcano zagadnieniom etyki lekarskiej, czego wyrazem było m. in. powołanie do życia komisji badających ewentualne uchybienia w tym zakresie. [2]

Niezależnie od systemu samorządowego istniała Niemiecka Izba Lekarska, będąca wyrazicielem stanowiska rządu Rzeszy we wszystkich kwestiach z zakresu lecznictwa. Mimo półoficjalnego charakteru Izby władze jej były wybierane na drodze demokratycznych wyborów, podobnie jak w innych organizacjach i stowarzyszeniach świata lekarskiego. Obraz nie byłby pełny, gdyby nie wspomnieć o sporej liczbie towarzystw prowadzących działalność naukową, popularyzatorską i samokształceniową, dysponujących własnymi organami prasowymi, a także rozgałęzionymi kontaktami z podobnymi organizacjami w innych krajach. To dzięki nim szeroki ogół lekarzy niemieckich zyskiwał dość obszerną i wyczerpującą informację w zakresie problemów nurtujących środowisko służby zdrowia. [3]

Pieczę nad przygotowaniem i pracą kadr medycznych sprawowało Ministerstwo Szkolnictwa oraz Urząd Rzeszy ds. Zdrowia (*Reichsgesundheitsamt*) przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy. Uniwersyteckie studia medyczne miały przebieg zbliżony do modelu przyjętego w większości krajów europejskich i trwały 5—6 lat. Po opuszczeniu murów uczelni student odbywał roczny staż we wskazanym szpitalu czy klinice, po zaliczeniu którego mógł rozpocząć praktykę lekarską. Na to, by leczyć pacjentów w ubezpieczalni, lekarz musiał posiadać co najmniej dwuletnią praktykę. Uwieńczeniem studiów każdego lekarza było uzyskanie stopnia doktora nauk medycznych na którymś z uniwersytetów europejskich. [4]

Po przejęciu władzy przez hitlerowców wzrosło znaczenie założonego w 1929 r. Narodowosocjalistycznego Związku Lekarzy (*Nationalsozialistischer Ärztebund*). Duszą tej organizacji był dr Leonardo *Conti*, człowiek całkowicie oddany sprawie narodowego socjalizmu od 18 roku życia, czynnie uczestniczący w akcjach antysemickich. [5]

[1] M. in. F. *Bayle:* Croix gammée contre caducée. Les expériences humaines en Allemagne pendant la deuxième guerre mondiale. Neustadt (Palatinat) 1950; Wyrok wraz z uzasadnieniem Amerykańskiego Trybunału Wojskowego Nr 1 w Norymberdze w procesie lekarzy hitlerowskich z dnia 19—20 VIII 1947 r. Wstępy: J. *Bogusz* i W. *Wolter*. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, 1970, t. XX, s. 13—187; A. *Mitscherlich*, F. *Mielke:* Nieludzka medycyna. Warszawa 1963; nadto niżej cytowane (por. przypisy 5 i 16) prace Y. *Ternona* i S. *Helmana*.

[2] Trials of war criminals before Nuremberg Military Tribunals. Washington 1951 (dalej TWC), t. I: The medical case. Przemówienie wstępne prokuratora gen. Telforda *Taylora* z 9 XII 1946 r., s. 56.

[3] Tamże, s. 56.

[4] Tamże, s. 57.

[5] Y. *Ternon*, S. *Helman:* Eksterminacja chorych psychicznie w III Rzeszy. Warszawa 1974, s. 355.

1 kwietnia 1933 roku członkowie Związku w oparciu o specjalnie przygotowane listy adresowe wtargnęli we wczesnych godzinach rannych do mieszkań lekarzy o poglądach lewicowych bądź pochodzenia żydowskiego. Zostali oni aresztowani i osadzeni po pewnym czasie w więzieniu *SA* na Hedemannstrasse w Berlinie. Zanim pojmani lekarze dotarli do bramy więzienia, musieli przejść różne szykany, bicie, forsowne „ćwiczenia fizyczne" dla osób chorych i starców i inne formy znęcania się, służące pozbawieniu ich sił fizycznych i duchowych. [6]

Dzień 1 kwietnia zapoczątkował proces przekazywania kontroli nad medycyną niemiecką nazistom. Lekarzy o przekonaniach socjalistycznych, komunistycznych bądź Żydów usunięto z publicznej służby zdrowia. Ponadto Żydzi wykluczeni zostali ze wszystkich organizacji zawodowych i towarzystw naukowych w Rzeszy. W początkowym okresie zarządzenia te nie dotyczyły weteranów I wojny światowej. Po wybuchu wojny w 1939 r. lekarze pochodzenia żydowskiego zostali pozbawieni uprawnień zawodowych i sprowadzeni do roli pomocniczego personelu medycznego. Gwiazda Dawida umieszczana na receptach narażała pacjentów tych lekarzy na przeróżne szykany w aptekach i placówkach służby zdrowia. Stale wywierano nacisk na lekarzy niemieckich „aryjczyków", by nie podejmowali się leczenia Żydów. Tylko nieliczni lekarze nie-Żydzi mieli odwagę przeciwstawić się ustawom norymberskim i przyjąć chorego Żyda. Tworzone specjalnie dla nich oddziały szpitalne nie tyle służyły celom leczniczym, co eksterminacyjnym. Ukoronowaniem polityki *Contiego* było objęcie w lecie 1943 roku ograniczeniem wykonywania zawodu lekarza cudzoziemców i tzw. „mieszańców", aby w rok później uczynić z nich robotników pracujących na rzecz przemysłu wojennego III Rzeszy. [7]

Po przejęciu władzy przez hitlerowców pion służby zdrowia w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych otrzymał nowego dyrektora w osobie dr. Artura *Guetta*. Program, jaki przyjęto, zakładał eliminację miłości bliźniego w stosunku do osób niepełnowartościowych rasowo lub tzw. aspołecznych poprzez tworzenie nowej nazistowskiej etyki. Zakładano, że państwo narodowosocjalistyczne otacza opieką tę część społeczeństwa, która nie jest obciążona chorobami dziedzicznymi i daje gwarancje zachowania substancji narodu „zdrowej i czystej rasowo".

W latach 1933—1936 Artur *Guett* przeprowadził daleko idące zmiany w służbie zdrowia, zmierzające do przyśpieszenia nazifikacji tej dziedziny życia społecznego. Było to tym ważniejsze, że nie kto inny, jak właśnie lekarze mieli przekładać teorie nazistowskie na język medycyny. Wszyscy lekarze zatrudnieni na posadach państwowych przechodzili 18-miesięczny kurs mający na celu wyjaśnienie im nowych zadań stojących przed służbą zdrowia, a także nakłonienie kursistów do wstępowania w szeregi partii nazistowskiej. Nowym przewodniczącym Niemieckiego Czerwonego Krzyża został również hitlerowiec, prof. dr *Grawitz*. Po rozwiązaniu dotąd istniejących organizacji lekarskich wszyscy praktykujący lekarze musieli być członkami Narodowej Izby Lekarskiej, której pracami kierował dr *Conti* jako *Reichsärzteführer*. Jedynie lekarze w mundurach nie byli mu podporządkowani. Wszystkie stanowiska kierownicze obejmowali głównie członkowie *NSDAP*, z reguły byli działacze Narodowosocjalistycznego Związku Lekarzy. Podstawowym zadaniem kadry kierowniczej, wybranej według kryteriów politycznych, a nie zawodowych, było umacnianie wpływów *NSDAP* oraz *SA* i *SS* we wszystkich jednostkach organizacyjnych służby zdrowia. [8]

Młodzi adepci sztuki lekarskiej byli indoktrynowani w tzw. szkole lekarzy niemieckich *führera* w Altrehse w Meklemburgii. Twórcą szkoły był Kurt *Blome* i dzięki jego staraniom kursy te szybko nabrały obligatoryjnego charakteru. Faktyczny przymus aktywnego uczestnictwa młodych lekarzy w życiu partii nazistowskiej i innych organizacji niemal uniemożliwiał im podnoszenie kwalifikacji i nie skłaniał do podejmowania badań naukowych. Formalnie program studiów medycznych po 1933 roku nie uległ poważniejszym zmianom. Praktyka znacznie jednak odbiegała od obrazu, który wyłania się z programów medycznych studiów uniwersyteckich w Rzeszy. Kandydaci na studia musieli wykazać się „aryjskim" pochodzeniem i przynależnością do Narodowosocjalistycznej Ligi Studentów. Brak wiedzy z zakresu teorii rasistowskich i ustaw norymberskich mógł być poważną przeszkodą w pomyślnym ukończeniu studiów. Profesorowie i docenci powołani na te stanowiska po 1933 roku nie zawsze potrafili godzić obowiązki polityczne i naukowe bez szkody dla tych ostatnich. Potencjalnym zagrożeniem dla rozwoju nauk medycznych w Rzeszy była uległość znacznej części grona profesorskiego wobec czołowych osobistości Niemiec nazistowskich. [9]

Nowa sytuacja szczególnie dotkliwie odbiła się na losach psychiatrii niemieckiej. Wyraźne obniżenie poziomu studiów uniwersyteckich w tym zakresie wraz z procesem indoktrynacji politycznej uczyniły z wielu adeptów sztuki medycznej realizatorów polityki eksterminacji ludzi psychicznie chorych w imię zdrowia przyszłych pokoleń narodu niemieckiego. W leczeniu rezygnowano z szeregu dotąd stosowanych nowoczesnych metod terapeutycznych bądź też ograniczano ich stosowanie. [10]

Po wybuchu drugiej wojny światowej cywilna służba zdrowia pozostawała w cieniu wojskowej, a przede wszystkim stale rozbudowujących się instytucji i organizacji medycznych *SS*. Przyśpieszone w warunkach kraju prowadzącego wojnę totalną procesy militaryzacji i nazifikacji służby zdrowia zmusiły rząd Rzeszy do podjęcia całego szeregu kroków ujednolicających system zarządzania niemiecką służbą zdrowia. Dekretem *führera* z 28 lipca 1942 r. prof. Zygfryd *Handloser*, kierujący dotąd pracami wojskowej służby zdrowia jako inspektor Wojskowej Służby Medycznej (*Heeressanitätinspekteur*), otrzymał stanowisko szefa Służby Medycznej Sił Zbrojnych (*Chef des Wehrmachtsanitätswesens*). Do zadań

[6] TWC, t. I, s. 57.
[7] Tamże, s. 58.
[8] Tamże, s. 59—60.
[9] Tamże, s. 60.
[10] Szerzej patrz: Y. *Ternon*, S. *Helman:* Eksterminacja..., s. 39—220.

jego należało koordynowanie pracy służb medycznych rodzajów sił zbrojnych, *Waffen SS*, a także wszystkich organizacji i jednostek podporządkowanych dowództwu *Wehrmachtu*. Jako przedstawiciel lekarzy w mundurach był *Handloser* upoważniony do reprezentowania sił zbrojnych wobec władz cywilnych Rzeszy we wszystkich kwestiach związanych z pracą służby zdrowia i badaniami w zakresie nauk medycznych. Sprawami służby medycznej *Waffen SS* miał kierować w porozumieniu z inspektorem medycznym *Waffen SS*. Na czele cywilnej służby zdrowia stał dr Leonardo *Conti*, pełniący funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i odpowiedzialny za sprawy opieki zdrowotnej. Dekret lipcowy wyjątkową pozycję w niemieckim systemie służby zdrowia przyznawał pełnomocnikowi do spraw Zdrowia i Służb Medycznych, Karlowi *Brandtowi*, do zadań którego należało realizowanie planów *führera* w sprawach służby zdrowia, koordynacja zadań w tym zakresie, a także bieżące informowanie *Hitlera* o pracach poszczególnych pionów opieki zdrowotnej w Rzeszy. [11]

5 września 1943 r. zwierzchnictwo prof. dr Karla *Brandta* rozciągnięte zostało na placówki naukowo-badawcze oraz wszelkie zakłady przemysłowe związane z produkcją lekarstw, narzędzi i środków opatrunkowych, a także instytucji zajmujących się ich dystrybucją. [12]

Dalszy etap umacniania pozycji *Brandta* w niemieckiej służbie zdrowia, a zarazem osobistego wpływu *führera* i czołowych prominentów partii nazistowskiej, rozpoczął się 25 sierpnia 1944 r., kiedy to dekretem *Hitlera* Karl *Brandt* otrzymał tytuł komisarza Rzeszy ds. sanitarnych i służby zdrowia (*Reichskammissar für Sanitäts- und Gesundheitswesen*). W tym charakterze był on członkiem najwyższych władz Rzeszy upoważnionym do wydawania wiążących poleceń w zakresie szeroko pojmowanych problemów służby zdrowia urzędom państwowym, organom *NSDAP*, a także niemieckim siłom zbrojnym. [13]

Nieco wcześniej dekret *führera* z 7 sierpnia 1944 r. wprowadzał nową organizację wojskowej służby zdrowia. Szef służby medycznej *Wehrmachtu* na mocy tego dekretu przestał od września 1944 r. pełnić równolegle funkcję inspektora Wojskowej Służby Medycznej. Ten rozdział stanowisk ułatwić miał *Handloserowi* skupienie uwagi na sprawach podstawowych dla prawidłowego funkcjonowania wojskowej służby zdrowia. W wydanej tego samego dnia instrukcji *OKW* przyznano *Handloserowi* zwierzchnictwo nad wszystkimi medycznymi placówkami badawczymi, uczelniami i innymi instytucjami związanymi z medycyną, a podległymi *Wehrmachtowi* lub *Waffen-SS*. [14] W dyspozycji *Handlosera* znalazły się m. in. takie ośrodki, jak Wojskowa Akademia Medyczna, instytuty podległe *OKH* w Krakowie i Lwowie, Szkoła Medyczna w St. Johann czy instytuty medycyny lotniczej w Monachium i Berlinie. [15]

Służba Zdrowia *SS* i Policji zaczęła rozwijać się po 1936, kiedy to na jej czele stanął jako naczelny lekarz Służby Zdrowia *SS* i Policji prof. dr Hans *Grawitz*, pełniący również funkcję przewodniczącego Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Stanowisko szefa wydziału personalnego w urzędzie *Grawitza* objął dr Helmut *Poppendick*, kierujący równocześnie służbą zdrowia Głównego Urzędu ds. Rasowych i Osiedleńczych (*Rasse- und Siedlungshauptamt*). Główny Urząd Administracyjno-Gospodarczy *SS* Oswalda *Pohla* posiadał własną służbę zdrowia i higieny, kierowaną przez dr Erno *Lollinga* i w zakresie obozów koncentracyjnych tylko formalnie podporządkowaną naczelnemu lekarzowi *SS*. [16]

Specjalne miejsce w tym systemie zajmowało stowarzyszenie *Ahnenerbe*, prowadzące badania antropologiczne i historyczno-kulturowe nad dziejami „rasy nordyckiej" oraz szeroką działalność wydawniczą. Podstawę finansową działalności stowarzyszenia w dużej mierze opierano na dobrowolnych darowiznach na jej rzecz. [17]

Dekretem *führera* z 9 czerwca 1942 r. powołano do życia jeszcze jedną instytucję, której zadaniem było stworzenie przesłanek jeszcze lepszego wykorzystania medycyny niemieckiej dla potrzeb wojennych III Rzeszy: była nią Rada Nauki Rzeszy (*Reichsforschungsrat*). Rada, ściśle współpracując z Ministerstwem Nauki i Oświaty Rzeszy, w oparciu o środki budżetowe i darowizny miała zapewnić koordynację badań i możliwie szybkie wdrażanie ich wyników. W zasięgu zainteresowań Rady znalazły się również sprawy związane z niemiecką medycyną i farmacją. [18]

Cały ten skomplikowany system urzędów i instytucji zajmujących się sprawami służby zdrowia był ze sobą ściśle powiązany poprzez zależności wynikające z pełnienia przez te same osoby będące na kierowniczych stanowiskach w administracji państwowej funkcji politycznych w *NSDAP*, *SA* czy *SS*. Wysoki stopień komplikacji struktur sprzyjał realizacji zbrodniczych celów, do jakich chciano wykorzystać specjalnie wyselekcjonowaną część lekarzy niemieckich.

Wzajemnie nakładające się na siebie kompetencje, podwójne a nawet potrójne podporządkowanie służbowe nie sprzyjało powstaniu poczucia odpowiedzialności za podejmowane decyzje, a w wielu wypadkach sprowadzało rolę wysokiego urzędnika do funkcji bezdusznej maszyny wykonującej rozkazy, za które odpowiedzialność ponoszą wyłącznie przełożeni. Prześledzenie procesu nazifikacji niemieckiej służby zdrowia pozwala inaczej, niż to dotąd nieraz czyniono, spojrzeć na nieliczną stosunkowo grupę lekarzy, z którymi styka się każdy badacz dziejów obozów koncentracyjnych. Jest to grupa co prawda dość nieliczna, jeśli weźmiemy pod uwagę, że ogólna liczba lekarzy w Rzeszy wahała się w tych latach od 80 do 100 tys., uderza jednak fakt, że wśród lekarzy obozowych i osób prowadzących eksperymenty medyczne dużą liczebnie grupę stanowią ludzie zajmujący eksponowane stanowiska w na-

[11] Reichsgesetzblatt 1942, I, s. 515.
[12] Tamże, 1943, I, s. 533.
[13] Tamże, 1944, I, s. 185.
[14] TWC, t. I, s. 84—87, dok. NO-227.
[15] TWC, t. II, s. 184—185.
[16] Y. *Ternon*, S. *Helman:* Historia medycyny *SS*, czyli mit rasizmu biologicznego. Warszawa 1973, s. 53—58; rec. m. in. R. W. *Gutt:* Autorzy belgijscy o medycynie *SS*. Przegl. Lek., 1974, nr 1, s. 238—240.
[17] TWC, t. I, s. 88—90, dok. NO-303 i NO-422.
[18] Reichsgesetzblatt 1942, I, s. 389.

zistowskiej służbie zdrowia. To nie znieczulica czy brak etyki lekarskiej decydowały o przestępczej działalności wielu lekarzy, lecz wpojenie im nowej narodowosocjalistycznej moralności, w której przysięga *Hipokratesa* zastąpiona została pogardą dla chorych, słabych i obcych w imię zdrowia psychicznego i fizycznego obywateli przyszłej tysiącletniej Rzeszy.

IRENA STEFAŃSKA Oświęcim

Muzeum w KL Auschwitz

W świetle dotychczasowego stanu badań nad zjawiskiem kultywowania namiastek różnych form życia kulturalnego w hitlerowskich obozach koncentracyjnych stosunkowo mało uwagi poświęcono dotąd zagadnieniu tzw. *Lagermuseum* (muzeum obozowe), które istniało w *KL Auschwitz* i odegrało ważną rolę zarówno w bezpośrednim ratowaniu zagrożonego życia więźniów, jak i w psychicznej samoobronie.

W opublikowanym piśmiennictwie na temat obozów koncentracyjnych informacje o *Lagermuseum* traktowane są marginesowo bądź w ogóle nie występują. Przewija się raczej sam termin i to najczęściej w rozumieniu miejsca, w którym legalnie uprawiano plastyczną twórczość obozową [1]. W nie opublikowanych relacjach i wspomnieniach byłych więźniów fakt istnienia *Lagermuseum* w *KL Auschwitz* okazjonalnie jest dostrzegany, przede wszystkim przez artystów plastyków, którzy tam dorywczo lub stale pracowali, a także więźniów zaprzyjaźnionych z nieżyjącym obecnie Franciszkiem *Targoszem*, byłym więźniem Oświęcimia (nr 7626), pełniącym w obozie funkcję kierownika wspomnianego muzeum obozowego i jednocześnie zatrudnionym w *Poststelle* (placówka pocztowa).

Wierny wreszcie, choć niekompletny przekaz ikonograficzny, związany z tym zagadnieniem, znajdujemy w obrazach wykonanych przez więźniów w obozie oraz w nie publikowanym dotychczas satyrycznym wierszu pt. Muzeum, autorstwa więźnia Wacława *Napiórkowskiego* (nr 6467) z oświęcimskiej *Lagerdruckerei* (drukarnia obozowa).

Wiersz jest interesujący ze względu na to, iż zawiera historię owego muzeum: dokładnie określa jego miejsce w obozie, charakteryzuje „kustosza", symbolicznie i wprost wymienia współpracowników oraz niezwykle interesująco i sugestywnie oddaje atmosferę tam panującą. Dlatego warto przytoczyć go w całości:

Muzeum

Na dwudziestym czwartym bloku,
W lewym skrzydle — prawym boku,
Jest Muzeum pełne „gratów",
Malowideł, eksponatów.
Häftling Targosz rej tu wodzi,
Groźnie patrzy, dumnie chodzi,
I zadziera nos do góry,
Kiedy gromi swoje „ciury".
Lecz kto nie zna tu Targosza,
Który godność ma kustosza,
Który listy nam roznosi,
„Batalisty" miano nosi.
Jest tu jeszcze liczne grono
Artystycznej braci pono:
Choć häftlingi „cinfachowe",
Ale chłopcy są morowe.
Są tu kupcy i narciarze,
Są malarze i rzeźbiarze,
Są prawnicy-podrabiny,
Znane Blumy, stare Bryny.
Na okrasę zaś wszystkiego
Wynalazcę mają swego,
Mają jeszcze „Uhrmachera",
Lecz ten głosu nie zabiera.
Ale za to „nasza brać"
Często za łby chce się brać!
Dzieci bogiń, bogów, muz!
Każdy myśli, że jest tuz!
Temu muzy talent dały,
Temu tylko obiecały,
Tamten talent wyssał z cyca:
Każdy sobą się zachwyca!
Każdy z nich na wielkość chory,
Każdy kłócić się jest skory,
Każdy walczyć nawet gotów,
Wśród językowych dzid i grotów!
Lecz wybrane dzieci bogów,
Używają w walce rogów!
I nie pomni swej wielkości
W słowach łamią sobie kości. [2]

Lagermuseum — realny, choć zdawać by się mogło paradoksalny twór socjalno-kulturalny w przerażającym kontekście fizycznej i biologicznej eksterminacji całych narodów, znany był z istnienia jedynie w *KL Auschwitz*. Tego rodzaju zatrudnienia więźniów nie przewidywał regulamin obozów koncentracyjnych. O jego utworzeniu w Oświęcimiu zadecydował przypadek, a właściwie spryt i odwaga więźnia Franciszka *Targosza*, którego w początkach 1941 r. w komandzie *Tischlerei* (stolarnia) „przyłapał" na szkicowaniu rysunków komendant obozu Rudolf *Höss*. Zainteresowanie *Hössa* wzbudził temat rysunków więźnia: sceny batalistyczne, konie wojskowe, broń i mundury jeźdźców. *Höss*, miłośnik koni, wdał się z *Targoszem* w rozmowę. Ten wyczuwając podświadomie słabostkę komendanta i mo-

[1] Por. *Z. Jagoda, S. Kłodziński, J. Masłowski:* Życie kulturalne w obozie oświęcimskim. Przegl. Lek., 1974, nr 1, s. 31—34; *J. Jaworska:* „Nie wszystek umrę..." Twórczość plastyczna Polaków w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych 1939—1945. Warszawa 1975, Książka i Wiedza. — Nadto w „Przeglądzie Lekarskim-Oświęcim" publikacja specjalistyczna *I. Stefańskiej:* Medycyna w oświęcimskiej plastyce obozowej. Przegl. Lek., 1977, nr 1, s. 108—118.

[2] Wiersz uzyskany od byłego więźnia, Tadeusza *Szymańskiego*, w dniu 20 VIII 1979 r. Autorstwo wiersza ustalił Franciszek *Targosz* 21 VIII tegoż roku. Teczka autora: „Franciszek *Targosz*" (zbiory Państwowego Muzeum w Oświęcimiu; dalej w skrócie: z PMO).

żliwość poprawy więźniarskiej sytuacji, postanowił ją wykorzystać. Poruszony przez *Hössa* temat znał świetnie. Świadczy o tym jego przedlagrowy życiorys.

Franciszek *Targosz* urodził się 7 września 1899 r. w Lipniku (ówczesny powiat Biała) jako syn Jakuba i Marii z *Tyców*. Tam też ukończył szkołę średnią w 1918 r. Już jako chłopak w r. 1915 przez okres siedmiu miesięcy ochotniczo służył w Legionach. W styczniu 1917 r. wcielony do służby w armii austriackiej, przeszedł przeszkolenie w szkole oficerskiej, kurs jazdy kawalerii, i wcielony do 1 pułku ułanów walczył na froncie włoskim. Po odzyskaniu niepodległości Polski odbył w latach 1919—1921 służbę wojskową w Wojsku Polskim. Od wczesnych lat interesował się militariami oraz ikonografią i literaturą z tego zakresu. Stąd, będąc jeszcze w armii austriackiej, korzystał jako eksternista z wykładów dla wojskowych w Uniform- und Waffenkunde (studium bronioznawcze i munduroznawcze) przy Dorotheum i Heeres-Museum w Wiedniu.

W latach 1921—1926 pracował w trzech różnych przedstawicielstwach firm jako agent handlowy, a od 1926 do grudnia 1940 r. w przedsiębiorstwie chemicznym „Franciszek Sezemski" w Bielsku. Przez cały ten okres był członkiem Stowarzyszenia Muzeum Wojska i Dorotheum w Wiedniu, kolekcjonował militaria i uprawiał rysunek batalistyczny. W r. 1933 napisał dwie prace z tej dziedziny: Ulanen Tschapen oder Tatarka (Czapka ułańska zwana tatarką) i Ulanen in ihren historischen Entwicklung 1775—1914 (Ułani w historycznym rozwoju), z własnymi ilustracjami akwarelowymi. Pierwszą nabyło wydawnictwo „Eckart-Verlag", Adolf *Luser* w Wiedniu, i opublikowało kilka rozdziałów. Plansze akwarelowe do drugiego tytułu eksponowane były w Wiedniu i Monachium. [3]

18 grudnia 1940 r. *Targosz* został aresztowany w Bielsku i w tym samym dniu przewieziony z miejscowego więzienia gestapo do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Początkowo pracował w różnych drużynach roboczych: na *Bauhofie* przy wyładunku i załadunku materiałów budowlanych, w *SK* (kompanii karnej), *Kiesgrube* (żwirowni), na *Industriehof:* w *Tischlerei* (stolarni), *Malerei* (malarni) i *Glaserei* (szklarni), a od lipca 1941 r. do ewakuacji obozu we wspomnianej wcześniej *Poststelle*. Jeszcze na *Bauhofie*, w lutym 1941 r., on, jak i inni więźniowie oddani sztuce, rysował na skrawkach papieru wbrew grożącym za to poważnym konsekwencjom, zastanawiając się już wówczas nad sposobem gromadzenia rysunków wykonywanych potajemnie przez więźniów.

Jego kolega obozowy, były więzień Oświęcimia, Wincenty *Gawron* (nr 11237), tak charakteryzuje rysunki *Targosza:*

„Konie jego cechowała głęboka prawda, a szkice przypominały do złudzenia rysunki Juliusza *Kossaka* i wszyscy zachwycaliśmy się nimi. Takie konie mógł rysować tylko zamiłowany jeździec i kawalerzysta. *Targosz* w rzeczywistości był ułanem z krwi i kości. Jeżeli chodzi o kość, to była ona gruba, gdyż był człowiekiem barczystym, o twarzy, której brakowało tylko sumiastych wąsów..." [4]

Ten „zamiłowany jeździec i kawalerzysta" znał doskonale język niemiecki, co w obozie nie było bez znaczenia i posiadał rzadką umiejętność zainteresowania współrozmówcy barwnymi i ciekawymi opowiadaniami. Przypadkowe spotkanie *Targosza* z komendantem obozu w komandzie *Tischlerei* i jak pisze sam *Targosz:*

„Podsuwane *Hössowi* ołówkowe szkice »końskich zadów« i nieśmiało formułowane sugestie doprowadziły do tego, że u *Hössa* dojrzała propozycja gromadzenia rysunków i obrazów wykonywanych przez więźniów, ale zostało to raczej upozorowane gromadzeniem ciekawszych przedmiotów, jakie mogły się znaleźć w zasięgu obozu" [5]

Zatem zainicjowana i zaszczepiona *Hössowi* idea zaowocowała. Decyzję o utworzeniu *Lagermuseum* podjął on na przełomie lipca i sierpnia 1941 r., a ustne polecenie jego zorganizowania otrzymał *Targosz* od *lagerführera* Karla *Fritzscha* w pierwszych dniach października 1941 r. *Targosz* miał wówczas już stałą i dobrą pracę w *Poststelle*, która polegała na doręczaniu listów pisanych przez więźniów do *Postzensurstelle* (cenzura pocztowa) oraz na odbieraniu z niej korespondencji i przekazywaniu do *Häftlingsschreibstube* (główna izba pisarska więźniów). Nie chciał jednakże zaprzepaścić okazji gromadzenia prac plastycznych wykonywanych potajemnie przez kolegów obozowych, a przede wszystkim ratowania ich samych poprzez zapewnienie im lżejszej pracy „pod dachem" oraz stworzenie warunków do uprawiania twórczości artystycznej. W warunkach obozowych miało to ogromne znaczenie dla psychiki więźnia, gdyż odrywało od koszmaru życia obozowego i zwiększało możliwość przetrwania obozowej gehenny.

Zalążek muzeum obozowego powstał w bloku 6 *KL Auschwitz*. Była to jedna, duża sala na parterze, z prawej strony od głównego wejścia (blokowym był wówczas Leon *Mateja* z Chorzowa, więzień nr 7627) i tam znajdowało się do marca 1942 r., tj. do czasu likwidacji „Russischeskriegsgefangenenarbeitslager" (obóz pracy radzieckich jeńców wojennych) i wydzielenia bloków 1—10 dla „Frauenlagru" (obóz kobiet). Wówczas *Lagermuseum* zostało przeniesione do dwóch pomieszczeń na parterze bloku 24 od strony bloku 23 i ogrodzenia obozowego i tam przetrwało do czasu ewakuacji obozu, tj. 18 stycznia 1945 r.

Od chwili utworzenia *Lagermuseum* spełniało podwójną rolę. Pierwsza — to miejsce, gdzie zgodnie z założeniem władz obozowych gromadzono przedmioty o wartości historycznej, artystycznej i pamiątkowej. Druga — miejsce pracy uzdolnionych artystycznie więźniów na rzecz owego muzeum obozowego. Trzeba powiedzieć, że *Targosz* świadomie wypaczył sens *Lagermuseum* zakładany przez komendanta, gdyż gromadzenie eksponatów było dla niego pretekstem do stworzenia możliwości więźniom warunków uprawiania twórczości plastycznej, ratowania ich i ich prac. Cel pierwszy realizował, aby móc urzeczywistnić dalsze zamierzenia.

[3] Dane z ankiety personalnej F. *Targosza* z dnia 2 X 1952 r., Oświadczenia F. *Targosza* z 6 VI 1952 r. oraz z jego własnoręcznego życiorysu z 20 XII 1950 i 7 X 1971 r. Teczka autora: „Franciszek *Targosz*" (z PMO).

[4] W. *Gawron:* Wspomnienia. T. 48a, k. 55 (Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu; dalej w skrócie: A PMO).

[5] F. *Targosz:* Oświadczenia. T. 82, k. 265 (A PMO).

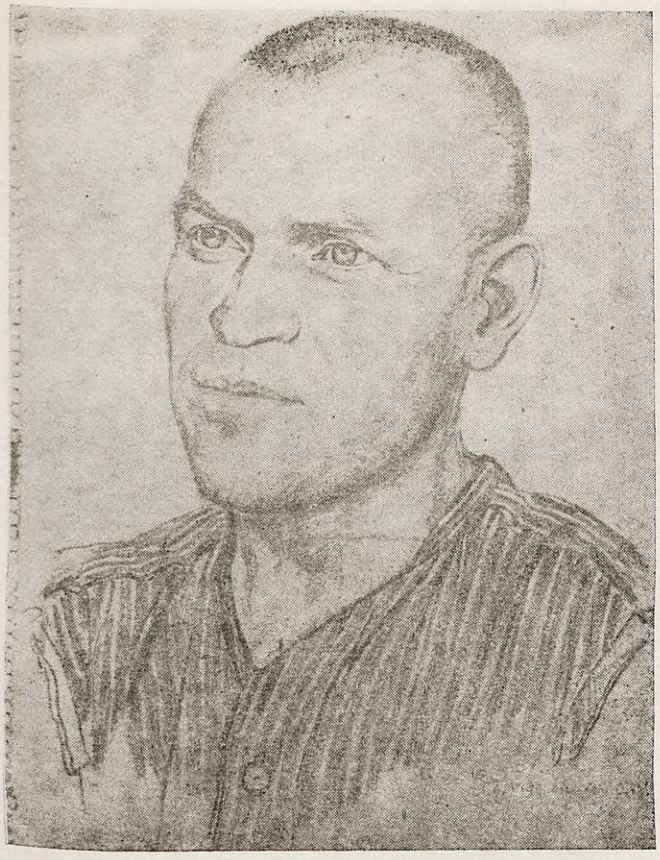

Ryc. 1. Mieczysław *Kościelniak:* Portret Franciszka *Targosza*, więźnia Oświęcimia nr 7626. Rysunek kredkami na papierze formatu 32 × 24 cm, wykonany w *KL Auschwitz* w r. 1941. Z prawej strony u dołu sygnowany i datowany przez autora: „MK 21. 6. 1941 Oświęcim O. K." (obóz koncentracyjny)

Ryc. 2. Mieczysław *Kościelniak:* Wnętrze muzeum obozowego. Obraz olejny na płótnie formatu 51 × 41 cm, wykonany w muzeum obozowym w 1942 r. Z lewej strony u dołu sygnowany i datowany przez autora: „MK 1942". Przy sztaludze Jan *Baraś-Komski*, więzień Oświęcimia nr 564, maluje obraz „Trubadur"

O eksponaty do muzeum obozowego starał się *Targosz* różnymi drogami. Pochodziły one z *Effektenkammer* (magazyn odzieży więźniów), z *Bekleidungskammer* (magazyn odzieży więźniów), a nawet z „Kanady". Zbiory były dość liczne i bardzo różnorodne. Jak wynika z relacji byłych więźniów, stanowiły je: przedmioty liturgiczne, różnych wyznań, zwłaszcza judaika — talmud, tałesy, modlitewniki, jarmułki, lichtarze, tory; folklorystyczne — krakowskie, góralskie, różne mundury — mundur jeńca radzieckiego, polski mundur strażacki: numizmaty — monety i banknoty obiegowe (około tysiąca sztuk) oraz medale i odznaczenia; dokumenty z dawnych wieków, m. in. nadania szlachectwa i rycerstwa; proporce, chorągwie i sztandary, w tym czerwony sztandar z gotyckim złotym napisem „PPR — Brzezinka", a nawet feretron kościelny; różne stare księgi, m. in. „X-lecie Polski Odrodzonej", książka, którą — jak twierdzi były więzień Oświęcimia, Mieczysław *Kościelniak* (nr 15261) — esesmani, często odwiedzający *Lagermuseum,* złośliwie nazywali „księgą polskiej manii wielkości", a także takie przedmioty, jak hełm, toporki i trąbka strażacka, stare obrazy żydowskie, kasa wojskowa z czasów napoleońskich, a nawet welocyped. Słowem — był to istny „gabinet osobliwości".

Na bieżąco gromadzono w Lagermuseum obrazy, rysunki, grafiki, rzeźby oraz przedmioty użytkowe wykonywane przez więźniów tak w samym muzeum, jak i w różnych drużynach roboczych. *Targosz* początkowo starał się, aby trafiały do gustu *lagerkomendanta,* od którego uzależnione było utrzymanie i funkcjonowanie tej „instytucji", nie stanowiącej oficjalnego komanda. W *Lederfabrik* (garbarnia) dla muzeum więźniowie wykonali miniaturowych rozmiarów modele butów żołnierzy kawaleryjskich i oficerskich, modele sportowych butów angielskich do konnej jazdy z żółtymi sztyplami, siodło kawaleryjskie z uździenicą, sprzączkami, wędzidłem, łańcuszkiem, strzemionami i trokami, siodło angielskie damskie, różne przybory myśliwskie ze skóry, papierośnice itp. [6]

Oczywiście nie było nic za darmo. Na wszystko w warunkach obozowego życia, gdzie działały różne uwarunkowania i mechanizmy, istniał środek płatniczy na tego rodzaju usługi. W zamian za uzyskiwane eksponaty *Targosz* odwdzięczał się najczęściej tym, że pracując w *Poststelle* przekazywał do ocenzurowania poza ustaloną kolejnością dodatkowe listy więźniów do ich rodzin. Nie trzeba chyba udowadniać, jak wielkie znaczenie miała ta sprawa dla więźniów. Możliwość dodatkowego wysłania listu pogłębiała więź z rodziną, podtrzymywała na duchu, toteż pozytywnie działała na psychikę. Aby jednak móc taką wysyłkę załatwić, *Targosz* musiał z kolei zyskać sobie zaufanie i przychylność cenzorów *SS,* darowywał im więc drobne prezenty w formie obrazów, rysunków, kartek okolicznościowych itp. wykonanych przez więźniów. Było to zatem jakieś sprzężenie zwrotne, działające w jedną i drugą stronę.

Były więzień Oświęcimia, Józef Paweł *Ludwig* (nr 23791), wspomina:

[6] Z listu F. *Targosza* do T. *Szymańskiego* z 15 I 1969 r.

„Dzięki koledze Frankowi *Targoszowi* miałem w obozie fotografię swojej żony. To było niedozwolone. Bywało, że w liście do więźnia znajdowała się fotografia. W takim wypadku cenzor pocztowy winien był fotografię skierować do *Politische Abteilung*, które wzywało więźnia i pokazywało mu ją. Później fotografię przekazywano do depozytu danego więźnia. W wypadku fotografii mej żony *Targosz*, zatrudniony jako siła pomocnicza *Postzensurstelle*, pominął tę drogę, wykradł fotografię z listu i doręczył mi ją"[7].

Muzeum obozowe, jak już wspomniano, stanowiły dwa pomieszczenia, o łącznej powierzchni około 110 m². Pomieszczenie większe (około 74 m²) było czymś w rodzaju ekspozycji, wyposażonej w gabloty, regały i stojaki. Na ścianach wisiały obrazy, w gablotach znajdowały się stare księgi, dokumenty, numizmaty i inne drobne przedmioty, jak np. figurka Królewny Śnieżki (wspomina o niej Andrzej *Makowski*, były więzień Oświęcimia nr 5654), która umieszczona była w rzeźbionej szkatułce o szklanych ściankach i na nóżkach w kształcie łap. Na regałach i stojakach znajdowały się różne inne przedmioty, m. innymi tkaniny, hełmy, amfory. Więźniowie tam przebywający wykazywali inicjatywę w rozmieszczaniu zgromadzonych eksponatów. Były więzień Oświęcimia, Izydor *Łuszczek* (nr 783), wspomina:

„*Suchecki* przybył do obozu w góralskim stroju ludowym. Ten strój górala zabrano z magazynów cywilnej odzieży więźniarskiej i przydzielono do muzeum obozowego. Xawery *Dunikowski* wykonał rzeźbę górala, a ktoś inny wykonał stelaż. Na wykonanym tak manekinie umieszczono strój góralski *Sucheckiego*, który stał w jednym z pomieszczeń muzeum obozowego w bloku 24"[8].

Drugie pomieszczenie *Lagermuseum* (około 35 m²) obok podstawowej swej funkcji spełniało rolę pracowni obozowych malarzy i rzeźbiarzy stale tam zatrudnionych bądź przychodzących pracować dorywczo.

Pierwszymi stałymi i oficjalnymi pracownikami *Lagermuseum*, których zatrudnił *Targosz*, byli zakopiańczycy, absolwenci Szkoły Przemysłu Drzewnego, sławni polscy sportowcy, narciarze, o osiągnięciach olimpijskich: Bronisław *Czech* (więzień nr 349) oraz Izydor *Łuszczek* (więzień nr 783). Doraźnie w wolnych chwilach, tj. wieczorami po pracy oraz w niedziele i święta, przychodzili tam malować, rysować i rzeźbić zarówno profesjonalni artyści plastycy, jak i ci, którzy dopiero zaczynali tworzyć, np. Szczepan *Andrzejewski* (nr 123875), Adam *Bowbelski* (nr 4135), Dominik *Černy* (nr 66947), Stefan *Didyk* (nr 11752), Xawery *Dunikowski* (nr 774), Wincenty *Gawron* (nr 11237), Wasyl *Hołub*, Czesław *Kaczmarczyk* (nr 162142), Jan *Baras-Komski* (nr 564), Mieczysław *Kościelniak* (nr 15261), bracia *Kupcowie:* Jan (nr 790), Józef (nr 791), Bolesław (nr 792), Władysław (nr 793) i Karol (nr 794), Czesław *Lenczowski* (nr 29553), Piotr Paweł *Lutczyn* (nr 162156), Jan *Machnowski* (nr 724), Władysław *Nowakowski* (nr 35558), Tadeusz *Paczesny* (nr 26129), Antoni *Suchanek* (nr 139388), Stanisław *Wcisło* (nr 125376) i inni.

Targosz wyszukiwał ich wśród nowo przybyłych transportów i angażował u siebie. Dzięki temu mieli lepsze warunki pracy i życia w obozie, a niektórzy nawet możliwości rozwoju talentu.

[7] J. P. *Ludwig:* Oświadczenia. T. 60, k. 144 (A PMO).
[8] Relacja I. *Łuszczka* z 8 I 1971 r.

Ryc. 3. Mieczysław *Kościelniak: Lagermuseum.* Rysunek akwarelą i temperą na formularzu listu obozowego więźnia Franciszka *Targosza*, z datą „23.4.43"

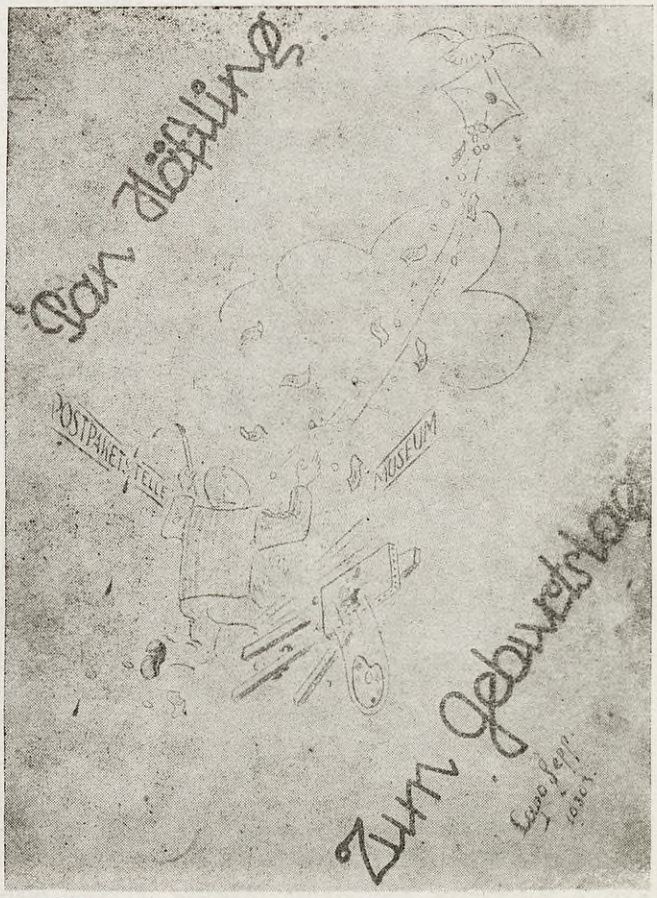

Ryc. 4. Autor nieznany: Pan Häftling zum Geburtstag. Kartka urodzinowa przekazana Franciszkowi *Targoszowi* od kapo Seppa, więźnia nr 10303 (Hansa *Mentlera*). Akwarela barwna na papierze formatu 27,7 × 18,5 cm, wykonana w *KL Auschwitz* w latach 1941—1944

Artyści wykazywali wielką żywotność twórczą i pracowitość. Pomagali sobie wzajemnie. Profesjonaliści udzielali wskazówek kolegom amatorom.

Niezależnie od prac oficjalnych, powstających na zamówienie „pod gusta" *SS*, jak sceny polowań, martwa natura, średniowieczne zamki, kartki okolicznościowe itp., wykonywali również prace nielegalne, o temacie zakazanym, jak: szkice z życia obozowego, portrety, karykatury itd. *Targosz* rysował tam m. in. szkice do Trylogii Henryka *Sienkiewicza*. Pisze on:

„Rysunki ołówkowe ilustrujące sceny z Trylogii *Sienkiewicza* mogłem wykonywać na terenie *Lagermuseum*, bo dla *Hössa* był rysunek ciekawy, gdy przedstawiał jakąś scenę batalistyczną, gdy na rysunku były konie i ruch (...). A przecież dla nas było satysfakcją móc rysunkiem wspominać na terenie *Auschwitzu* czasy świetności rycerstwa polskiego" [9].

Twórczość obozowych artystów tak w *Lagermuseum*, jak i w innych komandach, była przeto zarówno refleksem, odbiciem ich życia w obozie, jak i kompensacją, tj. nadawała formy temu, czego życiu zabrakło, uzupełniała egzystencję o te elementy, których więzień potrzebował, co stanowiło jego zamierzony bądź instynktowny termostat kulturowy. Realizacja w obozie plastycznych wizji „jak jest" i „jak powinno być" — to dążenie do wyrównania kulturowego niedostatku w lagrowej rzeczywistości, pragnienie przekroczenia bariery obozowego czasu. Szczególną rolę w tym względzie odgrywał kult przeszłości. Zwracając się ku skarbnicy zdobytych wartości, obozowi artyści pragnęli wskrzesić i zatrzymać świat pięknych symboli dobrej przeszłości, uszlachetniający ludzi.

Działalność ta była wyrazem naturalnego, nie zdeptanego przez system obozowy dążenia do zachowania siebie i współtowarzyszy, a tym samym do przeciwdziałania zaplanowanej tendencji przekształcenia ich w bezwolne istoty, zwykłe numery, niezdolne do jakichkolwiek reakcji czy poczynań. Budziła w nich najlepsze ludzkie uczucia, umacniała poczucie wspólnoty w walce o ideały, była dowodem ich niezłomnego duchowego oporu. Dlatego obozowi twórcy znajdowali przyjaźń i bezinteresowną pomoc kolegów obozowych, którzy ich chronili. Pomoc ta polegała przede wszystkim na zdobywaniu i dostarczaniu im materiałów oraz narzędzi do pracy w postaci papieru, farb, drewna, ołówków, pędzli, rylców itp.

Na przykład pierwsze farby dla *Lagermuseum* zdobył Alfons *Czajor* ze Śląska (więzień nr 1193), rozstrzelany w obozie 13 czerwca 1942 r. Brat jego, Ryszard (nr obozowy 1194), rozstrzelany w dzień po bracie, wykonał dla muzeum dwa albumy fotograficzne, w które wklejono zdjęcia wartościowych dzieł sztuki wykonanych przez więźniów. Miały one być dokumentem pracy *Lagermuseum*, *Targosz* postarał się bowiem o sfotografowanie artystycznych wytworów więźniów w obozowej *Bildstelle* (pracownia fotograficzna), w bloku 26. Przypadek braci *Czajorów* jest jednym z licznych przykładów pomocy ze strony więźniów dla *Lagermuseum*, którzy dostrzegali jego rolę w ratowaniu tych sił i wartości, jakie hitlerowcy tępili.

W lutym 1944 r. — w związku z dyrektywami *SS-WVHA* (Główny Urząd do spraw Gospodarki i Administracji *SS*) w sprawie zatrudnienia więźniów w przemyśle zbrojeniowym dla osiągnięcia efektów produkcyjnych — władze *KL Auschwitz* rozkazem komendantury nr 4/44 z dnia 22 lutego 1944 r. umniejszyły stan więźniów nie zatrudnionych w produkcji. Zatem i z *Lagermuseum* artyści musieli odejść do innej pracy. Częściowo to nastąpiło, a częściowo *Targosz* stworzył pozory, że tak się stało. W rzeczywistości zaś kilku więźniów udało się mu „zadekować" w piwnicy bloku 4, w którym mieściły się magazyny *Unterkunftu* (magazyny zaopatrzenia). Tam Kazimierz *Żarlikowski* (więzień nr 46373) i Roman *Dembiński* (więzień nr 568) dawali schronienie m. in. Pawłowi *Lutczynowi*, Stefanowi *Didykowi*, Czesławowi *Kaczmarczykowi*, Stanisławowi *Wcisle*, Izydorowi *Łuszczkowi* i innym. Była to jak gdyby pomocnicza pracownia na rzecz *Lagermuseum*, gdzie znów część więźniów pracowała na stałe, a część dorywczo.

Zmiana miejsca pracy niewątpliwie nie była bez znaczenia dla sławy polskiego narciarstwa, więźnia Bronisława *Czecha*. Po kilku miesiącach od odejścia z muzeum obozowego zmarł (5 czerwca 1944 r.) wskutek wyczerpania, mimo roztoczonej nad nim wszechstronnej opieki ze strony kolegów i więźniarskiego personelu lekarskiego.

Współpracę z *Lagermuseum* tak ocenia były więzień Oświęcimia, Jan *Baraś-Komski:*

„Do muzeum dochodziłem dorywczo, po zakończeniu pracy. To wynikało z mojego zamiłowania do rysowania. Chciałem także spotkać kolegów o podobnych zainteresowaniach. Wreszcie możliwość malowania tam, w obozowym muzeum, pozwalała przynajmniej na chwilę zapomnieć o potwornościach codziennej rzeczywistości. W muzeum panowała atmosfera wolnościowa, zresztą sami stworzyliśmy sobie tę atmosferę" [10].

Ta stworzona przez więźniów kulturalna samoobrona, rozwijająca się w warunkach zdeterminowanych eksterminacyjnymi założeniami hitlerowskiej polityki, terapeutycznie oddziaływała na ich stan psychiczny, powodując jednocześnie odporność fizyczną, kształtowała ich postawy ideowe, emocjonalne i estetyczne, dawała wreszcie poczucie życia w innym, normalnym świecie, choćby przez krótką chwilę.

Komendant obozu, Rudolf *Höss*, dopóki był w Oświęcimiu, w jakimś sensie opiekował się muzeum obozowym, które powołał do życia. Odwiedzał je w towarzystwie wysokich dostojników *SS* wizytujących obóz i obdarowywał ich pracami artystycznymi więźniów. Usankcjonowane autorytetem *Hössa* istnienie *Lagermuseum* było tolerowane przez pozostałych członków załogi obozowej, którzy również tam przychodzili, jak np. Karl *Fritzsch*, Hans *Aumeier*, Oswald *Kaduk*, Wilhelm *Boger*, Wilhelm *Clausen*, Max *Sell*, Gerhard *Palitzsch*.

Lagerführera Fritzscha do tego stopnia zainteresowały zgromadzone w muzeum judaika, zwłaszcza teksty żydowskie, że polecił *Targoszowi* wyszukać więźnia Żyda, który mógłby mu wyjaśnić ich znaczenie. I znów *Targosz* dojrzał szansę przyjścia z pomocą kolegom obozowym Żydom. Ze *Strafkompanie* (kompania karna), znajdującej się w bloku 13 (później blok 11), wraz z

[9] F. *Targosz:* Oświadczenia. T. 82, k. 269 (A PMO).

[10] J. *Baraś-Komski:* Oświadczenia. T. 71, k. 62 (A PMO).

Ryc. 5. Autor nieznany: Nareszcie Alleluja! Kartka wielkanocna, przedstawiająca w alegorycznej formie satyryczną scenkę w *Lagermuseum* i zatrudnionych tam więźniów. Akwarela barwna na papierze formatu 13 × × 18 cm, wykonana w *KL Auschwitz* w r. 1942

Ryc. 6. Paweł *Lutczyn:* Wypędzeni z raju. Akwarela barwna na papierze formatu 21 × 23 cm, wykonana w *KL Auschwitz* w 1944 r. Z lewej strony u dołu rysunek sygnowany i datowany przez autora: „Paweł Lutczyn 19-V-44 KL Auschwitz". (Ryciny 1—6 pochodzą z archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

Mieczysławem *Kościelniakiem* wybrał dwóch więźniów Żydów i zatrudnił w *Lagermuseum* do tłumaczenia talmudu. Byli to adwokat Edmund Mozer *Blum* ze Lwowa oraz Arom Uszer *Brün* z Sosnowca. Wziąwszy pod uwagę fakt, iż pobyt więźniów w karnej kompanii uważany był za równoznaczny z wyrokiem skazującym na śmierć, nie będzie ryzykowne stwierdzenie, że praca w muzeum obozowym zwiększyła szansę ich przeżycia. Pracowali tam od 1941 r. do okresu ewakuacji. Edmund Mozer *Blum* został ewakuowany do *KL Flossenbürg* i tam zginął, losy Arona Uszera *Brüna* są nieznane.

Zapewne podobnie musiała wyglądać sprawa więźnia Władysława *Tkaczyka* (nr obozowy 31333), utalentowanego grawera, byłego pracownika Mennicy Państwowej i zegarmistrza, który również na stałe zatrudniony był w owym muzeum. Oficjalnie i nieoficjalnie naprawiał zegarki esesmanom, a także więźniom, którzy mieli zezwolenie na ich posiadanie. Umiejętności grawerskie *Tkaczyka* wykorzystywano przy wykonywaniu na zegarkach, papierośnicach itp. monogramów i różnych ozdób. Dla niego jako kaleki (utykał na nogę) praca w *Lagermuseum* stanowiła jedyną możliwość przeżycia obozu. 18 stycznia 1945 r. został ewakuowany do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Dalsze jego losy są nieznane.

Tworząc *Lagermuseum,* władze obozowe kierowały się chęcią wyzyskania więźniów poprzez eksploatację ich uzdolnień. Poza tym stwarzało ono pozory, że w obozie nie jest źle, skoro więźniowie uprawiają sztukę. Dzięki więźniowi Franciszkowi *Targoszowi,* jego ambicji, sprytowi i odwadze, *Lagermuseum* stało się azylem dla przedstawionej grupy więźniów, których był wspaniałym opiekunem, mecenasem sztuki i którym stworzył warunki ułatwiające przeżycie obozowego piekła. Jego postawa, nie pozbawiona animuszu i brawury, dodawała ducha współtowarzyszom. Zaradnością i pomysłowością zdobywał dla swych podopiecznych dodatkową żywność i lepszą odzież. M. in. za jego sprawą paczki adresowane do obozu na nazwiska nie żyjących już więźniów rozdzielane były sprawiedliwie dla najbardziej potrzebujących, w tym również dla szpitala obozowego. Dzięki sile psychologicznego oddziaływania i umiejętności „obłaskawiania" groźnych obozowych bestii, jak G. *Palitzsch,* O. *Kaduk,* W. *Boger* itp., wielu więźniom udało się ujść karze. Świadczy o tym poniższy cytat:

„Szef cenzury przesyłek pocztowych więźniów *SS-Sturmscharführer Heider* (...) gdy w listach M. *Kościelniaka* spostrzegł wkomponowane »Jeszcze Polska« i »Boże zbaw«, ograniczył swą interwencję do rozmowy ze mną i zobowiązania mnie, że *Kościelniak* zostanie pouczony i listy przepisze (...). Rozmowa z *Heiderem* nie była prosta, ale udało się doprowadzić do tego, że *Kościelniak* nie poniósł konsekwencji"[11].

Więźniowie wysoce cenili sobie pomoc i opiekę *Targosza.* Jednym z przykładów tego jest rysunek-karykatura więźnia Pawła *Lutczyna,* którą autor zatytułował „Wypędzenie z raju". Przedstawia ona scenę odejścia z *Lagermuseum* jego i kolegi, Czesława *Kaczmarczyka,* w związku z wyjazdem w transport do innego obozu koncentracyjnego w 1944 r.

Targosz, człowiek uczynny i koleżeński, zyskał sobie autorytet zarówno w środowisku więźniów, jak i niektórych członków załogi obozowej. Swą postawą i osobowością pozytywnie oddziaływał na jednych i na drugich. Zasługą jego jest uratowanie wielu oryginalnych prac więźniów z muzeum obozowego, które od nich otrzymał i „przemycał" do Bielska, a także wielu fotografii obrazów i rysunków powstałych w obozie. Wysyłkę załatwiał za pośrednictwem robotników cywilnych, kolegów zwalnianych z obozu, a nawet poprzez esesmanów. Do końca pobytu w *KL Auschwitz* pieczołowicie gromadził i zabezpieczał zbiory *Lagermuseum,* jak prawdziwy kustosz i muzeolog, w nadziei, że one przetrwają i przekaże je w godne ręce. Tak się jednak nie stało, gdyż 18 stycznia 1945 r. transportem ewakuacyjnym został wywieziony do obozu koncentracyjnego *Mauthausen-Melk* i tam wyzwolony 5 maja 1945 r. przez wojska amerykańskie.

Po krótkim pobycie na leczeniu w Regensburgu (Ratyzbona, w Bawarii) powrócił do kraju. Zaangażowany uczuciowo i mocno emocjonalnie związany z miejscem, w którym tyle przeżył, w grudniu 1946 r. podjął pracę w będącym w sta-

[11] F. *Targosz:* Oświadczenia. T. 82, k. 270 (A PMO).

dium organizowania Muzeum w Oświęcimiu [12], którego został wicedyrektorem i kustoszem-konserwatorem. Pieczołowicie opiekował się zniszczonym terenem byłego *KL Auschwitz*, jego obiektami i na nowo gromadził rozproszone zbiory. Zwolniony z Państwowego Muzeum w sierpniu 1954 r., przeszedł do pracy w jednym z przedsiębiorstw w Bielsku-Białej. 28 grudnia 1971 r. został odznaczony przez Radę Państwa Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Zmarł w Bielsku-Białej 10 września 1979 r.

Franciszek *Targosz* to jeszcze jedna postać wśród tych byłych więźniów, którzy walczyli w obozie o przetrwanie humanistycznych wartości i postaw, o zachowanie ludzkiej godności oraz ratowali życie ludzkie wszelkimi dostępnymi środkami i metodami. Chociaż w obozie nic nie gwarantowało życia więźnia, jednakże takie czynniki, jak możliwość kontynuowania wolnościowych zainteresowań, bogate życie wewnętrzne, dystans intelektualny od koszmaru obozowego, a wreszcie praca „pod dachem", dodatkowa porcja chleba, miska zupy czy lepsza odzież — na pewno wzmacniały psychicznie i fizycznie, a zatem ułatwiały przeżycie obozu. To starał się zapewnić kolegom obozowym więzień *Targosz*, którego osobowość i kultura osobista posiadały duży wpływ na kulturę i zachowanie zbiorowości więźniów.

JÓZEF WITKOWSKI
były więzień *Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei* w Łodzi nr 798

Wrocław

Sytuacja sanitarna i zdrowotna w Gross-Rosen

Arbeitslager Gross- Rosen [1] powstał jako filia obozu koncentracyjnego Sachsenhausen 2 sierpnia 1940 r. Pierwszym *lagerführerem* był Anton *Thumann*, który przy pomocy dwudziestu, a później stu esesmanów inicjował obóz [2].

Przed przystąpieniem do zasadniczego tematu warto przypomnieć, że *Hitler* zamierzał w celu uczczenia zwycięskiego podboju świata wznieść w przyszłości budowle monumentalne, jakich nie wznoszono od kilku tysięcy lat [3], planując oczywiście użycie rąk niewolników podbitych narodów. Określono nawet dokładne daty oddania tych budowli do użytku; jako pierwszy miał być otwarty stadion norymberski, na zjazd *NSDAP* w roku 1945, a w roku 1950 — obiekt ostatni.

Himmler, poszukujący sposobu umocnienia pozycji *SS* w państwie narodowosocjalistycznym, rozumiał, że może to osiągnąć przez niezależność finansową. Pojął nadarzającą się okazję i postanowił zamknąć tych niewolników w swoich obozach koncentracyjnych, niezależnie od ekstermi-

[12] Państwowe Muzeum w Oświęcimiu zostało powołane Ustawą Sejmu PRL z 2 VII 1947 r.

[1] Niniejsze opracowanie różni się od dotychczasowych na temat Gross-Rosen (zob. Przegl. Lek., 1980, nr 1, s. 119, przyp. 1—5) tym, że oparte jest niemal wyłącznie na zeznaniach złożonych przez świadków w latach 1945—1975 w toku śledztwa prowadzonego przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich (dalej, w skrócie, OKBZH) we Wrocławiu (Ds. 43/67) oraz zeznaniach i wyjaśnieniach złożonych przed sądami polskimi przez podejrzanych i oskarżonych. W prawie 130 tomach akt znajdują się zeznania około 1100 świadków przesłuchanych przez OKBZH we Wrocławiu oraz kilka tysięcy zeznań świadków przesłuchanych przez OKBZH, Sądy i Prokuratury w całym kraju w ramach pomocy prawnej. Do niniejszego opracowania wykorzystano także materiały i dokumenty z RFN przesłane przez Landesjustizverwaltung w Ludwigsburgu, *ITS* w Arolsen, Prokuraturę Generalną w NRD, MSW i Komisję Badania Zbrodni Wojennych w CSSR oraz Prokuraturę ZSRR w Moskwie.

[2] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 43/77.

[3] A. *Speer:* Wspomnienia, Warszawa 1973, MON, s. 84.

nacyjnych celów tych katowni. Plany *Hitlera* zostały zatwierdzone dopiero w roku 1938, ale *Himmler* już w roku 1937 uzgodnił z Albertem *Speerem*, generalnym inspektorem odbudowy stolicy Rzeszy i głównym architektem, a od roku 1942 także ministrem uzbrojenia Rzeszy, że będzie tworzył obozy w pobliżu planowanych budowli. Tak więc w pobliżu Berlina, który miał być całkowicie przebudowany i stanowić panteon germanizmu, powstał *KL Sachsenhausen* [4]; obok Hamburga, który miał być największym portem świata, zbudowano obóz Neuengamme; w „przyzwoitej" odległości od Norymbergi, miejsca zjazdów *NSDAP*, stworzono „kacet" Flossenbürg; pod Weimarem, który miał stanowić ośrodek sztuki teatralnej — Buchenwald; w rejonie Linzu, miasta młodości *Hitlera*, które miało być miejscem pielgrzymek — Mauthausen. Natzweiler w Alzacji i Gross-Rosen na Dolnym Śląsku zlokalizowano w pobliżu kamieniołomów granitu.

W ten sposób obłędne pomysły totalitarne przekształciły się w podporządkowaną bezwzględnej ideologii gigantomanię na przekór wszelkim humanitarnym obiekcjom, z którymi hitleryzm się nie liczył, i bez przebierania w środkach. Trafiamy też tutaj na jeden z klinicznych przykładów postępowania zwyrodniałej władzy. Sprzyjały jej umiejętności organizacyjne i gospodarcze.

Himmler postanowił założyć odpowiednie przedsiębiorstwa pod zarządem *SS*, które by eksploatowały darmową siłę roboczą więźniów. Oswald *Pohl*, szef głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego *SS* (SS-Wirtschafts- und Verwaltungshauptamt — *WVHA*), założył z polecenia *Himmlera* w kwietniu 1938 r. Niemieckie Zakłady Robót Ziemnych i Kamieniarskich [5] (Deutsche Erd- und Steinwerke GmbH — *DEST*). Statut *DEST*

[4] Jeszcze przed tymi uzgodnieniami, w r. 1936 zbudowano Sachsenhausen na miejsce zamkniętego obozu w Sachsenburgu, oraz w r. 1937 Buchenwald na miejsce zamkniętego obozu w Esterwegen.

zakładał, że będzie eksploatować kamieniołomy, produkować materiały budowlane, budować drogi i wykonywać wszelkie roboty kamieniarskie i ziemne. *Himmler* i Pohl zapewnili *Speerowi* dostawę materiałów budowlanych przez okres 10 lat. W zamian za to *Speer* udzielił im z funduszy wielkich budowli bezprocentowej pożyczki budowlanej, potraktowanej jako zaliczka za dostarczane materiały budowlane, w wysokości 9 500 000 *RM* (marek). Ponadto *Pohl*, wówczas także szef Niemieckiego Czerwonego Krzyża, dysponując jego funduszami, przekazał na konto *SS* 8 000 000 *RM*. Sumy te były olbrzymie, zważywszy, że jeszcze w początkach drugiej wojny światowej, w okresie przed najazdem hitlerowskim na ZSRR, tabele walut podawały wartość jednej *reichsmarki* (*RM*), pieniądza Rzeszy rabującej Europę, w wysokości 2,48 *RM* za 1 dolara USA, 20,43 *RM* za 1 funta szterlinga, 0,53 — 0,60 za 1 franka szwajcarskiego itd.

Dzięki tym i innym jeszcze pożyczkom *DEST* mógł zainwestować w kamieniołomy i cegielnie Mauthausen-Gusen, Flossenbürga, Sachsenhausen i Gross-Rosen, które *SS* przynosiły później milionowe dochody. Hitlerowski totalitaryzm okazywał się dochodową inwestycją dla zbrodniczej organizacji. *SS* utworzyło wiele nowych przedsiębiorstw, a do końca wojny było ich już 40, w których znalazło się 150 fabryk. W roku 1940 połączono te przedsiębiorstwa w potężny *holding* pod nazwą Niemieckie Przedsiębiorstwo Gospodarcze (Deutsche Wirtschaftsbetriebe — *DWB*). Wśród nich były Niemieckie Zakłady Zbrojeniowe (Deutsche Ausrüstungswerke GmbH — *DAW*) oraz Towarzystwo Przeróbki Materiałów Włókienniczych i Skóry (Gesellschaft für Textil und Lederverwertung GmbH — *Texled*). To właśnie dla *Texled* wszystkie obozy koncentracyjne zbierały i dostarczały włosy więźniarek i więźniów, które tam przerabiano. Dla owych *DAW* pracowały warsztaty i komanda Oświęcimia i innych obozów.

Od 1938 do końca 1942 r. *SS*, spłacając zaciągniętą pożyczkę, dostarczały *Speerowi* całą produkcję kamieniołomów, żwirowni, cegielni, klinkierni itp., m. in. z Mauthausen-Gusen, Natzweiler, Gross-Rosen, Flossenbürga, Oświęcimia, Buchenwaldu, Neuengamme, Stutthofu, Sachsenhausen i Treblinki.

Tak więc o lokalizacji Gross-Rosen zadecydowały dorodne pokłady granitu, leżące w paśmie gór między Jaworem a Strzegomiem. W taki sposób polityczne decyzje osadzania w obozach koncentracyjnych „wrogów Rzeszy" ujawniły cel gospodarczy. Przed swym całkowitym wyniszczeniem i śmiercią „naturalną" więzień musiał jeszcze oddać swoją siłę roboczą na rzecz III Rzeszy, przy czym pod maską totalitarnego kultu pracy przezierało jej zwyrodnienie.

Arbeitslager Gross-Rosen 1 maja lub 1 czerwca 1941 r. został przekształcony w samodzielny obóz koncentracyjny i takim pozostał do końca istnienia. Pierwszym komendantem od chwili utworzenia do października 1942 r. był Artur *Rödl* [6]. Jego miejsce zajął Wilhelm *Gideon* [7] i pozostawał na nim do 10 października 1943 r. Po nim komendantem został Johannes *Hassenbröck* [8], który tę funkcję pełnił do końca istnienia obozu.

Thumann na stanowisku *lagerführera* pozostał do lutego 1943 r. Przez kilka dni lutego 1943 r. *lagerführerem* był Peter *Brandenburg* [9]. Funkcję tę pełnił do lutego 1943 r. do końca istnienia obozu Walter *Ernsberger* [10].

Obóz budowano w morderczym tempie. Głodowe racje żywnościowe, nadludzka, wielogodzinna praca, ludobójcze warunki zakwaterowania, brutalność załogi, atmosfera mordu i strachu oraz praktyczny brak pomocy i opieki lekarskiej szybko wyniszczały nawet najzdrowsze organizmy. Brakowało wszystkiego: bielizny na zmianę, odzieży, butów, pościeli, misek, łyżek, ręczników, środków piorących i mydła, lecz nade wszystko odczuwano brak wody i to nie tylko do mycia, ale i do picia. W tej samej wodzie z lizolem kąpano po kilkadziesiąt, a nawet kilkuset *zugangów*. Antysanitarne warunki doprowadziły do zachorowań na świerzb, wszawicę, epidemię duru i jaglicy, które zwalczano środkami ludobójczymi, uśmiercając chorych. W rozmyślnie stworzonych ludobójczych warunkach zbierała obfite żniwo śmierć.

W pierwszych miesiącach funkcjonowania obozu zgony zgłaszano do miejscowego Urzędu Stanu Cywilnego. Jednakże olbrzymi wzrost liczby zgonów, który usiłowano ukryć przed miejscową ludnością, spowodował utworzenie w obozie specjalnego USC pod nadzorem *Politische Abteilung* (Oddziału Politycznego). Obozowe księgi zgonów zniszczono, a księgi miejscowego USC dziwnym zbiegiem okoliczności zaginęły w dość tajemniczych okolicznościach w roku 1945, toteż nie znamy dokładnej liczby zgonów. Warto dodać, że i te księgi nie zawierały całej prawdy, wiele bowiem transportów bezpośrednio po przybyciu mordowano i spalano z pominięciem wciągnięcia do ewidencji.

Już na początku funkcjonowania obozu załoga dopuszczała się licznych mordów na więźniach. Był to swoisty program szkolenia dla pozostałych przy życiu, którzy później objęli stanowiska funkcyjnych. Obrazowym dowodem tego „szkolenia" były zmasakrowane zwłoki. Zaistniała więc pilna potrzeba uruchomienia własnego krematorium. Skłaniały do tego także względy ekonomiczne, gdyż koszt własny kremacji wynosił 2 *RM* [11], a w krematorium komunalnym był kilkakrotnie wyższy i dochodziły koszty transportu. Najważniejsze było jednak ukrycie prawdy o tym, co dzieje się w Gross-Rosen, a stan zwłok wychudzonych do ostatnich granic i często zmasakrowanych, ze śladami postrzałów, mówił wiele. Toteż już na wiosnę

[5] E. *Georg:* Die wirtschaftlichen Unternehmungen der *SS*. Stuttgart 1963, s. 43, 56, 133—138; H. *Maršalek*. Priester in Konzentrationslager Mauthausen. Wiedeń 1971, s. 5.

[6] Artur *Rödl, obersturmbannführer SS*, według nie potwierdzonych danych popełnił samobójstwo w Szczecinie w r. 1945.

[7] Wilhelm *Gideon, obersturmbannführer SS*, ostatnio mieszkał w Oldenburgu, nie niepokojony przez tamtejsze władze.

[8] Johanes *Hassenbröck, sturmbannführer SS*, w r. 1946 skazany na karę śmierci przez brytyjski sąd za zamordowanie lotników brytyjskich. Karę śmierci zamieniono mu na 15 lat, z czego odsiedział 8 lat. W drugim procesie w roku 1967 sąd w RFN uniewinnił go. Ostatnio był czynnym kupcem w Brunszwiku w RFN.

[9] Peter *Brandenburg*, urodzony 10 II 1889 r. w Hörde, był dowódcą batalionu wartowniczego w Gross-Rosen. Zmarł 22 IV 1957 r.

[10] Walter *Ernsberger, obersturmführer SS*, urodzony 23 VIII 1913 r. w Pforzheim. Zginął 31 XII 1945 r., miejsce i okoliczności nie znane.

[11] Zob. przypis 30.

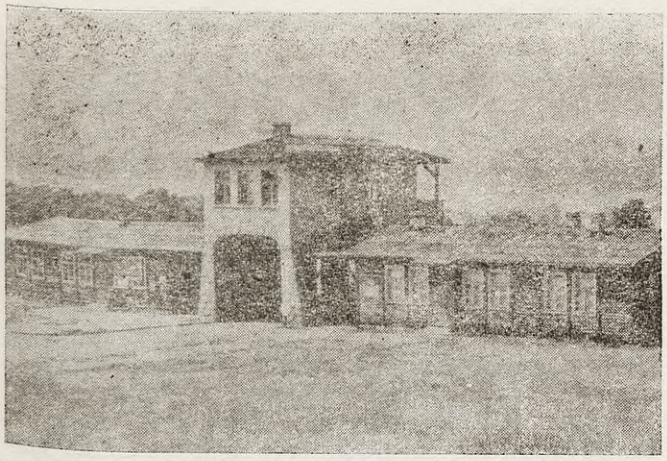

Ryc. 1. Brama wejściowa do Gross-Rosen.

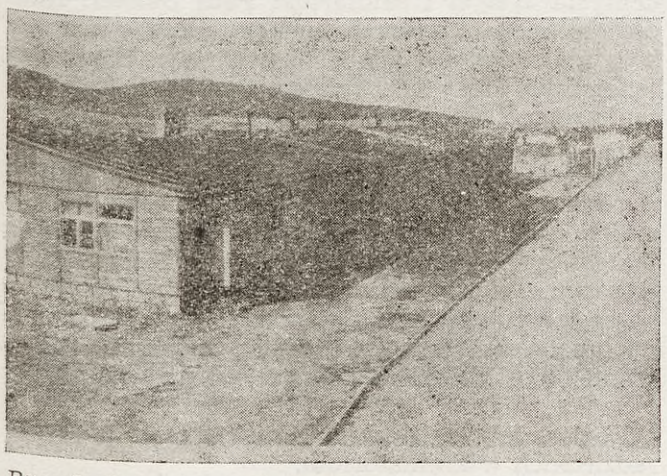

Ryc. 2. *Lagerstrasse* (ulica obozowa) w Gross-Rosen i barak dla więźniów.

1941 r. oddano do użytku pierwsze krematorium. Zanim to nastąpiło, zwłoki spalano w krematoriach komunalnych w Jeleniej Górze i Legnicy. Z zachowanych akt wynika, że w okresie od 21 sierpnia 1940 r. do 28 stycznia 1943 r. tylko w Legnicy spalono 3 589 zwłok, w tym 898 jeńców radzieckich [12]. W pierwszym okresie kremowanych wykazywano imiennie, później już tylko liczbowo. Od wiosny 1941 r. z krematoriów w Jeleniej Górze i Legnicy korzystano tylko doraźnie, kiedy własne krematorium nie mogło podołać zadaniom lub w razie jego uszkodzenia. W grudniu 1942 r. nowe krematorium uległo na skutek przeciążenia zepsuciu i dopiero 29 stycznia 1943 r., naprawione, wznowiło pracę. W tym okresie zwłoki spalano w Jeleniej Górze, ale dokumentacja się nie zachowała. Warto zwrócić uwagę, że obóz utworzono 2 sierpnia 1940 r., a już 21 dnia tegoż miesiąca odesłano do kremacji pierwsze zwłoki.

W eksterminacji więźniów Gross-Rosen szczególną rolę odegrała służba sanitarna *SS (SS-Sanitätsdienst)*, dlatego na jej działalności skupimy głównie uwagę. Na czele służby sanitarnej stał lekarz obozowy (*Lagerarzt*), któremu podlegali pozostali lekarze i dentyści oraz personel pomocniczy, czyli „sanitariusze" *SS (Sanitätsdienstgrad — SDG)* i sanitariusze więźniowie (*Sanitätsdienstgehilfe*).

Przez Gross-Rosen przewinęło się co najmniej 15 lekarzy *SS*. Zanim jeszcze mianowano lekarza *SS*, załodze prawdopodobnie udzielał pomocy lekarskiej prof. dr med. Gerhard *Busch* [13]. Dopiero pod koniec 1940 r. skierowano tam dra Hermana *Wielanda*. Na wiosnę 1941 r. lekarzem obozowym został dr Friedrich *Entress* [14], który pełnił tę funkcję do grudnia 1941 r., do czasu przeniesienia go do Oświęcimia. Jego miejsce zajął dr Karl *Babor* i pozostawał w Gross-Rosen do grudnia 1943 r., ale lekarzem naczelnym był do 1942 r. W tym czasie lekarzem obozowym został Willibald *Jobst*, który pełnił tę funkcję do stycznia 1944 r. Od stycznia 1944 r. do końca funkcjonowania obozu lekarzem obozowym był dr Heinrich *Schmidt*. W roku 1941 krótko lekarzem pomocniczym był Eugen *Krunzik*, na przełomie lat 1941 i 1942 — dr Georg *Meyer*, w latach 1941—1943 dr Helmut *Vetter*. Pod koniec funkcjonowania obozu znaleźli się tam także: znowu dr *Entress* (przed objęciem stanowiska lekarza garnizonowego w Mauthausen) oraz doktorzy Friedrich *Richter* [15], Heinz *Thilo*, E. *Schmitz*, Josef *Mengele*, Christian *Schmidt* i Edmund *König*. W r. 1944 przeniesiono z Majdanka do Gross-Rosen dra Heinricha *Rindfleischa* i skierowano do podobozu w Jedlince (Tannhausen) i Kolcach (Dörnhau), które w zespole podobozów w Górach Sowich spełniały funkcje rewirów. Poza wymienionymi występują jeszcze nazwiska lekarzy: Fritz *Menecke* i *Schäftler*.

Lekarz obozowy posiadał daleko idącą autonomię i niezależność od komendanta obozu. Podlegał bezpośrednio naczelnemu lekarzowi obozów koncentracyjnych, drowi Erno *Lollingowi, standartenführerowi SS, szefowi* D-III w *WVHA*. *Lolling* osobiście mianował, odwoływał i przenosił lekarzy *SS*, których miał w dyspozycji około 200 [16], jemu też bezpośrednio składali sprawozdania, które jednak podpisywał komendant obozu. Głównym zadaniem służby sanitarnej w Gross-Rosen było utrzymanie takich warunków sanitarnych, żeby nie dopuścić do epidemii, które zresztą i tak się rozprzestrzeniały. Jakich wartości etycznych i fachowych wymagał u lekarzy *SS Lolling*, najlepiej odda fragment jego rozmowy z drem Peterem *Hofferem*, kandydującym na lekarza naczelnego w Buchenwaldzie, który zapewniał *Lollinga*, że po objęciu stanowiska tego liczba zgonów na rewirze spadnie do minimum, co już się zresztą rozpoczęło. *Lolling* odpowiedział: „I z tego właśnie powodu nie zostanie pan lekarzem naczelnym obozu". W kilka dni później *Hoffer* znalazł się na froncie [17].

O zadaniach lekarzy obozowych Rudolf *Höss* pisał: „...gdyby nie przejmujący grozą rozkaz, który znali w Oświęcimiu oprócz mnie jedynie lekarze. Lekarze w myśl rozkazu *reichsführera SS* powinni likwidować w dyskretny sposób chorych, a zwłaszcza dzieci" [18]. Lekarze obozowi w Gross-Rosen nie zajmowali się leczeniem chorych więźniów. Nigdy nie odwiedzali rewirów w celach leczniczych, a jedynie w celu sprawdzenia, czy

[12] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 43/67. Wniosek SSW mgra Teofila *Kowalczyka* o częściowe umorzenie śledztwa.

[13] Gerhard *Buhtz*, prof. dr, lekarz w stopniu majora, *oberstabsarzt*.

[14] Zob. wykaz na końcu głównego tekstu artykułu.

[15] R. *Olszyna:* Wstępny wykaz lekarzy Gross-Rosen (Przegl. Lek. 1970, ss. 169—171) podaje: *Lichter*.

[16] Y. *Tyrnon*, S. *Helman:* Historia medycyny *SS*, PZWL, 1973, s. 83.

[17] E. *Kogon:* L'Enfer organise (Zorganizowane piekło). Paryż, 1947, s. 134.

[18] R. *Höss:* Wspomnienia. Warszawa 1965, Wydawnictwo Prawnicze, s. 133.

nie za dużo jest chorych, żeby dokonać selekcji do uśmiercenia. Rewir oddano całkowicie w ręce sanitariuszy *SDG*, którzy najczęściej nie mieli nic wspólnego z wiedzą medyczną czy sanitarną; byli pospolitymi przestępcami i mordercami. Ich rola ograniczała się do uśmiercania chorych. I tak np. niemiecki kryminalista Walter *Richter* był 44 razy karany sądownie, a Herman *Czech* — fałszerzem i matkobójcą. Sanitariusz *SDG*, Wilhelm *Bahr*, z zawodu był kołodziejem, a z zamiłowania masowym mordercą chorych więźniów. Doszedł do takiej wprawy w aplikowaniu zastrzyków z trującymi substancjami, że bezbłędnie trafiał w żyłę lub serce ofiary. Paul *Dehnel* nigdy nie rozstawał się ze strzykawką, którą podstępnie chował w rękawie.

Kapo rewirowi sprawowali nieograniczoną władzę. Aby zachować uprzywilejowane funkcje, prześcigali się w mordowaniu chorych, okradali ich, żądali okupu za przedłużenie pobytu lub dostanie się na rewir, uśmiercali też sami. Niejednokrotnie opóźniali zgłaszanie zgonów, nawet o dobę, żeby pobrać za zmarłych racje żywnościowe, którymi później handlowali. Chorzy musieli niejednokrotnie nawet całą dobę leżeć ze zmarłymi w jednym łóżku i pod jednym kocem [19]. Należał do nich m. in. Antoni *Gładysz* [20], a także więzień nr 16897, Leon *Wachowiak*. *Wachowiak* za przedłużenie pobytu na rewirze o kilka dni musiał złożyć okup w markach przysyłanych mu z domu [21], a także oddać całą paczkę; później został z rewiru wyrzucony mimo okupu [22].

Krwawo i trwale wpisali się w pamięci byłych więźniów Gross-Rosen sanitariusze *SDG:* Wilhelm *Bahr*, Philip *Braun*, Paul *Dehnel*, Artur *Hoffman*, Fritz *Kurzel*, August Hans *Peterek*, Gotllieb *Schmidt*, Christian *Wohlar*; kapowie i prominenci: Herman *Czech*, Karl *Ebner*, Karl *Fickel*, Gottlieb *Kaiser*, Walter *Kleiner*, Eggon *Mattoni Pupp*, Adam Georg *Prill*, Emil *Radke*, Wilhelm *Reisener*, Gottlieb Fritz *Schneider* [23].

Rewiry w Gross-Rosen do końca 1942 r. w ogóle nie dysponowały żadnymi lekami ani środkami opatrunkowymi. Dopiero pod koniec 1943 r. przydzielono nieco leków, środków opatrunkowych i narzędzi oraz dopuszczano do leczenia lekarzy więźniów, ale w tych warunkach niewiele mogli oni pomóc. Warunkiem dostania się na rewir były temperatura przekraczająca 39 stopni, ale i tak nie dla wszystkich starczało miejsca. Prof. dr Stanisław *Konopka* tak opisał przyjęcie do rewiru: „Żywo stoi mi w pamięci grupa kilkudziesięciu chorych stłoczonych przed wejściem do ambulatorium. Wpada z wrzaskiem *Prill* (Adam Georg *Prill*, kapo i blokowy na rewirze — dop. J. *W.*) i laską gumową zaczyna okładać na prawo i lewo, gdzie popadnie, czekających na badanie chorych. Zakołysała się grupa, kto mógł, uciekał. Na pobojowisku zostali tylko tacy, którzy nie mogli się ruszać. Efekt został osiągnięty: zamiast kilkudziesięciu chorych dostało się do szpitala kilku" [24]. Według cytowanego prof. *Konopki* na oddziale chirurgicznym przebywało 180—210 chorych, umierało dziennie od 4 do 33, a liczba zmarłych od 20 do 30 kwietnia 1944 r. wynosiła 444 więźniów. W ostatnich miesiącach funkcjonowania obozu liczba chorych chirurgicznie wynosiła do 2 100.

Zapoczątkowane przez dra *Entressa* w roku 1941 uśmiercanie zastrzykami fenolu stosowano później powszechnie i masowo — i to nie tylko w Gross-Rosen.

W kwietniu 1948 r. w Berlinie złożył zeznanie Rolf *Hildebrand*, były więzień i pisarz dentysty dra Friedricha *Weigla*. Stwierdził, że nie było tygodnia, w którym by nie uśmiercano więźniów zastrzykami fenolu: „Uśmiercaniem więźniów systematycznie zajmowali się dr *Schmidt*, dr *Jobst*, dentysta *Weigel* i sanitariusz Paul *Dehnel*. Każdego miesiąca uśmiercało się przy pomocy zastrzyków nie mniej niż 600—700 więźniów. Pamiętam jeden fakt, który miał miejsce w roku 1944, kiedy sanitariusz *Dehnel* zniszczył przy pomocy zastrzyków 20 polskich i radzieckich obywateli i technika dentystycznego Polaka. W obozie więźniowie poddawani byli fizycznemu wyniszczeniu w rozmaity sposób: za pośrednictwem powolnego działania — głód, ciężka praca, w dużym zakresie było stosowane uśmiercanie za pomocą kwasu pruskiego, rozstrzeliwania, wieszania, wysyłki do innych obozów koncentracyjnych i zagłady na zniszczenie" [25]. Opierając się na relacji naocznego świadka, więźnia dentysty dr. Johanna *Schneidera*, opisał fakt zastrzelenia w 1944 r. 48 oficerów radzieckich w krematorium.

Także w roku 1948 złożył zeznanie były *rapportführer*, Walter *Schwarze*. Zeznał on m. in.: „Po wykonaniu kary bitych oglądał lekarz. Ciężko chorzy więźniowie byli odsyłani na oddział sanitarny, lecz pomoc im ze strony lekarza nie była okazywana. Pomoc okazywano tylko tym chorym, których można było szybko wyleczyć i którzy nadawali się do dalszej pracy, a wszystkich pozostałych lekarze poddawali uśmiercaniu za pomocą zastrzyków z trującymi substancjami, po których następowała śmierć" [26].

Walter *Schwarze* wyjaśnił także, że w obozie łaźni ani pryszniców nie było. Więźniowie pracujący w kamieniołomach mogli się tam kąpać pod prysznicem w zimnej wodzie raz na trzy tygodnie. Na ponowne pytanie, czy więźniowie pędzeni do łaźni byli bici, odparł z poirytowaniem: „Łaźni nie było i więźniowie do łaźni nie mogli być ganiani". Wyjaśnił nadto sposoby uśmiercania więźniów: „Podczas mojej służby do października 1943 r. więźniowie unicestwiani byli różnymi metodami: głodem, chłodem, biciem, rozstrzałem, uśmiercaniem eksperymentami (chodzi o zastrzyki z trującymi substancjami — dop. J. *W.*), przez powieszenie, kierowanie do innych obozów na zniszczenie. Na zniszczenie obóz odesłał dwa transporty do Dachau 600 ludzi i do Bergen-Belsen 200 lu-

[19] OKBZH we Wrocławiu, Ds 43/67. Zeznania licznych świadków.

[20] A. *Gładysz:* Powrót z piekła hitlerowskiego, Tarnów 1945.

[21] Zob. jeden z nich (ryc. 4).

[22] L. *Wachowiak:* relacja (u autora artykułu).

[23] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 43/57. Liczne zeznania świadków oraz wniosek T. *Kowalczyka* o częściowe umorzenie śledztwa.

[24] St. *Konopka:* Rewir w Gross-Rosen. Pol. Tyg. Lek., 1946, nr 2, s. 64—68.

[25] OKBZ we Wrocławiu, Ds. 17/61/A, tom II. Zeznania Rolfa *Hildebranda*, złożone 15 IV 1948 r. w Berlinie oficerowi śledczemu 6 Oddziału Operacyjnego Radzieckiej Wojennej Administracji, przesłane przez Prokuraturę ZSRR w Moskwie.

[26] Tamże, zeznania Waltera *Schwarzego*, złożone 26 III 1948 r.

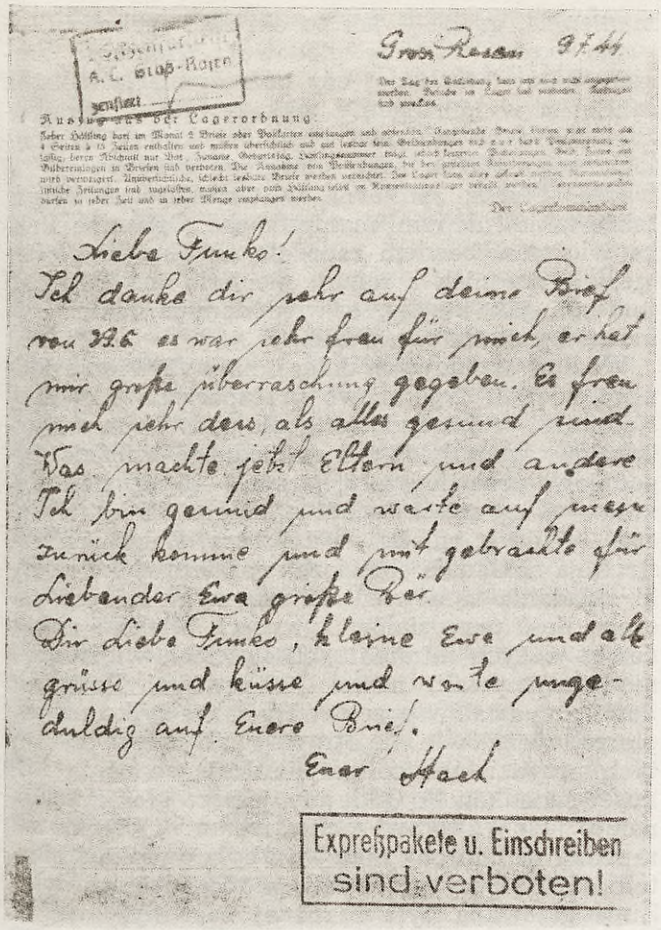

Liebe Funke!
Ich danke dir sehr auf deine Brief
von 3.6 es war sehr fein für mich er hat
mir große überraschung gegeben. Es freu
mich sehr dass alles gesund sind.
Was machte jetzt Eltern und andere
Ich bin gesund und warte auf mein
zurück komme und mit gebrauche für
Liebander Ewa große Bär
Dir liebe Funke, kleine Ewa und alle
grüsse und küsse und warte unge-
duldig auf Euere Brief.
Euer Hack

Expreßpakete u. Einschreiben
sind verboten!

Ryc. 3. Jeden z listów wysyłanych przez więźniów z Gross-Rosen do rodzin.

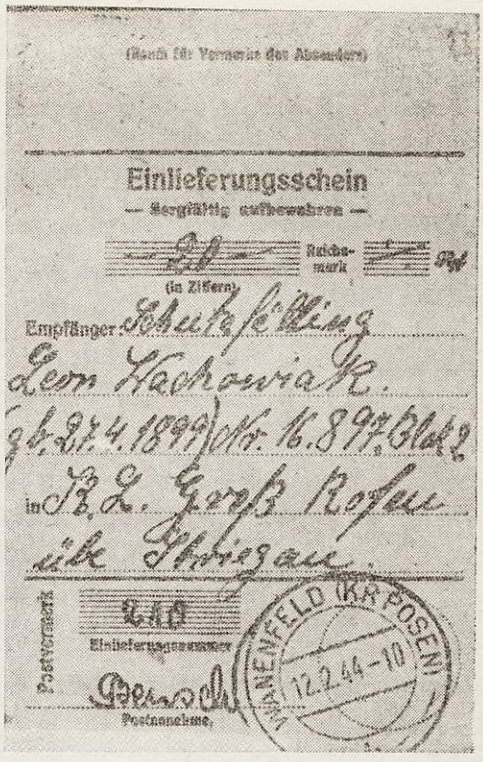

Einlieferungsschein
— Sorgfältig aufbewahren —

(in Ziffern)
Empfänger: Schutzhäftling
Leon Wachowiak
geb. 22.4.1899 Nr. 16.897 Block 2
in K.L. Gross Rosen
über Strzegom

Postanweisung
Einlieferungsnummer
Postmarke

WANNENFELD (KR. POSEN)
12.2.44-10

Ryc. 4. Przekaz pieniężny dla więźnia Gross-Rosen, Leona *Wachowiaka* (oryginał przechowuje autor artykułu).

dzi" [27]. Wyjaśnił, że on w tych zbrodniach udziału nie brał. Przyznał jedynie, że będąc *blockführerem*, bił sam, ale jak już awansował na *rapportführera*, sam bił rzadko, „ja czytałem tylko ze spisu, ile komu dać pałek" [28] — zakończył wyjaśnienia.

Rewiry były zawsze zatłoczone. Oto co na ten temat napisał — chyba w pierwszej drukowanej relacji — w lipcu 1945 r. Antoni *Gładysz:* „Prawie 2/3 więźniów było w obozie stale chorych na różne choroby: biegunkę, tyfus, jaglicę i gruźlicę. Na łóżkach trzypiętrowych spało po dwóch, a niekiedy trzech chorych. Ludzie ci, ciężko chorzy, z otwartymi ranami, gnijącym od bicia ciałem i kośćmi, zaropiałymi oczami leżą obok siebie na jednym łóżku, pod jednym kocem. Z jednej miski ci chorzy jedzą, w jednej wodzie się myją, jednym i tym samym ręcznikiem cała izba chorych ociera swoje posiniaczone ciała, oropiałe oczy i rany. Panuje tu przeraźliwy brud. Wszy, pchły, pluskwy spacerują tu swobodnie po starych, nigdy nie pranych kocach. Smród, zaduch nie do opisania. Najsilniejsi nawet szybko się wykańczają. Brak w szpitalu przede wszystkim opieki nad chorymi, brak najprymitywniejszych środków leczniczych. Nie ma waty, nie ma bandaży, jodyny, aspiryny, nie ma maści na świerzb, nie ma szczepionek, słowem nie ma tu nic prócz tych ginących ofiar. Szpital ten nazywamy wykańczalnią, bo kto do niego idzie, ten już nigdy nie wraca. Umiera tu dziennie około 100 chorych. Tę wysoką liczbę zawdzięczać też należy tym naszym wychowawcom, którzy i tu mordują jeszcze w jaskrawy sposób. Są to tzw. flegierzy, sanitariusze-lekarze, ale więźniowie. Jeśli ten i ów przetrzymał szpital, to dzięki temu, że był silnego organizmu, że miał wyjątkowe szczęście. Na 200 i więcej zaledwie 1/4, a czasem mniej udaje się dostać do szpitala, reszta zaś, skopana i zbita, zmuszona jest iść do pracy lub umierać pod barakiem" [29].

Szanse przeżycia obozu miał co 10—11 więzień. Większość więźniów ginęła już w pierwszych trzech miesiącach pobytu w obozie, chociaż eksperci z *WVHA* planowali utrzymanie więźnia przy życiu przez 270 dni, tj. 9 miesięcy. Pozostało to jednak pobożnym życzeniem. W dokumencie „Oszacowanie dochodów" wyliczyli pedantycznie dochód brutto i netto. Jako średni dochód dzienny z wynajmu więźnia przyjęli 6 *RM*, pomniejszając go o 0,60 *RM* na wyżywienie oraz 0,10 *RM* na „amortyzację". Czysty dochód dzienny wyniósł 5,30 *RM*, po przemnożeniu przez 270 dni — 1431 *RM*. W drugiej części: „dochody z utylizacji zwłok" wymieniono rubryki: złoto dentystyczne, odzież, kosztowności, pieniądze. Rubryki pozostały puste, ale czysty dochód średnio oszacowano na 200 *RM*, już pomniejszone o 2 *RM* za spopielenie zwłok. Czysty dochód wyniósł 1631 *RM* [30]. W początkowym okresie na wyżywienie przeznaczano tylko 0,30 *RM* [31] (także na Majdanku), później stawkę podniesiono na wskutek wzrostu cen żywności i transportu. I tak np. w Langebielau (Bielawa) Spółka „Christian Derid" płaciła za wynajem więźniarek 3,60 *RM* dziennie, pomniejszając tę sumę o koszty zakwaterowania i wyży-

[27] Tamże, zeznania Waltera *Schwarzego.*
[28] Tamże, zeznania Waltera *Schwarzego.*
[29] Zob. przypis 20.
[30] R. *Schnabel:* Maht ohne Moral. Eine Dokumentation über die SS. Frankfurt nad Menem, 1958, Rödenberg Verlag, s. 203. Zob. też N. *Rost:* Konzentrationslager Dachau. Bruksela, 1962, s. 33.
[31] J. *Witkowski:* Małoletni więźniowie Gross-Rosen. Przegl. Lek., 1980, nr 1, s. 118—128.

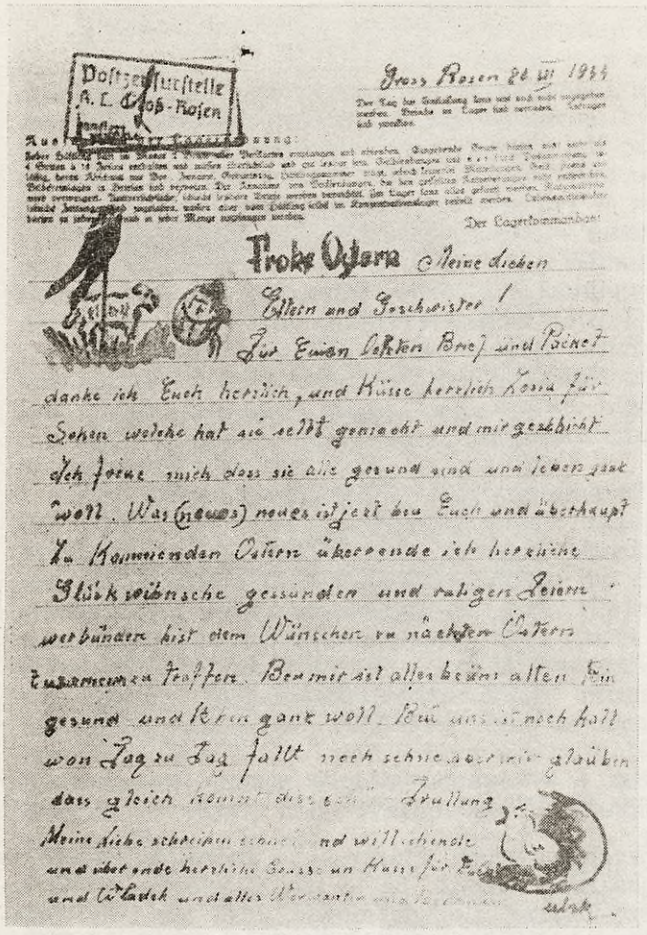

Ryc. 5. List więźnia z Gross-Rosen, ozdobiony z okazji Wielkanocy. (Ryciny 1—3 i 5 pochodzą ze zbiorów Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu).

wienia oszacowane na 0,80 *RM* [32]. Ostateczną, minimalną kwotę pomniejszały kradzieże na drodze żywności do więźniów.

Wracając do kwestii śmiertelności w Gross-Rosen, warto przytoczyć następujące przykłady. Z transportu, którym przywieziono A. *Gładysza*, liczącego 55 osób, po niespełna dwóch miesiącach pozostało przy życiu zaledwie 18 więźniów. Z listu Adama *Dzierżawy*, pisanego do A. *Gładysza* w pierwszej połowie 1945 r., dowiadujemy się, że z przeszło pięćdziesięcioosobowej grupy z Tarnowa obóz przeżyło tylko pięciu [33]. Z pięciusetosobowego transportu z Oświęcimia po kilku miesiącach pobytu pozostało przy życiu trzydziestu kilku. Z transportu małoletniego Henryka *Baranowskiego*, liczącego 25 osób, obóz przeżyło tylko czterech, z czego dwóch zmarło zaraz po powrocie z obozu [34], z czterdziestodziewięcioosobowego transportu małoletnich, przywiezionych z Oświęcimia, nie ocalał ani jeden.

Ciężka praca, powszechny głód, brak pomocy i opieki lekarskiej były przyczyną dużej śmiertelności. Więźniowie, którym udało się przeżyć pierwsze trzy miesiące, tracili na ciężarze ciała przeciętnie 3/8, a nawet 4/8, co stanowiło już granicę między życiem i śmiercią. Było to „muzułmanienie", czyli — jak to określili fachowcy — sucha postać choroby głodowej. Większość nieszczęśników wcześniej czy później marła. Służba sanitarna w Moringen [35] wykazywała w sprawozdaniach dane liczbowe więźniów, którzy do analogicznego okresu roku ubiegłego przybywali na wadze. Służba sanitarna w Gross-Rosen mogła także takimi danymi manipulować. Ogromna liczba więźniów bowiem zapadała na obrzęki głodowe, ale dla nich z reguły nie było już ratunku, umierali jak muchy, a więc danych takich nie można by nawet sprawdzić.

Według urzędowych dotacji na wyżywienie jednego więźnia tygodniowo przeznaczano 4,20 *RM*. Natomiast propagandowe tabele podstawowych artykułów żywnościowych na jednego więźnia tygodniowo przewidywały: jarzyn — 5 kg, ziemniaków — 6 kg, mięsa — 261 g, chleba 3,5 kg, tłuszczu — 150 g, mleka — 1/4 litra. Załączona instrukcja nakładała obowiązek na kierownika kuchni składania zamówień do magazynu na przytoczoną ilość przydziałów żywności. Mleka i cukru nawet w tych minimalnych ilościach więźniowie nie otrzymywali, nawet na rewirze. Pozostałe ilości przydziałów pozostawały także tylko na papierze, więźniowie nie otrzymywali nawet połowy tych przydziałów, co potwierdzają zeznania kilkuset świadków [36]. Oddajmy jeszcze głos cytowanemu już Walterowi *Schwarzemu*: „Więźniowie zapadali na choroby masowo i była wysoka śmiertelność. Wszyscy pracowali do 15 godzin na dobę. Zupa gotowana była z różnej boćwiny, brukwi, buraków. Tłuszczu w zupie nie było żadnego z wyjątkiem margaryny, która była kładziona do kotła dla oka, że są tłuszcze. Zupa była gotowana zawsze bardzo rzadka, jak sama woda" [37]. Nie mamy podstaw, żeby tym zeznaniom nie dać wiary.

W celu przedłużenia zdolności do pracy od 1943 r. pozwolono więźniom na otrzymywanie paczek. Zarządzenie [38] komendanta wprowadziło jednak szereg ograniczeń, a m. in., że paczka może zawierać tylko tyle żywności, ile więzień może zjeść w ciągu dnia. Reszta w „trosce o zdrowie" więźnia podlegała konfiskacie. Ocena należała do esesmanów i prominentów obozowych. Rzeczywistość była taka, że paczki znacznie poprawiły wyżywienie, ale nie więźniów, tylko esesmanów i prominentów, którzy okradali paczki z najwartościowszych produktów, zwłaszcza tłuszczów i mięsa, zabierali nawet całe paczki, np. za „karę". Pod presją zakładów zbrojeniowych wynajmujących więźniów do pracy wprowadzono dla nich „premię" nawet do 10 *RM* tygodniowo. Więźniowie musieli się dzielić „premiami" z tymi, od których ich przyznanie zależało. Za „premie" można było kupić w obozowej kantynie papierosy bez zawartości tytoniu i artykuły żywnościowe o znikomej wartości odżywczej i kalorycznej. Np. miska nie omaszczonej zupy lub ziemniaków kosztowała 3 RM. Te artykuły mogli więźniowie nabyć także za pieniądze przysłane im z domu.

Szczególnie haniebną rolę odegrali w Gross-Rosen dentyści. W latach 1941—1945 przewinęło się przez Gross-Rosen pięciu dentystów. W latach

[32] OKBZH we Wrocławiu, S — 6/73. A. *Konieczny:* „Spółka akcyjna Christian Derig AG" w Bielawie (maszynopis).

[33] Zob. przypis 20.

[34] OKBZH we Wrocławiu, Ds 43/67. Zeznania świadków oraz wspomnienia i ankieta H. *Baranowskiego*, u autora artykułu.

[35] J. *Witkowski:* Moringen — hitlerowski obóz dla małoletnich. Przegl. Lek., 1972, nr 1, s. 137—139.

[36] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 43/67.

[37] Zob. przypis 25, zeznania Waltera *Schwarzego*.

[38] OKBZH we Wrocławiu, Ds 43/67/II, Ds. 17/61/F.

1041—1942 kierownikiem stacji dentystycznej był dr *Kurze*, a jego pomocnikiem dr *Siedler*. W latach 1942—1945 kierownikiem tej stacji był dr Friedrich *Weigel*, a jego zastępcami doktorzy Frank *Erich* i Frank *Schmiedt*. Pomocy stomatologicznej udzielano tylko załodze esesmańskiej i wybranym prominentom. Główną działalnością dentystów była rejestracja szlachetnych kruszców w jamie ustnej więźniów. Uzyskiwane w ten sposób złoto przetapiali w sztabki i odsyłali do *WVHA*, skąd wędrowało do banku Rzeszy. Kiedy więźniowi z nowego transportu dentysta poświęcał swój cenny czas i dokładnie go badał, nie brzydząc się dotykać „podludzi", świtała jakaś nadzieja, bo po cóż by inaczej dentysta z taką troskliwością oglądał jego uzębienie. Nie zdawał sobie sprawy, że błysk oka za binoklami dra *Weigla* i uśmiech wcale nie oznaczały, że jest zadowolony ze stanu uzębienia więźnia, ale była to radość, która równała się wyrokowi śmierci, radość ze znalezienia złotego lub platynowego mostka lub koronki.

Odbywało się w związku z tym istne polowanie na więźniów ze złotymi zębami. I im większą wartość te szlachetne kruszce przedstawiały, tym mniejszą szansę przeżycia miał ich właściciel. Esesmani na własną rękę zabijali takich więźniów, żeby je uzyskać dla siebie, oni też potrzebowali złota. Sanitariusze *SDG*, Fritz *Kurzel* i Paul *Dehnel*, wyrywali ze szczęk uśmierconych lub zmarłych: złoto, platynowe i srebrne mostki, zęby i koronki. Czynili to także dentyści. Uzyskiwane tą drogą złoto zasilało nie tylko bank III Rzeszy, ale przede wszystkim kieszenie dentystów, esesmanów i prominentów. Za przywłaszczenie sobie ukradzionego złota dentystycznego został usunięty ze stanowiska dr *Kurze*, a sanitariusz *SDG, hauptscharführer SS*, Fritz *Kurzel*, nawet aresztowany i osadzony w *SS-Sonderlager Hinzert*. *Kurzelowi* nie pomogły zasługi masowego mordercy jeńców radzieckich, których mordował zastrzykami. III Rzesza potrzebowała dużo złota i uszczuplanie go nawet przez tak zasłużonych, jak *Kurzel*, nie było wybaczane, a poza tym karanie miało odstraszać innych, ale nie odstraszało.

W majową noc 1944 r. odbyła się pożegnalna biesiada z okazji zwolnienia z obozu wielokrotnego mordercy, Gottlieba *Keisera*, długoletniego, zasłużonego dla *SS*, kapo na rewirze, awansowanego na zastępcę *lagerältestera*. *Einsatzgruppe* też czekały na fachowców, zwłaszcza z takim stażem. We wspomnianej biesiadzie wzięli udział: Georg *Prill* — kapo rewirowy, Emil *Radke* — *lagerältester*, Bruno *Reiss* — kapo krematorium, Karl *Ebner* — *lagerältester* oraz Georg *Hinz*. Podczas biesiady doszło do sprzeczki o zrabowane złoto, które przetapiał Bruno *Reiss*. *Keiser* przed wyruszeniem na front chciał zabrać całość złota. Pozostali nie zgodzili się na to i w obawie, że ich wyda, w nocy zamordowali *Keisera*. *Prill* i *Hinz* zostali pozbawieni godności obozowych, natomiast *Radke* i *Reiss* powieszeni [39].

Rabunek złota dentystycznego przez esesmanów i prominentów spowodował, że dr *Weigel* założył specjalne kartoteki, w których rejestrowano dokładnie szlachetne kruszce, żeby nie zaginęły, ale esesmani i prominenci polowali na takich więźniów, zabijali lub uśmiercali zastrzykami fenolu. Szczególnie złą sławę zyskał sobie *blockführer* Karl *Gallasch*, który upatrzonym ofiarom wybijał złote zęby jeszcze za życia bądź mordował ich przedtem [40].

Dr *Weigel* zasłynął w obozie i z tego, że preparował czaszki i obdarowywał nimi przełożonych i znajomych, a także używał ich jako „pomocy naukowych". Oto co m. in. zeznał Rolf *Hildebrand*, pisarz *Weigla*: „Pamiętam trzy fakty, które zdarzyły się latem 1943 r. Lekarz dentysta Friedrich *Weigel* odciął głowy obywatelom radzieckim, wygotował te głowy, usunął »mięso«, pozostawił czerep, a następnie trzymał jako pomoce naukowe w swoim gabinecie i dwie głowy odesłał, jedną *standartenführerowi Lollingowi*, a drugą lekarzowi obozowemu *Jobstowi*" [41]. Nie należało to oczywiście do obowiązków dentysty, było to po prostu jego hobby.

U dra *Weigla* zatrudniony był polski dentysta-technik. Musiał za dużo wiedzieć, skoro pod koniec 1944 r. *Weigel* kazał go Paulowi *Dehnelowi* uśmiercić razem z dwudziestoma więźniami polskimi i radzieckimi. Oszczędził jednak dentystę lub technika dentystycznego więźnia Johana Fr. W. *Schneidera* (urodzonego 6 kwietnia 1899 r. w Brunszwiku), który przeżył obóz i zmarł dopiero 6 grudnia 1947 r. w Unna.

Owe czaszki służyły także jako „pomoce naukowe" *lagerführerowi* Walterowi *Ernsbergerowi*, który szkolił podległych mu esesmanów, a także oficerów *SS*, demonstrując, jak jednym uderzeniem można więźniowi połamać szczękę. Podczas tych „lekcji" poglądowych połamał od pierwszego uderzenia szczęki 13 więźniom polskim i 2 niemieckim. Pięciu z nich zmarło, losy pozostałych nie są znane, ale prawdopodobnie także zostali uśmierceni [42]. Jednym z lepszych uczniów *Ernsbergera* był niemiecki kryminalista Kurt *Vogel*, blokowy karnej kompanii, który własnoręcznie uśmiercił ponad 100 więźniów.

W latach 1941—1945 za wiedzą i zgodą, przy udziale lekarzy obozowych, a także dentystów, zamordowano, w tym zastrzykami fenolu, ponad 2 500 jeńców radzieckich. W latach 1942—1944 zamordowano co najmniej 500 oficerów radzieckich przywiezionych w tym celu z różnych obozów jenieckich. W grudniu 1943 r. podczas święta strzeleckiego (*Schützenfest*) urządzono „zabawę", podczas której esesmani strzelali do żywych celów, uśmiercając ponad 400 partyzantów z transportu radomskiego. Latem 1944 r. zgładzono 17 spadochroniarzy angielskich, których schwytano w okolicy Rawicza. Poza tym odbywały się w obozie pokazowe egzekucje przy udziale lekarzy, którzy wystawiali akty zgonu, i dentystów, którzy sprawdzali, czy ofiary posiadają złoto dentystyczne. Warto jeszcze dodać, że w grudniu 1944 r. zamordowano około 400 żołnierzy i oficerów włoskich.

Dowódcą plutonu egzekucyjnego był Karl Otto *Schubert*. Po wojnie został ujęty i 27 sierpnia 1945 r. oficerowi radzieckiemu złożył zeznania. Wyjaśnił z rozbrajającą szczerością i dokładnością

[39] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 43/67, Ds. 18/67. Zeznania licznych świadków oraz „Liste der verstorben oder für tot erklärten SS-Angehöringen und Funktionshäftlinge", pozyskana z Landesjustizverwaltung w Ludwigsburgu.

[40] OKBZH we Wrocławiu, Ds 43/67, Ds. 18/67.

[41] Zob. przypis 25, zeznania Rolfa *Hildebranda* oraz OKBZH we Wrocławiu, Ds. 17/61, zeznania świadków.

[42] Zob. przypis 25, zeznania Rolfa *Hildebranda*.

anatomię zbrodni. Stwierdził, że w Gross-Rosen rozstrzeliwano przede wszystkim za próbę ucieczki i kradzież żywności. Z dumą przyznał, że 27 stycznia 1945 r. zastrzelił podczas transportu do Wrocławia dwóch więźniów, w dniu następnym jeszcze jednego, którzy usiłowali mu uciec. Wypełniając swoje obowiązki, zastrzelił łącznie 15 więźniów.

Schubert stara się być elegancki i rycerski. Swoje ofiary nazywa „robotnikami" a ich morderców — „żołnierzami". Jest pedantycznie dokładny i tylko swoje słowa, prymitywnie zresztą formułowane, pozwala (bez żadnych poprawek) protokołować. O jednej z wielu egzekucji tak zeznał: „Wykopanie rowu trwało dwie godziny. Po upływie dwóch dni, wieczorem, otrzymałem rozkaz od *Bernsteina* (dowódca kompanii wartowniczej — dop. J. *W.*) konwojować wspólnie z ośmioma żołnierzami 120 robotników do tego rowu, który wykopano dwa dni wstecz. Po przeprowadzeniu tej kolumny do rowu ja razem z innymi żołnierzami zacząłem rozstawiać robotników nad brzegiem rowu z takim obrachunkiem, aby oni po rozstrzelaniu padli do rowu. Po ich ustawieniu dowódca *Bernstein* zaczął czytać wyrok. Po odczytaniu wyroku on podał komendę otworzyć ogień do robotników. Rozstrzeliwałem ich ja z innymi 8 żołnierzami z automatu z odległości nie więcej niż 5 metrów. Po ukończeniu rozstrzeliwania ci robotnicy, którzy zostali tylko ranni i byli jeszcze żywi, byli dobijani przez podoficera Waltera (prawdopodobnie chodzi o Waltera *Windenschocka* —dop. J. *W.*). O ile mi wiadomo, żaden obcokrajowiec robotnik przed jego rozstrzelaniem nie był sądzony przez żaden sąd" [43]. Do tego ostatniego zdania jeszcze wrócimy.

O zaopatrzeniu rewiru w leki i możliwości ich uzyskania nawet w okresie epidemii może świadczyć opisana przez dra Kazimierza *Hałgasa* epidemia jaglicy [44], zwanej też w obozie trachomą. Dzięki zbiórce pieniędzy z posiadanych depozytów można było kupić leki. Dr Willibald *Jobst* wstawił się u komendanta o zezwolenie wypłat zadeklarowanych składek, lecz nie uczynił tego ze względów lekarskich ani humanitarnych, ale w obawie przed ewentualnymi konsekwencjami za dopuszczenie do epidemii i przedwczesne zniszczenie siły roboczej. Widział w tym przede wszystkim osobiste korzyści. Sam zaofiarował się kupić leki. Tyle tylko, że kupił ich za około 10 000 *RM*, natomiast pozostałe 20 000 *RM* zachował dla siebie. Musiał nawet i na tym zarobić.

Gross-Rosen posiadał 106 podobozów, z tego 81 na terenie obecnej Polski, 15 na terenie Czechosłowacji i 10 na terenie NRD. Sytuacja sanitarna i zdrowotna w podobozach przedstawiała się jeszcze bardziej tragicznie. Z konieczności można to przedstawić tylko na kilku przykładach.

Pierwszym podobozem był *Arbeitslager Breslau-Lissa* (Wrocław Leśnica). Funkcjonował od lipca 1942 r. do stycznia 1945 r. Przebywało tam kilkuset więźniów zakwaterowanych w drewnianej, końskiej stajni, o podłodze z cegieł. Więźniowie spali na długich, wspólnych pryczach, jeden obok drugiego, na barłogu zasłanym resztkami słomy. Pracowali głównie przy budowie koszar.

Rewir dla 12 chorych zorganizowano w drewnianej szopie odgrodzonej od reszty pomieszczeń deskami. W początkowym okresie nie było ani lekarza, ani rewiru. Dopiero w roku 1943 zorganizowano rewir w opisanym pomieszczeniu. Lekarzem obozowym został nieżyjący już obecnie dr Józef *Jabłoński*, przywieziony tam specjalnie z Oświęcimia. Apteczkę stanowiła zwykła, drewniana szafa. Wyposażona była w odrobinę bandaży papierowych, ligninę, gazę i rivanol do dezynfekcji ran, aspirynę i trochę kropli żołądkowych. Za stół operacyjny służyła zwykła, toporna ława, a z narzędzi chirurgicznych był tylko stary skalpel, pinceta i nożyczki. Panował głód, wszawica i antysanitarne warunki. Więźniów wyniszczonych i chorych pędzono do pracy i to powodowało liczne wypadki przy pracy. Więźniowie umierali od chłosty, wycieńczenia, głodu i krwawej biegunki. Za najdrobniejsze przewinienie stosowano chłostę. Warto zacytować fragmenty zeznań dra Józefa *Jabłońskiego*: „Pamiętam operowanie rozległej ropowicy u jednego z więźniów, którego *lagerführer* polecił operować na miejscu, gdyż więzień ten jako dobry fachowiec był mu potrzebny przy budowie, a przekazywani do Gross-Rosen (tam ciężko chorych likwidowano — dop. J. *W.*) chorzy zazwyczaj nie wracali na to samo komando. Operowałem więźnia w ten sposób, że położonego na ławie trzymali silnie przydzieleni mi do pomocy dwaj inni więźniowie. Operacja odbyła się bez znieczulenia. Mimo wszystko chory wytrzymał ten ciężki zabieg i wrócił do pracy" [45].

W Brzegu Dolnym istniały dwa podobozy. *Arbeitslager Dyhernfurth I* utworzono w lipcu 1943 r., *Arbeitslager Dyhernfurth II* — w styczniu 1944 r. [46], oba funkcjonowały do stycznia 1945 r. Szef *WVHA*, Oswald *Pohl*, w piśmie z dnia 15 stycznia 1944 r. [47] do *oberführera SS*, Freuda *Kranefussa*, zapewniał o skierowaniu tam 9 700 więźniów, ale oba obozy nie przekroczyły liczby 3 300 więźniów. Więźniowie byli zatrudnieni w *IG Farbenidustrie*. Więźniowie *Dyhernfurth I*, w liczbie 200—300, zatrudnieni byli w fabryce *Anorgana GmbH* przy napełnianiu pocisków i bomb lotniczych płynnym gazem tabunem. Więźniowie mieszkali w dwóch barakach, pod którymi znajdowały się zbiorniki z tabunem. Obok wybudowano halę, w której w specjalnych komorach więźniowie napełniali i sprawdzali szczelność bomb i pocisków.

Zespół baraków oraz wspomniane hale otoczone były drutem kolczastym i wieżami strażniczymi, a ponadto hala produkcyjna otoczona była podwójnymi zasiekami z drutu kolczastego pod wysokim napięciem. Nikomu nie wolno było tam się zbliżać; nie wpuszczano tam nawet esesmanów. Więźniowie przeznaczeni do napełniania pocisków i bomb tabunem pracowali w maskach przeciwgazowych, ale nie mieli żadnego innego zabezpieczenia ani odzieży ochronnej. Przy wykonywaniu innych czynności pozbawieni byli też masek. Podczas pracy zdarzyły się liczne zatru-

[43] Zob. przypis 25, zeznania Otto *Schuberta*.

[44] K. *Hałgas:* Epidemia jaglicy w Gross-Rosen w roku 1943. Przegl. Lek., 1975, nr 1, s. 169.

[45] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 28/68, zeznania świadka J. *Jabłońskiego*.

[46] K. *Hałgas:* Z zagadnień sanitarnych komanda Dyhernfurth II. Przegl. Lek., 1977, nr 1, s. 122—130.

[47] Zob. przypis 30, s. 236—237.

cia tabunem, w tym kilka śmiertelnych. Zatrucia objawiały się zwężeniem źrenic, silnym osłabieniem wzroku, bólami głowy, uczuciem duszności, wymiotami, oszołomieniem, zapaleniem spojówek, a w cięższych przypadkach wyciekiem śluzu. Więźniowie z objawami ciężkich zatruć znikali z obozu. Wywożono ich do Gross-Rosen, gdzie później ujawniały się w niektórych przypadkach dodatkowo zaburzenia umysłowe. Zatrucia te były spowodowane zetknięciem nie tylko z oparami, ale i samym tabunem, ponieważ nieuniknione było oblanie się tym środkiem.

Prof. dr Andrzej *Waksmudzki* zeznał m. in.: „Czasami przychodził polski lekarz, który udzielał pomocy chorym. Mimo że jestem chemikiem, nie znałem nazwy tego gazu, a dopiero po wojnie na podstawie literatury i skutków działania odczuwalnych do dziś na sobie oraz badaniom dowiedziałem się, że był to tabun. Pragnę nadmienić, że tabun występuje w stanie płynnym, będąc trudno lotnym, niemniej jednak jego toksyczność jest ogromna, bo około 0,0005 mg tabunu w litrze wody powoduje już zatrucie organizmu. Działanie toksyczne następuje nie tylko przez wdychanie, lecz skórę, przewód pokarmowy i śluzówkę. Zatrucia te blokują działanie enzymów" [48].

Rewir w wydzielonej izbie miał tylko 5 łóżek. Lekarza i prawie żadnych leków nie było. Sanitariuszem był Marek *Wawrzyniak*, który normalnie pracował, a jedynie po pracy pełnił funkcję sanitariusza na rewirze [49].

O wysokiej randze tajności obiektu świadczyć może fakt, że nie wpuszczano tam nawet osławionego Augusta Hansa *Peterka*, sanitariusza *SDG*, z *Dyhernfurth II. Rapportführerem* był znany nam już Karl *Gallasch*. Na skutek okrutnego i bezlitosnego obchodzenia się z więźniami doszło do interwencji dyrekcji fabryki u komendanta Gross-Rosen i *Gallascha* przeniesiono do *Arbeitslager Fünfteichen* (Miłoszyce). Chodziło o to, że przyuczenie do pracy trwało dość długo, a nade wszystko ważna była tajność, starano się do minimum ograniczyć ilość wtajemniczonych.

Wyżywienie było nieco lepsze niż w obozie, przydzielano także premie do 3 *RM* tygodniowo, za które można było kupić w kantynie niskokaloryczne artykuły żywnościowe. Raz tylko zdarzyła się ucieczka, ale wkrótce przyniesiono uciekinierów zastrzelonych i pokazano wszystkim ku przestrodze.

Prowadzono tam także doświadczenia i badania wpływu toksyczności tabunu na ludzki organizm. Materiałem doświadczalnym byli więźniowie, których zamykano na kilka godzin w magazynie pocisków i bomb napełnionych tabunem. Więźniowie przez ten czas nie wykonywali żadnej pracy, po prostu siedzieli tam bezczynnie. Pewnego razu wrócił pociąg z ładunkiem wyciekających pocisków. W wagonach zamknięto więźniów, którzy wyszli stamtąd z objawami zatrucia.

Według zeznań Jana *Nowaka* firma „Anorgana" płaciła władzom obozowym 6 *RM* za dzień pracy więźnia wykwalifikowanego i 3 *RM* za dzień pracy robotnika niewykwalifikowanego [50]. Nie wiemy, czy prof. Andrzej *Waksmundzki* został zaliczony do robotników wykwalifikowanych, czy niewykwalifikowanych.

Część uwięzionych w *Dyhernfurth I* wzięło udział w pamiętnym marszu śmierci przez Środę Śląską, gdzie wcale nie *SS* rozstrzelało kilkudziesięciu więźniów. Według relacji uczestnika tego marszu, dentysty *Fischera* z Sosnowca, w transporcie tym był urzędnik służby dyplomatycznej MSZ, syn hrabiego z Krakowa i lekarz z Lublina [51].

Największy podobóz zorganizowano w Miłoszycach. *Arbeitslager Fünfteichen* (Pięć Stawów) — nazwę wymyślili esesmani od takiej liczby stawów obok budującego się obozu — funkcjonował od 1 grudnia 1943 r. do 21 stycznia 1945 r. Na niewielkiej przestrzeni, w 33 barakach, stłoczono około 6 000 więźniów. Panowały tam wręcz ludobójcze warunki, toteż więźniowie masowo umierali, zwłaszcza na obrzęki głodowe, nazwane tam „lageroedema". Więźniowie pracowali w zakładach zbrojeniowych „Friedrich Krupp — Berta Werke" oraz w licznych firmach rozbudowujących te zakłady. Pracowało tam ogółem 12 000 robotników, w tym około 6 000 więźniów Gross-Rosen. Podobóz ten wyróżniał się spośród innych tym, że panowały tam wyjątkowo antysanitarne warunki i wyjątkowi sadyści stanowili załogę. Od wiosny do jesieni 1944 r. nie wymieniano bielizny osobistej. Więźniowie mogli się kąpać raz na dwa tygodnie, ale nie było ręczników ani mydła, a po kąpieli musieli na mrozie oczekiwać na pozostałych. Powszechna wszawica spowodowała, że w listopadzie 1944 r. przeprowadzono dezynfekcję, ale nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Więźniowie pracowali po 12 godzin na dobę na dwie zmiany, około 7 godzin zajmowały inne czynności, na sen pozostawało 5 godzin. Posiłki otrzymywali przed wyjściem do pracy i po powrocie. Niewyobrażalny głód i ciężka praca spowodowały, że około 50% więźniów kwalifikowało się na rewir, ale chorych, nawet nie mogących się poruszać o własnych siłach, nie przyjmowano na rewir z braku miejsc. Wypadki przy pracy i samobójstwa były na porządku dziennym.

Bernhard *Weiss*, który wizytował zakłady w październiku 1944 r., zeznał w procesie *Kruppa*, że stan więźniów był tak zły, że wielu nie było w stanie o własnych siłach przejść z obozu do pracy i musieli im pomagać koledzy, a przy maszynach padali ze zmęczenia [52]. Z raportów wizytacyjnych wiemy, że w kwietniu 1944 r. pracowało u *Kruppa* 1 688 więźniów, w lipcu 1944 r. — 2 610, a w październiku 1944 r. *Weiss* oszacował liczbę zatrudnionych na 12 000, w tym około 6 000 więźniów Gross-Rosen. I oszacował trafnie, bo w dniu 30 listopada 1944 r. stan obozu wynosił dokładnie 5 946. W wyniku raportów wizytacyjnych i interwencji dyrekcji zakładów więźniowie otrzymali bon na litr zupy i 10 papierosów z liści chmielowych tygodniowo. Nie

[48] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 1/68, S — 5/71, zeznania prof. dra Andrzeja *Waksmundzkiego*.

[49] Tamże, zeznania Marka *Wawrzyniaka*.

[50] Tamże, zeznania Jana *Nowaka*, pisarza kancelarii *Arbeitseinsatz*, który wypisywał rachunki.

[51] Zob. przypis 48, pismo pełnomocnika Rządu PRL w Środzie Śl., R. *Czaplińskiego*, z dnia 26 IX 1945 r.

[52] Uzasadnienie Wyroku w 10 procesie norymberskim (10 XII 1947—31 VI 1948) przeciwko Alfredowi *Kruppowi*.

chodziło bynajmniej o gest humanitarny, ale o zwiększenie wydajności pracy. Podczas pracy ograniczono władzę esesmanów i kapo, którzy padających ze zmęczenia więźniów, dla odstraszenia innych i zmobilizowania ich do pracy, zabijali.

Ogromna śmiertelność zmusiła władze obozowe do stałego uzupełniania stanu nowymi więźniami. Jednak w zimie 1944 r. na kolei panował taki bałagan, że transport zamiast kilku godzin trwał kilka dni. I tak np. transport kolejowy w bydlęcych wagonach, którym wysłano 120 więźniów, trwał trzy doby bez jedzenia i picia. Kiedy dotarł na miejsce, już tylko 40 osób było zdolnych do marszu, pozostali nie żyli lub z zimna i wyczerpania padali. Załadowano ich razem na ciężarówki w stos jak drewno i wywieziono w nieznane. Jednym z uczestników tego transportu był Władysław Zenon *Michalecki* z Zakopanego. W chwili aresztowania, w październiku 1944 r., przy wzroście 172 cm ważył 68 kg, po powrocie do domu już tylko 38 kg [53].

W początkowym okresie na rewir przeznaczono jeden barak, później drugi (pod nim magazynowano zwłoki zmarłych) i wreszcie jeszcze dwa. Pod koniec 1944 r. na rewirze znajdowało się około 900 chorych. Leków nie było żadnych z wyjątkiem aspiryny i cibazolu, nie było też pościeli. W nie opalanych barakach stłoczono ponad 200 chorych w każdym. Brak bielizny spowodował, że chorym wydawano tylko jedną część bielizny: dolną lub górną. Jedynym środkiem leczniczym były zimne okłady. Raz w tygodniu zabierano zwłoki. Przed zabraniem wypisywano zmarłym na piersiach numery obozowe (w Gross-Rosen nie tatuowano numerów), żeby nie było pomyłek. Natomiast więźniom zmasakrowanym zakładano w miejscach zranień opatrunki z papierowych bandaży. Miało to zapewne na celu tuszowanie masakrowania więźniów i jednocześnie stwarzanie pozorów opieki lekarskiej. Pod koniec 1944 r. nie nadążano z zabieraniem zwłok i grzebano je na miejscu. Na rewir przyjmowano tylko z wysoką temperaturą lub widocznymi okaleczeniami. Wszelkie choroby wewnętrzne, niewidoczne gołym okiem, były uznawane za symulację i chorych takich bito tak długo, aż się przyznał do symulacji, a później od nowa — jeśli jeszcze któryś żył — za symulowanie. Kończyło się to zwykle śmiercią. W wyjątkowych przypadkach, gdy więzień był bardzo cennym fachowcem i rokował nadzieję szybkiego powrotu do zdrowia, zakładano opatrunki i leczono. Pozostałych nie leczono, pozostawiono ich własnemu losowi.

Na rewirze było 11 lekarzy Żydów i jeden Niemiec, ale lekarze więźniowie nie dysponowali żadnymi lekami i nie byli w stanie nieść skutecznej pomocy, z wyjątkiem dobrego słowa i troskliwości. Zresztą kierowani na rewir byli już prawie nieboszczykami i umierali masowo. O śmiertelności może świadczyć fakt, że z transportu liczącego 80 osób, w tym kilkoro małoletnich w wieku 12—14 lat, przeżyło zaledwie pięciu [54]. W chwili ewakuacji w jednej tylko sali chorych zakaźnie było 60—90 chorych, przy życiu pozostał zaledwie jeden [55].

Lagerführerem był inwalida z niedowładem ręki (pamiątka spod Stalingradu), *sturmbannführer SS*, Otto *Stopel* [56]. Obozem interesował się o tyle, żeby jak najwięcej skierować do pracy. Toteż dał wolną rękę znanemu nam już *rapportführerowi* Karlowi *Gallaschowi*, który z sadyzmem znęcał się nad więźniami: topił w wodzie, bił, zabijał bez żadnych powodów lub złotych zębów, okradał lub zabierał w całości paczki, a upominających się o nie zabijał, wymuszał okupy na poszczególnych sztubach, które musieli wręczać sztubowi, żeby mieć spokój. Stawka wynosiła 30 do 50 *RM*, nie gardził też kosztownościami. Urządzał istne polowanie na więźniów ze złotymi zębami, zabijał ich i wyrywał im złote zęby, mostki i koronki, nawet żyjącym. Okradał i tak już z głodowych racji kuchnię. *Gallasch* urodził się we Wrocławiu. O jego stanie rodzinnym będzie jeszcze mowa. Ten cherlawy mężczyzna znalazł sobie młodą, piękną i kosztowną kochankę, nigdzie nie pracującą, Käthe *Jeron* [57]. Pobory *rapportführera* nie wystarczały na utrzymanie rodziny, wymagającej i kosztownej kochanki i na alkohol. *Jeron* towarzyszyła mu wszędzie jak cień. Kradł więc i zabijał w imię miłości dla niej. Jeden ze świadków zeznał, że zdobyte złoto dentystyczne dostarczał do Warszawy niejakiemu *Kurowskiemu* [58].

Z zeznań świadków wynika, że w chwili ewakuacji (21 stycznia 1945 r.) w obozie pozostało około 800 więźniów chorych, którzy nie byli zdolni do marszu. Pozostawiono ich w obozie pod nadzorem jednego esesmana, policjantów i *Volkssturmu*. Jeden ze świadków [59] podaje liczbę chorych 819. Podczas pierwszego noclegu ewakuacyjnego, w okolicach Ratowic zamarzło lub zmarło z wycieńczenia około 500 więźniów. Ukrywających się przed dalszą ewakuacją rozstrzeliwano, rozstrzeliwano także chorych i padających z wyczerpania. Podczas marszu upadł jeden więzień. Krewny i koledzy podnieśli go i chcieli nieść, ale *Gallasch* go zastrzelił [60]. Podczas dalszej ewakuacji na zachód, w Plauen, zatrzymano transport. Zmarłych oraz wycieńczonych do ostatnich granic (około 80 więźniów) wywleczono z otwartych węglarek, ułożono twarzą do peronu i rozstrzelano, w rozstrzeliwaniu brał udział także *Gallasch*, który był *transportführerem* [61].

Po opuszczeniu obozu przez ostatnią kolumnę, obok rewiru i w piwnicy znajdowało się około 70—80 zwłok. Hitlerowcy wywlekli chorych z rewiru i niekompletnie ubranym kazali zwłoki zakopać w pobliskim zagajniku [62].

Zajmiemy się teraz pokrótce dwoma mniej znanymi podobozami. Latem 1944 r. utworzono *Ar-*

[53] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 18/67, zeznania Władysława Zenona *Michaleckiego*.

[54] Tamże, zeznania Franciszka *Hołuba*.

[55] Zob. przypis 53.

[56] Otto *Stoppel, sturmbannführer SS*, urodzony 13 IX 1902 r. w Klammer, zmarły 10 III 1964 r. w Bayreuth. Stopień podaję za „Liste der oder für tot erklärten SS-Angehöringen und Funktionshäftlinge". W tak ważnym podobozie nie mógł być *lagerführerem hauptscharführer SS*, tj. starszy feldfebel, jak podaje T. *Kowalczyk*.

[57] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 18/77. Akta procesowe Karla *Gallascha*.

[58] Tamże, zeznania Mieczysława *Miodyńskiego*.

[59] Tamże, zeznania Jakuba *Wilczka*.

[60] Tamże, zeznania licznych świadków.

[61] Tamże, zeznania świadków.

[62] Tamże, zeznania świadków.

beitslager Görlitz (Łużyce, NRD), określany także *Biesnitzer Grund* [63]. Więziono tam około 1 000 mężczyzn, a w październiku 1944 r. opróżniono trzy baraki, w których umieszczono około 500 kobiet ewakuowanych tam z Oświęcimia. Więźniów zatrudniano głównie w fabryce „Waggon und Maschinenbau AG", produkującej pojazdy pancerne. Więźniowie pracowali 12 i więcej godzin na dobę. Spali w nie opalanych barakach i otrzymywali pożywienie ledwo wystarczające do utrzymania przy życiu.

Lagerführerem był *obersturmführer SS*, Erich *Rechenberg*, a jego zastępcą *hauptscharführer SS*, Winfried Joachim *Zunker* [64], sanitariuszem *SDG* Artur *Hoffman*. Do załogi należeli m. in. Willi *Naumann*, M. *Lange*, M. *Debreck*, *Homilius* [65]. *Lagerältesterem* był niemiecki kryminalista z Erfurtu w Turyngii, Herman *Czech*, osadzony w obozie za fałszerstwo papierów wartościowych, defraudację i zabójstwo własnej matki.

Szczególnie okrutni byli *Zunker* i *Czech*. *Zunker* z zimną krwią rozstrzeliwał więźniów za najdrobniejsze nawet przewinienie. I tak np. zastrzelił więźnia *Schwimmera* za kradzież karmy wieprzom, innego zastrzelił na podstawie denuncjacji, że ten usiłował ukraść karmę przeznaczoną dla koni, natomiast towarzyszącemu mu darował życie, ponieważ zaciął mu się pistolet, zastrzelił też trzech oficerów radzieckich. Na początku 1945 r. rozstrzelał czterech dezerterów *Wehrmachtu* dostarczonych do obozu przez miejscowe gestapo. Przed ewakuacją zgłosiło się około 20 chorych, których sam zastrzelił. Podczas ewakuacji brał udział w rozstrzeliwaniu 25 więźniów, którzy ukryli się przed dalszą ewakuacją. W drodze powrotnej (ewakuację zawrócono) zastrzelono około 80 chorych i wyczerpanych.

W początkowym okresie nie było rewiru. Masowe zachorowania zmusiły do wydzielenia dwóch baraków i urządzenia rewiru. W obozie było ośmiu lekarzy, w tym dentysta, ale na rewirze ordynowali tylko po normalnej pracy w fabryce, gdzie pracowali na równi z innymi. Nie dysponowali żadnymi lekami, narzędziami ani gabinetem dentystycznym. Nie otrzymywali nawet środków opatrunkowych. Więźniów, którzy ulegli wypadkowi w pracy, opatrywano z apteczki fabrycznej. Sanitariusz *SDG* nie interesował się rewirem. Całą władzę nad więźniami i rewirami sprawował nadgorliwy sadysta, Herman *Czech*. Początkowo spał z dwoma lekarzami, później kazał sobie urządzić oddzielny pokój w baraku rewiru, podczas gdy więźniowie na rewirze leżeli po dwóch i trzech na jednej pryczy. Chorych zgłaszających się na rewir zanurzał w wodzie i bił. Stylem od łopaty zabił więźnia *Przyborowskiego*. Chorych bił tak dotkliwie, że ci wkrótce marli. Za kradzież w kuchni zabił 24-letniego więźnia *Niedzielskiego*. W nocy wpadł do rewiru i pobił tam śmiertelnie więźnia, ponieważ ten kaszlał, a to przeszkadzało mu w spaniu. Tuż przed ewakuacją złapano czterech lub pięciu pilotów radzieckich, których *Czech* osobiście zabił w łaźni i zmusił dentystę Jana *Kirnusa* z Łodzi do wystawienia aktu zgonu, podając fikcyjne przyczyny [66]. Podczas ewakuacji został uzbrojony i strzelał do więźniów. Po wojnie zgubiła go nadgorliwość, której nie wyzbył się nigdy [67].

Drugim podobozem był *Arbeitslager Bautzen* (Łużyce, NRD). Zorganizowano go w październiku 1944 r. Pierwszą grupę 100 więźniów przywieziono w październiku 1944 r., później jeszcze dwa transporty po 200 więźniów i uzupełniano, tak że ogółem przeszło przez ten obóz około 600 więźniów. Najwyższy stan, 519 więźniów, odnotowano pod koniec 1944 r. [68]. Pisarz obozowy [69] zeznał, że najwyższy stan wynosił 515 więźniów, w chwili ewakuacji już tylko około 200.

Lagerführerem był *unterscharführer SS*, Rudolf *Jannasch*, urodzony 28 kwietnia 1908 r. w Bautzen, gdzie był wcześniej urzędnikiem pocztowym. W roku 1944 powołany do służby wartowniczej w Mauthausen, skąd został przeniesiony do Gross-Rosen, później awansowany na *lagerführera* w swoim rodzinnym mieście. Sanitariuszem *SDG* był *unterscharführer SS*, Wilhelm *Bahr*, z zawodu kołodziej. Więźniów zatrudniano w tamtejszej fabryce wagonów, produkującej sprzęt bojowy, a także w malarni i spawalni, bez dostarczenia jakiegokolwiek sprzętu ochronnego. Łatwo więc ulegali zatruciom farbami i porażeniu oczu.

W nie opalanych barakach panował niesamowity brud i wszawica. Brak było wody, aczkolwiek kilka metrów od obozu płynęła Szprewa. Od wiosny 1945 r. więźniów zatrudniano także przy kopaniu okopów i zbieraniu młodych pędów pokrzyw, z których gotowano zupę. Dzienna racja chleba wynosiła 200 g, później już tylko połowę tego.

Lekarzem obozowym był dr Kornel *Gibiński*, późniejszy profesor Śląskiej Akademii Medycznej. Sanitariuszami byli więźniowie Władysław *Szaławiga* i Mikołaj *Butenko*. Na rewirze wydzielono część baraku. Panował tam niesamowity tłok, na jednej pryczy leżało nawet trzech, czterech chorych. Ludobójcze warunki powodowały zapadanie więźniów na obrzęki głodowe, krwawą biegunkę, zapalenie płuc, gruźlicę, odmrożenia i ropowice. Leków nie było żadnych, opatrunków też.

Sytuację panującą w rewirze najlepiej oddadzą fragmenty zeznań prof. *Gibińskiego:* „Bezpośrednim moim szefem był Wilhelm *Bahr*. Zawsze musiałem meldować *Bahrowi*, których więźniów przyjąłem i z jakiego powodu, tzn. z jakimi objawami. Wówczas *SDG Bahr*, według swego uznania, wybierał chorych więźniów, a w szczególności chorych na gruźlicę, wycieńczonych (muzułmanów), chorych na epilepsję, jak i takich więźniów, którzy mu się nie podobali i tych więźniów w mojej obecności uśmiercał zastrzykami. Przeważnie przynosił ze sobą zastrzyki z zewnątrz obozu, jak z kwasu solnego czy fenolu, wody utlenionej i wybranym przez siebie ofiarom

[63] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 46/69. Pismo Prokuratury Generalnej NRD (Der Generalstaatsanwalt DDR) z dnia 27 I 1970 r.

[64] Tamże, Ds. 46/69. W piśmie Landesjustizverwaltung w Ludwigsburgu z dnia 23 VI 1971 r. podano stopień *Zunkera: hauptsturmführer SS*, on zaś podczas procesu przyznał się tylko do stopnia *oberscharführera SS*.

[65] Według pisma Prokuratury Generalnej NRD z dnia 12 II 1971 r. wszyscy czterej zmarli.

[66] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 46/69. Akta procesowe Hermana *Czecha*.

[67] Zob. o procesie H. *Czecha* na końcu artykułu.

[68] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 12 — S/72. Zeznania złożone przez Ludwika *Szustera* w dniu 13 VI 1946 r.

[69] Tamże, zeznania pisarza obozowego, Józefa *Gajdzicy*, z dnia 3 IV 1947 r.

dawał zastrzyki raz dożylne, w innych przypadkach — według własnego uznania — w tył głowy (cysterna potyliczna), jak i wprost w serce. Po tych zastrzykach więźniowie natychmiast umierali. Było rzeczą zadziwiającą, że *SDG Bahr* umiał dawać zastrzyki, jakby był fachowcem. Były wypadki, że nieraz uśmiercał dziennie w ten sposób kilku więźniów. *Bahr* uśmiercił osobiście na rewirze około 60 więźniów. Po uśmierceniu *Bahr* dyktował mi fikcyjne rozpoznanie choroby, jak i przyczyny śmierci więźnia, i ja musiałem wpisywać powyższe dane do karty więźnia — przeważnie niedomoga serca lub krążenia krwi" [70].

W innym zeznaniu, w obecności prokuratora Dietera *Radtko*, Günthera *Ponthöfera* z policji w RFN i tłumacza, zeznał: „Jednego więźnia, z pochodzenia Belga, któremu *Bahr* dał zastrzyk i więzień zbyt długo się męczył, *Bahr* dobił świdrem czy też dłutem wbitym w serce. Zaszpilowani: Władysław *Jurkowski*, Henryk *Kosiński* z Warszawy, Luis *Janors* z Belgii, Georg *Najdionow*, Paweł *Sacharow* oraz Wasyl *Joniec* z Rosji, Stanisław *Ignaciuk* i Kazimierz *Kurzyński* oraz *Jurzysta*, *Cichecki* i Władysław *Mydlarz* z Polski, Franio *Mijakić* z Jugosławii i *Gorafícki* z Polski. Tyle nazwisk zapamiętałem z zaszpilowanych 60 więźniów" [71].

W transportach uzupełniających więźniowie umierali w drodze lub trafiali bezpośrednio na rewir, często bezpośrednio po zastrzyk *Bahra*. Zmarłych i zamordowanych grzebano na pobliskim zalesionym wzgórzu, groby równano z ziemią. Władysław *Karbowniczek* zeznał 28 marca 1947 r., że brał udział w grzebaniu ponad 300 zmarłych [72].

W dniu 21 kwietnia 1945 r. około 80 więźniów zdolnych jeszcze do marszu ewakuowano na teren Czechosłowacji, w drodze rozstrzeliwano chorych i wycieńczonych. Przed samą ewakuacją wcielono do *Wehrmachtu* kilkunastu kryminalistów niemieckich, głównie funkcyjnych. W obozowym rewirze pozostało około 100 chorych, głównie na obrzęki głodowe, zapalenie płuc i gruźlicę. Nie pozostawiono żadnych leków, żywności, nie pozostawiono nawet sanitariusza. Pozostało kilku esesmanów, którzy zamierzali chorych spalić w zamkniętym baraku [73]. Nie zdążyli jednak, przeszkodziło wejście czołówki wojsk radzieckich. Esesmani przeprawili się pontonami na drugi brzeg Szprewy i nadal „ochraniali" więźniów. Wychodzących z rewiru ostrzelali z broni maszynowej, w wyniku tego pięciu chorych zostało zabitych i jeden ciężko ranny. Po wyzwoleniu obóz mogło opuścić 47 więźniów, pozostali byli ciężko chorzy.

W rejonie Wałbrzycha zorganizowano zespół podobozów i komand oznaczonych kryptonimem „Riese". Centralnym obozem był *Arbeitslager Wüstegiersdorf* (Głuszyca). Zespół tych obozów oddano do dyspozycji organizacji *Todt*, której zadaniem było ukrycie w Sowich Górach przemysłu zbrojeniowego ewakuowanego z zachodu. Więźniów zatrudniano głównie przy drążeniu tuneli. Według ustaleń OKBZH we Wrocławiu, zgrupowano tam około 38 000 robotników, z tego około 23 000 było więźniami Gross-Rosen [74]. Według licznych relacji, potwierdzonych zeznaniami, zwłaszcza byłego *lagerältestera Wüstegiersdorfu*, Aleksandra *Majora* vel *Messingera*, zamieszkującego w Nitrze w CSSR, podobozowi temu podlegało 12 podobozów i komand roboczych [75]. Warunki w Głuszycy w porównaniu z innymi podobozami były jeszcze znośne, ale w pozostałych — tragiczne. Brak było wszystkiego, co konieczne do życia. Głód, wielogodzinna ciężka praca, nie opalane baraki i pomieszczenia zakwaterowań powodowały ogromną śmiertelność. Początkowo zwłoki odwożono do Gross-Rosen, ale później nie nadążano i chowano je w pobliżu miejsc pracy, na wzgórzach porosłych lasami, groby równano z ziemią. Góry Sowie stały się cmentarzyskiem tysięcy ludzi, których miejsc pochowania ani nazwisk zapewne nie dowiemy się już nigdy.

Centralny szpital dla „Riese" zorganizowano najpierw w Głuszycy. Umieszczani tam chorzy znikali w ciągu dnia i wszelki ślad po nich ginął. Później szpital przeniesiono do Jedlinki (Tannhausen), a na początku 1945 r. na ten cel przeznaczono Kolce (Dörnhau). Przeniesienie tam szpitala centralnego miało na celu ukrycie, że jest to faktycznie poczekalnia na cmentarz. Ten, kto dostał się do tego rewiru, ginął. „Szpital" zyskał sobie złą sławę i nazwę „Krepierungslager". Według zeznań Aleksandra *Majora* w Wüstegiersdorf zginęło około 4 000 chorych, a 20 zostało straconych. „Miałem o tym dokładne wiadomości — zeznał — gdyż zwłoki gromadzono w naszym obozie" [76]. Lekarzem tego kombinatu śmierci był *oberscharführer SS*, dr Heinrich *Reinfleisch*, a sanitariuszem *SDG rottenführer SS*, Fritz *Herzog*. O ich działalności wiemy bardzo mało, ponieważ przeżyli tylko nieliczni świadkowie. Na rewirze nie mogło być więcej niż 1% więźniów, nadwyżkę wywożono w nieznane.

Jeszcze dotąd Góry Sowie kryją w sobie wiele zagadek i tajemnic. Cytowany już pisarz obozowy, Jan *Nowak*, zeznał, że do grudnia 1944 r. dzienny stan więźniów „Riese" wynosił około 23 000. Jednego dnia stan zmniejszył się nagle do 3.000. Jednej nocy „zniknęło" 20 000 więźniów. „Ponieważ wydawało mi się, że zaszła jakaś pomyłka, zwróciłem na to uwagę esesmanowi przyjmującemu meldunki, na co ten odpowiedział, że meldunek jest prawidłowy. Ze szczątków podsłuchanych rozmów doszedłem wraz z innymi więźniami do przekonania, że była to likwidacja komanda »Riese«. Nastąpiło to prawdopodobnie przez zamknięcie tej ilości więźniów w jakichś wydrążonych w skale pieczarach" [77].

Część więźniów „Riese" ewakuowano do Flossenbürga przez Trutnov w CSSR. Cytowany już A. *Major* zeznał: „Z Chwalce wychodziliśmy i wracali. Za nami jechał wóz drabiniasty i zabierał więźniów, którzy z powodu wyczerpania

[70] Tamże, zeznania prof. Kornela *Gibińskiego* z dnia 28 XI 1973 r.

[71] Tamże, cyt. zeznania prof. Kornela *Gibińskiego*.

[72] Tamże, zeznania Władysława *Karbowniczka*.

[73] Tamże, zeznania Józefa *Gajdzicy*, który tę informację uzyskał od więźnia funkcyjnego przed wcieleniem go do *Wehrmachtu*.

[74] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 43/67. Postanowienie o częściowym umorzeniu śledztwa.

[75] OKBZH we Wrocławiu, Ds 17/61, S — 22/70. Zeznania A. *Majora* w Wydziale Śledczym Bezpieczeństwa Publicznego Hradec Kralove (CSSR), przesłane przez Federalne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych CSSR.

[76] Tamże, zeznania A. *Majora*.

[77] Tamże, Ds. 1/68, S — 5/71. Zeznania Jana *Nowaka*.

nie mogli już dalej iść. Kiedy wóz był pełny, odjeżdżał, za chwilę słyszeliśmy strzelaninę" [78]. Oto fragment zeznań woźnicy wspomnianego wozu drabiniastego: „Więźniowie musieli się jednak rozebrać do naga. Niektórzy nie byli już w stanie rozebrać się, więc pozostali ubrani. Następnie esesmani wygnali więźniów na skraj lasu, gdzie musieli stawać czwórkami i strzelali im w tył głowy, za ucho. Zdolni do transportu wracali do wozu" [79].

W dniach 30 sierpnia 1945 r. oraz 21 i 22 września 1945 r. na trasie ewakuacji przeprowadzono wizję lokalną. Sąd Powiatowy w Dvore Kralove nad Łabą dokonał ekshumacji zwłok. W dziesięciu masowych grobach znaleziono 145 zwłok. Pewną przyczynę śmierci stwierdzono u 130: 86 — rana postrzałowa, 3 — rana kłuta, 22 — uderzenie tępym narzędziem, 4 — zadeptanie, 15 wycieńczenie. U pozostałych 15 jako prawdopodobną przyczynę śmierci podano wycieńczenie [80]. W dwóch kolejnych grobach odnaleziono 43 zwłoki. Tu także przyczyny śmierci były podobne, jak w poprzednich [81].

Na tym można by zakończyć ten skromny artykuł. Warto jednak przypomnieć, że więźniowie obozów koncentracyjnych pozbawieni byli jakichkolwiek praw i skazywani na śmierć za najdrobniejsze faktyczne i domniemane przewinienia, bez sądu, bez możliwości odwołania i obrony. Zeznawał na ten temat dowódca plutonu egzekucyjnego, *Schubert* [82].

Przypomnijmy więc trzy procesy zbrodniarzy z Gross-Rosen. W maju 1947 r. odbył się we Wrocławiu proces przeciwko Karlowi *Gallaschowi* (synowi Karola i Pauliny *Seidler*, urodzonemu 17 listopada 1897 r. we Wrocławiu, żonatemu, mającemu pięcioro dzieci w wieku 8—19 lat). *Gallasch*, z którym rozstaliśmy się przy rozstrzeliwaniu więźniów w Plauen, powrócił do Wrocławia po swoją kochankę Käthe *Jeron*, z którą zamierzał wyjechać do okupacyjnej strefy amerykańskiej. Aresztowany został 16 czerwca 1945 r. Prawie dwa lata trwało śledztwo. W maju 1947 r. zasiadł na ławie oskarżonych. Bronił go obrońca z urzędu, mecenas W. *Jampolski*, na tłumacza powołano aplikanta sądowego, Pawła *Kapuścika*. Podczas odczytywania aktu oskarżenia świadków usunięto do oddzielnego pokoju. Wszystkie pytania i odpowiedzi były tłumaczone. Zeznawało kilkudziesięciu świadków. Kilku ze względu na stan zdrowia nie stawiło się, w tym dr K. *Hałgas* i prof. A. *Waksmundzki*, ich zeznania — za zgodą stron — odczytano. Oskarżony powołał świadków: Karla *Losky*, Nizi *Mlitz*, N. *Weisa*, później jednak zrezygnował z nich. Bronił się zawzięcie, wszystkiemu zaprzeczał, na pytania obrońcy wyjaśnił: „Świadkowie prawdopodobnie są w zmowie i składają fałszywe zeznania, żeby mnie zgubić". I dalej: „Fakt, że pięciu świadków z różnych miejscowości jednakowo mnie obciąża (chodziło o mordowanie więźniów ze złotym uzębieniem — dop. J. *W.*,) tłumaczę chęcią zemsty za pobyt w obozie" [83].

Na sali rozpraw panuje ciężka, obozowa atmosfera. Świadkowie opisują okrucieństwa, wybijanie złotych zębów, zabijanie, okradanie paczek i wiele innych, które jeżą włos. Ciężką atmosferę procesu rozładowuje zaskakująca prośba aplikanta sądowego i tłumacza, mgra Pawła *Kapuścika*: „Przysięgły tłumacz sądowy prosi o przyznanie mu wynagrodzenia za dotychczasowe czynności i czynności jeszcze przedsięwziąć się mające" [84] — zaprotokołowała Małgorzata *Iwanowska*, aplikant sądowy, dziś wzięty adwokat. Chuda kieszeń aplikanta sądowego i pusty żołądek tłumacza przysięgłego przypomniały, że życie jednak toczy się dalej, a tamte koszmarne czasy minęły bezpowrotnie. Były to jedyne ludzkie słowa w tym procesie.

Po latach odnalazłem mgra Pawła *Kapuścika*, dziś znanego adwokata. Proces pamięta doskonale. Oto fragmenty jego pisemnego oświadczenia: „Stwierdzam, że oskarżony miał możność obrony. Proces odbył się zgodnie z procedurą. Nawet sami Niemcy obciążali oskarżonego. Wyrok śmierci był sprawiedliwy, aczkolwiek oskarżony zaprzeczał wszystkim zarzutom. Jako tłumacz na procesie oświadczam, że proces odbył się według wszelkich wymogów prawnych. Tłumaczyłem szereg dokumentów, które przedłożył oskarżony" [85].

Odnalazłem także ówczesnego świadka i byłego więźnia Gross-Rosen nr 27605, dra Józefa Andrzeja *Ochlewskiego*, obecnie dyrektora naczelnego wielkiego szpitala. Oto fragmenty jego pisemnego oświadczenia: „Przebieg procesu według mojej oceny przedstawiał się, jak spokojny, rzeczowy proces — bez atmosfery ekscytacji czy sensacji. Oskarżony sprawiał wrażenie człowieka o aktualnie dobrej kondycji fizycznej i psychicznej. Na ławie oskarżonych siedział swobodnie, nie skuty. Miał prawo zadawania pytań i składania oświadczeń bez ograniczeń. Bronił go adwokat z urzędu. Biegle i niezwłocznie wszystko było tłumaczone przez bardzo dobrego tłumacza. Pozwolę sobie na jedną refleksję — porównanie. Zeznawałem przed dwoma laty w procesie w Düsseldorfie, przeciwko esesmanom z Majdanka. Tamta atmosfera miała charakter niemal przedstawienia z tendencją obrony oskarżonych, a sposób zadawania pytań przez obrońców, a nawet i innych uczestników procesu nasuwał odczucie, że to byli więźniowie są winni i muszą się tłumaczyć" [86]. W dniu 17 maja 1947 r. Karl *Gallasch* został skazany na karę śmierci, w dzień później popełnił samobójstwo [87].

Znany nam z Görlitz Winfried *Zunker* (syn Ferdynarda i Almy, urodzony 18 września 1917 r. w Fürstenwalde nad Szprewą, żonaty, mający dwoje dzieci w wieku 2 i 4 lat, ewangelik, odznaczony żelaznym krzyżem II klasy), ujęty w strefie radzieckiej i 3 lutego 1947 r. wydany Polsce, stanął przed sądem w Łodzi; bronił go z urzędu mecenas dr Jakub *Steckiewicz*. Oskarżony bronił się z pasją i wszystkiemu zaprzeczał. W dniu 1 czerwca 1948 r. został skazany na ka-

[78] Zob. przypis 75.
[79] Tamże, zeznania Tomasza *Jurka*.
[80] Tamże, wizja lokalna.
[81] Tamże, wizja lokalna.
[82] Zob. przypis 25, zeznania Karla Otto *Szuberta*.
[83] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 18/67. Akta procesowe K. *Gallascha*.
[84] Tamże, protokół z rozprawy.
[85] Pisemne oświadczenie A. *Kapuścika*, u autora artykułu.
[86] Pisemne oświadczenie A. J. *Ochlewskiego*, u autora artykułu.
[87] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 18/67. Akta procesowe i zawiadomienie o śmierci więźnia.

rę śmierci. Ojciec oskarżonego, prof. dr Ferdinand *Zunker* z Uniwersytetu w Berlinie, mieszkający wówczas w Dreźnie, A 24, Helmholtz Strasse 3 b, brał udział w procesie. Robił wszystko, żeby ratować syna. W tym czasie w Bautzen został skazany na 8 lat więzienia niejaki Gerhard *Sedlak*, urodzony 10 września 1913 r., za denuncjację *Zunkerowi* więźnia, który usiłował ukraść karmę przeznaczoną dla koni, a którego *Zunker* natychmiast zastrzelił. Ferdinand *Zunker* doniósł o tym obrońcy J. *Steckiewiczowi* w błagalnym liście i prosił o wniesienie wniosku odroczenia wykonania wyroku i wznowienia postępowania, załączając pełnomocnictwo. Obrońca wniósł do Ministerstwa Sprawiedliwości wniosek o wznowienie postępowania i wstrzymanie wyroku, motywując tym, że *Zunkera* skazano za to samo przestępstwo, za które skazano już *Sedlaka*. Sprawa zaczęła się przeciągać. Po zbadaniu faktów Sąd Najwyższy odrzucił wniosek obrony, ponieważ chodziło o inne przestępstwo, a ponadto *Sedlak* został skazany tylko za denuncjację, wskutek czego *Zunker* pozbawił życia więźnia. Wyrok wykonano w dniu 25 stycznia 1949 r. [88].

Herman *Czech* (syn Ferdynanda i Marii *Ring*, urodzony 27 listopada 1893 r. w Opolu, jedno dziecko z pierwszego małżeństwa, odznaczony żelaznym krzyżem II klasy, matkobójca, były *lagerältester* w Görlitz) po zakończeniu wojny wrócił do Erfurtu jako ofiara faszyzmu i bohater. Ofiarował swoją pomoc zarówno władzom niemieckim, jak i radzieckim w tropieniu zbrodniarzy wojennych, miał nawet osiągnięcia. Ale był to okres największego w dziejach ludzkości polowania na sprawców. Na liście Komisji do Spraw Zbrodni Wojennych znalazło się milion ludzi podejrzanych o zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości [89]. Niedoszłe ofiary i świadkowie jego zbrodni żyły i nie ustawały w poszukiwaniach, żeby dopełnić sprawiedliwości. W chwili aresztowania był zdziwiony i pewny siebie. Spokorniał dopiero wtedy, kiedy znalazł się w łódzkim więzieniu przy ul. Sterlinga, a jeszcze bardziej, kiedy zasiadł na ławie oskarżonych i poznał wiele niedoszłych ofiar. Czy nie żałował, że uszli z życiem? Herman *Czech* wszystkiemu zaprzeczał i do niczego się nie przyznawał. Jednakże zeznania wielu świadków zadecydowały i 1 czerwca 1948 r. został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 27 stycznia 1949 roku [90]. Zgubiła go nadgorliwość.

Zamieszczamy wykaz odpowiedzialnych za sytuację sanitarną oraz mordowanie więźniów Gross-Rosen (w nawiasach daty i miejsca urodzenia):

Karl *Babor* (23 VIII 1918 r. w Wiedniu), *hauptsturmführer SS*, lekarz obozowy, w styczniu 1964 r. popełnił samobójstwo w Addis Abebie: Wilhelm *Bahr* (25 IV 1907 w Gleschendorfie), *rottenführer SS*, sanitariusz *SDG*, stracony w Hameln 8 X 1964; Philip *Braun* (2 I 1909 Cervenka), *unterscharführer SS*, sanitariusz *SDG*, zmarł po wojnie w Heimpersdorf; Friedrich *Entress* (8 XII 1914 w Poznaniu) *hauptsturmführer SS*, lekarz obozowy, stracony w Landsbergu 28 V 1947; Erich *Frank* (28 II 1904 w Sarajewie), *obersturmbannführer SS*, dentysta, zmarł 26 I 1945 r. w Wiedniu; Fritz *Herzog* (24 IV 1895 w Scherrsau), *rottenführer SS*, sanitariusz *SDG*, zmarł 19 VI 1945 r. w Głuszycy; Artur *Hoffman* (9 VII 1895 w Bockau), *unterscharführer SS*, sanitariusz *SDG*, zmarł 19 VIII 1962 r. w Diepholz; Willibald *Jobst* (27 X 1912 w Eger), *hauptsturmführer SS*, lekarz obozowy, stracony 28 V 1947 w Landsbergu; Walter *Kleinert* (3 V 1904 w Gablonz), kapo rewirowy, zmarł 7 I 1959 w Brunszwiku; Fritz *Kurzel* (16 VIII 1895 we Wrocławiu), *hauptscharführer SS*, zmarł 17 IV 1958 w Kilonii; Egon Matoni *Pupp* (3 IX 1902 w Karlsbadzie), pisarz rewiru, zmarł 16 IV 1962 w Salzburgu; August Hans *Peterek* (7 X 1897 w Kauthen), *unterscharführer SS*, sanitariusz *SDG*, zmarł po wojnie, miejsce nie znane; Georg Adam *Prill* (14 XII 1901 w Essen), kapo rewirowy i *blockältester*, zmarł 17 III 1967 w Altonie; Wilhelm *Riesener* (25 VIII 1913 w Sterkrade), kapo sanitariusz, zmarł 21 III 1955 w Oberhausen; Heinrich *Rinfleischer* (3 III 1916 w Strasburgu), *obersturmführer SS*, lekarz obozowy, zmarł 14 I 1969 r. w Essen; Gottlieb *Schmidt* (26 I 1914 w Gdańsku), *rottenführer SS*, sanitariusz *SDG*, zmarł 6 IX 1959 w Baden-Baden; Helmut *Vetter* (21 III 1910 w Rastenburgu), *hauptsturmführer* SS, lekarz obozowy, stracony 2 II 1949 w Landsbergu; Kurt *Vogel* (11 II 1909 w Berlinie), kapo karnej kompanii, stracony w r. 1945 w Dachau; Christian *Wohlrab* (27 IV 1919, miejsce urodzenia nie znane), *unterscharführer SS*, sanitariusz *SDG*, stracony 12 XI 1948 r. w Landsbergu.

BRONISŁAWA FIJAŁKOWSKA, JÓZEF WITKOWSKI

Wrocław

Kobiety w Gross-Rosen

Obóz koncentracyjny Gross-Rosen był przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn. Od czasu do czasu pojawiały się tam jednak kobiety, np. wczesną wiosną 1943 r. lekarki, ale wątpliwe wydaje się skierowanie ich do rewirów w podobozach, skoro wtedy Gross-Rosen nie posiadał jeszcze podobozów kobiecych [1]. Po powstaniu warszawskim przez Gross-Rosen przewinęło się sporo kobiet, ale tylko „przejazdem", głównie do Ravensbrück. Również etapowo znalazła się tam Bronisława *Karakulska* [2]. Na przełomie lat 1944 i 1945 do Gross-Rosen trafiały kobiety ewakuowane marszami śmierci z Oświęcimia. Podczas jednego z takich marszów udało się zbiec Węgierce, Oldze *Galló* [3].

[88] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 46/69. Akta procesowe W. *Zunkera*.

[89] J. *Heydecker*, J. *Leeb*: Trzecia Rzesza w świetle Norymbergi. Warszawa 1979, Książka i Wiedza, s. 23.

[1] M. *Mołdawa:* Gross Rosen — obóz koncentracyjny na Śląsku. „Polonia", Warszawa 1967, s. 81.

[90] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 46/69, akta procesowe H. *Czecha*.

[2] Zob. J. *Witkowski:* Małoletni więźniowie Gross-Rosen. Przegl. Lek., 1980, nr 1, s. 119.

[3] Olga *Galló*, młoda dziennikarka dziennika „Nepszawa", została aresztowana w Budapeszcie w roku 1944. Zesłana do Oświęcimia. Podczas noclegu ewakuacyjnego

Kobiety w podobozach znalazły się w związku z włączeniem do obozów koncentracyjnych tzw. *Zwangsarbeitslager für Juden*, tworzonych przez organizację zwaną skrótowo „Schmelt". Oto krótka historia tej organizacji *SS*.

W roku 1940 na polecenie *Himmlera* powołano Urząd Pełnomocnika *Reichsführera SS* i szefa Policji na obszar Górnego Śląska z siedzibą w Sosnowcu (Dienststelle der Sonderbeaftrages des Reichsführer SS und Chef Polizei in Sosnowitz). Twórcą i pierwszym kierownikiem tej organizacji był *SS-Brigadeführer* Albrecht *Schmelt*, urodzony 19 sierpnia 1899 r.[4], z IV departamentu Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*RSHA*), a więc gestapo. Miało to związek z planową eksterminacją Żydów, których przedtem postanowiono jeszcze wprzęgnąć do produkcji w drobnym przemyśle zbrojeniowym. Utworzono przeszło 80 takich obozów, w których zamknięto co najmniej 60 tys. Żydów, w oddzielnych obozach kobiety i w oddzielnych — mężczyzn. Obozy takie organizowano na Górnym i Dolnym Śląsku oraz w paśmie Sudetów na terenie dawnej Czechosłowacji.

Pod względem warunków bytowania lagry te nie odbiegały od obozów koncentracyjnych i obliczone były na stopniową eksterminację przez wyniszczającą pracę. Więźniowie z reguły musieli pracować po 12 godzin na dobę; pożywienie otrzymywali dwa razy dziennie: rano i wieczorem. Pozbawieni byli całkowicie opieki i pomocy lekarskiej. Kwaterowano ich w prymitywnych, nie opalanych i nie nadających się do zamieszkania barakach, co — przy pracy ponad siły — prowadziło do masowych zgonów. Zmarłych i zamordowanych grzebano zwykle bezimiennie w pobliżu obozu, przeważnie nocą, a groby równano z ziemią. Warto dodać, że obozy te tworzono na podstawie zamówień zainteresowanych firm.

Firmy, które do pracy wynajmowały więźniów, płaciły *SS* około 4 *RM* (marki) za każdy dzień pracy jednego więźnia. Obowiązane były zapewnić zakwaterowanie i wyżywienie więźniom za sumę około 0,80 *RM* od osoby, potrącaną sobie z należności dla *SS*. Natomiast załogi — ze zrozumiałych względów — zapewniała organizacja „Schmelt"; rekrutowano je z policji różnych formacji, *SS* oraz miejscowych działaczy *NSDAP*. Rudolf *Höss* tak scharakteryzował te obozy: „Obozy pracy *Schmelta* znajdowały się w stanie dosyć zaniedbanym, prawie bez dyscypliny i miały wysoką śmiertelność. Opieka lekarska prawie nie istniała" [5].

Po konferencji w Wannsee (20 stycznia 1942), gdzie zapadła decyzja ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej (*Endlösung der Judenfrage*), obozy te miały być rozwiązane, a więźniowie przekazani do obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu i Gross-Rosen. Jednakże interwencja Ministerstwa Uzbrojenia Rzeszy spowodowała nie tylko odroczenie likwidacji tych obozów, ale *RSHA* zezwolił nawet na uzupełnianie stanów z transportów kierowanych do Oświęcimia z Europy zachodniej. Odbywało się to w ten sposób (głównie na stacji kolejowej w Koźlu), że z transportów wybierano młodych i zdolnych do pracy, a na ich miejsce dostarczano taką samą liczbę wyniszczonych do ostatnich granic, a nawet zmarłych [6]. Dopiero na przełomie lat 1944 i 1945 zarządzeniami Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy oraz Głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego *SS* włączano je stopniowo jako podobozy Gross-Rosen. Przede wszystkim tą właśnie drogą znalazły się w Gross-Rosen kobiety.

Kobiety więziono w co najmniej 40 podobozach, w tym w 11 na terenie Czechosłowacji i 3 na terenie dzisiejszej NRD. Ze względu na oszczędność miejsca możemy się pokrótce zająć tylko niektórymi.

W Bielawie — według wydawnictwa *ITS* Arolsen [7] — istniały dwa obozy *Schmelta*, męski i kobiecy. W połowie 1944 r. podporządkowano je Gross-Rosen jako podobozy. *Arbeitslager Langebielau II* zlokalizowano w Pieszycach w sześciu barakach. We wrześniu 1944 r. liczba więźniarek wynosiła 520. Zatrudniano je w spółce „Christian Derig AG" [8], a także innych zakładach pracujących na rzecz *Wehrmachtu*. *Lagerführerem* obu podobozów był *hauptscharführer SS*, Karl *Ulbricht* [9], *rapportführerem* — Martin *Klütsch* [10], a do najokrutniejszych należał młodziutki esesman Helmut Teodor *Schulze* [11].

Więźniarki pracowały po 12 godzin na dobę, wegetowały w nie opalanych barakach, cierpiały ustawiczny głód. Pozbawiono je całkowicie pomocy i opieki lekarskiej. Umierały na skutek rozmyślnie stworzonych ludobójczych warunków. Chore i wyniszczone odsyłano do „centralnego szpitala" w Jedlince (Tannhausen), a później w Kolcach (Dörnhau), gdzie zorganizowano centralną składnicę chorych, których nie leczono, stąd nazwa „*Krepierungslager*". Załoga esesmańska dopuszczała się licznych mordów, rozstrzeliwując więźniów w pobliskim zagajniku. O okrucieństwie załogi może świadczyć załadowanie licznej grupy nagich więźniów do wagonów z niegaszonym wapnem i wysłanie w niewiadomym kierunku [12].

---

w cukrowni Klecina we Wrocławiu, dzięki przymusowym robotnikom, zbiegła i dotarła do obozu przy ul. Bosak-Haukego (*Ausländer Auffangslager Clausewitzstrasse*), gdzie spotkała rodaka, dra Lajosa *Pálosa*, który był lekarzem obozowym. Pełniła tam funkcję sanitariuszki pod panieńskim nazwiskiem Gezane *Szczré* (zob. J. *Witkowski:* Warunki sanitarne robotników przymusowych w „Festung Breslau". Przegl. Lek., 1979, nr 1, s. 69). Olga *Galló* napisała wstrząsającą książkę pt. *Tiz hónat Babilon* (Dziesięć miesięcy Babilonu), wydaną w Budapeszcie w roku 1978. Po wojnie nadal pracowała jako dziennikarka, obecnie na emeryturze. „Dzisiaj jestem już emerytanką" — napisała po polsku 6 marca 1979 r. do współautora artykułu.

[4] Awansowany później na prezydenta rejencji w Opolu.

[5] R. *Höss:* Wspomnienia. Warszawa 1965, Wydawnictwo Prawnicze, s. 213.

[6] Tamże, s. 214.

[7] Vorläufiges Verzeichniss der Haftstätten dem Reichsführer SS 1933—1945. Wyd. Internationale Suchdienst in Arolsen, 1969.

[8] Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu (dalej w skrócie OKBZH). S-6/73. A. *Konieczny:* Spółka *Christian Derig AG* w Bielawie (maszynopis).

[9] Karl *Ulbricht*, urodzony 16 II 1898 r. we Freiwalde, zmarł 9 IV 1970 r. w Ebstorf, przez nikogo nie niepokojony.

[10] Martin *Klütsch*, urodzony 20 X 1912 r. w Köln, został ujęty i wyrokiem Sądu w Świdnicy z dnia 24 IX 1948 r. skazany na śmierć. Wyrok wykonano 3 VII 1949 r.

[11] Helmut Teodor *Schulze*, urodzony 6 VI 1925 r. w Tuldzie. Wyrokiem Sądu w Świdnicy z dnia 24 IX 1948 r. skazany na śmierć. Wyrok wykonano 3 VII 1949 r.

[12] OKBZH we Wrocławiu, S-6/72.

Najprawdopodobniej transport ten trafił prosto do pieców krematoryjnych.

W Jeleniowie pod Kudową Zdrojem istniał od 2 marca 1943 r. obóz *Schmelta* [13], który w kwietniu 1944 r. przekształcono w *Arbeitslager Gellenau* i podporządkowano obozowi Gross-Rosen. Więziono tam 200 Żydówek, które zatrudniano w spółce „Christian Derig AG". W okresie od października 1943 r. do lutego 1944 r. przepracowały dla tej spółki 22 502 dniówki [14]. W lutym 1945 r. obóz *Gellenau* przeniesiony został do *Langebielau II* i jako połączony w jeden przetrwał do 8 maja 1945 r.

W Bukolewie pod Miliczem utworzono 30 września 1944 r. *Arbeitslager Kurzbach*. Zlokalizowano go w majątku ziemskim księcia *Hatzwelda* dla około 1 000 więźniarek ewakuowanych tam z Oświęcimia. Zakwaterowano je w pomieszczeniach dla owiec i zatrudniano przy wycinaniu drzew oraz kopaniu okopów. Nadzór sprawowali esesmani i esesmanki. Padające z głodu i wycieńczenia bito, zmarłe i zabite grzebano w pobliskim lesie. Więźniarki cierpiały ustawiczny głód do tego stopnia, że wygrzebywały spod śniegu korzenie i trawę i zjadały. Zmarłe w miejscu zakwaterowania składowano w spichrzu zbożowym, wieczorem wywożono platformą do lasu i tam grzebano. Tylko jednej nocy pochowano w masowej i bezimiennej mogile około 100 zmarłych.

W chlewie dla świń utworzono rewir, ale bez lekarza, nie było nawet sanitariusza, nie mówiąc o lekach. Chore więźniarki pozostawiono na pastwę losu. W dniu 21 stycznia 1945 r. zarządzono ewakuację. Pozostałe jeszcze przy życiu około 200 więźniarek w pośpiechu pędzono w kierunku Żmigrodu. W świniarni zostawiono około 60 chorych. Po wymarszu grupy głównej esesmani wpadli do świniarni i wypędzili ledwo trzymające się na nogach więźniarki. Trzy uznane za nieżyjące pozostawiono tam. Spośród wypędzonych cztery upadły na podwórzu i esesmani początkowo nie interesowali się nimi. Około południa trzej esesmani podeszli do leżących i po stwierdzeniu, że jeszcze żyją, dobili je strzałami z pistoletów. W świniarni zrzucili na beton więźniarkę zmarłą, która nie dawała znaku życia, natomiast druga po upadku jęknęła. Esesman strzałem z pistoletu dobił ją, a także trzecią, leżącą jeszcze na pryczy. Zwłoki siedmiu więźniarek załadowano i rozkazano przymusowemu robotnikowi odwieźć je do lasu, gdzie wykopane były dwa duże doły. Do jednego z nich kazano wrzucić zwłoki, woźnicę odprawiono. Dla kogo były przeznaczone te doły, pozostawiamy domyślności czytelników, warto tylko dodać, że chore więźniarki prowadzono właśnie w tym kierunku [15].

ITS w Arolsen podaje, że w miejscowości Gruszeczka pod Miliczem zorganizowano 27 października 1944 r. podobóz kobiecy, *Arbeitslager Birmbäumel*. Liczni świadkowie podają, że kobiecy obóz istniał tam już w roku 1943. Ten podobóz Gross-Rosen usytuowano na podmokłym placu między wsią i lasem. Zbudowano tam około 20 namiotów z dykty, bez oświetlenia wewnątrz, bez wody i nie opalane. Budowlę tę otoczono zasiekami z drutu kolczastego i teren oświetlono reflektorami. Umieszczono tam około 1 000 Żydówek z Węgier i Polski. Pracowały w lesie. Pożywienie przywożono im z pobliskiego majątku w Sułowie. Więźniarki dziesiątkował głód, antysanitarne warunki, choroby, nadmierna praca i okrutne traktowanie przez esesmanów i żołnierzy *Wehrmachtu*. Więźniarki były zawszone, owrzodzone, miały odmrożone ręce i nogi. Nie było lekarza ani żadnej pomocy i opieki lekarskiej. Zmarłe więźniarki grzebano w pobliskim lesie, mogiły równano z ziemią. W styczniu 1945 r. obóz ewakuowano w kierunku Trzebnicy [16].

Arbeitslager Christianstadt (Krzystkowice pod Zieloną Górą). Jeszcze przed wojną wybudowano tam małą fabryczkę chemiczną *IG Farben*. W roku 1940 utworzono wraz ze szwedzką firmą „Nobel" spółkę „Dynamit AG Nobel". Spędzono tam kilka tysięcy przymusowych robotników. W roku 1943 przywieziono z Czech i Węgier około 600 Żydówek, które zakwaterowano w wydzielonym obozie nr 10 *Schmelta*. W dniu 9 września 1944 r. *WVHA* włączyła ten obóz do Gross-Rosen jako podobóz. *Lagerführerem* została esesmanka *Siewienstock*. Więźniarki pracowały w „Dynamit AG Nobel" oraz Nowogrodzie Bobrzyńskim przy kopaniu gliny w cegielni. Panowały tam warunki charakterystyczne dla tego typu obozów. W dniu 2 lutego 1945 r. podobóz ten ewakuowano do obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen [17].

Arbeitslager Liebau (Lubawka pod Kamienną Górą). W wydawnictwie Arolsen, tj. spisie obozów, nie jest wymieniany. Zorganizowano go 14 września 1944 r., przetrwał do końca wojny. Liczba więźniarek nie jest znana. Musiało ich być jednak dużo, skoro jednocześnie były zatrudniane: w zakładach *Nordland, Laske, Wendl*, w rolnictwie, *Reichsbahn* oraz w fabryce amunicji. Były to Żydówki [18].

Arbeitslager Ludwigsdorf (Ludwikowice Kłodzkie). Powstał jako obóz *Schmelta*, który w kwietniu 1944 r. włączono jako filię Gross-Rosen i jako taki przetrwał do końca wojny. Mieścił się w pięciu barakach otoczonych drutem kolczastym. Więźniarki były zatrudniane przy produkcji prochu, dynamitu i amunicji w zakładach „Molke". Najwyższy stan wynosił 500 więźniarek. W marcu 1945 r. 180 więźniarek przeniesiono do *Arbeitslager Görlitz*. O warunkach obozowych może świadczyć fakt, że jedna z nielicznych ocalałych, *Borensztajn*, po wojnie nie była w stanie złożyć zeznań, ponieważ na skutek przeżyć obozowych cierpiała na chorobę psychiczną — pomieszanie zmysłów, jak to określano [19].

Arbeitslager Neusalz (Nowa Sól). Najpierw utworzono tam obóz *Schmelta*, mniej więcej w połowie 1941 r. Według zeznań świadków więziono tam około 300, później 1 200 Żydówek polskich w wieku 15—25 lat. Zatrudniano je w zakładach „Textilwerke" *Gurswitza* (obecnie ZPO „Odra"). W lutym 1944 r. obóz ten włączono w skład podobozów Gross-Rosen. Więźniarki zatrudniano w najcięższych i najbardziej szkodliwych dla zdrowia pracach pod nadzorem bezlitosnych i okrutnych esesmanek. Na skutek głodu, chorób i wyczerpania zdarzały się liczne wypadki przy pracy, nawet śmiertelne. I tak np. jedna z więźnia-

[13] Wydawnictwo *ITS* w Arolsen, por. przypis 7.
[14] Zob. przypis 8.
[15] OKBZH we Wrocławiu, S-15/70.
[16] Tamże, S-26/72.
[17] OKBZH w Zielonej Górze, Ds. 10/67.
[18] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 43/67.
[19] Tamże, Ds. 9/67, Ds. 220/65.

rek doznała zmiażdżenia ręki, innej maszyna zerwała z głowy włosy razem ze skórą, wskutek czego zmarła. *Lagerführerką* była esesmanka *Pache*, a jej zastępczynią — esesmanka *Effierenberg*. Do szczególnie okrutnych należała esesmanka *Wojtkowiak*. Esesmanki biły i kopały więźniarki za najdrobniejsze nawet przewinienia. Dobrze dały się także we znaki niektóre więźniarki funkcyjne; lepiej ubrane i żywione, korzystające z wielu przywilejów, nie znały one litości. Załoga dobierała sobie tzw. samorząd więźniarski, *lagerältesterki*, które sprawowały nieograniczoną władzę, z zasady najbardziej zwyrodniałe więźniarki, które były mianowane na blokowe i sztubowe. W podobozie tym zdarzały się wypadki zapadania na choroby psychiczne. Więźniarki z takimi objawami zabierano rzekomo do rewiru i później znikały, prawdopodobnie były likwidowane [20].

Arbeitslager Schlesiersee I i *II*, zwane także „Schanzenbau" (Sława w obecnym województwie zielonogórskim). Pierwszy utworzono latem 1944 roku w pięciu barakach mieszkalnych i dwóch gospodarczych. Całość otoczono drutem kolczastym i wzniesiono wieżyczki strażnicze. Umieszczono tam około 3 000 więźniarek. W październiku 1944 r. przywieziono jeszcze około 1 000 więźniarek ewakuowanych z Oświęcimia. Drugi podobóz rozmieszczono w sąsiedztwie pierwszego, ale ściśle izolowano od niego. Załoga liczyła około 70 esesmanów i esesmanek. *Lagerführerem* obu podobozów był Karl Herman *Jeschke* [21], zastępcą i *raportführerem* został Niemiec rumuński, Joseph *Kowatsch* [22]. W obozach panowała niesłychana ciasnota i brud. Pożywienie więźniarki otrzymywały dwa razy dziennie: rano — „kawę" z sacharyną i 100 g chleba, wieczorem, po powrocie z pracy — zupę i 100 g chleba. Więźniarki cierpiały głód i zapadały na chorobę głodową. Zatrudniano je przy budowie rowów i szańców. Próby ucieczek doprowadzanych do desperacji więźniarek kończyły się zawsze zastrzeleniem. Rozstrzeliwano także podczas marszu ewakuacyjnego. Dokładna data ewakuacji nie jest znana [23].

Arbeitslager Mittelsteine (Ścinawa pod Nową Rudą). Według informacji we wspomnianym wykazie *ITS* w Arolsen podobóz ten utworzono w kwietniu 1944 r. Przebywało tam około 200 więźniarek. W początkowym okresie więźniarki były pilnowane przez żołnierzy *Wehrmachtu* i *Luftwaffe* i dopiero w sierpniu 1944 r. nadzór przejęły 22 esesmanki. Ta liczba esesmanek, na domiar w końcowym okresie wojny, wskazuje, że musiało tam być nie 200, ale co najmniej 1 200 więźniarek. Część z nich pochodziła z getta łódzkiego, część — z transportów oświęcimskich.

Więźniarki zatrudnione były w fabryce części lotniczych Patin, pracowały po 12 godzin na dobę, a ponadto zatrudniane były przy rozbudowie obozu, zwłaszcza przed nadejściem transportów oświęcimskich. Takie eksploatowanie i tak już wyniszczonych więźniarek znacznie obniżało wydajność pracy i powodowało interwencje kierownictwa fabryki, które płaciło *SS* za pełnosprawne robotnice. Z tego powodu więźniarki podejrzane o skargi w fabryce były maltretowane, m. in. Estera *Gumpricht* została tak dotkliwie pobita, że doznała uszkodzenia kręgosłupa, za co po wojnie uzyskała odszkodowanie [24]. Więźniarki cierpiały głód, a za „zorganizowanie" żywności stosowano najsurowsze kary. Zwłaszcza zimą w nie opalanych barakach więźniarki zapadały na zapalenie płuc i marły, pozbawione pomocy i opieki lekarskiej.

Warto dodać, że jeżeli na terenie Czechosłowacji więźniarki lub więźniowie mogli liczyć na pomoc ze strony miejscowej ludności, to tu o pomocy takiej nie można było nawet marzyć. O barbarzyństwie tamtejszych mieszkańców może świadczyć dokonanie masowego mordu na więźniach z podobozu *Dyhernfurth*, których załoga porzuciła w Środzie Śląskiej, a miejscowi fanatycy częściowo wymordowali. Całkowitej masakrze przeszkodził oficer *Wehrmachtu*, wyjaśniając, że zbliżają się wojska radzieckie, które w odwet za ten mord mogą spalić miasto. Dopiero ten argument trafił do przekonania fanatyków, którzy też, żeby ukryć zbrodnię, pochowali pomordowanych.

Wracając do sprawy tego podobozu, warto przypomnieć nazwiska niektórych esesmanek: Filomena *Locker* [25], Charlotte *Neugebauer* i *Schneider*. Arolsen podaje jako datę likwidacji 31 marca 1945 r., ale jeszcze w kwietniu 1945 r. z podobozu tego przekazano do *arbeitslagru Graffenort* (Gorzanów) część więźniarek do kopania okopów [26].

Arbeitslager Saskisch (Kudowa Zdrój — Zakrze). W roku 1943 *Schmelt* zorganizował tam obóz w związku z przeniesieniem zakładów *Vereinigte Deutsche Mettalwerke* z Frankfurtu nad Menem, *Goldschmidt* i „Telefunken" [27]. Na przestrzeni około 2 km, na palach wbijanych w grząski teren, wybudowano około 20 baraków. Utworzono tam kilka obozów pracy przymusowej oraz dla jeńców wojennych. W sierpniu 1943 r. wydzielono pięć baraków i otoczono drutem kolczastym. Przywieziono jeszcze około 400 więźniarek z Polski i Węgier. Zatrudniono je w „Vereinigte Deutsche „Mettalwerke" oraz spółce „Christian Derg AG". Wprowadzono ostry rygor, więźniarki bito na każdym kroku za byle co. Wskutek ciężkiego pobicia zmarło 16 więźniarek, w tym Helena *Grunberg* [28]. Zmarłe więźniarki grzebano w polu niedaleko klasztoru. Nadzór nad więźniarkami sprawowały esesmanki, prawdopodobnie było ich 10. Obóz przetrwał do końca wojny [29].

Arbeitslager Grünberg (Zielona Góra). Najpierw utworzono tam obóz *Schmelta*, stan więźniarek w kwietniu 1943 r. wynosił 493, w końcu 1943 r. było ich już 971. Więźniarki zatrudnione były w „Deutsche Wollwaren-Manufaktur GmbH". W roku 1944 zakłady te wyznaczyły 48 młodych Niemek i skierowały do Ravensbrück na krótkie przeszkolenie, skąd wróciły już jako esesmanki — dozorczynie. Na podobne przeszkolenie do Ravens-

[20] OKBZH w Zielonej Górze, Ds. 10/67.

[21] Hermann *Jeschke*, urodzony 17 VIII 1890 r. skazany przez Sąd w Radomiu na 3 lata więzienia (OKBZH we Wrocławiu, S-3/74).

[22] Joseph *Kowatsch*, urodzony 14 VII 1924 r. w Frenmasswar w Rumunii. Skazany przez Sąd w Radomiu na 10 lat więzienia (OKBZH we Wrocławiu, S-3/74).

[23] OKBZH w Zielonej Górze, Ds. 10/67.

[24] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 10/72.

[25] Filomena *Locker* została po wojnie ujęta i wyrokiem Sądu w Świdnicy skazana na 7 lat więzienia.

[26] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 10/72.

[27] Zob. przypis 8.

[28] Według oświadczenia Fejgi *Orenstein* i Chai *Mayer*, złożonego przed notariuszem w Nowym Jorku w dniu 1 V 1968 r., Luisem *Hermanem* (OKBZH w Zielonej Górze, 1Ds. 9/67).

[29] OKBZH we Wrocławiu, Ds. 35/67.

brück wysyłano wybrane Niemki ze wszystkich miejsc, gdzie planowano tworzenie filii kobiecych Gross-Rosen. W Grünberg młode dozorczynie wyposażono dodatkowo w psy. W dniu 1 lipca 1944 r. obóz ten włączono do Gross-Rosen. Później przetransportowano tam jeszcze ponad 2 000 więźniarek z Oświęcimia, tak że stan wzrósł do około 3 000. Natomiast liczba dozorczyń wskazuje, że musiało tam być więzionych ponad 4 000 więźniarek.

Więźniarki pracowały tam również po 12 godzin na dobę bez żadnej przerwy. Pożywienie otrzymywały dwa razy dziennie, na śniadanie „kawę" nie słodzoną i 100 g chleba, na kolację zupę i 100 g chleba. Więźniarki cierpiały głód, szerzyły się choroby, odnotowano wiele odmrożeń. Nie ustalono nazwiska *lagerführera*. Zastępczynią była esesmanka Anna *Herzig*, wcześniej tkaczka, która ten zawód porzuciła dla władzy i możliwości wyładowania swojej nienawiści i pogardy do wszystkiego, co ludzkie. Znęcała się nad więźniarkami w sposób wyrafinowany, wtórowały jej inne, a zwłaszcza esesmanka Elza *Czyżewska*. *Herzig* pobiła dwie więźniarki tak dotkliwie, że obie zmarły. W obozie nie było rewiru ani lekarza. W dniu 31 stycznia 1945 r. zarządzono ewakuację. Wypędzono wszystkie więźniarki bez względu na stan zdrowia. Chore i wycieńczone, które nie były w stanie iść dalej i padały — rozstrzeliwano. W dniu ewakuacji jedna z więźniarek została zastrzelona, bo ustawiła się ponownie w kolejce po chleb lub o to została posądzona. Część więźniarek ewakuowano do Ravensbrück, część do Halenbrech w Bawarii [30].

Poza wymienionymi obozami na terenie Polski kobiety więzione były w następujących filiach Gross-Rosen: *Arbeitslager Gebhardsdorf* — Giebułtów, *Arbeitslager Wüstegiersdorf* — Głuszyca, *Arbeitslager Graffenort* — Gorzanów, *Arbeitslager Gräben* — Grabina, *Arbeitslager Märzdorf* — Marciszów, *Arbeitslager Ziellerthal-Erdmannsdorf* — Mysłakowice, *Arbeitslager Peterswaldau* — Pieszyce, *Arbeitslager Prauschnitz* — Prusice, *Arbeitslager Hochweiler* — Wierzchowice, *Arbeitslager Schertendorf* — Przylep, *Arbeitslager Gräflich-Röhsdorf* — Skarbków pod Mirskiem, *Arbeitslager Freiburg* — Świebodzice, *Arbeitslager Breslau-Hundsfeld* — Wrocław Psie Pole.

Na terenie Czechosłowacji i dzisiejszej NRD utworzono następujące podobozy Gross-Rosen, w których więziono kobiety:

Arbeitslager Märusch-Weisswasser (Bilá Voda) w czeskich Sudetach. Jeszcze w roku 1941 *Schmelt* utworzył tam obóz dla kobiet, które zatrudniano w fabryce amunicji „Friesewerke". Między czerwcem i wrześniem 1944 r. obóz ten włączono do Gross-Rosen jako filię istniejącą do końca wojny. Panowały tam normalne warunki, jak we wszystkich filiach Gross-Rosen, nazwisk załogi nie ustalono.

Arbeitslager Bernsdorf (Bernartice). W roku 1941 *Schmelt* utworzył tam obóz kobiecy. W pierwszej połowie 1944 r. wybrano 18 młodych Niemek z czeskich Sudetów i wysłano na przeszkolenie do Ravensbrück. Po ich powrocie w połowie 1944 r. obóz ten włączono jako filię Gross-Rosen do jego systemu. Więźniarki pracowały w zakładach przędzalniczych i pralni juty. Było to około 500 Żydówek czeskich, później więcej. Stan załogi wskazuje, że musiano tam więzić około 1 500 kobiet. Esesmanki znęcały się nad więźniarkami i maltretowały je. W obozie panował głód, szerzyły się choroby, brak było jakiejkolwiek pomocy i opieki lekarskiej. Obóz przetrwał do 8 maja 1945 r. Po wojnie władze czechosłowackie ujęły niektóre esesmanki i skazały je na długotrwałe więzienie, m. in. Emilię *Fröbrich*, Irmę *Kramel*, Emilię *Mach*, Eugenię *Schult*, Rużenę *Schultz*.

Arbeitslager Brünlitz (Brnenec). Utworzono tu w październiku 1944 r. filię Gross-Rosen w pobliżu fabryki *Schindlera*, obóz, a właściwie dwa obozy: dla 800 mężczyzn i 300 kobiet, odizolowane od siebie. Więźniowie pracowali we wspomnianej fabryce *Schindlera*. *Lagerführerem* był *obersturmführer SS* Joseph *Leopold*, który wcześniej przeszedł praktykę na Majdanku i w Płaszowie [31]. Załoga składała się z 13 podoficerów *SS*, 23 esesmanów i 4 dozorczyń. Załoga wsławiła się niezwykłym okrucieństwem.

Arbeitslager Gablonz (Jablonec). Według wydawnictwa *ITS* w Arolsen istniała tam filia obozu Gross-Rosen od grudnia 1944 r. do końca wojny. Więźniarki zatrudniano w zakładach produkujących dla potrzeb frontu. Informacje o tym podobozie są sprzeczne i skąpe, nie będziemy ich więc podawać.

Arbeitslager Gabersdorf (Libec). *Schmelt* utworzył tam obóz 2 maja 1942 r. dla 400 więźniarek. W dniu 9 czerwca 1944 r. *WVHA* włączył go w skład podobozów Gross-Rosen i jako taki przetrwał do końca wojny. Losy więźniarek nie są znane.

Arbeitslager Halbstadt (Meziměsti). *Schmelt* utworzył tam najpierw obóz dla kobiet, który we wrześniu 1944 r. został włączony do Gross Rosen i jako jego filia przetrwał do końca wojny. Stan więźniarek z 550 wzrósł do 2 000. Więźniarki zatrudniano w zakładach aparatury pomiarowej *GMBH*, w fabryce amunicji *Schroll und Söhne*, w zakładach *Knopf* oraz w zakładach przędzalniczych. Załoga składała się z 28 esesmanek, które wcześniej zostały przeszkolone w Ravensbrück. Obóz istniał do końca wojny. Nazwisk esesmanek nie ustalono.

Arbeitslager Kratzau (Chrastava). Już w roku 1943 *Schmelt* utworzył tam dwa podobozy dla kobiet. Pod koniec 1944 r. włączone zostały do Gross-Rosen jako podobozy. Stan obozu wahał się od 700 do 1 000. Więźniarki zatrudnione były w fabryce produkującej amunicję oraz w *Spreewerke-Gasmaskenfabrikation*, produkującej maski przeciwgazowe. Załoga składała się z 4 esesmanów i 10 esesmanek — Niemek z czeskich Sudetów. Warto dodać, że pod koniec 1944 r. przywożono tam także całe rodziny różnych narodowości, w tym także i polskie, które rozdzielano, oraz jeńców wojennych. Znalazło się tam około 40 małoletnich, w tym 10 narodowości polskiej. Było wśród nich rodzeństwo z Ostrowia Wielkopolskiego: 7-letni Zenon *Lis*, 9-letnia Anna *Lis* i 11-letni Hieronim *Lis*. Dzieci oddzielono od matek i umieszczono w odrębnym baraku. Zatrudniano je

[30] OKBZH w Zielonej Górze, 1Ds. 9/67.

[31] Joseph *Leopold* ukrywał się w strefie amerykańskiej pod nazwiskiem Gerd *Alter*. Nie został jednak wydany ani Polsce, ani CSSR.

przy sprzątaniu obozu, zbieraniu i wywożeniu śmieci, odgarnianiu śniegu. Traktowano je bardzo brutalnie i bito. Obóz nie posiadał bieżącej wody, dowożono ją z płynącej w pobliżu Nysy. Panowały tam rażąco antysanitarne warunki. Wody brakowało nie tylko do mycia i prania, ale także do picia. Nic więc dziwnego, że szerzyła się wszawica i świerzb. Więźniowie — podobnie jak we wszystkich podobozach włączonych do Gross-Rosen pod koniec 1944 r. — chodzili we własnych, cywilnych łachmanach. Obóz przetrwał do 9 maja 1945 r.

Arbeitslager Oberaltstadt (Horejsi). Obóz założono jeszcze w 1941 r. przez organizację *Schmelt*. Kobiety zatrudniano w najuciążliwszych i szkodliwych dla zdrowia pracach w firmach: *Ettrich* i *Kluge*, w przędzalni lnu, pralniach oraz zakładach *Siemens* produkujących sprzęt wojskowy. Pod koniec wojny dodatkowo były pędzone do kopania okopów. W marcu 1944 r. obóz włączono do Gross-Rosen jako filię. Stan więźniarek utrzymywał się w wysokości około 1 200. Esesmanki w niemiłosierny sposób znęcały się nad więźniarkami. Przed objęciem posad dozorczyń przeszły przeszkolenie w Ravensbrück. *Lagerführerem* był Anton *Havlik*. Obóz funkcjonował do końca wojny. Nie znane losy więźniarek ani esesmanek, z wyjątkiem jednej, ujętej po wojnie [32].

Arbeitslager Parschnitz (Poroci). Organizacja *Schmelt* utworzyła tam obóz kobiecy już w roku 1941. Początkowo umieszczono tam 600 więźniarek, ale w miarę upływu czasu liczba ta wzrastała i osiągnęła stan około 2 000. Więźniarki zatrudniano przy produkcji części samolotowych i sprzętu wojskowego, a także w zakładach elektrotechnicznych. W marcu 1944 r. obóz włączono do Gross-Rosen jako filię. Załoga składała się z *lagerführera*, dwóch zastępców, trzech esesmanów oraz 52 esesmanek, przeważnie miejscowych Niemek, które przed objęciem stanowisk przeszkolono w Ravensbrück. W miarę zbliżania się końca wojny esesmanki stawały się coraz bardziej wymagające, warunki pogarszały się, panował coraz większy głód i wzrastała śmiertelność, mnożyły się kary [33].

Arbeitslager Schatzler (Žacler). Organizacja *Schmelt* utworzyła tam obóz kobiecy w czerwcu 1942 r. na zamówienie zakładów przędzalniczych z Trutnova *Buhl und Söhne*. W początkowym okresie przebywało tam 120 więźniarek, później znacznie więcej. W dniu 9 czerwca 1944 r. *RSHA* obóz ten włączył do Gross-Rosen jako filię. Funkcjonował do końca wojny.

Warto jeszcze zasygnalizować istnienie *Arbeitslager Reichenberk* (Liberec). Istniał tam męski podobóz oraz komando w budynku sądu, gdzie mieściło się krematorium. Spalano tam zwłoki z kilku pobliskich obozów. Komando było nieliczne i stale zmieniane, przy czym starą obsługę likwidowano, jak to było w zwyczaju *SS*.

Arbeitslager Görlitz (Łużyce w NRD). Wcześniej, 8 sierpnia 1944 r. utworzono tam podobóz męski. W październiku 1944 r. wydzielono z istniejącego obozu trzy bloki i utworzono izolowany od męskiego podobóz kobiecy. W październiku 1944 r. nadszedł transport 500 więźniarek z Oświęcimia. Obozy zlokalizowano przy fabryce „Waggon- und Maschinenbau AG", która produkowała pojazdy pancerne. Więźniarki zatrudniano w fabryce oraz przy budowie dróg i zakładach rolnych. W marcu 1945 r. dostarczono jeszcze transport 180 więźniarek z *Arbeitslager Ludwigsdorf* (Ludwikowice Kłodzkie). Załoga składała się z około 40 esesmanów i kilku esesmanek przybyłych tam z Oświęcimia. *Lagerführerem* był osławiony Joachim Winfried *Zunker*, syn profesora z Uniwersytetu w Berlinie, skazany po wojnie na karę śmierci. Więźniarki mieszkały w nie opalanych barakach, głodowały i były okrutnie traktowane, zmuszane do nadludzkiej pracy, pozbawione pomocy i opieki lekarskiej, a podczas ewakuacji i powrotu chore, wycieńczone, padające — rozstrzeliwano.

Arbeitslager Weisswasser (Łużyce w NRD). *ITS* w Arolsen odnotowała dwa podobozy, jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Obozy te decyzją *WVHA* z czerwca 1944 r. włączono do Gross-Rosen jako podobozy. Nie ustalono bliższych danych o tym obozie ani stanu liczbowego więźniów. Musiał to być obóz znaczący, skoro znalazł się w wykazie *ITS*.

Arbeitslager Zittau (Łużyce w NRD). *ITS* w Arolsen odnotował tam dwa podobozy Gross-Rosen, jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Podobóz kobiecy zorganizowano w październiku 1944 r., męski zaś na początku stycznia 1945 r. Więźniarki zatrudniano w „Zittwerke AG". Ogólna liczba więźniów wynosiła około 5 000. Potwierdził to pewien inwalida wojenny z Görlitz podczas zwiedzania wystawy „Dzieci oskarżają", zorganizowanej w Zgorzelcu przez OKBZH we Wrocławiu. Z relacji jego wynika [35], że podobóz kobiecy był ściśle izolowany od męskiego i liczył około 2 000 więźniarek, w tym kilkusetosobową grupę dziewcząt w wieku 14—16 lat, które pracowały oddzielnie, na dwie zmiany po 12 godzin. Były nieludzko traktowane. Wiele więźniarek nie było w stanie o własnych siłach pójść do pracy, podtrzymywały je współtowarzyszki. Jeżeli ktokolwiek, nawet Niemiec, zbliżył się do kolumny, esesmanki strzelały. Wspomniany Niemiec pracował w „Zittwerke AG" jako portier w latach 1944—1945.

Na zakończenie warto poinformować, że przygotowywane jest opracowanie książkowe pt. „Małoletni i kobiety w Gross-Rosen", które ma bardziej szczegółowo przedstawić zasygnalizowany tutaj temat.

[32] Po wojnie ujęto esesmankę, Marię *Tippelt*, urodzoną 5 XII 1915 r., w Wielkiej Lipie pod Trutnovem. Sąd Ludowy w CSSR skazał ją na 8 lat ciężkiego więzienia.

[33] Po wojnie ujęto także Filomenę *Amlet*, z d. Röller, urodzoną 4 IX 1895 r. w Trutnovie, z zawodu praczkę, zamieszkałą stale w Valentiny. Jeszcze przed włączeniem obozu do Gross-Rosen zadenuncjowała więźniarkę Reginę *Herzberger*, w wyniku czego zesłano ją do Oświęcimia. Skazana na 5 lat ciężkiego więzienia. W roku 1950, po odbyciu kary, wyjechała do Lutherberga w RFN.

[34] Opracowano na podstawie cytowanego wydawnictwa *ITS* w Arolsen, materiałów nadesłanych, z CSSR, wniosku o częściowe umorzenie śledztwa SSW mgra T. *Kowalczyka* (OKBZH we Wrocławiu, Ds. 43/67/XXIV).

[35] Na podstawie relacji ustnej.

LESŁAW M. BARTELSKI · Warszawa

Służba sanitarna powstańczego Mokotowa

Mokotów należy do największych pod względem obszaru i liczby ludności dzielnic współczesnej Warszawy. Jego granice administracyjne sięgają od Pola Mokotowskiego i Łazienek po Dawidy i Dąbrówkę wraz z lasem Kabackim na południu. Zmienił się też w okresie powojennym charakter tej części stolicy. Zbudowano wiele zakładów przemysłowych, zatrudniających tysiące pracowników; zachodnia połać Służewca na osi ulicy Marynarskiej stała się centrum fabrycznym i składowym. Powstało też wiele nowych osiedli, jak np. Stegny, Bonifacego, Domaniewska, Służew nad Dolinką czy wielki kompleks Ursynowa-Natolina, wciąż w rozbudowie.

Stary, powstańczy Mokotów obejmował Górny i Dolny, przedzielony wysoką skarpą wiślaną, oraz Sielce z Sadybą; kończył się w r. 1944 przy Dworcu Południowym i nie ogarniał Wilanowa. Zajmował zaledwie jedną czwartą powierzchni dzisiejszego Mokotowa, licząc 88,6 tys. mieszkańców, w tym właściwy Mokotów 53,7, Sielce 23,1, a Sadyba 11,8 tys. Są to dane z sierpnia 1939 r. Obszar dzielnicy wynosił 2688 hektarów, z czego niewielka część była zabudowana.

Urok tej dzielnicy polega na jej wspaniałym położeniu. W połowie XIX wieku była to podstołeczna miejscowość letniskowa, stąd dużo w niej zieleni i przestrzeni, z drugiej strony charakteryzowała ją względna bliskość do śródmieścia. Stanowiło to oczywisty walor i tym należy tłumaczyć szybki rozrost dzielnicy, szczególnie w latach 1925—1939, jak zresztą i po wojnie.

W planach powstańczych, niemal do ostatniej chwili, Mokotów miał odegrać istotną rolę. Był przygotowany na kwaterę Komendy Głównej AK, ośrodek dowodzenia, i stąd miało wyjść potężne uderzenie odwodów w kierunku północnym na wsparcie walk w centrum stolicy. Te siły Komendy Głównej AK składały się z dwóch jednostek — zgrupowania ppłk. piech. Jana *Mazurkiewicza* „Radosława", oddziałów Kedywu w sumie około 2300 dobrze wyszkolonych żołnierzy, mających duże doświadczenie w walkach ulicznych oraz z pułku dyspozycyjnego KG AK „Baszta", dowodzonego przez ppłk. piech. Stanisława III *Kamińskiego* „Daniela", mającego około 2200 żołnierzy. Jeśli doliczyć do tych odwodów Komendy Głównej oddziały Mokotowa w liczbie około 2500 żołnierzy, to uwidocznia się znaczenie tego Obwodu w pierwotnych zamierzeniach operacyjnych i taktycznych.

Komenda Główna rozważała zalety i niedogodności dzielnicy jako terenu walki. „Pomiędzy Ochotę i Mokotów wcina się głęboko Pole Mokotowskie, przestrzeń otwarta i zupełnie nie zabudowana. W części północnej, bliżej śródmieścia, Mokotów zabudowany był gęsto dużymi blokami domów. Bardziej na południe zabudowania rzedły" — czytamy w III tomie „Polskich Sił Zbrojnych w II wojnie światowej — Armia Krajowa" (Londyn 1950) na str. 669. Jeśli początkowo wybrano Mokotów, to chyba na ostatecznej decyzji zaważył fakt silnego obsadzenia przez Niemców ulicy Rakowieckiej i Podchorążych, a także usadowienie się na odsłoniętym Polu Mokotowskim jednostek artylerii przeciwlotniczej, której baterie czy nawet działony zostały odgrodzone zasiekami z drutu kolczastego, a więc w praktyce niedostępne dla szturmujących oddziałów polskich ze względu na brak moździerzy.

Mokotów stanowił V Obwód AK, dzielący się na sześć Rejonów. Komenda Obwodu upatrzyła na swoje miejsce postoju budynek Państwowego Zakładu Higieny przy ul. Chocimskiej 24, gmach o pokaźnych rozmiarach, położony przy skarpie, odsłonięty od ulicy Puławskiej wysokimi kamienicami czynszowymi (dziś nie istniejącymi). Pierwszym dowódcą Mokotowa był kpt. piech. (!) Wiktor *Sztompka*, pseudonim „Wiktor", funkcje oficera organizacyjnego pełnił krótko por. Jan *Szulc*, który w AK przybrał nazwisko Janusza *Prawdzica-Szlaskiego*. Jesienią 1940 r. na dowódcę dzielnicy został wyznaczony ppłk dypl. Janusz *Bokszczanin* „Sęk" z brygady *Maczka* (dowódca 10 pułku strzelców konnych, ciężko ranny pod Lwowem), późniejszy zastępca szefa sztabu AK do spraw operacyjnych. Wreszcie trzecim z kolei komendantem Mokotowa był ppłk. kaw. Aleksander *Hrynkiewicz*, niegdyś jeden z adiutantów w Belwederze, w 1939 r. zastępca dowódcy 1 pułku szwoleżerów Józefa *Piłsudskiego*. Nosił on pseudonimy „Wioślarz" (w korespondencji wewnętrznej) i „Przegonia" (dla podległych mu oddziałów). On też kierował przez przeszło trzy lata przygotowaniami Obwodu do wystąpienia zbrojnego. Podaję tę obsadę personalną V Obwodu, gdyż dane uzyskałem stosunkowo niedawno i nie miałem możności zamieszczenia ich w mojej monografii pt. Mokotów 1944 (Warszawa 1971, wyd. II).

Mokotów był wyjątkowo silnie obsadzony przez Niemców. Od r. 1940 zaczęli oni w północnej części, zwarcie zabudowanej, tworzyć dzielnicę niemiecką. Zajmowali też budynki Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, gmach byłego sztabu głównego WP, nazwany *Stauferkaserne* i koszary 1 pułku lotniczego przy ulicy Rakowieckiej, jak i szkołę przy ulicy Bończa (dzisiaj nie istniejącą, wchłoniętą przez ulicę Gagarina), koszary 1 dywizjonu artylerii im. Bema, jak i koszary 1 pułku szwoleżerów przy Myśliwieckiej, przemienione na *Husarenkaserne*. Te nazwy, jak *Stauferkaserne* czy *Flakkaserne*, będą się powtarzały w komunikatach powstańczych wielokrotnie.

W ten sposób Obwód V został odcięty od śródmieścia barierą posterunków niemieckich o wysokich stanach załogi. Obsadzili oni jeszcze takie punkty na terenie Mokotowa, jak rozległy obszar Wyścigów Konnych, klasztor dominikanów (w 1944 r.), wszystkie stare forty porosyjskie, radiostację przy ulicy Racławickiej, gdzie na osiedlu ulokowało się *Flughafenkommando Warschau*, domy *Wedla* przy Puławskiej, szkoły przy Woronicza, Różanej, Kazimierzowskiej oraz na Narbutta, willę na Dworkowej i wiele innych mniejszych

obiektów. W lipcu 1944 r. dom przy alei Niepodległości 120 został zajęty na *Sanitätspunkt Weischel* i rozporządzał radiostacją polową.

Żołnierzy niemieckich w r. 1944 (wliczając w to także i lotnisko na Okęciu) było ponad 5000 różnych formacji, w tym *SS* i żandarmerii. Trudno zresztą sprawdzić, jaki był stan tej załogi, gdyż pod koniec lipca Warszawa stała się miastem przyfrontowym i liczba niemieckiego garnizonu warszawskiego zmieniała się z dnia na dzień. Niemniej jednak stanowili oni sporą siłę, doskonale uzbrojoną i umocnioną zasiekami czy bunkrami. Pobudowali też prowizoryczne stanowiska dla karabinów maszynowych, by trzymać w ogniu całą dzielnicę.

27 lipca 1944 r. Komenda Główna AK przeniosła się na Wolę i zajęła budynek fabryczny firmy meblarskiej „Kamler i Szczerbiński" przy ulicy Dzielnej 72, z drugim wyjściem na ulicę Pawią. Gen. *Komorowski* czy też szef jego sztabu, gen. *Pełczyński*, kazali przerzucić odwody w rejon cmentarzy wyznaniowych. Płk dypl. Antoni *Chruściel* „Monter" przekonał jednak swoich zwierzchników, że przynajmniej „Baszta" winna pozostać na Mokotowie, gdyż w przypadku niepowodzenia akcji całe południe miasta będzie bez należytej osłony. Ppłk „Daniel" w uzupełnieniu stanów otrzymał do dyspozycji VI batalion Wojskowej Służby Ochrony Powstania (WSOP), liczący około 250 ludzi, marnie uzbrojonych. Nie miał też czasu ani okazji, by uzgodnić swoje poczynania z dowódca Obwodu. Czy ppłk „Przegonia" otrzymał po tych zmianach jakieś określone dyrektywy co do walki, nie wiadomo.

Siły AK sięgały 4500 żołnierzy, łącznie z „Basztą". Wydawać się może, iż ten stosunek Niemców i Polaków jest względnie wyrównany. Należy jednak inaczej ujmować te zagadnienia. Decydowała o przewadze militarnej nie liczba ludzi biorących udział w działaniach zbrojnych, lecz siła ognia. Oddziały AK były uzbrojone w broń krótką i niewielką ilość karabinów, brak było zupełnie moździerzy i granatników, jakiejkolwiek broni przeciwpancernej z wyjątkiem butelek samozapalających czy butelek z benzyną i na tak wielką liczbę powstańców przypadło kilka karabinów maszynowych, ciężkich i ręcznych. Uzbrojenie sięgało zaledwie 25—30% stanu. Nie będzie więc przesady, jeśli stwierdzę, że ten stosunek sił przedstawiał się faktycznie jak 1 : 5 na korzyść wroga, podobnie zresztą jak i w całym mieście.

Regulamin walki, wypracowany w podziemiu przez odpowiednią komórkę Komendy Głównej AK (III Oddział), przewidywał 1 pistolet maszynowy na drużynę szturmową (10 żołnierzy), tymczasem w rzeczywistości obsada powstańczego Mokotowa wyposażona była w około 110 sztuk. Zabrakło też odpowiedniej ilości karabinów (kb) i karabinów krótkich (kbk), osłaniających ogniem nacierających, którzy mieli do przebycia w szturmie większe odległości od puntków wyjścia aniżeli w zwarcie zabudowanym śródmieściu.

Jak się przedstawiał problem służby sanitarnej w V Obwodzie na tle tych warunków ogólnych?

Na jej czele stał jako oficer Komendy doc. dr Klemens *Gerner*, dyrektor szpitala zakaźnego, zasłużony konspirator. W pomieszczeniach tej placówki przy ulicy Chocimskiej 5 miał być rozwinięty szpital powstańczy dla rejonów północnych. Jaka była obsada tego szpitala i służby Obwodu, nie wiadomo. Jednocześnie wszystkie jednostki wchodzące w skład załogi Mokotowa miały swoje służby sanitarne. W I Rejonie sanitariatem 1 pułku szwoleżerów (około 500 żołnierzy) kierował dr med. Henryk *Klawe* „Lancet". Nie mam żadnych danych, kto sprawował podobne funkcje w zgrupowaniu 1 daku (dywizjonu artylerii konnej). Ta jednostka, wywodząca się z tradycji przedwojennych, nie została przeze mnie dostatecznie uwzględniona w „Mokotowie 1944" wskutek braku materiału. Jej dowódca, kpt. art. Mieczysław *Sokołowski* „Dakowski", wstąpił do ludowego Wojska Polskiego, zaplątał się w jakąś sprawę polityczną i otrzymał wyrok śmierci. Byli żołnierze dywizjonu obiecują mi dostarczenie choćby zarysu historii i działań 1 daku, ale wszystko kończy się na zapowiedziach. Powód dość prosty: brak czasu, a także organizatora tego środowiska. Również do tej pory nie mogłem zdobyć relacji z Rejonu III i Rejonu IV, rozbitych w pierwszych dniach sierpnia. Dowódca III Rejonu, kpt. art. przeciwlotn. Leon *Świątopełk-Mirski* „Leon", został zamordowany 6 sierpnia 1944 r. wraz z grupą swoich 150 podwładnych. Dowódca IV Rejonu, kpt. art. „Zygmunt" (prawdopodobnie oficer brygady *Roweckiego* w 1939 r.), nie nawiązał kontaktu z byłymi powstańcami Mokotowa, a dowódca II batalionu szturmowego „Odwet", por. sap. Juliusz *Sobolewski* „Roman", zmarł przedwcześnie w 1956 r. po wyjściu z więzienia. W II Rejonie szefem sanitarnym był por. rez. lek. Roman *Polak* „Głóg". W Rejonie V na Sadybie działał jako szef sanitariatu dr med. Mieczysław *Sosnowski* „Datura", jedna z placówek sanitarnych miała się mieścić w pomieszczeniach firmy „Rago" przy ulicy Jedwabniczej 2.

Natomiast w Rejonie VI walczyła „Baszta". Lekarzem pułku był por. dr med. Tadeusz *Jankowski* „Wiesław", wychowanek CWSan, który ukończył studia w podziemiu. Jego przyjście wraz z grupą członków 39 Żeglarskiej Drużyny Harcerskiej z Żoliborza wzmocniło dotychczasowe stany „Fabryki" i pozwoliło na przekształcenie oddziałów w batalion sztabowy (stąd skrót „Baszta"). Od 1 stycznia 1942 r. por. „Wiesław" przejął nadzór nad sanitariatem batalionu, przekształconego jesienią 1943 r. w pułk. Ponadto każda z dziewięciu kompanii strzeleckich posiadała swój sanitariat, złożony z lekarza i sanitariuszek-łączniczek, szkolonych specjalnie w tym celu podczas konspiracji. Trzeba też dodać, że kompanie „Baszty" w większości wypadków liczyły od 200 do 300 żołnierzy, stanowiąc w pewnym sensie jednostki samodzielne.

W czasie powstania powołano lekarzy batalionowych, sprawujących nadzór nad szpitalikami kompanijnymi i punktami sanitarnymi. Oto nazwiska lekarzy batalionowych i kompanijnych pułku „Baszta": ppor. dr med. Eustachy *Stobodzian* „Stach", ppor. dr med. Tadeusz *Bloch* „Mikrob", mgr farmacji Jan *Ferdyan* „Magister", kpr. pchor. Stanisław *Müller* „Wrzos", ppor. dr med. Wiesław *Biegański* „Teodor" (batalion „Bałtyk"), ppor. lek. Krystyn *Zawadzki* „Leszek", lek. Brunon *Müller* „Bem", p. o. lekarza Andrzej *Werycho* „Hermann", dr med. Aleksander *Laukienicki* „Kowalski" (batalion „Olza"), dr med. Jan Stefan *Raszek* „Jar", dr med. Leopold *Pawłowski* „Atom",

lek. Zyfilgar *Kerimow* „Kaukaz" od 4 sierpnia (batalion „Karpaty"). Obowiązki weterynarza pułku pełnił Janusz *Zaionc* „Gruby", po wojnie pułkownik lekarz.

W oddziałach, które podporządkowały się w czasie powstania warszawskiego dowództwu „Baszty", lekarzami byli: ppor. dr med. Jan *Mizgier-Chojnacki* „Czarniecki" (1 szwol.), dr med. Alfred *Piotrowski* „Lulek" („Granat"), lekarzami byli także komendant V Rejonu por. dr med. Czesław *Szczubełek* „Jaszczur" (mianowany pośmiertnie kapitanem), kpt. dr med. Alfred *Paczkowski* „Wania" (cichociemny, zastępca szefa wydziału operacyjnego V Obwodu, udzielający się czynnie jako świetny chirurg) a studentem medycyny był ppor. Tadeusz *Jakubiec* „Judym" z WSOPu, dowódca 3-szkieletowej kompanii, później dowódca żandarmerii AK V Obwodu. W kompanii „Gustaw", która przebiła się z Ochoty na Mokotów 19 sierpnia, obowiązki lekarza pełnił sierż. pchor. Edmund *Szamborski* „Wilk". Nie podaję też pełnej obsady lekarskiej V Rejonu, uczyniła to prof. dr med. Hanna *Odrowąż-Szukiewicz* (na łamach Archiwum Historii Medycyny, 1978, LXI, zeszyt 4).

Podobnie jak północ Mokotowa miała mieć swój szpital powstańczy na Chocimskiej, tak dla południa został wybrany nowoczesny obiekt, a mianowicie szpital Sióstr Elżbietanek, zbudowany w r. 1931, zajmowany jednak przez Niemców*. Ppłk „Daniel" na komendanta szpitala wyznaczył mjr. dr med. Kajetana *Pietraszkiewicza* „Kościeszę", przed wojną lekarza I Wojskowego Szpitala Okręgowego w Warszawie, w kampanii 1939 r. dowódcę 8 kompanii sanitarnej w 8 DP, po wycofaniu się do Modlina zastępcę głównego lekarza mjr. dr. med. Huberta *Lenka* (w konspiracji i powstaniu naczelnego lekarza Warszawskiego Okręgu AK). Elżbietanki z chwilą wybuchu akcji zmieniały się po zajęciu budynku w Centralny Szpital Powstańczy Mokotowa. W skład zespołu weszli m. in. dr med. Maria *Łążyńska* „Bożawola", dr med. Zofia *Dąbska* (obydwie zginęły tragicznego 29 sierpnia), dr med. Jan *Raczyński*, a także biolog doc. dr Piotr Wacław *Słonimski*, brat poety Antoniego. Wszyscy lekarze zamieszkali na terenie dzielnicy, nie związani z AK, jak np. dr med. Jan *Rutkiewicz* (z AL) czy dr med. *Stypułkowski* z Ośrodka Higieny przy Puławskiej 91, również przystąpili do działania.

Doc. dr Klemens *Gerner* przestał pełnić obowiązki szefa sanitarnego V Obwodu po trzech dniach akcji, kiedy wycofał się wraz z ppłk. „Przegonią" w nocy z 3 na 4 sierpnia do lasów Chojnowskich i już nie wrócił na teren walczącego Mokotowa. Jego miejsce zajął 18 sierpnia wybitny lekarz, ppłk rez. prof. dr med. Edward *Loth* „Gozdawa", który zgłosił się do ppłk. „Daniela" 2 sierpnia, a zginął 15 września 1944 r. podczas bombardowania dzielnicy. Po jego zgonie ppłk broni panc. Józef *Rokicki* „Karol" (komendant Obwodu od 18, faktycznie od 22 sierpnia) nie zamianował już nikogo szefem sanitariatu. Wszystkie bowiem ośrodki pracowały znakomicie mimo trudnych warunków (bombardowania, ostrzeliwanie przez moździerze i artylerię, brak opatrunków i leków itp.) i nie wymagały kierowania centralnego. Zaopatrzeniem zajmowała się intendentura, a dostarczaniem lekarstw por. rez. mgr Jan (a może Adolf?) *Gąsecki* „Wola", współwłaściciel znanej fabryki na Mokotowie.

Historia walk w tej dzielnicy została przeze mnie dość szczegółowo nakreślona w monografii „Mokotów 1944". Już od pierwszych chwil akcji ujawniła się ogromna przewaga wroga. W szturmie nie zdobyto ani jednego obiektu wyznaczonego w planach. Jedynie „Baszcie" udało się za cenę niesłychanych strat zapanować nad południową częścią Mokotowa od Madalińskiego po aleję Wilanowską. Północny Mokotów został bezpowrotnie utracony, Dolny Mokotów, Sielce i Sadyba zajęto w toku dalszych zmagań. I od pierwszych chwil wybuchu akcji zbrojnej hitlerowcy usiłowali ją zdławić terrorem. Rozstrzeliwali bez skrupułów powstańców bądź podejrzanych o udział w walkach. 1 sierpnia na Forcie przy ul. Racławickiej dokonali egzekucji na żołnierzach kompanii 01; półżywych zepchnięto do grobów, o czym świadczą protokoły Czerwonego Krzyża z powojennych ekshumacji. Większość udusiła się pod ziemią, mordowana w pośpiechu. Niemcy dokonali egzekucji nie tylko żołnierzy AK. Zarówno lotnicy gen. *Doerflera z Flughafenkommando Warschau*, jak i żandarmi z ulicy Dworkowej (żandarmeria powiatowa) czy esesmani z batalionu osławionego kata Mokotowa, Martina *Patza* (jego proces toczy się obecnie w RFN), czy dywizji „Wiking", pastwili się także nad ludnością cywilną. Mieszkańców Rakowieckiej rozstrzeliwali, wpadając do domów i wyciągając nieszczęsnych na ulicę, wymordowali ojców jezuitów, krążyli po północnym Mokotowie, strzelając do wszystkich napotkanych.

Nie uszanowali nawet rannych. Kiedy 1 sierpnia na Fortach mordowali wziętych do niewoli żołnierzy AK, jeden z nich, prawdopodobnie Stefan Karol *Pasławski*, strz. „Kordek", syn generała WP, miał przestrzelone ramię. Lekarz niemiecki nawet nie próbował go opatrzyć, powiedział jedynie: Szesnaście lat, a już bandyta!

Sanitariuszki-łączniczki i lekarze AK, będący w pierwszej linii, narażeni byli na niebezpieczeństwo i okrucieństwo wroga. 1 sierpnia została śmiertelnie ranna podczas opatrywania kolegi z dywizjonu „Jeleń" sanitariuszka Krystyna *Krahel-*

---

* Siostry elżbietanki miały przed wojną i w latach okupacji swój Dom Generalny we Wrocławiu przy ul. św. Józefa 1. Matką przełożoną była Mathilde *Küttner*, a kuratorem — ks. Joseph *Kramer*. Przy ul. Goszczyńskiego 1 w Warszawie pod nr. hipot. 8019 powstał szpital pod wezwaniem św. Antoniego, cieszący się dobrą reputacją. Warszawskie elżbietanki, wśród których było sporo sióstr pochodzących ze Śląska, podlegały prowincji poznańskiej. Około r. 1942 szpital został przeznaczony wyłącznie dla Niemców. Pod koniec lipca w okresie ewakuacji opuścił szpital niemiecki personel lekarski z dr. *Finkiem* i dr. *Waldschockiem* na czele. 30 lipca osiem sióstr z matką przełożoną Abycją — Ludwiką *Opertowską* — przeniosło się do Zalesia: na Mokotowie zostało około czterdziestu sióstr. Obowiązki przełożonej pełniła s. Filomena — Franciszka *Manuszczak*, niedawno zmarła. Na listach poległych figuruje ona bezpodstawnie jako cywilna pielęgniarka Filomena *Maruszczak* (również w moim „Mokotowie 1944"). W czasie działań kilka sióstr odniosło rany, m. in. Immakulata — Aniela *Kaczmarek*, Cecylia — Jadwiga *Ruchniewicz* czy Letycja — Maria *Henke*. Płk „Daniel" na wniosek komendanta Centralnego Szpitala Powstańczego skierował do pracy w tej placówce kilkanaście sanitariuszek-łączniczek z różnych kompanii „Baszty" do pomocy przy rannych żołnierzach AK. Historia szpitala św. Antoniego, jak dotychczas, nie została opracowana szczegółowo, a jest to przecież niezwykle ważny obiekt (na podstawie relacji s. mgr Eufemii *Schaefer*).

ska „Danuta", poetka i etnografka, zmarła nad ranem następnego dnia. Warszawski dywizjon 7 pułku ułanów, noszących kryptonim „Jeleń", należał obok kompanii 01 do najbardziej skrwawionych oddziałów powstańczego Mokotowa. Nacierał bowiem na tzw. dzielnicę policyjną przy alei Szucha (dzisiaj 1 Armii). Organizacyjnie włączony był do I Obwodu, jednakże jego losy sprzęgły się z naszą dzielnicą. Część rannych przeniesiono do szpitala zakaźnego, część rozlokowano w mieszkaniach prywatnych. Już 2 sierpnia Niemcy wpadli do szpitala i chcieli wymordować rannych, jedynie stanowcze wystąpienie sanitariuszki Zofii *Bolechowskiej* „Marty", mówiącej świetnie po niemiecku, uratowało wszystkich. Trzeba ich było jednak ze względu na zagrożenie natychmiast ewakuować. Następnego dnia „Marta" wraz z koleżanką Magdaleną *Müllerówną* „Teresą" zaginęły, został też rozstrzelany na ulicy Puławskiej lekarz dywizjonu, ppor. rez. dr med. Włodzimierz Mizgier *Chojnacki* „Włodzimierz".

Koszary *SS* w *Stauferkaserne*, podlegające *Patzowi*, stały się z jego rozkazu obozem koncentracyjnym, w którym Niemcy osadzili tysiące Polaków. Część z nich została wysłana do obozów koncentracyjnych, część rozstrzelana na terenie byłego GISZ-u (Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych) i zwłoki spalono, nielicznych uwolniono. Nawet w tak trudnych warunkach służba sanitarna i lekarze szli ludności z pomocą. Inspektor PCK, Jan *Wierzbicki*, będący również więźniem *Patza*, utworzył oddział złożony z 10, a później nawet 60 mężczyzn, w tym dwóch lekarzy, którzy opatrywali rannych czy grzebali zabitych. Jeden z patroli był przez esesmanów świadomie ostrzelany; zginął sanitariusz, drugi odniósł ciężkie rany.

Sanitariuszki czyniły wszystko, by ratować rannych chłopców. I tak np. sanitariuszka-łączniczka Stefania *Paszkowska* „Nina" z batalionu „Karpaty" (III batalion „Baszty") po walkach o zajęcie Wyścigów Konnych, widząc, że Niemcy mogą rozstrzelać rannych, przedarła się pod ogniem z Puławskiej 246 na ulicę Malczewskiego do komendy Mokotowa i sprowadziła pomoc. Komendantka patrolu sanitarnego kompanii 03 Zenona *Gąsinowska* „Narcyza" dwukrotnie wyprawiała się po ukrytych w mieszkaniach prywatnych żołnierzy swojej jednostki i przyprowadziła ich z rejonu działalności *Patza* do „Twierdzy Mokotów". Za ten czyn została odznaczona Virtuti Militari.

Powstawały też nowe punkty sanitarne lub szpitale polowe. Każda z kompanii uważała za swój „święty obowiązek" utworzenie własnego szpitaliku, gdyż ranni woleli być bliżej swoich niż leżeć w Centralnym Szpitalu Powstańczym (sióstr elżbietanek). Jeden z takich szpitali polowych, który zaczął działać po 10 sierpnia, mieścił się przy ul. Puławskiej 140, w lokalu fabryki sztucznego miodu. Jego kierownikiem został dr med. *Radwan* (podobno jest to nazwisko, nie pseudonim, starszy, 60-letni lekarz ze śródmieścia), wśród lekarzy znajdował się *Dąbrowski* „Jurek", student tajnej medycyny. Również nieukończonymi medykami byli „Iza" i „Herman" (brak bliższych danych), a sanitariuszkami „Kama", „Roma", „Tosia" i „Janka" — Hanna *Tołłoczko* (obecnie *Brachowska*), która mi tę relację przekazała w sierpniu 1981 r., nie utrzymując żadnych kontaktów z kolegami i koleżankami. Wraz z matką wzięła ona udział w walkach VI Batalionu WSOP (Wojskowej Służby Ochrony Powstania), przydzielonego do pułku „Baszta", następnie została skierowana na Puławską 140. W tym szpitalu kierowniczką apteki była mgr „Sienkiewicz" (może to nazwisko?); jej mąż, inżynier chemik, współdziałał czynnie z sekretariatem.

Patrole sanitarne szły razem z chłopcami do natarcia. W szturmie na domy *Wedla* towarzyszył grupie atakujących kpr. pchor. Wiesław *Buliński* „Gruby"; jego pomoc i pozostałych sanitariuszy okazała się nieodzowna, gdyż kompania B2 poniosła w tym natarciu z 13 na 14 sierpnia spore straty, a pchor. „Gruby" został ranny.

29 sierpnia tragedia spotkała lekarzy, sanitariuszki, pielęgniarki i siostry zakonne Centralnego Szpitala Powstańczego przy ulicy Goszczyńskiego. Mimo wywieszenia flag ze znakiem Czerwonego Krzyża, a może właśnie dlatego, gmach był specjalnie ostrzeliwany od samego rana. Pojawiły się samoloty, biły działa czołgów, Niemcy wprowadzili do walki moździerze salwowe („krowy") w ilości dotychczas niespotykanej. Budynek został strzaskany aż po parter, na którym leżeli ranni, gdyż ze względu na stały ostrzał część z nich została zniesiona z I piętra, część przeniesiona do szpitala w klasztorze sióstr franciszkanek przy Racławickiej, róg Misyjnej (dzisiaj ulica Dożynkowa). Trzy stukasy nadleciały nad zbombardowany szpital i ostrzeliwały ratujących z broni pokładowej. Zginęli wówczas mgr *Ferdyan* i Halina *Argasińska* „Maria" z kompanii B2, pod gruzami została dr *Dąbska* i dr *Łążyńska*, a kilka sióstr zakonnych i sanitariuszek zostało rannych.

Następnego dnia Niemcy zawzięli się na inny ze szpitali — Ujazdowski, mieszczący się tymczasowo w budynku sierocińca przy ul. Chełmskiej 19/21 na Dolnym Mokotowie (dzisiaj zabudowania Wytwórni Filmu Dokumentalnego). Ofiarami bombardowania padło 50 powstańców, a także około 170 osób z personelu i inwalidów z kampanii 1939 r. Dramatyczne dzieje Szpitala Ujazdowskiego zyskały obszerną literaturę. Oznaczony, podobnie jak Centralny Szpital Powstańczy, flagą Czerwonego Krzyża, stał się grobem dla wielu walczących, inwalidów i sanitariatu.

Nie tylko gmachy szpitalne, ale także punkty sanitarne czy też polowe szpitaliki były z premedytacją niszczone przez hitlerowców. 2 września został strzaskany dom przy ulicy Malczewskiego 3/5 (dzisiaj Komendy Dzielnicowej MO). Szedłem tamtędy w kierunku ulicy Tynieckiej, gdy zobaczyłem nadlatujące samoloty. Cofnąłem się do przechodniej bramy w tym domu, ale wyskoczyłem nagle uświadamiając sobie, że stukasy pewnie ciągną na Stare Miasto z Okęcia. Kiedy po kilku krokach obejrzałem się, dostrzegłem ogromne rumowisko, parujące gorącem i kurzem. Zginęło tam około 150 osób, w tym 40 żołnierzy por. „Judyma", oraz ranni z punktu sanitarnego, kierowanego przez doc. *Słonimskiego*. Przystąpiliśmy niezwłocznie do akcji ratunkowej, ostrzeliwani przez krążące nad Malczewskiego stukasy. Po kilku godzinach pracy, kiedyśmy się dostali do wnętrza piwnic, wyłamując ubezpieczające je kraty żelazne, zobaczyliśmy zwęglone zwłoki, nie do rozpoznania. Nikt z przebywających w tym domu się nie uratował z wyjątkiem dwóch, trzech

żołnierzy, którzy, podobnie jak i ja, wyskoczyli na zewnątrz.

Od 9 sierpnia Mokotów był niemal regularnie bombardowany przez Niemców, cały czas ostrzeliwany z artylerii i broni maszynowej. Dnie 29 i 30 sierpnia, a także 2 września, należały do najcięższych. Poprzedniego dnia zaczęła płonąć Sadyba, zajęta pod wieczór 2 września. Ludność mordowano, powstańców rozstrzeliwano bez litości, tłumy wypędzano z domostw, które podpalono. Część żołnierzy AK przebiła się na Mokotów. 15 września po kilku dniach zażartych walk Niemcy zajęli Sielce, niemal całkowicie wyburzone. Również 15 września samoloty hitlerowskie zapanowały nad całym Mokotowem, czyniąc straszliwe spustoszenia. Stukasy latały bezkarnie, nie mieliśmy żadnej broni przeciwko nim. Zginął wówczas ppłk. „Gozdawa" wraz z żoną i córką, zginęła cała sekcja sanitarna kompanii B3, złożona z chłopców, zginęła generałowa Aleksandra *Pasławska* „Krysta" i wielu, naprawdę wielu powstańców. Kazamaty Fortu Legionów Dąbrowskiego, zwanego także Fortem Piłsudskiego, przy ulicy Pilota Idzikowskiego, stały się grobem dla chłopców z kompanii K1.

Ale prawdziwie tragiczne chwile dla Mokotowa zaczęły się w piękną niedzielę jesienną 24 września 1944 r., kiedy hitlerowcy uderzyli na dzielnicę z całą siłą. Gen. Günther *Rohr*, dowódca południowego odcinka, rozporządzał 9000 żołnierzami, artylerią, czołgami i lotnictwem. Z każdą godziną topniały szeregi powstańców, broniących Mokotowa. Niemcy wkraczając w głąb pozycji AK i zajmując przestrzeń położoną na południe od ulicy Odyńca, wymordowali rannych. Nie wszystkie punkty sanitarne zdołano ewakuować ze względu na straszliwy ostrzał. W szpitaliku przy uliczce Czeczota 17, zajętym pod wieczór 25 września, dobito rannych lub spalono żywcem. 26 września Niemcy dotarli do wysuniętej (podówczas) na przedpole kamienicy przy alei Niepodległości 117/119. Nim ją zajęli, częściowo zdruzgotali uderzeniem goliata, rannych z punktu sanitarnego rozstrzelali. Była przy nich sanitariuszka Ewa *Matuszewska* „Mewa", studentka tajnej medycyny, do ostatniej chwili troszcząc się o podopiecznych. Już po wyzwoleniu jej matka, Stanisława *Kuszelewska-Rayska* (żona słynnego generała pilota) znalazła zwłoki córki, trzymającej w martwych dłoniach bandaże, których nie zdołała użyć **.

Niemcy kapitulację Mokotowa uznali za swój wielki sukces. Nie było już zresztą dalszych warunków do obrony, skończyła się amunicja, liczba rannych sięgała dziesiątków, brakowało żywności i opatrunków. 1500 żołnierzy, nie chcąc się poddać i zdając sobie sprawę, co ich czeka, gdy dostaną się w ręce hitlerowskie, przebiło się na rozkaz dowództwa kanałami do Śródmieścia-Południe. Wielu też przypłaciło życiem tę niebezpieczną wyprawę. 27 września 1944 r. zapanowała cisza na Mokotowie. Niemcy wydali pospiesznie ulotkę, w której donosili o swoim sukcesie. Nagłówki głosiły: „Zdrowy rozsądek zwyciężył", „Dalszy opór przeciwko armii niemieckiej jest bezcelowy!", „2000 powstańców skapitulowało", „5000 ludności cywilnej Mokotowa zostało uwolnione" (!). Cynizm tych słów graniczył z głupotą, ale tacy zawsze byli Niemcy. Ta ulotka, prawie dotychczas nieznana, którą otrzymałem w darze z kręgów lekarskich Warszawy, wskazywała na trudności, jakie *Wehrmacht* miał ze stłumieniem powstania.

W ciągu 57 dni walk Mokotowa powstańcy dali z siebie wszystko. Osłaniali oni od południa miasto. Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby ppłk „Daniel" pod naporem wydarzeń i niepowodzeń wydał wieczorem 1 sierpnia rozkaz opuszczenia dzielnicy i przebicia się do pobliskich lasów. Niemcy zapanowaliby nad całym rozległym obszarem, a trzymając rejon Okęcia, Wyścigów Konnych, Służewa, Wilanowa i Siekierek nie pozwoliliby na powrót oddziałów powstańczych. Powstanie na skutek odsłonięcia jednego skrzydła musiałoby się zakończyć o wiele szybciej, gdyż przewaga w uzyskanej przestrzeni i wyposażeniu dawałaby korpusowi *von dem Bacha* bezwzględną swobodę operacyjną. Trzeba jeszcze nadmienić, że Śródmieście-Południe w pierwszych dniach sierpnia należało do dzielnic dopiero organizujących opór. Oddziały hitlerowskie z Mokotowa, wsparte siłami tzw. dzielnicy policyjnej, wzmocnione kompanią lekkich czołgów 5 dywizji pancernej *SS* „Wiking", nie pozostawiłyby na północ od placu Unii Lubelskiej kamienia na kamieniu, czego mógł być dowodem odcinek Marszałkowskiej, zupełnie wypalonej po plac Zbawiciela.

Oczywiście łatwo jest stawiać hipotezy post factum, ale właśnie unaocznienie sobie innego wariantu wydarzeń uświadamia nam, dlaczego Niemcy przywiązywali tak wielką wagę do zajęcia Mokotowa. Pozwalało im to na przygotowanie rozstrzygającego uderzenia na Śródmieście. Pisali w tej ulotce (publikowanej po raz pierwszy): „Przy zwalczaniu powstania Armii Krajowej w Warszawie odniosła znowu armia niemiecka nowy, znaczny sukces. Po czterodniowej walce zostało zajęte przedmieście Mokotów. Zastosowanie ciężkiej niemieckiej broni złamało w takim stopniu siłę oporu powstańców, że w dniu 27 września przed południem została zaproponowana z ich strony kapitulacja". Jak to się w rzeczywistości przedstawiało, podaję w „Mokotowie 1944". Nie było się czym i gdzie bronić, bloki przy ulicy Bałuckiej między Szustra (dzisiaj Dąbrowskiego), Różaną a Puławską nie dawały żadnej możliwości oparcia.

Niemcy zapowiadali, że będą traktować powstańców jak jeńców wojennych. Tak głosili w ulotce, ale tego samego dnia, 27 września 1944

** W cennym szkicu prof. dr med. Hanny *Odrowąż-Szukiewicz* pt. Wojskowa służba zdrowia na Sadybie podczas powstania warszawskiego (Archiwum Historii Medycyny, t. LXI 1978) czytamy, że *Matuszewska* była córką Tadeusza, docenta SSGW. Jest to ewidentny błąd. Podaję (w: Mokotów 1944) dokładne dane dotyczące tej bohaterskiej sanitariuszki, podobnie jak dane dr. med. Romana *Polaka* „Głoga". Autorka dziwi się, kim był, skąd się pojawił na Sielcach (II Rejon), dodając w przypisie: „nie udało się ustalić niczego bliższego o tej parze lekarzy". Dr Roman *Polak* jest znanym w Warszawie położnikiem — ginekologiem, „Kalina" — to pseudonim jego żony. I jeszcze jedno: na Sielcach nie było zakładów imienia Mieczysława *Rago*, po prostu firma M. *Rago* przy ulicy Jedwabniczej 2. Pomijam już inne szczegóły, wymagające uściśleń. Podkreślam jednak, że jest to opracowanie rzetelne i oddające przebieg zagadnień w sposób przykładowy.

r., znowu rozległy się salwy plutonów egzekucyjnych. Żandarmeria z Dworkowej zabiła 119 powstańców, którzy wyszli na jej terenie z kanałów.

W ciągu tych 57 dni walk poległo około 1700 powstańców. Listy podane przeze mnie w monografii, przygotowywane od r. 1944 dzięki wysiłkowi byłych uczestników, nie są pełne, bo nimi być nie mogą ze względu na niedokładność ewidencji. Mówią jednak same za siebie. Jest to prawie 40% ogólnej liczby walczących. Wśród poległych było również 10 lekarzy oraz 70 sanitariuszek, nie licząc personelu szpitalnego Elżbietanek i Ujazdowskiego.

W szeregach powstańczych na Mokotowie brali udział w walkach pierwszej linii jako żołnierze również studenci tajnej medycyny. Jedynie kpr. pchor. Wiesław *Buliński* „Gruby" służył w drużynie sanitarnej. Podkreślałem już jego zaangażowanie i postawę. Natomiast kpr. Janusz *Bielski* „Marek I", plut. pchor. Mieczysław *Chorąży* „Grom" (dzisiaj profesor i członek korespondent PAN), plut. pchor. Leszek *Czaykowski* „Jastrzębiec I", plut. z cenz. Tadeusz *Dzierżykray-Rogalski* „Mściwój" (dzisiaj znany antropolog), st. strz. Henryk *Halski* „Hania", por. Tadeusz *Jakubiec* „Judym", ppor. Zdzisław *Klawe* „Edward" (adiutant 1 pułku szwoleżerów, po wojnie wybitny chirurg), szw. Tomasz *Klawe* „Tomek", łączn.-san. Ewa *Kokińska* (obecnie *Dobrucka)* „Ewa", sierż. pchor. Wacław *Leśkiewicz* „Fred", kpr. pchor. Wojciech *Kostanecki* „Wierusz", kpr. pchor. Leszek *Pawlikowski* „Nowina" czy plut. pchor. Stefan *Sakowicz* „Jacek IV" (zginął w ostatnich dniach) po wyzwoleniu dokończyli albo podjęli studia medyczne. Być może pominąłem kogoś, świadczy to jednak o braku pełnej dokumentacji.

I tu nasuwa się pytanie, czy historię służby sanitarnej Mokotowa, choćby w tak skrótowym zarysie, można uznać za zamkniętą. Czy w ogóle można mówić o opracowaniu zagadnienia służby zdrowia w powstaniu warszawskim?

Dwie monografie, pióra Adama *Borkiewicza* i Jerzego *Kirchmayera* ze zrozumiałych względów niewiele miejsca poświęcają temu zagadnieniu. Pionierska rozprawa doktorska Stanisława *Bayera,* z którą się zapoznałem, leżąca w maszynopisie od 1968 r., może być dopiero podstawą do dalszych opracowań. Wymaga bowiem daleko idących uzupełnień. Wydaje mi się też, że ten temat jest ponad siły jednego autora. Trzeba znać i wczuć się w swoistość poszczególnych dzielnic lub Obwodów, by móc nakreślić na tle przebiegu działań problematykę służby sanitarnej.

Te zagadnienia winny być opracowane przez zespół pod kierunkiem wybitnego historyka. Stawiam tezę, że potrzebna jest — i to jak najbardziej — pełna, rzeczowa monografia służby sanitarnej w powstaniu warszawskim! Może też powstać według mego przekonania jako zbiorowe dzieło, póki jeszcze żyją uczestnicy walk.

Środowiska powstańcze zebrały sporo materiału, ale jak sądzę, wymaga on jeszcze pogłębienia i zebrania dodatkowych relacji. Praca dokumentarna tego typu wzbogaci niewątpliwie naszą wiedzę o wysiłku społeczeństwa polskiego i jego inteligencji, o wkładzie lekarzy polskich w historię drugiej wojny światowej, a przede wszystkim wielkiego wydarzenia, jakim było powstanie warszawskie.

*

Powstańczego Mokotowa dotyczą m. in. następujące pozycje: L. M. *Bartelski:* Mokotów 1944. Wyd. 2, Warszawa 1971; A. *Borkiewicz:* Powstanie Warszawskie. Wyd. 3, Warszawa 1964; nadto relacje i wspomnienia ze zbiorów L. M. *Bartelskiego* (maszynopisy, rękopisy, listy); materiały byłego pułku AK „Baszta" w posiadaniu Komisji Historycznej Oddziału Warszawa Mokotów ZBoWiD. Żołnierze Baszty w czasie powstania warszawskiego 1944 (Londyn 1981).

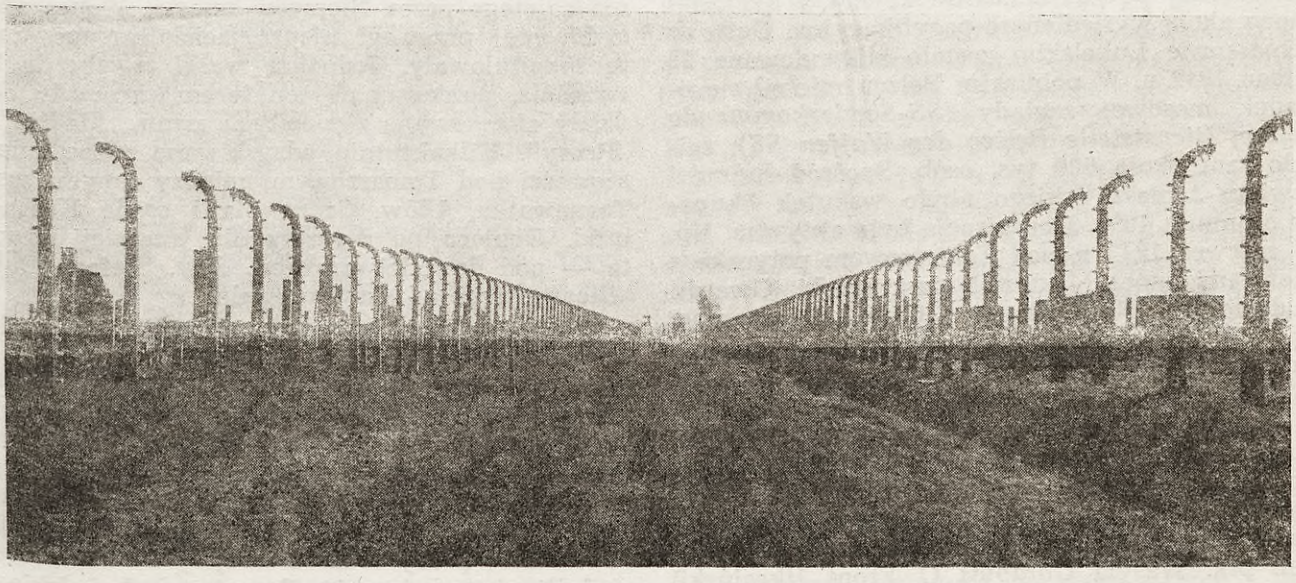

Pozostałe relikty na terenach byłego obozu koncentracyjnego i zagłady Oświęcim-Brzezinka, m. in. słupy z resztkami drutów, przez które przebiegał prąd wysokiego napięcia (fot. W. *Rospondek*)

STANISŁAW KLIMKIEWICZ

Cieplice Śląskie Zdrój

W Tomaszowie Lubelskim w latach okupacji

Tomaszów Lubelski, w latach 1919—1975 miasto powiatowe, było przed wojną ośrodkiem żywotnym pod względem rzemieślniczo-handlowym, kulturalnym i administracyjnym. Położone jest w dorzeczu Bugu, nad Sołokiją, w paśmie Roztocza, na wschód od wsławionej walkami partyzanckimi Puszczy Solskiej, obecnie blisko granicy z ZSRR. Trudno mówić o przebiegu wojny obronnej Polski w 1939 r., nie wymieniając nazwy tego miasta.

We wrześniu 1939 r. mianowicie dywizje niemieckiej 14 Armii, wykonując rozległe okrążenie frontów polskich (Północnego, Środkowego i Południowego), podeszły po sforsowaniu Sanu pod Lwów i parły w kierunku Lubaczowa i Tomaszowa Lubelskiego, który zajęła niemiecka 4 Dywizja Lekka. Od 18 do 27 września toczyły się na Zamojszczyźnie zacięte walki armii „Lublin" i „Kraków" z nieporównanie silniejszym nieprzyjacielem.

Polacy ponawiali próby przebijania się z okrążenia przez Tomaszów Lubelski, np. 17 września wieczorem nacierała tam Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa ówczesnego pułkownika dypl. Stefana *Roweckiego* (później słynnego gen. „Grota"), a 1 pułkowi zmotoryzowanemu strzelców ppłk. dypl. Zenona *Wzacnego* udało się nawet przejściowo zająć południowo-wschodnią część Tomaszowa.

Ówczesny powiat tomaszowski objęty był osławioną akcją wysiedleńczo-pacyfikacyjną. Getto w Tomaszowie Lubelskim zostało zlikwidowane 22 lutego 1942 r. W pobliskim Bełżcu mieścił się ośrodek masowej zagłady (*SS-Sonderkommando Bełżec, Dienststelle Bełżec der Waffen SS*); zginęło tam około 600 tys. osób. Spośród ludności powiatu tomaszowskiego ubyło wskutek okupacji najmniej 40%. Konspiracja była aktywna. Np. 10 czerwca 1943 r. pod Tomaszowem potyczkę z Niemcami stoczył oddział partyzancki Gwardii Ludowej im. Kotowskiego z Grupy Operacyjnej im. T. Kościuszki pod dowództwem Grzegorza *Korczyńskiego* („Grzegorza"); w grudniu tegoż roku oddziały BCh „Burzy" i „Błyskawicy" unieruchomiły w Tomaszowie Lubelskim mleczarnię i rzeźnię, zdobyły znaczne zapasy żywności, ostrzelały posterunek żandarmerii. Miasto zostało wyzwolone 22 lipca 1944 r. w operacji lwowsko-sandomierskiej przez wojska 3 Armii Gwardii gen. płk. Wasyla *Gordowa* (1 Front Ukraiński) przy współudziale partyzantów polskich.

Silne walki w opisywanym pokrótce rejonie, począwszy od wojny w 1939 r., stworzyły — zwiększając liczbę chorych i rannych — szczególnie trudną sytuację dla tamtejszej służby zdrowia.

Placówką leczniczą w mieście był Szpital Powiatowy, założony w r. 1914, tuż przed pierwszą wojną światową. Był on wówczas mały, 24-łóżkowy; korzystała z niego najuboższa ludność. Właściwy rozwój szpitala nastąpił po objęciu stanowiska dyrektora przez dr. Janusza *Petera*. Przybył on w 1927 r. ze Lwowa, gdzie pracował jako starszy asystent w Klinice Chirurgicznej prof. *Ostrowskiego*. Wkrótce, rozbudowując stopniowo szpital, *Peter* zorganizował cztery oddziały szpitalne, salę operacyjną, rentgen, laboratorium i aptekę.

W r. 1939 szpital liczył 120 łóżek i cieszył się dużym zaufaniem mieszkańców. Wykonywano już wszystkie, najczęściej stosowane w szpitalach tego typu, zabiegi chirurgiczne. Współpracownikami *Petera* byli w tym czasie chirurg Wincenty *Jabłoński* i internistka-okulistka z kilkuletnim stażem klinicznym, Janina *Borysiewicz*. Wykonywała ona zabiegi chirurgiczne z zakresu okulistyki. Poza nimi pracowali okresowo lekarze stażyści. Personel pielęgniarski stanowiły siostry zakonne.

Jak wiadomo, już we wrześniu 1939 r. okolice Tomaszowa Lubelskiego były terenem ciężkich walk ugrupowań polskich, chcących przedrzeć się do ówczesnej Polski południowo-wschodniej, a armie „Kraków" i „Lublin" dążyły do odzyskania zajętego przez Niemców miasta. Wobec zdecydowanej przewagi nieprzyjaciela zgrupowania te skapitulowały. Jednakże walki trwały do 26 września, ponieważ na ten teren wkroczyły oddziały sformowane z rozbitych armii, „Modlin" i „Prusy". Kilkakrotnie odzyskiwano różne miejscowości pod Tomaszowem, między innymi wsie Tarnawatka, Ulów, Szarowola i osadę Krasnobród. Dopiero po wyczerpaniu amunicji grupa ta — pod dowództwem gen. dyw. Stefana *Dąb-Biernackiego* — skapitulowała.

Wojska polskie wówczas nie miały już zaplecza sanitarnego i Szpital Powiatowy w Tomaszowie Lubelskim przyjął w tym czasie około 400 rannych. Zajęto na ten cel budynek gimnazjum, w bezpośrednim sąsiedztwie szpitala. Po ustaniu działań wojennych powrócili do pracy w szpitalu — zmobilizowani w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. — doktorzy *Peter* i *Jabłoński*. Zgłosili się również do pracy lekarze miejscy i inni, którzy znaleźli się na terenie Tomaszowa Lubelskiego wskutek działań wojennych. Również podjęły pracę wszystkie pielęgniarki z terenu, a wiele ochotniczek z miasta zgłosiło się do opieki nad rannymi. Niemieckie dowództwo oddziałów, któ-

re wkroczyły do miasta, objęło nadzór nad działalnością szpitala.

Początkowo był to raczej nadzór teoretyczny, bo ograniczał się do przelotnych inspekcji lekarzy i oficerów niemieckich. Wykorzystano ten fakt i lekko ranni żołnierze — po uzyskaniu zdolności do poruszania się, zaopatrzeni w cywilne ubrania — wracali do domów. Ciągły jeszcze w tym czasie przepływ uciekinierów sprzyjał tej akcji. W ciągu kilku tygodni budynek szkoły opróżniono i przeniesiono pozostałych rannych do szpitala. Byli to ciężej ranni, wymagający dłuższego leczenia. Brakowało już środków opatrunkowych, leków, a szczególnie surowicy przeciwtężcowej i przeciw zgorzeli gazowej. U kilkunastu rannych wywiązała się zgorzel gazowa i kilku z nich — mimo radykalnych nacięć i opatrunków utleniających — zmarło. Jesienią 1939 r. było w sumie około 80 zgonów wskutek ciężkich zranień i wstrząsów urazowych, których leczenie w początkowym okresie wojny nie mogło być skuteczne. W miarę uzyskiwania zdrowia wielu jeszcze rannych opuściło szpital.

Zmieniające się jednostki wojskowe niemieckie nie mogły tego należycie skontrolować. Wraz z odejściem rannych likwidowano ich dokumentację chorobową. Gdy więc w grudniu Niemcy ewakuowali rannych do szpitala jenieckiego, dotyczyło to zaledwie kilkunastu żołnierzy i oficerów, którzy nie zdecydowali się na opuszczenie szpitala, przekonani, że jako inwalidzi zostaną zwolnieni do domów.

W tym czasie po działaniach wojennych wróciłem do rodzinnego miasta i pracowałem w szpitalu do połowy grudnia 1939 r. Później powróciłem do Warszawy, aby kontynuować specjalizację w klinice chorób wewnętrznych. Wtedy wierzyliśmy, że wiosna przyniesie koniec wojny. I to było nasze pierwsze, bolesne rozczarowanie. We wrześniu 1940 r. powróciłem do pracy w Szpitalu Powiatowym w Tomaszowie.

Wówczas administracja niemiecka już się umocniła, a gestapo rozpoczęło swoją działalność. W 1940 r. Niemcy założyli w Bełżcu obóz pracy dla Żydów i Cyganów we młynie, we dworze i parowozowni. Po kilku tygodniach głód i antysanitarne warunki spowodowały masowe zachorowania na czerwonkę. Jesienią 1940 r. dowództwo obozu skierowało do szpitala kilkunastu chorych na czerwonkę. Rzuceni na wóz jak worki piasku, przedstawiali opłakany wygląd. Gdy zdejmowano ich z wozu, dwoje chorych było już w agonii. Pozostali wykazywali skrajne wyniszczenie. W tym stanie, przy ówczesnych możliwościach terapeutycznych, zaledwie kilkoro udało się utrzymać przy życiu. Więcej takich transportów nie było. Był to jedyny objaw „niemieckiego humanitaryzmu". Wkrótce obóz zlikwidowano, bez pozostawienia śladów chociażby mogił.

W lecie gestapo dokonało kilku zbiorowych aresztowań i deportacji do obozu w Dachau. Pierwsze dotyczyło młodzieży; ofiarami było kilkunastu młodych mężczyzn, członków pierwszych organizacji konspiracyjnych. Młodzieńczy tupet i brak doświadczenia konspiracyjnego stały się przyczyną szybkiego rozpoznania przez wywiad niemiecki i aresztowań. Druga „branka" dotyczyła inteligencji. Wśród aresztowanych był burmistrz, urzędnicy, księża i nauczyciele. Już po dwóch miesiącach kilka rodzin otrzymało przesłane pocztą za zaliczeniem pocztowym urny z prochami swoich bliskich. To też było pojedyncze zdarzenie.

Szpital pracował w ciężkich warunkach, borykając się z zaopatrzeniem w leki i żywność. Zajęto budynek Ubezpieczalni Społecznej i opuszczony dom byłego starosty, które leżały w sąsiedztwie szpitala. Dzięki temu liczba łóżek szpitalnych zwiększyła się do 300. Miało to istotne pływ do szpitala chorych zakaźnie. Dur plamisty, znaczenie dla ludności, gdyż rozpoczął się nadur brzuszny i czerwonka pojawiały się coraz liczniej. Miejsca dla chorych na gruźlicę zajęli przeważnie ludzie młodzi, rokujący poprawę. Brak było miejsc dla gruźlicy rozpadowej. Wśród chorych szpitala znaleźli się już ludzie poszukiwani przez Niemców. Leżeli pod obcymi nazwiskami wśród chorych oddziału zakaźnego. Objąłem ten oddział od dr. *Jabłońskiego*, który przeszedł do pracy na oddziale chirurgicznym. Oddział zakaźny mieścił się w trzech budynkach i liczył 120 łóżek.

Nie było wtedy godzin pracy; trwała ona cały dzień, nieraz do późnej nocy. Od początku zorganizowania oddziałów konspiracyjnych w Obwodzie Tomaszów Lubelski byliśmy z dr. *Jabłońskim* członkami i lekarzami AK. Był nim również Wincenty *Kaczorowski*, wówczas student medycyny, obecnie pułkownik. Cechował go niezachwiany optymizm i uczynność. On załatwiał „lewe" dowody, zupełnie zresztą autentyczne, zdobywane dzięki naszym ludziom w urzędzie landrata (starosty). Często również osobiście *Kaczorowski* przewoził wiadomości do oddziałów leśnych i dowództwa obwodu. Niemieckie zwycięstwa we Francji, Norwegii, Jugosławii i w rejonie Morza Śródziemnego zgasiły nasze nadzieje na rychłe zakończenie wojny.

Żyliśmy więc na Zamojszczyźnie przygnębieni wzrastającym terrorem. Praca była ucieczką od codziennych, okupacyjnych przeżyć. Kilka sal na oddziale chirurgicznym zajął *Wehrmacht* dla potrzeb oddziałów koncentrujących się przed inwazją na Związek Radziecki. Przybył zespół niemieckich lekarzy i sanitariuszy. Z ich strony nie mieliśmy przykrości. Nie wtrącali się do naszych spraw, a obecność placówki niemieckiej oddalała w pewnym stopniu zainteresowanie szpitalem przez gestapo. I tak przesiedzieliśmy wspólnie, jak owce z wilkiem, do pamiętnego 21 czerwca 1941 r., tj. do napaści na ZSRR.

W pierwszym dniu walk szpital, noszący już wtedy z polecenia administracji niemieckiej nazwę *Kreiskrankenhaus*, zapełnił się setkami rannych żołnierzy niemieckich. Ich personel lekarski był zdezorientowany i przekonaliśmy się, że zachwalana niemiecka organizacja zawodzi. Spotkaliśmy się również z niezrozumiałym dla nas traktowaniem rannych w jamę brzuszną. Podawano im tylko morfinę, pozostawiając ich bez zabiegów chirurgicznych. Niemieccy lekarze tłumaczyli to nieopłacalnością operowania z powodu bardzo dużej (w erze przed antybiotykami) śmiertelności. Zajmowali się więc rannymi rokującymi powrót do służby wojskowej.

Nie widząc możliwości poradzenia sobie z tak dużą liczbą rannych, zwrócili się do naszego dyrektora z prośbą o pomoc. Nasi chirurdzy zoperowali właśnie siedmiu rannych w brzuch. Wbrew niemieckiej statystyce czterech z nich wyzdro-

wiało. Jako inwalidzi zostali zdemobilizowani, a więc ręce polskich chirurgów nie przysporzyły obrońców hitlerowskiej Rzeszy. Wynik tych zabiegów wprowadził niemieckich lekarzy w pewne zakłopotanie. Zaczęli wtedy do nas się zwracać per *Herr Kollege*. Wkrótce niemiecki szpital ewakuował swoich rannych i opuścił Tomaszów, posuwając się za frontem.

Rok 1942, jak wiadomo, był okresem konfrontacji na większą skalę oddziałów partyzanckich z Niemcami. W lasach okolicznych przebywały już stałe oddziały dywersji; rwano tory kolejowe, utrudniając transporty kolejowe na wschód. W rejonie wsi Majdan Sopocki zestrzelono olbrzymi samolot transportowy ze sprzętem wojskowym. Leciał on na niskiej wysokości i padł ofiarą zmasowanego ognia karabinowego. Działania partyzanckie łączyły się oczywiście z obecnością rannych z naszych oddziałów. Istniały wówczas punkty sanitarne we wsiach i w mieście. Lżej ranni po otrzymaniu niezbędnej pomocy szpitalnej korzystali tam z opieki przeszkolonych sanitariuszek i naszych doraźnych odwiedzin.

Utkwił mi w pamięci piękny, zimowy dzień, kiedy jechałem saniami w towarzystwie sanitariuszki i dwóch partyzantów do wsi Majdan Górny, aby udzielić pomocy rannemu. Po opracowaniu rany i założeniu na nogę opatrunku gipsowego wracaliśmy do miasta. Przyczepiliśmy sobie białe wstążeczki z barwinkiem takie, jakie w zwyczaju w tamtych stronach noszą młodzi i drużbowie, jadąc do ślubu. Ujrzeliśmy jadące z przeciwka sanie z żandarmami. Nie mieliśmy żadnych szans ewentualnego oporu — chłopcy mieli jedynie pistolety. Gdy więc żandarmi nadjechali, ukłoniliśmy się im uniżenie, jak się członkom *Herrenvolku* należało. Spojrzeli na nasze wstążeczki, zarechotali *Hochzeit!* i z grubiańskim dowcipem minęli nas bez żadnej kontroli. Na skraju miasta „wesele" rozpierzchło się i każdy zaułkami powrócił do domu. Byłem wtedy młody i widocznie przekonywająco wyglądałem jak wiejski pan młody.

W czasie jednego z wyjazdów został aresztowany dr *Jabłoński*. Interwencja u landrata z wyjaśnieniem, że jeździł do porodu, poskutkowała i następnego dnia został zwolniony. Dla pewności tę noc przespałem na chórze starego kościoła.

W naszym szpitalu pracowało obecnie pięciu lekarzy: *Peter, Jabłoński, Borysiewicz, Wojtkowiak* i ja. *Kaczorowski* prowadził badania laboratoryjne. Przybyła również do pracy studentka medycyny Alina *Mazurek*. Jej mąż objął posadę lekarza Ubezpieczalni. Poza siostrami zakonnymi pracowały w Szpitalu Powiatowym również pielęgniarki przyuczone — członkinie konspiracji. Personel był dyskretny, umiał milczeć i było to największym udogodnieniem pracy konspiracyjnej.

Mieliśmy zastrzeżenia do jednego z pracowników. Zgłosił on narodowość ukraińską i utrzymywał stosunki towarzyskie z Niemcami. Przekonaliśmy się o tym z *Kaczorowskim*, gdy mając do niego jakąś sprawę, weszliśmy do jego mieszkania. Wejście prowadziło przez kuchnię. Obecna w niej jego matka zawołała go i gdy wyszedł do nas, przez przelotnie uchylone drzwi zobaczyliśmy za zastawionym stołem gestapowców. Nie zaistniała jednak z jego strony denuncjacja. Gdy zaczęły się napięcia w stosunkach polsko-ukraińskich, wyjechał do sąsiedniego miasta. Po wojnie powrócił do narodowości polskiej i zajął nawet poważne stanowisko. Spotkaliśmy się przypadkowo dwukrotnie, lecz rozmowa nie kleiła się. „Cień uchylonych drzwi" pozostał między nami. Przypuszczam, że jego postępowaniem kierował zwykły oportunizm i asekurantyzm.

Rok 1942 był dla nas niezwykle ciężki. W Bełżcu zaczął już działać obóz zagłady. Codziennie w komorach gazowych ginęły transporty Żydów z różnych krajów. Zwłoki grzebano w głębokich dołach obronnych, na byłej granicy Generalnego Gubernatorstwa i województwa lwowskiego. Po kilku tygodniach tysiące rozkładających się zwłok zatruwały powietrze dławiącym odorem. Przy łagodnym wietrze dochodził on do miasta, mimo ośmiokilometrowej odległości, a nawet jeszcze dalej. Wówczas hitlerowcy rozpoczęli palenie zwłok. Używali do tej pracy jeńców wojennych, przeważnie Kałmuków i Tatarów, zwanych „czarnymi" z powodu mundurów, jakie nosili.

Zwłoki układano warstwami, przekładając drewnem, i taki stos zapalano. Jeszcze bardziej dokuczliwa woń rozchodziła się w całej okolicy. Nocą łunę od płonącego stosu widać było z odległości kilkunastu kilometrów. Tak trwało do roku 1943. W przybliżeniu spalono tam około sześciuset tysięcy zwłok. Według wielu relacji liczba ta jest zaniżona. Żyliśmy przygnębieni pod wrażeniem tego piekła. Widziałem kiedyś wieczorem, jak jeden z moich chorych, patrząc przez okno na łunę, płakał.

Był to Dymitr *Łabaz*. Przybył do szpitala z powodu wysiękowego zapalenia stawu kolanowego i leżał na moim oddziale. Gdy wyzdrowiał, nie zdradzał wcale chęci opuszczenia szpitala. Jego zachowanie, sposób wyrażania i obycie nie cechowały bynajmniej ukraińskiego chłopa z Jarczowa, za jakiego się podawał. Przy badaniu dyskretnie zorientowałem się w jego rzeczywistej narodowości. Wypisywałem go ze szpitala i zapisywałem na nowo, pisząc wciąż inne historie choroby. I tak szczęśliwie doczekaliśmy wyzwolenia. Dopiero wtedy przyznał mi się, że jest Żydem, z zawodu adwokatem, i był zdziwiony, że od dawna o tym wiedziałem. Później jechaliśmy razem do Lublina — do wojska. Wtedy byłem już jego chrzestnym ojcem, bo zmienił wyznanie. Stracił całą rodzinę. Łzy w oczach mgr. Romana *Vogla* być może towarzyszyły chwili śmierci jego bliskich.

W naszym szpitalu zaistniała również śmierć, zadana w łóżku. Agent gestapo *Jarmoła*, słynny z dokonywanych wraz z funkcjonariuszem gestapo, *Linkerem*, grabieży podczas urządzania przez nich rewizji w domach polskich, został podczas próby zamachu na niego tylko lekko postrzelony. Przybył do szpitala i już przy opatrunku odgrażał się: „teraz zobaczą, co zrobi *Jarmoła*. Ostrzegliśmy niefortunnych wykonawców wyroku. Po południu, gdy nie było personelu (tak dziwnie się złożyło), weszli dwaj partyzanci do sali, w której leżał *Jarmoła*. Przejrzeli nazwiska na kartach gorączkowych i ze słowami: „szkoda, że tu nie ma *Jarmoły*" wychodzili z sali. *Jarmoła*, który leżał pod innym nazwiskiem, odetchnął z ulgą. Ale to była tylko chwila. Nagle zawrócili i Wiktor (dowódca oddziału dywersji) powiedział:

tę chwilę miałeś, *Jarmoła*, na żal za grzechy. Tym razem strzał był bezbłędny.

Gdy zawiadomione gestapo przybyło do szpitala, *Jarmoła* nie mógł już wyjawić znanych sobie partyzantów. Gestapowcy przesłuchali wszystkich chorych z tej sali. Wszyscy trzęśli się ze strachu i podawali, że sprawcy byli wysocy, jeden rudy, a drugi łysy. W rzeczywistości obaj byli niscy i bruneci. Improwizowane zeznania chorych wykazały ich orientację i inteligencję. Gdy Niemcy wyszli z sali, chorzy od razu wrócili do normy. Martwy agent nie miał dla Niemców wartości i na tym cała sprawa się skończyła.

A w naszym szpitalu przybywało chorych i rannych partyzantów. Umieszczaliśmy ich częściowo na oddziale chirurgicznym, zwłaszcza przy postrzałowych złamaniach kończyn. Opatrunek gipsowy nie reklamował rany, a wywiad chorego mówił o kopnięciu przez konia, o spadającej szynie przy ładowaniu wagonu kolejowego itp. Bardziej jednak znani otoczeniu i wymagający dłuższego leczenia leżeli na oddziale zakaźnym. W tym czasie panował dur plamisty i mieliśmy ponad stu takich chorych. Między nimi leżeli ranni. Zdarzały się kontrole niemieckich lekarzy, urzędników i gestapo. Prowadzeni na oddział zakaźny, po drodze słyszeli o liczbie chorych na *Fleckfieber*. Zazwyczaj zaglądali przez drzwi do przepełnionych sal i zmykali. Wtedy stosowaliśmy pewną psychologiczną scenerię. Jeden z chorych siadał na basenie obok łóżka. Tego już oczy i nosy narodu panów nie znosiły.

27 listopada 1942 r. na Zamojszczyźnie rozpoczęli Niemcy wysiedlanie ze wsi polskiej ludności. Akcja ta trwała do marca 1943 r. Bataliony Chłopskie i oddziały AK podjęły walkę i akcje odwetowe na nasiedlone przez niemieckich osadników wsie. Stoczona przez Bataliony Chłopskie bitwa pod Zaborecznem przyniosła Niemcom duże straty. W powiecie tomaszowskim wysiedlili Niemcy 44 wsie. Część ludności pozostawiono jako robotników, ścieśniając po kilka rodzin w wydzielonych domach. W wyniku działań zbrojnych mieliśmy coraz więcej rannych i chorych. Wielu musiało być hospitalizowanych. W sumie ponad 150 rannych uzyskało pomoc ambulatoryjną i szpitalną. Gdy byli zdolni do opuszczenia szpitala, kierowali się do punktów sanitarnych, obozów leśnych lub chronili się w prywatnych mieszkaniach w mieście lub wsiach nie wysiedlonych. Niemcy stosowali coraz większy terror. Spalili wieś Sumin, mordując wszystkich mieszkańców — ponad 80 osób. Znalezioną nazajutrz dziewczynkę, w wieku 9 miesięcy, z przestrzelonym policzkiem, wychował i adoptował dr *Jabłoński*. Los dzieci Zamojszczyzny jest ogólnie znany, czytaliśmy o nich też w „Przeglądzie Lekarskim-Oświęcim".

Z wieloma rannymi, którzy dłużej przebywali na moim oddziale, zaprzyjaźniłem się. Często prowadziliśmy rozmowy, gdy pełniłem nocny dyżur. Były to tematy zupełnie błahe, dalekie od makabrycznej rzeczywistości. Były to nasze psychiczne „ucieczki" w godziny spokojnych myśli. Po latach, gdy spotykam dawnych pacjentów, mile wspominają oni nasze kontakty. Cieszy mnie, gdy wiem, że Tadeusz *Romańczuk* jest cenionym inżynierem w Stoczni Gdańskiej, Jan *Kozak* — odważny i zdeterminowany wykonawca wyroków wojskowych — pracuje jako spokojny mleczarz, a mgr Piotr *Kosuń*, który też leczył się w szpitalu z powodu postrzałowego złamania kości udowej, dzisiaj jest w tym samym szpitalu kierownikiem apteki. A ilu to Maćków, Zbyszków, Cichych, Orłów, Skowronków i innych, których imiona lub pseudonimy zatarł w pamięci czas, spotyka się niespodziewanie w różnych miastach. Ta radość z ich spotkania jest jedyną rekompensatą za naszą pracę.

Były też sprawy bolesne. W r. 1943 przywieziony został do szpitala porucznik *Biront*, dobrze znany wszystkim nauczyciel. Otrzymał postrzał w akcji BCh na Niemców w czasie wysiedlania. Po opatrzeniu rany został położony na oddziale gruźliczym. Dyrektor szpitala otrzymał ostrzeżenie i spowodował zabranie go ze szpitala. Rannego przewieziono do punktu sanitarnego we wsi Róży, położonej wśród lasów. Niespodziewanie Niemcy zaatakowali wieś. Zginęło czterech partyzantów, wśród nich porucznik *Biront*. Nikogo żywego Niemcy nie ujęli. Ciężko ranna sanitariuszka Paulina *Czuwara* dostała się szczęśliwie do szpitala. Jest dzisiaj znaną działaczką ludową na Zamojszczyźnie. Często wracam myślą do tego zdarzenia i zadaję sobie pytanie, na które nie będzie nigdy odpowiedzi: co by było, gdyby ranny pozostał w szpitalu.

Ogólnie mieliśmy jednak szczęście. Uczciwość i patriotyzm personelu oraz zdyscyplinowanie chorych chroniło przed dekonspiracją. Szpital miał dobrą renomę i nawet Niemcy korzystali z pomocy naszych lekarzy. Miało to pewne znaczenie asekuracyjne. W r. 1943 rozpoczęły się na terenie powiatu tomaszowskiego działania UPA i trwały aż do wyzwolenia. Ukraińskie oddziały Iwana *Szpontaka* „Żeleźniaka", Mirosława *Onyszkiewicza* „Oresta" i Iwana *Sycz-Sajenki* „Jahody" wspierane były przez Niemców, którzy dostarczali im broni i amunicji. Ludność polska ze wschodnich części powiatu, opanowanych przez Ukraińców, uciekała do miasta i wsi polskich. Ofiar było wiele, a morderstwa były wyrafinowane i okrutne. Księdza z Chodywaniec przybito do drzwi stodoły i rozpruto mu brzuch. Innego księdza, *Jacniawskiego* z Duba, wraz z całą rodziną poćwiartowano i rzucono do studni. Zabijano kobiety i dzieci, palono wsie.

Nasze oddziały podjęły działania obronne i akcję odwetową. Zniszczono ufortyfikowaną wieś Sahryń, nie zdołano jednak zdobyć podobnie umocnionej wsi Ulhówek. Byli zabici i znów liczni ranni. Wśród zbiegłej ludności, gęsto stłoczonej, zachorowania na dury były już nagminne. Chorymi zapełniliśmy sutereny i w każdym możliwym kącie leżeli chorzy. Coraz ciężej było utrzymać warunki izolacji i higieny. Chorował personel szpitala, zakażający się od chorych, zwłaszcza w czasie kąpieli przy ich przyjmowaniu do szpitala. Przebyłem również dur plamisty.

W czasie walk z Ukraińcami dokonano zamachu na aktywnie zaangażowanego w działaniach UPA i mającego kontakty z Niemcami popa *Matwiejczuka*. W nocy do jego mieszkania rzucono granat. Nie przewidziano jednak, że na noc zaciągnął on na okno gęstą stalową siatkę. Odbity granat wybuchł na zewnątrz, raniąc ciężko w brzuch zamachowca. O świcie był operowany. Miał liczne zranienia jelita cienkiego. Pochodził z samego miasta i wszyscy dobrze go znali. Otrzymaliśmy ostrzeżenie od sprzyjającej nam p.

Pelzer, oficjalnie *volksdeutschki*, prowadzącej restaurację „Erika", przeznaczoną dla Niemców. Podsłuchała ona rozmowy żandarmów, którzy przypuszczali, że ktoś z uczestników zamachu może być w szpitalu. Ze względu na ciężki stan chorego zaryzykowaliśmy jego pobyt w szpitalu na oddziale zakaźnym. Po kilku dniach miał ponowną operację z powodu niedrożności pooperacyjnej. Żandarmi byli na chirurgii, lecz na oddział zakaźny nie zaglądali. Cenny był dla nas ich brak wyobraźni. Mieczysław *Berezecki* wyzdrowiał i dzisiaj cieszy się dobrym zdrowiem i stukilową prezencją.

Pomimo trudnych przeżyć miesiące i lata mijały i potęga niemiecka zaczęła się wyraźnie załamywać. Stalingrad, walki w Afryce, Kursk, później inwazja na Sycylię i zbliżanie się Armii Radzieckiej podnosiło nas na duchu. Przeżyliśmy jeszcze niemiecką operację „Sturmwind". W sile dwu dywizji w dniach 18—29 czerwca 1944 roku Niemcy zaatakowali zgrupowania partyzanckie w Puszczy Solskiej i w lasach powiatu tomaszowskiego. W ciężkich walkach nad rzeką Sopot pod Osuchami zginęło około 500 partyzantów z połączonych oddziałów BCh i AK. Część przebiła się na wschód od drogi Zamość—Tomaszów Lubelski, będącej granicą niemieckiego zgrupowania. Byli w szpitalu ranni z miejscowych oddziałów i z przybyłego z Wołynia oddziału AL, między innymi „Szelest".

W ostatnich dniach okupacji przeżyliśmy niepryjemną wpadkę. Na oddziale chirurgicznym leżał ranny z postrzałem nogi, pod nazwiskiem „Atlas". Był to mało pomysłowy i zwracający uwagę pseudonim. Jakaś mało rozgarnięta chora, która go zobaczyła, zaczęła głośno rozprawiać na korytarzu: „Jaki on tam Atlas, ja go znam" i wymieniła jego nazwisko. Widocznie znalazł się wśród chorych jakiś szpicel i powiadomił Niemców. Wkrótce pojawili się w szpitalu żandarmi, z obecnego już w Tomaszowie oddziału żandarmerii polowej. Weszli od razu na salę, w której przebywał niefortunny Atlas. Polecili personelowi pilnować go, zapowiadając, że wkrótce przyjadą po niego samochodem.

Na podwórzu szpitalnym stała furmanka gajowego, Józefa *Bomby*, z pobliskiej Dąbrowy. Był to zaprzysiężony członek konspiracji. Momentalnie, z pomocą personelu, załadował rannego na wóz i jego syn szybko odjechał, kierując się do gajówki w Dąbrowie, leżącej dość głęboko w lesie. Powrócili żandarmi, wszczęli wrzaski i pytania. Ta sama babina wskazała im, stojącego jeszcze na korytarzu przed pracownią rentgenowską, gajowego. Jeden z żandarmów stanął przy drzwiach, a drugi pobiegł po samochód, aby nim podjechać pod same drzwi wejściowe. W tym czasie otworzyłem okno w rentgenie, a siostra na korytarzu. *Bomba* jak jeleń wyskoczył przez okno, za ścianą szpitalnego budynku przebiegł w kierunku wyjścia i wpadł na pobliski cmentarz, gęsto zarośnięty krzakami, a stamtąd w pole. Pościg żandarmów był bezskuteczny.

Natychmiast pielęgniarka Zdzisława *Kuźmińska* (obecnie *Thorowa*) siadła na rower, aby zawiadomić rodzinę *Bomby* i skierować rannego w głęboki las. Zdążyła na czas. Gdy nadjechała samochodem ekipa żandarmów, gajówka była pusta. Los personelu zawisł na włosku. Ale znów dopisało szczęście. Tego samego dnia grupa żandarmerii polowej została przeniesiona do innej miejscowości. Miejscowy posterunek żandarmerii nie zareagował już żadną akcją. Poszedł do nich dr *Wojtkowiak* i usłyszał tylko, że wiedzą już, że gdzie drzewo rąbią, tam drzazgi lecą. Oni sami siedzieli już przerażeni, już słychać było huk artylerii, zbliżającego się frontu. Następnego dnia ewakuowały się niemieckie urzędy, nasiedleni osadnicy *volksdeutsche*, żandarmi i gestapo. Po całonocnej bitwie wkroczyła do miasta Armia Radziecka. Była to sobota 22 lipca 1944 roku.

Przedstawiłem nieliczne fragmenty z codziennej pracy Szpitala Powiatowego w Tomaszowie Lubelskim w niecodziennych warunkach lat okupacji i pobieżne tło wypadków na terenie powiatu. Lata zacierają emocje. Przeżyliśmy wraz z całą Zamojszczyzną rzeczywiście szczególnie ciężkie lata. Praca i konspiracja była nie tylko naszym obowązkiem. Dawała nam również siłę do przetrwania i zachowania cierpliwej nadziei. Jeżeli w efekcie działania Szpitala Powiatowego w Tomaszowie Lubelskim wielu rannych ocalało, wielu chorych powróciło do zdrowia i wielu ludzi znajdowało przelotne schronienie i odpoczynek, jest to zasługą wszystkich lekarzy, pielęgniarek i całego personelu. Spełnili oni swój obowiązek w warunkach niebezpieczeństwa i ciągłego zagrożenia.

Kilka miesięcy później wkraczałem jako lekarz wojskowy z moim pułkiem do Warszawy. Z tych dni — prócz grozy z widoku zburzonej i palącej się jeszcze stolicy — pozostało mi uczucie „swobodnego oddechu". Z lekarza, którego w okupowanym kraju w każdej chwili byle żandarm czy gestapowiec mógł aresztować, zastrzelić lub poniżyć, stałem się lekarzem pułku nacierającego na cofającego się w popłochu wroga. Zobaczyłem zdobyty Berlin i brzeg Łaby. Jeszcze tylko po drodze doznałem lekkiego zranienia i kontuzji od wybuchu pocisku artyleryjskiego. Obok mnie zabici zostali dwaj sanitariusze, mili chłopcy z Tarnopolszczyzny. Koniec wojny zobaczyłem więc w pokonanym kraju wroga.

Często spędzam kilka dni urlopu wśród lasów nad Tanwią. Jodłowe lasy porosły jeszcze bardziej, ponieważ teren ten jest rezerwatem przyrody. Nie zniszczył go przemysł, rozbudowany w nieodpowiedzialny sposób. Wody Tanwi szumią jednakowo, spadając po licznych kaskadach w okolicach Szumów. To był teren partyzanckich rozlokowań, stąd oddziały podejmowały akcje. Ziemię tę gęsto zrosiła krew. Ziemię tę kocham, bo jest to moja ziemia rodzinna, ziemia lat mojej pracy w latach okupacji i ziemia mojej młodości.

* * *

Warto dodać, że relacja uwzględnia wybrane zagadnienia i epizody spośród wielu, które by mogły złożyć się na znacznie obszerniejsze opracowanie. Jest oparta na własnych zapiskach i na informacjach od świadków i uczestników ówczesnych wydarzeń. Podstawowym dążeniem było uściślenie faktów. Szczegółowe opisy wydarzeń wojennych na Lubelszczyźnie, począwszy od września 1939 r., są znane z dość obszernej już literatury. Na temat wojny obronnej na tamtym terenie pisze m. in. Tadeusz *Jurga:* Regularne jednostki Wojska Polskiego w 1939 r. Organizacja, działania bojowe, uzbrojenie, metryki związków operacyjnych, dywizji i brygad (Warszawa 1975, Wydawn. MON, s. 151—153: rozdział pt. Bitwa pod Tomaszowem Lubelskim). Z in-

nych pozycji warto wymienić: Bolesław *Dolata*, Tadeusz *Jurga:* Walki zbrojne na ziemiach polskich 1939—1945. Wybrane miejsca bitew, walk i akcji bojowych (Warszawa 1977, Wydawn. MON, s. 535—537: Tomaszów Lubelski, miasto w woj. zamojskim); Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939—1945. Informator encyklopedyczny (Warszawa 1979, PWN, s. 519—520, *sub vocem:* Tomaszów Lubelski; s. 93—94: Bełżec).

TADEUSZ ONYSZKIEWICZ

Zamość

W okupowanym Zamościu

Zamość wpisał się na kartę dziejów walk z hitlerowskimi Niemcami już we wrześniu 1939 r. Wojska Frontu Północnego pod dowództwem gen. dyw. Stefana *Dęba-Biernackiego*, idąc na pomoc zgrupowaniu gen. dyw. Tadeusza *Piskora* (armie „Lublin" i „Kraków"), rozbitemu przez wojska niemieckie 20 września, musiały stoczyć po drodze przewlekłe walki o Zamość właśnie i Krasnystaw, toteż za późno przybyły pod Tomaszów Lubelski; *Piskor* uległ przygniatającej przewadze nieprzyjaciela mimo bohaterskiego i rozpaczliwego oporu. Z kolei pod Tomaszowem rozgorzała nowa bitwa. Warto jeszcze dodać, że w nocy z 19 na 20 września część 39 Dywizji Piechoty (Rezerwowej) gen. bryg. Brunona Edwarda *Olbrychta* (brata słynnego medyka sądowego, prof. dr. Jana Stanisława *Olbrychta)* uderzyła na Zamość, lecz go nie zdołała odbić.

Zamość znalazł się w rękach niemieckich już pod koniec pierwszej połowy września, zajęty przez 2 Dywizję Pancerną. Po bitwach pod Tomaszowem Lubelskim jeszcze w okolicach Zamościa toczyły walki doraźnie organizowane oddziały polskie, zamierzając — zresztą bez realnych szans — przebijać się ku Rumunii.

8 dnia tegoż miesiąca Niemcy zajęli Zamość ponownie i sprawowali swe terrorystyczne rządy do dnia upragnionego wyzwolenia. Zamość zasłynął z męczeństwa ludzi mordowanych w dawnej działobitni, tzw. Rotundzie, zwłaszcza w okresie pacyfikacji i wysiedleń na Zamojszczyźnie. Według *Generalplan Ost* Zamość miał stać się głównym ośrodkiem obszaru kolonizacji niemieckiej w ówczesnych powiatach zamojskim, biłgorajskim, tomaszowskim i hrubieszowskim. W mieście tym też Niemcy urządzili kilka obozów pracy, obóz przejściowy (przesiedleńczy, *Zweigstelle* Zamość, *UWZ Lager*, z filią w Zwierzyńcu) i obóz dla jeńców radzieckich (*Stalag 325*), oba niesłychanie ciężkie, a także więzienia, areszty i getto.

25 sierpnia 1944 r. Zamość wyzwoliły wojska 3 Armii gw. 1 Frontu Ukraińskiego.

Wróćmy do wrześniowych dni 1939 roku. Nasz powiatowy szpital, w którym pełniłem obowiązki chirurga, był przepełniony cywilami rannymi w czasie bombardowań. Ponieważ wciąż przybywało też rannych wojskowych, szybko i sprawnie zorganizowano szpitale wojskowe w gmachu Sądu, w Liceum im. Jana Zamoyskiego oraz w Ubezpieczalni Społecznej.

W październiku cywilną władzę objął starosta niemiecki (*Kreishauptmann)* Helmuth *Waichenmeier*. Zaczęło urzędować gestapo. Nastąpiły pierwsze aresztowania. Na dawnych polskich gmachach państwowych powiewały flagi hitlerowskie. Nowy Rok 1940 gestapo rozpoczęło rozstrzelaniem kilku osób. W Rotundzie podczas okupacji rozstrzelano około 8 tysięcy ofiar. Od pierwszych miesięcy reżimu hitlerowskiego nie załamało się jednak tamtejsze społeczeństwo; patrioci zeszli do podziemia, by się zorganizować i przygotować do dalszej walki.

W tych konspiracyjnych poczynaniach miała swoje odpowiedzialne miejsce również zamojska służba zdrowia, której kadra była wówczas bardzo szczupła. Jej skład stanowili lekarze szpitala powiatowego, którego dyrektorem był dr Bolesław *Bogucki*, internista, i doktorzy: ginekolog Stanisław *Branicki*, internista Bronisław *Domaradzki*, internista i rentgenolog Stanisław *Kulesza*, a także piszący tę relację chirurg. Poza tym w szpitalu byli praktykanci, studenci medycyny, których zatrudnienie chroniło przed wywiezieniem do Niemiec. Było ich siedmiu: Mieczysław *Bielecki*, Karol *Borek*, Stanisław *Górski*, Czesław *Horoch*, Eugeniusz *Kornas*, Marian *Mazur* i Jerzy *Obniski*.

Lekarzami praktykującymi w Zamościu byli doktorzy: okulista Karol *Hauslinger*, laryngolog Władysław *Lorentz*, pediatra Czesława *Onyszkiewicz*, internista Józef *Pienczykowski*, internista Kazimierz *Rytter*, okulista Henryk *Skotnicki*, internista Julian *Tyczkowski*, który był lekarzem powiatowym.

Na terenie powiatu pracowali następujący lekarze ogólni: Stefan *Jóźwiakowski* w Szczebrzeszynie, Zygmunt *Klukowski* — dyrektor szpitala w Szczebrzeszynie, Konstanty *Łastowiecki* w Krasnobrodzie, Ignacy *Lesiuk* w Józefowie, Stefan *Rams* w Skierbieszowie, Józef *Spoz* w Szczebrzeszynie, Feliksa *Warchałowska* w Szczebrzeszynie, Władysław *Wróblewski* — dyrektor szpitala ordynackiego w Zwierzyńcu, Józef *Zawrotniak* w Radecznicy.

W owym czasie nie było ani pogotowia ratunkowego, ani autobusów i taksówek, by chorych można było rozwozić po klinikach, a zatem wszelkie zabiegi chirurgiczne, nawet najcięższe, musiało się wykonywać w miejscowym szpitalu. Ich liczbę ogromnie zwiększały wypadki postrzałowe oraz w pierwszych dniach zawieruchy wojennej, a potem, w roku 1944, bombardowania. Mimo ogromnego przeciążenia pracą personel le-

Pracownicy szpitala zamojskiego w okresie okupacji; w pierwszym rzędzie od lewej: doktorzy Stanisław *Kulesza*, Stanisław *Branicki*, Tadeusz *Onyszkiewicz* i dyrektor dr Bolesław *Bogucki*

karski obowiązki swoje wykonywał z całą sumiennością i poświęceniem.

Ze względu na swoistość ówczesnej sytuacji najwięcej obowiązków ciążyło na jedynym chirurgu w Zamościu i powiecie. Nie mniej ciężką pracę wykonywały pielęgniarki, których było za mało, tylko bowiem 18.

Dla przykładu warto podać, że siostra Sylwia, zakonnica józefitka, prowadziła cały „trakt" operacyjny dla chirurgii i położnictwa, mając do pomocy tylko jedną pielęgniarkę, zakonnicę Judytę i dwie salowe. Siostra Sylwia poza przygotowaniem materiału operacyjnego asystowała przy wszystkich operacjach, których wówczas było dużo, a poza tym — co się może w dzisiejszych czasach wydawać bardzo dziwne i wprost niewiarygodne — prowadziła aptekę szpitalną. Pisząc o bezprecedensowej ofiarnej pracy w tamtych czasach służby zdrowia, począwszy od lekarzy, a kończąc na pielęgniarkach, salowych i całym personelu pomocniczym, pragnę podkreślić, że przez długie lata okupacji nikt z tych ludzi nie korzystał z żadnego urlopu wypoczynkowego. Nie było na to czasu, bo obowiązek patriotyczny nakazywał przede wszystkim służbę człowiekowi.

Służba zdrowia pomocą swoją obejmowała mieszkańców cywilnych, zorganizowane podziemie oraz ludność żydowską, co było pod karą śmierci zabronione przez okupanta. Po wybuchu wojny niemieckiej ze Związkiem Radzieckim objęła też rannych żołnierzy radzieckich.

Podziemna służba zdrowia w Zamościu podlegała komendzie sił zbrojnych AK, a jej działalność konspiracyjna, jeśli chodzi o Zamość, ogniskowała się przeważnie w szpitalu ze względu na bazę i łatwość kontaktu. Szefem podziemnej służby zdrowia był dr Julian *Tyczkowski*, lekarz powiatowy ówczesnego powiatu zamojskiego. Następnie funkcję tę objął dr Stefan *Jóźwiakowski*. Kontakty z podziemiem były wtedy utrzymywane przy pomocy łączniczki i pielęgniarki dyplomowanej Petroneli *Niechajówny*.

Skład podziemnej służby zdrowia stanowili zaprzysiężeni lekarze, felczerzy, pielęgniarki, położne i personel pomocniczy, tj. przeważnie dziewczęta rekrutujące się ze starszych klas szkół licealnych. Przechodziły one szkolenie w szpitalu zamojskim na oddziale chirurgicznym w zakresie tzw. pomocy w nagłych wypadkach. W rzeczywistości przygotowywano je do pełnienia funkcji sanitariuszek w ewentualnych punktach sanitarnych w czasie akcji bojowej. Ćwiczenia te na polecenie doktora *Tyczkowskiego* prowadziłem osobiście. Głównym zadaniem służby zdrowia było niesienie doraźnej pomocy lekarskiej ludziom podziemia oraz przygotowanie kadry na wypadek powstania lub wejścia do akcji zbrojnej tzw. oddziałów szturmowych.

Na terenie powiatu były zaplanowane i wyznaczone pomieszczenia na punkty sanitarne w pobliżu ewentualnego stacjonowania oddziałów. Dla każdego oddziału przewidywano zespół służby sanitarnej, a także ewentualne wyposażenie w łóżka i pościel z darów społecznych. Zaopatrzenie w narzędzia chirurgiczne, leki oraz materiały opatrunkowe należało pobrać ze szpitalnych zapasów tajnych. Z zaopatrzeniem nie miałem kłopotów, gdyż instrumentami i lekami zarządzała siostra Sylwia, która w wypełnianiu moich poleceń i obowiązków była niezawodna.

Ludziom z oddziałów partyzanckich nieśli pomoc prawie wszyscy lekarze wzywani konspira-

cyjnie na miejsce wypadku. Lekarze pracujący nie mogli być przydzielani na stałe do oddziałów bojowych, gdyż musieli być obecni w swoich miejscach pracy. W tych oddziałach stałą służbę nierzadko pełnili lekarze Żydzi, co chroniło ich przed niemiecką zagładą, przebywali bowiem z oddziałami na stałe w lesie. Byli to przeważnie lekarze ogólni i często nie dawali sobie rady z chirurgią operacyjną.

Przypominam sobie w związku z tą sytuacją pewien incydent. Latem 1943 roku polecony przez dr *Tyczkowskiego* lekarz Żyd z oddziału grabowieckiego złożył mi z łączniczką oddziału wizytę w domu, prosząc o pożyczenie mu podręcznika chirurgii, by mógł przy jego pomocy dokonywać zabiegów, gdy zajdzie potrzeba. Spełniłem jego prośbę. Wkrótce Niemcy zorganizowali w rejonie grabowieckim na szeroką skalę ekspedycję karną, otaczając całą okolicę czołgami i wojskiem. Byłem przerażony, książka bowiem miała pieczątkę z moim nazwiskiem. Gdyby lekarza aresztowano i znaleziono książkę, nie uniknąłbym i ja aresztowania. Na szczęście lekarz w czasie obławy schował się do pieca piekarskiego. To go uratowało.

W okolicach Zamościa było dwóch lekarzy pochodzenia żydowskiego: jeden w rejonie Grabowca, drugi w okolicach Ruskich Piask i Ujazdowa. W lipcu 1943 roku wezwano mnie do Krynic w powiecie tomaszowskim do rannego postrzelonego w akcji. Nazwiska jego nie znam. Po dokonaniu zabiegu wracałem do Zamościa nocą po godzinie policyjnej. Na szosie martwa cisza, przerywana tylko stukotem kół wozu i końskich kopyt. Droga szła wśród lasów. Jadąc tędy w dzień, widziałem tablice z napisem w języku niemieckim: *Achtung-Banditen! Waffen, Schussbereit! Halten!* (Uwaga-bandyci! Broń trzymać w pogotowiu!). Gdy zbliżałem się do Jatutowa, wsi odległej od Zamościa o 5 km, z której Niemcy wysiedlili Polaków, usłyszałem przeraźliwe dźwięki gongu. To tzw. „czarni" — Jugosłowianie pochodzenia niemieckiego, świeżo osiedleni, usłyszawszy nadjeżdżającą bryczkę, wzywali swoich na alarm. Straż nasiedlonych myślała, że zbliżają się partyzanci podpalić ich domostwa. Gdy zbliżałem się do nich na odległość kilkudziesięciu metrów, ujrzałem w blasku księżyca karabiny skierowane ku mnie, a jednocześnie okrzyki: *Halt!* Gdy się dowiedzieli, że jedzie tylko lekarz z woźnicą, opuścili karabiny i kazali jechać dalej.

Trzeba dodać, że w tym okresie Niemcy we wspomnianej osławionej akcji pacyfikacyjno-wysiedleńczej, znanej już z licznej literatury, wymordowali prawie wszystkich mieszkańców wsi Sochy. W odwecie partyzanci oddziałów AK 5 czerwca 1943 r. spalili skolonizowaną wieś Siedliska, gdzie zabito kilkudziesięciu Niemców. Nad ranem zaczęto zwozić do szpitala zamojskiego rannych Niemców. Od nich się dowiedzieliśmy, że akcja partyzantów, pod względem wojskowym przeprowadzona bez zarzutu, z prawidłowym ubezpieczeniem, trwała od godziny 23 prawie do 4 w nocy. W ubezpieczenie wpadł samochód z szefem komisji wysiedleńczej mjr. *Heroldem* i dwoma podoficerami. Wszyscy zginęli.

Wtajemniczeni pracownicy służby zdrowia działali także w wywiadzie. Byli to przeważnie lekarze zatrudnieni dodatkowo w więzieniach. Lekarzami tymi byli: dr Kazimierz *Rytter* i Józef *Pieńczykowski*. W więzieniu panował tyfus. Gdy dr *Rytter* zachorował, jego funkcję objął dr Józef *Pieńczykowski*. Ponieważ spotykanie się lekarzy w szpitalu było najmniej podejrzane, przeto lekarze ci informowali mnie w razie potrzeby, kogo ostatnio doprowadzono do więzienia, o co go pytano i czy „sypie". Ja z kolei przekazywałem te wiadomości dr. *Tyczkowskiemu*, a w razie jego nieobecności sędziemu wojskowemu w randze kapitana (z okresu przedwojennego), Władysławowi *Kolbuszewskiemu*.

Personel więzienny, tzw. straż więzienna, w przeważnej części również opiekował się więźniami. Ludzie ci przenosili grypsy, dostarczali leki, zwłaszcza szczepionki prof. *Weigla*. Jednym z tych ofiarnych strażników więziennych był 28-letni Józef *Wójcik*, który swoje bezgraniczne oddanie więźniom przypłacił życiem: został zastrzelony przez gestapo, a też Halina *Białłówna*.

Nierzadkie były wypadki ratowania więźniów politycznych przez pracowników zamojskiego więzienia: lekarzy, strażników, dozorców itp. Pewnego razu dr *Rytter*, lekarz więzienny, skierował rannego więźnia, podobno skoczka radzieckiego, do szpitala. Stwierdziłem u niego przestrzał stawu biodrowego. Po operacji przetrzymywaliśmy go w szpitalu dłużej. Niemcy, wycofując się z Zamościa, zabrali go ze szpitala i prawdopodobnie rozstrzelali na Rotundzie. W brakujące leki dla uwięzionych zaopatrywano się w sporadycznych wypadkach, przeważnie bezpłatnie, w aptekach prywatnych w Zamościu: u mgr Heleny i Bolesława *Rymgajłłów*, a w Szczebrzeszynie u mgr Wandy i Czesława *Szczygłowskich*.

W szpitalu zamojskim przechowywano różnych ludzi zagrożonych przez gestapo. Tych najczęściej umieszczano na oddziale zakaźnym u dr. *Domaradzkiego*, dokąd niechętnie przychodzili kontrolujący Niemcy, a nawet i lekarze niemieccy. Tymi zagrożonymi ludźmi opiekowała się gorliwie siostra oddziałowa, Helena *Doleżko* („Jolanta"). Zdarzały się wypadki przesyłania do szpitala przez Niemców zmasakrowanych w czasie przesłuchań aresztowanych lub rannych. Tym w poszczególnych wypadkach ułatwiano ucieczkę. Kładziono też postrzelonych przez gestapo pacjentów w sali, gdzie byli już pacjenci pilnowani przez policję — w myśl zasady, że najciemniej pod latarnią. W ten sposób przechowałem poranionego przez Niemców Ksawerego *Drozda*, nie zgłaszając go oczywiście do gestapo.

W dniu 30 września 1942 r. przywieziono do szpitala postrzelonego przez żandarmów w klatkę piersiową nauczyciela Józefa *Bojara*. Po kilkudniowym leczeniu na moim oddziale zaproponowałem mu ucieczkę. Zastosował się do moich rad. Siostra zakonna wyniosła mu z przechowalni ubranie. Po przebraniu udał się tylnym wyjściem do kostnicy, gdzie czekał rzekomo jako członek rodziny — na pogrzeb. W czasie pogrzebu wyszedł boczną bramą ze szpitala. Następnego dnia byłem przesłuchiwany przez gestapo. Z ukrywaną radością usłyszałem wyrok: lekarz nie jest winien.

Pewnego dnia przysłano do szpitala zamojskiego za pośrednictwem prof. Marii *Głogowskiej* rannego kulą dum-dum w twarz po stronie lewej. Brak było policzka, szczęki dolnej i częściowo szczęki górnej. Ze względu na konieczność protezowania ubytków twarzy wysłałem chorego

do Kliniki Stomatologicznej prof. Alfreda *Meisnera* w Warszawie. Gorsza sprawa była z łączniczką, która w akcji uległa wstrząsowi psychicznemu. Trzeba było ją przetransportować do szpitala psychiatrycznego. Niełatwe to było zadanie. Pod opieką prof. *Głogowskiej* dotarła ona do Lublina, gdzie się nią troskliwie zaopiekowano.

W okresie okupacji nie było prawie dnia, by obeszło się bez łapanek, aresztowań czy wyroków śmierci. W jednych z takich łapanek na dworcu w Zamościu zatrzymano między innymi Wiktora *Szpryngera*, polskiego oficera rezerwy, rolnika mieszkającego w Sitańcu pod Zamościem. Uwięziony, ratując się ucieczką, wyskoczył z pierwszego piętra i złamał obie kości podudzia z przemieszczeniem. Mieszkający w pobliżu ludzie zawieźli go do znajomych na Nowym Mieście. Wezwano mnie drogą konspiracyjną do miejsca pobytu poszkodowanego, gdzie nałożyłem mu na złamane podudzie gips ustalający. Ponieważ był poszukiwany przez gestapo, nie mógł być leczony w szpitalu zamojskim. Wysłałem go do Kliniki prof. Adama *Grucy*, którego byłem uczniem i pierwszym asystentem we Lwowie. W drodze chorym opiekował się wydelegowany przeze mnie student medycyny Karol *Borek*. Poszkodowany jechał wozem ciężarowym, ukryty pod meblami.

W ciągu całej okupacji najbardziej narażeni byli chirurdzy, ponieważ ogromną większość pacjentów z ranami postrzałowymi kierowano do lekarzy tej specjalności. Oni też najczęściej byli wzywani w teren. Opieka nad tymi pacjentami związana była z niebezpieczeństwem, ponieważ każdego takiego chorego, którego opatrywał lekarz, miał on obowiązek zgłaszać natychmiast do gestapo. Jeśli tego nie czynił, narażał się nawet na utratę życia. To wymagało od chirurga ogromnej odwagi i przedsiębiorczości w wynajdywaniu sposobu ratowania człowieka bez narażania siebie.

W roku 1939 szpital zamojski posiadał dwa pawilony: jeden stary, piętrowy, o 85 łóżkach, a drugi nowoczesny, też piętrowy, w stanie surowym, przeznaczony w przyszłości, po wykończeniu, na oddział zakaźny, którego w szpitalu zamojskim nie było. Ówczesny lekarz powiatowy i jednocześnie szef podziemnej służby zdrowia, dr Julian *Tyczkowski*, przekonał Niemców o potrzebie założenia oddziału zakaźnego, dzięki czemu ten drugi pawilon został ukończony. Podczas wykańczania budynku pracownicy budowlani zamelinowali pod powałą na strychu broń, którą przed wycofaniem się Niemców nie bez trudności wyjęli, ponieważ w tym pawilonie mieścił się wówczas szpital niemiecki, a oddział zakaźny urządzono w Sądzie.

W okresie wysiedlania, tzn. od listopada 1942 r., szpital objęli Niemcy. Chorych Polaków kazali powypisywać. Polacy lekarze zostali w szpitalu bez chorych. Po paru dniach przyjechał z Lublina jakiś niemiecki oficer, prawdopodobnie lekarz, który wypytał nas, lekarzy, jaką każdy ma specjalność, a potem orzekł krótko, że mamy pozostać na miejscu, pójdziemy na komisję rasową i będziemy dalej pracować. Przed odejściem powiedział: Nie myślcie, że Niemcy wojnę przegrali. Na takie dictum wywiozłem dzieci do rodziców, do Lwowa.

Po jakimś czasie pozwolono ponownie do szpitala przyjmować Polaków. Tych chorych umieszczaliśmy w starym, pierwszym pawilonie. Dla nas, lekarzy Polaków, ważną sprawą stało się zgłoszenie się do komisji rasowej i ustosunkowanie się do ewentualnego problemu przyjęcia lub nieprzyjęcia legitymacji niemieckiej. Wobec tego wspólnie z dr. *Domaradzkim*, moim kolegą ze Lwowa, postanowiliśmy zasięgnąć opinii u naszych władz podziemnych, jak mamy się zachować, gdyby nam usiłowano wręczyć legitymacje niemieckie.

Dr *Jóźwiakowski*, który był w owym czasie szefem podziemnej służby zdrowia, umożliwił mi kontakt w swoim mieszkaniu w Szczebrzeszynie z komendantem podziemia „Wyrwą" (Stanisław *Książek*). *Wyrwa* oświadczył, że jesteśmy mu potrzebni i możemy przyjąć legitymacje niemieckie. W parę dni po powrocie do Zamościa odbyła się komisja rasowa. W obszernym pomieszczeniu było 13 stolików. Trzeba było przechodzić od stolika do stolika i odpowiadać na pytania. Przy trzynastym stoliku zobaczyłem na karcie z moim nazwiskiem zapis: 50% pochodzenia niemieckiego po babce i matce. Oficer *SS*, który siedział przy stoliku, powiedział mi: mimo częściowego tylko pochodzenia niemieckiego pan i pańska żona możecie przynależeć do narodu niemieckiego. Odpowiedziałem, że czuję się Polakiem i jestem Polakiem. Po dłuższych, bezowocnych przekonywaniach w uniesieniu przybił pieczątkę na niemieckim druku *Abgelehnt*, tzn. „odmówiono". Była to bardzo ryzykowna z mojej strony gra w ówczesnych czasach.

Gdy wróciłem do szpitala, zapytała mnie naczelna siostra niemieckiego szpitala: Jak było? Odpowiedziałem: Odmówiłem. — Ach, co pan zrobił? — zapytała wówczas. Odpowiedziałem: Siostra pochodzi z Nadrenii; gdyby Francuzi wkroczyli do Nadrenii i powiedzieliby, że siostra jest Francuzką, co by siostra zrobiła? — O, ja nie! — To ja też nie! — odpowiedziałem. Mimo wewnętrznego niepokoju pracowałem normalnie.

W tym czasie gestapo przysłało do szpitala konfidenta nazwiskiem *Persky*, który powiedział wprost, że pracuje w gestapo i prosił, bym go brał do asysty przy operacjach, ponieważ pracował na chirurgii w szpitalu Ujazdowskim w Warszawie. Jednakże nie kwapiłem się do zatrudnienia go na chirurgii. Pewnego dnia *Persky* przekazał mi prowokacyjną wiadomość, że Niemcy aresztują w Warszawie studentów i wywożą do obozów. Odpowiedziałem mu, że najlepiej by było, by wszystkich Polaków wymordowali, a wtedy będą mieli spokój. On to powtórzył w gestapo. Dowiedziałem się o tym i oczekiwałem aresztowania i osadzenia na wspomnianej już tutaj Rotundzie.

Rotunda — to dawna działobitnia i prochownia z kazamatami o dużym dziedzińcu i dużej, drewnianej bramie wjazdowej. Na tej bramie był napis, jak we wszystkich obozach: *Arbeit macht frei*. Przy wejściu do obozu, w czasie przyjmowania większej liczby aresztowanych stawiano stół, gdzie ich rejestrowano. Po rejestracji każdy musiał przebiec dookoła podwórza wśród rozstawionych gestapowców, którzy okładali biegnących pałkami. Jednym z takich zawodników był Aleksander hr. *Szeptycki*, który ze względu na wiek i schorowanie po przebiegnięciu paru kroków padł wśród wrzasków gestapowców martwy.

Wtedy podszedł do leżącego kapitan żandarmerii *Bucholtz*, bykowcem podniósł powiekę oka jak wytrawny okulista i rzekł: *Polnischer Graf ist tod* (polski hrabia nie żyje). Tego samego dnia przywieziono zwłoki starszego człowieka do szpitalnej kostnicy. Nikt z obecnych w kostnicy go nie znał. Wiedziałem, że w ubraniach szytych u dobrych krawców znajduje się zawsze wizytówka właściciela ubrania, przyszyta do kamizelki. Przeszukałem ubranie i rzeczywiście znalazłem nazwisko: „Aleksander *Szeptycki*". Zawiadomiłem o tym siostry zakonne, które mieszkały w majątku *Szeptyckiego* w Łabuniach.

Konfident *Persky* dopiął swego. Pewnego dnia, w czasie mojej nieobecności gestapo przeprowadziło rewizję u mnie w domu. Gdy nadszedłem, gestapowcy znajdowali się na podwórzu po wyjściu z mieszkania. Polecili mi udać się z nimi do mieszkania. Tu zapytali mnie, czy służyłem w wojsku, czy jest jeszcze drugi chirurg w Zamościu, a w końcu zadecydowali: Przez dzieci ciebie zostawiamy. Okazało się potem, że w czasie rewizji weszli do dziecinnego pokoju i zobaczyli kilkumiesięczne bliźniaki. I to właśnie zadecydowało o moim zwolnieniu, a może brak w Zamościu drugiego chirurga.

W czerwcu 1941 roku, po napaści Niemców na ZSRR, w trzecim dniu wojny zaczęli Niemcy zwozić spod Rawy Ruskiej rannych żołnierzy radzieckich. Było ich około dwustu. Liczba ta przewyższała możliwości zasobu łóżek w szpitalu zamojskim, który był jednocześnie obłożony chorymi Polakami. Rannych przywożono samochodami ciężarowymi i wyładowywano na trawnikach przed szpitalem. Polska służba zdrowia natychmiast zajęła się nimi. Szybko przygotowano w szpitalnej kuchni posiłek, obdzielając nim przede wszystkim rannych żołnierzy radzieckich. Zorganizowano „słomosienniki" i umieszczono rannych, gdzie się tylko dało, również na korytarzach, a nawet w kancelarii. Niemcy zrobili nam piekielną awanturę za to, że położyliśmy jeńców radzieckich razem z Niemcami i że daliśmy im obiad najpierw niż Niemcom, bo to było według nich przestępstwo. Ludność szybko dowiedziała się o napływie rannych radzieckich i zaczęła przynosić żywność i papierosy.

Dzięki ofiarnej pracy lekarzy *Boguckiego, Branickiego, Kuleszy* oraz wszystkich studentów medycyny i całego personelu średniego i pomocniczego, a także piszącego te słowa, po pobieżnym przeglądzie rannych zabrano się gorliwie do zabiegów operacyjnych, zaczynając od ciężko rannych, wymagających natychmiastowej pomocy. Dzięki temu wielu rannych udało się uratować. Ponieważ dotarło do naszej wiadomości, że żołnierze radzieccy zabierani po wyleczeniu do obozu umierają tam z głodu i zimna, zaczęto w szpitalu sporadycznie ułatwiać niektórym ucieczkę. Z tego okresu zachowały się zdjęcia z pacjentami radzieckimi.

Jednym z przebywających w szpitalu jeńców radzieckich był Wania *Bruchowiecki*, 16-letni chłopiec, uczeń II klasy szkoły średniej. Pochodził on z Rostowa nad Donem. Przywieziono go do obozu śmierci na Karolówce. W kuźni obozu został ugodzony odpryskiem rozpalonego żelaza, co spowodowało przepalenie powłoki brzusznej i jelita. Po operacji dłuższy czas przetrzymywaliśmy go na moim oddziale. Był chłopcem uczynnym, toteż zaskarbił sobie sympatię chorych całego zespołu szpitalnego. Nie można go było jednak przetrzymywać w nieskończoność. Obmyśliłem więc plan uratowania chłopca. Zwróciłem się do Niny *Mikettowej*, z pochodzenia Rosjanki, z prośbą, by go zabrała ze szpitala i pomogła mu gdzieś się zatrudnić. Udało jej się to. Przy pomocy *Kowerskiego* przekupiono Niemkę pracującą w *arbeitsamcie*, która zarejestrowała Wanię jako gońca w agenturze asekuracyjnej. Po wyzwoleniu Wania wrócił do swego kraju. Ożenił się. Mieszka w dalszym ciągu w Rostowie nad Donem (jego adres: ZSRR, 344011 Rostow n. Donem, ul. Katajewa 184) i marzy o odwiedzeniu Zamościa.

Wśród społeczeństwa polskiego zdarzały się jednostki, które dla własnych interesów zapominały o swoich obowiązkach wobec narodu. Ci ludzie często współpracowali z Niemcami — jako agenci czy też konfidenci. Mniej winnych podziemie karało, ośmieszając mężczyzn chłostą, a kobiety postrzyżynami „do zera". Były też nieporównanie poważniejsze problemy, o których pisze się niechętnie, ale których nie ma powodu ukrywać. W tych wypadkach sądy podziemne wydawały wyroki śmierci. O tym wcześnie zawiadamiano osoby wtajemniczone, pracujące na oddziale chirurgicznym. Czyniono to z ostrożności, zdarzało się bowiem, że skazany na śmierć konfident został tylko ranny i trafiwszy do szpitala, mógł udawać z powodzeniem członka organizacji podziemnej. O mających nastąpić wyrokach na konfidentów byłem w niektórych wypadkach informowany.

Pewnego popołudnia po wizycie szpitalnej zgłosił się do mnie policjant wysiedlony z Bydgoszczy, który był tłumaczem w dowództwie żandarmerii niemieckiej. Poprosił mnie do rzekomo chorej żony. Mieszkał naprzeciwko szpitala. W drodze powrotnej z domu do szpitala oświadczył mi, że żona adwokata, Irena *K.*, „sypie", ale niedługi jej żywot. I rzeczywiście po dwóch dniach mecenasowa została „zlikwidowana". Podobny los spotkał wspólnika mecenasowej. Uprzedził mnie o tym, jak i w poprzednim wypadku, ten sam polski policjant. Po paru dniach od jego wizyty w czasie mego nocnego dyżuru w szpitalu dwaj esesowcy przywieźli zapowiedzianego postrzelonego gościa „M". Stan jego był ciężki. Zapytałem, jak się nazywa. „M" odpowiedział: Panie doktorze, ja się boję tu zostać, proszę mnie odesłać do szpitala niemieckiego. Tego esesowcom nie powtórzyłem, a osobnika „M" zostawiłem na swoim oddziale. Długo walczył ze śmiercią, dopiero nad ranem zmarł.

Podziemna służba zdrowia miała za zadanie ze względów czysto ludzkich udzielać, o ile to możliwe, pomocy ludności żydowskiej. Wiadomo, czym to groziło. Był to jednak obowiązek każdego, kto się mienił człowiekiem. W szpitalu zamojskim leczono, operowano, przetrzymywano jako chorych wielu Żydów, za to od prezesa gminy żydowskiej nadeszło po wojnie pisemne podziękowanie. Oto ono:

Ja, niżej podpisany Eliasz *Epsztajn*, jako były prezes Gminy Żydowskiej oraz jako były przewodniczący Żydowskiego Komitetu w Zamościu stwierdzam niniejszym, że znany mi osobiście dr Tadeusz *Onyszkiewicz*, dyrektor Szpitala Powiatowej Rady Narodowej w Zamościu, nie zważając na wyraźne zakazy władz niemieckich,

udzielał stale i bezinteresownie pomocy lekarskiej ludności żydowskiej miasta Zamościa i okolicy, narażając przez to siebie i całą swoją rodzinę. Dr *Onyszkiewicz* przekraczał osobiście granice getta zamojskiego, niosąc pomoc fizyczną i moralną, zwłaszcza biednej ludności żydowskiej, odczuwającej wybitnie brak fachowej opieki lekarskiej. Wydawał bezinteresownie lekarstwa chorym, ubogim Żydom oraz dokonywał trudnych operacji chirurgicznych w prymitywnych i niebezpiecznych warunkach zarówno w obrębie getta, jak i w swoim mieszkaniu prywatnym, a nawet w szpitalu zamojskim. (Pieczęć:) Żydowski Komitet w Zamościu.

Uważam, że to podziękowanie należy się całemu personelowi szpitala, bez bowiem wspólnego narażania się, dyskrecji i pomocy całego zespołu podobne działania nie byłyby możliwe. Nie robiliśmy tego ani dla przyszłych zasług, ani dla sławy, ale po prostu z odruchów ludzkich. Bohaterski był bowiem cały naród. W ówczesnych czasach wystarczyło obywatelowi polskiemu w Polsce wyjść na ulicę w momencie łapanki, by trafić do obozu i tam być zastrzelonym tylko za to po prostu, że się było Polakiem.

Nie wspominam o tragizmie wysiedleń z Zamojszczyzny, które zostały dostatecznie opisane. Myśmy to jako pracownicy szpitala przeżywali i oglądali bezpośrednio. Z okien szpitalnych obserwowaliśmy przejeżdżające furmanki z wysiedleńcami, tędy bowiem wypadała droga do obozu zbiorczego dla wysiedlonych, położonego niedaleko szpitala, naprzeciwko bramy koszar. Byliśmy zatem naocznymi świadkami mrożących krew w żyłach metod niemieckich wysiedleń ludności polskiej. Leczyliśmy wielu tych ludzi w naszym szpitalu. Widzieliśmy ich wraz z dziećmi siedzących na licznych furmankach, słabo ubranych, o zrezygnowanych bądź przerażonych twarzach.

Ból nasz i współczucie były spotęgowane bezsilnością, bo nie mogliśmy im w niczym pomóc. Nam, pracownikom szpitalnym, oglądającym ten żałosny, nie kończący się korowód furmanek, mógł widok ów tylko łzy z oczu wyciskać. Nie było to tylko współczucie nasze i żal, ale i do pewnego stopnia trwoga, że nas to może jutro czekać. Kiedy z perspektywy czasu przypominam sobie te tragiczne wydarzenia, które trzeba było przeżyć, zdaje mi się chwilami, że to był zły sen i nieprawdopodobne, by coś takiego mogło się dziać. Dlatego ważne jest, żeby te tragiczne zdarzenia przypominać.

*

Wszyscy lekarze i studenci przeżyli okupację. Niektórzy z nich, jak Bolesław *Bogucki*, Stanisław *Branicki*, Bronisław *Domaradzki* zmarli już w wolnej Polsce. Zmarli też obaj komendanci podziemnej służby zdrowia, Stefan *Jóźwiakowski* i Julian *Tyczkowski*, a także lekarz więzienny, Józef *Pieńczykowski*. Zmarła również łączniczka, piel. dypl. Petronela *Niechajówna*.

Wszyscy studenci medycyny pracujący w czasie okupacji w szpitalu zamojskim ukończyli studia medyczne. Zajmują obecnie różne odpowiedzialne stanowiska, a Mieczysław *Bielecki* jest profesorem radiologii w Gdańsku. Jak się później okazało w wolnej Polsce, wszyscy należeli do organizacji podziemnych.

Warto jeszcze dodać, że miejsca katowni zamojskich zostały bliżej opisane m. in. w pracy zbiorowej pt. Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939—1945. Informator encyklopedyczny (Warszawa 1979, PWN, str. 583—585, pod hasłem „Zamość"). Pisząc swą relację, zapoznałem się m. in. z pracą mgr. Michała *Bojarczuka* (byłego dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Zamościu) pt. Pod terrorem okupanta (Warszawa 1968, Pax).

ZBIGNIEW MADEYSKI

Warszawa

Wspomnienia więźnia Montelupich
Zygmunt Klemensiewicz

OD REDAKCJI

Szczególną troskę wiążemy z dziejami okupowanego Krakowa, z ich aspektem medyczno-sanitarnym, łączącym się też z psychologicznymi i społecznymi zagadnieniami, ponieważ mimo upływu dziesiątków lat sprawy te nie zostały jeszcze dostatecznie naświetlone, piśmiennictwo jest rozproszone, skąpe i przeważnie przyczynkarskie, brak też odpowiedniej monografii. Co prawda trzeba od razu zastrzec, że książki, relacje i artykuły dotyczące Krakowa pod okupacją są nieraz cenne, aczkolwiek tematycznie wąskie, a nadto zdarzają się nawet opracowania usystematyzowane, jak np. Kronika okupowanego Krakowa (Kraków 1974, Wydawn. Literackie), pióra Tadeusza *Wrońskiego*.

Problematyka ta zawiera wiele wątków, które nie powinny zostać pominięte w przyszłej monografii, wypełniającej wspomniany niedostatek piśmienniczy. Nie powinno się też zapomnieć o zasłużonych postaciach z tego okresu. Na przykład niepoślednią rolę w przynoszeniu pomocy i ratunku społeczeństwu krakowskiemu odegrał znany polityk i działacz społeczny, Zygmunt *Klemensiewicz*. Był on szczególnie popularną i znaną postacią w Krakowie, a dla więźniów Montelupich — jak to szczegółowo opisuje poniżej Zbigniew *Madeyski* — uosobieniem odwagi, nadziei i wiary w przetrwanie. Każdy, kto zetknął się w owych najtrudniejszych czasach z *Klemensiewiczem* i jego działalnością, z pewnością zrozumie zasadność przypomnienia tej postaci i przynajmniej w tej formie cząstkowego chociaż zadośćuczynienia jego zasługom.

Dane biograficzne o nim podaje „Polski Słownik Biograficzny" (t. XII/1, z. 52, Wrocław — Warszawa — Kraków, wyd. PAN, str. 595—598). Tutaj podajemy tylko najważniejsze szczegóły dotyczące życiorysu Zygmunta *Klemensiewicza*. Urodził się on 24 marca 1874 r. w Komańczy (w Przemyskiem), w rodzinie ziemiańskiej, jako syn Tytusa, naczelnika stacji kolejowej, powstańca z 1863 r. i Wandy ze *Skrzyńskich*. Do gimnazjum uczęszczał w Tarnowie i Krakowie, maturę zdał w r. 1894.

Początkowo studiował prawo w Uniwersytecie Jagiellońskim, następnie (w r. 1895/96) przyrodę na tamtejszym Wydziale Filozoficznym, a wreszcie (od r. 1897) medycynę na Wydziale Lekarskim tejże uczelni. Wysiedlony w r. 1897 na krótko za działalność socjalistyczną z Krakowa, studiował okresowo również medycynę w stolicy Szwajcarii, Bernie. Absolutorium uzyskał po powrocie, w r. 1903. W latach 1897—1906 z przerwami był asystentem m. in. słynnego bakteriologa, prof. Odona Feliksa Kazimierza *Bujwida* w jego zakładzie szczepień ochronnych.

Postępowa działalność *Klemensiewicza* była wszechstronna: od demonstracji i organizowania młodzieży,

Zygmunt *Klemensiewicz*

robotników itp. do ciętej publicystyki i pracy oświatowej. Zainteresowania miał rozległe. Był publicystą, redaktorem wielu czasopism, m. in. socjalistycznych i oświatowych, wydawcą, bibliofilem, filatelistą, zbieraczem ekslibrisów i ich znawcą, opiekunem sportowców itd. Należał do PPSD. Od r. 1919 działał w PPS, był okresowo m. in. członkiem rady naczelnej tej partii.

Zaciągnął się do I brygady Legionów i związał się z Józefem *Piłsudskim*. Uzyskał stopień porucznika, a w r. 1921 — majora. W latach 1919—1922 był posłem na sejm, a w okresie 1930—1935 senatorem.

W r. 1928 rozwinął działalność na polu kas chorych, a w następnym roku został członkiem zarządu ogólnopaństwowego Związku Kas Chorych w Warszawie, od września 1932 zaś jego dyrektorem. W r. 1933 mianowano go zastępcą komisarza ds. przeprowadzenia reorganizacji całego „ubezpieczalnictwa"; kasy chorych zostały zniesione, a w ich miejscu powstały ubezpieczalnie społeczne. W r. 1934 *Klemensiewicz* został dyrektorem Zakładu Ubezpieczeń Chorobowych w Warszawie i w listopadzie tegoż roku wrócił do Krakowa jako dyrektor tutejszej Ubezpieczalni Społecznej. Na tym stanowisku dotrwał do wybuchu II wojny światowej. W marcu 1935 r. został wybrany przewodniczącym zarządu Oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża w Krakowie, gdzie rozwinął żywą działalność. Wybuch wojny zastał go na tym stanowisku. *Klemensiewicz* nie przerwał swej pracy, przeciwnie, spotęgował ją, kierując swe wysiłki przede wszystkim ku pomocy walczącemu wojsku i mieszkańcom miasta, którzy znaleźli się pod jarzmem hitlerowskim.

Podając te informacje o *Klemensiewiczu*, uzupełniamy je ze źródeł własnych i osobistych wspomnień z okresu współpracy z nim. Jak potwierdza *Wroński* w wymienionej już książce, działacz ten i patriota został aresztowany przez gestapo 10 listopada 1939 r. i przez sześć tygodni przebywał na Montelupich. Uzupełnijmy zapisy *Wrońskiego*, dodając, że *Klemensiewicza* aresztowano po raz drugi pod koniec 1941 r. i zwolniono w styczniu następnego roku z powodu choroby i dzięki staraniom przyjaciół. Terror gestapo nie zastraszył go jednak i nie załamał, nie zniechęcił do pracy społecznej i konspiracyjnej.

Mało kto już pamięta dzisiaj, że właśnie *Klemensiewicz* zaimprowizował w pierwszych dniach września 1939 r. szpital wojenny w pomieszczeniach bursy ks. *Kuznowicza* przy ul. Skarbowej w Krakowie, wkrótce zamieniony na szpital dla chorych i rannych jeńców wojennych (po zajęciu miasta przez hitlerowców, które nastąpiło 6 września). Szpital ten prowadzony był początkowo pod egidą Polskego Czerwonego Krzyża. *Klemensiewicz* udzielał też wielkiej pomocy barbarzyńsko wysiedlonym Polakom, którzy przybywali do Krakowa z ziem polskich włączonych wówczas do Rzeszy. Pomoc ta polegała głównie na tworzeniu i działaniu punktów dożywiania i sanitarnych, na staraniach o zakwaterowanie, odzież itp.

Z pewnością największą ówczesną zasługą tego wybitnego człowieka jest współtworzenie z ramienia RGO „Patronatu", którego celem była przede wszystkim opieka nad więźniami politycznymi Montelupich, Wiśnicza Nowego, Krakowa Płaszowa i Oświęcimia. Tę wydzieloną w „Patronacie" akcję poprzedziła działalność krakowskiego oddziału PCK, który wspomagał chorych i potrzebujących; ten zapomniany odcinek pracy, w którym też uczestniczył *Klemensiewicz*, zasługiwałby na osobny artykuł. Natomiast naszkicowane są już dzieje „Patronatu" przez piszącego ten wstęp (S. *Kłodziński*: Krakowski „Patronat" więzienny. Przegl. Lek., 1972, nr 1, s. 168—176).

Klemensiewicz przetrwał okupację. Kontynuował pracę m. in. w PCK. Zmarł 3 sierpnia 1948 r. w Krakowie. Odznaczony był dwukrotnie Krzyżem Walecznych z Mieczami, Krzyżem Niepodległości, Złotym Krzyżem Zasługi, Odznaką I Brygady „Za wierną służbę".

Nie można pominąć uwagi, że z usposobienia był on szczery, jowialny, towarzyski, otwartymi oczyma patrzący na świat, błyskotliwie inteligentny, dowcipny, łatwo zjednujący sobie zaufanie, życzliwość i poważanie środowiska. Bez trudu nawiązywał kontakty i porozumienie z otoczeniem. Ułatwiało mu to rozległą pracę konspiracyjną. W oczach krakowian pozostał w pamięci jako naprawdę niestrudzony i ofiarny, odważny i pomysłowy, prawy i bezkompromisowy działacz społeczny z prawdziwiego zdarzenia i konspirator.

(S. *K.*)

*

Więzienie Montelupich w Krakowie — „Monte", jak je podczas okupacji nazywano. Rok 1941/42. Cela nr 141 na pierwszym piętrze. Okno wychodzące na główne podwórze, wprost na wjazdową bramę. Otwór okienny uzbrojony w tzw. kosz z grubej blachy, tak skonstruowany, że widoczność dawał tylko ku górze (w niebo) i ku dołowi (tuż przy murze). Pełną izolację naruszały tylko wróble, które lubiły siadać na górnej krawędzi blachy, aby poćwierkać więźniom ku ich wielkiej zawsze radości — jedyny całodzienny ślad życia wolnościowego.

Dla nas, więźniów, istniało jednak inne jeszcze naruszenie dyscypliny izolacyjnej: wypatrzone w tej blasze dwa małe otworki o wymiarach mniej więcej pół centymetra, poprzez które dopracowaliśmy sobie swoistą wzrokową kontrolę tego wszystkiego, co się działo na szlaku brama wjazdowa — główne wejście do budynku więziennego.

Wewnątrz celi czternastu więźniów, ofiar terroru okupacyjnego. Tylko jeden z nas był więźniem kryminalnym, przejętym z okresu przedwojennego (skazany za zabójstwo) i tylko on w owym czasie doczekał się amnestii od generalnego gubernatora. Inni, więźniowie polityczni, utrzymali się bez większych zmian przez szereg miesięcy na skutek zarządzonej przez władze więzienne kwarantanny, kiedy w więzieniu wybuchła epidemia.

Ratując się przed monotonią życia codziennego, zorganizowaliśmy system samoobrony psychicznej poprzez samodokształcanie się w formie dyskusyjnych pogadanek. Każda tematyka była dobra. Każdy z nas włączał się do programu według swej fachowości lub życiowych doświadczeń. Wielorodzajowe dyskusje były szczególnie pożądane, tym bardziej gdy pojawiały się zdania przeciwstawne. Warto wskazać na kilka indywidualności.

W pierwszej fazie współżycia w celi głównym „prelegentem" był 19-letni Jacek *Owiński*, syn kuratora miejscowego okręgu szkolnego. Student

Uniwersytetu Jagiellońskiego, zdolny, dobrze znający polską literaturę, recytował z pamięci poetów i wieszczów. Był znakomitym interpretatorem, umiał wyraziście słowa ich dostosować do ówczesnych losów narodu polskiego. Kiedy wyjeżdżał do obozu w Oświęcimiu, na jego prośbę błogosławiłem jego pochyloną głowę w imieniu nieobecnych rodziców tego młodego więźnia.

Ichtiolog, inż. Stanisław *Leo*, mówił nam o znaczeniu gospodarki rybnej dla Polski i o nowoczesnych metodach hodowli ryb.

Ludwik *Kubica*, właściciel kawiarni i sklepu kolonialnego w Zakopanem, był niewyczerpanym źródłem wiadomości o surowcowym zapleczu, procesach produkcyjnych i o metodach zabezpieczania świeżości gromadzonych artykułów spożywczych.

Z zakopiańskim majstrem stolarskim, Tadeuszem *Kurczabą*, omawialiśmy szanse rozwinięcia po wojnie w Dębkach pod Żarnowcem rozbudowy uzdrowiska nadmorskiego.

Ja prowadziłem kurs na temat odbudowy po wojnie ustroju społecznego i wprowadzenia świata pracy do gospodarki narodowej i do organów rządzenia w kraju, a nadto kurs języka francuskiego, którego najzdolniejszym słuchaczem okazał się Władysław *Faruga*, młody technik kolejowy ze Stryja (obecnie inżynier). Chłopak ten zaznaczył się w życiu naszej celi w inny jeszcze sposób. Był niezrównanym obserwatorem przedpola naszego okna i spikerem relacjonującym najważniejsze wydarzenia zaobserwowane przez otworki w blasze okiennej.

Doniosłym momentem naszego więziennego życia było wkroczenie któregoś dnia do celi naraz trzech krakowskich księży: Jana *Kyselli* — proboszcza od św. Wojciecha, Michała *Rachwała* — z kościoła w Podgórzu oraz Rudolfa *Rosnera* — wikarego od św. Anny. Od tego momentu metoda współżycia, tematyka naszych pogadanek oraz poglądy na działanie każdego z nas w okresie „po wojnie" uległy wyraźnej przemianie. Poranne i wieczorne pacierze na klęczkach były ich wyrazem. Poza tym jednak niekończące się rozmowy na tematy moralności społecznej i pocieszania przyczyniły się wyraźnie do zmiany klimatu współżycia, do wzajemnego liczenia się ze sobą, do podnoszenia kultury bycia — i to nie tylko w aktualnych wtedy warunkach więziennych, lecz także w wizji zadań czekających na nas po odzyskaniu wolności.

Zaprzyjaźniłem się najbliżej z Rudolfem *Rosnerem*. Zagadnieniem, które nas zbliżyło, była wspólna, gorąco odczuwana troska o reformę ustroju społecznego. Obiecywaliśmy sobie współzależną zorganizowaną pracę w tej dziedzinie. Był Rudolf znakomitym towarzyszem dusz ludzkich i doradcą. Gdy jeden z zakopiańczyków poprosił go, spowiadał. Rozkochany był w muzyce i śpiewie, w szczególności w śpiewach liturgicznych. Zginął potem w obozie oświęcimskim.

W swoisty sposób zarysowało się nasze współżycie z Wojciechem *Dzieduszyckim*, który przebywał w jednej z sąsiednich cel, położonych naprzeciw naszej. Jego ujmujący głos (a śpiewał często) odrywał nas od czarnej rzeczywistości. Modna w owym czasie piosenka oparta na motywie hejnału mariackiego wnosiła i do naszej celi atmosferę wzruszenia. Ciekawe było, że i Niemcy tolerowali te jego solowe występy śpiewacze, pełnym głosem wykonywane.

Z mojej inicjatywy podjęty został w celi nieustanny konkurs na oczyszczanie języka polskiego z naleciałości niemieckich. Innym ciekawym tematem wspólnych prac było zagadnienie systemu penitencjarnego w przyszłej, wolnej już Polsce. Miało nie być już zamkniętych więzień, tylko izolacje stosowane w okresie śledztwa. W miejsce więzień — system kar przeobrażający człowieka poprzez pracę dla społeczeństwa prawidłowo kierowaną, dobrowolnie przez przestępcę podjętą lub, w miarę potrzeby, przymusowo zorganizowaną. Poczucie wartości spędzanego w tych warunkach czasu i świadomość odkupienia przestępstwa przez taką pracę miały legnąć u podstaw systemu. W dyskusjach okazało się, że najtrudniejszym elementem jego byłoby przygotowanie odpowiednio kwalifikowanych strażników-wychowawców, jednostek godnych i odnoszących się z szacunkiem do wielorodzajowych osobowości więźniów. Wielkie to byłoby zadanie dla powojennych pedagogów. Gmach natomiast więzienia, w którym przebywaliśmy, jednogłośną uchwałą zespołu więźniów celi nr 141 przeznaczony został na internat dla chłopskich dzieci regionu krakowskiego kształcących się zawodowo w krakowskich szkołach technicznych przy założeniu obowiązkowego powrotu tych uczniów w ich własne, rodzime strony po ukończeniu nauki.

Poza tym życie w celi było przeraźliwie monotonne. Żadnych książek ani gazet. Brak radia. Wychodzenie na powietrze, w regulaminie zapewne przewidziane, nie było praktykowane. To samo — gimnastyka ruchowa. Kąpiel zarządzona została tylko raz w okresie epidemii tyfusu. Na drzwiach celi zawieszony był kilkupunktowy regulamin. Gdy kiedyś — jako *stubenführer*, wybrany przez lokatorów celi — zażądałem od strażnika czegoś, co się nam należało, pouczenie było następujące: „W tym miejscu regulaminem jestem ja!".

Udręką codzienną były wszy i pluskwy. Brudne sienniki stwarzały optymalne warunki dla ich rozmnażania się. W skromnym zakresie dopomogła nam epidemia tyfusu w więzieniu. Jeden raz dokonana została dezynsekcja celi i jeden raz, na tyle miesięcy, dokonano przetrzepania koców na podwórzu. Pamiętam, z jakim trudem trzepałem swój koc, sił bowiem na ruchy rąk brakowało już zupełnie, mimo że w zasadzie radzi byliśmy temu wyjściu na powietrze.

Dzień zaczynał się tradycyjnie od zgrzytu wozów tramwajowych na pobliskiej pętli i w ślad za nimi następującej pobudki. Potem — czyszczenie celi, wynoszenie tzw. kibla (dziurawego i mimo wielokrotnych reklamacji nigdy nie wymienionego), mycie, porządkowanie. Zawsze — wspólna modlitwa na klęczkach. Śniadanie — woda, zabarwiona kawą zbożową, i około 10 dekagramów chleba, obiady — chochla zupy mącznej, w żargonie celi zwanej „spermówką", a to ze względu na jej konsystencję i barwę, oraz kolacja — chochla kawy, jak na śniadanie.

Po śniadaniu — odnotowywanie na ścianie daty kolejnego dnia oraz zasięgu promienia słonecznego, zawsze o tej samej godzinie chwytanego. W miarę sprzyjających nastrojów — pogadanka, wspomnienia, nauka języków itd. lub gra w karty. Do tego ostatniego celu służyła talia kart wy-

konana z papieru pakowego z asem kierowym, pomalowanym na czerwono własną moją krwią pochodzącą z krwawiącej nasady paznokcia, która na skutek awitaminozy zdołała się już całkowicie postrzępić. Od czasu do czasu — ryki katowanych na wartowni nowych przybyszów. Dość częste rozmówki z sąsiadami poprzez kanał piecowy, no i stała obserwacja przedpola, bramy i osób lub pojazdów przez nią przechodzących. W miarę upływu czasu doszły jeszcze — i to coraz częściej — poranne opowiadania o snach i wróżenie na ich podstawie, niewątpliwe dowody przejmowania przez zjawy senne gestii rozumu ludzkiego, ślady zupełnej już prawie wobec życia realnego bezsilności. Niemało też było śmiesznych nieraz zatargów, których likwidowanie wymagało nawet użycia fizycznej siły, gdy autorytet komendanta celi nie wystarczał. Odporność duchowa człowieka na uwięzi miała przecież swoje granice.

Oddzielną ponurą kartą naszej więziennej doli była tzw. opieka lekarska. Lekarz był. Zgłoszenie do lekarza strażnicy przyjmowali. Lekarzem był człowiek — ponoć Belg, także więzień gestapo — który nas nienawidził i wyżywał się w okazywaniu tej swojej postawy. Zapotrzebowanie na środki lecznicze było oczywiście duże. Awitaminoza, krwawienia, zaburzenia w systemie trawienia, przeziębienia i zaburzenia psychiczne były na porządku dziennym. Towarzysz z celi, Władysław *Zabawski*, który przeszedł już przez wstępne katowanie fizyczne, bojąc się powtórnych, ratował się na wszelki wypadek kilku pokładami dolnej bielizny osobistej, co w okresie gorącego lata odbijało się ujemnie na jego higienie osobistej i samopoczuciu. Nie dawał sobie wytłumaczyć, wolał cierpieć na co dzień.

Zgłaszanie się do lekarza bywało na ogół rzadkie. Gdy raz na skutek bólów i śladów krwawienia zdecydowałem się na poproszenie o pomoc lekarską, gorzko tego żałowałem. Po przyjęciu przez lekarza, bez żadnego zresztą efektu, znalazłem się w szeregu kilku innych pacjentów, na których w korytarzu czyhał strażnik gestapowiec z ciężkim nahajem w ręku. Każdy z nas musiał kłaść się na stołek, by odebrać porcję uderzeń w pośladki. Powróciłem do celi z trudem, bo na pośladku zdołała mi się już wytworzyć wypukłość wielkości pięści. Co gorsze, uderzenia nie były celne i sięgały także wyżej, na kości kręgosłupa, czego odczuwalne ślady pozostały na całe życie. Minęły potem co najmniej dwa tygodnie, zanim zdolny byłem do spania na plecach.

Któregoś dnia, w lutym 1942 r., usłyszałem od drzwi swe nazwisko z wezwaniem: *Alles mitnehmen*! Przesiedziałem jeszcze kilka dni w dawnej kaplicy więziennej, nieświadom swoich dalszych losów. Wśród zebranych tam więźniów znaleźli się dwaj chłopcy — uciekinierzy z przymusowych robót w Niemczech — schwytani powtórnie. Dwudniowy dialog z nimi był jednym ciągiem wiary w Polskę i zdecydowanej nadziei na wolność. Obaj byli wierzący. Bardzo młodzi i bezradni. Przy żegnaniu się prosili mnie o błogosławieństwo. Po raz drugi musiałem wystąpić w imieniu ich ojców i matek. Ofiarowałem im na drogę brewiarzyk, pozostawiony mi przez Rudolfa *Rosnera*. Opuszczając celę, żegnali się ze mną wzruszeni, łzami kwitowali każde dobre słowo ode mnie otrzymane.

Po paru dniach zostałem w kajdanach wyprowadzony z więzienia i odstawiony przez żandarmów na dworzec kolejowy. Wylądowałem z powrotem w Warszawie w siedzibie gestapo przy al. Szucha, gdzie oczekiwała mnie nowa sprawa, związana z przechwyceniem w Karpatach kuriera z Londynu, u którego w teczce znalezione zostało moje nazwisko. Wróćmy jednak znów do przeżyć na Montelupich, żeby przywołać niezapomnianą postać Zygmunta *Klemensiewicza*.

Jedną z najcenniejszych atrakcji w więzieniu tym były okresowe wizyty samochodu Komitetu Opieki nad Więźniami i ich Rodzinami, przywożącego dla więźniów artykuły żywnościowe i środki lecznicze, pochodzące ze zbiórek społecznych. Wspomniany już spiker celi nr 141, Władysław *Faruga*, siadywał wtedy na parapecie okiennym i z okiem wędrującym od jednego do drugiego otworu w blasze relacjonował ze znakomitym wyczuciem ważności następujących na podwórzu wydarzeń wszystko, co na dole zaobserwował.

Główne zainteresowanie — to postać starszego pana, który z reguły temu samochodowi towarzyszył. Był nim 67-letni wówczas Zygmunt *Klemensiewicz*, dyrektor miejscowej Ubezpieczalni. W celi znajdowało się kilku krakowian. Wszyscy go znali, a przynajmniej o nim słyszeli. Ja, choć z Warszawy, znałem go także, ale z lat dawnych. Los bowiem sprawił, że gdy po zdaniu matury w Wiedniu wracałem do służby frontowej w Legionach polskich i jechałem pociągiem do komendy Legionów, znajdującej się wtedy w Piotrkowie Trybunalskim, tym samym pociągiem jechał w innym wagonie Hipolit *Śliwiński* (przyjaciel mojej rodziny, a mój patron ideologiczny z czasów podziemnego ruchu niepodległościowego) w towarzystwie kilku sztabowców legionowych, między którymi znajdował się Zygmunt *Klemensiewicz* — wszyscy w szaroniebieskich mundurach I Brygady Legionów. Dla młodego chłopca uściśnięcie dłoni podanej przez takie „osobistości" podczas dłuższego postoju na jakiejś stacji było wydarzeniem nigdy w pamięci nie zatraconym.

Później, w 1918 r., uczestniczyłem czynnie w przewrocie niepodległościowym na terenie Krakowa. Obok czołowej podówczas postaci Ignacego *Daszyńskiego*, przy każdym chyba wystąpieniu publicznym, widywałem *Klemensiewicza*. A wiele lat potem skrzyżowały się moje z nim drogi na dłużej, gdy — mianowicie — w latach trzydziestych korzystałem z jego doradztwa przy opracowywaniu projektów ustaw o związkach zawodowych, radach zakładowych i izbach pracy itd., które miały wejść pod obrady Sejmu w 1938 r.

Teraz pod więziennym wejściem stał on jako symbol dobrego ratunku. My za murami i blachami w oknach więziennych, dla niego z reguły personalnie nie zidentyfikowani. Przy samochodzie on — prezes Patronatu Opieki nad Więźniami i ich Rodzinami, który organizował pomoc dla tysięcy rodzin rozerwanych niszczącą siłą najeźdźcy. Postać jego chwytana z wysokości pierwszego piętra była dla nas podstawowym komunikatem wojennym i sytuacyjnym. Miał on ciekawy zwyczaj trzymania w ręku laski, której koniec tkwił pod lewą pachą. Drugą, wolną ręką grał na lasce jak na gitarze, przesuwając palce jak gdyby po strunach. Na twarzy pod wąsem z reguły uśmiech. Uśmiech szyderczy, pogardy dla tych, którzy stworzyli sytuację, wskutek któ-

rej znalazł się w tym miejscu i w takim charakterze. Uśmiech pewności o daremnym ich trudzie niszczenia.

Zwykle wstępny komunikat *Farugi* głosił, czy i kto przyjechał samochodem. Drugi zawiadamiał, jaki jest *Klemensiewicz*, czy gra i w jakim tempie oraz jaki jest przy tym graniu wyraz jego twarzy. No i wtedy fantazja nasza szła w ruch. *Faruga* do szczegółów przywiązywał olbrzymią wagę. Oceniał i odpowiednio komentował każdy najmniejszy odruch. Chętnie naśladował zawodowych spikerów Polskiego Radia. „Proszę państwa! Jak on dzisiaj gra! Chyba naprawdę coś dobrego się dzieje w świecie! Proszę państwa — ach! gdybyście państwo mogli to widzieć!" *Faruga* promieniował, a za nim i my.

Zdarzało się jednak, że *Klemensiewicz* nie „grał". Smutne były wtedy komunikaty. Temperatura naszych wnętrz duchowych opadała. Beznadzieja wracała. Były i takie dni. Ale częściej *Klemensiewicz* niósł radość i wiarę w dalsze pomyślne losy. Samą postawą swoją łżył gestapowców w oczy. Miażdżył przeciwnika nie grubiańskim słowem i nie pistoletem ani sztyletem. Wystarczało spojrzenie, spojrzenie kpiarskie. Zimny mimiczny protest przeciw zbrodniczej machinie totalitaryzmu. Było w jego postawie coś z satjagrahy *Gandhiego*, tyle że w mimicznej formie. Byliśmy pewni, że butni hitlerowcy tę postawę *Klemensiewicza* rozumieli i że za to właśnie go nie znosili.

Przy *Klemensiewiczu* — zazwyczaj — druga postać, Maria *Zazulowa*. Także i ją krakowianie rozszyfrowali szybko. Gdy prezes stał przy samochodzie, ona wewnątrz wartowni konferowała i targowała się ze służbą więzienną. Powojenni kronikarze odnotowali jej dobroć ewangeliczną, niezłomną ofiarność, upór i przeciwstawianie się próbom każdej krzywdy wobec więźnia czy jego rodziny. Umiała rozmawiać z więziennymi władzami i odkrywać w lot słabostki poszczególnych gestapowców.

„Święta pani" — tak nazwał ją ktoś w naszej celi — promieniowała spokojem, powagą, łagodnością i poświęceniem. Sama pomagała znosić z samochodu przywiezione dary. Postawą swoją, zaobserwowaną przez więźniów poprzez dwa małe otworki w blasze okiennej, i zatroskanym zawsze spojrzeniem ujęła sobie cały zespół więźniów naszej celi. Przylgnął do niej ten przymiotnik „święta" na cały czas naszej wspólnoty więziennej. Oczywiście nie o sakralną treść tego słowa chodziło. Po prostu odczuwaliśmy w niej człowieka dobrego w absolutnym tego słowa zrozumieniu, szlachetnego, o czystych ponad przeciętność intencjach i o ponad miarę zdecydowanym ofiarnictwie. Dopatrywaliśmy się wysoko znaczonej identyfikacji tych dwóch postaci: *Klemensiewicza* i "świętej pani", identyfikacji dla nas życiodajnej.

Głównym produktem dowożonym dla ogółu więźniów były duże porcje chleba przekładanego obficie odżywczą mieszanką. W ramach walki z językowymi naleciałościami niemieckimi, prowadzonej w celi nr 141, zostały one przez nas nazwane „okładankami" (a nie „butersznytami", jak początkowo je określano). Bezcenny to był dla nas dar. Składały się na to ofiary gromadzone wśród rolników spod Krakowa i Miechowa, jak również z darów samych krakowian, którzy poza darami w naturze ofiarowali także niezliczone godziny pracy dziennej i nocnej, aby więźniom dostarczyć na czas świeże i zdrowe pożywienie. Duszą i sercem tej akcji była Maria *Zazulowa*. Specyficznym darem Patronatu dla nas były sienniki wypchane bogato świeżą słomą dostarczoną przez ziemian podkrakowskich. Znikły dzięki temu z naszej celi podarte i brudne niby-sienniki o skruszonym zupełnie wnętrzu, a nadto dobrze zarobaczonym. Reżym w więzieniu był pod tym względem znamiennym zaprzeczeniem rozreklamowanej niemieckiej kultury i higieny.

Zakres i sprawność przebiegu całej tej akcji interwencyjnej były tym bardziej celne, że Zygmunt *Klemensiewicz*, przedwojenny dyrektor Ubezpieczalni Społecznej krakowskiej, miał także osobiste w tej dziedzinie doświadczenia. Po zajęciu miasta Krakowa przez niemieckie wojska wchodził w skład Komitetu Obywatelskiego, którego członkowie w większości zostali uznani przez okupanta za zakładników. Aresztowany przez gestapo w dniu 19 (niektórzy podają raczej mylnie: 10) listopada 1939 r. w swym biurze, zwolniony został 23 grudnia, miał więc dostatecznie dużo czasu i okazji, aby poznać warunki życia więźnia Montelupich od środka.

Powtórne aresztowanie przeszedł — wspólnie z Zofią *Szydłowską* — za rozpowszechnianie obrączek, krzyżyków i medalików itp., sprzedawanych w celu zdobycia środków na pomoc dla ofiar okupacji, a wreszcie po raz trzeci osadzony został w więzieniu w grudniu 1941 r., skąd wyszedł dopiero wtedy, gdy popadł w ciężką chorobę. W marcu 1942 r., do władz Rady Głównej Opiekuńczej (RGO) wpłynęło od władz okupacyjnych kategoryczne żądanie usunięcia go (a także Zofii *Szydłowskiej*) z wszelkich funkcji w organach opiekuńczych lub ich agendach.

Działał jednak nadal, ale już jedynie w formie prywatnej, osobistej, doradczej. Odbiło się to także na komunikatach *Farugi*, które w końcowej fazie więźniarskiej wspólnoty celi nr 141 mówiły już tylko o jednej odwiedzającej więzienie postaci: o "świętej pani", która po *Klemensiewiczu* objęła kierownictwo pomocy dla więźniów. Niemcy nazywali ją wyjątkowo godnie: *die schwarze Frau*, jako że zawsze występowała w stroju żałobnym. Jakość pomocy dla więźniów nic na tej zmianie nie ucierpiała. *Klemensiewicz* i bez formalnej nominacji miał wpływ decydujący na zakres i jakość pomocy. Tryby machiny rozruszanej przez niego działały nadal sprawnie, bez przerwy.

A teraz jeszcze kilka epizodów.

Jednym z najdonioślejszych wydarzeń tego okresu był wieczór wigilijny 1941 r. Z inicjatywy Rudolfa *Rosnera*, który potrafił dogadać się z gestapowcami, uruchomiona została wykryta na strychu więziennym fisharmonia, którą przekazano mu do dyspozycji przy organizowaniu wieczoru wigilijnego. Władze ponadwięzienne nie zgodziły się na odprawienie mszy (o co Rudolf zabiegał), ale wyraziły zgodę na odśpiewanie kolęd zarówno w głównym budynku więzienia, jak i w tzw. klasztorze, tj. w oddziale kobiecym więzienia, rozlokowanym w Zakładzie dla Nieuleczalnie Chorych im. Helclów, znajdującym się po drugiej stronie ulicy Montelupich.

Zespół wykonawczy tej imprezy zorganizowany został przez Rudolfa: czterech więźniów z celi nr

141 z udziałem zawodowego śpiewaka, Wojciecha *Dzieduszyckiego*. Forma podania kolęd została wspólnie omówiona. Przy fisharmonii — sam Rudolf, dwóch silniejszych odkomenderowanych do niesienia fisharmonii, wszyscy zaś przewidziani jako śpiewacy. Odbyliśmy dwa występy na zbiegach korytarzowych przy klatkach schodowych. Cele wszystkie były otwarte (jednak bez prawa wychodzenia więźniów na zewnątrz).

Dominujący efekt pojawił się w oddziale kobiecym. Widok niezapomniany: otwory drzwi pełne rozszlochanych twarzy kobiecych. Program przewidywał kilka kolęd powszechnie znanych, a na zakończenie kolęda „Bóg się rodzi!", każde słowo wyraźnie podane. Przez zespół kolędniczy umówione zostało szczególne zaakcentowanie słów: „...błogosław Ojczyznę miłą", „...wspieraj jej siłę swą siłą (...), dom nasz i majętność całą i wszystkie wioski z miastami, a Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami". Szloch głośny kobiet był znakiem ogólnej akceptacji. Była to chwila dla wszystkich na pewno niezapomniana. Na pewno także dla strażnika gestapowca, który nam towarzyszył i cały czas trwał w milczeniu i widocznym skupieniu.

W drodze powrotnej do głównego gmachu więziennego, w bramie wyjściowej z budynku kobiecego — niespodzianka: „święta pani" stała w drzwiach i jak gdyby kierowała przeprowadzaniem fisharmonii przez ciasne odrzwia. Kilkuminutowe zahamowanie marszu wystarczyło, aby Marii *Zazulowej* mogły być przekazane osobiste przekazy więźniów do ich rodzin. Przyszłość wykazała, że wszystkie te przekazy doszły bardzo szybko do wiadomości adresatów.

Tak to mikrozespół polskiego ludu obchodził święto Bożego Narodzenia 1941 r. Dla nas, lokatorów celi nr 141, spotkanie to miało szczególne znaczenie. Po pierwsze dlatego, że każdy z nas odczuł to święto nie tylko jako swoje własne, ale także jako rodzinne, wspólnoty narodowej. Po drugie dlatego, że przypadł nam w udziale dar wysokiej miary — wzruszenie kobiet. A po trzecie, ponieważ w chwili przeciskania się przez bramę wyjściową otrzymaliśmy od „świętej pani" smutną wiadomość, że nasz umiłowany „grajek na lasce", Zygmunt *Klemensiewicz* znajdował się już od wielu dni w naszym więzieniu, tym razem już... jako więzień. Jako nasz więzienny towarzysz.

W ten sposób wyjaśniła się też niepokojąca nas od południa informacja spikera z celi nr 141 o nieobecności tym razem naszego opiekuna, grajka na lasce, przy samochodzie Patronatu.

Postać ta silnie wryła się w pamięć o ówczesnym okresie. Warto jeszcze dodać kilka słów o nim.

Ostatnią pozycją pracy zawodowej Zygmunta *Klemensiewicza* był Polski Czerwony Krzyż, którego i ja — w latach 1944—1947 — byłem pracownikiem w Zarządzie Głównym w Warszawie. Na przełomie lat 1945 i 1946 *Klemensiewicz* zajmował stanowisko pełnomocnika Zarządu Głównego PCK na Okręg Krakowski. Na tym stanowisku pokazał po raz ostatni swój pazur społeczny, organizując i rozbudowują agendy tej placówki, zwielokrotnione potrzebami powojennymi (akcja informowania o zaginionych członkach rodzin, pośrednictwo w przesyłaniu listów i paczek do jeńców wojennych i osób przebywających za granicą, organizowanie transportów repatriacyjnych, pomoc lekarska i opieka na trasach przejazdu tych transportów itp.).

W uznaniu zasług dawnych, okupacyjnych i tych ostatnich, powojennych, odznaczony został Złotą Odznaką Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Do końca swych pracowitych dni, walcząc nieustannie z nieuleczalną już chorobą, czynny był jako doradca i opiekun wszystkich nurtów społecznej interwencji, jakie bezpośrednio po zakończeniu wojny działały na terenie kraju, m. in. w ramach opieki nad więźniami i inwalidami wojennymi. „Cóż warte jest życie, gdy nie można pracować?" — to były ostatnie słowa, jakie Zygmunt *Klemensiewicz* wypowiedział do lekarza, który usiłował go ratować w ostatecznym ataku choroby w 1948 r.

W bogatym swym życiu społecznym miał także chwile wypoczynku. Ale i wtedy jego aktywny duch nie spoczywał biernie. Niezwykle czułe jego serce odgadywało nieomylnie istniejące gdzieś zapotrzebowanie na pomoc u ludzi poszkodowanych lub niedostatecznie zaradnych. Umiał zapotrzebowaniu takiemu, nawet ustnie nie ujawnionemu, w subtelny i delikatny sposób zadość czynić, zaspokajając je w miarę swych możliwości.

W chwilach wypoczynku po pracy miał jeszcze jeden sposób na twórcze ich przeżywanie. Była nim ekslibrisologia. O niemałym dorobku jego życia na tym charakterystycznym wycinku zainteresowań mówią cenne zbiory ekslibrisów oraz autorska próba ich systematyzacji, przekazane przez niego pod opiekę Zakładu Naukowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Do wielu tytułów, do których podstawę dało mu jego bujne a społecznie użyteczne życie, przybył w 1945 r. tytuł „Ekslibrisów Król", odnotowany w piśmie Kapituły Orderu Białego Kruka, nadesłanym mu w dniu jego imienin.

Zmarł 3 sierpnia 1948 r. W ogólnospołecznym rachunku narodu polskiego zamknięta została z tą chwilą jedna więcej, nie mało ważna, rubryka dobrej bezinteresownej roboty społecznej. Roboty człowieka, który także w cichej praktyce życia codziennego był „przyjacielem wszystkich ludzi". Odczucie jego niezwykłej osobowości, a także więźniarskiej wdzięczności ponieśli w świat także więźniowie Montelupich — celi nr 141.

W rękopisie dzieła Jadwigi *Klemensiewiczowej* (wdowy po nim) znalazłem — wśród wielu włączonych do tekstu opracowania odpisów pism — także odpis mojego listu skierowanego do Zygmunta *Klemensiewicza* 18 kwietnia 1946 r. Treść tego listu, którym żegnałem jego kierowniczą pozycję w Polskim Czerwonym Krzyżu, była następująca: „Drogi Prezesie! Najbardziej oddaną i serdeczną myślą jestem z Wami. Dłoń ściskam z przyjaźnią i z głębokim przekonaniem, że należy ona do jednego z najbardziej godnych ludzi, z jakimi zetknęło mnie moje życie."

I takim Zygmunt *Klemensiewicz* pozostał w mej pamięci.

ANTONI GOLEMO
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 9256

Z Montelupich
Włodzimierz Podgórzec

OD REDAKCJI

Nieżyjący już były więzień Oświęcimia, znany prawnik bocheński, mgr Antoni *Golemo*, udostępnił kilka lat przed śmiercią zespołowi redakcyjnemu „Przeglądu Lekarskiego—Oświęcim" 16-stronicowy, półgęsty maszynopis relacji pt. „Wspomnienie o Włodzimierzu *Podgórcu* z Bochni, więźniu Montelupich, studencie II roku medycyny UJ, jego męce i tragicznej śmierci w szybie »Floris« kopalni soli w Bochni dnia 13 listopada 1940 r." Spośród wielu materiałów archiwalno-dokumentacyjnych, jakimi dysponujemy, udostępniamy czytelnikom w niniejszym zeszycie tę właśnie pracę znanego oświęcimiaka, powszechnie szanowanego.

Uważamy ten dokument za istotny nie tylko ze względu na bohaterską postać *Podgórca*, lecz także na spory zasób informacji o więźniach i sytuacji w krakowskim więzieniu Montelupich w pierwszym okresie okupacji.

Na temat źródeł swej relacji mgr *Golemo* złożył nam następujące, pisemne wyjaśnienie:

„Chociaż źródła służące za podstawę tych wspomnień są w zasadzie widoczne z ich tekstu (...), to jednak obecnie powtarzam je (...). Otóż oparłem się o ściśle i przede wszystkim na bezpośredniej, dwumiesięcznej obserwacji Włodka, na bardzo częstych, możliwie dyskretnych moich z nim rozmowach, a po powrocie z Oświęcimia na ustnych rozmowach z jego matką, Karoliną, i siostrą, Karoliną *Bisztygą*, oraz bratem, Edwardem tudzież na oryginalnych, tu załączonych listach (...), z akt tutejszego [bocheńskiego] ZBoWiD i na [materiałach] zebranych z bezprzykładną, mrówczą pracowitością przez nieżyjącego już Jana *Kaczmarczyka*, który chyba najwięcej — jako członek AK, a po wojnie członek komisji historycznej oddziału ZBoWiD w Bochni — przyczynił się do utrwalenia i przekazania zaszłości okupacyjnych w Bochni i powiecie. Zaznaczyć mi jeszcze wypada, że dużo konkretnego materiału do odnośnych faktów wniósł także Julian *Migdał*, kwatermistrz i szef wywiadu AK miasta i powiatu [bocheńskiego], który był uprzejmy odbyć u mnie w mieszkaniu kilka konferencji na ten temat. Jest jeszcze wielu kolegów, który w chętnych rozmowach ze mną przyczynili się wydatnie do prawidłowej oceny sprawy. Myślę jednak, że wymiana ich nawisk nie byłaby tu konieczna, tym bardziej, że punkt ciężkości w ocenie osobowości Włodka *Podgórca* w ostatnich dwóch miesiącach jego życia spoczywa wyłącznie na moich spostrzeżeniach."

Wspomniane przez mgr. *Golemę* „załączone listy" zostały przesłane rodzinie *Podgórca* przez dyrektora gimnazjum bocheńskiego, Piotra *Galasa*, i przez nauczycielkę w tymże gimnazjum, Emilię *Słuszkiewicz*. W tych obu listach ich autorzy składają wyrazy współczucia z powodu tragicznej śmierci młodego człowieka, a także podnoszą jego wielkie wartości, zalety i niezłomną, patriotyczną postawę.

Tytuł publikacji wprowadziła redakcja. Tekst został przystosowany do druku po śmierci autora, oczywiście bez żadnych zniekształceń merytorycznych czy stylistycznych. Opuszczenia czy też uwagi redakcyjne zaznaczono nawiasami klamrowymi.

(S. K.)

*

Tuż po północy, 11 września 1940 r., po kilkugodzinnej, skrupulatnej, a brutalnej, chociaż negatywnej rewizji mojego mieszkania, zostałem wezwany do natychmiastowego ubrania się. Zabrało mnie sześciu gestapowców. Przed zabraniem, na moje pytanie, za co i dokąd mnie zabierają, żaden nic nie odpowiedział.

Właśnie budził się blady świt. Z grupą aresztowanych tej samej nocy dwudziestu kilku przeważnie młodzieńców (ja miałem wtedy 36 lat) zgromadzono nas na terenie dawnych, dobrze mi

Włodzimierz *Podgórzec*

znanych koszar wojska polskiego (5 dywizjonu taborów w Bochni). Szybko, wśród rażących krzyków oraz częstych uderzeń załadowano nas na wozy ciężarowe, kryte plandekami, i z odpowiednio liczną strażą uzbrojonych esesmanów wywieziono w kierunku Krakowa, ale nikt z aresztowanych nie wiedział, dokąd. Wnet okazało się, że przywieziono nas do więzienia Montelupich w Krakowie.

Bliższego sposobu, okoliczności oraz znanych mi dzisiaj z akt tutejszego [bocheńskiego] ZBOWiD oraz z innych wywiadów antecedencji tego naszego trzeciego i ostatniego wówczas w Bochni zbiorowego aresztowania opisywał tu nie będę, bo wykroczyłbym poza zakreślony temat. (...) Tu chodzi mi tylko o ścisłe przedstawienie tematu związanego z aresztowaniem, męką i śmiercią Włodzimierza *Podgórca* oraz zaszłości z tym się łączących.

Ustawiono w korytarzu na parterze cały ówczesny nasz 25-osobowy transport twarzą do ściany z zakazem jakiegokolwiek poruszania się. W pewnej chwili stojący obok mnie z lewej strony profesor gimnazjalny z Bochni, Zdzisław *Zajączkowski*, niski, wynędzniały kapitan z pierwszej wojny światowej, ponad 50 lat liczący, wykonał zdawałoby się ledwo dostrzegalny ruch głową ku mnie, pytając szeptem, która godzina. Za to natychmiast wśród krzyku otrzymał z tyłu kilka potężnych ciosów w głowę, uderzając każdorazowo czołem i twarzą o ścianę tak silnie, że każdy z tych ciosów pozostawił po sobie na twarzy i na

ścianie strugi płynącej krwi. (...). W marcu 1941 r. blokowy bloku nr 7 w Oświęcimiu, zwany „krwawy Alojz" zakatował *Zajączkowskiego*, bijąc go sadystycznie przy każdej okazji jako szczególnie wyczerpanego.

Spotkanie się z takim wstępnym sposobem traktowania budziło w nas grozę i lęk oraz zadawanie sobie pytania, co będzie dalej. W dalszym ciągu pamiętam nawet taki szczegół, że była to godz. 11.45. Wreszcie zaczęli gestapowcy rozprowadzać nas do różnych cel. Mnie wprowadziło dwóch na piętro. Zatrzymaliśmy się przed celą oznaczoną nr 90. Przy potężnym kopnięciu, otwarciu tej celi oraz silnym pchnięciu wtrącono mnie do środka. Upadłem. Cela, jak później stwierdziłem, miała wymiary 6×2,5 m, łącznie 15 m² powierzchni, razem z urządzeniem dla załatwiania potrzeb naturalnych, ze stołem zbitym z surowych desek i jedną ławą; cela mroczna, bo na zewnętrznych kratach jedynego, wysokiego okna do poziomu 3/4, a więc ponad wzrost wysokiego człowieka, były umieszczone blachy, tzw. kosze, wykluczające jakiekolwiek widzenie wprost, co przy nie zasłoniętych bokach koszy dopuszczało na celę zaledwie szczupłe światło.

Niezmiernie oszołomiony wśród tego wszystkiego podniosłem się. W tej chwili jakiś bardzo młody, wysoki człowiek, siedzący z innymi na złożonych w kącie siennikach podniósł się i niemal gwałtownie, lecz z tkliwą czułością objął mnie za szyję ze słowami: „I pan tu, panie sędzio!" W mrokach celi — nie rozpoznając tego osobnika oraz zdziwiony, że i tu ktoś mnie zna — odsunąłem go delikatnie, chcąc zobaczyć twarz, i z przerażeniem stwierdziłem, że było coś niezmiernie szlachetnego w tej okropnej zbitej, wynędzniałej, sinożółtej, rzadkim, nie golonym zarostem pokrytej umęczonej twarzy, na której jakimś chorym, gorączkowym blaskiem jakby płonęły urzekająco piękne, w ciemnej oprawie, szafirowe oczy. Z (...) nieprawdopodobnie wstrząsającym przerażeniem stanął mi wówczas w oczach obraz okrutnie udręczonego, cierniem ukoronowanego Człowieka, z podpisem *Ecce homo*. Nie rozpoznając go nadal, niemal z jakimś nabożnym szeptem zapytałem: kto pan jest? W odpowiedzi usłyszałem: Włodek *Podgórzec* z Bochni.

Wówczas przypomniałem go sobie jako dobrze mi znanego z okresu jego (...) lat gimnazjalnych. Spotykałem go bowiem dosyć często, jako że idąc do gimnazjum, przechodził ulicą przeważnie tuż obok naszego mieszkania. Stanowił wtedy wizualnie tak uderzająco uroczą sylwetkę, której w normalnych warunkach nie zapomina się nigdy. Na wzruszający sposób takiego powitania mnie wszyscy na celi obecni obstąpili mnie z normalną w danych okolicznościach ciekawością, zadając mi szereg chaotycznych, różnych pytań, na które, rzecz oczywista, odpowiadałem bardzo powściągliwie — zarówno z uwagi na zupełnie zrozumiały stan mojego ówczesnego i niemal całkowitego oszołomienia i depresji, jak i ze względu na obce mi oprócz Wł. *Podgórca* środowisko.

Nie podszedł do mnie tylko jeden w łachmanach, także wynędzniały, jakby demoniczny i już *prima facie* prawie instynktownie lęk budzący osobnik w wieku około 45 lat, który, siedząc nadal na sienniku, gładził swoją kruczoczarną, długą brodę i przenikając mnie z widoczną nienawiścią małymi czarnymi oczyma, powtarzał po rosyjsku: *nu, da sudia*, z dodatkiem wielu obraźliwych epitetów. Patrzyłem wprost z niezrozumieniem na tak ujemne wrażenie sprawiającego osobnika nazwiskiem *Śmieciński*, z pochodzenia Polaka, podobno obywatela ZSRR, zatrzymanego rzekomo w Warszawie (ul. Krucza 12) za handel dewizami.

Chociaż *Śmieciński* — jako podobno wielokrotny już więzień — później w mojej obecności, już po bliższym poznaniu się, mówił o sobie niezmiernie powściągliwie, zaznaczając i pouczając nas w celi, że rozumny człowiek dzieli się z innymi, zwłaszcza w więzieniu, tylko tym, co „rzadkie", to zaś, co „gęste", zachowuje dla siebie i nikomu nie wierzy, to jednak, jakby z jakąś dumą, mówił między innymi o tym, że w czasie rewolucji służył w osobistej straży cara *Mikołaja II*. Czy tak relacjonując, mówił prawdę, czy może tylko w ten sposób chełpił się swą dawną działalnością, trudno było dociec. Po kilku tygodniach prosił mnie, podając swój adres w Warszawie — jak wspomniałem, ulica Krucza 12 — na wypadek mojego wcześniejszego zwolnienia o zakomunikowanie pod tym adresem o jego obecnym stanie w więzieniu.

Jednocześnie dla historycznej ścisłości chciałbym także coś podać o pozostałych więźniach tej małej celi. Było nas tam dziewięciu. Poza tym przywieziono tylko na dwa dni jakiegoś młodego człowieka, którego nazwiska nie pamiętam z uwagi na jego krótki pobyt, bo z obozu w Oranienburgu [właśc. już wtedy Sachsenhausen] przywieziono go tylko do konfrontacji. Dowiedzieliśmy się wówczas od niego bliższych szczegółów o pobycie i traktowaniu oraz śmierci już kilku profesorów krakowskich szkół wyższych. Poza tym był tam inż. *Janosz* z Krakowa, Polak, Węgier z pochodzenia, człowiek na wskroś dobry, ofiarny aż do bohaterstwa, wielki patriota. Wysłany następnie z Montelupich — już po moim przeniesieniu 12 listopada 1940 r. na celę nr 45 — do obozu w Oświęcimiu, został tam zaraz wcielony do karnej kompanii i wnet rozstrzelany. O jego bohaterskiej szlachetności świadczy następujący fakt.

Jakoś z końcem października 1940 r. wieczorem — po zakończeniu czynności przyjmowania przez administrację więzienną czystej bielizny dla więźniów, przynoszonej przez ich rodziny — wpadł na celę jakiś rudy, piegowaty, odpychającej powierzchowności esesman w towarzystwie jakiegoś drugiego, także esesmana. Zgodnie z bezwzględnie obowiązującym regulaminem ustawiliśmy się w szeregu. Komendant celi, *Pustówka*, nauczyciel z Goleszowa, zameldował stan celi i ustawił nas wedle wzrostu, przy czym ja jako niski wzrostem stałem przedostatni, tuż zaś przede mną stał inż. *Janosz*.

Esesman, ten rudy, którego wymowa niemiecka wskazywała na to, że był zniemczałym Czechem, zapytał z wściekłością, kto z nas w czasie przynoszenia bielizny patrzył przez okno, a raczej przez (...) wspomnianą już szczelinę obok tzw. kosza blaszanego. Czy istotnie ktoś wtenczas z więźniów usiłował wyglądać przez tę szczelinę, nie zauważyłem, bo przez cały czas noszenia bielizny siedziałem w kącie na sienniku w niezwykle ponurym nastroju. Ponieważ nikt z obecnych nie przyznawał się do zarzucanego czynu, przeto ów rudy esesman rozpoczął od pierwsze-

go z rzędu jako najwyższego, a był nim Włodek *Podgórzec*, sadystyczne bicie bagnetem po plecach i pośladkach, po uprzednim poleceniu zdjęcia spodni i marynarki i położeniu się na podłodze. Bił bagnetem z jakąś dziką nienawiścią i zapalczywością, chociaż w zasadzie (...) tylko płazem bagnetu.

Z tępą determinacją patrzyliśmy na to, czekając każdy na swoją kolej, bo bił wszystkich kolejno. To katowanie doszło następnie do stojącego obok mnie inż. *Janosza*, którego jak innych potraktowano. Gdy z kolei oprawca nasz rzucił mnie już na podłogę, jak poprzednio innych, dla wykonania tej haniebnej, bestialskiej egzekucji, wówczas inż. *Janosz*, który zresztą doskonale mówił po niemiecku, powiedział: proszę go zostawić, to ja wyglądałem przez okno.

Wówczas wściekłość esesmana doprowadziła go wprost do (...) szału. Rzucił ponownie *Janosza* na podłogę, jeszcze nie ubranego, i ze słowami: ach, to ty, parszywy psie, zaczął go bić straszliwie i to już nie płazem bagnetu, jak poprzednio, ale ostrzem. Krew dosłownie bryzgała, a katowany zniósł to nad wyraz mężnie, jakby z pogardą, bez najmniejszego jęku, aż wreszcie wyczerpany esesman kopnął jeszcze ofiarę, a mnie tylko uderzył pięścią w pierś i ze swoim towarzyszem opuścił celę.

Trudno by było silić się na opisanie przerażająco wstrząsającego wrażenia nas pozostałych. Zmyliśmy następnie, a zwłaszcza *Podgórzec*, możliwie najdelikatniej tak okrutnie poranione ciało i krew powoli zaczęła krzepnąć. Zapytałem wtedy *Janosza*, dlaczego tak postąpił, dlaczego przyznał się, chociaż byłem prawie pewien, że on przez okno nie patrzył. Odpowiedział: bo nie potrafiłbym znieść widoku, gdyby ten łotr znęcał się nad panem. Wzruszony do łez, pełen najwyższego podziwu, patrzyłem na tę bezprzykładnie ofiarną, bohaterską postawę wobec mnie dawniej zupełnie obcego mi człowieka.

Chociaż ktoś kiedyś powiedział, że łatwiej jest przejść po linie nad głęboką przepaścią aniżeli mówić o sobie samym, to jednak nie mogę tu powstrzymać się od skromnej uwagi, że wszyscy towarzysze tej jakże ciężkiej, wspólnej niedoli, wobec ciągłej niepewności życia niemal w każdej godzinie, darzyli mnie niezwykłą życzliwością, bo nawet w pierwszej chwili tak brutalnie wrogo ustosunkowany do mnie, wspomniany *Śmieciński*, któremu nikt nigdy nic nie przynosił i który z tej racji miał na sobie wprost w strzępy podarte szmaty brudnej, zawszonej bielizny, kiedy dostał ode mnie z dostarczonej mi przez żonę trochę świeżej bielizny, kilka chusteczek do nosa i mydło, w pierwszej chwili, zdumiony, nie mógł tego zrozumieć, a w końcu na moją prośbę przyjął te drobiazgi ze wzruszeniem, stanął także w rzędzie życzliwych mi osób.

Wyrażał to nie tylko całkowitą zmianą stosunku do mnie, ale nawet tym, że gdy przypadła na mnie kolej robienia porządków na celi łącznie z myciem podłogi i zaraz zabrałem się do tej czynności, wówczas podszedł on do mnie, wziął mi odnośne narzędzia i z pełną uprzejmością powiedział: pan się do tej roboty nie nadaje i póki będziemy razem, ja to za pana zawsze wszystko zrobię. Chociaż stanowczo sprzeciwiałem się temu, nie ustąpił i do czasu naszego wspólnego pobytu na celi nr 90, tj. do dnia 12 listopada 1940 z drobiazgową dokładnością i fachowością wieloletniego więźnia wykonywał za mnie te czynności.

Wymienię tu także tak dokładnie mi [przeze mnie] pamiętanych, dawnych współwięźniów tej celi.

Był tam niejaki *Pustówka*, jak już wspomniałem, nauczyciel z Goleszowa, wnet zresztą zwolniony z Montelupich. Odwiedził mnie w Bochni w kilka lat po wojnie. Był *Bierdonozow*, rzekomo, jak twierdził, urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych, syn generała rosyjskiego [carskiego], który zginął w czasie rewolucji październikowej. Był tam także bardzo spokojny, przemiły i uczynny, starszy, około 60 lat liczący rolnik *Wróbel* z powiatu limanowskiego oraz w wieku około 40 lat pułkownik Wojska Polskiego, *Wagner*, pracujący przed aresztowaniem podobno w wywiadzie. Kiedy aresztowano go, gdzie i za co, tego nie wiedzieliśmy, bo był niezmiernie skąpy w słowie i prawie do nikogo nic nie mówił. Było widoczne jego bardzo daleko posunięte wyczerpanie, a zachowanie graniczące chyba z jakimś obłędem. O ile znalazło się jakieś wolne miejsce na tej maleńkiej celi, przeważnie z trudem chodził.

Pewnego razu, gdy siedziałem na jedynej ławie, stojącej przy stole, on, chodząc, zatrzymał się nagle przede mną i z jakimś wielkim niepokojem w oczach — choć niby spokojnie — zapytał dosłownie: „Sędzio, jak pan myśli, czy jeszcze kiedyś w życiu zjem jajecznicę z trzech jaj". Odpowiedziałem: Pułkowniku, na pewno zje pan jeszcze z pięciu. Na te słowa pochylił się, pocałował mnie w czoło ze słowami: Dziękuję panu. Po drugim okrążeniu wolnych miejsc, stanąwszy przede mną, zapytał tak samo, otrzymał taką samą odpowiedź i znowu pocałował mnie w czoło ze słowami: Tylko panu wierzę. Miał biedaczysko już chyba daleko zaawansowaną chorobę głodową z jej następstwami.

Niestety, za kilka dni wieczorem, z początkiem listopada 1940 r. — już się świeciło światło elektryczne — weszło na celę dwóch gestapowców. Odczytali jego i moje nazwisko z zawiadomieniem, że jutro rano zostaniemy rozstrzelani, przy czym zapytali, kogo zawiadomić o naszej śmierci. Nie będę opisywał, w jakich nastrojach spędziliśmy tę, zdawało mi się, moją ostatnią noc w życiu. Kiedy istotnie nazajutrz niemal o świcie zajechała na podwórze Montelupich znana już nam duża furgonetka, kryta czarną plandeką, zwana przez nas trupiarką, która wywoziła więźniów na miejsce rozstrzeliwań, zabrano nas obu z celi i wsadzono do tej trupiarki. Nagle, niemal tuż przed uruchomieniem motoru wybiegł jakiś cywil, przypuszczalnie gestapowiec, z wnętrza budynku, odczytał głośno moje nazwisko z poleceniem natychmiastowego wysiadania oraz z uwagą, że będę jeszcze przesłuchiwany i wyprowadził mnie do mojej celi nr 90, ku niezmiernemu zdumieniu i radości współwięźniów, którym powiedziałem, że podobno mam być jeszcze przesłuchany.

Czekałem w zrozumiałym napięciu jeszcze kilka dni. Aż dopiero wieczorem dnia 11 listopada 1940 r. (święto niepodległości Polski przedwojennej) wezwano mnie razem z *Podgórcem* do naszego, wówczas wspólnego, pierwszego i ostatniego przesłuchania, ale nie, jak poprzednio, do ge-

stapo na ulicę Pomorską 2, lecz na parter więzienia Montelupich. Schodząc [gdy schodziliśmy] razem, pełni niepokoju, powiedziałem do Włodka półszeptem tylko tyle: *negatio est prima regula defensionis* [zaprzeczenie jest pierwszą zasadą obrony]. Przesłuchanie prowadził jakiś olbrzymiego wzrostu oficer *SS* w towarzystwie dwóch wzrostem niższych cywilów, widocznie gestapowców.

Najpierw rozpoczęło się przesłuchanie *Podgórca*. Przy pierwszym pytaniu, o czym jako znający się bochniacy rozmawialiśmy na celi, będąc razem przez dwa miesiące, *Podgórzec* zdecydowanie, stanowczo i spokojnie odpowiedział, że jako młodszy ode mnie o około 15 lat znał mnie tylko jako sędziego z widzenia, ale że nigdy nawet nie miałby odwagi ze mną rozmawiać. Na to oficer powiedział, że mają dokładne informacje o częstych naszych na celi rozmowach, w których rozmawialiśmy, omawiając wspólne prowadzenie przez nas organizacji oraz gromadzenie i ukrywanie broni. Na uwagę *Podgórca*, że jeśli ktoś tak doniósł, to kłamał, bo tak nie było, oficer wstał, chwycił stojący obok siebie przy biurku ciężki stołek dębowy i z ogromną siłą, jakiej normalnie przydaje mięśniom atakującego wzmagający się w nim gniew, przechodzący we wściekłość, uderzył go stojącego naprzeciw w lewy bok, tak że *Podgórzec* z cichym jękiem upadł, przy czym lewa ręka zwisła mu bezwładnie. Wówczas obaj gestapowcy zaczęli go bić przygotowanymi w tym celu bykowcami i to z pasją, na oślep, po całym ciele.

Tak bestialsko katowany, nie wydał już żadnego jęku, podobnie jak poprzednio bity ostrzem bagnetu inż. *Janosz*, a widziałem, że *Podgórzec* był jeszcze przytomny. Patrząc na ten bezprzykładny, nieludzko okrutny i zdziczały sadyzm, a zarazem czekając na swoje „przesłuchanie", spoglądałem na *Podgórca* jak na uosobienie wyjątkowego bohatera, chyba o niespotykanym charakterze, którego wola zwyciężyła te potworne katusze. Odrzucono wreszcie w kąt *Podgórca*, jako że był już niezdolny do poruszania się. Wspomnę jeszcze tylko ubocznie, że z kolei odbyło się i moje po Włodku przesłuchanie, jedno z najgorszych, bo zawieszono mnie u sufitu głową w dół i kiedy bity wspomnianymi bykowcami mdlałem, chlustano mi wodą w twarz i znowu stereotypowo pytano, gdzie ukryłem broń i tak [trwało] dłuższy czas. Sądziłem, że to już nadchodzi chyba mój kres, bo skronie i serce waliły jak młotem.

W pewnej chwili usłyszałem widocznie ad hoc stworzoną przez *Podgórca* koncepcję, który słabym głosem powiedział, że sędzia o żadnej broni nic wiedzieć nie może, bo nigdy nie miał z nim kontaktu, dodając: ja sam tylko broń zbierałem i ukrywałem ją w nieczynnym już szybie „Floris" kopalni soli w Bochni i miejsce to mogę wskazać. Na tym rzekomym sukcesie katów skończyło się nasze przesłuchanie. Ja jeszcze o własnych siłach dowlokłem się do naszej celi, a Włodka, prawie zupełnie bezwładnego, przyniesiono tam i rzucono na podłogę. Był absolutnie nie do rozpoznania, bo straszliwie zbity, opuchnięty, siny i prawie nieprzytomny.

Gdy po dłuższej chwili zdawało mi się, że wrócił do przytomności, powiedział mi szeptem, że broni w kopalni nie ma, ale że może przy tej okazji ta potworna męka wcześniej się skończy. Nie był w stanie mówić nic więcej, a tylko dodał jeszcze: Jakże straszliwie lewa ręka boli! Pozostali na celi niemal osłupieli na nasz widok.

Następnie [przeżyliśmy] straszliwy koszmar jakże bolesnej, długiej i bezsennej nocy. Budził się właśnie późny, szary, listopadowy świt. Nagle niezwykły jeszcze o tej wczesnej godzinie zgrzyt klucza w zamku naszej celi. Weszło dwóch esesmanów i kazali mi się ubierać. Nie wiedziałem, po co. Po ubraniu się — z bolesnym trudem po wczorajszym przesłuchaniu — przed opuszczeniem celi, nie bacząc już na to, jak zareagują oprawcy [i] chcąc się pożegnać z (...) bezwładnie leżącym Włodkiem, pochyliłem się nisko nad nim, a on nie mogąc poruszyć lewą ręką, objął mnie prawą za szyję i wyszeptał: Proszę mi wszystko wybaczyć, ale tak się cieszę. — Myślałem, że zmysły postradał i z przejęciem zapytałem: Kochany, z czego się tak cieszysz? Na co on, zdawało mi się — w pełni przytomny, powiedział: Matka Boska Bocheńska mi się śniła i na pewno wnet umrę.

Wydaje mi się, że żadnymi słowami nie potrafiłbym oddać mojego wówczas i dziś jeszcze, kiedy piszę te słowa, jakże głęboko przejmującego mnie wzruszenia. Byłem niemal pewny, że nie zobaczymy się już więcej. Zaznaczam, że przy tym tragicznym z Włodkiem pożegnaniu żaden z gestapowców już nie uderzył mnie, a tylko słownie przynaglali mnie do pośpiechu. Podszedłem jeszcze do inż. *Janosza* z uściskiem i słowami najserdeczniejszej podzięki za jego poniesioną za mnie, jakże bohaterską, podziwu godną, ofiarę oraz, ogólnie życząc pozostałym rychłego powrotu do wolności, opuściłem celę, nie wiedząc, jaki dalszy los mnie czeka.

Zaprowadzono mnie do wielkiej, narożnej, parterowej, dawnej więziennej kaplicy, oznaczonej wówczas jako cela nr 45. Bardzo ciekawego życia na tej celi nie będę jednak opisywał, bo to poza tematem. Wypada mi więc przejść do dalszego, chociaż niesystematycznego charakteryzowania niezwykłej osobowości *Podgórca* na tle jego zachowania się w celi nr 90, a następnie przejść do konkretnego przedstawienia jego życiorysu.

Otóż w celi nr 90 *Podgórzec* odznaczał się niezwykłą uczynnością i dobrocią oraz wręcz nie spotykanym hartem ducha, zwłaszcza początkowo, gdy młodzieńcze siły mimo strasznych warunków były jeszcze zdolne do szybkiej regeneracji i zapominania o ciężkich katuszach odnoszonych przy potwornych i częstych tzw. przesłuchaniach, zwłaszcza przez gestapo przy ul. Pomorskiej 2. Stać go było nawet na to, ażeby, jeśli następowały (bo i to się zdarzało) kilkudniowe przerwy w „przesłuchaniach", ożywiał się do tego stopnia, że śpiewał, a raczej nucił, miał bowiem piękny, głęboki, jedwabny baryton. *Śmieciński* zaś miał subtelny, liryczny tenor i obaj z *Podgórcem* wspólnie śpiewali czy nucili sobie, co z jakże tkliwą tęsknotą przenosiło nas poza mury celi.

Podgórzec był często konfrontowany z członkami — przeważnie kolegami — założonej przez siebie tajnej organizacji wojskowej, oznaczonej początkowo kryptonimem Związek Walki o Wolność Polski, a później Związek Walki Zbrojnej. Już jakoś z końcem października, przywieziony z przesłuchania z ulicy Pomorskiej, był strasznie zbity, ale widziałem, że nie z tej przyczyny

popadł w nie widzianą u niego dotychczas jakąś ponurą determinację. Pytałem go dyskretnie o przyczynę tego stanu psychicznego, a on po dłuższej rozwadze powiedział, że chociaż nigdy do niczego się nie przyznał, to jednak wszystko stracone, bo organizacyjnie podkomendni mu, konfrontowani z nim, przedstawili w obecności przesłuchujących cały przebieg ich wspólnej działalności konspiracyjnej, łącznie ze zbieraniem broni, której [miejsca] ukrycia jednak nie znali. Zachęcali go przy tym, ażeby się przyznał, bo „panowie już wszystko wiedzą, nawet to, kiedy, gdzie, od kogo i w jakiej rocie odbierał Włodek przysięgę organizacyjno-konspiracyjną".

Kiedy Włodek stanowczo temu zaprzeczył i twierdził, że ich w ogóle nie zna, że takie posądzanie go — to ich głupi, podły i kłamliwy wymysł, powzięty tylko dla uzyskania jego kosztem wolności, wówczas zwyrodniali oprawcy kazali postawić na stole dla denuncjatorów, za ich szczerość, obiady dobrze przyrządzone, a sami nieludzko skatowali *Podgórca*. Naiwni, wygłodniali denuncjatorzy w czasie tego bicia łapczywie zjedli obiad, pewni, że otrzymają obiecane im zwolnienie, skoro tylko śledztwo zostanie zakończone, co miało zależeć jedynie od przyznania się *Podgórca* do działalności konspiracyjnej i jego w niej roli, z jednoczesnym wskazaniem miejsca ukrycia broni.

Tu nawiasowo dodam, że ci trzej denuncjatorzy zostali następnie wywiezieni do Oświęcimia, gdzie wszyscy zginęli.

Włodek był wyjątkowo przygnębiony tego wieczoru. Tak ogromnie było mi żal tego niezwykle bohaterskiego chłopca. W nocy, przejęty dogłębnie jego przewidywanym przeze mnie losem, nie potrafiłem zasnąć. W bladej poświacie pełni księżyca płynącego po gwiezdnym niebie — co budziło przemożną tęsknotę za niewiadomą, a zarazem wręcz nieprawdopodobną wolnością — zobaczyłem, jak Włodek dosłownie zwlókł się z siennika, podszedł do okna i założywszy sobie na szyję jakąś pętlę, chciał się powiesić na haku tego okna. Poderwałem się ze wstrząsającym wzruszeniem, objąłem go i w słowach, na jakie wówczas było mnie stać, przeszkodziłem mu w tej samobójczej śmierci.

Tak bardzo mnie prosił, ażeby mu pozwolić odebrać sobie to już nie dla niego życie, bo w końcu może nie wytrzymać dalszej męki i wszystko powiedzieć, ale wreszcie perswazji ustąpił. Popadł jednak ten nieludzko i niemal systematycznie katowany chłopiec w jakby jakiś stan ekstazy religijnej, bo czy krańcowo wyczerpany, leżał bez ruchu, czy mogąc usiedzieć na sienniku, stale wydobywał jakimś sposobem przemycony na celę mały obrazek, przedstawiający wizerunek Matki Boskiej Bocheńskiej, wpatrywał się w niego długo, a zarazem z wprost dziecięcą, głęboką wiarą i niezwykłą żarliwością modlił się.

Patrząc na to z niepokojem o stan psychiczny Włodka, zapytałem go raz: Włodziu, o co tak gorąco się modlisz? Popatrzył na mnie długo i niezmiernie smutno swymi ogromnymi koloru czystego lazuru nieba oczyma, a jednocześnie z jakby wyrzutem odpowiedział: Modlę się o jak najrychlejszą śmierć z przyczyny, o której panu już mówiłem, kiedy pan do niej nie dopuścił. — Zrobiło mi się niezmiernie żal i jeszcze dziś, po tylu latach, różnie oceniam ten mój poprzedni, choć przecież chyba odruchowo ludzki postępek, w którego wyniku ten w moim pojęciu wyjątkowy bohater czy heros zniósł jeszcze wiele zadanych mu przez gestapowskie gady tortur, zanim znalazł, zdawało mu się, wymodloną śmierć.

Dnia 13 listopada 1940 r. jakąś już niepamiętną mi dziś drogą dotarła na moją drugą celę nr 45 wstrząsająca i jakże ponura dla mnie wiadomość, że właśnie tego dnia przywieziono Włodka do Bochni i że tam znalazł śmierć w szybie „Floris" kopalni soli w Bochni, nic i nikogo nie zdradziwszy.

Kiedy później, po przebyciu gehenny oświęcimskiej, wróciłem do Bochni, rozmawiałem z wielu bochniakami, z rodziną tragicznie zmarłego Włodka, a później sam czytałem różne na ten temat wzmianki dziennikarskie, dowiedziałem się, że nikt z bochniaków nie był bezpośrednim świadkiem śmierci Włodka, nie wyłączając nawet ówczesnego, obecnego wtenczas w szybie, dziś już nieżyjącego inż. Alfreda *Dańca;* otrzymałem relacje, raczej z domysłów płynące, że Włodek, sprowadzony do nieczynnego już szybu „Floris", szukał za wszelką cenę sposobu ucieczki, w czasie której przy rzekomo nie udanym skoku runął w około 300-metrową czeluść szybu, ponosząc śmierć na miejscu. Taka wersja nie wydaje mi się prawdopodobna nie tylko z uwagi na całkowitą ówczesną fizyczną ruinę Włodka, ale i ze względu na dostatecznie silną obstawę wejścia do szybu uzbrojonych katów.

Należy na to zagadnienie spojrzeć także i to koniecznie na tle przedstawionych wielomiesięcznych tortur Włodka i jego zachowania się, zwłaszcza w ostatnich dniach czy tygodniach na celi nr 90, kiedy wzgardził już zupełnie życiem i jego ręce wprost błagalnie wyciągały się do śmierci jak do upragnionego przyjaciela. Roztrzaskane, wprost nie do rozpoznania ciało Włodka wydobyto z szybu tego samego dnia i zaraz wezwany, oczywiście przez gestapo, dziś już nieżyjący lekarz powiatowy dr Władysław *Krupa* stwierdził śmierć *Podgórca* skutkiem upadku do szybu, po czym nastąpiło ciche pochowanie zwłok na cmentarzu miejscowym w grobowcu rodzinnym. Rano stwierdzono, że grobowiec ten wprost utonął w powodzi biało-czerwonych kwiatów, złożonych nocą przez wiele niewidzialnych rąk, kwiatów zroszonych obficie gorzkimi łzami ciężkiego smutku i żalu za swym powszechnie, tak bardzo społeczeństwu bocheńskiemu drogim, szlachetnym jego ulubieńcem.

Po wojnie umieszczono na grobowcu Włodka płytę granitową z odpisanym przeze mnie na niej napisem: „Śp. Włodzimierz *Podgórzec,* ur. 5 XII 1917 w Bochni, student Wydziału Medycznego UJ, podporucznik Wojska Polskiego, uczestnik kampanii 1939 r., odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych, więziony przez niemieckich najeźdźców, zginął dnia 13 listopada 1940 r. w Bochni śmiercią żołnierza Polski Podziemnej. Cześć jego pamięci!"

Także po wojnie komisja weryfikacyjna okręgu AK Kraków, nr 10565/B/19 (straty), nadała pośmiertną weryfikację do stopnia podporucznika ze starszeństwem od 1 stycznia 1945 r. oraz odznaczenie Krzyżem Walecznych dwukrotnie po raz pierwszy i po raz drugi.

Natomiast dnia 26 stycznia 1969 r. w Bochni odbyła się ku czci Włodzimierza *Podgórca* pod-

niosła, manifestacyjna uroczystość z udziałem władz miejscowych i masowo zebranego społeczeństwa oraz organizacji młodzieżowych, w asystencji kompanii honorowych ludowego Wojska Polskiego, odsłonięcie tablicy na wschodniej ścianie budynku Wydziału Zdrowia [ówczesnego] Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, tj. naprzeciw szybu tragicznej śmierci Włodka, tablicy pamiątkowej, przekazującej potomności, że „Dnia 13 listopada 1940 r. w dawnym szybie »Floris« zginął bohaterską śmiercią student medycyny UJ w Krakowie, Włodzimierz *Podgórzec*, jeden z pierwszych inicjatorów i organizatorów walki zbrojnej z okupantem hitlerowskim na terenie miasta i powiatu bocheńskiego — w hołdzie społeczeństwo miasta Bochni w styczniu 1969 r."

(...) w końcu jeszcze kilka słów z życiorysu Włodka *Podgórca*. Urodził się w Bochni dnia 5 grudnia 1917 r. przy ul. Karosek 8 jako czwarty, najmłodszy syn z ojca, Franciszka, i matki, Karoliny z *Sędzielowskich*. Ojciec był zarówno pracownikiem salinarnym, jak i szczególnie przez miejscowe społeczeństwo cenionym felczerem. Matka, znana mi osobiście, prowadziła gospodarstwo domowe, była jednak bardzo kulturalna, wszechstronnie oczytana, nawet w literaturze niemieckiej, bo język ten doskonale znała. Nawet w późnym już wieku porywała niepospolitą urodą, którą może we wzmożonej jeszcze postaci przekazała najmłodszemu, Włodkowi. Było to więc małżeństwo bardzo przykładne, wręcz wzorowe, cieszące się powszechnym szacunkiem. Szkołę podstawową i gimnazjum ukończył Włodek w Bochni, po czym wstąpił na wydział medyczny UJ, może w ślad za wszechstronnym w tym przedmiocie zamiłowaniem ojca.

Wedle relacji matki, rodzeństwa, kolegów, znajomych oraz wychowawców Włodka był on po prostu idealnym dzieckiem, a zarazem we współżyciu społecznym wykazywał rzadko spotykany, grocjuszowski *appetitus societatis*. Te nieprzeciętne przymioty, którymi natura obdarzyła Włodka, nad wyraz hojnie ujawniły się już u niego w gimnazjum. Wyjątkowo muzykalny, z wysokim zmysłem dyrygenckim, założył orkiestrę i artystycznie prowadził chór gimnazjalny, był także szefem hufca szkolnego PW, znakomitym harcmistrzem i świetnym gimnastykiem, a każdy jego występ czy stosunek do kolegów cechowała zawsze niezwykła skromność oraz bezinteresowna uczynność i dobroć.

Stąd ta jego wyjątkowa popularność, której zaraz po jego śmierci jakże tkliwy i serdeczny wyraz dają załączone tu z akt miejscowego ZBoWiD-u listy jego ostatniego w gimnazjum (...) dyrektora, Piotra *Galasa* oraz jego przez trzy lata nauczycielki gimnazjalnej, Emilii *Słuszkiewicz*. Byłem sam na jednym w gimnazjum bocheńskim występie artystycznym chóru Włodka, kiedy był już na uniwersytecie, za który to występ uzyskał powszechne, brawurowo entuzjastyczne uznanie. W studiach medycznych był wprost rozmiłowany (...) i w jak najofiarniejszym stosowaniu zdobytej wiedzy widział jedynie najpełniejsze zrealizowanie treści swego życia.

W tej ogólnie przepięknej, tu szkicowanej sylwetce Włodka wprost nie sposób pominąć i to, że z chwilą wybuchu wojny zgłosił się dobrowolnie jako medyk do pełnienia służby sanitarnej, a gdy wrócił z kampanii wrześniowej, natychmiast z właściwym sobie zapałem, gorliwością i talentem rozpoczął werbunek do wojskowej tajnej organizacji podziemnej pod nazwą Związek Walki o Wolność Polski, przyjmując pseudonim „Pantera".

Wkrótce, przy nieprawdopodobnej wprost aktywności w zespole tych przymiotów, o których (...) wzmiankowałem, dał się poznać w całym mieście i powiecie. Siatka jego organizacji zatoczyła szybko wręcz niespodziewany zasięg, zadziwiając liczebnością wstępujących do niej ludzi młodych, dla których stał się bożyszczem, a wśród starszych zyskał nieprawdopodobną popularność i pomoc.

Bezprzykładna, brawurowa, do zuchwalstwa wręcz posunięta odwaga Włodka oraz początkowo nieprawdopodobnie sprzyjające mu szczęście, jak cień idące prawie za każdym jego krokiem w towarzystwie dobranych ludzi młodych z miasta i powiatu, na terenie, na którym wówczas aż roiło się od *volksdeutschów* i różnego rodzaju donosicieli, powinna była uczulać Włodka na konieczność zachowania jak najdalej idącej czujności i ostrożności. Tu podnieść należy, że — wedle treści odnośnych akt znajdujących się w bocheńskim ZBoWiD-zie — projektowana własnoręcznie przez Włodka i sporządzona przez niego siatka organizacyjna tudzież zasady bojowego działania organizacji były tak wnikliwe, precyzyjne i dalekosiężne, że prawie zupełnie nie odbiegały od przyjętych później przez konspirację ogólnych metod walki, co nadawało Włodkowi, mimo jego młodego wieku, także przymiot doskonałego dowódcy.

Ponieważ do walki konieczne było przede wszystkim posiadanie broni, dlatego — nawet w biały dzień i to na głównej ulicy miasta — z organizacyjnie zaprzysiężonymi przez siebie członkami konspiracji podejmował często przeważnie bardzo skuteczne napady na przewożoną przez okupanta broń. Zbierał też broń pozostawioną zwłaszcza po zażartych walkach z najeźdźcą [we wrześniu 1939 r.] w Puszczy Niepołomickiej i jej okolicy. Wykazywał wielką pomysłowość przy bardzo wąskim zasięgu wtajemniczonych w tę akcję. Wydawał ulotki, a nawet małe gazetki, z których jednak niestety na żadną nie zdołano natrafić. Nocnym, śmiałym napadem zdobył z prowadzonej przez Niemców drukarni „Secesja" w Bochni powielacz, maszynę do pisania oraz radio, które u siebie w domu tak zręcznie ukrył i zainstalował, bo systematycznie go słuchał, że późniejsze, kilkakrotne rewizje niemieckie nie potrafiły nic znaleźć.

Atoli to wprost niewiarygodne szczęście z natury rzeczy stępiało znacznie ostrożność Włodka, który w tak niesłychanie niebezpiecznej akcji jakby zlekceważył je, mimo że działo się to na stosunkowo szczupłym terenie, wśród elementów wrogich, co bardzo łatwo grozić mogło katastrofą, aż się wreszcie stało to, co w danych okolicznościach niemal stać się musiało.

Dnia 20 lipca 1940 r. w Bochni wraz z bratem, Edwardem, oraz 33 innymi członkami ruchu oporu został aresztowany przez gestapo, przy pomocy żandarmerii niemieckiej, w obecności donosicieli, i po zupełnie negatywnej rewizji oraz bestialskim, wobec matki, skatowaniu go i Edwarda zostali wszyscy wywiezieni najpierw do

więzienia w Tarnowie, a następnie po kilku tygodniach Włodek i Edward zostali przewiezieni do więzienia Montelupich, gdzie przez ostatnie dwa miesiące, tj. od 11 września do rana 12 listopada 1940 r. Włodek był ze mną na jednej celi i do tego właśnie momentu odnoszą się fragmenty moich (...) wspomnień (...).

Kiedy piszę te słowa i wspominam także szczególnie bohaterską i pełną niezwykłego, krwawego dla mnie poświęcenia inż. *Janosza*, przypomina mi się, że gdzieś kiedyś czytałem, może bodaj częściowo, tu aktualne, o trochę filozoficznej treści słowa jakiegoś anglonormandzkiego poety z XII wieku:

Tak wszystko ku nicości zdąża,
Starzeje się, umiera, pada,
Człek kona, stal rdzewieje,
I drzewo z czasem próchno zjada.
Padają baszty, mur się kruszy
I wonną różę czas wysuszy.
Ciało się znowu w proch obróci,
Imię wyryte słońce spali,
Chyba, że skryba je uwieczni,
Że piórem w księdze je utrwali,
Unieśmiertelni i ocali.

JAN KOWALCZYK

Kraków

Z okupacyjnych zapisków krakowskich

OD REDAKCJI

W ubiegłym roku opublikowaliśmy dotyczący początków II wojny światowej fragment zapisków doc. dr. Jana *Kowalczyka* (pt. Z pierwszych dni września 1939 r. w Krakowie. Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 138—143); wtedy też podaliśmy informacje dotyczące autora i pozostawionego przez niego rękopisu. Obecnie sięgamy do urywków serii zapisków doc. *Kowalczyka* z r. 1942.

Chronologia okupacyjnych wydarzeń codziennych w Krakowie jest już w swej podstawowej warstwie znana, a także zestawiona przez Tadeusza *Wrońskiego*[1]. Notatki *Kowalczyka* nie mogą więc wnieść do niej rewelacyjnych odkryć. Natomiast są one interesujące i, naszym zdaniem, ważne z punktu widzenia pytania, jak reagował lekarz krakowski na bieżące wydarzenia, wiadomości itp. w okupowanym Krakowie, praktycznie odcięty od konkretnych źródeł prawdziwych informacji, skazany na kłamliwą propagandę hitlerowską i odcinający się od niej dzięki przeciekom wiadomości z krajów alianckich, a nadto dystansujący się wobec pogłosek i plotek, nieraz całkiem sprzecznych.

W tych osobistych zapiskach myśl czy też forma gramatyczna często się urywa; autorowi chodziło o zarejestrowanie faktów bądź spostrzeżeń, które by ewentualnie w przyszłości posłużyły do napisania wspomnień. Notując, doc. *Kowalczyk* świadomy był niebezpieczeństw ze strony Niemców w wypadku wykrycia tych notatek, będących swoistym pamiętnikiem czy kroniką okupacyjną, o czym świadczy wiele szczegółów tekstu rękopiśmiennego, jak np. unikanie wyrazów „rozstrzelać", „powiesić" itp.

Tytuł, uwagi w nawiasach klamrowych i przypisy pochodzą od redakcji. Opuszczenia oznaczono znakiem (...).

(*J. M.*)

*

(...) 9 czerwca 1942 r. (...) Strzelano za każdym kryjącym się [Żydem]. (...) Na wschód znowu idą auta ciężarowe, auta tankowe [*Wehrmachtu* na front wschodni]. Mało bawi Pakt Atlantycki przy tych sprawach, mało ofensywa powietrzna. (...) Miny wojska [hitlerowskiego] bardzo ponure. Dziś leciało moc maszyn różnego typu z zachodu na wschód. Po ulicach łapanki, pytają tylko: *Pole*? i biorą. (...) Łapanki w Warszawie mają być jeszcze większe (...). W Lubelskiem jest partyzantka (...).

18 czerwca. Terror straszny szaleje. Po ulicach w dzień łapią. Zwykle są to cywile, którzy podchodzą do idącego i albo pytają: *Pole*?, albo ładną polszczyzną powiadają: „Chodź pan z nami, inaczej strzelamy!" i prowadzą do aut stojących na bocznych ulicach. Łapali na pl. Reformackim[2], siedzących na plantach, w Rynku, pod Kasą Chorych, pono tych ludzi wywożą do Niemiec na roboty. Do dziś codzienne łapanki trwają. (...) Głowa tylko boli i człek jak szczuty po ulicach goni. Mam mieć wykłady na kursie dezynfektorów, na 5 tys. ludności ma być 1, ma to być przygotowanie na wypadek duru plamistego. (...)

22 czerwca. (...) dziś wieści o Tobruku i Bardii, że oszaleć przychodzi[3]. (...) Anglicy wspaniale się cofają, aż to już śmieszy.

24 czerwca [św. Jana]. Imieniny. Straszne. Znowu łapania po ulicach, tym razem Podgórze. Rano ulice, tramwaje prawie puste. W nocy zabrano ludzi z domów (...)[4] Mają oni już nie żyć (...). Mają to być zakładnicy za rozkręcenie szyn między Bieżanowem a Węgrzcami, gdzie wykoleił się pociąg towarowy. W okolicy rozkręcenia wzięto moc ludzi (...). Kobiety brano od fryzjerów (odcinano od aparatów do suszenia włosów nożyczkami). Zlikwidowano Kobierzyn (...)[5]. We wsiach

[1] T. *Wroński:* Kronika okupowanego Krakowa. Kraków 1974, Wydawn. Literackie.

[2] Chodzi o ulicę Reformacką (nie o plac, gdyż takiego w Krakowie nie ma).

[3] Krakowska gadzinowa prasa hitlerowska (Krakauer Zeitung, Goniec Krakowski) wyolbrzymiała sukcesy niemieckie w Afryce, mimo że był to w II wojnie światowej front drugorzędny. Tobruk, ważny punkt strategiczny w Libii, trzykrotnie przechodził z rąk włosko-niemieckich do brytyjskich. 21 VI 1942 r., w czasie kolejnego przeciwnatarcia niemiecko-włoskiego w Cyrenajce, dowódca 2 DP południowoafrykańskiej poddał twierdzę po pierwszym szturmie. Doc. *Kowalczyka* słusznie irytowały sukcesy tzw. Osi w Libii i niepowodzenia aliantów w Afryce. Bardia (Bardija) była drugą po Tobruku pod względem wielkości twierdzą w Libii.

[4] Autor — podobnie jak w innych miejscach swego rękopisu — operując skrótami, wymienia liczby aresztowanych, nazwiska itp., wyraża domniemania o śmierci wielu osób i przypuszczenia, z jakiego powodu mogli być zakładnikami.

[5] Następnie autor podaje niektóre dane o tym, na ogół zgodnie z faktami, których znajomość zresztą podwówczas, prawie bieżąca, może budzić zdziwienie. Por. źródłową pracę R. *Kiełkowskiego:* Zagłada chorych szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 68—78.

podkrakowskich poluje się na ludzi dla firm budujących kolej okrężną krakowską. Dużo łapie się szewców, krawców i murarzy. Na Śląsku i Reichu jest podział: jak zwykle, dzieci oddziela się od dorosłych, a ci do robót. Sewastopol trzyma się trzeci tydzień, jest gdzieś pod Charkowem już drugi dzień nowa ofensywa *Bocka* [6], nawet ma pewne sukcesy. A w Afryce cofanie się Anglików strategiczne.

25 czerwca. Łapanie na ulicach pono ustało, nie słyszano wczoraj i dziś o nowych wyciąganiach z domów (wczoraj wzięto trochę ludzi prostych, kolejarzy i tramwajarzy z domów). Miasto puste dosłownie; po ulicach, plantach, nad Wisłą chodzą tylko ci, co muszą. Nawet z dziećmi na spacer się nie chodzi.

O Kobierzynie nowe szczegóły: 23 czerwca podano obiad o 11 rano zamiast o 12, miał być zatruty przez *Becka* [7]. Poprzedniego dnia wykopano dół na cmentarzu i przywieziono dwie fury niegaszonego wapna (...) [8].

Nowa dziś sensacja. Rano policja n[iemiecka] wzięła radę starszych żydowską i policję żyd[owska] z getta, kazano im wziąć taczki i sznury. U Żydów wybuchła panika. Tymczasem koło południa przyszła wiadomość, że na drodze do Prokocimia (koło wapiennika płaszowskiego, przy torze kolejowym) ci Żydzi powiesili 7 osób, mężczyzn, za sabotaż kolejowy pod Bieżanowem, pono jest jeszcze dodany napis koło nich [szubienic], że to jest następstwo katastrofy kolej[owej] za Bieżanowem. Jedni twierdzą, że powieszeni są Żydzi, inni, że nie, bo mają spodnie polskie wojskowe, są sini, że z twarzy trudno poznać, tak wynędzniali więzieniem. Czy tylko na nich się skrupi? Ludzie już mają dość. Wszystko im jedno. Wybierają się młodzi ludzie w lasy. Napięcie dochodzi naprawdę do szczytu, nawet u ludzi prostych. (...) Wielkie łapanki nad Wisłą na plaży dębnickiej (...).

27 czerwca. Zapowiedziana była na dziś „krwawa" niedziela dla Polaków [9]. *Bühler* [szef tzw. rządu Generalnego Gubernatorstwa] miał powiedzieć, że zginie 5 tys. młodych ludzi w Krakowie, inni wtajemniczeni mówili, że od poniedziałku brygada łapiąca pojedzie do Lwowa, a w niedzielę będzie szalała. Takie wieści zrobiły swoje. Dziś zupełnie pusto na ulicach. Nikogo na plantach. Nawet kościoły były opustoszałe. Ale nic nie było, w każdym razie nie było pewnych wiadomości.

Natomiast „proletariat" [szumowiny społeczne] świętował, tłumy całe chodziły i chodzą do Płaszowa oglądać powieszonych. Niemcy swój cel osiągnęli. Święto mają „prości", nie wiedzą, że ci, co wiszą, to za nich wiszą. (...) Ludzie plotkują coraz silniej. Więc, że aresztowano [profesorów Jana] *Glatzla*, [Maksymiliana] *Rutkowskiego*, że wypuszczono *Ferensa*, że zastrzelono prezesa Zw[iązku] Inwal[idów]. Sami wybierają osoby. (...)

30 czerwca (...) W południe, w zakładzie [medycyny sądowej aresztowany] od robienia sekcji [prof. Jan Stanisław] *Olbrycht*, bo już *Beck* ma *oberarzta*, więc przypuszczalnie go chce skończyć [10]. Kazio *Ostrowski* uciekł z żoną i matką. (...) w Płaszowie koło rogatki budują szubienice dla 20 osób. Wszyscy od plastyków zabrani już na Oświę[cim] [11] (...). Nastrój okropny, człowiek chodzi jak oszalały. Usunięto [mieszkańców] z ulic Łokietka, Friedleina [w Krakowie].

2 lipca 1942 r. Wczoraj[sze] sprawdziło się: z rana powieszono na granicy Woli Duch[ackiej], w Prokocimiu, koło alei, jedenastu; dwunasty urwał się (...) i darowano mu życie (wedle jednej wersji zmarł w aucie, wedle innej jest puszczony do domu). Są to robotnicze sfery, inni [twierdzą], że notoryczni kryminaliści i paserzy, jest między innymi powieszonymi woźny Zarządu Miasta. Był zapisany na mandat karny w notesie (...) policjanta za chodzenie po nocy i to wystarczyło. I znowu chodzą tłumy oglądać, co chwila któryś z zawieszonych spada, a posterunek poleca widzom ponownie wisielca powiesić. Są podobno amatorzy na [katów]. Mają stawiać nowe [szubienice] koło [kościołów św.] Katarzyny, karmelitów, na Rynku; czy to prawda, czy psychoza? Puszczono [z więzienia] lekarzy ze szpitala i innych w liczbie około 80 osób; powiedziano im, że są zakładnikami i że za wszystko odpowiadają. (...) Sewastopol padł [12]. W Afryce N[iemcy] posuwają się naprzód w Egipcie [13].

5 lipca. Niedziela. P[an] *Beck* pojechał osobiście i zabrał 11 [zwłok osób powieszonych] z Prokocimia, bo jest naukowcem i przywiózł do zakładu. Przyprowadzał tam koleżków na pokazy i dawał pić piwo z flaszek, by im słabo nie było. Jest trochę spokoju na mieście przez ostatnie dwa dni. Dziś tylko zapowiadano w kościołach, że nie wolno się modlić do Król[owej] Korony Polskiej, a za Ojczyznę nie wolno modlić się, [chyba] po cichu. Nadto opowiadano o oszczerstwach, jakie się rzuca na Ojca św. Biedny! (...) A wojna, aż śmiech bierze! Wycyganił się podobno *Churchill* z ofensywy tegorocznej, a w Afryce czekamy, kiedy padnie Aleksandria, bo dopiero się będą bronić w dolinie Nilu [14]. (...)

6 lipca. I znowu dziś choć spokój (mimo że zapowiadają, że jeszcze tydzień będzie zabawny, choć inni mówią, że cuda się dzieją w Warszawie). Są wieści smutne, tym razem polityczne. Pono papież przyłączył Polskę do nuncjatury w Ber-

[6] Sewastopol, bardzo ważna twierdza na Krymie, bronił się już od października 1941 r., wyczerpując siły nacierających wojsk hitlerowskich; w sumie stawiał opór przez osiem miesięcy. W czerwcu 1942 r. *Wehrmacht* odnosił na tym froncie duże sukcesy, 30 VI oddziały niemieckie przedarły się pod Sewastopol. W lecie 1942 r. Charków stanowił obiekt zaciętych walk. Feldmarsz. Fedor *von Bock* był od stycznia do lipca 1942 r. dowódcą Grupy Armii *Süd* na froncie niemiecko-radzieckim.

[7] Psychopata i alkoholik dr Werner *Beck* zarządzał w bezwzględny sposób Zakładem Medycyny Sądowej w Krakowie podczas hitlerowskiej okupacji; o *Becku* pisali w zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" m. in. profesorowie Jan Stanisław *Olbrycht*, Maria *Byrdy*, Bolesław *Popielski*. *Beck*, jak podaje R. *Kiełkowski* (por. przypis 5), współuczestniczył też — jak gdyby oddelegowany — w eksterminacji chorych szpitala w podkrakowskim Kobierzynie.

[8] Dalej następują odnotowane przez J. *Kowalczyka* następne szczegóły na temat zagłady chorych w Kobierzynie.

[9] Por. A. *Frankowski:* „Czarna niedziela" w Krakowie. Przegl. Lek., 1974, nr 1, s. 157—159.

[10] Podejrzenie J. *Kowalczyka* było słuszne.

[11] Zob. J. *Kret:* Przyczynek do historii zagłady inteligentów polskich w obozie oświęcimskim. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 61—66.

[12] W rejonie Sewastopola jeszcze do 9 VII 1942 r. broniły się grupy żołnierzy radzieckich, które nie zdołały się ewakuować z Krymu. Miasto zostało wyzwolone 12 V 1944 r.

[13] W czerwcu i lipcu 1942 r. w Libii toczyła się III ofensywa wojsk niemiecko-włoskich.

[14] Jak wiadomo, alianci nie dopuścili Niemców i Włochów do Nilu, a z Afryki wyparli ich w maju 1943 r.

linie i usunął polskiego ambasadora z Watykanu. W związku z tym jest sprawa Królowej Korony Polskiej i wczorajsze kazania. Czy to prawda? Czy dywersja? Abp [Romuald] *Jałbrzykowski* zamknięty (...) Front pod Kurskiem i Charkowem ma być przełamany na nowo. Wydaje się, że atak niem[iecki] idzie na Kaukaz. Co będzie z nami?

12 lipca. Doszły wieści, że przedwczoraj kazano Żydom z (...) Liszek i odległych od Krakowa wiosek stawić się w Skawinie (8 tys[ięcy złotych] płacili za auto do Sącza z Krakowa) i tam między Skawiną a Tyńcem ich wykończono, potwierdzali to polscy pol[icjanci], którzy tam byli także.

Są plotki o tym, jak to było w Protektoracie [Czech i Moraw]. Otóż [Reinhard] *Heydrich* [tamtejszy wielkorządca] miał mieć gotowy projekt wolnego Protektoratu: rząd niezależny, 200-tys[ięczna] armia, własna policja, sądy itd., już miał to zanieść do Berlina, tymczasem Anglia, bojąc się, żeby jej Czesi nie wypowiedzieli wojny, wysłała desant[owc]ów, którzy zrobili, co potrzeba. Represje wyglądały tak, [że], by złapać desantowców, kazano zgłosić się wszystkim nie meldowanym — było ich w Czechach 600 tys[ięcy], w pierwszym dniu 1700, w następnym 500 osób, potem wyznaczono termin, do którego muszą się znaleźć sprawcy. Wówczas podano, że w kościele św. Karola w Pradze są ukryci sprawcy. Gdy policja niem[iecka] tam przyszła, kościół był ufortyfikowany i księża klasztorni z braciszkami uzbrojeni. Bili się kilka godzin, aż wszyscy zginęli. Dwaj w agonii będący, pozostający na torturach, mieli pokazać sprawców. Może to prawda, a może tylko reklama dla dobroci.

Był wczoraj Józef [brat [15] i] opowiadał, jak u nich się [nieczytelne]. Początkiem akcji bywa zniszczenie figur przydrożnych. Właściciele idą na parobków w swych gospodarstwach. Bieda tam okropna, a w głębi kraju (Reichu) pono wielka. Czasem i u Józka mięsa brak. O cukierkach dla dziecka nie ma mowy. (...)

Jakieś całkowite zniszczenie konwoju pod Archangielskiem [16]. Bilans zwycięstw od 20 czerwca i pono Anglicy zaczęli nową bitwę [ofensywę] w Egipcie. Ciekawi nas, co z drugim frontem. (...) Z Zatoki Fińskiej łodzie podwodne sow[ieckie] przedarły się na Bałtyk (...).

16 lipca. Mówić się utarło: „nic nowego", to znaczy, że są średnie sukcesy niem[ieckie], wzgl[ędnie] ich nie ma. A tymczasem nie liczy się tego, co u nas. Nowa fala ruchów antyżyd[owskich, tj. represji hitlerowskich]. Z Tarnowa przyszły wieści, że 7 tys[ięcy] Żydów, a mówią, że nawet 11 tys[ięcy hitlerowcy wymordowali]. „Pracowano" cały tydzień. Sceny koszmarne były tak wielkie, że przez Tarnów nie można było przejeżdżać, a transporty wojskowe szły przez Tarnów bez zatrzymania. Rozebranych do naga w parku przed dworcem pijani policjanci [niemieccy zabijali]: całe rodziny (...) po mieszkaniach [likwidowano]. Ta reszta, co została, to okupiła się ciężkimi milionami. W Rzeszowie ma być więcej [Żydów], bo około 15 tys[ięcy]. Na Podhalu Żydzi (inteligencja, adwokaci itd.) robią drogi, tłuką kamienie. Specjalne brygady [transporty] żyd[owskie], po 7 tys[ięcy], w obozie w Bełżcu [giną. Zabierają] im brylanty, złoto i dolary, przy czym sumy przekraczały wyobrażenie. (...) Wygramy czy przegramy wojnę, (...) jedno [jest] pewne: Żydów w Europie nie będzie, staje się [to] faktem. (...) Wypędzono i Żydów z Bielska, [strzelali do nich] przed dworcem na placu jak do zwierząt, [tak] że [nawet] Niemcy bielscy popadali w psychozę. (...)

Nowe oczyszczanie z Polaków ulic, np. Batorego, i wszyscy idą do zwolnionego [po likwidacji Żydów] getta [w Podgórzu, prawobrzeżnej dzielnicy Krakowa] (część Limanowskiego, Rękawka). Wprawdzie areszt[owań] nowych na wielką skalę nie ma (wczoraj dwóch), nie ma nowych klepsydr, ale nastrój nieco lepszy, choć pełne otępienie. Zza światów przyszły wieści, że [zmarł] *Mościcki* [17], że Wieniawa popełnił samobójstwo wyskakując oknem z drapacza chmur w N[owym] Jorku, pono po pojawieniu [się] na raucie pożegnalnym, wyjeżdżając na Kubę czy z familią jako konsul RP [18].

Front sow[iecki] ma być przełamany pod Rżewem [19] (...). W Afryce front stężał, takie są obecne komunikaty. Ma tam dowodzić *Sikorski* [20]. (...) Na front idą już oddziały Afganów, Bucharczyków i innych wschodnich nacji, uformowane z jeńców sowieckich [21].

To samo, co było w Tarnowie z Żydami, było i w Rzeszowie; parę tysięcy starych [ludzi] i kobiet z dziećmi zapędzono, strzelając po drodze, w sąsiednie lasy, i [w] Sędziszowie Małop[olskim] (dwudziestu na cmentarzu [rozstrzelano]; jeden stary woziwoda poprosił dobrowolnie o [śmierć] zamiast żony). Zgodzono się. Żona żyje, on [zginął]. W Krak[owie] jest rejestracja sierot po Żydach. (...)

Ciekawa rzecz: na 70-lecie *Hachy Hitl[er]* zamiast zwykłego telegramu posłał spec[jalnego] wysłannika z listem odręcznym [22]. (...)

17 lipca. Nowe szczegóły żyd[owskie]. Dr *Bieżeński* z Zabierzowa był przez sąsiadów doniesiony, że ma futra, złoto itd. i że tam mieszkają współwyznaniowcy. W nocy [Niemcy] naszli [go], uciekł z żoną; resztę zabrano pod Tyniec, gdzie

[15] Brat autora zapisków, przebywający przez dłuższy okres w Zatorze pod Oświęcimiem.

[16] Mogło chodzić o zniszczenie jakiegoś konwoju alianckiego płynącego z pomocą zaopatrzeniową dla ZSRR na trasie do Murmańska i Archangielska przez Morze Norweskie; był to okres ciężkich walk o żeglugę między sprzymierzonymi a Niemcami.

[17] Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1926—1939, prof. Ignacy *Mościcki*, osiedlił się w Szwajcarii i zmarł tam w r. 1946.

[18] J. *Kowalczyk* podaje bardzo bliskie prawdy okoliczności śmierci gen. Bolesława *Wieniawy-Długoszowskiego* (szczegóły m. in. w artykule J. *Czajowskiego* i J. *Majchrowskiego:* Pierwszy ułan II Rzeczypospolitej. Tygodnik Powszechny, 1980, nr 51/52, s. 6).

[19] Autor relacji podał w oryginalnych zapiskach pisownię: Rjew, snadź według komunikatów wojennych w prasie hitlerowskiej, która nieraz bardzo zniekształcała pisownię nazw miejscowych w podbijanym, a następnie opuszczanym ZSRR. Rżew był bardziej znany później, z tzw. rżewsko-wiaźmińskiej operacji w 1943 r., gdy Niemcy wycofywali się pod naciskiem zaciętych walk pościgowych, „skracając front".

[20] W Afryce gen. Wł. *Sikorski* m. in. odbył inspekcję wojsk w oblężonym Tobruku.

[21] Z inspiracji zdrajcy, gen. *Własowa*, hitlerowcy organizowali jednostki tzw. Russkoj Oswoboditielnoj Armii (*ROA*), osławione szczególnym prymitywizmem i okrucieństwem; *Własow* został w r. 1946 skazany na śmierć i stracony.

[22] Emil *Hácha* (1872—1945), kolaborant hitlerowski, był prezydentem Czechosłowacji po układzie monachijskim (1938) i Protektoratu Czech i Moraw, nie umiał uniknąć postawy służalczej wobec okupanta hitlerowskiego, m. in. wysiadywał w szpitalu, w którym umierał kat Czech, Reinhard *Heydrich*, po dokonanym na nim zamachu.

był kwaterunek policyjny i zabrano 270 [osób] do [rozstrzelania] na miejscu, a reszta poszła do obozu pracy.

U Jurka było święto ptaków, 3,5 mil[iona ton?] zrzucili jajek i przypomniano, jak pan w bieli w r. 1939 meldował, że flota powietrzna nasza nie istnieje [23].

Na wschodzie pono sukcesy. W Afryce mniejsze, ale co to znaczy wszystko wobec tego, co tu się dzieje. (...) Cukiernie dla nas będą zniesione. Park Jordana jest „nur" [*nur für Deutsche* — tylko dla Niemców]. Ławki na plantach „nur". Wyrzuc[ono] z mieszkania doc. *Szymanowicz* (do getta).

18 lipca. Zajęty Woroszyłowgrad. U nas wzgl[ędny] spokój, o łapankach nie słychać, coś mniej szaleją.

19 lipca. Całe tabuny ludzi z dziećmi (pod oknami) pędzą do robót (Polacy). Dziś w niedzielę byłem u Józia *B.*, opowiadał o nastrojach niem[ieckich] (...) Bolsz[ewicy] (...) im dłuższa wojna, tym lepszą [armię] wystawiają. (...)

20 lipca. Połapano chłopów, co dziś przyjechali na targ, i umieszczono ich w szkole na Kazimierzu [przy ul. Wąskiej 3/5/7, gdzie utworzono obóz przejściowy dla wywożonych na roboty przymusowe do Reichu], koło dyr[ekcji] tramwaj[owej] przy ul. św. Wawrzyńca w Krakowie]. Pol[ska] pol[icja] ich pilnuje, a oni rzucają tylko kartki, [że] mają iść na roboty do Niemców. (...) W Krak[owie] dużo nowego wojska się placze. Głównie *Waffe[n SS]*, idą na front podobno. Na wschodzie zwycięstwa. W Afryce spokój. Właściwie wojna pozycyjna jak dawniej Ardeny, Szampania i koniec.

24 lipca (...). Ogłoszenie (...), że Polakom do parku Krak[owskiego, w dzielnicy niemieckiej] chodzić nie wolno. Ze Śródm[ieścia] mają być usunięte polskie sklepy do 1 września br. — Żywiec po *Boguszu* objął Hamburczyk lotnik, b[yły] właśc[iciel] złupionego [tj. zbombardowanego] hotelu. Z powodu napływu dużej ilości Niemców ma zostać powiększona *Ostkrankenkasse* [Kasa Chorych Wschodu]. Wyrzucono ZUS, to samo czeka Kasę Chorych [24], tylko gdzie ją przeniosą — pono do [byłej] gminy żyd[owskiej] i [byłego] szpit[ala] żyd[owskiego przy ul. Skawińskiej]. Wszystkie napowietrzne przewody elektr[yczne] mają być zmienione z miedzianych na żelazne [25].

A front aż cieszy się pod Rostowem, a w Afryce spokój; co będzie, czy będzie drugi front?

Z dalszych wyrzuceń — to: usunięto *Buiańskiego* z [linii] A-B [w Rynku Głównym], *Fischera* (sklep papiern[iczy] już dawniej), tam ma być hurt[ownia] tytoniu lotnika niem[ieckiego] (za to, że pierwszy spuścił bombę na Kraków, on ma już tę hurt[ownię] w Krak[owie]). Wyrzucono *Bastera* z fabr[yki] wody sodowej z Chodkiewicza na Grzegórzkach, bo podał za ost[atni] rok 100 tys[ięcy zł] dochodu (jeszcze przedtem wzięto Grand Hotel z olbrz[ymimi] zapasami, [nadto] dużą willę z ogrodem).

Ze szpit[ala] U[bezpieczalni] S[połecznej] poszedł [niemiecki chir[urg] na front, szukają Polaka (...). W ogóle brak ludzi (trzech kelnerów od Pollera [tj. znanej restauracji Hotelu „Pod Złotą Kotwicą" przy ul. Szpitalnej w Krakowie] poszło pracować przy bud[owie] kolei. [Niemiec] zastępujący prof. *Schäffera* na urlopie (jakiś b[ardzo] bogaty pan) dostał depeszę, że w Duisburgu [zbombard]owane dom i służąca, [a] żona ciężko ranna. 4-tonowe bomby, *Distriktbomben*! (...)

(...) zabrano oddział VI [26] klin[iki] neur[ologiczno-psychiatrycznej] na mieszkania. (...)

W Poznaniu i Poznańskiem jest passa niszczenia doszczętnie cmentarzy [nieniemieckich], by zatrzeć wszelkie ślady; trumny cynowe i inne zabiera się na metal.

26 lipca. Choć spodziewaliśmy się, nie sądziliśmy, że tak szybko padnie Rostów [27] (...). Codziennie pędzą tysiące ludzi do robót. Łapano baby z koszyczkami we wtorek i piątek i wczoraj, w sobotę, pędzono je do Rzeszy w asyście pol[skiej] policji. Z samej Warszawy w lipcu miano wywieźć 370 tys[ięcy] Żydów na wschód [do komór gazowych]. [Zmarł] w obozie *Jałbrzykowski*, arcybiskup wileński [28]. Z Rzeszy uciekają masowo z robót.

29 lipca. Po kilku dniach spokoju nowe wieści o szaleństwach. Spokój wprawdzie był względny, bo sporadycznie brano, z naszej kamienicy wzięto lokatora p. *Hulewicza*, co pracował w propagandzie. Ataki głównie na Żydów. (...)

1 sierpnia 1942 r. W Warszawie zmniejszają getto; wywożono przez kilka dni z rzędu po 6 tys[ięcy] dziennie i [rozstrzeliwano] [29] blokami kamienic; tam zginął na sali oper[acyjnej] prof[esor] (...) z Poznania *Raszeja* z asystentem [30].

11 sierpnia 1942 r. Jan *Bednarski* opowiadał, że w ich okolicy (koło Miech[owa]) Żydzi muszą płacić przed [rozstrzelaniem] po 50—100 zł za naboje.

24 listopada 1942 r. Szkoły całe wyjeżdżają na roboty [do Rzeszy], z Krakowa szkoła kosmet[yczek] (...), dwie szkoły z Jasła (męska i żeńska). Wczoraj pod oknami [zmarł] [31] *Schupo* [funkcjonariusz *Schutzpolizei*], obawy o areszt[owania]. Chłopa, co przechowywał dziecko ż[ydowskie] pod Tunelem, [powieszono] [32] z żoną i pochowano na kierkowie [cmentarzu żydowskim], zostawiając 8- i 6-letnich dwoje [dzieci].

---

[23] Sformułowania aluzyjne o bombardowaniach Rzeszy, o chełpliwych wypowiedziach *Göringa* itp.

[24] Do przeniesienia „Kasy Chorych" z ul. Batorego 3 nie doszło.

[25] Niemcy robili podczas okupacji tego rodzaju rabunkowe oszczędności, np. powycinali wiele metalowych ogrodzeń w Krakowie.

[26] Chodzi nie o oddział VI Szpitala św. Łazarza, mieszczący chorych psychicznie (ul. Kopernika 21), lecz o zespół budynków przy ul. Botanicznej 3.

[27] Był to jeszcze okres sukcesów hitlerowskich na Ukrainie; wojska radzieckie broniły się na kierunku stalingradzkim; do 28 VII 1942 r. niemiecka Grupa Armii „A" przełamała obronę radziecką w rejonie na południe od dolnego Donu i rozpoczęła natarcie w głąb Kaukazu.

[28] Arcybiskup metropolita wileński, Romuald *Jałbrzykowski*, urodzony 7 II 1876 r., wyświęcony 9 III 1901 r., konsekrowany 30 XI 1918 r., objął archidiecezję wileńską 24 VI 1926 r.; został aresztowany 22 III 1942 r. w okupowanym przez hitlerowców Wilnie, uwięziony w Mariampolu, a w lipcu 1944 r. wyzwolony przez armię radziecką.

[29] W miejscu wprowadzonego tutaj w nawiasie klamrowym wyrazu „rozstrzeliwano" autor relacji umieścił w rękopisie strzałkę zwróconą ukośnie w prawo ku górze.

[30] Bliższe szczegóły podaje M. *Dominik:* Prof. dr Franciszek *Raszeja*. Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 195—198.

[31] W miejscu tego wyrazu w zapiskach oryginalnych krzyżyk (znak plus).

[32] W miejscu tego wyrazu autor relacji narysował kreskę pionową z górną częścią ułamaną poziomo w prawo.

STANISŁAW MAZIARSKI
były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen nr 5328

Kraków

W Sachsenhausen

OD REDAKCJI

Wybitny uczony, histolog, prof. dr Stanisław *Maziarski*, pozostawił relację z lat II wojny światowej pt. „Wspomnienia z wojny niemiecko-polskiej 1939", liczącą 94 strony znormalizowanego maszynopisu. Przed rokiem opublikowaliśmy prawie w całości część dotyczącą drogi Profesora, uwięzionego w tzw. *Sonderaktion Krakau*, do obozu koncentracyjnego, pod tytułem odredakcyjnym „Z Krakowa do Sachsenhausen" (Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 143—151); we wstępie (tamże, s. 143—144) przypomnieliśmy podstawowe dane biograficzne o prof. *Maziarskim*.

Obecnie — również w porozumieniu z wnukiem Autora, red. Jackiem *Maziarskim* — udostępniamy w druku część tej relacji-dokumentu, traktującą o katordze obozowej. Mimo że o przeżyciach ofiar *Sonderaktion Krakau* pisano już dość dużo, także w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim", to jednak w opisie poniższym znajdujemy mnóstwo nowych informacji, spostrzeżeń, refleksji i realiów na ten temat. Nie po raz pierwszy okazuje się, że każdy więzień obozów hitlerowskich patrzył na swą sytuację i na otaczający go świat lagrowy w sposób odmienny. Zaiste, wiedza o obozach jest niewyczerpana.

Prof. *Maziarski*, jak już widzieliśmy w jego publikacji sprzed roku, miał szczególny dar ostrej i wnikliwej obserwacji, połączony z niemal fotograficzną pamięcią. A w pamięci jedynie, jak wiadomo, więzień katowni hitlerowskich mógł starać się utrwalić pasmo swych cierpień i doznań. Czasem udawało się rysować, ale należało to do rzadkich i ryzykownych wyjątków. Podstawa dociekania niezgłębionej prawdy o obozach są relacje. Gdy się one wzajemnie uzupełniają, wyostrza się ta prawda. Należy żałować, że zaproponowane przed kilku laty przez zespół redakcyjny „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" jednemu z wydawnictw urzeczywistnienie prostej propozycji antologii wspomnień osób uwięzionych w *Sonderaktion Krakau* pozostało w konspekcie.

Opuszczenia w tekście oznaczono znakiem (...). Tytuł i uwagi w nawiasach klamrowych pochodzą od redakcji.

(*J. M.*)

•

[Gdyśmy przekroczyli bramę obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen i znaleźli się na placu pośród baraków,] (...) ustawiono nas przed jednym z takich baraków (...) w długiej kolumnie, po pięciu w szeregu. Przyszli oglądać nas oficerowie gestapo, inaczej zwani esesmanami, bo jako odznakę mają dwa pioruny *SS* [w miejscu tych liter prof. *Maziarski* wyrysował gotyckie litery w kształcie stylizowanych błyskawic] obok trupiej główki na czapce, którym podoficerowie składali raport, potem zostali sami podoficerowie (...): przechodząc przed naszymi szeregami, wdawali się w rozmowę ze stojącymi w pierwszym względnie drugim szeregu, ot tak, na chybił trafił. Zwracali się do nas *per* ty, bo do jeńców [tj. w tym wypadku oczywiście: więźniów] inaczej mówić nie wolno w obozie, zwłaszcza koncentracyjnym, bo taki jest właśnie w Sachsenhausen. Nie obeszło się przy tych rozmowach bez wymyślań, a nawet bez bicia, co spotkało biednego X [księdza] rektora [UJ, Konstantego] *Michalskiego*, którego jakiś esesman uderzył kilka razy po twarzy, powtarzając z wściekłością: *du Schwein!*

Do duchownych osób odnoszono się bardzo niechętnie, wprost wrogo. Do mnie przyczepił się też jakiś feldfebel (...). I tak staliśmy z odkrytymi głowami, nagle zerwała się gwałtowna wichura i zaczął padać gruby deszcz ze śniegiem przez jakiś kwadrans [tylko] na szczęście, który i tak nas zmoczył i zmroził. Wreszcie po jakiejś godzinie takiego stania zaczęto wprowadzać po dwudziestu pięciu do baraku, a reszta dalej stała w chłodzie i wilgoci i czekała na swą kolej. Po jakimś czasie wychodzili z innych drzwi baraku kompletnie przebrani, w bluzach wojskowych zielonych lub granatowych, w spodniach w pasy niebieskie i popielate, w butach wojskowych, w czapkach (przypominających kucharskie) z tego samego materiału, co spodnie, oraz w rękawiczkach z zielonego jakiegoś wojłoku. Ustawiono ich znowu w piątki i gdy zebrało się ich pięćdziesięciu, odprowadzono ich w głąb obozu do baraku.

Nadeszła wreszcie kolej i na naszą ostatnią dwudziestkępiątkę. Wprowadzono nas do baraku, gdzie siedzieli esesmani i szereg jeńców [więźniów] — pomocników przy stołach i maszynach do pisania; przechodziliśmy od jednego do drugiego w celu załatwienia różnych formalności. Pierwszy wypisywał na karcie przyjęcia imię, nazwisko, wiek, stan, zajęcie, miejsce urodzenia, zamieszkania, imię i mieszkanie żony, przebyte choroby, szczególne znaki; następnie podoficer, wrzeszczący ciągle, rewidował portfele i zabierał wszystkie pieniądze, banknoty i drobne i zapisywał to na karcie jeńca [więźnia], składając pieniądze do wielkiej, żelaznej skrzyni, dalszy odbierał biżuterię: pierścionki, zegarki, wkładając to do osobnej dla każdego koperty, na której wypisywał numer, który otrzymywało się na karcie przyjęcia, dalszy odbierał walizki i torby, ewentualnie koce (...), oznaczając je również tym samym numerem; wreszcie po załatwieniu tego wszystkiego przechodziło się do ostatniej ubikacji, gdzie człowieka rozbierano do naga, zabierając mu wszystko, co miał na sobie — palto, ubranie, bieliznę, buty, kapelusz, wszystkie drobiazgi, jakie się miało w kieszeniach, znowu lokowano w kopertach z numerem, potem strzyżono głowę maszynką na milimetr, również wąsy lub brodę, tak że niektórych kolegów nie można było po tej operacji poznać (np. śp. [prof. zoologii] Michasia *Siedleckiego*, który zawsze nosił swoją wspaniałą, białą brodę), oglądano przez lupę włosy łonowe i pod pachą, czy nie ma się mendoweszek [tak w oryginale] i tak rozebranych, co też odbywało się w spiesznym tempie i z naganianiem do pośpiechu, przepychano do ostatniej ubikacji, gdzie były gorące i zimne tusze. Każdy musiał się namydlić dobrze, potem wszedł pod tusz gorący i zimny, po czym dostawał ręcznik do wytarcia i pakiet z rzeczami do

przebrania się; z przeszłości zostawiano tylko okulary i paski rupturowe oraz chustki do nosa; reszta cała zostawała w baraku, w przechowaniu do chwili zwolnienia z obozu.

Pędzono i poganiano, żeby prędzej się przebierać; dostałem majtki długie, trykotowe, w brzuchu naturalnie za wielkie, bez guzików, koszulę strasznie wyłataną z dziurami, skarpetki grube, łatane i cerowane, buty kute z podkówkami, ale wygodne, bo obszerne, następnie spodnie w niebieskie i popielate pasy, długie i też za szerokie w pasie, ale jakoś po ściągnięciu trzymały się na mnie, bluzę zieloną, trochę połataną, kroju oficerskiego, z blaszanymi guzikami i stojąco-wykładanym kołnierzem, czapkę na szczęście pasującą na głowę i rękawiczki o jednym palcu, z zielonego materiału, z popielatą podszewką, trochę za duże, ale lepsze na zimę. Pospiesznie się w to wszystko przebrałem, bo robiono wielki gwałt; ociągałem trochę z tym przebieraniem się, żeby się ochłodzić po tym gorącym tuszu i nie przeziębić się zaraz na początku, bo przecież wprost wychodziło się na pole i czekało, aż wszyscy się okąpią i ubiorą, a na dworze był chłód i wilgoć po tej choć niedługiej ulewie.

Niebawem wszyscy byli gotowi i pod komendą dawniejszego jeńca Niemca udaliśmy się do baraku, gdzie już zebrani byli wszyscy koledzy, towarzysze wspólnej niedoli. Mieliśmy nadzieję, że dostaniemy coś jeść, bo [nie mieliśmy nic] prócz tych ośmiu kromek chleba z wędzoną słoniną z Wrocławia, które zjedliśmy przez drogę; (...) resztę [słoniny], chowaną na wieczór w obozie nam odebrano, a właściwie daliśmy ją żebrzącym jeńcom [ściślej więźniom], którzy nas po przybyciu obstąpili, bo i tak [esesmani lub więźniowie funkcyjni] byliby ją nam przy tych operacjach wszystkich odebrali. Niestety była godzina już późna, a kolacja w obozie jest o 16,45, więc musieliśmy położyć się spać o głodzie.

W baraku, tzw. bloku, dano nam pouczenie, jak się mamy zachować, pokazano wychodki i umywalnie i rychło zaprowadzono nas do wielkiej sypialni, gdzie były ułożone na podłodze sienniki, jeden obok drugiego, w czterech szeregach, odgrodzonych wąskimi ścieżkami, na których mieliśmy spać, po dwóch na sienniku. Miało się spać w ubraniach, tylko bez butów, pod kocami, których każdy dostał dwa; zresztą miało to być tylko prowizorium, bo jutro przeniesieni zostaniemy do innego bloku — już na stałe. Niebawem, po omacku prawie, bo światła w sypialni nie było, ułożyliśmy się, jak można było, na tę pierwszą noc — a ile ich jeszcze będzie? I wobec tych wszystkich wrażeń, [po] nie przespanej poprzedniej nocy rychło zasnęliśmy. Wygodnie nie było, ciasno, ale ciepło, bo 160 osób wzajemnie się grzało, ale nic na to poradzić nie było można.

Rozpoczęliśmy w ten sposób pierwszą noc, pierwszy dzień naszego pobytu w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, dnia 28 listopada 1939 r.

Nazajutrz 29 listopada (środa) obudzono nas o godzinie 5,30, z ubieraniem nie było wiele roboty, tylko jeden [i] drugi przekonał się, że gdzieś mu się zapodziały buty, inny nie mógł znaleźć swojej czapki, inny rękawiczek lub chustek do nosa, bo kładąc się po ciemku, nie orintowaliśmy się dobrze, gdzie kto co położył, choć w głowach siennika te rzeczy umieszczał. Około szóstej podano nam śniadanie, złożone z wodnistej mlecznej zupy, zasypanej grysikiem w bardzo skąpej ilości, potem zaś ustawiono nas przed barakiem i koło siódmej poprowadzono nas na ten wielki plac, gdzie odbywa się zgromadzenie i policzenie wszystkich jeńców, w obozie się znajdujących, tzw. „*Appell*". Po apelu wróciliśmy w szyku do bloku, skąd nas wysyłano partiami do kancelarii przyjęć, gdzie spisano z nami inne jeszcze karty przyjęcia, bo tamte okazały się niewłaściwe, bo nie przyszliśmy do obozu skazani przez sąd lub drogą administracyjną, lecz wywiezieni tutaj na skutek tzw. „Sonderaktion", przedsięwziętej przez władze niemieckie, przy czym nie robi się żadnych dochodzeń, lecz zamyka się ludzi zupełnie Bogu ducha winnych. Ani w więzieniu u Montelupich, ani w obozie jeńców na Mazowieckiej [w Krakowie], ani w więzieniu we Wrocławiu nie robiono z żadnym z nas żadnych dochodzeń, żadnych przesłuchań — dawali nam mieszkanie, wikt i opierunek i nie pytali o nic.

O godzinie 11,30 wyprowadzono nas przed barak, ustawiono w szeregi, policzono i po niedługim czasie wprowadzono z powrotem, potem był obiad, złożony z menażki kartoflanki z karpielami, po obiedzie zaś i po wymyciu naczyń nastąpiła przeprowadzka do innych bloków. 85 [osób] (w tej liczbie byłem i ja) przeniesiono do bloku 45, 65 do bloku 46 (w tej grupie był rektor i prorektor), a wszystkich księży do osobnego bloku (24?), przeznaczonego dla duchownych osób, 2 Żydów (*Sternbach* i *Metallmann*) do bloku żydowskiego (28?). Komunikować się z nimi nam nie było wolno, toteż cały czas nie widzieliśmy ich ani razu. Z blokiem 46 mogliśmy utrzymywać stosunki, blok ten był w najbliższym sąsiedztwie naszego 45, przez okna mogliśmy się widzieć bezpośrednio i odwiedzać ich w godzinach wolnych od zajęć. Z naszą grupą przeszedł do bloku 45 ten komendant [tj. sztubowy, izbowy], który chwilowo nami dowodził po przybyciu do obozu, Niemiec wysoki, gruby, może i niezły człowiek, zwany przez wszystkich „Jub" — nazwiska jego nie znam. Został on mianowany przez władze obozu *stubenältesterem* i rządził skrzydłem B w bloku 45, nasza grupa pomieszczona była w skrzydle A.

Rozgościliśmy się w bloku, zajęli na stałe miejsca przy stołach, zapoznali się z sąsiadami-kolegami, obrali sobie miejsce do spania; ja razem z prof. [Tadeuszem] *Tempką* stanowiłem parę, zajmującą jeden sienniak. O godzinie 16 odbył się nowy apel na placu wielkim, po powrocie otrzymaliśmy kolację, złożoną z kawałka chleba 320-gr[amowego], z dodatkiem małego kawałka pasztetówki i kawy w ilości pół litra. Chleb nie zjedzony można było schować do śniadania w dniu następnym. Po wymyciu naczyń był czas wolny — „Freistunde", w której można było robić, co się komu podobało, a o godzinie 18,30 udawaliśmy się do sypialni, od 19 miała być cisza i powinno się spać.

Powoli wchodziliśmy w tryb życia obozowego, przestaliśmy być profesorami uniwersytetu, a staliśmy się numerami, za którymi nas wywoływano i które zawsze były na pierwszym miejscu.

Drugiego czy trzeciego dnia przyszedł krawiec z maszyną i malarz z farbą czarną i patronami

[szablonami] liczb i każdemu z nas przyszywano na bluzie i na prawej nogawce spodni ponad kolanem podłużne paski białego płótna, na którym malarz wymalowywał numer, odpowiadający numerowi karty przyjęcia. Ja miałem nr 5328, ponadto pod numerem każdemu z nas, jako że byliśmy więźniami politycznymi, przyszywano trójkątny wycinek z płótna czerwonego, ostrym kątem zwrócony na dół — taka była odznaka wszystkich przestępców politycznych i tych w obozie było najwięcej. Zielone trójkąty mieli zwykli przestępcy, wysyłani z więzień, gdzie odsiadywali karę, pomarańczowe — nygusy, próżniaki, tzw. *asozial*, wreszcie gwiazdy żółte z fioletowym mieli Żydzi.

Nim przejdę do osobistych przeżyć, chcę poświęcić więcej uwagi obozowi koncentracyjnemu i jego rygorom i zwyczajom oraz urządzeniu i życiu w baraku (bloku), żeby te szczegóły wyczerpać i do nich już ciągle nie powracać.

Obóz, mający kilka kilometrów kwadratowych przestrzeni, położony jest wśród lasu sosnowego o ładnym drzew rysunku, otoczony jest cały murem wysokim na jakieś 5 m, pod którym prowadzi asfaltowy chodnik, dość szeroki. W obrębie muru co jakieś 50 metrów wznoszą się piętrowe, czworogranne małe budowle, na górze całkowicie oszklone, w których umieszczone są karabiny maszynowe ze stałą, dzień i noc pełniącą służbę obsługą. Panują tu wieże uzbrojone i pilnowane nad całym obozem i mogą objąć cały obóz swoim obstrzałem. Ku wewnątrz od muru jest rozpięta na słupach sieć drutów, przez które przepływa prąd o napięciu 5000 V, jeszcze bardziej ku wewnątrz jest sieć drutu kolczastego, tak że wydostanie się tą drogą z obozu jest absolutnie niemożliwe, bo grozi śmiercią od prądu lub kul karabinowych. Odpowiednie napisy ostrzegają przed zbliżaniem się do drutu lub do placówek straży. W obrębie obozu, do którego prowadzi jedyna brama żelazna, stale zamknięta i dozorowana, przechodząca przez gmach zarządu, rozmieszczone są baraki (bloki) w liczbie około 80, (...) w ten sposób, że ulice między nimi wybiegają na wielki plac, przed głównym gmachem się znajdujący, gdzie stoją dwie wielkie słupowe lampy, na których umieszczone są nadto głośniki radiowe, rozrzucone ponadto tu i ówdzie w ulicach obozowych. W głównym gmachu na wysokości II piętra znajduje się loża oszklona, z otwieranymi oknami, gdzie są pomieszczone ciężkie karabiny maszynowe ze stałą obsługą, mającą pod obstrzałem cały plac i przylegające doń ulice. Nadto na dachu budynku są umieszczone trzy wielkie reflektory, oświetlające cały plac, również reflektory znajdują się na każdej wieży strażniczej. Cały naturalnie obóz jest oświetlony elektrycznością, tak ulice, jak i baraki. Koło koszar esesmanów, znajdujących się za głównym gmachem poza brama, na wysokich masztach powiewają stale dwie flagi: czerwona hitlerowska ze swastyką i czarna z białym znakiem *SS* [autor wrysował gotyckie emblematy].

Zarząd obozu spoczywa w rękach gestapo; oficerów jest zaledwie kilku, za to cała masa podoficerów różnych stopni, o różnych dystynkcjach na epoletach, kaprale, starsi kaprale, plutonowi, sierżanci, feldfeble itp., przeważnie wszystko ludzi młodzi, więc pochodzący z reżimu hitlerowskiego i w tym duchu wychowani, odznaczający się skłonnością do sadyzmu i uważający za cel swego życia znęcanie się i dokuczanie jeńcom. Przypatrując się ich postępkom, miało się nieraz wrażenie, że to muszą być degeneraci, nie mający zupełnie poczucia człowieczeństwa w sobie. Porównywanie ich z psami wyszłoby na niekorzyść tych ostatnich, bo każde bydlę okazałoby człowiekowi, który dostał się w ich ręce, więcej uczucia czy litości niż oni. Oni uważali się w obozie za panów i władców, jeńcy nie byli ludźmi, byli tylko numerami, z którymi można było robić, co tylko im do głowy przypadło. Nawet w obliczu oficerów nie zachowywali się lepiej, zawsze byli brutalni i wrzaski i bicie i kopanie — to było stałe ich w ich postępowaniu z jeńcami. Rozwijali swoją „opiekuńczą" działalność w obozie głównie przy apelach, a następnie przy inspekcjach po obozie i w blokach, do których wpadali o każdej porze dnia i nocy.

Bardzo uciążliwe, wprost beznadziejne i grożące zawsze jakąś nieprzyjemnością większą lub mniejszą były apele, które odbywały się trzy razy dziennie: o 7, o 11.30 i o 16, w soboty o 15, nie wyłączając nawet największych świąt. Raz tylko nie odbył się apel jeden popołudniowy, za to zamiast o 11.30 był dopiero o 14, pozostawało to podobno w związku z rozruchami ulicznymi w Berlinie i część załogi Sachsenhausen wyjechała je tłumić. Apele odbywały się na wielkim placu przed głównym gmachem, a to w sposób następujący. Na kwadrans już przed terminem zbierali się jeńcy [więźniowie] z wszystkich bloków, zdrowi czy chorzy, mogący chodzić czy nie, bez żadnego wyjątku (kulawych przynoszono, chorych zanoszono), bo nikogo braknąć nie mogło, nieobecni byli tylko leżący w szpitalu (rewirze), na placu, gdzie każdy blok miał wyznaczone swoje miejsce.

Blok 45 [umieszczano] obok latarni w kolumnie długiej z szeregów po pięciu ludzi, jeden za drugim, ustawionych w ten sposób, że na przedzie byli najniżsi, potem wyżsi i wreszcie najwyżsi w piątym szeregu. Pierwszy szereg stanowili stali przedstawiciele, gdyż oni liczyli przy apelu od 1 do ..., np. 40, z czego wychodziła ogólna cyfra ludzi w bloku $40 \times 5 = 200$. Stać w szeregach musiało się jeden za drugim, żeby go kryć (*auf Vordemann* — skrócenie *auf den vorderen Mann*), żeby podoficer odbierający apel mógł, przechodzac przed frontem bloku, widzieć każdą piątkę, której liczbę kolejną podawali pojedynczo stojący w pierwszym szeregu. A zatem na placu ustawiali się blokami wszyscy w obozie przebywający jeńcy, których liczba dochodziła za naszej tam bytności do 13 000 i wyżej. Najprzód każdy *Blockältester* [blokowy] przy pomocy *Stubenältester* [izbowych] ustawiał swoich ludzi i gdy już byli ustawieni, komenderował: *„Block 45 stillgestanden"* [blok 45 baczność!], stawało się na baczność, prostowało; na dalszą komendę: *„richtet euch"* [pokryć!] wyprostowywało się szeregi podłużne, wreszcie na komendę *„ruhet"* [spocznij!] można było przybrać swobodniejszą pozę.

Gdy wreszcie już wszystkie bloki ustawiły się, zjawiali się podoficerowie dla odebrania apelu od blokowych, którzy mieli specjalne książki, gdzie każdego dnia (właściwie trzy razy na dzień) były zapisywane wszystkie zmiany w stanie ludzi w bloku. Obok tych podoficerów, którzy od-

bierali raport i zjawiali się przed frontem każdego bloku, byli inni, mający czy [też] *ex propria diligentia* [z własnej woli] pełniący służbę inspekcyjną, którzy cichaczem chodzili na tyłach bloków i wypatrywali jakichś uchybień, fałszywego stania, nieakuratnego wykonia komendy, nieścisłości w ubraniu, brudnych butów, a wreszcie bez powodu przyczepiali się do ofiar, stojących zwłaszcza w ostatnim szeregu i nad nimi w różny sposób się znęcali. Toteż po każdym skończonym [apelu], wracając do bloku, dziękowaliśmy Bogu, że apel minął szczęśliwie i że już jeden jest mniej do odbycia w czasie naszego pobytu w obozie.

Ale — wracając jeszcze do samego apelu — dalszy ciąg bywał następujący: Po ustawieniu bloków w szeregach oczekiwaliśmy przybycia podoficera inspekcyjnego, który odbierał raport od blokowego. Za jego zjawieniem [się] komenderował *Blockältester*: *„45 Stillgestanden"* oraz *„Augen rechts"* [w prawo patrz] względnie *„Augen links"* [w lewo patrz], o ile nadchodził z prawej lub lewej strony, sam zaś cofał się do pierwszego szeregu, na stronę lewą, mając cały blok po swej stronie prawej. Podoficer przechodził przed frontem i wtedy trzeba było patrzeć na niego — i albo dochodząc do bloku komenderował *„abzählen"* [odlicz!] i wtedy ustawieni w pierwszym szeregu liczyli od 1, 2, 3, 4 itd. aż do wyczerpania kolumn, albo też przechodził w milczeniu, przeglądając dokładnie szeregi, czy kogo nie brakuje. Czasem któryś z pierwszego szeregu się pomylił lub niewyraźnie swój numer powiedział, wtedy musieli liczyć po raz drugi, czasem i trzeci, lub też za karę cały pierwszy szereg, czasem cały blok musiał w pozycji *Kniebeugen* [kucając] skulony trwać przez kilka minut. Doszedłszy do blokowego [podoficer] odbierał od niego raport, ilu ma ludzi w bloku, i zabierał jego książeczkę, a do ludzi komenderował *„rucht"* [spocznij] i szedł do następnych trzech zwykle bloków. Wracajac z tej inspekcji, stawał przed blokiem i komenderował: *„45 Stillgestanden, Augen rechts"* [czterdziesty piaty baczność, w prawo patrz!] i szedł dalej, my zaś musieliśmy tkwić w tej pozycji czasem i kilka minut, dopóki nie przyszedł z powrotem, nie zakomenderował *„Augen gerade aus"* [na wprost patrz] i biegnącemu do niego blokowemu nie oddał podpisanej książeczki.

Na tym kończył się apel bloku, ale pozostawał jeszcze apel całego obozu, wszystkich bloków. Na ten czasem trzeba było dłużej poczekać, bo dopiero po uzgodnieniu liczby ludzi we wszystkich blokach z cyfrą, jaka znajdować się ma w obozie, nadchodził na plac oficer [*raportführer*] odbierający raport od podoficerów. Wtedy odzywała się komenda dla obozu. *„Alle"* [Całość...], albo *„Abteilung* [oddział] *stillgestanden"* [baczność]. *„Mütze ab"* [czapki zdjąć], *„Augen rechts"*, *„Augen gerade aus"* i najprzyjemniejsza komenda: *„Kehrt euch"* [rozejść się], po której robiło się obrót w lewo i na komendę blokowego *„im Gleichschritt Marsch"* [równym krokiem marsz] maszerowało się do bloku, z początku na placu jeszcze z odkrytą głową i w szeregach, bliżej ulic wszyscy rozsypywali się i biegli, zwłaszcza gdy był tęgi mróz. Krążący jednak po placu podoficerowie przejechali się nieraz na niejednym, który się im nie spodobał — trzeba było ustawicznie patrzeć, żeby omijać z dala tych siepaczy. Taki apel jednak nie odbywał się często, zwykle bowiem przy apelu, zwłaszcza porannym, zwalniano z obozu różnych jeńców [więźniów], wymierzano kary, wołano do różnych raportów, uzgadniano numery z nazwiskami itp. Odbywało się to zwykle po komendzie *„Augen gerade aus"*; wywoływano wtedy nazwiska, numery itd. i trzeba było czasem i kilkanaście minut stać na baczność. To zwykle był moment krążenia podoficerów i różnych wymyślań i bicia z ich strony.

Raport południowy (o godz. 11.30) był zazwyczaj krótki, bo wyjątkowo odbywali go podoficerowie, a zwykle tzw. *Lagerälteste* [starszy obozu] przez tzw. *Laufer* [gońców], którzy ustawione w ordynku bloki obchodzili, przeliczali i o ile się cyfry zgadzały, to szło się co prędzej do bloku na obiad — trwało to nie dłużej jak 15 minut. W ostatnich nawet dwóch tygodniach pobytu w obozie apel południowy uproszczony został jeszcze bardziej, bo tylko szliśmy na plac, ustawiali się i bez żadnego już raportu wracaliśmy szybko do bloku. Przez kilka dni wymyślono przy południowym apelu jeszcze inną rzecz, mającą być w związku [ze] zmianą podawania obiadu: zamiast w południe, dopiero o [godz.] 17, [ponieważ] jakoby brakowało kotłów do roznoszenia jedzenia do bloków w związku ze zwinięciem klinkierni, w której pracujący jeńcy [więźniowie] dostawali obiad wieczorem. Wobec tego, że obiadu nie miało być, a tylko chleb z dodatkiem później, trzymano nas przez kilka dni na placu; inne bloki, dostające obiad w normalnej porze, odeszły do siebie, nawet bez żadnego uszykowania, i dopiero po jakichś kilkunastu minutach pozwolono nam wracać. Jednak na interwencję u blokowego jakoś to potem ustało i już wracaliśmy wszyscy razem. Również przez jakiś czas — i to właśnie w najgorsze mrozy — po skończonym apelu zamiast do bloku prowadzono nas na inne miejsce placu, gdzie ustawieni w szeregi czekać musieliśmy, aż rozejdą się wszyscy, którzy mieli wyznaczoną poza blokiem jakąś pracę; było to związane podobno z tym, że niektórzy kryli się w blokach i do pracy nie chodzili; po kilkunastu takich zatrzymaniach i to się skończyło i normalnie po apelu wracaliśmy do bloku.

Najbardziej uroczysty był apel wieczorny, który zwykle odbywał się o 16, a w soboty o godzinie 15. Różnił się tym od rannego, że towarzyszyło mu odtrąbienie pobudki, raz czy dwa razy połączone z opuszczeniem flagi hitlerowskiej i esesmańskiej; czasem towarzyszyła mu, zwłaszcza w okresie świąt Bożego Narodzenia, muzyka radiowa, zwłaszcza przez głośnik [umieszczony] na słupie latarni, pod którą ustawiał się blok 45 (...). Również w dwie czy trzy niedziele urządzono koncert śpiewaków — cały obóz śpiewał — różnych piosenek żołnierskich, co trwało do 1/2 godziny, na koncercie trzeba było stać z odkrytą głową. Pamiętny był również jeden z apeli wieczornych tym, że wskutek ukrycia się gdzieś jednego z jeńców [więźniów] musieliśmy stać przez trzy godziny na placu i dopiero około [godz.] 19. puścili nas do bloków.

W ogóle w obozie panowała niewola; wychodzić z bloków poza apelami nie było wolno, chyba że szło się do szpitala lub na jakieś wezwanie,

ale wtedy musiało się mieć towarzysza lub blokowy względnie jego zastępca prowadził do miejsca przeznaczenia. Wychodzić mogli, ale również w towarzystwie, tylko ci, którzy mieli jakieś wydzielone zadanie, np. chodzili po drzewo i węgiel do składki, po chleb, po bieliznę, ręczniki i ścierki do naczynia, wreszcie po kotły z jedzeniem lub po kawę. Poza tym pokazywać się w czasie dnia i zajęć na ulicach obozu było bardzo niebezpiecznie, bo platali się po nich ustawieni [raczej: ustawicznie] esesmani, którzy zaczepiali każdego i od razu na miejscu karali, bijąc, kopiąc, każąc się tulać po śniegu lub robić *„auf"* [powstań] i *„nieder"* [padnij] na śniegu, którego — począwszy od 26 grudnia 1939 r., gdy pierwszy śnieg spadł — było bardzo wiele i trzymał się bez przerwy przez cały czas naszego pobytu.

Natomiast można było chodzić po obozie całą kolumną, ustawioną w piątki i maszerującą składnie przez ulice obozu. Toteż dla użycia spaceru, jak długo było względnie ciepło — pierwszy przymrozek bardzo wyraźny był 6 grudnia — po powrocie z apelu rannego oraz przed apelem wieczornym ustawialiśmy się przed blokiem i pod komendę [współwięźnia dr. Vilima] *Frančicia* spacerowaliśmy *„in Gleichschritt"* [równym krokiem], robiąc różne zwroty, zatrzymywania się, zdejmowania czapek itp. To były jeszcze spacery dozwolone i mile nawet przez dowództwo widziane, które chciało widzieć u jeńców więcej drylu wojskowego. Lecz i w tym wypadku wybieraliśmy zwykle boczne drogi, nie zachodziliśmy na plac, gdzie zawsze można się było spotkać z inspekcyjnymi podoficerami. Podobnie uszeregowani chodziliśmy po wypłacane co miesiąc mniej więcej pieniądze, które nam rodziny nadsyłały, albo do kantyny, bardzo skromnie zaopatrzonej, skąd już chyłkiem, po załatwieniu sprawy można było wrócić do bloku, bo zwykle te wycieczki odbywały się w czasie wolnym „Freistunde", kiedy pewien ruch niewielki po obozie był dozwolony, ale to już było wieczorem, więc prócz wizyt do bloku 46, gdzie była reszta naszych kolegów, na jakieś spacery większe nie chodziliśmy. A gdy przyszły silne mrozy, dochodzące nawet do 30 stopni C, nie wychodziliśmy całkiem, bo i tak byliśmy zmarznięci, a nie mając żadnych okryć prócz ubrania, nie chcieliśmy narażać się na przeziębienie, woląc się już gnieść w sali dziennej. Za cały czas naszego pobytu w obozie odbyliśmy 215 apeli.

Wspomniałem powyżej o znęcaniu się wprost sadystycznym nad jeńcami tak w czasie apeli, jak i poza nimi; byliśmy świadkami bicia, kopania, tulania się po śniegu, szturchania i popychania i całego szeregu innych przyjemności; wprost zamęczali ludzi na śmierć lub czynili kalekami. Wyprowadzanie na apele wszystkich, którzy nie byli w rewirze, bez względu na stan ich zdrowia, było przyczyną, że podczas apelu umierali i wtedy po apelu rozlegały się głosy *„Leiche träger"* [przywoływanie nosicieli zwłok], przychodzili jeńcy [więźniowie] z noszami i wynosili nieboszczyków. Podczas apelu rannego w dniu 15 stycznia (?) 1940 r., który przy mrozie 30 stopni i silnym wietrze trwał blisko dwie godziny, wielu bardzo jeńców [więźniów] odmroziło sobie ręce i nogi, uszy i nos, a około 60 wprost nagle zamarzło na śmierć; widziało się wtedy całe szeregi jeńców [więźniów] niosących na ramionach swych kolegów sztywnych do rewiru, skąd już nie wyszli zupełnie.

W związku z tym wspomnę pokrótce o fakcie pobicia mnie po twarzy przez gestapowca, młodego smarkacza, kaprala, jak mówili koledzy, *Nowackiego* z Górnego Śląska, renegata. Zaczepił on — ze swoim takim samym kolegą — [prof. Jerzego] *Landego*, który stał trzeci czy czwarty ode mnie w piątym szeregu, szarpiąc go za bluzę na piersiach po wielekroć. Po stereotypowym pytaniu: *„Was bist du von Beruf?"* [jaki masz zawód?], gdy tenże odpowiedział *„Universitätsprofessor"*, pyta go następnie: *„Warum bist du hier im Lager"* [za co jesteś tu w obozie?], ten odpowiada nieśmiało: *„ich weiss nicht"* [nie wiem], za co dostaje nowego szturchańca i odpowiedź już podniesionym, zirytowanym głosem: *„du weiss nicht, du bist unschuldig, alle sind unschuldig"* [ty nie wiesz, jesteś niewinny, wszyscy są niewinni], po czym zwraca się do sąsiada [sekretarza UJ, Włodzimierza] *Ottmanna* z pytaniem: *„Was bist du von Beruf?"*, na co ten odpowiada: *„ein Beamter der Universität* [urzędnik uniwersytecki], teraz kolej na mnie, zwraca się więc: *„und du, was bist von Beruf"* [a ty kim jesteś z zawodu], a na moją odpowiedź *„Professor der Universität"* zaczyna naśmiewać się i do swego towarzysza mówi: *„Schau diese Blödsinne, sie sind Universitätsprofessoren, sie wollten die polnische Kultur zu uns tragen"* [patrz, te wściekłe psy sa profesorami uniwersytetu, chcieli przenieść do nas polską kulturę!] i inne jeszcze miłe słówka, po czym odchodząc dalej, uderzył mnie w twarz, dalej jeszcze napadł na [prof. Kazimierza] *Stołyhwę*, który wykręcił sie jakoś, udajac głuchego, i na razie do dalszych awantur nie przyszło.

Ale przekonaliśmy się, że wystarczy zły humor pana kaprala, żeby zostać pobitym i nawet zabitym, jak np. wielkie chłopisko, Niemiec z Dortmundu, nazwiskiem *Klosterschulte*, którego — mimo że miał dwóch synów na froncie — siepacze odstawili do obozu podobno za złe odżywianie żołnierzy na kwaterze i dostawę złego siana dla wojska. Tak go ciągle przy apelach bili i do ciężkiej roboty w klinkierni przeznaczyli, że [gdy] wreszcie jednego dnia przynieśli go na apel nieprzytomnego z pobicia, to leżącego na śniegu esesmani jeszcze kopali, [tak] że, wzięty do szpitala, w parę godzin wyzionął ducha.

Z tej poniewierki nie robiłem sobie nic, dotknięty nie byłem jako człowiek, lecz jako numer 5328, przez cały czas pobytu w obozie byłem tylko numerem. Drugi raz dostałem po głowie od gestapowca rękawicą raz czy dwa, ale to była do pewnego stopnia moja wina i moich kolegów. Wybierając się na ranny apel, nie mogłem znaleźć czapki, którą mi ktoś z szafki zabrał, nikt się nie chciał do tego przyznać, wobec tego poszedłem bez czapki, narażając się na ewentualną jakąś przykrość, ale na to rady nie było. Przy rannym apelu zawsze trochę było ciemnawo mimo reflektorów, więc jakoś udało mi się wyjść obronną ręką. Po apelu poszliśmy na ten spacer po obozie i właśnie staliśmy uszeregowani przed blokiem, mając wyruszyć, a ponieważ było mi zimno z ostrzyżoną krótko głową, więc [prof. Jan] *Gwiazdomorski* poradził mi nakryć głowę rękawiczką. I gdy tę rękawiczkę miałem na głowie,

zjawił się właśnie z tyłu niespodzianie esesman, który przypadł do mnie, zerwał mi rękawiczkę i raz czy dwa uderzył mnie nią po głowie, po czym poszedł dalej, nie czekając na żadną odpowiedź, bo zresztą o nic nie pytał. To były moje dwa niemiłe przejścia z esesmanami. Dzięki Bogu!

A teraz przejdę do życia w samym baraku, nazywanym tutaj blokiem, i opiszę całą jego organizację. Bloki wszystkie — jednakowo zbudowane, drewniane, jednościenne baraki — [miały] dwie identyczne połowy, połączone małą sionką z oknem i dwoma drzwiami, prowadzącymi do skrzydeł dwóch (*Flügel A* i *B*) każdego bloku (zob. rycina obok) [autor wyrysował szkic, tutaj nie reprodukowany]. Z sionki na prawo czy lewo wchodziło się do skrzydła A względnie B, również w sionce było troje drzwi — do umywalni, w której były dwie wielkie, okrągłe miednice, w których środku znajdowała się fontanna rozlewająca wodę promienisto — można się więc było myć w kilkunastu od razu, do małej komórki, gdzie chowało się narzędzia do sprzątania i mycia stołów, wreszcie trzecie prowadziły do wychodków, gdzie było osiem pisuarów i siedem sedesów pochyłych, żeby nie można było na nich stawać. Oblężenie tutaj w porze porannej i wieczornej było znaczne i trzeba było w ogonek się ustawiac.

Każde skrzydło składało się z dwóch dużych ubikacji, pierwszą był tzw. *„Tagesraum"* [izba dzienna], gdzie spędzało się dzień cały i który służył również za jadalnię, oraz drugą — *„Schlafraum"* [sypialnia], gdzie wzdłuż ścian i na środku położonych było sześćdziesiąt sienników, na których po dwóch się spało. Między siennikami pod ścianami długimi i szczytową były dwie wąskie ścieżki, przez które przechodziło się idąc spać względnie wstając rano. Ja miałem swoje pomieszczenie w skrzydle A, miejsce w jadalni miałem przy stole 3 (środkowym), a w sypialni w prawym rogu, przy ścianie szczytowej, (...) prowadzącej do wyjścia. Jako towarzysza na sienniku miałem kol. *Tempkę*, obok niego zajmował miejsce [prof. Tadeusz] *Banachiewicz*, obok mnie Westfalczycy dwaj, gdy zaś pomieszczono na ostatnie dwa tygodnie wszystkich nas razem, miejsca najbliższe mnie zajęli koledzy [podówczas docent, Leon] *Tochowicz* i [prof. January] *Zubrzycki*. Przy stole 3, przy którym prezydował Rosjanin *Dmitrij*, z naszych kolegów siedzieli obok mnie: śp. [prof. Antoni] *Hoborski*, [prof. Tadeusz] *Tempka*, [Tadeusz] *Biliński*, [dr Stanisław] *Łukasik*, [doc. Jan] *Zabłocki*, [prof. Kazimierz] *Piech*, [prof. Janusz] *Supniewski*, [doc. dr Józef lub sekretarz Wydziału Prawa Franciszek] *Mikulski*, resztę zajmowali Górnoślązacy i Westfalczycy oraz jeden Niemiec. Po zgromadzeniu nas w bloku 45 w obu skrzydłach obsadę stołu (20 osób) stanowili: starszym stołowym *(Tischältester)* był kolega [prof. Zygmunt] *Grodziński*, siedzieli zaś: *Tempka, Zubrzycki, Tochowicz*, [prof. Jan] *Miodoński, Mikulski*, [doc. Roman] *Wojtusiak, Zabłocki, Piech, Mikulski* (urzędnik Uniwersytetu), [prof. Zygmunt] *Mysłakowski*, [prof. Stefan] *Schmidt, Łukasik*, [prof. Bohdan] *Kamieński*, [Jan] *Stanisławski, Supniewski*, [prof. Antoni] *Hoborski*.

Administracja bloku była następująca: łącznikiem między komendą obozu a blokiem i za wszystko odpowiedzialnym był tzw. *Blockälteste*, którym był Hans *Weiss*, jeniec [więzień] przebywający od pięciu lat w obozie, niezły może człowiek, [przed uwięzieniem] właściciel księgarni, ale dla Polaków niezbyt przychylnie usposobiony. On rządził całym blokiem, a do pomocy miał tzw. *Stubenälteste*, których było dwóch, w skrzydle A gruby Peter, nygus pierwszej klasy, z pomarańczowym trójkątem „Asozial", w B tzw. Jub, życzliwiej usposobiony, który kolegom podległym różne drobne usługi spełniał, starał się dla chorych o bułki [?], marmoladę, bulion itp., czego o naszym Petrze powiedzieć nie można. Każdemu stołowi prezydował *tischältester*, było ich więc sześciu, tyle ile stołów. Ci spełniali także funkcje pomocnicze dla *blockältesta*. Musieli wstawać o kwadrans wcześniej, rozdzielać chleb, kiełbasę, margarynę, palić w piecu w jadalni i pilnować porządku przy stole, rozdzielać zupę z wielkich kotłów.

Wszystkie czynności porządkowe w bloku spełniali jeńcy [więźniowie] i my nie byliśmy od nich wyłączeni; z początku, gdy byliśmy mniejszością w bloku, a większość współkolegów chodziła do roboty względnie na *„Stehkommando"* [stójka], co uważane było za pracę, musieliśmy spełniać wszystkie czynności, jak sprzątanie w jadalni, mycie stołów po każdym jedzeniu, sprzątanie wychodków i umywalni, sprzątanie w sypialni pod nadzorem Westfalczyka *Kowalskiego*, chodzenie po drzewo i węgiel, po chleb i inne prowianty, po bieliznę czystą i odnoszenie brudnej, wreszcie przynoszenie ciężkich kotłów ze śniadaniem, obiadem i kolacją z kuchni. Gdy *Stehkommando* odbywało się przez jakiś czas w samym bloku, wyznaczeni byli do tych robót i inni towarzysze, choć się od tego bardzo wykręcali, a gdy znowu połączono nas wszystkich profesorów razem, znowu wypadło wszystkie posługi robić samym. Nie należały one do przyjemności, ale na to nie było rady, w każdym razie my starsi byliśmy zwolnieni od ciężkich robót, ja miałem przez kilka dni na dwa zawody sprzątanie sypialni, co tu nie było takie lekkie, bo trzeba się było schylać i wdychiwać kurz z koców, co dosyć męczyło, potem i od tego się jakoś uwolniłem.

Roboty te wszystkie i ludzi do nich wyznaczał obrany przez nas jako taki gospodarz *Frančić*, jednak i on miał z tym wiele kłopotu, bo i młodszym nie bardzo chętnie chciało się spełniać te prace i wykręcali się jak mogli. Naprawdę to byli i oni przeciążeni, bo tych naprawdę młodszych i silnych do robienia ciężkiej pracy nie było tak wielu, a przynoszenie żywności dla 220 ludzi (w dwóch skrzydłach) w 6 lub 7 kotłach wymagało już 14 ludzi, próżne kotły też trzeba było wymyć i odnieść. Najlżejszą pracą było sprzątanie jadalni i do tego było aż nadto ludzi, bo ci, co nie chcieli iść na spacer, dekowali się pracą przy sprzątaniu. Stoły myli siedzący przy stole kolejno, każdy miał jeden dzień, czyli trzykrotne mycie szczotką i mydłem i tak dalej. Każdej soboty myło się dokładniej i sprzątało szafki, w których pomieszczone były różne drobiazgi, kubki do płukania ust, szczoteczki, pasta, następnie menażka i garnuszek, następnie ręcznik i ściereczka do naczynia, które się myło po każdym jedzeniu, wreszcie nóż i łyżka. Każda szafka była przeznaczona na czterech, więc ci czterej musieli dbać o jej czystość. Przechowywać można

było tylko chleb, marmoladę, to, co było wydzielone na dni kilka.

Porządek musiał być zachowany, bo to kontrolowano bardzo często, a kontrolę robili *tischältester, blockältester,* a wreszcie blokowi, esesmani, którzy wpadali zupełnie niespodzianie, rewidowali niektóre szafki i wtedy na głowy lokatorów sypały się brudne menażki i inne rzeczy. Również i cały blok, a raczej dane skrzydło mogło na tym ucierpieć, bo oprócz kilkakrotnego *auf* i *nieder,* włażenia pod stoły, mogło grozić jeszcze wypędzenie na śnieg i tulanie się po śniegu. Wizyty takie odbywały się w różnej porze, często obiadowej, to jeszcze było najlepiej, bo po komendzie *„Achtung"* [baczność!], na którą wszyscy wstawali, komenderowała inspekcja *„setzt euch"* [usiąść!] i już spokojnie jadło się dalej. Posiedział, poprzyglądał się trochę i wynosił się, czasem o coś się zapytał któregoś z jeńców [więźniów]. W każdym razie miało się zawsze pozór na okna i gdy ktoś zauważył esesmana idącego ulicą, wołał ściszonym głosem *„Achtzehn"* [18, ale znaczenie dosłowne nieważne], umówione określenie na zbliżanie się nieprzyjaciela. Częste bardzo były alarmy fałszywe, ale zawsze lepiej było być przygotowanymi na wizytę.

Blokowy załatwiał wszystkie sprawy jeńców [więźniów] i ich prośby uwzględniał albo nie; przyjmował zgłoszenia do ambulatorium lekarskiego, doręczał korespondencję, wyznaczał czas na kąpiele, na pójście po pieniądze, do kantyny, zezwalał na wizyty w sąsiednich blokach, odbierał i przeprowadzał pierwszą [?] cenzurę napisanych listów, wpisując je do ewidencji w książkach itp. Kąpiele w postaci tuszów odbywały się co dwa tygodnie, kąpiel była przymusowa, a mogli od niej uwolnić się tylko chorzy i to na zlecenie naszych lekarzy, a było nas w skrzydle czterech: *Tempka,* [Franciszek Ksawery] *Walter,* [Eugeniusz] *Brzezicki* i ja. Wobec tej ciągle niskiej temperatury i niemożności ochłodzenia się po tuszach gorących na miejscu, wykręcałem się od kąpieli, uzyskując na to zezwolenie *blockältesta,* choć raz jeden zapisał mnie do raportu gruby Peter, ale skończyło się to bez żadnych złych następstw. Cały więc ten czas nie kąpałem się ani razu, a tylko myłem się codziennie w zimnej wodzie, nawet i głowę, raz w zimnej wodzie umyłem sobie nogi, bo miała się [odbyć] u tych, co się nie kąpią, rewizja nóg, które nie mogły być czyste, bo chodziło się przecież w skarpetkach po brudnej i mokrej podłodze do sypialni i z powrotem, buty bowiem zostawiać się musiało na szafkach w jadalni.

Dzień cały miał przebieg następujący: wstawało się o godzinie 5,30, zaświecały się lampy i trzeba było spiesznie się ubierać i słać sienniki i składać odpowiednio koce. Ubieranie nie trwało długo, bo spało się w koszuli i gatkach, a nawet cichaczem i w skarpetkach, spodnie zaś i bluzę miało się złożone pod głową, więc wszystko było pod ręką. W te wielkie mrozy, zwłaszcza że byłem silnie przeziębiony, pozwoliłem sobie nawet na spanie w bluzie, co było strasznym przekroczeniem regulaminu, za co w razie rewizji można było grubo odpokutować, ale jakoś udało się uniknąć tej kary. Po takim ubraniu się spieszyło się do jadalni, gdzie ubierało się pospiesznie buty, po czym rozbierało się do pasa i biegło się z ręcznikiem do umywalni, gdzie trzeba było czekać na miejsce przy „fontannie". Tutaj dopchawszy się myło się zimną wodą z mydłem, którego było dosyć, w silne mrozy, a trwały one przecież bez przerwy od 26 grudnia aż do końca naszego pobytu, widać było w umywalni obłoki pary, unoszące się z obnażonych naszych ciał i krople stopionej osędzieliny z dachu baraku kapały na nas. Po umyciu się wracało się pospiesznie do jadalni, przechodząc nieraz koło otwartych drzwi z sionki na pole, skąd buchała para z ogrzanego powietrza na zewnątrz. Całe drzwi i od jadalni, i od ściany sionki i podłoga, pokryte były lodem i szronem, a w nocy była na podłodze formalnie ślizgawka. Po dokończeniu ubrania się szło się jeszcze, o ile nie przyniesiono śniadania, do umywalni, dokąd w czasie mycia nie wolno było wchodzić nawet w koszuli, myć zęby.

Zwykle jednak było już przyniesione śniadanie, które składało się zwykle z zupy mlecznej, zabielanej mąką lub zasypanej grysikiem lub owsianką, w ilości 3/4 l na osobę, była to zupa gorąca i cieszyliśmy się na nią, bo dawała choć trochę ciepła na rano. Kilka razy ku naszemu zmartwieniu była tylko czarna kawa, do której nie było nic; kto miał schowany kawałek chleba, to choć trochę się pożywił. Po śniadaniu aż do obiadu nie wolno było już nic jeść, chyba po kryjomu można było zjeść, o ile kto miał, kawałek chleba, przezornie zostawiony z dnia poprzedniego. Po jakimś czasie nauczyliśmy się oszczędzać chleb, żeby go mieć do śniadania, a nawet i do obiadu na drugi dzień, ale na to trzeba było silnej woli, bo tak wiele go nie było.

Po śniadaniu jakieś 45 minut były swobodne, siedziało się, rozmawiało, odmawiało pacierz, aż gdy koło godziny 7 rozlegało się wezwanie *„fertig machen zum Appell"* [kończyć, do apelu], zaczynaliśmy się powoli zbierać, nadziewać rękawiczki i wychodzić przed barak do ustawienia się w szeregi, bo przez jakieś dwa tygodnie chodziliśmy w szyku wojskowym na apel, potem to zostało zarzucone i już luzem po kilku lub pojedynczo szliśmy na miejsce zbiórki, wiedząc już dobrze, gdzie się mamy ustawić.

Gdy nadeszły coraz silniejsze mrozy, ociągaliśmy się z wychodzeniem do apelu tak wczesnym, nasz blokowy zawsze nas wcześniej wyganiał, nieraz plac prawie był jeszcze pusty, gdyśmy tam zaszli, więc zaczęliśmy stosować bierny opór, który jednak na niewiele się przydawał, bo nas wtedy z wielkimi wrzaskami przemocą wyganiano i usuwano z jadalni i korytarza. A naprawdę, gdy był silny mróz i jeszcze w dodatku dął zimny, przejmujący wiatr północny lub wschodni, po prostu nie można się było odważyć wyjść z [baraku] względnie ciepłego, tj. ogrzanego własnym ciepłem 120 ludzi na zimne powietrze. Zwykle tedy już w ostatniej chwili wypadałem prędko na zewnątrz, kurczyłem się, a przez to [kurczyły się] i naczynia w skórze, i skulony wędrowałem z kolegami na plac apelu.

Po odbytym apelu, którego porządek i miłe strony tegoż opisałem powyżej, wracaliśmy pospiesznie do bloku, aż do 26 grudnia, ponieważ czas był i pogodny, i niezbyt chłodny, bo tylko nocą były przymrozki; nie mający zajęcia w bloku ustawialiśmy się w szyk wojskowy i maszerowaliśmy po obozie z jakieś 1/2—3/4 godziny, aż skończą koledzy porządkowanie jadalni *(tagesraumu)* i umywalni oraz wychodków. W mar-

szu było przyjemniej, cieplej i choć trochę używało się powietrza i spaceru, bo tego siedzenia było dosyć. Koło godziny 8 lub 8.30 byliśmy już z powrotem i teraz musiało się jakoś zabić czas do południowego apelu. Wszyscy inni jeńcy [więźniowie, nie z *Sonderaktion Krakau*], byli przez ten czas na *Stehkommando* lub na jakiejś innej robocie, więc zwykle skrzydło A i B zbierało się razem, zwykle przepędzano nas do skrzydła B, bo w skrzydle A urzędował *blockältester* i wolał mieć spokój, i tam urządzano pogawędki z różnych dziedzin, którym przysłuchiwały się grupy kolegów (...). Ponieważ nas od *Stehkommando* zwolniono, więc przebywanie w bloku uważane było za pracę, samo siedzenie było w ich [Niemców] pojęciu pracą, w tym czasie nie wolno było nawet czytać gazety ani robić coś osobistego, jak umyć ręce lub uprać chusteczkę (chyba ukradkiem, narażając się na odkrycie).

Pogawędki były tedy najlepszym zabiciem czasu i z różnych dziedzin można się było różnych rzeczy dowiedzieć. Trzeba się było jednak mieć na baczności i zawsze bliżej okna siedzący oglądali pilnie drogi koło bloku, czy nie przechodzi jakiś esesman, żeby w razie czego nie znalazł ludzi skupionych wokół jednego ze stołów. Czasem były i dwie, trzy pogawędki przy trzech oddalonych od siebie stołach. Lepiej to wypadało w naszej celi 306 we Wrocławiu, bo swobodnie można było pogawędki urządzać, ale tutaj inaczej to się nie dało. W razie pogawędki można było cichaczem zjeść śniadanie, zwłaszcza, że Jub patrzył na to wszystko przez palce, a nawet i Hans, przyszedłszy do skrzydła B, nie zwracał na nas zbyt wielkiej uwagi, było spokojnie i cicho, to mu się najwięcej podobało. Po godzinie 11 niedługo znów było wezwanie do uszykowania się do apelu, który miał miejsce o 11.30 i, jak wspomniałem wyżej, był zazwyczaj krótki, bo odprawiany przez laufrów, rzadko przez esesmanów.

Po apelu wymarznięci, bo i południową porą niewiele było cieplej i nieraz nawet wiatr się potęgował, spieszyliśmy, niektórzy biegiem, do bloku, gdzie już zwykle były kotły z jedzeniem, zazwyczaj bowiem już koledzy o godzinie 11 szli do kuchni po nie i po przyniesieniu zdążali za nami na apel. Miło było po wyziębieniu się na apelu rannym i południowym i siedzeniu w zimnej zazwyczaj jadalni, bo mały piec żelazny nie dawał wiele ciepła, zjeść coś gorącego. Oczekiwaliśmy czegoś dobrego, niestety codziennie było to samo: zupa kartoflana z dodatkiem raz karpieli, drugi raz marchwi w ilości jednego litra na głowę, po prostu prawie cała miska gęstej, dymiącej zupy. Co jakiś czas (co 6 dni) dostawaliśmy jeszcze dodatek, resztę z kotłów, więc wtedy była wielka uciecha z powodu *„zuschlagu"* [dodatku].

Raz tylko na obiad na Nowy Rok były tłuczone ziemniaki z sosem gulaszowym, w którym trochę strzępów mięsa marynowanego pływało, raz był pęcak, raz pęcak z kartoflanką. Była ona wcale smacznie przyrządzona, dopóki ziemniaki były dobre, nie zmarznięte, gdy jednak zapanowały silne mrozy nieprzerwanie trwające i wszystkie ziemniaki zmarzły i dostarczono zupełnie twarde kamyki, które w cieple odtajały i potem gniły, kartoflanka stawała się z każdym dniem gorsza, bo i karpiele też były nadgniłe i marchew, rozgotowywało się to na bryję, którą jeść było trudno.

Po obiedzie i po myciu naczyń — myl mi je zwykle Westfalczyk *Makowiak*, za co dostawał resztki nie dojedzonej zupy, chleb, którego też jeść nie zawsze mogłem — i po pójściu na *Stehkommando* naszych towarzyszy pracowaliśmy pilnie siedzeniem w bloku lub słuchając jakiejś pogawędki, aż do godziny 15.45, kiedy nas znowu wyganiano do wieczornego apelu. O ile było ciepło i pogoda, to nawet wychodziliśmy trochę wcześniej i pomaszerowawszy po obozie, przychodziliśmy od razu na plac apelowy. Po apelu, który przeważnie był niedługi, o ile coś nieprzewidzianego nie zaszło, przychodziliśmy już wszyscy do bloku, gdzie czekała na nas kolacja. Składała się ona zawsze z chleba, porcji całodziennej 320, potem 275 gramów, z dodatkiem skrawka kiszki pasztetowej lub krwawej (w formie kiełbasy), kawałek (80 gramów) margaryny, bardzo smacznej, którą się rzeczywiście rozkoszowaliśmy, bo był to właściwie jedyny tłuszcz podawany nam, bo w zupie było go zaledwie ślad, łyżka marmolady, wcale niezłej (kilka razy była galareta, raz pasztet) oraz do popicia kawa czarna, która miała tę jedną zaletę, że była — choć nie zawsze — gorąca. W soboty względnie i w niedziele podawano ziemniaki gotowane w łupkach, a do nich „gzik", ser utarty z cebulą surową, pięć ziemniaków; o ile się miało margarynę, to ta potrawa smakowała nieźle, ale też dopóki ziemniaki były jeszcze dobre i nie zmarznięte. Odczuwaliśmy w tej całej menaży wielki brak soli, której dostać nie można było, wszystko było prawie niesłone, odmineralizowany ustrój koniecznie soli potrzebował, a dopiero na kilka dni przed wyjazdem można było kupić soli, niewiele jednak mieliśmy z niej pociechy.

Po kolacji mieliśmy już *„Freistunde"* — wolno było robić, co się komu podobało, myć, ubierać, szyć, cerować, prać chustki do nosa i chodzić na wizyty do innych bloków i przyjmować wizyty. My więc chodziliśmy do bloku 46, do reszty kolegów-profesorów, i inni przychodzili stamtąd do nas. Przychodzili również na pogawędkę studenci-Czesi z bloku 44 i 43. Czytało się dzienniki albo któryś z kolegów, który dzienniki przestudiował, referował wszystkie wiadomości, najlepsze referaty dziennikarskie wygłaszali [Kazimierz] *Lepszy* i [Kazimierz] *Piwarski*. Bo chociaż 5 procent z wypłaconych pieniędzy ściągano nam na prenumeratę dzienników, to jednak na 220 ludzi w bloku nie było ich tak wiele, by każdy mógł swobodnie cały dziennik przeczytać, zwłaszcza że był to czas tylko po wstaniu przed rannym apelem i po apelu wieczornym, więc wszystkiego razem jakieś 2—2,5 godzin.

Półtorej godziny wolnego czasu schodziło bardzo prędko i już około 18.30 odzywało się napomnienie *„fertig machen zum Schlafen"* [kończyć, do spania!] — powoli zaczynało się przygotowanie do spania, mycia, oblęgania wychodków, zdejmowanie butów i udawanie się do sypialni. Z początku bluzę zostawiałem w szafce, lecz w miarę coraz większych mrozów, gdy w sypialni nie opalanej stawało się coraz zimniej i lód zaczynał pokrywać ściany drewnianego baraku, brałem już bluzę na siebie i dopiero zdejmowałem ją przed owinięciem się w koce, żeby jak

najwięcej ciepłika zachować. Zdejmowało się wtedy i spodnie i układało jedno i drugie na małej słomianej poduszce, żeby mieć trochę wyżej pod głową.

Póki było jeszcze względnie ciepło, do połowy grudnia, mieliśmy jeden koc i drugi do okrywania się na dwóch, później dostaliśmy jeszcze po jednym kocu, także dwoma okrywaliśmy się każdy z osobna (cztery koce), a jeden (piąty) służył do okrycia się wspólnego dwóch towarzyszy, śpiących na jednym sienniku. Koce były duże, miękkie i ciepłe, tak że okręciwszy się nimi dobrze, wnet się człowiek rozgrzewał i spać mu było ciepło mimo niskiej temperatury, tym bardziej że każdy z nas, a było nas 120, wydzielał pewną ilość ciepła, co przyczyniało się do podwyższania temperatury w sypialni. Gdy już wszyscy ułożyli się, odbywało się jeszcze kilkakrotne rachowanie leżących, czy kogoś nie brakuje, po czym gaszono przyciemnione zresztą światła i najpóźniej o godzinie 19.30 musiała być absolutna cisza.

Zaczynało się rozlegać chrapanie na różne tony, pokaszliwania, tu i ówdzie jakieś pomruki, po czym i to się uciszało kompletnie, cała sypialnia pogrążała się w głęboki sen. Ja dzieliłem łoże (siennik) z kol. *Tempką*, który spał trochę niespokojnie, rzucał się, rozciągał, dowodząc, że mu zabieram za dużo siennika, tak że z początku szło to nieumyślnie, ale potem przyzwyczaiłem się i już zasypiałem dobrze. Zwykle gdy było bardzo zimno, przykrywałem się kocami razem z głową; przekonałem się, że tak jest znacznie lepiej. Sen na ogół miałem dobry, niekiedy zaledwie mogłem w całości odmówić pacierz i prosić Boga i Najświętszą Jego Matkę o zdrowie dla mnie i wszystkich moich, o przetrzymanie tej niewoli i jak najrychlejszy powrót, bo już zasypiałem — choć tyle było szczęścia, co tych jedenaście prawie godzin przespanych.

Noce należały rzeczywiście do przyjemności, bo nie myślało się wtedy o swoim losie i troskach, gdyby nie dwie okoliczności, pomijając już możliwość inspekcji przez esesmanów, której jakoś na szczęście ani razu nie mieliśmy w nocy, a tylko raz z wieczora i raz przy rannym wstawaniu; jedna z nich — to zabieranie z bloku większej liczby osób na skrobanie ziemniaków, które nieraz trwało całą noc i wracali koledzy dopiero koło [godz.] 5 lub 6 (rano), tak że już się nie kładli zupełnie, wtedy naturalnie 50 pozostałych nie mogło ogrzać sypialni, a i nie mając nikogo obok siebie, odczuwało się tym dotkliwsze zimno mimo okrycia się nawet trzema kocami. Ja jako starszy na skrobanie ziemniaków nie chodziłem, ale i *Tempka*, i *Tochowicz*, moi najbliżsi sąsiedzi, musieli to robić, choć czasem udawało się im od tego wykręcać, płacąc za tę przysługę Westfalczykom lub Ślązakom.

Drugą okolicznością, psującą nocny odpoczynek, była konieczność częstego oddawania wielkiej ilości moczu i chodzenia do wychodka. Związane to było z przestrojeniem organizmu na bardziej ożywioną funkcję nerek podczas nocy, kiedy było cieplej i większy był dowóz krwi do nerek, przez dzień wskutek ciągłego chłodu mało wydzielających. Trapiło to wszystkich starszych kolegów, którzy musieli nieraz i po 8—10 razy przez noc wstawać, ja najwyżej 3—4 razy chodziłem. Przykre to było bardzo, bo trzeba było wstać, chyłkiem przedostać się do ścieżki między siennikami, nią wędrować po ciemku przez całą sypialnię, skręcać znów między siennikami z boku aż do drzwi, potem przejść całą jadalnię aż do sionki, gdzie ustawione były drewniaki, które ubierało się na nogi i maszerowało do klozetu, gdzie dopiero światło się paliło przyciemnione, również i w jadalni, której okna na noc zasłaniało się kocami dla zaciemnienia.

Ponieważ wychodziło się ze względnie ciepłej sypialni z narzuconą na ramiona bluzą, tylko w bieliźnie, a w jadalni był już wybitny chłód, zaś w sionce i wychodku ściany i podłoga pokryte były lodem i trzeba było uważać, by się w drewniakach nie poślizgnąć, więc wycieczki takie kilkakrotne nie należały do przyjemności. Powrót tą samą drogą znów na swój siennik należał również do wyczynów ekwilibrystycznych, bo na ścieżce spotykało się w ciemności nieraz z drugim towarzyszem, idącym w przeciwną stronę i trzeba było rzeczywiście kunsztu, żeby wyminąć się i nie przewrócić na śpiącego towarzysza. O wywrócenie się zaś w czasie drogi nie było trudno, bo niejednemu wysokiemu wystawały na ścieżkę nogi, które trzeba było przekraczać, niejednemu spadał na ścieżkę koc, w który się łatwo było zaplątać, tak że nieraz usłyszało się różne niezasłużone epitety w postaci „choler", kopnięć, bicia w mordę itp., jakby rzeczywiście wędrujący robił to dla własnej i wszystkich innych przyjemności.

Po przybyciu na mój siennik na czworakach wpełzałem pomiędzy sąsiadów, starając się ich nie zbudzić, potem wsuwałem się pod koce i niebawem zasypiałem, na to jednak tylko, żeby znów za godzinę lub dwie odbyć podobną wędrówkę z pełnym pęcherzem. Starałem się, ile możności, jak najpóźniej przed spaniem oddawać mocz, próbowałem nic nie pić na kolację (czarna „kawa"), ale to wszystko bez skutku, były noce gorsze, przerywane 3—4 razy lub lepsze (2 razy), ale na to nie wpływała jakość pokarmów ani wypicie lub niewypicie kawy, potem już ją piłem nawet w większych ilościach, bo tak czy inaczej wychodzić musiałem. Że takie spacery musiały przyczyniać się do przeziębienia, nie ulega żadnej wątpliwości. Tak zbiegała noc, po której nadchodził znowu dzień, podobny do poprzedniego.

Mimo tych wszystkich przykrości i trudów życia w obozie koncentracyjnym ze zdrowiem miałem się wcale dobrze, przyczyniło się do tego może i to, że przyjechaliśmy do obozu jeszcze w tym czasie, kiedy pogoda była względnie dobra i stosunkowo dosyć ciepła i obniżenie się jej odbywało się powoli, że myliśmy się w zimnej zupełnie wodzie, że chodziliśmy w chłodzie względnie dosyć i że jedzenie było nienajgorsze i odżywianie tak bardzo nie szwankowało. Pierwszy przymrozek biały wystąpił dopiero 6 grudnia i potem codziennie był rankami i wieczorami; deszcze, o ile padały, to dosyć skąpe i na apelu nigdy nie zmokliśmy, jak się to mówi, do suchej nitki, co najwyżej trochę nas tylko deszcz pomoczył.

Nawet nie miałem kataru i dziękowałem Bogu, że mi daje zdrowie, gdyż chorować w tych warunkach byłoby straszne, szpital bowiem cieszył się jak najgorszą opinią, bo dochodziły nas słuchy i opowiadali koledzy, którzy rozchorowa-

li się obłożnie i musieli być umieszczeni w szpitalu, że ordynują tam właściwie pielęgniarze, również jeńcy [więźniowie], że leków żadnych nie ma, że lekarz zjawia się tylko raz na jakiś czas, a oni właściwie wszystko załatwiają, wreszcie że do szpitala można być przyjętym, o ile się ma temperaturę powyżej 38,5 stopni C, inaczej ambulanta wyrzucają wprost za drzwi.

Chorych trzeba było właściwie podrzucać do szpitala, co odbywało się w ten sposób, że po rannym apelu brało się chorego na plecy albo na ramiona, pędziło się z nim prędko do ambulatorium i posadziwszy go tam lub położywszy, uciekało się co prędzej. W tym wypadku zwykle chorego zostawiali, choć nierzadko wyrzucali go potem za drzwi i musiał sam wracać albo go ktoś przyprowadzał do bloku. Ja sam, kaszląc bardzo silnie i czując się przeziębiony, wślizgnąłem się tam ze śp. [prof. Władysławem] *Taklińskim* i prosiłem tylko o parę pastylek aspiryny — ani nie chcieli słuchać i wylali mnie z ambulatorium, *Taklińskiego* zatrzymali, bo już nie należało mu się wiele i niedługo zmarł w tym ich szpitalu.

Gdy zaczęły się jednak z dniem 26 grudnia wielkie zawieje śnieżne i tęgie mrozy, a przy tym jeszcze silne północne względnie wschodnie wiatry, bardzo dokuczliwe, byłem stale zmarznięty i zacząłem trochę kaszleć, zwłaszcza rano i wieczorem, choć kataru żadnego większego nie miałem, żadnej temperatury jednak nie czułem. To zimno odczuwałem bardzo przykro, wprost boleśnie, wiatr przewiewał tę cienką bluzę i spodnie, mróz szczypał policzki i uszy, wyciskał łzy z oczu, z nosa kapało i zamarzało i chustka była raczej mokra od tych wydzielin niż od jakiegoś prawdziwego kataru. Wychodząc na apel, zwłaszcza z rana, miało się wrażenie, że wskakuje się do lodowatej wody, tak wielka była różnica między temperaturą w jadalni a na zewnątrz.

Dopiero apel poranny 13 czy 15 stycznia dogodził wielu naszym, bo odbywał się przy 27-stopniowym mrozie i trwał blisko dwie godziny i choć można się było trochę poruszać, to jednak temperatura była za niska, by ten ruch mógł ciało rozgrzać. Wtedy wielu zmarzło na śmierć lub poodmrażało sobie ręce lub nogi, ([Leon] *Wachholz*, [Stefan] *Komornicki*, śp. [Antoni] *Hoborski*). O ubraniu się cieplejszym nie było mowy, płaszcze dostawali wykonujący jakieś roboty, my zaś musieliśmy chodzić w tych mundurach. Mój był dosyć ciasny i nie można go było czymś grubszym podszyć, zresztą i to niewiele zostało, gdy później, czując się przeziębionym, dałem jednemu z jeńców [więźniów], Moskalowi *Birakowowi*, podszyć plecy jakimś kawałkiem z bluzy (naturalnie skradzionej), co kosztowało 2 marki, ale wiele cieplej w tym nie było. Kazałem sobie również uszyć taki bandaż ciepły na brzuch, żeby ogrzać żołądek i kiszki, więc potem ten bandaż nosiłem na klatce piersiowej, co choć trochę może pomagało, ale wiatr przez to i tak przewiewał.

Otóż ten apel, na którym wybierano ludzi do roboty, dał się mi dopiero we znaki, zmarzłem rzeczywiście bardzo dotkliwie i ledwie dowlokłem się ze skołczałymi nogami do bloku. Za dwie godziny wypędzono nas znowu na apel południowy, na którym również ciepło nie było, a ponieważ to było w tym czasie, kiedy nie dawano nam zupy w południe, lecz dopiero wieczorem, więc samym chlebem z dodatkiem oraz czarną kawą nie można się było rozgrzać. O 16. był znowu apel, z którego wróciłem kompletnie zmarznięty i z takimi dreszczami, że ledwie utrzymać mogłem łyżkę, jedząc gorącą zupę. Trzęsło mnie niemożliwie, za jakiś kwadrans zrobiło mi się trochę cieplej, pod wieczór czułem jednak wzrost temperatury, przyspieszone tętno, a w nocy było mi bardzo gorąco na przemian z zimnem, gdy po wycieczce do wychodka wracałem znowu do łóżka.

Rano zwlokłem się naturalnie z łóżka, bo cóż zresztą miałem zrobić, i znów na przejmujące zimno, trzeba było iść na apel ranny, południowy i wieczorny, by dalej się przeziębiać. Po apelu wieczornym znowu przyszły dreszcze, a potem gorąco, przy czym wzmógł się kaszel, który mnie męczył zwłaszcza po położeniu się i po rannym wstaniu. Na szczęście sąsiad mój przy stole, Westfalczyk *Nowacki*, miał dwie czy trzy aspiryny, które dostał w rewirze, więc od niego je odkupiłem i codziennie po jednej na noc zażyłem, więcej ich już dostać nie mogłem. Czułem się w każdym razie fatalnie, gorączki zmierzyć nie było czym, chciałem iść do rewiru, ale lękałem się i odkładałem to do ostatniego momentu, a tak musiałem chodzić do apelu i dalej marznąć i przy nich, i w bloku.

Zwróciłem się do *blockältesta*, przedstawiając mu, że jestem chory i prosząc go o jakiś płaszcz na wyjście do apelu. Powiedział mi, że płaszcza nie ma, ale żebym sobie wziął koc z sypialni i tym kocem się owinął. Skorzystałem z tego cichego zresztą pozwolenia i przez kilka dni okręcali mnie koledzy w ten koc, całą klatkę piersiową i brzuch; nie było to wygodne do chodzenia, bluza się ledwie dopinała i rzucało się w oczy, bo wyglądałem grubo i jakby wywatowany, na co mogli zwrócić uwagę inspekcyjni esesmani, a wtedy miałbym się z pyszna i ja, i blokowy. Ale jakoś te najgorsze dnie i największe mrozy przeszły mi w tym kocu.

Kaszel męczył mnie bardzo, nic na to poradzić nie było można, odpluwałem bardzo dużo ropnej wydzieliny, a nawet raz z rana, gdy myłem się przy napadzie silnego kaszlu, odplułem parę strzępów zupełnie rdzawo zabarwionej plwociny, co by świadczyło za jakimś zapalnym ogniskiem w płucach; bardzo możliwe, że przeszedłem małe ogniskowe zapalenie płuc, któremu towarzyszył więcej rozlany bronchit, bo kaszel się dalej i to dość silnie utrzymywał. W ogóle czułem się fatalnie, osłabienie występowało coraz większe, apetyt również podupadał, tak że prócz rannej zupy, którą zjadałem z przyjemnością, na obiad i na kolację mało co jadłem i większość rozdawałem kolegom, którzy mieli dobry apetyt; jadłem po prostu z musu, do czego nakłaniali mnie koledzy, bo nie jedząc, coraz więcej traciłem sił.

Opiekował się mną w tej całej chorobie bardzo serdecznie kol. [Jan Zygmunt] *Robel*, który zawijał mnie codziennie i odwijał z koca, który towarzyszył mi na każdy apel i prowadził mnie, bo samemu ciężko było iść i bardzo ślisko, a nogi mi się plątały z osłabienia. I tak to wlokło się jakiś tydzień, gdy wybuchła bomba w bloku, że nie wolno absolutnie nic na siebie wdziewać, żadnych koców ani nawet ręczników albo gazet pod bluzę, że będzie rewizja w bloku i przy ape-

lu, bo niestety w którymś bloku schwytał esesman jakiegoś współtowarzysza w kocu, była straszna awantura no i skończyła się ostrym zakazem nadziewania na siebie czegokolwiek.

Mnie koc naturalnie odebrano, ale już zaryzykowałem — niech się dzieje, co Bóg da — nawdzianie pasa brzusznego na klatkę piersiową z przodu i dwóch grubych chustek do nosa, które kupiłem w obozie za jeden metr kwadratowy, z tyłu. Dawało to choć trochę ochrony przed wiatrem, no i choć trochę cieplej było. Rewizji co prawda nie było zapowiedzianej, ale u tych ludzi można się [było] wszystkiego spodziewać, nie dziś, to jutro. Ale jakoś do tej rewizji nie doszło, mrozy trochę zelżały, nie przekraczały 20 stopni co prawda, ale w takich mundurach, w jakich chodziliśmy, było wszystkim stale zimno.

Ja czułem się jednak bardzo nieszczególnie, podczas gdy pisząc do Stellki [żony], musiałem napisać, że jestem zupełnie zdrów, bo zresztą czyżby to nawet coś pomogło? Trapiłaby się jeszcze więcej, nie mogąc mi nic pomóc. Obok coraz większego osłabienia i braku apetytu, tak że jadłem tylko z musu, obok silnego kaszlu, który gnębił mnie cały dzień, a zwłaszcza na apelach, gdy stało się na mrozie, wystąpiły jeszcze biegunki na skutek nieodpowiedniego odżywiania tą kartoflanką ze zmarzniętych i zgniłych ziemniaków. Nie były one u mnie tak silne i częste, jak u innych kolegów, bo prawie wszyscy je mieli, niektórzy w bardzo wysokim stopniu.

Lekarstw żadnych nie mieliśmy ani dać ich nie chciano, więc leczyliśmy się sami; kol. Kazimierz *Dobrowolski* produkował węgiel z sosnowych korzeni i ten łykaliśmy, ponadto piliśmy krople wody do ust lub zażywali pastę do zębów, zawierające kredę (węglan wapniowy), następnie także odwar z kory dębowej, którą gdzieś udało się zdobyć; odwar ten fabrykował znowu kol. *Robel*. Trzeba było jakoś sobie radzić, gdy innej rady nie było, do rewiru na biegunki przyjmować nie chcieli, dawali co najwyżej po jednym proszku chlorku amonu i na tym koniec.

W ogóle prowadzenie szpitala, nawet nieźle urządzonego, było poniżej wszelkiej krytyki, leczenie chorych szpitalnych pozostawiało wiele do życzenia, skarżyli się, że nie mają leków, bo wszystko zabrano na front, zresztą mam wrażenie [trafne], że w szpitalu stosowany był nieszkodliwy sposób pozbywania się więźniów po prostu przez nieleczenie ich w chorobie, gdyby nawet po kilkunastu dziennie umierało, to wobec 12—13 000 ludzi w obozie, nie miało to żadnego znaczenia, ciągle przychodzili nowi jeńcy [więźniowie], to ubytek taki był nawet wskazany.

Powoli te objawy zaczęły ustępować, ale wygląd mój był coraz gorszy; przypatrzywszy się ukradkiem do lusterka, które miał *stubenältester* w skrzydle B, przeraziłem się swego widoku: twarz i czaszka obciągnięta skórą cienką, przez którą przeświecały tylko naczynia, cera blada, szaroziemista, kości policzkowe sterczące, pod nimi zapadnięte dołki, wargi blade, sine. Osłabienie potęgowało się, ciężko było siedzieć na twardych ławkach, podkładałem sobie zawsze czapkę i rękawice, twardo było leżeć na sienniku, ciężko było stać na apelu, a wracałem i szedłem na apele w towarzystwie kolegów, którzy mnie pod ręce prowadzili. Modliłem się gorąco do Boga, by mi dozwolił jeszcze wrócić do rodziny, bo czułem, że jeśli ta niewola potrwa jeszcze dłużej niż 1—2 tygodnie, to już wrócą do Krakowa moje prochy.

I inni koledzy widzieli ten upadek moich sił, lecz naturalnie nic nie mówili mi i dopiero po powrocie do Krakowa wyjawili mi swoje opinie, że bali się o mnie bardzo, czy wytrzymam jeszcze jakiś tydzień lub dwa w obozie. Bóg Wszechmogący wysłuchał jednak próśb moich, a pewnie i moich kolegów i dał nam szczęśliwy powrót w dniu 9 lutego 1940 do Krakowa. (...)

*

Objętość całości relacji prof. *Maziarskiego* pozwoliłaby tylko na wydanie jej w osobnej broszurze. W tym miejscu więc urywamy relację obozową, zaznaczając, że na stronach 61—94 swego maszynopisu Autor nakreślił różne inne epizody z Sachsenhausen, w dużej mierze znane już z dostępnej literatury. Zrelacjonował mianowicie problematykę pracy w obozie, kary, korespondencję, wyżywienie, zwolnienia, święta Bożego Narodzenia 1939 r., wyczekiwanie na niepewną przyszłość, z podsycaniem nadziei, zajęcia w bloku, zwłaszcza nielegalne (poczynania oświatowo-kulturalne), wewnętrzne stosunki, panujące wśród kolegów, i ich wspólne życie, rozważania nad domniemanymi przyczynami uwięzienia profesorów, nastroje ponure i optymistyczne, choroby oraz przedwczesną śmierć trzynastu kolegów, współtowarzyszy niedoli, w opłakanych warunkach obozowych, skrajne załamanie się zdrowia niektórych, rokujące śmierć nawet po powrocie do domu, przebieg zwolnienia w obozie niektórych kolegów, wyruszenie wraz z nimi przez Berlin i Śląsk do Krakowa, własne dolegliwości związane etiologicznie z katorgą obozową. Na str. 94 prof. *Maziarski* pisze m. in.: „(...) cieszę się, a ze mną i wszyscy moi kochani, że jesteśmy razem i, da Bóg, nie rozłączymy się już aż do końca tej niedoli".

ROMAN J. WOJTUSIAK

były więzień obozów koncentracyjnych w Sachsenhausen i Dachau

Kraków

Utworzenie „oddziału naukowego" w Dachau

Relacja niniejsza — jako dalszy przyczynek do sprawy powstania oddziału naukowego w obozie koncentracyjnym w Dachau — wiąże się z artykułem pt. Przyczynek do dziejów tzw. *Sonderaktion Krakau* (Przegl. Lek., 1978, nr 1, s. 174—180). Przedstawiłem tam dokumentację opartą na korespondencji, a dotyczącą utworzenia tegoż oddziału w obrębie *Plantagekommando*

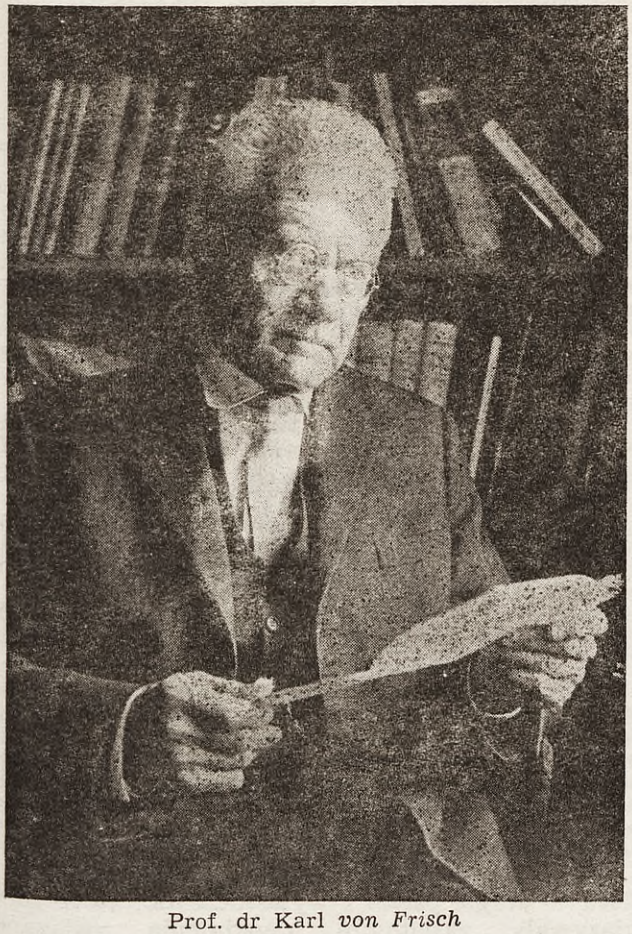

Prof. dr Karl *von Frisch*

w tym obozie. Praca w oddziale, o którym mowa, pozwoliła grupie tzw. „młodszych" naukowców ze słynnej *Sonderaktion Krakau* przetrwać i uratować życie. Tylko kol. doc. Wiktor *Ormicki* — jako pochodzenia żydowskiego — został od nas odizolowany i zginął w obozie w Gusen.

Dokumentacja moja zawierała wierne cytaty z listów, jakie moja żona, dr Halina *Wojtusiakowa*, otrzymała w czasie mego pobytu w Dachau od prof. Karla *von Frischa* z Monachium oraz cytaty z listów, jakie ja sam otrzymałem od naszego wybawcy, dr Waltera *Greitego*, i od prof. *v. Frischa*. Jak zaznaczyłem w mym artykule, dr *Greite* po zakończeniu wojny znalazł się w brytyjskim obozie dla internowanych i wówczas udało mi się uzyskać jego zwolnienie. W ten sposób mogłem odwzajemnić się za jego przyjazne ustosunkowanie się do nas i żmudne starania, aby uzyskać polepszenie naszego losu w obozie koncentracyjnym, a następnie zwolnienie.

W artykule tym zaznaczyłem, że istnieje jeszcze szereg niejasności, które należałoby wyjaśnić. Moje próby udania się osobiście do prof. K. *v. Frischa* i dr. *Greitego* spełzły niestety na niczym. Mimo że uzyskałem ustną zgodę ówczesnego ministra Szkolnictwa Wyższego i Nauki oraz obu wiceministrów, administracja w Dziale Współpracy z Zagranicą nie przyczyniła się do mego wyjazdu do Monachium, gdzie przebywał prof. *v. Frisch*, oraz do Starenbergu, gdzie mieszkał dr *Greite*. Tymczasem urwała się korespondencja z dr. *Greitem*, który z powodu komplikacji ze zdrowiem musiał wyjechać z Niemiec na południe. Dopiero po jego powrocie i zmianie miejsca zamieszkania otrzymałem nowy adres, który pozwolił mi przynajmniej na drodze listownej uzyskać szereg nowych faktów, które obecnie prawie całkowicie wyjaśniają całą akcję utworzenia „oddziału naukowego" oraz naszego zwolnienia.

Do spraw, które powinno się wyjaśnić przede wszystkim, należało pytanie, jak udało się naszemu wybawcy utworzyć w obozie koncentracyjnym oddział naukowy, któremu zawdzięczamy życie. Następnie chodziło o wyjaśnienie, jaką rolę odegrał nasz ówczesny opiekun oddziału, *untersturmführer* (a następnie *sturmführer*) *SS*, Paul *Neumann*, czy pozostawał on w jakimś związku z dr. *Greitem*, czy też znalazł przypadkiem okazję do spokojniejszego zajęcia w obozie, jak to sugerował kol. prof. Stanisław *Skowron* w jednej ze swych relacji (pt. Wspomnienia z pobytu w Dachau. Organizacja pracy „naukowej" w obozie. Wyd. 2, Kraków 1946, St. *Kamiński*). Ponadto interesowała mnie rola, jaką mógł odegrać w naszym aresztowaniu czy zwolnieniu prof. *Tratz* z Salzburga, który przed słynną „inauguracją" na Uniwersytecie Jagiellońskim obchodził zakłady uniwersyteckie ze swym adiutantem, oficerem *SS*, i robił jakieś notatki. Piastował on bardzo wysokie stanowisko w hierarchii *SS*, zdaje się *obersturmbannführera SS* z *Adolf Hitlers Leibstandarte*. Ponieważ był on także znajomym prof. K. *v. Frischa*, zachodziło pytanie, czy nie odegrał on jakiejś roli pozytywnej w staraniach o polepszenie naszego losu w Dachau.

W celu wyjaśnienia tych spraw wysłałem do dr. W. *Greitego* najpierw krótki list na wiosnę 1978 r., w którym zaznaczyłem, że przez długi czas nie miałem od niego wiadomości, a także, że prof. *v. Frisch* nic o nim ostatnio nie wiedział. Zapowiedziałem mu także, że wkrótce prześlę mu przełożony na język niemiecki wspomniany już mój artykuł (z „Przeglądu Lekarskiego"), dotyczący naszego zwolnienia z Dachau i roli pozytywnej, jaką on w tym sam odegrał. Na pismo to otrzymałem pierwszy list z datą 28 stycznia 1979 r., donoszący o otrzymaniu mego listu drogami okrężnymi, w którym zawiadamia, że mieszka obecnie w pobliżu Getyngi, gdzie często zachodzi do Instytutu Zoologicznego prof. A. *Kühna*, u którego przebywaliśmy obaj w 1932 r. Dr *Greite* zawiadomił mnie także, że jest już na emeryturze i że cieszyłby się, gdybyśmy się mogli zobaczyć. Gdybym był w RFN, prosi, abym go odwiedził. Wyraził także zdziwienie, skąd otrzymałem jego obecny adres.

Po uzyskaniu przekładu mego artykułu na język niemiecki przesłałem go wraz z odbitką oryginalną polską i zawiadomiłem dr. *Greitego*, że artykuł ten przesłałem także prof. *v. Frischowi*. Wyraziłem żal, że nie mogliśmy się spotkać osobiście, aby dokładniej wyjaśnić sprawy dotyczące naszego zwolnienia z Dachau. Prosiłem także o napisanie mi, co myśli o mym artykule. Na list mój i przesyłkę mojego artykułu w dwóch językach otrzymałem obszerny czterostronicowy list z datą 12 października 1979 r., w którym dr *Greite* pisał, co następuje:

„Wielce Szanowny Panie Profesorze *Wojtusiak*, z wielką przyjemnością i zainteresowaniem otrzymałem pańską przesyłkę z tłumaczeniem niemieckim. W ten sposób po długim czasie zaistniała możliwość dokonania retrospektywnie przeglądu faktów (*Zusammehänge*). Czy wolno mi Panu krótko przedstawić z mego punktu widzenia zdarzenia, które uzewnętrzniły się w moich działaniach? Po mojej promocji w Getyndze w 1932 r. zostałem referentem w ówczesnej *Notgemeinschaft der Deutschen Wissenschaft*, a później *Deutsche Forschungsgemein-*

schaft. Na tym stanowisku miałem bardzo wiele możliwości pomagać osobiście i finansowo młodym naukowcom (stypendystom) oraz w pracach badawczych najbardziej znanym naukowcom. *Notgemeinschaft* była instytucją naukową o własnym zarządzie, niezależną od partii i państwa. Można było więc przez długi czas pomagać ekonomicznie wszystkim poszkodowanym i prześladowanym przez Trzecią Rzeszę. W r. 1938 rozpoczęła się walka o zglajchszaltowanie także i tej instytucji. Została ona de facto przejęta przez *SS*. Ja sam, jako referent, zostałem automatycznie przejęty do *SS* jako tzw. *Ehrenführer*, tzn. z uprawnieniem do noszenia munduru. Muszę wspomnieć, że nie należałem jednak nigdy do żadnej jednostki *SS* (*SS-Dienststelle*) jako aktywny członek. Wkrótce po włączeniu zostałem przez nowych mocodawców bezterminowo (*fristlos*) zwolniony, ponieważ uważano mnie za niegodnego zaufania z powodu mej dotychczasowej działalności. Otrzymałem stanowisko w Badawczym Oddziale Urzędu Zdrowia Rzeszy (*Forschungsabteilung des Reichsgesundheitsamtes*), ale także stąd zostałem wkrótce urlopowany, tzn. zwolniony (*beurlaubt*), na skutek zewnętrznych nacisków. Usiłowania, aby mnie rehabilitować, nie udały się. Przeszło trzy lata trwały dochodzenia przeciwko mnie w gestapo. Psychiczne obciążenia, trwające lata, zaszkodziły mojemu zdrowiu, ale zawsze znalazłem przyjaciół, którzy mi dalej pomagali. Z tych relacji może sobie Pan uzmysłowić moje negatywne (*Abneigung*) nastawienie wobec panującej warstwy. Najgorsze dla mnie było to, że na skutek nadania mi tzw. godności honorowego dowódcy (*Ehrenführer-Range*) byłem na zewnątrz związany formalnie z *SS*. Wszystkie usiłowania, aby rozluźnić ten związek, spaliły na panewce. Przeciwnie, uważano, że trzymanie mnie w garści umożliwi lepszą kontrolę nade mną.

Wspominam o tym wszystkim, ponieważ fakt, że mogłem ubrać uniform *SS*, doprowadził do tego, że mogłem Panu pomóc. Z Dachau lub ogrodnictwem itp. nie miałem nigdy do czynienia. Prof. *von Frisch* przyszedł pewnego dnia do mego mieszkania w Monachium — gdzie usiłowałem włączyć się znów do spraw naukowych — i zawiadomił mnie, że dowiedział się od prof. *Kühna* o Pańskim uwięzieniu (*Inhaftierung*) w Dachau i że Pan pod względem zdrowotnym nie czuje się dobrze. Prof. *Kühn* uważał, że ja byłem jedynym, który mógłby tu coś zdziałać. Prosił więc mnie, aby spróbować jednak pomóc. Powziąłem następujący plan: najpierw odnaleźć Pana w Dachau, aby uzyskać dla Pana i Pańskich Kolegów ułatwienia (*Erleichterung*). Wynająłem auto i nie meldując się pojechałem w uniformie do komendanta. Ten przyjął mnie w kręgu swych współpracowników. Opowiedziałem mu o mojej poprzedniej działalności, o poprzedniej współpracy z Panem i o znaczeniu dla biegnących aktualnie (*augenblicklich*), ale niejawnych badaniach, których bez Pana nie mogę dalej prowadzić. Udało mi się wywrzeć wrażenie (*Beachtung*), bo po krótkim czasie został pan przyprowadzony, jak Pan to wie. W pańskiej obecności zadawałem częściowo bezsensowne pytania, które miały zrobić wrażenie, i jak mogłem stwierdzić, wywarły też wpływ. Gdy Pan odszedł, prosiłem tego pana o natychmiastowe ułatwienia i lepsze traktowanie Pana i Pańskich Kolegów i o przygotowania do waszego zwolnienia. Wyniki tego musiał Pan stwierdzić. Miałem odwagę równocześnie mówić o natychmiastowym zwolnieniu, na co komendant zaproponował mi, ażebym zechciał wniosek o zwolnienie zaraz podpisać *per Fernschreiben*, co przyniosłoby najszybszy skutek. Uczyniłem to również natychmiast. Doprowadziło to po prostu do sukcesu (*Erfolg*). Pisemne stwierdzenie tej własnej inicjatywy jako »przedsięwzięcia prywatnego« nie było oczywiście dla mnie osobiście bez ryzyka. Ujawniłem rzecz jasna przy podpisie swoje nazwisko. Całość była małą Köpenikiadą, która sprawiła mi jednak wewnętrznie dużą satysfakcję po tym, co przeżyłem i widziałem. Opuściłem Dachau z ugruntowanym przekonaniem, że coś zostało osiągnięte.

Miałem w otoczeniu nadal osobiste, ciężkie walki i miałem zostać odkomenderowany karnie do jednostki przeznaczonej na śmierć (*Vernichtungseinheit*). Przyjaciele pomogli mi i z fałszywymi dokumentami mogłem uciec. Tak więc w ostatnim czasie wypłynąłem pod fałszywym nazwiskiem. W r. 1945 poczułem się wreszcie wolny i rozpocząłem na nowo pracę w Getyndze. Na skutek denuncjacji jednego Niemca, który chciał zająć moje stanowisko, zostałem uwięziony przez Anglików. Po czterotygodniowym więzieniu w Hildesheim zostałem umieszczony w »Obozie dla internowanych« w Sandbostel, Rothenburgu i Fallingbostel. Problem mój po zaaresztowaniu polegał na tym, że oficjalnie nie należałem do żadnej organizacji, a takich przypadków nie przewidywano do prawnego zwolnienia, lecz podlegałem specjalnej decyzji (*Sonderentscheidung*) z Hamburga, co trwało dłużej. Na skutek tego moje internowanie trwało tak długo. Po półtora roku zostałem bez procesu zwolniony jako »niewinny« (*nichtbetroffen*) i otrzymałem z powrotem swoje prawa urzędnika.

Po pańskim zwolnieniu odwiedził mnie prof. *v. Frisch* jeszcze raz i ofiarował mi jedną ze swych książek. Później mówiłem z nim jeszcze raz, ale nie mógł lub nie chciał sobie niczego więcej przypomnieć. Zachowanie się prof. *v. Frischa* bardzo mnie swego czasu dotknęło. Mogę sobie to wyjaśnić tylko w ten sposób, że z powodu mego powodzenia wierzył on w sposób fałszywy, że byłem wpływowym funkcjonariuszem. Tym bardziej cieszę się, że mogę Panu obecnie wyjaśnić prawdziwy przebieg wypadków (*Sachverhalt*).

Z pańskiego pisma widzę, jak usilnie i wielostronnie trudził się Pan o pomoc dla mnie. Sprawia mi to jeszcze dzisiaj duże zadowolenie, że doświadczyłem tego i zapewniam Pana o swojej największej wdzięczności.

W przeszłości byłem zawsze samotnikiem (*Einzelgänger*) i mogłem tylko jako taki również w Pana przypadku osiągnąć ten sukces. Miałem także szczęście, że jako samotnik mogłem przeżyć mimo wielu powikłań i przeciwności. Przez całe lata stoi mi jeszcze przed oczami obraz, gdy Pan został przyprowadzony, a ja stałem przed Panem w tym kręgu esesmanów.

Odpowiadam dopiero dzisiaj na Pański list, ponieważ wiele tygodni leżałem w szpitalu w Monachium. Na skutek choroby mięśni byłem sparaliżowany i przywiązany do fotela na kółkach. Z tego powodu i za radą lekarzy przeniosłem się znowu do Starenbergu. Mój adres: Dr Walter *Greite*. Mühlbergstrasse 23. 8130-Starenberg, B. D. R. Życząc Panu i Pańskiej Rodzinie wszystkiego dobrego, pozostaję Panu oddany Dr W. *Greite*."

Na to długie pismo z wyjaśnieniami, które rozwiązywały zasadnicze zagadnienia związane z utworzeniem oddziału naukowego (*Wissenschaftliche Abteilung*) w Dachau, podziękowałem listem z 13 grudnia 1979 r., w którym zaznaczyłem, że chciałbym poznać jeszcze niektóre szczegóły uzupełniające. Jak już pisałem, dzięki odwiedzinom dr. *Greitego* w Dachau został utworzony „oddział naukowy", który uratował grupie krakowskich naukowców życie. Kierownikiem jej został *untersturmführer* Paul *Neumann*. Po naszym zwolnieniu i powrocie do Krakowa przeniósł się on później także za nami do naszego miasta i pomagał jeszcze wielu Kolegom, m. in. ratując życie prof. Janinie *Kowalczykowej*, która w r. 1943 przebywała w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Chodziło mi o wyjaśnienie, czy dr *Greite* był z *Neumannem* w kontakcie, czy też oddział naukowy został utworzony bezpośrednio przez władze obozowe, z którymi dr *Greite* rozmawiał, a Paul *Neumann* został naszym kierownikiem tylko przez przypadek i uchwycenie korzystnej okazji, jak to przypuszczał kol. *Skowron*. Zwracało uwagę, że dr *Greite* był informowany o stanie mego zdrowia w Dachau i poprzez prof. *v. Frischa* przekazywał odnośne wiadomości mej żonie. Informacje te musiały więc pochodzić od kogoś z funkcjonariuszy obozowych.

Drugim zagadnieniem, które domagało się wyjaśnienia, była rola prof. *Tratza*, podówczas wysokiego oficera *SS*. Odwiedził on w towarzystwie swego adiutanta, również oficera *SS*, wszystkie zakłady przyrodnicze w Krakowie przed słynnym 6 listopada 1939 r. i notował w swym notesie skrzętnie rozmaite dane. Istniało więc przypuszczenie, że *Tratz* mógł mieć coś wspólnego z naszym aresztowaniem. Z drugiej strony prof. *Tratz*, przyrodnik z Salzburga, a więc z pochodzenia Austriak, był znajomym prof. *v. Frischa*, przeto

mógł grać jakąś rolę pozytywną w utworzeniu oddziału naukowego w Dachau i naszym uwolnieniu. O wyjaśnienie tego prosiłem również dr. *Greitego* we wspomnianym liście.

Zaznaczyłem także, że o pozytywnej roli, jaką odegrał w staraniach o polepszenie mego losu w Dachau prof. A. *Kühn*, dowiedziałem się dopiero z listu dr. *Greitego*. Poprzednio dziwiłem się nawet, że profesor ten, u którego pracowałem w Getyndze i który odnosił się do mnie zawsze nadzwyczaj serdecznie, nie zareagował na list wysłany do niego przez moją żonę po naszym aresztowaniu i wywiezieniu do obozów.

Na list mój z tymi pytaniami otrzymałem odpowiedź dopiero z dnia 6 lipca 1980 r., której treść jest następująca:

„Wielce Szanowny Panie Prof. *Wojtusiak*, list Pański z 13 grudnia 1979 leży przede mną jeszcze bez odpowiedzi. Czułem się źle i musiałem przeprowadzić kurację, która mi zabrała dużo czasu. W ten sposób doszło do opóźnienia odpowiedzi. Co do Pańskich pytań: w celu uzasadnienia swych odwiedzin zaproponowałem wówczas, aby Pana i Pańskich Kolegów zatrudnić przy pracach naukowych, ponieważ to by odpowiadało Waszej osobie, pochodzeniu i znaczeniu. Z taktycznych względów wskazałem także na znaczenie dla nauki niemieckiej. Zaimponowałem (*habe herumjongliert*) temu gremium instytucjami naukowymi o charakterze narodowym i międzynarodowym, aby zrobić potrzebne wrażenie (*Forschungsgemeinschaft, Max Planck Institut, Rockefeller Foundation* i inne). Mogłem równocześnie wykazać dowody na współpracę z tymi instytucjami. Co później zostało zrealizowane na podstawie przedstawionych wniosków (*Vorträgen*), nie mogłem śledzić z podanych już powodów [tzn. trudności, w jakie dr *Greite* popadł — dop. R. J. W.].

Przypominam sobie nazwisko *Neumann*, nie mam jednak więcej wyobrażenia o tych sprawach, ponieważ sam poszedłem także na wewnętrzną emigrację. Do r. 1945 miałem kontakt z prof. *v. Frischem* i prof. *Kühnem*. Mówiłem jednak już Panu, że po r. 1945 prof. *v. Frisch* na przekór mnie nie mógł sobie przypomnieć (*besinnen*) Pana ani mnie.

Pytał Pan jeszcze o prof. *Tratza* z Salzburga; wybudował on tam z własnej inicjatywy wspaniałe Muzeum Przyrodnicze. Po *anschlussie* Austrii szukał on poparcia w *SS* i został *ehrenamtlicher hoher SS-Führer*. Był on bardzo dumny z oparcia, które mu zapewniał *Himmler* dla jego prac. Nie był on nigdy aktywnym członkiem *SS*, ale miał zlecone wydawanie orzeczeń (*beauftragt zu Begutachtungen*). W tym charakterze był on zapewne w Krakowie. Dzięki zewnętrznym pozorom (*Aufmachung*) w tych przypadkach więcej udawano niż było w rzeczywistości. Z pewnością nie grał on roli ani pozytywnej, ani negatywnej. Prawdopodobnie wysunęli go jako fachowca jego podwładni, elementy bardzo wątpliwe (*fragwürdige*), jak *Wüst, Sievers* i inni. Zresztą *Tratz* jako fachowiec był później w Rosji u *Stalina* i w Chinach u *Mao*. Zmarł on już".

Do tego wyjaśnienia należy dodać, że prof. *Tratz* przyjechał do Krakowa już nie w mundurze wysokiego oficera *SS*, lecz w cywilnym ubraniu w r. 1943 lub 1944 wraz z dwoma preparatorami, aby zabrać słynnego nosorożca włochatego z epoki dyluwialnej, który stanowił najcenniejszy obiekt Muzeum Przyrodniczego Polskiej Akademii Umiejętności, dzisiejszego Zakładu Zoologii Systematycznej i Doświadczalnej PAN. Ponieważ pracowałem wówczas razem z kol. doc. J. *Fudakowskim* i doc. J. *Lilpopem* w tymże Muzeum na stanowisku kustosza, więc razem wytłumaczyliśmy *Tratzowi*, że wywiezienie nosorożca jest niemożliwe, albowiem trzeba byłoby wyburzyć ścianę w sali, w której eksponat się znajdował. Ryzykując mocno w razie odkrycia naszego podstępu, przedstawiliśmy mu, że w ten sposób właśnie nosorożca wwindowano w latach dwudziestych. Przekonany *Tratz* polecił wykonać z oryginalnego okazu wypchanego odlew gipsowy i razem z oryginalnymi odlewami wykonanymi jeszcze z okazu nie spreparowanego wywieźć do Salzburga, gdzie się do dziś dnia znajdują, do wspomnianego przez dr. *Greitego* muzeum pod nazwą „Haus der Natur". O ile wiem, w okresie rewindykacji polskiego mienia z terenów dawnego *Reichu* nikt tej sprawy nie poruszał. Oryginalny okaz nosorożca, uratowany przez nas, zaczął na skutek zrobienia z niego odlewu gipsowego psuć się i zsychać i trzeba go do dziś dnia ciągle naprawiać. Taką rolę odegrał prof. *Tratz* dla nauki polskiej.

Wracając do dalszego ciągu listu dr. *Greitego*, omawianego wyżej, warto podać cytat:

„Po 1945 odwiedzałem często prof. *Kühna* w Tybindze (...). Inicjatorem »akcji zwolnienia« był, jak już Panu mówiłem, prof. *Kühn*. Na jego propozycję poinformował mnie o sytuacji prof. *v. Frisch*, a to spowodowało mą akcję".

Dalszy ciąg listu zawiera informacje prywatne dr. *Greitego*, które pomijam.

Zacytowane listy wyjaśniają prawie zupełnie sprawę utworzenia oddziału naukowego w obozie koncentracyjnym w Dachau. Wyjaśniają także sprawę opieki, jaką po wizycie dr. *Greitego* i widzeniu się jego ze mną na wiosnę 1940 r. roztoczono nad naukowcami polskimi z *Sonderaktion Krakau* w ukryty sposób. Okazuje się, że obaj profesorowie, u których swego czasu pracowałem naukowo w r. 1932 jako stypendysta Funduszu Kultury Narodowej, tj. prof. Alfred *Kühn* z Instytutu Zoologicznego w Getyndze i prof. Karol *von Frisch* z Instytutu Zoologicznego w Monachium, zareagowali pozytywnie na listy mej żony, donoszące im o mym aresztowaniu i wywiezieniu do obozów koncentracyjnych i o pobycie mym w Dachau. Inicjatorem całej akcji pomocy był prof. *Kühn*, który przyjechał do Monachium do prof. *v. Frischa*.

Tam zdecydowano zwrócić się do dr. Waltera *Greitego*, który był uczniem obu profesorów. W pierwszej połowie 1932 r., gdy byłem w Getyndze, *Greite* doktoryzował się wówczas u prof. *Kühna*, a następnie przeniósł się do Monachium i przebywał w drugiej połowie tegoż roku razem ze mną w tym samym Instytucie Zoologicznym. Podjął się on trudnego i wydawałoby się niewykonalnego zadania udzielenia pomocy zarówno mnie, jak i mym kolegom, polskim naukowcom. Dzięki przysługującemu mu prawu noszenia munduru oficera *SS* w randze *ehrenführera* przybył on do Dachau, wyjednał u tamtejszego komendanta wizytę oficjalną widzenia się ze mną osobiście.

Jak wspomniałem w swej relacji z r. 1978, zatrzymano wówczas całą *Plantagekommando*, liczącą około 600 więźniów, i wywołano mnie, abym udał się do komendanta. Tam odbyło się przesłuchanie moje w obecności komendanta i kilkunastu oficerów *SS* pełniących służbę w Dachau. Dr *Greite*, którego wówczas nie poznałem w mundurze, wypytywał mnie o szczegóły mych prac naukowych w Getyndze, Monachium, Wiedniu itp. oraz o kilku profesorów biologów z Krakowa. Rozmowa ta miała udowodnić słuchającym esesmanom, że jesteśmy w zakresie bardzo skomplikowanych zagadnień naukowych wybitnymi fa-

chowcami, których powinno się wykorzystać dla Rzeszy, tworząc osobny oddział naukowy. Komando to wkrótce utworzono i *untersturmführer* Paul *Neumann*, który prowadził jako jeden z esesmanów *Plantagekommando*, zajął się zorganizowaniem nowego komanda naukowego. Był on, jak się okazuje, znajomym dra *Greitego*, który otrzymywał prawdopodobnie za jego pośrednictwem relacje o naszym losie do czasu naszego zwolnienia.

Utworzenie oddziału naukowego odbyło się w typowy dla ówczesnych czasów sposób, a mianowicie kazano zgłosić się „biologom". Na wezwanie to zgłosiło się kilkunastu kolegów, nie tylko biologów, ale również historyków, polonistów, prawników, matematyków itp. Z tych zgłoszonych wybrano określoną liczbę osób, a reszcie kazano iść do dawnych zajęć. Wśród tych ostatnich znalazłem się i ja sam. W ten sposób nie dostałem się początkowo do oddziału naukowego, który został utworzony na skutek starań o mnie. Dopiero nieco później przyjął mnie kol. Anatol *Listowski* do swej szklarni, dzięki czemu poprawiło się moje zdrowie po wycieńczeniu poprzednio obozową biegunką. Inne szczegóły dotyczące naszej pracy w oddziale naukowym opisane są w znanych publikacjach kolegów *Skowrona, Urbańczyka* i innych. Nie ulega wątpliwości, że warunki, w jakich znaleźliśmy się w tym oddziale, uratowały nam wszystkim życie i pozwoliły szczęśliwie wrócić do domów — z wyjątkiem kol. *Ormickiego*, o czym już wspomniano.

Paul *Neumann*, później już *sturmführer*, został przeniesiony na własną prośbę do Krakowa i tu mógł wiele pomóc Polakom, mając dostęp do archiwum krakowskiego gestapo. Jego dziełem było m. in. zwolnienie prof. J. *Kowalczykowej* z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Dr *Greite* sam popadł w niełaskę i został skazany na *Vernichtungseinheit*, ale uciekł i ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem do końca wojny. W r. 1945 na skutek doniesienia jakiegoś Niemca, który chciał objąć jego stanowisko, został aresztowany i osadzony w brytyjskich obozach dla internowanych. Został on zwolniony z początkiem 1948 r. dzięki staraniom, jakie prowadziłem za pośrednictwem polskich władz wojskowych i dyplomatycznych. W ten sposób udało mi się spłacić dług wdzięczności jednemu z trzech Niemców, którzy zajęli się naszym losem w obozach koncentracyjnych. Był zaś dr Walter *Greite* tym, który przeprowadził swą awanturniczą akcję pomocy naukowcom polskim z narażeniem własnego życia.

Oryginały omówionych listów znajdują się w moim posiadaniu, a ich kserograficzne kopie — w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz u kol. prof. Andrzeja *Bolewskiego* z AGH, który gromadzi dokumentację dotyczącą *Sonderaktion Krakau*.

JAN OLSZOWSKI Warszawa
były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 6157, w Mauthausen, Melk, Ebensee nr 117133

Więźniarska kancelaria w obozie oświęcimskim

OD REDAKCJI

Obozowe kancelarie więźniarskie, *schreibstuby* główne, były ważnym ogniwem orientującym administrację każdego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w losach poszczególnych więźniów. Gromadziły one i utrwalały w zapisach kartotekowych wszelkie aktualne wiadomości o więźniu od jego przyjęcia do lagru aż do chwili śmierci dzięki wpisom dotyczącym bieżącego pobytu na bloku roboczym, rewirowym, w areszcie obozowym, czasowym odesłaniu do więzienia na przesłuchanie itp. W kancelariach takich bowiem gromadziły się wszystkie urzędowe informacje. Był to bardzo ważny punkt zbiorczy pedantycznie zbieranych informacji o pobycie więźnia w obozie. Funkcjonowanie tej komórki musiało dawać efekt źródła bezbłędnych informacji dla władz obozowych — ściśle i w każdej chwili — na temat więźnia.

Oczywiste więc jest, że w ewidencję tę wciągnięci byli między innymi uwięzieni studenci medycyny, lekarze i inni pracownicy służby zdrowia, których los wtrącił w piekło obozu.

Główne kancelarie obozowe — także oświęcimska — otrzymywały na bieżąco wiadomości o przebywaniu, jak wiemy, w danym bloku, o rodzaju pracy, o chorobie, o śmierci więźnia — ze wszystkich rejestrujących te sprawy komórek blokowych, z komand roboczych, z rewiru, kostnicy, krematorium, obozowego bunkra itd.

Wydaje się więc, że bliższe zapoznanie się z mechanizmem funkcjonowania kancelarii głównej obozu pozwoli lepiej zrozumieć jego istotną treść, zwłaszcza gdy się pojmie osobliwą patologię świata obozów koncentracyjnych. Więźniowie zatrudnieni w kancelarii mieli możność obserwacji życia obozowego, mechanizmu zagłady i fluktuacji więźniów.

Oddajemy głos bezpośredniemu świadkowi. Wspomnienia z pracy więźnia tej placówki mają szczególną wartość.

(S. K.)

*

Więźniowie przybywający do obozu w Oświęcimiu spotykali się wnet po przekroczeniu jego bramy nie tylko z odbierającymi ich transport przedstawicielami komendantury obozu oraz załogi esesmańskiej, lecz również z więźniami, którzy pod ścisłym nadzorem SS wykonywali różne czynności jako funkcjonariusze administracji więźniarskiej. W ich towarzystwie nowo przybyły, *zugang*, przemieniał się w numer, wypisany na wręczanym mu kawałku tektury po wpisaniu na listę danych osobowych i oddawał własne ubranie wraz z przywiezionymi ze sobą rzeczami. Potem, jak zresztą wiadomo z wielu opisów, był strzyżony, kąpał się pod chłodnym tuszem i opryskiwany był płynem dezynfekcyjnym. Po tych wszystkich zabiegach odprowadzano nowych więźniów, odzianych w pasiaki, do jednego z bloków,

w którym mieli przebywać we wstępnym okresie, tj. na kwarantannie (*Zugangsblock*).

Administracja więźniarska obejmowała różne dziedziny życia obozowego, związane z załatwianiem formalności przy przyjmowaniu nowych więźniów, z umieszczaniem ich na blokach i z dalszym przebywaniem w obozie, z udziałem w przymusowej pracy, z otrzymywaniem posiłków oraz z opieką higieniczną bądź pomocą lekarską. Dla tych dziedzin utworzone były specjalne grupy pracy (komanda), a więc biuro ewidencyjne (*Häftlingsschreibstube*), przechowalnia odzieży i obsługa wyposażenia więźniów w drelichy i bieliznę (*Bekleidungskammer* i *Entwesungskammer*), przechowalnia przedmiotów wartościowych (*Effektenkammer*), dyspozytornia przydziału do grup roboczych (*Arbeitseinsatz* i *Arbeitsdienst*), szpital więźniarski (*Häftlingskrankenbau*, HKB), kuchnia z magazynem i obieralnią ziemniaków. Była również grupa obsługująca biuro dokumentacji, podległe bezpośrednio obozowemu gestapo (*Politische Abteilung*) oraz jego referat do wykonywania urzędowych zdjęć więźniów (*Erkennungsdienst*). Warto przypomnieć tę strukturę dobrze w pamięci utrwaloną.

Funkcjonariuszami organizującymi życie wewnętrzne w obozie byli blokowi (*Blockälteste*), dobierani przez oboźnych (*Lagerälteste*), mianowanych przez komendanta obozu i stanowiących jego „prawą rękę". Blokowi powoływali jeszcze pisarzy blokowych (*Blockschreiber*) oraz personel porządkowy w poszczególnych izbach (*Stubendienst*).

W całodziennej — z krótką przerwą obiadową — pracy przymusowej (przeważnie poza terenem mieszkalnej części obozu) więźniowie podzieleni na specjalistyczne grupy robocze i dozorowani przez posterunki *SS* podlegali kapom i ich pomocnikom (*Vorarbeiter*).

Pierwszymi funkcyjnymi, najwyżej postawionymi w hierarchii tej więźniarskiej administracji, byli niemieccy kapowie, przywiezieni z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen 20 maja 1940 r., a więc na przeszło miesiąc przed skierowaniem do Oświęcimia z Tarnowa pierwszego transportu 728 więźniów polskich. Kapowie ci — przeważnie więźniowie kryminalni i tzw. *ASO*[1], nosili numery 1—30, a polscy więźniowie otrzymali dalsze numery, poczynając od 31, do 758, później zaś dalsze, w miarę przybywania nowych transportów.

Rosła liczba więźniów, rozbudowywano obóz i tworzono coraz to nowe grupy robocze, konieczne było zatem uzupełnianie obsady funkcyjnej i powierzanie części stanowisk, najczęściej niższych, także więźniom polskim. Dobierano więc w tym celu kandydatów, zwłaszcza spośród więźniów znających język niemiecki (np. pochodzących ze Śląska), a w niektórych przypadkach, jak obsada warsztatów czy obsługa szpitala, spośród podających się za fachowców w danym zakresie. Ponieważ przez dłuższy czas w początkowym okresie obóz koncentracyjny w Oświęcimiu skupiał prawie wyłącznie polskich więźniów, oni obsadzili wiele stanowisk w administracji wewnątrzobozowej i pozostali na nich także później, gdy obóz *KL Auschwitz-Birkenau* stał się miejscem kaźni dla więźniów przywożonych z prawie całej Europy, opanowanej przez hitlerowców.

Jaką rolę odgrywali oni przy pełnieniu przydzielonych im funkcji, mogą ocenić byli więźniowie, którzy się z nimi stykali. W zeszytach „Przeglądu Lekarskiego-Oświęcim" wiele miejsca poświęca się — i słusznie — działalności obozowej lekarzy i służby sanitarnej. Dla pełniejszego obrazu pożądane jest zebranie informacji z innych odcinków życia obozowego, w których uczestniczyli jako funkcyjni polscy więźniowie. Warto przedstawić pokrótce zakres funkcji wykonywanych przez więźniów pracujących w obozowym biurze ewidencyjnym — *Häftlingsschreibstube*.

Miałem już za sobą przeszło roczny pobyt w więzieniach hitlerowskich (w Zakopanem oraz Montelupich w Krakowie) i od 9 listopada 1940 półtora roku bytowania w obozie oświęcimskim jako więzień nr 6157, kiedy w marcu 1942 r. otrzymałem przydział do pracy w sekretariacie więźniarskim, który był czymś w rodzaju biura ewidencyjnego. Przeszedłem przez różne komanda, przenosiłem ciężkie elementy budowlane na placach składowych i budowlanych (*Industriehof, Bauhof*), pracowałem przy rozbiórce (*Abbruch*) domów wysiedlonych mieszkańców pobliskiej wsi Rajsko i obtłukiwaniu cegły uzyskiwanej z rozwalanych domów w celu wykorzystania jej na budowę baraków w Brzezince (*Birkenau*).

Przez dłuższy czas byłem pomocnikiem stolarskim przy zatrudnionych w warsztacie góralach, których znałem z więzienia, a którzy wcześniej ode mnie zostali skierowani do obozu (między innymi St. *Chotarski* z Kościeliska i J. *Chramiec* z Zakopanego, a później bracia *Kupcowie* z Poronina). Poznałem też wielu współwięźniów, którzy przez dłuższy pobyt w obozie wyrobili sobie już umiejętność przystosowania się do tych warunków i unikania „podpadania". Zetknąłem się także z niektórymi byłymi działaczami społecznymi, młodzieżowymi i oświatowymi, znajomymi z okresu studiów uniwersyteckich i z pracy w okresie przedwojennym. W stolarni nawiązali ze mną kontakt współorganizatorzy jednego z ogniw tajnego ruchu oporu, grupującego zwłaszcza byłych wojskowych, Związku Organizacji Wojskowej, jak major Antoni *Trojnicki* i Tomasz *Serafiński*[2], i zorientowali mnie w swojej działalności. Wiedziałem również, że niektórzy spośród kolegów współpracowali z nimi.

W czasie wolnym od pracy — w niektóre wieczory po apelu albo w niedzielne popołudnia, jeśli nie było obowiązkowego udziału w wyładowywaniu brukwi — więźniowie bliżej ze sobą związani spotykali się na placu apelowym bądź też na spacerze w „alei brzozowej", dróżce obozowej poza blokami wzdłuż muru, i dzielili się informacjami o swoich kłopotach, warunkach pracy w poszczególnych komandach oraz wiadomościami uzyskiwanymi od nowo przybyłych więźniów lub podczas pracy poza obozem. Niekiedy udawały się także wzajemne odwiedziny w blokach i ciche rozmowy na górnych segmentach piętrowych prycz.

[1] *Asoziale* — aspołeczni, aresztowani za uchylanie się od pracy, włóczęgostwo, uprawianie nierządu, sutenerstwo itp. (nosili trójkąty czarne).

[2] Pod tym nazwiskiem przebywał w obozie Witold *Pilecki* (szczegółowo pisze o nim m. in. J. *Garliński:* Oświęcim walczący. Londyn 1974, Odnowa, *passim*).

Dotychczas nie wiem, kto zaprotegował mnie u funkcjonariuszy „szrajbsztuby", kiedy uzupełniano tam obsadę pracowniczą wiosną 1942 r. w związku z coraz liczniej napływającymi transportami więźniów. W każdym razie od nieznanych mi przedtem bliżej Jerzego (Georga) *Malcherczyka*, pierwszego pomocnika *raportszrajbera* Hermanna *Distla* oraz od Franciszka *Targosza*, który odnosił na „Poststelle" korespondencję więźniów i odbierał stamtąd dla nich przychodzące i ocenzurowane listy — otrzymałem wiadomość, że potrzebny jest ktoś znający język niemiecki i mający wyraźne pismo potrzebne do wykonania jakichś napisów w *Häftlingsschreibstube*. Istotnie otrzymałem polecenie stawienia się tam, a następnie zaprowadzono mnie do jakiegoś podoficera *SS* w oddziale politycznym, który sprawdził moją znajomość niemczyzny i charakter pisma.

Próba wypadła pomyślnie i otrzymałem przydział do grupy więźniów pracujących w sekretariacie. Oznaczało to dla mnie przeniesienie z komanda, które w części stolarni, umieszczonej w tzw. garbarni, wykonywało drewniane łyżki oraz drobne rzeźby, a było zarazem zmianą bloku. Przeważnie bowiem poszczególne komanda grupowano razem w tym samym bloku, a pracownicy kancelarii mieszkali do drugiej połowy maja 1943 r. nad swoim miejscem pracy, na piętrze bloku 24. Mieszkali tam także współwięźniowie z komand *Arbeitsdienst*, *Arbeitseinsatz* oraz oddziału politycznego. Z końcem maja 1943 r., gdy po uruchomieniu obozu w *Birkenau* opróżnione zostały bloki w Oświęcimiu zajmowane czasowo przez więźniarki, pracownicy biura zostali pomieszczeni najpierw w bloku 14, a potem od lipca 1943 r. na piętrze bloku 3, oznaczonym jako blok 3a. Tam mieszkaliśmy już do ewakuacji obozu w styczniu 1945 r.

Miejscem pracy była do końca duża izba w bloku 24, przedzielona wzdłuż balustradą. Za balustradą znajdowały się stoły biurowe, stoliki z maszynami do pisania, krzesła, szafy i regały z segregatorami i teczkami oraz duży stół ze skrzynkami mieszczącymi alfabetyczną kartotekę wszystkich więźniów, którzy otrzymali numery obozowe. Na każdej karcie wypisane było nazwisko i imię więźnia, jego numer i rodzaj (kategoria), narodowość, data i miejsce urodzenia, zawód, a także adres najbliższej rodziny (dla zawiadomienia w wypadku śmierci). W uwagach wpisywano ewentualne zmiany. Kartoteka była podzielona na część aktualnie przebywających w obozie oraz drugą — zmarłych i przeniesionych. Tę drugą część zaczęto likwidować wraz z listami zmarłych i przeniesionych w połowie 1944 r., kiedy zaczęto także demontować krematoria w *Birkenau*.

Oprócz kartoteki prowadzono dokumentację opartą na przekazywanych przez oddział polityczny listach więźniów przybywających do obozu i przenoszonych do innych obozów, bądź — co należało do najrzadszych przypadków — zwalnianych, a od czasu rozpoczęcia masowej eksterminacji Żydów także listy wyłączanych z tych transportów.

Podstawę ewidencji stanowiła księga główna (*Hauptbuch*), w której za kolejną numeracją według przydzielonych numerów obozowych wpisywano te same dane, jakie zawierały karty układane w kartotece w układzie alfabetycznym. Ponieważ listy transportowe nowych więźniów nie zawierały wszystkich danych potrzebnych do wpisywania w księdze głównej i w kartotece, dokonywane były przez grupę pracowników „szrajbsztuby" (czasem wspólnie z grupą pracowników oddziału politycznego) spisy (*Aufnahme*) bezpośrednio w zetknięciu z przybywającymi. W tym celu pisarze byli czasem zaprowadzani także do *Birkenau*, gdy tam zatrzymywano z masowych transportów część Żydów uznanych za zdolnych do pracy (potrzebnych), a więc tych, którzy uniknęli skierowania do gazu i otrzymali numery obozowe.

Osobno prowadzono później wykazy więźniów odbywających karę za uchybienia w pracy zawodowej (ze znakiem E, tj. *Erziehungshäftling*) oraz w dwóch seriach — A i B — Żydów wyłączanych z masowych transportów.

Blok, w którym więzień przebywał, wpisywany był do książki numerowej (*Nummerbuch*), zawierającej kolejne numery obozowe bez nazwisk, do których dopisywano numer bloku.

Szczególniejsze znaczenie w pracy sekretariatu wiązano ze sporządzaniem dla *rapportführera* na codzienne apele meldunku o stanie liczbowym obozu (*Stärkemeldung*), z uwzględnieniem przybytku (*Zugang*) i ubytku (zmarli, przeniesieni, zwolnieni, zbiegli), według poszczególnych kategorii, z podaniem stanu zatrudnienia i liczby przebywających w szpitalu obozowym. Potrzebne do tego celu dane, podobnie jak dane o zmianach zakwaterowania, uzyskiwano z meldunków składanych w sekretariacie przez pisarzy blokowych.

Obowiązywała rygorystyczna zasada mówienia tylko po niemiecku, ale ponieważ większość obsady biura stanowili Polacy, porozumiewaliśmy się między sobą w języku polskim. Trzeba było jednak uważać, gdyż często zachodzili do sekretariatu nie tylko *blockältesterzy*, lecz także *rapportführer*, a czasem nawet komendant obozu. Podoficer *SS* z oddziału politycznego, *Boger*, zaglądał nawet do izby na piętrze bloku 24, gdy tam mieszkaliśmy i przeprowadzał pobieżną rewizję, zaglądając pod sienniki.

W okresie mojej pracy w więźniarskiej kancelarii jej załogę stanowiło ponad 30 osób, skład ulegał jednak zmianie co pewien czas. Głównym kierownikiem, rodzajem kapo, z tytułem: *rapportschreiber*, był niemiecki więzień *BV*, czyli przestępca pospolity z zielonym trójkątem, Herman *Distel*. Jego zastępca, Polak ze Śląska, wspomniany już Georg (Jerzy) *Malcherczyk* [3], nadzorował zbieranie danych do raportów apelowych oraz pracę pisarzy blokowych i zatrudnionych w sekretariacie. Po nim zadanie to zlecono Erwinowi *Olszówce*. Do zespołu organizującego pracę biura należał także Roman *Frankiewicz*, dziennikarz z Radomia (przydzielony później do transportu w komandzie *Bauzug*, które wyjechało do pracy przy naprawie zbombardowanych dworców i torów kolejowych), a także gdańszczanin Edwin *Kuffel*, kompletujący wykazy przybywających do obozu, zmarłych, przeniesionych i inne, które stanowiły podstawę ewidencji.

Przy *Kufflu* porządkowałem i uzupełniałem

[3] Przed nim, jeszcze przed moim przyjściem do zespołu, funkcję tę sprawował więzień *Dziura*.

kartotekę oraz bieżąco wprowadzałem w niej zachodzące zmiany. Tonąłem w prawdziwej biurokracji, ale funkcję swą należało cenić. Księgę główną (*Hauptbuch*) i uzupełniające ją wykazy imienne według kolejnych numerów prowadzili Ludwik *Stec*, Jan *Dziopek*, Kazimierz *Mrozowski* i Franciszek *Rusinek*. Miejsce pobytu (numer bloku) odnotowywał w książce numerowej *Byczek* (nie pamiętam jego imienia, był to garbusek), a potem Józef *Foltyn*. On to wprowadził nieznane władzom obozowym ani nawet *rapportschreiberowi Distlowi* zróżnicowanie znaków przy numerach więźniów, odpisywanych ze stanu na podstawie list przeniesień. Ponieważ pojęcie *überstellt* (przeniesiony) stosowane było nie tylko na listach transportów do innych obozów, lecz także na wykazach tych więźniów, których śmierci (rozstrzelania, zagazowania) nie chciano ujawniać po „specjalnym potraktowaniu" (*Sonderbehandlung*), przy normalnych przeniesieniach wpisywał po numerze małą literę „ü", a przy tych, o których wiedział, że nie byli skierowani na transport, dużą literę „Ü". Numery wykazane przez szpital obozowy na liście zmarłych otrzymywały krzyżyk i datę śmierci, natomiast bardzo rzadki był znak „E" (*entlassen* — zwolniony); było też kilkanaście znaków „G" (*geflohen* — zbiegł).

Pisarzami spisowymi byli Stefan *Ajdukiewicz*, Stefan *Gil*, Stefan *Łukasz*, Leopold *Paździora*, Michał *Preisler*, Zygmunt *Rzążewski*, Antoni *Siciński*, Tadeusz *Sztaba*, Roman *Wieszała*, jednakże dość często dołączano do nich do spisów (*Aufnahme*) przy większych transportach również innych pracowników. Ja także byłem przy niektórych spisach, zarówno w obozie „macierzystym", jak też w *Birkenau*.

Na maszynach pisali: Zygmunt *Goldberg*, Leon *Kazimierczak*, czeski więzień Józef *Kozik*, Tadeusz *Miciukiewicz*, Kazimierz *Sichrawa*, *Skrzypczak*, *Trela*, oraz dwaj więźniowie Niemcy — Julius *Hutzler* i Ernst *Woop*. Zaopatrzeniem zajmował się Kazimierz *Żarlikowski*, funkcje pomocnicze (kalifaktorzy i gońcy) pełnili: Rudolf *Hajduk*, Edward *Kopiec*, Jerzy *Michnol*, Bronisław (Bruno) *Miernik*, Robert *Palenga*, Alojzy *Urbańczyk*. Było jeszcze dwóch Czechów: *Kopecky* oraz przyjaciel J. *Kozika*, Karol, którego nazwiska nie pamiętam. Na pewien czas był skierowany do kancelarii bez specjalnych obowiązków więzień Litwin, *Sidikauskas*, przebywał tam także niekiedy więzień polski *Petlaro*, o którym mówiło się, że na polecenie komendantury obozu pracuje nad jakimś technicznym wynalazkiem.

W okresie nasilenia transportów wprowadzona została także praca w biurze na nocnej zmianie, ażeby można było nadążyć z wypełnianiem list i kart ewidencyjnych. Ponieważ podczas tej zmiany nikt nie dozorował pracujących, chętnie przyjmowaliśmy wyznaczanie na nocną „szychtę".

Obok kancelarii w bloku 24 mieściła się izba muzeum, w której zaczęto gromadzić różne przedmioty zebrane z domów burzonych poza obozem, a także niektóre rzeczy przywożone przez więźniów, zwłaszcza żydowskich, np. związane z kultem religijnym. Prowadzenie muzeum zostało zlecone polskiemu więźniowi Franciszkowi *Targoszowi*. Miał on do pomocy dwóch polskich Żydów, *Bluma* i *Brinna*, a poza tym komenda obozu zatrudniała tam okresowo niektórych więźniów malarzy i rzeźbiarzy, między innymi Bronisława *Czecha*, Izydora *Łuszczka*, Mieczysława *Kościelniaka*, Wincentego *Gawrona*, Stefana *Didyka*, Erwina *Fajkosza* i Tadeusza *Myszkowskiego*. W końcowych miesiącach pracownia, przygotowująca eksponaty bądź ozdobne przedmioty użytkowe dla komendantury, mieściła się w suterenach bloku 4.

Pracownicy sekretariatu więźniarskiego pozostawali w bliższych kontaktach — nie tylko z racji wykonywania obowiązków służbowych — z więźniarską obsadą oddziału politycznego, służby pracy, szpitala obozowego (przede wszystkim z jego personelem administracyjnym, pisarzami i niektórymi sanitariuszami) oraz ze wszystkimi pisarzami blokowymi.

Dawało im to możliwość pełniejszej orientacji w stanie obozu, warunkach, pracy, poczynaniach administracji i nastrojach panujących wśród więźniów. Z drugiej strony bezpośrednia styczność z przybywającymi do obozu pozwalała im na zapoznawanie się z najświeższymi wydarzeniami w kraju, a ponadto ułatwiała im informowanie zastraszonych przybyszów o systemie obozowym i możliwościach przeżycia. W miarę możności pisarze spisowi ułatwiali „zugangom" przebrnięcie przez „otrzęsiny" przed skierowaniem do bloków i starali się pomóc im przy załatwianiu wstępnych formalności. Trzeba było jednak uważać, czy nie ma w pobliżu jakiegoś esesmana albo niemieckiego kapo. (Wystrzegaliśmy się też takich przyjacielskich rozmów z nowymi więźniami w obecności zatrudnionego w grupie oddziału politycznego więźnia pochodzenia ukraińskiego, B.K., po ostrej scysji, jaką miał w tej sprawie z naszym kolegą *Kufflem*).

Na zasadzie dygresji można przytoczyć humorystyczny epizod z jednego spisu, w którym uczestniczyłem w *Birkenau*. Spisywaliśmy grupę więźniów żydowskich wyłączonych z dużego transportu z Francji jako „zdolnych do pracy". Odpowiadając na pytania spisowe, zadawane im trochę po niemiecku, a trochę łamaną francuzczyzną, podawali między innymi miejsce urodzenia. Jeden z tych więźniów wymienił miejscowość, której nazwa w jego wymowie brzmiała jak Belle Chateau (wymawia się: bel szato). Zapytałem go więc, w jakim to jest departamencie, na co otrzymałem odpowiedź, że jest to miejscowość w Polsce. — A jaka jest jej polska nazwa? — zapytałem jeszcze; powtórzył tak samo: bel szato. Dopiero gdy go poprosiłem, aby to napisał, mogłem zrozumieć, że chodzi o Bełchatów, w ten sposób wymawiany z francuska.

Podczas tego spisu dowiedzieliśmy się, że przy wyjeździe transport był określony jako skierowanie do pracy na terenach, które dawniej należały do Polski, i że zalecano rodzinom żydowskim zabrać z sobą wszystko, co pomoże im do ułatwienia sobie i uprzyjemnienia życia w miejscu osiedlenia. Oczywiście przy rozładowywaniu transportu zabierano wszystkie przywiezione rzeczy rzekomo do depozytu.

W jednym tylko wypadku nasi pisarze spisowi wykazali nieczułość na los nowo przybyłych więźniów. Było to przy wypełnianiu danych dotyczących grupy banderowców [4], przysłanych do

[4] Wiedzieliśmy wtedy o nich, że byli nacjonalistami ukraińskimi w służbie hitlerowców.

obozu wskutek narażenia się w czymś swoim hitlerowskim mocodawcom. Część bloku 13 była wówczas przeznaczona na pomieszczenia kwarantannowe i przy wejściu do niego dokonywano późnym wieczorem spisu tej grupy. Butni i aroganccy, pewni zapowiadanych im przez SS względów i przywilejów, więźniowie ci wręcz wrogo zachowali się wobec polskich więźniów i wszczęli awanturę, którą z użyciem siły zażegnała dopiero wezwana obsługa bloku.

Zapoznawanie się z „zugangami", zwłaszcza gdy chodziło o znajomych sprzed wojny lub o nazwiska osób szerzej znanych, umożliwiało przekazanie wiadomości o ich przybyciu tym, którzy mogli im w jakiś sposób pomóc. Niestety bywało i tak, że z nazwiskami swoich kolegów zetknąłem się dopiero wtedy, gdy przekładałem ich kartotekę do „ubytków". Tak więc zbyt późno dowiedziałem się o losie moich kolegów z Akademickiego Związku Podhalan, dra L. *Bednarczyka*, A. *Zachemskiego* i G. *Suskiego*. Również krótko, jak stwierdziłem, pożył w obozie więzień pochodzący z mojej rodzinej wsi na Podhalu, Jan *Bryjak*. Gdy w moich rękach znalazła się jego karta z wypisaną datą śmierci, dowiadywałem się, na co chorował. Uzyskałem jednak informację, że krótko po przybyciu był zatrudniony w grupie elektromonterów. W miejscu jego pracy wybuchł pożar wskutek zwarcia w przewodach, a zatrudnionych tam więźniów, wśród nich i jego, posądzono o sabotaż i rozstrzelano. Rodzina otrzymała później zawiadomienie o śmierci, jak zwykle wskutek jakiejś wymyślonej choroby, a w kartotekach wpisano odpowiednią datę: „*gestorben am...*".

Za pośrednictwem kancelarii doręczano pisarzom blokowym polecenia komendantury, *rapportführera* lub obozowego gestapo doprowadzenia następnego dnia po apelu porannym więźniów, którzy mieli być przedstawieni do raportu karnego, przeniesieni do innego obozu lub skierowami na dodatkowe przesłuchanie, albo tych, których czekała najtragiczniejsza ewentualność — odprowadzenie na blok 11 do bunkra lub pod ścianę śmierci. Gdy wezwani oczekiwali w naszym biurze na przyjście *rapportführera Palitzscha* i decyzję, nie mogliśmy patrzeć na nich spokojnie. I oni, podobnie jak my, domyślali się dalszego ciągu, czasem byli nawet pewni, po co ich wezwano. Kiedy w drugiej połowie sierpnia 1942 r. w takiej sytuacji znalazł się Stanisław *Dubois*, przebywający w obozie pod nazwiskiem *Dębski*, pracował jeszcze w sekretariacie Roman *Frankiewicz*, który się z nim przyjaźnił przed aresztowaniem. Przypuszczam, że wieczorem poprzedniego dnia Roman, dowiedziawszy się, że wśród wezwanych na następny dzień jest także numer *Dębskiego* (3904), uprzedził go o tym. *Dubois* był zupełnie spokojny i jeśli nawet znał już prawdę, był przygotowany na to, co go czekało.

Trudno było jednak nie poddać się wzruszeniu, gdy w lutym 1943 r. stawały w naszej kancelarii przyprowadzone z *Birkenau* kilkunastoletnie dzieci z Zamojszczyzny, które w pierwszej połowie grudnia wraz z rodzinami przywieziono z Lublina. Nie wierzyliśmy bowiem, gdy odbierał je *rapportführer Palitzsch*, że mają one być skierowane częściowo na kwarantannę przed zwolnieniem, a częściowo do rewiru na szkolenie sanitarne. Wkrótce przekonaliśmy się, że i na nich dokonana została zbrodnia ludobójstwa.

Przeżyliśmy także poważny wstrząs, gdy pewnego dnia do grupy wezwanych przez *Politische Abteilung* i odprowadzanych przez *rapportführera* na blok 11 dołączono pracującego z nami Tadeusza *Sztabę*, więźnia z transportu lubelskiego. Wiedzieliśmy, że więźniowie z lubelskich transportów są systematycznie likwidowani przez obozowe gestapo i zdawało się, że los *Sztaby* także został przypieczętowany. Wówczas jednak kierujący naszą pracą *rapportschreiber Distel* udał się do komendanta obozu z interwencją w sprawie swojego pracownika i po jakimś czasie Tadek został odprowadzony z powrotem do bloku, w którym mieszkał. Już dotychczas postępowanie *Distla* w stosunku do nas było bez zarzutu, ale zwłaszcza przez ten krok zyskał on sobie naszą sympatię i wdzięczność.

Kancelaria więźniarska dysponowała nie tylko aktualnymi danymi o stanie obozu, lecz także materiałem obrazującym zachodzące w nim zmiany. Stąd też wynikała nasza styczność z pracownikami tych ośrodków w obozie, które w tych zmianach uczestniczyły, zwłaszcza szpitala więźniarskiego i oddziału politycznego. Uzgadnialiśmy wzajemnie niektóre dane liczbowe i personalne, a po koleżeńsku informowaliśmy się wzajemnie o prowadzonych akcjach. Nie wolno było wprawdzie poza drogą służbową podawać nazwisk poszukiwanych za odpowiednimi numerami czy miejsca pobytu poszczególnych więźniów, ale nie przestrzegaliśmy tego zakazu, gdyż pragnęliśmy ułatwiać bliskom kolegom nawiązywanie kontaktów z poszukiwanymi współwięźniami.

Istota i zakres wielu szczegółów całokształtu tajnego ruchu oporu w *KL Auschwitz-Birkenau* nie znalazły dotychczas właściwego odzwierciedlenia we współczesnych skąpych, a niekiedy jednostronnych wzmiankach, ale też nawet w monografiach. Trudno zresztą oczekiwać pełnego obrazu konspiracji oświęcimskiej chociażby dlatego, że rozwijała się w bardzo różnych ogniwach, nie zawsze zazębiających się, a jedni konspirujący często nie byli świadomi działalności innych. Wielu zginęło już w obozie. Powojenne relacje dali oczywiście ci, co przeżyli. Trzeba również wziąć pod uwagę, że w wielu akcjach (pomocy wzajemnej i samoobrony) uczestniczyły też grupy czy poszczególni więźniowie bez wiązania się przysięgą i nie znając ośrodków kierowniczych akcji.

Szpital więźniarski był zawsze jednym z najważniejszych ognisk konspiracyjnej działalności w obozie. Dla zdobycia niektórych środków leczniczych trzeba było za pośrednictwem komand pracujących poza obozem nawiązać łączność z polskimi robotnikami cywilnymi. Łączność ta mogła być jednocześnie wyzyskiwana w celu przekazywania światu informacji o tym, co się dzieje w obozie. Służba szpitalna miała także pewien wpływ na skład osobowy transportów, którymi wysyłano więźniów do innych obozów. Niekiedy dzięki odpowiedniemu zastrzykowi i orzeczeniu o niezdolności do wyjazdu można było zapobiec włączeniu jakiegoś więźnia do karnego transportu. Na odwrót, odpowiednie zabiegi pisarzy mogły przyczynić się do wpisania na listę przeznaczonych do takiego transportu osób, co do których istniało stwierdzenie, że działają na

szkodę innych. Przez przyjęcie na leczenie w rewirze udawało się także niekiedy uchronić jakiegoś zagrożonego więźnia od groźnych szykan kapów.

Pisarze z bloków szpitalnych, przynoszący do naszego biura oficjalne meldunki i wykazy, a także pracownicy pomocniczy z rewiru wykorzystywali nieraz bytność w sekretariacie w celu uzyskania informacji wykraczających poza ich służbowe zadania. Ze mną kontaktował się najczęściej Stanisław *Kłodziński*, dla którego przygotowywałem — oczywiście bez wiedzy innych — wyciągi dotyczące aktualnego stanu liczbowego więźniów z podziałem na zasadnicze kategorie oraz informacje o bieżących zmianach w tym zakresie, „zugangach", transportach, zgonach i akcjach likwidacyjnych. Żeby uniknąć podejrzeń z powodu dość częstych wizyt *Kłodzińskiego*, spotykaliśmy się czasem poza biurem, np. podczas przeprowadzanego przy blokach przeglądu odwszeniowego (*Läuseappell*). Kilkakrotnie przekazywałem przygotowane materiały Józefowi *Cyrankiewiczowi*, który pod koniec listopada 1943 r. został zwolniony z bunkra przez nowego komendanta *Liebehenschla* i przebywał w rewirze szpitalnym, gdzie po pewnym czasie zaczął pełnić funkcje pomocniczego sanitariusza.

Zarówno sytuacja na froncie wschodnim, jak też światowe echa wiadomości o metodach stosowanych przez *SS* w *KL Auschwitz-Birkenau* spowodowały pewne złagodzenie obozowego rygoru. Starszym obozu (*Lagerälteste*) został mianowany więzień polityczny, Austriak, Heinz *Dürmayer*, doktor praw, były uczestnik walk w Hiszpanii. Pewnego razu, podczas pobytu w kancelarii dał mi on do poznania, że zna rolę, jaką odgrywają nasi koledzy w rewirze i zapewnił mnie, że mogę mieć do niego zaufanie.

W tym okresie jednak wzmogła się także aktywność obozowego gestapo. Dużą liczbę więźniów polskich przekazano do innych obozów na terenie III Rzeszy, a jednocześnie zaczęto usuwać dowody popełnionych zbrodni, a więc także niszczyć dokumentację dotyczącą masowych akcji likwidacyjnych. Trzeba było wzmóc starania o zachowanie chociaż części materiałów dowodowych. Także w tym zakresie ważną rolę odegrał ośrodek rewiru szpitalnego.

W dniu 17 stycznia 1945 r. przed mającym nastąpić w nocy wymarszem ewakuacyjnym otrzymaliśmy polecenie spalenia pozostałych jeszcze dokumentów. Między blokami 24 i 23, na śniegu, zostało rozpalone ognisko, do którego wrzucaliśmy wynoszone z biura segregatory z wykazami więźniów, księgi ewidencyjne i kartotekę. Starałem się zagrzebać w śniegu poza ogniskiem niektóre wykazy i chociaż część kart ewidencyjnych w nadziei, że dostaną się one do rąk oddziałów, jakie wkroczą na teren obozu po opuszczeniu go przez hitlerowską załogę. Pod dużymi skrzyniami biurowymi próbowałem też upchać niektóre dokumenty. Wieczorem odszedłem do bloku, ażeby przygotować się do zapowiedzianego wymarszu.

Po jakimś czasie przybiegł po mnie goniec z wiadomością, że komendant, *obersturmführer* Franz *Hoessler*, wzywa mnie do biura. Podobno zobaczywszy tam część nie spalonych jeszcze kart, krzyczał: *Wo ist der Karteimeister? Ich werde ihn erschiessen*! (Gdzie jest prowadzący kartotekę? Ja go zastrzelę!). Koledzy zaczęli wynosić resztki akt do rozpalonego na nowo ogniska, a ponieważ *Hoessler* potrącał stoły i skrzynie i mógł odkryć znajdujące się pod nimi dokumenty, ukradkiem wyciągali je i wynosili. Z trwogą meldowałem się u komendanta, przygotowany na najgorsze. Na zapytanie, dlaczego część kart nie została jeszcze spalona, odpowiedziałem po otrzymaniu uderzenia w twarz, że palenie zostało przerwane po zapadnięciu zmroku ze względu na obowiązujące zaciemnienie dla obrony przeciwlotniczej. Nie wiem, czy uwierzył, w każdym razie kazał tylko dokończyć palenie.

I tym razem zatem uniknąłem losu, jaki groził mi codziennie od aresztowania w dniu 2 listopada 1939 r. Czekał mnie jeszcze marsz w kolumnie ewakuacyjnej przez Pszczynę, Porębę, Jastrzębie do Wodzisławia, czterodniowy transport otwartymi wagonami węglowymi przez Morawską Ostrawę do Mauthausen, a potem z górą trzymiesięczna, wyczerpująca ostatek sił praca w sztolniach Melku i Ebensee.

Wymieniłem w tych wspomnieniach sporo nazwisk. Wielu z kolegów, których nazwiska podałem, nie przeżyło obozu, niektórzy doczekali wprawdzie wyzwolenia, lecz zmogły ich w późniejszych miesiącach i latach choroby, które były następstwem przeżyć obozowych. O niektórych nie mam obecnie żadnej wiadomości, ale pozostało jeszcze kilku, z którymi utrzymuję łączność przynajmniej korespondencyjną, a z paroma nawet spotykam się czasem. Jest nas już jednak coraz mniej.

Na koniec pragnę dodać, że zachowały się prawie wszystkie listy, które z obozu w *Auschwitz* wysłałem do swoich rodziców w Podczerwonem na Podhalu. W liście z 22 marca 1942 r. chciałem dać wyraz zadowoleniu, że uzyskałem przydział do pracy w warunkach o wiele lepszych niż dotychczas i napisałem (oczywiście — zgodnie z obowiązującą zasadą — po niemiecku):

„Cieszy mnie bardzo, że Jasiek otrzymał dobre stanowisko pracy. On pisze, że często spotyka się ze Zbyszkiem, Stefkiem i Bolkiem, a przez pewien czas nawet mieszkał razem ze Stefkiem. Powinni się więc czuć dobrze, tym więcej, że mają tam także innych kolegów i znajomych i nie są samotni.

Jeśli otrzymacie list od Edka z Warszawy, napiszcie mi, jak mu się teraz powodzi".

Inne listy podpisywałem zwykle: Jasiek, w tym jednak wypadku, w celu uniknięcia skojarzenia przez cenzurę podpisu z wiadomością o Jaśku, podpis brzmiał: Jan.

Ze wspomnianych w liście żaden już nie żyje. Zbyszek (*Różak*), aresztowany wraz ze mną (oraz Z. *Kolankowskim*, St. *Jodko-Narkiewiczem* i St. *Sidorowiczem*), był później przeniesiony do *KL Neuengamme*, gdzie zginął wkrótce po wyzwoleniu obozu. Bolek (*Olszewski*) włączony został potem do *Bauzugu* i zginął w wypadku. Jego brat, Stefek, przeszedł w Oświęcimiu tyfus, ale jako niezdolny do pracy ozdrowieniec został wraz z innymi „muzułmanami" skierowany do komory gazowej.

Edek z Warszawy — to nieżyjący już Edward *Marzec*, który wówczas został zwolniony z obozu, a którego przy jego odjeździe prosiłem, aby napisał do moich rodziców i powiadomił ich o tym, jak się czuję i jak on się urządził.

Z myślą o tych, co odeszli, napisałem to wspomnienie.

FELIKS MYŁYK
były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 92

Charzewice

Notatki oświęcimskie

Wiadomo już dobrze, że relacje nasze, byłych więźniów, niekoniecznie muszą dotyczyć rewirów (szpitali) obozowych, ażeby zawierać treści interesujące z punktu widzenia medycznego czy psycho-socjologicznego. A poza rewirami w różnych komórkach struktury obozu działy się rzeczy bardziej znane z wielu już opracowań i wspomnień, co dotyczy też rewirów, jak i do dziś kryje się tam wiele tajemnic.

Ileż na przykład dramatów, urazów, okaleczeń psychicznych i fizycznych, śmierci w męczarniach itd. wiązało się z przesłuchaniami! O nich niewielu zresztą może powiedzieć, nie licząc oczywiście tych, co je przeżyli, a i też obóz przetrwali. Nawet na przykład żaden z więźniów zatrudnionych w lagrowym oddziale (wydziale, sekcji) politycznym (*Politische Abteilung*) nigdy nie był obecny przy przesłuchaniach. Później, gdy w *Politische* zostały zatrudnione Żydówki, kilka z nich wybrano na sekretarki tamtejszych funkcjonariuszy i z tej racji były one obecne przy przesłuchaniach jako protokolantki. I jeżeli coś wiem na ten temat, to tylko z relacji tych właśnie Żydówek, które miały zresztą zaufanie do mnie, gdyż byłem łącznikiem między nimi a ich krewnymi w obozie męskim, o ile ci znajdowali się w naszym obozie „macierzystym" (*stammlagrze, Auschwitz I*). Piszę o *Politische*, gdyż tam byłem zatrudniony.

Warto tutaj przypomnieć, że oddział ten był podporządkowany wprost *RSHA (Reichssicherheitshauptamt)*, tj. Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy. Decydując o losach więźniów, oddział ten był ich postrachem. Dzielił się na registraturę (*Registratur*), oddział przyjęć (*Aufnahme Abteilung*), Urząd Stanu Cywilnego (*Standesamt*), oddział przesłuchań (*Vernehmungsabteilung*), oddział prawny (*Rechtsabteilung*) i oddział służby rozpoznawczej (*Erkennungsdienst*). Już pierwszy kierownik *Politische Abteilung*, gestapowiec Maximilian *Grabner, untersturmführer SS*, zasłynął ze swego okrucieństwa.

Inni koledzy więźniowie zajmowali się już w swych wspomnieniach poszczególnymi aspektami działalności *Politische*, lecz, jak oceniam, niewiele jest takich relacji. Sprawy te ujawniały się też przy okazji procesów oświęcimskich. Pamiętam artykuł o *Erkennungsdienst*, napisany przez nieżyjącego już Alfreda *Woycickiego* (pt. Dwa oblicza „służby rozpoznawczej". Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 182—184). A teraz wracam pamięcią — wyjawiam: bardzo niechętnie, ze względu na mocno nieprzyjemne doznania — do swego okresu obozowego.

Była jedna z sobót lipca 1940 r. W lagrze byłem już miesiąc. Dzień to letni, upalny, godzina mniej więcej 11 czy 12. Więźniowie zatrudnieni w różnych oddziałach pracy, tzw. *arbeitskomandach*, w obozie obejmującym wtedy trzy bloki, pierwsze od Soły. W lagrze przeszło tysiąc ludzi, tzw. *häftlingów*, przybyłych 14 czerwca z więzienia w Tarnowie, 20 czerwca z więzienia w Wiśniczu Nowym oraz niektórych jeszcze ze Śląska.

Mnie przypadła praca w *Politische Abteilung*, gdzie spełniałem rolę gońca, „pucybuta" oraz *schreibera*, czyli pisarza na maszynie do pisania. Oddział polityczny wówczas jeszcze miał swoje pomieszczenie za torami bocznicy kolejowej, w budynku, w którym później mieścił się tzw. *Truppenwirtschaftslager*, czyli magazyn gospodarczo-żywnościowy *SS*. Naraz rozległ się przeraźliwy głos syreny alarmowej. Wszyscy więźniowie wracają popędzani przez esesmanów kolbami karabinów, popędzani też przez kapów, tj. kierowników poszczególnych grup pracy, niemieckich przestępców pospolitych, pałkami do obozu.

Odbywa się apel, czyli sprawdzanie obecności wszystkich więźniów. Szeptem rozchodzi się wiadomość wśród więźniów, że jeden z *häftlingów* uciekł. Jest więc sprawa dla *Politische*. Jeszcze nie uświadamiamy sobie tego, jakie konsekwencje wynikną z tego faktu dla nas, więźniów w biało-niebieskich pasiakach, gdyż jest to pierwsza ucieczka z obozu. Jeszcze na razie wszyscy, którzy przybyli z transportami do obozu, żyją. Stoimy uszeregowani po dziesięciu więźniów „blokami": blok 1, blok 2 i blok 3. Ja stoję ze swoim bratem i dwoma braćmi mojej żony w „bloku" ustawionym między budynkiem bloku 1 a drutami kolczastymi od strony drogi, prowadzącej od Soły. Zaraz za drutami ustawiony jest na podwyższeniu karabin maszynowy, skierowany wylotem w naszym kierunku, gotowy w każdej chwili plunąć w nas swym śmiercionośnym ogniem. Takie karabiny ustawione są na każdym rogu ogrodzenia, a obok nich wielkie „głowy" reflektorów.

Wszyscy jesteśmy z gołymi głowami, ubrani w cienkie pasiaki. Głowy ogolone do gołej skóry robią niesamowite wrażenie, gdyż są nienormalnie wielkie, spuchnięte i czerwone od palącego słońca. (Nigdy nie uwierzyłbym, że głowa może spuchnąć; myślałem, że powiedzenie „głowa mi puchnie" jest tylko metaforą). Nikomu nie wolno się ruszyć ani drgnąć, każdy musi stać wyprostowany na baczność. Kapowie wraz z esesmanami biegają wokół nas, i wrzeszcząc, biją pałkami, nahajami, prętami żelaznymi i czym się tylko da, każdego, kto nieopatrznie, choć lekko odwrócił głowę, zrobił jakiś ruch ręką czy poruszył ustami. Nie wolno wyjść za potrzebą fizjologiczną.

Przed wejściem do bloku 1 ustawiono kozioł (rodzaj stolika, sporządzonego z grubszych listew drewnianych, którego tzw. blat, zrobiony również z tych listew, był w kształcie lekko wygiętego koryta), obok niego stolik i parę taboretów. Zjawiają się esesmani z wydziału politycznego, z *Grabnerem* na czele, i zaczyna się „przesłuchiwanie" więźniów w sprawie ucieczki.

Jeden z więźniów, znający biegle język niemiecki oraz niemiecką stenografię, otrzymuje

rozkaz zajęcia miejsca przy stoliku w celu spisywania zeznań składanych po polsku w języku niemieckim. Każdy przesłuchiwany, jeśli odpowie, że nie zna tego, który uciekł i nic nie wie o ucieczce, jest brutalnie rzucany na kozioł przez trzymających go esesmanów. Tu przytrzymują ofiarę przyciśniętą mocno twarzą do korytkowatej powierzchni tego narzędzia, naciągając mocno spodnie na siedzeniu, a dwaj inni esesmani z dwóch stron biją z całej siły nahajami na przemian po siedzeniu. Słychać tylko świst opadających nahajów. Oczywiście po paru zaledwie uderzeniach krew tryska poprzez spodnie, a niesamowite krzyki maltretowanego rozlegają się dookoła.

Nieszczęśliwy, który najpierw powiedział, że nie znał tego, co uciekł, nie mogąc znieść cierpienia, bełkoce na pół przytomnie, że powie, że wie, jak uciekł, co natychmiast stenograf notuje. Zdejmują więc pokrwawioną ofiarę z kozła i kontynuują dalej przesłuchanie, oczywiście po chwili więzień ten znów mówi, że nic nie wie i nie zna uciekiniera. Rozwścieczeni esesmani ponownie rzucają go na kozioł i biją, szatkując swej ofiarze siedzenie, krew tryska naokoło, katowany traci wreszcie przytomność i jest rzucony jak bezużyteczny łachman pod ścianę bloku, niepodobny do człowieka, a raczej do jakiejś bezkształtnej skrwawionej masy. Następuje przesłuchanie następnego więźnia.

W tym czasie wszyscy muszą stać na baczność. Niektórzy padają zemdleni na skutek strasznego upału i pragnienia. Tych muszą ich sąsiedzi z szeregu odnieść pod ścianę bloku, gdzie wylewa się na nich wiadro wody. Po przyjściu do przytomności muszą wracać do szeregu na swoje miejsce. Nieszczęśni więźniowie moczą po nogach, a tu kapowie uważają i zaraz takiego nieszczęśnika wyciągają z szeregu, bijąc go po spuchniętej głowie, kopiąc w żołądek, uderzają pięścią w usta, a gdy ten zwali się półprzytomny na ziemię, ciężko tylko stękając i krwawiąc, kopią go gdzie popadnie.

Przy koźle w dalszym ciągu trwa okrutne „przesłuchanie", krew już strumieniami spływa do rynsztoka. Nadchodzi noc. Koszmarna noc. Reflektory oślepiają nas. Zerkam kątem oka, czy mój brat młodszy, czy bracia mej żony są jeszcze w szeregu, czy stoją, czy żyją. Nogi moje drżą, drżę cały. Drżę z potwornego strachu i zimna. Robi się coraz zimniej, zresztą nie tylko mnie. Noc chłodna, głód (zjadło się śmiesznie mały kawałeczek chleba jeszcze rano i od tej pory nic w ustach), język formalnie skołowaciał, po prostu przeszkadza jak jakieś obce ciało, chciałoby się go wypluć.

Niesamowite krzyki rozlegają się nadal od strony kozła. Naraz któryś z esesmanów pośliznął się obok kozła na spływającej krwi i wrzasnął: *verfluchtes polnisches Blut*! (przeklęta polska krew). Noc się dłuży, krzyki maltretowanych nie milkną. Nie milkną również krzyki oprawców — esesmanów i kapów znęcających się nad swymi ofiarami. Wiemy, już, że uciekł więzień nazwiskiem „nomen-omen" *Wiejowski*.

Naraz obok mnie wyrywają esesmani jednego więźnia, o którym wiedzieliśmy, że nazywał się *Baworowski* i był wykształconym człowiekiem, władającym kilkoma językami; w okresie późniejszym był nawet tłumaczem obozowym, tzw. *dolmetscherem*. Wyciągają jeszcze jednego nieszczęśnika, gdyż nie mogąc wyjść za potrzebą, narobili w spodnie i było czuć. Rozbestwieni esesmani i kapowie okładają swe ofiary pałkami i nahajami, kopiąc stojące przed sobą ofiary, każą im zdjąć spodnie, rękami wygarnąć kał i położyć go przed sobą. Następnie kazali obu tym nieszczęśnikom stanąć z obu stron kału na czworakach i szczekać na niego. Twarze obu tych więźniów były co chwilę nurzane butami esesmanów w kale.

Przesłuchiwanie trwa nadal. Co chwilę słychać rozdzierające krzyki torturowanych: Jezus Maria! Matko moja!, O Chryste!, krzyki przemieniają się co chwilę w rzężenie. Coraz więcej ludzi leży już pod ścianą bloku, prawie nie dają znaku życia. Coś ssie człowieka we wnętrzu. Kiedy się to wszystko skończy? Czy tak wygląda piekło, piekło, o którym mówili nam na lekcji religii katecheci, którym straszyli nas jako dzieci nasi rodzice? Chyba nie, bo tutejsze piekło jest przecież stokroć gorsze.

Przesłuchiwania te oraz towarzyszące im okrucieństwa trwają do godziny 15 dnia następnego, w niedzielę. Plon przesłuchania? Kilkudziesięciu straszliwie storturowanych więźniów, więźniów niezdolnych do poruszenia ani ręką, ani nogą, nic nie widzących z powodu czarnych, zapuchniętych od bicia oczu, w pasiakach zesztywniałych z powodu krwi zakrzepniętej na nich. Oto jak wygląda prawda o obozach koncentracyjnych. A przecież to tylko pierwsza doba z początków pierwszego roku trwania obozu i to wobec tego, co działo się później, było jeszcze, można powiedzieć, niewinną igraszką.

Czy ktoś zechce w to uwierzyć, czy w obozie takim można było być bohaterem w znaczeniu stereotypowym, czy tym można się chwalić, czy to może stanowić powód do dumy? Nie, po stokroć nie! Jeżeli od czasu do czasu mówimy o tym, to tylko dla prawdy historycznej. Czy to potrzebne? Czy należy o tym mówić w tak brutalny sposób, teraz, po latach, po wielu opisach męczeństwa i martyrologii? Chyba tak, gdyż to, co dzieje się jeszcze dziś na świecie, to ciągłe niewyzwolenie się człowieka z agresji i okrucieństwa, wskazuje na to, że takie memento jest nadal aktualne.

A teraz przypomnienie innego dnia w obozie. Jesień, 29 października 1940 r. Dzień pochmurny, deszczowy i zimny. Południe. Rozlega się syrena, a z nią rozpoczyna się przerwa obiadowa. Poszczególne komanda wracają z pracy do obozu na południowy apel. Wówczas, w tym wczesnym okresie działania lagru, apele odbywały się trzy razy dziennie: rano, w południe i wieczór. Ludzi w obozie stosunkowo niewiele, komand pracy również. Obóz nie był jeszcze rozbudowany, nie było wszystkich bloków, a z tych, które istniały chyba od czasów austriackich jako koszary wojskowe, większość była jeszcze parterowa. Deszcz siąpił zimny, wokoło wszędzie błoto, sięgające do kostek. Na razie nie mamy ani tzw. zimowych pasiaków, ani płaszczy, nie wszyscy też jeszcze mieli czapki pasiakowe.

Rozpoczyna się apel. Trwa bardzo długo, coś się nie zgadza, kogoś brakuje, nie wiemy, kogo. Robi się coraz zimniej. Przenikliwe zimno wciska się, zdawać by się mogło, w każdy por cia-

ła. Jesteśmy głodni, od rana nie mieliśmy jeszcze nic w ustach, zresztą nie wszyscy zjedli nawet to niewielkie śniadanie, gdyż chleb rozdzielony był wieczorem i miało go starczyć i na rano, ale większa część więźniów nie miała na tyle silnej woli, by część chleba zostawić na śniadanie i zjadła go cały zaraz po rozdaniu wieczorem dnia poprzedniego.

Z nie okrytych głów leje się woda deszczowa za kołnierz, przemaka całe ubranie i spodnia bielizna. Stopy, obute w tzw. holendry, tj. dłubanki drewniane lub drewniaki, tzn. mające jednolite drewno pod spodem, a z wierzchu, z przodu pokrycie brezentem, który na deszczu twardnieje — toną w błocie, które wlewa się i do holendrów, i do drewniaków. Stopy, nie przyzwyczajone do takiego „obuwia", są poranione od drewna i od twardego brezentu. Czas się dłuży, ludzi ogarnia tępota. Rozlegają się krzyki esesmanów, kapów i *blockältesterów*. Ludzie słabną. Wiadomo już, że ktoś uciekł z tzw. *Industriehofu*.

Z obozu wychodzi grupa kapów, *blockältesterów* oraz kilkunastu wybranych więźniów, by przeszukać pod wodzą esesmanów wszystkie zakamarki *Industriehofu*, gdzie było wiele materiału budowlanego, jak stosy desek, grubego drewna budowlanego i innych. Reszta blokowych, ich zastępców oraz kapów pozostała pod wodzą *blockführerów* w obozie i podzieliwszy „bloki" na mniejsze grupy więźniów, urządziła im sport, tzn. wszyscy musieliśmy biegać w swych grupach po obwodzie utworzonego koła z rękoma założonymi za kark (*Hände auf Nacken*). Rozdeptywane błoto utworzyło rzadką maź, która wlewała się do holendrów i drewniaków. Większość więźniów gubiła nawet te holendry czy drewniaki i biegała jedynie w dziurawych skarpetach z pokrzyw, jeśli je w ogóle miała jeszcze na nogach. Ludzie zaczynają padać jak muchy, są kopani i bici przez esesmanów i kapów, a gdy pomimo tego nie mogą ustać na nogach, są rzucani pod drzewa, wówczas znajdujące się jeszcze na dawniejszym „manežu", a teraz placu apelowym.

W pewnej chwili zauważyłem, że brat mej żony, Stanisław *Żurawski*, nr więźnia 94, upadł w błoto. Dopadli go esesmani, kopniakami i nahajkami zmusili go do powstania. Nie mógł już biegać, nie mógł już utrzymać rąk na karku; chwiejąc się na załamanych nogach, zaczął kręcić się w koło i za chwilę upadł powtórnie. Esesmani i kapowie zaczęli go kopać gdzie popadło, w głowę, brzuch, plecy. Błoto wokoło twarzy, którą trudno było rozpoznać, zaczerwieniło się krwią. Brat mej żony nie reaguje już ani na kopanie, ani na bicie. Rzucono go pod drzewo, gdzie po kilku jeszcze drgawkach skonał.

Obserwowałem to wszystko, biegając w tym błocie z rękami na karku. Coś we mnie skowyczało, skowyczało na skutek bezsilności, że jestem obok, że patrzę i nic pomóc nie mogę, że mego brata rodzonego, że mnie samego taki sam koniec czeka. Przewalają się w głowie myśli, co robić, przecież tak czy inaczej zginę, to czy nie warto bodaj jednego czy nawet dwu z naszych oprawców zabić, zabić wcześniej, zanim sam zginę... Nie, to się, niestety, nie uda, gdyż esesmani na terenie obozu nie nosili broni, którą by można im wyrwać, poza tym zawsze gdzieś głęboko we mnie tkwiła jakaś iskierka nadziei, że może nadarzy się lepsza okazja, że może jednak losy wojny się zmienią...

Tymczasem trwa jednak w dalszym ciągu „sport", gdyż ciągnie się poszukiwanie uciekiniera z *Industriehofu*. Uporczywy deszcz, plucha, zimno, błoto i cała beznadziejność, tragizm sytuacji spowodował, że większość już więźniów, jak zauważyłem, miała tępy wyraz twarzy, twarze zsiniałe z zimna, brudne od odprysków błota, oczy zapadnięte i błędne. Wreszcie gdy zaczął zapadać już zmierzch, wrócili esesmani i kapowie z *Industriehofu*, skąd więźniowie zabrani z obozu przynieśli na deskach „uciekiniera", ale już martwego. Okazało się, że biedaczysko wcale nie uciekł, tylko będąc kompletnie wycieńczony, chory, schował się przed deszczem w stosie desek i tam po prostu umarł, stając się w ten sposób mimowolną przyczyną udręki i śmierci swych współtowarzyszy niedoli. Westchnienie ulgi, koniec „sportu", więźniowie zostają rozpuszczeni i wracają do swych bloków.

Na drugi czy trzeci dzień, będąc w pracy w *Politische*, dostałem od *rottenführera SS, Kirschnera, todesmeldunki* (stwierdzenia o śmierci) z *Krankenbau*, tj. rewiru, zgodnie z którymi miałem wypisać telegramy (wówczas jeszcze pisało się takie telegramy) do rodzin więźniów zmarłych w obozie oraz tzw. *benachrichtigungi* do odpowiednich placówek gestapo bądź do *kommandeurów der Sicherheitspolizei und des SD* odpowiedniego dystryktu. Wśród tych meldunków o śmierci z *Krankenbau* był również meldunek o śmierci brata żony, a zmarł on według tego meldunku dnia 29 października 1940 r. na „Körperschwäche" (ogólne wycieńczenie). Co się we mnie wtedy działo? Oczywiste kłamstwo, zawarte w meldunku, musiałem ja sam, własną ręką powtórzyć tak w telegramie, do rodziców brata żony, jak i do krakowskiego „Sipo". W takich telegramach nie podawano prawdziwej przyczyny śmierci, jedynie do odpowiedniego gestapo. W telegramie podawano jedynie, że „Näheres durch Sipo" takie a takie. Podobne kłamstwa musiałem niestety stale powtarzać również w stosunku do wszystkich innych „zmarłych" więźniów.

Takie samo kłamstwo powtórzyło się i w stosunku do mego brata, Stanisława (nr więźnia 334), który został zamordowany zastrzykiem fenolu w serce w bloku 20 w 1942 r., a w zawiadomieniu było podane, że umarł na *Herzklappenfehler*, tj. rodzaj choroby serca. Zawiadomienia pisały wtedy już wspomniane uprzednio więźniarki żydowskie, zatrudnione w *Politische*. Co się wtedy we mnie działo? Czy można, czy da się określić słowem czy w ogóle jakimś ludzkim sposobem? Nie wiem. Czy można wyrazić to wewnętrzne rozdygotanie, tę przeogromną rozpacz i nienawiść, bezsilność i chęć odwetu? Czasami ogarniała mnie kompletna apatia, brak chęci do życia, pomimo że z natury jestem optymistą, pełen wiary w siebie i raczej pogodnego usposobienia. Te drugie cechy były chyba w tym czasie gdzieś głęboko ukryte, jakby uśpione w letargu, jeśli tak można się wyrazić, by znowu brać górę po krótszym lub dłuższym czasie. A przecież to był ciągle jeszcze, a raczej dopiero rok 1940, początek naszej tragedii oświęcimskiej, okres szczególnie ostrego reżimu i terroru w obozie.

Nadeszło lato roku następnego. Po obozie rozeszła się wieść, że wszyscy chorzy, przebywający na tzw. *Krankenbau*, będą wywiezieni do sanatorium w Dreźnie. Ja sam potwierdzam tę wiadomość, pochodzącą od więźniów zatrudnionych w *Krankenbau*. Pracuję już od ubiegłego roku w *Politische*, które przeniosło się z dużego budynku — dawniej żywnościowego magazynu wojskowego, a po wyprowadzeniu się oddziału politycznego znowu składu żywnościowego tzw. *TWL* (*Truppenwirtschaftslager*, później *HWL* — *Hauptwirtschaftslager*) — do budynku narożnego, obok którego zostało wybudowane pierwsze krematorium. Od powiernika *Grabnera*, esesmana *Kirschnera*, dostałem polecenie wyciągnięcia wszystkich akt osobowych i kartotek według listy otrzymanej z *Krankenbau*. Miałem te akta i kartoteki posortować alfabetycznie i sporządzić tzw. transportlistę, a raczej *überstellungslistę* „nach Dresden". Gdy miałem już akta i kartoteki wyciągnięte i ułożone alfabetycznie, dostałem polecenie dołączenia do nich jeszcze akt i kartotek *Krankenmanna* i *Siegrutha*, kapów niemieckich, więźniów *berufsverbrecherów*, z zielonymi trójkątami, tj. kryminalistów.

Kto to byli ci kapowie, wiedzą chyba wszyscy więźniowie z pierwszych lat *Auschwitzu*. *Krankenmann* — to kapo od walca drogowego, tzn. od tzw. „komanda walec drogowy", znany z okrucieństwa i wymyślnego sposobu uśmiercania więźniów z tego oddziału pracy. Sadysta, którego nazwisko było postrachem nie tylko dla więźniów, ale i dla okolicznej ludności, gdyż zła sława jego nazwiska przedostała się nawet za druty obozu. *Siegruth*, kapo *Industriehofu*, bez lewej ręki, był podobnie postrachem dla wszystkich więźniów; w komandzie u niego ginęli ludzie uśmiercani w wymyślny sposób za każde najmniejsze nawet — w rozumieniu kapa — uchybienie. Tak więc akta i kartoteki tych dwu kapów dołączyłem do wszystkich już wybranych i sporządziłem *überstellungslistę*. Akta te i kartoteki zapakowałem i wręczyłem esesmanowi Josephowi *Dzierżanowi* z *Politische* (później zmienił nazwisko na *Hofer*), który miał odwieźć do Drezna ten transport chorych.

A co się dzieje w tym czasie w obozie? Szpital obozowy, tzn. i lekarze więźniowie, i pielęgniarze więźniowie, i chorzy — wszyscy są mocno podnieceni, cieszą się, szczególnie chorzy, stłoczeni ciasno obok siebie z powodu braku miejsca, przebywający w warunkach urągających wszelkim wyobrażeniom o zasadach szpitalnych. Cieszą się ci chorzy perspektywą wyzdrowienia w obiecanym sanatorium. Na bocznicę kolejową obok obozu podstawiony zostaje pociąg osobowy. *Pflegerzy*, czyli pielęgniarze z *Krankenbau* wyprowadzają chorych, wynoszą na noszach tych, którzy nie mogą o własnych siłach iść, odprowadzają ich do pociągu. Na bramie obozowej, przy tzw. *blockführerstubie* służbowy esesman sprawdza według listy z *Politische Abteilung* chorych wybywających z obozu. Wychodzą również *Krankenmann* i *Siegruth*, mają się oni opiekować chorymi w czasie transportu. Jest obecny przy bramie również esesman *Dzierżan*.

Wreszcie brama obozu zamknęła się. Chorzy odjechali. Minęło kilka, może kilkanaście dni. W obozie, wśród więźniów zaczynają krążyć jakieś niedobre, tragiczne wieści, że wszyscy ci więźniowie zginęli, ale myślałem, że to jeszcze jedna z tzw. „szajsparoli", czyli plotek obozowych. Po tygodniu, może dwu, w czasie przedpołudniowym woła w wydziale politycznym esesman *Dzierżan*, którego rzeczywiście parę dni nie było: „Milek, Schuhe putzen!" (*Myłyk*, czyść buty!); nazwisko moje było zawsze przez Niemców przekręcane. Woła, abym przyszedł do niego do pokoju i wyczyścił mu buty. Miałem drewnianą skrzynkę, w której przechowywałem wszystkie potrzebne narzędzia do czyszczenia obuwia, a więc pasty, wosk, szczotki i szmaty.

Usłyszawszy zatem wołanie, porwałem swoją skrzynkę „pucybuta" i poszedłem do pokoju *Dzierżana*. W pokoju tym siedział on przed biurkiem i wysunąwszy bokiem jedną nogę w saperce (but z cholewą, ale krótką), czekał na wyczyszczenie. Klęknąłem więc, postawiłem koło siebie skrzynkę z „narzędziami" i wolno „guzdrając się", przygotowywałem się do czyszczenia. *Dzierżan* w tym czasie coś pisał na biurku. Bardzo powoli otwierając pudełka z pastą, rozglądam się i zerkam na stosy różnych akt i kartotek rozłożonych na biurku. W pewnej chwili orientuję się, że są to te same przecież akta i kartoteki, które niedawno sortowałem, sporządzałem z nich wykaz i pakowałem dla esesmana *Dzierżana*, gdy miał je ze sobą zabrać i przekazać do sanatorium w Dreźnie razem z chorymi więźniami.

Zauważyłem, że esesman *Dzierżan* umieszczał na kartotekach różne daty, a przed nimi krzyżyki. Jak gdyby jasny piorun rozświetlił ciemności, poznałem nagle straszną prawdę. Ludzie ci zostali zgładzeni! A więc ta straszna *scheisshausparola* okazała się jakżeż okropniejszą prawdą! Ręce zaczęły mi się trząść, a szczotki i szmaty lecieć z rąk. *Dzierżan* zwrócił uwagę, że coś za pomału czyszczę mu buty i zaczął mnie popędzać swym tubalnym głosem: *los, los, Milek, ich hab' Hunger, ich muss fressen gehen!*, co znaczy: szybko, szybko, *Myłyk*, jestem głodny, muszę pójść coś zeżreć (zbliżało się akurat południe, a z nim pora obiadowa). Wstałem otępiały, zdruzgotany wewnętrznie i psychicznie zupełnie załamany. Ten stan pogłębił się jeszcze, gdy po dwóch dniach tenże *Dzierżan* oddał mi wszystkie akta i kartoteki tych więźniów, mówiąc przy tym, że mam odłożyć je na swoje miejsce zgodnie z uwagą na aktach i kartotekach i nakazując milczenie: *Milek, Schnauze halten!* Wiedziałem, co to oznacza.

Rozpacz moja pogłębiła się jeszcze. Zdałem sobie nagle sprawę, że stałem się niewygodnym świadkiem, o czym esesmani z Politycznego wiedzieli. Jednym słowem stałem się *lagergeheimnisträgerem*, czyli nosicielem „tajemnicy" obozowej. Nie było dla mnie żadną pociechą to, że wśród uśmierconych znaleźli się *Krankenmann* i *Siegruth*. To było dla mnie może pewnym zaskoczeniem, lecz nie pociechą. Wieścią o zgładzeniu wszystkich chorych podzieliłem się oczywiście zaraz z mymi kolegami, a więc z dr. *Pizłą* (nr 333), mym bratem Stanisławem (nr 334 — obaj zginęli w 1942 r.), z kol. Edwardem *Geisslerem* (nr 328, żyje), z Józefem *Gajem* (nr 576), Ludwikiem *Grązem* (nr 82) — obaj zginęli. Eugeniusz *Mścisz* (nr 85) i Jerzy *Pich* (nr 79) którzy zmarli parę lat po wyzwoleniu, jak też i inni, również się o tej zbrodni ode mnie dowiedzieli.

Uzmysłowienie sobie tej tragedii, tego mordu dokonanego na niewinnych, chorych ludziach, było ogromnym obciążeniem psychicznym, tak ogromnym, że nie byłem w stanie unieść tego ciężaru sam, i opowiadałem o tym pomimo olbrzymiego lęku (właściwego chyba w takich okolicznościach każdemu człowiekowi), że przecież ci, którym z tego się zwierzę, mogą powiedzieć z kolei innym i ktoś może w końcu donieść o tym do wydziału politycznego, co oznaczałoby dla mnie natychmiastową likwidację. Ale nawet to nie powstrzymało mnie przed podzieleniem się tą straszliwą wieścią z innymi, a właściwie przed potwierdzeniem już tylko tych wieści, które krążyły po obozie.

Przez dwa a może trzy miesiące nie mogłem znaleźć sobie miejsca, a w głowie miałem tylko jeden wyraz, jedno słowo: *Lagerheimnisträger*. Kłębiły się w głowie myśli, rozmyślałem nad sposobem ucieczki. Sposobu nie było, z mojego „komanda" nie było żadnej okazji, choćby najmniejszej, do ucieczki. Każdego dnia, każdej chwili musiałem się spodziewać i spodziewałem się wykończenia mnie. Pozostawała tylko kwestia sposobu i miejsca. Pora już zaznaczyć, że sprawę eksterminacji tej grupy chorych wyczerpująco opisał dr Stanisław *Kłodziński* w artykule pt. Pierwsza oświęcimska selekcja do gazu. Transport do „sanatorium Dresden" (Przegl. Lek., 1970, nr 1, s. 39—50). Nie muszę jednak chyba bliżej uzasadniać, że zajmuję się tutaj tą kwestią od innej strony, tj. z punktu widzenia własnych przeżyć i obserwacji jako więzień wówczas zmuszony do pracy w *Politische*.

Jak ów stan ciągłego napięcia, napięcia spowodowanego ciągłą obawą o własne życie, obawą, która nie opuszczała mnie ani we dnie, ani w nocy, odbijał się na mej psychice? Zresztą nie tylko mej, przecież w takiej samej sytuacji byli i moi koledzy z *Politische*, jak Marian *Gemski* (nr więźnia 485), Jan *Gąbczyk* i Karol *Bock* (nr 486). Ten drugi chyba na skutek tego właśnie stresu powiesił się w r. 1942, a pierwszy zginął w 1945 r., bodaj w marcu, w Buchenwaldzie. Poza tym na pewno w takiej samej sytuacji byli więźniowie zatrudnieni w *Krankenbau*, czyli tzw. szpitalu obozowym. Przecież oni też byli w pewnym sensie „naznaczeni" bez względu na spełnianą funkcję czy to lekarza, czy tzw. *pflegera*, czy sprzątacza. Oni przecież „dużo" wiedzieli i mogli być i na pewno byliby kiedyś potencjalnymi świadkami dokonywanych zbrodni. I tak to obciążenie nakładało się dzień po dniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku, trwało nawet we śnie, bo i sny były koszmarne, gdyż były odbiciem tego, co się działo, co się przeżywało na jawie w dzień.

Byłem więc w zasadzie moralnie i psychicznie przygotowany na to, że zostanę w jakimś momencie, w jakiś sposób „wykończony" jako niewygodny i niebezpieczny świadek. Trwałem w swoistym pogotowiu. Serce skoczyło mi do gardła, gdy pewnego dnia, a raczej późnego wieczoru, gdzieś chyba około godziny 22 lub nawet 23, letniego dnia roku 1943, gdy byliśmy już na sztubach (izbach) w łóżkach i obowiązywała już *Nachtruhe* (cisza nocna), rozległ się na korytarzu bloku doniosły głos *blockältestera Politische Abteilung: sofort an das Tor antreten!* (Oddział polityczny natychmiast zgłosi się na bramie obozowej!) A więc nadszedł już ten moment ostateczny dla nas, więźniów z *Politische*! Przecież do tej pory nigdy się nie zdarzało, by nas wzywano w nocy do pracy. Owszem, wzywano nas w niedzielę nieraz, gdy były przygotowywane transporty do innych obozów lub były przyjmowane nowo przybyłe transporty więźniów.

Ubieram się ja, ubiera się kol. *Gemski*, ręce nam się trzęsą, a tu nas blokowy popędza jeszcze ze złością, gdyż przerwano mu nocny spoczynek. Wybiegamy do bramy, dopinając po drodze spodnie i bluzki. Przy bramie, przy *blockführerstubie* oczekuje nas największy postrach więźniów spośród esesmanów, *unterscharführer SS* Fredrich Wilhelm *Boger* z wydziału politycznego. A więc potwierdzenie najgorszych obaw naszych. Po odmeldowaniu się na *blockführerstubie* prowadzi nas *Boger* na prawo. Łudzimy się jeszcze, że może jednak idziemy do jakiejś pilnej pracy w wydziale politycznym, wszak kierunek naszej drogi prowadzi do *Politische*. Ale nie, to już koniec, bo *Boger* kieruje nas do furtki w wysokim ogrodzeniu z desek, około trzymetrowej wysokości, otaczającym wówczas krematorium.

Na „dziedzińcu" tym, wewnątrz ogrodzenia, przed krematorium rozbierali się „zwykle" do naga więźniowie z niektórych nowo przybyłych transportów. A więc tu nas czeka śmierć, śmierć z ręki *Bogera*, a *Totenmeldung* będzie „opiewał" na pewno albo że zmarł na skutek *Nierenentzündung* (zapalenie nerek), albo *Gehirnentzündung* (zapalenie mózgu), albo jeszcze na jakąś inną fikcyjną chorobę. Pozostaje nam tylko umrzeć z godnością, choć przecież strach przeogromny niemal paraliżuje każde nasze poruszenie, a serce wali tak mocno, że zdaje się rozsadzi klatkę piersiową. Wszystko to w nocnej scenerii, potęgującej nastrój niesamowitości. Ogrodzenie obozu oświetlone, budki strażnicze górujące nad drutami, odcina się ciemny masyw ogrodzenia krematoryjnego i krematorium, wysokie drzewa przed krematorium kołyszą się gałęziami, słychać lekki poszum wiatru, wszystko to stwarza nastrój grozy i zwiększa (o ile można było jeszcze mówić o jakimkolwiek zwiększeniu) nasze przerażenie.

Po wejściu za ogrodzenie na dziedziniec krematorium zastaliśmy tam duży wóz ciężarowy, przykryty „plandeką". Nad drzwiami do krematorium świeciła się żarówka elektryczna. Drzwi do krematorium były otwarte. Czy *Boger* wprowadzi nas do środka, czy tu nas „załatwi"? Ale jeszcze nie, *Boger* daje nam polecenie rozładowania wozu. Czyżby w wozie tym były jakieś trupy? Skąd przywiezione? Zagazowani czy rozstrzelani? Odpinamy i podnosimy plandekę. Nie, w wozie nie ma trupów, są jakieś meble, urządzenia gabinetu dentystycznego, duże, wiklinowe kosze z butelkami, jakieś skrzynie itp. Aha, po wyładowaniu wykończą nas na pewno.

Wyładowujemy i wnosimy to wszystko do krematorium, składając przed wejściem do komory gazowej. Były więc przywiezione szafy ubraniowe, kredens, stół do jadalni, krzesła, szafa biblioteczna, fotel dentystyczny, szklana szafka na narzędzia lekarskie (może dentystyczne), aparat do borowania, zlew-spluwaczka dentystyczna i... trzy kosze wiklinowe z butelkami wódek różnych gatunków. Gdyśmy już to wszystko wyła-

dowali, *Boger* wziął dwa kieliszki kryształowe (wyładowaliśmy też sporo różnych kryształów, które znajdowały się we wspomnianych skrzyniach), napełnił je po kolei z każdej butelki i kazał nam wypijać. Stało się dla nas oczywiste, że byliśmy „królikami" dla stwierdzenia, czy w przywiezionych, zrabowanych alkoholach nie ma trucizny. W normalnych warunkach po wypiciu takiej ilości wódki bylibyśmy na pewno pijani w sztok, w tym jednak wypadku czuliśmy tylko wewnętrzne rozpalenie, ale myśl była w obliczu spodziewanej śmierci przeraźliwie jasna. Co dalej?

Przyszedł potem jeszcze *Kirschner* i po zakończeniu „degustacji" przez nas oraz odczekaniu może pół godziny, może godziny zostaliśmy odprowadzeni znowu przez *Bogera* do obozu. Była godzina pierwsza lub druga w nocy. A więc nie wybiła jeszcze nasza godzina. Jak się okazało, poprzedniego dnia przeprowadzono tzw. „akcję Bendsburg", czyli likwidację obywateli żydowskich w Będzinie. Z akcji tej przywieziono pełne auto „zdobyczy wojennej" (*Kriegsbeute*), zrabowanej z mieszkań zlikwidowanych Żydów. Przywiezione meble znalazły się później w mieszkaniu *Grabnera*. Widziałem je tam osobiście, gdyż byłem w tym mieszkaniu parę razy w celu zrobienia porządków, jak również w celu pozbierania z ogrodu agrestu i porzeczek. Oczywiście byłem tam w asyście posta (strażnika). Tak więc oprócz codziennych, „zwykłych" napięć, będących wynikiem stałej niepewności dni ani godziny swego końca, przeżywaliśmy na domiar — przynajmniej gdy chodziło o nas, więźniów z wydziału politycznego i chyba nie tylko z naszego komanda — momenty „specjalne", chwile i epizody o podwójnej, jeśli tak można powiedzieć, dawce napięcia, gdy w grę wchodziło moje, nasze życie, a raczej śmierć, nie gdzieś tam w jakimś bliżej nieokreślonym terminie, ale zaraz, za chwilę.

Takich „specjalnych" momentów przeżywałem oczywiście wiele. Byłem złapany przez samego *lagerführera Fritscha* z bochenkiem esesmańskiego chleba, który niosłem z wydziału politycznego (oczywiście był „zorganizowany") do obozu w czasie południowej przerwy. Miałem się zgłosić do raportu karnego, widziałem się już dręczony w *SK* (kompanii karnej), wiedząc przecież, co to oznacza. Jednego dnia kazał mi *unterscharführer Dylewski* iść z sobą do *Birkenau*. Dotąd nigdy coś takiego nie było praktykowane. Po co do *Birkenau*? Chyba tylko do gazu, widocznie już nadszedł moment wykończenia mnie. Światełko czerwone — sygnał alarmowy obawy przed śmiercią u *geheimnisträgera* — w mej świadomości zajaśniało znów bardzo jaskrawo. Na szczęście „alarm" był fałszywy, szedłem tylko w charakterze gońca, niosącego grubo wypchaną teczkę, nie z aktami, lecz z jakimiś piórami wiecznymi, zegarkami i jeszcze innymi esesowskimi zdobyczami.

A więc życie w obozie koncentracyjnym — to ciągłe napięcie, obojętne w jakim komandzie. Każdy więzień przecież mógł się obawiać codziennie — czy to w czasie apelu, czy w czasie pracy lub nawet snu — że jego nazwisko zostanie wywołane i będzie musiał pójść na blok 11 pod ścianę śmierci na rozstrzelanie. Czy więc udało mi się w jakiś sposób, na pewno niedoskonały (doskonałego być nie może), przedstawić, jak działało napięcie na psychikę człowieka? Nie, tego przecież w ogóle nie przedstawiłem, to robią ludzie, którzy zajmują się psychiką, psychologią i stresami, których specjalnością są te sprawy. Ja jedynie starałem się przedstawić w miarę mych możliwości i umiejętności swoje wewnętrzne odczucia i przeżycia w obozie.

Pragnę dorzucić jeszcze kilka refleksji. Opisywanie wspomnień z życia obozowego w obozie koncentracyjnym nie jest sprawą ani łatwą, ani, jak zaznaczyłem, przyjemną. W to, co działo się w obozie, dziś nie każdy chce wierzyć, a jeżeli już przyjmuje te sprawy w jakiś sposób, to nieraz z wielkim sceptycyzmem. Wielu, a nawet, niestety, bardzo dużo młodych, a i starszych również uważa te najskromniejsze nawet relacje naocznych świadków wydarzeń z życia obozowego za przejaskrawione, za przesadzone, a także wręcz za wymysł i chęć robienia z siebie bohatera bądź męczennika, zadając jakże niezręczne pytanie, jak to więc stało się możliwe, że ty jednak wyszedłeś z tego piekła cały i żywy. Czy cały i żywy w znaczeniu fizycznym i psychiczno-moralnym?

Każdy z tych ludzi, którzy przeżyli piekło obozów koncentracyjnych, odniósł jakąś kontuzję, jeżeli nie zewnętrznie fizyczną, to na pewno moralno-psychiczną. W tych ludziach coś się załamało, coś umarło.

Po głębszym zastanowieniu się zresztą nie dziwię się jednak, że nie wszyscy chcą uwierzyć w to „okropne" o obozach koncentracyjnych. Ja sam, przebywając już piąty rok w obozie, szczypałem się czasami, by przebudzić się z koszmarnego snu. Trudno jest bowiem normalnemu człowiekowi uwierzyć, by w wieku XX, w wieku postępu, znalazła się nacja mająca pretensje być pierwszym narodem na świecie, *herrenvolkiem*, który potrafiłby zdeptać, zniszczyć i wykreślić z terminów ogólnoludzkich pojęcie człowieka.

A przecież tego, co działo się w obozach koncentracyjnych, nie da się w pełni opisać ani piórem, ani namalować pędzlem, ani nawet przedstawić w filmie. Czy bowiem najlepszy nawet autor, malarz czy reżyser jest w stanie oddać te straszne przeżycia psychiczne, tę bezdenną rozpacz, zwątpienie o tym, co różni człowieka od dzikiej bestii?

Niełatwo też opisać sposoby podsycania nadziei i chęci życia więźniów wyniszczonych głodem, biciem, pochylonych nad taczkami ze żwirem, piaskiem czy kamieniem, postacie przypominające tylko człowieka, ich oczekiwanie na upadek wroga hitlerowskiego, nurtującą ich myśl, żeby za wszelką cenę, nie splamiwszy sumienia, przetrwać, bo może już niedługo przyjdzie chwila wyzwolenia, nieśmiało pielęgnowane marzenia o tym, jak będzie, gdy wrócę do domu i gdy przeogromna radość z mego powrotu wyciśnie łzy radości z oczu mych najbliższych.

Tymczasem esesmani ze zdwojoną wściekłością odgrywają się na bezbronnych więźniach za dni, w których coraz gorzej wiodło się Niemcom na frontach. Umysł skatowanych i sponiewieranych więźniów pogrążał się znów w desperackiej rozpaczy, która pchała ich niejednokrotnie do rozpaczliwej decyzji — mianowicie skończenia z sobą przez pójście na druty, bo cierpień nie byli w stanie dalej już znosić.

JANINA KOMENDA

była więźniarka obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 27233

Warszawa

W rewirze Brzezinki

OD REDAKCJI

Postać zasłużonej więźniarki Brzezinki, Janiny *Komendy*, przewija się w piśmiennictwie obozowym; pamięta ją też niejedna żyjąca współtowarzyszka niedoli. Czytelnicy naszych zeszytów spotkali się z przypomnieniem postawy *Komendy* w relacji dr Ireny *Białówny* pt. „Z historii rewiru w Brzezince" („Przegl. Lek.", 1979, nr 1, s. 170—171). Ta lekarka więźniarka, przełożona *Komendy* w rewirze Brzezinki, napisała m. in.: „Kol. *Komenda* miała dziwny talent zjednywania sobie przyjaźni ludzkiej (...). Do dziś mam w oczach jej wysoką postać z okularami nałożonymi na czubek nosa, związanymi sznureczkiem, w dużym, czarnym fartuchu z olbrzymią łatą" i przedstawiła ją rozdającą z trudem zdobywane leki chorym więźniarkom.

Janina z *Glińskich Komenda*, urodzona 23 czerwca 1889 r. w Kazaniu, była przed pierwszą wojną światową nauczycielką w Warszawie. Wyszedłszy za mąż za internistę z Kielc, Wacława *Komendę*, zamieszkała w tym mieście. Po śmierci męża, tj. od r. 1928, do aresztowania, była pielęgniarką i kierowniczką żywienia chorych w szpitalu w Kielcach.

Jak wynika z pisma otrzymanego przez nas z Państwowego Muzeum w Oświęcimiu (z 9 lipca 1979 r., l. IV-8520-56/2447/79) i z informacji od jej syna, mgr. inż. Janusza *Komendy*, przekazanych nam w liście dr. Jana *Sikorskiego* z Warszawy (z 12 kwietnia 1981 r.), została uwięziona w Kielcach 30 listopada 1942 r. wraz z jednym z trzech synów. „Aresztowana za przynależność do ZWZ. W r. 1942 przewieziona do Oświęcimia. Pracowała jako pielęgniarka »na rewirze«. Była to jedna z najwybitniejszych więźniarek, udzielających wszelkiej pomocy chorym, chroniąc od selekcji do gazu, chroniąc przed »badaniem« lekarzy *SS*. Jako członek ruchu oporu »na rewirze« czuwała nad spokojem i bezpieczeństwem chorych. Udzielała wiadomości o ruchu [tak w tekście] »na rewirze« członkom ruchu oporu w obozie". To cytat z wniosku o nadanie odznaczenia po wojnie 71-letniej Janinie *Komendzie* (archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, sygn. Mat. 239, tom 68b, s. 92—93).

Do Oświęcimia trafiła transportem więźniarek z Radomia. Przebywała tam od 16 grudnia 1942 do 18 stycznia 1945 r. Pod datą 11 sierpnia 1944 r. odnotowana w dokumentacji obozowej jako więźniarka przebywająca w *KL Birkenau*, na odcinku B I a, blok 21a. Więziona też w blokach 17, 24, 23, 18 i innych. Fotografia obozowa *Komendy* nie zachowała się. Muzeum w Oświęcimiu przechowuje tekst jej wspomnień, udostępniony przez zespół redakcyjny „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

Przetrwawszy obóz, wróciła do Kielc. „Po kilku miesiącach choroby w obozie — pisze mgr inż. Janusz *Komenda* w liście do redakcji z 8 października 1975 r. — ażeby powrócić do normalnego życia, zaczęła od najprostszych posług w obozowym szpitalu, co również łączyło się ze współpracą z lekarkami i rozdawnictwem leków, z którymi jako wdowa po lekarzu była obznajomiona", a po wojnie — dodajmy — pracowała w aptece jako siła administracyjna do przejścia na emeryturę, kiedy to, sprzedawszy domek, przeniosła się do Warszawy. Umarła w r. 1968. Została pochowana w Kielcach.

Po wyzwoleniu spisywała relację obozową w trudno czytelnym rękopisie. Pierwsza wersja liczyła 40 stron formatu A4, z licznymi poprawkami, uzupełnieniami i uwagami na marginesie. Druga ma 80 stron. Tekst zweryfikowała dr Irena *Białówna*. Ten cenny dokument doprowadził do znormalizowanego maszynopisu, liczącego 149 stron i mieszczącego dwa plany obozu w Brzezince, z rozmieszczeniem rewirów, mgr inż. Janusz *Komenda*, który wyraził zgodę na wyzyskanie tej relacji przez „Przegląd Lekarski — Oświęcim". Całość, zbyt obszerna dla czasopisma, zasługuje na osobne wydanie.

W relacji swej Janina *Komenda* opisuje początek wojny 1939 r. w Kielcach, aresztowanie, więzienie kieleckie, celę, do której ją wtrącono, obóz, przyjazd, blok, apele, życie codzienne, *durchfall*, pracę, rewir, odwszenia, metody władz lagru, blok szpitalny, blok nr 18, przeprowadzkę do byłego obozu cygańskiego, wigilię 1944 r., ewakuację z Oświęcimia-Brzezinki, powrót do domu, a w aneksie — selekcję Greczynek, choinkę, orkiestrę obozową, łóżko chorej (ten ostatni fragment włączyliśmy w konstrukcyjnie odpowiednie miejsce niniejszej publikacji urywków) i zestawia alfabetyczny wykaz lekarek, z którymi zetknęła się w obozie (Irena *Białówna*, Ada *Brudkowska*, Wanda *Chmura*, Celina *Choynacka*, Olga *Czop*, *Fruma Jagielska*, *Garlicka*, Jadwiga *Hewelke-Grabowska*, Jadwiga *Jasielska*, Władysława *Jasińska*, Zofia *Kączkowska*, Irena *Konieczna*, Zofia *Kordylewska*, *Korniłowiczowa*, Janina *Kościuszko*, Stefania *Kościuszko*, Janina *Kowalczykowa*, Ella *Lingens*, Katarzyna *Łaniewska*, Zdenka *Medvedová*, Zofia *Michalikowa*, Irena *Miłaszewska*, Janina *Mokrzycka*, Olga *Nikitiszna*, Żenia *Nocznikowa*, Zofia *Perzanowska*, Alicja *Piotrowska-Przeworska*, Martyna *Puzynina*, Halina *Sobolewska*, Wanda *Starkowska*, Halina *Sucharska*, Alina *Tetmajer*, Janina *Węgierska*, Maria *Werkenthin*, Zina *Rozenmerk*).

Wybrane tutaj do druku fragmenty relacji łączą się w interesujące wspomnienie, nasycone wieloma realiami oryginalnymi na tle literatury obozowej. Urywki te dotyczą części tych obfitych warstw tekstu, które odnoszą się głównie do losów Janiny *Komendy* w związku z tematyką medyczno-sanitarną. Tym wyborem kierowała zasada, żeby udostępnić przede wszystkim uwagi oryginalne w porównaniu z dotychczasowymi publikacjami o Brzezince. Rewir tamtejszy, jak wiemy, jest znany dość jeszcze selektywnie. Przypomnieć warto, że był on już kilka razy przedmiotem relacji również w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim", w innym jednak ujęciu i w odniesieniu do przeważnie innych faktów.

Wspomnienia *Komendy* uważamy za dokument, pisany wkrótce po wojnie, przy świeżej pamięci drama-

Janina *Komenda*

tycznych doznań, tchnący autentyzmem, wysoką kulturą narracji nacechowany przez autorkę, umiejącą zdobyć się na dystans dyktowany mądrością życiową. Relacja, powstała w zasadzie krótko po wyzwoleniu, jest wolna od wpływów literatury obozowej.

Miejsca opuszczone oznaczono znakiem (...).

(J. M.)

*

(...) Mój punkt widzenia, zasadniczo ograniczony do bloku, a w szerszym zakresie do pola obozowego, na którym przebywałam, był nieco poszerzony, bo większą część pobytu w obozie spędziłam w bloku szpitalnym, tak zwanym rewirze, do którego szeroką falą docierały wieści z innych pól obozu. (...)

[Jeszcze przed wtrąceniem do Brzezinki, w celi więzienia w Kielcach] późnym wieczorem 15 grudnia 1942 r. odwiedził nas [niemiecki strażnik] „Perełka" i powiedział w tajemnicy, że nazajutrz ma być transport, a zwróciwszy się do mnie, powiedział: „ty nie pojedziesz". Zmartwiłam się bardzo, bo znaczyło to dla mnie pozostanie w więzieniu z perspektywą badania przez gestapo. Mimo tego nazajutrz byłam gotowa do drogi (...). Około południa do celi wpadł gestapowiec i wrzaskiem ogłosił listę wywożonych. Byłam na pierwszym miejscu. Odetchnęłam głęboko, z ulgą. Kazano nam wyjść na korytarz i wejść do pokoiku lekarskiego (...).

Ucieszyłam się, widząc zacnego felczera *Fetelę*, bo wiedziałam, że moi bliscy i znajomi pozostali w mieście niezwłocznie zostaną przez niego powiadomieni, że zostałam wywieziona. W korytarzu spotkałam syna, Jerzego, którego również przygotowywano do transportu. O rozmowie z nim oczywiście nie było mowy. Na drogę pozwolono nam wziąć chleb i poprowadzono nas bocznymi ulicami na dworzec kolejowy [kielecki]. Przed wyjściem mężczyznom związano z tyłu ręce. Zauważyłam, że mój syn wcześniej złożył ręce, tak jakby miał związane, i uszło to uwagi Niemców. Na dworcu ustawiono nas twarzami do budynków klozetowych i tak kazano czekać na pociąg, który niebawem nadszedł. Naszą grupę wtłoczono do wagonu towarowego, w którym na podłodze zobaczyłyśmy klęczących mężczyzn. Było tam już około 100 osób wiezionych z Radomia i z Ostrowca. (...)

Do Oświęcimia przywieziono nas, tj. transport kobiet z Ostrowca, z Radomia i Kielc, około godz. 20 dnia 16 grudnia 1942 r. Wagony towarowe, którymi byłyśmy wiezione, ustawiono na bocznicy bez rampy; trzeba było skakać ze znacznej wysokości na ziemię rozmiękłą po jesiennych deszczach. Jak większość towarzyszek, upadłam. Zimne, grząskie, rozdeptane błoto oblepiło mnie prawie całą. Bezradnie wygrzebywałam się z niego, ku zadowoleniu i uciesze stojących obok Niemców, z których żaden nie próbował pomóc żadnej z nas. To powitanie błyskawicznie uprzytomniło nam nasz stan i rolę więźniarek. Jednakże niektóre z nas bardzo odczuły tę brutalność i chamstwo, zbyt bowiem głęboko tkwiło w nas jeszcze przyzwyczajenie do odruchów rycerskości, powszechnie spotykanych wśród Polaków. (...)

W ciemności po obu stronach drogi rysowały się nikłe kontury baraków, a gdzieniegdzie przebijał słabiutki blask małych okienek, które nie oświetlały drogi, ale przeciwnie, napawały grozą i lękiem. Okrzykami *los!* i *schnell!* popędzono nas biegiem przez tę bramę. W oddali było widać więcej tych słabo oświetlonych okienek; jak się później okazało, były to głównie okienka baraków szpitalnych, nazwanych językiem obozu blokami rewirowymi.

Wreszcie wpędzono nas do dużego, źle oświetlonego baraku o cementowej, zabłoconej podłodze, zwanego „sauną". Było tam kilka obszernych izb; pierwsza, przez którą nas przepędzono, była pusta. W drugiej izbie podłoga była zalana zimną wodą, pozostałą po natryskach. Z tej izby przepędzono nas do trzeciej, w której stały ławy ustawione amfiteatralnie i dla odmiany było bardzo gorąco, panował tłok i niesłychany zaduch. Tam kazano nam zostać, nie wiadomo — na minuty, na noc czy na wieczność, bo zdawałyśmy sobie sprawę, że równie dobrze może to być komora gazowa.

Dla nas obsługa zrobiła trochę miejsca i wreszcie po długiej, wyczerpującej do ostatka, podróży i po forsownym biegu pozwolono nam usiąść. Nie wolno było rozmawiać, ale nieznacznie mogłyśmy porozumieć się ze sobą. Okazało się, że oprócz nas był tam również transport kobiet z więzienia na Montelupich w Krakowie i paręset kobiet z dziećmi, które całymi rodzinami wysiedlono z Zamojszczyzny, a w Oświęcimiu rozdzielono z mężami (...).

Bezsennie przesiedziałyśmy w tej sali całą noc, dręczył nas niesamowity upał i ogromne pragnienie oraz ciągłe, nękające wrzaski pilnujących nas Niemek i krzyki i wyzwiska innych współwięźniarek najczęściej z powodu wzajemnego okradania się z resztek żywności. (...).

Następnego dnia koło południa przepędzono nas do innego pomieszczenia, kazano nam rozebrać się do naga i oddać absolutnie wszystko, co miałyśmy ze sobą, zarówno ubranie, jak i jedzenie. W małej izbie, do której wprowadzano nas grupami, pełniły służbę już zadomowione więźniarki z wcześniejszych transportów, przeważnie Żydówki, które pilnowały naszego rozbierania i odbierały nasze rzeczy, a pakując je do worków, rozkradały w naszych oczach wszystko, co miało jakąś wartość. Widząc to, niektóre bardziej przytomne i sprytne współwięźniarki usiłowały ukryć lub dać na przechowanie niektóre cenniejsze rzeczy. Niektórym to udało się. Ja nie miałam tego szczęścia. (...)

Rozebranym do naga obsługa brutalnie obcięła nożycami włosy prawie do skóry. Padały wspaniałe warkocze, sięgające nieraz poza kolana, przy czym, jak na urągowisko, niektórym pozostawiono gdzieniegdzie kępki nie dociętych włosów. Chyba nie trzeba wyjaśniać, jakim przeżyciem było to dla kobiet zarówno młodych, jak i starych. Tak upokorzone, przepędzono nas przed wejście do sali z natryskami, z której dochodziły odgłosy strasznych jęków. Żadna z pilnujących nas Niemek i Żydówek nie chciała wyjawić, co tam się dzieje, co powiększało grozę sytuacji. Po pewnym czasie okazało się, że Niemiec, *rottenführer*, przyłapał jedną z więźniarek na paleniu z trudem gdzieś zdobytego papierosa, co było zabronione, i przeprowadzał egzekucję, wymierzając jej za to 25 batów na gołe ciało. Okropne jęki nieszczęśliwej, rozciągniętej na „koźle", i krzyki po każdym uderzeniu mroziły krew w żyłach, a świadomość kompletnej bez-

radności przygnębiała i napawała lękiem przed nieznanym jutrem.

Wreszcie wtłoczono nas do sali z natryskami — spłynął na nas lodowato zimny tusz, który trwał tylko chwilę i w rzeczywistości stanowił parodię natrysku, po czym wepchnięto nas do równie lodowatego pomieszczenia obok, gdzie wśród wrzasków i krzyków oraz poganiania rozdawano nam ubrania, oczywiście bez zwracania uwagi na rozmiary i kolory. (...).

Wrażenie, jakie wywarł blok mieszkalny na umęczonych więźniarkach, było więcej niż przygnębiające. To miejsce, do którego były wiezione przez dwa dni i dwie noce, nie śpiąc i nie jedząc, to miejsce, które miało być celem ich podróży, gdzie spodziewały się znaleźć jakieś minimum wypoczynku i warunków do egzystencji w porównaniu z rzeczywistością nie mieściło się w wyobraźni wielu z nas. Dosłownie stajnia lub obora z piętrowymi boksami (...).

Po koszmarnej nocy umęczone, zziębnięte więźniarki poruszały się z trudem, ale ponieważ nie rozbierałyśmy się wcale, w zasadzie od razu byłyśmy gotowe do wyjścia. Nie wiem jak zdołałam zejść po ciemku z wysokiego leża z moim lękiem przestrzeni, schodków ani drabinek nie było. Przed blokiem było ciemno i bardzo zimno. Przy ledwo rozpoczynającym się brzasku dnia ustawiono nas dziesiątkami na drodze, którą przybyłyśmy do baraku, potem rzędy dziesiątek zmieniano na piątki, gdy nagle pojawił się *rottenführer* i rozpoczęło się długotrwałe sprawdzanie i obliczanie. (...)

Po pierwszym apelu, a właściwie po skończonym liczeniu nas i ustawianiu, młode więźniarki przeniesiono z naszego bloku nr 13 na blok nr 21 i popędzono do pracy w odległym o około 6 km Oświęcimiu. Niepisane prawo, rządzące życiem w obozie, wymagało, ażeby odejście jednych stwarzało lepsze warunki dla pozostałych. Poznałyśmy to prawo zaraz pierwszego dnia, gdy po odejściu młodszych więźniarek do pracy udało nam się zająć koję niżej położoną, to jest około 1 metra nad ziemią, na tak zwanym „pierwszym piętrze", na której leżały brudne sienniki, wypchane odrobiną wiórów, i nieprzyjemne, nie zabezpieczające przed chłodem, twarde koce z pokrzyw. (...)

W nocy każda z nas miała pod głową swoje osobiste rzeczy, a najważniejsze — buty. Było to spowodowane nie tylko brakiem miejsca, ale głównie obawą, że umieszczenie tych rzeczy w innym miejscu, na przykład w nogach, może być przyczyną nieodnalezienia ich rano. Wieczorem układałyśmy się na bok obok siebie i razem przykrywałyśmy się kocami; było tak ciasno, że gdy któraś chciała się obrócić, musiały to robić wszystkie. Rano budzono nas, kiedy na dworze było jeszcze zupełnie ciemno, o myciu się nie było mowy. Większość od razu wyciągała spod głowy oblodzone brzegiem bluzki i ubrawszy je, była w zasadzie gotowa do wyjścia na apel. Ja nie mogłam w ten sposób rozpoczynać dnia, całe życie zwracałam uwagę na hartowanie ciała i higienę, której i w tych warunkach ciało moje gwałtownie domagało się, toteż zrywałam się jedna z pierwszych i wybiegałam przed blok, gdzie mogłam się choćby prowizorycznie umyć okapinami z dachu i odetchnąć świeżym powietrzem. Po dwóch tygodniach po naszym przyjeździe do obozu spadł śnieg; było to dla mnie prawdziwym błogosławieństwem, codziennie mogłam się cała nacierać śniegiem, dawało to przynajmniej chwilowe odczucie dokładnego umycia się. Być może, te zabiegi uodporniły mnie na wiele chorób, a zwłaszcza na przeziębienia czy anginę (...)

Początkowo mieszkałyśmy na bloku nr 21, jednakże po kilku dniach przeniesiono nas na blok nr 13, gdzie przez parę tygodni miałyśmy odbywać kwarantannę, to znaczy miałyśmy nie pracować, takie bowiem zwyczaje obowiązywały transporty więźniarek przywożonych do Oświęcimia; tym razem było nieco inaczej. Młodsze od razu przydzielono do sortowania bielizny i ubrań, tak zwanego „efektu". (...) Reszta więźniarek z naszego bloku po apelu zmuszona była do robienia porządków wokół bloków, co głównie polegało na wyciąganiu z błota garnków i misek z nieczystościami, które trzeba było myć w zimnej wodzie, by potem służyły do jedzenia. Kilkakrotnie po porannym apelu dołączano mnie do grupy kobiet, wychodzących do pracy za bramę. Miejsce pracy było oddalone o około 7 kilometrów, a praca polegała na rozbijaniu kilofami murów domów zburzonych pod Oświęcimiem. (...)

Po kilkakrotnym wymarszu do pracy za bramą stwierdziłam, że nie podołam pracy kilofem, tym bardziej że w tym czasie byłam chora i nawet miałam zwolnienie lekarskie od pracy, którego dozorujący nas *rottenführer* nie uwzględniał, a wręcz przeciwnie, celowo kierował mnie do najcięższej pracy. Za kubek ocukrzonej kawy, ofiarowywanej mi codziennie w tym czasie przez Jadwigę *Królównę*, udało mi się wkupić w łaski kapo Stefanii *Kacperek*, która przyjęła mnie do grupy kobiet pracujących przy segregacji butów. (...)

Siadałam na górze zamarzniętych butów i czyściłam je z błota tym, co wpadło mi w rękę, nawet srebrnym widelcem. Byłam jednak nadal chora i nie mogłam nic jeść, opadłam z sił. Widząc to, moje współtowarzyszki upominały się o lepsze miejsce pracy dla mnie, to znaczy bliżej pieca, lecz wobec wręcz wrogiej postawy więźniarek z bloku siódmego niedługo mogłam z niego korzystać. Dopiero po kilku dniach zdobyłam sobie pewne prawa prawdopodobnie dlatego, że zupełnie nie reagowałam na złośliwe docinki, które powoli ustały, ale nawet w tych „lepszych" warunkach praca nie była tak lekka i przyjemna, jakby się to wydawało. Często nie pomagało oczyszczenie butów na sucho, wówczas moczyło się je przed blokiem w ohydnej, zimnej i brudnej kałuży, a potem podczas przerwy na jedzenie, ponieważ nie było czystej wody, (...) zabłoconymi, cuchnącymi rękami brało się chleb. Niekiedy zostawiałyśmy sobie ze śniadania ziółka imitujące herbatę, żeby w nich umoczyć choć końce cuchnących palców przed jedzeniem. (...)

Poza czyszczeniem butów do naszych obowiązków należało noszenie koszy z brudną, szpitalną bielizną do gazowania lub wygazowaną odzież należało przynieść przed blok, obliczyć, posegregować i ułożyć na wyznaczonym miejscu w głębi bloku. Odzież ta, nazywana w języku obozowym „lumpy", była bardzo ciężka. Często zamiast niej były mokre, bardzo ciężkie i niewygodne do noszenia koce, a nosiło się je po błocie lub ślizgawicy z odległego baraku. Takie wychodzenie na

zewnątrz bloku miało i swoją dobrą stronę, gdyż czasem po drodze udawało się zdobyć trochę wody, jeżeli przy tym dozorująca nas Niemka była w dobrym humorze, co głównie zależało od sprytu naszej grupowej i od rozmaitych koniunktur, wówczas można było ugotować tę wodę, co dla nas stanowiło bardzo wiele. (...)

Prawie codziennie, zwykle po porannym apelu, blokowe z bloków pracy grupowo odprowadzały ciężko chore do ambulatorium. Czasem na zlecenie blokowej lub w jej zastępstwie robiły to inne funkcyjne, a nawet zwykłe więźniarki. Przez pewien czas mnie również zlecano tę funkcję. W ambulatorium decydowano o przyjęciu chorych do szpitala. Zasadniczo przyjmowane były tylko ciężko chore z wysoką gorączką, lżej chore z reguły odsyłano z powrotem bez udzielenia pomocy. Były oczywiście wyjątki, bo naturalnie przyjmowano przez protekcję lub za zręcznie podsuniętą zapłatę, ale zdarzały się również przypadki, że chore z wysoką gorączką odsyłano z powrotem na blok pracy. W tym czasie — a było to zależne od humoru (...) naczelnej lekarki lub od Niemki (...), z zawodu dziennikarki podniesionej w obozie do rangi pielęgniarki i aptekarki, które bez badania, „na oko" decydowały o przyjęciu do szpitala. Załatwianie formalności nieraz trwało bardzo długo, więc chore musiały czasem godzinami wyczekiwać na zewnątrz, przed ambulatorium, gdyż przez długi czas nie było tam żadnej poczekalni. Gorączkujące, często męczone *durchfallem* chore nieraz przypłacały dodatkową, ciężką chorobą, a nawe życiem to oczekiwanie niezależnie od pogody, na mrozie, wietrze, śniegu czy deszczu.

Podczas mojej kilkakrotnej bytności w ambulatorium, gdy załatwiałam formalności, przykuła mój wzrok pielęgniarka, drobna blondynka o niebieskich oczach. Ponieważ jej powierzchowność wzbudziła moje zaufanie, więc nieznacznie po cichu zaczęłam zwracać się do niej w różnych sprawach, a ona, jak mogła, starała się pomóc mi nie zwracając uwagi lekarek i władz ambulatorium. Zwykle niepostrzeżenie dawała mi różne lekarstwa aktualnie potrzebne, a zasadniczo nieosiągalne dla przebywających na bloku pracy. Była to Monika *Galica*. Tak zadzierzgnęła się nasza przyjaźń, która przetrwała obóz.

Wreszcie i ja sama poczułam się bardzo źle, miałam wysoką gorączkę i byłam tak osłabiona, że z trudem mogłam ustać na nogach. Pamiętam, że było to 22 lutego 1943 r. Mimo tęgiego mrozu blokowa zaprowadziła mnie lekko ubraną do ambulatorium. Jednakże po przeszło dwóch godzinach oczekiwania odmówiono przyjęcia mnie na rewir i tylko dzięki wstawiennictwu i zabiegom blokowej zawdzięczam, że skierowano mnie na blok 17, przeznaczony głównie dla rekonwalescentek i dla chorych nie gorączkujących. (...) Przez cały czas gorączkowałam, a wszy i pchły dokuczały straszliwie. Myłyśmy się co dwa, trzy dni w misce zawierającej pół litra wody, wydzielonej na dwie osoby. Głód nie był tak dokuczliwy, jak brak wody. Kto w życiu nie odczuł braku wody przez dłuższy czas, ten nie zrozumie całej męki i tęsknoty do wody. Ciało zgorączkowane, zgryzione przez robactwo, stawało się wstrętne. (...) Po paru dniach pobytu na bloku nr 17 poprosiłam o wypisanie, na co lekarka, nie badając mnie, zgodziła się skwapliwie. (...) skierowano mnie (po przejściowym pobycie w bloku nr 17) na durchfalowy blok nr 24. (...) Byłam tak wyczerpana, że marzyłam o rozstaniu się z życiem, wprost tęskniłam do przejścia do innego świata. W tym stanie bardzo serdecznie zajęła się mną ówczesna lekarka na bloku, dr Janina *Kowalczykowa*. (...) Półprzytomna w gorączce, starałam się jednak interesować tym, co się działo wokół mnie na bloku. Tak się złożyło, że pierwszego czy drugiego dnia pobytu na bloku szpitalnym dostałam z zewnątrz pięć paczuszek po 25 dekagramów z żywnością. Nie wiem, czy te paczki, czy też mój wiek, czy to, że byłam spokojną, nie grymaszącą i nie wymagającą chorą sprawiły, że obchodzono się ze mną względnie dobrze. Pielęgniarka Rosjanka dała mi wody do umycia się przeznaczonej tylko dla mnie i wytrzepała koce. Czasem za dopłatą uprosiłam trochę gorącej wody do picia lub podania nocnego naczynia do łóżka. To były sprawy ogromnej wagi, nad rozwiązaniem których przemyśliwało się godzinami i wysilało się cały spryt i inteligencję obolałej głowy. Równie ważną rzeczą było to, że na mnie nie podnoszono głosu, co przy straszliwych ogólnych wyzwiskach i krzykach od wczesnego ranka było ogromną rzadkością.

Trzy tygodnie leżałam sama, potem położono obok mnie ogłuszoną przez tyfus, półprzytomną, bardzo osłabioną zakonnicę ze Zgromadzenia Dzieci Marii, siostrę Cecylię *Faron*. Jak się okazało, ja miałam tyfus i zapalenie płuc, a mimo że obydwie układałyśmy się na łóżku tak, ażeby zająć jak najmniej miejsca, od siostry *Faron* zaraziłam się świerzbem, do tego miałam obustronne ropne odleżyny i potworny obrzęk na kości ogonowej, co nie pozwalało mi leżeć na szorstkim kocu. Dręczyła mnie wysoka gorączka i szalone pragnienie, co przy prawie zupełnym braku płynów sprawiało niewypowiedzianą, ogromną mękę, a przy tym okropnie dokuczały nam niesamowite ilości pcheł i wszy. (...)

Jak wszystko w obozie, tak i (...) poranna „toaleta" odbywała się w szalonym tempie, przy niewybrednym popędzaniu przez blokową. Około 5 rano przynoszono tak zwaną herbatę, a w rzeczywistości rozgotowane, najczęściej już zimne zioła. Bardzo rzadko zamiast ziół była lura imitująca kawę zbożową. Zioła przynosiły wyznaczone do tej roli więźniarki, tak zwane pucerki, które poza tym pełniły funkcje salowych szpitalnych. Kotły pełne ziół były bardzo ciężkie, ważyły 50—60 kg, a do kuchni było dość daleko, pucerki musiały się uwijać z tym ciężarem. Kotły były gotowane i napełniane w nocy, po czym były wynoszone przed kuchnię i stygły do czasu, aż nie zostały zabrane przez pucerki. To codzienne noszenie kotłów po wyboistej, zwykle błotnistej drodze nie odbywało się bez wypadków przewrócenia się niosących i dotkliwego potłuczenia się oraz wylania części zawartości, wówczas zwykle nie starczało ziół dla wszystkich.

Podczas choroby byłam tak apatyczna, że nie mogłam nic jeść, zwłaszcza z rana; głód odzywał się nieco później; jedynie rozum nakazywał mi zjeść cokolwiek o tak wczesnej porze. Czasem moje opiekunki wmuszały we mnie parę łyżeczek kaszy, rzekomo manny, przynoszonej w niewielkich ilościach z innej kuchni jako dieta dla ciężko chorych. Jeść nie mogłam, lecz stale miałam szalone pragnienie. Pewnego razu cały dzień bła-

gałam o butelkę wody z kantyny, sama nie miałam bonów, które nam wydawali zamiast pieniędzy wpłacanych przez rodzinę. Zrezygnowana, późno wieczorem ofiarowałam Bogu swoje szalone pragnienie, które wówczas zagłuszało nawet inne cierpienia, gdy niespodziewanie przybiegła pielęgniarka i przyniosła mi butelkę wody. Rozpłakałam się ze szczęścia. Drugi raz rozpłakałam się, gdy dostałam trochę mleka; nie mogłam pogodzić otaczającej mnie rzeczywistości — brukwi, ziół, gliniastego chleba, a nawet rozgotowanej kaszy — z tym innym światem, gdzie istnieje mleko; był to bardzo silny wstrząs. (...)

Nie umiem wytłumaczyć sobie, dlaczego na mnie spadła rola organizatorki życia gospodarczego w najbliższej grupie. Zżymałam się na to ciągle, tłumacząc innym młodszym, że to ich rola, a ja naprawdę jestem stara, sterana chorobami i już potrzebuję odpoczynku. Jednak wielokrotnie przekonałam się, że pomocniczy personel na bloku najchętniej spełniał coś na moją prośbę, może właśnie ze względu na mój wiek, a może na pewne możliwości płatnicze z resztek pozostałych z okradanych wprawdzie, ale doręczanych mi paczkach, które dostawałam od rodziny. To nieustanne czuwanie nocne, męczące i wyczerpujące, zapewne nie wpływało dodatnio na stan zdrowia i przedłużało rekonwalescencję, ale nie było do czego spieszyć się (...)

Lekarstwa i materiały opatrunkowe były przechowywane u blokowej. Blokową na bloku 24 była w tym czasie Niemka, imieniem Klara, z zawodu akuszerka (wspomniana już morderczyni noworodków). Klara zajmowała przy wejściu do bloku pokoik, który jak na warunki obozowe był szczytem luksusu. Między innymi miała w nim dwa normalne, ładne, drewniane łóżka, ustawione obok siebie, zasłane pięknymi narzutami, przykryte górą kolorowych poduszek oraz różnymi lalkami. Podłoga była przykryta pięknym, puszystym dywanem, a ponadto miała ładny, meblowy stół i meblową szafkę na naczynia. W tej szafce lekarstwa, maści, opatrunki, wata, gaza i lignina były umieszczone na wspólnej półce z naczyniami kuchennymi, brudnymi szczotkami i z pastą do butów. Zasadniczo lekarstwa powinny mieścić się w blaszanym, kwadratowym pudełku, o wymiarach około 30×30 cm. Podstawowymi lekarstwami była maść ichtiolowa, maść cynkowa i wazelina, ułożone w pudełkach po konserwach oraz biała glinka o nazwie *bolus alba*, zalecana przez lekarzy niemieckich na wszelkie dolegliwości, a cały materiał opatrunkowy mieścił się w dwóch torbach, takich, z jakimi gospodynie chodzą normalnie po zakupy. Na leczenie kilkuset chorych była to liczba daleka od wystarczającej.

Codziennie lekarka składała maści i lekarstwa do tego pudełka, a porozrzucany materiał opatrunkowy do toreb i wynosiła z pokoiku blokowej, ustawiała je na piecu do wykorzystania. Niejednokrotnie Klara bez ceremonii brała leki i opatrunki i wynosiła je z bloku. Jak się później dowiedziałam, sprzedawała je za porcję chleba czy margaryny więźniarkom z innych bloków. O tych jej poczynaniach dowiedziałam się wówczas, gdy leki i opatrunki przeszły pod moją opiekę i gdy niejednokrotnie walczyłam z wykradaniem mi leków spod ręki w celach handlowych. Nie chciałabym być źle zrozumiana lub posądzona o ciasny egoizm i nieżyczliwość względem chorych, których nie brakowało na blokach, a którzy z różnych przyczyn nie dotarli do szpitala, a również potrzebowali leków czy maści, tym starałyśmy się nieść bezinteresownie pomoc. Walczyłam z nieusprawiedliwionym handlem lekami i z wykradaniem. Wykradanie bandaży i ligniny również nam dawało się nieraz we znaki, bo z reguły brakowało materiałów opatrunkowych niezbędnych w bardzo ciężkich przypadkach, lekarka musiała nimi dysponować bardzo oględnie. Niejednokrotnie zdarzało się, że maść trzeba było kłaść na prowizoryczny bandaż z kawałka papieru. Ja sama, leżąc z potwornymi ropnymi odleżynami, dostawałam mały kawałek papieru lub gazy z maścią ichtiolową, a o zabandażowaniu nie było mowy. Było to niezmiernie uciążliwe, gdyż żeby nie przesunąć opatrunku, należało cały czas leżeć bez ruchu.

W tym czasie było bardzo dużo chorych wymagających opatrunków, robiło się ich po 100 i więcej dziennie. Straszliwe owrzodzenia, odmrożenia, flegmony, ciężko lub wcale nie gojące się z powodu wyniszczenia organizmu, skutki awitaminozy. Szczególnie w lecie 1943 r. w szpitalu było dużo młodych Żydówek z Grecji, przeważnie chorych na *durchfall*, u których występowała straszliwa awitaminoza. Widziałam całe plecy bez naskórka, ręce i nogi odarte ze skóry. Przywykłe do południowego słońca, młode organizmy, wychowane na owocach, nie znosiły obozowego odżywiania i masowo ginęły w tych warunkach. Niestety, na skutek selekcji później zginęły wszystkie, nawet te nieliczne, które uniknęły chorób. (...)

Podczas choroby, gdy jeszcze nie byłam w stanie zejść z łóżka, wielokrotnie błagałam różne osoby o upranie mi koszuli, kilkakrotnie udało mi się uprosić kogoś z personelu szpitala lub chorą w lepszym stanie zdrowia, a wówczas przez czas prania i suszenia musiałam leżeć nago, a koszula uprana w zimnych ziołach już po dwóch dniach była równie pełna wszy, jak poprzednio. Toteż ręce przez cały czas choroby były nieustannie w ruchu. Łapanie wszy i drapanie się trwało bez przerwy w dzień i w nocy — zdawało się, że już nigdy w życiu moje ręce nie potrafią trwać w bezruchu. Nerwowe podrażnienie wymuszało nieustanny ruch rąk. Ktoś, kto nie był nigdy tak poważnie zawszony, nie jest w stanie zrozumieć tej potwornej plagi. (...)

Leżałam na trzeciej sztubie [izbie]. Obok, na drugiej była porodówka, na którą przywożono kobiety w ciąży. Rodziły leżąc na piecu. Blokowa Klara, z zawodu akuszerka, bardzo zręcznie odbierała noworodki i pomagała w porodach, wskutek czego nie trwały one dłużej niż 15—20 minut. Dla noworodków nie było żadnych urządzeń. Początkowo matki czuły się szczęśliwe, gdyż cierpiały krótko, później nieraz bardzo boleśnie przeżywały rozstanie się z dzieckiem. Do 12 maja 1943 r. wszystkie nowo narodzone dzieci, zarówno aryjskie, jak i żydowskie były mordowane przez utopienie w kuble z wodą lub zastrzykiem w serce. Po 12 maja tylko dzieci żydowskie były mordowane. Działo się to w ten sposób, że Klara zawijała noworodka w jakąś szmatę i kazała pielęgniarce odnieść do swojego pokoju, a po pewnym czasie wynoszono stamtąd kubeł, rzekomo z nieczystościami. Mimo całej wprawy Klara była brutalna i przykra dla chorych. Jej przeciwień-

stwem była bardzo oddana chorym położna Stanisława *Leszczyńska*, która wykazała wiele umiejętności, a przy tym miała wiele cierpliwości i wprawy, więc w bardzo trudnych warunkach obozu potrafiła nie tylko szczęśliwie odbierać porody, ale i nieść prawdziwą ulgę chorym i położnicom, a za swoją ofiarną pracę była wysoce ceniona zarówno przez personel lekarski, jak i przez chore. (...)

Nie potrafię oddać (...) koszmarnego nastroju i chaosu, jaki przeważnie panował na bloku; wszystkie słowa, których próbowałabym użyć, wydają mi się blade i nikłe, tym bardziej że oprócz porodów przez pewien czas były z nami na bloku nieszczęśliwe chore umysłowo i ich wrzaski mieszały się z krzykami rodzących.

Wieczorami czasem blokowa i jej przyjaciółki, przeważnie niemieckie prostytutki, urządzały sobie różne zabawy na bloku, które niestety nie bawiły żadnej chorej, ale przeciwnie, w sytuacji, w jakiej znajdowały się, raczej rozdrażniały i denerwowały. Zabawy polegały na tym, że na przykład przebrane — jedna za pannę młodą, a druga za pana młodego — wbiegały na blok z pokoiku blokowej z głośnym śmiechem, budząc tym usypiające chore, i przy akompaniamencie jęków rodzących i umierających urządzały skoczne tańce i gonitwy po piecu, nieczułe na nieustające nawoływania chorych o podanie nocnego naczynia, co przy niesamowitych wrzaskach umysłowo chorych sprawiało co najmniej makabryczne wrażenie, nie mówiąc o tym, co czuły chore.

Poza plagą wszy i pcheł w 1943 r. była plaga szczurów. Łóżka szpitalne stały na ziemi, w której szczury robiły dziury, wskutek tego nieraz trzypiętrowe łóżka jedną nogą zapadały się w ziemię, co sprawiało dużo kłopotu, gdyż jakie takie ustawienie ich wymagało dużego wysiłku, tym bardziej że nie zawsze chore mogły zejść z łóżka. Najczęściej chore oglądały te szczury z wysokości łóżek, a zmarłe lub nawet umierające czy trudniej poruszające się chore były przez nie co noc atakowane, a nawet zdarzały się przypadki pogryzienia w dzień personelu w nogi, nawet w twarz.

Pamiętam, jak pewnego dnia, w początkach czerwca, gdy już zaczynałam chodzić po chorobie, stałam przy łóżku siostry *Faron*, a obok na poprzecznym łóżku leżały dwie chore. Właśnie rozpakowywałam paczkę, którą dostałam z domu, gdy nagle zgasło światło, momentalnie miałam w ręku szczura, od którego nie mogłam się opędzić, a jedna z chorych leżących obok zaczęła wołać, że szczur ją gryzie. Później siostra *Faron*, która już nie leżała na wspólnym łóżku ze mną, zdobyła kij czy linę i w nocy odganiała szczury. Mimo tego robiły one ogromne spustoszenie zwłaszcza wśród naszych zapasów w paczkach. Do rozmnożenia się szczurów niewątpliwie przyczyniło się wynoszenie zmarłych pod ścianę przed blok, gdzie zwykle leżały od wieczora do rana i nim je zabrano do krematorium, stanowiły znakomity żer dla całych rodzin szczurów.

Na jesieni 1943 r. skierowano dużą grupę mężczyzn do naszego bloku z poleceniem wytępienia szczurów. Rzeczywiście wymordowali kilkaset sztuk, pomogły również trutki rozkładane na bloku, tak że plaga szczurów znacznie się zmniejszyła, choć nie zniknęła całkowicie.

Niemcy również na swój sposób usiłowali walczyć z plagą wszy, jaka nas nawiedziła. (...) W rzeczywistości była to straszliwa komedia odwszenia, która kosztowała wiele istnień ludzkich i nie przyniosła zamierzonych rezultatów, gdyż koce wróciły do nas po oczyszczeniu... z żywymi wszami. (...)

(...) Podczas mego pobytu w bloku szpitalnym było kilka odwszeń i mimo że wszystkie były do siebie w zasadzie podobne, to jednak różniły się szczegółami w samym wykonaniu. Podczas pierwszych odwszeń niemiecki lekarz *SS* Werner *Rhode* osobiście bardzo dokładnie pilnował skrupulatnego wykonania wszystkich zarządzeń, przy czym niewątpliwie zależało mu na tym, żeby chore traktować bardzo brutalnie i jak najwięcej z nich doprowadzić do śmierci. Przejawianie brutalności najwidoczniej zaspokajało jego władcze instynkty i dawało mu poczucie siły, co sprawiało mu widoczną przyjemność. (...)

Ogólną zasadą obozu było: ponieważ nic nie wolno, a więc wszystko wolno, byle sprytnie. Sądzę, że wykorzenienie tej zasady już na wolności u wielu natrafiało na duże trudności. (...)

Łóżko chorej miało 90 cm szerokości i około 2 m długości, wyłożone było siennikiem, wypchanym odrobiną wiórów, i przykryte kocem zasadniczo papierowym. Zagospodarowane chore miały dwa, czasem trzy wełniane lub bawełniane koce, które musiały zdobyć własnym przemysłem; niektóre, ale bardzo rzadko, miały poduszki. Początkowo luksusem były prześcieradła. Do chorych, które miały prześcieradła, niższy personel i współtowarzyszki odnosiły się z pewnym szacunkiem, bo prześcieradło uzyskiwało się za pomocą znacznych środków płatniczych, zwykle pochodzących z paczek z domu, albo dzięki stosunkom z uprzywilejowanymi. W końcu roku 1943 i później, głównie dzięki staraniom lekarek, coraz częściej pojawiały się na łóżkach prześcieradła. Nawet te chore, które nie wstawały, musiały same utrzymywać porządek w łóżku, a pucerki w zasadzie trzepały koce oraz z rana podawały chorym trochę wody do mycia. Czasem ta sama woda musiała wystarczyć dwóm chorym.

Cały dobytek chorej, wszystko, co udało jej się wcześniej zorganizować, należało ukryć w łóżku przed okiem niemieckiego lekarza, niezależnie od tego, czy była to koszula na zmianę, ręcznik lub buty, czy też jakaś żywność, a więc ziemniak, burak czy kapusta, czy też garnek do gotowania. Od czasu do czasu robiono rewizję i przeważnie poszukiwano określonego rodzaju rzeczy, na przykład podczas rewizji, w których zabierano koce, nie zwracano uwagi na inne rzeczy, a znów gdy poszukiwano garnków, nie zwracano uwagi na koce. Przy rozpoczynającej się rewizji należało możliwie szybko zorientować się, co jest jej przedmiotem, gdyż czasem udawało się szybko oddać poszukiwaną rzecz komuś z personelu na przechowanie, ale nie zawsze było to możliwe, gdyż czasami bardzo dokładnie kontrolowano również pomieszczenia blokowej i lekarki, a wówczas wszystkie ukryte tam rzeczy przepadały. Wieść o kontroli rozchodziła się błyskawicznie po całym bloku i błyskawicznie chowano zakazane przedmioty.

Gdy byłam ciężko chora na tyfus, w moim łóżku wielokrotnie mieścił się skład papierosów, kart do gry, pięknych akwarel i lekarstw, zwłaszcza zastrzyków, a nawet ukrywałam maszynki elek-

tryczne i małe lampki, zawsze się jakoś szczęśliwie udawało.

Wielokrotnie podczas niespodziewanych wizyt lekarza Niemca do łóżek ciężko chorych w pośpiechu wstawiano gotujące się garnki, czasem nawet z jedzeniem blokowej lub z ziołami czy kawą dla chorych i naciągało się na to wszystko koce, a chore leżały obok bez ruchu. Ile nerwów i niepokoju kosztowało to ciągłe czuwanie i niepokój, czy lekarz przejdzie obojętnie obok takiej chorej, ile sprawności z naszej strony wymagało takie zamaskowanie ukrytych przedmiotów, by lekarz i towarzyszące mu osoby nie dostrzegły, że wbrew wszelkim ścisłym zakazom używa się pieca do gotowania, ile sprytu i przebiegłości wymagało takie życie codzienne. Blokowa nieraz ordynarnie i głośno wymyślała nam, zabraniając gotować na piecu, a po cichu dawała do zrozumienia, że możemy gotować, ale tak, aby władze tego nie zauważyły, sama również chętnie korzystała z pieca do gotowania, jednakże odpowiadała za porządek na bloku i nie mogła narażać się władzom niemieckim.

Mimo że rekonwalescencja moja trwała kilka miesięcy, jeszcze w maju 1943 r. byłam tak osłabiona i wyczerpana umysłowo, że nie mogłam kojarzyć pojęć. Lekarka zachęcała mnie do wstawania i do pracy. Godzinami medytowałam, jaką funkcję mogłabym pełnić na bloku, gdyż o pracy poza blokiem nie mogłam myśleć, byłam na to zbyt słaba. Zdawało mi się, że mogę być najwyżej posługaczką na bloku i długi czas zastanawiałam się nad jej obowiązkami, drobiazgowo rozmyślałam, jak myje się nocne naczynia i nie wiedziałam, co najpierw należy wziąć do ręki, by sprawnie wykonać tę czynność. Napełniało mnie to przerażeniem, tym bardziej że zdawałam sobie sprawę, że to już przeszło trzeci miesiąc mojej choroby, a ja jestem całkowicie niezdolna do pracy i do życia.

Jeszcze przez długi czas po jakim takim powrocie do sił musiałam ukrywać i pokonywać ogromnym opanowaniem brak pamięci i niewydolność orientacji. To jest straszliwe uczucie: nie móc przypomnieć sobie, co było przed chwilą, przed godziną czy wczoraj, stale natrafiać na pustkę w mózgu. Niestety męczyło mnie to bardzo długo, zanim pamięć wróciła całkowicie. (...)

(...) W maju 1943 r., po pierwszym odwszeniu przydzielono do naszego bloku dr Irenę *Białównę*, lekarkę z Białegostoku, o ujmującym podejściu do chorych, bardzo miłej powierzchowności, zawsze pogodną i zrównoważoną, która umiała darzyć chore serdecznym i miłym uśmiechem przyjaźni. Prędko zyskała szacunek i miłość nie tylko chorych, ale i poważanie wśród — zwykle opornych — więźniarek funkcyjnych. (...)

W czerwcu 1943 r. dr *Białówna* poprosiła mnie o pomoc. Byłam do głębi wstrząśnięta wyróżnieniem, jakie mnie spotkało, i ważnością powierzonego mi zadania: miałam poliniować papier i w ten sposób wykonać karty gorączkowe, których nie było. Byłam jeszcze bardzo słaba i wydawało mi się, że zadanie to przekracza moje siły, ale bardzo chciałam zadowolić dr *Białównę*, toteż skupiłam się, jak mogłam, i z ogromnym wysiłkiem udało mi się nakreślić kilka kart ku zadowoleniu lekarki i nawet blokowej, która uważała za stosowne również ocenić moją pracę. Były to karty normalnej wielkości, kreślone według wzorów, jednakże rychło okazało się, że papieru jest bardzo mało i wymiary kart trzeba było zmniejszyć o połowę. Nie miałam linijki ani miejsca do pracy i mimo że mąciło mi się w oczach, wybrnęłam szczęśliwie z powierzonego mi zadania. Zrobiłam kikadziesiąt zmniejszonych kart, które przedstawione lekarzowi Niemcowi, dr. *Rhode*, zostały przez niego zatwierdzone. Tym samym uzyskałam prawo pracy w bloku jako powracająca do zdrowia chora, w dowód czego dostałam oficjalnie od blokowej jakąś kusą bieliznę, czerwoną suknię w jaskrawe kwiaty, amarantowy ozdobny fartuch w barwne trójkąty i białą, trójkątną chustkę na już dawniej ostrzyżoną głowę. (...)

Praca pod nadzorem dr *Białówny* wydawała mi się bardzo przyjemna, tym bardziej że dawała mi poczucie powrotu do sił, ale wbrew pozorom była dla mnie bardzo męcząca. Musiałam wspinać się na piętra łóżek, ażeby podać leki, wielokrotnie przechodzić przez zbyt wysoki dla mnie piec, ażeby dotrzeć z lekarstwami do ciężej chorych, które nie mogły nieraz unieść się samodzielnie. Niejednokrotnie praca przeciągała się poza wieczorny apel, do godziny 10 czy 11 wieczór, a często i w nocy trzeba było wydawać leki uspokajające lub inne, ale świadomość tego, że mogę trochę ulżyć i poratować nieszczęśliwe chore, bardzo szybko wróciła mi zdrowie i siły. Nie miałam jednak czasu na prywatne, poufne rozmowy z osobami, które stały mi się bliskie, musiałam mieć czas dla wszystkich, bo niepostrzeżenie stałam się wszystkim potrzebna. Niestety bliskich mi osób było coraz mniej.

Praca w bloku szpitalnym, chociaż [jak wspomniałam], szalenie męcząca fizycznie, dawała mi ogromne zadowolenie, czułam się tam potrzebna i nieraz zastanawiałam się nad tym, że widocznie trzeba było przejść przez wszystkie cierpienia więzienia i obozu oraz przez choroby, żeby znaleźć się na tym miejscu. Moje siwe włosy ciągle przypominały którejś chorej matkę, ciotkę czy babkę, więc garnęły się do mnie z całym zaufaniem. Nieraz ulgę przynosiła im możność wypowiedzenia się, nieraz położenie ręki na obolałej głowie chorej przynosiło jej ukojenie. W pokoiku blokowej wolno mi było gotować narzędzia i strzykawki, poza tym niczego więcej blokowa nie tolerowała, tymczasem potrzeba było dużo gorącej wody do termoforów lub do rozpuszczania zdobywanych w kantynie kostek *maggi*, niezbędnych do odżywienia niektórych chorych, więc po kilka razy gotowałam te same już wygotowane pęsety i w ten sposób trochę podstępnie zdobywałam niezbędną wodę.

W lipcu 1943 r. dzięki Wandzie *Mende* i *schreiberce*, Halinie *Skoniecznej*, nie oglądana przez niemieckiego lekarza i nie badana, zostałam przez niego zatwierdzona w skład personelu szpitala. Było to dla mnie wielkie osiągnięcie, gdyż normalnie wszystkie kandydatki musiały przejść przez uciążliwe i niemiłe badanie. Zwykle stały po parę godzin nago, czekając na oględziny. Jestem przekonana, że mnie starą, wychudzoną, niewątpliwie odrzuciłby, co byłoby dla mnie równoznaczne z wypisaniem ze szpitala i przeniesieniem na blok pracy w znacznie gorsze warunki. Tu już w pewnym sensie byłam zadomowiona i czułam się przydatna; byłam więc szczęśliwa, że udało mi się uniknąć badania, gdyż nareszcie

mogłam bardziej swobodnie poruszać się po terenie szpitala, a w wolnych chwilach, zwłaszcza wieczorem, po pracy, mogłam trochę wychodzić przed blok i wypoczywać w maleńkim pseudoogródku, starannie pielęgnowanym na polecenie blokowej. (...)

Lekarki szpitala wystarały się dla siebie o malutki pokoik na sąsiednim bloku nr 23, w którym stały dwa trzypiętrowe łóżka. Zamieszkały w nim dr Ernestyna *Michalikowa* z Krakowa, dr Zofia *Kączkowska* z Gdyni (obydwie później zmarły w obozie), dr Irena *Białówna*, dr Ella *Ligens* z Wiednia — wiedenka bardzo pozytywnie ustosunkowana do współwięźniarek, dr Ela *Klein* — słowacka Żydówka, dr Celina *Choynacka* z Poznania.

Wieczorne chodzenie z naszego 24 bloku na 23 do pokoiku lekarek, a zwłaszcza nocny powrót — przejmowały często grozą. W obozie bez przerwy czynne były obydwa krematoria, ziejące w dzień i w nocy słupami ognia znad kominów, a duszący dym spalenizny rozchodził się wokoło. Szczególnie był dokuczliwy, gdy wiatr wiał od krematoriów w kierunku bloków. Mimo że krematoria były oddalone od naszych bloków o około 2 km, łuny, zwłaszcza wieczorem i w nocy, sprawiały wrażenie, że są one bardzo blisko. Za drugim polem, również niedaleko nas, były czynne drugie dwa krematoria, oznaczone numerami IV i V, które mimo że też niezbyt odległe, nie sprawiały już tego wrażenia bezpośredniej bliskości. Wieczorami obrazu dopełniały czerwone, ogniste łuny, rozpostarte nad rowami kilkudziesięciometrowej długości, w których dopalano niedopały zwłok, nie całkowicie spalonych w piecach krematoryjnych. Szczególnie nocą te łuny i buchające w górę słupy ognia na tle ciemnego nieba i panującej ciszy sprawiały wstrząsające wrażenie. Często zastanawiałam się, jakie morze cierpień, bólów, miłości i nienawiści spalało się w tym strasznym ogniu, czy dusze ludzkie oczyszczały się przez to straszne całopalenie. (...)

Jednakże i tu nie obeszło się bez zakulisowych rozgrywek, bez wydzierania sobie tej odrobiny lepszych warunków. Naczelna lekarka, Ena *Weiss*, zręczną intrygą usiłowała zabrać ten blok dla Żydówek chorych na *durchfall*. (...) Dzięki spokojnej i rzeczowej interwencji dr *Białówny* u niemieckiego lekarza, przeprowadzonej w bardzo umiejętny sposób, i dzięki sprytowi blokowej (...), a zwłaszcza dzięki łapówce w postaci dużego kawału wędzonego boczku udało się nam zdobyć blok nr 18, pod warunkiem, że w razie przepełnienia na durchfalowym bloku Żydówek będą one przyjmowane na nasz blok. Trudno wyjaśnić doniosłość zabiegów o ten blok, ale zmuszały nas do tego warunki, w jakich znalazłyśmy się przeniesione w połowie upalnego czerwca na blok nr 12. (...)

Rozdawanie lekarstw chorym Żydówkom [w bloku nr 12] było utrudnione i nieraz przykre, gdyż roboty było moc, a czasu mało, gdy tymczasem każda z nich musiała się najpierw wyżalić i wielokrotnie wypytać o działanie leku, zanim go przyjęła. Biedne, zaniedbane Żydówki francuskie, włoskie, holenderskie, węgierskie (...) były bardzo mało odporne, a przy tym były to istoty o zupełnie innej mentalności i strukturze duchowej niż inne narodowości, więc często trudno było trafić im do przekonania.

Obojętność innych lekarek i blokowej powodowała, że dr *Białówna* miała bardzo dużo pracy, jednakże jej usiłowania, by zaprowadzić jakiś ład, rygor i udzielać chorym rzeczywistej pomocy, w wielu przypadkach rozbijały się o bardzo ciężkie, wprost prymitywne warunki lokalne. Chorych do badania i opatrunków nie można było układać na piecu. Opieszałe pucerki i pozostałe pielęgniarki nie kwapiły się do żadnej pomocy, a tym bardziej do współdziałania z lekarką. Pracę utrudniał nieopisany gwar i hałas niemożliwej do uciszenia, niesfornej gromady chorych, który męczył nas bardzo i nie pozwalał się skupić. Musiałam bardzo uważać, by nie popełnić jakiegoś błędu przy rozdawaniu lekarstw. Dwa tygodnie pobytu na bloku dwunastym wyczerpały nas ogromnie (...).

Około 20 czerwca 1944 r. nastąpiła przeprowadzka do odnowionego bloku nr 18. Chore, umyte i czyste, zostały umieszczone na czystych siennikach i kocach, których zdobycie kosztowało niemało trudu. W bloku była drewniana podłoga, a poza tym była doprowadzona woda, co przedtem nie mieściło się w pojęciach naszych władz. Po poprzednich warunkach czułyśmy się, jakbyśmy się dostały do raju. Mimo że nasz blok przez cały czas był blokiem durchfallowym i tyfusowym, a więc z natury bardzo brudnym i trudnym do utrzymania w czystości i porządku, blokowa dokładała wszelkich starań, żeby utrzymać blok jak najczyściej i jak największą opieką otoczyć chore. Wszystkie miałyśmy sobie za punkt honoru, żeby pokazać Niemcom, że w tak ciężkich warunkach obozu Polki potrafią zachować się godnie, a przede wszystkim utrzymać porządek i czystość. (...)

W bloku był miniaturowy pokoik, który został przeznaczony na apteczkę, nareszcie można było uporządkować leki i materiały opatrunkowe, pochodzące z różnych „darowizn" lub zdobyte innymi sposobami. W tym czasie byłyśmy tak zorganizowane, że miałyśmy dużo różnych leków, a poza tym niespodziewanie dużo leków dostawałyśmy z głównej apteki obozu. Ludzie przywożeni transportami do obozu przywozili ze sobą stosunkowo dużo lekarstw, które, jak i inne rzeczy, segregowano na rampie, a najczęściej zmieszane z błotem wrzucano do waliz lub do koszy i odsyłano do głównej apteki, w której był bardzo szczupły i zawsze przepracowany personel, toteż chcąc sobie zaoszczędzić pracy, pracownicy głównej apteki nieraz przydzielali całe walizki takich leków, zwłaszcza wówczas, gdy wiedzieli, że trafią one do rąk takich osób, które potrafią je rozsegregować, ocenić i wykorzystać, co nieraz nie było łatwe, gdyż leki te pochodziły z różnych krajów i nieraz te same środki miały różne nazwy, a przecież nie miałyśmy żadnych podręczników czy lekospisów.

Apteka, którą nadal zawiadywałam, uporządkowana, wyglądała bardzo dobrze, a nawet ładnie. Pewnego dnia, nie pamiętam od kogo, dostałam dużo pięknych kwiatów — groszków, a nawet kilka róż i innych, które w różnych naczyniach poustawiałam w aptece na szafie, na półce i na stole. Kwiaty do obozu były przemycane przez przyjaciółki zatrudnione w stacji doświadczalnej w Rajsku, a w obozie były zabronione. Następnego dnia z rana błyskawicznie obiegła nas niepokojąca wieść, że ma przyjść „wysoka kontrola" (*hoche Besuch*), od razu rozpoczęło się gorączkowe

sprzątanie i porządkowanie oraz przykrywanie kocami chorych, w czym musiałam pomagać i nie mogłam zająć się apteką. Blokowa wyniosła część moich kwiatów z apteki i ustawiła je naprzeciwko wejścia na piecu przystrojonym kwiecistym obrusem. Po niedługim czasie blok wyglądał bardzo czysto i schludnie, a zabronione kwiaty robiły bardzo miłe wrażenie.

„Wysoka kontrola" weszła, a raczej wpadła z impetem do bloku; było ich czterech, wśród nich „opiekujący" się nami lekarz Niemiec, dr Josef *Mengele*. Kwiaty, czysty obrus i porządek na bloku wprowadziły ich w osłupienie. Zatrzymali się, przycichli i patrzyli zdumieni, dr *Mengele* z dumą wskazał na ukwieconą aptekę ze słowami: „oto nasza apteka", pozostali po chwili wpadli w zachwyt, szybko przebiegli przez cały blok, wykrzykując: *„wie schön, wie sauber — Musterblock"* (jak ładnie, jak czysto — wzorowy blok). Wyszli bardzo zadowoleni. Oględziny zostały szczęśliwe skończone, ale najważniejsza była zdobyta opinia.

Nie przeszkadzało to, że ten sam dr *Mengele* w dwa tygodnie później wydał zarządzenie, ażeby usunąć z naszej apteczki wszystkie lekarstwa, a pozwolił tylko pozostawić zapas na jeden dzień podstawowych leków. Z naszego punktu widzenia było to absurdalne zarządzenie, ponieważ w głównej aptece wydawano nam lekarstwa tylko raz dziennie i to z rana, więc w ciągu dnia nie można było uzupełnić brakujących środków. Mimo prób perswazji *Mengele* z uporem trzymał się tego zarządzenia i stale nas prześladował. Poza tym uważał, że na durchfalowym bloku środki opatrunkowe są niepotrzebne, bo, jak twierdził, „to nie jest chirurgia" i nie liczył się z koniecznością wykonywania wielu opatrunków, po prostu nie przyjmował do wiadomości faktu odleżyn, wrzodów i innych schorzeń tego rodzaju. My oczywiście oddałyśmy z apteczki tylko mniej potrzebne leki, reszta została ukryta w łóżkach chorych, gdzie były zupełnie bezpieczne, gdyż *Mengele* ze względu na możliwość zarażenia się tyfusem, jak i ze względu na *durchfall* bał się robić rewizje w łóżkach chorych. Wszyscy Niemcy panicznie bali się zarażenia chorobą zakaźną i unikali zakaźnie chorych, dzięki czemu mogłyśmy uratować większość leków, ale nasza apteczka prawie przestała istnieć, co stanowiło dodatkowe utrudnienie dla mnie, z którym musiałam się pogodzić. (...)

W okresie powstania warszawskiego na bloku zapanowało duże podniecenie. Po obozie krążyły różne nie sprawdzone wieści, a to że Warszawa wolna, że już w niej zostało odprawione dziękczynne nabożeństwo, że wyzwolenie całej Polski już bliskie. Niestety równie szybko dowiedziałyśmy się tragicznej prawdy, gdyż do obozu przywieziono sześć tysięcy warszawiaków i warszawianek. Był to pierwszy transport z Warszawy, po którym prawie codziennie przychodziły następne. Zapanował smutny nastrój, przerażenie i ból ogarnęły nas wszystkich. Wyrywałyśmy się, żeby tym biedaczkom pomóc zaaklimatyzować się w obozie, z dobrego serca ofiarowywałyśmy wszystko, co miałyśmy najlepszego, a zwłaszcza odzież i żywność. (...)

Już od połowy lipca żyłyśmy w ciągłym oczekiwaniu i niepokoju; rano nigdy nie wiadomo było, czy wieczorem jeszcze będziemy w obozie; słyszałyśmy o straszliwych warunkach transportu i o przeludnieniu w innych obozach, więc pragnieniem wszystkich było pozostanie w Brzezince, gdzie każda z nas jakoś sobie ułożyła życie, a ofiarność i pomoc współtowarzyszek, okazywane nawet nowo przybyłym, niechętnym nam warszawiankom, wiele ułatwiały. (...)

Po przebytym powrotnym tyfusie nie zostałam oficjalnie ponownie włączona do personelu bloku, a ponieważ w ogóle zmniejszono w tym czasie liczbę personelu, nie miałam wielkich szans na dalsze pozostawanie zarówno w składzie personelu, jak i na bloku, mimo tego jako chora pracowałam i pomagałam na bloku jak poprzednio, choć było to niedozwolone i w razie ujawnienia mogło narazić lekarki na duże nieprzyjemności. Uzyskanie pozwolenia na ponowne wpisanie w stan personelu wymagało osobistego stawienia się przed dr. *Mengele*, czego wolałam uniknąć, bo mogło to mieć nieobliczalne następstwa zarówno na mój wiek, jak i na wygląd. (...)

Zdarzyło się jednak, że *Mengele* w towarzystwie przełożonego obozu, *Schustera*, odwiedził nasz blok i zastał mnie podczas pracy obok dr *Białówny*. Nie sposób było wycofać się i byłam już pewna, że najdalej nazajutrz opuszczę blok, gdy tymczasem dr *Białówna*, całkowicie opanowana, wskazując na mnie palcem, spokojnie mu wyjaśniła, że jestem dawną pielęgniarką, która chorowała, ale od paru dni wstaję, pracuję i pomagam jej, a potem beznamiętnie zapytała, co ma ze mną zrobić. *Mengele* widział mnie już przedtem parę razy w moim pokoiku aptecznym i widocznie zapamiętał mnie sobie, gdyż wykrzyknął: *„Pflegerin-Apothekerin!"* (pielęgniarka-aptekarka) i powtarzał to parę razy, głęboko zastanawiając się, a po chwili nieoczekiwanie zapytał dr *Białównę*, czy jestem jej krewną lub bliską znajomą.

Nigdy nie wiadomo było, jaka odpowiedź w takim przypadku będzie korzystna, ale widocznie dr *Białówna* wyczuła sytuację, gdyż odpowiedziała zgodnie z prawdą, że nie jestem jej krewną, a tylko dawną pielęgniarką z bloku, i ponownie zapytała, co ma w tej sytuacji zrobić. Na to *Mengele* wykrzyknął: jak to co? Młodą zwolnić, a starą wpisać w stan pielęgniarek! (*Junge raus, alte in Pflegerstand!*). Wierzyć mi się nie chciało i zaskoczona tym zarządzeniem stałam nieporadnie z boku, nie wiedząc, co robić, aż zauważył to przełożony obozu, Niemiec *Schuster* (...) i dał mi znak ręką za plecami *Mengele*, żebym się czym prędzej wycofała, bo może się rozmyślić i zmienić decyzję. Podziękowałam więc krótko i odeszłam. Tak się potem ułożyło, że na szczęście żadnej młodej nie trzeba było zwalniać i do końca pobytu w obozie mogłam pozostawać już oficjalnie na swoim stanowisku. (...)

W końcu października 1944 r. zaczęto wspominać o możliwości likwidacji obozu lub o przeniesieniu go na inne pole. (...) Tylko niektórym blokom z całego obozu udało się przenieść wraz z rzeczami. W listopadzie 1944 r. w całym kobiecym obozie po tej stronie toru pozostał tylko szpital, nie dziw więc, że we własnym zakresie potajemnie przed Niemcami rozpoczęłyśmy przygotowania do przeprowadzki. (...)

Perspektywa przeprowadzki do dużo gorszych warunków, do walki z brudem, do noszenia wody z basenu nie pociągała nas całkowicie, więc ko-

rzystając z zamieszania, starałyśmy się nieco przyczaić, by jak najdłużej pozostać na tym bloku, ale wreszcie padł rozkaz przeprowadzki, którą, jak wszystko w obozie, rozpoczęto z ogromnym, choć niczym nie uzasadnionym pośpiechem i chaotycznie. Nie powiedziano nam, jakim sposobem mamy przetransportować leżące chore i niektóre urządzenia, niezbędne na nowym miejscu, więc, ustawicznie ponaglane przez doglądających nas Niemców, uwalniałyśmy po kilka łóżek, przenosząc chore do wspólnych łóżek z innymi, a pielęgniarki przenosiły zwolnione łóżka do odległego o około 4 kilometry bloku przeznaczonego dla nas.

Po pewnym czasie jednak Niemcy zorientowali się, że polecenie przeprowadzki w tej formie było nie przemyślane, gdyż przenoszenie tak dużej liczby łóżek i ciężko chorych przekraczą nasze możliwości, nieoczekiwanie przerwali rozpoczęte prace i polecili przenieść chore z jednej połowy bloku na drugą, to znaczy ścieśnić do niemożliwości chore na jednej połowie bloku, a następnie przysłali jeńców rosyjskich, którzy przenieśli zwolnione łóżka. Ledwo upchnęłyśmy po trzy lub cztery nieszczęśliwe chore na jednym łóżku, gdy przed wieczorem polecono nam ułożyć wszystkie chore na siennikach na cementowej podłodze i oddać pozostałe łóżka do przeniesienia. W tym czasie na bloku było ponad trzysta obłożnie chorych, powstał zamęt nie do opisania, jęki, krzyki, kurz. Nim zdążyłyśmy jako tako poukładać chore na podłodze i rozdać spragnionym trochę picia, była już późna noc. Na podłodze zrobiło się tak ciasno, że trudno się było poruszać.

Następny ranek był koszmarny, nie można było opatrywać chorych, które koniecznie tego wymagały, więc wiele z nich bardzo cierpiało, wiele zmarło tej nocy. Z lekarstw miałyśmy już tylko trochę środków nasercowych, opatrunków nie było, nie było też miejsca na opatrywanie chorych. Czekałyśmy na jakiś środek transportu, wreszcie około południa zajechał ciężarowy samochód, którym w pierwszej kolejności wysłałyśmy 45 lżej chorych na stojąco, gdyż więcej nie mogło się zmieścić. Na nowym miejscu czekała na nie zastępczyni blokowej i kilka pielęgniarek, które już tam poszły poprzedniego dnia, aby trochę uprzątnąć blok i możliwie przygotować go na przyjęcie chorych.

Ciężarówka obracała kilka razy i odwiozła lżej chore, a zostało około 70 ciężko chorych, które należało ostrożnie przewozić w pozycji leżącej, gdy nagle wpadł *Mengele* i znowu nieprzytomnie zapytał, co to za blok, a gdy dowiedział się, że durchfal[owy], dosłownie wpadł w szał i wykrzykiwał, że to bardzo źle, że dotychczas nie zostałyśmy przeniesione. Zaczął pejczem popędzać pielęgniarki, robiąc przy tym awantury, gdy zauważył obsunięty lub niedokładnie założony opatrunek, wreszcie sam zaczął chwytać chore za nogi i wrzucać do samochodu, jedna na drugą, a gdy załadował wszystkie, odszedł zadowolony ze spełnionego dzieła, ale nie pozwolił nam nic wziąć z tego bloku. Została więc moja szafa apteczna, wiele bardzo potrzebnych nam naczyń i naszych osobistych rzeczy.

Zdawało się, że pielęgniarki podczas takiego ładowania ciężarówki przez *Mengelego* dostaną pomieszania zmysłów, mnie nie pozwoliły patrzeć na to i brać w tym udziału, mogłam tylko do ostatka obsługiwać chore na bloku. Nie mieściło się w naszych pojęciach, że lekarz może być takim sadystą. Na ciężarówkę, na której stojąco mieściło się 45 osób, wrzucił na leżąco ponad 70 i chyba było to zupełnie niepotrzebne znęcanie się nad chorymi. W tym czasie przekonałam się również, że osławiona organizacja niemiecka jest bardzo zawodna, gdy trzeba w niej wprowadzać doraźne zmiany stosownie do zmienionej sytuacji.

Blokowa, jak zwykle zaradna i przedsiębiorcza, wobec zakazu przewiezienia ciężarówką reszty naszego dobytku zdobyła gdzieś nieduży dwukołowy wózek i naładowała na niego co mogła z najpotrzebniejszych rzeczy, a poza tym — mimo zakazu *Mengelego* — każda z nas dźwigała, ile uniosła ze wspólnego dobytku. Trzeba było robić to wszystko bardzo szybko i biegnąć z wózkiem, żeby nie spotkał nas *Mengele* lub nie zaskoczył nas sygnał wieczornego apelu, po którym nie wolno było się poruszać. Szczęśliwie dobrnęłyśmy w porę, padając wprost ze znużenia, a jeszcze trzeba było „nowy" blok doprowadzić do porządku po przeprowadzce.

Następnego dnia raniutko urządzono kilkugodzinny apel. Nas pielęgniarki zamknięto na parę godzin w pustym bloku, a w pozostałych blokach rozpoczęło się sprawdzanie liczby chorych. Nasza *schreiberka*, Marylka *Kaczorowska*, nie myliła się nigdy i zawsze miała aktualny stan chorych, ale pokutowałyśmy kilka godzin za niedokładności na innych blokach, a tymczasem chore były bez opieki. Po skończonym apelu do naszego bloku niespodziewanie wpadł *Mengele* i zapytał, ile chorych zmarło podczas przeprowadzki i w nocy, a gdy dowiedział się, że po jego wyczynie z ładowaniem ciężarówki zmarły tylko dwie, aż siadł ze śmiechu. Nam nie było do śmiechu, gdyż wiele krzywdy zrobił chorym, których wiele z tego powodu było umierających, ale nie warto mu było tego tłumaczyć. Były to ostatnie, coraz rzadsze wizyty *Mengelego*, potem pokazał się jakiś młody, nieznany nam lekarz. (...)

Ciągle małymi grupkami, po parę osób, wywożono więźniarki z obozu, a często wśród nich były również lekarki. (...) Również indywidualnie wywożono pielęgniarki. Wychodząc na apel nie wiedziało się nigdy, czy wróci się na blok i z jakim poleceniem. Muszę powiedzieć, że moje współtowarzyszki bardzo o mnie dbały i stale obmyślały dla mnie jakieś uniki, które miały mi zapewnić pozostanie w obozie. (...)

Opiekując się sztubami, w dalszym ciągu pełniłam funkcję aptekarki na bloku, z tą różnicą, że na poszczególnych sztubach ofiarne i zaufane pielęgniarki pomagały mi w rozdziale i podawaniu lekarstw chorym. Musiałam bardzo uważać, bo niestety nadal kwitł „podziemny" handel lekarstwami, który starałam się ukrócić, zdobywając i rozdzielając bezpłatnie właściwe lekarstwa potrzebującym chorym. (...) Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1944 r. Między lekarstwami miałam ukryte opłatki, zabronione w obozie (...).

W styczniu 1945 r. zachorowałam na lekką grypę, z zajęciem zatok czołowych, czułam się nieswojo, więc nie wstawałam. W tym czasie zachorowała na zapalenie płuc nasza współtowarzyszka, p. Zofia *Praussowa*, (...) wybitnie inteligentna i wykształcona Polka o gorącym sercu. Ciągle układała projekty odbudowy nowej Pol-

ski. Dziwnie prędko zmogła ją choroba. Wprawdzie już od kilkunastu tygodni — w związku z zabraniem kart przez *Mengelego* — bardzo się posunęła, bo było to dla niej bardzo silnym wstrząsem; potem zauważyliśmy, że traci odporność. Była namiętną palaczką; na bloku wiadomo było, że za zapalenie papierosa jej zapalniczką musiała dostać „cuga". Zapalniczkę zawsze pielęgnowała i obawiała się, żeby nie zabrakło jej benzyny. Dawałam jej na „skręta" różne niepewnego pochodzenia, stare zioła, których nie mogłam użyć dla chorych. Bez papierosa wpadała w ogromne rozdrażnienie. Poza tym była głęboko wierząca i bardzo religijna.

Nie mogłam leżeć na swoim łóżku, wiedząc, jak ciężko jest chora, więc wstałam i jeszcze przez dwa dni ją pielęgnowałam. Zmarła na moich rękach 16 stycznia 1945 r. o godz. 2 w nocy. Jej śmierć głośnym echem odbiła się po obozie. Na drugi dzień po apelu urządziłyśmy skromny pogrzeb. W miejscu najbardziej przestronnym, pod piecem, ustawiłyśmy jej zwłoki na noszach. Zdobyłyśmy trochę zieleni i świec, więc mogłyśmy ją uroczyście pożegnać. Zebrała się nas duża gromada, nastąpiły wspólne modlitwy oraz piękne żałobne śpiewy, a potem przeniosłyśmy ją do pustego pomieszczenia, skąd nazajutrz miano zabrać zwłoki do krematorium.

Mimo całkowitego odcięcia od świata i braku wiarygodnych wiadomości echa zwycięskiej ofensywy Armii Radzieckiej docierały przez obozowe druty do więźniów gnębionych do ostatka w barbarzyński sposób, głodzonych i uśmiercanych. Od czasu do czasu czytałyśmy wykradane Niemcom gazety, a nasze współwięźniarki, obsługujące niemieckie mieszkania, podsłuchiwały czasem komunikaty radiowe. Wiadomości o zbliżającym się froncie coraz uporczywiej krążyły podawane z ust do ust. (...)

Pewnego dnia, w początkach stycznia [1945 r.], na nasz blok wbiegł zdenerwowany dr *Mengele* i w pośpiechu kazał wywieźć kilka skrzyń, zawierających materiały jego badań antropologicznych przeprowadzanych na Cyganach, których potem skierował do gazu i do krematorium. Jednocześnie z pośpiesznie wywożonymi materiałami dra *Mengelego* dotarły do nas wiadomości o wywiezieniu z obozu głównej apteki, co już wyraźnie oznaczało zbliżające się zmiany, choć żadna z nas nie mogła przewidzieć, co nam przyniosą i jaki będzie nasz los, komory gazowe bowiem pracowały nadal bez przerwy, a stale dymiące kominy były widocznym znakiem kaźni niezliczonej liczby bezbronnych, męczonych i zamęczonych ofiar ludzkich. Kaci oświęcimscy do ostatka pracowali ze zdwojoną energią, z jeszcze większą niż zwykle zaciekłością i wysiłkiem, by, nie bacząc na czekającą ich odpowiedzialność, pozbawić życia jak największą liczbę więźniów, świadków ich morderstw i zatrzeć ślady. (...)

Przeczuwając możliwość jakichś poważnych zmian w naszej sytuacji czy też ewakuacji, już wcześniej starałyśmy się w miarę możności przygotować wszystkie chore na wszelkie ewentualności, a przede wszystkim zaopatrzyć chore zdolne do wyjścia z obozu w odzież, obuwie i inne niezbędne rzeczy. Na wiadomość o rychłym opuszczeniu obozu zabrałyśmy się do ostatecznych przygotowań. Pomimo że nikt nami nie kierował, natychmiast zgodnie rozdzieliłyśmy między siebie całą pracę. Część zdrowszych współwięźniarek zabrała się do szycia worków, możliwych do zarzucenia na plecy, z ręczników lub prześcieradeł, inne szyły odzież z koców lub poprawiały obuwie, nie tylko własne, ale i innych. Byłyśmy tak podniecone, że o spaniu i o jakimkolwiek wypoczynku nie było mowy. Przygotowania trwały całą noc, tak że nad ranem wszystkie chore były możliwie zaopatrzone.

Poranny, spóźniony apel [18 stycznia 1945 r.] o godz. 7 zastał nas już gotowe do drogi, więc nie zaskoczył nas rozkaz przygotowania się do wymarszu z obozu w ciągu pół godziny. Miały wyjść wszystkie zdolne do chodzenia, niezależnie od stanu zdrowia, wieku i pełnionej funkcji. Również lekarki były objęte tym rozkazem. Wprawdzie rozkaz wymarszu nie był już dla nas zaskoczeniem, ale wydany w tej formie spowodował zamieszanie, tumult i chaos nie do opisania, wskutek czego wymarsz trzeba było wstrzymać i wstrzymano go, może i z innych przyczyn, najpierw do godziny 10, a później do 13.

Nie wiadomo było, co dla nas i dla chorych, które pozostawały, będzie bardziej korzystne, i naradzałyśmy się z lekarkami, co mamy robić w tej sytuacji, gdyż stanęłyśmy przed wielką niewiadomą, którą los nam przynosił. My, rzekomo zdrowe, miałyśmy opuścić obóz, idąc pieszo w mroźny, styczniowy dzień, przez zaśnieżone drogi, a nasze chore współtowarzyszki pozostawały w obozie bez jakiejkolwiek opieki, co stawało się szczególnie groźne, gdyż już tego dnia brak rygoru rozpętał złe instynkty. Zaczęło się wzajemne okradanie, szczególnie dotkliwe, gdyż kradziono tłumoczki przygotowane do drogi lub zapasy pozostawione przez nas ciężko chorym.

Więź, jaka łączyła personel bloku przez cały czas pobytu w obozie, i w tej chwili nakazywała nam opanować sytuację i zatroszczyć się a chore pozostające w obozie, które nie tylko że nie były w stanie wyjść z nami, ale w wielu przypadkach nie były w stanie wstać z łóżka. Lekarki i personel szpitala prosiły, ażeby pozwolono pozostać chociaż części personelu z chorymi, ale spotkała je kategoryczna odmowa, wobec tego zleciły lżej chorym, pozostającym w obozie, opiekę nad ciężko chorymi.

Apele tego dnia powtarzały się kilkakrotnie, na każdym z nich wyznaczano inną godzinę wymarszu, którą po pewnym czasie przesuwano. W końcu byłyśmy tak zmęczone całonocnymi przygotowaniami i napięciem, jakie stwarzały kolejno powtarzające się apele i odwoływane rozkazy wymarszu, że już prawie przestałyśmy reagować na wszystko, co się wokół nas działo, tym bardziej że byłyśmy głodne, bo w tym zamieszaniu, jakie zapanowało, przez cały dzień nie można było myśleć o posiłkach.

Wreszcie wieczorem 18 stycznia o godz. 17 ostatni apel i rozkaz natychmiastowego wymarszu. Byłam tak zmęczona, że mimo zakazu, nie mając już sił iść gdziekolwiek, postanowiłam zostać przy ciężko chorych. Widząc mój stan, dr Jadwiga *Hewelke*, obawiając się następstw mojego pozostania, ubrała mnie w swój płaszcz i zmusiła do wyjścia. Przy bramie jakiś Niemiec zajrzał mi w twarz i orzekł, że jestem za stara i chciał mnie wyciągnąć z szeregu, ale dr *Hewelke*, którą Niemcy znali jako lekarkę z ambulatorium, chwyta mnie za rękę i wciąga z po-

wrotem do szeregu ze słowami: „to moja matka", wobec tego Niemiec ustąpił. Tak przekroczyłam bramę obozu, idąc ku wolności. Później okazało się, że korzystając z ciemności, na przekór rozkazom Niemców pozostała z chorymi dr Katarzyna *Łaniewska*. Niewątpliwie wówczas była to heroiczna decyzja, którą można było przypłacić życiem, ale którą wtedy każda z nas gotowa była podjąć. (...)

Nie wierzę, ażeby znalazł się ktoś, na kim nawet krótki pobyt w obozie nie wywarłby trwałego piętna. My tam jednak często, jeżeli nie stale, patrzyłyśmy śmierci w oczy i stała się nam bliższa niż komukolwiek, kto nie był w obozie. Chyba stałyśmy się bardziej wrażliwe i uczulone na różne ludzkie odruchy, na ustosunkowanie się do nas otoczenia, a nawet najbliższych, na okazywaną nam litość, którą po powrocie obficie i wszechstronnie nas karmiono, jednakże zwykle pod pokrywką wyrażanej nam litości wyczuwałyśmy, że nawet ludzie skłonni do największych ofiar dla nas doznają rozczarowania, że wróciłyśmy w „dobrej formie". Być może był to nabyty w obozie nawyk, ale po powrocie nawet najbliższym starałyśmy się nie okazywać swoich słabości i dolegliwości, stale obowiązywał nas „dobry wygląd" i dziarskie ruchy i nie mogło być mowy nawet o drobnych ustępstwach. (...)

MIECZYSŁAWA CHYLIŃSKA Nowy Targ

była więźniarka obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 44658, Ravensbrück i Neustadt Gleve

Wokół mechanizmów samoobrony psychicznej

W literaturze opisującej sytuację w obozach koncentracyjnych trafiały się — nieczęsto zresztą — ujęcia dotyczące samoobrony psychicznej więźniów (na końcu artykułu jest podany wybór piśmiennictwa), uwzględnianej także w problematyce treści zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Wątek ten budzi — m. in. też u nas, byłych więźniów — różne spostrzeżenia i refleksje, przy czym przemyślenia o ambicjach naukowych łączą się siłą rzeczy z reminiscencjami i odczuciami osobistymi. Na tym podłożu warto może raz jeszcze wrócić do tego tematu, nie trzymając się zresztą konsekwentnie szablonu terminologii specjalistycznej.

Mimo rosnącego oddalenia od tragicznie haniebnych lat eksterminacyjnego poniżenia w czasach okupacji, nie zamilkło pytanie, jak doszło do tego, że nawet niski odsetek więźniów obóz przetrzymał. Temat wielostronnie podejmowany zwłaszcza w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" (5, 6, 8, 9, 12) rozświetlił niektóre swe fenomeny i układy, zachęcając niejako do wnikania w tkwiące w nim jeszcze tajniki. Jest ich wciąż wiele, tak wiele, że snadź nie ma możliwości względnie szybkiego otwarcia na oścież drzwi prowadzących w ich kierunku, a silnie w niewiadomym osadzonych.

Dotychczasowe wyniki badań zaspokajają w jakimś stopniu ciekawość zainteresowanych i pozwalają po stworzonym pomoście zbliżać się ku niektórym aspektom i relatywizmom tego problemu — niektórym, gdyż wątpliwe się wydaje, czy wystarczająco rozszyfrowane uzasadnienie kiedykolwiek on znajdzie, na co baczną uwagę zwrócili autorzy jednej z prac (5). Również ja — po tylu doświadczeniach i przemyśleniach — nie potrafiłabym udzielić niezachwianej odpowiedzi na pytanie, co o życiu choćby mych najbliższych w lagrze decydowało, mimo że należę do tych, którzy obozy przetrzymali.

Może sprawił to wyjątkowy układ istniejących w nich sytuacji, może wysoka odporność psychofizyczna na stres i frustracje, zwiększone umiejętności funkcjonalno-strukturalnego przystosowania się do bezprecedensowego, najgorszego chyba z systemów niszczenia, może wytworzenie wysokiej miary zdolności samoregulacji, a może też swe przetrwanie zawdzięczam wyznacznikom, o których w życiu codziennym mówi się, że dopisało szczęście. Tylko że tzw. szczęście w rozumieniu pozytywnych układów okoliczności i schematów mogło się wydarzyć raz czy drugi, nawet dziesiąty, ale nie trwać latami w okresie uwięzienia.

W przetrwaniu pomóc zatem musiała i energomateria o specjalnej wartości, zarówno gdy chodzi o jej aktogram, różnicowanie funkcjonalno-strukturalne, jak i o mechanizmy biologiczno-psychologicznego równoważenia. Dość że najkoszmarniejsze zło przetrwałam jako więzień od komanda do komanda, bez funkcyjnej „bindy" (opaski). Czytelnik wybaczy, że nadal rozważę ten temat w powiązaniu z osobistymi doświadczeniami i obserwacjami.

Wiele wskazywało na to, że obóz, zagarniając mnie, wchłonął osobę dość rozeznaną w hitlerowskich instytucjach niszczenia, bo społeczeństwo w latach okupacji na ogół dobrze wiedziało, co to są i czemu służą *vernichtungslagry*. A jako jeden z *untermenschów*, czynnie przeciwstawiających się polityce *führera*, na pogodę i radości życia liczyć nie powinnam była. Z takimi poradzić sobie miały lagry, jeśli nie wykończenie „z miejsca".

Posiadane przeze mnie wówczas informacje o *KL Auschwitz-Birkenau* dotyczyły przede wszystkim *stammlagru Auschwitz I; Auschwitz II*, czyli *Birkenau* pozostawał w cieniu obozu głównego. Nie zdawałam sobie sprawy z jego ekstremalnej scenerii i z ekstremalnych metod niszczenia. Toteż gdy prowadzonej w charakterze *zuganga* z *Auschwitz* do *Birkenau* zetknąć mi się przyszło z „birkenauskimi" obrazami, nie potrafiłam ani ich zrozumieć, ani w sposób adekwat-

nie sensowny odzwierciedlić. Czyli że już na tym początkowym styku z obozowymi realiami została poważnie zachwiana równowaga między organizmem a nowym otoczeniem, której utrzymanie w myśl współczesnej wiedzy psychologicznej stanowi podstawę ludzkiego bytu (2, 10, 11, 14).

Przepływ przyjmowanych pobudzeń z lagrowych widoków uległ jakby ohamowaniu, czyniąc zamęt w psychicznej ich percepcji. Innymi słowy, bodźce działające na moje analizatory wzrokowe poprzez układy przedmiotów i zdarzeń ze wszystkich stron *Lagerstrasse* zostały w swej materii i ukonstytuowaniu, w swych schematach „zretuszowane" i nie dopuszczone do pola świadomości. A nie „nawykła" do tego pokroju materii podświadomość zatrzymała je, jak zatrzymuje się nieprawdopodobne, nierealne i nieprzydatne do życia zjawiska, naniesione na sztuczną przestrzeń. Niemałe znaczenie w ich odparciu miało ustosunkowanie się o d, gdyż zgoła niczym pozytywnym nie były w stanie zadziałać. Regulacyjne procesy kory mózgowej w uzgodnieniu z wewnętrznymi warunkami organizmu, z jego strukturą, nadały bodźcom ten właśnie kierunek. Stosownie bowiem do stwierdzeń naukowych każda reakcja organizmu żywego zależy nie tylko od bodźców jako takich, a nie innych, ale w dużej mierze od czynnego doświadczenia przyjmującego je układu nerwowego (11, 13).

Idąc niczym automat w makabrę nieznanego, rejestrowałam te elementy dziwnych nowości, na które stać było mój system nerwowy przy jego ówczesnej zależności przyczynowej, co pozwalało na tworzenie nowych struktur o słabej zaledwie jasności. Tworzonemu zatem w tych warunkach poznaniu zabrakło wyraźniejszych związków między stanem posiadanej wiedzy a nasuwającymi się informacjami o jakichś nowych konstelacjach zjawisk z obszaru „nie do uwierzenia". W rezultacie doszło do zaburzenia równowagi struktur poznania mimo dążenia psychiki do zachowania stabilności jako tendencji będącej właściwością żywych organizmów (11) i do poważnego opóźnienia „dojścia do głosu" procesów regulujących, którym należało dokonać całkowitej reorganizacji dotychczasowych schematów wewnętrznych.

Ostra, wręcz niezwykła biegunowość i kontrastowość nasuwających się przed me oczy obrazów z dotychczas zinterioryzowanymi, przyspieszająca w normalnych warunkach ich asymilację, w przypadku obozu stanęła im niejako w poprzek, starając się je wyprzeć ze swego pola widzenia, jako że swą konfliktowością sięgnęły poza górny próg chłonności systemu nerwowego. I tak w obronie przed spiętrzonym zagrożeniem uorganizował się mechanizm samoobrony psychicznej jako naturalna zapora przed obozowymi potwornościami.

Osadzony w polach spostrzeżeniowych, swe miejsce znalazł on pośród procesów poznawczych, w należnej im sferze. Brzmi to niczym paradoks. Mówiąc bowiem o orientacyjno-badawczej stronie naszego układu nerwowego, o wewnątrzorganicznym pogotowiu (10) do przyjmowania informacji, mamy na myśli głównie gotowość receptorów do odbioru, w tym przypadku spostrzeżeń, które w swej immanentnej funkcji mają to do siebie, że poszerzają, bogacą, korygują posiadane przez nas doświadczenie, ujmując je w odpowiednie do różnych możliwości porcje wiedzy o świecie i sobie samym jako cząstce tego świata. A tymczasem, jakby wbrew naukowo stwierdzonym prawom, tam, na drodze do *Birkenau*, pogotowie energetyczne systemu nerwowego dopuściło do pewnego rodzaju obezwładnienia, tj. do stanu hamującego prawidłowy odbiór bodźców w ich łańcuchowym powiązaniu i logicznej konfiguracji, a zachodzącego przede wszystkim u owadów, u zwierząt — również u człowieka, gdy natężone siłą pobudzenie nie może przedrzeć się przez ukształtowane schematy materii nerwowej. Owady, zwierzęta w sytuacji zagrożenia zazwyczaj nieruchomieją (11). Ja, przy działającym automatyzmie podążania naprzód, zmniejszyłam siłę rejestracji widoków, pozwalając na zatrzymywanie ich głównie przy pomocy pamięci, a nie wnioskującego myślenia, sparaliżowanego ich niesamowitą materią.

W normalnych warunkach świata ludzkiego osoba zdrowa, patologicznie nie uwarunkowana, szybko dochodzi do względnego stanu równowagi psychicznej. Nawet w przypadkach mniej nasilonych zaburzeń, powstałych czy to z powodu fizycznego stanu zdrowia, czy negatywnych stanów emocjonalnych, jest w możności sensownie reagować na swe zewnętrzne i wewnętrzne środowisko, czego nie można było odnieść do więźniów w moim typie. Dopiero po kilku tygodniach przywrócona mi została zdolność odzwierciedlania rzeczywistości obozowej w jej realnym kształcie i w realnym biegu wydarzeń.

Znajdując się na tzw. bloku kwarantanny, pomiędzy Żydówkami z Grecji, ubranymi w letnie mundury po jeńcach radzieckich, ze znamienną *streifą*, znakiem na plecach, z ostrzyżonymi jak i ja głowami, sądziłam, że mam do czynienia z więźniami płci męskiej. Nie potrafię nawet powiedzieć, czy wyimaginowana przeze mnie okoliczność raziła więcej od innych. Na tak zgoła błędne różnicowanie poważny wpływ miał zapewne mój ubiór, inny niż u mych współtowarzyszek z bloku. Byłam bowiem w pasiaku i w szmacianej chustce na głowie, jak olbrzymia większość na lagrze. A do tego niemożność dogadania się we wspólnie znanym nam języku komplikowała sytuację jednej i drugiej strony.

Trudno się nie zgodzić, że zbyt długie utrzymywanie się mechanizmu łagodzącego ostre kontury bodźców, tak pomocnego na początkowym etapie wkroczenia do obozu, mogło z czasem doprowadzić do tragicznego końca. Trwanie w obozie przedłużała przede wszystkim bystra, wyrazista w swej prawidłowości orientacja, w jak najszerszym tego słowa znaczeniu. Kto „nie miał głowy na karku", ten ginął szybko, szybciej niż po owych trzech miesiącach przewidzianych dla reszty życia więźniów przez twórców obozów koncentracyjnych.

Wysoce plastyczna materia nerwowa organizmu ludzkiego nie pozostała jednak obojętna na stworzone warunki szybkiego unicestwiania. Po okresie „znieruchomienia" z coraz większą wprawą i biegłością sterować zaczęła ona przepływem informacyjnej energii przez wyspecjalizowany system nerwowy, pozwalając na „wyostrzone" rozeznanie wszystkiego, co groźne. Unikało się więc dolnych koi, bo w nich było naj-

gorzej, unikało się *Lagerstrasse*, bo rzadko kto na niej nie oberwał, unikało się każdego z obozowych esesmanów, unikało się zezwierzęconych funkcyjnych, jak i w nieskończoność mnożonych galerii i machinerii masowej zagłady. Tylko że więzień, będąc w obozie, a nie poza obozem, nie był na ogół w stanie unikać tego, co wszechwładnie panowało i bliżej, i dalej, co następowało wszędzie, zawsze, o każdej niemal porze dnia i nocy. Stąd masowa śmierć, masowa zagłada zarówno wyliczonych, jak i nie wyliczonych milionów ofiar.

Na tylokrotnie stawiane sobie samej i przez innych pytanie, jak można było tak wciąż, tak bez przerwy patrzeć na śmierć rozpanoszoną do rozmiarów nie dających się ująć w żadne ograniczenia, w żadne prawno-moralne sankcje, przyznam, nie potrafiłam udzielić zadowalającej odpowiedzi. I ten stan wewnętrznej nieporadności nęka mnie nadal. A wszelkie próby wyjaśnienia tego tak złożonego i zapewne patologicznie uwarunkowanego zjawiska — aczkolwiek i słuszne, i trafne zarówno ze społeczno-moralnego punktu widzenia, jak i psychologiczno-psychiatrycznych uzasadnień — wydają się nie dość wystarczające.

Faktem jest, że nie „zwariowałam". I nie oswoiłam się z niczym, co stanowiło makabrę, mimo że eksponowano ją celowo ze zbrodniczą premedytacją, że rzadko znikała sprzed oczu i że do naderwania ładu w mej świadomości niewiele brakowało — zwłaszcza w tych pierwszych, początkowych miesiącach i gdy stykać się musiałam z bestialskim wyrafinowaniem o nieprawdopodobnej sile i rozmiarach.

W którymś dniu katastrofalnego załamania narzucono mi patriotyczny obowiązek trwania. Słowa: trwać nam należy, dopóki się da, bo to jedyna nasza broń, bo to jedyny jak na razie odpór, wypowiedziane przez bliską mi więźniarkę o „starszym" numerze, czyli z wcześniejszego transportu, z tej samej co i ja miejscowości i z tej samej sprawy — nie pozostały bez echa. Do dziś pamiętam ich siłę, uczuciowo-ekspresyjne zabarwienie, na jakie zdobyć się mogła osoba tuż po przebytym tyfusie.

Nie pomylę się, jeśli powiem, że ideowo-patriotyczna motywacja poderwałaby chyba każdego z ojczyzną zespolonego więźnia, jeśli jeszcze nie wygasła w nim życiowa „iskierka". Od tego więc przełomowego momentu zaczęłam brać się z obozowym paskudztwem „za bary". Z wewnętrzną dezaprobatą nosiłam wraz z innymi piasek w fartuchu, nasypując go rękami i wysypując na miejsce, z którego ponownie przenosiłam tam, gdzie znajdował się poprzednio. Zachowując względny spokój, patrzyłam, jak podobnie bezsensowne czynności wykonywali *in Laufschritt* mężczyźni, z tą różnicą, że zamiast fartucha kazano im do tego celu używać końca lagrowej marynarki. Nie tyle ogłupiająca robota dawała się we znaki, ile ta „nasza" i ten „ich" kapo o nieskoordynowanych ruchach i niechlujnym słowniku. Aż podrywało, by im z łap wytrącić kij — prostackie insygnium władzy i zamknąć rozkrzyczaną wulgarnymi słowy gębę. A podobnie bezsensownych czynności pod dozorem funkcyjnych dewiacyjnego typu było co niemiara. Gdzie się postąpiło, to ta czy owa wrzeszczała, ubliżała, biła, znęcała się, popisując się w danych jej uprawnieniach na wzór esesmańskich oprawców.

Zastanawiało na początku, skąd takie mnóstwo przestępczyń o różnym autoramencie, nieprzeciętnie chętnych do podjęcia bądź co bądź odrażających czynności, zdołano nazbierać i w jak błyskawicznym tempie włączono je do lagrowego „przemiału". Nie trzeba było czasu ani wysiłku, by dojść do wniosku, że za cenę ulżenia sobie w lagrowym bycie, za cenę przedłużania tego bytu poszły na wszystko, zagłuszając do reszty sprzeciw sumienia. Może i słusznie przychodziło na myśl, że za zdolność odczłowieczania ludzi należałaby się hitlerowskim zbirom palma przeklętego pierwszeństwa. Jest oczywiste, że w zejściu na drogę przestępstwa funkcyjnych poważną rolę odegrał mechanizm samoobrony. Sięgnęły po niego do swych najniższych dynamizmów biologicznych, służących wyłącznie życiu, dynamizmów nie aprobowanych społecznie (3). Może nie umiały, może nie usiłowały podprządkować go regulatorom życia psychicznego wyższego rzędu, bez których brak możności nadawania wartościowego kształtu życiu jako jednego z warunków prawidłowo funkcjonującej osobowości.

Według *Grzywak-Kaczyńskiej* (3) „Dynamizmy uwarunkowane społecznie to nie tylko uczucia i dążenia ustosunkowujące człowieka p o z y t y w n i e do najbliższego otoczenia, ale w miarę jego rozwoju ustosunkowujące go pozytywnie do wytworzonych przez ludzkość w a r t o ś c i, a więc wartości intelektualnych, etycznych, estetycznych, religijnych i w ogóle humanistycznych". I chyba w tym stwierdzeniu znaleźć można dostatecznie uzasadnioną odpowiedź na sposoby zachowywania się wielu spośród obozowych funkcyjnych, dobieranych na ogół z najprymitywniejszego elementu.

Wypracowana siłą chwiejna, bo coraz to na nową chwilę, równowaga — łącznie ze wstępną orientacją o lagrowej dysfunkcji wszystkiego, co w obozie się działo — nakierowywała mą uwagę na potrzebę ogarnięcia rozumieniem zachodzących w nim procesów i na konieczność poznania strategii zinstytucjonalizowanych metod zagłady, w nadziei, że znając to, co w lagrze jest, łatwiej będę mogła przewidzieć i to, co może być.

Aby postawionym zadaniom bodaj częściowo sprostać, należało w pierwszej kolejności „ściszyć" swe za silne przeżywanie lagrowego zła, gdyż utrudniało ono sterowanie postępowaniem obronnym. Chodziło o takie zintegrowanie struktury poznawczo-emocjonalnej i o tak zdycyplinowane uaktywnienie ośrodka dyspozycyjno-kierowniczego, by, zachowując posiadane właściwości osobowe, można było radzić sobie z rozpatrywaniem zjawisk lagrowych w ich druzgocąco odpychającej prawdziwości.

Zapoczątkowane w tym kierunku próby w niczym de facto mego wewnętrznego stanu nie zmieniły. Każdy niemal krok dalej i każdy krok w głębię lagru „przywalał" swymi okropnościami, niszcząc, zdało się, nabyte poniekąd dyspozycje do względnego znoszenia irracjonalnych, a jednak realnych rzeczy i zjawisk. W tym stanie rozkojarzenia emocjonalnego zaczęłam w ślad za innymi powtarzać powszechnie przyjęte powiedzenie, że „co lager, to lager", w którym, aby żyć, trzeba w ten sposób widzieć i w ten sposób po-

stępować, by jak najmniej angażować się uczuciowo, gdyż wszelkie wolnościowe ustosunkowywanie się prowadzi prosto do *himmelkommanda*. Jak było wszakże ponawiać próby wyprowadzania odczuć z dotychczasowych struktur emocjonalnych, będących nierozdzielną cząstką całej osobowości, bez uszczerbku dla dynamizmów wartościujących, skoro zawodziły dotychczasowe w tym kierunku starania — doprawdy nie wiedziałam, poza alternatywą nie do zbicia, że ściszanie musi nastąpić przy pełnym zachowaniu humanizujących właściwości uczuć.

Kierowana ciekawością, udałam się jednego dnia na rewir. Tam, w tym skupisku więźniów w większości śmiertelnie chorych, nędza i niemoc dogorywających przemawiała ze zdwojoną siłą. I ponownie, jak przy wchodzeniu do lagru, doszedł do głosu mechanizm łagodzący rewirowe realia. Niby wszystko, co było i działo się na tym bloku, do mnie dotarło, ale nie z daną tym obrazom ekstremalnością. Wychodząc z bloku nie dostrzegłam, że za jego próg wyrzucono jedną z tych, które już nie żyły. Leżała w oczekiwaniu na *leichenkommando*, co nikogo w zasadzie tak z rewirowej, jak i nierewirowej obsługi nie raziło. I właśnie w chwili, gdy poczuwszy pod stopami coś miękkiego, ledwo słyszalnym głosem wyszeptałam: Boże, mój Boże!, współtowarzysząca mi więźniarka zauważyła: może i obóz przetrzymasz, bo to już nie dawna twoja reakcja. — Było więc tak, że „stary" mechanizm się odnawiał w chwili ścierania się dwu antagonistycznych potrzeb, tj. wewnętrznego oburzenia z silną chęcią „stonowania" tego negatywnego uczucia o randze potrzeby i nadania mu właściwości jakby obojętnych, tak niezbędnych dla podtrzymania dalszej egzystencji organizmu (4).

Złożona tyfusem, dostałam się i ja na rewir, na oddział dla ciężko chorych. Wchodząc do baraku nr 12, zapełnionego chorymi i uganiającymi wokół nich szczurami, dojrzałam dwie z żelaznych prętów klatki z ludźmi, umieszczone jedna na drugiej. Stały tuż za kończącymi się rzędami prycz. Wydobyte z trudem siły pozwoliły mi podejść w ich stronę. Na poły człowiecze postacie, w większości nagie, żując zanieczyszczoną słomę, spoglądały wzrokiem obłędnym na mnie, na siebie, na swój pokarm. Jedna z *pflegerek* wyjaśniła, że to umysłowo chore, że niestety, w lagrze nie ma dla nich miejsca. Gdy któregoś dnia odzyskałam na chwilę przytomność, wzrok mój pobiegł, szukając tych nieszczęsnych. Na próżno. Po pustym miejscu najswobodniej uganiały rewirowe szczury. „A te z klatek gdzie?" — zapytałam leżącej w moim pobliżu chorej. „Zaraz, tej samej nocy wzięto je, wiadomo gdzie" — wyjaśniła. Zapewne przerażenie w mych oczach sprawiło, że wypowiadanym w dalszym ciągu słowom starała się nadać pocieszający wydźwięk: „Tak tu jest. Nie można się przejmować. Wczoraj one, my jutro. Lager to lager. Ot patrzeć, bo jak nie patrzeć, ale z rozpaczy nic nikomu nie przyjdzie. Na wolność radzę ją zachować. Tu potrzebna herbata, bo pić się chce. Pani jeszcze nie muzułman, to może i przetrzyma".

Na rewir poszłam niczym automat, a chorobę przeleżałam, kilka zaledwie razy odzyskując przytomność. Rozważanie zaczęło się na bloku dla rekonwalescentów, gdy powiedziano mi, że wszystkie chore pozostałe na dwunastce poszły do gazu. Praktyki tego rodzaju na rewirowych blokach powtarzały się często. Był to jeden z najzwyczajniejszych procederów. Dla mnie ten jeden przypadek był szczególnie bolesny. Zaznaczono mi jednak stanowczo, że nie ma sensu mówić o czymś, co stało się i nie odstanie. Ale mnie trudno było przejść do porządku dziennego nad zagładą tak niedawno pospołu ze mną podobną biedą złożonych. Wprawdzie odczuwany ból nie obfitował w ostre, rażąco dokuczliwe objawy, jednakże przed oczy powracały z uporem twarze leżących najbliżej mnie na owym bloku.

„Ty *aussen* nie przetrzymasz — usłyszałam jednego dnia od mej najbliższej znajomej. — Staram się, żeby cię wzięto na blok kuchenny". Z trudem, bo z trudem, ale na ten blok kuchenny się dostałam. I gdyby nie jego specyficzne położenie, mogłoby mi być lżej. Tylko że baraki nr 25 i 26 znajdowały się w pobliżu. Cóż, że ogrodzone solidnym murem, nie przepuszczały swych wewnętrznych widoków, gdy z wysuniętego placu w stronę bloku kuchennego uczyniono składowisko z przeznaczonych na spalenie. Stojąc na rannym apelu, ten grozą ziejący stos miałyśmy przed oczami. Znikał wieczorem, by następnego dnia pojawić się znowu. Wydobywające się z jego epicentrum resztki nie do końca zagasłej energo-materii burzyły się, wyrzucając pod wierzch lawę z ciał, niezdolnych do protestacyjnego krzyku. Milcząc, wychodziłyśmy z bloku i milcząc podążałyśmy do wyznaczonych nam komand.

I w tym tak nabrzmiałych załamaniem dniach zaczęła napastować mnie myśl, że nawet jeśli nie doszło do poważnych zaburzeń w mej psychice, to wielce prawdopodobne, że te pojawiające się i znikające stosy przyprawią mnie o chorobę nerwową. A w parze z obawą szły obrazy z klatek z bloku tyfusowego. Powstałe majaki-lęki jakby wypchnęły dążenie procesów nerwowych do zachowania względnej równowagi, pozwalając na odbieranie bodźców z ziejącego makabrą otoczenia w ich pełnym wymiarze i na niczym nie osłabione odczuwanie skutków negatywnej dezintegracji psychicznej (3). Rósł w konsekwencji lęk przed obrzydliwym końcem, nasilany przez obraz tego właśnie stosu. Nie sama śmierć, ale nieludzka sceneria tych ostatnich chwil mierzyła się z nieśmiało dochodzącymi do progu świadomości przeciwargumentacjami. Przez powtarzające się dni, po nigdy nie dospanej nocy, gdy nadeszła pora wychodzenia na zewnątrz, opuszczałam blok z lekko przymkniętymi oczami, by w miarę możności widzieć to, co dla bezpieczeństwa było konieczne i by dostało mi się miejsce w dalszych rzędach. Dziwnie przedstawiał się ten apelowy tłum więźniarek: skurczony w sobie, z pochowanymi w różne strony i w samą siebie oczami, ograniczony w najbardziej celowych ruchach.

W pracy A. *Kępińskiego* (7) znajdujemy takie oto słowa: „Na froncie żołnierz zazwyczaj nie myśli o swojej śmierci, tego rodzaju myśli paraliżowałyby jego zdolność bojową. Więźniowie obozów zagłady, tych potwornych kombinatów śmierci, nie myśleli o śmierci, ale o tym, jak przetrzymać". Istotnie, nie obawa przed śmiercią przerażała, lecz towarzyszące jej w tym

przypadku okoliczności, jaskrawo sprzeczne z formami społeczno-zwyczajowymi na wolności.

Zachwiana równowaga między strukturą osobową, z jaką wkraczało się do obozu, a absurdalno nieludzkimi preferencjami lagru, musiała w swej naturalnej konsekwencji doprowadzić do zaburzeń w sferze emocjonalnej, tym większych, że w ustawicznym ścieraniu się dwu antagonistycznych potrzeb, z jednej strony chęci przetrwania, a z drugiej — niemożności pogodzenia się ze zjawiskami sensu stricto patologicznymi. Te nerwicogennie działające sytuacje atakowały w zależności od indywidualnych uwarunkowań typu układu nerwowego, od wzorów doświadczeń emocjonalno-społecznych wyniesionych z kulturowych środowisk, w jakich więzień przed dostaniem się do obozu uczestniczył. Jest zatem rzeczą normalną, że u przebywających w lagrze dawała znać o sobie zróżnicowana treść i siła emocji, będących przede wszystkim biologicznym regulatorem naszego stosunku do środowiska fizycznego i uczuć, regulujących stosunek między jednostką a otoczeniem społecznym [4].

Na emocje i uczucia działał lager z nastawieniem na wywoływanie zaburzeń w organizacji schematów funkcjonujących w porządku danym im z natury i zaczerpniętych z systemów wartości wytworzonych przez ludzkość. Zaburzeń występujących pod postacią negatywnych napięć emocjonalnych, negatywnych procesów dezintegracji, celem wywołania lęku, jak i innych objawów o charakterze destruktywnym. Przeciwdziałając, uruchamiał organizm poprzez swe procesy regulacji mechanizmy ograniczające przeżywanie, które w sytuacji nieohamowywania mogło w sposób krańcowy naderwać równowagę między tym wszystkim, co działo się wewnątrz własnego „ja", a tym, co uderzało w to „ja".

Pełne poznawanie, doznawanie i przeżywanie (4) równało się w obozie rychłej śmierci. Organizm, broniąc się przed różnymi jej etapami i formami, zmniejszał pobudliwość całego układu nerwowego, sięgając po mechanizm „powściągu", którym należało tak dysponować, by nie niszcząc wartościowych cech osobowości, pomagał w trwaniu. Dlatego patrząc na ten makabryczny stos z ludzkich rekwizytów, ograniczało się doznawanie i ograniczało się przeżywanie.

Nie był to proces ani łatwy, ani we wszystkich przypadkach możliwy. Tworzony „powściąg" miał bowiem to do siebie, że nie wykazywał tendencji do utrwalania się, co stawało na przekór zamierzeniom odhumanizowania człowieczych doznań i zachowań. Jest rzeczą stwierdzoną, że tego rodzaju zjawisko zachodzi również w świecie o prawidłowych na ogół układach i międzyludzkich powiązaniach, lecz nie jako przewodni regulator poznawczo-emocjonalnych struktur psychicznych.

Poznawczo-emocjonalna organizacja psychiki obozowej przejawiała dwie ostro zaznaczające się tendencje: egocentryczną i prospołeczną, zatem alterocentryczną (4). Na pytanie, których było więcej, może i nie znalazłoby się dostatecznie uzasadnionej odpowiedzi. Nie sposób zaprzeczyć, że zabiegających o samoobronę wyłącznie z punktu widzenia własnego „ja" było dużo, zwłaszcza więźniarek z czarnymi i zielonymi „winklami", tj. kryminalistek i asocjalnych. Znalazłoby się je jednak i między czerwonymi oznakowaniami, jeśli do obozu wkroczyły z wadliwie czy chwiejnie ukształtowanymi postawami, zatem i u takich, w których psychice obóz poczynił zaawansowane spustoszenia.

We wspomnianych już badaniach (5) stwierdzono, że na czoło determinant sprzyjających przeżyciu obozu wysunął się hart wraz z odpornością psychifizyczną oraz postawy ideowe i emocjonalne. Myślę, że pośród osób o postawach ideowo-emocjonalnych właściwe miejsce znaleźć winni więźniowie o postawach prospołecznych, co pozwala na wysnucie wniosku, że mechanizmy samoobrony psychicznej działały i z wartościującego punktu widzenia. Ileż to razy obserwowało się, że wraz z humanizacją uczuć przybywało sił do przeciwstawiania się całej lagrowej podłości, zdążającej do unicestwienia wszystkich i wszystkiego, co stawało w poprzek hitlerowskiej doktrynie *lebensraumu* i *übermenschów*. Od poszukiwań wspólnych więzi pomiędzy wyposażonymi w uczucia wyższe zaczęła się przecież organizacja pomocy nowo przybywającym do lagru, chorym, jak i zagubionym w całej tej gmatwaninie przeróżnych niesamowitości.

Rzecz oczywista, że żadna z tych dwu wyróżnionych grup nie kształtowała się według identycznego w swych miernikach wzorca. Pośród jednej i drugiej dostrzegało się zaawansowane niejednokrotnie różnice i zbieżności. Egocentryczka z nastawieniem na własne „ja", kierując się głównie osobistym interesem, uciekała się albo i nie uciekała do niegodnych sposobów postępowania. Do drastycznych wynaturzeń należało współdziałanie z esesmańską komendaturą obozu w różnego rodzaju czynnościach, służących zagładzie. Nieszkodliwe w zasadzie dla obozowego otoczenia były egocentryczki z nastawieniem na obronę samej siebie. Trudno byłoby powiedzieć, czy postępując w ten sposób, odczuwały jasno dolę i potrzeby współcierpiących, współzagrożonych. O wiele wyższa pozycja w hierarchii zaszeregowań należała się więźniarkom pomagającym w szczególności swym najbliższym, mimo obojętnego zachowywania się wobec załamanych, chorych, z którymi ich nic nie łączyło. Uczuciami podziwu i uznania darzono na ogół więźniarki usiłujące współdziałać z więźniem-człowiekiem, w znaczeniu nie tylko jednostkowym, ale i ogólnym.

Tego rodzaju uorganizowanie i przystosowywanie wyższych form uczuciowych do sytuacji panujących w lagrze obserwować można było zwłaszcza w roku 1944, mimo że nadal w sposób bezwzględny zwalczano nawet drobne przejawy humanitaryzmu. Wszelka zatem życzliwość, sympatia, współczucie, opiekuńczość okazywane były pod nieobecność esesmańskiego dozoru i wysługujących się mu funkcyjnych. Z chwilą pojawienia się kogokolwiek z nich jak na zawołanie przybierało się maskę obojętności, nie dając po sobie poznać, jakim de facto się jest.

Z uciekaniem się do mechanizmu powściągliwego opanowywania uczuć miałam największe kłopoty. Nigdy nie udało mi się przewidzieć, czy „ściszenie" stosunku do zachodzących wydarzeń nastąpi. Ten mechanizm w przypadkach drastycznych najczęściej nie pojawiał się mimo wewnętrznego nakazu trzymania swych uczuć na wodzy. Jakże było przejść obojętnie koło dziew-

czynki, pozostawionej z transportu w saunie, zapewne do doświadczeń, gdy samotne biedactwo poszukiwało oczami jakiegokolwiek wsparcia. Nie bacząc więc, że może mnie ktoś niepowołany dojrzeć, podeszłam do niej, by bodaj serdecznym pogłaskaniem okazać jej swą życzliwość. A ponieważ me postępowanie zauważyła *oberaufseherin*, nie uchroniłam się od wymyślań i razów.

Za udzieloną mi pomoc ukarana została funkcyjna Niemka o politycznym oznakowaniu. Z lagru głównego w *Auschwitz* miałyśmy przynieść na blok kuchenny w *Birkenau* potrzebny przy gotowaniu sprzęt i narzędzia. I ta właśnie Niemka podczas wręczania kilku sztuk chochli podsunęła mi nieznacznie porcję lagrowej kiełbasy, dając ręką do poznania, bym schowała ją natychmiast pod jakę. Ruch ten udało się dostrzec esesmance pełniącej służbę w pobliżu zaistniałego wydarzenia. Dopadłszy do obdarowującej mnie Niemki, z taką rozjuszoną złością okładała ją pejczem, że ja w tym czasie zdołałam umknąć, do tego z kiełbasą. Żal mi jednak było owej uczynnej Niemki, z którą przecież nic osobistego mnie nie łączyło. Wręcz odmienne, w pełni negatywne uczucia przejawiała blokowa tej samej narodowości, również z czerwonym „winklem". Nie mogąc znieść mej opiekuńczej troski nad 12-letnią Marysią z Zamojszczyzny i jej do mnie przywiązania, postarała się, by dziewczynkę wzięto do bunkra, skąd nie wróciła.

Chyba w początkach stycznia 1944 roku przerzucono mnie, jak i wszystkie inne z bloku 34 — każdą jednak gdzie indziej — na blok położony w pobliżu bocznicy kolejowej i omal na wprost krematoriów II i III. W dalszej na prawo odległości za nimi ciągnęły się doły spaleniskowe, o których początkowo tylko wiedziałyśmy, że istnieją. Rozbijanie nawiązywanych interakcji między więźniami, sprzyjające psychicznemu załamywaniu się, a w rezultacie przyspieszające i powiększające śmiertelność, należało do lagrowych zwyczajów. Na dobitek „roztrzepania" nas po lagrze nie wiedziałam nawet, na których blokach me znajome znajdują się.

Zupełnie obce otoczenie, rozkrzyczane, chaotycznie rozbiegane i różnojęzyczne, źle — rzecz oczywista — na mnie podziałało. W parze z pogorszeniem się warunków lagrowej egzystencji szedł głód, bardziej dokuczliwy niż na bloku nr 34, gdyż znikły okazje organizowania czegokolwiek z żywności. Zacząć należało od zdobycia miejsca na środkowej bądź górnej koi, gdzie było i widniej, i cieplej, i przyjemniej, jeśli to ostatnie określenie zdolne było współbrzmieć z rzeczywistością obozu.

Zaabsorbowanie nowymi warunkami sprawiło, że nie od razu dotarłam do sedna gehenny, jaką ten nowy blok był otoczony. Nie kryła jej *blocksperra*, czyli ostry zakaz przebywania gdzie indziej poza własnym blokiem, ogłaszana na chwilę przed przyjazdem oczekiwanych transportów przeznaczonych głównie do gazu. Z okienek, ze szpar, z dziur w ścianach bloku widać było może i więcej niż niszczyciele przewidywali. Ciekawość, kogo przywożono i w którą stronę ich kierowano, przemogła towarzyszącą temu wszystkiemu odrazę. Nie bacząc na ostrożność, cisnęły się do szpar Żydówki, by sprawdzić, czy wśród przywiezionych nie znajdują się ich krewni, znajomi, słowem — bliscy. Od funkcyjnych z bloku dowiadywałyśmy się, skąd transport pochodził i jak był bogaty, czym szczególnie się interesowały. Przewodziła pod tym względem blokowa, Niemka z czerwonym „winklem". Nie wątpiłam, że posiada powiązania z „Kanadą", a i znajomości z *sonderkommandem*. Wiedziała wszak wiele i nie zaobserwowałyśmy, by głodowała lub brak jej było odzieży.

Przyjazdy transportów dało się obserwować wówczas, gdy na bocznicę dojeżdżały one po naszym powrocie z pracy, a ponieważ był to okres ich wzmożonego nasilenia, również wieczory nie były od przyjazdów wolne. Zachowywanie się przywożonych wobec sytuacji ze wszech miar dla nich groźnej, z czego prawdopodobnie zdawali sobie sprawę, targało naszymi uczuciami aż po kres nerwowej wytrzymałości. Za wszelką cenę chcieli żyć, nie dopuszczając ewentualności, że może nadejść czas, w którym nie śmierć stanie się widmem najstraszniejszym, ale towarzysząca jej ohyda.

Posunięta do najwyższych granic chęć ratowania się i nieznajomość „praw" w takich chwilach rządzących kazała im przed esesmańskimi zboczeńcami kłaniać się w pas, kazała im błagać o względy dla osób najbliższych, kazała im na różny sposób się poniżać, by tylko uzyskać odrobinę szansy na życie bez względu czy temu życiu dane będzie zaspokajanie potrzeb najniezbędniejszych dla utrzymania się. Nam, patrzącym na to, co się działo, nie przyszedł z pomocą mechanizm ściszenia uczuć, zdusiły go bowiem druzgocąco niszczycielskie siły tego dokonującego się na placu przed bocznicą wyładowywania zjawisk antyczłowieczeństwa. Toteż blok pojękiwał rozpaczą krzyków, nie będących w stanie niczemu zapobiec, niczego zmienić. Tych z transportu kończono w krematorium, a tych z bloku przerzedzano przy pomocy napięć przekraczających próg wytrzymałości systemu nerwowego.

Po wydobywającym się z kominów krematoryjnych dymie poznawałyśmy, w jakim stanie chemicznych przemian znajdowały się ciała ludzi tak niedawno poddawanych przeglądowi esesmanów. Z rzadkawo białej mgławicy przechodził ów dym w żarem buchający ogień, a potem w gęsto żółtawy słup, unoszący się podczas pogody prosto w nielagrową już górę. Ale gdy niespokojnym wiaterkiem zawiało, pruł w zależności od nadanego mu kierunku i siły w boki, na *Lagerstrasse*, na bloki, nie tylko w *Birkenau*.

Tym dymem z ludzi oddychałyśmy dniem i nocą. Jego mdławo słodkawy zapach wchłaniały nasze płuca, nasze ubrania, wchłaniało całe lagrowe otoczenie. Nie było chyba miejsca, w które by się nie przedostał, jak i nie wymyśliłoby się sposobu na łagodzenie jego charakterystycznej, dokuczliwej woni. Kogo stać było na niezwykle wysoką odporność psychiczną, na stymulowanie swymi neuropsychicznymi stanami w takim stopniu, by jako żywy czerpał z nieżyjących siły do dalszej wegetacji, ten w dymie nie widział nic szczególnego, niczego, co by mogło przeszkodzić w zabieganiu o dalsze trwanie. Ale do tak znacznie zaawansowanej adaptacji dochodziły przede wszystkim więźniarki wywodzące się spoza bariery biologicznych i społeczno-moralnych prawidłowości.

Rzecz w tym, że mechanizmy samoobrony psy-

chicznej nie zawsze rodziły się i działały w miarę pojawiających się potrzeb. Od potrzeb lager pęczniał, a tylko częściowo i tylko pewne grupy więźniarek umiały dzięki swym procesom regulacyjnym zastępczo te potrzeby równoważyć. Natomiast w słabym, zachwianym układzie nerwowym powstawały — w myśl wszelkich prawdopodobieństw — uszkodzenia czy zniszczenia systemów równoważenia, co powodowało, że w dość szybkim tempie schodziły w niebyt, ulatując z krematoryjnym dymem, albowiem stosownie do naukowo stwierdzonych praw wszelkie życie psychiczne istnieje na zasadzie homeostazy.

Można przyjąć, że u podłoża krzykliwego, nieskoordynowanego zachowywania się mieszkanek bloku, na którym przebywałam, tkwiło łącznie z niedomaganiami typu biologicznego również i rozkojarzenie emocjonalne, nie dające się ująć w samoregulacyjne hamulce. Przyjazd transportów w połączeniu z selekcją, a potem ukazywanie się z kominów krematoryjnych dymu w jego różnej postaci działał na nie w ten właśnie sposób, W nie o wiele inny niż na mnie, aczkolwiek mniej od nich biegałam, mniej mówiłam, co nie znaczy, że wewnętrzne przeżywanie miało w moim przypadku stonowaną ostrość.

Zimową chyba jeszcze porą zaczęło spoza krematoriów i bloków „Kanady" wieczorami i nocą razić łuną ogniową. „Znowu doły" — informowały się nawzajem funkcyjne, bardziej w tajemnicach lagru zorientowane. Szczegółów tej rzucającej się w oczy prawdy znać nie chciałam. Mogła naderwać ostatek posiadanej i już rozchwianej odporności. Wprawdzie od zasłyszanych tu i ówdzie urywków zdań nie dało się odgrodzić, ale informacje cząstkowe, zwłaszcza gdy się ich nie chce do siebie dopuścić, nie bywają tak wyrazisto jasne, jak rozwinięty tej prawdy kontekst. Starczyło, że dymy, ciągnące w bezładzie tłumy pędzonych w tamtą, krematoryjną stronę czyniły z nas zgiełkliwie opadającą z sił masę ludzkich „pastiszo-postaci", w coraz mniejszym stopniu zabiegającą o mniej uciążliwą pracę, jak i o poszukiwanie dodatkowych możliwości zaspokajania głodu.

Świtem któregoś z wiosennych już dni 1944 roku weszła na nasz blok *aufseherin*, by wybrać grupę z kilkunastu więźniarek na *aussen* do pracy w pobliżu „Kanady", jak wyjaśniła blokowej. Pośród tego na poły komanda znalazłam się i ja. Mijając krematorium III, przeszłyśmy za ostatnie bloki „Kanady", a następnie jeszcze dalej, aż pod długie pasmo dołów, żerających ostatki ciał nie do odróżnienia. Wykonywanych przez więźniów, zapewne z *sonderkommanda*, czynności nad tymi dołami dopilnowywali rozstawieni co pewien odcinek esesmani. W dość bliskiej odległości od dołów leżały beczki oraz stosy pociętego w kłody drewna. Dymiło się z tych dołów ogniem stłumionym, dogasającym, mimo że więźniowie, może przygotowując następne spalanie, rzucali w ich wnętrze kawały drewna znoszonego ze stosu, układając to drewno również wokół brzegu tego barbarzyństwem napiętnowanego „żaro-grobu". Wzdrygać się zaczęłam nerwowo, widząc, jak niektórzy z więźniów, porwawszy za jakieś długie drągi, przegrzebywali nimi zawartość dołów. „Co robisz, uważaj!" — ostrzegła jedna z mych towarzyszek. „Jeśli palą, to nie muszą kłuć" — odsarknęłam. Może i ocuciło mnie poniekąd krzykliwe, ostre nawoływanie dyrygującej nami *aufseherin*, że należy oczyszczać teren z niepotrzebnych żelastw i gratów, rozrzuconych bezładnie po całym tym placu, a w żadnym, i to pod karą, wypadku nie zajmować się nie swoimi sprawami.

Mimo surowego zakazu najgroźniejsza nawet siła nie zdołała do tego stopnia ujarzmić wzroku, by bodaj przelotem nie pogonił w tę zakazaną stronę. I mej woli nie był ten wzrok posłuszny, choć z uwagi na osobiste samopoczucie lepiej było nic z tego, co tam nad dołami się działo, nie widzieć. Lecz ani mechanizm „zretuszowanego" odbioru wrażeń, ani usłużne w wielu przypadkach ohamowywanie emocjonalne, niewiele przy tych dołach miały do zdziałania. Regulacyjne procesy kory mózgowej ustąpiły widać miejsca „zaostrzonemu" odzwierciedlaniu wszystkiego, co było i co się działo.

Wracałyśmy z tych miejsc tak bez miary zmęczone i tak wewnętrznie sponiewierane, że każda chciała jak najszybciej od doznanych wstrząsów się oderwać, choćby poprzez zapadnięcie się w nicość. Ratowałam się snem, tak mocnym, tak twardym, że można mnie było z zajmowanej koi nie tylko wynieść, ale, być może, życia pozbawić, a ja nie ocknęłabym się nawet na jeden, jedyny moment. I najprawdopodobniej przy pomocy snu — zjawiska regenerującego biologiczne i psychiczne siły — zabezpieczał się organizm przed krańcowo druzgocącymi wstrząsami.

Może jeszcze wiosną, a może już latem, gdy plątałam się po różnego rodzaju komandach, wywołano mój numer, komunikując, że zostałam przydzielona do *Kräuterkommanda*, które miało zbierać zioła lecznicze, rzekomo na użytek *Wehrmachtu*.

Po te zioła chodziłyśmy drogą czy to w pobliżu krematorium II, czy III, by po przejściu usypisk z popiołów, na te miejsca wyrzucanych z krematoriów, i oddaleniu się od dołów, w których nadal wełniły się kłęby ognia żarłocznie mocującego się ze swym „paliwem", wejść do lasku ciągnącego się w niedalekiej odległości od Wisły. Komando nie było liczne, a praca w nim nie należała do ciężkich, we znaki jednak dawały się roje komarów, atakujących nas z całą wrodzoną im zawziętością. Rzecz charakterystyczna, że nikt z dozoru nie sprawdzał, co zbieramy, dopilnowując natomiast, czy dostatecznie często się schylamy i czy „ziół" w koszach przybywa.

Zetknięcie się po raz pierwszy ze spopielałą materią ludzkich ciał, ciągnącą się zakrętasami w poprzek naszej trasy, przywołało mi przed oczy zajeżdżające na bocznicę kolejową transporty, przywołało ostatnie spojrzenia prowadzonych na blok 25, ożywiło melodię „Marsylianki", śpiewanej przez Żydówki z Francji, w chwili, gdy z niezwykłą szybkością wieziono je do gazu. Świadomość, że mnie od tego wszystkiego ocalałej deptać należy po ich białopopielatych płatkach, stała się nie do zniesienia.

Ze stanu obezwładniającego odrętwienia ocknął mnie ledwo słyszalny głos współtowarzyszki: Milczeniem ich pamięć uczcijmy! Przystanęłyśmy więc na tę jedną, niezauważalną chwilę. I wierzę, że ten cichy akt hołdu pozwolił nam poczuć się lepiej. Bez trudu iść mogłam i dostrzegać, jak zawiewane lekkim wiaterkiem płatki osiadają na

naszych butach, na lagrowych pasiakach, na okaleczonych polach, na mdławej zieleni i wyblakłych kwiatach. W pewnym jednak momencie napastować zaczęła mnie myśl, że kto wie, czy w ten właśnie sposób te płatki nie upominają się o jedzenie. Nie bacząc na tzw. rozsądek, rzucać na nie zaczęłam wydobyte z *beutla*, czyli woreczka, odrobiny chleba, tłumacząc się przed współtowarzyszką, że ten mój chleb cyklonem przeszedł, a ci w płatkach zapewne są głodni.

Z czasem osłabło przeżywanie jednych i tych samych widoków, lecz nie w takim stopniu, by można było sobie powiedzieć: już na mnie nie działają. Ilekroć zabłysło ogniem z dołów i ilekroć powiało na nas ludzkimi popiołami, milkłyśmy, starając się nie widzieć, nie doznawać, nie przeżywać. Każde jednak bolesne, drastyczne zjawisko kładło, jeśli niezupełnie, to częściowo, kres ochronnemu działaniu tak wielce niestałych mechanizmów, stanowiących jedną z podstaw dalszego trwania. I trzeba było z pełną świadomością zmagać się z sobą o ponowne utorowanie drogi regulacyjnym procesom kory mózgowej, by przy pomocy wytworzonych przez te procesy mechanizmów obronnych przedłużać trwanie.

W zaistniałym układzie, zarówno gdy chodzi o położenie bloku, o pracę w komandzie, jak i o wewnętrzne zmaganie się, doszło do przeniesienia mnie na inny, dalej położony odcinek lagru. Złagodniał więc widok dymu z krematoryjnych kominów, jak i łun z ziejących ogniem dołów. Zmiana komanda uwolniła od stąpania po spopielałych pozostałościach z ludzkich ciał. Nie znaczy to jednak, że na tym nowym odcinku było lepiej. Było poniekąd inaczej. Znikły makabryczne na co dzień widoki, ale nad siły ciężka praca w połączeniu z terrorem niszczyła niepomiernie szybko. Należało zatem „przestawić" na inne nieco tory działalność procesów regulacyjnych, by w zmienionych warunkach mogły wytwarzać mechanizmy w tych warunkach dla organizmu najniezbędniejsze. „Przestawienie" nie równało się jednak rezygnacji z ich obronnej funkcji, rezygnacja prowadziłaby bowiem niechybnie do jednego z kominów krematoryjnych dłuższą tylko trochę drogą, gdyż z bardziej odległego od nich odcinka lagru.

Nie jest niczym nowym, że w układzie bioenergetycznym człowieka dochodzi do stanów względnej równowagi i do stanów zaburzeń, że stany te w mniejszym lub większym stopniu i równoważą się, i ścierają, tworząc nowe, że działają z plastyczną przemiennością i zmiennością, jak również że wszystko, co w żywym układzie zachodzi, jest rezultatem zmian dokonujących się w organizmie i otoczeniu (11, 14).

Lager miał tę właściwość, że powodując ustawiczne, o olbrzymiej sile zaburzenia, niszczył szybko, możliwie najszybciej każdy ludzki organizm, jeśli ten w splocie przeróżnych uwarunkowań i danych organizmowi cech uległ im nieodwrotnie. A w jak różnorodny i skomplikowany sposób reagowali na lager więźniowie, świadczą przykłady, z jakimi spotkać się można w wielu na ten temat pracach. Przyjęcie jedynej w tej dziedzinie wykładni mogłoby zatrzeć prawdziwy obraz wewnętrznego „ja" więźniów.

PIŚMIENNICTWO

1. *Dąbrowski* K.: Osobowość i jej kształtowanie poprzez dezintegrację pozytywną. Warszawa 1975, Pol. Tow. Hig. Psych., s. 74—83.
2. *Frączek* A.: Wpływ stanu emocjonalnego napięcia na spostrzeganie ludzi. Psychologia Wychowawcza, 1964, nr 1.
3. *Grzywąk-Kaczyńska* M.: Lęki, mechanizmy obronne, autentyzm psychiczny. Zagadnienia Wychowawcze a Zdrowie Psychiczne, 1973, nr 6, s. 7—20.
4. *Grzywak-Kaczyńska* M.: Rozwój emocjonalny dzieci i młodzieży. Zagadnienia Wychowawcze a Zdrowie Psychiczne, 1972, nr 5, s. 15—26.
5. *Jagoda* Z., *Kłodziński* S., *Masłowski* J.: Przetrwanie obozu w ocenie byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki. Przegl. Lek., 1977, nr 1, s. 51—57.
6. *Jakubik* A.: Obraz własnej osoby a pobyt w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Problemy teoretyczno-metodologiczne. Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 15—26.
7. *Kępiński* A.: Lęk. Warszawa 1977, PZWL, s. 61—85.
8. *Kępiński* A., *Kłodziński* S.: O dodatniej aktywności psychicznej więźniów. Przegl. Lek., 1973, nr 1, s. 81—84.
9. *Pawełczyńska* A.: Przemiany struktury społecznej a możliwości przeżycia obozu oświęcimskiego. Przegl. Lek., 1973, nr 1, s. 76—81.
10. *Szemińska* A.: Piagetowska teoria rozwoju poznania. Psychologia Wychowawcza, 1980, nr 5, s. 565—576.
11. *Szewczuk* W.: Psychologia. T. I. Warszawa 1962, PZWS, s. 173—252.
12. *Teutsch* A.: Próba analizy procesu przystosowania do warunków obozowych osób osadzonych w czasie II wojny światowej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Doniesienie wstępne. Przegl. Lek., 1962, nr 1a, s. 12—17.
13. *Tomaszewski* T.: Wstęp do psychologii. Warszawa 1963, PWN, s. 185—228.
14. *Witwicki* W.: Psychologia. Warszawa 1963, PWN, t. I, s. 225—280, t. II, s. 281—286.

HELENA CHASZCZYŃSKA

Wieluń

Do Mauthausen-Gusen po prochy męża

W 36. rocznicę wyzwolenia Wielunia, w styczniu 1981 r. wyszłam na dojmujące spotkanie z tragiczną przeszłością najdalszą drogą, od której ciężaru nie można się po 40 latach jeszcze uwolnić. Wtedy to przeżyłam podróż do obozu, w którym stracił życie mój mąż; później zresztą wyjazdy takie nie były już możliwe. Do opisania tego osobliwego i zarazem koszmarnego epizodu skłonił mnie zespół redakcyjny „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Myślę, że wspomnienie to zainteresuje nie tylko lekarzy i psychologów.

Wracam do pamiętnego dla mnie, wiosennego dnia 13 kwietnia 1940 r. Nasz siedmioletni syn, wbiegłszy rano do mieszkania (w Wieluniu), z przerażeniem mówił, że są aresztowania, a żandarmi prowadzili znajomych i przyjaciół, kole-

gów mego męża, Władysława: Jana *Markiewicza*, Józefa *Bagińskiego*, Stefana *Chmielewskiego*, Wacława *Bojewskiego*, Karola *Wójcikiewicza*, Władysława *Kaźmierczaka* Antoniego *Bielę* i innych sąsiadów. Poprosiłam syna, żeby zawiadomił o tym ojca (mąż mój, z bratankiem, Juliuszem W., późniejszym więźniem obozu oświęcimskiego, pisał niedaleko budynku starostwa podania dla mieszkańców).

W pewnej chwili weszło dwóch żandarmów, zapytali o męża, podałam adres miejsca jego pracy; jeden został w mieszkaniu, drugi Niemiec wyszedł. Polecił mi spakować rzeczy, „pocieszał", że wkrótce wróci. Po kilkunastu minutach przyszedł z moim mężem. Krótkie, rozpaczliwe pożegnanie...

Tutaj muszę wyjaśnić, że mąż mój, o którym mowa w tej relacji, pracował po ukończeniu Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego w Starostwie Grodzkim w Łodzi (w latach 1929—1930), następnie w urzędzie wojewódzkim, po czym został przeniesiony służbowo do Starostwa Powiatowego w Wieluniu na stanowisko kierownika referatu ds. wyznań oraz paszportów zagranicznych. Pracował tam do 1 września 1939 r. Natomiast do aresztowania, tj do owego krytycznego dnia 13 kwietnia następnego roku, prowadził prywatnie biuro próśb i podań. Kontaktował się wtedy z niejednym pracownikiem służby zdrowia. Gestapo aresztowało go pod zarzutem organizowania bojówki przeciwko Niemcom (należał do ZWZ).

Wszystkich aresztowanych 13 kwietnia umieszczono w przejściowym obozie za miastem. Po tygodniu, 20 tegoż miesiąca wywieziono ich stamtąd do Łodzi, do więzienia w Radogoszczy, skąd 2 maja 1940 r. wysłano mojego męża do Dachau (nr obozowy 5909). 5 czerwca tego roku wywieziono go do Mauthausen-Gusen (nr 5917) i tam zginął 20 lipca 1940 r. 15 sierpnia nadeszła urna z prochami, która została pochowana na miejscowym cmentarzu w Wieluniu.

Z Radogoszczy dostałam od męża kartkę: „Kocham Was, wyjeżdżamy, nie wiem, dokąd". Dalej dodał: niech Sławek (syn) wie, za co cierpimy. Później dowiedziałam się o wywiezieniu męża do Dachau i następnie do Mauthausen-Gusen. Wiadomości od niego nie było długo, dopiero 10 lipca nadeszła kartka z Gusen; napisał kilka słów, że jest zdrowy, pozdrawia nas i prosi, żeby się nie martwić. Zatliła się maleńka iskierka nadziei: żyje i jest zdrowy.

Radość trwała krótko. Nastała niedziela 20 lipca 1940 r. W południe ostro zadzwoniono do drzwi; listonoszka podała depeszę i prędko wyszła. Otworzyłam z lękiem, ale i z nadzieją, że mąż wraca. Krótkie słowa, bólem przeszywające serce, o tym, że mąż dzisiaj zmarł w obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen o godz. 7 rano; podpisał komendant obozu Franz *Ziereis*. Jednocześnie zawiadamiał, że wolno mi przyjechać do obozu.

Wiadomość rozeszła się bardzo szybko, zbiegli się znajomi. Rozpacz wszystkich była ogromna, pierwszy wypadek spowodowanej przez uwięzienie w lagrze śmierci z Wielunia. Kazano mi zgłosić się na gestapo po przepustkę. Najtrudniejszą sprawę załatwili znajomi, a kolega męża, który znał dobrze niemiecki, zaofiarował się pojechać do obozu. Z Wielunia, po drodze z Pragi i Wiednia, wysyłaliśmy depesze do Mauthausen-Gusen, że jedziemy. Utrudzeni bardzo, wyjechaliśmy z Wiednia. Zrozpaczona bałam się, że nie zdążymy na pogrzeb, którego urządzenie sobie wyobrażałam.

W pociągu za Wiedniem jakaś kobieta zwróciła się do nas z zapytaniem, dokąd jedziemy, poradziła, żeby na następnej stacji wysiąść i pojechać podmiejską kolejką do Mauthausen. Mały dworzec, pierwsze, tragiczne spotkanie z więźniami; pracowali w małym lesie, w pasiakach, otoczeni Niemcami ze zwróconymi w ich stronę karabinami. Wyszliśmy na drogę; kolega męża wstępował do domków, pytając o obóz koncentracyjny. Mieszkańcy wzruszali ramionami i odpowiadali: nie wiemy.

A droga była prosta, oglądałam ją w telewizji w ubiegłym roku. Spoglądałam w górę na domki; w małym zagłębieniu, pod dachem, były umieszczone figurki Matki Bożej. Dodawało mi to trochę otuchy. Szliśmy, skręcając na lewo; droga ciągle pusta. Wreszcie napotkanego mężczyznę pytamy, czy nie widział w tej okolicy pogrzebu. Odpowiedział, że „stąd pogrzeby nie wychodzą". Bez sił już wlokłam się pod górę; upał dokuczał niemiłosierny; wreszcie z małego domku wyszła starsza kobieta; zapytana, gdzie jest obóz, pokazała na górę. Jednocześnie, widocznie zdjęta żalem, prosiła, żeby wstąpić do mieszkania na chwilę, odpocząć; podziękowałam; dochodziła godzina piąta.

Spojrzałam w górę: szeroko otwarta brama. Czekali na nas. Wysoko rzucał się w oczy napis: *Arbeit macht frei*. Z daleka widoczna ogromna wieża, ruch obrotowy karabinu jakby gotowego do strzału. Stanęłam zupełnie zdrętwiała, ale już z wartowni szedł gestapowiec. Wprowadził nas. Odebrano depeszę, dowody osobiste. Pytano o nazwisko męża. Wyjął teczkę, widać było na niej napis: „Politische Abteilung". Dalej prowadził nas wartownik. Spojrzałam zdumiona, gdyż w rogu, po prawej stronie drogi, stała pięknie przystrojona kapliczka-statua Matki Boskiej, taka, jakie spotyka się w Polsce na rozstajnych drogach.

Szliśmy dalej; asfaltem szeroka droga prowadziła nad rzeczywiście modrym Dunajem, bardzo wzburzonym, bo w lipcu 1940 r. była w Austrii ogromna powódź. Szliśmy jeszcze, a słońce prażyło niemiłosiernie, ale od rzeki powiało chłodem. Wreszcie mały, osobny barak, nad Dunajem. Kamienna ława, na niej nasi młodzi chłopcy w pasiakach o bardzo smutnych i kamiennych, znieruchomiałych twarzach. Bez słowa, z rozpaczą patrzyliśmy na nich. W baraku chwila odpoczynku. Wreszcie zadzwonił telefon i zaczęła się dalsza wędrówka, a serce biło na trwogę. Znowu inny wartownik. Echo niosło po górach jakby żałosną skargę, to spadały głazy.

Nareszcie pokój urządzony przyzwoicie. Krótkie *Morgen*. Zza biurka wyszedł esesman, przysunął dwa krzesełka, podszedł do okna, na którym stała karafka, nalał do szklanki wody, podał mi. Pierwsze to łyki wody po 24 godzinach. Sam usiadł na brzegu biurka. Zaległa śmiertelna cisza. Nie patrzałam na niego, widziałam nogę w błyszczącym bucie, poruszającym się wahadłowym ruchem. Przez okno szło to samo echo, jakby też jęk zamęczonego na śmierć człowieka. Cisza wciąż trwała; prosiłam Boga, żeby się coś stało, bo nie wytrzymam tego strasznego napięcia.

Wreszcie esesman wstał, podszedł do mnie i zapytał, czy mogę już iść do męża. Podniosłam się z krzesła i krótkim „tak" potwierdziłam, że jestem gotowa. Wyszliśmy — na prawo brama przelotowa, na lewo, po małych schodkach, dość duże pomieszczenie, w górze dwa okienka, dwa boksy przegrodzone, jeden zasłonięty zielonym suknem, za drugim duże, oszklone drzwi. I mąż... Na podwyższeniu stała trumna, zakryty był białym płótnem aż po szyję, pod brodą miał podstawkę, na nogach piękny, duży wieniec z kwiatów. I ta twarz opalona, zastygła w ogromnym bólu, ale wolna już od cierpień. I w tej chwili jakiś nielogiczny żal: jak mogłeś zostawić mnie samą z jedynym dzieckiem na taką mękę.

Starałam się nie płakać, żeby łzy nie przeszkadzały, żeby przekonać się, że to naprawdę on, taki bezbronny, myślałam, że człowiek-bestia skazał go na taką okrutną śmierć. Kolega męża, stojący obok mnie, szlochał. A w bramie cierpliwie stał esesman. Poprosiłam — zapytałam go, czy mogę wejść do środka pożegnać się z mężem, odpowiedział: „tam pani wejść nie może". Jeszcze czekał, wreszcie podszedł do mnie, już bardzo płaczącej i mówił: Niech pani stąd wyjdzie, bo im dłużej pani zostanie, trudniej będzie odejść. — Wracałam do boksu dwa razy. On wciąż czekał, może robił rachunek sumienia, a najpewniej miał instrukcje, jak się zachować przy takiej inscenizacji. Poprosiłam, żeby kwiaty, które przywiozłam z Polski od syna, spalono razem z mężem. Przyrzekł, że tego dopilnuje. Tłumaczył, że ciało będzie poddane kremacji za kilka dni, a prochy przyślą do Wielunia.

Jeszcze raz krótkie, bolesne spojrzenie, rozpaczliwe pożegnanie i wyszliśmy na teren obozu. Nie wiem, kiedy, która to była godzina. Nie spojrzałam esesmanowi w twarz, poczułam tylko mocny uścisk dłoni i słowa, które mi tłumaczył kolega: Niech pani nie płacze, musi pani być silna za syna, za siebie, a tym, którzy tu zostali, nie może pani okazać łez. — Zapewniał jeszcze raz o wyczerpaniu wszystkich możliwości, żeby męża ratować. Zapomniał tylko powiedzieć, że w zaledwie trzydziestym roku życie mojego męża przeciął bezlitośnie zadany zastrzyk z fenolu. Raz jeszcze ostatnie spojrzenie na drzwi, które zamknęły się na zawsze za tym, któremu los zawistny i ludzie-szakale nie pozwolili wrócić do najbliższych.

I znowu ta sama, powrotna droga. Tak samo szumiał Dunaj, ta sama wieża, przydrożna kapliczka, mała wartownia. Oddano dowody. Wyszliśmy za bramę, nad nami napis *Arbeit macht frei*, a może: Porzućcie nadzieję, stąd nie ma wyjścia. Boże — mówiłam w duchu — jaki człowiek jest mocny, istna dębowa calizna, można go okaleczyć śmiertelnie, a żyje!

Zeszliśmy na dół. Ta sama kobieta czekała na nas. Ponowiła zaproszenie, żeby odpocząć, a nawet zanocować. Podziękowałam, bałam się; mówiła, że w dole za drutami jest obóz Gusen, można przejść, ale nie wolno wracać tą samą drogą. A tam, za płotem czekali koledzy męża; wiedzieli, że jestem w Mauthausen. Może i dobrze się stało, że nie doszło do spotkania; ktoś z nas — albo ja, albo tamci za drutami — nie wytrzymaliby nerwowo i mogło skończyć się dla nas tragicznie. A na mnie czekał w domu nasz jedyny syn.

Wracałam z tej okrutnej Golgoty już z góry, wygodną drogą, z uczuciem ulgi — mimo niepowetowanej straty, żalu bezgranicznego, z myślą, że mąż już nie cierpi, że nie będzie na karku dźwigał kamieni, pod których ciężarem uginał się na schodach zwanych krwawymi. Schody te łączyły Mauthausen z Gusen.

Powrót do Wiednia. Czekaliśmy na pociąg do Pragi. Usiedliśmy na skwerku. Piękny, pełen uroku Wiedeń i rozległy widok. W górach, wśród lasów, jakby zawieszone ręką Boga kolorowe domki. Trudno było uwierzyć, że tam, gdzieśmy byli, wysoko, tyle bólu, tragedii, przemocy i że jeszcze wyżej cierpliwy Bóg zawiesił karę tym, którzy bez sądu mordowali bezbronnych.

Zapadł powoli wieczór, obowiązywało zaciemnienie; taksówką zajechaliśmy na dworzec. Rozpaczliwy powrót, łzy płynęły, już nie hamowane niczym, nie bały się, że zasłonią twarz, której nie zobaczę już nigdy. Będę czekała na urnę z prochami i myślała, że zamknęła się kolejna karta zaskakujących doświadczeń, że wspólne z mężem dni minęły na zawsze. Pociąg biegł szybko, czas uciszał.

Jak matka, która w tej chwili cały zasób nadziei włożyła w jedynego syna, wracałam do niego. Chłopiec wyszedł naprzeciw mnie; nie płakał, przytulił się i powiedział: nie płacz, mnie przecież masz!

Czekałam na prochy. W tym czasie trwała jeszcze korespondencja z obozem, przysłano akt zgonu i rzeczy. Znajomi po moim powrocie twierdzili, że to, co mi pokazano, było komedią ze strony Niemców. Może, nawet na pewno, ale człowiek bardzo łatwo potrafi uwierzyć w to, co mu jest wygodne, potrzebne do życia, żeby przeżyć i powiedzieć, że życie, choćby najdokuczliwsze i najnędzniejsze, kochamy. Że czas, nieubłagany pan, jednak najłaskawiej ucisza żal, który błękitnieje z biegiem dni i lat, choć jednakowo boli.

15 sierpnia 1940 r. miejscowy grabarz w Wieluniu zawiadomił mnie, że na poczcie są prochy, ale nie wolno mi zabrać urny, należy ją przenieść do jego domu i czekać na przyjście gestapo. Szliśmy z synem za urną, po drodze dołączali się znajomi, nieśli dużo kwiatów. Pojawił się ksiądz. Za nami, w niewielkiej odległości stał gestapowiec. Po modłach, wśród ogólnego płaczu, urna z prochami spoczęła w grobie moich rodziców, w tej ziemi, którą mąż bardzo ukochał i z którą się związał. Jego życzeniem zawsze było, żeby go spalono i prochy zawieziono do Lwowa, gdzie chodził do szkół, do grobu ojca. Nie mogłam zadośćuczynić tej prośbie.

Coraz częściej przychodziły zawiadomienia o śmierci kolegów męża w obozie. Szesnaście urn złożono na cmentarzu w Wieluniu, ale żadna z wdów nie chciała czy nie mogła podjąć podobnego, ogromnego trudu podróży.

Zaczęło się dalsze życie, pełne lęku i troski o jedynego syna, który był (i jest) ze swoją rodziną największą, dobrą radością mojego życia. Aż kiedyś, późną jesienią — był listopad — ktoś zapukał do drzwi; byłam sama. Wszedł młody mężczyzna i zapytał, czy mogę wyjść na chwilę rozmowy. Usłyszałam: wracam z Gusen, przysłali mnie koledzy męża, jestem *Włodarczyk*, nauczyciel z okolicy Wielunia, żona moja podpisała *volkslistę* i skorzystałem z tego przywileju. Niech pani będzie dumna, umarł jak bohater, a ja nie wiem, jaką śmiercią umrę.

Przybysz nie miał szczęścia; wyjechał do Krakowa i tam, w czasie łapanki, został schwytany, aresztowany i wywieziony ponownie do Gusen; od tej pory nie zgłosił się nigdy.

Kończąc wspomnienie o swej najsmutniejszej, ciężkiej drodze pod pamiętną górę do Mauthausen, znów boleśnie przeżywam los, który zabrał to, co darował, i kazał zapłacić łzami i tym żalem serdecznym, co dławi.

*

O hitlerowskich katowniach w Wieluniu jest mowa m. in. w książce pt. Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939—1945. Informator encyklopedyczny (Warszawa 1979, PWN, s. 561); znajdują się tam informacje o wieluńskim getcie i o więzieniu, przekształconym w obóz. O obozie Mauthausen-Gusen pisano już w wielu artykułach i książkach, m. in. Stanisław *Dobosiewicz:* Mauthausen-Gusen. Obóz zagłady (Warszawa 1977, Wydawn. MON; wyd. 2 popr.: 1979). W tym miejscu warto tylko przypomnieć, że obóz ten mieścił się w Austrii Górnej, nad Dunajem, w pobliżu Linzu; Gusen — to jeden z kilkudziesięciu podobozów Mauthausen. Spośród 335 tys. więźniów zginęło w nieludzkich warunkach 123 tys.

Julian *Kuś:* „Oświęcim — granica śmierci"

TADEUSZ HORZELA

Kraków

Dr Mieczysław Paweł Pietrzyk

Godna upamiętnienia jest postać dr. Mieczysława Pawła *Pietrzyka,* lekarza i lotnika, należącego do grupy tych pracowników służby zdrowia, o których się dotychczas mniej pisało, tj. do lekarzy z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Dr Mieczysław Paweł *Pietrzyk*

Urodził się w Krakowie, w prawobrzeżnej dzielnicy Podgórze, 21 stycznia 1914 r., w robotniczej rodzinie tramwajarskiej. Po ukończeniu Gimnazjum im. Bartłomieja Nowodworskiego podjął w r. 1932 studia na Wydziale Lekarskim UJ. Lotnictwo pasjonowało go od dziecka i w okresie nauki gimnazjalnej, w ramach przysposobienia wojskowego odbył kurs pilotażu we Lwowie Skniłowie. Podczas ferii pomaturycznych otrzymał dyplom pilota i włączył się do zajęć lotniczych w Aeroklubie Krakowskim.

O jego zapale i uzdolnieniach w tym kierunku mogą świadczyć wyniki sportowe: w VIII rajdzie południowo-zachodniej Polski im. Żwirki i Wigury zajął drugie, a w IX — trzecie miejsce. Wyróżnił się w zlocie gwieździstym do Łodzi w 1935 r. W roku 1935, po zaliczeniu III roku studiów, uzyskał z Uniwersytetu roczny urlop i zgłosił się ochotniczo do Szkoły Podchorążych Pilotów Rezerwy w Dęblinie i w roku 1936 uzyskał dyplom pilota wojskowego. W roku akademickim 1936/37 podjął dalsze studia lekarskie, a w okresie ferii letnich odbywał ćwiczenia wojskowe, po których uzyskał stopień podporucznika pilota rezerwy.

W r. 1938 uzyskał absolutorium i kontynuował zdawanie egzaminów dyplomowych na Wydziale Lekarskim UJ. Powołany na ćwiczenia wojskowe, a następnie zmobilizowany 20 sierpnia 1939 r., nie zdążył zaliczyć ostatnich czterech egzaminów. Letnie ćwiczenia wojskowe odbywał w 2 pułku lotniczym, trenując loty na samolotach liniowych PZL-23 „Karaś" (o konstrukcji całkowicie metalowej, na wyposażeniu lotnictwa od 1936 r.), przeznaczonych do lekkiego bombardowania i lotów nurkowych.

Po zmobilizowaniu nie otrzymał miejsca w eskadrze „Karasi" i zgłosił się za namową kpt. obs. Stanisława *Rzepy,* dowódcy 36 eskadry obserwacyjnej, do składu tejże formacji. *Pietrzyk* miał już doświadczenie w lotach obserwacyjnych i we współpracy z wojskami naziemnymi, gdyż w r. 1937 odbył intensywne ćwiczenia w tej dziedzinie.

Początek wojny zastał go na lotnisku polowym w rejonie Częstochowy. Odbywał loty zwiadowcze na odcinku operacyjnym 7 Dywizji Piechoty gen. bryg. Janusza Tadeusza *Gąsiorowskiego* (Krzepice—Lubliniec, na północnym skrzydle Armii „Kraków"). 7 DP 2 września po całodziennych walkach obronnych pod Częstochową wycofywała się pod naporem nieprzyjaciela, toczyła walki obronne i 5 września w rejonie Złotego Potoku przestała istnieć jako całość; jej resztki broniły Kielc oraz przepraw na Wiśle. W tej sytuacji *Pietrzyk* ewakuował się kolejno do Podskalbmierza, Baranowa, Sokołowa Małopolskiego, Przeworska, Jaworowa, Stanisławowa.

Wykonując loty zwiadowcze i łącznikowe dla dowództw broniących się rejonów, wykonał 20 lotów bojowych. Za wykonanie zadań bojowych został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy. Przy bardzo złej pogodzie i niemożliwości startu personel 26 eskadry zniszczył pozostałe jeszcze samoloty i w dniu 18 września 1939 r. przekroczył granicę rumuńską. Tam został internowany. Po miesiącu pobytu w obozie *Pietrzyk* i kilku kolegów uciekło. Uzyskali oni pomoc polskich i francuskich placówek dyplomatycznych, tak że już 10 listopada 1939 r. ppor. pilot *Pietrzyk* pełnił regularną służbę w Polskich Siłach Powietrznych we Francji, na lotniskach Lyon-Bron i Le Bourget.

Przeniesiony w kwietniu 1940 r., tj. jeszcze przed niemiecką inwazją na Francję do Wielkiej Brytanii, przeszedł przeszkolenie na sprzęcie angielskim. Początkowo odbywa służbę w 271 dywizjonie *Air Royal Force,* najpierw jako pilot

rozprowadzający samoloty, a potem jako pilot bojowy myśliwski. Po sformowaniu zwartych polskich jednostek powietrznych przechodzi do 307 dywizjonu myśliwskiego nocnego, noszącego przydomek „Lwowskich puchaczy". Dywizjon ten osiągnął gotowość bojową na początku grudnia 1940 r. Osłaniał miasto Exeter i porty na południowym wybrzeżu Anglii. Z kolei, podporządkowany 9 Brytyjskiej Grupie Myśliwskiej, osłaniał rejon Liverpool — Crewe — Manchester — Birmingham i patrolował żeglugę morską. W r. 1943 brał bezpośredni udział w bitwie o Atlantyk. Wykonywał też loty patrolowe z północnej Szkocji nad konwojami morskimi.

Walczącemu w tym dywizjonie *Pietrzykowi* dowództwo zaliczyło oficjalnie zestrzelenie niemieckiego bombowca *Ju-88* oraz współudział w drugim zestrzale. Był czterokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych. W numerze 674 „Dziennika Polskiego" (wychodzącego w Londynie) z 19 września 1942 r. znajdują się na pierwszej stronie fotografie z dwóch uroczystości dekoracji lotników odznaczeniami bojowymi przez gen. broni Władysława *Sikorskiego*. Na tych obu zdjęciach znajduje się wśród odznaczonych *F. O.* por. pil. Mieczysław *Pietrzyk* (*F. O.* = *field officer*, oficer liniowy).

Wykonawszy ogółem 603 godziny lotów bojowych, w tym przeszło dwieście w 307 polskim dywizjonie, został wycofany — zgodnie z organizacją służby lotniczej w linii — i skierowany do pracy instruktorskiej w szkole pilotów. Dzięki usilnym staraniom skierowano go do pracy w Szpitalu im. Paderewskiego w Edynburgu. Pracował tam od 1 września 1943 do 1 maja 1944 r. w oddziale ginekologiczno-położniczym tego szpitala, początkowo jako absolwent, a potem już jako lekarz, gdyż 7 stycznia 1944 r. uzyskał w Uniwersytecie w Edynburgu dyplom lekarza. Studiował na tamtejszym Polskim Wydziale Lekarskim, znanym z obszernego już piśmiennictwa na ten temat.

W stopniu kpt. lekarza powrócił do macierzystego 307 dywizjonu i pełnił w nim służbę do r. 1947. Do kraju repatriował się 17 lipca 1947 r. (jest to też data przybycia na polskie Wybrzeże pracowników Szpitala im. Paderewskiego). Należał do tych — nielicznych przecież z różnych przyczyn — oficerów lotnictwa i lekarzy, którzy, jak gen. bryg. dr med. Bolesław *Szarecki*, swoje miejsce działalności widzieli w Polsce, z myślą o jej odrodzeniu walcząc i pracując na obczyźnie przez trudne sześć lat.

Pietrzyk wrócił, przywożąc oprócz uprzednio wspomnianych, polskich odznaczeń bojowych kilka odznaczeń angielskich (*Defence Medal, War Medal, Atlantic Star, 1939—1945 Star*) oraz przewlekłe cierpienie, które potem wpłynęło na jego przyszłość. W następstwie mianowicie powtarzających się, a charakterystycznych dla pilotów myśliwskich urazów presyjnych (barotraumy) rozwinęło się u niego przewlekłe zapalenie wszystkich zatok obocznych nosa. Był z tego powodu dwukrotnie operowany: pierwszy raz w Edynburgu w r. 1944, a potem już w Krakowie. Niestety, te rozległe operacje nie przyniosły wyleczenia.

Pracę zawodową podjął w I Klinice Chorób Wewnętrznych UJ pod kierunkiem prof. Leona *Tochowicza*; kontynuował ją do 1956 r. W tym czasie opublikował szereg wartościowych prac, obronił dysertację doktorską w r. 1950 oraz zyskał powszechne uznanie jako znakomity lekarz i wspaniały kolega i współpracownik. W tym okresie rozpoczął pełnienie dyżurów lekarskich w Krakowskim Pogotowiu Ratunkowym, w której to instytucji miał potem pracować przez wiele lat. W 1957 r. zrezygnował z dalszej pracy w Klinice i objął stanowisko dyrektora Krakowskiego Pogotowia Ratunkowego. W okresie sprawowania przez niego kierownictwa działalność pomocy doraźnej znacznie się poszerzyła; wybudowano nowy gmach Stacji przy ul. św. Łazarza, uruchomiono placówki filialne w nowych dzielnicach miasta.

Jako lekarz z powołania, temperamentu i zamiłowania nie zaprzestał bezpośredniego wykonywania czynności leczniczych i wykorzystywał każdą chwilę do pracy w ambulatorium czy w zespole wyjazdowym. Był członkiem i działaczem PCK, Aeroklubu Krakowskiego, ZBoWiD. Za swą pracę zawodową i społeczną otrzymał Złoty Krzyż Zasługi, Odznakę „Za wzorową pracę w służbie zdrowia", „Za pracę społeczną dla miasta Krakowa" i wiele innych medali, odznak i dyplomów.

Pogarszający się stan zdrowia, a szczególnie postępujące upośledzenie wzroku, zmusił go do przejścia na emeryturę w 1979 r. Zmarł w Krakowie 30 lipca 1980 r. i został pochowany na cmentarzu Rakowickim. Środowisko lekarskie krakowskie utraciło doświadczonego, mądrego kolegę lekarza, organizatora i nauczyciela, a chorzy — troskliwego, wnikliwego lekarza. Odszedł Człowiek, który całym swoim życiem dawał przykład bezkompromisowego, nie liczącego się z żadną ceną patriotyzmu i który był tak skromny, że gdy wspominał swoje dzieje, robił wrażenie, że się wstydzi, iż zrobił tak mało.

*

Szkic biograficzny jest oparty na udostępnionych przez syna dr. M. P. *Pietrzyka*, dr. med. Jacka *Pietrzyka*, dokumentach osobowych jego ojca, wśród których znajduje się życiorys własny tego lekarza lotnika, „Książeczka legitymacyjna" UJ, l. 1874, wydana 26 września 1932 r., „Książeczka legitymacyjna studenta Wydziału Lekarskiego" Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie w Edynburgu (Polish school of medicine in Edingburgh) l. 156 i in. Bojowe dzieje 7 DP w wojnie obronnej Polski 1939 r. podaje w skrócie T. *Jurga*: Regularne jednostki Wojska Polskiego w 1939 r. Organizacja, działania bojowe, uzbrojenie, metryki związków operacyjnych, dywizji i brygad (Warszawa 1975, Wydawn. MON, s. 216—217). Podobny szkic na temat 26 eskadry obserwacyjnej i jej walk w r. 1939 podaje I. *Koliński*: Regularne jednostki Wojska Polskiego (lotnictwo). Formowanie, działania bojowe, organizacja, uzbrojenie, metryki jednostek lotniczych (Warszawa 1978, Wydawn. MON, s. 88—89). Szczegółowy opis składu osobowego i walk 26 eskadry obserwacyjnej („towarzyszącej") z 2 pułku lotniczego w r. 1939 dał Jerzy *Pawlak*, wymieniając nieraz ppor. rez. pil. Mieczysława *Pietrzyka*; *Pawlak* w kilku odcinkach opublikował w „Skrzydlatej Polsce" historię 26 eskadry, w cyklu „Dzieje eskadr". Podstawowe dane o 307 dywizjonie myśliwskim nocnym („Lwowskie puchacze") przedstawił I. *Koliński* (o. c., s. 181—183).

Dr Seweryn Roman Kowalski

Lekarze, którzy znaleźli się po agresji Niemiec hitlerowskich na ZSRR w dawnych polskich województwach wschodnich, włączali się w nurt działalności konspiracyjnej, podlegali prześladowaniom i ponosili duże straty. Im więc też należy się pamięć, lecz biografii na ich temat jest niewiele. Warto m. in. przypomnieć postać dr. Seweryna Romana *Kowalskiego.*

Dr Seweryn Roman *Kowalski*

Urodził się on 23 października 1895 r. w Piotrkowie Trybunalskim, w byłym zaborze rosyjskim. Był synem pracownika umysłowego, Wojciecha, i Amelii Marii Renaty *Piaseckiej.* Wychowany został w atmosferze patriotycznej, w duchu walki z caratem. Ojciec jego był powstańcem 1863 roku; został ranny w powstaniu, miał kulę w nodze. Zmarł w r. 1906 wskutek odnowienia się ran zadanych w boju. Seweryn miał wtedy 11 lat, był najmłodszy z licznego rodzeństwa. Starsze rodzeństwo pomagało matce w wychowaniu i wykształceniu młodszego.

Ówczesna młodzież polska w byłej Kongresówce uczęszczała do szkół zrusyfikowanych po powstaniu styczniowym. Nawet języka polskiego i religii uczono po rosyjsku. W celu przeciwdziałania polityce zaborcy młodzież stworzyła własny świat, organizując tajne kółka samokształceniowe, w których szczególny nacisk kładziono na naukę historii i literatury ojczystej. Mały Seweryn był uczniem gimnazjum rosyjskiego i podobnie jak jego starsze rodzeństwo uczył się na tajnych kompletach. W r. 1905, jak wiadomo, doszło do jawnej walki o szkołę polską — wybuchł strajk szkolny. Starsze rodzeństwo Seweryna należało do organizatorów i uczestników strajku. Gorąca, patriotyczna atmosfera tamtych dni oddziaływała na wrażliwego chłopca. W wyniku strajku władze rosyjskie zezwoliły na utworzenie polskich szkół prywatnych.

Seweryn ukończył Gimnazjum Męskie w Piotrkowie Trybunalskim i rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. W kontynuowaniu nauki przeszkodziła mu pierwsza wojna światowa.

Starsza siostra, Zuzanna, i brat, Tadeusz, z entuzjazmem włączyli się do walki o wolność ojczyzny: siostra należała do Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego, brat został w Departamencie Wojskowym Naczelnego Komitetu Narodowego redaktorem odpowiedzialnym i wydawcą „Dziennika Narodowego".

Również Seweryn spełnił swe patriotyczne powołanie i 11 marca 1916 r. wstąpił do Legionów, przerywając rozpoczęte studia lekarskie. Służył w artylerii, początkowo w stopniu szeregowca. Brał udział m. in. w walkach w r. 1916 nad Stohodem na Wołyniu. Wyniósł stamtąd pamięć bardzo ciężkich przeżyć, o których opowiedział jedynie bratu, Tadeuszowi, a do których nie chciał wracać wspomnieniami. W Legionach służył do 1 lipca 1917 r., a następnie podjął przerwane studia w UJ. Trwały one znów krótko, gdyż z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości rozpoczął w Wojsku Polskim czynną służbę, która wypełniła kolejne dwa lata jego życia.

Od 11 listopada 1918 r. mianowicie służył jako plutonowy w 26 pp., w maju 1919 r. został mianowany podporucznikiem; 18 lipca 1919 r. zakończył służbę w tym pułku; od lipca do września 1919 r. służył w Szpitalu Epidemicznym we Lwowie, następnie do 1 stycznia 1920 r. w tym samym stopniu w 25 pp., od 1 stycznia do 1 kwietnia 1920 r. przebywał na Kursie Wojsk. Mat. w Krakowie, z kolei do 1 lipca tegoż roku służył w Szpitalu Wojskowym w Równem. Następnie zachorował na tyfus i do sierpnia 1920 r. przebywał w Szpitalu Epidemicznym, po czym do 1 stycznia 1921 r. służył w 213 pp. W tym dniu został na mocy Rozporządzenia Ministra Spraw Wojskowych bezterminowo urlopowany.

Jak z przebiegu służby wojskowej widać, Seweryn *Kowalski* już jako student medycyny odbywał praktykę lekarską w szpitalach wojskowych. Między innymi — jak wynika ze wspomnień rodzinnych — miał ewakuować pociąg sanitarny na Wołyniu.

Po zwolnieniu z wojska kontynuował studia. Ukończył je 17 czerwca 1925 r., uzyskując tytuł doktora wszech nauk lekarskich.

Jeszcze przed uzyskaniem dyplomu jako student UJ pracował od 22 czerwca do 29 września 1922 r. oraz od 1 lipca do 26 listopada 1923 r. w Szpitalu dla Umysłowo i Nerwowo Chorych „Kochanówka" pod Łodzią. Warto zacytować opinię dyrektora, jaką otrzymał stamtąd 6 marca 1924 r.:

„(...) Obowiązki swe na pawilonie spełniał nadzwyczaj gorliwie, pamiętając o potrzebach chorych; badania nad

chorymi prowadził umiejętnie i starannie, wykazując duży zasób wiadomości z zakresu medycyny, w materiale szpitalnym zorientował się szybko, a pracując na oddziałach obserwacyjnych męskim i kobiecym w charakterze zastępcy ordynatora zapoznał się ze znaczną ilością przypadków. (...) Wykazał zamiłowanie do działu rozrywek, urządzając przedstawienia i częste zabawy dla chorych w teatrze szpitalnym, czym zjednał sobie przywiązanie chorych i uznanie Dyrekcji".

Bezpośrednio przed ukończeniem studiów Seweryn *Kowalski* rozpoczął pracę jako asystent w Oddziale Chirurgicznym Szpitala Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu. Był tam zatrudniony od 2 maja 1925 do 16 czerwca 1926 r. Kierownikiem Oddziału Chirurgicznego i naczelnym lekarzem Szpitala był wtedy dr Tadeusz *Butkiewicz*, późniejszy profesor Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Pod kierunkiem tego wybitnego lekarza stawiał Seweryn swoje pierwsze kroki w chirurgii. W wystawionym mu zaświadczeniu dr *Butkiewicz* napisał: „dr *Kowalski* pracę swą wykonywał b. starannie i sumiennie, poświęcając dużo czasu na badanie chorych i studia z poszczególnych działów chirurgii".

W czasie swej pracy w Szpitalu dr *Kowalski* ożenił się z zatrudnioną tam również siostrą-instrumentariuszką, Izabelą *Fedorowicz*, współpracującą z dr. *Butkiewiczem*. Małżeństwo to było bezdzietne. Równolegle z wymienioną pracą dr *Kowalski* pełnił w latach szkolnych 1925/26 i 1926/27 obowiązki lekarza szkolnego Gimnazjum Zrzeszenia Rodzicielskiego w Sosnowcu. „Z włożonych nań obowiązków wywiązywał się ku zupełnemu zadowoleniu Dyrekcji". W okresie pracy w Sosnowcu mieszkał u swego starszego brata, Tadeusza, który uprzednio okazywał mu szczególną pomoc w czasie studiów.

Następne lata — to okres pracy w Krakowie, w Państwowym Szpitalu św. Łazarza. Przebieg tej pracy wynika ze świadectwa, jakie po jej zakończeniu otrzymał:

„Dr Seweryn *Kowalski* odbył praktykę lekarską w tut. szpitalu w charakterze lekarza praktykanta, lekarza adiutowanego i lekarza sekundariusza na następujących oddziałach: od 15 VI 1926 do 4 V 1927 na oddziale chirurgicznym, od 5 V 1927 do 6 VII 1927 na klinice laryngologicznej, od 7 VII 1927 do 12 IX 1927 na oddziale chirurgicznym, od 13 IX 1927 do 12 VIII 1929 na oddziale położniczo-ginekologicznym, od 13 VIII 1929 do 30 IX 1929 na oddziale szkoły położnych. Dr *Kowalski* wywiązywał się ze wszystkich poruczonych mu czynności bez zarzutu, obowiązki swe wypełniał z całym przejęciem, gorliwą pilnością i wszechstronną znajomością fachową, ku ogólnemu zadowoleniu przełożonych i dobru powierzonych mu chorych".

Nawet przez krótki okres odbywania praktyki w Klinice Otorynolaryngologicznej UJ w Krakowie, gdzie miał „sposobność zapoznania się tak w rozpoznaniu, jak i leczeniu chorób górnych dróg oddechowych i narządu słuchowego, okazał duże zainteresowanie się tym działem chorób jako pracownik sumienny, gorliwy i wybitnie zdolny".

Prawie dwuletnia praca w charakterze „sekundariusza" na Oddziale Położniczo-Ginekologicznym i nabyte kwalifikacje pozwalały dr. *Kowalskiemu* — według oceny „prymariusza" Oddziału, doc. UJ dr. Januarego *Zubrzyckiego* — na samodzielne prowadzenie oddziału ginekologicznego.

Przez następne lata pracował na Wołyniu. Od 1 stycznia 1930 r. był kierownikiem Szpitala Sejmikowego w Łokczach (dawny powiat horochowski), a od 8 czerwca 1933 r. był ordynatorem Oddziału Chirurgicznego w Szpitalu Powiatowym w Łucku. Na tym stanowisku zastała go wojna w 1939 r.

Od przejścia do rezerwy dr *Kowalski* był powoływany na ćwiczenia wojskowe. Zachowały się odnośne dane z okresu do 1934 r. Był wtedy w stopniu porucznika. I tak w czasie od 14 lipca do 16 sierpnia 1926 r. odbywał ćwiczenia w Oficerskiej Szkole Sanitarnej, a następnie, w tym samym roku, od 16 sierpnia do 7 września w 5 Szpitalu Okręgowym w Krakowie, od 10 czerwca do 22 lipca 1930 r. w 25 pp., od 11 października do 21 listopada 1934 r. w Głównej Składnicy Uzbrojenia Nr 4 w Regnach.

Dr *Kowalski* brał udział w wojnie obronnej w 1939 r. Trudno dziś odtworzyć jego losy w tym czasie. Wiadomo, że udało mu się uniknąć niewoli. Wrócił do Łucka i kontynuował pracę w Szpitalu Powiatowym.

Do czerwca 1941 r. Wołyń należał do ZSRR. W domu dr. *Kowalskiego* koncentrowało się polskie życie narodowe. Codziennie przychodzili koledzy lekarze, słuchano radia, komentowano wydarzenia polityczne, mogące mieć wpływ na losy ojczyzny.

Od początku listopada do ostatniego dnia grudnia 1939 r. znajdowała schronienie i serdeczną opiekę w domu stryjostwa bratanica dr. *Kowalskiego*, córka brata, Tadeusza, autorka tego szkicu, Zofia *Kowalska*, mieszkająca stale w Krakowie. Uczestniczyła ona w wojnie obronnej, będąc w służbie łączności, i czekała na otwarcie granicy radziecko-niemieckiej na Bugu dla legalnego powrotu do Krakowa. Gdy to nie następowało, zdecydowała się na wyjazd z Łucka i na podjęcie próby przekroczenia granicy. Stryj zapewnił jej przewodnika, który miał wyjechać z Łucka następnego dnia i na którego miała czekać w Brześciu nad Bugiem. Stryjostwo zaopatrzyli ją w pieniądze i w żywność na drogę, a stryj odprowadził ją w mroźną noc sylwestrową na dworzec kolejowy. Bardzo długo, w tłumie podróżnych czekali na pociąg do Brześcia. Mimo że doktor był człowiekiem bardzo opanowanym, nie mógł ukryć wzruszenia, żegnając jedyną córkę swego starszego brata, do którego był bardzo przywiązany. Zofia nie wiedziała wtedy, że widzą się po raz ostatni.

W wyniku wojny niemiecko-radzieckiej, rozpoczętej 22 czerwca 1941 r., Wołyń znalazł się okresowo pod okupacją hitlerowską.

I znowu dr *Kowalski* przystąpił do walki, tym razem podziemnej. O jego konspiracyjnej pracy w okresie od połowy 1941 do 11 sierpnia 1943 r., tj. do chwili aresztowania przez gestapo, dowiadujemy się z relacji bezpośredniego zwierzchnika doktora, byłego komendanta Obwodu „Łan" ZWZ—AK w Łucku, Józefa *Wójcika* pseud. „Zgrzyt", kapitana rezerwy artylerii ciężkiej. *Wójcik* w latach 1942—1943 pracował jako zastępca kierownika technicznego budowy Szpitala Wojewódzkiego w Łucku na Krasnem. Z tego tytułu prawie na co dzień spotykał się z dr. *Kowalskim*.

Jak wynika z tej relacji, doktor wstąpił w

połowie 1941 r. do ZWZ—AK w Obwodzie „Łan". Otrzymał pseudonim „Maska". Stał na czele służby zdrowia Obwodu. Współpracowały z nim dwie siostry chirurgiczne, także będące żołnierzami Obwodu „Łan": „Dyzio" — Wacława *Mirota* i „Wiktor" — Maria (nazwisko nie ustalone).

W latach 1942—1943 dr *Kowalski* pracował jako lekarz chirurg w nowym Szpitalu Wojewódzkim w Łucku na Krasnem, gdzie po oddaniu do użytku w pierwszej kolejności sali operacyjnej codziennie operował, m. in. również żołnierzy AK, których z pola walki udawało się umieścić u niego na Oddziale Chirurgicznym dzięki jego osobistej odwadze. Sam wielokrotnie wyjeżdżał w teren, aby m. in. w szpitalu polowym w leśniczówce Józefów operować lżejsze przypadki obrażeń, odniesionych przez żołnierzy AK w walce. Podczas przeprowadzanych operacji asystowały dr. *Kowalskiemu* dwie wymienione siostry.

Wykazał on wszechstronną pomoc żołnierzom AK, „melinując" tych młodych ludzi w szpitalu i chroniąc ich w ten sposób przed wywiezieniem na przymusowe roboty do Niemiec. Leczył chorych żołnierzy AK po uprzednim ich zoperowaniu. Dzięki doktorowi i wspomnianym siostrom Obwód „Łan" był systematycznie zaopatrywany w leki, materiały opatrunkowe, sprzęt medyczny itp., pobierany ze szpitala, a także z aptek w Łucku.

We własnym mieszkaniu doktor urządzał konspiracyjne kursy sanitarne dla służb w pododdziałach AK w terenie, przygotowując teoretycznie i praktycznie do pracy i służby sanitarnej poszczególne grupy z odcinków Obwodu.

Żądał, aby obie siostry chirurgiczne, „Dyzio" i „Wiktor" były zawsze osiągalne, nawet w nagłych wypadkach w nocy. Dlatego spowodował, że obie zamieszkały na terenie Szpitala Wojewódzkiego. Dzięki temu i komendant Obwodu miał o każdej porze potrzebną ilość leków i opatrunków.

„Za wymienioną pracę i czynne działanie w AK — pisze J. *Wójcik* — dr *Kowalski* został aresztowany przez gestapo w Łucku dnia 11 sierpnia 1943 r., osadzony w więzieniu w Równem, a następnie wraz z grupą 40 innych lekarzy i księży dnia 19 listopada 1943 r. rozstrzelany".

Był dr Seweryn *Kowalski* człowiekiem bardzo skromnym, o usposobieniu łagodnym i pogodnym. Był lekarzem z zamiłowania, o rozległej, wielokierunkowej praktyce. Jako gorący patriota i odważny żołnierz od młodości walczył o wolność ojczyzny i za nią oddał swe życie.

*

W artykule wyzyskano następujące dokumenty i relacje: 1. Odpis dowodu osobistego nr 32095/52736, wydanego w powiecie będzińskim 20 VIII 1925 r.; 2. odpis dyplomu ukończenia UJ i uzyskania stopnia doktora wszech nauk lekarskich 17 VI 1925 r.; 3. odpis Książeczki stanu służby oficerskiej, wydanej we Włodzimierzu Wołyńskim 28 X 1931 r., z zapisami do 21 XI 1934 r.; 4. pismo dyrekcji Szpitala dla Umysłowo i Nerwowo Chorych „Kochanówka" pod Łodzią z 16 III 1924 r.; 5. świadectwo ze Szpitala Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu „Hr. Renard" z 16 VI 1926 r., l. 26, podpisane przez dr. T. *Butkiewicza*; 6. zaświadczenie z Gimnazjum Zrzeszenia Rodzicielskiego w Sosnowcu z 5 VII 1927 r., nr 755; 7. świadectwo od dyrekcji Państwowego Szpitala św. Łazarza w Krakowie z 23 XII 1929 r., l. 352/Dyr.; 8. odpis zaświadczenia z Kliniki Oto-ryno-laryngologicznej UJ z 7 VII 1927 r.; 9. pismo prymariusza Oddziału Położniczo-Ginekologicznego Szpitala św. Łazarza w Krakowie, doc. UJ dr. Januarego *Zubrzyckiego* z 5 IX 1929 r.; 10. pismo Wydziału Powiatowego Horochowskiego z 10 VI 1933 r., l. 0-4/33; 11. pismo dyrektora Szpitala Powiatowego w Łucku do Wydziału Powiatowego w Łucku z 26 VI 1933 r., nr 1977; 12. „Oświadczenie świadka" Józefa *Wójcika*, pseud. „Zgrzyt", z 26 III 1980 r. (druk ZBoWiD); 13. ustne wspomnienia żony dr. S. R. *Kowalskiego*, Izabeli z *Fedorowiczów Kowalskiej*, zanotowane przez bratanicę, Zofię *Kowalską*; 14. własne wspomnienia autorki artykułu.

RYSZARD ZABŁOTNIAK

Warszawa

Dr Kazimierz Błażej Bacia

W dniu 2 maja 1970 r. zmarł w Warszawie lekarz przedstawiony w tytule tego szkicu, specjalista chorób wewnętrznych, zasłużony działacz społeczny, żołnierz Polski podziemnej. Jego długoletnia praca, także zawodowa (1912—1969), była zawsze podporządkowana interesom ludzi poszkodowanych, prześladowanych, chorych bądź źle sytuowanych materialnie. Swe nastawienie i aktywność społeczną ujawnił m. in. jako członek Polskiej Partii Socjalistycznej — Lewicy. Jeszcze jedna więc to sylwetka w dziejach medycyny polskiej, człowiek zasługujący na trwałą pamięć.

Urodził się 3 lutego 1885 roku w Siewierzu, na terenie dawnego powiatu będzińskiego, w rodzinie nauczycielskiej. W roku 1909 został podczas studiów lekarskich w Krakowie czynnym członkiem Towarzystwa „Strzelec". Po ukończeniu studiów i nostryfikacji dyplomu w r. 1912 w Kijowie rozpoczął pracę w warszawskim Szpitalu Dzieciątka Jezus, pod kierunkiem dr. Kazimierza *Chełchowskiego*, pełniąc tam obowiązki tzw. lekarza miejscowego. Był lekarzem sanitarnym VIII obwodu magistratu Warszawy. W latach I wojny światowej dr *Bacia* został powołany na stanowisko naczelnego lekarza schronisk Komisji Sanitarnej Sekcji Kobiecej Centralnego Komitetu Obywatelskiego. W instytucji wspomagającej ciężko poszkodowanych przez działania wojenne znalazł dla siebie odpowiednie miejsce, o które niewątpliwie nie ubiegała się większość lekarzy. Pracował ponadto w Instytucie Higieny Dziecięcej im. barona *de Lenwala*.

W następnych latach był lekarzem powiatu łowickiego, lekarzem szkolnym i Ubezpieczalni Spo-

Dr Kazimierz Błażej *Bacia*

łecznej, pracował również jako biegły sądowy. W latach 1927—1929 piastował urząd burmistrza Łowicza, wybrany z listy PPS-Lewicy. Ze stanowiska lekarza grodzkiego dzielnicy Warszawa Praga został zwolniony z powodu udziału w charakterze męża zaufania, z ramienia swej partii, przy wyborach do sejmu Rzeczypospolitej. Również w Warszawie był lekarzem Ubezpieczalni Społecznej (obwód leczniczy nr 2) i lekarzem szkolnym w Gimnazjum im. Stefana Batorego.

Pełnił liczne funkcje społeczne, był członkiem zarządu Oddziału Warszawskiego i bibliotekarzem Polskiego Towarzystwa Medycyny Społecznej. PTMS było w tamtych latach reprezentantem postępowych, lewicowych poglądów wśród organizacji lekarskich; współdziałali zgodnie na tym terenie Polacy i Żydzi (Żydzi w Towarzystwie określani byli potocznie jako asymilatorzy bądź Polacy wyznania mojżeszowego). Do r. 1950 włącznie piastował kilka godności w izbach lekarskich, był również prezesem Izby Lekarskiej Warszawsko-Białostockiej.

Kpt. rez. Kazimierz *Bacia* w wojnie obronnej 1939 r. uczestniczył, służąc w szpitalu polowym. Brak na ten temat bliższych danych, wiadomo jedynie, że został powołany dodatkowo, bo w dniu 1 września. Do stolicy wrócił pod koniec października, podejmując pracę w Ubezpieczalni Społecznej pod niemieckim zarządem i w Izbie Lekarskiej.

W r. 1940 Niemcy usunęli prezesa Izby, prof. dr. Władysława *Szenajcha*, gdyż jego żona nie mogła przedstawić dowodów „aryjskiego" pochodzenia. W działalności Izby Lekarskiej okresu okupacji zwiększyły się obowiązki dr. *Baci*. Wraz z dyrektorką biura wystawiał legitymacje lekarzom, zaświadczając zgodność ich pochodzenia z ustawami norymberskimi, co zainteresowanym ułatwiało tzw. legalizowanie się, a nawet wyjazdy. Po wojnie oceniono (Kazimierz *Bacia* wraz z doc. Mikołajem *Łąckim*), że udało się to przeprowadzić w około 15 przypadkach (m. in. dr Kornel *Fojcik*, mieszkający obecnie w Szwecji). Ukrywał także Żydów w swoim mieszkaniu, np. przez dłuższy okres dr. Jana *Przedborskiego* z synem.

Od r. 1940 był członkiem Komitetu Porozumiewawczego Lekarzy Socjalistów i Demokratów, współpracował z konspirującym zespołem redakcyjnym pisma „Abecadło Lekarskie". Na pewno był współautorem artykułu o stosunkach panujących w Ubezpieczalni Społecznej pod rządami hitlerowców (wraz z Janem *Przedborskim*), zamieszczonego w tym piśmie.

Przez cały okres okupacji — zgodnie z postanowieniami Komitetu — bezinteresownie udzielał pomocy lekarskiej ukrywającym się, często Żydom. Wspominał np. takich pacjentów, jak rzeźbiarza *Kunę*, nauczyciela gimnazjum i grupę ukrywających się w Ząbkach pod Warszawą, których nazwisk oczywiście starał się nie znać. Praca zarobkowa w Ubezpieczalni Społecznej ułatwiała mu zaopatrywanie w leki ludzi chorych a poszukiwanych przez okupantów.

W dniach powstania warszawskiego pełnił obowiązki lekarza sanitarnego Rejonowej Delegatury Rządu, chociaż nie był już wtedy człowiekiem młodym.

Po ewakuacji Warszawy zatrzymał się w Piasecznie, gdzie został przyjęty do pracy jako asystent w oddziale wewnętrznym tamtejszego Szpitala PCK. Po powrocie do Warszawy pracował jako kierownik przychodni przy ul. Nowolipie 15, w pełnym wymiarze godzin, do 1962 r. Do r. 1969 pracował 3½ godz. dziennie w przychodniach, m. in. przy ul. Jasnej 19. W latach 1965—1967 był ławnikiem ludowym Sądu Powiatowego Warszawskiego; w miarę swych sił angażował się również do innych prac społecznych. Z ważniejszych odznaczeń, jakimi był wyróżniony, należy wymienić Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski i Krzyż Niepodległości.

Własnych dzieci nie miał; wychowywał pasierba i przez kilka lat dwie córki swej siostry.

Na zakończenie warto wspomnieć o jeszcze jednym wydarzeniu, charakterystycznym dla dr. Kazimierza *Baci*. Otóż w 1969 r. zamienił swoje mieszkanie na mniejsze, przenosząc swój bardzo skromny dobytek i stanowczo odmawiając przyjęcia ekwiwalentu. Stwierdził, że jego sąsiedzi mają mieszkanie zbyt małe, a wystarczające właśnie dla niego.

Śmierci oczekiwał ze spokojem; jako doświadczony lekarz trafnie przewidywał czas jej nadejścia. Pochowany został w grobie rodzinnym swej żony, Leontyny z *Gerlachów*, na cmentarzu ewangelicko-augsburskim w Warszawie.

*

SPIS PRAC K. B. BACI

1. [*Bacia* K.] Dr K. B. (Łowicz): Na marginesie ustawy o powszechnym obowiązku służby wojskowej. Lek. Pol., R. 3: 1927, nr 5, s. 12; 2. *Bacia* K.: Ruch urodzeń i śmierci w parafiach warszawskich w latach 1913—1916. Zdrowie, R. 33: 1917, nr 6, s. 373—378; 3. *Bacia* K.: W sprawie ruchu naturalnego ludności. Zdrowie, R. 37: 1922, nr 7, s. 187—188; 4. *Bacia* K.: W sprawie szczepienia ospy. Zdrowie, R. 38: 1923, nr 5, s. 159—160; [*Bacia* K., *Przedborski* J.]: O działalności Ubezpieczalni Społecznej w Warszawie w dobie okupacji hitlerowskiej (na podstawie oficjalnych zarządzeń władz Ubezpieczalni do października 1942 r.). Abecadło Lekarskie, 1942 (?), R. 3, nr (?), s. 1—7 (Arch. Inst. Hist. PAN w Warszawie, t. A 381a/67. Materiały redakcyjne).

ŹRODŁA

Podstawą artykułu są następujące źródła: 1. *Curriculum vitae*, napisane przez K. B. *Bacię* w r. 1969 (w posiadaniu autora); 2. Pismo Wydziału Zdrowia Publicznego Centralnego Komitetu Obywatelskiego z 1914 r. Arch. Akt Nowych w Warszawie, zesp. CKO w Warsza-

wie, t. 1315, s. 112; 3. Teczka personalna K. B. *Baci*. Arch. ZOS Warszawa Śródmieście, t. 279; Zaświadczenie Rejonowej Delegatury Rządu z dnia 19 sierpnia 1944 r.; 5. Relacja dr. med. Józefa *Chętkowskiego* z 1980 r. (nr 137; teka relacji u autora); 6. Relacja dr Krystyny *Plebańczyk-Lukas* z 1980 r. (nr 138); 7. Relacja dr. med. Jana *Tupieki* z 1980 r. (nr 136); 8. T. *Stępniewski*: Konspiracyjne czasopismo lekarskie w czasie okupacji. W: Pamiętnik II krajowego zjazdu lekarzy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Warszawa 1969, s. 253—255.

ALEKSANDER MARCZYŃSKI Kraków

Lek. med. Tadeusz Szymon Ptak

Służba zdrowia na obszarze przedwojennego województwa krakowskiego w latach II wojny światowej nie doczekała się jeszcze monograficznego opracowania; tymczasem warto zbierać materiały na ten temat, dalece jeszcze nie wyczerpany. Częściowo już narasta literatura o roli i udziale polskiej służbie zdrowia w walce z okupantem hitlerowskim m. in. w odniesieniu do Podhala.

Sięgnijmy znów do pięknej karty działalności lekarzy i personelu sanitarnego z terenu Tatr, Gorców, Beskidu — Wyspowego, Sądeckiego i Niskiego, które w latach przeciwhitlerowskiej konspiracji stanowiły organizacyjnie Inspektorat Nowosądecki (kryptonim „Niwa") Armii Krajowej. Spośród wyróżniających się tam lekarzy na uwagę zasługuje m. in. dr Tadeusz Szymon *Ptak*, związany z bezpośrednią walką w partyzantce AK i z pomocą udzielaną partyzantom radzieckim [1].

Ryc. 1. Lek. med. Tadeusz Szymon *Ptak* w r. 1932, w latach studiów medycznych w UJ.

[1] A. *Marczyński:* Z dziejów służby zdrowia na okupowanym Podhalu. Przegl. Lek., 1974, nr 1, s. 160—172; tenże: W konspiracji krakowskiej. Dr Marian Jan *Mossler*. Tamże, 1978, nr 1, s. 144—147.

Ptak urodził się 28 października 1913 r. w Bursztynie pod Rohatynem, w rodzinie inteligenckiej. Ojciec, Jan, był w Rohatynie nadkomisarzem Urzędu Finansowego, a następnie, po przeniesieniu się rodziny do Limanowej, dyrektorem Kasy Chorych. Matka, Kazimiera z domu *Kulczyńska*, była nauczycielką w miejscowej szkole powszechnej (podstawowej). Tadeusz Szymon ukończył w r. 1932 Gimnazjum im. J. Długosza w Nowym Sączu. W roku akademickim 1932/33 rozpoczął studia w Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego; zachował się dokument w języku łacińskim z 29 września 1932 r., poświadczający wpisanie T. S. *Ptaka* do księgi studentów tego wydziału.

Nie wdając się w opis lat studenckich *Ptaka*, trzeba tylko dodać, że w r. 1938 uzyskał absolutorium i został powołany do służby wojskowej w Centrum Wyszkolenia Sanitarnego w Warszawie. Wkrótce uczestniczył w wojnie polsko-niemieckiej 1939 r. Wzięty do niewoli niemieckiej w rejonie Baranowicz, a następnie przewieziony do twierdzy w Modlinie, zdołał zbiec. Przybywszy do Limanowej, gdzie mieszkali rodzice, *Ptak* nawiązał kontakt z dr. Olgierdem *Burakowskim*, który ułatwił mu prowadzenie praktyki lekarskiej. Wskutek aresztowań na terenie Limanowej, dokonywanych przez gestapo nowosądeckie, zmuszony był opuścić miasto i udać się do szkoły powszechnej w Wysokiem. Wśród tamtejszych mieszkańców prowadził nielegalną praktykę lekarską, niejednokrotnie bez pobierania żadnych opłat. Taka postawa zyskała mu szacunek, poważanie i zaufanie. Tropiony przez gestapo, opuścił z inicjatywy dr. *Burakowskiego* Wysokie. Był już wówczas zaprzysiężonym członkiem Związku Walki Zbrojnej.

W październiku 1940 r., polecony przez dr. *Burakowskiego*, przybył do Kamienicy i objął stanowisko lekarza zakładowego w majątku Towarzystwa Górniczego „Saturn". Ponadto prowadził leczenie wśród miejscowej ludności. Mieszkał w Kamienicy na Kramarzówce w tartaku [2].

Oparcie dla swojej egzystencji i pracy lekarskiej znalazł u administratora majątku Kamienica, Aleksandra *Głazka* i jego żony, Matyldy. Dwór w Kamienicy od pierwszych dni okupacji stał się schronieniem dla wielu nie meldowanych oficerów — pracowników „Saturna" z Górnego

[2] Relacje J. *Ptak-Rawczyńskiej* i W. *Wietrznego* (u autora artykułu).

Śląska, którzy szukali schronienia na terenie Generalnego Gubernatorstwa po wysiedleniu ich z ziem polskich włączonych do Rzeszy. W Kamienicy przebywało też wiele młodzieży — zarówno z Nowego Sącza, jak i z innych miejscowości polskich — uchodzącej przed aresztowaniami gestapo. Ludzie ci byli już w znacznej części związani z organizacjami niepodległościowymi.

Będąc lekarzem w tej okolicy, często udzielał pomocy nawet w odległych przysiółkach; wykonywał też szczepienia ochronne. Często leczył, jak się zwykło popularnie mówić, „za Bóg zapłać". Nic więc dziwnego, że swą bezinteresownością i uczynnością zjednywał sobie sympatię, poważanie i szacunek okolicznej ludności [3].

Po pewnym czasie w Kamienicy doszło do spotkania *Ptaka* z przedstawicielami komendy ZWZ „Limanowa", tj. z por. Janem *Cieślakiem* (pseudonim „Maciej"), oficerem organizacyjnym, a także z por. Władysławem *Szczypką* (pseudonim „Lech"), komendantem placówki w Mszanie Dolnej (jej kryptonim: „Mnich") i jego zastępcą, ppor. Janem *Stachurą* (pseudonim „Adam"). Z biegiem czasu między wymienionymi zacieśniła się współpraca, związana z działalnością partyzancką i z przygotowaniami kadry sanitarnej dla powstających oddziałów.

Z inicjatywy J. *Cieślaka* doszło do nawiązania ścisłych kontaktów między *Ptakiem* a dr. Mieczysławem *Myconiem* (pseudonim „Mietek", „Czarny Doktór") z Dobrej, lekarzem naczelnym w inspektoracie nowosądeckim ZWZ. W początkowym okresie pobytu w Kamienicy *Ptak* kierował także kolportażem prasy konspiracyjnej, jaka na jego adres nadchodziła z Limanowej.

Od chwili przybycia do Kamienicy *Ptak* używał pseudonimu „Olszyna". W konspiracji znany był aż do zakończenia walk o wyzwolenie jako „dr Olszyna". W wyniku kontaktów „dr. Olszyny" z dr. *Myconiem* nastąpiło organizowanie kursów szkoleniowych personelu sanitarnego. Na przełomie lat 1941 i 1942 powstał pierwszy oddział dyspozycyjny komendy obwodu, którym dowodził kapral Jan *Wąchała* („pseudonim „Łazik"), który korzystał z pomocy lekarskiej „dr. Olszyny" [4].

Kontakty „dr. Olszyny" z dr. *Myconiem* zacieśniały się coraz bardziej. Tymczasem w Kamienicy „dr Olszyna" zorganizował „punkt" operacyjny, dokonując w swoim mieszkaniu drobnych zabiegów chirurgicznych. Konsultantem był dr *Mycoń*. Leki i środki opatrunkowe „organizował" dr *Mycoń* z por. *Cieślakiem*. Dzięki kursowi szkoleniowemu personelu sanitarnego Janina *Głazek*, Elżbieta *Głazek*, Jadwiga *Wilga*, Hanka *Węgrzyn*, Anna *Stanisławska* i Zofia *Chmielowska* nabyły odpowiednich umiejętności i uzyskały wynik bardzo dobry.

W połowie 1941 roku majątek w Kamienicy przejęła administracja niemiecka, wskutek czego administrator Aleksander *Głazek* zmuszony został z rodziną do opuszczenia majątku. Zamieszkał on w leśniczówce na Kramarzówce, którą z kolei musiał opuścić „dr Olszyna". W mieszkaniu wynajętym u Zofii *Chmielowskiej* w Kamienicy nr 238 „dr Olszyna" przyjmował chorych mieszkańców, a także partyzantów [5].

W połowie 1942 roku w rejonie Kamienicy przebywali ze swoimi grupami partyzanckimi por. „Lech" i ppor. „Adam", przeprowadzając akcje przeciwko Niemcom w celu zdobycia broni oraz likwidowania zdrajców. Rannych i chorych partyzantów leczył i opatrywał „dr Olszyna" na swojej kwaterze bądź na miejscu, tj. tam, gdzie leżał potrzebujący tej pomocy.

Latem tegoż roku w Starym Sączu podczas łapanki na dworcu kolejowym Niemcy zatrzymali dwóch młodzieńców, przy których podczas rewizji znaleziono mapę Gorców i lornetkę. Obaj przez pewien czas byli przetrzymywani w jednym z pomieszczeń stacyjnych. Przez okno wyrzucili kartkę, w której prosili o powiadomienie niejakiego *Miczyka*, mieszkającego w Kamienicy. Znalazca kartki odniósł ją do restauracji, znajdującej się w Rynku, do której zaglądali chłopi przyjeżdżający z Kamienicy. Warto epizod ten opisać bliżej.

Karteczkę tę przejęła właścicielka restauracji, *volksdeutschka*, lecz nie odniosła jej na gestapo, ale do kierownika szkoły podstawowej w Starym Sączu; przejęła ją jego córka, Jadwiga *Wilżanka*. Przyjaźniła się ona z córkami Aleksandra *Głazka* i wiedziała, że w mieście uda się jej odnaleźć córkę, Janinę. Nie tracąc czasu, z poczty rozmawiała z tartakiem w Kamienicy; podała treść ustaloną na wypadek niebezpieczeństwa ze strony gestapo. Wspomniana już *Stanisławska* natychmiast powiadomiła *Miczyka*, syna organisty, który mieszkał w tym samym domu, tj. u *Chmielowskiej*, co i „dr Olszyna". Trzeci lokator, Andrzej *Kuźniarski*, także został ostrzeżony, ale pozostał w domu. *Miczyk* wywiózł natychmiast rodzinę w nieznanym kierunku. „Dr. Olszyny" nie było w tym czasie w Kamienicy, przebywał w górach.

Tymczasem tegoż popołudnia doszło w Starym Sączu do spotkania Jadwigi *Wilżanki* z Janiną *Głazek*, która przyjechała z Piwnicznej. Noc spędziły w klasztorze sióstr klarysek. W późnych godzinach nocnych zostały zbudzone kopaniem do drzwi i głośnym wołaniem o otwarcie. Wdarłszy się do wewnątrz, Niemcy z krzykiem i biciem żądali od Janiny *Głazek* podania miejsca przebywania „dr. Olszyny". Uderzona kolbą karabinu i zamroczona, *Głazek* upadła na podłogę. Bita druga ofiara, *Wilżanka*, nie wskazała adresu „dr. Olszyny" i została zabrana przez Niemców.

Kiedy po ich wyjściu *Głazek* doszła do świadomości, natychmiast ubrała się i wybiegła z klasztoru na plebanię. Tam umyta, opatrzona i nakarmiona, około godziny ósmej udała się w kierunku poczty, żeby telefonować do Kamienicy. Stojąc w drzwiach poczty, zauważyła nadjeżdżające od strony Kamienicy samochody z Niemcami. Na trzecim z kolei samochodzie otwartym zauważyła zmasakrowanego na twarzy Andrzeja *Kuźniarskiego*. Nie zauważyła „dr. Olszyny". Postanowiła jak najszybciej dostać się do Kamienicy.

Wychodząc z poczty, natknęła się na znajomego gospodarza z Kamienicy, z którym powróciła

[3] Relacja J. *Ptak-Rawczyńskiej;* list S. *Trzecieckiego* (pseudonim „Szwagier") z Kamienicy, partyzanta z 1 psp AK (do autora artykułu).

[4] Relacja J. *Cieślaka* (u autora artykułu); A. *Marczyński*: Z dziejów..., *l. c.*

[5] Relacje J. *Cieślaka* i J. *Ptak-Rawczyńskiej;* dane zanotowane z relacji ustnej M. J. *Mosslera* i odpis jego notatek (u autora artykułu).

do tej miejscowości. Po przyjściu do Zofii *Chmielowskiej* dowiedziała się, że gestapo otoczyło dom i uporczywie wypytywało o „dr. Olszynę". Po kilku godzinach oczekiwania zabrało jej męża, Jana, *Kuźniarskiego* i *Stanisławską* i odjechało rankiem do Starego Sącza. Od sąsiadów *Chmielowskiej Głazek* dowiedziała się, że w tym czasie, gdy gestapo przebywało u *Chmielowskiej*, ludzie ze wsi wyszli w różnych kierunkach, celem ostrzeżenia, gdyż na drodze ukazał się „dr Olszyna", wracający do Kamienicy. W ten sposób uniknął pojmania przez gestapo. Nocą, zachowując ostrożność, „dr Olszyna" z Janiną *Głazek* zabrał rzeczy, które nie zostały zniszczone przez gestapo i odjechał furmanką w kierunku Szczawy. Ostatecznie osiadł w przysiółku Szczawy, tj. w Łuszczkach, a Janina *Głazek* wyjechała do rodziny do Częstochowy.

Dalsze swe losy „dr Olszyna" związał z por. „Lechem". W połowie lipca 1943 roku na Hali Długiej pod Turbaczem powstał oddział partyzancki o kryptonimie „Wilk", którego dowódcą został por. „Lech", zastępcą ppor. „Adam", a szefem Józef *Kuraś* (pseudonim „Ogień"). Opiekę lekarską sprawował „dr Olszyna". W pierwszej połowie sierpnia por. „Lech" wykonał akcję rozbrojeniową na placówkę Straży Granicznej w Harklowej [6].

W dniu 28 września 1943 w obozie partyzanckim na Stawiańcu pod Kudłoniem por. „Lech" prowadził ostre strzelanie ze zdobycznego pistoletu typu „Walter". Przy kolejnym celowaniu jeden z żołnierzy, kiedy nie nastąpiło odpalenie, skierował pistolet w kierunku grupy stojących partyzantów. Niespodziewanie nastąpił strzał, który nieszczęśliwie trafił por. „Lecha". Nieprzytomnego ułożono go na kocu. Ppor. „Adam" natychmiast wysłał konnego gońca do „dr. Olszyny", aby ten bez zwłoki przybył do obozu. Szybko zjawił się on konno i stwierdził natychmiastowy zgon. Po śmierci por. „Lecha" dowództwo oddziału objął popr. „Adam", z którym „dr. Olszyna" utrzymywał ścisłą współpracę [7]. Oddział stracił wybitnego dowódcę, a „dr Olszyna" serdecznego przyjaciela.

8 października oddział partyzancki dowodzony już teraz przez ppor. „Adama" wykonał z dużym powodzeniem akcję rozbrojeniową na placówce Straży Granicznej w Wierchomli; w akcji tej brał udział „dr Olszyna". Zdobyto wiele broni i amunicji. W pierwszej dekadzie listopada oddział wyszedł na akcję do Rytra w celu rozbrojenia tzw. *Werkschutzu* (straży przemysłowej). W akcji tej również wziął udział „dr Olszyna". W połowie listopada dowództwo oddziału objął por. Krystyn *Więckowski* (pseudonim Zawisza").

W tym okresie stan zdrowia „dr. Olszyny" gwałtownie się pogorszył. Wpłynął na to intensywny tryb partyzanckiego życia oraz przejścia kamienickie, po których nie miał on własnego, stałego kąta. Przebywał wówczas, jak się w języku partyzanckim mawiało, „na melinach". Dr Marian Jan *Mossler* (pseudonim „Leliwa"), lekarz pułkowy 1 psp AK, w swoich notatkach tak pisał:

„»Dr Olszyna« zaczyna niedomagać i łatwo się męczy... Trudno mu nadążać za wojskiem. Nikt z nas nie przypuszczał, że stan ten jest początkiem ciężkiej choroby, niestety nieuleczalnej. Usiłowano temu zaradzić przez przydział zdobycznego wierzchowca. W ten sposób chciano ułatwić »dr. Olszynie«, powszechnie lubianemu, wypełnianie uciążliwych obowiązków. Ten dobry ofiarny żołnierz i lekarz czuł się już tak dalece źle, że zrezygnować musiał z uczestnictwa w akcjach bojowych. Kiedy w roku 1943 jesienią przydzielono mu między innymi zdobyte w Szczawnicy nosze polowe, przejmując je, powiedział: chyba nosze te są przeznaczone dla mnie, bym mógł na leżąco jeszcze chodzić na kampy i akcje partyzanckie."

Do chwili rozwiązania oddziałów leśnych Armii Krajowej brał żywy udział w szkoleniu nowo przyjmowanych na kursach połączonych z terenowymi ćwiczeniami oraz opiekował się chorymi w obozie oddziału partyzanckiego kryptonim „Wilk" [8].

Przełomowym okresem w działalności partyzanckiej na Podhalu był czas od jesieni 1943 do wiosny 1944 r. Działało wówczas w Gorcach i Beskidach wiele oddziałów partyzanckich, m. in. noszący kryptonim „Wilk", dowodzony przez por. „Zawiszę", a kwaterujący pod Czerwonym Groniem w rejonie Turbacza, oddział kpt. Juliana *Zapały* (pseudonim „Lampart"), działający w Gorcach, oddział por. Juliana *Zubka* (pseudonim „Tatar") w Beskidzie Sądeckim, oddział ppor. „Adama" w rejonie Rabka—Stare Wierchy.

„Dr Olszyna", kwaterując na Łuszczkach, leczył przychodzących partyzantów, a także okolicznych mieszkańców. Na akcje nie chodził. Pozostawał w kontakcie z Matyldą i Aleksandrem *Głazkami*, którzy także zostali zmuszeni do opuszczenia leśniczówki w Kamienicy i byli ścigani przez Niemców. Rozległe osiedle Łuszczki, w tamtych czasach pozbawione dróg w lasach Gorców, zapewniało gwarancję, że Niemcy niespodziewanie nie wejdą w te tereny bez walki. A więc ukształtowanie terenu dawało minimum bezpieczeństwa [9].

Wiosną 1944 r. w rejon Mogielicy przybył oddział „Wilk" pod dowództwem por. „Zawiszy". „Dr. Olszynie" przydzielono, jak wiemy, wierzchowca, aby mógł łatwiej poruszać się w terenie. Kiedy po Zielonych Świętach do oddziału przybył ppor. Feliks *Perekładowski* (pseudonim „Przyjaciel"), tzw. cichociemny, nawiązały się węzły przyjaźni między obu partyzantami. „Dr Olszyna" cenił w „Przyjacielu" wielką odwagę, rozsądek i troskę o żołnierza. Każda niemal akcja kończyła się powodzeniem [10].

Między 28 a 31 lipca 1944 r. „dr Olszyna" przybył wraz z oddziałem por. „Zawiszy" w rejon

[6] Relacje Z. *Chmielowskiej* i J. *Ptak-Rawczyńskiej* (u autora artykułu); A. *Marczyński*: Organizacja Obwodu ZWZ/AK Nowy Targ w latach 1939—1943. Studia Historyczne, 1976, nr 2, s. 241—277.

[7] Relacje J. *Derubskiego*, J. *Cieślaka*, J. *Ptak-Rawczyńskiej* (u autora artykułu); wspomnienia partyzanta w oddziale por. „Lecha" od r. 1942, A. *Bałona* (tekst u autora artykułu), który był obecny przy śmierci swego dowódcy; listy J. *Krala* do autora artykułu (*Kral* był w latach okupacji leśniczym w Lubomierzu, udzielał pomocy oddziałowi por. „Lecha", był świadkiem zabrania jego zwłok z obozu pod Kudłoniem; data śmierci 28 IX 1943 jest zapisana w księgach Urzędu Stanu Cywilnego, t. III, parafia w Mszanie Dolnej).

[8] Odpis notatek M. J. *Mosslera* (u autora artykułu). Pielęgniarka Ośrodka Zdrowia w Szczawnicy w latach okupacji, M. *Czamara*, przekazała w r. 1943 „dr. Olszynie" zdobyczne noszę (relacja jej u autora artykułu).

[9] Relacje A. *Bałona* i J. *Ptak-Rawczyńskiej* (u autora artykułu).

[10] Relacje J. *Derubskiego* i A. *Bałona* (u autora artykułu).

Ryc. 2. Reprodukcja archiwalnego zdjęcia dowództwa II batalionu 1 pułku strzelców podhalańskich AK podczas koncentracji pod Mogielicą; od lewej: Jan *Barański* („Maczuga"), por. Jan *Grzywacz* („Skryty"), kpt. Julian *Krzewicki* („Filip", dowódca II baonu), Kanadyjczyk por. Hubert *Brooks*, por. Szymon *Pyrć* („Jaskółka"), widoczna jego głowa, ppor. Tadeusz S. *Ptak* („Olszyna", w wiatrówce), por. Jan *Cieślak* („Maciej") w tyle, sierż. John, Anglik, ppor. Jan *Stachura* („Adam"), za nimi por. Bronisław *Humenny* (Antek").

Prehyby. Doszło wówczas do spotkania z por. „Tatarem", którego opatrywał po akcji na Prehybie. W gajówce Stoka na Połoninie Ryterskiej odbyła się odprawa dowódców oddziałów partyzanckich Inspektoratu Nowosądeckiego AK (kryptonim „Niwa"), którą prowadził por. Jan *Lipczewski* (pseudonim „Andrzej"), adiutant inspektora, ppłk. Stanisława *Mireckiego* (pseudonimy: „Wit", „Pociej") [11].

Pod koniec września „dr Olszyna" przybył i pozostawał w rejonie zakwaterowania oddziału „Wilk" pod Mogielicą, którym dowodził ppor. „Przyjaciel". W akcji na stacji kolejowej Kasina Wielka (na trasie Chabówka — Nowy Sącz), 16 sierpnia por. „Zawisza" został ranny, a dowództwo objął ppor. „Przyjaciel".

W dniu 22 września 1944 r. powstał 1 pułk strzelców podhalańskich AK, którego skład stanowiły oddziały partyzanckie Inspektoratu Nowosądeckiego. Dowódcą został mjr Adam *Stabrawa* (pseudonim „Borowy"). W I batalionie, kwaterującym pod Mogielicą, lekarzem batalionowym został wtedy „dr Olszyna". W czasie koncentracji oddziałów pod Mogielicą „dr Olszyna" spotkał się ze swoimi współtowarzyszami walki, z którymi zetknął się po przybyciu do Kamienicy w roku 1940 (ryc. 2).

Jesień dawała się we znaki tak bardzo, że „dr Olszyna" nie mógł w żadnym razie brać udziału w akcjach bojowych. Przystąpił on wraz z dr Stanisławą *Paszkowską* (pseudonim „Julita") i dr. Marianem Janem *Mosslerem* do pracy szkoleniowej sanitariuszy oraz patroli sanitarnych dla I i II batalionu. Dowódcą II batalionu był kpt. Julian *Krzewicki* (pseudonim „Filip") [12].

W listopadzie 1944 roku powróciła na Szczawę z Częstochowy Janina *Głazek;* zamieszkała u rodziców, przebywających w tym czasie w osiedlu Łuszczki, w którym w niedalekiej odległości kwaterował także „dr Olszyna". *Głazek,* posiadając przeszkolenie sanitarne, pomagała „dr Olszynie" w wykonywaniu czynności pielęgniarskich, zarówno u partyzantów, jak i zgłaszających się okolicznych mieszkańców. Wkrótce oboje zostali narzeczonymi.

Późną jesienią ppor. J. *Mańkowski* (pseudonim „Szczerbina", brat Zygmunta, pchr. „Iglicy") przyprowadził z Beskidu Sądeckiego oddział partyzantów radzieckich mjr. Anatola Dmitrijewicza *Kowalenkę* (pseudonim „Biełow"). Od tej chwili „dr Olszyna" leczył i opatrywał rannych z tego oddziału. Na Nowy Rok 1945 mjr „Biełow" zaprosił do swego obozu w rejonie Zasadnego „dr Olszynę" z Janiną *Głazek.* Wraz z nimi przybyli ppor. „Szczerbina" z bratem pchor. „Iglicą" i Boletto *Enzo* (pseudonim „Czarny"), Włoch zbiegły z transportu niemieckiego. Jak wspomina w swojej relacji *Głazek,* „było to prawdziwe przyjęcie z obrusami na stołach, na których znalazło się wiele potraw". W trakcie przyjęcia mjr „Biełow" serdecznie podziękował „dr. Olszynie" za pomoc lekarską rannym i chorym partyzantom radzieckim, a ppor. „Szczerbinie" za pomoc w czasie przejścia zza Dunajca.

„Dr. Olszynę" często odwiedzali w Łuszczkach zaprzyjaźnieni z nim por. Hubert *Brooks* (pseudonim „Hubert"), oficer lotnik z Kanady, i sierżant John *Dunkan* (pseudonim „John"), Anglik, którzy zbiegli z niemieckiego obozu jenieckiego, a znalazłszy się na terenie Generalnego Gubernatorstwa, zostali przez komórki AK skierowani na Podhale. Wraz z nimi przychodził strzelec Bronisław *Franczyk* (pseudonim „Satyr"), partyzant od „Przyjaciela" [13].

Działalność partyzancką I batalion zakończył po wyzwoleniu przez armię radziecką ziemi lima-

[11] Relacje Z. *Śniegowskiego* i J. *Derubskiego* (u autora artykułu).

[12] Relacje J. *Cieślaka,* A. *Bałona* i J. *Derubskiego* (u autora artykułu). A. *Marczyński*: Ze wspomnień partyzanta. Wierchy, 1967, nr 35, s. 92—116; tenże: Z dziejów..., *l. c.*

[13] Relacja J. *Głazek* (u autora artykułu).

nowskiej, które nastąpiło 18 stycznia 1945 roku. „Olszyna" na mocy rozkazu dowódcy pułku z 20 stycznia 1945 roku został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami za ofiarną i pełną poświęcenia pracę dla dobra Polski. Zaświadczenie podpisał dowódca pułku, mjr „Borowy" [14].

Pod koniec stycznia 1945 roku *Ptak* udał się do Limanowej, a następnie do Krakowa. Tutaj nawiązał kontakt ze swym serdecznym przyjacielem, dr. Aleksandrem *Motakiem* z Kliniki Chorób Zakaźnych UJ. Przez pewien czas mieszkał u dr. *Motaka*, uzyskawszy pracę na oddziale zakaźnym u prof. Józefa *Kostrzewskiego*.

W czerwcu tegoż roku zdał końcowe egzaminy na Wydziale Lekarskim UJ i otrzymał 10 sierpnia 1945 r. dyplom lekarza (l. 113/1945) [15].

Latem też wstąpił w związek małżeński z Janiną *Głazek*, wówczas studentką Instytutu Sztuk Plastycznych w Krakowie (obecnie lekarz stomatolog).

W roku 1946 przeniósł się do Szpitala Miejskiego w Bielsku, którego dyrektorem był dr *Cieśla*. Na oddziale wewnętrznym, którego ordynatorem był dr *Mazanowski*, *Ptak* objął oddział zakaźny. Ze względu na szybko pogarszający się stan zdrowia *Ptak* jesienią 1946 r. wyjechał do Krakowa, otrzymując pracę u prof. *Tempki* w Klinice Chorób Wewnętrznych. A oto jak opisuje stan zdrowia *Ptaka* jego żona, Janina:

„Tadzik leży na Klinice Chorób Wewnętrznych. Przez 11 miesięcy zaczyna się koszmar konania. Ma 20 transfuzji krwi (...). Skaza krwotoczna powoduje wybroczyny siatkówki (...), traci wzrok. Walczę o jego życie. Sprzedaję wszystko, żeby mu zapewnić transfuzję, która wówczas była płatna. Zwracam się do lekarzy w Anglii i Stanach Zjednoczonych — wspomina dalej Janina *Ptak* — wzywając ich pomocy, o uratowanie mu życia. Przez ambasadę amerykańską dostaję nowy lek, wówczas eksperymentalny, o nazwie nitrogranulogen, jako pierwsza w Europie. Klinika w Stanach Zjednoczonych kontaktuje się z prof. *Supniewskim* z farmakologii oraz z prof. *Tempką*. Leczenie daje poprawę. Tadeusz wstaje z łóżka na dwa tygodnie, po czym następuje nawrót. Gorączka wyniszczająca dochodzi do 42°. Następują krwotoki z nosa (...); umiera przytomnie 2 września 1947 roku o godzinie 14 na Klinice UJ" [16].

Lek. med. Tadeusz *Ptak* został pochowany na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Za wojnę obronną we wrześniu 1939 r. posiadał Krzyż Walecznych, za walkę z okupantem hitlerowskim Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami.

Kończąc artykuł o nim, należy podane informacje uzupełnić wybranymi fragmentami ze zbioru wspomnień i wypowiedzi ludzi, którzy stykali się z nim w konspiracji. Na przykład dr Marian Jan *Mossler* napisał, co następuje:

„Z początkiem 1943 roku »dr Olszyna« zaczyna niedomagać (...) trudno mu nadążać za wojskiem. Ten dobry żołnierz i ofiarny lekarz czuł się już tak dalece źle, że musiał zrezygnować z uczestnictwa w wielu akcjach (...). Do chwili rozwiązania oddziałów leśnych AK brał żywy udział w szkoleniu narybku, w kursach połączonych z terenowymi ćwiczeniami oraz opiekował się chorymi w obozie pod Mogielicą, jak też chorymi cywilnymi (...); nie roztkliwiając się nad własnym stanem, otaczał najtroskliwszą opieką swych podopiecznych, dopóki mu sił starczyło" [17].

O *Ptaku* tak pisze do autora tego szkicu Zofia *Chmielowska*, u której w Kamienicy kwaterował:

„Dr *Ptak* był bardzo dobry. Lubili go ludzie. Dużo osób uratował. Dr *Ptak* przyjmował ludzi w moim mieszkaniu. W tym domu mieścił się tajny szpitalik dla partyzantów. Ja pomagałam robić opatrunki. Kiedy gestapo przyjechało, dr. *Ptaka* nie było. Gestapowcy zdemolowali dom, zabrali inż. A. *Kuźniarskiego*, który też mieszkał w moim domu. Dr *Ptak* był wówczas z wizytą u chorych w górach. Gestapo zabrało także mego męża, Jana, i wywiozło go do obozu. Dr *Ptak* miał opinię bardzo dobrą, uratował mi życie. Odległe to czasy, kiedy nas tu leczył, ale pamiętam, że leczył ludzi z konspiracji, jak Franciszka *Kulię*, Jana *Opydę*, Zofię *Kurzeję*, Jana *Majchrzaka*, Michała *Łączkowskiego* i wielu innych, którzy już nie żyją. Mam już 71 lat i bardzo słabo piszę, za co przepraszam."

Słowa szczerej, prostej góralki nie wymagają komentarza.

*

Autor składa podziękowanie tym wszystkim, którzy użyczyli swoich pamiętników, fotografii oraz nadesłali relacje, a w szczególności Melanii *Czamarze*, Janowi *Cieślakowi*, Zofii *Chmielowskiej*, mgr, Jerzemu *Derubskiemu*, Elżbiecie *Głazek-Franczyk*, dr. Janinie *Ptak-Rawczyńskiej*, Stefanii *Trzecieskiej*, kpt. Władysławowi *Wietrznemu*, mgr. inż. Tadeuszowi *Wronowskiemu*, mgr. Mieczysławowi *Zającowi*. Większego wyboru ilustracji nie dało się uwzględnić z przyczyn technicznych.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI Kraków

były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Prof. dr Stanisław Kapuściński

Należy on do tych naukowców lekarzy, znanych przed wojną, którzy padli ofiarą terroru hitlerowskiego. Był też bojownikiem podziemia, a następnie jednym z więźniów Oświęcimia pracujących w tamtejszym rewirze. Reprezentował tam rzadką specjalność, mianowicie dermatologię i wenerologię. Wielu więźniów zawdzięcza mu uratowanie życia bądź uwolnienie od cierpień spowodowanych chorobami skórnymi, epi-

[14] Rozkaz I batalionu 1 psp AK nr 7/45, podpisał „Wieżyca" (por. J. *Lipczewski*; odpis u autora artykułu).

[15] Dyplom lekarski T. S. *Ptaka*, l. 113/1945, Kraków 10 VIII 1945 (archiwum UJ, sygn. WL. II. 431).

[16] Relacja J. *Ptak-Rawczyńskiej* (u autora artykułu).

[17] Wspomnienia M. J. *Mosslera* (podpis u autora artykułu).

Prof. dr Stanisław *Kapuściński*

demicznie występującymi w tym obozie. Charakterystyczne i zarazem niesprawiedliwe jest, że sylwetka tego zasłużonego lekarza szybciej niż postacie innych więźniów lekarzy uchodzi z pamięci kolegów obozowych, a na domiar zachowały się na jego temat tylko urywkowe dokumenty.

Stanisław Leopold *Kapuściński* urodził się w Warszawie 14 listopada 1890 r. jako syn mistrza kowalskiego, Anzelma, i Marii z *Kołakowskich*. W tym też mieście chodził do szkoły. W r. 1905 został wydalony z V gimnazjum za udział w strajku szkolnym, wobec czego maturę zdał — w r. 1909 — w polskim gimnazjum prywatnym Pawła Chrzanowskiego w Warszawie. Studia lekarskie rozpoczął w r. 1909 w Uniwersytecie Jagiellońskim, w którym w r. 1914 uzyskał absolutorium. Wybuch pierwszej wojny przerwał *Kapuścińskiemu* zdawanie egzaminów dyplomowych. 15 czerwca 1915 r. — po zdaniu egzaminów — otrzymał w uniwersytecie dorpackim dyplom lekarza. W czasie studiów był czynny w Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej „Filarecja" oraz w latach 1913—1914 w Związku Strzeleckim, tj. w Towarzystwie „Strzelec" (taką nazwę przyjęto w Krakowie).

Po powrocie z Dorpatu do Warszawy został aresztowany w r. 1915 za działalność niepodległościową oraz w związku z działalnością swego brata, Stefana, w „Skaucie", uwięziony na Pawiaku i wywieziony następnie do więzienia w Petersburgu. Zwolniony z powodu zagubienia dokumentów sprawy, otrzymał po kilku miesiącach skierowanie do pracy w szpitalu dla uchodźców w Ussie pod Mińskiem, gdzie był czynny jako kierownik do r. 1917. W Mińsku należał do Związku Demokratów Polskich. W październiku tegoż roku brał udział wraz z delegatami z Białorusi w II zjeździe tegoż Związku w Piotrogrodzie. Warto też dodać, że podówczas ten blisko 30-letni lekarz, znacznie wprawiony w pracę konspiracyjną i mający głęboko zakorzenione poczucie patriotyzmu, należał w latach 1917—1918 do zarządu Związku Demokratycznego w Mińsku; brał udział w pracach politycznych stronnictw niepodległościowych na tamtym terenie wraz z Aleksandrem *Prystorem*, Kazimierzem *Rożnowskim* i innymi wybitnymi działaczami.

Do Warszawy wrócił w roku 1918 i podjął pracę asystenta w Miejskim Szpitalu Zakaźnym oraz miejscowego lekarza sanitarnego. Po powrocie włączył się do akcji przeciw okupantowi niemieckiemu. Jak czytamy w „Curriculum vitae", „w tym czasie za wygłoszenie publiczne przemówienia przeciwniemieckiego na pogrzebie śp. dra Jana *Rostkowskiego*, zamordowanego przez żołnierza niemieckiego, był ścigany i ukarany grzywną przez władze okupacyjne niemieckie". 1 marca 1919 r. został powołany jako lekarz do Wojska Polskiego i służył w nim do demobilizacji, ściśle: do 1 kwietnia 1922 r. Związek małżeński zawarł z mgr inż. agronomii Marią *Pietraszewską* w r. 1925.

Odszedłszy od czynnej lekarskiej służby wojskowej, *Kapuściński* nie zerwał całkowicie z wojskiem. W r. 1922 i 1923 brał udział w pracach organizacyjnych Związku Oficerów Rezerwy jako członek jego zarządu i przez pewien czas prezes Okręgu Warszawskiego ZOR. Na cywilnym zaś gruncie pełnił w latach 1923—1926 funkcje prezesa Stowarzyszenia Asystentów Uniwersytetu Warszawskiego i prezesa Związku Stowarzyszeń Asystentów Wyższych Uczelni Rzeczypospolitej Polskiej. W r. 1928 powziął inicjatywę założenia i był członkiem założycielem Klubu Lekarzy Polskich i przez szereg lat wiceprezesem tej organizacji. 29 grudnia 1933 r. został odznaczony Medalem Niepodległości.

Opuściwszy wojsko, poświęcił się pracy kliniczno-szpitalnej. W latach 1922—1931 pracował w Klinice Dermatologicznej w Warszawie jako asystent, a następnie starszy asystent, pod kierunkiem prof. Franciszka *Krzyształowicza*. Doktorat medycyny uzyskał — na podstawie rozprawy pt. „W sprawie patogenezy i leczenia kiły" — 21 maja 1929 r. w Uniwersytecie Warszawskim, a po roku habilitował się w zakresie chorób skórnych i wenerycznych.

Dzięki wygranemu konkursowi był — od 1 maja 1931 do 24 sierpnia 1939 r. — ordynatorem oddziału skórno-wenerologicznego Miejskiego Szpitala św. Łazarza w Warszawie przy ul. Książęcej 2. W r. 1936 po przejściu w stan spoczynku sławnego twórcy tzw. szkoły świętołazarskiej, dra Roberta *Bernhardta*, przejął kierownictwo tego oddziału. W tymże roku podjął nadto wykłady na katedrze dermatologii Warszawskiej Akademii Stomatologicznej. Był też wiceprezesem Izby Lekarskiej Warszawsko-Białostockiej, naczelnym redaktorem „Przeglądu Dermatologicznego", prezesem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Dermatologicznego, członkiem Zarządu Głównego Związku Dermatologów Słowiańskich i Jugosłowiańskiego Towarzystwa Dermatologicznego. Uczestniczył w kongresach dermatologów (m. in. w USA i na Węgrzech).

Już w ciągu okresu dwudziestolecia międzywojennego wybił się jako utalentowany dermatolog, asystent i wykładowca tej dziedziny medycznej, mający ambicje i dobre wyniki w pracy naukowej. Doświadczenia nabywał pod kierunkiem uczonego o europejskiej sławie, rzecznika

ścisłej współpracy lekarzy słowiańskich, prof. *Krzyształowicza* (1868—1931), wspomnianego już kierownika Kliniki Dermatologicznej Uniwersytetu Warszawskiego.

Kapuściński zainteresowania miał dość rozległe. W zakresie dermatologii zajmował się zwłaszcza kiłą, gruźlicą skóry, łuszczycą i grzybami naskórkowymi; pracował też nad uproszczeniem klasyfikacji dermatologicznej. Był znany do tego stopnia, że wzmiankę o nim umieścił *Łoza* w swym znanym almanachu „Czy wiesz, kto to jest" (na str. 321).

Tydzień przed wybuchem II wojny światowej *Kapuściński*, podówczas docent, został zmobilizowany. Kampanię wrześniową przebył jako kapitan lekarz. Z wojny wrócił w listopadzie 1939 r. i objął znów stanowisko ordynatora św. Łazarza. Pełnił je do chwili aresztowania przez gestapo, tj. do 11 listopada 1942 r. Do tego krytycznego dnia — już od roku 1940 — bardzo aktywnie uczestniczył w konspiracji, w Komitecie Centralnym Polskiego Związku Syndykalistów. W podziemiu awansował 15 sierpnia 1941 r. do stopnia podpułkownika, a dokładnie po roku — do stopnia pułkownika. Wówczas, przed uwięzieniem, pracował nadal w Szpitalu św. Łazarza. Ponadto prowadził prywatną praktykę, mieszkając przy ul. Ks. Skorupki 10, m. 7.

Kapuściński stał na czele współzałożonego przez siebie i innych znanych postępowych lekarzy, działających w konspiracji, wspominanego nieraz w literaturze Tajnego Komitetu Porozumiewawczego Lekarzy Demokratów i Socjalistów, działającego w podziemiu od drugiej połowy 1940 r. Pisze o tym m. in. Lucjan *Dobroszycki* w swej relacji, która wchodzi w skład antologii pt. „Ten jest z ojczyzny mojej..."

Działalność podziemna i walka z okupantem, jak wiadomo, narażały na represje czujnego i bezwzględnego gestapo, męczeństwo i śmierć. Ofiarą padały nieraz całe rodziny. Jak podaje w swym liście wdowa po profesorze, Maria *Kapuścińska*, ich córka, Hanna zginęła 1 września 1944 r. w powstaniu warszawskim jako łączniczka, żołnierz 104 kompanii syndykalistów, zamordowana na Starówce. Brat Stanisława, Stefan *Kapuściński* (pseudonimy „Stefka", „Górnicki", „Kowalski"), urodzony w r. 1896, poseł na sejm śląski, działacz związkowy i wydawniczy, został aresztowany 18 maja 1943 r. i rozstrzelany w obrębie getta warszawskiego następnego dnia.

Stanisława *Kapuścińskiego* więziono na Pawiaku do sierpnia 1943 r., przebywał więc tam dziewięć miesięcy, pracując w więziennej kolumnie sanitarnej. Jego nazwisko pojawia się w literaturze na temat Pawiaka. Na przykład jest wymieniony we „Wspomnieniach więźniów Pawiaka", wśród siedmiu więźniów, stanowiących skład męski kolumny sanitarnej tego więzienia, i w kilku innych miejscach tej książki.

U mec. Jerzego *Vogla*, syna znanego adwokata warszawskiego, Ryszarda, nieżyjącego już, zachowała się jego więzienno-obozowa relacja, dotycząca osoby więźnia *Kapuścińskiego*. Ryszard *Vogel* pisze w niej m. in.: „(...) zostałem wepchnięty do celi, w której już było pięciu uwięzionych. Od nich dowiedziałem się, że śp. prof. K[apuściński] był [na Pawiaku] dobrym duchem kwarantanny. Robił wszystko, co było w jego mocy, aby otoczyć chorych opieką, powodował, że w wypadkach koniecznych chorych przenoszono do szpitala więziennego, do którego sam przecież dostępu nie miał, jakimś cudem zdobywał lekarstwa, które po kryjomu dostarczał będącym w potrzebie więźniom (...). Po miesiącu przeniesiono nas z kwarantanny na górę. Po kilku dniach dostałem się na funkcję. I tu odkryła się przede mną tajemnica, skąd p. prof. K. czerpał środki lecznicze. Z paczek otrzymywanych przez więźniów oraz z apteczki szpitala więziennego (...)".

Jak podaje Regina *Domańska* w swej kronice dotyczącej Pawiaka, 24 sierpnia 1943 r. odszedł stamtąd wielki transport więźniów do obozu w Oświęcimiu i przybył tam następnego dnia. Liczył 875 mężczyzn i 141 kobiet. Więźniom nie wolno było zabrać żywności. Na Dworcu Zachodnim w Warszawie zwiększono eskortę, wzmogły się szykany. Do wagonów wtłoczono po 75 więźniów. Zarówno *Domańska*, jak i Danuta *Czech* (w swym „Kalendarzu wydarzeń obozowych") podają numery obozowe więźniów z tego transportu: 138771 — 139645 dla mężczyzn i 55778 — 55918 dla kobiet.

Według informacji od mgr. Tadeusza *Iwaszki* z Muzeum w Oświęcimiu *Kapuścińskiego* przywieziono do obozu transportem warszawskim w dniu 25 sierpnia 1943 r. i oznaczono numerem 139007. „Brak akt personalnych uniemożliwia dokładne prześledzenie jego lagrowych wędrówek — podaje *Iwaszko*. — W każdym razie przebywał m. in. w *Birkenau*, a następnie w *KL Auschwitz I*. Jeszcze w dniu 15 stycznia 1945 r. wymieniany jest w wykazie personelu bloku nr 28 w *KL Auschwitz I*. Widocznie w bloku tym przebywał aż do dnia [ostatecznej — dop. S. K.] ewakuacji", tj. — jak łatwo się domyślamy — do 18 stycznia 1945 r.

Córka *Kapuścińskiego*, Wanda, mająca dostęp do nie opublikowanych wspomnień więźnia Oświęcimia, mec. Ryszarda *Vogla*, powołując się na nie, podała, że jej ojciec w czasie pobytu w Brzezince zachorował na dur plamisty. Przetrwał tę ciężką chorobę dzięki pomocy współwięźniów, którzy ukrywali w bloku przed lekarzem *SS* — i grożącą selekcją — nieprzytomnego chorego. W okresie rekonwalescencji został przewieziony do rewiru w Oświęcimiu I. Dzięki temu możliwości przeżycia lagru przez *Kapuścińskiego* wzrosły. Jego żona, Maria, i córka, Wanda, pamiętają ustną relację *Kapuścińskiego*, z której wynikało, że przeniesienie do owego rewiru w *stammlagrze* zawdzięczał pomocy współwięźniów, zwłaszcza dr. Władysława *Deringa*, który wyjednał u lekarzy *SS* zgodę na zatrudnienie *Kapuścińskiego* jako specjalisty w zakresie dermatologii. W Oświęcimiu I troszczyli się o niego zwłaszcza więźniowie znający go z okresu uwięzienia na Pawiaku w Warszawie.

W piśmie z 12 grudnia 1980 r. Muzeum w Oświęcimiu podaje, że *Kapuściński* „przebywał między innymi w *KL Auschwitz II* (odcinek B II f, blok 11). Pod datą 5 I 1945 r. odnotowany jako należący do obsługi obozowej izby chorych w bloku 28 na terenie *KL Auschwitz I*. (...) Fotografia obozowa nie zachowała się". W następnym piśmie, z 13 marca 1981 r., Muzeum informuje, że „pani Maria *Kapuścińska* w grudniu 1966 r. przekazała do Archiwum niektóre pamiątki po swoim mężu, byłym więźniu *KL Auschwitz* Stanisławie *Kapuścińskim* (...), korespondentkę

i list obozowy, zaświadczenie o prawie noszenia włosów i używania własnych butów, zaświadczenie wydane przez zarząd miejscowy PPR z dnia 3 III 1945 r. poświadczające pobyt w *KL Auschwitz* z prośbą o udzielenie pomocy w drodze powrotnej do Krakowa".

Kapuściński w obozie nie był zbyt wyróżniającym się więźniem; skromnie i ostrożnie zachowywał się i cicho spełniał swe obowiązki. Zapewne dlatego wielu byłych więźniów, którzy pracowali w rewirze lub przewinęli się przez szpital obozowy, dość słabo pamięta tego lekarza więźnia i niewiele umie o nim powiedzieć.

Przykładem może być wypowiedź dobrze znającego stosunki w tym rewirze dr. Rudolfa *Diema:* „Z czasów oświęcimskich przypominam sobie tylko, że [*Kapuściński* — dop. S. K.] był zatrudniony na sali, w której leżeli więźniowie z chorobami skóry, jak egzemy, dermatozy, powierzbowe, których było bardzo dużo. Z usposobienia poważny, chętnie podtrzymywał rozmowę na temat swojej specjalności, ale nie wypowiadał się na inne tematy".

Okazjonalnie tylko pojawia się nazwisko więźnia *Kapuścińskiego* w niektórych relacjach obozowych. Na przykład wspomina o nim też Stefania *Perzanowska* w swej książce pt. „Gdy myśli do Majdanka wracają". Z uwag tam zamieszczonych wynika, że *Kapuściński* — jako dermatolog rewiru Oświęcimia I — udzielał także swych fachowych porad więźniarkom z Brzezinki. *Fejkiel* wspomina w swej „Medycynie za drutami" (str. 533), że *Kapuściński* — z polecenia lagrowych władz *SS* — sprawował jako wenerolog nadzór w Oświęcimiu I nad stanem sanitarnym obozowego domu publicznego (pufu), ściślej — jego pensjonariuszek i użytkowników.

Według oceny *Fejkla,* zawartej w tej jego relacji (str. 525), współwięźniowie w rewirze uznawali *Kapuścińskiego* za wybitnego uczonego i doświadczonego specjalistę; *Fejkiel* wymienia go obok tak znanych naukowców, jak prof. Jan Stanisław *Olbrycht,* histolog Włodzimierz *Ławkowicz,* stomatolog Janusz *Krzywicki* czy też znakomity chirurg holenderski, Samuel *Kropveld.*

Więzień mec. Ryszard *Vogel* pisze w swej wspomnianej już relacji: „[*Kapuściński*] pracował nieustannie [w rewirze obozowym, ratując chorych]. Jedynymi chwilami wytchnienia były wieczory, które wspólnie spędzaliśmy w tzw. *musiksztubie,* w której ćwiczyła nasza orkiestra obozowa. Tam stał [on] zasłuchany w dźwięki symfonii *Beethovena, Czajkowskiego, Schuberta.* Szukał ukojenia i nabierał siły do dalszej ciężkiej pracy w tak niezwykle trudnych warunkach. I wytrwał do końca."

Z cytowanego już uprzednio pisma Państwowego Muzeum w Oświęcimiu (z 13 marca 1981 r.) niespornie wynika, że *Kapuściński,* przeżywszy obóz, nie ewakuowany pozostał dobrowolnie na miejscu z ciężko chorymi więźniami co najmniej do 3 lutego 1945 r. i że następnie zamierzał udać się do Krakowa. Rzeczywiście, jak wiemy skądinąd, przybył do tego miasta i zamieszkał u swego przyjaciela, znanego dermatologa krakowskiego, prof. dr. Franciszka Ksawerego *Waltera,* w jego domu przy Rynku Kleparskim 6.

W Krakowie, dokąd przybył w lutym 1945 r., *Kapuściński* objął stanowisko dyrektora Szpitala Ubezpieczalni Społecznej im. Gabriela Narutowicza i pełnił te obowiązki do marca następnego roku. Wciągnął się też do pracy w Związku Zawodowym Pracowników Ubezpieczalni Społecznej, a od r. 1946 — Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia. Już w listopadzie 1945 r. Wydział Lekarski Uniwersytetu Łódzkiego powołał go na stanowisko profesora chorób skórnych i wenerycznych, co zostało potwierdzone dekretem nominacyjnym prezydenta Krajowej Rady Narodowej z 14 lutego 1946 r.

Tak więc ostatecznie prof. *Kapuściński* osiedlił się z rodziną w Łodzi. Zorganizował tam od podstaw Klinikę Dermatologiczną i pracował jako jej kierownik. Ponadto w r. 1950 został mianowany krajowym i wojewódzkim konsultantem w zakresie dermatologii i chorób wenerycznych. W tym też roku wybrano go prezesem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Dermatologicznego. Wśród wielu funkcji prof. *Kapuścińskiego* warto wspomnieć jeszcze o przewodniczeniu przez niego radzie naukowej Instytutu Dermatologii i Wenerologii. Kontynuował przerwaną przez wojnę pracę naukową; w latach powojennych ogłosił 17 prac badawczych.

Nie utracił więzi z przyjaciółmi i kolegami obozowymi ani też nie odcinał się od udzielania pomocy byłym więźniom. Od r. 1945 należał do ówczesnego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych, a po zmianach organizacyjnych tego stowarzyszenia — do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Odznaczony był Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Ryszard *Vogel* zanotował w swej cytowanej już relacji: „Na pierwszym kongresie b[yłych] więźniów politycznych w styczniu 1946 r. w Warszawie, gdy po raz pierwszy spotkałem się z nim [prof. *Kapuścińskim*] po wyzwoleniu, nie mogłem przecisnąć się do niego przez otaczający go tłum kolegów, którzy w serdecznych słowach dziękowali mu i wyrażali swą radość z powodu jego ocalenia".

Z listu do wdowy, Marii *Kapuścińskiej,* wynika, że profesor pozostawił w rękopisie krótkie wspomnienia refleksyjne z okresu prześladowań, m. in. fragment pt. Metoda zniszczenia; niestety, nie udało się na czas dotrzeć do tych materiałów. Nie zdołano też uzyskać wielu wiadomości o ojcu ani od jego córki, dr med. Wandy *Czerskiej* z Warszawy, ani od syna, dr. fil. Jana *Kapuścińskiego* z Nowego Jorku.

Prof. *Kapuściński,* sterany ciężkimi przeżyciami, zmarł 12 maja 1952 r., zaledwie w 62 roku życia, wyrwany z czynnej pracy i służby chorym.

*

Odtwarzając koleje życia prof. *Stanisława* Kapuścińskiego, uwzględniono następujące, dostępne źródła: 1. Dokumenty: a) „*Curriculum vitae* Stanisława *Kapuścińskiego*", prawie 2-stronicowy maszynopis z pełną interlinią, bez daty (pochodzący najprawdopodobniej z r. 1934 lub 1935, a zachowany w Głównej Bibliotece Lekarskiej w Warszawie; tamże wzmianka o opublikowaniu 16 prac naukowych do tego czasu); b) odpis dyplomu lekarskiego nr 4290 Uniwersytetu w Juriewie (Dorpacie), wykonany na trzech stronach rękopisu w ję-

zyku rosyjskim, a uwierzytelniony 12 IX 1940 r. przez Zarząd Miejski w Warszawie; odpis dyplomu doktora medycyny w Uniwersytecie Warszawskim, nr 2025, z 21 V 1929 r.; c) „Fragebogen zur erstmaligen Meldung der Heilberufe. Kwestionariusz dla pierwszego zgłoszenia zawodów leczniczych", wypełniony i podpisany przez S. *Kapuścińskiego*, z 13 IX 1940 r.; d) „Tymczasowa karta rejestracyjna" Izby Lekarskiej w Krakowie, 1-stronicowa, wypełniona i podpisana przez S. *Kapuścińskiego*, z 7 II 1945 r. 2. Listy: a) pisma z Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, l. IV-8520/245/3321/80 z 12 XII 1980 i — z dołączonym odpisem własnoręcznego życiorysu S. *Kapuścińskiego* z 20 XII 1950 r. z Łodzi — IV-8520-48/638/81 z 13 III 1981 r.; b) list kierownika Archiwum Muzeum w Oświęcimiu, mgr. T. *Iwaszki*, do autora artykułu, z 11 XII 1980 r.; c) list doc. dr. med. Antoniego *Czernielewskiego*, kierownika Kliniki Chorób Skóry i Wenerycznych AM w Łodzi, z 20 X 1980 r., również do S. *Kłodzińskiego;* list do niego od współwięźnia z obozu oświęcimskiego, dr. Rudolfa *Diema*, z 24 IV 1980 r., od żony zmarłego profesora, Marii *Kapuścińskiej*, z 6 III 1980 r., od córki, dr med. Wandy *Kapuścińskiej-Czerskiej*, z 25 VIII 1981, z załączonym 2-stronicowym, gęstym maszynopisem relacji R. *Vogla* z Pawiaka i Oświęcimia (nie zatytułowanej, z r. 1952), i od współwięźnia, dr. J. *Sikorskiego*, z 28 V, 31 VII, 11 IX i 22 X 1980 r. 3. Publikacje: D. *Czech*: Kalendarz wydarzeń obozowych. W: Zeszyty Oświęcimskie, nr 4, 1960, wyd. Państwowe Muzeum w Oświęcimiu, s. 127; R. *Domańska*: Pawiak — więzienie gestapo. Kronika 1939—1944. Warszawa 1978, Książka i Wiedza, s. 288 i 347; W. *Fejkiel*: Medycyna za drutami. W: Pamiętniki lekarzy. Warszawa 1964, Czytelnik, s. 525 i 533; *Kapuściński* Stanisław. Biogram w Polskim Słowniku Biograficznym, t. XII: Wrocław, Warszawa, Kraków 1966—1967, PAN, s. 10—11, *sub vocem*; S. *Perzanowska*: Gdy myśli do Majdanka wracają. Lublin 1970, Wydawn. Lubelskie, s. 142—143; H. *Prochacki:* Profesor dr med. Stanisław *Kapuściński*. Przegl. Dermatol. i Wenerologii, 1952, nr 3, s. 321—324 (z fotografią); Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939—1945. Oprac. W. *Bartoszewski*, Z. *Lewinówna*. Wyd. drugie rozszerzone, Kraków 1969, Znak, s. 242 i 244; Wspomnienia więźniów Pawiaka (1939—1944). Warszawa 1964, PAN, Instytut Historii, Zakład Historii Polski w Drugiej Wojnie Światowej, wyd. Ludowa Spółdz. Wydawnicza, s. 18, 61, 83, 336.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI Kraków

były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Władysław Kosmal

Ideałem, niestety nieziszczalnym, byłoby, gdyby ci wszyscy pracownicy służby zdrowia (a także ludzie innych zawodów), którzy w mniejszej lub większej mierze wnieśli swój wkład do działalności przeciw okupantowi hitlerowskiemu i ucierpieli w tamtych latach, zyskali — nawet po upływie długiego czasu — swe biogramy, a nie tylko reprezentatywna, choć w dużym stopniu przypadkowa garstka tych, na których temat takie biogramy czy też większe artykuły biograficzne zostały już opublikowane np. dzięki możliwości uzyskania odpowiednich źródeł. Pisano więc już m. in. o wielu zazwyczaj wybitnych lekarzach, niektórych pielęgniarkach i farmaceutach, w naszych zeszytach też o położnej (Stanisławie *Leszczyńskiej*), o społecznikach (Teresa *Lasocka-Estreicherowa*) itd.

Tym razem warto zwrócić uwagę na sylwetkę felczera. Był nim z zawodu Władysław *Kosmal*, o którego postawie i okupacyjnej działalności wiele osób wypowiada się spontanicznie i z uznaniem, nie szczędząc w odniesieniu do jego osoby określeń jak najbardziej dodatnich, wśród których powtarza się: „człowiek z Ewangelii". Być może wyraża się w tym egzaltacja ludzi, którzy się z nim stykali, ale po zapoznaniu się z konkretnymi materiałami od razu można dojść do wniosku, że przynajmniej szkicowa biografia tego człowieka, więzionego w Oświęcimiu wraz z synem, zasługuje na udostępnienie czytelnikom i zarazem na utrwalenie pamięci o nim.

Mimo że upłynęły niespełna 23 lata od śmierci Władysława *Kosmala*, skreślenie jego życiorysu nasuwa poważne trudności zarówno ze względu na zawodność pamięci współpracującej z nim jego żony, Janiny (do której najpierw zwróciła się redakcja „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim"), jak również ze względu na skąpe świadectwa powołanych przez nią (nielicznych) świadków jego działalności konspiracyjnej. Na domiar wszystkie dokumenty dotyczące działalności *Kosmala* (przede wszystkim jego pamiętnik), oddane na przechowanie, zostały skradzione, jak twierdzi Janina *Kosmalowa*, przez „złych ludzi". Brak też dosta-

Władysław *Kosmal*

tecznej liczby dokumentów i wypowiedzi świadków postawy *Kosmala* w obozie. Informacja nadesłana z Państwowego Muzeum w Oświęcimiu potwierdza jedynie przynależność do transportu radomskiego, podaje daty jego pobytu w obozie i uściśla jego miejsca zatrudnienia w nim.

W więzieniu radomskim, w którym *Kosmal* przebywał przed przewiezieniem go do Oświęcimia, jedynym świadkiem jego postawy był, współdziałający z nim w konspiracji, mgr Bogumił *Kacperski* z Końskich (również zesłany do Oświęcimia, nr obozowy 150107). W blokach obozowych, w których był zatrudniony Władysław *Kosmal*, nie znalazł się nikt z Końskich. Jedynie na rewirze, w którym przebywał *Kosmal* zaraz po przybyciu z Radomia, świadkiem jego pobytu tam był więzień Bazyli *Wadiak*, szrajber rewiru (pisarz). Losy obozowe rozdzieliły też ojca, Władysława, i syna, Włodzimierza, również konspiratora, który wcześniej trafił do tego lagru.

Po wyzwoleniu Władysław *Kosmal* nie utrzymywał kontaktów towarzyskich z przebywającymi z nim w Oświęcimiu II (w Brzezince) więźniami. Pozostało po nim zaledwie kilka listów pisanych z obozu do żony, a przesłanych przez nią do wglądu redakcji „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Odwołujemy się zatem do tego, co aczkolwiek ubogo udokumentowane w piśmie, jest jednak o Władysławie *Kosmalu* niezbicie wiadome.

Życiorys *Kosmala*, skreślony ręką jego żony, Janiny, zawiera podstawowe dane. Urodził się on w Końskich 21 lipca 1888 r. jako syn Karoliny z *Młodowskich* i Antoniego. Pochodził z rodziny niezamożnej. Ojciec Władysława był kierownikiem oranżerii u hr. *Tarnowskich* w Końskich, matka zajmowała się domem i wychowywaniem dzieci. Władysław po ukończeniu (z nagrodą) szkoły podstawowej w Końskich uczęszczał do ośmioklasowego gimnazjum im. St. Staszica w Łodzi. Szkołę średnią ukończył również z odznaczeniem. Następnie, jak podaje żona, kształcił się (od r. 1908) przez trzy lata w szkole felczerskiej w Warszawie. Na ten temat nie udało się ustalić bliższych szczegółów.

Już jako felczer Władysław *Kosmal* został skierowany do szpitala w Samarze w Rosji carskiej. Po powrocie, po około dwóch latach, zaangażowano go do pracy w szpitalu św. Rocha w Warszawie, gdzie przebywał około czterech lat. Następnie pracował na oddziale epidemiologicznym w szpitalu Kasy Chorych w Końskich. Wybranką była ciotka jego późniejszej drugiej żony, Janina z *Zarzyckich*, która zmarła w r. 1927. W tym małżeństwie urodził się wspomniany już Włodzimierz, w ósmym roku życia osierocony przez matkę, więziony później, jak wiemy, wraz z ojcem, obecnie lekarz. Po raz drugi ożenił się z Janiną *Anglikówną* 11 listopada 1929 r. Do wybuchu II wojny światowej Władysław *Kosmal* pracował w Kasie Chorych w rodzinnych Końskich.

W tym miejscu trzeba dodać, że w wojnie obronnej Polski 1939 r. Końskie znalazły się na terenie operacyjnym odwodowej Armii „Prusy", a w rejonie tego miasteczka odbywała się koncentracja, przegrupowania i walki części jednostek południowego ugrupowania tej armii. Najprościej określając, chodziło o nieprzepuszczenie wojsk hitlerowskich przez Góry Świętokrzyskie dalej na wschód, północ i południe ani o niedopuszczenie do obejścia tych gór przez zmotoryzowane kliny *Wehrmachtu*. Mimo bohaterskiego oporu nie zdołano jednak powstrzymać Niemców. Jak widać, Końskie znalazły się na arenie szczególnie niebezpiecznej dla ludności. Wdowa po Władysławie *Kosmalu* pisze m. in.:

„Już w pierwszych dniach smutnego września, podczas bombardowania dworca kolejowego, a następnie miasta Końskie, tj. 3—5 września 1939 r., w zorganizowanym przy jego współudziale punkcie sanitarnym na dworcu, wraz z synem, Włodzimierzem, ratował i opatrywał rannych żołnierzy przyjeżdżających na front. Następnie, gdy zrzucono bomby na miasto, które płonęło w kilku miejscach, było dużo rannych i zabitych, ratowali ich i opatrywali. (...) W dniach 6—7 i 9 września 1939 r., gdy wojska polskie walczyły z Niemcami w pobliskiej wsi Kazanów, byli zabici i ranni. Wojsko polskie wycofuje się z Kazanowa, przechodząc przez Końskie. Żołnierzy rannych w tej bitwie przywieziono do szpitala w Końskich, zabitych chowano w Kazanowie. W szpitalu już na posterunku byli: ks. prałat Kazimierz *Sykulski*, Władysław i Włodzimierz *Kosmal*, siostry zakonne i kilkanaście osób świeckich. Nie było ani jednego lekarza z pracujących w szpitalu".

Łatwo się domyślić, że lekarze zostali wcześniej zmobilizowani i przydzieleni do swych jednostek. Oczywiste więc jest, że wtedy na Władysława jako najbardziej doświadczonego pracownika medycyny, a przy tym ochotnika w tym szpitalu, spadł cały ciężar za bieżącą, dramatyczną pracę wśród rannych i chorych i odpowiedzialność za nich. Był jakby prawą ręką wspomnianego prałata, który zawiązał wtedy komitet opiekuńczy i pokierował nim (ks. *Sykulski*, szambelan papieski, dziekan opatowski i proboszcz w Końskich, został uwięziony w obozie oświęcimskim — nr 21962 — i rozstrzelany tam 11 grudnia 1941 r.). Grupa ofiarnych osób uwijających się wówczas w tym szpitalu oddała się w dość prymitywnych warunkach sanitarnych posłudze rannym. Wkrótce nastała okupacja Końskich.

Gdy Niemcy na „Budowie" w Końskich założyli obóz jeniecki, Władysław *Kosmal* z synem, Włodzimierzem, i żoną, Janiną, zorganizował też z własnych funduszów częściową pomoc materialną w postaci żywności dla przebywających tam jeńców, zwłaszcza chorych na czerwonkę. Akcja ta trwała około dwóch miesięcy, tj. do likwidacji obozu. A gdy do Końskich nadciągały transporty wysiedlonych z ziem polskich włączonych do Rzeszy, Władysław *Kosmal* z rodziną ściśle współdziałał z owym komitetem opiekuńczym w rozkwaterowaniu przybyłych w mieście i w powiecie. Chorych umieszczano w szpitalu Ubezpieczalni Społecznej w Końskich. Niejeden wygnaniec znalazł gościnność, schronienie, pomoc w rodzinnym domu *Kosmalów*, u felczera, jego żony, matki i szwagierki, Ireny *Brodzickiej*. Niektórzy „podopieczni" pozostali w nich aż do wyzwolenia. Jedna z tam przygarniętych, Zofia *Radecka*, sekretarka sądu we Włocławku, wysiedlona stamtąd, w kartce napisanej w r. 1980 do Janiny *Kosmalowej* podkreśla „niezwykłą dobroć okazywaną ludziom" przez tę rodzinę.

Kosmal, który jak już wiemy, pracował przed drugą wojną w dawnej Kasie Chorych (przemianowanej na Ubezpieczalnię Społeczną w czasie okupacji), zatrudniony tam jako felczer, celowo brał zlecenia na dojazdy do punktów sanitarnych nowo utworzonych w powiecie, aby móc przy tej

okazji dostarczać partyzantom w terenie duże ilości leków, środków opatrunkowych oraz torby sanitarne itp., które były częściowo wysyłane do tych punktów przeszkolonym sanitariuszkom, odbywającym dyżury. W zdobywaniu tych materiałów pomagała *Kosmalowi* Ubezpieczalnia Społeczna i apteki w mieście.

Syn Władysława, Włodzimierz, trafnie zauważa w nadesłanym przez siebie liście, że dawny powiat konecki należał do najbardziej zalesionych terenów w Polsce i dodaje: „w czasie okupacji był to teren naprawdę wymarzony do różnego rodzaju akcji partyzanckich. Tu właśnie walczył major »Hubal«. Tu właśnie ukrywało się wielu ludzi »spalonych« ze Śląska i Wielkopolski". Jak wiadomo ponadto, Kielecczyzna była jednym z okręgów okupowanej Polski najbardziej nasyconych oddziałami partyzanckimi.

W punktach sanitarnych oprócz miejscowych pacjentów *Kosmal* leczył i opatrywał partyzantów, którzy się zgłaszali „w cywilu". Zaopatrywał ich w podrabiane dowody (tzw. *kennkarty*) i karty pracy (*arbeitskarty*) dzięki swym znajomościom w miejscowym urzędzie pracy (*arbeitsamcie*). Ponadto oczywiście leczył mnóstwo chorych. Biednym i poszkodowanym niósł pomoc lekarską, dostarczał im leki i inne środki. Podnosił ich na duchu. Znany był z sumienności i owocnej pracy w swoim zawodzie, toteż zyskał wielką popularność i — można śmiało rzec — miłość wśród społeczeństwa w mieście i w powiecie koneckim. Wyraziście opisuje tę postawę *Kosmala* nie tylko żona, lecz także inne osoby, np. były partyzant, mgr Bogumił *Kacperski*, poświadcza, że ten zdolny felczer stawał na każde żądanie, bez względu na porę dnia czy nocy i umiejętnie łagodził cierpienia chorym.

Ówczesny powiat konecki był jednym z pierwszych, gdzie Polacy stanęli do walki konspiracyjnej i partyzanckiej z najeźdźcą hitlerowskim, toteż Władysław *Kosmal* wcześnie zdobywał praktyczne doświadczenie w tego rodzaju walce. Organizatorem ruchu oporu w Końskich był kpt. Jan *Stoiński* (pseud. „Górski"), nauczyciel szkoły podstawowej. On właśnie zameldował się u słynnego majora Henryka *Dobrzańskiego* „Hubala", który ze swoim oddziałem działał w tym powiecie już w pierwszych miesiącach po wkroczeniu wojsk hitlerowskich. W powiązaniu z majorem „Hubalem" oraz komendą Okręgu Kielecko—Radomskiego ZWZ konspiratorzy tworzyli stopniowo sieć konspiracyjną placówek i obwodów. Powstało więc wiele punktów w powiecie i w mieście. Angażowano ludzi pewnych, zaufanych, uczciwych, o nieskazitelnej przeszłości. Dowódcą zakonspirowanego punktu w dogodnie położonym na uboczu domu *Kosmalów* był skierowany z Radomia kpt. Wojska Polskiego Czesław *Majewski*. Jak podaje Janina *Kosmalowa*, podlegało mu tam około 15 osób.

Wspomniany już mgr *Kacperski*, pełniący w okresie okupacji funkcję dowódcy plutonu, a następnie adiutanta Koła Obwodu Końskie i szefa referatu V (łączność konspiracyjna), informuje, że punkt u *Kosmalów* był wykorzystywany jako skrzynka kontaktowa, a w pewnym okresie prowadzono tam też nasłuch radiowy dla miejscowej prasy konspiracyjnej (wydawano tajnie „Sprawy Polskie"). Tę efektywną działalność konspiracyjną dramatycznie zakłóciła zdrada, której okoliczności tutaj pomijamy. Dość stwierdzić, że w nocy z 2 na 3 listopada 1942 r. gestapo przeprowadziło pierwsze aresztowania, m. in. w domu rodziny *Białeckich*, gdzie była tajna radiostacja, mordując przy tym kpt. *Stoińskiego*. Zdrajcę ukarano śmiercią z wyroku sądu podziemnego, a konspiratorzy nasilili czujność i ostrożność i kontynuowali swą działalność podziemną.

Grozę pogłębiły jeszcze brutalniejsze, masowe aresztowania w piątek 20 sierpnia 1943 r. Wspominając o nich w swej rękopiśmiennej relacji, wdowa po Władysławie nie ukrywa nie wygasłych i żywych do dziś jeszcze wrażeń, a także pamięta wyraziste szczegóły z tamtego tragicznego piątku: otaczanie domów z hałasem, wpadanie Niemców do mieszkań i grożenie karabinami, bezlitosne bicie i kopanie, ustawianie ludzi pod murami z rękami podniesionymi, zakładanie kajdan, atmosferę rozpaczy, mdlenie kobiet, krzyki dzieci, jęki katowanych. Władysława pobito kolbą karabinu, a gdy żona podawała mu wodę w szklance, gestapowiec wytrącił ją z jej rąk i pobił Janinę dotkliwie po twarzy; syna straszono natychmiastowym rozstrzelaniem.

Zabrano wtedy 270 osób, w tym obu *Kosmalów*. Po kilku dniach przetrzymywania ich w obozie w Bliżynie (pod Skarżyskiem-Kamienną) Władysław został przewieziony do więzienia w Radomiu. Relacjonował po wojnie, że śledztwo tam było bardzo okrutne, wbijano szpilki i zapałki pod paznokcie, wieszano na żelaznej huśtawce, tak aby głowa obijała się o mur itp.; po dotkliwych urazach i biciu wytworzyły się trudno gojące się wybroczyny i rany, a blizny zostały jako dowód katuszy. Mimo tak barbarzyńskiego śledztwa *Kosmal* nie wyjawił żadnych tajemnic.

Do więzienia w Radomiu dojeżdżała Janina *Kosmalowa* dwa razy w tygodniu samochodem od przewożenia bydła. Już wtedy zorientowała się w sytuacji w śledztwie. Przekazywała bowiem dla Władysława przez straż więzienną czystą bieliznę, a odbierała poprzednią, poplamioną i jeszcze wilgotną od krwi. Warto dodać, że z Władysławem znajdował się w celi m. in. Stanisław *Zasacki* (po wojnie lekarz) i wymieniony już mgr *Kacperski*, który wspomina: „wszyscy byliśmy w nieludzki sposób torturowani" i dalej: „Kolega Władysław dzielnie się trzymał, nie przyznając się do pracy w konspiracji. Nie załamał się, a nawet swoją postawą podtrzymywał innych na duchu".

Z pisma Muzeum w Oświęcimiu i z relacji *Kacperskiego* wynika, że 14 września 1943 r. został on, podobnie jak Władysław *Kosmal*, skrępowany drutem kolczastym i przewieziony do Oświęcimia—Brzezinki transportem więźniów z Radomia, dołączonym do transportu warszawskiego. Włodzimierz *Kosmal* trafił do tego obozu już wcześniejszym transportem więźniów z Radomia. W obozie oświęcimskim ojciec otrzymał numer 150112, a syn 138055.

Skatowany w więzieniu radomskim, niezdolny z tego powodu do pracy, 55-letni już Władysław dostał się na szczęście od razu na rewir, a nie na morderczą „kwarantannę", gdzie zwykle nowo przybyłych (tzw. *zugangów*) traktowano ze specjalnym sadyzmem. W rewirze wówczas były już znośniejsze warunki niż w latach poprzednich, a od selekcji łatwiej można było się uchronić.

Z rewiru pamięta Władysława inny więzień z Końskich, Bazyli *Wadiak*. Po pewnym czasie odnotowano *Kosmala* jako więźnia zatrudnionego w komandzie (grupie roboczej) 302 B *Weberei und Flechterei DAW (Deutsche Ausrüstungswerke)*, tj. w warsztatach niemieckiej firmy zbrojeniowej. Ocaleli więźniowie pamiętają ogólnie, że bardzo ofiarnie pomagał on współtowarzyszom niedoli, a zwłaszcza chorym i cierpiącym. Umiał wspierać ich psychicznie i podsycać tak potrzebną w obozie nadzieję przetrwania. Bliższych szczegółów z pobytu Władysława w Oświęcimiu—Brzezince nie udało się ustalić. Wdowa podaje, że w październiku 1944 r. został on ewakuowany do obozu „Dora" (Mittelbau), gdzie dotrwał do wyzwolenia. Włodzimierza natomiast wywieziono z Brzezinki do Sachsenhausen; w obozie oświęcimskim ojciec widział go tylko raz.

Po wyzwoleniu Władysław i Włodzimierz *Kosmalowie*, każdy odrębnie, dostali się do strefy amerykańskiej, skąd też — ze zrujnowanym zdrowiem — w różnym czasie wrócili do Końskich. Władysław, podleczony przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, jeszcze o wadze „muzułmana", 40 kg, pokryty bliznami, wrócił do domu około 20 czerwca 1945 r., a Włodzimierz znacznie później, dopiero w październiku 1945 r. Wdowa po Władysławie wspomina entuzjastyczne powitanie go przez ludność miejscową i współtowarzyszy obozu. Nie zapomnieli oni jego postawy z więzienia i lagrów.

Pozostało zaledwie kilka listów obozowych Władysława *Kosmala* do żony; przechowuje je Włodzimierz *Kosmal*; udzielił on je do wglądu redakcji „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Były one tylko z największym trudem adresowane przez Władysława *Kosmala*, ale dyktowane przez niego i pisane przez kogoś ze współwięźniów, Władysław bowiem po torturach radomskich nie mógł pisać. W obozie — wśród zwyczajnych, znanych szykan i cierpień — doznawał dodatkowych kar, m. in. okresowo pozbawiono go możliwości otrzymywania paczek żywnościowych z domu, co w warunkach głodu panującego wśród więźniów mogło nawet odebrać szansę przetrwania.

Po powrocie z obozu Władysław *Kosmal* stale zapadał na zdrowiu, leczył się po szpitalach; w pielęgnacji swej żony pozostawał rok. Nigdy już nie zdołał powrócić do pełnego zdrowia.

Wydział Zdrowia PPRN w Końskich wydał zaświadczenie, że Władysław *Kosmal* od początku swej pracy po wyzwoleniu był zatrudniony etatowo w służbie zdrowia, w oddziale epidemiologicznym Szpitala w Końskich, a w latach 1953—1957 dyżurował w Pogotowiu Ratunkowym, również w pełnym wymiarze godzin. Praca ta dawała mu zadowolenie i satysfakcję. Znano go z tego, że umiał chorym pomagać i że znajdował w tym głębokie upodobanie. Po przejściu na emeryturę już nie pracował. Cieszył się szczególnie, gdy po wyzwoleniu jego syn ukończył studia medyczne na Wydziale AM w Poznaniu (obecnie Włodzimierz jest kierownikiem przychodni przeciwgruźliczej w Pabianicach).

Władysław został w r. 1957 odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 9 lutego 1959 r. w Końskich. Pozostawił o sobie pamięć człowieka rzeczywiście pełnego cierpliwości, wytrzymałości, altruizmu i dobroci.

*

Podstawą szkicu biograficznego dotyczącego Władysława *Kosmala* są następujące źródła: 1. Dokumenty: a) jego 6 listów z Oświęcimia—Brzezinki do żony, Janiny, z bloku nr 2 (z 3 X 1943 r.), z bloku 22B (z 7 XI 1943 r.) i z bloku 28 (z 12 XII 1943 r., 1 I, 23 I i 20 II 1944 r.); b) list Włodzimierza *Kosmala* z obozu oświęcimskiego do J. *Kosmalowej* z bloku nr 3B (z 20 II 1944 r.); c) 2 listy i 8 kart pocztowych innych więźniów oraz jeńców wojennych, przysłanych z podziękowaniem do J. *Kosmalowej* z RGO w Końskich za pomoc w postaci paczek wysyłanych do obozów; d) pismo Rady Głównej Opiekuńczej, Rady Opiekuńczej Powiatowej (Polnischer Hauptausschuss, Polnisches Hilfskomitee) w Końskich, nr VI Og 20/43, z 24 VIII 1943 r., do J. *Kosmalowej*; pismo PCK, Oddział Końskie, do J. *Kosmalowej* z 5 IV 1946 r.; e) pismo Muzeum w Oświęcimiu, l. IV-8520-48/790/80, z 13 III 1980 r.; f) zaświadczenie Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, Wydział Zdrowia w Końskich, nr Zd. VIII 2057 (bez daty); g) legitymacja Władysława *Kosmala* nr B-2382 z 28 III 1957 r. do Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski. 2. Listy: a) list wdowy po Władysławie *Kosmalu*, J. *Kosmalowej*, do S. *Kłodzińskiego* z 4 I, 31 I (karta pocztowa), 14 II, 25 II, 28 II, 13 III, 16 III, 23 III, 15 IV, 4 V, 5 VII (karta pocztowa) i XII (bez daty dziennej) 1980 r., 20 I, 13 IV i 13 X 1981 r.; b) Włodz. *Kosmala* do autora biografii z 13 II 1981 r.: c) B. *Wadiaka* (z 25 I i 23 II 1981 r.) i St. *Zasackiego* (z 11 I 1981 r.) również do S. *Kłodzińskiego*; 3. Relacje: a) J. *Kosmalowej* dość gęsty, 3-stronicowy rękopis formatu A4, bez daty, dotyczący losów jej męża, W. *Kosmala*; tejże krótki, 1-stronicowy (A8) biogram męża z 28 I 1980 r.; b) B. *Kacperski*: Krótkie wspomnienie o felczerze Władysławie *Kosmalu* z Końskich, więźniu Oświęcimia (maszynopis z 7 X 1980 r., półgęsty, półtorastronicowy); c) J. *Radowska*: Oświadczenie. (Maszynopis znormalizowany, trzyipółstronicowy, z 20 VII 1980 r., opisujący pomoc ze strony rodziny *Kosmalów* podczas okupacji).

JÓZEF BOGUSZ

Kraków

Sesja prezydium Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka (w Izraelu, 13-21 stycznia 1981 r.)

W „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" zostało opublikowanych wiele materiałów dotyczących działalności Janusza *Korczaka*, znakomitego prekursora i pioniera nowych metod wychowawczych dziecka, autora cudownych książek dla dzieci i o dzieciach dla dorosłych oraz lekarza pediatry [1], który przez swą dobrowolną śmierć otoczony został legendą.

Przypomnijmy krótko, iż po zakończeniu działalności Międzynarodowego Komitetu Obchodów 100. Rocznicy Urodzin Janusza *Korczaka* (1978—1979) podjęto we wrześniu 1979 r. uchwałę o utworzeniu Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza *Korczaka* w celu zapewnienia dalszej, międzynarodowej współpracy w realizacji zadań wynikających z Karty praw dziecka i Deklaracji ONZ o wychowaniu społeczeństw dla pokoju w duchu idei Korczakowskich. Przyjęto statut nowego stowarzyszenia oraz wybrano zarząd, złożony z 28 członków. 14 września 1979 r. wmurowano akt erekcyjny pod budowę Instytutu Naukowego i Opiekuńczo-Wychowawczego im. Janusza *Korczaka* (INiOW) [2] w Łomiankach pod Warszawą oraz uchwalono apel do ludzi dobrej woli o poparcie pięknej idei wybudowania tego instytutu o międzynarodowym charakterze.

W dniach 13 do 21 stycznia 1981 r. odbyło się kolejne plenarne posiedzenie prezydium Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza *Korczaka* w Izraelu. Udział wzięła 11-osobowa delegacja polska w składzie: Jerzy *Kuberski* — przewodniczący delegacji i Stowarzyszenia, Lesław M. *Bartelski* — pisarz, prof. dr Józef *Bogusz* — lekarz chirurg, Kazimierz *Dębnicki* — pisarz, mgr Maria *Falkowska* — pedagog, Andrzej *Kiciński* — architekt, prof. dr Aleksander *Lewin* — pedagog, wraz z żoną, Anna *Lubońska* — przedstawicielka „Interpressu", mgr Alicja *Szlązakowa* — pedagog, Ryszard *Wasita* — redaktor naczelny miesięcznika „Polska". Ponadto uczestniczyło 7 osób z innych krajów, a to: Rafael *Scharf* — Anglia, Helena *Lecalot* — Francja, prof. Erich *Dauzenroth* i prof. dr Adolf *Hampel* — RFN, prof. Edwin *Kulawiec* i Betty Jean *Lifton*, pisarka — USA, prof. Bruno *Bellerate* — Włochy. Licznie reprezentowani byli członkowie Komitetu Korczakowskiego w Izraelu, gospodarze sesji, którzy z niezwykłą serdecznością i gościnnością zajmowali się i opiekowali uczestnikami.

Główna tematyka obrad obejmowała zagadnienia budowy INiOW w Łomiankach pod Warszawą, kult Janusza *Korczaka* w Izraelu, kolektywne wychowanie w kibucu na podstawie teorii i praktyki, obecny stan i kontynuację międzynarodowej współpracy oraz dalszy rozwój idei Korczakowskich w świecie.

Uczestnicy sesji podejmowani byli przez przedstawicieli najwyższych władz Izraela, przez prezydenta państwa, Icchaka *Nawona*, ministra oświaty i religii, Zwuluma *Hammera*, prezydenta Jerozolimy, Teddy *Kolka*, prezydenta Tel-Awiwu, Szloma *Lahata* i innych. Odbyły się spotkania z przedstawicielami rozlicznych instytucji, Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, zwiedzanie miejsc świętych w tym mieście, Instytutu Pamięci Narodowej *Yad Vashem*, szkół w różnych miastach, muzeów, kibuców itd., o czym mowa niżej.

W czasie spotkania z prezydentem państwa, *Nawonem*, w dniu 14 stycznia 1981 r., po serdecznych słowach powitania tegoż, przemówił przewodniczący delegacji polskiej:

„Szanowny panie prezydencie, panie, panowie! Chciałbym bardzo serdecznie panu prezydentowi podziękować za to, że zechciał pan nas tu zaprosić, członków prezydium Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza *Korczaka*. Bardzo panu dziękuję za czas, który nam pan poświęcił. Chciałbym pana prosić o to, bym mógł w pana obecności w słowach nader serdecznych zwrócić się do obecnych na tej sali wychowanków Janusza *Korczaka*, jego współpracowników, do tych, którzy go znali, którzy z nim pracowali, którzy byli przez niego wychowywani. Są oni tu, wśród nas. Chciałbym ich bardzo gorąco w imieniu Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza *Korczaka* — Henryka *Goldszmita* — gorąco pozdrowić.

[1] M. in. E. *Dauzenroth*, A. *Hampel*, S. *Rogalski*: Korczakowska problematyka zjazdów międzynarodowych w Giessen (23—25 V 1973 r.) i w Bazylei (28 V—2 VI 1973 r.). Przegl. Lek., 1974, nr 1, s. 220—224; M. *Dominik*: Dr Janusz *Korczak* (Henryk *Goldszmit*). Tamże, s. 225—229 (z wyborem bibliografii); nadto: H. *Mortkowicz-Olczakowa*: Janusz *Korczak*. Wyd. 5, Warszawa 1978, Czytelnik; S. *Wołoszyn*: *Korczak*. Warszawa 1978, Wiedza Powszechna; M. *Jaworski*: Janusz *Korczak*. Wyd. 2 rozszerz., Warszawa 1977, Interpress; J. *Bogusz*: Słowo wstępne. Przegl. Lek., 1979, nr 1, s. 7—8, 1980, nr 1, s. 13—14, 1981, nr 1, s. 5—6.

[2] Akt ten został przytoczony w Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 13—14.

Obchodziliśmy na całym świecie uroczyście stulecie Janusza *Korczaka*. Myślę, że dla nas, ludzi związanych z jego dziełem, obchody te przeszły granicę naszej wyobraźni. Od Polski przez Izrael, przez kraje Europy po Amerykę i kraje Ameryki Południowej przechodziło to nazwisko, było wspominane, mówiono o nim, o wielkim wychowawcy i pisarzu. Dlaczego tak jest, dlaczego tak się stało, że Stary Doktor jest obecny dziś wśród ludzi na całym świecie? Myślę, iż dlatego, że dwie rzeczy zostawił po sobie w spadku: pierwsza — jak kochać dziecko, druga — to moralna postawa, która unosi się ponad czas, w którym żył, ponad epokę i dlatego w tym sensie stał się nieśmiertelny. I dlatego właśnie dzisiaj na świecie przeżywamy renesans Korczakowskich prac, myśli i działań.

Korczak zespalał w sobie niejako trójosobowość: był lekarzem, był wychowawcą i pisarzem. W każdej z tych dziedzin pozostawił po sobie ślady. Dlatego też w naszej działalności, w tym, co czynimy jako Międzynarodowy Komitet Korczakowski i krajowe komitety, spotkać zawsze można ludzi tych trzech zawodów: nauczycieli i wychowawców, lekarzy i pisarzy. Tacy są w Międzynarodowym Komitecie i tacy są w krajowych komitetach korczakowskich.

Zdajemy sobie sprawę z tego, jak wielki obowiązek ciąży na nas, na Polakach, w tej dziedzinie. Zdajemy sobie sprawę z tego dlatego, że *Korczak* najtrwalsze ślady zostawił u nas w Polsce. Pisał po polsku, tworzył i pracował jako wychowawca.

Chciałbym powiedzieć, że w tej tragedii, jaka rozegrała się w czasie wojny w naszej ojczyźnie, w Polsce i w Warszawie, do miary symbolu urasta fakt, że oba domy zbudowane przez Janusza *Korczaka* pozostały, są do dziś te same, a jeden z nich, ten główny, na ulicy Krochmalnej, nosi jego imię.

Zdajemy sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka ciąży na nas, na członkach Międzynarodowego Komitetu Korczakowskiego. Dlatego też chcemy naszą pracę planować na wiele lat w przód, podejmować inicjatywy, które będą stale upamiętniały działalność Janusza *Korczaka*. Stąd też zajmujemy się nie tylko utrwalaniem jego dorobku i pamięci o nim, ale także — i, powiedziałbym, przede wszystkim — znaczeniem pedagogiki korczakowskiej dla czasów dzisiejszych, dla dni, w których żyjemy i które przyjdą. Gdyż w tym się wyraża ogromna aktualność pedagogiki *Korczaka*. To dobrze, naszym zdaniem, to bardzo dobrze, że tak się stało, iż Międzynarodowy Dzień Dziecka był jednocześnie rokiem stulecia Janusza *Korczaka*. Może to nawet nie zbieg okoliczności, może to symbol, gdyż Janusz *Korczak* był, jest i będzie potrzebny dzieciom i wychowawcom.

I to jest ta myśl, panie prezydencie, którą chciałem skończyć moje wystąpienie, prosząc pana jednocześnie, by zechciał pan przyjąć od Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza *Korczaka* medal, który wybiliśmy dla upamiętnienia tego Wielkiego Człowieka."

Również 14 stycznia odbyło się posiedzenie inauguracyjne w Instytucie Naukowym „Wan Lir" w Jerozolimie. Po wstępnych przemówieniach byłego ministra oświaty, *Jadlina*, i obecnego ministra oświaty i religii, *Hammera*, którzy wyrazili radość z powodu renesansu idei Janusza *Korczaka*, przewodniczący delegacji polskiej podkreślił, że *Korczak* stał się symbolem międzynarodowego ruchu humanistyczno-pedagogicznego. Prof. *Lewin* przedstawił, w swym referacie, który w zmodyfikowanej dla naszych zeszytów formie zamieszczamy po tym sprawozdaniu — główne założenia i cele INiOW im. Janusza *Korczaka*, jaki zostanie wzniesiony pod Warszawą i jaki będzie twórczo rozwijał wychowawcze idee *Korczaka*.

Architekt *Kiciński* przedstawił w imieniu sześcioosobowego zespołu autorskiego architektów, powołanego do opracowania projektu INiOW, założenia i zasady projektu. Instytut ma stać się jakby centrum wychowania dziecka, otwartym dla międzynarodowej współpracy. Obok szpitala—pomnika Centrum Zdrowia Dziecka [3] będzie on jako drugi żywy pomnik upamiętniać także miliony dzieci zamordowanych w czasie drugiej wojny światowej.

Zwiedzanie Instytutu Pamięci Narodowej *Yad Vashem* w Jerozolimie pozostawiło głębokie wrażenie. Przed wejściem do właściwego instytutu mijamy stylizowany, wielkich rozmiarów pomnik Janusza *Korczaka*, obejmującego dzieci, u którego stóp złożono kwiaty. Nastąpiło zwiedzanie wielkiego budynku pamięci, wysłuchanie w półmroku modłów kantora i pięknego śpiewu chóralnego dziewcząt, zwiedzanie muzeum, biblioteki i archiwum. W alei Sprawiedliwych — z drzewkami zasadzonymi dla upamiętnienia tych ludzi, którzy, narażając własne życie, ratowali Żydów w okresie hitlerowskiej okupacji — uderza wielka liczba, chyba największa, drzewek poświęconych Polakom. „Kto ratuje jedno życie, ratuje świat cały. Kto niszczy jedno życie, jakby niszczył cały świat." Nie wszędzie jednak, jak zobaczymy, było to tak samo należycie uwypuklone.

Rozmowy z dyrektorem *Aradem*, kierownikiem archiwum dr. *Krakowskim* i jego współpracownicą, Hadatą *Medlinger*, kierowniczką biblioteki Orą *Allikai* i innymi — wszystko to pozostawiło niezapomniane wspomnienie. Mogłem z przyjemnością odnaleźć w bibliotece Instytutu zeszyty „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

Wieczorne spotkanie z ministrem religii *Hammerem* było prawdziwym spotkaniem z historią, jakim zresztą był cały pobyt w Jerozolimie i Izraelu. Przy wspólnych stołach zasiedli przedstawiciele istniejących w Jerozolimie najróżniejszych wyznań i sekt religijnych w swych barwnych strojach: żydowscy rabini, katolicki ksiądz polski z Betlejem, polska siostra zakonna z Góry Oliwnej, arabscy mahometanie, prawosławny archimandryta, milczący druzowie (sekta izmailitów) i wielu innych. Wśród nich rozrzuceni byli uczestnicy sesji Międzynarodowego Stowarzyszenia im. *J. Korczaka*. Takie spotkanie przeżywa się jeden jedyny raz w życiu. Mówiono dyskretnie, że to harmonijne spotkanie przy wspólnym stole biesiadnym przedstawicieli różnych, nieraz skłóconych, zaciekle się zwalczających wyznań było możliwe jedynie dzięki osobistym walorom i staraniom Teddy *Kolka*, kochanego przez wszystkich prezydenta Jerozolimy.

Zwiedzanie Jerozolimy — zwłaszcza po rannym wprowadzeniu przez *Kolka* — ukazało nam niezwykle złożoną problematykę tego miasta licznych narodowości i wyznań, w którym obok najstarszych i najświętszych pamiątek powstają nowoczesne gmachy i instytucje. Na każdym kroku towarzyszy tchnienie dawnych wieków.

Wprowadzeni uprzednio przez prezydenta miasta, który z głębokim znawstwem i jednocześnie *con amore* rozwiązuje najtrudniejsze, konfliktowe sprawy tego miasta, pozwoliło choć trochę wniknąć w arkana dzisiejszego, skomplikowanego życia Jerozolimy, które stale ociera się o najdawniejsze wieki. Via Dolorosa ze swymi stacjami Męki Pańskiej, Golgota, Kościół Grobu Chrystu-

[3] Por. m. in.: W Zamościu ma powstać filia Centrum Zdrowia Dziecka. Wspólne posiedzenie Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa oraz Społecznego Komitetu Budowy Pomnika-Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka. Za wolność i lud, 1980, nr 15, s. 5.

sa, a z drugiej strony Państwowe Muzeum, Pałac Książki, Muzeum Świętych Pism, parlament (Knesset) itd. unaoczniają kontrasty i spotkanie z wiekami. Dzięki inwencji prezydenta *Kolka* w specjalnie wybudowanych, małych domkach gościnnych przebywają w tym mieście po kilka tygodni zaproszeni przez niego znakomici malarze, muzycy i kompozytorzy, uczeni, pisarze i inni.

Towarzyszący nam doskonały, inteligentny i dowcipny przewodnik, Michał *Landau* z Haify, który wówczas, po czterdziestu latach po raz pierwszy powrócił do polskiej mowy, jaką mimo początkowej tremy władał bardzo dobrze, ułatwił nam także zrozumienie uroków Jerozolimy i orientację w powikłanych strukturach. Okazuje się, że języka, zwłaszcza polskiego, nie zapomina się łatwo.

Nieco na południe od Jerozolimy położone jest miasteczko Betlejem (Betlehem) z Kościołem Bożego Narodzenia.

Zwiedziliśmy kibuc i Dom Pamięci im. Mordechaja *Anielewicza* (1919—1943), dowódcy Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB) i powstania w getcie warszawskim. Tamże stoi piękny pomnik *Anielewicza*. Zwiedziliśmy również kibuc Maale Hachamisha, w którym żyje i pracuje jeden z naszych przyjaciół i opiekunów, Leon *Harari*, tudzież kibuc Ein Charod, gdzie w czasie swej podróży do Palestyny mieszkał *Korczak*.

Na odrębną uwagę zasługuje kibuc Lohamei Hagetaot, mieszczący Muzeum Zagłady i Powstania (Ghetto Fighters' House). Dyrektor Muzeum, dr Cwi *Szner*, mówiący przepiękną polszczyzną, jest duszą tego muzeum. Żyje nim i wciąż je twórczo rozwija. Muzeum spełnia cele wychowawcze, głównie w stosunku do młodzieży.

Uderzało jednak, że zbyt mało uwzględniono w tym Muzeum pomoc udzielaną ludności żydowskiej przez ludność polską w okresie okupacji hitlerowskiej. Nie było to zgodne z rzeczywistością, a także z mnóstwem drzewek zasadzonych dla uczczenia Polaków w alei Sprawiedliwych Instytutu *Yad Vashem* w Jerozolimie. Odpowiedział dyr. *Szner*, że jest to słuszna uwaga i że zostanie to uzupełnione.

W tym muzeum odbyło się jedno z otwartych posiedzeń prezydium Międzynarodowego Stowarzyszenia im. *Korczaka* z referatami na temat Starego Doktora oraz dotyczącymi wychowania dzieci i młodzieży. W dyskusji ważne problemy wychowawcze poruszyli Kazimierz *Dębnicki* i Maria *Falkowska*. Z wypowiedzi piszącego to sprawozdanie przytaczam:

„Gdy we wrześniu 1939 r. hordy hitlerowskie napadły na Polskę i gdy zapanowała tu ciemna noc okupacji, władze hitlerowskie zastosowały wobec ludności polskiej program, który miał zamienić ludność tę w rezerwuar wyłącznie siły roboczej. Niszczenie inteligencji polskiej, profesorów uniwersytetów i szkół średnich, zamknięcie szkół wyższych i średnich, masowe osadzanie w więzieniach i obozach koncentracyjnych, czyli obozach zagłady, masowe egzekucje członków ruchu oporu i tzw. zakładników, wykonywane często publicznie na ulicach miast dla szerzenia grozy i terroru — to tylko część metod stosowanych z całą konsekwencją przez rząd hitlerowski.

Los ludności żydowskiej, wyjętej całkowicie spod prawa zgodnie z przerażającymi norymberskimi ustawami rasowymi, zmierzał pod bezpośrednim nadzorem Heinricha *Himmlera* i Adolfa *Eichmanna* do całkowitej zagłady tej ludności w Europie, do tzw. *Endlösung der Judenfrage*.

Gromadzono ludność żydowską w wydzielonych, bardzo ograniczonych pod względem przestrzennym dzielnicach miast, w tzw. gettach (hitlerowcy mówili także o *Judenbezirk*). Ograniczenie żywności i głód oraz epidemie sprowadzały ogromną śmiertelność, co było oczywiście jednym z celów hitlerowców. Głównie jednak chodziło siepaczom hitlerowskim o to, aby skupioną na ograniczonej przestrzeni i bezwolną ludność żydowską móc tym łatwiej przetransportować do obozów zagłady, jak Oświęcim, Majdanek, Treblinka, Sobibór, Bełżec, Chełmno i inne w celu ostatecznego unicestwienia, najczęściej gazem »cyklon B«, i spalenia w krematoriach bądź też wymordować ich bezpośrednio w tych skupiskach. Największe getto utworzono w Warszawie w listopadzie 1940 r. (obliczane na około pół miliona osób) oraz w Krakowie, w dzielnicy Podgórze, w marcu 1941 r. Od 22 lipca do 12 września 1942 r. wywieziono do komór gazowych Treblinki ponad 300 000 osób.

W Warszawie już z początkiem 1940 r. młodzież zgrupowana w PPS, wśród niej Stanisław *Dubois*, Leszek *Rabe*, Kazimierz *Dębnicki* i inni, rozpoczęła akcję pomocy Żydom.

Przypomnijmy jeden z dokumentów z owych lat, a mianowicie odezwę Kierownictwa Walki Cywilnej Kraju z 17 września 1942 r. Głosiła ona m. in.: »Obok tragedii przeżywanej przez społeczeństwo polskie, dziesiątkowawane przez wroga, trwa na naszych ziemiach, od roku blisko, planowa, potworna rzeź Żydów. Masowy ten mord nie znajduje przykładów w dziejach świata, bledną przy nim wszystkie znane z historii okrucieństwa. Niemowlęta, dzieci, młodzież i dorośli, starcy, kaleki, chorzy i zdrowi, mężczyźni, kobiety bez żadnej przyczyny innej niż przynależność do narodu żydowskiego są bezlitośnie mordowani, truci gazami, zakopywani żywcem, strącani z pięter na bruk, przed śmiercią przechodząc mękę powolnego konania, piekło poniewierki, udręki i cynicznego pastwienia się katów. Liczba zabitych i ofiar przewyższa milion i wzrasta z każdym dniem. Nie mogąc czynnie temu przeciwdziałać, Kierownictwo Walki Cywilnej w imieniu całego społeczeństwa polskiego protestuje przeciw zbrodni dokonywanej na Żydach. W tym proteście łączą się wszystkie polskie ugrupowania polityczne i społeczne. Podobnie jak w sprawie ofiar polskich, odpowiedzialność fizyczna za te zbrodnie spada na katów i ich wspólników«".

W Warszawie powstała w październiku 1942 r. Rada Pomocy Żydom — kryptonim »Żegota«. Inicjatywa wyszła w sierpniu 1942 r. niemal zaraz po rozpoczęciu zagłady getta warszawskiego od katolickiej grupy konspiracyjnej Frontu Odrodzenia Polski (FOP), w szczególności od dwóch kobiet, Zofii *Kossak* (»Weronika«) i Wandy *Krahelskiej-Filipowiczowej* (»Alina«). Była to prawdziwie błogosławiona działalność, chociaż nie mogła oczywiście odwrócić karty teutońskiego ludobójstwa.

W lutym 1943 r. utworzono w okręgu krakowskim Radę Pomocy Żydom, złożoną z przedstawicieli głównych stronnictw politycznych, z tzw. »grubej czwórki«, tj. Stronnictwa Ludowego (kryptonim »Trójkąt«), Polskiej Partii Socjalistycznej (kryptonim »Koło«), Stronnictwa Narodowego (kryptonim »Kwadrat«) i Partii Pracy (kryptonim »Romb«), a w skrócie zwaną »RPŻ Kraków«.

Nie ograniczono się oczywiście tylko do wspomnianego protestu, ale rozwinięto czynne działanie, jak 1) zapewnienie schronów dla ściganych, 2) nawiązanie kontaktu z więźniami obozów, 3) pomoc w przerzucaniu przez granicę na Węgry, 4) zaopatrywanie w żywność, leki i pieniądze, 5) dostarczanie »lewych« dokumentów, 6) wzięcie pod ochronę polskiego prawa podziemnego, 7) zorganizowanie wywiadu dla dekonspirowania i unieszkodliwiania żydowskich i polskich konfidentów hitlerowskich, 8) odpieranie hitlerowskiej propagandy dyskryminującej Żydów[4].

Program był szeroki, przerastał możliwości nielicznego zespołu, ale niezwykle ważna była działalność inicjatywna, zapładniająca ideowo.

Wielki wpływ na ukształtowanie się pozytywnego stosunku do zagadnienia pomocy Żydom miało przemówienie premiera rządu polskiego na emigracji, gen. broni Władysława *Sikorskiego*, do Kraju, wygłoszone w dniu 5 maja 1943 r., tj. 11 dni przed zdławieniem powstania w getcie warszawskim, przez radio brytyjskie, w którym dziękował on za pomoc udręczonym Żydom i prosił o dalsze udzielanie im wszelkiej pomocy i tępienie

[4] T. *Seweryn*: Wielostronna pomoc Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej. Przegl. Lek., 1967, nr 1, s. 162—183.

strasznego okrucieństwa, największej zbrodni w dziejach ludzkości.

Rychło dokonała się integracja ideologiczna w społeczeństwie polskim na gruncie szlachetnie pojętej humanitarności. Nieliczne przykłady sprzedawczyków, których zresztą można było niestety znaleźć po wszystkich stronach, nie mogą przesłaniać tej pięknej karty historii. Bardzo czynny w owym czasie i później Władysław *Bartoszewski* wraz z Zofią *Lewin* podał wiele wypowiedzi Polaków i Żydów o licznych, autentycznych faktach pomocy Żydom[5].

Rychło można było dostrzec, że teren polski, na którym systematycznie mordowano Żydów, był tylko poligonem, na którym hitlerowcy przygotowywali się do kolejnego po Żydach wyniszczenia Polaków. *Generalplan Ost* Heinricha *Himmlera* przewidywał wszakże, jak wyszło na jaw w procesie norymberskim, zesłanie na Syberię 50 milionów Słowian, w tym 20 milionów Polaków, a Hitler twierdził, że militarnie złamana i sterroryzowana Europa nie ośmieli się zagrodzić mu drogi. Jeśli w tych warunkach jedynie Polska, choć znajdująca się pod większym uciskiem niż którykolwiek kraj Europy zachodniej, zdobyła się na powołanie placówek Rady Pomocy Żydom, to temu faktowi należy przypisać wysokie wymiary i wysoką historyczną rangę.

Jeśli rząd III Rzeszy zdecydował się największe i najwięcej obozów zagłady zlokalizować na terenie Polski, to dlatego, że tu, ze względu na centralne położenie Polski wśród okupowanych obszarów Europy, najłatwiej było transportować ludność żydowską, po wtóre — tu żyło 3,5 miliona Żydów, po trzecie — stąd daleko trudniej wieści wydostawały się na zewnątrz niż z krajów zachodnioeuropejskich.

Ostateczna zagłada getta w Krakowie Podgórzu nastąpiła 13 i 14 marca 1943 r.

A gdy 19 kwietnia 1943 r. wybuchło powstanie w getcie warszawskim, które zostało 16 maja tegoż roku zdławione przez oddziały generała *SS*, Jürgena *Stroopa* — pisał dokładnie o tej tzw. *Grossaktion Stroopa* Kazimierz *Moczarski* w swej sławnej książce[6] — przeszło ono do historii jako bohaterski zryw ginących ludzi, którzy »nie chcieli ratować swego życia, wiedzieli bowiem, że żaden z nich żywy nie wyjdzie, chcieli ratować ludzką godność«, jak mówił Arie *Wilner*. Warszawa uczciła ten czyn pomnikiem na placu nazwanym placem Bohaterów Getta, a przylegającą doń ulicę nazwano ulicą Anielewicza, tj. 24-letniego dowódcy powstania, harcerza, który wraz z Arie *Wilnerem* (pseudonim »Jurek«), również harcerzem, łącznikiem między Żydowską Organizacją Bojową (ŻOB) a Armią Krajową (AK), popełnił samobójstwo po zdobyciu przez oddział *SS* bunkra, w którym mieściła się siedziba sztabu ŻOB. Pamięć o powstaniu w getcie czczona jest w Polsce zawsze w rocznicę jego wybuchu. (...)"

Uczestnicy omawianej sesji spotkali się także z członkami Światowej Federacji Bojowników Gett, Partyzantów i Więźniów Obozów Hitlerowskich (organizatorzy: ze strony Izraela Stefan *Grajek* i ze strony USA Eli *Zborowski*) oraz ze Związkiem Światowym Żydów Polskich (przewodniczący 86-letni *Reiss*, niezwykle żywotny). Zwiedzono Dom Związków Zawodowych — Histadrut.

Warto wspomnieć o Muzeum Żydowskiej Diaspory im. Nachuma *Goldmanna*[7] w Tel-Awiwie (Bejt Hatfusot). Jest to nowoczesne muzeum, z zastosowaniem zdobyczy elektroniki, nie zawierające oryginalnych eksponatów, ale eksponaty rekonstruowane, reprodukcje. Całość ma wielkie znaczenie dydaktyczne.

Przejmujące były spotkania z dziećmi w szkołach, np. w mieście Kiriat Gat czy Kiriat Motzkin niedaleko Haify, gdzie emerytowana dyrektorka szkoły, p. *Geller*, przygotowała chwytającą za serce pantomimę dziecięcą o „Kwiatach dla *Korczaka*", z bibliofilskim programem, pięknie wydrukowanym. Urocze dzieci z Europy, USA i Kanady, Afryki południowej i północnej, krajów arabskich i urodzone już w Izraelu, przypomniały na tle ujmujących motywów muzyki *Haendla, Mozarta, Chaplina, Villa-Lobosa* i innych, marsz Janusza Korczaka z dziećmi z Domu Sierot do śmierci w Treblince.

Zapytywały dzieci: dlaczego *Korczak* powiedział dzieciom, że prowadzi je na łąkę, do kwiatów i słońca? dlaczego kłamał, nie mówiąc prawdy, dokąd jadą? Przytoczmy tu motto do wiersza Jerzego *Ficowskiego* pt. Siedem słów: „»Mamusiu! Ja przecież byłem grzeczny! Ciemno! Ciemno!« (słowa dziecka zamykanego w komorze gazowej w Bełżcu 1942 r. — według zeznania jedynego więźnia, który ocalał). Rudolf *Reder* — Bełżec«, 1946 r."[8] Nieustanne były tu skojarzenia wesołych, roześmianych i szczęśliwych dzieci z obrazem dzieci wywożonych z getta warszawskiego i duszonych gazem „cyklon B" w komorach gazowych.

Niezwykle wzruszające i pamiętne były spotkania z poszczególnymi ludźmi. Starsza generacja mieszkańców Izraela mówi nienaganną polszczyzną, nieco archaizującą, co przydaje jej zresztą szczególnego uroku. Recytowali ci ludzie z pamięci wyjątki z poezji polskiej, np. prof. Jakob *Rotem*, pediatra z Tel-Awiwu, recytował wiersze Juliusza *Słowackiego*, prokurator Gideon *Hausner*, główny oskarżyciel Adolfa *Eichmanna*, wiersze Władysława *Broniewskiego*, prof. Hillel *Klein*, psychiatra z Jerozolimy, Tadeusza *Boya-Żeleńskiego*. Gdy podziwiałem ich czysty, piękny język polski i pamięć, odpowiadali: „Myśmy się na tym wychowali". Polska literatura i polska tradycja otoczone są tam szczerym i gorącym sentymentem.

Do szczególnie ważnych, może wręcz symbolicznych spotkań zaliczyłbym spotkanie z panią Ceską *Arnon* w dniu 18 stycznia 1981 r. w kibucu Ejn-Hamifrac. W obszernej sali klubu zgromadzili się członkowie kibucu, pani *Arnon* i jej rodzina. W tym kibucu mieszkał i pracował przez długie lata niedawno zmarły jej mąż, Józef *Arnon*, jeden z najbliższych przyjaciół Janusza *Korczaka*. Nie znałem osobiście Józefa *Arnona*, ale wiedziałem o nim wiele z opowiadań mego serdecznego przyjaciela, prof. Ericha *Dauzenrotha* z Giessen w RFN, który odwiedził *Arnona* w Izraelu i gościł go później u siebie. Wdowa po Józefie *Arnonie*, urocza, wysportowana pani, przyjęła nas chwytającym za serce przemówieniem o różnych etapach ciężkiej pracy od 1930 roku. Miała ona „to smutne szczęście być z mężem w najcięższych godzinach i wie, jak bardzo kochał i cenił on *Korczaka*".

Wypowiedzi nasze dały wyraz temu, iż spotkanie Polaków z Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Niemców z Republiki Federalnej Niemiec tu, w domu Józefa *Arnona* w Izraelu jest chyba jakimś pośmiertnym, wielkim zwycięstwem Janusza

---

[5] W. *Bartoszewski*, Z. *Lewinówna*: Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom. Kraków 1966, Znak; wyd. 2, rozszerz.: 1969.

[6] K. *Moczarski*: Rozmowy z katem. Wyd. 3, Warszawa 1978, PIW.

[7] Nachum *Goldmann* był honorowym prezesem Światowego Kongresu Żydów. Wywiad z nim, przeprowadzony w Warszawie przez Wiesława *Górnickiego*, a opublikowany w Życiu Warszawy, został przedrukowany w Przegl. Lek., 1979, nr 1, s. 6—7.

[8] J. *Ficowski*: Odczytanie popiołów. Wiersze. Londyn 1979, Association of Jews of Polish Origin in Great Britain, s. 21.

Korczaka. Fakt, że znaleźliśmy się tu razem jak jedna rodzina, pod hasłem i w imię ogólnoludzkich ideałów pokoju i zbliżenia między narodami, jest jakimś symbolem, który zawdzięczać należy Januszowi *Korczakowi*. *Korczak* stał się prawdziwym pomostem między narodami — *pons inter nationes*.

Nie mogę pominąć jeszcze pewnej nuty osobistej. Do bardzo dla mnie wzruszających należały przypadkowe spotkania niektórych osób, będących w dawnych latach moimi pacjentami, kiedy przez ponad 25 lat byłem kierownikiem I Kliniki Chirurgicznej AM w Krakowie.

W kibucu Ewron spotkałem panią, która przebywała w Krakowie do 1957 r., kiedy to wyemigrowała do Izraela. Pokazała mi zdjęcie mojej i swojej córki, 10-letnich wówczas koleżanek w szkole, dzisiaj już dojrzałych kobiet, mających swoje dzieci.

A gdy kiedyś — w czasie zwiedzania w Massua kibucu Tel-Icchak — padło pytanie, dlaczego najliczniejsze i największe obozy zagłady były właśnie na terenie Polski — była to aluzja do szerzonych przez wrogą propagandę oszczerstw, jakoby Polacy mieli pomagać w tym hitlerowcom — i gdy padła moja odpowiedź, że rząd hitlerowski dlatego postanowił zlokalizować najwięcej i największe obozy na terytorium Polski, iż po pierwsze, jak już wspomniałem, ze względu na centralne położenie jej wśród okupowanych krajów Europy tu najłatwiej było transportować ludność żydowską, po wtóre tu, już na miejscu, żyło 3,5 miliona Żydów, a po trzecie, stąd daleko trudniej aniżeli z krajów Europy zachodniej przerażające wieści o zbrodniach hitlerowskich wydostawały się na zewnątrz — na twarzach naszych rozmówców malowało się pełne zrozumienie. W związku z tą rozmową otrzymałem piękny, głęboko przejmujący list z Izraela, przyznający zasadność tej argumentacji[9]. Pełna była zgodność co do tego, że należy poszukiwać i przekazywać, zwłaszcza młodzieży, nie to, co nas dzieli, ale to, co łączy. Nikomu nie może służyć szerzenie tendencyjnej, nieobiektywnej propagandy. Prawda w końcu zawsze się przebije i zwycięży.

A gdy przyszło ostatnie spotkanie w Domu Dziennikarzy w Tel-Awiwie, mgr Alicja *Szlązakowa* złożyła w imieniu delegacji polskiej wyrazy serdecznego podziękowania za wielką gościnność Komitetowi Korczakowskiemu w Izraelu i innym organizacjom i instytucjom, które przyczyniły się do wzbogacenia programu i które nas gościnne przyjmowały, w szczególności p. Beniaminowi *Anolikowi*, na których barkach spoczywał główny trud organizacji naszego pobytu, jego pomocnikom — paniom Miriam i Sulamit, przewodnikowi Michałowi *Landauowi*, opiekunowi grupy Markowi, wreszcie wychowankom Janusza *Korczaka* i członkom jego bursy.

Janusz *Korczak* żył, pracował i tworzył w polskiej Warszawie. Tu wychowywał dzieci żydowskie w Domu Sierot i dzieci polskie w Naszym Domu, tu pisał w języku polskim swe cudowne książki dla dzieci i dla dorosłych o dzieciach, tu pracował jako lekarz. Prawda, że spotkały go także bolesne przykrości. Ale czy żywoty ludzi, zwłaszcza wielkich ludzi, układają się bez chmur,

[9] Zob. dział „Listy" w niniejszym zeszycie; w dziale „Oceny" wymieniono niektóre teksty udostępnione na omawianej sesji.

Pomnik Janusza *Korczaka* przed wejściem do Instytutu Pamięci Narodowej *Yad Vashem* w Jerozolimie (fot. L. *Harari*)

czy bywają usłane różami? Może bywają także i takie, ale chyba bardzo rzadko, a może nawet tylko wyjątkowo. Żywoty wielkich ludzi nie były chyba prawie nigdy pozbawione cierpień.

Czy słuszne jest podkreślanie, niekiedy nawet z naciskiem — z czym można spotkać się w Izraelu — że *Korczak* był Żydem? Czy słuszna jest ta nuta nacjonalizmu? Nie łączył go z Izraelem ani język, ani religia, ani praca. Jego dwie podróże do Palestyny nie mogą wszakże o tym stanowić. Chyba słuszne jest przyjęcie, że był Polakiem pochodzenia żydowskiego, a przede wszystkim jednym z wielkiej społeczności ofiar totalitaryzmu hitlerowskiego. Wypada powtórzyć: poszukujmy tego, co łączy, a nie tego, co dzieli.

A ponad całą, niezwykłą podróżą, ponad spotkaniami z historią, unosiła się w złotych ramkach postać Janusza *Korczaka*, tego Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Dziecięcej.

Opisana podróż do Izraela nie jest wyjątkowa, w połowie lipca 1981 r. bowiem wyjechała tam delegacja Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, z przewodniczącym Zarządu Głównego, Włodzimierzem *Sokorskim*, w celu wzięcia udziału w uroczystościach zorganizowanych dla upamiętnienia 36. rocznicy wyzwolenia obozów, a także grupa robocza Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce pod przewodnictwem jej dyrektora, prof. dr. Czesława *Pilichowskiego*, przeprowadziła ważne rozmowy (w Komitecie Yad Vashem, z historykami drugiej wojny światowej, w instytucjach izraelskich zajmujących się sprawami ścigania i karania zbrodni hitlerowskich itp.), uzgodniła dalsze współdziałanie w zakresie wymiany dokumentacji dotyczącej tych zbrodni, spotkała się z oburzeniem wobec łagodności postępowania sądowego w RFN w stosunku do zbrodniarzy hitlerowskich, przekazała cenną dokumentację zagłady Żydów w Polsce i Europie, wzięła udział w uroczystościach włączenia do „sprawiedliwych wśród narodów świata" i w zasadzeniu drzew oliwkowych w alei Sprawiedli-

wych polskiej rodziny *Hajdasów*, prof. *Pilichowski* wygłosił odczyt na temat ludobójczej polityki III Rzeszy wobec Polaków i Żydów itd.

Tak więc poprzez narodowości i granice przenikają na gruncie problematyki drugiej wojny światowej idee krzewienia prawdy, humanitarnych zasad i protestu wobec barbarzyńców cywilizacji naszego stulecia, a świadków koszmaru hitlerowskiego i jego rzetelnych badaczy łączy w świecie obowiązek przekazywania młodszym pokoleniom spraw, które właśnie symbolizuje m. in. Stary Doktor.

ALEKSANDER LEWIN

Warszawa

Założenia Instytutu Naukowego i Opiekuńczo-Wychowawczego im. Janusza Korczaka

W roku Korczakowskim, tzn. 1978, wyłoniła się idea, ażeby upamiętnić życie i dzieło *Korczaka*, tworząc Instytut Naukowy i Opiekuńczo-Wychowawczy (INiOW) jego imienia, w Warszawie, na peryferiach miasta, w Łomiankach, w pięknym zakolu Wisły. W tej Warszawie, którą Stary Doktor tak ukochał. „Oderwany od Warszawy, odczuwam żrącą tęsknotę" — pisał w Pamiętniku, krótko przed śmiercią, w getcie.

Od końca roku 1978 rozpoczęto pracę w dwóch zespołach: architektów i pedagogów. Prace te są już dość poważnie zaawansowane. Grupę warszawskich architektów reprezentował na sesji prezydium Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza *Korczaka* (w Izraelu, 13—21 stycznia 1981 r.) inż. Andrzej *Kiciński*, główny projektant ośrodka dziecięcego, który pragniemy zbudować pod Warszawą. Projekty opracowane przez naszych architektów są bardzo wysoko cenione nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach. Miałem okazję prezentować je we Francji w czasie Kongresu Freinetowskiego w Caen. Wzbudziły one duże zainteresowanie i uznanie.

Obok architektów i równolegle z nimi działa grupa pracowników Instytutu Badań Pedagogicznych w Warszawie. Przygotowuje ona dokumentację pedagogiczną, tzn. tę dokumentację, która ma wyjaśnić, jak sobie wyobrażamy organizację życia dzieci i rozwój działalności różnych placówek w projektowanym ośrodku opiekuńczo-wychowawczym. Chodzi bowiem nie tylko o to, by powstało kilka nowych placówek oświatowo-wychowawczych służących potrzebom dzieci, lecz o to głównie, by w Łomiankach kontynuować i rozwijać dzieło rozpoczęte przed laty przez *Korczaka*.

Przed przystąpieniem do charakterystyki założeń pedagogicznych i organizacyjnych projektowanego ośrodka warto zarysować jego obraz instytucjonalny, przedstawiony na rycinie.

W centrum schematu znajduje się instytut naukowy (IN). Zakładamy, że ma to być placówka badawcza nowego typu, tzn. taka, która się będzie zajmowała zarówno projektowaniem, jak i współtworzeniem nowo powstającego systemu wychowawczego i opiekuńczego. W pierwszym kręgu, najbliżej centrum, umieściliśmy różnego typu szkoły, placówki kształcące: od przedszkola począwszy, poprzez małą szkołę dla dzieci — od klasy zerowej (wstępnej) i pierwszej do trzeciej. Następny szczebel — to szkoła od czwartej do ósmej klasy, czyli mniej więcej do 14—15 roku życia i wreszcie szkoła dla młodzieży — od klasy dziewiątej do dwunastej, czyli do osiemnastu lat. W tym okresie problemy kształcenia ogólnego będą się już w dużej mierze wiązały ze zdobywaniem orientacji zawodowej, a częściowo nawet i umiejętności zawodowych. Służyć temu będzie cały kompleks placówek znajdujących się w Ośrodku oraz odpowiednio pomyślana organizacja życia i pracy wychowanków, począwszy zresztą już od klas młodszych.

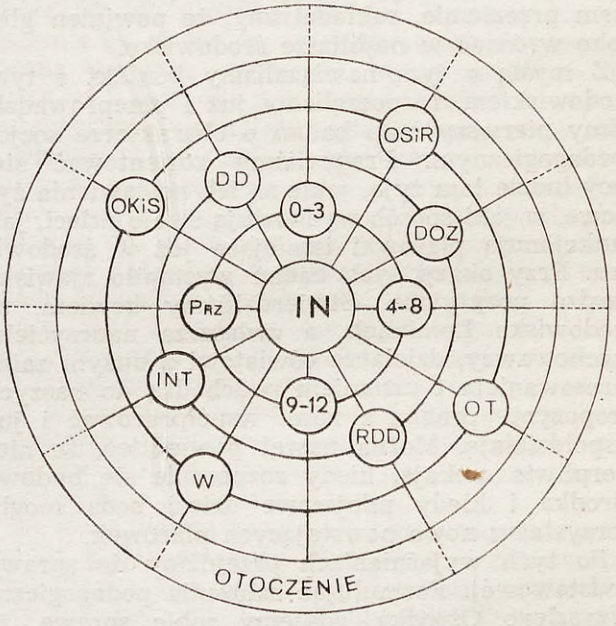

IN — instytut naukowy
Prz — przedszkole
0—3 — szkoła szczebla podstawowego
4—8 — szkoła szczebla systematyzującego
9—12 — szkoła szczebla kierunkującego
DOZ — dom opieki zdrowotnej
RDD — rodzinne domy dziecka
INT — internat
DD — korczakowskie domy dziecka w Warszawie
OSiR — ośrodek sportu i rekreacji
OT — ośrodek techniki
W — warsztaty

Oprócz kompleksu placówek szkolnych przewidujemy cały zespół placówek typowo opiekuńczych, a więc: małe rodzinne domy dziecka, internat dla dzieci starszych, mieszkających z dala od rodziny. Chcielibyśmy również włączyć do tego systemu opieki i wychowania obydwa korczakowskie domy dziecka istniejące w Warszawie: dom, który znajdował się przed laty na ulicy Krochmalnej (obecnie: Jaktorowska) i „Nasz Dom" na Bielanach. Zamierzamy także rozbudować — zaznaczyliśmy to w schemacie — całą sieć placówek, które nazywamy wspomagającymi. Będzie to: ośrodek kultury i sztuki, ośrodek techniki, ośrodek sportu i rekreacji, warsztaty, a ponadto — należałoby zorganizować tam pracę o charakterze rolniczym, w której będą uczestniczyły dzieci.

Tyle najogólniej, jeśli chodzi o kształt instytucjonalny przyszłego Instytutu Naukowego i Opiekuńczo-Wychowawczego im. J. *Korczaka*. Mając ten obraz przed oczyma, łatwiej będzie mówić o zamierzeniach ściśle pedagogicznych. Koncepcja, którą chciałbym zarysować, ma charakter jak najbardziej otwarty i dyskusyjny. W niejednym punkcie trzeba będzie ją modyfikować. Być może również, że nasi koledzy architekci niejedno jeszcze zmienią w toku dalszych przymiarek i zdobywania nowych doświadczeń. Staramy się projektować z dużą ostrożnością, stale kontrolując i konsultując nasze propozycje.

Z myślą o tym zorganizowaliśmy w grudniu 1980 roku krajową naradę ekspertów. Przedstawiliśmy im szczegółowe opracowanie, ukazujące najważniejsze założenia naszej koncepcji i propozycje rozwiązań. Między innymi wyjaśniliśmy, na czym polegać ma związek projektowanego ośrodka z najbliższym środowiskiem. Wyszliśmy z założenia, że nowo powstający ośrodek nie powinien być jakimś tworem wyobcowanym ze środowiska, wyizolowanym czy w pewnym sensie elitarnym lub, co gorsze, uprzywilejowanym. Całkiem przeciwnie, zakładaliśmy, że powinien głęboko wrosnąć w najbliższe środowisko.

Z myślą o tym nawiązaliśmy kontakt z tym środowiskiem, rozpoczęliśmy już i przeprowadziliśmy pierwszy etap badań o charakterze socjo-pedagogicznym. Pragnęliśmy zorientować się, jacy ludzie tam żyją, jakie są ich nastawienia życiowe, w jaki sposób wychowują swoje dzieci, jak funkcjonują placówki istniejące już w środowisku. Przy okazji tych badań wystąpiło zjawisko bardzo pozytywne. Stwierdziliśmy bowiem, że środowisko Łomianek, a zwłaszcza nauczyciele, wychowawcy, działacze oświatowi z dużym zainteresowaniem i uznaniem podchodzą do naszych propozycji, pragną z nami współpracować i już współdziałają. Można nawet powiedzieć, że niecierpliwie czekają, kiedy rozpocznie się budowa ośrodka i kiedy miejscowe dzieci będą mogły korzystać z nowo powstających placówek.

Po tych wyjaśnieniach przejdźmy do sprawy podstawowej. Formułując założenia pedagogiczne przyszłego Ośrodka, zdajemy sobie sprawę, że kontynuowanie kierunku korczakowskiego jest problemem bardzo złożonym. Nie może to być tylko piękny szyld, a tak przecież bywa niekiedy w różnych placówkach. Mówi się w nich wiele o *Korczaku*. I choć są to przeważnie słowa szczere, pełne uznania i podziwu, to jednak proces czerpania z jego bogatego dorobku ma na ogół charakter bardzo uproszczony, sprowadza się najczęściej do stosowania niektórych korczakowskich technik wychowawczych, natomiast brak jest zrozumienia jego najważniejszych idei pedagogicznych, którym techniki te były podporządkowane.

Po to, ażeby należycie zrozumieć i uchwycić te najważniejsze idee, trzeba przede wszystkim uświadomić sobie, że *Korczak* — działając przed laty w bardzo trudnych warunkach, próbując rozwiązać ówczesne problemy ratownictwa biologicznego w stosunku do dzieci sierocych i opuszczonych, organizując szeroko zakrojoną jak na owe czasy działalność socjalną (jako lekarz, pedagog i pisarz) — miał zamierzenia nie tylko doraźne, ale i dalekosiężne. Rozwijał koncepcje bardzo ambitne. Kiedy wczytujemy się głębiej w jego dzieła i poznajemy działalność *Korczaka*, wychodzi na jaw, iż szło mu w istocie rzeczy o realizację idei głęboko pojętej odnowy ludzkości, odnowy samego człowieka, jego natury. Nieustannie wracał do tej kwestii i próbował działać w tym właśnie kierunku. Stały temu jednak na przeszkodzie ówczesne warunki życia.

Jeśli zatem obecnie w projektowanym Ośrodku chcemy urzeczywistnić dążenia charakterystyczne dla jego działalności, to należałoby iść w kierunku zapoczątkowanym przez niego, szukając takiego systemu wychowania, który nie ogranicza się do tworzenia korzystnych warunków dla rozwoju fizyczno-biologicznego dzieci, lecz który pomaga dzieciom stawać się autentycznymi ludźmi, tak żeby mogły być sobą i miały otwartą szeroką drogę dla swej ekspresji twórczej we wszystkich sferach ich działania, myślenia, samowyrażania. Jest to idea niesłychanie trudna do realizacji w dzisiejszych czasach, kiedy cały niemal układ życia i cały rozwój cywilizacji prowadzi do deprawacji człowieka, zubożа, sprawia, iż staje się on mało znaczącą śrubką w coraz bardziej złożonej maszynerii życia społecznego. Ludzie umęczeni są stresami, niepokojami, zagrożeniami, żyją w ciągłym napięciu, które niszczy ich zdrowie fizyczne i psychiczne. W takim a nie innym świecie żyją i rozwijają się nasze dzieci.

Tworząc w takim świecie system wychowania, nie można nie liczyć się z tymi wszystkimi uwarunkowaniami, ale jednocześnie ciąży na nas obowiązek uwalniania dzieci od tych destrukcyjnych napięć, rozwijania ich potencjałów wewnętrznych i możliwości twórczych. Jest to zadanie bardzo trudne, ale czy całkowicie nierealne, utopijne? Korczakowi też bardzo często zarzucano, że to, co robi i do czego zmierza, ma charakter utopijny. Nie był to jednak zarzut słuszny. *Korczak* po prostu swoimi koncepcjami i działaniami wyprzedzał epokę, torował drogę nowym rozwiązaniom, które wówczas może nie były realne, ale dzisiaj? Pod wieloma względami są realniejsze, choć pojawiły się nowe, złożone problemy.

Nawiązując do poszukiwań i osiągnięć wychowawczych *Korczaka*, pragniemy jednocześnie czerpać z innych cennych doświadczeń pedagogicznych współczesności. Chcemy korzystać z doświadczeń, które od lat rozwijają się w Polsce. Interesuje nas m. in. ruch freinetowski, wywodzący się z Francji. Warto w tym miejscu przypomnieć, że określenie to pochodzi od nazwiska Célestina *Freineta* (1896—1966), francuskiego nauczyciela i pedagoga, który stworzył oryginalną metodę nauczania początkowego, bez używania podręczników szkolnych, a opartą na swobod-

nej ekspresji dziecka, wyrażanej za pomocą tekstów i rysunków. Ruch ten ma w Polsce wielu zwolenników, zwłaszcza gdy chodzi o nauczanie szkolne pojęte nowocześnie.

Interesują nas bardzo nowatorskie doświadczenia pedagogiczne również innych krajów. Prowadzimy w tej dziedzinie systematyczne studia i badania, chcąc wyłowić z ogromu doświadczeń to, co może być nam najbliższe, przejęte czy zmodyfikowane. Na wspomnianą sesję w Izraelu przyjechałem z wielką nadzieją, że znajdę cenne tworzywo, które pomoże nam w formułowaniu założeń koncepcji pedagogicznej projektowanego Instytutu im. J. *Korczaka*. Przywiązujemy bardzo dużą wagę do doświadczeń wychowawczych, jakie zgromadzono w tak jedynych w swoim rodzaju ośrodkach społeczno-gospodarczych, jakimi są kibuce. Sprawa ta bardzo nas interesuje. W czasie naszego tam pobytu zajęliśmy się m. in. tą właśnie kwestią. Znamy książkę *B. Bettelheima*, który w połowie lat sześćdziesiątych dokonał bardzo interesującej psychologicznej analizy doświadczeń wychowawczych kibucu, ale czasy idą naprzód i pojawiły się nowe ciekawe zjawiska i nowe opracowania dotyczące wychowania kibucowego. Były one referowane na styczniowej sesji w Izraelu.

Pragnąłbym jeszcze wyjaśnić, choć może to wydać się dziwne, że nie traktujemy całej sprawy przyszłego Instytutu jako eksperymentu pedagogicznego. Dla nas jest to raczej złożony eksperyment społeczno-pedagogiczny, który ma zweryfikować możliwości zorganizowania innego modelu życia ludzi, ludzi dorosłych i dzieci. A więc nie chodzi o jakieś eksperymentowanie, jak to się mówi, na dzieciach, lecz o wspólne z dziećmi tworzenie nowych form życia, takich form, w których czuliby się dobrze zarówno dorośli, jak i dzieci. Nie chcemy uszczęśliwiać dzieci jakimś systemem wychowania, który by im nie odpowiadał. W tym miejscu ktoś może powiedzieć, że to zakrawa na pajdocentryzm. Nie sądzę. Po prostu uważamy, że w procesie wychowania dzieci są one nie tylko „użytkownikami" systemu, lecz również jego współtwórcami. Małe to osiągnięcie, a właściwie żadne, gdy dorośli są bardzo zadowoleni z systemu wychowania, jaki wprowadzili w życie, a dzieci szukają miejsca dla siebie i swoich spraw poza tym systemem.

Oczywiście, przyjmując takie generalne założenia, trzeba rozwiązać bardzo wiele konkretnych problemów. Opracowaliśmy dość szczegółowo projekt instytutu naukowego, który ma kierować całością prac przygotowawczych i zapoczątkowujących tworzenie systemu wychowania. Instytut ten traktujemy jako instytut nowatorstwa pedagogicznego. Chcielibyśmy zgromadzić w tym instytucie materiały charakteryzujące najcenniejsze inicjatywy, doświadczenia i osiągnięcia innowacyjne w skali światowej. Pragnęlibyśmy, ażeby każdy, kto przyjedzie do nas i zechce się dowiedzieć, jakie są najciekawsze osiągnięcia nowatorskie w zakresie wychowania w różnych krajach, mógł znaleźć odpowiedni materiał dla studiów i żeby mógł później krytycznie spojrzeć na to, co robimy i czy nadążamy za postępem, czy też może nie bardzo sobie radzimy.

Wiadomo przecież, że twórczości pedagogicznej nie można zadekretować z góry. Czy zdołamy rozwinąć autentyczną twórczość pedagogiczną, która wniesie rzeczywiście coś nowego do praktyki i teorii wychowania, czy też zdobędziemy się na dzieło dość przeciętne, choć może pożyteczne, tego nikt z nas w tej chwili nie może przewidzieć. Będzie to zależało od tego, jaki zespół ludzi przystąpi do pracy, z jakim nastawieniem, czy potrafi wykrzesać z siebie twórczą inicjatywę, entuzjazm, wytrwałość. Wiemy dobrze, że wszystko co nowe nie rodzi się łatwo. Nie mamy pod tym względem złudzeń.

Jeden z najtrudniejszych problemów, z jakimi w tej chwili borykamy się i wokół którego toczyła się dyskusja na niedawnej krajowej naradzie ekspertów — to sprawa kształcenia, a konkretnie mówiąc — takiego zorganizowania kompleksu szkół w ośrodku, żeby można było przezwyciężyć mankamenty systemu klasowo-lekcyjnego. Cokolwiek byśmy o tym systemie powiedzieli, że był on w swoim czasie konieczny dla masowego kształcenia, to jednak faktem pozostaje, że w coraz mniejszym stopniu wytrzymuje on konfrontację z życiem i że trzeba go zastąpić zupełnie innym systemem. Takim, w którym dziecko znalazłoby w szkole swoje miejsce pracy, swoje środowisko, gdzie mogłoby się rozwijać zgodnie ze swoimi indywidualnymi zainteresowaniami i dążeniami, gdzie po prostu pracowałoby już od maleńkości poważnie, głęboko, jak badacz, bo dziecko jest już od najwcześniejszej maleńkości badaczem, a jednocześnie odczuwa ono potrzebę działania, przekształcania najbliższego środowiska. Taką wizję rozwinął *Korczak* w swojej „Szkole życia". Taką wizję chcielibyśmy ucieleśnić w Ośrodku, przełamując inercję pedagogiczną, która hamuje wszelkie ambitniejsze zamierzenia wychowawcze.

Rok Korczakowski mamy już za sobą, a wraz z nim, jak wiadomo, wiele poczynań stanowiących kontynuację tego Roku. Z doświadczeń, jakie narastają, wynika, że idee pedagogiczne *Korczaka* (w ich głęboko ludzkim, humanistycznym rozumieniu, a każda wybitna twórczość pedagogiczna ma taką wymowę) budzą nadal — nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach — żywe, autentyczne, nieokolicznościowe zainteresowanie.

Śledząc losy recepcji idei korczakowskich — zarówno w przeszłości, jak i w naszych czasach — łatwo zauważyć, że recepcja ta sprowadza się głównie do tłumaczenia i popularyzowania najbardziej znanych utworów *Korczaka* — i tych, które adresował bezpośrednio do dzieci, i tych, które pisał z myślą o dorosłym czytelniku. Pod tym względem i w tej dziedzinie można odnotować poważne osiągnięcia w wielu krajach, zwłaszcza w ostatnich kilku latach (nowe edycje pism *Korczaka*, prace poświęcone *Korczakowi*, liczne seminaria, sesje, prelekcje i dalsze poważne zamierzenia w tym zakresie).

O wiele słabiej rysuje się nurt czerpania z dorobku pedagogicznego *Korczaka* w praktycznej działalności różnego typu instytucji oświatowo-wychowawczych i opiekuńczych. Takie próby podejmowano co prawda za życia *Korczaka* i w latach późniejszych, nie przerodziły się one jednak w tak wyraźnie ukształtowany i rozwijający się ruch, jak to dzieje się np. w przypadku ruchu freinetowskiego czy makarenkowskiego.

Jeśli nawet, formalnie rzecz biorąc, można obecnie naliczyć w naszym kraju przeszło 200 placówek oświatowych i opiekuńczych, mających

w swoim herbie jako patrona Janusza *Korczaka*, to tylko nieliczne z nich można by potraktować jako placówki głębiej i bardziej samodzielnie nawiązujące do spuścizny Starego Doktora. Pozostaje zatem wciąż sprawą otwartą, na czym właściwie polega czy polegać może kontynuacja pedagogiki korczakowskiej w nowych, zmienionych warunkach. Nie wystarczy przecież szyld. Nie wystarczy okazywanie zrozumiałego podziwu dla życia i działalności *Korczaka*. Nie wystarczy zewnętrzne, mechaniczne przejmowanie i stosowanie niektórych technik korczakowskich. Chodzi o coś więcej: o realizowanie podstawowych idei korczakowskich — w zupełnie innych czasach, w nowych warunkach i przy pomocy nowych środków, jakimi obecnie dysponujemy, jakkolwiek wydają się one zawodne w obliczu nowych sytuacji.

Gdy zatem szukamy właściwego, korczakowskiego punktu wyjścia dla określenia założeń koncepcji pedagogicznej INiOW, trzeba uświadamiać sobie, że *Korczak*, rozwiązując palące, ówczesne problemy ratownictwa biologicznego i organizując szeroko zakrojoną działalność socjalną na rzecz najbiedniejszych dzieci, w istocie rzeczy szedł o wiele dalej w swoich zamierzeniach i realizacjach: kierował się ideą głęboko sięgającej odnowy podstaw życia społeczeństwa, odnowy gatunku ludzkiego, samego człowieka, odnowy stosunków międzyludzkich, a zwłaszcza stosunków między ludźmi dorosłymi a dziećmi. Postulował zmianę pozycji dziecka w społeczeństwie ludzi dorosłych. Był bodaj pierwszym w dziejach myśli pedagogicznej, który potraktował dzieci jako kategorię społeczną.

Na gruncie tej koncepcji życia odnowionego, lepszego, wyrosła idea samorządnego społeczeństwa dziecięcego, kierującego się swoistymi dla jego mentalności i doświadczeń prawami i normami, działającego w dużej mierze na zasadzie samostanowienia, partnerskiej umowy zawartej z ludźmi dorosłymi. Ta właśnie idea, leżąca u podstaw korczakowskiej koncepcji i systemu wychowania nie tylko dziecka, ale i ludzi dorosłych, nabiera obecnie szczególnej aktualności, współdźwięczy z ruchem rozpoczynającej się, choć spóźnionej, ale jakże głęboko sięgającej socjalistycznej odnowy naszego życia. W ostatecznych swoich konsekwencjach ruch ten zmierza do reedukacji ludzi, do zmiany nawyków myślenia, działalności, reagowania, do eliminowania tego wszystkiego, co ogranicza autentyzm życia człowieka, jego możliwości bycia sobą, działania na rzecz prawdy i uczciwości, co narusza jego poczucie godności. Czyż nie o to chodziło *Korczakowi*? Czyż nie tego rodzaju postawy kształtował u swoich wychowanków?

Trzeba było przypomnieć te najogólniejsze przesłanki myślenia i działania *Korczaka*, gdyż wynika z nich, że projektując zewnętrzny kształt INiOW i wewnętrzną organizację życia w różnych instytucjach, które tam będą działały, oraz w różnych dziedzinach, należałoby zakładać, iż będzie to w istocie rzeczy szeroko pojęty eksperyment społeczno-pedagogiczny, obejmujący swoim zasięgiem nie tylko dzieci i młodzież przebywającą w INiOW, lecz również ludzi dorosłych pracujących tam, a także ludzi z najbliższego środowiska, zwłaszcza rodziców. Chodzić zatem będzie o stworzenie nowego modelu nie tylko wychowania, ile współżycia ludzi, dorosłych i dzieci, współdziałania, porozumienia się, wzajemnego uzupełniania się i wzbogacania duchowego. Może są to zamierzenia zbyt daleko idące, ktoś mógłby powiedzieć — utopijne, ale przecież i *Korczakowi* nieustannie zarzucano, że myśli kategoriami utopijnymi.

Opracowując koncepcję pedagogiczną i organizacyjną INiOW, bierzemy stale pod uwagę, że chodzi tu nie o pojedynczą placówkę, lecz o cały kompleks instytucji oświatowo-wychowawczych, opiekuńczych i innych, wzajemnie ze sobą powiązanych i mających stanowić względnie spoisty układ. W tym kontekście wyłania się kilka problemów:

a) konieczność dokładniejszego zbadania zbliżonych doświadczeń (miasteczka i komuny dziecięce po rewolucji 1917 r., nasze doświadczenia powojenne, kompleksy placówek w różnych miastach (Francji i na Węgrzech), doświadczenia kibuców (w Izraelu);

b) uświadomienie sobie odrębności i wyjątkowości zespołu placówek w INiOW (instytut naukowy jako ośrodek sterujący, a w każdym razie odgrywający szczególną rolę w całości życia INiOW), rodzinne domy dziecka i postulowane już włączenie obydwu korczakowskich domów dziecka z Warszawy itd.);

c) opracowanie programu działalności dla całego zespołu placówek, przy pozostawieniu każdej placówce dużej samodzielności w planowaniu i działaniu (zasada autonomii).

W obecnej, wstępnej fazie projektowania koncepcji pedagogicznej i organizacyjnej pragniemy zarysować — choćby najogólniej — instytucjonalny kształt INiOW. W ten sposób chcielibyśmy dopracować się takich propozycji, które mogłyby być użyteczne w pracy współdziałających z nami architektów. Jednakże brak znajomości wielu elementarnych przesłanek utrudnia wykonanie tego zadania. Niewiele możemy powiedzieć o dzieciach, jakie znajdą się w placówkach INiOW, o ich rodzicach, nie potrafimy wiele powiedzieć o nauczycielach, wychowawcach, innych osobach, które będą tam działały. W tej sytuacji możemy wysunąć nieco bardziej zaawansowane propozycje dotyczące projektu instytutu naukowego. W innych wypadkach musimy ograniczyć się do mniej czy bardziej ogólnych sugestii.

Jest naszym obowiązkiem zarysować początek koncepcji, ale dalszy ciąg pracy nad tą koncepcją i jej realizacją powinien odbywać się wspólnie z tymi osobami, które z czasem będą organizowały poszczególne placówki czy dziedziny pracy w INiOW i odpowiadały za nie.

Jednym z najtrudniejszych problemów do rozwiązania jest zaprojektowanie kompleksu szkół: założeń, kierunków i sposobów ich działalności. Poruszając tę sprawę, mamy poczucie, że wchodzimy w oko cyklonu oświatowego, w tym bowiem punkcie krzyżują się ze sobą i ścierają najrozmaitsze koncepcje, trudne do pogodzenia. Musimy znaleźć jednoznaczną odpowiedź na wiele pytań: Jaki ma być nasz stosunek do istniejącego modelu szkoły? Jakie są możliwości przezwyciężenia ograniczeń systemu klasowo-lekcyjnego? Jak uczynić szkołę szkołą życia, miejscem życia, rzeczywistej pracy i optymalnego rozwoju dziecka? Jak uwolnić ją od destrukcyjnego balastu napięć, konfliktów, nieporozumień? Chodzi

tu przede wszystkim o ochronę dziecka, ale również o nauczyciela.

Złożone problemy i pytania wyłaniają się, gdy myślimy o zaprojektowaniu innych placówek czy kierunków działania w INiOW. Czeka nas zatem jeszcze niemały wysiłek, by precyzować coraz dokładniej, jaki ma być instytucjonalny kształt różnorodnych placówek, które będą sukcesywnie powstawać w INiOW.

Chcielibyśmy jednak już w najbliższym czasie przechodzić stopniowo od ujęcia instytucjonalnego, jakie zarysowaliśmy w naszym projekcie, do ujęcia programowego, tzn. do opracowania głównych kierunków i form działalności całego kompleksu placówek INiOW, traktowanych łącznie.

Mówiąc o potrzebie opracowania głównych kierunków i form działalności, mamy na myśli przede wszystkim następujące problemy:

— opieka zdrowotna, higieniczna, wychowawcza nad wszystkimi wychowankami Ośrodka, we wszystkich placówkach, od lat najmłodszych (w połączeniu z rozwojem kultury fizycznej);

— kształcenie i samokształcenie: w różnych instytucjach (a nie tylko w szkołach) pod kierunkiem i według własnych indywidualnych planów, na zasadzie rozwoju twórczej ekspresji w różnych sferach życia dziecka;

— wprowadzanie dzieci, młodzieży, dorosłych do kultury i sztuki (przygotowanie do odbioru, aktywne uczestnictwo, twórczość własna);

— wychowanie przez pracę i do pracy (działalność samoobsługowa, wiedza i umiejętności techniczne, orientacja zawodowa, a nawet minimum umiejętności zawodowych). Szczególnie doniosłym problemem jest zaprojektowanie kierunków i sposobów kształcenia zawodowego w INiOW, w powiązaniu z potrzebami i perspektywami rozwojowymi najbliższego środowiska, ale nie tylko;

— tworzenie środowiskowego systemu wychowania (problem infrastruktury oświatowo-wychowawczej Łomianek).

Pracując nad koncepcją pedagogiczną i organizacyjną INiOW wyszliśmy z założenia, żeby wcielanie tej koncepcji w życie rozpocząć niezwłocznie, a nie dopiero w czasie powstawania pierwszych nowych obiektów „inowowskich" w Łomiankach, a od roku 1982 przechodzić stopniowo do bezpośredniej działalności społeczno-pedagogicznej, łącząc ją oczywiście z pracą naukową, dalszymi studiami i badaniami.

Formułując w ten sposób nasze zadania, próbowaliśmy wyodrębnić najbliższe etapy naszej działalności.

W końcu roku szkolnego 1979/80 przeprowadziliśmy krótkie, sondażowe badania w obydwu korczakowskich domach dziecka w Warszawie. Chodziło o wyjaśnienie, jaka jest sytuacja wychowawcza w tych domach i jakimi problemami należałoby się zająć, by przygotować te domy jako placówki mające wejść w skład INiOW.

Opracowano również wstępny raport z badań diagnostyczno-projektujących środowiska społeczno-wychowawczego Łomianek i najbliższej okolicy. Badania te są kontynuowane przy ścisłej współpracy z ekipą pracowników oświatowych z Łomianek. Uwzględniliśmy też działalność, której celem byłby dobór i przygotowanie osób uczestniczących w pracach INiOW.

Metodyczne przygotowanie całego zamierzenia można uznać za ważną przesłankę pomyślniejszej realizacji tego planu. Dlatego właśnie niewątpliwie warto było w czasopiśmie lekarskim poświęcić miejsce na opis przedstawionych założeń, tym bardziej, że nie można wyobrazić sobie działalności INiOW bez udziału lekarzy, psychologów i socjologów. Rzecz weszła w sferę konkretnych poczynań. Gdyśmy ją prezentowali na sesji w Izraelu przed rokiem, wtedy już sprawa ta przechodziła z fazy projektów architektonicznych i pedagogicznych tudzież sprecyzowania zamierzeń realizacyjnych i badawczych w okres prac takich, jak kontakty z różnymi środowiskami i wybranymi placówkami czy prób weryfikacji doświadczeń mających charakter korczakowski.

Wincenty *Świątecki:* Ekshumacja (rzeźba)

JAN MASŁOWSKI

Kraków

Z korespondencji zeszytów „Oświęcim" „Przeglądu Lekarskiego" (IV)

Trzykrotnie już (w latach 1979, 1980 i 1981) omawialiśmy w dziale „Listy" tę część korespondencji redakcyjnej, która z różnych względów może zainteresować czytelników, pomijając pisma i listy dotyczące kwestii technicznych, adiustacyjnych itp. Kreśląc tego rodzaju szkic po raz czwarty, warto pozostać przy poprzednim układzie, tzn. ugrupować kolejno: niektóre listy z kraju, korespondencję z zagranicy i uwagi dotyczące wybranych tekstów, które ich autorzy proponują do druku.

*

Do wojenno-okupacyjnej tematyki warszawskiej nawiązał jeden z naszych autorów, dr Michał *Lityński*. W swym liście z 3 maja 1981 r. napisał m. in.:

„W pamięci ciągle noszę uczucia wdzięczności za trud Pana w utrwalaniu faktów o wartości historycznej, dotyczących ludzi Szpitala Ujazdowskiego, [który był nieraz tematem poszczególnych artykułów i fragmentów prac zamieszczonych w cyklu »Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim« — wyjaśnienie *J. M.*]. Szpital Ujazdowski był i działał w czasie — od pierwszych dni wojny obronnej 1939 r. do pierwszych dni sierpnia 1944 — kiedy to podczas powstania warszawskiego został spalony. Spalony został również Zamek Ujazdowski, który zawsze stanowił wraz ze Szpitalem Klinicznym Centrum Wyszkolenia Sanitarnego integralną całość. Potężne mury Zamku, osmalone, ale nie zniszczone, padły pod kilofami na kruszywa (1954—1955 r.), na zlecenie człowieka noszącego przezwisko »Gazrurka« i za zgodą osób, których nazwiska dobrze pamiętamy.

Obecnie toczą się rozbieżne dyskusje nad sprawą zagospodarowania [odbudowanego] Zamku. Ktokolwiek miałby dysponować [jego] salami (...), winien by przeznaczyć pewien fragment pomieszczeń na Pomnik Pamięci Walki i Męczeństwa Szpitala Ujazdowskiego. Osobiście — jako jeden spośród niewielu pozostałych przy życiu ujazdowszczyków — pragnę, aby pamięć o „Rzeczypospolitej Ujazdowskiej« i »Nie ujarzmionym Miasteczku« nie została zatarta z biegiem czasu, podczas gdy należy się Szpitalowi ciągła, żywa pamięć, budująca opinię walki służby zdrowia z okupantem, dla podnoszenia ducha patriotyzmu wśród młodszych i przyszłych...

Proszę (...) przeczytać (...) wspomnienie o śp. dr. Szczepanie *Wacku* [również jednym z autorów zeszytów »Oświęcim« »Przeglądu Lekarskiego«; o jego śmierci wspomniał prof. Józef *Bogusz*, Przegl. Lek. 1981, nr 1, s. 3]. Ten bohater lekarz, konspirator, a nawet dobroczyńca, był niezwykle skromnym człowiekiem. Jakkolwiek pozostawił po sobie wiele publikacji »okupacyjnych«, to jednak nie ośmielał się uwydatniać swych poczynań. Ponieważ pozostawałem z nim w ściślejszych kontaktach, poznałem jego pracę i wielki wysiłek (...).

Pominięcie Szpitala Ujazdowskiego i jego ludzi w planie nowego Zamku byłoby krzywdą niepowetowaną. (...) Bohaterowie Ujazdowa, dziś nie żyjący, a wśród nich dwadzieścia pielęgniarek, które zginęły w czasie doszczętnej likwidacji szpitala, stanowią wyrzut sumienia (...). Jeszcze jest czas, aby naprawić »przemilczenie« i brak pomnika pamięci. Gdyby był tylko jeden człowiek taki, jak Szczepan *Wacek*, to warto by było walczyć o pomnik pamięci jego imienia, ale podobnych było więcej, doktorzy *Strehl*, *Sadowski*, »Brom« [*Kujawski*] i inni (...)".

Zespół redakcyjny „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" usilnie i szczerze poparł inicjatywę wydzielenia choćby jednej czy dwóch izb pamięci o „Rzeczypospolitej Ujazdowskiej" w tym Zamku, który w latach wojny był prawdziwym azylem polskości i ośrodkiem działalności konspiracyjnej; z nią związanych jest i upamiętnionych w literaturze wiele nazwisk. Dr *Lityński* nadesłał odbitkę swego artykułu pt. Dr Szczepan *Wacek* — lekarz, żołnierz, patriota (Archiwum Historii Medycyny, t. 43: 1980, z. 4, s. 445—452). Można się tylko cieszyć, że świadkowie i uczestnicy wydarzeń w Szpitalu Ujazdowskim do dziś jeszcze żywią naturalne emocje i wielki zasób serdeczności, myśląc o bohaterskich postawach Polaków w tamtych najtrudniejszych latach. Trudno zresztą wyobrazić sobie wyrobienie stosownych postaw obecnie u młodego pokolenia bez nawiązywania do podobnych tradycji.

Poszanowanie tradycji związanych z walkami patriotycznymi jest trwałym elementem świadomości społecznej Polaków niezależnie od zmiennych, bieżących koniunktur i wydarzeń politycznych i socjalnych. To prawda, że problemy wielkiej wagi, absorbujące tę świadomość, jak przełomowe zmiany od sierpnia 1980 r., dramatyczne trudności gospodarcze itd. mogą nadmiernie nawet zdominować psychikę ludzi; prawdą jest jednak również, że pracować badawczo powinniśmy równocześnie ze wszystkim innym, myśląc o przyszłości, a zwłaszcza o młodszych pokoleniach.

Wiele więc ośrodków w Polsce, takich jak muzea obozowe, Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa itd., kontynuuje swe prace i działalność. Co więcej, rodzą się nowe inicjatywy, będące wyrazem zapotrzebowania na gromadzenie materiałów dokumentacyjnych i ich badanie. Na przykład w maju 1981 r. Zarząd Koła ZBoWiD Polskiej Akademii Nauk w Krakowie (prezes: mgr Eugeniusz *Jakóbek*, sekretarz: mgr Teresa *Stanek*) wystąpił z pisemnym zawiadomieniem-apelem o spotkaniu konsultacyjnym i o zbieranie relacji i dokumentów:

„Koło ZBoWiD przy Oddziale Polskiej Akademii Nauk w Krakowie podjęło inicjatywę przeprowadzenia

szerokiej popularyzacji wiedzy, prawdy, dotyczącej historii lat okupacji. Nie chcąc dopuścić do tego, aby patriotyczne wychowanie młodego pokolenia było tylko czczym hasłem, uważamy, że zaspokojenie tej autentycznej potrzeby jest obowiązkiem tych wszystkich, którzy i sobą, i swoją wiedzą o tych czasach stanowią olbrzymi i swym zasięgiem szeroki potencjał historyczny, źródło wiadomości, informacji, faktów. Sprawa jest pilna, bowiem żyją ludzie i możliwa jest konfrontacja zakodowanych w dokumentach faktów z relacjami żywych świadków historii. Z każdym dniem ludzi tych jest coraz mniej, odchodzą, zabierając ze sobą bezpowrotnie cząstkę, a niekiedy dużą część historii. (...) Szereg spraw, wydarzeń, działań wielokierunkowych potraktowanych jest w publicystyce pobieżnie, ogólnie, niekiedy niezbyt wiernie, wiele nie ujrzało w ogóle światła dziennego. Upływ czasu działa tu zdecydowanie negatywnie. Nie wolno nam dopuścić do tego, aby przepadło to wszystko, co winno nam być szczególnie drogie, cenne; winniśmy pielęgnować i dla pożytku potomnych utrwalić."

Wspomniane Koło — w 63-lecie odzyskania niepodległości, 11 listopada 1981 r., w auli krakowskiego oddziału PAN — przeprowadziło sesję naukową poświęconą pamięci zamordowanego w r. 1944 w śledztwie przez gestapo gen. bryg. Stanisława *Rostworowskiego*, doktora chemii i filozofii, uczestnika III powstania śląskiego, legionisty, adiutanta gen. *Sikorskiego*, oficera sztabu AK, dowódcy obszaru południowego AK.

Koła ZBoWiD zbierają materiały, inicjują i przygotowują nieraz cenne referaty. Jednym z najważniejszych zadań jest kontynuowanie zbierania relacji. Warto przypomnieć, że już podczas okupacji i po wyzwoleniu gromadzono materiały dotyczące okupacji i zbrodni hitlerowskich (np. sądy w związku z procesami zajmowały się tymi sprawami, zeznania zbierali pracownicy Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich — później: Hitlerowskich — w Polsce, źródła i dokumentację poszerzały archiwa, uczelnie, placówki i towarzystwa naukowe, redakcje, organizatorzy konkursów itd., itp.); do dziś trwa ta praca w mnóstwie ośrodków polskich i zagranicznych. U osób prywatnych też sporo znajduje się cennego materiału. Historycy od czasu już okupacji (w konspiracji) i od pierwszych dni po wyzwoleniu pracowali nad tego rodzaju źródłami i dochodzili do właściwych wniosków i ocen; nie zawsze było winą badaczy, że musieli ulegać ciśnieniu doraźnych, śmiesznych nieraz nawet wymagań natury politycznej. Apel Koła ZBoWiD PAN w Krakowie wyraził ideę słuszną. Im więcej ludzi dobrej woli weźmie się do uzyskiwania źródeł i relacji, ocen i refleksji od pokolenia, które odchodzi już z przyczyn biologicznych, tym lepiej także dla historyków w następnych pokoleniach.

Dlatego mowa tutaj o tym, że co krok prawie nasuwa się spostrzeżenie, iż inicjatorzy podobnych prac i ich realizatorzy coraz częściej zwracają uwagę na aspekt poznawczo-wychowawczy, ważny zwłaszcza ze względu na młodzież, której rozeznanie prawdy w wielu podstawowych nawet zagadnieniach z zakresu najnowszych dziejów Polski budzi niejednokrotnie poważne zastrzeżenia. Jest to troska nie tylko dydaktyków historii, lecz także historyków medycyny.

Otrzymujemy korespondencję dotyczącą niejednej inicjatywy naukowej czy posiedzenia lub sesji. Niemałą teczkę zajmują listy na temat artykułów w zeszytach. Warto kilka uwag poświęcić i temu sektorowi; najpierw o liście-sprostowaniu, jedynym zresztą w ciągu ostatniego roku. Dotyczy ono artykułu byłego partyzanta, rtm. Aleksandra *Marczyńskiego*, pt. Dr Artur Karol *Werner* (Przegl. Lek. 1981, nr 1, s. 206—209), a przysłała je Melania *Czamara*, pielęgniarka, jak wiemy, zasłużona konspiratorka w Nowosądeckiem i w Szczawnicy, mieszkająca obecnie w Krakowie. Pisze ona:

„W artykule o działalności w okresie okupacji dr. Artura [Karola] *Wernera*, ps[eudonim] »Strzelba«, zakradła się pomyłka, mianowicie nic nie załatwiał ze mną w sprawie ciężko rannego »Wilczka« (Kazimierz *Pakuła*) ob. Franciszek *Ciesielka*, ps[eudonim] »Karo«. Mnie osobiście zawiadomił o miejscu pobytu rannego Wojciech *Pawlus*, ps[eudonim] »Tatra« (takiego wtedy używał pseudonimu). On to swoim autorytetem zapobiegał wsypie, ponieważ gospodarz, u którego znaleźli się ranni w nocy, bał się, że ktoś z sąsiadów zdradzi poszukiwanych. *Pawlus* swoim spokojem i powagą uspokoił gospodarza i obiecał, że jak się tylko ściemni, »chłopcy« zabiorą rannych — i tak się też stało. Ja z »Tatrą« uzgodniłam i podałam miejsce, gdzie mają przeprowadzić rannych. Druga nieścisłość: nie byłam u gospodarza z opatrunkiem, ponieważ zaraz za mną byłoby gestapo. Tego dnia byłam śledzona. Pierwszy opatrunek założyłam dopiero po przetransportowaniu rannego do zamelinowanego szpitalika w willi »Panorama« u Michaliny *Pateśnikowej*. Leczył dr A. *Werner*, a radą i pomocą służył szpital w Nowym Targu. (—) Melania *Czamara*, ps. »Jedlina«, ówczesna higienistka ośrodka zdrowia w Szczawnicy."

Staramy się o to, żeby w zeszytach naszych był możliwie jak najmniejszy odsetek błędów. Przeprowadza się merytoryczne sprawdzanie tekstów już w rękopisach czy maszynopisach, upewniamy się, czy autorzy uświadamiają sobie odpowiedzialność wobec czasopisma naukowego i wagę każdego słowa, korzystamy z konsultacji specjalistów, uzgadniamy z autorami ostateczne brzmienie maszynopisu przeznaczonego do druku (nieraz przekształca się i doskonali tekst dzięki wykonaniu pośrednich wersji, jednej, dwóch lub nawet trzech), a wreszcie udostępnia się autorom korekty drukarskie, jest więc sporo okazji, żeby artykuły „wyczyszczać" i uwalniać od omyłek. Ani jednak redakcja, ani recenzent, ani nawet autor nie są nieraz w stanie zapobiec usterkom w szczegółach. Z tego tylko powodu trudno rezygnować z zamieszczenia artykułu wnoszącego wiele oryginalnych i wartościowych informacji, w nowym ujęciu, z nowym problemem.

Najmniej zespół redakcyjny „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" ma wpływu realnego w sprawach interwencyjnych (np. dotyczących rent). Odnotować jednak warto, że — w związku z troską o archiwa, m. in. archiwa prywatne, a więc o zbiory, których przyszłość powinna być zabezpieczona — zwróciliśmy się do Biblioteki Narodowej z zapytaniem, jak zostaną zapewnione dalsze koleje wyjątkowego, niezwykłego zbioru archiwalnego, zgromadzonego kosztem wielu lat wysiłku przez słynnego barda obozowego, red. Aleksandra *Kulisiewicza*. Jego archiwum nie może przecież ulec rozproszeniu w przyszłości ani też utracić swej dostępności dla badaczy, którzy z niego pragną korzystać.

Uprzejmą i życzliwą odpowiedź nadesłał dyrektor Biblioteki Narodowej, prof. dr W. *Stankiewicz* (l. ZD-II-43/81, 31 marca 1981 r.), podając, że losami tego archiwum, będącego przedmiotem troski swego twórcy i właściciela, interesuje się też Departament Muzeów i Ochrony

Zabytków w Ministerstwie Kultury i Sztuki, Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, a zwłaszcza Państwowe Muzeum w Oświęcimiu. Zasadnicza myśl zmierza do skupiania takich zbiorów w archiwach muzeów obozowych ze względu na jednorodność merytoryczną. Z biegiem czasu powinny tam właśnie się znaleźć dokumenty od osób prywatnych po odpowiednim wyrównaniu kosztów przez instytucje państwowe.

Czasem otrzymujemy różne wydawnictwa, m. in. od naszych autorów. Dr Maciej *Lambert* ze Szczecina (jeszcze jako student medycyny laureat nagrody w konkursie Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego i Akademii Medycznej w Krakowie), którego nagrodzoną pracę zamieściliśmy w r. 1972, przysłał nam swój artykuł nawiązujący do owej publikacji, a wydrukowany w „Jedności" (mowa o tym w dziale „Oceny"). *Lambert* ma już doktorat medycyny, wyspecjalizował się w dermatologii. Cieszą miłe słowa od autorów. Np. Jadwiga *Apostoł-Staniszewska* chwali dobór ilustracji po jej artykule (Przegl. Lek. 1981, nr 1, na str. 168), a przy tym — co nieporównanie ważniejsze — snuje refleksje jakby o obiektywnej subiektywności doznań więźniarek (w liście z 20 marca 1981 r.):

„W prawdziwe zdumienie wprowadziło mnie zamieszczone na końcu mojego artykułu zdjęcie modlącego się w Brzezince mnicha buddyjskiego. Inicjatorowi takiego zestawienia dwóch uzupełniających się wypowiedzi na temat śmierci i zamieszczenia ich na łamach »Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim« przesyłam wyrazy uznania. — Nie przejęłam się uwagami, o jakich Pan wspomniał w jednym ze swoich listów, [na temat ustnych zastrzeżeń niektórych byłych więźniarek co do pewnych realiów w refleksyjnej relacji autorki cytowanego listu, w zeszycie z roku ubiegłego — dop. J. *M.*]. Mam na nie prostą odpowiedź: zdolności do fantazjowania nie posiadam, obozy koncentracyjne przeżyłam bardzo głęboko, a niektóre fakty, z jakimi się spotkałam, utkwiły mi tak mocno w pamięci, że na próżno ktoś się sili, by je kwestionować. Swego czasu pani Seweryna *Szmaglewska* zwróciła moją uwagę, że ptaków w Brzezince nie było, ale ja widziałam, stojąc o świcie na apelu, kilkakrotnie przelatujące stado wron czy kruków. Nigdy przedtem ani potem nie zrobiły na mnie takiego wrażenia, jak właśnie tam, zwłaszcza że leciały od strony krematoriów. Jedno jest pewne, że nie ma więźnia ani więźniarki jednego tylko obozu, np. Brzezinki, który by widział wszystko i na każdy temat z autopsji mógłby się autorytatywnie wypowiedzieć. Nie ma dwóch osób o jednakowych przeżyciach i jednakowej spostrzegawczości. Dlatego nie sądzę, by wysunięte uwagi miały stanowić temat do dyskusji."

Jadwiga *Apostoł-Staniszewska* przysłała nam też nadbitkę z materiałów dotyczących sympozjonu pod nazwą „Góry w literaturze polskiej", urządzonego przez komisję turystyki górskiej Zarządu Głównego PTTK w Krakowie; z przyjemnością czyta się tam zamieszczone niektóre wiersze *Staniszewskiej*, pisane gwarą podhalańską; autorka ta powinna opublikować swe utwory literackie. Aspekt ten, nie należący do tematyki naszych zeszytów, tutaj jedynie odnotowujemy.

Jak zastrzeżono na początku, pomijamy korespondencję dotyczącą spraw adiustacyjnych. Często w wypadku poszczególnych prac korespondencja ta jest bardzo obszerna, przenosi nawet niekiedy swą obfitością objętość artykułu, do którego się odnosi. Narosło już mnóstwo grubych teczek. Trzeba jakoś radzić sobie z ich przechowywaniem, zespół redakcyjny nie dysponuje bowiem ani odpowiednim pomieszczeniem (podobnie jak Towarzystwo Lekarskie Krakowskie, pozbawione urzędowego lokalu), ani siłami pomocniczymi, ani funduszami.

Pomijając więc tę kategorię listów, niechaj będzie wolno zaznaczyć tylko, że w ich wymianie wytwarza się często cieplejsza więź z autorami, których zwykle nawet osobiście nie znamy i nie spotykamy się z nimi. Nieodosobnione są uwagi w ich listach w rodzaju: „Za miły w treści ton słów serdecznie dziękuję" (mgr Mieczysława *Chylińska*, 20 czerwca 1981 r.) itp. Uważamy, że życzliwość i szczerość ułatwiają wzajemne porozumiewanie się i szybciej wiodą do celu, tj. do uzyskania tekstów wartościowych i poprawnych, a jednocześnie zgodnych z odczuciami i intencjami autorów. Chodzi też o to, żeby stanąć na pozycjach całkiem przeciwnych temu knajacko-aroganckiemu stylowi postępowania między ludźmi, jaki się szerzył w naszym kraju zwłaszcza w latach siedemdziesiątych. Setki naszych autorów uważaliśmy zawsze jak gdyby za jedną rodzinę. Wystrzegaliśmy się wszelkiej mechanicznej bezduszności.

Bardzo wiele osób nadesłało listy po zapoznaniu się z 21. zeszytem „Oświęcim" „Przeglądu Lekarskiego". Serdeczne podziękowanie za ten zeszyt przysłał m. in. ówczesny minister sprawiedliwości, prof. Jerzy *Bafia*, oceniając wydanie jako „bardzo interesujące" (10 marca 1981 r.). Podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, dr Maria *Regent-Lechowicz*, uznała zeszyt za „bardzo cenny dokument" i dodała:

„Ze szczególnym zainteresowaniem przeczytałam wspomnienia o dr. *Kępińskim*, a zwłaszcza o jego pobycie w Hiszpanii w Miranda de Ebro. W obozie tym przebywał mój pierwszy mąż (nie żyje) po przejściu przez Pireneje i z opowiadań znałam historię słynnego strajku głodowego" (list z 2 marca 1981 r.).

Prof. Alfons *Klafkowski* (w liście z Poznania z 18 marca 1981 r.) dostrzega w zeszytach „znakomite i jedyne w swoim rodzaju źródło historyczne, którego wartości trudno przecenić. Jestem — dodaje — pełen szczerego szacunku i uznania dla szerokiej skali prac badawczych, które znajdują swój udokumentowany wyraz w tych zeszytach. Czuję potrzebę napisania (...)" (tej oceny). Sławny Igor *Newerly* w liście z 31 marca 1981 r. nazwał zeszyt 21. „cennym upominkiem". W ciepłych słowach wypowiedział się też m. in. — w liście bez daty, otrzymanym 13 kwietnia 1981 r. — ks. Stanisław *Czartoryski*.

*

Spora, jak corocznie, korespondencja napływała z zagranicy. Autorzy piszą do nas, wykazując wysoką kulturę, unikają mianowicie prawie w ogóle aluzji do niezmiernie krytycznej sytuacji socjalno-gospodarczej w Polsce, jak wiemy, bulwersującej mieszkańców zwłaszcza krajów kapitalistycznych często poza granice umiaru. Z tamtej również strony znajdujemy potwierdzenie celowości kontynuowania prac badawczych i publikacji o wartości ponadczasowej, podobnie jak potwierdzenie tych wysiłków mieliśmy u respondentów krajowych, zajmujących się naszą problematyką mimo ciężkich trudności bytowych, z którymi muszą borykać się na co dzień.

Optymistyczną nutę łatwo rozpoznać w idei trzymania się wartości wyższego rzędu.

Wracając do omawiania listów — znów na zasadzie przykładów — warto wspomnieć o ciepłych słowach od stałego już czytelnika naszego, prof. D. Brunona *Bellerate* z Rzymu (16 marca 1981 r.) Mimo bariery językowej wielu czytelników zagranicznych potrafi jakoś wgryźć się w tematykę zeszytów. Pomocni w tej lekturze mogą się okazywać przybysze z Polski.

Do czytelników „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" należą badacze z kilku instytutów naukowych za granicą, od Stanów Zjednoczonych Ameryki do Japonii; nieraz już była mowa w naszych zeszytach o zainteresowaniu kilku ważnych ośrodków badawczych, m. in. w USA (National Health Institute i inne), np. polskimi analizami KZ-syndromu i dorobkiem zeszytów „Oświęcim" „Przeglądu Lekarskiego". Ogólnie tylko o tym tutaj należało przypomnieć, skupiając się na omawianiu korespondencji.

Nadszedł np. list z 19 czerwca 1981 r. od prezesa Michigan Psychiatric Society (a District Branch of the American Psychiatric Association), dr. med. (*M. D.*) Emanuela *Tanaya*. Zapowiadając swój przyjazd do Polski, *Tanay* podkreśla celowość wspólnych badań w zakresie interesującej nas tematyki.

Styczniowy zeszyt „Oświęcim" „Przeglądu Lekarskiego" z roku 1981 dotarł też do Japonii. Jednomyślność z nami w przekonaniu o słuszności dociekania prawdy o II wojnie światowej i jej następstwach, serdeczne pozdrowienia i chęć odwiedzenia znów Polski wyraził w liście z 26 maja 1981 r. prof. Hachiro *Sakanishi* z Sapporo w Japonii, potwierdzając odbiór zeszytu 21. Ten szlachetny Japończyk, znawca dziejów obozów koncentracyjnych, napisał dosłownie: „(...) *Herzlichen Gruss, starke Solidarität darf ich aus dem fernen Land senden. Herzlichen Wunsch, dass ich noch einmal bei Euch sein möchte!*"

W sierpniu 1981 r. inny Japończyk, dr Mitsuo *Kaneda* przysłał nam cenny zbiór studiów pt. Hiroshima and Nagasaki. The physical, medical and social effects of the atomic bombings (praca zbiorowa; przekład na jęz. ang. Esei *Ishikawa* i David L. *Ewain;* Tokio 1981, Iwanami Shoten Publishers, ss. 706, ilustr.; wyd. The Committee for the Compilation of Materials of Damage Caused by the Atomic Bombs in Hiroshima and Nagasaki). Jest to niezwykle starannie wydana antologia prac na temat techniki eksplozji atomowych w Japonii w r. 1945 i ich następstw m. in. medycznych.

Osobny blok listów dotyczy wyjazdu delegacji polskiej do Izraela w styczniu br. (por. artykuł sprawozdawczy prof. J. *Bogusza* w niniejszym zeszycie, w dziale „Sprawozdania"). Tamtejsze instytucje, interesujące się II wojną światową, martyrologią i eksterminacją spowodowaną przez hitleryzm, zagładą Żydów itd., izraelskie miejsca pamięci narodowej, muzea, ośrodki pedagogiczne nawiązujące do idei i postawy dr. Janusza *Korczaka* — grupują wiele osób życzliwych tradycjom narodu polskiego i jego bohaterstwu wykazanemu pod jarzmem hitlerowskim. Od osób tych właśnie nadchodziły listy pełne sympatii.

Jedno z takich muzeów — to Ghetto Fighters' House w kibucu Lohamei Haghetaot. Tamtejszy dyrektor, Cwi *Szner*, w liście z 16 marca 1981 r. napisał m. in.: „(...) cieszymy się, że wynieśliście (...) miłe wrażenia z pobytu w Izraelu. Byliśmy radzi gościć Was w naszym kraju. Wydaje się, że izraelska sesja Prezydium Międzynarodowego Stowarzyszenia [im. J. *Korczaka*] była imprezą udaną, manifestującą ideały wielkiego Pedagoga. Z góry dziękujemy za rozszerzony tekst przemówienia (...) i za obiecane numery »Przeglądu Lekarskiego«. Wysoko cenimy wkład (...) w dzieło udokumentowania tak dla nas tragicznego okresu hitlerowskiej okupacji (...)".

Leon *Harari*, którego zdjęcie pomnika dr. *Korczaka* znajduje się w dziale „Sprawozdania", napisał w liście z 20 maja 1981 r. m. in.: (...) Ja sam znów przypomnę wieczór piątkowy u nas, w [kibucu] Maaleh Hachamischa. Szkoda, że tak mało czasu było (...)"; nie powinno brakować czasu na międzynarodową łączność i współpracę ludzi rzetelnie zainteresowanych wydarzeniami II wojny światowej i jej następstwami. Zwłaszcza skutki medyczne są tematem uniwersalnym, zrozumiałym dla wszystkich, bez względu na narodowość, rasę czy stopień zaangażowania emocjonalnego np. osobistym przeżywaniem gehenny.

Nadeszły też z kilku krajów — m. in. z Izraela — listy potwierdzające odbiór wysłanych zeszytów i zawierające ich dodatnie oceny, np. od wspomnianego już Cwi *Sznera* (z 27 maja i 2 czerwca 1981 r.), prof. dr. Yaacova *Rotema* (w czerwcu), Leona *Harariego* (z 27 czerwca 1981 r.).

W liście z 29 września 1981 r. ks. arcybp Adam *Kozłowiecki*, Chingombe Catholic Parish, Kabwe (w Zambii) napisał: „Bardzo serdecznie dziękuję za XXI numer »Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim« (...), od lektury którego, jak zawsze, trudno mi się oderwać; życzę (...) błogosławieństwa Bożego w dalszej pracy" i podzielił się wrażeniami ze swej pracy duszpasterskiej.

Dr Edwin S. *Zolik* z Chicago (De Paul University) 23 sierpnia 1981 r. wysłał nam potwierdzenie odbioru zeszytu 21. i zawiadomił o swych staraniach w celu zainteresowania wydawców amerykańskich „książką, która by składała się z najważniejszych przetłumaczonych artykułów z »Przeglądu Lekarskiego [— Oświęcim«]. (...) Jestem sam ciekawy dowiedzieć się, jak taka książka by była przyjęta przez parę ważniejszych wydawnictw". W listach z zagranicy często przewija się motyw zapotrzebowania na przekłady obcojęzyczne dorobku zawartego w zeszytach, przynajmniej w wyborze.

Przekłady takie przyczyniłyby się do zrozumienia przebiegu i skutków II wojny światowej w kręgach społeczeństw państw w odległych stronach świata. Rozwija tę myśl m. in. Edward *Offen* z Mendozy (Argentyna) w liście z 18 października 1981 r.:

„Przerzuciłem pobieżnie artykuł ze strony 37 [»Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim« z r. 1981] pt. »Stosunek ofiar Oświęcimia-Brzezinki do prześladowców«. Tytuł według mnie powinien zostać poszerzony, a mianowicie: Stosunek ofiar wszystkich obozów koncentracyjnych do prześladowców. I nasuwa się tu myśl, że artykuł ów jest bardzo polemiczny z uwagi na to, że właściwie wszystkie bez wyjątku ofiary, które miały to szczęście i przeżyły wojnę, noszą w sobie chęć odwetu na swych oprawcach z obozów, a jedynie humanitarność nie pozwala wypuścić, jak to się mówi po hiszpań-

sku: *a flor de labios* (na koniec języka), słowa: zemsta. Ludzkość, zwłaszcza pozaeuropejska, nie ma w ogóle pojęcia, w jaki sposób nazizm »wykańczał« całe narody, a parę filmów, jakie na ten temat tu się pokazały, aczkolwiek były przemawiające, nie potrafiły dotrzeć do duszy tych, którzy w swym szczęśliwym żywocie nie zaznali nawet ani chwili głodu, nie mówiąc już o tym, co to była śmierć, rozstrzeliwania, masowa zagłada, gazowanie, rozłączanie rodzin. Dlatego też ci ludzie, szczęśliwi w swej historii, nigdy nas, eks-więźniów, rozumieć nie będą, natomiast będą pierwszymi, którzy uderzą w dzwon rzekomego pokoju, aby przerwać raz na zawsze poszukiwania zbrodniarzy wojennych, bo uważają to za mało honorowe dla człowieka i niehumanitarne i mimo że tu chodzi o takich zbrodniarzy, jak *Mengele*, który swobodnie się porusza po Paragwaju i chyba Argentynie też i mimo że czasem tutejsza prasa na ten temat coś szczeknie.

Drugi problem — to wychowanie młodzieży, która ignoruje całkowicie nasze przejścia, i fakt ten, że nie robi się nic, aby tej części ludzkości nasz problem troszkę wyjaśnić. Nawet młodzież takiego kraju, jak Izrael, wydawać by się mogło, jest lepiej wychowana, ale kto, tak myśli, myli się grubo. Młodzież, Izraela oskarża i to w oczy formalnie resztki legionu kacetowników o brak honoru, o to, że daliśmy się wyrzynać jak barany, że nie potrafiliśmy się porwać za broń i bodajże zginąć, ale nie cierpieć. Ta sama młodzież zapomina, że jednak gdyby nie ten właśnie legion niedobitków, i oni by nie istnieli ani też ich kraj. Brak jest na całej Ziemi właściwej kampanii wyjaśniającej, chyba brak właściwej organizacji byłych więźniów i niewłaściwa polityka wszystkich bez wyjątku rządów całego świata. Ten problem, przypuszczam, nigdy nie był poruszany w całej swej okazałości na sesji Narodów Zjednoczonych, sesji przeznaczonej tylko pamięci ofiar hitleryzmu, bo jednak rozgrywki natury naftowej i innej są ważniejsze niż sam człowiek. I to się wszystko robi w imię ludzkości. Fałsz. (...)"

Interesujące są wynurzenia naszych respondentów, warto więc wybrać i zacytować w obszerniejszych fragmentach jeszcze jeden list, dr Lidii *Kopernik* (M. D.) ze Stillwater w Pensylwanii (USA), z 12 sierpnia 1981 r.:

„(...) Za każdym razem czytam zeszyty od deski do deski i ubolewam, że ogół mieszkańców USA jest nieświadomy cierpień Polaków w okresie okupacji niemieckiej. (...) dziwię się, że rząd polski nie czyni wysiłków, aby zapoznać świat z okropieństwem lat okupacyjnych. Tutaj wyświetla się filmy apotezujące Danię, Holandię, Norwegię, a o Polsce milczenie albo okazyjnie jakaś wzmianka mimochodem. A przecież ten kraj cierpiał najwięcej. Jeśli chodzi o procentową utratę obywateli, to jest na pierwszym miejscu.

Oczywiście wyrabianie publicznej opinii wymaga czasu, wysiłku i pieniędzy. Ale wyniki, sądząc po innych grupach narodowościowych, mogą być zdumiewające w stosunkowo krótkim czasie (10—20 lat). Przecież nie trzeba być głębokim mędrcem, żeby przewidzieć — już od końca zakończenia wojny — odrodzenie się nazizmu w różnorodnych formach szowinizmu. [Dalej autorka listu krytykuje ujemne strony książki »Sophie's choice« *Styrona* — uwaga J. *M.*]. (...) wszystko to jest niewystarczające dla zaznajomienia szerszej publiczności z przeżyciami Polaków. Proszę zauważyć, że nie dzielę ich na Żydów i Polaków, jak się przyjęło tutaj różnicować polskich obywateli (...).

(...) muszę powiedzieć, że »Przegląd Lekarski« robi niesłychanie dużo dla zaznajomienia polskiego społeczeństwa z okupacyjnymi sprawami (...). Czy nie byłoby wskazane utworzenie doradczego zespołu (...) z różnych krajów ze znajomością ich kultur, reakcji i zapotrzebowania publiczności na literackie i filmowe formy o treści poruszanej w »Przeglądzie Lekarskim«? (...)"

Można tylko żywić nadzieję, że za trafnymi głosami, wyrażającymi potrzebę szerszego udostępniania w językach obcych, za granicą, dorobku polskiego z dziedziny medycznych zagadnień okupacji, wojny i jej następstw, pójdzie urzeczywistnienie tego niełatwego postulatu, wcześniej czy później, w realnych formach.

Warto jeszcze dodać, że prac autorów zagranicznych zbyt usilnie nie inspirujemy, albowiem np. tematyka KZ-syndromu jest w Polsce lepiej i dawniej już znana niż w wielu krajach na Zachodzie (z wyjątkiem tych, które poruszały ją wcześniej niż u nas ze względów rentalnych). Wymiana naukowa realizuje się m. in. przez kliniki i inne ośrodki naukowe, jak np. przez Klinikę Psychiatrii Dorosłych AM w Krakowie, zespół redakcyjny naszych zeszytów nie jest bowiem instytucją i bezpośrednio nie może wykonywać prac badawczych. Kontynuacja korespondencji na tematy KZ-syndromu, następstw wojny itp. dokonuje się więc po okresie początkowym, inspirującym, już na innym torze, pozaredakcyjnym, klinicznym itp.

Są to jednak szczegóły. Istotne jest zacieśnianie współpracy badawczej, wymiana doświadczeń, nie tyle zresztą czerpanie z dorobku autorów i badaczy zagranicznych, najczęściej nierewelacyjnego dla nas, ile odkrywanie przed nimi, niezmiernie do nas życzliwie usposobionymi, dorobku polskiego. A wobec trudności w zdobywaniu się na wyjazdy naukowe z Polski za granicę zwiększa się rola korespondencji.

*

Systematycznie nadchodzą teksty proponowane do druku, przy czym przeważają wspomnienia. Prace badawcze, naukowe, źródłowe, udokumentowane, zgodne z wymaganiami metodologicznymi — wymagają najczęściej inspiracji. Nieraz przysłane artykuły nie odpowiadają charakterowi naszych zeszytów, np. biogram dr. Kazimierza *Brossa*, znanego lekarza poznańskiego, który zginął w wojnie obronnej Polski 1939 r., napisany przez prof. dr. Józefa *J.*, zawiera zaledwie dwa zdania związane tematycznie z II wojną światową (tj. z wojną w Polsce w r. 1939), nie mógł więc zostać zamieszczony w związanym z nią i jej następstwami czasopiśmie, jakim jest „Przegląd Lekarski — Oświęcim".

Podobnie np. nie harmonizuje z naszą problematyką cenny artykuł doc. dr. Tadeusza *G.* pt. „Działalność patriotyczna i losy polskich lekarzy gdańskich na przełomie XX wieku, w okresie Wolnego Miasta Gdańska i podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu", zawierający kilka sylwetek 12-stronicowy maszynopis z wyborem źródeł. Tekst dotyczy spraw w znacznej mierze jeszcze sprzed hitleryzmu. Podobne prace może z powodzeniem opublikować jakieś inne czasopismo, nie związane z okresem II wojny światowej.

Zeszyty muszą mieć przemyślaną koncepcję treści, materiału do druku nie brak (głównie dzięki ukierunkowanej inspiracji), sporo zapasu wymaga dopracowania, toteż nic dziwnego, że pewna część autorów doznaje rozczarowania. Tak np. szkice byłego więźnia Majdanka, Zacheusza *Pawlaka*, zawierające zbiorek epizodów — jakże wstrząsających — z tego obozu, czekają jeszcze na adaptację do druku, podobnie jak dziesiątki innych relacji.

Niektóre relacje, otrzymywane przez nas, są przyczynkami do tematyki dość już wyeksploatowanej, jak np. martyrologia dzieci; tutaj liczą się naprawdę jedynie prace wnoszące nowe, is-

totne treści i zasób nowych informacji. Były więzień Oświęcimia-Brzezinki (nr 23241) i Litomierzyc, Anatol *Adamczyk*, w tekście pt. „Z cyklu »Epizody z tamtych lat«. Wspomnienia o dzieciach w Brzezince" (6-stronicowy maszynopis) kreśli obrazki, które wstrząsają opisem zbrodni największej: śmiercią dzieci, ale też pisze „o dzielnej nauczycielce słowackiej; na jakiż wysiłek musiała się zdobyć, by wobec małych podopiecznych być pozornie wesołą, beztroską, po to, by odwrócić uwagę dzieci od okropności, jakie się działy za drutami".

Tak ujęty, nieduży artykuł, trafiający łatwo do wyobraźni i przekonania każdego czytelnika, może być opublikowany w czasopiśmie ogólnie dostępnym lub w którymś dzienniku. Publicystyczną raczej formę ma też półgęsty, 5-stronicowy maszynopis „Gdyby Polacy wygrali wojnę, to mordowaliby Niemców" ks. Zygmunta *Kuzaka* (tytułu oczywiście nie należy rozumieć dosłownie). Niemcy próbowali usprawiedliwiać swe bestialstwa popełniane w Polsce domniemaniem oszczerczym, że gdyby przegrali, sami by ulegli martyrologii i eksterminacji. Ks. *Kuzak* opisuje, że po wyzwoleniu więźniowie polscy nie potępiali nawet wszystkich esesmanów. W tym samym tekście informuje o sanatoriach misji watykańskiej. Warto zatrzymać się przy tej kwestii, cytując fragment maszynopisu:

„(...) Po uwolnieniu Dachau przez Amerykanów 29 kwietnia 1945 r. jeszcze jakiś czas pozostałem w Dachau i w szpitalu obozowym oddawałem usługi chorym, aż wreszcie wszystkich Amerykanie przenieśli do szpitala »amerykańskiego«, zainstalowanego obok w obozie esesmańskim. Wtedy z resztkami obozowiczów wyjechałem do Freimanu, odległego o jakieś pięć kilometrów od Monachium. Freiman — olbrzymie esesmańskie koszary, z wielopiętrową basztą przy bramie, zamykające z trzech stron ogromny jak rynek wielki krakowski, plac — lekko wchłonęły kilka tysięcy Polaków dipisów, w tej liczbie kilkuset księży (...).

We Freimanie przebywałem jakiś czas, a ponieważ dr Alojzy *Czarkowski* mojego zapalenia kości (*osteomyelitis*) dwoma zabiegami w Dachau nie uleczył, podejrzany o gruźlicę kości dostałem się do sanatorium misji watykańskiej w Grossachsenheim (...), dwanaście kilometrów od Ludwigsburga. Sanatoriów misji watykańskiej było pięć: we Freudental, Bitigheim, Grossachsenheim, Weihingen — wszystkie cztery w Wirtembergii — i piąte we Frauenalb, w Szwarcwaldzie. Około ich powstania dużo napracował się »dachauowiec« ojciec Kasjan *Wolak*, kapucyn. Sanatoria te mieściły się: w Grossachsenheim w szkole gospodarstwa domowego, w Bitigheim i Weihingen w szpitalach, we Freudental w pałacu jakiegoś magnata, we Frauenalb w domu na miejscu dawnego klasztoru benedyktynek. Kościół, klasztor i panny benedyktynki stały się ofiarami szału napoleońskich Francuzów. Tak opowiadali mieszkańcy Frauenalb. (...)

Sanatoria misji watykańskiej! Gdy do Watykanu dotarła taka wieść, zdziwił się, bo tam nikt nie wiedział o istnieniu takich sanatoriów. Pacjentami sanatoriów byli Estończycy, Litwini, Łotysze, Polacy, Rosjanie, Ukraińcy, Żydzi. Mężczyźni i kobiety. Przybywali z różnych obozów dipisów (wysiedlonych). Sanatoria liczyły około czterystu pacjentów. Personel służby zdrowia różny: siostry zakonne francuskie i polskie, salowe Polki i z innych narodowości. Przychodzili do pracy również miejscowi Niemcy. W Grossachsenheim szefem sanatorium był dr *Saare* — Estończyk, w Weihingen — dr *Skowroński* z Torunia, w Bitigheim — dr *Lenis*. Oprócz nich pamiętam jeszcze dr. *Adamowicjusza* — Litwina. Innych lekarzy z ich krótkim pobytem nie pamiętam. (...) Ja leczyłem się i byłem kapelanem w Grossachsenheim i w Heilbron przez trzy lata. Tam pełniłem obowiązki szefa *NCWC* (katolicki *caritas* amerykański). To przez ponad rok. Sanatoria miały trzech opiekunów: armię, UNRRA i NCWC. Było nam bardzo dobrze. Brakowało tylko »ptasiego mleka«.

(...) pacjenci (...) leczyli się (...), uczyli się (...), interesowali się muzyką (...). Ponieważ pacjenci byli raczej rekonwalescentami, dlatego dr *Saarę* pozwalał na przechadzki na całe popołudnia. Pozwalał również na wycieczki autobusem. (...) polscy pacjenci (...) sanatorium (...) gdy już przyszli do siebie i mogli się pokazać, poczęli odwiedzać miejscowe gasthauzy, gospody (...). Do Niemców wszyscy bez wyjątku odnosili się grzecznie. Wchodzili z nimi w przyjacielskie stosunki. (...) Absolutnie nie potwierdzali tego »gdyby Niemcy przegrali«. A przecież wśród pacjentów byli obozowicze i tacy, którzy przyglądali się niemieckiemu szałowi w Polsce, zanim znaleźli się na robotach w Niemczech. I tacy, którzy potracili rodziny z winy Niemców. (...)

Sanatoria we wspomnianych miejscowościach powstały w roku 1945 w lecie. Po dwóch latach Amerykanie oddali budynki miejscowym władzom, a wszystkich pacjentów przenieśli do jednego, ogromnego budynku szpitalnego w Heilbronn nad Nekarem. Księża kapelani sanatoriów wyjechali do Polski lub przenieśli się do obozu dipisów. Ja ze swoimi pacjentami znalazłem się w Heilbronn. I tutaj również stosunek Polaków do Niemców był poprawny (...)".

Inny charakter ma artykuł lek. med. Józefa Jana *Kuźmińskiego* z Białegostoku pt. „Służba medyczna grupy »Kampinos« w okresie powstania warszawskiego 1 VIII 1944 — 2 X 1944". Jest to szkic, który wymaga wielu poprawek i uzupełnień, tymczasem jest artykułem publicystycznym, mógłby być dopracowany albo w kierunku źródłowego przyczynku historycznego, albo — lepiej — wspomnienia. Ten 9-stronicowy, półgęsty maszynopis zakończony jest aneksem imiennym obsady sanitariatu Grupy (z końca września 1944 r.). Tak zatem bardziej publicystyczne ujęcia, odległe jeszcze od określonego stopnia ścisłości, kłócą się z wymaganiami czasopisma naukowego.

Ten sam autor nadesłał informację o odsłonięciu pomnika poświęconego ofiarom poniesionym przez służbę zdrowia Białostocczyzny w okresie I wojny światowej, dołączył też fotografię pomnika. Wspomniał, że przygotowuje „sylwetki pracowników służby zdrowia Białostocczyzny, uczestników II wojny światowej". Nawiasem mówiąc, warto podać, że niejeden respondent pracuje nad jakimś zagadnieniem medyczno-okupacyjnym; widać to nieraz pośrednio, np. prof. dr med. Józef *Sysa* z Łodzi, potwierdzając odbiór zeszytu 22, w liście z 2 lipca 1981 r. dodał: „Pozwolę sobie zaznaczyć, że w okresie okupacji hitlerowskiej działałem w ruchu oporu w charakterze lekarza na terenie b[yłego] powiatu] Jarosław b[yłego] woj[ewództwa] krakowskiego". Wyczuwa się możliwość powstania relacji z tego okresu.

Wracając do wspomnianego odsłonięcia pomnika, należy poinformować, że swe krótkie sprawozdanie lek. *Kuźmiński* zatytułował: „Służba zdrowia Białostocczyzny w 41. rocznicę Września". Oto ono:

„Dnia 1 września 1980 r. na terenie Wojewódzkiego Zespolonego Szpitala im. J. Śniadeckiego w Białymstoku odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika upamiętniającego ofiary poniesione przez służbę zdrowia Białostocczyzny w okresie II wojny światowej.

Teren szpitala, na którym zlokalizowano pomnik, wybrano nieprzypadkowo, albowiem już 1 września 1939 r. ówczesny Szpital Miejski przyjął pierwsze ofiary wojny: żołnierzy WP i ludność cywilną. Kolejne dni działań wojennych spowodowały przepełnienie murów szpitalnych do tego stopnia, że poszkodowanych przetrzymywano na okalających obiekt placach.

W okresie okupacji Szpital i część zatrudnionego w nim personelu były na usługach ruchu oporu. W wyniku działań wojennych budynki szpitala zostały uszko-

dzone, a udziałem personelu medycznego były ofiary śmiertelne. Według danych szacunkowych około 30% pracowników służby zdrowia woj[ewództwa] białostockiego zginęło w trakcie wojny. Członkowie Koła ZBoWiD Służby Zdrowia m[iasta] Białegostoku zaproponowali środowisku medycznemu Białostocczyzny — władzom służby zdrowia, towarzystwom medycznym, instancji związkowej — oddanie w sposób trwały hołdu poległym.

Inicjatywa zbowidowców została przyjęta. W 1979 r. powołano komitet organizacyjny, w skład którego weszli: przewodniczący — lekarz wojewódzki dr med. M. *Panek*, członkowie — artysta plastyk, pracownik Akademi Medycznej w Białymstoku mgr Stanisław *Wakuliński*, lekarz Józef *Kuźmiński*. Kompozycję artystyczną opracował St. *Wakuliński*, a prace techniczno-budowlane przeprowadził Zakład Remontowo-Budowlany Szpitala Wojewódzkiego im. J. Śniadeckiego pod nadzorem inż. M. *Rojszyka*.

Uroczystość, na którą przybyli między innymi kierownik Wydziału Administracyjnego KW PZPR mgr Z. *Rybicki*, sekretarz KM PZPR mgr T. *Wnorowski*, lekarz wojewódzki dr med. M. *Panek*, prorektor AMB prof. dr M. *Szamatowicz*, zastępca szefa WSW ppłk dypl. R. *Mucha*, prezydent m. Białystok mgr A. *Czuż*, dyrektor Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego doc. dr A. *Dowgird*, szef służby Garnizonu białostockiego mjr dr W. *Jaworski*, zbowidowcy, rodziny poległych, delegacje poszczególnych jednostek organizacyjnych służby zdrowia, towarzystw medycznych, młodzież szkół medycznych — rozpoczęła się odegraniem hymnu państwowego.

Znicz umieszczony koło pomnika zapalił płk rez. dr med. T. *Smolski* w asyście młodzieży medycznej, która także wystawiła koło pomnika wartę honorową. Okolicznościowe przemówienie wygłosił doc. dr med. kpt. rez. Franciszek *Taraszkiewicz*, wiceprezes Koła ZBoWiD służby zdrowia, członek ZG ZIW PRL. Przecięcia wstęgi w otoczeniu pielęgniarek dokonali: prezes ZW ZBoWiD w Białymstoku mgr M. *Kiryluk*, doc. dr med. kpt. rez. W. *Pręgowski* — kierownik Kliniki Chorób Płuc AMB i sekretarz Koła ZBoWiD służby zdrowia, piel. dypl. J. *Włodarek* — przełożona MPP przy ZP Sklejek w Białymstoku. Stałą opiekę nad pomnikiem sprawować będzie młodzież Zespołu Średnich Szkół Medycznych im. E. Sawickiej w Białymstoku, których dyrektor, mgr M. *Piktel*, w otoczeniu uczennic przyjął akt patronacki z rąk wiceprezesa WOKOPWiM, dyrektora MWP w Białymstoku, płk. dr. Z. *Kosztyły*.

W przyszłym roku [1981] z materiałów historycznych posiadanych przez Koło ZBoWiD służby zdrowia, materiałów znajdujących się w Muzeum Wojska Polskiego w Białymstoku i innych ukaże się przy pomocy WOKOPWiM, któremu przewodniczy mgr R. *Łazarowicz*, praca zbiorowa pod redakcją prof. dr. P. *Boronia*, przewodniczącego ZW Polskiego Towarzystwa Lekarskiego w Białymstoku, traktująca o udziale personelu medycznego Białostocczyzny w okresie II wojny światowej.

Książka o orientacyjnym nakładzie 2000 egzemplarzy liczyć będzie około 200 stron i 70 ilustracji. Jeden z rozdziałów zawiera imienną listę strat. Zebrane przez Koło ZBoWiD służby zdrowia materiały pozwoliły przy współpracy Muzeum WP w Białymstoku i Zespołu Średnich Szkół Muzycznych zorganizować w 1976 r. przy Szkole Izbę Tradycji. Wybrane eksponaty zasiliły także placówki muzealne i inne izby szkolne poza województwem białostockim. Obecnie rozważana jest koncepcja zorganizowania Muzeum Służby Zdrowia w Białymstoku."

Środowisko białostockie jest przykładem rejonu żywo interesującego się okupacyjną przeszłością miejscowego szpitalnictwa. Z Białegostoku też otrzymaliśmy 11-stronicowy maszynopis doktorów Józefa *Krętowskiego* i Franciszka *Taraszkiewicza* pt. „Wspomnienia wydarzeń wrześniowych, pracy konspiracyjnej, pobytu w obozach koncentracyjnych oraz działalność lekarska dr med. Ireny *Białówny* po wyzwoleniu w Polsce ludowej". Ta sędziwa, zasłużona, ofiarna więźniarka hitlerowskich obozów koncentracyjnych jest znana naszym czytelnikom ze swej relacji z rewiru w Brzezince (zamieszczonej w zeszycie z r. 1979) i wymieniana często jak najkorzystniej w literaturze obozowej.

Obaj autorzy podali życiorys dr *Białówny*, a następnie zacytowali jej relację pt. „Wspomnienia z pobytu w więzieniach i obozach koncentracyjnych", zapewne podyktowaną przez autorkę. W swej formie artykuł ten odbiega od wypracowanej już formuły biografii zamieszczonych w naszych zeszytach.

Z wybranych przykładów widać, jak różnorodny materiał nadsyłają nam autorzy. Również pominięta tutaj korespondencja (niepodobna jej wyczerpać w niedługim artykule) świadczy o rozmaitych inicjatywach tzw. terenowych i o żywotności środowisk regionalnych, a także o pomysłowości i pracowitości osób prywatnych. Mimo przytłoczenia troskami codziennego bytowania ludzie ci nie zaniedbują obowiązku przyczyniania się do rozwoju wiedzy o II wojnie światowej i jej następstwach, chcą ocalić każde ziarenko prawdy, każdą cząstkę tej wiedzy utrwalić dla potomności. Potwierdza to m. in. obfitość materiałów uzyskiwanych dzięki rozsyłaniu ankiet-apeli na różne tematy.

Niepodważalną powinnością jest prowadzenie takiej korespondencji — w sposób umiejętny i kulturalny — dopóty, dopóki żyją kombatanci i pragną dzielić się swymi doświadczeniami, zdobytymi nieraz kosztem trudnych do wyobrażenia cierpień.

Ks. kardynał metropolita krakowski, Karol *Wojtyła*, obecnie papież *Jan Paweł II*, 10 czerwca 1972 r. na cmentarzu na Salwatorze w Krakowie na pogrzebie prof. *Kępińskiego* (fot. Z. *Jaroszewski*)

JAN MASŁOWSKI Kraków

Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1981

DALSZY ROZWÓJ PIŚMIENNICTWA

Założenia przeglądu publikacji, prowadzone w dziale „Oceny", nie wymagają bliższego omówienia, ponieważ te zbiorcze informacje są tutaj kontynuowane już od roku 1966. Od razu jednak należy podać zastrzeżenie, że te charakterystyki piśmiennictwa najnowszego nie są bynajmniej bibliografią, nie pretendują więc do wyczerpywania wszystkich ukazujących się pozycji z zakresu wskazanego w tytule artykułu i z zakresu ich tła. Chodzi o określenie krystalizujących się grup tematycznych, proporcji między nimi i kierunków zainteresowań autorów.

W roku 1981, jak wiadomo, wśród lawiny trudności w wielu dziedzinach życia kulturalnego, społecznego i gospodarczego pogłębiały się też kłopoty wydawców, a co za tym idzie — również autorów. W planach wydawniczych o całe lata opóźniono mnóstwo edycji, z ich części zrezygnowano, a np. wznowienia i sporo prac bardziej specjalistycznych miało najmniej szans. Zazwyczaj gdy pogłębiają się trudności gospodarcze, najłatwiej jest dokonywać cięć na kulturze. Nic więc dziwnego, że wiele czasopism i książek ukazywało się z dużym opóźnieniem. Na szczęście badacze, autorzy, redakcje, nie tracąc poczucia obowiązku, na ogół starali się nie poddawać przeciwnościom, złe sytuacje bowiem często mogą się zmienić na lepsze. Niemniej zamiast roku „1981" nieraz widzimy w przytaczanych pozycjach rok „1980".

I jeszcze jedno zastrzeżenie. Podobnie jak w latach ubiegłych, tak i obecnie pomijamy tutaj omawianie zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", którymi się zajęła m. in. red. Ewa *Zagórska* [1], i — konsekwentnie — nie uwzględniamy zeszytu 21 (z roku 1981), którego koncepcję i treść przedstawił prof. Józef *Bogusz* [2]. Warto jednak — na zasadzie przykładów, jak wszystko w niniejszym artykule — wspomnieć o niektórych ocenach zeszytu poprzedniego, które ukazały się w czasopismach.

W międzynarodowym miesięczniku oświęcimskim [3] wskazano na prace dotyczące problematyki obozowej i więźniarskiej, których wiele znalazło się w zeszycie 21, reprezentując różnorodność tematyczną i formalną. Treść tę podawano też w szerszych notach, np. w „Za wolność i lud" [4]. W jednym z dzienników Ewa *Zagórska* napisała m. in.: „(...) polscy lekarze od lat ponad 20 — co jest fenomenem w skali światowej — dają nam w postaci zeszytów specjalnych »Przeglądu Lekarskiego« bezcenną księgę wiadomości dobrego i złego o człowieku, który jeśli miał własną twarz, to nawet w granicznych warunkach obozu zagłady potrafił stać się dla innych skrawkiem nieba w lagrowym piekle — w przeciwieństwie do hitlerowskich zbirów, ludzi spod sztancy, wyedukowanych w szkole okrucieństwa, słuchających ślepo rozkazów często z czystego oportunizmu" [5]. Autorka zwróciła też uwagę na obfity zasób dokumentów w zeszycie 21, humanitarną wymowę artykułów w nim zawartych, poruszenie spraw opieki nad więźniami, zasług sióstr zakonnych, kwestii martyrologii dzieci itp.

„Tygodnik Powszechny" określa tę edycję jako „wydawnictwo poświęcone martyrologii polskich lekarzy i pracowników służby zdrowia za czasów okupacji hitlerowskiej, ich działalności w podziemiu i w kampaniach wojskowych oraz partyzanckich, ich bohaterskiej i ofiarnej pracy w obozach koncentracyjnych oraz problematyce filozoficzno-etycznej zawodu lekarskiego w szczególnych okolicznościach okupacji, [wydawnictwo, które] zyskało sobie zarówno w kraju, jak i szeroko poza jego granicami wysoki autorytet w środowiskach naukowych lekarskich i nie tylko lekarskich" [6].

W związku ze swą oceną zeszytu 21 doc. dr Romuald Wiesław *Gutt* formułuje problem i postulat: „Nie żądano u nas odpowiedzialności zbiorowej. Karani byli jedynie bezpośredni sprawcy zbrodni. To odpowiednik terapii. Natomiast profilaktyka zawsze musi być masowa. Należy zatem mówić o tym, co miało miejsce, mówić często i bez ogródek. Mówić przyszłym lekarzom i przyszłym pielęgniarkom, przypominać nie tylko w dni obchodów i rocznic" [7].

Zeszyt 21 „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", który się ukazał, jak wszystkie poprzednie, w styczniu, zawiera 39 prac, w tym wiele obszer-

[1] E. *Zagórska*: Nad zeszytami „Oświęcimia". Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 224—229.

[2] J. *Bogusz*: Słowo wstępne. Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 3—14.

[3] Nowy numer „Przeglądu Lekarskiego". Biuletyn Informacyjny Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, 1981, nr 2, s. 2 i 4.

[4] W księgarskiej witrynie. Za wolność i lud, 1981, nr 10, s. 18.

[5] E. *Zagórska*: Wszyscy jesteśmy ofiarami. Dziennik Polski, 1981, nr 38, s. 4.

[6] Bibliofil: Chodząc po księgarniach. Okupacja i lekarze. Tygodnik Powszechny, 1981, nr 17, s. 6.

[7] R. W. *Gutt*: Nowy zeszyt oświęcimski. Służba Zdrowia, 1981, nr 15, s. 5.

nych studiów, a także bogaty materiał ikonograficzny. Wśród ilustracji, na wkładce, znalazła się m. in. reprodukcja utworu „Oświęcim" Janiny *Muszanki-Łakomskiej*, z jej cyklu „Kompozycje". Wkrótce potem artystka ta miała wystawę swych utworów malarskich i innych w krakowskim Pałacu Sztuki; wartości tej ekspozycji podkreślono w prasie [8], telewizji [9] i radiu. Tematyka wojenno-okupacyjna, także medyczna, zajmuje w sztuce poczesne miejsce i ma swoich znawców, jak m. in. Janina *Jaworska* czy też Irena *Stefańska*.

Wspomniany zeszyt, kontynuujący zbiorcze ujmowanie zagadnień lekarskich i pokrewnych II wojny światowej i jej następstw, nie wyczerpuje tej problematyki, która, jak zobaczymy w dalszych śródrozdziałach, jest nadal żywotna i pojawia się w najróżniejszych wydawnictwach i przy rozmaitych okazjach. W znacznym stopniu są to prace oryginalne i twórcze, ukazujące swe zaplecze źródłowe i dokumentacyjne, po części też są to publikacje popularne, oparte na wcześniejszych osiągnięciach badawczych i zwykle pozbawione bibliografii załącznikowej.

Jednym z czynników przesądzających o wartości takich pozycji jest respektowanie prawdy. Nie wolno naginać się do żadnych koniunktur ani też ulegać osobistym animozjom czy małostkowości, egocentryzmowi i subiektywizmowi. Obowiązkiem jest dążenie do prawdy, rzetelność w opisach wydarzeń okupacyjnych, wojennych bądź obozowych i maksymalny obiektywizm w interpretacjach. Fałsze, inspirowane zwykle doraźnymi celami, wcześniej czy później przeważnie ulegają zdemaskowaniu. W piśmiennictwie warto zwracać uwagę na te publikacje, które domagają się poszanowania prawdy i zawierają jej przekonujące uzasadnienie [10].

Nie zapominając o aspekcie etyczno-moralnym, warto też zauważyć, że wielu autorów przechodzi od opisowości do refleksyjności, zwłaszcza psychologiczno-moralnej. Spośród licznych przykładów można wskazać na pracę magisterską Małgorzaty *Melchior* pt. „Etyczne i wychowawcze problemy walki (w świetle rozmów z żołnierzami Szarych Szeregów)" [11]. Autorka zebrała potrzebne relacje w roku 1978 w rozmowach z nimi. Postawieni pod krwawą i bezwzględną okupacją wobec dylematów i konfliktów natury etycznej, nękani wątpliwościami, starali się walczyć fair, nie odpowiadać na „robotę katowską" i wojnę totalną podobnymi, brutalnymi metodami, nie rezygnować z zasad moralnych i ich honorowania, np. humanitarnie traktować niemieckich jeńców i rannych, zachować stosowny „kodeks walki zbrojnej", ale nie wpadać też w „zbytnią miękkość", wyrabiać właściwy stosunek do przeciwnika w wychowywaniu konspiratorów.

Sam rozwój interesującej nas tutaj problematyki wojenno-okupacyjnej, systematyczny i nieprzerwany, jest rezultatem jej zasadności, nie zawsze i nie wszędzie należycie rozumianej. Uzasadnień można znaleźć wiele. Przykładem może być wypowiedź znanego pisarza współczesnego, Grigorija *Bakłanowa*, który liczył 17 lat w chwili uderzenia Niemiec hitlerowskich na ZSRR; ranny, trafił do szpitala wojskowego; jest autorem powieści związanych z II wojną światową.

Bakłanow ujął istotne problemy, mówiąc: „Pozostało już stosunkowo niewiele osób, które uczestniczyły w II wojnie. Uważam za swój obowiązek opowiedzieć o tym, co przeżyliśmy w tamtych latach. Opowiedzieć, dopóki żyję, i — tylko prawdę. Myślę, że prawdę o minionej wojnie powinna poznać przede wszystkim młodzież. Poznać, i co za tym idzie, uczynić wszystko, by to się nigdy więcej nie powtórzyło. Dzisiaj młodzież przeżywa jeden z najpoważniejszych okresów w historii. Przecież w przypadku nowej wojny światowej zginęliby nie tylko poszczególni ludzie, chociaż i to byłoby straszne; obecnie wojna może unicestwić wszystko, co żyje, całą cywilizację".

Dalej *Bakłanow* precyzuje swe zadanie: „Moja rola polega na bronieniu zdrowego rozsądku. I jeszcze jeden powód skłania mnie do pisania: to »głos poległych«, pamięć o tych, w imieniu których muszę się wypowiedzieć, to poczucie długu wobec tych, którzy nie powrócili z pola walki. (...) Bohaterski czyn narodu nie może się nigdy zestarzeć. O II wojnie nie przestaną pisać także i następne pokolenia dlatego, że była ona wydarzeniem, które zmieniło losy świata. Myślę jednak, że przyszłe utwory będą miały inny charakter, będą to już powieści historyczne" [12].

Dodajmy: będą to też badawcze prace historyczne, zapewne wzbogacone dalszymi refleksjami i głębszymi interpretacjami, a także nadal relacje i wspomnienia, ciągle wydobywane z archiwów tudzież ze zbiorów pozostałych po nieżyjących. Obserwując rozwój omawianego piśmiennictwa, można dostrzec, że rośnie znaczenie wspomnień; długo jeszcze mogą ukazywać się zawierające je zbiory, nieraz będące plonem konkursów, które przyniosły wiele nie opublikowanych jeszcze materiałów. Niejedna taka antologia — np. będąca rezultatem konkursu czasopism „Tydzień", „Za wolność i lud" i Urzędu ds. Kombatantów [13] — budzi żywe zainteresowanie i wzbogaca wiedzę o przeszłości.

Wspomnień nie można lekceważyć, jak się to nieraz zdarza; oczywiście wymagają one krytycznego podejścia. Są też przedmiotem rozważań fachowców [14]. Jacek *Szymanderski* w swoim studium [15] właśnie krytycznie ujmuje ten problem;

[8] M. in. A. *Warzecha*: Egzorcyzmy. Widnokrąg kultury. Dziennik Polski, 1981, nr 76, s. 3.

[9] Program II Telewizji Polskiej, Kronika krakowska, 17 IV 1981.

[10] Np. M. *Mazur:* Zagadnienie prawdy w nauce. Zeszyty Naukowe Stowarzyszenia Pax. Dodatek do Biuletynu Wewnętrznego Stowarzyszenia Pax, 1981, nr 1 (30), s. 79—92; Badając historię najnowszą. Z prof. Henrykiem *Batowskim* rozmawia Katarzyna Z. *Kołodziejczyk*. Kultura, 1981, nr 47, s. 1 i 4.

[11] Pod kierunkiem dr. K. *Kicińskiego* w Instytucie Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego. Skrót pt. Ethos [etos] walki. Kultura, 1981, nr 10, s. 9 i 10.

[12] N. *Nazarow*: Dlaczego piszę o wojnie. AP [Agencja Prasowa] „Nowosti" dla „TK". Tygodnik Kulturalny, 1981, nr 25, s. 13.

[13] Ucieczki ku wolności. Wspomnienia Polaków z lat wojny i okupacji. Wybór i oprac. Ryszard *Dyliński*, Jerzy *Korczak*, Mieczysław *Skąpski*. Poznań 1980, Wydawn. Poznańskie, ss. 663, nlb. 1.

[14] Np. Z. *Sufin*: Możliwości wykorzystania techniki komputerowej w opracowywaniu materiałów pamiętnikarskich. Dzieje Najnowsze, r. 11: 1980, z. 2, s. 153—154; J. W. *Chojna*: Pierwsza próba opracowania metodologii historii medycyny w piśmiennictwie polskim. Arch. Hist. Med., 1981, z. 1, s. 77—84; Z. *Podgórska-Klawe*: Kilka uwag o warsztacie historyka medycyny. Tamże, s. 93—98.

[15] J. *Szymanderski*: Znaczenie masowych materiałów pamiętnikarskich w badaniach historycznych. Dzieje Najnowsze, r. 11: 1980, z. 2, s. 155—170.

uznaje m. in., że większą wartość mają dokumenty odpowiednich instytucji, a zbiory pamiętników i wspomnień z metodologicznego punktu widzenia należy traktować tylko jako zespół pamiętników indywidualnych.

Ta rozwijająca się literatura sprzyja lepszemu zrozumieniu przesłanek, które nakazywałyby ludzkości zmierzać w kierunku dla niej korzystnym, a nie ku wzmaganiu napięć politycznych i społecznych i ku wojnie. Lepiej też na tle tej obfitej lektury pojmuje się starania najwyższego autorytetu moralnego, papieża *Jana Pawła II*, który we środę 25 lutego 1981 r. przybył na sześć godzin do Hiroszimy, gdzie ludzie po raz pierwszy doświadczyli w r. 1945 potworności wybuchu atomowego, którego skutki medyczne trwają po dziś dzień.

Papież wygłosił tam apel pokojowy. Przemawiając w uniwersytecie ONZ w Hiroszimie, uznał stworzenie sprawiedliwszego społeczeństwa za imperatyw moralny, możliwy do urzeczywistnienia pod warunkiem etycznego uzdrowienia ludzkości, stosownej ewolucji etycznej społeczeństwa technologicznego, ulepszenia człowieka i działania dla niego samego. Przyjazd papieża do Hiroszimy był również wyrazistym akcentem przypominającym tragiczne skutki wojny i wyrazem przeciwstawienia się możliwości jej powtórzenia na wielką skalę.

Wydarzenia bieżące, przekształcające Polskę od sierpnia 1980 r. i wpływające na świadomość narodu, przesłoniły w pewnym stopniu problematykę najnowszych dziejów kraju, ale też przyniosły uznanie tak ważnych wskazań, jak poszanowanie prawdy, właściwa interpretacja przeszłości, znaczenie tradycji, docenianie przełomowych okresów w dziejach Polski i umiejętność właściwego wysnuwania wniosków z doświadczeń historycznych. Sprawa II wojny światowej i okupacji pozostaje jako istotny problem badawczy i źródło nauk na przyszłość.

W zakresie nas tutaj interesującym patrząc na to zagadnienie, widzimy w odniesieniu do roku 1981 rozwarstwienie tematów podobne jak poprzednio, tzn. publikacje grupujące się wokół spraw wojskowych, problematyki okupowanego kraju z wyeksponowaniem Warszawy okupowanej i martyrologii Żydów, wokół wątków obozowych, zbrodni hitlerowskich i socjalno-zdrowotnej sytuacji kombatantów.

W WOJSKU

Ogólnie w r. 1981 poruszano w środkach społecznej informacji m. in. kwestie związane z powszechnie obchodzonymi rocznicami, jak święto 22 lipca, z okazji którego przypomniano nie tylko bohaterstwo żołnierzy i partyzantów walczących z faszyzmem o odzyskanie niepodległości Polski, lecz także ofiarę, jaką złożyli więźniowie reżimu hitlerowskiego, więzień i lagrów, obozów koncentracyjnych, zagłady, jenieckich itd. Znany jest na ogół udział pracowników służby zdrowia w tej hekatombie, ale temat ten czeka jeszcze na swą wyczerpującą monofragię.

40. rocznica napaści Niemiec hitlerowskich na ZSRR przypomniała m. in. wielki wkład wojskowej służby zdrowia w leczenie i ratowanie rannych i chorych, będące silnym, humanitarnym akcentem wśród koszmaru wojny. Uroczyście obchodzono też 36. rocznicę zawarcia między Polską a ZSRR układu o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy, który zapewnił naszemu krajowi pokój, a w konsekwencji europejskiej ułatwił uchronienie się przed ewentualną wojną w tej części świata.

Podobne rocznice wojskowe i polityczne przyczyniają się do przypominania i popularyzowania ważnych wydarzeń historycznych, równocześnie natomiast nieprzerwanie trwają prace badawcze, których wyniki można znaleźć m. in. w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym". Kwartalnik ten powinien być stałą lekturą osób zajmujących się medycznymi zagadnieniami II wojny, daje bowiem rozeznanie w szerszym tle, a także dobre metodologicznie wzory studiów historycznych. „WPH" prowadzi cokwartalną bibliografię przedmiotu.

Lekarska problematyka wojskowa minionej wojny jest jednak traktowana raczej drugorzędnie, niewiele ukazuje się publikacji w tym zakresie. Niektóre wiążą się też z aspektami cywilnymi, jak np. sytuacja uchodźców polskich z klęski wrześniowej. Ostatnio pisano szczególnie o ich życzliwym przyjęciu na Węgrzech. Monograficznie ujął ten temat István *Lagzi* [16], w sposób obiektywny, nie tając też konfliktów; zebrał obfity zasób informacji, lecz nie wyzyskał wszystkich istotnych publikacji polskich. Warto od razu dodać, że wśród nowych prac dotyczących młodzieży znalazła się książka Heleny *Csorby* i Tibora *Csorby* „Losy młodzieży polskiej na Węgrzech w latach II wojny światowej" (znajdująca się w czasie pisania tego przeglądu w druku w PWN). Przypomnieć warto, że znaczny odsetek uchodźców przedostał się do oddziałów polskich na Zachodzie.

Pisano nadto m. in. o uchodźcach i żołnierzach polskich w Szkocji. Jeden z artykułów dotyczy szkolenia Antoniego *Kępińskiego* w lotnictwie i następnie studiów w Polskim Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Edynburgu [17]. Warto przy tym przypomnieć książkę dr. Wiktora *Tomaszewskiego* poświęconą służbie wojskowej w Szkocji i studiom lekarskim [18]. O prof. *Kępińskim* autor wzmiankuje tylko w jednym akapicie [19].

Aktywne jest nadal Koło Historii Wojskowej Służby Zdrowia przy Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowej Akademii Medycznej w Warszawie. Na rok 1981 Koło to przygotowało m. in. następujące referaty: „Mój ochotniczy udział w bitwie pod Mławą we wrześniu 1939 r." (doc. dr med. Zbigniew *Przetakiewicz*), „Służba

[16] I. *Lagzi*: Uchodźcy polscy na Węgrzech w latach drugiej wojny światowej. Warszawa 1980, Wydawn. MON; rec. m. in. M. A. *Kowalski*, Tygodnik Kulturalny, 1981, nr 8, s. 11; zob. też J. *Kulnianin*: Uchodźcy polscy na Węgrzech w latach drugiej wojny światowej. Mówią Wieki, 1980, nr 11, s. 23—27.

[17] J. *Masłowski*: Ze Szkocji do Polski. Z biografii prof. Antoniego *Kępińskiego*. Życie Literackie, 1981, nr nr 19, s. 8—9; zob. też edycję książkową: A. *Jakubik*, J. *Masłowski*: Antoni *Kępiński* — człowiek i dzieło. Warszawa 1981, PZWL, s. 49—76: rozdz. pt. W obozach; rec. m. in. R. W. *Gutt*: Księga o bogatej księdze. Służba Zdrowia, 1981, nr 43, s. 4.

[18] W. *Tomaszewski*: Na szkockiej ziemi. Wspomnienia wojenne ze służby zdrowia i z Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu. Wydanie uzupełnione. Londyn 1976, White Eagle Press, ss. 310.

[19] Tamże, s. 242.

zdrowia Frontu Południowego w wojnie obronnej 1939 r." (mgr hist. Jerzy *Radomski*), „Polscy lekarze na Węgrzech w latach II wojny światowej" (doc. dr socj. Helena *Csorba* i dr Tibor *Csorba*), „Obecność polskich farmaceutów na Węgrzech i w Rumunii w latach 1939—1945" (płk dr farm. Władysław *Markowski*), „Dr Helena *Wolff* — oficer, lekarz, bohater" (ppłk lek. med. Piotr *Białokozowicz*), „Moja droga żołnierska — Bliski Wschód, Afryka, Włochy (1942—1945)" (mgr farm. Jan *Macherski*), „Sylwetki kierowniczej kadry wojskowej służby zdrowia Armii Czerwonej w czasie wojny ojczyźnianej (1941—1945)" (płk doc. dr med. Juliusz *Derecki*).

Wojskowa służba zdrowia ze wszech miar zasługuje na dalsze badania historyczne. „Przegląd Lekarski — Oświęcim" chętnie by zamieszczał więcej artykułów na ten temat.

Dodać jeszcze warto, że w 25-lecie wspomnianego już „Wojskowego Przeglądu Historycznego", który skupia wiele tego rodzaju prac, odbyło się 11 czerwca 1981 r. w Stołecznym Klubie Garnizonowym Domu Wojska Polskiego „Za Żelazną Bramą" uroczyste posiedzenie [20], na którym podsumowano rolę i dorobek „WPH", Wojskowego Instytutu Historycznego, a także „Kwartalnika Historycznego", wydawanego przez Instytut Historii PAN.

Z najpobieżniejszego nawet przeglądu widać, że narasta m. in. problematyka dotycząca wojsk ZSRR. Wydano np. pracę zbiorową o radzieckiej służbie tyłów, uwzględniającą zagadnienia służby zdrowia, zaopatrzenia, transportu itp.[21]

Osobnym wątkiem są losy i postawa jeńców wojennych, np. ich humanitarna postawa, wyrażająca się w pomocy dla rodzin żołnierzy uwięzionych lub straconych, kosztem żołdu, z darów od jeńców *Oflagu II C* w Dobiegniewie (Woldenberg), z dochodu z imprez w obozie; jeńcy współpracowali też z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem w Genewie [22].

Interesujące byłoby porównanie umiejętności i zadań wojskowej służby zdrowia w pierwszej i w drugiej wojnie światowej, określenie, jaki nastąpił rozwój sprawności i efektywności działania, jakie są elementy wspólne, które można by wyłowić z różnych opracowań, np. biorąc pod uwagę ciekawe spostrzeżenia dr. med. Ferdynanda *Pawłowskiego* z Krakowa [23] (szkolenie personelu sanitarnego, przygotowywanie sprzętu sanitarnego dla wojska i ekwipunku, warunki zakwaterowania, higiena, zabezpieczenie medyczne, rodzaj strat bojowych i chorobowych, ewakuacja rannych itd.). Z kolei porównanie takie można by przenieść na warunki partyzantki bądź też powstania warszawskiego. Duża część lekarzy wojskowych, sanitariuszy itd., jak wiemy, wniosła do tej służby podczas II wojny swe doświadczenia z pierwszej.

[20] MJ: 25 lat „Wojskowego Przeglądu Historycznego". Za wolność i lud, 1981, nr 26, s. 12—13.

[21] Tyły radzieckich sił zbrojnych w wielkiej wojnie narodowej. Red. S. *Kurkotkin*. Przeł. z jęz. ros. M. *Cygan*. Słowo wstępne do wyd. pol. M. *Obiedziński*. Warszawa 1980, Wydawn. MON, ss. 706, nlb. 2.

[22] J. *Pollack*: Pomoc jeńców wojennych dla rodzin poległych i więźniów obozów koncentracyjnych. Za wolność i lud, 1981, nr 14, s. 13 i 18.

[23] F. *Pawłowski*: Sanitariat I Brygady Legionów na tle wspomnień osobistych. Kraków 1975, ss. 30, ilustr. (maszynopis).

W OKUPOWANYM KRAJU

Ostatnio odnotować warto żywszy postęp w dziedzinie historii okupowanego Krakowa. Nadal narasta piśmiennictwo na temat tzw. *Sonderaktion Krakau*. W „Materiałach i dokumentach do dziejów nauki polskiej w czasie II wojny światowej" Jan *Poradzisz* prezentuje relację prof. Kazimierza *Piwarskiego* „19 miesięcy w Dachau". Do sprawy tej niebywałej zbrodni, dokonanej na luminarzach nauki polskiej, wrócił prof. Stefan *Batowski* [25]. To znów tylko przykłady. W „Polskim Słowniku Biograficznym" [26] znajduje się biografia prof. Stanisława *Pigonia*, autora znakomitych „Wspominków z obozu w Sachsenhausen", po raz pierwszy opublikowanych w naszych zeszytach [27].

Serię przystępnych publikacji odnoszących się do niektórych szczegółowych zagadnień terroru hitlerowskiego w Krakowie pod okupacją wydał znany badacz krakowski, autor „Kroniki okupowanego Krakowa", Tadeusz *Wroński* [28]. Częściowo poruszył on tematykę znaną już naszym czytelnikom, którą ujął skrótowo podług obecnego stanu badań, np. o obozie „Liban" [29] i o obozie w Krakowie Płaszowie [30]. Uwzględnił aspekty sanitarne, choroby itp.; oto przykład:

W broszurce omawiającej obóz w Płaszowie *Wroński* zwięźle i rzeczowo wskazał na niszczenie więźniów głodem, niezwykle ciężkimi warunkami zakwaterowania i bytowania, tolerowaniem czerwonki, tyfusu, róży, gruźlicy przy jednoczesnym pozorowaniu opieki zdrowotnej i nieuctwie tzw. sanitariuszy; wspomniał o selekcji w formie „apelu zdrowotnego", zarządzonego przez komendanta, Amona *Goetha*, o przemycaniu żywności

[24] Materiały i dokumenty do dziejów nauki polskiej w czasie II wojny światowej. 1. Red. Z. *Kolankowski*, L. *Łoś*. Wrocław 1980, Oss., ss. 126, tabl.

[25] H. *Batowski*: Zachodnioniemiecki głos o uwięzieniu profesorów UJ. Tygodnik Powszechny, 1981, nr 5, s. 5. — O najnowszych, nieznanych dotąd materiałach na temat „Sonderaktion Krakau", zebranych w Instytucie Polskim im. W. Sikorskiego w Londynie z prof. Józefem *Buszką* rozmawia Leszek *Mazan*. Gazeta Krakowska, 1981, nr 218, s. 1 i 6; Kulisy aresztowania profesorów UJ w 1939 r. O „Sonderaktion Krakau" mówi prof. dr Władysław *Wolter*. Tamże, s. 5.

[26] Polski Słownik Biograficzny. T. 26/1, z. 108. *Piątkiewicz* Bronisław — *Pigoń* Stanisław. Red. nacz. E. *Rostworowski*. Kraków 1981, Oss., ss. 208. — Red. K. *Miklaszewski* w I programie Telewizji Polskiej przypomniał 1 VII 1981 r. w swej audycji z serii „Lekarze lat wojny" sylwetkę prof. dr. E. *Brzezickiego*, więźnia Sachsenhausen.

[27] Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 156—171.

[28] Są to: Obóz w Płaszowie, miejsce masowej eksterminacji ludności żydowskiej, polskiej i innych narodowości w latach 1942—1945. Warszawa 1981, Sport i Turystyka, ss. 39, nlb. 1; Fort krzesławicki — miejsce masowych egzekucji Polaków w Krakowie w latach 1939—1941. Warszawa 1981, Sport i Turystyka, ss. 27, nlb. 5; Kaźń Polaków przy ul. Pomorskiej 2 w Krakowie w latach 1939—1945. Warszawa 1981, Sport i Turystyka, ss. 47, nlb. 1; „Liban" — karny obóz służby budowlanej w Krakowie w latach 1942—1944. Warszawa 1981, Sport i Turystyka, ss. 31, nlb. 1; Obozy przejściowe dla robotników przymusowych w Krakowie w latach 1939—1945, Sport i Turystyka, ss. 31, nlb. 1.

[29] Por. J. *Mruk*: Obóz karny „Liban". Uwagi lekarza. Przegl. Lek., 1970, nr 1, s. 114—120.

[30] Por. R. *Kiełkowski*: Obóz pracy przymusowej i koncentracyjny w Płaszowie. Przegl. Lek., 1971, nr 1, s. 23—36; martyrologię Żydów w Krakowie, obozy w tym mieście i zagładę chorych w Kobierzynie źródłowo przedstawił ten sam autor w swej pośmiertnie wydanej książce pt.: ...zlikwidować na miejscu! Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Krakowie. Kraków 1981, Wydawn. Literackie, ss. 289, nlb. 1.

i leków do obozu, powołał się na relację dr. Aleksandra *Bibersteina* [31].

Przed laty Józef *Ścisło* zbierał materiały ilustrujące kwestię egzekucji w Przegorzałach, jednym z wielu miejsc masowych rozstrzeliwań Polaków w Krakowie i w okolicy miasta. Obecnie ukazała się broszura *Ścisły* na ten temat [32]. Z wielu podobnych opracowań wynika dowodnie, że Kraków był miastem sterroryzowanym, rozwijającym mimo to działalność konspiracyjną — o czym niejednokrotnie pisano m. in. w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" — i podlegającym eksterminacyjnej polityce hitlerowskiej, ponoszącym więc ciężkie ofiary.

Jedną z wielu form przeciwdziałaniu tej polityce był w Krakowie „Patronat" [33], niosący pomoc więźniom. Należy przypomnieć, że idea zorganizowanej opieki nad więźniami wcieliła się na ziemiach polskich w życie w postaci „Patronatu" w r. 1909 w tzw. Kongresówce. W zeszytach naszych pisano już o patronatach krakowskim [34] i warszawskim [35], które zasłużyły się pomocą więźniom m. in. w okresie okupacji hitlerowskiej. Ideę patronacką przypomniał Karol *Pędowski* [36], postulując wskrzeszenie „Patronatu" — oczywiście w odmiennych współcześnie warunkach — i precyzując jego aktualne cele. Nowy „Patronat" przystąpił w r. 1981 do swej działalności.

Kraków słynął z solidarności swych mieszkańców i ich chętnej pomocy potrzebującym, cierpiącym, chorym, bezdomnym, poszukiwanym przez gestapo itd., a tamtejsza służba zdrowia brała walny udział w takich poczynaniach, które szybko nabrały charakteru zorganizowanych akcji. Dla przykładu warto jeszcze podać — w związku z 30. rocznicą śmierci kardynała Adama Stefana *Sapiehy*, księcia metropolity krakowskiego, która przypadła na 23 lipca 1981 r. — że ten wielki patriota o żelaznym charakterze wykazywał niezwykłą troskę o ludzi potrzebujących pomocy.

W jednym z artykułów napisano w związku z tym, co następuje: „(...) nadeszły tragiczne chwile klęski wrześniowej i mrocznej okupacji. Mając na uwadze działalność KBK [Krakowskiego Biskupiego Komitetu dla dotkniętych klęską wojny] w czasie I wojny światowej, i teraz zwrócono się do arcybpa [metropolity krakowskiego] A[dama] S[tefana] *Sapiehy* z prośbą o zorganizowanie Obywatelskiego Komitetu Pomocy i objęcia w nim przewodnictwa. W zakresie charytatywnym funkcje tegoż Komitetu przejęła z czasem Rada Główna Opiekuńcza (RGO), na której to powołanie zgodziły się władze okupacyjne, nadając jej pod koniec 1940 r. statut organizacyjny. Jej duszą i sercem był oczywiście metropolita krakowski, chociaż przewodnictwo złożono tym razem w inne ręce" [37].

Wiele materiału (wypowiedzi prof. Józefa *Buszki*, dr Aliny *Fitowej*, dr. Jacka *Chrobaczyńskiego*, mgr Marii *Gacek* i innych) na temat terroru w latach okupacji w Krakowskiem przyniosło m. in. „Otwarte posiedzenie plenarne poświęcone zagadnieniu polityki okupanta hitlerowskiego wobec wsi krakowskiej", przygotowane przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie (8 maja 1981 r.). Sytuację chłopów podczas okupacji przedstawia się w różnych publikacjach, np. w tomie III „Historii chłopów polskich" [38], wydanym przez Zakład Historii Ruchu Ludowego przy NK ZSL.

W tzw. terenie, w lasach, po wsiach, ukrywały się i działały oddziały partyzanckie, których zabezpieczenie sanitarne i medyczne było ogromnym zadaniem, skoro konspiracja polska w latach wojny objęła przeszło milion osób, a AK, BCh, GL i AL i in. zaliczyły co najmniej dziesięć tysięcy akcji zbrojnych, w tym kilkaset większych bitew. Ich największe nasilenie przypadło na Kieleckie, Lubelszczyznę, Warszawskie i Krakowskie [39]. Stamtąd też uzyskaliśmy najwięcej materiałów na temat związków między pracownikami służby zdrowia a konspiracją.

W niektórych publikacjach skupiono uwagę na poszczególnych postaciach, tak ofiarnych, zasłużonych i odważnych, myślących w prawdziwie postępowy sposób, jak wspomniana już uprzednio — przy okazji tematyki wojskowej — Helena *Wolff*, „dr Anka" [40], dr med. Krystyna *Rodziewicz-Zandbergowa*, „Kasia" [41] czy charakteryzowany już (w dziale „Listy" niniejszego zeszytu) dr Szczepan *Wacek* [42]. Do młodzieży zwłaszcza najlepiej, jak się wydaje, trafiają konkretne opisy, przede wszystkim dotyczące postawy, przekonań, pomysłowości, patriotyzmu, niezwykłych czynów i konsekwencji w postępowaniu poszczególnych bojowników.

Bujnie rozwija się piśmiennictwo poświęcone walczącej Warszawie, a także martyrologii Żydów w tym mieście (o czym w następnym śródrozdziale). Inne miasta znacznie ustępują pod względem zasobu literatury w tym zakresie dorobkowi dotyczącemu okupowanej stolicy, co zresztą jest zrozumiałe ze względu na jej rolę.

Dla przykładu warto wskazać na artykuł o Wydziale Weterynaryjnym podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego [43], na pracę (zresztą niewy-

[31] A. *Biberstein*: Przyczynek do dziejów obozu w Krakowie Płaszowie. Przegl. Lek., 1977, nr 1, s. 195—198.

[32] J. *Ścisło*: Przegorzały — miejsce masowych egzekucji Polaków w Krakowie w latach 1939—1944. Warszawa 1981, Sport i Turystyka, ss. 23, nlb. 1.

[33] S. *Kłodziński*: Krakowski „Patronat" więzienny. Przegl. Lek., 1972, nr 1, s. 168—176.

[34] Tamże.

[35] I. *Nowodworska*, M. *Rörichowa*, K. *Pędowski*: Opieka „Patronatu" nad więźniami. Przegl. Lek., 1971, nr 1, s. 37—42.

[36] K. *Pędowski*: Patronat. Kultura, 1981, nr 21, s. 10.

[37] J. *Górny*: Książę metropolita krakowski, Adam Stefan *Sapieha*. WTK — Tygodnik Katolików, 1981, nr 30, s. 3.

[38] Historia chłopów polskich. T. 3. Okres II Rzeczypospolitej Polskiej i okupacji hitlerowskiej. Red. S. *Inglot*. Warszawa 1980, ZSL, ss. 715, ilustr.

[39] T. *Tarnogrodzki*, W. *Ważniewski*: Walki partyzanckie o Polskę. Warszawa 1980, Krajowa Agencja Wydawnicza, ss. 147. — W wielu podobnych publikacjach jest uwzględniana służba zdrowia, np. J. *Wiejak*: Wrzesień i okupacja. Lubartów i Ziemia Lubartowska, 1980, s. 85—86.

[40] P. *Białokozowicz*: Helena *Wolff* — „dr Anka". Warszawa 1980, Wydawn. MON, ss. 46, nlb. 2.

[41] A. *Czerski*: Wspomnienie o dr med. Krystynie *Rodziewicz-Zandbergowej* „Kasi". Z pamiętnika łączniczki. WTK — Tygodnik Katolików, 1980, nr 51/52, s. 10. — W. *Winiarska-Łapczyńska*: Ze wspomnień pielęgniarki. Pielęgniarka i Położna, 1981, nr 1, s. 23—24.

[42] M. *Lityński*: Dr Szczepan *Wacek* — lekarz, żołnierz, patriota. Archiwum Historii Medycyny, t. 43: 1980, z. 4, s. 445—452; E. *Chróścielewski*: Na Ujazdowie. WTK — Tygodnik Katolików, 1981, nr 26, s. 10.

[43] A. *Stryszak*: Wydział Weterynaryjny Uniwersytetu Warszawskiego w okresie drugiej wojny światowej. Medycyna Weterynaryjna, 1980, nr 9, s. 522—524. — W pięciu artykułach (WTK — Tygodnik Katolików, 1981, nr 41—45, s. 7) A. *Korsak* wielostronnie omówił okupa-

czerpującą) o służbach miejskich Warszawy pod okupacją [44], na pozycje dotyczące Pawiaka [45] i dokumentacji tej katowni [46] itd. Na Pawiaku więziono m. in. Andrzeja *Bartoszyńskiego*, który spisał swe wspomienia z tego okresu, odtwarzając doznania z czasu uwięzienia go jeszcze jako ucznia [47]; autor ten, mieszkający obecnie w Krakowie, podzielił los wielu aresztowanych warszawian, tj. został wywieziony do obozu koncentracyjnego [48].

Pełną dramatycznej treści podgrupą jest piśmiennictwo odnoszące się do Warszawy walczącej w ścisłym znaczeniu tego słowa. Dobrze, że przypomniano o niektórych pielęgniarkach, poruszając ten temat [49]. Jego wybitny i rzetelny znawca, Lesław M. *Bartelski* wznowił swą monografię o powstaniu warszawskim, wydając w „Iskrach" wersję uzupełnioną [50]. W 37. rocznicę wybuchu powstania odbywały się w r. 1981 uroczystości ku czci jego bohaterów. Ukazało się wiele artykułów. Próbowano m. in. odpowiadać na takie pytania, jak: czy zbrojny zryw musiał zakończyć się klęską, jaka by była ocena przywódców powstania, gdyby zakończyło się ono zwycięstwem [51] itp. Masowy udział pracowników służby zdrowia w powstaniu warszawskim znalazł, jak wiadomo, swe odbicie w obszernym piśmiennictwie, także w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". W r. 1981 po raz pierwszy udekorowano grupę byłych uczestników powstania Warszawskim Krzyżem Powstańczym, ustanowionym przez Sejm PRL w czerwcu tegoż roku.

Warto dodać, że aktywnie krzewi ideę urządzenia muzeum poświęconego konspiracyjnej i walczącej Warszawie Społeczny Komitet Organizacyjny Muzeum Powstania Warszawskiego. Ma też powstać — z inicjatywy społecznej zaangażowanych patriotycznie ludzi dobrej woli — „Pomnik Powstania" (pod takim tytułem Polskie Radio nadało reportaż Anny *Semkowicz* 29 listopada 1981 r. w programie III, przypominając przy okazji bohaterstwo sanitariuszek).

Można by tutaj wyliczać jeszcze inne pozycje dotyczące okupowanej Warszawy, m. in. rozproszone po czasopismach i dziennikach, przejdźmy jednak do innych rejonów Polski pod jarzmem hitlerowskim. Nadmienić warto o słusznym projekcie urzeczywistnienia trzech pomników ku pamięci udręczonej Zamojszczyzny; chodzi o Biłgorajską Wioskę Dziecięcą im. Dzieci Zamojszczyzny, Centrum Twórczości Dzieci i Młodzieży im. Dzieci Zamojszczyzny i Filię Centrum Zdrowia Dziecka im. Dzieci Zamojszczyzny [52]. Gdy się wniknie w tragedię tego rejonu, nie można się oprzeć przekonaniu, że mimo największych trudności gospodarczych nie powinno zabraknąć funduszów na ten cel i na podobne cele.

Dużą pomocą w rozeznaniu miejsc walki i męczeństwa jest efektownie wydany, specjalny „Przewodnik..." [53]; zawiera on bogactwo materiału informacyjnego, który oczywiście w następnym wydaniu powinien być zaktualizowany i uzupełniony. Tego rodzaju encyklopedie rzadko od razu zbliżają się do doskonałości, mimo że są praktycznie niesłychanie przydatne, a powstają dzięki trudnemu do wyobrażenia, zespołowemu wysiłkowi. Przewodnik ten w swej treściowej zawartości odpowiada powojennemu obszarowi państwowemu Polski, wobec czego nie uwzględnia terenów za Bugiem i Sanem, okupowanych przez Niemców, a mających też niezmiernie wiele miejsc męczeństwa Polaków, jak np. obóz tzw. janowski we Lwowie.

Ostatnio — w związku z 40. rocznicą zamordowania intelektualistów lwowskich przez hitlerowskich i ukraińskich siepaczy, przypadającą na 4 lipca — Polskie Radio nadało 1 lipca 1981 r. w programie II okolicznościową audycję Anny *Chmielewskiej*; treść audycji skupiła się na ostatnich chwilach życia Tadeusza *Boya-Żeleńskiego;* wypowiadał się krytyk Artur *Sandauer* i syn pisarza i lekarza, Stanisław *Żeleński*. W tym miejscu warto przypomnieć, że zbrodnię tę opisał już w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" prof. Zygmunt *Albert* [54].

Temu samemu tematowi poświęcono słuchowisko dokumentalne Andrzeja *Gassa* i Marii *Krzyżanowskiej* „Tajemnica Wuleckich Wzgórz" w programie I Polskiego Radia 4 lipca 1981 r. Dla ścisłości warto podać, że krytycznego dnia na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie hitlerowcy zamordowali 42 osoby: 22 profesorów uczelni wyższych wraz z członkami ich rodzin i współlokatorami, jednego asystenta, jednego studenta, a sprawcy tej zbrodni nigdy nie ponieśli kary. *Frank* już nie chciał mieć, jak to nazwał, „kłopotów", takich jak z profesorami krakowskimi, wywiezionymi do Sachsenhausen. Oprawcom chodziło też o majątki zamordowanych lwowian.

Na temat tej zbrodni wypowiedział się m. in. prokurator Wacław *Szulc*, jeden z prawników przed laty nią się zajmujących. Dowiedzieliśmy się, że dziś w RFN nazywa się „przesłuchaniami" brutalne wypytywanie lwowskich profesorów o personalia przez zbirów *einsatzgrupy* Teodora *Oberländera*, gdy w początkach lipca 1941 r. najeźdźcy przystąpili do depolonizacji Lwowa w porozumieniu z nacjonalistami ukraińskimi [55].

---

cyjne dzieje Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie.

[44] S. *Lewandowska*: Zakonspirowanie i legalizacja. Służby miejskie okupowanej Warszawy w akcji pomocy ludziom ściganym przez gestapo. Dzieje Najnowsze, r. 13: 1981, z. 1—2, s. 145—170.

[45] R. *Domańska*: A droga ich wiodła przez Pawiak. Warszawa 1981, Książka i Wiedza, ss. 261, nlb. 3, tabl., ilustr.

[46] A. *Budzyński*: Dokumentacja „Pawiaka" pomaga byłym więźniom. Muzea Walki, r. 13: 1980, s. 45—49.

[47] A. *Bartoszyński*: Nieletnim wstęp wzbroniony. Kraków 1980, Wydawn. Literackie, ss. 165, nlb. 2.

[48] Tamże, s. 116—140: rozdz. pt. Gross-Rosen.

[49] W. *Lisowski*: Pielęgniarki walczącej Warszawy. Lekarz Wojskowy, 1980, nr 9/10, s. 514—519.

[50] L. M. *Bartelski*: Powstanie warszawskie. Wstęp: B. *Czeszko*. Wyd. 3 popr. i uzup. Warszawa 1981, „Iskry", ss. 230, nlb. 2, tabl., ilustr.

[51] Por. Gazeta Krakowska, 1981, nr 150, s. 1.

[52] E. *Olbrych*: Dzieciom Zamojszczyzny. Płomienie, 1981, nr 22, s. 10—11.

[53] Przewodnik po upamiętnionych miejscach walk i męczeństwa. Lata wojny 1939—1945. Wydanie III rozszerzone i uzupełnione. Materiały zebrali i opracowali: gen. dyw. Czesław *Czubryt-Borkowski*, ppłk Jerzy *Michasiewicz*. Ilustrowała Ewa *Wieczorek*. Warszawa 1980, Sport i Turystyka, ss. 571, nlb. 5; rec. m. in. K. *Rutkowski*: Tak nie powinno być. Zdaniem naszego Czytelnika. Za wolność i lud, 1981, nr 14, s. 10—11.

[54] Z. *Albert*: Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r. Przegl. Lek., 1964, s. 58—77; nadto m. in. A. *Gass*: Tajemnica Wuleckich Wzgórz. WTK — Tygodnik Katolików, 1981, nr 28, s. 1 i 6—7.

[55] Sprawcy mordu na profesorach lwowskich. Rozmowa z prokuratorem Wacławem *Szulcem*. Po 40 la-

Do tego zagadnienia wrócił jeszcze Stefan *Łopatowski*, przypominając jego podstawowe szczegóły w popularnym tygodniku [56], a także wypowiedział się jeszcze na ten temat wspomniany prof. *Albert* [57].

Jednym z wątków naszkicowanej tutaj — na zasadzie przykładów — literatury dotyczącej ziem okupowanych przez Niemcy hitlerowskie jest problematyka więzień, ujmowana z punktu widzenia analizy zachowanych dokumentów. Przykładem źródłowej pracy naukowej, wspartej obliczeniami statystycznymi, jest analiza eksterminacji więźniów w osławionym Rawiczu i Wronkach, dokonana przez Annę *Walendowską-Garczarczyk* [58]. Autorka oparła się w swej rozprawie doktorskiej na częściowo zachowanej dokumentacji osobowej więźniów obojga płci, m. in. też na kartach zdrowia.

W kolejnych rozdziałach omówiła organizację hitlerowskiego sądownictwa i więziennictwa w tzw. Kraju Warty (Reichsgau Wartheland), dane personalne więźniów, łącznie z przyczynami aresztowania przez gestapo (najczęściej politycznymi), zajęła się losami więźniów, opłakanymi warunkami ich egzystencji, represjami, zsyłaniami — nawet chorych — do obozów, a także różnymi formami samoobrony. W aneksach podała wykazy osób straconych bądź zmarłych w obu zakładach karnych.

„Opieka" medyczno-sanitarna nad więźniami służyła ich szybszemu umieraniu. W oddziale szpitalnym w Rawiczu [59] można było mówić tylko o parodii leczenia. Chorzy umierali bez opieki. Lekarze więźniowie byli praktycznie bezradni. Leków brakowało. Dominowała gruźlica, zapalenie płuc i choroby serca. Przyczyny zgonów fałszowano. Wielu więźniów nie można było zagnać do wyniszczającej pracy z powodu osłabienia spowodowanego niedożywieniem. Największa śmiertelność panowała w okresie wymagającym od więźnia dużej odporności psychicznej, tj. w śledztwie, w odosobnieniu, w oderwaniu od rodziny, w okresie adaptacji do życia więziennego.

Autorka stwierdza m. in., że „eksterminację narodu polskiego realizowano w zakładach karnych Kraju Warty przez: stworzenie urągających wszelkim zasadom higieny warunków mieszkaniowych i sanitarnych, systematyczne obniżanie kwot przeznaczonych na wyżywienie więźniów, maksymalne wykorzystanie ich siły roboczej przy jednoczesnym niemal całkowitym pozbawieniu opieki lekarskiej. Wyniszczano tam również psychicznie Polaków" [60].

Z przedstawioną problematyką okupowanego kraju wiąże się też zagadnienie martyrologii Żydów, które należało wyodrębnić gwoli przejrzystości.

W czasie zbierania materiału do przedstawianego tutaj przeglądu znajdowała się w druku książka dr. Aleksandra *Bibersteina* „Zagłada Żydów krakowskich". Autor, znany lekarz krakowski, zmarły w r. 1979 w Izraelu, opisuje sytuację ludności żydowskiej po okupowaniu Krakowa przez Niemców, ukazuje grozę getta, nie pomija pomocy ze strony mieszkańców polskich.

W II programie telewizyjnym przypomniano 14 listopada 1981 r. „Aptekę w getcie", w tak zatytułowanym reportażu red. Krzysztofa *Miklaszewskiego*, który wprowadził „na wizję" ofiarnego dla Żydów właściciela tej apteki „Pod Orłem", mgr. Tadeusza *Pankiewicza*, opowiadającego o swych wstrząsających obserwacjach z getta krakowskiego; widzowie obejrzeli zdjęcia archiwalne, a także fragmenty tej byłej dzielnicy żydowskiej. Pojawiały się też artykuły na ten temat (m. in. „Apteka »Pod Orłem«" J. L. *Krzyżanowskiego*, „Odra" 1981, nr 3, s. 69—72).

Tematykę getta zawiera również oddana do druku, cenna, dokumentacja pozycja, „Dziennik getta warszawskiego" Adama *Czerniakowa* (w opracowaniu i z przypisami i komentarzami M. *Fuksa*). Autor, prezes Starszych tego getta, dzięki lakoniczności swych przejmujących i dramatycznych notatek utrwalił koszmar codziennej sytuacji w getcie i własnej odpowiedzialności. Nie mogąc znieść sytuacji przymusowej i nie chcąc być marionetką w rękach Niemców, popełnił samobójstwo.

Opisy dosłownie potwornych warunków w getcie warszawskim, niesamowicie przeludnionym, głodującym i prześladowanym, do dziś budzą grozę i przerażenie. Rzeczowo przedstawiał je m. in. również Władysław *Bartoszewski* na wiosnę i w lecie 1981 r. w cyklu audycji w programie III Polskiego Radia. Zarówno poruszające, jak i nasycone faktami było to radiowe „Życie w getcie warszawskim. Refleksje historyczne Władysława *Bartoszewskiego*", wybitnego znawcy tej problematyki. Ukazał on — prócz warunków tam panujących — m. in. rodzenie się oporu i walkę o możność godnego umierania.

Telewizyjny Teatr Faktu przedstawił 17 kwietnia 1981 r., w wigilię rocznicy powstania w getcie warszawskim, będący prawdziwym dziełem sztuki, a jednocześnie dokumentem spektakl „Zdążyć przed Panem Bogiem" Hanny *Krall* (według jej znanej książki pod tym samym tytułem) i Andrzeja *Brzozowskiego*, ze znakomitym Zbigniewem *Zapasiewiczem* w roli Marka *Edelmana*, żołnierza walczącego getta warszawskiego i lekarza, który we wstrząsająco prosty i ludzki sposób opowiada o poruszających do głębi ówczesnych wydarzeniach — w dużej mierze medycznych — związanych z opłakanymi warunkami wegetacji i eksterminacją Żydów przyjezdnemu Żydowi amerykańskiemu (Gustaw *Holoubek*) na alejkach kierkutu przy ulicy Okopowej i w miejscach, gdzie kiedyś było getto (nb. dr *Edelman* opisywał sytuację w getcie także gdzie indziej, m. in. w nr. 3 tygodnika „Solidarność").

Z tym gettem nierozerwalnie jest złączona pamięć o dr. Januszu *Korczaku*. Przypominane są różne szczegóły z jego życia, jego wyjazd do Palestyny, pisma z nią związane itp. [61] Poświęca się

---

tach. Wywiad przeprowadził Jerzy *Zajączkowski*. Za wolność i lud, 1981, nr 28, s. 10—11.

[56] S. *Łopatowski*: O mordzie dokonanym na profesorach polskich we Lwowie. Przekrój, 1981, nr 1891, s. 14.

[57] Tamże, s. 14.

[58] A. *Walendowska-Garczarczyk*: Eksterminacja Polaków w zakładach karnych Rawicza i Wronek w okresie okupacji hitlerowskiej 1939—1945. Poznań 1981, Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu (Seria Historia nr 91), ss. 159, nlb. 1 (powiel.).

[59] Tamże, s. 79—83.

[60] Tamże, s. 99.

mu książki, wystawy, konferencje itd. w Polsce i w świecie [62]. Wyrazem starań o utrwalenie pamięci o tragedii okupacji w związku z symboliczną już postacią dr. *Korczaka* są m. in. wypowiedzi działaczy korczakowskich i projekty dotyczące Instytutu Naukowego i Opiekuńczo-Wychowawczego jego imienia (o tym była mowa w dziale „Sprawozdania") [63]. Opisywana jest niedola dzieci w ostatnim Sierocińcu *Korczaka*, głód, rozpaczliwe starania o minimalną choćby żywność — na tle sytuacji w getcie warszawskim — i postawa „Starego Doktora" wobec takiej ekstremalności [64]. Prof. Szymon *Sachs* podniósł odkrywczość pomysłów pedagogicznych *Korczaka*, jego dystans w stosunku do narzędzi, instrumentów technicznych, statystyki, które nie są w stanie zbudować autorytetu, tworzącego się niezależnie od nich w sprzyjających warunkach [65].

Nie można pominąć obojętności Zachodu w latach II wojny światowej wobec tragedii milionów Żydów pod jarzmem hitlerowskim, o której — mimo dopływu dokładnych i uzasadnionych informacji z Polski podziemnej i usilnych żądań przeciwdziałania — po prostu nie chciano wiedzieć. A i teraz fałszuje się to zagadnienie w zachodnich publikacjach. Przypomina o tym m. in. Henryk *Krzeczkowski* [66], zająwszy się dość rzetelną zresztą książką niemieckiego historyka i literata, Waltera *Raquela*, pt. „The terrible secret" (Straszna tajemnica), porządkującego i dokumentującego fakty dotyczące hitlerowskiej eksterminacji Żydów.

Również w formie publicystycznej przypomina się o ówczesnej sytuacji Żydów. Na przykład Jacek Z. *Sawicki* porusza sprawy, o których nie wolno zapomnieć: prześladowania Żydów, pomoc dla nich świadczoną przez społeczeństwo polskie, działalność Tymczasowego Komitetu Pomocy Żydom („Żegota") itd. Zorganizowana pomoc szła w wielu kierunkach: legalizacyjnym, finansowym, mieszkaniowym, antyszantażowym, propagandowym, dziecięcym, do spraw prowincji oraz — od jesieni 1943 r. — lekarskim i odzieżowym. Autor krótko charakteryzuje te sektory pomocy [67].

W druku znajdowała się antologia 22 tekstów 20 autorów (m. in. *Bartoszewskiego, Buchholtz-Bukolskiej, Jiruski, Sendlerowej* itd.) pt. „Za co groziła śmierć. Polacy z pomocą Żydom podczas okupacji", w opracowaniu W. *Smólskiego*. Narasta więc, jakże potrzebna, dokumentacja zagadnienia pomocy Żydom. O tych sprawach, o eksterminacji Żydów w Polsce dzielił się swymi uwagami m. in. Icchak *Arad* [68]. Za granicą też pisze się o tym, o martyrologii Żydów w okupowanej Polsce, na Litwie pod władzą hitleryzmu, w Rumunii, na Węgrzech, o losach getta w Wilnie i w Warszawie [69].

Z krajowych czasopism warto polecić lekturę „Biuletynu Żydowskiego Instytutu Historycznego", zawierającego dobrze udokumentowane prace.

W OBOZACH

Doceniając należycie wartości wspomnień, warto przyjrzeć się dwom wybranym pozycjom. Jan *Kosiński* w relacji „Liczył się każdy przeżyty dzień" [70] opisuje swe perypetie z września 1939 r., udział w konspiracji, mordercze przesłuchania na gestapo radomskim, pobyt w Oświęcimiu i Mauthausen, w Dachau, Augsburgu i Allach, choroby: tyfus, szkorbut, czerwonkę, z którymi spotykał się w lagrach, stosowanie węgla brunatnego bądź węgla z przypalonego chleba, głód, śmierć innych, walkę o życie, rewiry, konspirację obozową itd. Zajmuje się w osobnym rozdziale medycznymi eksperymentami zbrodniczymi. Jest to niezwykle dramatyczna relacja. *Kosiński* zestawił też nazwiska m. in. 41 więźniów podobozu Reichenau, spalonych (z wyjątkiem jednego), w krematorium w Libercu w latach 1944—1945 [71]. Podaje, że grób 17 więźniów z podobozu Gross-Rosen — Reinawitz (Jablonec-Rynovice) znajduje się na cmentarzu miejskim w Żelaznym Brodzie w Czechosłowacji (są to zmarli po wyzwoleniu w szpitalach czeskich).

Książkę *Kosińskiego*, umiejącego podać mnóstwo nieznanych realiów i zainteresować nimi, wydano starannie, jak zwykle w Wydawnictwie Literackim, gdzie troskliwie dba się o teksty. Warto podać sprostowania, drobne i nieliczne, które zauważył autor. Na str. 152 (dotyczy planu sytuacyjnego): pomiarów w terenie dokonali

---

[61] I. *Perlis*: Janusz *Korczak* i Erec Israel. [Izrael] 1981, 4°, ss. 7 (maszynopis powiel.).

[62] „Who was this man?" Exhibit opens at library. The NIH Record, t. XXXII: 1980, nr 25, s. 3. — E. *Dauzenroth*: Ein Leben für Kinder. Janusz *Korczak*. Leben und Werk. Gütersloh 1981, Gütersloher Verlagshaus Gerd Mohn, ss. 94, nlb. 2. — Wybór retrospektywnej i bieżącej międzynarodowej bibliografii Korczakowskiej wychodzi w kolejnych, uzupełnianych wydaniach pt. Giessener Korczak-Bibliographie, vorgelegt von Erich *Dauzenroth*, Adolf *Hampel*, III. erweiterte Auflage, Giessen 1981, Universität Giessen, ss. 42. — Ukazują się dzieła „Starego Doktora" w różnych krajach, np. J. *Korczak*: Allein mit Gott. Gebiete einer Menschen, der nicht betet. Aus dem Polnischen übersetzt von Wolfgang *Grycz*. Mit einem Nachtwort von Erich *Dauzenroth* und Adolf *Hampel*. Gütersloh 1980, Gütersloher Verlagshaus Gerd Mohn, ss. 87, nlb. 1.

[63] Materiały z posiedzenia zarządu Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza *Korczaka*. Warszawa 1980, wyd. Międzynarodowe Stowarzyszenie im. J. *Korczaka*, ss. 99, nlb. 3 (powiel.); Biuletyn Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza *Korczaka*. Warszawa 1980, 4°, ss. 30, nlb. 4; 1981, 4°, ss. 32 (tamże materiały z pobytu polskiej delegacji korczakowskiej w Izraelu w styczniu 1981 r.).

[64] B. *Wojdowski*: Starego Doktora dialogi ze śmiercią. Życie Literackie, 1981, nr 16, s. 10—11 i 12.

[65] S. *Sachs*: *Korczak* — dla wychowawcy lat osiemdziesiątych. [Izrael] 1981, 4°, ss. 8 (maszynopis powiel.).

[66] H. *Krzeczkowski*: Tajemnica pewnej niewiedzy. Tygodnik Powszechny, 1981, nr 1, s. 5.

[67] J. Z. *Sawicki*: Niech pozostanie w pamięci. Płomienie, 1981, nr 16, s. 4. — Zob. też antologię tekstów źródłowych pt. Ekspertyzy i orzeczenia przed Najwyższym Trybunałem Narodowym. Część VIII: Eksterminacja Żydów w Polsce i w innych krajach Europy w latach 1939—1945. Wyboru dokonał i przygotował do publikacji Czesław *Pilichowski*. Warszawa 1981, GKBZHwP, ss. 273.

[68] Instytucja pamięci. Rozm. przepr. Wojciech *Roszewski*, Jacek Edward *Wilczur*. Argumenty, 1980, nr 49, s. 3 i 12.

[69] Beacon Selection from the Masduah Yearbooks on the holocaust and heroism. No. 1. Published with the help of the Memorial Foundation for Jewish Culture, New York. Massua, Memorial to the members of the Zionist Youth Movements in the holocaust and uprising, Tel-Yitshak, Tel Aviv, May 1978, IYAR 5738, ss. 253, nlb. 1.

[70] J. *Kosiński*: Liczył się każdy przeżyty dzień. Kraków 1980, Wydawn. Literackie, ss. 205, nlb. 3, ilustr.

[71] Tragiczny aneks. Głos Pracy, 1981, nr 37, s. 4.

Jan *Kosiński* i Bedřich *Pavliček*, a na tej podstawie rysunek techniczny nakreślił J. *Urbanowicz;* str. 170, 4. wiersz od góry: zamiast *Lewandowski* powinno być *Langiewicz;* str. 183, jest: (Libercu), powinno być: (Hodkovice nad Mohelkou); fotografia 25, jest: „w języku (...) niemieckim", powinno być „rosyjskim".

Druga książka, Jana *Gila* „Wspomnienia z obozów" [72], jest ujęta nie tylko opisowo, ale też refleksyjnie i problemowo; ogarnia różne aspekty bytowania autora w Oświęcimiu, Mauthausen i Gusen, np. wyżywienia, kary, terror, sprawy śmierci, prominencki „puf", konspirację, życie kulturalne, rolę religii, sport, odczucia poobozowe z okresu po oswobodzeniu. Autor kreśli też sylwetki 32 więźniów. Opisuje fatalne warunki sanitarne, rewir, sadyzm oprawców. Spośród współtowarzyszy niedoli osobny rozdzialik poświęca m. in. dr. Władysławowi *Fejklowi* (obecnie profesor).

Literatura obozowa jest różnorodna, od wspomnień do monografii i innych opracowań naukowych. Stanisław *Dobosiewicz* omawia konspirację w Mauthausen-Gusen [73]. Wychodzą na jaw różne szczegóły. Na przykład gdy w r. 1981 w prasie, radiu i telewizji wielokrotnie poruszano temat okoliczności uwięzienia komendanta głównego AK, gen. Stefana *Roweckiego* („Grota"), wspomniano o epizodzie związanym ze szpitalem obozowym w Sachsenhausen. „Grota" — już jako więźnia jednego ze ściśle strzeżonych baraków — widziano wyprowadzanego do tamtejszego rewiru. Gen. *Rowecki* miał zginąć w pierwszy poniedziałek powstania warszawskiego, tj. 7 sierpnia 1944 r. Wielu więźniów mordowano tam wówczas w budynku obok komendantury ciosami młotka na długim trzonku w tył głowy [74].

Red. Konrad *Strzelewicz* wnikliwie i trafnie opisał niektóre przeżycia słynnego barda obozowego, Aleksandra *Kulisiewicza,* więźnia Sachsenhausen, podchwycił swoistość i wartość archiwum „Alexa", jego bogatego dorobku i badań nad muzyką i pieśnią obozową [75]. O *Kulisiewiczu,* jego archiwum i działalności, pisał też autor sztuki scenicznej „Karpie i brzany", Andrzej *Niedoba* [76]. Helena i Bolesław *Jurkowie* wykonali tzw. udźwiękowione przeźrocza, utrwalające część dorobku *Kulisiewicza.*

Obozy polickie przypomniał dr Maciej *Lambert* [77]. Wspomniał on o zasłużonym lekarzu więźniu, dr. Bolesławie *Kaczyńskim*; upomniał się o konserwację zachowanych jeszcze reliktów obozu w Mścięcinie, tamtejszych budynków, będących pomnikiem męczeństwa i walki. Gdy odsłaniano pomnik w Trzeszczynie, w Mścięcinie raziła oczy byłych więźniów tuczarnia świń w miejscu dawnego obozu.

Częściej niż dawniej można też napotkać problematykę medyczną, związaną z II wojną światową, w różnych czasopismach, także naukowych, m. in. historycznych. Np. w „Dziejach Najnowszych", w dedykowanym prof. Czesławowi *Madajczykowi* podwójnym zeszycie, można znaleźć pracę prawnika Jana *Mikulskiego* pt. „Przyczynek do dziejów programu badawczego *SS*" [78]. Autor nawiązał do zagadnienia omawianego już przez Stanisława *Kłodzińskiego* [79] i Stanisława *Sterkowicza* [80], omawiając eksperymenty medyczne i pseudomedyczne w *KL Neuengamme.* Dr *Sterkowicz* — o czym warto poinformować — opublikował książkę pt. „Zbrodnicze eksperymenty medyczne w obozach koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy"; w tej pracy uwzględnia osiem obozów, wykazuje bezsensowność i zbrodniczy charakter doświadczeń na ludziach, śledzi powojenne losy zbrodniarzy. Jest to cenna, bogato udokumentowana, w wysokim stopniu wyczerpująca monografia (Warszawa 1981, Wydawn. MON, ss. 294, nlb. 2, ilustracje). Szczegółowe zagadnienia z tego zakresu dr *Sterkowicz* podejmował w ubiegłych latach w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim".

W druku znajdowała się praca Zygmunta *Zonika* pt. „Gwałtem i przemocą. Z problematyki pracy przymusowej w systemie hitlerowskich obozów koncentracyjnych". Ta niewolnicza praca, wyniszczająca i ciężka, służyła interesom fabryk współdziałających z *SS*. Temat ten w odniesieniu do obozu oświęcimskiego opracował monograficznie Franciszek *Piper:* „Zatrudnienie więźniów *KL-Auschwitz.* Organizacja pracy i metody eksploatacji siły roboczej" (wyd. Państwowe Muzeum w Oświęcimiu, ss. 484, nlb. 4, tab., ilustr.). Autor ujął trudny problem na tle historii rozwoju *KL-Auschwitz-Birkenau* i podobozów oraz panujących tam koszmarnych, antysanitarnych i eksterminacyjnych warunków.

W okupowanych krajach, w więzieniach, w obozach można było obserwować fluktację nastrojów. Na przykład po kompromitującej klęsce

[72] J. *Gil*: Wspomnienia z obozów. Kraków 1981, Wydawn. Literackie, ss. 170, nlb. 2; s. 44—47: o rewirze w Oświęcimiu. — M. *Kubiak*: Tacy byliśmy. Wspomnienia więźnia nr 15262 w *KL Auschwitz.* Warszawa 1981, Wydawn. MON, ss. 134, nlb. 2. — Krótki szkic syntetyczny, bardzo selektywny, tego piśmiennictwa opublikowała I. *Polska*: Charakterystyka literatury dotyczącej *KL Auschwitz-Birkenau.* Biuletyn Informacyjny (Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego), 1981, nr 5, s. 1. — Z. *Majewski*: Spowiadał mnie o. Maksymilian *Kolbe.* W 40 rocznicę męczeńskiej śmierci franciszkanina z Niepokalanowa. Wspomnienia więźnia nr 425. Przekrój, 1981, nr 1897, s. 17. — Głównie na wielu relacjach byłych więźniów jest oparta książka Z. *Jagody,* S. *Kłodzińskiego,* J. *Masłowskiego*: Oświęcim nieznany. Kraków 1981, Wydawn. Literackie, ss. 319, nlb. 1 + ilustr.; rec. m. in. O. *T[erlecki]*: Piśmiennictwo historii najnowszej. Życie Literackie, 1981, nr 45, s. 13; „Oświęcim nieznany" *Jagody, Kłodzińskiego* i *Masłowskiego* — recenzja. Polskie Radio, program IV, 23 X 1981 r.

[73] S. *Dobosiewicz*: Mauthausen-Gusen — samoobrona i konspiracja. Warszawa 1980, Wydawn. MON, ss. 485, nlb. 3, ilustr.

[74] M. J. K.: Ostatnia droga generała Grota. Antena, 1981, nr 22, s. 6—7.

[75] K. *Strzelewicz*: Zapis. Gazeta Krakowska, 1981, nr 102, s. 3 i 5; nr 107, s. 5; nr 112, s. 5; nr 116, s. 5.

[76] A. *Niedoba*: Bard z piekła dna. Panorama, 1981, nr 16, s. 4—6; M. *Urbańczyk*: Twórczość i działalność pieśniarska Aleksandra *Kulisiewicza* w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen (1940—1945). Cieszyn 1981, Uniwersytet Śląski, Filia w Cieszynie, ss. 227 (maszynopis), bibliogr. + nuty i reprodukcje; I. *Lammel:* Ecce homo. Weimarer Beiträge, 1981, nr 1, s. 187—190.

[77] M. *Lambert*: Tuczarnia. W miesiącu pamięci narodowej. Jedność. Tygodnik NSZZ Solidarność Pomorza Zachodniego, 1981, nr 16, s. 5.

[78] J. *Mikulski*: Przyczynek do dziejów programu badawczego *SS*. (Eksperymenty pseudomedyczne w *KL Neuengamme*). Dzieje Najnowsze, r. 13: 1981, z. 1—2, s. 191—196.

[79] S. *Kłodziński*: Zbrodnicze doświadczenia z zakresu gruźlicy w Neuengamme. Działalność Kurta *Heissmeyera.* Przegl. Lek., 1969, nr 1, s. 86—91.

[80] S. *Sterkowicz*: Pseudomedyczne eksperymenty w obozie Neuengamme. Przegl. Lek., 1977, s. 130—137.

Francji w r. 1940 nastąpiła fala masowej depresji i pesymizmu; nadzieje się ożywiły, gdy wybuchła wojna niemiecko-radziecka; zwycięstwo pod Stalingradem przyniosło już pewność, że koniec wojny się zbliża.

Patrząc z takiej perspektywy, warto wrócić do prawdy o bezprzykładnym oporze Polski w r. 1939. Aspekt ten doskonale ujął Tadeusz *Żychiewicz*, pisząc: „(...) Francja była potężnym mocarstwem, nie zaś ubogim krajem środkowoeuropejskim, który ze swoimi nonsensownymi granicami [mowa o Polsce ówczesnej — dop. J. M.] wydawał od 1935 roku 50 proc. swego budżetu na zbrojenia, a i tak obronić się nie mógł. Wytaczano po wojnie opętańcze rachunki błędów i niedomogów, nie myśląc, że gdyby ich nie było, Polska mogłaby przedłużyć Wrzesień może o 10 dni; i to wszystko. Ale Francja — to było co innego. W tamtych czasach nie było Polaka, który nie wierzyłby w realną siłę Francji i nikomu nawet w myśli nie pozostało, że za wspaniałymi dekoracjami może się kryć szmaciana rzeczywistość".

I dalej pisze *Żychiewicz*: „Dopiero po wojnie wynikało z dokumentów, że rozbicie we Wrześniu jednej polskiej dywizji wymagało od Niemców wysiłku trzykrotnie większego niż w 1940 rozbicie dywizji alianckiej. Francja miała potężną flotę, najliczniejszą w Europie armię lądową, potężny przemysł zbrojeniowy. Równorzędne z Niemcami lotnictwo i co najmniej równorzędne wojska pancerne. To nie mogło runąć. W Polsce 64 niemieckie dywizje, dysponujące przygniatającą przewagą siły ognia, wsparciem broni pancernej i potężnego lotnictwa walczyły z 48 polskimi dywizjami. Teraz na zachodzie 143 niemieckie związki taktyczne miały naprzeciw siebie 157 taktycznych związków alianckich, które były przy tym trzykrotnie większe w stanie liczebnym żołnierzy (...). [Niemcy] ruszyli 10 maja 1940. W Polsce walczono 35 dni. Koalicja czterech bogatych krajów wytrzymała 38 dni." [81]

Gdy myślimy o obozach hitlerowskich, winniśmy pamiętać też o wrześniu 1939 r. i o niezwykłym oporze Polski, trwającym w sytuacji przymusowej względnie długo dzięki bohaterskiej postawie żołnierzy i narodu. Ta postawa nie uległa załamaniu. Utrzymała się nawet w najgorszych warunkach w katowniach hitlerowskich. Polacy byli często inspiratorami i głównymi animatorami konspiracji więziennej czy obozowej. Konspiracja w lagrze — to zjawisko niezwykłe, wielki dowód niezłomności charakteru, odwagi i heroizmu wielu więźniów. Nic więc dziwnego, że obozowy ruchu oporu jest tematem opracowań monograficznych [82]. Ostatnio znów ukazała się książka na ten temat, autorstwa Hermana *Langbeina* [83]. Jest ona oceniana przez byłych więźniów jako dzieło rzetelne, wyczerpujące, wszechstronne.

Nieporozumienia związane z pojmowaniem formalnej klasyfikacji obozów hitlerowskich i z ich wspólnym celem natychmiastowej lub powolnej zagłady masy więźniów wyjaśnia dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, prof. Czesław *Pilichowski*, przy czym podaje także podstawowe dane statystyczne dotyczące strat poniesionych przez Polskę i eksterminacji różnych narodowości: „Polaków, Żydów, Cyganów i obywateli około 30 państw świata" [84].

Rozwija się wiedza o obozach. W związku z tym rośnie zapotrzebowanie na bibliografie. Pod tym względem cenne pomoce przynosi „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce", tom XXX [85], w którym dr Wanda *Kiedrzyńska* zamieściła swą poszerzoną bibliografię z r. 1964, ogarniając wyselekcjonowanymi 3479 pozycjami literaturę międzynarodową obozów koncentracyjnych z lat 1963—1976 [86], a główny specjalista GKBZHwP, Stanisław *Kania*, informuje o jej publikacjach z lat 1966—1979 oraz wewnętrznych.

Pod auspicjami Rady Naukowej Towarzystwa Opieki nad Majdankiem i Państwowego Muzeum na Majdanku ukazała się podstawowa, źródłowa praca Zofii *Leszczyńskiej* pt. „Kronika obozu na Majdanku" [87], ze wstępem prof. Tadeusza *Mencla* i uwagami autorki o dokumentacji przedmiotu. W poszczególnych zapisach dziennych uwzględnione są zagadnienia medyczno-sanitarne tego obozu, choroby, epidemie, los chorych, pomoc więźniom ze strony PCK i RGO itd. Książka zawiera znaczny odsetek informacji z tej dziedziny, nieraz bardzo szczegółowych.

Oto jeden z wielu przykładów; zapis dotyczy ewakuacji pieszej 28 lipca 1944 r. z Majdanka przez Kraśnik i Annopol do Ćmielowa: „Szlak tego transportu znaczony był ciałami tych, którzy nie wytrzymali tempa marszu. Esesmani konwojujący więźniów osłabłych spychali do przydrożnych rowów i tam rozstrzeliwali. W ten sposób zginęli m. in. dwaj więźniowie lekarze: dr Franciszek *Gabriel* i dr Otto *Hett*" [88].

Kara za zbrodnie obozowe, nawet najwyższa, nie pozostaje w przyzwoitej proporcji do ogromu cierpień więźniów. Co więcej, jak wiemy, przedłużanie procesów hitlerowskich przyczyniło się wraz z łagodnością sądów w RFN do uniknięcia przez wielu oskarżonych sprawiedliwszej kary, bo o karze sprawiedliwej trudno w ogóle mówić w wypadku zbrodni niewyobrażalnych pod względem swej masowości i okrucieństwa. Ludzkość zresztą jest niestety skłonna do zapominania o doświadczeniu i naukach z niego płynących, za które oddały swe cierpienia i życie miliony ofiar.

Warto przypomnieć liczby. Przeszło 30 milionów osób zginęło wskutek eksterminacyjnej polityki III Rzeszy; z górą 18 milionów osób cywilnych zostało zamordowanych z premedytacją w krajach okupowanych; w 14 tysiącach hitlerowskich obozów, podobozów, gett, więzień, obozów jenieckich (w latach 1933, tj. od objęcia wła-

[81] T. *Żychiewicz*: Generał Władysław *Sikorski* (II). Tygodnik Powszechny, 1981, nr 22, s. 5.

[82] Por. Przegl. Lek., 1980, nr 1, s. 223—224.

[83] H. *Langbein*: ...nicht wie die Schafe zur Schlachtbank. Widerstand in den nationalsozialistischen Konzentrationslagern 1938—1945. Geleitwort von Eugen *Kogon*. Frankfurt am Main 1980, Fischer Taschenbuch Verlag, ss. 495, nlb. 1.

[84] C. *Pilichowski*: Prawdy i przeinaczenia. Hitlerowskie obozy koncentracyjne i ośrodki zagłady. Prawo i Życie, 1981, nr 10, s. 6 i 7.

[85] Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. 30. Przewodn. kom. red. F. *Ryszka*. Warszawa 1981, Wydawn. Prawnicze, ss. 282, nlb. 1, ilustr.

[86] Por. Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 243.

[87] Z. *Leszczyńska*: Kronika obozu na Majdanku. Lublin 1980, Wydawn. Lubelskie, ss. 349, nlb. 2, ilustr.

[88] Tamże, s. 337.

dzy przez *Hitlera*, do 1945 katowni było co najmniej 11 500) zginęło 11 milionów ludzi z wielu krajów Europy, w tym na ziemiach polskich 6,7 miliona. W obozie na Majdanku hitlerowcy zamordowali 380 tysięcy ludzi, ale 90% załogi tego lagru pozostało bez kary.

W słynnym procesie oprawców z Majdanka w Düsseldorfie zapadły wyroki uderzające swą łagodnością (pisze o nich prof. J. *Bogusz* w Słowie wstępnym do niniejszego zeszytu). Śledztwo trwało 15 lat, tj. 5 razy dłużej niż istniał Majdanek (od lipca 1941 do lipca 1944). Proces ten toczył się 5 lat, 7 miesięcy i 4 dni; trwał prawie tyle, co II wojna światowa [89]. Trwał od 26 listopada 1975 r., rozpoczął się po 15-letnim śledztwie, zakończył się na 474 posiedzeniach 30 czerwca 1981 r.[90]

Przewodniczący sądu, dr Günter *Bogen*, powiedział 4 lipca 1981 r. polskiemu specjaliście, Józefowi *Musiołowi*, poruszając kwestię długości procesu: „główną przyczynę upatruję w taktyce przeciągania procesu; w czasie pierwszych dwóch lat poruszaliśmy się prawie w miejscu i w wyjazdach poza RFN w celu dokonywania przesłuchań; nie było postępu", była też mowa o wyprowadzaniu świadków z równowagi psychicznej, o dociekaniu szczegółów, przy którym sprzyjał oskarżonym upływ wielu lat od analizowanych najdrobniejszych elementów zbrodniczych czynów esesowskich [91]. Nic więc dziwnego, że łagodne wyroki zaskoczyły nawet prokuratorów.

Zwrócono uwagę na wiele aspektów, np. na to, że sędziowie nie sformułowali żadnych wniosków uogólniających, nie potępili całego systemu zagłady, prawodawstwo w RFN wbrew prawu międzynarodowemu nie uznało normy zaliczającej ludobójstwo do norm wyjątkowych [92], co łącznie z łagodnością kar jest znamienne [93].

Proces w Düsseldorfie — mimo wszystkich jego uchybień i nawet rażących niewłaściwości — zwrócił znów uwagę świata na obóz na Majdanku i na rzeczywisty charakter systemu *SS*.

Zwiększa się też zasób wiedzy o Oświęcimiu-Brzezince, m. in. dzięki wspomnieniom. Relacje więźniów są co pewien czas wydawane w osobnych zbiorkach, jak np. antologia 16 tekstów, zawarta w tomie pt. „Numery mówią" [94]. W książce tej przewija się tematyka medyczno-sanitarna, związana m. in. z wyniszczeniem więźniów, z warunkami ich bytowania, z głodowym wyżywieniem. Trafiamy na mnóstwo interesujących epizodów. Na przykład inż. Władysław *Plaskura*, profesor Politechniki Śląskiej w Gliwicach, w rozdziale pt. „Jak mnie wszy uratowały od śmierci" [95] pisze w swej relacji obozowej, że nie doszło do wykrycia leków u niego, przemycanych w kieszeniach spodni, przez esesmana, gdyż ten przestraszył się czapki więźniarskiej położonej na stole i krzycząc: „Weź tę czapkę, *du Lausbube* [ty wszarzu]! Ty mi chcesz tu swoje przeklęte wszy zostawić! *Hau ab!*", przegnał *Plaskurę*.

Rola wszy w obozach była naprawdę wielorako. Nic dziwnego, że nieżyjąca już dzisiaj więźniarka Ravensbrück, Aleksandra *Walterowa* [96], pragnęła napisać wspomnienie na temat „kariery wszy obozowej". Śmierć *Walterowej* uniemożliwiła urzeczywistnienie tego zamysłu.

O szpitalu obozowym w Brzezince pisze Jadwiga *Zasępa* w relacji pt. „Obozowe wspomnienia matki".[97] Wspomina o niedostatku i braku leków, o ciasnocie, o pladze tyfusu plamistego, o chorobach i dolegliwościach takich, jak zapalenie stawów, wrzody, czyraki, które też pozbawiały zdolności do pracy i przyprawiały o załamanie psychiczne, a choroby psychiczne „leczono", jak pisze *Zasępa*, wstrzykiwaniem fenolu w serce. „Numery mówią" są książką zawierającą wiele treści dotyczącej wczesnego okresu okupacji, konspiracji, prześladowań i terroru lagrowego.

Obóz oświęcimski jest w Polsce do tego stopnia znany niektórym redaktorom w wydawnictwach i nawet recenzentom, że trudno by było o ukazanie się jakiejkolwiek pracy u nas na temat *KL Auschwitz-Birkenau* nie respektującej prawdy w należyty sposób. Za granicą natomiast rażą nieraz daleko idące dowolności i przeinaczenia w tego rodzaju publikacjach, czego dowodem jest m. in. wspomniana już przez nas przed rokiem [98] książka częściowo dotycząca Oświęcimia, a zawierająca sporo fantazji, mianowicie „Sophie's choice" Williama *Styrona* (wyd. Jon. Cape, Londyn 1979, ss. 515), krytycznie potraktowana przez Jana *Dobraczyńskiego* [99].

Tzw. literatura piękna, dopuszczająca dowolności i integralnie oparta na fikcji, w zasadzie nie może być traktowana jako dokument źródłowy w poznawaniu prawdy o obozach, aczkolwiek dzięki swej funkcji estetycznej nieraz — jak u Tadeusza *Borowskiego* zwłaszcza czy u Tadeusza *Hołuja* — trafnie oddaje klimat panujący w obozach bądź też uwikłania, konflikty, procesy charakterystyczne dla społeczności lagrowej. Doniosłą natomiast rolę dokumentacyjną tzw. literatury faktu nieraz już eksponowaliśmy m. in. w dziale „Oceny". Najwyżej z naukowego punktu widzenia należy cenić opracowania ścisłe, np. z założenia respektującą tylko fakty książkę o ucieczkach z obozu oświęcimskiego Tadeusza *Sobańskiego* [100]. Aspekt ten zasługiwałby na osobne studium.

---

[89] D. *Luliński*: Haniebny wyrok. Po procesie hitlerowskich zbrodniarzy z Majdanka. Trybuna Ludu, 1981, nr 157, s. 6; D. *Brzosko-Mędryk*: Byłam świadkiem i obserwatorem. W dniu wyroku w Düsseldorfie. Za wolność i lud, 1981, nr 34, s. 1 i 6.

[90] J. *Nowakowski*: Wyrok pachnący skandalem. Na zachód od Łaby. WTK — Tygodnik Katolików, 1981, nr 30, s. 5.

[91] J. *Musioł*: Mówi sędzia *Bogen*. Wyrok w Düsseldorfie (2). Prawo i Życie, 1981, nr 30, s. 14—15.

[92] J. *Bogusz*: Konwencja ONZ z dnia 26 XI 1968 w sprawie nieprzedawnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości w oczach lekarza. W: Norymberga — nadal otwarty rozdział historii. W XXX rocznicę wyroku Międzynarodowego Trybunału Wojskowego. Warszawa 1977, GKBZHwP, s. 104—109.

[93] Byli więźniowie Majdanka mówią: kara powinna być proporcjonalna do winy. Po wyroku w Düsseldorfie. Rozmawiał: Janusz *Skarżyński*. Za wolność i lud, 1981, nr 30, s. 12—13.

[94] Numery mówią. Wspomnienia więźniów *KL Auschwitz*. Przedmowa: T. *Sobolewicz*. Wstęp: K. *Smoleń*. Katowice 1980, Wydawn. „Śląsk", ss. 250, nlb. 2.

[95] Tamże, s. 77—79.

[96] Autorka relacji pt. Kolumna „Forst Neues Gut" w Ravensbrück. Przegl. Lek., 1970, nr 1, s. 228—231.

[97] Numery mówią..., *o. c.*, s. 153—154.

[98] Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 219.

[99] J. *Dobraczyński*: Powieść czy paszkwil? Za wolność i lud, 1981, nr 1, s. 15.

[100] T. *Sobański*: Ucieczki oświęcimskie. Wstęp: Jan *Zaborowski*. Wyd. 4. Warszawa 1980, Wydawn. MON, ss. 223, nlb. 4, tab., ilustr.

Niektóre książki „o Auschwitzu", jak mające już kilkanaście wydań „Dymy nad Birkenau" Seweryny *Szmaglewskiej*, weszły na trwałe do kanonu literatury oświęcimskiej. Na tej powieści zostało oparte słuchowisko Teatru Polskiego Radia z 18 kwietnia 1981 r. pt. „Auschwitz — stacja przeznaczenia", mówiące m. in. o grozie tyfusu, o postawie bohaterskich lekarek więźniarek w Brzezince, o śmierci i pragnieniu przetrwania.

Corocznie jest okazja, żeby podkreślić rolę muzeów obozowych, np. Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, w rozwijaniu wiedzy o obozach; sposobność taką daje działalność wydawnicza tego Muzeum, które pod auspicjami Rady Ochrony Pomników, Walki i Męczeństwa wznowiło podstawową monografię o obozie oświęcimskim [101]. Wspomnieć też warto m. in. o wystawach w PMO, poświęconych poszczególnym narodowościom [102]. Dyskusyjna jest sprawa wieku młodzieży odwiedzającej takie muzea [103]. Bardziej jednak dokładnie, niżby się na pozór mogło wydawać, młodzież nieraz orientuje się w okropnościach sytuacji więźniów [104].

Problematyka obozowa należy do najżywotniejszych grup tematycznych.

O ZBRODNIACH HITLEROWSKICH

Omawiane tutaj zagadnienia usiłuje przesłonić i zniekształcić część piśmiennictwa w RFN, tzn. tamtejsze publikacje rewizjonistyczne, mające dzięki dostępności języka niemieckiego pewien wpływ na opinię światową, zwłaszcza na Zachodzie. Pokrótce można określić tendencje tego kierunku: demonizowanie wysiedlenia Niemców z północnego i zachodniego terytorium Polski powojennej, konstruowanie „wiedzy" o rzekomych zbrodniach na Niemcach, fałszywe traktowanie procesu norymberskiego jako opartego na dowodach spreparowanych i będącego aktem inkwizycji i zemsty, uznawanie Oświęcimia za kłamstwo itp. Skłonność do takiego wypaczania historii napotyka wszakże w RFN coraz częściej na głosy rozsądku i sprzeciwu. Nauka polska efektywnie popiera te głosy rzeczową argumentacją, w czym niebanalne znaczenie ma rozwój polskich badań nad zagadnieniami medycznymi okresu II wojny światowej i jej następstwami.

Odnotować tylko tutaj można przesilające się antynomie w RFN. Wspomniane tendencje rewizjonistyczne mianowicie są niewątpliwie pokrewne neonazizmowi [105], który z drugiej strony ma swe powiązania z terroryzmem, o czym trudno wątpić. Ale ludzie dobrej woli w RFN, jak znani naszym czytelnikom profesorowie Erich *Dauzenroth* i Adolf *Hampel* z Uniwersytetu w Giessen, czerpią swe kontrargumenty m. in. z dorobku polskiego. Z innych przykładów wystarczy podać jeszcze informację o pracach badawczych Waltera *Wuttke-Groneberga*, który w swej książce „Medizin in Nationalsozialismus" [106] zebrał różne dokumenty i reprodukcje, świadczące o przemyślanym i świadomym przekształcaniu medycyny niemieckiej w narzędzie niszczenia ludzi. Bliżej o tym w Słowie wstępnym do tego zeszytu.

W Polsce *mass media* chętnie i z pożytkiem podejmują tematykę uwikłania Niemców w zbrodniczy system hitlerowski. Wyróżnił się m. in. spektakl „Palacz zwłok" według powieści Ladislava *Fuksa*, przedstawiony przez telewizję łódzką 27 lutego 1981 r. według scenariusza i w reżyserii Wojciecha *Wiszniewskiego*, zrealizowany przez Andrzeja *Mellina*, a podejmujący problematykę współuczestniczenia w zbrodniczej władzy. Był to już pośmiertny program reż. *Wiszniewskiego*. Mierny, ale nadmiernie ambitny Niemiec, szef krematorium, owładnięty wpływem zwyrodniałej ideologii, po trupach swej żony, Żydówki, i dziecka osiąga wątpliwą karierę.

Wkrótce, 2 marca, Telewizja Polska nadała „Pustelnię", poświęconą również problemowi niewolenia i wciągania Niemca w sam środek zbrodniczych poczynań hitlerowskich, a przy tym mechanizmowi musztry psychicznej, niezbędnej w wyrabianiu umiejętności stosowania zbrodniczych metod [107].

Popularniejsze są audycje telewizyjne; radiowe łatwiej uchodzą uwagi. Pomocny może być tygodnik „Antena. Pismo Widzów i Słuchaczy", podający dokładne zapowiedzi programów telewizyjnych i radiowych. Można korzystać z magnetofonu lub ze stenografii, utrwalając na własny użytek cenne dokumentacje werbalne, wypowiedzi świadków wydarzeń itd.

W piśmiennictwie rozwija się temat analizy faszyzmu, reprezentowany m. in. przez Jerzego W. *Borejszę* [108]. Niejedno wydawnictwo chętnie uwzględnia sprawy faszyzmu i hitleryzmu, np. do druku oddano już siódmy zeszyt „Studiów nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi" (pod redakcją K. *Joncy*, wydaje Uniwersytet Wrocławski w serii: Acta Universitatis Wratislaviensis, nr 578; PWN). Omówiono tam m. in. rozwój narodowosocjalistycznej ideologii w Niemczech po pierwszej wojnie światowej oraz rasistowskie przesłanki hitlerowskiej polityki „zniemczania".

Silny, trujący wpływ hitleryzmu jest niełatwy do zniwelowania w złych tradycjach RFN. Nic

---

[101] Oświęcim. Hitlerowski obóz masowej zagłady. Konsultacja naukowa: J. *Buszko*. Oprac. graf. J. *Kępkiewicz*. Szkice i plany: T. *Kinowski*. Warszawa 1981, Interpress, s. 204, tab. — Dawniejsze dokumenty zawiera antologia pt. Ekspertyzy i orzeczenia przed Najwyższym Trybunałem Narodowym. Część VI: Zbrodnie hitlerowskie w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Wyboru dokonał i przygotował do publikacji Czesław *Pilichowski*. Warszawa 1981, GKBZHwP, ss. 64 (tamże m. in. ekspertyzy prof. dr. J. St. *Olbrychta* i dr. Z. *Klukowskiego*).

[102] K. *Smoleń*: Wystawy narodowe w Oświęcimiu. Muzea Walki, r. 13: 1980, s. 53—59.

[103] E. *Iwaszko:* Młodzież szkolna w muzeach martyrologii. Muzea Walki, r. 13: 1980, s. 91—99.

[104] M. *Dąbrowa:* Życie więźniów politycznych w oczach młodzieży szkół średnich. Za wolność i lud, 1981, nr 17, s. 10—11.

[105] E. *Orkiszewski:* Tragiczny bilans terroru. Za wolność i lud, 1981, nr 11, s. 5 i 9.

[106] W. *Wuttke-Groneberg:* Medizin in Nationalsozialismus. Ein Arbeitsbuch. Tübingen 1980, Schwäbische Verlagsgesellschaft, 4°, ss. 423, ilustr.

[107] A. Z.: W sidłach nazizmu. Na telewizyjnym ekranie. Za wolność i lud, 1981, nr 13, s. 15.

[108] J. W. *Borejsza:* Rzym a wspólnota faszystowska. O penetracji faszyzmu włoskiego w Europie Środkowej, Południowej i Wschodniej. Warszawa 1981, Książka i Wiedza, ss. 360, tab.; zob. też: Po upadku Trzeciej Rzeszy. Niemieccy intelektualiści a tradycja narodowa. Wybór i wstęp: J. W. *Borejsza*, S. H. *Kaszyński*. Przeł. z jęz. niem. D. *Borkowska* i in. Warszawa 1981, Czytelnik, ss. 420; rec. m. in. H. *Orłowski*: Co myślą Niemcy? Nowe Książki, 1981, nr 20, s. 16—17.

więc dziwnego, że „relikty" zwyciężającej kiedyś idei *Drang nach Osten* odzywają się do dzisiaj. Na przykład w RFN na kilku kategoriach map zalecane jest oficjalnie od 12 lutego 1981 r. uwzględnianie „granic Rzeszy niemieckiej z 31 grudnia 1937 r." [109].

Siły rewindykacyjne w Niemczech zachodnich przyjęły oczywiście przychylnie tzw. „Rok Prus", 1981, i wystawę „Prusy — próba bilansu", eksponowaną w Berlinie od 15 sierpnia do 15 listopada tegoż roku. Prusy — twór państwowy sztuczny i rodzący szczególnie ujemne reperkusje — należą całkowicie do przeszłości, ale do dziś z natury rzeczy budzą skojarzenia głównie z militaryzmem, agresją, aneksją cudzych ziem, kastowością, germanizacją itd., a dopiero na dalekim planie — z gospodarnością, pracowitością, oszczędnością, rozwojem nauk itp. Na zachodzie wzniosła się fala piśmiennictwa na temat Prus, mimo że sięganie do ich tradycji budzi rozmaite uczucia, także sprzeciwu. Zagadnienie to analizowano również u nas [110].

W Polsce nie wolno pod żadnym pozorem odstąpić od konsekwentnego stosunku do zbrodni hitlerowskich, zgodnego z poczuciem sprawiedliwości, i od należytego rozeznawania w RFN i innych krajach tego wszystkiego, co zmierza do zmącenia przejrzystego obrazu przyczyn, przebiegu i skutków totalitaryzmu hitlerowskiego. Patronuje takiej sprawie i praktycznie ją realizuje m. in. Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

Ta zasłużona instytucja prawnicza, śledcza i naukowa systematycznie, z każdym rokiem wzbogaca swój dorobek. Co rok też tutaj, w dziale „Oceny", jest on odnotowywany, aczkolwiek również — jak i inne grupy tematyczne — na zasadzie przykładów. Z ostatnich publikacji GKBZHwP warto wymienić m. in. polski przekład książki Ulricha-Dietera *Oppitza* „Strafverwahren und Strafvollstreckung bei NS-Gewaltverbrechen. Dargestellt an Hand von 542 rechtskraftigen Urteilen deutscher Gerichte aus der Zeit von 1946—1975" (Ulm 1976, Braunland-Verlag; Ulm 1979, Ulrich-Oppitz Verlag) [111].

Dr Józef *Musioł*, wskazując na ogrom zbrodni hitlerowskich, scharakteryzował obfity dorobek GKBZHwP w gromadzeniu dokumentacji i dalsze prace śledcze. Zbrodniarze są bowiem ścigani nadal, aczkolwiek żyje już tylko 20—30% świadków zbrodni, a średni wiek sprawców sięgnie w najbliższych kilku latach 70. roku życia (w tym około 40% zbliży się do 65. rż.). Zostanie przygotowany rejestr zbrodni i ich miejsc, a także sporządzi się biogramy kierowników różnych działów administracji hitlerowskiej [112]. Gdy w podobnych publikacjach jest mowa o zbrodniach hitlerowskich w ich rozległej rozciągłości, czytelnik rozeznaje się jednocześnie w zasadniczym tle zagadnienia martyrologii pracowników służby zdrowia.

Główna Komisja Zbrodni Hitlerowskich w Polsce osiągnęła także istotne wyniki na polu polsko-radzieckiej współpracy w wykrywaniu i dokumentowaniu zbrodni hitlerowskich, począwszy od okresu przygotowań do procesu norymberskiego [113].

Nie po raz pierwszy zwrócono już uwagę na to, że z biegiem lat wygasną z przyczyn biologicznych sprawy procesowe zbrodniarzy hitlerowskich, wobec czego Główna Komisja skupi się na prowadzonej już od dawna sumiennie i efektywnie pracy badawczo-naukowej i wydawniczej, będzie ją kontynuować i rozwijać, służąc z pożytkiem wiedzy o przeszłości niezmiernie ważnej dla dziejów Polski i pełniąc funkcję Instytutu Pamięci Narodowej, który istniał w pierwszych latach powojennych, a którego jest najlepszym spadkobiercą.

W ubiegłych latach, jak wspomniano, odnotowywaliśmy m. in. w dziale „Oceny" naszych zeszytów najważniejsze dokonania GKBZHwP: wkład dokumentacyjny w ściganie i karanie zbrodniarzy hitlerowskich, narastanie prac śledczych, badawczych i wydawniczych, ankietyzacje, badania naukowe, publikacje (czasopisma, jak „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce", „Documenta Occupationis", „Przegląd Prasy Zagranicznej"), prace kartograficzne, bibliografie, informacje wewnętrzne, materiały na kolejne sesje, warszawskie i terenowe itd. Teraz jeszcze kilka uwag.

Zagadnienia dorobku, działalności, programu pracy i perspektyw badawczych Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce były przedmiotem sesji jej prezydium 23 czerwca 1981 r. w Warszawie. Na konferencję tę przygotowano komplet wyczerpujących materiałów powielonych [114].

Plany GKBZHwP są bogate, a w związku z aktualnymi potrzebami dochodzą zmodyfikowane bądź dalsze zadania, jak np. upowszechnianie wiedzy o zbrodniach hitlerowskich z uwzględnieniem przeciwstawiania się przemilczeniom i fałszerstwom w tej dziedzinie, badania nad neofaszyzmem, neonazizmem i neohitleryzmem, ewidencjonowanie zbiorów archiwalnych w zakresie interesującym Główną Komisję, uzupełnienia kartotek miejsc zbrodni, zbrodniarzy itd., koordynacja pracy z innymi — krajowymi i zagranicznymi — ośrodkami badającymi problematykę okresu lat 1939—1945 i ich następstw, ułat-

[109] H. *Kozłowski:* Polityczny dynamit? Płomienie, 1981, nr 13, s. 13.

[110] M. in. M. *Podkowiński*: Pour le roi de Prusse. Literatura, 1981, nr 13, s. 6 i 15.

[111] U.-D. *Oppitz*: Postępowanie karne i wykonanie kary przy zbrodniach hitlerowskich. Przeł. z jęz. niem. W. *Hanczakowski*. Warszawa 1980, wyd. GKBZHwP, ss. 295.

[112] J. *Musioł*: Aktualne problemy badania i ścigania zbrodni hitlerowskich. Za wolność i lud, 1981, nr 8, s. 8 i 9; nr 9, s. 8, 9 i 12; o autorze zob. T. *Kucharski:* Powstańczy charyzmat. Prawo i Życie, 1981, nr 19, s. 20 i 19.

[113] C. *Pilichowski*: Proces norymberski i jego pokłosie. Prawo i Życie, 1981, nr 8, s. 14.

[114] Materiały na prezydium Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. I. Sprawozdanie: 1. Sprawozdanie z działalności Głównej i Okręgowych Komisji BZHwP w 1980 r. (4°, ss. 23); 2. Informacja o niektórych podstawowych działach pracy Głównej i Okręgowych Komisji BZHwP w latach 1963—1980 (4°, ss. 11); Plan: 1. Plan pracy Głównej i Okręgowych Komisji BZHwP na 1981 r. (4°, ss. 23); 2. Tezy problemowe o bieżących i perspektywicznych zadaniach Głównej Komisji i Okręgowych Komisji BZHwP (4°, ss. 27); III. Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce — Instytut Pamięci Narodowej. Uzasadnienie, przedmiot i zakres proponowanych zmian (4°, ss. 6, zał. 5); IV. Notatka w sprawie ustanowienia nagrody im. Alfreda *Fiderkiewicza* (4°, s. 2); Regulamin w sprawie zasad przyznawania i wypłacania nagrody im. Alfreda *Fiderkiewicza*. Projekt (4°, ss. 4). (Warszawa 1981), wyd. GKBZHwP, tab.

wianie publikacji różnym autorom, współdziałanie ze środkami masowego przekazu, urządzanie sesji popularnych i naukowych. Są to tylko przykłady tej konkretnej pracy. Obserwowaliśmy od dawna, że tematyka ta obejmuje m. in. zagadnienia medyczne (np. w postaci ekspertyz dotyczących biologicznego wyniszczenia narodu polskiego).

W oparciu o archiwum Głównej Komisji mogą być wykonywane cenne i oryginalne artykuły naukowe, a także prace magisterskie i rozprawy doktorskie i habilitacyjne.

Oceniając działalność i wyniki pracy GKBZHwP, jej dyrektor, prof. Czesław *Pilichowski* [115], osobny rozdział poświęcił pracom nad stratami i szkodami wojennymi Polski oraz problematyce konsekwencji biologiczno-medycznych i ekonomicznych wojny i okupacji [116].

Prof. *Pilichowski* wypowiadał się nadto m. in. 17 listopada 1981 r. w I programie Telewizji Polskiej na temat ścigania zbrodniarzy hitlerowskich, innych prac tudzież dorobku Głównej Komisji. Poinformował o przygotowywaniu przez nią dzieła ewidencjującego około 14 tysięcy hitlerowskich obozów różnego rodzaju na terenie całej Europy. Sformułował trzy zadania GKBZHwP — Instytutu Pamięci Narodowej; są to uzupełnianie dokumentacji dotyczącej zbrodni hitlerowskich w około dwudziestu tysiącach miejsc zbrodni, obiektywne, dalsze ich dokumentowanie oraz edukacja zwłaszcza młodego pokolenia i przekazywanie światu tej wiedzy.

Warto przypomnieć pracę zbiorową „Zbrodnie i sprawcy" [117], wydaną pod auspicjami GKBZHwP, a zawierającą m. in. tematykę medyczną [118]. W dziele tym 76 autorów wielostronnie naświetla zbrodnie hitlerowskie wobec Polski, system terroru, eksterminację, niszczenie kultury itd., udział służb medycznych III Rzeszy w realizacji hitlerowskiej polityki eksterminacyjnej, skutki biologiczne tej polityki itp.

W serii pt. „Ekspertyzy i orzeczenia przed Najwyższym Trybunałem Narodowym" Główna Komisja udostępniła kilkadziesiąt udokumentowanych opracowań zbrodni hitlerowskich w różnych dziedzinach. Tom IV tego wydawnictwa [119] zawiera bezpośrednio powojenne ekspertyzy, istotne z punktu widzenia medycyny sądowej, związane z procesami przeciw Arturowi *Greiserowi*, Ludwigowi *Fischerowi*, Albertowi *Forsterowi*, Josefowi *Bühlerowi*, Rudolfowi *Hössowi*, oprawcom z obozu oświęcimskiego, m. in. prof. dr. Wiktora *Grzywo-Dąbrowskiego* z oględzin i sekcji zwłok znalezionych w basenach Zakładu Anatomii w Gdańsku, a przeznaczonych do produkcji mydła, profesorów Jana Stanisława *Olbrychta* i Jana *Sehna* z wymordowania chorych Szpitala Psychiatrycznego w Kobierzynie, dr. Edwarda *Kowalskiego* o zbrodniczych eksperymentach medycznych w Oświęcimiu i wiele innych.

Tom XXX „Biuletynu Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce" przyniósł, jak już wspomniano w rozdziale o obozach, pożyteczne bibliografie, zapowiedziane w poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" [120], a mianowicie „Międzynarodową bibliografię hitlerowskich obozów koncentracyjnych (1933—1976)" dr Wandy *Kiedrzyńskiej* i dwie bibliografie publikacji Głównej Komisji, opracowane przez Stanisława *Kanię* [121]. Już obecnie można postulować wznowienie bibliografii dr *Kiedrzyńskiej*, przy jednoczesnym uaktualnieniu i uzupełnieniu takiego wydania.

Naszkicowana tutaj pobieżnie grupa tematyczna stanowi bogate pensum wiedzy, której zgłębianie jest tożsame z utrwalaniem przekonania o konieczności twardej i konsekwentnej ochrony praw człowieka; niewątpliwie myśląc o niej, prof. Zbigniew *Resich* wydał swą interesującą książkę [122].

Nie tylko więc piśmiennictwo dotyczące obozów, lecz także w ogóle zbrodni hitlerowskich, oparte na mocnych podstawach badawczych, rokuje dalszy, efektywny rozwój.

SOCJALNO-BYTOWE SPRAWY KOMBATANTÓW

Badania naukowe, lekarskie i prawnicze, ugruntowały zasadność opieki socjalnej i bytowej nad kombatantami. O ich losie trzeba pamiętać stale, nie tylko z okazji Międzynarodowego Roku Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych, 1981.

W „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" — m. in. w dziale „Oceny" — od lat już wskazujemy na konieczność przychylnego traktowania

---

[115] C. *Pilichowski*: Działalność i wyniki pracy Głównej Komisji i Okręgowych Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce 1944/45 — 1980. Warszawa 1980, GKBZHwP, 4°, ss. 215; zob. też: Raport GKBZHwP dla sekretarza generalnego ONZ. Ujawnienie i osądzenie sprawców hitlerowskich zbrodni — czynnikiem utrwalenia międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa. Za wolność i lud, 1981, nr 39, s. 1 i 2.

[116] Tamże s. 77—83: rozdz. XII pt. Prace nad opracowaniem strat i szkód wojennych Polski oraz problematyka konsekwencji biologiczno-medycznych i ekonomicznych.

[117] Zbrodnie i sprawcy. Ludobójstwo hitlerowskie przed sądem historii i ludzkości. Redaktor naukowy Czesław *Pilichowski*. Warszawa 1980, PWN, ss. 943, nlb. 1; rec. m. in. J. *Orysz*: Zbrodnie i sprawcy. Cenna praca naukowców. Za wolność i lud, 1981, nr 1, s. 14.

[118] Udział służb medycznych III Rzeszy w realizacji hitlerowskiej polityki eksterminacyjnej. J. *Bogusz*: Pojęcie eutanazji oraz zbrodnicze praktyki stosowane w III Rzeszy niemieckiej; J. *Mikulski*: Eksperymenty pseudomedyczne w III Rzeszy niemieckiej; J. *Kasznicki*, J. *Fijałek*: Hitlerowska służba zdrowia w okupowanej Polsce na przykładzie tzw. Kraju Warty; J. *Radzicki*, J. *Radzicki*: Zbrodnicza działalność hitlerowskiej służby sanitarnej w Zakładzie dla Obłąkanych w Obrzycach. W: Zbrodnie i sprawcy..., o. c., s. 608—655.

[119] Ekspertyzy i orzeczenia przed Najwyższym Trybunałem Narodowym. IV. Wyboru dokonał i przygotował do publikacji Czesław *Pilichowski*. Warszawa 1980, GKBZHwP, ss. 201 (powiel.).

[120] Przegl. Lek., 1981, nr 1, s. 243. — W. *Kiedrzyńska*: Międzynarodowa bibliografia hitlerowskich obozów koncentracyjnych 1933—1976. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. XXX. Warszawa 1981, Wydawn. Prawnicze, s. 9—240.

[121] S. *Kania*: Publikacje Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce 1945—1978. Warszawa 1980, GKBZHwP, s. 71—74: rozdz. 17 pt. Zbrodnie hitlerowskich lekarzy i służb sanitarnych (powiel.). Tegoż autora: Publikacje Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce w serii „Informacji wewnętrznej" w latach 1976—1979. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. XXX. Warszawa 1918, Wydawn. Prawnicze, s. 241—256.

[122] Z. *Resich*: Międzynarodowa ochrona praw człowieka. Warszawa 1981, PWN, ss. 168.

kombatantów przez komisje inwalidztwa i zatrudnienia. Niestety, nieraz jeszcze daleko do realizacji tego oczywistego postulatu. Wiele zależy od przyczyn subiektywnych, jak np. stopień wiedzy o KZ-syndromie lub niewiedza o nim czy też mentalność, np. biurokratyczna, niektórych lekarzy komisji inwalidztwa i zatrudnienia.

W prasie można znaleźć wymowne i oczywiste przykłady trudności kombatantów w uzyskaniu komisyjnego czy sądowego potwierdzenia związku przyczynowego między doznaniami i urazami wojennymi czy obozowymi a obecnym inwalidztwem, m. in. konkretne opisy tego rodzaju utrudnień przytacza red. Maria *Osiadacz*. „Lektura akt dotyczących tych spraw — pisze ona — budzi niejedną gorzką refleksję. Zdarza się często, że dochodzenie świadczeń trwa latami. Umęczeni dolegliwościami ludzie, sterani życiem (bo przecież po wojnie też nie próżnowali, a pracowali w nader trudnych warunkach pierwszych lat po wyzwoleniu) wydeptują ścieżki, wyczekują na korytarzach. Co gorsze, traktowani bywają jak natrętni wierzyciele z wekslem bez pokrycia" [123].

Zbyt długa jest droga prawna tych roszczeń. „Sąd Najwyższy — stwierdza *Osiadacz* — uchyla (...) wcale nierzadko orzeczenia sądów pracy. I często czytamy: z powodu rażącego naruszenia prawa, rażącego naruszenia przepisów procesowych, nierozważenia w sposób wszechstronny zebranego w sprawie materiału dowodowego, przeoczenia, błędnej interpretacji itd. Czyni to wrażenie, że brakuje nie tylko właściwego zaangażowania, serca, ale i zrozumienia dla szczególnej sytuacji tych ludzi, których przecież z każdym rokiem ubywa właśnie m. in. z powodu schorzeń nabytych w związku z działalnością w czasie wojny i okupacji" [124].

Kiedy człowiek ma władzę nad drugim człowiekiem, co jest smutną koniecznością, od człowieka najwięcej zależy. W jednym z artykułów czytamy: „(...) wnioski o przyznanie renty inwalidy wojennego są na ogół załatwiane przez urzędników młodych wiekiem, którzy nie znają realiów okupacji hitlerowskiej. Kombatanci są kierowani na komisje lekarskie, w skład których wchodzą nieraz również młodzi lekarze, podobnie jak urzędnicy urodzeni już po wojnie (...); sprawy wszystkich byłych więźniów więzień hitleryzmu należy traktować jak b. więźniów obozów koncentracyjnych" — mimo formalnych trudności prawnych, spowodowanych niedopatrzeniem redaktorów tekstu wiadomej ustawy [125].

Sprawy zaopatrzenia inwalidów wojennych, byłych więźniów katowni hitlerowskich itd., obliczanie i przyznawanie świadczeń emerytalnych i rentowych jest tematem przewijającym się w czasopismach, m. in. w „Za wolność i lud" i w „Prawie i Życiu". Porusza te kwestie m. in. Jolanta *Bok-Kujar* [126], nie omijając też zagadnienia podwyżek rent dla kombatantów i wątpliwości formalnych, powstających na tym tle [127].

Poruszono też sprawę zadysponowania kwotami uzyskanymi z RFN. W związku z tym interpelację w Sejmie złożył poseł Stanisław Rostworowski; niezadowalającą kombatantów odpowiedź—wyjaśnienie opublikował minister ds. kombatantów, gen. dyw. Mieczysław *Grudzień*, w „Za wolność i lud" (1981, nr 4). Wątpliwości co do wysokości sumy marek zachodnioniemieckich i ich rozdziału, który kombatantów — według ich opinii — pokrzywdził, wywołały serię listów od czytelników; kilka takich listów ukazało się w „Za wolność i lud" [128].

W styczniu 1981 r. na posiedzeniu prezydium Zarządu Głównego ZBoWiD poruszono zagadnienia socjalno-zdrowotne, m. in. sprawę zwiększenia możliwości korzystania przez kombatantów z lecznictwa sanatoryjno-uzdrowiskowego, zwiększenia pomocy materialnej, podwyższenia rent i emerytur, skrytykowano zdarzające się nieraz nierespektowanie przez placówki służby zdrowia zarządzeń władz regulujących tryb i sposób udzielania pomocy zdrowotnej kombatantom, podniesiono konieczność opieki nad kombatantami chorymi i starszymi wiekiem [129].

O lepsze warunki na starość upominają się schorowani, zasłużeni kombatanci, którzy walczyli o wolną Polskę w latach 1939—1945 i jeszcze dłużej (np. z bandami UPA). Co najmniej około 300 tysięcy, czyli połowa zrzeszonych w ZBoWiD, żyje na poziomie niższym niż najskromniej oceniane minimum socjalno-bytowe. Jest sytuowana gorzej niż kombatanci Czechosłowacji, Węgier czy Bułgarii.

Nie da się ukryć, że na kombatantach i byłych więźniach w Polsce długie lata oszczędzano — a była to fatalnie pojęta oszczędność — przy jednoczesnym szafowaniu olbrzymimi sumami ze znikomym często pożytkiem. Stąd rozgoryczenie tych bojowników, nie mających nawet klauzuli 100-procentowej renty wojennej. Nie zadowalała „karta kombatanta", dająca po latach dopiero obniżony wiek emerytury, dłuższy urlop itp., ani też rozwijana opieka medyczno-socjalna.

Trafiła się nadto wymówka, że ci, co decydowali o tych sprawach, sami korzystali z rządowego dekretu z 1972 r., zapewniającego prominentom z wysokiego szczebla, ich dzieciom i wnukom „dożywocie i synekury kosztem państwa i narodu" [130]. Przeszło pięć i pół roku, a często więcej, walki, poniewierki, trudu, głodu, cierpień, prześladowań, ryzykowania życia i zdrowia, ten długi okres źródła urazów i chorób — to argument istotny, aczkolwiek trudno oddane wtedy

[123] M. *Osiadacz*: W zgodzie z prawem i z... sercem. Dziś na wokandzie. Prawo i Życie, 1981, nr 8, s. 16.

[124] Tamże. — Z ciekawszej literatury dokumentacyjnej warto zwrócić uwagę na następującą pozycję: A. *Baron*: Akta urzędu specjalnego komisarza dla spraw opieki nad byłymi więźniami obozów hitlerowskich. Archeion, 1981, s. 71—87.

[125] J. *Orysz:* Czy trzeba dopiero sądu? Drażliwe sprawy rent z tytułu inwalidztwa wojennego. Za wolność i lud, 1981, nr 17, s. 17.

[126] J. *Bok-Kujar:* Czy to jest sprawiedliwe? Na tematy socjalne. Za wolność i lud, 1981, nr 14, s. 7.

[127] J. *Bok-Kujar:* Renta wyjątkowa — jak to jest z tą podwyżką? Na tematy dnia. Za wolność i lud, 1981, nr 10, s. 7. — O sytuacji bytowej b. żołnierzy 1 DP im. T. Kościuszki pisze R. *Marciniak*: Jak żyją kościuszkowcy? Tamże, nr 9, s. 13.

[128] Otwieramy listy. Od czytelników. Za wolność i lud, 1981, nr 25, s. 4—5.

[129] M. Ł.: Posiedzenie Prezydium Zarządu Głównego. Za wolność i lud, 1981, nr 5, s. 16.

[130] A. K. *Jung:* O prawa kombatanckie. Solidarność, 1981, nr 16, s. 14; W. *Krzyżanowski*: Kto jest kompetentny? Tamże, 1981, nr 41, s. 5; K. *Strzelewicz*: Gdzie się podział miliard marek? Powracamy do sprawy rozliczenia kwot przeznaczonych b. więźniom obozów koncentracyjnych przez rząd RFN. Gazeta Krakowska, 1981, nr 211, s. 3 i 4; tenże: Gdzie się podział miliard marek? Poznański adwokat, Teofil *Motyliński*, wyjaśnia sprawę polsko-niemieckiej umowy rentowej z 9 X 1975 r.

ojczyźnie niewymierne wartości przeliczać na pieniądze.

Co pewien czas precyzowano potrzeby w zakresie opieki zdrowotnej nad kombatantami, np. podczas narady komisji socjalnej i zdrowia ZG ZBoWiD w grudniu 1980 r. w Warszawie [131]: zwiększyć w kraju liczbę poradni dla kombatantów; zapewnić w nich udział lekarzy-zbowidowców różnych specjalności; powołać przychodnie specjalistyczne z zadaniem specjalistycznego poradnictwa i konsultacji, orzecznictwa, rehabilitacji, pomocy poradniom ogólnym; zwiększyć liczbę miejsc sanatoryjnych dla kombatantów, tworzyć nawet małe sanatoria; ulepszyć orzecznictwo inwalidzkie, młodych lekarzy w komisjach wesprzeć udziałem i wiedzą lekarzy ZBoWiD, znających się na inwalidztwie wojennym i obozowym, odpowiednio przygotowywać materiały medyczne na komisję itd.

Postulaty ZBoWiD w sprawach materialnych, żywotnie istotnych dla kombatantów, szczegółowo przedstawił prezes Zarządu Głównego ZBoWiD [132].

Niesporne jest, że młodzi lekarze, mający kontakt z byłymi więźniami, żołnierzami, partyzantami itp., muszą nauczyć się rozumieć ich problemy. Istnieje dostępna literatura, starsi, doświadczeni lekarze, między nimi byli więźniowie, nie odmawiają pomocy konsultacyjnej.

Duży zasób wiedzy przyniosła sesja na temat „Inwalidztwo lat wojny i okupacji 1939—1945", zorganizowana przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce (24 listopada 1981 r. w Warszawie). Sesja ta dotyczyła m. in. odległych następstw urazów obozowych oraz problematyki orzecznictwa inwalidzkiego w tej trudnej dziedzinie. Wypowiadali się tam m. in. dyrektor GKBZHwP, prof. Czesław *Pilichowski*, wiceminister sprawiedliwości, dr Maria *Regent-Lechowicz*, a także wiceminister spraw socjalnych ZSRR, Włodzimierz Pawłowicz *Barybin*, od którego obecni dowiedzieli się, jak nieporównanie jest wyższy poziom świadczeń dla kombatantów w Związku Radzieckim i o ile bogatsza różnorodność form pomocy tudzież łatwiejszy dostęp do nich.

W sesji tej uczestniczyli lekarze, prawnicy, historycy, socjologowie, psycholodzy — wśród nich byli więźniowie. Spośród kilkudziesięciu komunikatów i referatów część powielono i udostępniono na konferencji. Żeby zorientować w jej tematyce, warto tutaj wymienić niektóre z owych broszur, tj.: „Uwagi w sprawie eksterminacji chorych psychicznie, upośledzonych i innych" (Józef *Bogusz*), „Roszczenia polskich ofiar hitlerowskiego ludobójstwa w stosunku do RFN" (Juliusz *Brniak*), „Aktualny stan zdrowia osób represjonowanych przez hitleryzm w latach II wojny światowej na przykładzie województwa koszalińskiego" (Marian *Cieślawski*), „Patogeneza inwalidztwa byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych" (Czesław *Kempisty*), „Psychologia i psychopatologia obozów koncentracyjnych. Próba analizy postaw i zachowań" (Kazimierz *Godorowski*), „Wybrane zagadnienia prawne w orzecznictwie inwalidztwa wojennego" (Tadeusz *Goździcki*), „Gruźlica a inwalidztwo okresu wojny i okupacji" (Stanisław *Kłodziński*), „Następstwa zdrowotne wynikłe z pobytu w hitlerowskich obozach »pracy wychowawczej« na Ziemi Lubuskiej, w latach 1940—1945" (Przemysław *Mnichowski*), „Zbrodnicza polityka III Rzeszy niemieckiej wobec ludności cywilnej i jeńców oraz więźniów a sprawa inwalidztwa wojennego" (Czesław *Pilichowski*), „Dynamika zaburzeń psychicznych w zespole poobozowym (KZ-syndrom)" (Zdzisław *Ryn*), „Dynamika zaburzeń psychicznych u byłych więźniów obozów koncentracyjnych" (Marek *Sternalski*), „Dyskusyjne problemy psychiatrycznego orzecznictwa inwalidzkiego" (Adam *Szymusik*), „Inwalidztwo wojenne byłych więźniów obozów koncentracyjnych" (Antoni *Szynglarewicz*), „Społeczne i prawne aspekty inwalidztwa wojennego osób, które w dzieciństwie przebywały w hitlerowskich obozach koncentracyjnych" (Józef *Witkowski*), „Sterylizacja jako przyczyna inwalidztwa wojennego" (Andrzej *Zientarski*) i inne.

We wnioskach tej warszawskiej sesji uchwalono, żeby: zwiększyć pomoc socjalną i zdrowotną nad kombatantami, w szczególności nad inwalidami II wojny światowej, a wśród nich otoczyć jak najtroskliwszą opieką wymierającą bardzo szybko grupę byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, przydzielić wszystkim tym ludziom I grupę inwalidztwa, doprowadzić do sprawiedliwszego rozdziału kwot otrzymanych z RFN na pomoc ofiarom eksperymentów medycznych, rozwijać dalsze prace naukowo-badawcze.

Wiedzę tę wzbogacił też międzynarodowy sympozjon medyczny *FIR* (Internationales Medizinisches Symposium der FIR, tj. Internatiale Föderation der Widerstandskämpfer) w dniach 1—3 grudnia 1981 r. w Berlinie Wschodnim. Konferencja ta wymagałaby omówienia w odrębnym artykule. Wśród kilkudziesięciu uczestników znalazło się tam kilku referentów i lekarzy z Polski (Czesław *Kempisty*, Jan *Nowak*, Halina *Szwarc*, Zdzisław *Ryn* i inni).

Przedmiotem lekarskiej konferencji berlińskiej była chorobowość i wymieralność ofiar wojny i prześladowań hitlerowskich, kliniczne metody wykrywania i leczenia chorób poobozowych i wojennych, stan opieki medycznej i społecznej nad kombatantami II wojny światowej i ofiarami prześladowań faszystowskich.

W dziedzinie psychologicznych i lekarskich następstw przebywania w obozach koncentracyjnych doczekaliśmy się kolejnej bibliografii, opracowanej przez znanego badacza KZ-syndromu i zmian osobowości u byłych więźniów, prof. Leo Eitingera [133]. Ten wybór bibliograficzny, liczący

---

oraz Porozumienia. Tamże, nr 232, s. 4. — Ostatnio ponownie umożliwiono byłym więźniom, ofiarom zbrodniczych eksperymentów medycznych, starania o odszkodowanie (bliższe szczegóły w informacji pt. Pomoc dla ofiar eksperymentów pseudomedycznych. Za wolność i lud, 1981, nr 47, s. 4).

[131] M. *Romanowska:* Usprawnić opiekę zdrowotną. Za wolność i lud, 1981, nr 5, s. 13, 14 i 15.

[132] Nasze potrzeby są nadal ogromne. Referat prezesa ZG ZBoWiD Włodzimierza *Sokorskiego*. Za wolność i lud, 1981, nr 7, s. 3 i 9.

[133] Psychological & medical effects of concentration camps. Research Bibliography. Słowo wstępne: S. *Breznitz*. Przedmowa: L. *Eitinger*, M. Rieck. Haifa (bez roku wydania), Ray D. Wolfe Centre for Study of Psychological Stress, University of Haifa, ss. 122 (powiel.).

808 pozycji, doprowadzony do r. 1979, uwzględnia prace dotyczące reakcji na obóz i na uwolnienie, stresów u dzieci, wyników badań somatycznych, późnych następstw psychicznych oraz somatycznych, zagadnień kompensacji oraz terapii, zaburzeń u potomstwa byłych więźniów, artykuły teoretyczne, przeglądy piśmiennictwa i recenzje.

Wiedzę o KZ-syndromie trzeba łączyć z jej praktycznym używaniem. Korzyść dla nauki i historii — to inna, też ważna perspektywa. Życie przemija, pokolenie wojenne przyprósza siwizna, wielu odeszło i odchodzi. Nasuwają się słowa poety:

(...) Co mamy do stracenia? Życie, czyli nic.
Życie w błocie nie ośpiewane w bibliach.
Piorun, co błyska i pacierz, co płacze.
Coś jeszcze poza tym; co w trumnie się nie pomieści,
Duch, który się w starcu kołacze
i w dziecku jak liść szeleści.[184]

Wiedza utrwalona w omawianym tutaj piśmiennictwie — to jedno z ogniw łączących pokolenia: stare i młode, to cenne wyposażenie tych, co wejdą może na trudniejsze jeszcze drogi.

---

[184] J. *Kurek*: Wiersze dotkliwe. Życie Literackie, 1981, nr 28, s. 8 (fragment utworu pt. Historia nowożytna z r. 1956).

Fragment terenów byłego obozu koncentracyjnego i zagłady Oświęcim-Brzezinka 7 czerwca 1979 r. podczas uroczystości związanych z obecnością papieża *Jana Pawła II* (zdjęcie nadesłane z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

TREŚĆ POPRZEDNICH ZESZYTÓW „PRZEGLĄDU LEKARSKIEGO" POŚWIĘCONYCH ZAGADNIENIOM LEKARSKIM OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

CONTENTS OF PRECEDING ISSUES OF „PRZEGLĄD LEKARSKI" (MEDICAL REVIEW) DEVOTED TO MEDICAL PROBLEMS OF THE PERIOD OF NAZI OCCUPATION

INHALT DER BISHER ERSCHIENENEN HEFTE DES „PRZEGLĄD LEKARSKI" (MEDIZINISCHE RUNDSCHAU) DEN ÄRZTLICHEN PROBLEMEN WÄHREND DER NAZI OKKUPATION GEWIDMET

Opracował (compiled by — bearbeitet von) Jan *Masłowski*

Przełożyli na język angielski (translated into English) Edwin R. *Paryski*, Anna *Kurgan*

Przełożył na język niemiecki (übersetzt ins Deutsche von) Erwin *Michalski*

Wszystkie pozycje w tym spisie są uszeregowane tematycznie. (The positions in this list are arranged thematically. — Alle Positiones dieses Verzeichnisses sind thematisch eingereiht):

Zagadnienia polityczne, lekarsko-prawne i filozoficzno-etyczne; system eksterminacji. (Political, medico-legal, philosophical and ethical problems; the extermination system. — Politische, ärztlich-rechtliche und philosophisch-ethische Probleme; das Exterminationssystem);

II. Wyniki badań byłych więźniów. (Results of medical examination of ex-prisoners. — Ärztliche Untersuchungsergebnisse der ehemaligen Häftlinge):

a) Badania ogólnolekarskie. (General examination. — Allgemeinärztliche Untersuchungen);

b) Badania specjalistyczne. (Special studies. — Spezialistische Untersuchungen);

III. Głód. (Hunger);

IV. Relacje z obozów. (Reports from camps. — Berichte aus den Lagern):

a) Gross-Rosen i podoobozy. (Gross-Rosen and branches. — Gross-Rosen und Nebenlager);

b) Majdanek;

c) Mauthausen-Gusen i podobozy. (Mauthausen-Gusen and branches. — Mauthausen-Gusen und Nebenlager);

d) Oświęcim-Brzezinka i podobozy. (Auschwitz-Birkenau and branches. — Auschwitz-Birkenau und Nebenlager);

e) Inne obozy. (Other camps. — Andere Lager);

f) Obozy jenieckie. (Prisoner-of-war camps. — Kriegsgefangenen-Lager);

V. Relacje z więzień. (Reports from prisons. — Berichte aus Gefängnissen);

VI. Eksperymenty zbrodnicze. (Criminal experiments. — Verbrecherische Experimente);

VII. Represje wobec inteligentów. (Persecutions of Polish intelligentsia. — Repressionen gegen die Intelligenz):

a) Tzw. Sonderaktion Krakau. (The so-called Sonderaktion Krakau. — Sog. Sonderaktion Krakau);

b) Inne zagadnienia. (Other problems. — Andere Probleme);

VIII. Martyrologia dzieci. (The martyrology of children. — Martyrium der Kinder);

IX. Problematyka żydowska. (Jewish problems. — Juden-Problematik);

X. Lekarze w wojsku i partyzantce. (Physicans in the military service and underground movement. — Ärzte in der Armee und bei den Partisanen);

XI. Relacje pielęgniarek. (Nurses' reports. — Berichte der Pflegerinnen);

XII. Czerwony Krzyż i „patronaty". (Red Cross and "Patronages". — Das Rote Kreuz und die „Patronate");

XIII. Szpitale w tzw. Generalnym Gubernatorstwie. (Hospitals in the so-called Generalgouvernement. — Spitäler im sog. Generalgouvernement);

XIV. Życie i walka pod okupacją. (Life and struggle under the Nazi occupation. — Leben und Kampf während der Okkupation);

XV. Studia medyczne. (Medical studies. — Medizinische Studien);

XVI. Zagadnienia odszkodowań i orzecznictwa. (War pensions and compensation problems. — Probleme der Entschädigung und Begutachtung);

XVII. Sprawozdania. (Reports. — Berichte).

XVIII. Spisy imienne. (Index of names. — Namenverzeichnisse);

XIX. Biografie. (Biographies. — Biographien).

XX. Oceny. (Reviews. — Rezensionen);

XXI. Bibliografie. (Bibliographies. — Bibliographien).

Następujące bezpośrednio po oznaczeniu roku liczby arabskie odnoszą się do numeracji stron w poszczególnych zeszytach. Na końcu spisu znajduje się alfabetyczny wykaz autorów.

(Arabic figures beside the number of year denote numbers of pages in the issues. Alphabetic index of authors is to be found at the end of contents.

Die unmittelbar nach der Jahreszahl angeführten arabischen Ziffern beziehen sich auf die Seiten-Numerierung der einzelnen Hefte. Am Ende dieses Verzeichnisses befindet sich ein alphabetisches Autorenregiester).

1961 = Przegl. Lek., 1961, nr 1a.
1962 = Przegl. Lek., 1962, nr 1a.
1963 = Przegl. Lek., 1963, nr 1a.
1964 = Przegl. Lek., 1964, nr 1.
1965 = Przegl. Lek., 1965, nr 1.
1966 = Przegl. Lek., 1966, nr 1.
1967 = Przegl. Lek., 1967, nr 1.
1968 = Przegl. Lek., 1968, nr 1.
1969 = Przegl. Lek., 1969, nr 1.
1970 = Przegl. Lek., 1970, nr 1.
1971 = Przegl. Lek., 1971, nr 1.
1972 = Przegl. Lek., 1972, nr 1.
1973 = Przegl. Lek., 1973, nr 1.
1974 = Przegl. Lek., 1974, nr 1.
1975 = Przegl. Lek., 1975, nr 1.
1976 = Przegl. Lek., 1976, nr 1.
1977 = Przegl. Lek., 1977, nr 1.
1978 = Przegl. Lek., 1978, nr 1.
1979 = Przegl. Lek., 1979, nr 1.
1980 = Przegl. Lek., 1980, nr 1.
1981 = Przegl. Lek., 1981, nr 1.

I. Zagadnienia polityczne, lekarsko-prawne i filozoficzno-etyczne; system eksterminacji (Political, medico-legal, philosophical and ethical problems; the extermination system. Politische, ärztlich-rechtliche und philosophisch-ethische Probleme; das Exterminationssystem)

1. Bilikiewicz T.: Z rozważań nad psychologią ludobójstwa. (Considerations on the psychology of mass murder. — Betrachtungen über die Psychologie des Völkermorders). 1966, 14—20.

2. Bogusz J.: Ku pamięci Jana *Olbrychta*. (In remembrance of Jan *Olbrycht*. — Zum Andenken an Jan *Olbrycht*). 1979, 148—152.

3. Bogusz J.: Wpływ norymberskiego procesu lekarzy hitlerowskich na kształtowanie się pojęć o dokonywaniu badań na ludziach. (Influence of the Nuremberg trial against *SS*-physicians on the development of the concepts about experiments on men. — Der Einflus des Nürnberger Prozesses der Nazi-Ärzte auf die Gestaltung der Begriffe über Humanexperimente). 1981, 72—79.

4. Bojar-Fijałkowski G.: Z zagadnień eksterminacji robotników przymusowych w Trzeciej Rzeszy. (Problems of extermination of slave laborers in the Third Reich. — Probleme des Extermination von Zwangsarbeitern im. III. Reich). 1973, 60—64.

5. Brzezicki E., Gawalewicz A., Hołuj T., Kępiński A., Kłodziński S., Wolter W.: Więźniowie funkcyjni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Dyskusja. (Prisoner officials in Nazi concentration camps. A discussion. — Häftlinge-Funktionäre in Nazi KL. Diskussion). 1968, 153—161.

6. Chróścielewski E.: Eutanazja. Niektóre zagadnienia lekarskie i prawne. (Euthanasia. Some medical and legal problems. — Euthanasie. Manche ärztliche und rechtliche Probleme). 1969, 37—42.

7. Cyrankiewicz J.: Przemówienie na uroczystości odsłonięcia pomnika w Oświęcimiu-Brzezince. (Speach on the occasion of the unveiling of the monument in Auschwitz-Birkenau. — Ansprache bei der feierlichen Enthüllung des Denkmales in Auschwitz-Birkenau). 1968, 16—22.

8. Dzięcielska-Machnikowska S.: Problemy zawodu lekarskiego w okresie okupacji hitlerowskiej w świetle literatury pięknej i pamiętników. (Problems of the medical profession during the Nazi occupation in the light of literature and memoirs. — Probleme des Ärzteberufes während der Nazi-Okkupation im Lichte der schönen Literatur und in Memoiren). 1967, 48—51.

9. Fedorowicz („Ran") T.: Uwagi o „rewirach" i funkcyjnych obozowych. (Remarks on camp "hospitals" and functionaires. — Bemerkungen über „Reviere" und Lagerfunktionäre). 1969, 148—153.

10. Fedorowicz („Ran") T.: Ze wspomnień o postawie lekarzy w obozach. (Reminiscences about physician's attitudes in Nazi camps. — Erinnerungen über die Haltung der Ärzte in KL). 1970, 238—242.

11. Gawalewicz A.: Z rozważań na temat oświęcimskiej problematyki moralnej. (Reflection on moral problems in Auschwitz. — Betrachtungen zum Thema der moralen Probleme in Auschwitz). 1967, 45—48.

12. Gawalewicz A., Jacewicz W.: Wymieralność w latach 1945—1976 byłych więźniów Dachau, duchownych rzymskokatolickich. (Mortality rate of priests ex-prisoners from Dachau camp, during 1945—1976. — Die Sterblichkeit ehemaliger Häftlinge aus Dachau, röm.-katholischer Geistlicher in den Jahren 1945—1976). 1978, 29—32.

13. Glińska A.: Istota i mechanizm przemian w moralności więźniów Oświęcimia. (The nature and mechanism of moral transformation in Auschwitz prisoners. — Wesen und Mechanismus der Moralitätswandlungen der Auschwitzer Häftlinge). 1969, 57—60.

14. Glińska A.: Kierunek przekształceń moralnych wśród więźniów Oświęcimia. (Trends of moral transformations in Auschwitz prisoners. — Die Richtung moralischer Umwandlungen bei den Häftlingen des Konzentrationslager Auschwitz). 1969, 53—57.

15. Glińska A.: Z badań nad moralnością więźniów Oświęcimia. (Studies on the morals of Auschwitz prisoners. — Studien über Moral der Häftlinge im KL Auschwitz). 1967, 37—45.

16. Gutt R. W.: Nazizm, ludzie nauki, Norymberga i pokłosie. Komentarze i uwagi do memuarystyki niemieckich naukowców. (Nazism, scientists, Nuremberg and the aftermath. Comments on memoirs of German scientists. — Der Nazismus, Menschen der Wissenschaft, Nürnberg und das Fazit. Kommentare und Bemerkungen zur Memoiristik deutscher Wissenschaftler). 1973, 99—109.

17. Gutt R. W.: Próba rozważań na temat etyki lekarzy nazistowskich. (Some reflections of the ethics of Nazi physicians. — Erwägungsproben zum Thema: Ethik der Nazi-Ärzte). 1968, 23—26.

18. Gutt R. W.: Uwagi o psychopatologii tyranii hitlerowskiej. (Remarks on psychopathology of Nazi tyranny. — Bemerkungen zur Psychopathologie der Nazi-Tyrannei). 1974, 93—102.

19. Jagoda Z., Masłowski J.: Z metodyki opracowania naukowego zagadnień lekarskich okresu okupacji. (Methods of scientific elaboration of medical problems in the period of the Occupation. — Zur Methodik der wissenschaftlichen Bearbeitung ärztlicher Probleme während der Nazi-Okkupationszeit). 1974, 103—109.

20. Jakubik A.: Joseph *Goebbels* — osobowość nieprawidłowa typu histerycznego. (Studium kliniczne). (Joseph *Goebbels*, abnormal personality of the hysterical type. A clinical study. — Joseph *Goebbels*, anormale Persönlichkeit vom histerischen Typus. Klinisches Studium). 1972, 72—79.

21. Jakubik A.: Zbrodnie ludobójstwa a psychologia poczucia winy. (Genocide and psychology of the feeling of guilt. — Verbrechen des Völkermordes und Psychologie des Schuldbewusstseins). 1975, 15—21.

22. Jakubik A.: Z psychopatologii poczucia winy: hitlerowscy zbrodniarze wojenni. (The psychopathology of feeling of guilt in Nazi war criminals. — Zur Psychopathologie des Schuldbewusstseins: Nazi-Kriegsverbrecher). 1975, 21—33.

23. Jezierska M. E.: Fotografia jako świadectwo zagadnień medycznych okresu drugiej wojny światowej. (The photograph as a witness to medical problems of the II[nd] World War. — Die Photographie als Zeugnis medizinischer Probleme während der zweiten Weltkrieges. 1979, 131—137).

24. Jezierska M. E.: Warunki sanitarne ewakuacji pieszej więźniów w latach 1944—1945 (teoria i rzeczywistość). (Sanitary conditions during the prisoners evacuation on foot during 1944—1945 years; theory and reality. — Sanitäre Verhältnisse der Evakuierung von Häftlingen zu Fuss in den Jahren 1944—1945; Theorie und Wirklichkeit). 1978, 147—154.

25. Kępiński A.: „Anus mundi". 1965, 150—152.

26. Kępiński A.: Koszmar. (Nightmare. — Schreckbild). 1966, 54—58.

27. Kępiński A.: Niektóre zagadnienia psychosocjologiczne masowych zbrodni hitlerowskich II wojny światowej. (Some psychosociologic problems of Nazi mass crimes during the II World War. — Einige psychosoziologische Probleme der Nazi-Massenverbrechen im II. Weltkrieg). 1962, 81—83.

28. Kępiński A.: Oświęcimskie refleksje psychiatry. (Reflections of a psychiatrist about Auschwitz. — Auschwitzer Reflexionen eines Psychiaters). 1964, 7—9.

29. Kępiński A.: Refleksje oświęcimskie: psychopatologia władzy. (Auschwitz reflections: psychopathology of power. — Auschwitzer reflexionen: die Psychopathologie der Macht). 1967, 52—60.

30. Kępiński A.: Refleksje oświęcimskie: rampa; psychopatologia decyzji. (Auschwitz reflections: the "ramp"; the psychopathology of decision. — Auschwitzer Reflexionen: die Rampe; Psychopathologie der Entscheidung). 1958, 25—36.

31. Kępiński A., Masłowski J.: Motyw „Dulce et decorum..." (The "Dulce et decorum..." theme. — Das „Dulce et decorum" Thema). 1972, 71—76.

32. Kępiński A., Orwid M.: Z psychopatologii „nadludzi". Uwagi na marginesie autobiografii Rudolfa *Hössa*. (The psychopathology of "supermen". Remarks on the autobiography of Rudolf *Höss*. — Zur Psychopathologie der „Übermenschen". Bemerkungen am Rande der Autobiographie von Rudolf *Höss*). 1962, 83—89.

33. Kiełkowski R.: Sprawy zdrowotne i wyżywienia w hitlerowskiej polityce wschodniej. (Health and nutrition in the Nazi eastern policy. — Gesundheits- und Ernährungsprobleme in der Nazi-Ostpolitik). 1976, 149—170.

34. Kłodziński S.: „Konferencja krynicka" lekarzy hitlerowskich w październiku 1941 r. (The "Krynica Conference" of Nazi physicians in October 1941. — Die „Krynica Konferenz" der Nazi-Ärzte im Oktober 1941). 1963, 115—123.

35. Kłodziński S.: Niektóre zagadnienia deontologii lekarskiej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. (Some problems of medical deontology in Nazi concentration camps. — Einige Probleme der ärztlichen Deontologie in Konzentrationslagern). 1963, 101—103.

36. Kłodziński S.: Proces lekarza *SS*, Horsta *Fischera*. (The trial of the *SS* physician, Horst *Fischer*. — Der Prozess des SS-Arztes Horst *Fischer*). 1968, 102—106.

37. Kłodziński S.: Próby biologicznego wyniszczenia narodu polskiego pod pozorem „walki z gruźlicą" w okresie okupacji hitlerowskiej 1939—1945 r. (Trials of biologic extermination of the Polish nation under the pretense of „battle against tuberculosis" during the period of Nazi occupation, 1939—1945. — Proben der biologischen Vernichtung des polnischen Volkes unter dem Vorwand des „Kampfes gegen die Tuberkulose" während der Nazi-Okkupationszeit 1939—1945). 1962, 70—77.

38. Kłodziński S.: Sytuacja sanitarna okupowanej Warszawy w sprawozdaniu Wilhelma *Hagena*. (The sanitary situation in Warsaw as reported by Wilhelm *Hagen*. — Die sanitäre Situation in Warschau in dem Berichte vom Wilhelm *Hagen*). 1975, 137—142.

39. Kłodziński S.: Uwagi o sytuacji zdrowotnej robotników przymusowych w Niemczech hitlerowskich. (Remarks on the health-situation of the compulsory workers in Nazi-Germany. — Bemerkungen zu der Gesundheitssituation der Zwangsarbeiter in Nazi-Deutschland). 1981, 62—72.

40. Kołakowski S., Zadęcki J., Zięba A.: Czy studenci medycyny interesują się okupacją. (Are medical students interested in the Occupation? — Interesieren sich Studienten der Medizin mit der Okkupation?). 1972, 77—79.

41. Kulisiewicz A.: Dalsze przyczynki do zagadnień muzyki i pieśni w zakresie samoobrony psychicznej więźniów w obozach hitlerowskich. (Further contribu-

tions to problems of music and song as a psychical self-defence in Nazi concentration camps. — Weitere Beiträge zu den Problemen der Musik und Lieder im Bereich der psychischen Selbstverteidigung der Häftlinge in Nazi Lagern). 1979, 38—50.

42. Kulisiewicz A.: Dalsze przyczynki do zagadnień psychopatologii muzyki i pieśni w obozach hitlerowskich. (Further contributions to problems of psychopathology of music and songs in Nazi camps. — Weitere Beiträge zu Problemen der Musik- und Lieder--Psychopathologie in Nazi-Lagern). 1975, 33—40.

43. Kulisiewicz A.: Muzyka i pieśń jako współczynnik samoobrony psychicznej więźniów w obozach hitlerowskich. (Music and songs as a factor of prisoners' psychical selfdefence in Nazi concentration camps. — Musik und Lieder als Faktoren psychischer Selbstverteidigung der Häftlinge in Nazi-Lagern). 1977, 66—77.

44. Kulisiewicz A.: Z zagadnień psychopatologii muzyki i pieśni w obozach hitlerowskich. (Psychopathology of music and songs in Nazi concentration camps. — Aus Problemen der Musik- und Lieder-Psychopathologie in KL). 1974, 39—45.

45. Leśniak R., Masłowski J.: Psychiatryczna problematyka obozów hitlerowskich w pracach Antoniego *Kępińskiego*. (Psychiatric problems of Nazi concentration camps in the works of Antoni *Kępiński*. — Psychiatrische Problematik der Nazi-Lager in den Arbeiten von Antoni *Kępiński*). 1974, 13—16.

46. Łyskanowski M.: Los psychicznie chorych pod panowaniem ideologii hitlerowskiej. (The fate of mental patients under the reign of Nazi ideology. — Das Los der psychisch Kranken während der Herrschaft der Nazi-Ideologie). 1967, 64—67.

47. Milčinski J.: Kryzys etyki lekarskiej. (The crisis of mental ethics. — Die Krisis der Ärzteethik). 1967, 30—37.

48. Moska D.: Hitlerowska polityka biologicznego wyniszczenia ludności polskiej na Górnym Śląsku. (The Nazi policy of biological extermination of the Polish population in Upper Silesia. — Die Nazi-Politik biologischer Ausrottung der polnischen Bevölkerung in Oberschlesien). 1973, 41—52.

49. Olbrycht J. S.: Sprawy zdrowotne w tak zwanym Generalnym Gubernatorstwie. Orzeczenie wygłoszone w dniu 20 VI 1948 r. przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie w sprawie przeciwko dr. Józefowi *Bühlerowi*, byłemu szefowi w tzw. rządzie GG. (Health matters in the so-called Generalgouvernement. Expert opinion read on June, 20, 1948, before the Supreme National Court in Cracow in the case against Dr. Joseph *Bühler*, former chief in the so-called GG administration. — Gesundheitsangelegenheiten im sog. Generalgouvernement. Gutachten vorgetragen am 20. VI. 1948 vor dem Obersten Nationalen Gerichtshof in Kraków in der Strafsache gegen Dr. Josef *Bühler*, den ehemaligen Chef der sog. GG-Regierung). 1963, 103—115.

50. Olbrycht J. S.: Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Orzeczenie wygłoszone na rozprawie sądowej przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w dniu 10 grudnia 1947. (Health matters in the Auschwitz concentration camp. Expert opinion read before the Supreme National Court on Dec., 10, 1947. — Gesundheitliche Probleme im KL Auschwitz. Gutachten vorgetragen während der Gerichtsverhandlung von dem Obersten National Gerichtshof am 10. XII. 1947). 1962, 37—49.

51. Regent-Lechowicz M.: Wychowanie w pokoju — podstawowym prawem dziecka. (Education in peace — the basis child's law. — Erziehung im Frieden — das Grundrecht der Kindes). 1980, 129—130.

52. Rusinek K.: Przedmowa. (Preface. — Vorwort). 1970, 3—5.

53. Ryn Z.: Czy Oświęcim jest nadal rzeczywistością? Refleksje psychiatryczne. (Is Auschwitz still a reality? Psychiatric reflections. — Ist Auschwitz weiterhin Wirklichkeit? — Psychiatrische Reflexionen). 1972, 206—210.

54. Saller K.: Mord na tle rasowym i urojenie bóhaterstwa w narodowym socjalizmie. (Murder on racial grounds and illusions of heroism in national sozialism. — Der Rassenmord und Heldenwahn des Nationalsozialismus). 1967, 13—30.

55. Schweitzer A.: Zagadnienie etyki w rozwoju myśli ludzkiej. (Problems of ethic in the evolution of human thought. — Problem der Ethik in der Entwicklung des menschlichen Denkens). 1966, 58—64.

56. Sehn J.: Sprawa oświęcimskiego lekarza *SS*, J. P. Kremera. (The Auschwitz trial of the *SS* physician J. P. *Kremer*. — Die Strafsache des SS-Arztes in Auschwitz, J. P. *Kremer*). 1962, 49—61.

57. Seweryn T.: Do psychologii „übermenschów". Kartki z pamiętnika. (Psychology of the *Übermenschen*. Pages from a diary. — Zur Psychologie der „Übermenschen". Seiten aus einem Tagebuch). 1968, 243—252.

58. Seweryn T.: Polskie sądownictwo podziemne. (Polish underground courtes. — Das polnische Untergrund-Gerichtswesen). 1968, 212—217.

59. Skowron S.: Z pobytu w obozach koncentracyjnych. Refleksje biologa. (Reminiscences from the concentration camps. Afterthoughts of a biologist. — Aus dem Aufenthalt im KL. Reflexionen eines Biologen). 1963, 84—88.

60. Sterkowicz S.: Obozowe sprawy życia i śmierci w retrospekcji lekarza. (KL-Problems of life and death in the retrospections of the physician-former prisoners. — Lagerprobleme des Lebens und Todes in der Retrospection eines Arztes). 1963, 97—101.

61. Sterkowicz S.: Przyczynek do zagadnienia moralności więźniów obozów hitlerowskich. (Problems of morality among the prisoners of Nazi concentration camp. — Ein Beitrag zum Problem der Häftlingsmoral in Nazi-KL). 1969, 47—52.

62. Susułowska M.: Próba interpretacji treści snów byłych więźniów obozów koncentracyjnych. (A trial of interpretation of dreams of former concentration camp prisoners. — Interpretationsprobe des Inhaltes von Träumen ehemaliger Häftlinge). 1976, 13—17.

63. Wesełucha P.: Obłęd czy metoda. Refleksje poobozowe. (Madness or method. Reflections after camp. — Irrsinn oder Methode. Reflexionen ehemaliger Häftlinge). 1969, 181—183.

64. Wesełucha P.: Obóz jako eksperyment psychiatryczny. (The concentration camp as a psychiatric experiment. — Das Konzentrationslager als psychiatrisches Experiment). 1970, 242—246.

65. Wieczorek J.: Obowiązek narodowej pamięci. (National memory's obligation. — Pflicht des nationalen Gedenkens). 1980, 21—24.

66. Wyrok frankfurcki. (The Frankfurt verdict. — Das Frankfurter Urteil). 1966, 150—155.

Zob. też poz. 216, 255, 296, 353—376, 424, 476, 482—484, 495, 516, 568, 701, 702, 705—725, 728—730, 732, 734, 737—751, 754.

II. Wyniki badań byłych więźniów (Results of medical examination of ex-prisoners. Ärztliche Untersuchungsergebnisse der ehemaliger Häftlinge)

a) Badania ogólnolekarskie (General examinations. Allgemeinärztliche Untersuchungen)

67. Dębicka-Małkowska D., Foersterling E., Kinal K., Lewandowska M., Więcko W., Zakrzewska W.: Wyniki bydgoskich badań byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. (Results of studies on former prisoners of Nazi concentration camps, in Bydgoszcz. — Die Ergebnisse der Untersuchungen ehemaliger Konzentrationslager-Häftlinge in Bydgoszcz). 1972, 23—34.

68. Dominik M.: Sytuacja zdrowotna i bytowa byłych więźniów oświęcimskich w świetle ankiety. (The health and living conditions of former Auschwitz prisoners in the light of a questionnaire. — Die Gesundheits- und Existenzsituation ehemaliger Auschwitzer Häftlinge im Lichte einer Umfrage). 1967, 102—104.

69. Kempisty C.: Stan zdrowia byłych więźniów ze środowiska wrocławskiego. (State of health of former prisoners in Wrocław. — Der Gesundheitszustand ehemaliger Häftlinge aus der Umgebung von Wrocław). 1967, 96—98.

70. Kempisty C.: Wyniki badań lekarskich byłych więźniów obozu dla dzieci w Łodzi. (Results of medical examination of former prisoners of the camp of children in Łódź. — Ärztliche Untersuchungsergebnisse ehemaliger Häftlinge des Kinderlagers in Łódź). 1970, 24—27.

71. Kempisty C.: Wyniki drugiego etapu socjo-medycznych badań potomstwa byłych więźniów obozów hitlerowskich. (The findings of the second examinations of the offsprings of the ex-prisoners of Nazi concentra-

tion camps. — Ergebnisse der zweiten Etappe der sozio-medizinischer Untersuchungen der Nachkommenschaft ehemaliger KL-Häftlinge). 1979, 18—25.

72. Kempisty C.: Wyniki socjo-medycznych badań potomstwa byłych więźniów obozów hitlerowskich. (Results of socio-medical studies on the progeny of former prisoners of Nazi concentration camps. — Die sozio-medizinischen Untersuchungsergebnisse der Nachkommen ehemaliger Konzentrationslager-Häftlinge). 1973, 13—20.

73. Kempisty C., Leszczyńska S.: Wyniki socjo-medycznych badań byłych deportowanych do pracy przymusowej w Trzeciej Rzeszy. (Results of socio-medical investigations of person deported as slave laborers in the Third Reich. — Die sozio-medizinischen Untersuchungsergebnisse von ehemaligen Zwangsarbeitern, die in das III. Reich deportiert wurden). 1975, 70—78.

74. Kłodziński S.: Cel i metodyka badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. (The aims and methods of medical examinations of former prisoners of Nazi concentration camps. — Ziel und Methodik der ärztlichen Untersuchungen ehemaliger Konzentrationslager-Häftlinge). 1965, 34—36.

75. Kłodziński S.: Konieczność kontynuowania badań naukowych nad zagadnieniem „Oświęcimia". (The necessity of continuing scientific studies on the problem of "Auschwitz". — Die Notwendigkeit der Fortsetzung wissenschaftlicher Untersuchungen des Problems „Auschwitz"). 1966, 52—54.

76. Kłodziński S., Kutyba J.: Wstępne wyniki badań stanu zdrowia 100 byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (z dzielnicy Stare Miasto w Krakowie). (Preliminary results of examinations of the state of health of 100 former prisoners of Nazi concentration camps, in the Old Town quarter of Cracow. — Einleitende Untersuchungsergebnisse des Gesundheitszustandes von 100 ehemaliger KL-Häftlingen, aus der „Altstadt" Kraków). 1966, 47—48.

77. Kowalski S.: Wstępne wyniki badań byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska warszawskiego). (Preliminary results of medical investigation of former prisoners of Nazi concentration camps, in Warsaw. — Einleitende Untersuchungsergebnisse ehemaliger KZ-Häftlinge, aus dem Gebiet von Warszawa). 1968, 54—55.

78. Krętowski J., Killar M., Znosko K., Karbowski J., Kościk-Grenda M.: Pomoc społeczna i lekarska kombatantom w Białymstoku. (Sozial and medical aid to the combatants in Białystok. — Soziale und ärztliche Hilfe für die Kombattanten in Białystok). 1981, 30—33.

79. Łobzowski W.: Wstępne wyniki badania lekarskiego byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (z województwa katowickiego). (Preliminary results of medical examination of former prisoners of Nazi concentration camps, in Katowice province. — Die ersten ärztlichen Untersuchungsergebnisse ehemaliger KL-Häftlinge, aus der Woiwodschaft Katowice). 1970, 28—29.

80. Panasewicz J.: Niektóre aktualne zagadnienia patologii wojennej. (Some timely pathologic problems of wartime. — Einige aktuelle Probleme der Kriegs--Pathologie). 1969, 13—18.

81. Schwann-Pawłowska J.: Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego). (Preliminary results of medical examinations of former prisoners of Nazi concentration camps, in Szczecin. — Die ersten ärztlichen Untersuchungsergebnisse ehemaliger KL-Häftlinge, aus dem Gebiet von Szczecin). 1967, 98—101.

82. Szemraj-Lochyńska A., Kempisty C.: Stan adaptacji do życia na emeryturze nauczycieli akademickich represjonowanych przez hitleryzm. (Life-adaptation of the retired academic teachers former persecuted by the Nazis. — Der Lebensadaptationzustand der durch den Hitlerismus verfolgten repressionierten akademischen Lehrer). 1981, 33—36.

83. Szwarc H.: Chorobowość byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych. (Pathologic conditions of former prisoners of Nazi prisons and concentration camps. — Morbidität ehemaliger Häftlinge der Nazi-Gefängnisse und Konzentrationslager). 1965, 38—40.

84. Waitz R.: Zmiany chorobowe u byłych więźniarek obozów koncentracyjnych. (Pathologic conditions in former women prisoners of concentration camps. — Krankheitsveränderungen bei ehemaligen Frauenhäftlingen aus den Konzentrationslagern). 1963, 41—50.

85. Waluk B.: Ocena stanu zdrowia osadników wojskowych powiatu szczecińskiego. (The state of health of military settlers in the Szczecin county. — Begutachtung des Gesundheitszustandes der militärischen Ansiedler im Kreis Szczecin). 1969, 35—36.

86. Wieliczański H.: Spostrzeżenia nad obecnym stanem zdrowia byłych więźniów hitlerowskich. (Observations on the present state of health of former prisoners of the Nazis. — Beobachtungen des jetzigen Gesundheitszustandes ehemaliger Nazi-Häftlinge). 1964, 43—45.

87. Witusik W., Witusik R.: Ślady następstw chorobowych związanych z pobytem w więzieniach i obozach koncentracyjnych (u byłych więźniów ze środowiska oświęcimskiego). (Pathologic traces of imprisonment in concentration camp, in Auschwitz county. — Krankheitsfolgen verbunden mit dem Aufenthalt in Gefängnissen u. Konzentrationslagern ehemaliger Häftlinge aus dem Gebiet von Auschwitz). 1968, 56—64.

88. Wojtasik W.: Zmiany chorobowe u byłych więźniów obozów koncentracyjnych ze środowiska kieleckiego. (Pathologic changes in former prisoners of concentration camps resident in Kielce. — Krankheitsveränderungen bei ehemaligen KL-Häftlingen aus dem Gebiet von Kielce). 1969, 18—24.

89. Wojtasik W.: Zmiany chorobowe u byłych więźniów obozów koncentracyjnych (z powiatów włoszczowskiego i staszowskiego w Kieleckiem). (Morbid changes in former prisoners of concentration camps, from the Włoszczowa and Staszów counties, Kielce province. — Krankheitsveränderungen bei ehemaligen KL-Häftlingen, aus den Kreisen Włoszczowa und Staszów im Kielce Gebiet). 1973, 21—29.

90. Zarządzenie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej w sprawie badań lekarskich stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, członków ZBoWiD. (Instruction of the Minister of Health and Social Welfare concerning medical examinations of former prisoners of Nazi concentrations camps, members of the Association of Fighters for Liberty and Democracy. — Verordnung des Ministers für Gesundheit und soziale Fürsorge betreffend die ärztlichen Untersuchungen des Gesundheitszustandes ehemaliger Häftlinge der Nazi-Konzentrationslager, Mitglieder des Verbandes der Kämpfer für Freiheit und Demokratie). 1965, 165.

91. Zielina J.: Wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych. (Results of medical examination of former prisoners of Nazi concentration camps. — Die ärztliche Untersuchungsergebnisse ehemaliger Häftlinge der Nazi--Gefängnisse und Konzentrationslager). 1966, 49—52.

Zob. też poz. 207, 208, 259, 392, 393, 547, 552—557, 566, 732, 733, 752, 753.

b) Badania specjalistyczne
(Special studies.
Spezialistische Untersuchungen)

92. Blahá F.: W sprawie patogenezy miażdżycy tętnic (na podstawie własnych obserwacji w obozie koncentracyjnym Dachau). (On the pathogenesis of arteriosclerosis, on the basis of personal observations at the Dachau concentration camp. — Die Pathogenese der Arteriosclerose, auf Grund eigener Beobachtungen im Konzentrationslager Dachau). 1964, 45—50.

93. Budny J.: Wpływ przebywania w obozie koncentracyjnym na uzębienie byłych więźniów. (The influence of imprisonment in concentration camps on the dentition of former prisoners. — Einfluss des Aufenthaltes in den Konzentrationslagern auf das Gebiss ehemaliger Häftlinge). 1968, 65—70.

94. Capińska K.: Choroby skóry i weneryczne w Krakowie w czasie drugiej wojny światowej. (Skin and venereal diseases in Cracow during the II. World War. — Haut- und Geschlechtskrankheiten in Kraków während des zweiten Weltkrieges). 1970, 34—39.

95. Capińska K. Capiński T. Z.: Wyniki ambulatoryjnego badania dermatologicznego 150 byłych więźniów Oświęcimia. (Results of out-patient dermatologic treatment of 150 former Auschwitz prisoners. — Die Ergebnisse der ambulatorischen dermathologischen Untersuchungen von 150 ehemaligen Häftlingen des KL Auschwitz). 1969, 31—35.

96. Capińska K., Capiński T. Z., Piechocki M.: Dalsze wyniki ogólnopolskich dermatologicznych badań byłych więźniów. (Further results of dermatological examinations of ex-prisoners in Poland. — Weitere Ergebnisse der polnischen dermathologischen Untersuchungen ehemaliger Häftlinge). 1978, 27—29.

97. Cohen E. A.: Reakcja początkowa na osadzenie w obozie koncentracyjnym. (The initial reaction to imprisonment in the concentration camp. — Anfangsreaktion auf Einschliessung im Konzentrationslager). 1965, 28—31.

98. Cohen E. A.: Uwagi o tzw. „KZ-syndromie". (Remarks on the "KZ-syndrome". — Bemerkungen zum sogenannten „KZ-Syndrom"). 1972, 21—23.

99. Dąbrowski S., Schrammowa H., Żakowska-Dąbrowska T.: Trwałe zmiany psychiczne powstałe w wyniku pobytu w obozach koncentracyjnych i eksperymentów pseudolekarskich. (Permanent mental disorders after imprisonment in concentration camps and pseudomedical experiments. — Dauerhafte psychische Veränderungen als Ergebnis des Aufenthaltes in den Konzentrationslagern und der Durchführung pseudomedizinischer Experimente). 1965, 31—34.

100. Dominik M.: Potomstwo w niektórych rodzinach byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. (Offsprings in some families of former prisoners of Nazi concentration camps. — Die Nachkommenschaftmacher Familien ehemaliger Häftlinge der Nazi Konzentrationslager). 1979, 25—38.

101. Dominik M., Teutsch A.: Nerwice u potomstwa byłych więźniów obozów hitlerowskich. (Neurosis among the ex-prisoners progeniture. — Neurosen bei Kindern ehemaliger KL-Häftlinge). 1978, 16—20.

102. Franaszek E., Chlebowska M., Hoehne T.: Stan jamy ustnej więźniów w obozach koncentracyjnych (w świetle badań ankietowych). The dentition of former prisoners of Nazi concentration camps, according to the questionnaire. — Zustand der Mundhöle bei Häftlingen in Konzentrationslagern, im Lichte von Umfrage-Untersuchungen). 1977, 25—28.

103. Frankl V. E.: Higiena psychiczna w sytuacji przymusowej. Doświadczenia z zakresu psychoterapii w obozie koncentracyjnym. (Mental hygiene in compulsory situations. Psychotherapeutic experiments in the concentration camp. — Psychische Hygiene in Zwangslager Erfahrungen aus dem Bereich der Psychotherapie in Konzentrationslagern). 1965, 24—28.

104. Gątarski J.: Badania elektroencefalograficzne u osób urodzonych lub przebywających w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. (Electroencephalographic studies in persons born or imprisoned in childhood in Nazi concentration camps. — Elektroencephalographische Untersuchungen bei Personen im KL geboren oder welche in der Kindheit in KL verweilten). 1966, 37—38.

105. Gątarski J., Orwid M., Dominik M.: Wyniki badania psychiatrycznego i elektroencefalograficznego 130 byłych więźniów Oświęcimia—Brzezinki. (Results of psychiatric and electroencephalographic examination of 130 former prisoners of Auschwitz—Birkenau. — Psychiatrische und elektroencephalographische Untersuchungsergebnisse 130 ehemaliger Häftlinge des KL Auschwitz—Birkenau). 1969, 25—28.

106. Giza J. St., Morasiewicz W.: Poobozowe zaburzenia seksualne u kobiet jako element tzw. KZ-syndromu. (Post-camp sexual disorders in women as an element of the so-called KZ-syndrom. — Sexuelle Störungen bei Frauen nach der Lagerhaft als Element des sog. KZ-Syndrome). 1974, 65—75.

107. Giza J. St., Morasiewicz W.: Z zagadnień popędów w obozach koncentracyjnych. Przyczynek do analizy tzw. KZ-syndromu. (The problem of impulsiveness in the concentration camps. Contribution to analysis of the KZ-syndrom. — Aus Problemen der Triebe in Konzentrationslagern. Ein Beitrag zur Analyse des sog. KZ-Syndrome). 1973, 29—41.

108. Jakubik A.: Obraz własnej osoby a pobyt w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Problemy teoretyczno-metodologiczne. (Self-concept and the imprisonment in Nazi concentration camps. Theoretical and methodological problems. — Ich-Struktur und die Lagerhaft. Theoretische und methodologische Probleme). 1981, 15—26.

109. Kaczyński A.: Gościec u więźniów obozów koncentracyjnych w obrazie ówczesnym i aktualnym. (Chronic rheumatoid arthritis in prisoners of concentration camps and their present status. — Der Rheumatismus bei KL-Häftlingen im früheren und aktuellen Bild). 1969, 28—30.

110. Kempisty C., Leszczyńska Z.: Z badań nad płodnością byłych więźniarek obozów hitlerowskich. (Studies on fertility in former women prisoners in Nazi camps. — Untersuchungen über die Fruchtbarkeit ehemaliger Frauen-Häftlinge der Konzentrationslager). 1974, 58—65.

111. Kempisty C., Markowska M.: Efekty środowiskowej aktywizacji kombatantów — słuchaczy Studium Trzeciego Wieku. (The effect of environmental activation of combatants — listeners of the Third Age School. — Die Erfolge der Aktivisierung der Kombattanten — Hörer des Studiums des Dritten Alters). 1980, 25—33.

112. Kempisty C., Piotrowska E.: Problemy gerontologii społecznej w procesie zmian aktywności byłych więźniów przechodzących na emeryturę. (The problems of social gerontology during activity changes in retired prisoners case. — Soziale Gerontologieprobleme im Prozess der Aktivitätsänderungen ehemaliger Häftlinge, die in den Ruhestand treten). 1977, 17—25.

113. Kępiński A.: Tzw. „KZ-syndrom". Próba syntezy. (The so-called KZ-syndrom. A trial of synthesis. — Das sogenannte KZ-Syndrome. Probe einer Synthese). 1970, 18—23.

114. Kłodziński S.: Swoisty stan chorobowy po przebyciu obozów hitlerowskich. (A specific disease after stay in Nazi concentration camps, so-called "KZ-syndrom". — Spezifischer Krankheitzustand nach der Nazi-Lagerhaft, das sogenannte „KZ-Syndrome"). 1972, 15—21.

115. Kłodziński S.: Wyniki badań byłych więźniów Oświęcimia w kierunku gruźlicy płuc, przeprowadzonych w 15 lat po wyzwoleniu. Doniesienie wstępne. (Results of medical examination of former prisoners of the Auschwitz concentration camp for pulmonary tuberculosis fifteen years after liberation. Preliminary report. — Untersuchungsergebnisse ehemaliger Auschwitz-Häftlinge betreffend Lungentuberculose 15 Jahre nach der Befreiung. Einleitender Bericht). 1961, 74—75.

116. Krzywicki J.: Obrażenia szczękowe w obozie oświęcimskim. (Jaw trauma in the Auschwitz camp. — Kieferverletzungen im Lager Auschwitz). 1967, 94—96.

117. Krzywicki J.: Stan uzębienia u byłych więźniów obozów hitlerowskich. (The state of teeth of former prisoners of Nazi camps. — Der Gebisszustand bei ehemaligen Konzentrationslagerhäftlingen). 1965, 36—37.

118. Leśniak R.: Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim—Brzezinka. (Changes of personality in former prisoners of the Auschwitz—Birkenau concentration camp. — Veränderungen der Persönlichkeit ehemaliger Häftlinge des KL Auschwitz-Birkenau). 1965, 13—20.

119. Leśniak R.: Zmiany osobowości u byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Doniesienie wstępne. (Personality changes in former prisoners of the Auschwitz—Birkenau concentration camp. Preliminary report. — Veränderungen der Persönlichkeit ehemaliger Häftlinge des KL Auschwitz-Birkenau. Einleitender Bericht). 1964, 29—30.

120. Leśniak R., Leśniak E.: Ucieczki z obozów koncentracyjnych. Analiza psychiatryczno-psychologiczna. (Escapes from concentration camps. A psychiatric and psychological analysis. — Die Flucht von den Konzentrationslagern. Psychiatrisch-psychologische Analyse). 1976, 17—24.

121. Leśniak R., Mitarski J., Orwid M., Szymusik A., Teutsch A.: Niektóre zagadnienia psychiatryczne obozu w Oświęcimiu w świetle własnych badań. II doniesienie wstępne. (Some psychiatric problems of Auschwitz concentration camp in the light of personal investigations. Second interim report. — Einige psychiatrische Probleme des Lagers Auschwitz im Lichte eigener Untersuchungen. II. einleitender Bericht). 1961, 64—73.

122. Maciejewski Z. M.: Wyniki badań ginekologicznych byłych więźniarek mieszkających w Koszalinie. (Results of gynecologic examinations of former women prisoners living in Koszalin. — Die Resultate gynäkologischer Untersuchungen ehemaliger Frauenhäftlinge wohnhaft in Koszalin). 1975, 67—70.

123. Orwid M.: Socjo-psychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. (Socio-psychiatric sequels of imprisonment in the Auschwitz-Birkenau concentration camp. — Die sozio-psychiatrischen Folgen der Haft im KL Auschwitz-Birkenau). 1964, 17—23.

124. Orwid M.: Uwagi o przystosowaniu do życia poobozowego u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Doniesienie wstępne. (Remarks on adaptation to post-camp life in former prisoners of the Auschwitz concentration camp. Preliminary report. — Bemerkungen über die Anpassung zum Leben bei ehemaligen Häftlingen des KL Auschwitz-Birkenau. Einleitender Bericht). 1962, 94—97.

125. Orwid M., Szymusik A., Teutsch A.: Cel i metoda badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. (The purpose and methods of psychiatric examination of former prisoners of Auschwitz concentration camp. — Ziel und Methode psychiatrischer Untersuchungen ehemaliger Häftlinge des KZ Auschwitz). 1964, 9—11.

126. Półtawska W.: Stany hipermnezji napadowej u byłych więźniów obserwowane po 30 latach. (Paroxysmal hypermnesia states among ex-prisoners observed after 30 years. — Anfälle von Hypermnesiezustände bei ehemaliger Häftlingen nach 30 Jahren). 1978, 20—24.

127. Półtawska W., Jakubik A., Sarnecki J., Gątarski J.: Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. (Results of psychiatric examination of persons born or imprisoned in childhood in Nazi concentration camps. — Psychiatrische Untersuchungsergebnisse bei Personen in Nazi Konzentrationslagern geborenen oder in der Kindheit gefangen gehaltenen). 1966, 21—36.

128. Ryn Z.: Uwagi psychiatryczne o tzw. KZ-syndromie. (Psychiatric remarks on the "KZ-syndrom". — Psychiatrische Bemerkungen zum sogen. KZ-Syndrom). 1981, 26—29.

129. Sarnecki J.: Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. (Emotional conflicts of persons born or imprisoned in childhood in Nazi concentration camps. — Emotionale Konflikte bei Personen, die im Lager geboren oder in der Kindheit im KL inhaftiert werden). 1966, 39—46.

130. Sobczyk P., Cielecki A., Zembrzycka-Cielecka M., Krupka-Matuszczyk I., Kaźmierczak B., Łukoszek D.: Analiza psychopatologiczna wstępnego materiału orzeczniczego byłych więźniów obozów koncentracyjnych. (The psychopathologic analysis of opening judicature material of former prisoners of concentration camps. — Psychopathologische Analyse des vorläufigen Begutachtungsmaterials ehemaliger KL-Häftlinge). 1980, 89—91.

131. Sternalski M.: Przyczynek do psychiatrycznych aspektów tzw. KZ-syndromu. (Some psychiatric aspects of so-called KZ-syndrom. — Beitrag zu psychiatrischen Aspekten des sog. KZ-Syndrome). 1978, 25—27.

132. Szymusik A.: Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. (Progressive asthenia in former prisoners of the Auschwitz concentration camp. — Asthenie bei ehemaligen Häftlingen des KL Auschwitz). 1964, 23—29.

133. Szymusik A.: Poobozowe zaburzenia psychiczne u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Doniesienie wstępne. (Mental disorders after liberation in former prisoners of the Auschwitz concentration camp. Preliminary report. — Psychische Störungen bei ehemaligen Häftlingen des KL Auschwitz. Einleitende Mitteilung). 1962, 98—102.

134. Teutsch A.: Próba analizy procesu przystosowania do warunków obozowych osób osadzonych w czasie II wojny światowej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Doniesienie wstępne. (An analysis of the process of adaptation to camp conditions in persons imprisoned during II. World War in Nazi concentration camps. Preliminary report. — Analyseversuch des Anpassungsprozesses an die Lagerverhältnisse von Personen, welche während des II. Weltkrieges in Nazi KL gefangen gehalten wurden. Vorläufige Mittelung). 1962, 90—94.

135. Teutsch A.: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stresu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. (Mental reactions to psychophysical stress in 100 former prisoners of the Auschwitz-Birkenau concentration camp. — Psychische Reaktionen während der psychophysischen Stresswirkung bei 100 ehemaligen Häftlingen des KL Auschwitz-Birkenau). 1964, 12—17.

136. Wojtasik W.: Nadciśnienie tętnicze a miażdżyca. Uwagi na podstawie badań byłych więźniów obozów hitlerowskich. (Arterial hypertension and arteriosclerosis. Remarks based on examinations of former prisoners of Nazi concentration camps. — Hypertonie und Sklerose. Bemerkungen auf Grund von Untersuchungen ehemaliger Nazi-Lagerhäftlinge). 1976, 80—84.

137. Wojtasik W.: Najczęstsze zmiany chorobowe w układzie krążenia u mieszkających na Kielecczyźnie byłych więźniów obozów hitlerowskich. (The most frequent diseases of the circulatory system in former Nazi concentration camp prisoners resident in the Kielce region. — Die häufigsten Krankheitsveränderungen im Blutkreislauf bei im Gebiet von Kielce wohnenden ehemaligen KL-Häftlingen). 1974, 75—82.

138. Wojtasik W.: Zmiany elektrokardiograficzne u 105 byłych więźniów obozów koncentracyjnych (ze środowiska kieleckiego). (Electrocardiographic changes in 105 former concentration camp prisoners from the Kielce region. — Elektrokardiographische Veränderungen bei 105 ehemaligen KL-Häftlingen, aus dem Gebiet von Kielce). 1971, 10—12.

139. Zdawski T.: Wstępne wyniki badań ftyzjatrycznych byłych więźniów hilterowskich (ze środowiska szczecińskiego). (Preliminary results of phtisiatric examination of former prisoners of Nazi concentration camps in Szczecin. — Vorläufige Ergebnisse der phtysiatrischen Untersuchungen ehemaliger KZ-Häftlinge, in dem Gebiet von Szczecin). 1968, 64—65.

Zob. też poz. 20, 45, 62, 202—212, 215, 259, 392—393, 404, 405, 550—552, 727, 733, 752, 753, 755.

III. Głód
(Hunger)

140. Kowalczykowa J.: Choroba głodowa w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. (Hunger disease in the Auschwitz concentration camp. — Die Hungerkrankheit im KL Auschwitz). 1961, 28—31.

141. Makowski A.: Niedożywienie więźniów politycznych (według pracy Howarda H. *Inglinga*). (The starvation of political prisoners, according to Howard H. *Ingling*. — Die Unterernährung politischer Häftlinge, nach der Arbeit von Howard H. *Ingling*). 1968, 47—53.

142. Münch H.: Głód i czas przeżycia w obozie oświęcimskim. (Starvation and survival time in the Auschwitz camp. — Der Hunger und Lebenserwartung im KL Auschwitz). 1967, 79—88.

143. Sterkowicz S.: Uwagi o obozowym wyniszczeniu głodowym. (Remarks on hunger emaciation in the concentration camp. — Bemerkungen über Vernichtung durch Hunger in den Lagern). 1971, 17—22.

Zob. też. poz. 32, 149, 336, 469.

IV. Relacje z obozów
(Reports from camps. Berichte aus den Lagern)

a) Gross-Rosen i podobozy
(Gross-Rosen and branches. Gross-Rosen und Nebenlager)

144. Dziaduś S.: „Hirschberg" i „Treskau", podobozy Gross-Rosen. Urywki wspomnień. („Hirschberg" and „Treskau", branches of the Gross-Rosen concentration camp. Fragments of reminiscences. — „Hirschberg" und „Treskau", die Nebenlager von Gross-Rosen. Erinnerungsfragmente). 1969, 138—145.

145. Dziaduś S.: Z kompanii karnej w Gross-Rosen. (The penal company in Gross-Rosen. — Aus der Strafkompanie in Gross-Rosen). 1970, 223—228.

146. Hałgas K.: Epidemia jaglicy w obozie Gross-Rosen w r. 1943. (Trachoma in the Gross-Rosen camp in 1943. — Trachomepidemie in Lager Gross-Rosen im 1943). 1975, 167—171.

147. Hałgas K.: Z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. Wspomnienia lekarza. (From the Gross-Rosen concentracion camp. Reminiscences of a physician. — Aus dem Konzentrationslager in Gross-Rosen, Erinnerungen eines Arztes). 1967, 197—203.

148. Hałgas K.: Z zagadnień sanitarnych komanda Dyhernfurth II. (The sanitary situation in the Dyhern-

furth II commando. — Aus sanitären Problemen des Kommandos Dyhernfurth II). 1977, 122—130.

149. Jagielski S.: Psychiczne „galwanizowanie muzułmana". (The psychical „galvanizing of Mussulman". — Psychische „Galvanisierung des Muselmannes"). 1968, 106—109.

150. Niewiarowicz R.: Medycyna *in articulo mortis* w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych. (Medicine *in articulo mortis* in Nazi prisons and concentration camps. — Die Medizin *in articulo mortis* in Nazi-Gefängnissen und Konzentrationslagern). 1973, 179—188.

151. Piórek J.: Kilka spostrzeżeń z pobytu w Gross-Rosen. (Some observations from Gross-Rosen. — Einige Beobachtungen aus dem Aufenthalt in Gross-Rosen). 1976, 184—188.

152. Popek W.: W rewirze obozu w Gross-Rosen. (In the sick-ward in Gross-Rosen camp. — Im Revier des Lagers Gross-Rosen). 1978, 171—172.

153. Sztaba R.: Ze wspomnień lekarza obozu w Gross-Rosen. (Reminiscences of a physician from the Gross-Rosen camp. — Aus den Erinnerungen eines Lagerarztes in Gross-Rosen). 1968, 153—157.

154. Witkowski J.: Małoletni więźniowie Gross-Rosen. (Juvenile prisoners in Gross-Rosen. — Jugendliche Häftlinge von Gross-Rosen). 1980, 118—128.

155. Żegleń J.: Z „rewiru" w Gross-Rosen. (From the „hospital" in Gross-Rosen. — Aus dem „Revier" in Gross-Rosen). 1969, 145—148.

Zob. też. poz. 198, 577, 608, 643, 648, 650, 656.

b) Majdanek

156. Pawłowska Z.: W rewirze na Majdanku. (In the sick-ward in Majdanek. — Revier in Majdanek). 1968, 181—182.

157. Perzanowska S.: Gdy wracam myślami do Majdanka. Wspomnienia lekarki. (When I think of Majdanek. Reminiscences of a physician. — Wenn ich in Gedanken nach Majdanek zurückkehre. Erinnerungen einer Ärztin). 1966, 202—209.

158. Perzanowska S.: O niektórych hitlerowskich lekarzach w Majdanku. (Some Nazi physicians in Majdanek. — Von manchen Nazi-Ärzten in Majdanek). 1966, 209—211.

159. Perzanowska S.: Pomoc lubelskich organizacji społecznych więźniom Majdanka. (Aid by Lublin social organizations for prisoners in Majdanek. — Die Hilfe der Lubliner sozialen Organisationen für Häftlinge im Lager Majdanek). 1965, 140—144.

160. Perzanowska S.: Szpital obozu kobiecego w Majdanku. (The hospital in the women's camp in Majdanek. — Das Spital des Frauenlagers in Majdanek). 1968, 169—180.

Zob. też. poz. 572, 595, 635, 664, 686, 691.

c) Mauthausen-Gusen i podobozy
Mauthausen-Gusen and branches.
Mauthausen-Gusen und Nebenlager

161. Dubiel A.: Ze wspomnień chorego więźnia Neu Sustrum i Gusen. (Reminiscences of a prisoner patient in Neu Sustrum and Gusen. — Erinnerungen eines kranken Häftlinge aus Neu Sustrum und Gusen). 1970, 216—219.

162. Dziaduś S.: Urywki wspomnień z Mauthausen. (Fragments of reminiscences from Mauthausen. — Aus den Erinnerungen aus Mauthausen). 1973, 168—173.

163. Jabłoński J.: Z Radogoszcza do Oświęcimia, Gross-Rosen i Mauthausen. Wspomnienia lekarza. (From Radogoszcz to Auschwitz, Gross-Rosen and Mauthausen. Reminiscences of a physician. — Von Radogoszcz nach Auschwitz, Gross-Rosen und Mauthausen. Erinnerungen eines Arztes). 1969, 161—165.

164. Karolini T.: Początki rewiru w Gusen. (Beginnings of the Revier in Gusen. — Die Anfänge des Reviers in Gusen). 1976, 179—183.

165. Kuffel E.: Ostatnie dni obozu w Ebensee. (The last days in the Ebensee camp. — Die letzten Tage im Lager Ebensee). 1970, 236—238.

166. Markiewicz J.: Wspomnienia lekarza z Mauthausen-Gusen. (Reminiscences of a physician from Mauthausen-Gusen). 1965, 144—148.

167. Osuchowski J.: Zagazowanie jeńców radzieckich w Gusen. (Gasing of Soviet prisoners in Gusen. — Vergasung sowjetischer Kriegsgefangener in Gusen). 1970, 219—220.

168. Osuchowski J.: Zagazowanie więźniów z bloku 24 w Gusen. (Gasing of prisoners from barrack No. 24 in Gusen. — Vergasung von Häftlingen des Blockes 24 in Gusen). 1969, 177—181.

169. Pawłowski B.: Przybycie do Mauthausen. (Arrival to Mauthausen. — Ankunft in Mauthausen). 1979, 156—159.

170. Rubin B.: Wspomnienia lekarza z Falkenbergu i Ebensee. (Reminiscences of a physician from Falkenberg and Ebensee. — Erinnerungen eines Arztes aus Falkenberg und Ebensee). 1968, 182—187.

171. Rusinek K.: Uroczystości w Mauthausen ku czci lekarzy. Dr Władysław *Czapliński*. (The ceremony in Mauthausen for paying reverence to physicians. Władysław *Czapliński*, M. D. — Festakt in Mauthausen zu Ehren der Ärzte. Dr. Władysław *Czapliński*). 1979, 124—131.

172. Wesełucha P.: Niemcy. Wspomnienia z Działdowa, Dachau i Mauthausen-Gusen. (The Germans. Reminiscences from Działdowo, Dachau and Mauthausen-Gusen. — Die Deutschen. Erinnerungen aus Działdowo, Dachau und Mauthausen-Gusen). 1967, 192—196.

173. Wlazłowski Z.: Gruźlica płuc i postępowanie z chorymi na gruźlicę w obozie koncentracyjnym Gusen. (Pulmonary tuberculosis and the treatment of tuberculosis patients at the Gusen concentration camp. — Lungentuberkulose und das Vorgehen mit Lungenkranken im Konzentrationslager Gusen). 1968, 98—101.

174. Wlazłowski Z.: Lekarze polscy w obozowym ruchu oporu w Gusen. (Polish physicians in the underground resistance movement in Gusen. — Polnische Ärzte in der Widerstandsbewegung im KL Gusen). 1969, 92—95.

175. Wlazłowski Z.: Szpital w obozie koncentracyjnym Gusen. (The hospital in the Gusen concentration camp. — Das Krankenhaus im Konzentrationslager Gusen). 1967, 112—121.

Zob. też poz. 275, 328, 670, 677.

d) Oświęcim-Brzezinka i podobozy
(Auschwitz-Birkenau and branches.
Auschwitz-Birkenau und Nebenlager)

176. Apostoł-Staniszewska J.: Wobec śmierci w Brzezince i w Ravensbrück. (In the presence of death in Birkenau and Ravensbrück. — Im Angesicht des Todes in Birkenau und Ravensbrück). 1981, 163—168.

177. Apostoł-Staniszewska J.: Wspomnienia z Brzezinki. Urywki. (Reminiscences from Birkenau. Fragments. — Erinnerungen aus Birkenau. Fragmente). 1969, 130—137.

178. Apostoł-Staniszewska J.: Refleksje z obozu kobiecego w Brzezince. (The reflections from femal camp Brzezinka. — Reflexionen aus dem Frauenlager in Birkenau). 1977, 200—207.

179. Bellert J.: Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w szpitalu obozowym PCK w Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu. (The work of Polish physicians and nurses in the Red Cross Camp Hospital after the liberation of the camp. — Die Arbeit polnischer Ärzte und Pflegerinnen im Lagerkrankenhaus des Polnischen Roten Kreuzes in Auschwitz nach der Befreiung des Lagers). 1963, 66—69.

180. Białówna I: Z historii rewiru w Brzezince. (From the history of women camp hospital in Birkenau. — Aus der Geschichte des Frauen-Revier in Birkenau). 1979, 164—175.

181. Ciesielski E.: Ucieczka z Oświęcimia. (Escape from Auschwitz. — Flucht aus dem Lager Auschwitz). 1968, 218—224.

182. Dangel J.: W „rewirach" obozów Oświęcim I i Dachau. (In the „reviers" of the Auschwitz and Dachau concentration camps. — In „Revieren" der Lager Auschwitz und Dachau). 1974, 209—213.

183. Danimann F.: W obozie oświęcimskim. (In the Auschwitz camp. — Im Lager Auschwitz). 1968, 187—191.

184. Drohocki Z.: Wstrząsy elektryczne w rewirze monowickim. (Electric shocks in the Monowice revier. — Elektroschocks im Revier in Monowice). 1975, 162—166. 166.

185. Dziaduś S.: Urywki wspomnień z Oświęcimia-Brzezinki. (Some reminiscences of Auschwitz-Birkenau. — Erinnerungsfragmente aus Auschwitz-Birkenau). 1968, 204—209.

186. Fejkiel W.: O służbie zdrowia w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu I (obóz główny). (The health service in the Auschwitz I concentration camp, main camp. — Der Gesundheitsdienst im KL Auschwitz I, Stammlager). 1961, 44—51.

187. Forbert A.: W Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu. (In Auschwitz camp after liberation. — In Auschwitz nach seiner Befreiung). 1980, 182—184.

188. Gawalewicz A.: Numer wraca do nazwiska. I. Finał „epopei" lagrowej. (The number regains its name. I. Finish of the camp „epic". — Die Nummer kehrt zum Namen zurück. I. Finale des „Lagerepos"). 1964, 30—43.

189. Gawalewicz A.: Numer wraca do nazwiska. II. Prolog ludzkiego życia. (The number regains its name. II. Prologue of a human life. — Die Nummer kehrt zum Namen zurück. II. Der Prolog des menschlichen Lebens). 1965, 123—124.

190. Gawalewicz A.: Poczekalnia do gazu. Fragmenty wspomnień muzułmana. (Waiting room to the gas chamber. Fragments of a reminiscences of a Mussulman. — Der Warterraum der Gaskammer. Erinnerungsfragmente eines Muselmannes). 1963, 54—62.

191. Gawalewicz A.: Reszta będzie milczeniem. (The rest is silence. — Der ist das Schweigen). 1966, 174—182.

192. Głogowski L.: Epizod z obozu oświęcimskiego. (Episode in the Auschwitz camp. — Eine Episode aus dem Lager Auschwitz). 1970, 202—203.

193. Głogowski L.: Kwarantanna obozu Oświęcim-Brzezinka. (Quarantine in the Auschwitz-Birkenau camp. — Quarantäne des Lagers Auschwitz-Birkenau). 1966, 190—194.

194. Głogowski L.: Moje pierwsze dni w obozie oświęcimskim. (My first days in the Auschwitz camp. — Meine ersten Tage im Lager Auschwitz). 1968, 191—194.

195. Głogowski L.: „Szpital" w Brzezince. (The „hospital" in Birkenau. — Das „Krankenhaus" in Birkenau). 1965, 109—114.

196. Grenda J.: Wspomnienia z pracy szpitala PCK w Oświęcimiu po wyzwoleniu obozu. (Reminiscences of Polish Red Cross hospital in Auschwitz after the camp's liberation. — Erinnerungen an die Arbeit im Polnischen Roten Kreuz-Krankenhaus in Auschwitz nach Befreiung des Lagers). 1967, 223.

197. Hałgas K.: Oddział chirurgiczny szpitala obozowego w Oświęcimiu w latach 1940—1941. (The surgical ward of the camp hospital in Auschwitz in the years 1940—1941. — Die chirurgische Abteilung des Lagerkrankenhauses in Auschwitz in den Jahren 1940—1941). 1971, 48—54.

198. Hałgas K.: Z pracy w tzw. rewirach dla jeńców radzieckich w Oświęcimiu i Gross-Rosen. (From the work in so-called districts for Soviet prisoners in Auschwitz and Gross-Rosen. — Die Krankenreviere für sowjetische Gefangene in Auschwitz und Gross-Rosen). 1980, 162—171.

199. Heller P.: Ewakuacja z oświęcimskiego podobozu w Jaworznie. (The evacuation from an Auschwitz branch camp Jaworzno. — Evakuation des Nebenlagers von Auschwitz in Jaworzno). 1980, 176—182.

200. Hüpsch A., Krzetuski A., Plaskura W.: Wpływ więźniów z „grupy mościckiej" na warunki bytowe i sanitarne w obozie oświęcimskim. (The influence of the „Mościce group" of prisoners on sanitary conditions in the Auschwitz camp. — Einfluss der Häftlinge aus der „Mościce-Gruppe" auf die sanitären Verhältnisse im Lager Auschwitz). 1973, 137—147.

201. Iwaszko T., Kłodziński S.: Bunt skazańców 28 X 1942 r. w oświęcimskim bloku nr 11. Kpt dr Henryk *Suchnicki*. (The rebellion of the prisoners condemned to death in Auschwitz in barrack No. 11 the 28th of Oct. 1942. Captain Henryk *Suchnicki*, M. D. — Aufstand der Verurteilten am 23 X 1942 im Auschwitzer Block 11. Kapitän Dr. Henryk *Suchnicki*). 1977, 119—122.

202. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Agresja i agresywność w obozie oświęcimskim. (Aggression and aggressivines in Auschwitz camp. — Aggression und Agressivität im Lager Auschwitz). 1980, 43—75.

203. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Osobliwości słownictwa w oświęcimskim szpitalu obozowym. (Specific vocabulary in the Auschwitz camp hospital. — Eigenart der Terminologie im Auschwitzer Häftlingskrankenbau). 1972, 34—45.

204. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Przetrwanie obozu w ocenie byłych więźniów Oświęcimia-Brzezinki. (Survive the Nazi camp in the opinion of Auschwitz-Birkenau prisoners. — Das Überleben des Lagers in der Beurteilung ehemaliger Häftlinge von Auschwitz-Birkenau). 1977, 77—108.

205. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Przyjaźnie oświęcimskie. (Friendship in Auschwitz. — Freundschaft in Auschwitz). 1978, 32—77.

206. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Słownik oświęcimski. A—B. Makieta. (Auschwitz vocabulary. A—B. Dummy. — Das Auschwitzer Wörterbuch. A—B. Makette). 1978, 78—94.

207. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Sny więźniów obozu oświęcimskiego. (The problems of sleep and dreaming of Auschwitz-Birkenau camp prisoners. — Träume der Häftlinge vom Lager Auschwitz). 1977, 28—66.

208. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Stereotypy zachowań u byłych więźniów obozu oświęcimskiego. (Behavioral stereotypes in former prisoners of Auschwitz. — Stereotypisches Verhalten bei ehemaligen Häftlingen von Auschwitz). 1976, 46—71.

209. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Stosunek ofiar Oświęcimia-Brzezinki do prześladowców. (Relation of the Auschwitz-Birkenau victims to the persecutions. — Das Verhältnis der Opfer von Auschwitz-Birkenau zu den Verfolgern). 1981, 37—62.

210. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Śmiech w obozie koncentracyjnym. (Laughter in the concentration camp. — Das Lachen im Konzentrationslager). 1973, 84—99.

211. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Używki w obozie oświęcimskim. (Drug addiction in the Auschwitz camp. — Genussmittel im Lager Auschwitz). 1975, 40—67.

212. Jagoda Z., Kłodziński S., Masłowski J.: Życie kulturalne w obozie oświęcimskim. (Cultural life in the Auschwitz concentration camp. — Das kulturelle Leben in Lager Auschwitz). 1974, 19—39.

213. Jezierska M. E.: Chorować nie wolno. Wspomnienie z Oświęcimia. (Sickness forbidden. Auschwitz reminiscences. — Kranksein ist verboten. Erinnerungen aus Auschwitz). 1966, 194—198.

214. Kączkowski Z.: Próba ucieczki z obozu oświęcimskiego. (An escape attempt from Auschwitz. — Fluchtvorsuch aus dem Lager Auschwitz). 1967, 208—211.

215. Kępiński A., Kłodziński S.: O dodatniej aktywności psychicznej więźniów. (Positive mental activity of prisoners. — Positive psychische Aktivität der Häftlinge). 1973, 81—84.

216. Kieta M.: Instytut Higieny *SS* i Policji w Oświęcimiu. (The *SS* and Police Institute of Hygiene in Auschwitz. — Higiene-Institut der SS und Polizei in Auschwitz). 1980, 172—176.

217. Kiwała J.: Kuchnia dietetyczna (*Dietküche*) w szpitalu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. (The dietetic kitchen of the hospital in the Auschwitz concentration camp. — Die Diätküche im Häftlingskrankenbau in Auschwitz). 1964, 80—82.

218. Kiwała J.: „Szpital" w obozie żeńskim w Brzezince na przełomie lat 1942—1943. (The „hospital" in the women's camp in Birkenau 1942—1943. — Das „Spital" im Frauenlager Birkenau um die Jahreswende 1942/43). 1965, 114—118.

219. Kłodziński S.: Apteka w obozie kobiecym w Brzezince. (The pharmacy in the women's concentration camp in Birkenau. — Die Apotheke im Frauenlager Birkenau), 1976, 90—95.

220. Kłodziński S.: Dur wysypkowy w obozie Oświęcim I. (Typhus fever at the Auschwitz I concentration camp. — Der Flecktyphus im Lager Auschwitz I). 1965, 46—67.

221. Kłodziński S.: Fenol w *KL Auschwitz-Birkenau*. (Phenol in *KL Auschwitz-Birkenau*. — Phenol im Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau). 1963, 62—65.

222. Kłodziński S.: Laboratorium Instytutu Higieny *SS* w Oświęcimiu. Bulion z mięsa ludzkiego. (The laboratory of the *SS* Institute of Hygiene in Auschwitz. Broth from human flesh. — Das Laboratorium des Higiene-Institutes der SS in Auschwitz. Fleischbrühe aus Menschenfleisch). 1969, 67—71.

223. Kłodziński S.: Pierwsza oświęcimska selekcja do gazu. Transport do „sanatorium Dresden". (The first selection for the gas chamber in Auschwitz. Transport to „Sanatorium Dresden". — Die erste Selektion zum Gas in Auschwitz. Transport ins „Sanatorium Dresden"). 1970, 39—50.

224. Kłodziński S.: Pierwsze zagazowanie więźniów i jeńców w obozie oświęcimskim. (The first gas execution of prisoners and prisoners of war in the Auschwitz camp. — Die erste Vergasung von Häftlingen und Kriegsgefangenen im Lager Auschwitz). 1972, 80—94.

225. Kłodziński S.: Rola kryminalistów niemieckich w początkach obozu oświęcimskiego. (The role of German criminals in the early period of the Auschwitz camp. — Die Rolle der deutschen Kriminalisten zu Beginn des Lagers Auschwitz). 1974, 113—126.

226. Kłodziński S.: Rola trucizn jako „ultimum refugium" w obozie w Oświęcimiu. Dr Jan Zygmunt *Robel*. (The role of poisons as „ultimum refugium" in the Auschwitz camp. Jan Zygmunt *Robel*, M. D. — Die Rolle des Giftes als „ultimum refugium" im KL Auschwitz. Dr. Jan Zygmunt *Robel*). 1964, 122—124.

227. Kłodziński S.: Świerzb i ropowice w obozie Oświęcim-Brzezinka. (Scabies and phlegmones in the Auschwitz-Birkenau camp. — Krätze und Phlegmone im Lager Auschwitz-Birkenau). 1970, 30—33.

228. Kłodziński S.: Wkład polskiej służby zdrowia w ratowanie życia więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim. (The role of the Polish health service in saving lives of prisoners in Auschwitz concentration camp. — Der Beitrag des polnischen Gesundheitsdienstes zur Rettung der Häftlinge im Konzentrationslager Auschwitz). 1961, 51—57.

229. Kopyciński A.: Orkiestra w oświęcimskim obozie koncentracyjnym. (The orchestra in the Auschwitz concentration camp. — Das Orchester im Auschwitzer Konzentrationslager). 1964, 112—116.

230. Kordylewska Z.: Z okupacyjnych przeżyć lekarki. (Reminiscences of a woman physician from the Occupation. — Aus den Okkupationserlebnissen einer Ärztin). 1969, 165—167.

231. Kret J.: Lekarze znaleźli wyjście. (The physicians found a way. — Ärzte fanden einen Ausweg). 1966, 184—190.

232. Kret J.: Więźniowie-miernicy w obozie oświęcimskim. (Prisoner surveyors in the Auschwitz camp. — Häftlinge-Vermesser im Lager Auschwitz). 1971, 55—60.

233. Kret J.: Ze wspomnień oświęcimskich. (Auschwitz reminiscences. — Auschwitzer Erinnerungen). 1968, 209—212.

234. Kuzak Z.: „Nachtwächter". 1979, 159—162.

235. Lach-Kamińska J.: W więzieniu i w obozach hitlerowskich (1943—1945). (In Nazi prisons and in concentration camps 1943—1945. — Im Nazi-Gefängnis und in Konzentrationslagern 1943—1945). 1969, 167—172.

236. Leszczyńska S.: Raport położnej z Oświęcimia. (Report of a midwife in Auschwitz. — Der Report einer Hebamme aus Auschwitz). 1965, 104—106.

237. Lingens E.: Problemy narodowościowe w szpitalu kobiecym w Brzezince. (Nationality problems in the women's hospital in Birkenau. — Nationale Probleme im Frauenspital in Birkenau). 1966, 111—113.

238. Lorska D.: Blok X [nr 10] w Oświęcimiu. (Barrack No. 10 in Auschwitz. — Block Nr. 10 in Auschwitz). 1965, 99—104.

239. Lorska D.: Wspomnienia z bloku nr 10. Dr Hans *Münch*. (Reminiscences from barrack No. 10. Hans *Münch*, M. D. — Erinnerungen aus Block Nr. 10. Dr. Hans *Münch*). 1966, 105—107.

240. Lorska D.: Z pobytu w Oświęcimiu. (My stay in Auschwitz. — Aus meiner Haft in Auschwitz). 1967, 206—208.

241. Makowski A.: Niektóre osiągnięcia organizacyjne szpitala obozowego w Monowicach. (Some achievements of organization in the camp hospital in Monowice. — Einige organisatorischen Erfolge des Lagerspitals in Monowice). 1970, 165—168.

242. Makowski A.: I oddział wewnętrzny szpitala obozu koncentracyjnego Buna-Monowice. (The First Ward of Internal Medicine in the Buna-Monowice concentration camp hospital. — I. Abteilung für innere Krankheiten des Konzentrationslagerspitals Buna-Monowice). 1969, 71—75.

243. Makowski A.: Wspomnienia lekarza z obozów koncentracyjnych w Monowicach, Buchenwaldzie i Zwieberge-Langensteinie. (Reminiscences of physician from the concentration camps in Monowice, Buchenwald and Zwieberge-Langenstein. — Erinnerungen eines Arztes aus den KL Monowice, Buchenwald und Zwieberge-Langenstein). 1967, 212—222.

244. Makowski A.: Z zagadnień zdrowotnych obozu Buna-Monowice w świetle zachowanych dokumentów. (Health problems in the Buna-Monowice camp in the light of existing documents. — Gesundheitsprobleme des Lagers Buna-Monowice im Lichte der erhaltenen Dokumente). 1972, 45—51.

245. Maniakówna M.: W oświęcimskim bloku nr 11. (Barrack No. 11 in Auschwitz. — Im Auschwitzer Block Nr. 11). 1970, 208—212.

246. Niedojadło E.: Moje dwie rocznice oświęcimskie. (My two Auschwitz anniversaries. — Meine zwei Auschwitzer Jahrestage). 1970, 204—208.

247. Niedojadło E.: Podobóz Brno. Ucieczka przed *Bogerem*. (The branch camp Brno. Escape from *Boger*. — Das Nebenlager Brno. Die Flucht vor *Boger*). 1966, 108—111.

248. Niedojadło E.: „Szpital" obozowy w Bunie. (The camp „hospital" in Buna. — Das Lager-Revier in Buna). 1965, 120—122.

249. Nowakowska M.: „Szpital kobiecy" w obozie w Oświęcimiu-Brzezince. (The „women's hospital" in Auschwitz-Birkenau. — Das „Frauen-Revier" im Lager Auschwitz-Birkenau). 1961, 32—36.

250. Olbrycht J. S.: Przeżycia medyka sądowego w czasie okupacji hitlerowskiej oraz po wyzwoleniu w sprawach z nią związanych. (Experiences of a forensic physician during the Nazi occupation and after liberation in matters connected with the Occupation. — Erlebnisse eines Gerichtsarztes während der Nazi-Okkupation und nach der Befreiung in Angelegenheiten, die mit ihr verbunden waren). 1963, 82—91.

251. Olbrycht J. S.: Z przeżyć obozowych. (Some camp experiences. — Aus Lagererlebnissen). 1965, 139.

252. Orzeszko T.: Relacja chirurga z obozu oświęcimskiego. (Reminiscences of a surgeon from the Auschwitz camp. — Die Relation eines Chirurgen des Lagers Auschwitz). 1971, 43—48.

253. Paczuła T.: Obóz i szpital obozowy w Oświęcimiu we wczesnych okresach istnienia. (The Auschwitz camp and camp hospital in the early period of their existence. — Das Lager und Lager-Krankenbau in Auschwitz in den Anfängen des Bestehens). 1963, 50—53.

254. Paczuła T.: Organizacja i administracja szpitala obozowego *KL Auschwitz I*. (Organisation and administration of the camp hospital in *KL Auschwitz I*. — Die Organisation und Administration des Lager-Krankenbaues des KL Auschwitz I). 1962, 61—68.

255. Pawełczyńska A.: Przemiany struktury społecznej a możliwości przeżycia obozu oświęcimskiego. (Structural social changes and survival in the Auschwitz camp. — Der Wandel der gesellschaftlichen Struktur und die Möglichkeiten des Überlebens im Lager Auschwitz). 1973, 76—81.

256. Pęckowski Z.: Blok 19 szpitala obozowego w Oświęcimiu I. Relacja pielęgniarza. (Barrack 19 of the camp hospital in Auschwitz I. Recollections of a male nurse. — Block Nr. 19 des Lagerspitals in Auschwitz I. Bericht eines Pflegers). 1972, 101—107.

257. Piątkowska A.: Z przeżyć oświęcimskich. (Auschwitz reminiscences. — Auschwitzer Erlebnisse). 1968, 201—203.

258. Ryn Z., Kłodziński S.: Patologia sportu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. (Pathology of sport in the Auschwitz-Birkenau concentration camp. — Die Pathologie des Sportes im Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau). 1974, 46—58.

259. Ryn Z., Kłodziński S.: Z problematyki samobójstw w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. (Suicide in Nazi concentration camps. — Selbstmord-Problematik im KL Auschwitz-Birkenau). 1976, 25—46.

260. Siciński A.: Z psychopatologii więźniów funkcyjnych. Ernst *Krankemann*. (Psychopathology of function prisoners. Ernst *Krankemann*. — Die Psychopathologie der Häftlings-Funktionäre. Ernst *Krankemann*). 1974, 126—130.

261. Slisz-Oyrzyńska M.: Relacja z bloku nr 17 obozu kobiecego w Brzezince. (The report from the barrack No. 17 in the women camp in Birkenau. — Bericht aus dem Block 17 des Frauen-Lagers Birkenau). 1978, 160—166.

262. Stasiak L.: Wspomnienie o prof. Robercie *Waitzu*. (Prof. Robert *Waitz*-reminiscences. — Erinnerung an Prof. Robert *Waitz*). 1979, 152—153.

263. Stefańska I.: Medycyna w oświęcimskiej plastyce obozowej. (Medicine in prisoners' fine arts in Auschwitz-Birkenau camp. — Die Medizin in der Auschwitzer Lager-Plastik). 1977, 108—118.

264. Szczerbowski K.: Wspomnienia pierwszego pisarza „rewiru" oświęcimskiego. (Reminiscences of a

first „Schreiber" in the Auschwitz „Revier". — Erinnerungen des ersten „Revier"-Schreibers im KL Auschwitz). 1970, 198—201.

265. Szuszkiewicz R.: Dentystyka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. (Dentistry in the Auschwitz concentration camp. — Die Dentistik im Konzentrationslager Auschwitz). 1964, 77—80.

266. Szweda K.: Pierwszy okres oddziału chorób zakaźnych w obozie oświęcimskim. (The early period of the infectious disease ward in the Auschwitz camp. — Die erste Zeitperiode der Abteilung für Infektions--Krankenheiten im KL Auschwitz). 1972, 95—101.

267. Szweda K.: W oświęcimskim szpitalu obozowym w latach 1940—1941. (The Auschwitz camp hospital in the years 1940—1941. — Im Auschwitzer Lager--Krankenbau in den Jahren 1940—1941). 1974, 130—134.

268. Szymański T.: Przypadki *noma* (rak wodny) w obozie cygańskim Oświęcim-Brzezinka. (Cases of *noma, gangrenous stomatitis,* in the gypsy-camp at Auschwitz-Birkenau. — Fälle von *Noma,* Wasserkrebs, im Zigeunerlager in Auschwitz-Birkenau). 1962, 68—70.

269. Szymański T., Szymańska D., Śnieszko T.: O „szpitalu" w obozie rodzinnym dla Cyganów w Oświęcimiu-Brzezince. (On the „hospital" in the family camp at Auschwitz-Birkenau. — Vom Krankenbau im Familienlager für Zigeuner in Auschwitz-Birkenau). 1965, 90—99.

270. Tytoniak A.: Jesień 1942 roku w szpitalu kobiecym w Brzezince. (Autumn 1942 in the women's hospital in Birkenau. — Der Herbst 1942 im Frauenspital in Birkenau). 1968, 195—200.

271. Włodarska H.: Ze szpitala kobiecego obozu w Brzezince. (From the women's hospital in Birkenau. — Aus dem Spital des Frauenlagers in Birkenau). 1970, 213—216.

272. Wolken O.: Komentarz do statystyki chorych i zmarłych w obozie-„kwarantannie" w Brzezince za okres od 20 IX do 1 XI 1944. (Comments on the statistics of patients and deaths in the „quarantine" camp in Birkenau, Sept. 20, 1943 to Nov. 1, 1944. — Kommentar zur Kranken- und Verstorbenen-Statistik im „Quarantänelager" in Birkenau für die Zeit vom 20 IX 1943 bis 1 XI 1944). 1964, 84—87.

273. Wolken O.: Oswobodzenie obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. (Liberation of the Auschwitz-Birkenau concentration camp. — Die Befreiung des Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau). 1966, 113—119.

274. Wolny J.: O organizowaniu pomocy lekarsko--sanitarnej w obozie kobiecym w Brzezince. (On the organization of medical and sanitary aid in the women's camp in Birkenau. — Von der ärztlich-sanitären Hilfe--Organisation im Frauenlager Birkenau). 1965, 118—120.

275. Wolny J.: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen. II. (Reminiscences of a male nurse in the Dachau, Auschwitz and Mauthausen-Gusen camp. Part II. — Erinnerungen eines Sanitäters aus den Lagern Dachau, Auschwitz und Mauthausen. II). 1968, 213—217.

276. Woycicki A.: Dwa oblicza „służby rozpoznawczej". (Two aspects of the „Reconaissance Service". — Zwei Aspekte des „Erkennungsdienstes"). 1966, 182—184.

277. Zasacki S.: Laboratorium szpitala obozu w Brzezince. (The laboratory of the camp-hospital in Brzezinka. — Das Spitallaboratorium des Lagers Birkenau). 1978, 158—160.

278. Zielina J.: Blok 9 szpitala obozu Oświęcim I. (Barrack 9 of the camp hospital in Auschwitz I. — Block 9 des Lagerspital in Auschwitz I). 1964, 82—84.

279. Żywulska K.: List do Matki. (Letters to a Mother. — Brief an die Mutter). 1965, 149.

Zob. też poz. 5, 7, 11, 13—15, 28—30, 32, 35, 36, 45, 50, 53, 56, 66, 68, 75, 95, 105, 115, 116, 118—121, 123—125, 132—135, 140—142, 163, 328, 355—357, 365, 398, 401—405, 419, 428, 437, 447, 489, 497, 507, 511, 522, 560—562, 567, 575, 576, 588, 596, 599, 605—607, 609—614, 616—621, 623—628, 630, 632—637, 639—642, 644—647, 649, 652—656, 658, 662, 663, 665—668, 672, 676, 682, 683, 690, 692, 695, 696, 698, 703, 732.

e) Inne obozy
(Other camps. — Andere Lager)

280. Adamczyk A.: Ostatnie dni w szpitalu obozu w Litomierzycach. (The last days in the hospital in Leitmeritz camp. — Die letzten Tage im Revier des Lagers Leitmeritz). 1980, 184—186.

281. Beardwell-Wieleżyńska M.: Obóz koncentracyjny w Bergen-Belsen bezpośrednio po wyzwoleniu. (The concentration camp in Bergen-Belsen immediately after the liberation. — Das KL Bergen-Belsen unmittelbar nach der Befreiung). 1967, 105—112.

282. Biberstein A.: Przyczynek do dziejów obozu w Krakowie Płaszowie. (Contribution to the history of Kraków Płaszów Nazi camp. — Ein Beitrag zur Geschichte des Lagers Kraków-Płaszów). 1977, 195—198.

283. Ciepły J.: Warunki sanitarne w zastępczym więzieniu policyjnym w Mysłowicach. (Sanitary conditions in the substitutional police prison in Mysłowice. — Die sanitären Verhaltnisse im Ersatz-Polizeigefängnisse in Mysłowice). 1981, 95—107.

284. Dziaduś S.: W Saurer-Werke przed oswobodzeniem. (At the Saurer-Werke before liberation. — In den Saurer-Werken von der Befreiung). 1975, 178—182.

285. Fabowska-Grzeżułko Z.: Ewakuacja z Wattenstedt, podobozu Ravensbrück [faktycznie podobozu Neuengamme]. (The evacuation from Ravensbrück's branch camp Wattenstedt. — Die Evakuierung aus Wattenstedt, Nebenlager von Ravensbrück). 1977, 198—200.

286. Frąckowski K.: Żydzi i księża w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen-Oranienburg [właśc. Sachsenhausen]. (Jews and priests in the Sachsenhausen concentration camp. — Juden und Priester im KL Sachsenhausen). 1970, 159—164.

287. Garmada L.: Reminiscencje z tzw. obozu janowskiego. (Reminiscences from so-called Janowski camp. — Erinnerungen aus dem sogenannten Janowski--Lager). 1978, 166—170.

288. Garstka S. M.: Hitlerowski obóz koncentracyjny we Flossenbürgu. (The Nazi concentration camp in Flossenbürg. — Das Nazi-KL in Flossenbürg). 1974, 191—195.

289. Gawryluk F.: Wspomnienia z obozu we Flossenbürgu. (Reminiscences from the Flossenbürg camp. — Erinnerungen aus KL Flossenbürg). 1975, 171—178.

290. Gogołowska S.: Przyczynek do historii obozu janowskiego. Ryszard *Axer* [właśc. Henryk *Axer*]. (The contribution to the history of Janowski camp. Richard *Axer*. — Beitrag zur Geschichte des Janowski--Lagers. Richard *Axer*). 1979, 154—156.

291. Gogołowska S.: Służba zdrowia w obozie janowskim. (Health service in the Janów camp. — Der Gesundheitsdienst im Janowski-Lager). 1975, 89—96.

292. Głowa S.: Ewakuacja obozu w Sachsenhausen. (The evacuation of the Sachsenhausen camp. — Die Evakuierung des Lagers Sachsenhausen). 1966, 171—174.

293. Hanke E.: Refleksje więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau, Wincentego *Spaltensteina.* (Reflections of Wincenty *Spaltenstein,* prisoner of the Dachau concentration camp. — Reflexionen des Häftlings des KL Dachau Wincenty *Spaltenstein*). 1968, 110—115.

294. Hein W.: Szpital dla więźniów w obozie „Mittelbau-Dora". (The hospital for prisoners in the "Mittelbau-Dora" camp. — Das Häftlingsspital im Lager „Mittelbau-Dora"). 1971, 61—69.

295. Jezierska M. E.: Blok 46 obozu buchenwaldzkiego w marcu 1945 r. (Barrack 46 in the Buchenwald camp in March 1945. — Block Nr. 46 des KL Buchenwald im März 1945). 1967, 126.

296. Jezierska M. E.: Szpital obozu Buchenwald (na podstawie archiwaliów z okresu 3 IV—20 VII 1945 r.). (The hospital in Buchenwald camp; from archives of 3rd April — 20th July 1945 period. — Das Krankenrevier im Lager Buchenwald; auf Grund der Archiven der Periode 3 IV—20 VII 1945). 1980, 76—85.

297. Jezierska M. E.: Zagadnienie małych obozów (The problem of small camps. — Das Problem der kleinen Lager). 1967, 127—128.

298. Kellés-Krauz S.: Wspomnienia lekarza z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. (Reminiscences of a physician in the Sachsenhausen concentration camp. — Erinnerungen eines Arztes aus dem KL Sachsenhausen). 1963, 88—90.

299. Kiełkowski R.: Obóz pracy przymusowej i koncentracyjny w Płaszowie. (The Płaszów concentration and compulsory labor camp. — Zwangsarbeits- und Konzentrationslager in Płaszów). 1971, 23—36.

300. Kłodziński S.: Sabotaż w buchenwaldzkim Instytucie Higieny *SS.* Dr Marian *Ciepielowski.* (The sabotage in the *SS* Institute of Hygiene in Buchenwald camp. Marian *Ciepielowski* M. D. — Sabotage im Hygiene-Institut der *SS* in Buchenwald. Dr. Marian *Ciepielowski*). 1977, 141—145.

301. Mączka-Patkaniowska Z.: Zeznania z bunkra. (Confessions from a bunker. — Aussagen aus dem Bunker). 1965, 135—138.

302. Metera A., Rzepecki W. M.: Torakoplastyka w Dachau. (Toracoplasty in Dachau. — Torakoplastik in Dachau). 1971, 15—17.

303. Moska D.: „Polenlagry" na Górnym Śląsku. ("Polenlagers" in Upper-Silesia. — „Polenlager" in Oberschlesien). 1974, 134—139.

304. Mruk J.: Obóz karny „Liban". Uwagi lekarza. (The penal camp "Liban". A physician's remarks. — Das Straflager „Liban". Bemerkungen eines Arztes). 1970, 144—147.

305. Musioł T.: „Służba zdrowia" w Dachau. (The "health service" in Dachau. — Der „Gesundheitsdienst" in Dachau). 1972, 114—120.

306. Nowicki J.: Od Stutthofu do Sandbostel. (From Stutthof to Sandbostel). 1968, 158—169.

307. Nowicki J.: Po oswobodzeniu z obozu w Sandbostel. (After liberation of the Sandbostel camp. — Nach der Befreiung aus dem Lager Sandbostel). 1975, 182—187.

308. Nowosielski A.: W obozie Neuengamme. Dr Zygmunt *Szafrański*. (In Neuengamme camp. Zygmunt *Szafrański*, M. D. — Im Lager Neuengamme. Dr. Zygmunt *Szafrański*). 1977, 207—211.

309. Okła J.: Lekarz-więzień na statku „Cap Arcona". (Prisoner-physician on the ship "Cap Arcona". — Ein Ärzt-Häftling auf dem Schiff „Cap Arcona"). 1971, 131—135.

310. Osuchowski J.: „Rewir" tzw. małego obozu w Buchenwaldzie. (The "Revier" of the so-called small camp in Buchenwald. — Das „Revier" des sog. kleinen Lagers im Buchenwald). 1970, 220—222.

311. Pagniez Y.: Niedziela w obozie. (Sunday in the camp. — Sonntag im Lager). 1969, 154—156.

312. Pagniez Y.: W Torgau. (In Torgau). 1970, 231—235.

313. Pawłowski B.: Nieznane epizody z obozu w Aflenz. (Unknown episodes in the Aflenz concentration camp. — Unbekannte Episoden aus dem Lager in Aflenz). 1976, 188—194.

314. Pawłowski B.: Polski szpital w Ebensee bezpośrednio po wyzwoleniu. (The Polish hospital in Ebensee immediately after the liberation. — Das polnische Spital in Ebensee unmittelbar nach der Befreiung). 1972, 132—136.

315. Pawłowski B.: Uwagi o szpitalu obozowym w Wiener Neudorf. — Bemerkungen über das Lagerspital in Wiener Neudorf). 1974, 195—200.

316. Pawłowski B.: W sanatorium Goisern po oswobodzeniu. (In the Goisern sanatorium after liberation. — Im Sanatorium Goisern nach der Befreiung). 1973, 154—157.

317. Pęckowski Z.: Relacja pielęgniarza ze szpitala obozowego w Dorze. (Reminiscences of a male nurse of the camp hospital in Dora. — Bericht eines Krankenpflegers aus dem Häftlingsspital in Dora). 1972, 108—114.

318. Ryn Z.: Antoni *Kępiński* internowany na Węgrzech. (1939—1940). (Antoni *Kępiński* interned in Hungary, 1939—1940. — Antoni *Kępiński* interniert in Ungarn, 1939—1940). 1979, 85—95.

319. Ryn Z.: Antoni *Kępiński* w Miranda de Ebro. (Antoni *Kępiński* in Miranda de Ebro camp. — Antoni *Kępiński* im Lager Miranda de Ebro). 1978, 95—115.

320. Siniecki B.: Z historii szpitala obozowego w Stutthofie. (History of the camp hospital in Stutthof. — Aus der Geschichte des Lagerspitals in Stutthof). 1975, 85—89.

321. Sterkowicz S.: Ostatnie tygodnie więźniów Neuengamme w Sandbostel. (The last weeks after liberation of the prisoners of Neuengamme. — Die letzten Wochen der Häftlinge aus Neuengamme in Sandbostel). 1972, 124—131.

322. Sterkowicz S.: Pierwsze tygodnie po wyzwoleniu więźniów Neuengamme. (The first weeks after liberation of the prisoners of Neuengamme. — Die ersten Wochen nach Befreiung der Häftlinge aus Neuengamme). 1978, 155—157.

323. Sypniewska M.: Obrazki z Ravensbrück. (Some episodes from Ravensbrück. — Bilder aus Ravensbrück). 1979, 175—179.

324. Walterowa A.: Kolumna „Forst Neues Gut" w Ravensbrück. (The "Forst Neues Gut" column in Ravensbrück. — Die Kolonne „Forst Neues Gut" in Ravensbrück). 1970, 228—231.

325. Witkowski J.: Hitlerowski obóz śledczy w Mysłowicach. (The Nazi investigation camp in Mysłowice. — Nazi-Untersuchungslager in Mysłowice). 1969, 95—97.

326. Witkowski J.: Sytuacja sanitarna w obozie w Mysłowicach. (Sanitary situation in the Mysłowice camp. — Der sanitäre Zustand im Lager Mysłowice). 1975, 96—107.

327. Witkowski J.: Warunki sanitarne robotników przymusowych w „Festung Breslau". (Sanitary conditions for compulsory laborers in "Festung Breslau". — Sanitäre Verhältnisse der Zwangsarbeiter in der „Festung Breslau"). 1979, 61—73.

328. Wolny J.: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen. (Reminiscences of a male nurse in the Dachau, Auschwitz and Mauthausen camps. — Erinnerungen eines Krankenpflegers aus den Lagern Dachau, Auschwitz und Mauthausen). 1966, 198—202.

329. Zegarski W.: Szpital w Sachsenhausen na tle warunków obozowych w latach 1940—1945. (The hospital in Sachsenhausen and camp conditions in the years 1940—1945. — Das Spital in Sachsenhausen und die Lagerverhältnisse in den Jahren 1940—1945). 1969, 75—86.

330. Żelechowski J.: Z rewiru w Dachau. (From the Dachau camp hospital. — Aus dem Revier in Dachau). 1979, 163—164.

Zob. też poz. 9, 10, 12, 41—44, 63—65, 92, 172, 176, 243, 275, 366, 372, 374—395, 411—412, 414, 415, 417, 573, 574, 587, 600—603, 657, 674, 678, 680, 684—686, 693, 700, 753.

f) Obozy jenieckie (Prisoner-of-war camps. Kriegsgefangenen-Lager)

331. Bayer S.: Szpital jeniecki w Zeithain. (The hospital for prisoners of war in Zeithain. — Das Kriegsgefangenen-Spital in Zeithain). 1971, 123—130.

332. Beaupré J.: Relacja lekarki z Zeithain. (Reminiscences of a woman physician in Zeithain. — Bericht einer Ärztin aus Zeithain). 1974, 200—209.

333. Beaupré J.: W obozie Lamsdorf. (The Lamsdorf camp. — Im Lager Lamsdorf). 1971, 114—118.

334. Cereniewicz B.: Szpital jeńców wojennych w Tangerhütte. (The hospital of prisoners of war in Tangerhütte. — Das Kriegsgefangenen-Spital in Tangerhütte). 1970, 96—103.

335. Cereniewicz B.: Żołnierze z powstania warszawskiego w Altengrabowie. (Soldiers from Warsaw uprising in Altengrabow. — Soldaten des Warschauer Aufstandes in Altengrabow). 1973, 147—153.

336. Cieślawski M.: Głód w obozie wschodnim „stalagu" II B w Czarnem. (Hunger in the east camp of "Stalag" II B in Czarne. — Der Hunger in östlichen Lager des Stalag II B in Czarne). 1972, 51—56.

337. Cieślawski M.: Warunki sanitarne i bytowe jeńców w drużynach roboczych w Koszalińskiem. (Sanitary conditions of prisoner of war in working groups in Koszalin province. — Sanitäre- und Wohn-Verhältnisse der Kriegsgefangenen-Arbeitsmannschaften im Gebiet von Koszalin). 1973, 52—55.

338. Czerucki W.: Lekarz jeniec w konspiracji obozowej. (A physician prisoner of war in camp conspiration. — Kriegsgefangener Arzt in der Lagerkonspiration). 1975, 159—161.

339. Kasprzyk L.: Na Helu i w obozach jenieckich. (On the Hel peninsule and in prisoner camps. — Auf der Halbinsel Hela und in den Lagern für Kriegsgefangene). 1970, 86—95.

340. Kujawski Z.: Z powstania warszawskiego do obozu w Zeithain. (From the Warsaw uprising to the Zeithain camp. — Vom Warschauer Aufstand ins Lager Zeithain). 1971, 118—123.

341. Müller T.: Wspomnienia internowanego i jeńca wojennego. (Reminiscences of an interned prisoner and prisoner of war. — Erinnerungen eines Internierten und Kriegsgefangenen). 1967, 225—228.

342. Wiśnicki P.: Ze wspomnień jeńca obozu w Zeithain. (Reminiscences of a prisoner of war in the Zeithain camp. — Erinnerungen eines Kriegsgefangenen im Lager Zeithain). 1973, 174—179.

343. Zientarski A.: Ekshumacja zamordowanych jeńców z obozu w Czarnem. (Exhumation of murdered prisoners of war in the Czarne camp. — Exhumierung der ermordeten Kriegsgefangenen im Lager Czarne). 1973, 56—60.

Zob. też poz. 167, 198, 224, 697, 731.

V. Relacje z więzień (Reports from prisons. Berichte aus Gefängnissen)

344. Bulanda B.: Relacja więźnia Montelupich. (Reminiscences of a prisoner of the Montelupi prison. — Bericht eines Häftlings aus dem Montelupi-Gefängnis). 1972, 187—191.

345. Dangel J.: W izbie chorych „Pawiaka". (The dispensary for sick prisoners in the "Pawiak" prison. — Im Krankenzimmer des „Pawiak"-Gefängnisses). 1976, 194—199.

346. Frąckowski K.: Fort VII w Toruniu. (Fort VII in Toruń. — Das Fort VII in Toruń). 1970, 80—85.

347. Kłodziński S.: Z historii więzienia Montelupich (1941—1942). Dr Józef *Garbień*. (The history of the Montelupi prison, 1941—1942. Józef *Garbień*, M. D. — Aus der Geschichte des Montelupi-Gefängnisses, 1941—1942. Dr. Józef *Garbień*). 1971, 84—96.

348. Lebioda J.: W więzieniu Montelupich. (In the Montelupi prison. — Im Montelupi Gefängnis). 1972, 181—187.

349. Kościuszkowa J.: Przez rok w więzieniu Montelupich. (A year in the Montelupi prison. — Ein Jahr im Montelupi-Gefängnis). 1972, 191—196.

350. Kuzak Z.: Z duchowych przeżyć więźnia. (From spiritual experience of prisoner. — Aus den geistigen Erlebnissen eines Häftlings). 1981, 159—162.

351. Szwarc H.: Kobiece więzienie gestapo w Łodzi w ostatnim okresie okupacji. (The Gestapo prison for women in Łódź in the last phase of the Occupation. — Das Gestapo-Frauengefängnis in Łódź in der letzten Zeitperiode der Nazi-Okkupation). 1972, 196—202.

352. Zawodzińska C.: Kilka refleksji z lat uwięzienia. (Reminiscences from prisons and camps. — Einige Reflexionen aus den Jahren der Verhaftung). 1974, 213—217.

Zob. też poz. 235, 413, 417, 444, 446, 450, 501, 598, 662, 673—675, 678, 689.

VI. Eksperymenty zbrodnicze (Criminal experiments. Verbrecherische Experimente)

353. Chróścielewski E., Celiński W.: Pseudoeutanazja w „Kraju Warty" podczas okupacji hitlerowskiej. (Pseudoeuthanasia in "Warta Land" during the Nazi occupation. — Pseudoeuthanasie im „Reichsgau Wartheland" während der Nazi-Okkupation). 1969, 42—47.

354. Dąbrowski S.: Likwidacja chorych szpitala psychiatrycznego w Obrzycach a problem eutanazji. (Liquidation of the patients of the mental hospital in Obrzyce and the problem of euthanasia. — Liquidierung von Kranken im Spital für Geisteskranke in Obrzyce und das Problem der Euthanasie). 1968, 36—40.

355. Fejkiel W.: Eksperymenty dokonywane przez personel sanitarny *SS* w głównym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. (Experiments carried out by the *SS* sanitary personnel in the main camp in Auschwitz. — Experimente durchgeführt durch das sanitäre SS Personal im Stammlager Auschwitz). 1964, 101—105.

356. Głogowski L.: Królik doświadczalny. (An experimental rabbit. — Ein Versuchskaninchen). 1965, 108—109.

357. Głowacki C.: Z dokumentacji zbrodniczych doświadczeń Carla *Clauberga*. (Documented criminal experiments of Carl *Clauberg*. — Aus Dokumenten der verbrecherischen Experimente von Carl *Clauberg*). 1976, 85—90.

358. Jakubik A., Ryn Z.: Eksperymenty pseudomedyczne w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. (Pseudomedical experiments in Nazi concentration camps. — Pseudomedizinische Experimente in Nazi-Konzentrationslagern). 1973, 64—72.

359. Kasperek S.: Powikłania zabiegów sterylizacyjnych w latach 1934—1938 na Śląsku Opolskim. (Complications of sterilizing operations in the years 1934—1938 in Opole Silesia. — Komplikationen bei Sterilisierungseingriffen in den Jahren 1934—1938 im Oppeln-Schlesien). 1974, 82—89.

360. Kasperek S.: Przymusowe sterylizacje w rejencji opolskiej 1934—1938. (Sterilization upon compulsion in Opole district 1934—1938. — Zwangssterilisierung in dem Regierungsbezirk Oppeln, 1934—1938). 1980, 33—39.

361. Kasperek S.: Przymusowe sterylizacje w rejencji wrocławskiej 1934—1944. (Sterilization under compulsion in Breslau district, 1934—1944. — Zwangssterilisierung im Regierungsbezirk Breslau, 1934—1944). 1979, 50—60.

362. Kasperek S.: Sterylizacja ze wskazań eugenicznych w latach 1934—1944 na Śląsku Opolskim. (Sterilization from eugenic indications in the years 1934—1944 in Opole Silesia. — Sterilisation auf Grund eugenischer Indikationen in den Jahren 1934—1944 im Oppeln-Schlesien). 1968, 40—47.

363. Kiełkowski R.: Zagłada chorych szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie. (The mass murder of the patients in the mental hospital in Kobierzyn. — Vernichtung der Kranken im psychiatrischen Spital in Kobierzyn). 1967, 68—78.

364. Kłodziński S.: Egzekucja dr. Czesława *Zapędowskiego* w lasach Rzuchowskich. (Execution of physician Czesław *Zapędowski* in Rzuchów Woods. — Exekution des Dr. Czesław *Zapędowski* in den Wäldern von Rzuchów). 1980, 148—149.

365. Kłodziński S.: Zbrodnicze doświadczenia farmakologiczne na więźniach obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (preparat 3582, rutenol, Be 1034, periston). (Criminal pharmacological experiments on prisoners of the Auschwitz concentration camp; drug 3582, rutenol, Be 1034, periston. — Verbrecherische pharmakologische Experimente an Häftlingen des KL Auschwitz; Präparat 3582, Rutenol, Be 1034, Periston). 1965, 40—46.

366. Kłodziński S.: Zbrodnicze doświadczenia z zakresu gruźlicy w Neuengamme. Działalność Kurta *Heissmeyera*. (Criminal experiments on tuberculosis in Neuengamme. The activities of Kurt *Heissmeyer*. — Verbrecherische Experimente aus dem Bereich der Tuberkulose im KL Neuengamme. Kurt *Heissmeyers* Tätigkeit). 1969, 86—91.

367. Kłodziński S.: Zbrodnicze eksperymenty z zakresu gruźlicy dokonywane w hitlerowskich obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. Doniesienie wstępne. (Criminal experiments on tuberculosis in Nazi concentration camps during II World War. Preliminary communication. — Verbrecherische Experimente mit der Tuberkulose, durchgeführt in Nazi-KL während des II. Welkrieges. Vorläufige Mitteilung). 1962, 77—81.

368. Kłodziński S.: Z zagadnień „gospodarczej" eksploatacji zwłok ludzkich w Niemczech hitlerowskich. (Problems of "economical" exploitation of human bodies in Nazi Germany. — Aus Problemen „wirtschaftlicher" Ausbeutung menschlicher Leichen in Nazi-Deutschland). 1964, 91—96.

369. Kłodziński S.: Z zagadnień ludobójstwa. „Sterylizacja" i kastracja promieniami Röntgena w obozie oświęcimskim. Dr Horst *Schumann*. (Problems of mass murder. "Sterilization" and castration with Röntgen rays at the Auschwitz concentration camp. Horst *Schumann*, M. D. — Probleme der Völkermorders. „Sterilization" und Kastrierung mittels Röntgenstahlen im KL Auschwitz. Dr. Horst *Schumann*). 1964, 105—111.

370. Milczarek J.: Wymordowanie chorych psychicznie w Warcie. (Mass murder of mentally ills in Warta. — Die Ermorderung der psychisch Kranken in Warta). 1979, 115—119.

371. Moska D.: Eksterminacja w zakładzie „Loben". (Extermination in "Loben". — Die Extermination in „Loben"-Anstalt). 1975, 112—114.

372. Półtawska W.: Operacje doświadczalne w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. (Experimental operations at the Ravensbrück concentration camp. — Experimentale Operationen im KL Ravensbrück). 1963, 90—97.

373. Sehn J.: Niektóre aspekty prawne tzw. eksperymentów dokonywanych przez hitlerowskich lekarzy *SS* w obozach koncentracyjnych. (Some juridical aspects of so-called experiments performed by Nazi *SS* physicians in concentration camps. — Manche rechtliche Aspekte der sog. Experimente durchgeführt von SS Ärzten im Konzentrationslagern). 1961, 35—44.

374. Sterkowicz S.: Pseudomedyczne eksperymenty w obozie Neuengamme. (Pseudomedical experiments in Neuengamme camp. — Pseudomedizinische Experimente im Lager Neuengamme). 1977, 130—137.

375. Sterkowicz S.: Sprawa lekarza *SS*, Heinricha *Schütza*. (*SS* physician Heinrich *Schütz* case. — Die Sache des SS-Arztes Heinrich *Schütz*). 1977, 137—141.

376. Waitz R., Ciepielowski M.: Doświadczalny dur wysypkowy w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. (Experimental typhus at the Buchenwald

concentration camp. — Experimental Flecktyphus im KL Buchenwald). 1965, 68—69.

Zob. też poz. 3, 6, 17, 34, 37, 46, 48, 64, 99, 158, 216, 223, 224, 424, 701, 702, 729, 757.

VII. Represje wobec inteligentów Persecution of the Polish inteligentsia. Repressionen gegen die Intelligenz)

a) Tzw. Sonderaktion Krakau (The so-called Sonderaktion Krakau. Sog. Sonderaktion Krakau)

377. Brzezicki E.: Prof. dr Jan *Miodoński* w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Wspomnienie pośmiertne. (Prof. Jan *Miodoński*, M. D., in the Sachsenhausen concentration camp. Obituary. — Prof. Dr. Jan *Miodoński* im KL Sachsenhausen. Nachruf). 1964, 125—126.

378. Brzezicki E.: Socjopsychopatia a „Kazet-Lager" Sachsenhausen. (Social psychopathy and the Sachsenhausen concentration camp. — Die Soziopsychopathie und das KZ-Lager Sachsenhausen). 1963, 77—83.

379. Drozdowski J.: Wspomnienia z Sachsenhausen. (Erinnerungen aus Sachsenhausen). 1972, 202—206.

380. Frančić V.: Organizacja więźniów-profesorów w obozie Sachsenhausen. (The organization of prisoner-professors in the Sachsenhausen concentration camp. — Die Organisation der Professoren-Häftlinge in KL-Sachsenhausen). 1970, 150—158.

381. Kamieński B.: Wspomnienia z *Sonderaktion Krakau*. (Reminiscences from *Sonderaktion Krakau*. — Erinnerungen aus der *Sonderaktion Krakau*). 1976, 171—179.

382. Leszczycka J.: Profesor Izydor *Stella-Sawicki* w Sachsenhausen. (Prof. Izydor *Stella-Sawicki* in the Sachsenhausen camp. — Profesor Izydor *Stella-Sawicki* in KL Sachsenhausen). 1979, 144—146.

383. Maziarski S.: Z Krakowa do Sachsenhausen. (From Cracow to Sachsenhausen. — Von Krakau nach Sachsenhausen). 1981, 143—151.

384. Miodoński J.: Kilka wspomnień o *Sonderaktion Krakau 1939*. (Some reminiscences of the *Sonderaktion Krakau 1939*. — Einige Erinnerungen aus der *Sonderaktion Krakau 1939*). 1963, 69—77.

385. O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (na podstawie relacji członków rodzin profesorów). (On the trials of freeing the professors of the Jagellonian University, as related by members of the families of professors. — Bemühungen zweks Freilassung von Professoren der Jagellonischen Universität nach den Berichten der Familienmitglieder). 1964, 53—57.

386. Piekara A. H.: Epizody z tzw. *Sonderaktion Krakau*. (Some episodes from so-called *Sonderaktion Krakau*. — Episodes aus der sog. *Sonderaktion Krakau*). 1979, 146—148.

387. Pigoń S.: Wspominki z obozu w Sachsenhausen (1939—1940). (Reminiscences from the Sachsenhausen camp, 1939—1940. — Erinnerungen aus dem Lager in Sachsenhausen, 1939—1940). 1966, 156—171.

388. Rusinow R.: Bułgarzy a tzw. *Sonderaktion Krakau*. (The Bulgarians and so-called *Sonderaktion Krakau*. — Die Bulgaren und die sog. *Sonderaktion Krakau*). 1977, 183—185.

389. Schmidt S.: Wspomnienia z bloku 46 w Sachsenhausen. (The report from the Barrack No. 46 in the Sachsenhausen camp. — Erinnerungen aus dem Block Nr. 46 in Sachsenhausen). 1977, 191—193.

390. Skulimowski M., Śliwiński S.: Profesor Władysław *Szumowski* w Sachsenhausen. (Profesor Władysław *Szumowski* in Sachsenhausen camp. — Professor Władysław *Szumowski* im KL Sachsenhausen). 1980, 144—147.

391. Urbańczyk S.: W Sachsenhausen i Dachau. W 25. rocznicę uwięzienia profesorów uczelni krakowskich. (In Sachsenhausen and Dachau. On the 25th anniversary of the imprisonment of the professors of Cracow academic schools. — In Sachsenhausen und Dachau. Zum 25. Jahrestag der Verhaftung von Professoren der krakauer Hochschulen). 1965, 76—86.

392. Walter F. K.: W cieniu śmierci. Refleksje z Sachsenhausen. (In the shadow of death. Reflection from Sachsenhausen camp. — In Schatten des Todes. Reflexionen aus Sachsenhausen). 1977, 186—190.

393. Wojtusiak R. J.: Przyczynek do dziejów tzw. *Sonderaktion Krakau*. (Some new informations about so-called *Sonderaktion Krakau*. — Beitrag zur Geschichte der sog. *Sonderaktion Krakau*). 1976, 174—180.

394. Wolski J.: Z życia w obozie koncentracyjnym w Dachau. (Life in the Dachau concentration camp. — Aus dem Leben im Konzentrationslager Dachau). 1978, 172—174.

395. Zabłocki J.: W rewirze obozu w Sachsenhausen. (The sick room in the Sachsenhausen camp. — Im „Revier" des Lagers Sachsenhausen). 1977, 193—194.

Zob. też poz. 59, 475, 579, 687, 693.

b) Inne zagadnienia (Other problems. — Andere Probleme)

396. Albert Z.: Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hilterowców w lipcu 1941 r. (The murder of 25 professors of academic schools in Lwów by the Nazis in July 1941. — Die Ermordung von 25 Hochschulprofessoren in Lwów durch die Nazis im Juli 1941). 1964, 58—77.

397. Kotucha R.: Na robotach w Rzeszy. Wspomnienia lekarza. (Slave laborer in the Reich. Reminiscences of a physician. — Als Zwangsarbeiter im Reich. Erinnerungen eines Arztes). 1969, 113—116.

398. Kret J.: Przyczynek do historii zagłady inteligentów polskich w obozie oświęcimskim. (A contribution to the history of the extermination of the Polish intelligentsia in the Auschwitz camp. — Beitrag zur Geschichte der Vernichtung der polnischen Intelligenz im Lager Auschwitz). 1969, 61—66.

399. Mahrburg S.: Karty z okresu terroru hitlerowskiego w Wilnie. (Reminiscences from the period of Nazi terror in Vilnius. — Karten aus der Zeit des Nazi-Terrors in Wilna). 1965, 86—90.

400. Miączyński A.: Szpital polski na emigracji w Aix-les-Bains. (Polish Emigrant Hospital in Aix-les-Bains. — Polnische Emigrationsspital in Aix-les-Bains). 1980, 158—162.

Zob. też poz. 12, 232, 233, 396, 438, 578, 579.

VIII. Martyrologia dzieci (The martyrology of children. Martyrium der Kinder)

401. Cieślawski M.: Z przeżyć dzieci i matek — robotnic przymusowych na Pomorzu Zachodnim. (Experience of children and mothers — compulsory workers in West-Pomerania. — Aus den Erlebnissen der Kinder und Mutter-Zwangsarbeiterinnen in West-Pommern). 1981, 121—124.

402. Kościuszkowa J.: Losy dzieci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. (The fate of children in the Auschwitz concentration camp. — Schicksal der Kinder im KL Auschwitz). 1961, 60—61.

403. Piekut-Warszawska E.: Dzieci w obozie oświęcimskim. Wspomnienia pielęgniarki. (Children in the Auschwitz camp. Reminiscences of a nurse. — Die Kinder im KL Auschwitz. Erinnerungen einer Pflegerin). 1967, 204—205.

404. Półtawska W.: Stany hipermnezji napadowej. Na marginesie badań tzw. „dzieci oświęcimskich". (States of paroxysmal hipermnesia. With reference to studies on the so-called "Auschwitz-children". — Zustände der „Hypermnesieanfälle". Am Rande der Untersuchungen sog. „Auschwitz-Kinder"). 1967, 89—93.

405. Półtawska W.: Z badań nad „dziećmi oświęcimskimi". Uwagi ogólne. (Studies on the "Auschwitz-children". General remarks. — Aus Studien über „Auschwitz-Kinder". Allgemeine Bemerkungen). 1965, 21—24.

406. Starczewski J.: Dzieci żebrzące w okupowanej Warszawie. (Children who went about begging in Warsaw during Nazi occupation. — Bettelnde Kinder im okkupierten Warschau). 1978, 189—191.

407. Starczewski J.: Na ratunek dzieciom Zamojszczyzny. (Salvation for children from Zamojszczyzna. — Zur Rettung der Kinder aus der Zamość-Region). 1978, 191—194.

408. Szawłowski L.: Z przeżyć warszawskich dzieci w obozach hitlerowskich. (The life of Warsaw children in Nazi camps. — Aus Erlebnissen der Warschauer Kinder in Nazi Lagern). 1972, 158—164.

409. Witaszek-Napierała A.: Z lat germanizacji dzieci polskich. (Germanization of Polish children. — Aus den Jahren der Germanisierung polnischer Kinder). 1969, 109—110.

410. Witkowski J.: Dalsze informacje o „Polen-

-Jugendverwahrlager" w Łodzi. „Witaszkowcy". (Further information on the „Polen-Jugendverwahrlager" in Łódź. The „Witaszkowcy" group. — Weitere Information über das „Polen-Jugendverwahrlager" in Łódź. Die „Witaszkowcy" Gruppe). 1969, 97—108.

411. Witkowski J.: Dzierzązna — filia łódzkiego obozu dla dzieci. (Dzierzązna — a branch of the Łódź concentration camp for children. — Dzierzązna, Filiale des Kinderlagers in Łódź). 1972, 151—157.

412. Witkowski J.: Hitlerowski obóz dla dzieci w Łodzi. (The Nazi camp for children in Łódź. — Das Nazi-Lager für Kinder in Łódź). 1968, 73—81.

413. Witkowski J.: Małoletni więźniowie Montelupich. (Juvenile prisoners of the Montelupi prison. — Minderjährige Montelupi-Häftlinge). 1974, 139—149.

414. Witkowski J.: Moringen — hitlerowski obóz dla małoletnich. (Moringen, the Nazi concentration camp for jouveniles. — Moringen, das Nazi-Lager für Minderjährige). 1972, 137—139.

415. Witkowski J.: Sytuacja sanitarna w hitlerowskim obozie dla dzieci w Łodzi. (The sanitary situation in the Łódź concentration camp for children. — Die Sanitäre Situation im Nazi-Lager für Kinder in Łódź). 1972, 140—151.

416. Witkowski J.: Śladami dzieci z czeskiej wsi Lidice. (The trace of the children from the Czech village of Lidice. — Auf den Spuren der Kinder des tschechisches Dorfes Lidice). 1970, 173—178.

417. Witkowski J.: „Zakład wychowawczy" w Grodkowie. („Educational institution" in Grodków. — „Die Erziehungsanstalt" in Grodków). 1981, 107—114.

418. Witkowski J.: Zsyłanie małoletnich Polaków do obozów po odcierpieniu kary. (Imprisonment of Polish juveniles in camps after punishment. — Die Zustellung minderjähriger Polen in die Lager nach Abbüssung der Strafe). 1975, 108—111.

419. Wolken O.: Gdy myślę o dzieciach... (When I think of the children... — Wen ich an Kinder denke...). 1965, 166—167.

420. Zielina J.: Dzieci z Lidic. (The children of Lidice. — Die Kinder aus Lidice). 1966, 138—140.

Zob. też. poz. 51, 70, 71, 104, 127, 128, 154, 233, 325—327.

IX. Problematyka żydowska (Jewish problems. Juden-Problematik)

421. Biberstein A.: Z problematyki żydowskiej służby zdrowia w Krakowie pod okupacją hitlerowską. (The Jewish health service in Cracow during the Nazi occupation. — Aus der Problematik des jüdischen Gesundheitsdienstes in Kraków während der Nazi-Okkupation). 1967, 156—162.

422. Cohen E. A.: W transporcie więźniów Żydów z Holandii. (The transport of Jewish prisoners from Netherlands. — Im Transport jüdischer Häftlinge aus Niederlande). 1972, 120—123.

423. Jabłoński C.: Wymieralność w getcie w Brzezinach. (Mortality in Brzeziny's Ghetto. — Die Mortalität im Ghetto von Brzeziny). 1980, 40—43.

424. Kłodziński S.: Zbiór szkieletów żydowskich dla uniwersytetu III Rzeszy w Strasburgu (z działalności prof. dr. Augusta *Hirta*). (The collection of Jewish skeletons for tre University of the III[rd] Reich in Strasburg; from the Prof. August *Hirt* M. D. criminal activity. — Die Sammlung jüdischer Skelette für die Universität des III. Reiches in Strasburg; aus der Tätigkeit des Professors Dr. August *Hirt*). 1964, 96—101.

425. Pankiewicz T.: Apteka „Pod Orłem" w getcie krakowskim. (The „Eagle" Drugstore in the Cracow Ghetto. — Die Apotheke „Pod Orłem" [Unter dem Adler] in Krakauer Ghetto). 1966, 89—101.

426. Seweryn T.: Wielostronna pomoc Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej. (Multilateral help for Jews during the Nazi occupation. — Vielseitige Hilfe für Juden während der Nazi-Okkupation). 1967, 162—183. 183.

427. Skulimowski M.: Zagłada szpitala żydowskiego w Wieliczce w roku 1942. (Liquidation of the Jewish hospital in Wieliczka in 1942. — Die Vernichtung des jüdischen Spitals 1942 in Wieliczka). 1966, 101—105.

428. Wolken O.: Z zagadnień losu Żydów w Oświęcimiu (wymieralność). (The fate of Jews in Auschwitz; mortality. — Aus den Schicksproblemen der Juden in Auschwitz; Sterblichkeit). 1964, 88—90.

Zob. też. poz. 54, 286, 470, 555, 593, 594.

X. Lekarze w wojsku i w partyzantce (Physicians in the military service and underground movement. Ärzte in der Armee und bei den Partisanen)

429. Brzeziński T.: Służba zdrowia 1 i 2 Armii Wojska Polskiego w działaniach bojowych o wyzwolenie kraju. (The health service of the 1st and 2[nd] Polish armies in the combat for liberation of the country. — Der Gesundheitsdienst der 1. und 2. Armee des Polnischen Streitkräfte in den Operationen um die Befreiung des Landes). 1975, 79—85.

430. Garnuszewski Z.: Wspomnienia lekarza z konspiracji i partyzantki. (Reminiscences of a physician in the conspiration and partisan movement. — Erinnerungen eines Arztes in der Konspiration und Partisaneabteilung). 1967, 184—191.

431. Gerwel T.: Służba zdrowia w obronie Wybrzeża w r. 1939. (Health service during the defense of the seacoast in the year 1939. — Der Gesundheitsdienst während der Verteidigung der Meeres-Küste im Jahre 1939). 1981, 80—92.

432. Kłodziński S.: Dr Ignacy *Chrzanowski* w służbie zdrowia Armii „Małopolska" i w konspiracji. (Ignacy *Chrzanowski*, M. D., in the medice health service in „Małopolska" Army and in conspiration. — Dr. Ignacy *Chrzanowski* im Gesundheitsdienst der Armee „Małopolska" und in der Konspiration). 1979, 74—81.

433. Raiter A. W.: Wspomnienia z piotrkowskiej partyzanckiej służby sanitarnej. (Reminiscences from health service for partisans in Piotrków. — Erinnerungen aus dem Partisanen-Gesundheitsdienste in Piotrków). 1981, 155—159.

434. Salwa („Mazur") W.: Wspomnienia rannego partyzanta. (Reminiscences of a wounded partisan. — Erinnerungen eines verwundeten Partisanen). 1968, 225—227.

435. Sowiakowski J.: Okupacyjne wspomnienia z Janowa Lubelskiego. (Reminiscences from the Occupation in Janów Lubelski. — Erinnerungen aus der Okkupationszeit in Janów Lubelski). 1968, 236—243.

436. Terlecki O.: Służba zdrowia Drugiego Korpusu Polskiego w bitwie o Monte Cassino. (Medical health service of the Second Polish Corps in Monte Cassino battle. — Der Gesundheitsdienst im II. Polnischen Korps während der Schlacht um Monte Cassino). 1980, 92—100.

Zob. też poz. 339, 340, 451—455, 458—462, 466—468, 470—474, 477, 480, 485, 487, 488, 490, 491, 493, 496, 499, 500, 502, 504, 505, 508, 509, 515, 517—519, 521, 523, 524, 530, 535, 660, 731.

XI. Relacje pielęgniarek (Nurses' reports. Berichte von Pflegerinnen)

437. Adam M.: Relacja pielęgniarki uwięzionej w Brzezince. (Reminiscences of a nurse prisoner in Birkenau. — Bericht einer im Lager Birkenau inhaftierten Pflegerin). 1970, 168—169.

438. Lorenczuk W.: Wspomnienia z prac ekshumacyjnych na Pomorzu po wyzwoleniu. (Reminiscences from the exhumations in Pomerania after the liberation. — Erinnerungen an Exhumierungsarbeiten in Pommern nach der Befreiung). 1967, 224—225.

439. Masłowski J.: Uwagi o pielęgiarskiej tematyce okupacyjnej. (Nursing matters during the Occupation. — Bemerkunken zur Pflegerinnenthematik während der Okkupation). 1970, 277—281.

440. Orlicka Z.: Z okupacyjnych przeżyć pielęgniarki w Warszawie. (Occupational experiences of a nurse in Warsaw. — Okkupationserlebnisse einer Pflegerin in Warszawa). 1970, 246—252.

441. Rawska H.: Ze wspomnień okupacyjnych pielęgniarki z Ursusa. (Reminiscences of a nurse from the Okkupation in Ursus. — Okkupationserinnerungen einer Pflegerin in Ursus). 1966, 142—145.

442. Urbanek B.: Z konspiracyjnej działalności sanitariuszek i pielęgniarek w okupowanej Warszawie, 1939—1944. (From the underground health service in Warsaw, 1939—1944. — Konspirationsdienst der Sanitätsgehilfinnen und Pflegerinnen im okkupierten Warschau, 1939—1944). 1980, 137—141.

443. Wilkońska M.: Pół roku pracy w szpitalu więziennym podczas okupacji. (Six month's work in a prison hospital during the Occupation. — Ein halbes

Jahr Arbeit im Gefängnis-Spital während der Okkupation). 1970, 253—257.

Zob. też poz. 249, 270, 271, 317, 404, 448, 457, 480, 486, 506, 513, 514, 583, 641.

XII. Czerwony Krzyż i „patronaty" (Red Cross and „Patronages". Das Rote Kreuz und die „Patronate"

444. Czejkowa Z.: Z historii pomocy więźniom w Tarnowie. (Help for prisoners in Tarnów. — Aus der Geschichte der Hilfe für Häftlinge in Tarnów). 1971, 139—141.

445. Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Piotrkowski Polski Czerwony Krzyż w latach okupacji. (The Red Cross in Piotrków during the years of the Occupation. — Das Polnische Rote Kreuz in Piotrków während der Okkupation). 1970, 136—141.

446. Kłodziński S.: Krakowski „Patronat" więzienny. (The Cracow prison „Patronage". — Das Krakauer Gefängnis-„Patronat"). 1972, 168—176.

447. Kłodziński S.: Paczki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla więźniów Oświęcimia. (International Red Cross packages for Auschwitz prisoners. — Packete des Internationalen Roten Kreuzes für Häftlinge in KL Auschwitz). 1967, 122—125.

448. Kłodziński S.: Pomoc wysiedlanym przez hitlerowców w świetle relacji sióstr PCK, Stefanii *Rzącowej* i Marii *Osińskiej*. (Help to prisoners displaced by the Nazis in the light of reminiscences of the Polish-Red-Cross sisters Stefania *Rzącowa* and Maria *Osińska*. — Hilfe für die von den Nazi Ausgesiedelten in Lichte der Berichte von Polnisches-Rotes-Kreuz-Schwestern Stefania *Rzącowa* and Maria *Osińska*). 1966, 87—89.

449. Łakociński Z.: Folke *Bernadotte* i akcja Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. (Folke *Bernadotte* and the action of the Swedish Red Cross. — Folke *Bernadotte* und die Aktion des Schwedischen Roten Kreuzes). 1968, 145—152.

450. Nowodworska I., Rörichowa M., Pędowski K.: Opieka „Patronatu" nad więźniami. (The „Patronage" and its care for prisoners. — Die Fürsorge des „Patronates" für Häftlinge). 1971, 37—42.

Zob. też. poz. 159, 179, 196, 506, 520, 548, 570, 622.

XIII. Szpitale w tzw. Generalnym Gubernatorstwie (Hospital in the so-called Generalgouvernement. Spitäler im sog. Generalgouvernement)

451. Bayer S.: Relacja ze Szpitala Ujazdowskiego. (An account from the Ujazdowski Hospital. — Mitteilungen aus dem Ujazdowski Spital). 1974, 183—190.

452. Bayer S.: Z historii warszawskich szpitali powstańczych. (History of hospitals in the Warsaw uprising. — Aus der Geschichte der Spitäler während des Warschauer Aufstandes). 1975, 149—154.

453. Białokoz M.: Ewakuacja niektórych szpitali po kapitulacji powstania warszawskiego. (Evacuation of some hospitals after the capitulation of the Warsaw uprising. — Die Evakuierung einiger Spitäler nach der Kapitulation des Warschauer Aufstandes). 1970, 120—129.

454. Białokoz M.: Sanatorium Przeciwgruźlicze ZUS w Kobierzynie pod okupacją hitlerowską. (The Z. U. S. [Social Insurance Institution] Tuberculosis Sanatorium in Kobierzyn under the Nazi occupation. — Das Tuberkulose ZUS [Soziale Versicherungsanstalt] Sanatorium in Kobierzyn während der Nazi-Okkupation). 1970, 141—143.

455. Białokoz M.: Z historii służby zdrowia Warszawy Śródmieścia w powstaniu warszawskim. (History of the health service in the Wársaw-Midtown district during the Warsaw uprising. — Aus der Geschichte des Gesundheitsdienstes in Warschau-Innenstadt während der Warschauer Aufstandes). 1970, 113—119.

456. Chaciński A.: Szpital Maltański w okupowanej Warszawie. (The Maltan Hospital in occupied Warsaw. — Das Maltaner Spital im okkupierten Warschau). 1975, 143—148.

457. Gołębiowska J.: Szpitalik polowy w Sielcu Kolonii. (Field hospital in Sielec Kolonia. — Ein Feldlazarett in Sielec Kolonia). 1978, 184—187.

458. Kulikowska A.: Okupacyjne wspomnienia ze Szpitala Psychiatrycznego w Gostyninie. (Reminiscences from Psychiatric Hospital in Gostynin during Nazi occupation time. — Okkupations-Erinnerungen aus dem psychiatrischen Spital im Gostynin). 1977, 211—215.

459. Lityński M.: Oddział chorób wewnętrznych Szpitala Ujazdowskiego podczas okupacji hitlerowskiej. (The Department of Internal Diseases in Ujazdowski Hospital during the Nazi occupation. — Die Abteilung für Innere Krankenheiten im Ujazdowski Spital während der Nazi-Okkupation). 1974, 172—183.

460. Misiewicz J.: Zapiski z dni powstania warszawskiego w Szpitalu Wolskim. (Diary from the days of the Warsaw uprising from the Wolski Hospital. — Notizen von den Tagen des Warschauer Aufstandes im Wolski-spital). 1967, 147—156.

461. Mistecka L.: Szpital przy ulicy Mokotowskiej 55 w powstańczej Warszawie. (The hospital on 55 Mokotowska street in Warsaw during uprising. — Das Spital in der Mokotowska-Str. 55 während des Warschauer Aufstand). 1978, 140—143.

462. Nowak T.: W krakowskim szpitalu dla dzieci podczas okupacji hitlerowskiej. (In the children hospital in Cracow during Nazi occupation. — Im krakauer Kinder-Spital während der Nazi-Okkupation). 1978, 180—184.

463. Ryn Z.: Zakopiańskie placówki służby zdrowia podczas okupacji hitlerowskiej. (Health institutions in Zakopane during Nazi occupation. — Die Institutionen des Gesundheitsdienstes in Zakopane während der Nazi-Okkupation). 1981, 114—121.

464. Sroczyński K.: Szpitale warszawskie w okresie okupacji hitlerowskiej. (Warsaw hospitals during the Nazi occupation. — Warschauer Krankenhäuser während der Nazi-Okkupation). 1976, 109—117.

465. Sznajder T.: Były Oddział Zakaźny Państwowego Szpitala św. Łazarza w Krakowie w czasie okupacji. (The former Department of Infectious Diseases in the St. Lazarus State Hospital in Cracow during the Okkupation. — Die ehemalige Abteilung für Infektionskrankheiten des staatlichen St. Lazarus Spitals in Kraków während der Nazi Okkupation). 1967, 61—62.

466. Wacek S.: W Szpitalu Ujazdowskim podczas okupacji hitlerowskiej. (In the Ujazdowski Hospital during the Nazi occupation. — Im Ujazdowski-Spital während der Nazi Okkupation). 1970, 104—112.

467. Włoczewski A.: Ursus a powstanie warszawskie. Wspomnienie lekarza. (Ursus and the Warsaw uprising. Reminiscences of a physician. — Ursus und der Warschauer Aufstand. Erinnerungen eines Arztes). 1966, 140—142.

468. Wolf A.: Kwatermistrzostwo Szpitala Ujazdowskiego (1939—1942). (Quartermaster department of the Ujazdowski Hospital 1939—1942. — Quartiermeisteramt des Ujazdowski Spitales 1939—1942). 1976, 118—124.

469. Zdanowski J.: Hitlerowska polityka żywienia chorych w szpitalach Generalnej Guberni. (The Nazi policy of patients feeding in hospitals of the Generalgouvernement. — Die Nazi Ernährungspolitik der Kranken in den Spitälern des Generalgouvernements). 1972, 57—59.

Zob. też. poz. 400, 470—474, 477, 490, 522, 528.

XIV. Życie i walka pod okupacją (Life and struggle under der Nazi occupation. Leben und Kampf während der Okkupation)

470. Aleksandrowicz J.: Ludzie służby zdrowia w okupowanym i podziemnym Krakowie. (People of the health service in occupied and underground Cracow. — Menschen des Gesundheitsdienstes im okkupiertem und unterirdischen Kraków). 1963, 129—134.

471. Bayer S.: Służba zdrowia obwodu Żoliborz w powstaniu warszawskim. (Health service in the Żoliborz district during the Warsaw uprising. — Der Gesundheitsdienst des Bezirkes Żoliborz im Warschauer Aufstand). 1975, 154—158.

472. Bayer S.: Służba zdrowia Pragi w czasie powstania warszawskiego. (Medical health service in Praga during Warsaw uprising. — Der Gesundheitsdienst im Stadtbezirk Praga während des Warschauer Aufstandes). 1979, 120—124.

473. Bayer S.: Warszawska powstańcza służba zdrowia obwodu Śródmieście. (The midtown health service during the Warsaw uprising. — Der Gesundheitsdienst während des Aufstandes im Stadtviertel Innenstadt). 1976, 125—129.

474. Bayer S.: Z dziejów konspiracyjnej służby zdrowia w Warszawie (1939—1944). (From the history of underground health service in Warsaw, 1939—1944. — Aus der Geschichte des Konspirations-Gesundheitsdienstes in Warschau, 1939—1944). 1980, 131—137.

475. Bernard H.: Relacja z lat wojny. (Wartime reminiscences. — Berichte aus den Kriegsjahren). 1970, 147—150.

476. Byrdy M.: Z działalności identyfikacyjnej pracowników Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie podczas okupacji. (Identification activities of the workers of the Institute of Forensic Medicine in Cracow during the Occupation. — Aus der Identifikationstätigkeit des Institutes für Gerichtliche Medizin in Krakau während der Okkupation). 1971, 13—14.

477. Ciećkiewicz M.: Krakowska służba zdrowia w czasie okupacji. (The Cracow health service during the Occupation. — Der krakauer Gesundheitsdienst während der Okkupation). 1975, 128—137.

478. Ciećkiewicz M.: Lecznictwo ubezpieczeń społecznych w Polsce w czasie okupacji. (The insurance health service in Poland during the Occupation. — Die Behandlung der Sozialversicherten in Polen während der Okkupation). 1965, 65—86.

479. Ciećkiewicz M.: Ubezpieczalnia Społeczna w dobie okupacji w tzw. Generalnej Guberni. (The Health Insurance during the Occupation in the so-called Generalgouvernement. — Die Soziale Gesundheitsversicherungsanstalt während der Okkupation im Generalgouvernement). 1963, 124—129.

480. Czejkowa Z.: „Wrześniowe" szpitale w Tarnowie. („September"-hospitals in Tarnów [in the year 1939]. — Die „September" Spitäler in Tarnów [in d. J. 1939]). 1971, 135—139.

481. Czuj T., Kempisty C.: Z zagadnień sytuacji zdrowotnej Polaków górnośląskich w okresie okupacji. (The health situation of Poles in Upper Silesia during the Occupation. — Probleme der Gesundheitssituation der Polen in Oberschlesien während der Okkupation). 1972, 59—63.

482. Frankowski A.: „Czarna niedziela" w Krakowie. („Black Sunday" in Cracow. — Der „Schwarze Sonntag" in Kraków). 1974, 157—159.

483. Frąckowski K.: Pomorze w cieniu swastyki (Pomerania in the shadow of the swastika. — Pommern im Schatten des Hakenkreutzes). 1970, 75—80.

484. Gackowa M.: Pierwsze ofiary okupanta w Krakowie Podgórzu. (The first victims of occupant in Cracow-Podgórze. — Die ersten Opfer des Okkupanten in Krakau-Podgórze). 1980, 146—147.

485. Gerwel T.: Służba zdrowia Marynarki Wojennej w konspiracji 1941—1945. (Health service of the Polish navy in conspiration. — Der Gesundheitsdienst der Kriegsmarine in der Konspiration). 1981, 92—95.

486. Grajkowska-Bryjowa M.: Wspomnienia z ludowej konspiracji. (Reminiscences of the peasant conspiration. — Erinnerungen aus der Bauernkonspiration). 1969, 125—129.

487. Grochmal S.: Epizody z okupacyjnych przeżyć lekarza w Tarnowskiem. (Reminiscences of occupation episodes of a physician in the Tarnów district. — Episoden aus den Okkupations-Erlebnissen eines Arztes im Gebiet von Tarnów). 1972, 177—181.

488. Jaroszewski Z., Tarmanowska B.: Dzieci w Instytucie Higieny Psychicznej (w Warszawie, 1943—1944). (Children in Institute for Psychic Hygiene, Warsaw 1943—1944. — Kinder im Institut für psychische Hygiene, Warschau 1943—1944). 1981, 152—155.

489. Jekiełek („Żmija") W.: Akcja pomocy Batalionów Chłopskich więźniom obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. (Help to the prisoners of the Auschwitz-Birkenau concentration camp by the Peasants' Battalions. — Hilfsaktionen der Bauern-Bataillone für Häftlinge des Konzentrationslagers Auschwitz-Birkenau). 1966, 120—131.

490. Kasperek J.: Zarys organizacji służby zdrowia w Lublinie w okresie okupacji hitlerowskiej. (Ground plan of organization of medical health service in Lublin under Nazi occupation. — Die Organisation des Gesundheitsdienstes in Lublin während der Nazi-Okkupationszeit). 1980, 149—157.

491. Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Konspiracyjna służba zdrowia w Piotrkowskiem. (The conspirational health service in Piotrków county. — Der Konspirationsgesundheitsdienst im Gebiet von Piotrków). 1970, 130—135.

492. Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Udział kobiet w piotrkowskim ruchu oporu. (The role of women in the Piotrków resistance movement. — Teilnahme der Frauen an der Widerstandsbewegung im Gebiet von Piotrków). 1972, 165—168.

493. Kiciarski („Jur") M.: Olkusz pod okupacją hitlerowską. Wspomnienia lekarza. (Olkusz under Nazi occupation. Reminiscences of a physician. — Olkusz während der Nazi-Okkupation. Erinnerungen eines Arztes). 1968, 228—235.

494. Kielanowski T.: Z okupowanego Lwowa. (Lwów under the Nazi occupation. — Lwów unter der Nazi-Okkupation). 1971, 109—113.

495. Kiełkowski R.: Rządy Hansa *Franka* w świetle dokumentacji Rady Głównej Opiekuńczej. (The rule of Hans *Frank* in the light of documentation of the Chief Care Council. — Die Regierung von Hans *Frank* in Lichte der Dokumentation des Hauptfürsorgerates). 1968, 126—145.

496. Kłodziński S.: Z okupacyjnych dziejów Podhala. Dr Leopold *Bednarczyk*. (The Podhale region during the Occupation. Leopold *Bednarczyk* M. D. — Okkupationsgeschichte des Podhale region. Dr Leopold *Bednarczyk*). 1971, 104—109.

497. Korczyńska A.: Przyczynek do zagadnienia pomocy więźniom Oświęcimia-Brzezinki. (Contribution to the problem to help to the prisoners of Auschwitz-Birkenau camp. — Beitrag zum Problem der Hilfeleistung den Häftlingen von Auschwitz-Birkenau). 1980, 113—118.

498. Kowalczyk J.: Z pierwszych dni września 1939 r. w Krakowie. (From the first days of September 1939 in Cracow. — Aus den ersten September-Tagen 1939 in Kraków). 1981, 138—143.

499. Kowalczyk S.: Z konspiracji krakowskiej w latach 1941—1942. (The underground in Cracow in the years 1941—1942. — Die krakauer Undergrundbewegung in den Jahren 1941—1942). 1974, 149—156.

500. Kujawski Z.: Chirurg w konspiracyjnej warszawskiej służbie zdrowia. (A surgeon in the conspirational health service in Warsaw. — Der Chirurg im Warschauer Konspirations-Gesundheitsdienst). 1971, 71—79.

501. Kuś J.: Pomoc więźniom Montelupich w latach 1939—1941. (Help to prisoners of the Montelupi prison in 1939—1941. — Hilfe für Montelupihäftlinge in den Jahren 1939—1941). 1975, 121—128.

502. Majkowski J.: W służbie sanitarnej Warszawy pod okupacją. (The report from the Warsaw sanitary service during the Nazi occupation. — Im Sanitätsdienst Warschau's während der Nazi-Okkupation). 1977, 148—157.

503. Lebioda J.: Na pomoc uchodźcom z powstańczej Warszawy. (Help for fugitives from the Warsaw uprising. — Hilfe für die aus dem warschauer Aufstand Entkommenen). 1973, 128—137.

507. Marczyński A.: W konspiracji krakowskiej. Dr Marian Jan *Mossler*. (In Cracow's conspiration. Marian Jan *Mossler* M. D. — In der krakauer Konspiration. Dr. Marian Jan *Mossler*). 1978, 144—147.

505. Marczyński A.: Z dziejów służby zdrowia na okupowanym Podhalu. (Health service in the Podhale region during the Occupation. Aus der Geschichte des Gesundheitsdienstes des Podhale Region). 1974, 160—172.

506. Matus B.: Zielony Krzyż, służba sanitarna Batalionów Chłopskich. (The Green Cross, the sanitary service of the Peasant's Battalions. — Das Grüne Kreuz, Sanitätsdienst der Bauern-Bataillone). 1968, 117—125.

507. Mazurkiewicz-Pieńkowska M. R.: Transport uratowany przed Oświęcimiem. Wspomnienia lekarki. (A transport saved from Auschwitz. Reminiscences of a woman physician. — Ein vor Auschwitz geretteter Transport. Erinnerungen einer Ärztin). 1969, 157—160.

508. Moska D.: Konspiracyjna służba zdrowia w byłej rejencji katowickiej. (The underground health service in the former Katowice province. — Der Konspirations-Gesundheisdienst im ehemaligen Regierungsbezirk Kattowitz). 1977, 172—183.

509. Moska D.: Postawa lekarzy i farmaceutów polskich na okupowanym Górnym Śląsku. (The attitude of physicians and pharmacists in occupied Upper Silesia. — Die Haltung der polnischen Ärzte und Apotheker im okkupierten Oberschlesien). 1972, 63—71.

510. Moska D.: Społeczeństwo śląskie z pomocą jeńcom wojennym. (Help to prisoners of war from the inhabitants of Silesia. — Die schlesische Gesellschaft hilft den Kriegsgefangenen). 1975, 115—121.

511. Mostowski J.: Zakłady profesora *Bujwida* dla wyrobu surowic i szczepionek w Krakowie i ich współpraca z ruchem oporu i obozami koncentracyjnymi. (Profesor *Bujwid's* Laboratory for production of sera and vaccines in Cracow and its collaboration with the resistance movement and concentration camps. — Professor *Bujwids* Anstalten für die Erzeugung von Serum und Impfstoffen in Kraków und deren Zusammenarbeit mit der Undergrundbewegung in der Konzentrationslagern). 1963, 135—137.

512. Mysakowska H.: Z okupacyjnych losów przeciwgruźliczej lubelskiej służby zdrowia. (The antituberculosis service in Lublin during the Occupation. — Schicksal des Lubliner antituberkulosen Gesundheitsdienstes während der Okkupation). 1976, 142—149.

513. Namitkiewicz Z.: Przygotowanie harcerek do służby sanitarnej w drugiej wojnie światowej. (Training of girl scouts for the health service during II. World War. — Vorbereitung der Pfadfinderinnen für den Sanitätsdienst im zweiten Weltkrieg). 1976, 129—135.

514. Namitkiewicz Z.: Studentki medycyny w harcerskiej służbie sanitarnej. (Medicine women students in the Polish scout sanitary service. — Studentinen der Medizin im Pfadfinder-Sanitätsdienst). 1977, 145—148.

515. Perzanowska S.: Z okupacyjnych dziejów radomskiej służby zdrowia. (The Radom health service during the Occupation. — Aus der Geschichte des Radom'er Gesundheitsdienstes während der Okkupation). 1973, 164—168.

516. Popielski B.: Zakład Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego podczas okupacji hitlerowskiej. (The Department of Forensic Medicine of the Jagellonian University during the Nazi occupation. — Institut für Gerichtliche Medizin der Jagiellonian Universität während der Nazi-Okkupation). 1968, 92—98.

517. Pliś M.: Służba zdrowia w Łańcuckiem podczas okupacji. (Health service in the Łańcut region during the Occupation. — Der Gesundheitsdienst im Gebiet von Łańcut während der Okkupation). 1976, 136—142.

518. Przychodzki M.: Lekarze poznańscy w czasie okupacji na tle ludobójczej polityki hitlerowskiej. (Physicians from Poznań as a victims of the Nazi extermination policy. — Die Ärzte aus Poznań während der Okkupation und die Nazi Völkermord-Politik). 1977, 158—172.

519. Przychodzki M.: Martyrologia lekarzy wielkopolskich podczas okupacji hitlerowskiej. (The martyrology of physicians from Great-Poland-district during Nazi occupation. — Die Leidensgeschichte der Ärzte aus Grosspolen während der Nazi Okkupation). 1978, 116—131.

520. Ryn Z.: „Błękitny Krzyż" podczas okupacji hitlerowskiej. (The "Blue Cross" during the Nazi occupation. — Das „Blaue Kreuz" während der Nazi-Okkupation). 1970, 66—74.

521. Ryn Z.: Lekarze zakopiańscy podczas okupacji. (Physicians of Zakopane during the Occupation. — Ärzte aus Zakopane während der Okkupation). 1971, 96—103.

522. Rzeźnik S.: Wykradzenie więźnia obozu w Oświęcimiu Tadeusza *Orzelskiego* ze Szpitala św. Łazarza w Krakowie 11 VI 1941 r. (Stealing of the Auschwitz prisoner Tadeusz *Orzelski* from the St. Lazarus Hospital in Cracow, June 11, 1941. — Entführung des Häftlings des KL Auschwitz Tadeusz *Orzelski* aus dem St. Lazarus Spital in Kraków am 11 VI 1941). 1966, 132—133.

523. Sadowski C.: Nocna przepustka. (The night permission. — Der Nacht-Passierschein). 1978, 187—189.

524. Sadowski C.: W sanitariacie „Kedywu". (In the „Kedyw" sanitary service. — Im Sanitariat des „Kedyw"). 1973, 158—164.

525. Seweryn T.: Okupacji dzień powszedni. (An ordinary day during the Nazi occupation. — Der Alltag während der Nazi-Okkupation). 1970, 178—197.

526. Seweryn T.: „Wisła" na falach eteru. („Wisła" on the ether waves. — „Wisła" in den Ätherwellen). 1965, 152—159.

527. Starczewski J.: Uwagi o służbie zdrowia w okupowanej Warszawie. (Remarks on the health service in occupied Warsaw. — Bemerkungen zum Gesundheitsdienst im okkupierten Warschau). 1976, 105—108.

528. Ströder J.: Pokłosie pobytu w Krakowie w latach wojny. (Aftermath of staying in Kraków during the II World War. — Das Fazit des Aufenthaltes in Krakau während der Kriegsjahre). 1980, 141—144.

529. Ślusarczyk W.: W partyzantce na Kielecczyźnie. (Underground army in Kielce district. — Bei Partisanen im Gebiet von Kielce). 1979, 139—142.

530. Tycner H.: Grupa doktora Franciszka *Witaszka* w wielkopolskim ruchu oporu. (The group of Franciszek *Witaszek*, M. D., in the Great-Poland resistance movement. — Die Gruppe des Dr. Franciszek *Witaszek* in der Grosspolen Widerstandsbewegung). 1967, 131—147.

531. Walter-Janke Z.: Z dziejów służby zdrowia okupowanego Śląska. (Medical health service under Nazi occupation in Silesia. — Aus der Geschichte des Gesundheitsdienstes des okkupierten Schlesiens). 1980, 104—112.

532. Wawrzecki A., Kłodziński S.: Praca konspiracyjna i straty osobowe Ubezpieczalni Społecznej w okupowanym Krakowie. (The underground activity and personnel losses of the Social Insurance Institution in occupied Cracow. — Die Konspirationsarbeit und die Personalverluste der Sozialen Gesundheitsversicherungsanstalt in Kraków während der Okkupation). 1973, 122—128.

533. Woytowicz B.: W okupowanej Warszawie. (In occupied Warsaw. — In okkupierten Warschau). 1969, 117—125.

534. Zabłotniak R.: Białostocka służba zdrowia podczas okupacji hitlerowskiej. (The health service in Białystok during the Nazi occupation. — Der Gesundheitsdienst von Białystok während der Okkupation). 1967, 63.

535. Zabłotniak R.: Pomoc lekarzy dla ruchu oporu we wschodniej Białostocczyźnie. (Help of physicians to the resistance movement in the eastern Białystok region. — Ärztliche Hilfe für die Widerstandsbewegung im östlichen Gebiet von Białystok). 1968, 116—117.

Zob. też. poz. 33, 38, 49, 57, 58, 94, 159, 250, 282, 299, 340, 344—354, 396, 399, 406—410, 421, 423, 425—427, 430, 432, 433—435, 440—446, 448, 450—469, 537, 539, 540, 545, 546, 571, 578, 580—582, 584, 586, 589, 590—594, 598, 600—603, 615, 622, 629, 631, 638, 651, 659, 660, 669, 671, 673, 675, 678, 679, 681, 689, 694, 698, 699.

XV. Studia medyczne
(Medical studies. Medizinische Studien)

536. Chróścielewski E.: Niektóre polskie studia medyczne w okresie drugiej wojny światowej. (Some Polish medical and pharmaceutical studies during the II. World War. — Manche polnische medizinische Studien während des zweiten Weltkrieges). 1970, 50—57.

537. Maziarski S.: Tajny Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego w okupowanym Krakowie. (The secret medical Faculty in the Jagellonian University in occupied Cracow. — Geheime medizinische Fakultät der Jagiellonischen Universität im okkupierten Kraków). 1973, 110—122.

538. Ryn Z.: Antoni *Kępiński* w Polskim Wydziale Lekarskim w Edynburgu (1945—1946). (Antoni *Kępiński* in Polish Medical Faculty in Edinburgh. 1945—1946. — Antoni *Kępiński* in der polnischen Ärztlichen Fakultät in Edinburgh, 1945—1946). 1979, 95—114.

539. Skowron S.: Relacja z organizacji tajnego nauczania na Studium Farmaceutycznym w Krakowie. (Reminiscences of the organization of secret teaching in the Pharmaceutical Faculty in Cracow. — Bericht von der Organisation des geheimen Unterrichtes im pharmazeutischen Studium in Kraków). 1971, 80—84.

540. Zabłotniak R.: Konspiracyjne studia medyczne i farmaceutyczne w Warszawie. (Conspirational medical and pharmaceutical studies in Warsaw. — Geheime medizinische und pharmazeutische Studien in Warschau). 1970, 58—66.

541. Zabłotniak R.: Polacy studiujący medycynę i farmację w Kownie (1940—1944). (Polish medicine and pharmacy students in Kaunas, 1940—1944. — Polnische Studenten der Medizin und Pharmazie in Kowno, 1940—1944). 1980, 101—104.

542. Zabłotniak R.: Polacy studiujący medycynę i farmację w Rumunii w latach drugiej wojny światowej. (Polish students of medicine and pharmacy in Rumania during the II. World War. — Polen, welche medizinische und pharmakologische Studien in Rumänien während des II. Weltkriegs absolvierten). 1974, 89—92.

543. Zabłotniak R.: Polscy studenci medycyny

i farmacji w uniwersytetach bejruckich (1941—1945). (Polish students of medicine and pharmacy in the universities of Beirut. — Polnische Medizin- und Pharmaziestudenten in den Universitäten von Beirut). 1981, 124—125.

544. Zabłotniak R.: Polskie studia medyczne i farmaceutyczne na Węgrzech w latach II wojny światowej. (Polish medical and pharmaceutical studies in Hungary during the II. World War. — Polnische medizinische und pharmakologische Studien in Ungarn während des II. Weltkriegs). 1979, 82—85.

545. Zabłotniak R.: Studia medyczne w czasie okupacji hitlerowskiej. (Medical studies during the Nazi occupation. — Medizinische Studien während der Nazi-Okkupation). 1968, 71—72.

546. Zabłotniak R.: Szkoły kosmetyki i masażu leczniczego w okupowanej Warszawie. (The cosmetic and massage schools in Warsaw during the Occupation. — Kosmetik- und Heilmassageschulen im okkupierten Warschau). 1978, 138—140.

XVI. Zagadnienia odszkodowań i orzecznictwa (War pensions and compensation problems. Probleme der Entschädigung und Begutachtung)

547. Brzozowski L.: Uwagi dotyczące uprawnień do świadczeń rentowych byłych więźniów obozów koncentracyjnych. (Remarks on the right to pensioning of former prisoners of concentration camps. — Bemerkungen zur Berechtigung zur Rentenenschädigung ehemaliger Häftlinge der Konzentrationslager). 1965, 71—73.

548. Domańska I.: Akcja Polskiego Czerwonego Krzyża na rzecz byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, ofiar zbrodniczych eksperymentów pseudolekarskich. (Action of the Polish Red Cross on behalf of former prisoners of Nazi concentrations camps, victims of criminal of pseudomedical experiments. — Aktion des Polnischen Roten Kreuzes zugunsten von ehemaligen KL-Häftlingen, Opfern der verbrecherischen pseudoärztlichen Experimente). 1965, 70—71.

549. Kłodziński S.: Uwagi dotyczące stanu zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych w związku z orzecznictwem rentalnym. (Remarks to the state of health of former prisoners of concentration camps in connection with certification for pensioning. — Bemerkungen über den Gesundheitszustand ehemaliger KL-Häftlinge im Zusammenhang mit der Renten-Begutachtung). 1965, 73—74.

550. Sobczyk P.: Trudności psychiatrycznego orzecznictwa inwalidzkiego odległych skutków działań wojennych. (The difficulties of psychiatric judicature in cases where invalidism can be a distant effect of hostilities. — Schwierigkeiten der psychiatrischen Invaliditäts-Begutachtung der Spät-Kriegsfolgen). 1980, 86—89.

551. Szymusik A.: Dotyczasowy stan inwalidzkiego orzecznictwa psychiatrycznego dotyczącego byłych więźniów obozów koncentracyjnych. (The present state of certification of psychiatric invalidism of former prisoners of concentration camps. — Bisheriger Stand der psychiatrischen Invaliden-Begutachtung ehemaliger KL-Häftlinge). 1965, 74—75.

552. Szymusik A.: Inwalidztwo wojenne byłych więźniów obozów koncentracyjnych. (War invalidism among former prisoners of concentration camps. — Kriegsinvalidität ehemaliger KL-Häftlinge). 1974, 110—112.

Zob. też poz. 90, 130, 131, 735.

XVII. Sprawozdania (Reports. — Berichte)

553. Bogusz J., Jagoda Z.: VI międzynarodowy kongres lekarski *FIR* (Praga, 30 XI—2 XII 1976 roku). (The 6th International Medical Congress *FIR*, Prague, Nov. 30 — Dec. 2, 1976. — VI. Internationaler Ärztekongress der *FIR*, Prag 30 XI—2 XII 1976). 1978, 224—230.

554. Bogusz J., Masłowski J.: Piąty kongres lekarski *FIR* (w Paryżu, 21—24 września 1970 roku). (The fifth *FIR* Medical Congress, Paris, Sept. 21—24, 1970. — V. Ärztekongress der *FIR*, in Paris 21—24 September 1970). 1972, 211—215.

555. Dauzenroth E., Hampel A., Rogalski S.: Korczakowska problematyka zjazdów międzynarodowych w Giessen (23—25 V 1973 r.) i w Bazylei (28 V—2 VI 1973 r.). (The Korczak problem at international conventions in Giessen, May 23—25, 1973, and Basel, May 28 — June 2, 1973. — Die Korczak Problematik während der International Tagungen in Giessen, 23—25 V 1973, und in Basel, 28 V—2 VI 1973). 1974, 220—224.

556. Jagoda Z., Masłowski J.: Drugi zjazd lekarzy ZBoWiD. Polska medycyna wobec problematyki okupacyjnej. (The second meeting of physicians of the Association of Fighters for Liberty and Democracy, *ZBoWiD*. Polish medicine and problems of the Occupation. — Zweite Tagung der Ärzte des Verbandes der Kämpfer für Freiheit und Demokratie, *ZBoWiD*. Die polnische Medizin und die Okkupationsproblematik). 1969, 184—188.

557. Kępiński A., Masłowski J.: Pierwszy zjazd lekarzy ZBoWiD. Dorobek i perspektywy. (The first meeting of physicians of the Association of Fighters for Liberty and Democracy, *ZBoWiD*. Achievements and prospects. — Erste Tagung der Ärzte des Verbandes der Kämpfer für Freiheit und Demokratie, *ZBoWiD*. Errungenschaften und Perspektiven). 1965, 161—163.

558. Kłodziński S.: III krajowy kongres delegatów ZBoWiD, Warszawa 24—26 IX 1964 r. Z zagadnień socjalno-medycznych kongresu. (The IIIrd National Congress of delegates of the Association of Fighters for Liberty and Democracy, *ZBoWiD*, Warsaw, Sept. 24—26, 1964. Sociomedical problems at the Congress. — III. Landesdelegierten-Tagung des Verbandes der Kämpfer für Freiheit und Demokratie, *ZBoWiD*, Warszawa 24—26 IX 1964. Sozial-medizinische Tagungsprobleme). 1965, 164—165.

559. Masłowski J.: Pokłosie konkursu Krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego i Akademii Medycznej w Krakowie. (Aftermath of the competition of the Cracow Medical Society and Medical Academy in Cracow. — Ergebnisse des Konkurses der Krakauer Ärztegesellschaft und der Medizinischen Akademie in Kraków). 1972, 215—223.

560. Masłowski J.: Rocznice oświęcimskie w Krakowskim Towarzystwie Lekarskim. (Auschwitz anniversaries in the Cracow Medical Society. — Auschwitzer Jahrestage in der Krakauer Ärztegesellschaft). 1971, 142—152.

561. Masłowski J.: [Trzydziesta piąta] 35. rocznica wyzwolenia Oświęcimia w Towarzystwie Lekarskim Krakowskim. (35. anniversary of deliberation of Auschwitz in the Cracow Medical Association. — Die 35. Jahresfeier der Befreiung von Auschwitz in der Krakauer Ärztegesellschaft). 1981, 210—215.

562. Masłowski J.: Trzydziesta rocznica oswobodzenia Oświęcimia w Towarzystwie Lekarskim Krakowskim. (Thirtieth anniversary of liberation of the Auschwitz camp, celebration by the Cracow Medical-Society. — Die dreissigste Jahresfeier der Befreiung von Auschwitz in der Krakauer Ärztegesellschaft). 1976, 200—212.

563. Masłowski J.: Z korespondencji zeszytów „Oświęcim" „Przeglądu Lekarskiego". (From the correspondence of periodic "Auschwitz" of "Przegląd Lekarski" [Medical Review]. — Aus der Korrespondenz der Hefte „Auschwitz" des „Przegląd Lekarski" [Medizinische Rundschau]). 1979, 229—235.

564. Masłowski J.: Z korespondencji zeszytów „Oświęcim" „Przeglądu Lekarskiego" (II). (From the correspondence of periodic "Auschwitz" of "Przegląd Lekarski" [Medical Review], II. — Aus der Korrespondenz der Hefte „Auschwitz" des „Przegląd Lekarski" [Medizinische Rundschau], II). 1980, 206—212.

565. Masłowski J.: Z korespondencji zeszytów „Oświęcim" „Przeglądu Lekarskiego" (III). (From the correspondence of periodic "Auschwitz" of "Przegląd Lekarski" [Medical Rieview], III. — Aus der Korrespondenz der Hefte „Auschwitz" des „Przegląd Lekarski" [Medizinische Rundschau], III). 1981, 216—220.

566. Nowak J.: Sprawozdanie z IV kongresu lekarskiego *FIR* w Bukareszcie, 22—27 VI 1964. (Report from the IV. *FIR* Medical Congress in Bucarest, June 22—27, 1964. — Berichterstattung vom IV. Ärztekongress der FIR in Bukarest, 22—27 VI 1964). 1965, 160—161.

567. Oddział krakowski Polskiego Towarzystwa Lekarskiego czci dwudziestą rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. (The Cracow branch of Polish Medical Society celebrates the twentieth anniversary of the liberation of the Auschwitz-Birkenau camp. — Die Krakauer Abteilung der Polnischen Ärztegesellschaft ehrt den 20. Jahrestag der Befreiung des KL Auschwitz). 1966, 220—226.

568. Pituch A.: Studenci o zbrodniach hitlerowskich. Seminarium ogólnopolskie. (Report from the Polish Student National Seminar about Nazi crimes. — Die Studenten über die Nazi-Verbrechen. Allgemeinpolnisches Seminar). 1969, 189—190.

569. Wesełucha P.: Uwagi o swoistości psychicznej byłych więźniów. (Remarks on mental specifity of former prisoners. — Bemerkungen über psychische Spezifität ehemaliger Häftlinge). 1968, 262—265.

570. Züger P.: Z działalności Międzynarodowej Służby Poszukiwań w Arolsen. (International Tracing Service in Arolsen. — Die Internationale Suchdienst in Arolsen). 1980, 204—205.

Zob. też poz. 5, 171.

XVIII. Spisy imienne (Indexes of names. Namens-Verzeichnisse)

571. Brożek K., Ornowski J.: Próba zestawienia strat wśród lekarzy Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego (1939—1945). (The trial of making up a list of loss among physicians in Silesia and Zagłębie Dąbrowskie, 1939—1945. — Eine Probe der Zusammenstellung von Verlusten an Ärzten in Schlesien und in dem Dąbrowa Bezirk, 1939—1945). 1979, 131—138.

572. Falgowski J.: Esesowska służba zdrowia w obozie na Majdanku. (The *SS* health service in the Majdanek concentration camp. — Der SS Gesundheitsdienst im KL Majdanek). 1970, 172—173.

573. Gliński M.: Obsada szpitala obozowego w Stutthofie. (The personal of the camp hospital in Stutthof. — Das Personal des Lagerspitals in Stutthof). 1971, 69—71.

574. Kiedrzyńska W.: Książka porodów w Ravensbrück. (A record of child deliveries in Ravensbrück. — Das Geburtenbuch in Ravensbrück). 1976, 95—104.

575. Kłodziński S.: Esesmani z oświęcimskiej „służby zdrowia". Wykaz wstępny. (SS-men in the Auschwitz "health service". Preliminary list. — Die SS-Männer im Auschwitzer „Gesundheitsdienst". Vorläufige Liste). 1966, 146—149.

576. Kopyciński A.: Skład orkiestry obozowej w Oświęcimiu. (The orchestra in the Auschwitz concentration camp. — Der Personalbestand des Lagerorchesters im KL Auschwitz). 1966, 217—219.

577. Olszyna R.: Wstępny wykaz lekarzy obozu Gross-Rosen. (Preliminary list of physicians in the Gross-Rosen camp. — Vorläufige Liste der Ärzte im KL Gross-Rosen). 1970, 169—171.

578. Pospieszalski K. M.: Wykaz pracowników Uniwersytetu Poznańskiego zmarłych podczas wojny. (A list of workers of the Poznań University deceased during the war. — Die Mitarbeiterliste der Universität in Poznań, die während des Krieges starben). 1967, 128—131.

579. Walter F. K.: Zmarli podczas wojny profesorowie i docenci Wydziału Lekarskiego UJ. (Professors and associate professors of the Medical Faculty of the Jagellonian University deceased during the war. — Professoren und Dozenten der Ärzte-Fakultät der Jagiellonischen Universität, die während des Krieges verstorben sind). 1964, 50—53.

Zob. też poz. 34, 66, 160, 222, 225, 269, 286, 305, 314, 325, 326, 346, 361, 384, 391, 396, 398, 410, 413, 416, 431, 493, 518, 519, 531, 532, 540, 543, 704.

XIX. Biografie (Biographies. — Biographien)

580. Bayer S.: Płk dr med. Michał *Dobulewicz*. (Colonel Michał *Dobulewicz*, M. D. — Oberst Dr. Michał *Dobulewicz*). 1977, 216—217.

581. Bayer S.: Dr Stefan *Pokrzewiński*. 1980, 189—190.

582. Bayer S.: Płk dr med. Leon *Strehl*. (Colonel Leon *Strehl*, M. D. — Oberst Dr. Leon *Strehl*). 1976 237—238.

583. Bętkowski A.: Kpt. Mieczysław *Słaby*, lekarz z Westerplatte. (Captain Mieczysław *Słaby*, a physician of Westerplatte. — Hauptmann Mieczysław *Słaby*, Arzt aus Westerplatte). 1975, 188—190.

584. Biberstein A.: Wspomnienie o dr Jadwidze *Spoczyńskiej*. (A recollection of Jadwiga *Spoczyńska*, M. D. — Erinnerungen an Dr. Jadwiga *Spoczyńska*). 1974, 218—219.

585. Bogusz J.: Prof. dr Antoni *Kępiński*. 1973, 189—193.

586. Bogusz J.: Dr Mieczysław *Owca-Orwicz*. 1965, 171—172.

587. Brożek K.: Dr Jan *Buzek*. 1980, 187—189.

588. Cholewa L., Kłodziński S., Hałgas K.: Lek. med. Andrzej Rudolf *Nikiel*. (Physician Andrzej Rudolf *Nikiel*. — Arzt Andrzej Rudolf *Nikiel*). 1979, 202—204.

589. Chróścielewski E.: Uwagi w związku z akcją doktora *Witaszka*. Helena *Siekierska*-„Lusia". (Remarks to the activities of physician *Witaszek*, Helena *Siekierska*-"Lusia". —. Bemerkungen zur Aktion des Doktor *Witaszek*. Helena *Siekierska*-„Lusia"). 1969, 110—112.

590. Denikiewicz W.: Doc. dr Jan *Kowalczyk*. (Assoc. Prof. Jan *Kowalczyk*, M. D. — Doz. Dr. Jan *Kowalczyk*). 1961, 78—79.

591. Dominik M.: Dr Adam *Gradziński*. 1972, 228—232.

592. Dominik M.: Dr Halina *Jankowska*. 1967, 229—236.

593. Dominik M.: Dr Janusz *Korczak* (Henryk *Goldszmit*). 1974, 225—229.

594. Dominik M.: Prof. dr Franciszek *Raszeja*. 1969, 195—198.

595. Falgowski J.: Dr Jan *Řihá*. 1970, 272—273.

596. Gogołowska S.: Jerzy Antoni *Mysakowski*. 1979, 187—188.

597. Hołuj T.: Marian *Toliński*. 1964, 121—122.

598. Jasińska W.: Kilka wspomnień o dr Wandzie *Starkowskiej*. (Reminiscences of Wanda *Starkowska*, M. D. — Erinnerungen an Dr. Wanda *Starkowska*). 1966, 237—238.

599. Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Dr Bolesław *Kwapiński*. 1970, 270—272.

600. Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Dr Antoni *Ostaszewski*. 1969, 205—206.

601. Kiedrzyńska W.: Dr Celina *Choynacka*. 1965, 167—168.

602. Kiedrzyńska W.: Dr Maria *Kujawska*. 1965, 166—167.

603. Kiedrzyńska W., Kępińska-Bazylewicz („Kora") H.: Dwa szkice o prof. dr Jadwidze *Szustrowej*: Koleje życia prof. *Szustrowej*. Prof. *Szustrowa* więźniarką gestapo. (Two reminiscences of Prof. Jadwiga *Szuster*, M. D.: The road of life of the Professor *Szuster*. Prof. *Szuster* — a prisoner of Gestapo. — Zwei Skizzen über die Frau Professor Dr. Jadwiga *Szuster*: Der Lebenslauf der Frau Prof. *Szuster*. Prof. *Szuster* als Gestapo-Häftling). 1969, 191—195.

604. Kieta M.: Prof. dr Jan *Sehn*. 1966, 239—240.

605. Kłodziński S.: Dr Jan Władysław *Brzeski*. 1976, 222—224.

606. Kłodziński S.: Jadwiga *Dąbrowska-Belońska*. 1974, 232—237.

607. Kłodziński S.: Dr Stanisław *Dziurski*. 1976, 224—225.

608. Kłodziński S.: Dr Ludwik *Fischer*, więzień obozu w Gross-Rosen nr 7851. (Ludwik *Fischer*, M. D., prisoner No. 7851 in the Gross-Rosen camp. — Dr. Ludwik *Fischer*, Häftling des KL Gross-Rosen Nr. 7851). 1966, 229—234.

609. Kłodziński S.: Dr Józef *Gałka*. 1981, 184—187.

610. Kłodziński S.: Dr Czesław *Gawarecki*. 1978, 208—211.

611. Kłodziński S.: Płk dr Tadeusz *Gąsiorowski*. (Colonel Tadeusz *Gąsiorowski*, M. D. — Oberst Dr. Tadeusz *Gąsiorowski*), 1979, 199—202.

612. Kłodziński S.: Dr Leon *Głogowski*. 1971, 162—164.

613. Kłodziński S.: Lek. med. Józef *Jabłoński*. (Physician Józef *Jabłoński*. — Arzt Józef *Jabłoński*). 1979, 213—215.

614. Kłodziński S.: Dr Władysława *Jasińska*. 1969, 199—201.

615. Kłodziński S.: Dr Mieczysław *Jaworski*. 1978, 221—223.

616. Kłodziński S.: Dr Zofia *Kączkowska*. 1977, 220—222.

617. Kłodziński S.: Prof. dr Janina *Kowalczykowa*. 1980, 196—200.

618. Kłodziński S.: Dr Tadeusz *Kowalski*. 1978, 211—214.

619. Kłodziński S.: Dr Czesław *Kozłowski*. 1972, 232—234.

620. Kłodziński S.: Dr Witold Paweł *Kulesza*. 1975, 194—195.
621. Kłodziński S.: Dr Ignacy *Kwarta*. 1978, 195—200.
622. Kłodziński S.: Teresa *Lasocka-Estreicher*. 1975, 204—205.
623. Kłodziński S.: Stanisława *Leszczyńska*. 1975, 206—208.
624. Kłodziński S.: Dr Dorota *Lorska*. 1967, 236—241.
625. Kłodziński S.: Dr Czesław *Lutyński*. 1980, 200—203.
626. Kłodziński S.: Dr Roman *Łaba*. 1973, 198—200.
627. Kłodziński S.: Dr Katarzyna *Łaniewska*. 1978, 200—205.
628. Kłodziński S.: Prof. dr Włodzimierz *Ławkowicz*. 1981, 197—202.
629. Kłodziński S.: Dr Stefan *Manitius*. 1979, 180—181.
630. Kłodziński S.: Dr Stanisław *Mazurek*. 1979, 210—213.
631. Kłodziński S.: Dr Marian *Mroczkowski*. 1972, 234—237.
632. Kłodziński S.: Dr Edward *Nowak* (więzień obozu oświęcimskiego nr 447). (Edward *Nowak*, M. D., prisoner in Auschwitz camp No. 447. — Dr. Edward *Nowak*, Häftling im KL Auschwitz Nr. 447). 1971, 156—159.
633. Kłodziński S.: Doc. dr Janusz *Okła*. (Ass. Prof. Janusz *Okła*, M. D. — Doz. Dr. Janusz *Okła*). 1976, 234—236.
634. Kłodziński S.: Dr Tadeusz Tomasz *Orzeszko*. 1976, 232—234.
635. Kłodziński S.: Dr Stefania *Perzanowska*. 1981, 189—197.
636. Kłodziński S.: Dr Stefan *Pizło*, więzień Oświęcimia nr 333. (Dr. Stefan *Pizło*, prisoner No. 333 of the Auschwitz concentration camp. — Dr. Stefan *Pizło*, Häftling im KL Auschwitz Nr. 333). 1970, 258—260.
637. Kłodziński S.: Dr Jerzy *Rajchman*. 1976, 225—227.
638. Kłodziński S.: Dr Feliks *Skalski*. 1979, 182—184.
639. Kłodziński S.: Witold *Słota*. 1979, 205—207.
640. Kłodziński S.: Dr Aleksander *Smerek*. 1965, 172—174.
641. Kłodziński S.: Maria *Stromberger*. 1962, 102—107.
642. Kłodziński S.: Mjr lek. Jan Maria *Suchomel*. (Major physician Jan Maria *Suchomel*. — Major Arzt Jan Maria *Suchomel*). 1979, 207—210.
643. Kłodziński S.: Dr Józef *Szulc*. 1978, 217—220.
644. Kłodziński S.: Dr Wilhelm *Türschmid*. 1970, 261—263.
645. Kłodziński S.: Dr Ludwik Edward *Witkowski*. 1971, 159—162.
646. Kłodziński S.: Ppłk lek. med. Jan *Zielina*. (Lieutenant-Colonel physician Jan *Zielina*. — Oberstleutnant Dr. Jan *Zielina*). 1981, 202—206.
647. Kłodziński S.: Dr Stefan *Żabicki*. 1975, 192—194.
648. Kłodziński S.: Dr Józef *Żegleń*. 1968, 270—271.
649. Kłodziński S., Niedojadło E.: Płk dr med. Czesław Wincenty *Jaworski*. (Colonel Czesław Wincenty *Jaworski*, M. D. — Oberst Dr. Czesław Wincenty *Jaworski*). 1977, 217—220.
650. Kłodziński S., Niewiarowicz R.: Dwie relacje o doktorze Mieczysławie *Kotarbińskim*: Z życiorysu dra *Kotarbińskiego*. Wspomnienie pośmiertne o lekarzu więźniu *Kotarbińskim*. (Two reminiscences of Mieczysław *Kotarbiński*, M. D.: From the biography of Dr. *Kotarbiński*. The posthumous reminiscences about physician-prisoner *Kotarbiński*. — Zwei Berichte über Dr. Mieczysław *Kotarbiński*: Aus dem Lebenslauf des Dr. *Kotarbiński*. Ein Nachruf gewidmet dem Arzt-Häftling *Kotarbiński*). 1970, 264—270.
651. Korczyńska A.: Dr Bolesław *Wiechuła*. 1975, 196—200.
652. Kościuszkowa J.: Dr Stefania *Kościuszkowa*. 1961, 78.
653. Kościuszkowa J.: Dr Ernestyna *Michalikowa*. 1961, 80.
654. Kowalczykowa J.: Prof. dr Marian *Gieszczykiewicz*. 1961, 76—77.
655. Kowalczykowa J.: Dr Witold *Preiss*. 1961, 80—81.
656. Kowalczykowa J.: Dr Maria *Werkenthin*. 1961, 82—83.
657. Lambert M.: Dr Bolesław *Kaczyński*. 1972, 239—242.
658. Lingens E.: Dr Adelajda *Hautval*. 1964, 119—121.
659. Łobodziński J.: Dr Jan *Jarosz*. 1977, 223—225.
660. Marczyński A.: Dr Artur Karol *Werner*. 1981, 206—209.
661. Masłowski J.: Antoni *Kępiński* w latach 1939—1947. 1981, 126—137.
662. Mączka-Patkaniowska Z.: Mgr farmacji Czesław *Mączka*. (Master of pharmacy Czesław *Mączka*. — Magister der Pharmazie Czesław *Mączka*). 1969, 206—209.
663. Mostowski J.: Dr Wilhelm *Türschmid*. 1961, 81—82.
664. Nowak J., Perzanowska S.: Dwugłos o profesorze Mieczysławie *Michałowiczu*: Profesor w obozach kaźni hitlerowskiej. Wspomnienia z Majdanka. (Double concord about Professor Mieczysław *Michałowicz*: Professor in Nazi concentration camps. Reminiscences from Majdanek concentration camp. — Zwei Stimmen über Professor Mieczysław *Michałowicz*: Der Professor in Nazi KL. Erinnerungen aus Majdanek). 1968, 266—269.
665. Opoczyński E.: Dr Henryk *Krause*. 1961, 79.
666. Opoczyński E.: Dr Witold *Kulesza*. 1961, 79.
667. Opoczyński E.: Dr Jan *Malinowski*. 1961, 79—80.
668. Opoczyński E.: Dr Zbigniew *Szawłowski*. 1961, 81.
669. Petelski M.: Dr Józef *Bednarz*. 1981, 173—175.
670. Przerwa-Tetmajer A.: Dr Jerzy *Gromkowski*-„Grzela". 1965, 168—170.
671. Przerwa-Tetmajer A.: Lekarki z organizacji młodzieżowej „Życie", Helena *Wolff* („Anka") i Janina *Zachariasz-Krajewska*. (Women physicians in the youth organization "Życie" ["Life"], Helena *Wolff*-"Anka" and Janina *Zachariasz-Krajewska*. — Ärztinnen aus des Jugendorganisation „Życie" [„Leben"], Helena *Wolff*-„Anka" und Janina *Zachariasz-Krajewska*. 1966, 234—236.
672. Przychodzki M.: Dr Celina *Choynacka*. 1978, 205—208.
673. Przychodzki M.: Dr Stanisław *Janiszewski*. 1981, 180—182.
674. Przychodzki M.: Dr Stanisława *Parczewska*. 1981, 187—189.
675. Przychodzki M.: Płk dr Eugeniusz *Parczewski*. 1981, 177—179.
676. Pytlik D.: Mgr farmacji Maria *Bobrzecka*. (Mgr. Pharm. Maria *Bobrzecka*. — Magister der Pharmazie Maria *Bobrzecka*). 1961, 75—76.
677. Ryn Z.: Dr Tadeusz *Karolini*. 1978, 214—217.
678. Ryn Z.: Dr Władysław *Tondos*. 1976, 228—231.
679. Sembol J.: Dr Wacław *Olszak*. 1981, 169—173.
680. Sienicki W.: Dr Stanisław *Kelles-Krauz*. 1966, 227—228.
681. Sikorski J.: Płk dr Jan *Bularski*. (Colonel Jan *Bularski*, M. D. — Oberst Dr. Jan *Bularski*). 1981, 175—177.
682. Sikorski J.: Mgr farmacji Franciszek *Lechowicz*. (Master of Pharmacy Franciszek *Lechowicz*. — Magister der Pharmazie Franciszek *Lechowicz*). 1974, 229—232.
683. Sikorski J., Kłodziński S.: Mjr dr Marian *Gustek*. (Major Marian *Gustek*, M. D. — Major Dr. Marian *Gustek*). 1981, 182—184.
684. Siniecki B.: Dr Bernard *Filarski*. 1976, 219—220.
685. Siniecki B.: Dr Stefan *Mirau*. 1975, 190—192.
686. Siniecki B.: Dr Aleksander *Witkowski*. 1976, 220—222.
687. Skowron S.: Prof. dr Kazimierz *Kostanecki*. 1972, 224—227.
688. Skrobacki A.: Dr Stanisław Andrzej *Bonikowski*. 1979, 184—186.
689. Szemińska A.: Jadwiga *Jędrzejowska*. 1979, 195—199.
690. Szmaglewska S.: Sylwetki lekarzy — więźniów Oświęcimia. (Silhouettes of physician-prisoners in

Auschwitz. — Silhouetten von Ärzten-Häftlingen des KL Auschwitz). 1964, 116—119.

691. Sztaba R.: O niektórych więźniach Majdanka. (About some prisoners of the Majdanek camp. — Über manche Häftlinge des KL Majdanek). 1969, 173—176.

692. Szymański T.: Dr Franciszek *Gralla*. 1961, 77.

693. Szymusik A., Masłowski J.: Prof. dr Eugeniusz *Brzezicki*. 1976, 213—218.

694. Śliwiński S.: Dr Władysław *Krupa*. 1975, 200—203.

695. Śnieszko T.: Dr Roman *Szuszkiewicz*. 1972, 237—239.

696. Śnieszko T.: Dr Tadeusz *Szymański*. 1971, 153—155.

697. Wąsik A.: Dr Józef *Sohn-Sonecki*. 1973, 194—197.

698. Zastocka W.: Dr Wanda *Baraniecka-Szaynokowa*. 1979, 189—195.

699. Zastocka W.: Dr Zofia *Franio*. 1980, 191—195.

700. Zegarski W.: Dr Witold *Kopczyński*. 1969, 201—204.

Pozycje ujęte pod numerami 590, 652—656, 663, 665—668, 676, 692 zostały opublikowane pod wspólnym tytułem: Sylwetki niektórych zmarłych polskich lekarzy i pracowników służby zdrowia zasłużonych w niesieniu pomocy więźniom Oświęcimia.

(Positions with numbers 590, 652—656, 663, 665—668, 676, 692 have been published under one title: Brief biographies of deceased Polish physicians and health service workers who distinguished themselves helping prisoners of the Auschwitz concentration camp.

Positions erfasst unter den Nummern 590, 652—656, 663, 665—668, 676, 692 wurden unter gemeinsammen Titel veröffentlicht: Silhouetten einiger verstorbenen polnischen Ärzten und Arbeitskräften des Gesundheitsdienstes verdient in der Hilfeleistung für Auschwitzer Häftlinge).

Zob. też poz. 2, 45, 186, 201, 226, 262, 300, 318, 319, 347, 364, 377, 382, 390, 496, 504, 530, 538.

Alfabetyczny wykaz osób będących przedmiotem biografii (The alphabetic list of persons whose biographies were published. Alphabetische Verzeichnis der Personen, deren Biographien veröffentlicht wurden)

Henryk *Axer* (290); Wanda *Baraniecka-Szaynokowa* (698); Leopold *Bednarczyk* (496); Józef *Bednarz* (669); Maria *Bobrzecka* (676); Stanisław Andrzej *Bonikowski* (688); Jan Władysław *Brzeski* (605); Eugeniusz *Brzezicki* (693); Jan *Bularski* (681); Jan *Buzek* (587); Celina *Choynacka* (601, 672); Ignacy *Chrzanowski* (432); Marian *Ciepielowski* (300); Władysław *Czapliński* (171); Jadwiga *Dąbrowska-Belońska* (606); Michał *Dobulewicz* (580); Stanisław *Dziurski* (607); Bernard *Filarski* (684); Ludwik *Fischer* (608); Zofia *Franio* (699); Józef *Gałka* (609); Józef *Garbień* (347); Czesław *Gawarecki* (610); Tadeusz *Gąsiorowski* (611); Marian *Gieszczykiewicz* (654); Leon *Głogowski* (612); Adam *Gradziński* (591); Franciszek *Gralla* (692); Jerzy *Gromkowski-„Grzela"* (670); Marian *Gustek* (683); Adelajda *Hautval* (658); Józef *Jabłoński* (613); Stanisław *Janiszewski* (673); Halina *Jankowska* (592); Jan *Jarosz* (659); Czesław Wincenty *Jaworski* (649); Mieczysław *Jaworski* (615); Władysława *Jasińska* (614); Jadwiga *Jędrzejowska* (689); Bolesław *Kaczyński* (657); Tadeusz *Karolini* (677); Zofia *Kączkowska* (616); Stanisław *Kelles-Krauz* (680); Antoni *Kępiński* (45, 318, 319, 538, 585, 661); Witold *Kopczyński* (700); Janusz *Korczak* (593); Kazimierz *Kostanecki* (687); Stefania *Kościuszkowa* (652); Mieczysław *Kotarbiński* (650); Jan *Kowalczyk* (590); Janina *Kowalczykowa* (617); Tadeusz *Kowalski* (618); Czesław *Kozłowski* (619); Henryk *Krause* (665); Władysław *Krupa* (694); Maria *Kujawska* (602); Witold Paweł *Kulesza* (620, 666); Bolesław *Kwapiński* (599); Ignacy *Kwarta* (621); Teresa *Lasocka-Estreicher* (622); Franciszek *Lechowicz* (682); Stanisława *Leszczyńska* (623); Dorota *Lorska* (624); Czesław *Lutyński* (625); Roman *Łaba* (626); Katarzyna *Łaniewska* (627); Włodzimierz *Ławkowicz* (628); Jan *Malinowski* (667); Stefan *Manitius* (629); Stanisław *Mazurek* (630); Czesław *Mączka* (662); Ernestyna *Michalikowa* (653); Mieczysław *Michałowicz* (664); Jan *Miodoński* (377); Stefan *Mirau* (685); Marian Jan *Mossler* (504); Marian *Mroczkowski* (631); Jerzy Antoni *Mysakowski* (596); Andrzej Rudolf *Nikiel* (588); Edward *Nowak* (632); Janusz *Okła* (633); Jan Stanisław *Olbrycht* (2); Wacław *Olszak* (679); Tadeusz Tomasz *Orzeszko* (634); Antoni *Ostaszewski* (600); Mieczysław *Owca-Orwicz* (586); Stanisława *Parczewska* (674); Eugeniusz *Parczewski* (675); Stefania *Perzanowska* (635); Stefan *Pizło* (636); Stefan *Pokrzewiński* (581); Witold *Preiss* (655); Jerzy *Rajchman* (637); Franciszek *Raszeja* (594); Jan *Řihá* (595); Jan Zygmunt *Robel* (226); Jan *Sehn* (604); Helena *Siekierska-„Lusia"* (589); Feliks *Skalski* (638); Mieczysław *Słaby* (583); Witold *Słota* (639); Aleksander *Smerek* (640); Józef *Sohn-Sonecki* (697); Wincenty *Spaltenstein* (293); Jadwiga *Spoczyńska* (584); Wanda *Starkowska* (598); Izydor *Stella-Sawicki* (382); Leon *Strehl* (582); Maria *Stromberger* (641); Jan Maria *Suchomel* (642); Henryk *Suchnicki* (201); Zygmunt *Szafrański* (308); Zbigniew *Szawłowski* (668); Józef *Szulc* (643); Jadwiga *Szustrowa* (603); Władysław *Szumowski* (390); Roman *Szuszkiewicz* (695); Tadeusz *Szymański* (696); Marian *Toliński* (597); Władysław *Tondos* (678); Wilhelm *Türschmid* (644, 663); Robert *Waitz* (262); Maria *Werkenthin* (656); Artur Karol *Werner* (660); Aleksander *Witkowski* (686); Ludwik Edward *Witkowski* (645); Helena *Wolff-„Anka"* (671); Janina *Zachariasz-Krajewska* (671); Czesław *Zapędowski* (364); Jan *Zielina* (646); Stefan *Żabicki* (647); Józef *Żegleń* (648).

XX. Oceny (Reviews. — Rezensionen)

701. Bogusz J.: Lekarz w Republice Federalnej Niemiec o *Himmlerze* i zbrodniczych eksperymentach. (Comments by a physician from the German Federal Republic about *Himmler* and criminal experiments. — Ein Arzt in der Bundesrepublik Deutschland über *Himmler* und die verbrecherischen Experimente). 1976, 241—243.

702. Bogusz J.: O lekarsko-prawnej analizie zbrodni w Obrzycach. (The medico-legal analyse of the extermination in Obrzyce Hospital. — Ärztlich-rechtliche Analyse der Verbrechen in Obrzyce). 1977, 226—228.

703. Bogusz J.: O wspomnieniach „muzułmana". (About the "Mussulman's"-reminiscences. — Über die Erinnerungen eines „Musselmannes"). 1970, 274—277.

704. Bogusz J.: Słowo końcowe. (Closing word. — Das Schlusswort). 1961, 83—84.

705—725. Bogusz J.: Słowo wstępne. (Foreword. — Vorwort). 1961, 34—35; 1962, 35—37; 1963, 35—41; 1964, 3—7; 1965, 3—12; 1966, 3—13; 1967, 3—12; 1968, 3—16; 1969, 3—12; 1970, 6—17; 1971, 3—9; 1972, 3—14; 1973, 3—11; 1974, 3—12; 1975, 8—14; 1976, 3—12; 1977, 3—16; 1978, 3—15; 1979, 3—17; 1980, 3—20; 1981, 3—14.

726. Buszko J.: Przedmowa. (Preface. — Vorwort). 1975, 3—7.

727. Giza J. St.: Problematyka obozowa w badaniach psychiatrów amerykańskich. (Studies by American psychiatrists on camp problems. — Die Lagerproblematik in der Forschungen amerikanischer Psychiater). 1975, 209—211.

728. Giza J. St.: Studia nad faszyzmem i zbrodniami hitlerowskimi. (Studies on fascism and Nazi crimes. — Studien über Faschismus und Nazi-Verbrechen). 1976, 239—241.

729. Gutt R. W.: Autorzy belgijscy o medycynie *SS*. (Belgian authors of *SS* medicine. — Belgische Authoren über die *SS* Medizin). 1974, 238—240.

730. Gutt R. W.: Gdy upłynęło ponad ćwierć stulecia... (After a quarter of century... — Als über ein Viertel des Jahrhundertes verstrich...). 1975, 212—213.

731. Gutt R. W.: Ludzie, którym odmówiono prawa do człowieczeństwa. Refleksje na temat wspomnień lekarza jeńca. (Denial of the right to humanity. Reflections of a physician-prisoner. — Menschen, welchen man das Recht zur Menschlichkeit absprach. Reflexionen zum Thema Erinnerungen eines Ärztes-Kriegsgefangenen). 1975, 214—216.

732. Kępiński A.: *Homo homini lupus est*. 1971, 165—167.

733. Kępiński A.: Z niemieckich badań nad następstwami przebywania w obozach hilterowskich. (German investigations on sequels of imprisonment in Nazi concentration camps. — Aus deutschen Forschungen über die Folgen der Konzentrationslagerhaft). 1972, 243—246.

734. Kępiński A., Masłowski J.: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964—

Otwarcie wystawy malarstwa ks. Marcina *Dubiela* pt. „Z lat wojny" 13 czerwca 1981 r. w Państwowym Muzeum w Oświęcimiu w 41. rocznicę przywiezienia do obozu oświęcimskiego pierwszego transportu więźniów Polaków; w uroczystości tej wzięła udział również młodzież z Berlina Zachodniego z *Aktion Sühnezeichen* (akcji pokuty); zdjęcie nadesłane z archiwum PMO

1965. (Medical problems of the Occupation in Polish publications in the years 1964—1965. — Ärztliche Okkupationsthematik in polnischen Publikationen aus den Jahren 1964—1965). 1966, 241—247.

735. Kłodziński S.: O orzecznictwie psychiatrycznym wobec prześladowanych przez hitleryzm. (On psychiatric judicature about Nazi persecuted. — Über die psychiatrische Begutachtung der Naziverfolgten). 1981, 221—224.

736. Lingens E.: Nowy sposób oceny zbrodni hitlerowskich. [Recenzja]. (A new method of assessing of Nazi crimes. — Neue Art der Beurteilung von Nazi-Verbrechen). 1967, 242—243.

737—750. Masłowski J.: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1966. (Medical problems of the Occupation in Polish publications in the year 1966. — Ärztliche Okkupationsthematik in polnischen Publikationen aus dem Jahre 1966). 1967, 244—259; ...z roku (in the year — aus dem Jahre) 1967. 1968, 272—281; ...z roku 1968. 1969, 210—220; ...z lat (in the years — aus den Jahren) 1969—1970. 1971, 167—176; ...z roku 1971. 1972, 247—256; ...z roku 1972. 1973, 201—214; ...z roku 1973. 1974, 240—249; ...z roku 1974. 1975, 217—226; ...z roku 1975. 1976, 247—258; ...z roku 1976. 1977, 233—249; ...z roku 1977. 1978, 237—253; ...z roku 1978. 1979, 216—228; ...z roku 1979. 1980, 213—228; ...z roku 1980. 1981, 229—248.

751. Masłowski J.: Okupacyjna tematyka medyczna w Polsce poza „Przeglądem Lekarskim". (Medical topics of the occupation besides "Przegląd Lekarski" [Medical Review]. — Medizinische Okkupationsthematik in Polen ausser dem „Przegląd Lekarski" [Medizinische Rundschau]). 1970, 282—291.

752. Ryn Z.: Z badań nad zachorowalnością i śmiertelnością byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Some studies on morbidity and mortality of former prisoners of Nazi concentration camps. — Studien über die Krankheitshäufigkeit und Sterblichkeit ehemaliger KL Häftlinge). 1977, 229—233.

753. Ryn Z.: Z psychologii i psychopatologii obozów koncentracyjnych i jenieckich. Przegląd piśmiennictwa zachodniego. (From the psychology and psychopathology of concentration and prisoners-of-war camps. — Psychologie und Psychopathologie der Konzentrations- und Kriegsgefangenen-Lager. Übersicht des westlichen Schrifttums). 1978, 231—237.

754. Szczepłek J.: Eksterminacja chorych psychicznie w Trzeciej Rzeszy. (Extermination of mentally ill patients in the Third Reich. — Die Extermination von psychisch Kranken im III. Reich). 1976, 245—247.

755. Zadęcki J.: Pośredni dystans w ocenie wyniszczania psychicznie chorych. (Indirect distance in evaluation of extermination of mentally ill patients. — Die mittelbare Distanz in der Beurteilung der Vernichtung von psychisch Kranken). 1976, 243—245.

756. Zagórska E.: Nad zeszytami „Oświęcimia". (Above the issues "Auschwitz". — Über die Auschwitzer Hefte von „Przegląd Lekarski" [Medizinische Rundschau]). 1981, 224—229.

Zob. też poz. 8, 16, 18, 40, 45, 52, 263, 439.

XXI. Bibliografie
(Bibliographies. — Bibliographien)

757. Jakubik A., Ryn Z.: Pseudomedyczne eksperymenty w obozach hilterowskich. Bibliografia polska 1945—1971. (Pseudomedical experiments in Nazi concentration camps. Polish bibliography 1945—1971. — Die pseudomedizinische Experimente in den Nazi Konzentrationslagern. Polnische Bibliographie 1945—1971). 1973, 72—75.

758. Masłowski J.: Zagadnienia lekarskie okresu okupacji hitlerowskiej. Bibliografia polska 1944—1964. (Medical problems from the period of the Nazi occupation. Polish bibliography 1944—1964. — Ärztliche Probleme der Nazi-Okkupationszeit. Polnische Bibliographie 1944—1964). 1965, 175—189.

Zob. też poz. 358.

WYKAZ AUTORÓW PRAC ZAMIESZCZONYCH
W „PRZEGLĄDZIE LEKARSKIM — OŚWIĘCIM" (1961—1981)

INDEX OF AUTHORS OF CONTRIBUTIONS
IN "PRZEGLĄD LEKARSKI — AUSCHWITZ" (1961—1981)

AUTORENVERZEICHNIS VON ARTIKELN
IN „PRZEGLĄD LEKARSKI — AUSCHWITZ" (1961—1981)

Adam Marianna 437
Adamczyk Anatol 280
Aleksandrowicz Julian 470
Albert Zygmunt 396
Apostoł-Staniszewska Jadwiga 176—178

Bayer Stanisław 331, 451, 452, 471—474, 580—582
Beardwell-Wieleżyńska Myrtle 281
Beaupré Jadwiga 332, 333
Bellert Józef 179
Bernard Henri 475
Bętkowski Andrzej 583
Białokoz Michał 453—455
Białówna Irena 180
Biberstein Aleksander 282, 421, 584
Bilikiewicz Tadeusz 1
Blahá František 92
Bogusz Józef 2, 3, 553, 554, 585, 586, 701—725
Bojar-Fijałkowski Gracjan 4
Brożek Krzysztof 571, 587
Brzezicki Eugeniusz 5, 377, 378
Brzeziński Tadeusz 429
Brzozowski Lesław 547
Budny Jerzy 93
Bulanda Bogusław 344
Buszko Józef 726
Byrdy Maria 476

Capińska Krystyna 94—96
Capiński Tadeusz Zbigniew 95, 96
Celiński Wiesław 353
Cereniewicz Bogusław 334, 335
Chaciński Antoni Jerzy 456
Chlebowska Maria 102
Cholewa Leon 588
Chróścielewski Edmund 6, 353, 536, 589
Ciećkiewicz Marian 477—479
Cielecki Andrzej 130
Ciepielowski Marian 376
Ciepły Józef 283
Ciesielski Edward 181
Cieślawski Marian 336, 337, 401
Cohen Elie A. 97, 98, 422
Cyrankiewicz Józef 7
Czejkowa Zofia 444, 480
Czerucki Władysław 338
Czuj Tadeusz 481

Dangel Jan 182, 385
Danimann Franz 183
Dauzenroth Erich 555
Dąbrowski Stanisław 99, 354
Denikiewicz Władysław 590
Dębicka-Małkowska Danuta 67
Domańska Irena 548
Dominik Małgorzata 68, 100, 101, 105, 591—594
Drohocki Zenon 184
Drozdowski Jerzy 379
Dubiel Antoni 161
Dziaduś Stanisław 144, 145, 162, 185, 284
Dzięcielska-Machnikowska Stefania 8

Fabowska-Grzeżułko Zofia 285
Falgowski Józef 572, 595
Fedorowicz Tadeusz 9, 10
Fejkiel Władysław 186, 355
Foersterling Ewa 67
Forbert Adolf 187
Franaszek Ewa 102
Frančić Vilim 380
Frankl Viktor E. 103
Frankowski Aleksander 482
Frąckowski Kazimierz 286, 346, 483

Gackowa Maria 484
Garmada Ludwik 287
Garnuszewski Zbigniew 430
Garstka Stanley M. 288
Gawalewicz Adolf 5, 11, 12, 188—191
Gawryluk Franciszek 289
Gątarski Julian 104, 105, 127
Gerwel Tadeusz 431, 485
Giza Jerzy Stanisław 106, 107, 727, 728
Glińska Alicja 13—15
Gliński Mirosław 573
Głogowski Leon 192—195, 356
Głowa Stanisław 292
Głowacki Czesław 357
Gogołowska Stanisława 290, 291, 596
Gołębiowska Janina 457
Grajkowska-Bryjowa Maria 486
Grenda Józef 196
Grochmal Stanisław 487
Gutt Romuald Wiesław 16—18, 729—731

Hałgas Kazimierz 146—148, 197, 198, 588
Hampel Adolf 555
Hanke Edward 293
Hein Wincenty 294
Heller Paul 199
Hoehne Teresa 102
Hołuj Tadeusz 5, 597
Hüpsch Stanisław 200

Iwaszko Tadeusz 201

Jabłoński Cezary 423
Jabłoński Józef 163
Jacewicz Wiktor 12
Jagoda Zenon 19, 202—212, 553, 556
Jakubik Andrzej 20—22, 108, 127, 358, 757
Jagielski Stanisław 149
Jaroszewski Zdzisław 488
Jasińska Władysława 598
Jekiełek Wojciech 489
Jezierska Maria Elżbieta 23, 24, 213, 295—297

Kaczyński Antoni 109
Kamieński Bogdan 381
Karbowski Jan 78
Karolini Tadeusz 164
Kasperek Józef 490
Kasperek Stefan 359—362
Kasprzyk Ludwik 339
Kaźmierczak Barbara 130
Kączkowski Zbigniew 214
Kelles-Krauz Stanisław 298
Kempisty Czesław 69—73, 82, 110—112, 481
Kępińska-Bazylewicz Halina 445, 491, 492, 599, 600, 603
Kępiński Antoni 5, 25—32, 113, 215, 732—734
Kiciarski Marian 493
Kiedrzyńska Wanda 574, 601—603
Kielanowski Tadeusz 494
Kiełkowski Roman 33, 299, 363, 495
Kieta Mieczysław 216, 604
Killar Marian 78
Kinal Krystyna 67
Kiwała Julian 217, 218
Kłodziński Stanisław 5, 34—39, 74—76, 114, 115, 201—212, 215, 219—228, 258, 259, 300, 347, 364—369, 424, 432, 446—448, 496, 532, 549, 558, 575, 588, 605—650, 683, 735
Kołakowski Stanisław 40
Kopyciński Adam 229, 576
Korczyńska Adela 497, 651
Kordylewska Zofia 230
Kościk-Grenda Maria 78
Kościuszkowa Janina 349, 402, 652, 653
Kotucha Rajnold 397
Kowalczyk Jan 498
Kowalczyk Stanisław 499
Kowalczykowa Janina 140, 654—656
Kowalski Stanisław 77
Kret Józef 231—233, 398
Krętowski Józef 78
Krupka-Matuszczyk Irena 130
Krzetuski Artur 200
Krzywicki Janusz 116, 117
Kuffel Edwin 155
Kujawski Zygmunt 340, 500
Kulikowska Anna 458
Kulisiewicz Aleksander 41—44
Kutyba Janusz 76
Kuś Jan 501
Kuzak Zygmunt 234, 350

Lach-Kamińska Janina 235
Lambert Maciej 657
Lebioda Jerzy 348, 503
Leszczycka Jadwiga 382
Leszczyńska Stanisława 236
Leszczyńska Zdzisława 73, 110
Leśniak Elżbieta 120
Leśniak Roman 45, 118—121
Lewandowska Melita 67
Lingens Ella 237, 658, 736
Lityński Michał 459
Lorenczuk Wanda 438
Lorska Dorota 238—240

Łakociński Zygmunt 449
Łobodziński Jan 659
Łobzowski Witold 79
Łukoszek Danuta 130
Łyskanowski Marcin 46

Maciejewski Zdzisław Maciej 122
Mahrburg Stanisław 399
Majkowski Juliusz 502
Makowski Antoni 141, 241—244
Maniakówna Maria 245
Marczyński Aleksander 504, 505, 660
Markiewicz Józef 166
Markowska Maria 111
Masłowski Jan 19, 31, 45, 202—212, 439, 554, 556, 557, 559—564, 567, 661, 693, 734, 737—751, 758
Matus Barbara 506
Maziarski Stanisław 383, 537
Mazurkiewicz-Pieńkowska Maria Ruth 507
Mączka-Patkaniowska Zofia 301, 662
Metera Artur 302
Miączyński Adam 158
Milčinski Janez 47
Milczarek Jan 370
Miodoński Jan 384
Misiewicz Janina 460
Mistecka Lucyna 461
Mitarski Jan 121
Morasiewicz Wiesław 106, 107
Moska Dionizy 48, 303, 371, 508—510

Mostowski Jerzy 511, 663
Mruk Józef 304
Musioł Teodor 305
Müller Tadeusz 341
Münch Hans 142
Mysakowska Helena 512

Namitkiewicz Zofia 513, 514
Niedojadło Eugeniusz 246—248, 649
Niewiarowicz Roman 150
Nowak Jan 566, 664
Nowak Tadeusz 462
Nowakowska Maria 249
Nowicki Jerzy 306, 307
Nowodworska Irena 450
Nowosielski Aleksander 308

Okła Janusz 309
Olbrycht Jan Stanisław 49, 50, 250, 251
Olszyna Roman 577
Opoczyński Edwin 665—668
Orlicka Zofia 440
Ornowski Jan 571
Orwid Maria 32, 105, 121, 123—125
Orzeszko Tadeusz 252
Osuchowski Jerzy 167, 168, 310

Paczuła Tadeusz 253, 254
Pagniez Yvonne 311, 312
Panasewicz Józef 80
Pankiewicz Tadeusz 425
Pawełczyńska Anna 255
Pawłowska Zofia 156
Pawłowski Bolesław 169, 313—316
Perzanowska Stefania 157—160, 515, 664
Petelski Mieczysław 669
Pęckowski Zbigniew 256, 317
Pędowski Karol 450
Piątkowska Antonina 257
Piechocki Marian 96
Piekara Arkadiusz H. 386
Piekut-Warszawska E. 403
Pigoń Stanisław 387
Piotrowska Ewa 112
Piórek Józef 151
Pituch Anna 568
Plaskura Władysław 200
Pliś Marian 517
Popek Walenty 152
Popielski Bolesław 516
Pospieszalski Karol Marian 578
Półtawska Wanda 126, 127, 372, 404, 405
Przerwa-Tetmajer Alina 670, 671
Przychodzki Michał 518, 519, 672—675
Pytlik Danuta 676

Raiter Alfons Wojciech 433
Rawska Helena 441
Regent-Lechowicz Maria 51
Rogalski Stanisław 555
Rörichowa Maria 450
Rubin Bronisław 170
Rusinek Kazimierz 52, 171
Rusinow Rusin 388
Ryn Zdzisław 53, 128, 258, 259, 318, 319, 358, 463, 520, 521, 538, 677, 678, 752, 753, 757
Rzepecki Wit Maciej 302
Rzeźnik Stefan 522

Sadowski Cyprian 523, 524
Saller Karl 54
Salwa Władysław 434
Sarnecki Józef 127, 129
Schmidt Stefan 389
Schrammowa Halina 99
Schwann-Pawłowska Jadwiga 31
Schweitzer Albert 55
Sehn Jan 56, 66, 373
Sembol Jan 679
Seweryn Tadeusz 57, 58, 426, 525, 526
Siciński Antoni 260
Sienicki Witold 680
Sikorski Jan 681, 683
Siniecki Bogdan 320, 684—686
Skowron Stanisław 59, 539, 687
Skrobacki Andrzej 688
Skulimowski Mieczysław 390, 427
Slisz-Oyrzyńska Maria 261
Sobczyk Piotr 130, 550
Sowiakowski Jeremiasz 435
Sroczyński Kazimierz 464
Starczewski Jan 406, 407, 527
Stasiak Leon 262
Stefańska Irena 263
Sterkowicz Stanisław 60, 61, 143, 321, 322, 374, 375
Sternalski Marek 131
Ströder Josef 528
Susułowska Maria 62
Sypniewska Maria 323
Szawłowski Lech 408
Szczepłek Jan 754
Szczerbowski Kazimierz 264
Szemińska Alina 689
Szemraj-Lochyńska Alicja 82
Szmaglewska Seweryna 690
Sznajder Tadeusz 465
Sztaba, Romuald 153, 691
Szuszkiewicz Roman 265
Szwarc Halina 83, 351
Szweda Konrad 266, 267
Szymańska Danuta 269
Szymański Tadeusz 268, 269, 692
Szymusik Adam 121, 125, 132, 133, 551, 552, 693

Śnieszko Tadeusz 269, 695, 696
Śliwiński Stanisław 390, 694
Ślusarczyk Walenty 529

Tarmanowska Benigna 488
Terlecki Olgierd 436
Teutsch Aleksander 101, 121, 125, 134, 135
Tycner Henryk 530
Tytoniak Anna 270

Urbanek Bożena 442
Urbańczyk Stanisław 391

Wacek Szczepan 466
Waitz Robert 84, 376
Walter Franciszek Ksawery 392, 579
Walter-Janke Zygmunt 531
Walterowa Aleksandra 324
Waluk Bronisław 85
Wawrzecki Adam 532
Wąsik Adam 697
Wesełucha Piotr 63, 64, 172, 569
Wieczorek Janusz 65
Wieliczański Henryk 86
Więcko Walery 67
Wilkońska Maria 443
Wiśnicki Paweł 342
Witaszek-Napierała Alodia 409
Witkowski Józef 154, 325—327, 410—418
Witusik Romualda 87
Witusik Władysław 87
Wlazłowski Zbigniew 173—175
Włoczewski Jerzy 467
Włodarska Helena 271
Wojtasik Władysław 88, 89, 136—138
Wojtusiak Roman Józef 393
Wolf Antoni 468
Wolken Otto 272, 273, 419, 428
Wolny Jan 274, 275, 328
Wolski Józef 394
Wolter Władysław 5
Woycicki Alfred 276
Woytowicz Bolesław 533

Zabłocki Jan 395
Zabłotniak Ryszard 534, 535, 540—546
Zadęcki Jerzy 40, 755
Zagórska Ewa 756
Zakrzewska Wanda 67
Zasacki Stanisław 277
Zastocka Wacława 698, 699
Zawodzińska Celina 352
Zdanowski Jerzy 469
Zdawski Tadeusz 139
Zegarski Witold 329, 700
Zembrzycka-Cielecka Maryla 130
Zielina Jan 91, 278, 420
Zientarski Andrzej 343
Zięba Andrzej 40
Znosko Konstanty 78
Züger Philipp 570

Żakowska-Dąbrowska Teresa 99
Żegleń Józef 155
Żelechowski Jerzy 330
Żywulska Krystyna 279

Wskaźniki liczbowe odnoszą się do kolejnej numeracji w spisie treści poprzednichzeszytów.
The numbers denote the numeration in the contents of preceding issues.
Die Zahlen beziehen sich auf die Nummern in dem Inhalte der bisher erschienenen Hefte.

INHALTSVERZEICHNIS

Bogusz J.: Vorwort 3

WISSENSCHAFTLICHER TEIL

Wińska U.: Gefühle als haltungsbildender Faktor der Polinnen in Ravensbrück . . 18
Jagoda Z., *Kłodziński* S., *Masłowski* J.: Selbstbehandlung der Häftlinge in Auschwitz 25
Ryn Z., *Kłodziński* S.: Tod und Sterben im Konzentrationslager 56
Leśniak R., *Leśniak* E.: Fluchtbeispiele aus den Konzentrationslagern 91
Ryn Z.: Drei Geschwister im Konzentrationslager. (Klinische Analyse) 97
Kempisty C., *Szemraj-Lochyńska* A.: Arteriosclerose im Alternprozesse und Sterblichkeit ehemaliger Häftlinge der Nazi-KZ-Lager 102

HISTORISCH-DOKUMENTARISCHER TEIL

Pankowicz A.: Nationalsozialistische Veränderungen der deutschen Medizin 108
Stefańska I.: Lagermuseum in KL-Auschwitz 111
Witkowski J.: Sanitäre und gesundheitliche Situation in Gross-Rosen 117
Fijałkowska B., *Witkowski* J.: Frauen in Gross-Rosen 130
Bartelski L. M.: Der Sanitätsdienst im Bezirk Mokotów während des Warschauer Aufstandes 136

ERINNERUNGEN

Klimkiewicz S.: Im Tomaszów Lubelski während der Okkupationsjahre 142
Onyszkiewicz T.: Im okkupierten Zamość . 147
Madeyski Z.: Erinnerungen eines Montelupi-Häftlinges 152
Golemo A.: Aus dem Montelupi-Gefängnis. Włodzimierz Podgórzec 158
Kowalczyk J.: Aus den Notizen vom okkupierten Kraków 164
Maziarski S.: In KL-Sachsenhausen 168
Wojtasiak R. J.: Die Bildung der „wissenschaftlichen Abteilung" in Dachau . . . 178
Olszowski J.: Häftlingshauptschreibstube im Lager Auschwitz 182
Myłyk F.: Notizen aus Auschwitz 188
Komenda J.: Im Revier von Birkenau . . 194
Chylińska M.: Über die Mechanismen der psychischen Selbstverteidigung 205
Chaszczyńska H.: Nach Mauthausen-Gusen um Asche des Gatten heimzubringen . . 212

BIOGRAPHIEN

Horzela T.: Dr. Mieczysław Paweł Pietrzyk 216
Kowalska Z.: Dr. Seweryn Roman Kowalski 218
Zabłotniak R.: Dr. Kazimierz Błażej Bacia 220
Marczyński A.: Arzt Tadeusz Szymon Ptak 222
Kłodziński S.: Prof. Dr. Stanisław Kapuściński 226
Kłodziński S.: Władysław Kosmal 230

BERICHTE

Bogusz J.: Session des Präsidiums der Internationalen Korczak-Gesellschaft (Israel, 13—21 Januar 1981) 234
Lewin A.: Grundsätze zum Aufbau des Korczak-Wissenschaftlichen und Erziehungsinstitutes 239

LESERBRIEFE

Masłowski J.: Aus der Korrespondenz der Auschwitzer Hefte des „Przegląd Lekarski" (Medizinische Rundschau), IV. Teil 244

BUCHBESPRECHUNG

Masłowski J.: Okkupationsthematik in polnischen Publikationen im Jahre 1981 . . 251

*

Inhalt der bisher erschienenen Hefte des „Przegląd Lekarski" (Medizinische Rundschau), den ärztlichen Problemen während der Nazi-Okkupation gewidmet. Bearbeitet von J. *Masłowski*. Übersetzt ins Deutsche von E. *Michalski*, ins Englische von E. R. *Paryski* und A. *Kurgan* . . . 268

CONTENTS

ogusz J.: Preface 3

SCIENTIFIC PART

Wińska U.: Feelings as a forming factor of the attitude of Polish women in Ravensbrück 18

Jagoda Z., *Kłodziński* S., *Masłowski* J.: Self-healing of the prisoners in Auschwitz . . 25

Łyn Z., *Kłodziński* S.: Death and dying in concentracion camp 56

Leśniak R., *Leśniak* E.: Examples of escape from concentration camps. Psychiatric-psychological analysis 91

yn Z.: Three siblings in concentration camp. (Clinical analysis) 97

empisty C., *Szemraj-Lochyńska* A.: Arteriosclerosis in aging and mortality process of prisoners of concentration camps 102

HISTORICAL AND DOCUMENTARY PART

Pankowicz A.: National-socialistic changes of German medicine 108

ejańska I.: Museum in KL-Auschwitz . . 111

itkowski J.: Sanitary and health situation in Gross-Rosen 117

jalkowska B., *Witkowski* J.: Women in Gross-Rosen 130

artelski L. M.: Health service in quarter Mokotów during Warsaw uprising . . . 136

REMINISCENCES

limkiewicz S.: In Tomaszów Lubelski during the occupation years 142

nyszkiewicz T.: In occupied Zamość . . . 147

Iadeyski Z.: Reminiscences of a Montelupi-prisoner. Zygmunt Klemensiewicz . . 152

olemo A.: From Montelupi prison. Włodzimierz Podgórzec 158

Kowalczyk J.: Notices from occupied Cracow 164

Maziarski S.: In Sachsenhausen 168

Wojtusiak R. J.: The forming of "scientific division" in Dachau 178

lszowski J.: Office of prisoners (Hauptschreibstube) in KL-Auschwitz 182

Myłyk F.: Notices from Auschwitz 188

Komenda J.: In Birkenau-Revir 194

Chylińska M.: About the mechanism of psychic self-defense 205

Chaszczyńska H.: To Mauthausen-Gusen to bring home the ashes of the husband . . 212

BIOGRAPHIES

Horzela T.: Mieczysław Paweł Pietrzyk, M. D. 216

Kowalska Z.: Seweryn Roman Kowalski, M. D. 218

Zabłotniak R.: Kazimierz Błażej Bacia, M.D. 220

Marczyński A.: Physician Tadeusz Szymon Ptak 222

Kłodziński S.: Professor Stanisław Kapuściński, M. D. 226

Kłodziński S.: Władysław Kosmal 230

REPORTS

Bogusz J. Meeting of International Korczak-Society (Israel, January 13—21, 1981) 234

Lewin A.: Aims and purposes of the Scientific and Educational Korczak-Institute . 239

LETTERS

Masłowski J.: From the correspondence of the issues "Auschwitz" of "Przegląd Lekarski" (Medical Review), Part IV . . . 244

REVIEWS

Masłowski J.: Occupation as a topic in Polish medical publications in the year 1981 251

*

Content of preceding issues of "Przegląd Lekarski" (Medical Review) devoted to medical problems of the period of Nazi occupation. Compiled by J. *Masłowski*. Translated into English by E. R. *Paryski* and A. *Kurgan*, into German by E. *Michalski* 268

Indeks nr 37189

Cena zł 24

ODDAJĄC DWUDZIESTY DRUGI ZESZYT POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM LEKARSKIM HITLEROWSKIEJ OKUPACJI DO RĄK CZYTELNIKÓW, REDAKCJA PROSI UPRZEJMIE O UWAGI DOTYCZĄCE PORUSZONEJ PROBLEMATYKI I UJĘCIA POSZCZEGÓLNYCH ZAGADNIEŃ. LISTY ZWIĄZANE Z PROBLEMATYKĄ ZESZYTÓW „OŚWIĘCIM" „PRZEGLĄDU LEKARSKIEGO" PROSIMY KIEROWAĆ POD ADRESEM: PROF. DR JÓZEF BOGUSZ, UL. BOHATERÓW STALINGRADU 43, M. 3, 31-038 KRAKÓW

Zeszyty „Oświęcim" „Przeglądu Lekarskiego" można zamawiać w księgarniach medycznych Domu Książki